ROZMOWY O DWUDZIESTOLECIU

Wypowiedzi radnych Rady Miejskiej Wrocławia z lat 1990-2010

Biuro Rady Miejskiej

Wrocław 2010

Koordynator publikacji:
Janina Śledzińska

Opracowanie redakcyjne:
Wanda Dryll

Z radnymi 20-lecia rozmawiali:
Wanda Dryll, Renata Glińska, Izabela Janicka, Halina Okólska,
Anna Priebe-Haglauer, Szczepan Rudka, Dorota Weiss

Publikacja powstała przy współpracy pracowników Biura Rady Miejskiej:
Alicji Wichlińskiej i Bartłomieja Świerczewskiego

Skład:
MEDIAL Krzysztof Wyszatycki

Fotografie dostarczyli:
Radni, archiwum BRM, Wojciech Grzędziński, Paweł Passowicz, Janna Stoga

Ilustracja na okładce:
Emil de Canver, *Widok Nowego Ratusza we Wrocławiu*, 1863,
wł. Muzeum Architektury. Fot. Tomasz Gąsior

W publikacji wykorzystano litografie Wilhelma Kimbela
Wilhelm Kimbel, *Album z litografiami fryzów południowej elewacji ratusza*,
wł. Muzeum Miejskie Wrocławia. Fot. Tomasz Gąsior

© Copyright Biuro Rady Miejskiej

ISBN 978-83-932321-0-9

Druk: Drukarnia Andrzej Maślanka, ul. Krakowska 64, 50-425 Wrocław; ark. druk.: 52, nakład: 1000 egz.

SŁOWO WSTĘPNE

4 czerwca 1990 r., Sala Wielka Starego Ratusza. Na krzesłach ustawionych w równe rzędy zasiada 70 osób (5 kobiet, 65 mężczyzn) – nowo wybranych Rajców. Osiem dni wcześniej, w wyniku pierwszych w powojennej historii Polski prawdziwie wolnych wyborów, wrocławianie wskazali ich jako swoich przedstawicieli do władz miejskich. Na pamiątkę tych wyborów 27 maja został ustanowiony Dniem Samorządu Terytorialnego. W roku 2010 obchodziliśmy we Wrocławiu dwudziestą rocznicę tego wydarzenia.

Pierwszym przewodniczącym Rady Miejskiej we Wrocławiu [nazwa „Rada Miejska Wrocławia" została przyjęta dopiero na kolejnej sesji] zostaje prof. Stanisław Miękisz. Na prezydenta Wrocławia radni wybierają Bogdana Zdrojewskiego, na kolejnej sesji, która odbywa się już w sali Urzędu Miejskiego przy pl. Nowy Targ 1/8, wiceprezydentów. Powołane zostają pierwsze komisje, przegłosowane pierwsze uchwały. Tak – w dużym skrócie, można by przedstawić reaktywację samorządu w naszym mieście.

Na pierwszych sesjach Rady Miejskiej Wrocławia zapadają ustalenia dotyczące kwestii finansowych, administracyjnych, inwentaryzacyjnych i planistycznych, prywatyzacji w handlu i gastronomii, powołania Międzynarodowego Portu Lotniczego. Ważne są także uchwały w sprawie herbu miasta, pieczęci, święta Wrocławia, zmiany nazw ulic, przeniesienia pomników/pamiątek niedawnego systemu. Wśród przyjętych uchwał znajdują się także takie, które pokazują ważne tematy tamtych czasów, dotyczące dopuszczenia przedstawicieli władz i społeczeństwa polskiego do prac ekshumacyjnych oraz dokumentów dotyczących zamordowanych w 1940 r. na terenie ZSRR polskich jeńców wojennych, ustalenia zasad stacjonowania na terenie Wrocławia wojsk radzieckich, wystąpienia Wrocławia ze Światowej Rady Pokoju, utworzenia Dolnośląskiego Radia Informacyjno-Muzycznego czy też potrzeby likwidacji hałdy odpadów przy Hucie Siechnice. Sesje trwają po kilka dni, najczęściej do późnych godzin nocnych.

Jaki jest efekt tych minionych 20 lat? Wiele mówią liczby. Od 1990 r. odbyło się 285 posiedzeń Rady. Radnymi były w sumie 204 osoby, a przyjęto znacznie ponad 8 tysięcy uchwał. Resztę zobaczyć może każdy patrząc na zdjęcia Wrocławia z początku lat dziewięćdziesiątych i spacerując po ulicach, parkach i wzdłuż Odry w dniu dzisiejszym. Podobne odczucia powinny towarzyszyć osobom wybierającym się dziś do opery, kina, teatru lub spędzającym czas ze znajomymi we wrocławskich restauracjach czy pubach, kiedy porównają to do tego, co Miasto oferowało 20 lat temu. Znaczna część tych zmian mogła się dokonać dzięki decyzjom podejmowanym w Radzie Miejskiej. Zmieniało się miasto, a wraz z nim samorząd. Przez pierwsze 3 kadencje było 70 radnych, potem ta liczba zmniejszyła się do 40. Obecnie w sali sesyjnej zasiada 37 osób. W ciągu 3 pierwszych kadencji to Rada wybierała prezydenta i Zarząd, natomiast od 8 lat włodarza miasta wybierają mieszkańcy. Siedziba Rady również uległa zmianie. Od 1992 r. Rada Miejska Wrocławia obraduje w sali sesyjnej Nowego Ratusza – nowocześnie wyposażonej i zinformatyzowanej, dzięki czemu każdy mieszkaniec może śledzić przebieg sesji w Internecie.

Czy 20 lat to dużo? I tak, i nie. W trakcie konferencji organizowanej z okazji obchodów XX-lecia Samorządu, usłyszałem anegdotę o pewnym samorządowcu z Europy Zachodniej. Miał on wyrazić opinię, że zazdrości samorządom polskich miast tego, że przed nimi jest jeszcze tyle do zrobienia – tyle wyzwań, tyle możliwości, podczas gdy on, w swoim mieście może już tylko dbać o to, co istnieje od dawna. Samorząd w większości państw europejskich ma za sobą wiele dziesięcioleci, czasem setek lat tradycji, doświadczeń i rozwoju. My tak naprawdę dopiero zaczynamy, mamy wielką ilość potrzeb do zaspokojenia i problemów do rozwiązania. Bardzo cieszy mnie fakt, że te 20 lat to czas dobrze wykorzystany, a zdobyte doświadczenia pozwalają na śmiałe planowanie przyszłości. Rada Miejska Wrocławia ma na swoim koncie wiele sukcesów, którymi może się pochwalić, prowadzi też takie działania, nad którymi należy nadal konsekwentnie pracować. Zarządzanie miastem jest procesem ciągłym, w którym udział powinni brać wszyscy mieszkańcy. To, czego nam się zrealizować nie udało, będą mogli wykonać lub poprawić ci, którzy po nas przyjdą. Ważne jest, aby pamiętać o tym, co głosi tekst przysięgi Radnego Rady Miejskiej Wrocławia:

Świadomy tradycji Wrocławia, zaszczycony wyborem współmieszkańców, ślubuję dobro i sławę Wrocławia nad własną korzyść przedkładać, bogactwo mojego miasta pomnażać i uczynić wszystko, aby każdy mieszkaniec z dumą imię jego nosił.

Mam nadzieję, że ta publikacja stworzona z okazji obchodów XX-lecia Wrocławskiego Samorządu, będąca efektem realizowanego przez Biuro Rady Miejskiej projektu, polegającego na zapisaniu wspomnień samorządowców wszystkich 5 kadencji Rady Miejskiej, stanie się dokumentem źródłowym dla tych, którzy zechcą powrócić do wspomnień oraz tych, którzy będą pisali historię samorządności wrocławskiej. Z kolei dla wszystkich obywateli miasta będzie zapisem o tym, co udało się zrealizować i nad czym należy w przyszłości pracować.

Jacek Ossowski

Przewodniczący
Rady Miejskiej Wrocławia
1990 – 2010



Stanisław MIĘKISZ

Radny I kadencji.
Przewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia w latach 1990-1994.
Profesor zwyczajny biofizyki w Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami Miasta?

Nie. Zawsze uważałem, że wchodzenie pracowników naukowych do takich gremiów nie bardzo przystaje. Ale czasem ludzie z tego środowiska mają potrzebę działania społecznego. Te społeczne potrzeby ja realizowałem na swojej uczelni. W PTTK prowadziłem obozy dla studentów i pracowników WSR. W 1974 r. byłem dyrektorem I Międzynarodowej Zimowej Szkoły Biofizyki Transportu Membranowego.

Jak więc to się stało, że znalazł się Pan w Radzie Miejskiej?

Pod koniec zimy czy wczesną wiosną przewodniczący „Solidarności" Akademii Medycznej prof. Juliusz Jakubaszko zwrócił się do mnie z pytaniem, czy zgodziłbym się na wzięcie udziału w wyborach do Rady Miejskiej. Trudna to była decyzja. Byłem na kilka lat przed emeryturą. Chciałem uporządkować sprawy Katedry. Zdawałem sobie sprawę, że praca w Radzie Miejskiej nie bardzo da się pogodzić z pracą kierownika katedry. Ofertę mi złożono, bo byłem dość czynny, ciągle nagabywany przez SB. W końcu zgodziłem się. W wyborach brałem udział z ramienia Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

Był to przecież przełom. Powstała suwerenna Polska. To była zupełnie nowa Rada Miejska, w niczym niepodobna do tego, co było dotychczas. Przecież dotąd Radą Miejską rządził Komitet Wojewódzki PZPR.

Prowadzono szkolenia, zapoznaliśmy się z nową ustawą o samorządzie terytorialnym. To była teoria. Praktyka pokazała dopiero trudności. Z czym mamy do czynienia i co nas czeka.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego?

Zupełnie nie. Była to dla mnie zupełna nowość. Jeszcze bardziej zaskoczyła mnie propozycja objęcia funkcji przewodniczącego Rady Miejskiej. Zaproponował mi to późniejszy wiceprezydent Krzysztof Turkowski. Prof. Władysław Narkiewicz wręczał nam legitymacje radnego. Potem było spotkanie w ratuszu. Podczas tego spotkania podszedł do mnie Krzysztof Turkowski i zaproponował mi objęcie funkcji przewodniczącego Rady Miejskiej. Byłem zaskoczony propozycją. Bo to jeszcze gorzej, większa odpowiedzialność, więcej obowiązków i odciągnięcie od uczelni. Tak zadecydowano pewnie w jakimś ścisłym gremium w Komitecie Obywatelskim.

Na pierwszej sesji Rady Miejskiej – 4 czerwca – zgłosił moją kandydaturę na przewodniczącego Jarosław Obremski. Rozmawiano ze mną na temat wiceprzewodniczących, których w ogóle nie znałem, poza Pawłem Skrzywankiem, z którym razem kandydowaliśmy na Starym Mieście. Zgłoszono Bogdana Cybulskiego i Edwarda Czapiewskiego, który pełnił swoją funkcję przez całą kadencję, bo Paweł Skrzywanek został dyrektorem Wydziału Kultury w Urzędzie Wojewódzkim, a Bogdan Cybulski przeszedł do Regionalnej Izby Obrachunkowej. Skład prezydium Rady Miejskiej został uzupełniony przez Wojciecha Adamskiego i Leonarda Smołkę.

Wynik wyborów właściwie nadał charakter tej Radzie. Była to sytuacja zupełnie odmienna niż w innych miastach. We Wrocławiu na 70 radnych z listy Komitetu Obywatelskiego i „Solidarności" weszło 67. To był właściwie plebiscyt. To nie zdarzyło się w żadnym innym dużym mieście. Obawialiśmy się, że będzie bardzo źle, bo będzie jednomyślność, a przecież różnorodność poglądów jest absolutnie konieczna, żeby wypracować jakąś ustawę. Szybko jednak ujawniły się różnice w poglądach i okazało się, że obawy były niesłuszne. Należało się zresztą tego spodziewać, bo w „Solidarności" istniały różne nurty, które przełożyły się na różnorodność poglądów w Radzie Miejskiej, ze szczególnym uwzględnieniem różnego stosunku do ustaleń Okrągłego Stołu.

Nie byłem jedynym kandydatem na przewodniczącego. Oprócz mnie kandydowali radny Sławomir Chełstowski i Edward Czapiewski. Pierwsze głosowanie było tak na styk. Tak więc już przy wyborach na przewodniczącego ujawniła się demokracja.

Praca zaczęła się na Nowym Targu. Warunki były tam fatalne, ale gdzieś trzeba było się pomieścić. Pierwsze sesje Rady Miejskiej zaczynały się w środowe popołudnia i trwały trzy dni. Każda gdzieś do 12 w nocy. Towarzyszyło im straszne gadulstwo. Ale widocznie przejście z tego komenderowania w Miejskiej Radzie Narodowej do nowej rzeczywistości spowodowało taką potrzebę. Trzeba powiedzieć, że często wypowiedzi były luźno związane z przedmiotem obrad. Uchwały nam się jednak udawały, były krótkie i dobre. Mimo tego rozgadania, moim zdaniem, Rada zdała egzamin, jeżeli chodzi o te pierwsze cztery lata urządzania Wrocławia na nowo. A Wrocław szczególnie był zaniedbany. Nad tym miastem zawsze wisiała ta Conradowska smuga cienia – tymczasowość.

Podczas I kadencji Rady Miejskiej członkowie Zarządu Miasta jednocześnie byli radnymi w Radzie Miejskiej. Według ustawy dwóch członków Zarządu musiało być radnymi. Byli to Jarosław Obremski i Adam Grehl. Trzeba było także zająć się Biurem Rady Miejskiej – to wszystko było przecież związane z dawną nomenklaturą. Daliśmy możliwość pracy pani dyrektor Janinie Śledzińskiej. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli przyszedłby jakiś dyrektor biura ze styropianu, to mogłoby to kiepsko wyglądać. Wiadomo, że ludzie, którzy walczyli nie zawsze potrafią być pragmatyczni i rządzić. Lojalność, zaangażowanie, znajomość urzędu pani dyrektor okazały się niezwykle cenne. Tak samo w Urzędzie Miejskim – dawny naczelnik dzielnicy Stare Miasto został sekretarzem miasta. Także u nas miała miejsce ta gruba miejska kreska, o co miano do nas pretensje. To nie były łatwe decyzje.

Powstał Statut miasta. We Wrocławiu jako pierwszym mieście w Polsce. Język ustaw był mi obcy. Tym się zajmowali prawnicy: Jerzy Barański i Bogdan Cybulski. Starałem się pełnić inna rolę. Tonizującą, uspokajającą. Drugą osobą, która w kuluarach gasiła emocje był Bogdan Cybulski. Był znakomitym wiceprzewodniczącym. Miał wiele pomysłów. Jego pomysłem były spotkania delegatów z dużych miast. Można było wymieniać się doświadczeniami. Przecież to wszystko było nowe, interesowało nas, jak radzą sobie inne miasta. Druga sprawa, to przestały istnieć dzielnice, wszystkim zarządzał Urząd Miejski. Zależało nam jednak na zachowaniu inicjatywy oddolnej. Powstała koncepcja rad osiedlowych. Nie wiem, czy się sprawdziła. Niektóre rady, jak wiem, dbały o swoje osiedle. Walczyłem o to, by rady osiedli miały więcej pieniędzy. Podobało mi się rozwiązanie w Poznaniu, gdzie było rad osiedli kilkanaście, Urząd dawał środki tym osiedlom, które same coś robiły, wykazywały inicjatywę. Rady osiedla zdały większy egzamin w osiedlach na obrzeżu miasta.

Jak układała się współpraca Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Rada była parasolem nad prezydentem i Zarządem Miasta. To było konieczne. Były takie sytuacje, że projekty uchwał przychodziły czasem na kilka godzin przed sesją. Wszystko działo się szybko, nie było tak sformalizowane jak obecnie. Odbywały się wspólne posiedzenia prezydium Rady i Zarządu. Poza tym jako pierwsi w Polsce powołaliśmy Komisję Rewizyjną. Wtedy nie była ona konieczna. Uważaliśmy, że potrzebny jest organ kontrolny. Niestety, to była taka „głośna" komisja, buńczuczna. Jej przewodniczącym był radny Antoni Lenkiewicz. Często przez tą taką agresywność była nieskuteczna. A nam zależało, żeby Komisja Rewizyjna pilnowała Zarządu. Na wspólnych spotkaniach prezydium Rady i Zarządu mieliśmy czasem różne zdania. W tej chwili jest inna sytuacja.

Podczas I kadencji nie było klubów politycznych, ale już wtedy wyłoniły się grupy, które charakteryzowały się różnym podejściem do sytuacji w kraju po odzyskaniu suwerenności. Byli wśród nas radni o poglądach wspólnych z poglądami Tadeusza Mazowieckiego – przyszłą Unią Demokratyczną, byli przedstawiciele NSZZ „Solidarność", Solidarności Walczącej, Konfederacji Polski Niepodległej oraz założonego przez A. Halla Ruchu Młodej Polski – później Partii Konserwatywnej. Grupa przedstawiająca orientację bardziej prawicową związana była z prof. Andrzejem Wiszniewskim. Dość duża grupa młodych radnych pochodziła z Ruchu Młodych Katolików „U siebie" powiązanych z o. Ludwikiem Wiśniewskim.

Nad każdą ustawą trwały długie dyskusje. Także głosowanie nie było jednomyślne. Muszę jednak powiedzieć, że w trudnych sytuacjach Rada zdawała egzamin.

Nad wszystkim czuwał prezydent Bogdan Zdrojewski. To był szczęśliwy wybór. Okazał się znakomitym gospodarzem miasta. Są w dziejach miasta chwile, gdy pojawiają się w nim ludzie tworzący jego pomyślność i rozwój na wiele lat. Wiceprezydenci mu pomagali mając obszar samodzielnego działania, tworząc z prezydentem zgrany zespół.

Co uznałby Pan za największy sukces Rady Miejskiej z okresu, kiedy był Pan jej przewodniczącym?

Po pierwsze, stabilność rządzenia w mieście. Nie zmieniał się ani przewodniczący, ani prezydent, co w Polsce było rzadkością. Było to możliwe dzięki wypracowaniu odpowiedniej relacji między prezydentem a przewodniczącym i dobrej współpracy Zarządu Miasta z prezydium Rady Miejskiej (prezydium – przewodniczący i wszyscy wiceprzewodniczący – było tworem nieformalnym). Za naszych czasów w Krakowie było 4 prezydentów, w województwie wrocławskim było kilku wojewodów. U nas stabilność władzy pomagała przy rządzeniu. Myśmy się kłócili, ale porozumiewaliśmy się z Zarządem Miasta. Po walkach, po dyskusjach nie było sytuacji takiej, żebyśmy się nie porozumieli. Co prawda, pod koniec kadencji zdarzały się na sesji Rady bardzo ostre wypowiedzi wobec prezydenta.

Po drugie, pracowitość Rady przede wszystkim. Jako przewodniczący znaczną część czasu spędzałem tutaj, w Radzie, co odbiło się na pewno niekorzystnie na mojej pracy naukowej. W Radzie był młyn od samego początku. Przez te 4 lata potrafiliśmy zdobyć zaufanie wrocławian i następne wybory nie stanowiły żadnego kłopotu. W uzyskiwaniu zgody wiele dawały rozmowy kuluarowe.

Byli wśród radnych ludzie nie do zastąpienia, jak np. prof. Leon Kieres – niezwykle pracowity, o dużej wiedzy, jeżeli chodzi o przygotowywanie ustaw, a przecież równocześnie był przewodniczącym Sejmiku. Do Sejmiku radni byli delegowani z rad gminnych.

Trudno było pogodzić obowiązki radnego i posła Władysławowi Frasyniukowi, ale bardzo był potrzebny, jeżeli chodzi o kontakty z Warszawą. Bycie posłem i radnym było nie do pogodzenia. Frasyniuk czuł się tutaj obecny,

bardzo nam pomagał. Trzeba przyznać, że pomimo wielkiej pracy w Sejmie dbał o interesy Wrocławia, a swoją dietę oddawał na cele społeczne. Miasto wiele mu zawdzięcza, i dobrze, że do końca był radnym.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady I kadencji?

Nie udała się walka o obwodnicę, o drogi. To było trudne. Powstała Komisja Inwentaryzacyjna. Przewodniczącym był Leonard Smołka. Miała pracować do końca grudnia. Pracowała chyba przez 4 lata do końca kadencji. Ten budynek [Sukiennice] należał do województwa. Trzeba było o wszystko walczyć. Może nie tyle z wojewodą czy z wojewodami, co z urzędnikami. Także drogi należały do różnych właścicieli. Były drogi krajowe, miejskie, osiedlowe. Tak, sprawa obwodnicy to było nasze niepowodzenie. No, niewiele byśmy zrobili, bo jeszcze dzisiaj nie ma obwodnicy. Z inicjatywy wojewody Janusza Zaleskiego powstała grupa pracy dla dobra miasta, która spotykała się w Urzędzie Wojewódzkim – byli w niej przedstawiciele województwa, miasta, posłowie z wszystkich formacji. Na tych spotkaniach także dyskutowano o obwodnicy.

Wrocław, jak wiadomo, był zrujnowany w 70%. Władze komunistyczne odbudowując go popełniły olbrzymie błędy. Można było inaczej poprowadzić drogi, dbać o modernizację miasta, a jednocześnie zachować stare dzielnice. Przecież to było piękne miasto.

Czy jest jakieś wydarzenie z okresu tej I kadencji, które szczególnie zapadło Panu w pamięć?

Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Początek był dla nas wydarzeniem, potem była to już praca. Zarzucano nam, że nie zajęliśmy się sprawami pragmatycznymi, a zaczęliśmy np. od herbu Wrocławia. Ale herb był potrzebny. Chcieliśmy go zmienić. Były dwie możliwości: na ten dawny piastowski lub pięciopolowy. Lubiłem ten pięciopolowy herb, oddaje on jakoś historię Wrocławia. Herb był nam potrzebny do nowej pieczęci miasta. Dlatego tym się zajęliśmy. Też były duże dyskusje.

Drugi rok kadencji, ale to dotyczyło całej Polski, to zmiana nazw ulic. Moim zdaniem, w Komisji Nazewnictwa na początku działy się dziwne rzeczy. Oni nie bardzo wiedzieli jak zmieniać, które nazwiska, na jakie. My w prezydium byliśmy bardzo ostrożni z nazwiskami. Woleliśmy raczej dawne nazwy wrocławskie. Jednak te różne patriotyczne momenty były bardzo mocno podkreślane. Także antyrosyjskie. Koło mnie, tam, gdzie mieszkam, chcieli zlikwidować ulicę Pawłowa, fizjologa światowej sławy. Pewnie nie wiedzieli, kto to jest. Dopiero na sesji zwrócono uwagę komisji, że takich rzeczy robić nie można. Podobnie Gajowicka – przedtem była to ul. Próchnika. Czego chcieli od Próchnika? Chcieliśmy zmieniać, ale nie tak dużo, przecież to wiązało się z kosztami.

Pamiętam, trudne były dyskusje z kupcami, a walczyła o to w Radzie Miejskiej prawicowa grupa na czele z Krzysztofem Tenerowiczem. Któregoś razu grupa kupców weszła do prezydenta i nie chciała wyjść. Protesty kupców były wywołane działaniami Krzysztofa Turkowskiego, który chciał uporządkować Rynek, kupcy myśleli, że ich lokale zostaną skomunalizowane.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W tym czasie prasa otrzymała jedną z największych zdobyczy demokracji, jaką jest wolność słowa. Z tej wolności nie zawsze umiała korzystać.

Dobrze nam się pracowało z ówczesną prywatną telewizją Echo. Zajmowała się ona problemami Wrocławia. Związki z telewizją publiczną były luźne. Nam zależało, żeby dziennikarze wyszukiwali nieprawidłowości w Mieście. To władzy jest potrzebne i nie gniewaliśmy się o to, gdy były rzetelnie przedstawione.

◇◇◇

jętności i wiedzę wyniosłem z wcześniejszej pracy. Po pierwsze, w aktywnej i znaczącej organizacji pozarządowej, jakim był już wtedy, a jest do dziś, Komitet Ochrony Praw Dziecka, gdzie kierowałem Biurem Pomocy Prawnej. Praca w Komitecie Ochrony Praw Dziecka wymagała częstych kontaktów, m.in. z miejskimi instytucjami, takimi jak np. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Wydział Oświaty i Szkoły czy Wydział Mieszkań Komunalnych. Ważne doświadczenia wyniosłem także z pracy jako pełnomocnik Wojewody Wrocławskiego ds. Osób Niepełnosprawnych. To też było przyczyną wielu kontaktów z ludźmi aktywnymi w mieście.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Owszem – w takim zakresie, w jakim było to związane z moją pracą, a także prywatnymi kontaktami i doświadczeniami.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem radnym przez jedenaście lat od czerwca 1994 r. do jesieni roku 2005. Przez ten czas pracowałem przede wszystkim w dwóch komisjach – Komisji Spraw Społecznych i Zdrowia oraz Komisji Statutowej. To były dwa podstawowe obszary moich zainteresowań. Kiedy natomiast zostałem wybrany do Zarządu Miasta podlegały mi przychodnie miejskie i cała sieć pomocy społecznej, w tym MOPS i domy pomocy społecznej, domy dziecka, rodzinne domy dziecka. Do moich zadań i kompetencji należała również współpraca z organizacjami pozarządowymi. Była to szeroko rozumiana polityka społeczna, ale bez edukacji i mieszkalnictwa.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces Pana kadencji w Radzie?

Raczej bym się zastanawiał w takim bilansie, co się udało, co z tych różnych planów się powiodło. Na pewno powiodła się głośna sprawa zmian w opiece zastępczej nad dziećmi. Kiedy zaczynaliśmy, podstawową formą opieki zastępczej były placówkowe, duże domy dziecka. Potem Wrocław zasłynął z tego, że pokazaliśmy, iż dzieci z domów dziecka można wyprowadzać, a trzeba to robić, skoro wiemy, jak złe są losy dziecka po domu dziecka. Wiemy, że to są ludzie nieprzygotowani do samodzielnego życia. Jeśli zdarzają się wyjątki i są ludzie, którzy sobie w życiu poradzili, mimo doświadczenia domu dziecka, to są to naprawdę wyjątki. Większość nie znajduje pracy, często stają się bezdomnymi, a nierzadkie są przypadki, że trafiają do więzienia. To było dla mnie najmocniejszym alarmem, żeby zająć się tymi dzieciakami.

Druga dziedzina, to była oczywiście miejska służba zdrowia, a zwłaszcza miejskie przychodnie, które wtedy, gdy byłem w Zarządzie Miasta, popadały w wielkie długi, tarapaty, strajki, protesty. Udało się usamodzielnić przychodnie. Jak dzisiaj widać, była to najwłaściwsza decyzja. Ludzie, którzy poczuli się prawdziwymi gospodarzami u siebie, włożyli mnóstwo pracy, a często też pieniędzy, aby te miejskie przychodnie zaczęły być bardziej otwarte na pacjenta.

Spośród innych ważnych spraw, szczególne miejsce zajmowała współpraca z organizacjami pozarządowymi. Cierpliwie rozwijana współpraca, przede wszystkim z wrocławskimi parafiami, zaowocowała wieloma wyjątkowo wartościowymi społecznie działaniami – jak świetlice dla dzieci i młodzieży, kluby seniora czy wydające darmowe obiady stołówki. Ogromna w tym zasługa księdza kardynała Gulbinowicza. Bez jego zachęty czy wręcz pewnego nacisku parafie byłyby nieufne czy niechętne, bo to jednak wiele dodatkowej, niełatwej pracy... Przykład parafii, które otwarcie i szybko podjęły inicjatywę i skorzystały ze wsparcia Miasta okazał się „zaraźliwy". Dziś trudno byłoby sobie wyobrazić skuteczną pomoc potrzebującym we Wrocławiu bez takich ludzi i miejsc, jak kościół Ojców Franciszkanów na Karłowicach czy parafia Świętej Elżbiety ks. Franciszka Głoda przy Grabiszyńskiej. Podobnie wiele dobrego dzieje się w parafiach na Zakrzowie u św. Jana Apostoła, w Pawłowicach i na Kuźnikach. Przyparafialne świetlice i kluby seniora często funkcjonują w tych samych pomieszczeniach. W południe mogą się spotykać seniorzy, a po południu mają je dla siebie dzieciaki – zamiast grasować po podwórkach i eksperymentować na różne niebezpieczne sposoby. Gdy dzieci są pod opieką parafialnego wolontariusza, rodzice są spokojniejsi i osiedle także, a same dzieci dużo bezpieczniejsze. To świetne przykłady miejsc, które eksplodowały taką aktywnością. Uważam, że Kościół jest najbardziej naturalnym i ważnym partnerem samorządu miejskiego w sprawach społecznych.

Szczególny rozgłos, także daleko poza Wrocławiem, zyskała akcja przeciwdziałania żebractwu w mieście. Od organizacji pozarządowych wyszła inicjatywa, żeby przyjrzeć się żebrakom i odróżnić tych, którzy są cwaniakami, naciągaczami, od tych ludzi, którzy naprawdę w życiu totalnie się pogubili. Przy pomocy pracowników socjalnych i funkcjonariuszy Straży Miejskiej udało się zidentyfikować żebrzących. Przytłaczająca większość z nich okazała się nadzwyczajnie sprawnymi w swym „fachu" cwaniakami. Naszą akcję poparł ks. kardynał Gulbinowicz. Sławny nasz plakacik nawołujący „Nie dawaj na ulicy!" zawisł w katedrze i od tej pory ksiądz kardynał żebrzącym pod katedrą mówił, rozkładając ręce „No widzisz – zabraniają mi tutaj dać Ci tego złocisza, jak dawniej. Mówią: nie dawaj, to cóż mam robić?" Bez wątpienia poparcie księdza kardynała miało ogromne znaczenie dla powodzenia tej akcji.

W tamtym czasie umocniony też został wrocławski system pomocy bezdomnym. Na sieć pomocy ludziom w skrajnej biedzie składają się jadłodajnie, wydające codziennie darmowe posiłki, noclegownie i schroniska. Miasto nie byłoby w stanie zapewnić tak skutecznej pomocy, gdyby nie współpraca z organizacjami pozarządowymi,

w tym zwłaszcza z parafiami. Zdarzało mi się wtedy słyszeć, że „za dobrze traktujemy bezdomnych i dlatego będzie przyjeżdżać jeszcze wielu spoza Wrocławia". Pewnie, ci przyjeżdżający, to jest oczywisty fakt, ale taki jest charakter bezdomnych, że ciągle podróżują po całym kraju. Pomoc bezdomnym należy jednak widzieć nie tylko w tym oczywistym i koniecznym wymiarze moralnym i chrześcijańskim, ale też jako warunek i sposób zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom miasta. Jeżeli bowiem bezdomny nie będzie miał co jeść, gdzie spać, to się włamie do piwnicy, do komórki, do altanki w ogródkach działkowych, wreszcie wyrwie kobiecie torebkę na ulicy, a nawet ukradnie pieniądze. Albo bezdomnemu zaoferujemy pomoc, albo zdesperowany, zagoniony w rozpaczliwy życiowy „kozi róg" będzie te potrzebne do przeżycia rzeczy i środki wyrywał. Tworzyliśmy więc ten system pomocy bezdomnym ze świadomością, że to czyni Wrocław miejscem również bezpieczniejszym.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niewiele pamiętam niepowodzeń, choć dziś już nie wiem, na ile to wynik „selektywnej" pamięci, a na ile realny bilans tamtego czasu. Jeśli jednak ktoś bierze się za problemy społeczne, to trzeba szukać i próbować, nawet, jeśli nie wszystko się udaje. Przyznam, że moja pamięć jest łaskawa i pozapominałem. Nie pamiętam tych rzeczy, które się miały specjalnie nie udać. Mam wrażenie, że samorząd to takie magiczne miejsce, gdzie spotykają się ludzie z pewną wiarą i pasją, i dlatego możliwe stają się takie niezwykłe pomysły, jak miniatura ratusza z opisem w alfabecie Braille'a czy podobna miniatura wrocławskiej katedry. Często jednak trzeba było dużo większej cierpliwości i ciężkiej pracy. Kiedy na początku 1999 r. wszedłem do Zarządu Miasta, w ośrodku kształcenia zawodowego młodzieży niepełnosprawnej przy ul. Wejherowskiej panował stan podwyższonego niepokoju, który szybko przerodził się w protest, podsycany strachem przed likwidacją ośrodka. To wielka placówka na ponad pięćset dzieciaków, zatrudniająca ponad stu nauczycieli. Kiedy Miasto przejęło ją od wojewody – wybuchł strajk. Teraz, kiedy odwiedzam ośrodek przy ul. Wejherowskiej i widzę, jak to miejsce rozkwitło, to myślę, że trzeba było i warto było podjąć ryzyko tego konfliktu. Nie dało się na spokojnie przekonać do zmian, a nie dało się, bo zbyt wielu było zainteresowanych utrzymywaniem poprzedniego, okropnego stanu – gdzie budynek gnił, rozpadał się, toalety śmierdziały z daleka, łazienki były koszmarne, a dzieciaki po skończeniu tej szkoły miały minimalne szanse na znalezienie jakiejkolwiek pracy, co oznaczało, że cała praca szła na marne, a lata tam spędzone przez młodych ludzi były tak naprawdę zmarnowane. Kościół ewangelicki, który przejął prowadzenie kształcenia zawodowego młodzieży niepełnosprawnej, uczynił z tej placówki swój „flagowy okręt", przykład dla całej Polski – nowoczesny, sprawnie zarządzany, krok po kroku odremontowany i zmodernizowany, a wreszcie też czysty i zwyczajnie zadbany. To wszystko wielka zasługa ks. biskupa Ryszarda Bogusza, którego nie przestraszyły napięcia i protesty, skoro zobaczył, że celem tego wszystkiego jest danie prawdziwej szansy tym dzieciakom, żeby w życiu pomimo niepełnosprawności mogły samodzielnie i godnie funkcjonować. Cierpliwie przeszliśmy przez te burze. Protestujące i zapłakane dzieciaki przywożone autokarami do Urzędu Miejskiego, telewizja, która wiedziała dużo wcześniej od nas, że te autokary zaparkowały na ul. Zapolskiej przed Urzędem. Dzisiaj mam poczucie satysfakcji, że wtedy wytrzymaliśmy. Podobnie było z likwidacją domu dziecka przy ulicy Kieleckiej. Były chwile zwątpienia, kiedy w środku wakacji trzeba było wrócić na nadzwyczajną sesję Rady Miejskiej. Grupa radnych złożyła wniosek o uchylenie uchwały likwidującej dom dziecka, mimo tych wszystkich trudnych chwil, które przeżywaliśmy podczas ujawniania, co się działo w tym domu dziecka, jak te dzieci były zaniedbywane od strony zdrowotnej i jak ogromne miały braki edukacyjnie. Te dzieci dryfowały ku totalnej klęsce życiowej. My musieliśmy to przerwać i przywrócić tym dzieciom nadzieję.

Czy coś się nie udało? Po prostu nie pamiętam. Przyjmuję, że jeżeli człowiek podejmuje się różnych trudnych zadań – to one warte są tych prób i tego ryzyka.

Moimi partnerami byli ludzie, którzy z natury swojej są bardzo aktywni, a tym samym też krytyczni. Przykładowo – ludzie pracujący w – wówczas miejskich – przychodniach. Kiedy rozpoczęliśmy proces usamodzielniania przychodni, mówiono nam, że nigdzie nie sprawdziły się spółki pracownicze, więc i u nas we Wrocławiu czeka je pewnie wielka „klapa". Pracownicy bowiem, najczęściej zaraz po objęciu udziałów w spółce sprzedadzą je i zajmą się czymś zupełnie innym. Uważaliśmy jednak, i tak przekonywaliśmy, że pracujący w przychodniach to jest zupełnie inny charakter pracownika. To ludzie, którzy żyją z pracy, a nie z tego, że sprzedają udziały w spółce prowadzącej przychodnię. Żyją z tego, że są lekarzem, pielęgniarką czy technikiem radiologii. To nie jest fabryka rowerów. Rozmawialiśmy z tymi ludźmi cierpliwie i to dało efekt. Kiedy po dwóch latach spotkaliśmy się w sali posiedzeń Rady Miejskiej, aby ostatecznie zdecydować o procesie usamodzielniania, wszyscy, łącznie ze związkowcami, powiedzieli, że rzeczywiście to jest racjonalna droga. Przez te dwa lata przygotowywania przekształceń ludzie zaczęli nam ufać. Uwierzyli, że nie jest to jakaś gra, żeby ich „wyprowadzić w pole", pozbyć się kłopotu, tylko, żeby wspólnie rozwiązać poważny problem. Podobnie było w pracy z liderami organizacji pozarządowych. To ludzie, którzy z jednej strony byli surowymi krytykami i mówili, „czemu to robicie, czemu tu taka biurokracja, czemu nas nie wspieracie? Przecież to my jesteśmy wartością dodaną dla Miasta, to my przynosimy pieniądze, choćby z naszej często społecznej pracy." Równocześnie jednak potrafili dostrzec i docenić prawdziwe wsparcie ze strony samorządu i podejmowali realizację często nowatorskich i trudnych zadań. Szybko zyskaliśmy w nich mocnych i niezawodnych partnerów.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w samorządzie Wrocławia?

Miałem to szczęście, albo trudność, że byłem i radnym, i pracowałem w Zarządzie Miasta. Odkrywałem w Urzędzie Miejskim wielu ludzi, którzy przez lata gdzieś się schowali, stracili przekonanie, że to też są ich sprawy. Być może kiedyś próbując jakichś pomysłów, inicjatyw, oberwali po paluchach, żeby nie wychodzili przed szereg. Odkrywałem ludzi, którym zależało na tym, co się dzieje wokół: czy jest świetlica, klub seniora, czy ten dom dziecka dobrze działa. Od tych ludzi się dowiadywałem, ile się dzieje rzeczy dobrych, ale i jak wiele złych. Myślę, że jak człowiek jest otwarty, słucha, to szybko znajduje porozumienie. Jeżeli się coś próbuje narzucić albo się ktoś obnosi, jaki jest ważny jako radny, to oprócz tego, że jest to żałosna bufonada, to budzi zwykłą irytację i nie znajdzie wsparcia.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Dobrze. Tam pracują zawodowcy. Patrzyłem z wielką przyjemnością, jak szybko rozwiązują problemy. Choć bywały też momenty napięcia czy „iskrzenia", kiedy ważne sprawy wyraźnie grzęzły w labiryncie biurokracji, przygniatane kolejnymi dowodami, że choć wniosek jest słuszny i potrzebny, to jednak „tak nie można", a w ogóle, że „się nie da"… Teraz tego doświadczam w Sejmie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Kompetentnym i zaangażowanym zespołem żelazną, ale i elastyczną ręką kieruje od lat pani Janina Śledzińska. To działa – nadzwyczaj sprawnie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Z tym było tak sobie. Sala posiedzeń przed remontem to było miejsce, w którym trudno było wysiedzieć przez całe sesje trwające po wiele godzin, zwłaszcza, że te pierwsze rady, których może już nie pamiętamy, trwały często dwa, trzy dni, nierzadko do późnej nocy. Dziś sesje Rady są dużo krótsze. Kiedyś dziwiliśmy się, że w Wiesbaden mają jedno trzygodzinne posiedzenie na miesiąc, gdyż sprawy dzieli się tam wcześniej na te, które są uzgodnione i nie ma wątpliwości, więc tylko pozostaje głosowanie, na takie, co do których są rozbieżności tak istotne, że w ogóle nie ma o czym mówić, i wreszcie są sprawy w miarę proste i niekontrowersyjne, o których można jeszcze rozmawiać. Wszystko to można załatwić w trzy godziny. Wtedy się bardzo temu dziwiłem, dzisiaj widzę, że na tym polega profesjonalizacja, że wtedy ludziom odechciewa się gadulstwa.

W połowie lat 90. warunki w sali posiedzeń i wokół były siermiężne. Przez ostatnie 15 lat bardzo dużo się zmieniło. Wyposażenie dzisiaj jest nieporównywalnie lepsze. A do tego jakże to przepiękne miejsce! Patrząc przez okna z pokoju wice- a później też przewodniczącego Rady, myślałem sobie – czy jest piękniejsze miejsce we Wrocławiu? Plac Gołębi, wieża kościoła św. Elżbiety, kamieniczki przed kościołem…, to jest magiczne miejsce! Może się z tym równać jedynie Ostrów Tumski w nocy. W takim miejscu nie wypada, a i nie za bardzo się zwyczajnie chce, szukać jakiś niedogodności.

Długo jednak w Nowym Ratuszu brakowało windy. Koledzy wnosili mnie więc po schodach. Często wtedy mówili „weź tu zawołaj Bogdana Zdrojewskiego, niech Cię wnosi, może szybciej będzie winda". Jak się więc pojawiał gdzieś w pobliżu – to zaraz go wołaliśmy na czwartego do dźwigania. Winda się w końcu pojawiła. Dzisiaj jest po prostu porządny europejski standard.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Najdłużej pracowałem w Komisji Statutowej oraz w Komisji Spraw Społecznych i Zdrowia. Potem byłem przewodniczącym klubu radnych Platformy Obywatelskiej. Gdy byłem przewodniczącym Rady, to pracowałem też w Komisji Głównej, czyli w czymś takim, co w Sejmie stanowi Prezydium Sejmu i zarazem Konwent Seniorów. W komisjach najczęściej jest dyskusja merytoryczna o konkretach, a nie o poglądach czy też podziałach politycznych. Tak też to wyglądało w tych komisjach. Komisję Statutową cenię sobie szczególnie, gdyż zawsze była złożona z zawodowców w zakresie prawa, ludzi, którzy umieli posługiwać się prawem i rozumieli prawo. Przez to ta współpraca była zarazem wspaniałą praktyczną nauką.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby to w warunkach dojrzałej demokracji konieczność. Zasadniczo najtrudniejsze decyzje zapadają w gremiach politycznych. I nie ma co się boczyć na tak rozumianą politykę. Bo przecież, jeżeli klub, np. Platformy, podejmie złą decyzję, to całe ugrupowanie poniesie za to odpowiedzialność. Kiedy więc słyszę o ponadpartyjnych kandydatach, to od razu pytam, kto za nich gwarantuje, kto poniesie współodpowiedzialność, jeśli kandydat coś napsuje? Jeżeli ktoś z Platformy zrobi coś niestosownego daleko w Polsce, to my tu we Wrocławiu musimy się z tego tłumaczyć. W moim przekonaniu kluby są konieczne, żeby podejmować najtrudniejsze decyzje, z którymi wiąże się najpoważniejsza odpowiedzialność. Dyscyplina klubowa nie może być czymś stałym, lecz musi obowiązywać w sprawach podstawowych. Do 2002 r. prezydenta wybierała Rada i gdyby nie było dyscypliny przy takich decyzjach, to okazałoby się, że z powodu różnicy zdań na temat kandydata Rada nie jest zdolna wybrać prezydenta i samorząd nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków. Brak dyscypliny może doprowadzić do bałaganu, a tym samym niezdolności funkcjonowania.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Bardzo poruszały mnie uroczyste sesje związane z nadawaniem wielkich wrocławskich wyróżnień. Będę zawsze ze wzruszeniem wspominał, jak nagrodę Wrocławia dostała pani prof. Janina Jaworska. Człowiek legenda. Ona stworzyła Klinikę Hematologii Dziecięcej przy ul. Bujwida. Dzisiaj jej wielka i bliska uczennica pani prof. Alicja Chybicka kontynuuje to dzieło. Pamiętam, jak się cieszyłem, że Pani Profesor dostaje nagrodę Wrocławia, tym bardziej, że wiedziałem o jej poważnej sytuacji zdrowotnej, że jej życie jest tak poważnie zagrożone. To był wyjątkowo dla mnie ważny moment, że samorząd Wrocławia tego wielkiego Człowieka tak godnie uhonorował. Że zdążyliśmy… Pamiętam też wzruszające, niezwykłe spotkania z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, poczucie, że ten człowiek-historia jest tuż obok.

Ale też zapadły mi w pamięci na zawsze te dwa najbardziej gwałtowne konflikty, których doświadczyłem będąc w Zarządzie Miasta, czyli likwidacja domu dziecka przy ul. Kieleckiej i przekształcenie zakładu rehabilitacji zawodowej inwalidów przy ul. Wejherowskiej. Te protesty, zapłakane dzieciaki na sali posiedzeń Rady. I tłumy dziennikarzy. Dzieciaki były naprawdę przestraszone, gdyż opiekunowie – zamiast pomóc im w tej zmianie, zmianie otwierającej dla nich nowe szanse – wmówili im, „że przed nimi katastrofa". W kilka miesięcy po tych burzliwych dniach spotkałem się z tymi młodymi ludźmi, już w rodzinnym domu dziecka i zapytałem, czy chcieliby wrócić do dawnego miejsca i dawnych warunków. Odpowiadały, że nigdy. To samo uczniowie z Wejherowskiej, którzy wcześniej przyszli zdesperowani do mojego biura przy ulicy Zapolskiej. To były trudne chwile, które pozostają w pamięci. Udało nam się przez to cierpliwie przejść, a dzisiaj widać tego konkretne owoce.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Sam nigdy nie działałem w żadnej radzie osiedlowej. Gdy wszedłem do Zarządu Miasta, w naturalny sposób zacząłem spotykać się z radnymi osiedlowymi, by ustalić, co oni by mogli i co chcieliby zrobić. Tak powstawały niektóre kluby seniora. Dwa fantastyczne kluby, które do dzisiaj działają: jeden na Kuźnikach, drugi w Śródmieściu przy ul. Benedyktyńskiej. Od dawna jednak widać, że rady osiedli mają za małe kompetencje. Wrocław jest za bardzo rozdrobniony. Próby łączenia osiedli we wspólne rady napotykały opór samych rad. Trudno zaś nadać większe kompetencje, a jeszcze do tego budżet radzie, która funkcjonuje na osiedlu, gdzie mieszka kilka tysięcy mieszkańców. Różnice są znaczne, są takie rady, jak na Ołbinie, gdzie jest kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a obok są takie, jak Strachocin, Wojnów czy Ołtaszyn. Myślę, że rady osiedli w obecnym kształcie będą miejscem bardzo lokalnej aktywności, a nie znaczącym uczestnikiem realizacji zadań Miasta. Gdyby tych rad było między dziesięć a czternaście, to można by im przekazać realne kompetencje, np. w zakresie pomocy społecznej, w zakresie opiniowania decyzji Rady Miejskiej czy prezydenta.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Bardzo różnie. Były chwile, kiedy miałem wrażenie, że niektóre gazety wrocławskie kopią po kostkach i podkładają nogę albo biją kijem po głowie. Były chwile, że miałem z dziennikarzami bardo trudne i twarde rozmowy. Są też dziennikarze, bez których zaangażowania pewnych rzeczy nie dałoby się przeprowadzić. To dziennikarze, którzy bardzo rzetelnie stawiali pytania i szukali jak najszerszej informacji, a potem bardzo rzetelnie o tym pisali. Zawsze będę miał takie poczucie, że tych domów dziecka nie udałoby się ruszyć, gdyby nie pani Agnieszka Czajkowska z „Gazety Wyborczej", czy przeprowadzić skutecznych zmian w systemie pomocy dla dzieciaków niepełnosprawnych, gdyby nie pani Joanna Banaś także z „Gazety Wyborczej". Byli też jednak i tacy dziennikarze, którzy nie zostawili na nas suchej nitki. Straszyli, zmyślali, a o efektach działań końcowych nie pisali ani słowa – skoro to nie pasowało do wcześniejszych ich tez. Bez dobrego wsparcia mediów trudno przeprowadzać ważne zmiany społeczne, choćby przekształcenia w przychodniach, bo można było w tym widzieć jedynie chęć pozbycia się przez władze miejskie kłopotów. Kiedyś na konferencji prasowej, w najgorętszym momencie konfliktu wokół zmian w ośrodku przy ul. Wejherowskiej, powiedziałem, że może nie warto opowiadać o tych wszystkich ważnych dla sprawy szczegółach, skoro wielu dziennikarzy z góry ma ustalone przekonanie i nic nie zmieni ich złego zdania o naszych zamiarach i naszych umiejętnościach. Pamiętam, jak w sali zapadło ciężkie milczenie. Powiedziałem wtedy, że jeżeli obudzicie się państwo we Wrocławiu za dziesięć lat i zobaczycie, że to miasto jest brudne, zaniedbane, bez przyszłości – to może nie próbujcie ustalić, któremu urzędnikowi za to należy przywalić, a raczej przejrzyjcie się, co robiliście przez te dziesięć lat, jak różne pomysły obśmiewaliście, bo wyszukiwaliście najgorsze z możliwych scenariuszy, a nie chcieliście posłuchać konkretnych argumentów, dlaczego podejmowaliśmy się tych projektów. Pamiętam to ponure milczenie na tamtej konferencji prasowej. Pamiętam też, że nikt o tej konferencji nie napisał. Miałem wrażenie, że do tych, często młodych ludzi dotarło, że nie są tylko obojętnymi harcownikami, którzy zabawiają się sprawami miasta, lecz mają bardzo realny wpływ na to, co w naszym mieście się naprawdę wydarzy. Mogą pomóc w zrobieniu czegoś dobrego dla miasta albo mogą zatrzymać coś, bez czego za pięć, dziesięć lat będzie nam bardzo trudno. Mam wrażenie, że po tamtej konferencji coś pękło, coś się ważnego „odwróciło" – w moich relacjach z dziennikarzami było więcej staranności, więcej wzajemnego szacunku. W takich warunkach łatwiej podejmować się trudnych zadań.

Jarosław OBREMSKI

Radny I, II i III kadencji, przewodniczący Rady Miejskiej w latach 1998-2001. Członek Zarządu Miasta w latach 1990-1998, wiceprezydent Wrocławia od 2001 r. odpowiedzialny za edukację, kulturę, sport i zdrowie. Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1994-1998.
Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, chemik.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Pod koniec lat osiemdziesiątych, wraz z przyjaciółmi z podziemnej „Solidarności", zastanawialiśmy się, na ile jesteśmy przygotowani, gdyby nagle zdarzyła się niepodległość naszego kraju. Czy wiemy, jak funkcjonuje demokracja, czym jest samorząd terytorialny, na czym polega wolnorynkowa ekonomia? Niestety, dotychczasowe życie intelektualne podziemia, jego ruch wydawniczy koncentrował się na walce, historii i literaturze, także w wymiarze samokształceniowym. Postanowiliśmy to przełamać. Opracowaliśmy 2-3-letni program. W 1990 r. mieliśmy się uczyć o samorządzie terytorialnym. Chcieliśmy się uczyć, a przyszło nam już kandydować.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, ale byłem społecznikiem, działałem w podziemnych strukturach „Solidarności" i nielegalnych strukturach samorządu studenckiego. Nasza grupa – Ruch Młodych Katolików – wprowadziła ośmiu radnych do Rady Miejskiej Wrocławia. Mam wrażenie, że choć byliśmy najmłodsi, to nie ustępowaliśmy wiedzą innym radnym, a umiejętność pracy zespołowej, szukania kompromisu, argumentowania, mieliśmy zdecydowanie większą.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem radnym, członkiem Zarządu Miasta, a także przewodniczącym Rady Miejskiej.

Odpowiadałem między innymi za utworzenie Międzynarodowego Portu Lotniczego we Wrocławiu oraz za organizację 46. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego – za co zostałem odznaczony papieskim orderem *Pro Ecclessia et Pontifice*.

Zajmowałem się również mieszkaniami komunalnymi, oświatą, gospodarką komunalną i współpracą zagraniczną.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces Pana kadencji Rady?

Za najważniejsze w czasie I kadencji uważam na pewno doprowadzenie przeze mnie do uruchomienia międzynarodowych lotów z naszego lotniska, a w czasie II kadencji opracowanie strategii rozwoju oświaty wrocławskiej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Pierwszą kadencję wspominam jako niezmiernie ideową. Mieliśmy niezachwianą pewność (chyba wszyscy radni), że od nas zależy przyszłość Wrocławia. Były gorące spory i nigdy do końca nie było wiadomo, czy uda się przekonać Radę do danego projektu uchwały.

Każda kolejna kadencja była coraz bardziej polityczna. Początkowo dostrzegałem nawet związany z tym plus przewidywalności, tym niemniej, coraz częściej, z kadencji na kadencję, obserwowałem dobór do Rady ludzi według klucza politycznego, tzn. zasłużonych lub tylko lojalnych wobec swoich partii, lecz absolutnie nieprzygotowanych do pracy w Radzie.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W wyniku ustawowych uregulowań bardzo często miała miejsce zła współpraca z wojewodą, ale za to bardzo dobra z innymi samorządami w województwie i w Polsce.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Zazwyczaj byłem po obu stronach, więc współpraca układała mi się bardzo dobrze. Zdarzyło mi się przez trzy lata (1998-2001) być przewodniczącym Rady Miejskiej Wrocławia. Był to czas pierwszej koalicji w Radzie, koalicji Wrocław 2000 Plus i Akcji Wyborczej Solidarność. Była to kadencja silnej i merytorycznej opozycji. W tym czasie nawet w klubie SLD byli ludzie z dużą wiedzą o mieście (Stanisław Apoznański, Michał Matkowski, Władysław Gut, Andrzej Kalisz). Moje przewodniczenie Radzie to czas Milenium Wrocławia i czas remontu sali sesyjnej. To czas ataków i happeningów organizowanych przeciwko prezydentowi Bogdanowi Zdrojewskiemu, który zrezygnował z funkcji prezydenta i wybrał pracę w Senacie RP. Na miejsce Bogdana Zdrojewskiego przyszedł Stanisław Huskowski, a ja zastąpiłem Staszka na fotelu wiceprezydenta. Następne wybory w roku 2002, to już bezpośredni wybór prezydenta Wrocławia i mniejsza rola Rady.

Od 2003 r. Radzie Miejskiej przyglądam się już z innej perspektywy – urzędnika – zastępcy prezydenta, a nie uczestnika prac Rady Miejskiej.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem m.in. w Komisji Architektury prowadzonej przez Rafała Eysymontta. Było tam wielu dobrych architektów, prowadziliśmy zażarte dyskusje. Wiele się tam nauczyłem.

Żałuję, że komisje Rady z miejsca interesującego forum dyskusji, lustra dla poczynań Zarządu Miasta, stały się przestrzenią jałowego rytuału.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

To naturalna próba organizowania życia Rady. Problemem jest tylko to, że mechanizmy partyjne nie pozwalają klubom na jakąkolwiek autonomię. Bezsensowna jest współpraca z klubem, gdy lider partyjny ją później ignoruje.

W Radzie Miejskiej poznałem wielu wspaniałych ludzi. Z niektórymi się zaprzyjaźniłem, choć niewątpliwie żywiej reaguję na spotkania z radnymi pierwszych dwóch kadencji niż trzech następnych. Być może wiek zaostrza kryteria sympatii, a być może jest tak, jak już wspomniałem, że dobór na listy umniejsza szanse spotkania w Radzie prawdziwych przyjaciół lub przeciwników.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pan pamięci?

Obchody Milenium Wrocławia.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Rad osiedlowych jest zbyt wiele, ich kompetencje są nikłe, a co z tym idzie jest niskie zainteresowanie społeczne. Jeśli chcemy mieć efekt ich działania, musimy zmienić całą strukturę.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie mediów jest bardzo duże z tendencją nie do opisywania rzeczywistości, tylko jej kreowania, bez brania za nią odpowiedzialności.

◇◇◇

Reforma polegała na wprowadzeniu sześcioletniej szkoły podstawowej, trzyletniego gimnazjum i trzyletniego liceum. Przekształcenia udało się przeprowadzić dosyć płynnie i w miarę spokojnie, i to uważam za duży sukces radnych, a szczególnie Komisji Oświaty, która naprawdę mnóstwo czasu spędzała spotykając się z dyrektorami buntującymi się przeciwko zmianie.

Za mój osobisty sukces uważam wykończenie sali sesyjnej, które przypadło na ten czas, kiedy byłam przewodniczącą. Początkowo obradowaliśmy na Nowym Targu. Przeprowadzka do sali sesyjnej to była frajda, z takiego czysto kobiecego punktu widzenia, bo to ja oczywiście dobierałam tapety – naturalnie wspólnie z plastykiem i konserwatorem, chociaż ja także miałam coś do powiedzenia.

Moim zdaniem, mimo że nie powiodły się nasze starania o Expo, sukcesem było podjęcie starań o tę światową wystawę. To był jeden z elementów integrujących wrocławian. Byłam wówczas w Paryżu na spotkaniu Biura ds. Expo i oglądałam na telebimie to, co się działo na wrocławskim Rynku, ten entuzjazm, szczególnie młodzieży. Pomyślałam sobie wtedy, dostaniemy czy nie dostaniemy, to i tak ci młodzi ludzie będą pamiętali, że oni też w tym brali udział, że się starali.

Poza tym, na tę kadencję przypadły obchody 1000-lecia Wrocławia. Niewiele z tego pamiętam, bo to był natłok zdarzeń, spotkań, imprez, co kosztowało Miasto wiele wysiłku, ale stanowiło element integrujący. Wydarzeniem, które na mnie w szczególny sposób oddziałało, była msza z udziałem ówczesnego prezydenta Polski Aleksandra Kwaśniewskiego i bardzo wielu gości z różnych miast. Było to niemałe przedsięwzięcie logistyczne. Podobnie, jak koncert Plácido Domingo.

Z takich zabawnych rzeczy… Byłam wtedy wiceprzewodniczącą, a Jarek Obremski przewodniczącym. Siedząc u siebie zadzwoniłam do niego na komórkę i słyszę, że w jego telefonie jest taki sam podkład muzyczny, jaki ja mam za oknem. Trwały właśnie przygotowania do koncertu, a myśmy siedzieli w sąsiednich pokojach. To było takie zabawne – zamiast przejść przez drzwi, łączyłam się przez satelitę… bardzo się wtedy śmialiśmy.

Mieliśmy świadomość, że to ważny czas dla Wrocławia. Wtedy ukazały się pierwsze syntezy niezakłamujące historii miasta, m.in. książka Normana Daviesa. W okresie, kiedy byłam przewodniczącą, przyznano mu honorowe obywatelstwo Wrocławia. Niestety, wiadomość przeciekła do prasy, miejscowe gazety ją podały, a on nic o tym jeszcze nie wiedział. Okazało się, że akurat był w Polsce, w Warszawie, i istniało niebezpieczeństwo, że się dowie z mediów, a to byłoby wielką niezręcznością. Pamiętam, że dużo czasu nam zajęło ustalenie, w jakim jest hotelu. Poleciłam zamówienie w kwiaciarni bukietu, dostarczenie do jego hotelowego pokoju. Kiedy wrócił, te kwiaty już czekały na niego. Późnym wieczorem zadzwoniłam i bardzo go przepraszałam. Norman Davies był bardzo wzruszony, to sympatyczny i ciepły człowiek.

Pamiętam, że początkowo była wielka awantura o wrocławskie muzea, chyba się nawet z tego trochę zaczęliśmy wycofywać. Uczestniczyłam w spotkaniu, podczas którego pani senator Berny wieszała na nas psy. Ostatecznie jednak w 1999 r. powstało Muzeum Miejskie Wrocławia i sprawnie działa.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Kiedy przejeżdżam koło pomnika Bolesława Chrobrego, to mi się przypomina pewna sesja. Oczywiście nie sprawą radnych było akceptowanie kształtu artystycznego tego monumentu. Myśmy mieli tylko wyrazić zgodę na to, żeby pomnik w tym określonym miejscu stanął. Niemniej jednak widzieliśmy projekty i nie zaprotestowaliśmy. To okazało się jednak niewypałem – wyrażenie zgody, żeby coś takiego w tym miejscu stanęło.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpracowałam z wieloma tego typu instytucjami. To przede wszystkim Sejmik Osób Niepełnosprawnych, stowarzyszenie kulturalne ukraińskie, stowarzyszenie kulturalne żydowskie, grupa kombatantów wołyńskich – tam też była sprawa pomnika. Oczywiście, także ze stowarzyszeniami działającymi na rzecz młodzieży, bo to znajduje się w najściślejszym obszarze moich zainteresowań.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Przyznaję uczciwie, nie był to częsty kontakt. Byłam luźno związana ze swoim okręgiem wyborczym, ponieważ nie mieszkałam w tej części miasta. Z radą osiedla Starego Miasta spotykałam się dosyć często, nie z mojej inicjatywy, i nieco inny charakter miał ten kontakt. Tam po prostu wybuchł potężny konflikt i trzeba było go załagodzić, coś z tym zrobić. Natomiast dosyć lubiłam dyżury. Nie był to problem miejski, ale kiedyś przyszła do mnie pani, która pokazała mi swój dowód osobisty. Miała na imię Grażyna i urodziła się dokładnie w tym samym dniu i w tym samym roku, w którym ja się urodziłam. Poprosiła mnie o pomoc w załatwieniu pracy, ponieważ była w trudnej sytuacji, bo zlikwidowano jej stanowisko pracy w szpitalu, przy, wówczas jeszcze, pl. 1-Maja. Pomogłam jej załatwić nową pracę, a ona po kilku miesiącach przyszła do mnie ponownie i powiedziała, żebym jej załatwiła nową, bo ta obecna jej się nie podoba...

Poza tym, przychodzili do mnie ludzie głównie z problemami mieszkaniowymi, takich spraw było najwięcej. W tych przypadkach działały w Mieście transparentne, jasne procedury. Więc, jeśli ktoś przychodził z prośbą o interwencję, to mu mogłam wytłumaczyć, jak to wygląda, jakie są procedury, i nikogo nie upchnęłam kolanem w żadnym mieszkaniu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Jako przewodnicząca Rady Miejskiej miałam obowiązek brania udziału w posiedzeniach Zarządu. Jak były jakieś sprawy sporne, to się je wyjaśniało i rozwiązywało. Na pewno żaden radny nie mógł narzekać na to, że kiedy zwrócił się z prośbą o materiały do dyrektora któregoś z wydziałów w Urzędzie Miejskim, to ich nie otrzymał. Nie przypominam sobie takiej sytuacji. Poza tym, członkowie Zarządu i dyrektorzy wydziałów byli obecni na sesjach, toteż w takich bezpośrednich kontaktach różne sporne kwestie można było od razu załatwić.

Czasem, jako przewodnicząca miałam problem z dostarczeniem na czas uchwał. Ale było jednak przeważnie tak, że te poważne i strategiczne uchwały docierały na czas, wszyscy wiedzieli, że byłam bardzo restrykcyjna, że jak Zarząd nie dotrzyma terminu, to ja tego nie wpuszczę na sesję i nie będzie zmiłuj się. Z drobnymi uchwałami był kłopot.

Tematem najczęstszych sporów były pieniądze. Sławek Piechota ma żyłkę społecznikowską i zawsze mu było za mało na przedszkola i służbę zdrowia, bo on odpowiadał za to w Zarządzie i chciał wyszarpać jak najwięcej.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Wspaniale. To był dla mnie zawodowo bardzo trudny czas. Zostałam dyrektorką Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej i w 2000 r. startowaliśmy z pierwszymi egzaminami. To było przedsięwzięcie ogromne i w dodatku w Polsce nikt tego wcześniej nie robił. Mój okręg administracyjny to był cały Dolny Śląsk i województwo opolskie. To były dzieci ze szkoły podstawowej, uczęszczające do VI klasy, w liczbie około pół miliona. Czekało nas olbrzymie przedsięwzięcie logistyczne, cóż, musiałam te obowiązki godzić. Rano jechałam do Okręgowej Komisji i tam siedziałam do 13^{00}. O 13^{00} jechałam do Biura Rady i załatwiałam wszystkie sprawy z panią Śledzińską i z panem Magdziarzem. Spotykaliśmy się, omawialiśmy wszystkie bieżące sprawy, i to hulało. Myślę, że może im też to odpowiadało – klarowne reguły gry. Nie siedziałam i nie zawracałam im głowy. Najgorszy jest bowiem taki szef, który sam nie ma co robić i robotę wymyśla swoim podwładnym, a ja miałam co robić. Wiele twórczych pomysłów wychodziło od nich i mogę powiedzieć, że mnie się bardzo dobrze współpracowało z Biurem. Pozostałe panie były także serdeczne, sprawne, bardzo dobrze przygotowane. Mieliśmy też świetnego radcę prawnego, który nas wspierał. To jest bardzo istotne. Pamiętam, że były dwie takie sytuacje, kiedy zdejmowałam z porządku obrad uchwałę, ponieważ on miał wątpliwości i przybiegł z tym przed sesją. I bardzo słusznie, bo lepiej zdjąć i nie zrealizować, niż uchwalić jakiś gniot legislacyjny i mieć potem problemy z wojewodą.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W sali obrad na Nowym Targu siedziałam w bardzo dobrym towarzystwie, moim sąsiadem z jednej strony był prof. Baborski, z drugiej zaś Jurek Skoczylas. Kiedy zostałam przewodniczącą, awansowałam na „katafalk", tam było rzeczywiście okropnie. W Nowym Ratuszu natomiast stworzono nam komfortowe warunki. Dla mnie moje miejsce w prezydium okazało się niezbyt wygodne. Mam krótki tułów i ledwie było mnie widać spoza stołu. Jacek Rugieł jest też niezbyt wysokim mężczyzną. Poprosiłam panią Jankę o kupienie skórzanych poduszek. Niedawno byłam w sali sesyjnej i zobaczyłam, że one jeszcze tam są.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Byłam w Komisji Oświaty i w Komisji Kultury. Od momentu, kiedy zostałam przewodniczącą nie pracowałam już w żadnej. Pamiętam, że „kulturę" prowadził Paweł Kocięba-Żabski, a „oświatę" Ewa Wolak. Mieliśmy problem z remontem Teatru Współczesnego. Z panią dyrektor dość trudno się współpracowało, coś iskrzyło pomiędzy nią a przewodniczącym komisji.

Komisja Oświaty była bardzo kompetentna. Z powodu braku stosownej liczby uczniów zachodziła wtedy konieczność likwidacji niektórych szkół. Nie był to wymóg ustawodawcy, tyko sugestia, by gimnazja mieściły się w wydzielonych budynkach, nie wszędzie się to dało zrobić. Ja troszeczkę orientowałam się w sprawach demograficznych, bo musiałam planować pracę Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej. Wiedziałam, jak demografia będzie się kształtować, że w tych szkołach zapanuje głęboki niż demograficzny i te licea zaczną padać. Jako kuratorka tworzyłam dodatkowe licea we Wrocławiu, zresztą nie tylko we Wrocławiu, zależało mi, żeby te licea się utrzymały. Namawiałam, żeby lokować gimnazja przy liceach. Napotkałam niesamowity opór dyrektorów – ludzie nie lubią zmian. Najbardziej się buntowało X Liceum Ogólnokształcące. Będę to pamiętać do końca życia, jak franciszkanie wymówili szkole budynek i dali termin do końca roku. Gdzie ja miałam się wyprowadzić z tymi uczniami? W tym czasie była budowana szkoła podstawowa przy ul. Pieszej. W tym rejonie społeczeństwo się trochę postarzało i dało się zmienić tytuł inwestycyjny, mogliśmy tam przeprowadzić X Liceum. Strasznie na mnie pomstowali, że nie mają boiska i sali gimnastycznej, bo jeszcze wtedy nie zdążyliśmy wybudować. Pomstowali także dlatego, że chciałam im tam wcisnąć gimnazjum. Potem zmieniłam funkcję, zmieniłam miejsce i nadal miałam problemy z X LO. Na szczęście nikt nikogo nie obrażał, myśmy po prostu się spierali, przekonywali nawzajem.

W naszym gronie nie było przeciwników tej reformy. Sejm przyjął ustawę, a my dostaliśmy ją do wykonania. Przy tym wykonaniu należało dbać, żeby nie było zbyt wielkich konfliktów i zbyt wielkich kosztów. Zamysł tej reformy był dobry, natomiast popełniono błędy w realizacji. Nauczyciele kompletnie nie byli przygotowani do pracy z gimnazjalistami. Założono, że nauczyciele z wyższym wykształceniem uczą zarówno w szkole podstawowej,

jak i w liceach, więc jak się ujmie dwa lata szkoły podstawowej i rok z liceum, to oni automatycznie znajdą się w gimnazjach, i to był błąd. Należało może nie tak szybko wprowadzać tę reformę, a poświecić więcej czasu – dwa trzy lata na kształcenie nauczycieli. Z ósmoklasistą inaczej się pracuje, kiedy on jest uczniem szkoły podstawowej, a inaczej się pracuje z tym samym piętnastolatkiem w sytuacji, kiedy jest pod szyldem gimnazjum. To jest różnica psychologiczna i tego niestety nie dopatrzono. A, że są trzy etapy, to jest dobrze, każdy z tych etapów kończy się rozpoznaniem wiedzy i umiejętności, które uczeń posiada.

Co Pani sądzi o powoływaniu klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Należy je powoływać, bo to porządkuje pracę Rady i jakoś to porządkuje także sesję. Jeżeli się idzie do wyborów samorządowych pod szyldem partii, to z myślą o realizacji wcześniej założonego programu. Jeżeli się zawiąże jakieś stowarzyszenie, które chce wejść do Rady i jest społeczne, a nie polityczne, to będzie także miało miejsce, w którym się można spierać, można przedyskutować i wypracować własny program. Jeśli nie byłoby tego rodzaju klubów, to sesje trwałby do świtu, tak jak w I kadencji, bo każdy chciał swoje „odwiecować".

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Jak już wspominałam, pomnik Chrobrego wywołał żarliwą dyskusję do 12^{00} w nocy. Pamiętam wystąpienia pana Litwińca, który lubił przemawiać, miał dobrze ustawiony głos, ale nie bardzo było wiadomo, w czym rzecz.

Kiedy rozeszła się wiadomość o tym, że Davies otrzymał nagrodę, pan Stryjeński z Ligi Polskich Rodzin przysłał do mnie list, w którym obrażał znanego historyka, domagał się odebrania mu honorowego obywatelstwa Wrocławia. Ja mu na to nie odpowiedziałam. Po prostu uznałam, że jak do niego napiszę, to sprawę upublicznię, to znaczy, że wejdę z nim w dyskusję, a to był stek bzdur. On po jakimś czasie, kiedy się nie doczekał odpowiedzi, powiadomił media. Dostałam ten list z adnotacją, że nie doczekał się odpowiedzi. Rano zadzwoniła do mnie dziennikarka, a za moment – uroczysta sesja Rady, i ten pasztet. Wtedy spokojnie rozmawiałam z tą dziennikarką. Zapytałam, jak ona to sobie wyobraża? Jeżeli ten list zostanie upubliczniony, to może być taka sytuacja, że Davies przyjedzie, przeczyta i odmówi przyjęcia nagrody. Jeśli się kogoś zaprasza do domu, to go nie można po sąsiadach obgadywać. Chyba ją to zaskoczyło – jest taka okazja, żeby przywalić LPR-owi, a ja nic z tym nie chcę zrobić. Powiedziałam jeszcze, że jeżeli ten list został wysłany do innych mediów, a państwo jakoś porozumiewacie się ze sobą i uzgadniacie pewne rzeczy, to, moim zdaniem, nie należy tego raczej publikować, bo można stworzyć niezręczną sytuację. Ona do mnie zatelefonowała po dwóch godzinach, że wszyscy się porozumieli – prasa, radio i telewizja, i nie będzie o tym nigdzie ani słowa. Mieliśmy jeden problem z głowy.

Na uroczystą sesję zaprasza się posłów. Pan Stryjeński był posłem, jakby nie było, i nie można go było nie zaprosić, bo już wtedy na pewno narobiłby huku. Takich dwóch się zobowiązało, że będą go pilnować, żeby, broń Boże, nie wstał i nie krzyczał na tej sesji. On się chyba zorientował, że jest pilnowany i nie ma szans. Wtedy było zabawnie, ale powiało trochę grozą, bo media są niezależne i mogłam ich tylko prosić i przekonywać.

Radni strasznie wagarowali. Często po przerwie nie wracali i nawet było wiadomo, gdzie są, że w klubie Pod Papugami. Z tego względu wprowadziłam dwa podpisy: na początku i na końcu sesji. Jak nie było tego drugiego podpisu, to potrącałam z diety jakąś niewielką sumę. Najpierw odbyła się wieka awantura, że co to jest, że ja ich ubezwłasnowolniam, ale ja się trzymałam swego. Protestowali Paweł Kocięba-Żabski i Rysio Maj, a także lewica, chociaż oni zawsze byli przeciw. Pamiętam, jak pierwszy raz to zostało wprowadzone, panie, które prowadziły sesję, wyszły pod koniec z książką i ustawiła się kolejka. Pomyślałam sobie, że dobry nauczyciel zdyscyplinuje każdy, nawet siedemdziesięcioosobowy zespół.

Z takich babskich opowiastek. Pierwsza wiedziałam, jak będzie wyglądała nowa sala sesyjna i kiedy będzie jej otwarcie. Zachowałam się wówczas okrutnie. Pań w Radzie było mało i mogłam je uprzedzić, jak się ubrać. Kupiłam sobie wówczas garsonkę w kolorze złamanej cegły, co bardzo ładnie wyglądało na tle brązowego fotela z wysokim oparciem. Zachowałam się wówczas bardzo okropnie, one biedne przyszły w granatach i brązach. A ja sobie zafundowałam coś takiego. Rysio Maj mi powiedział, że zachowałam się wrednie i bardzo złośliwie. *À propos* pań, pamiętam, że w Radzie była wówczas Zosia Świtalska i pani Barbara Wawrzyniak. Bardzo ją lubiłam, bo ona miała kompetentne wystąpienia, zajmowała się urbanistyką. Można się było z nią nie zgadzać, ale to nie był jazgot polityczny, tylko rzeczowa wypowiedź.

Krasoń był zabawny, obserwowałam go siedząc w sali sesyjnej „na katafalku". Radni dostawali pliki uchwał. On je kolejno systematycznie darł, kiedy kończyliśmy sesję, przed nim piętrzyła się kupka podartych papierów. Pan gen. Ornatowski był przewodniczącym Komisji Skarg i Wniosków. Wszystkie wnioski, które wpływały do Rady ta komisja rozpatrywała i pan gen. Ornatowski rekomendował, czy poprzeć, czy też odrzucić jakąś skargę. Swoje wystąpienia nieodmiennie kończył maksymą *dura lex sed lex*.

Do ciekawszych wydarzeń należały też wyjazdy zagraniczne. Byłam na 650-leciu Lwowa, byłam w Paryżu w czasie walki o Expo, a także w Preszowie na Słowacji, tam finalizowaliśmy umowę dotyczącą festiwalu kultury 5 miast. Byłam również gościem samorządu w Wiesbaden, naszego miasta partnerskiego. Byłam w Anglii, gdzie pojechaliśmy w grupie utworzonej przez przedstawicieli wszystkich klubów. Ja ze stowarzyszenia Bogdana Zdrojewskiego, które nazwać można kryptoplatformą, był przedstawiciel AWS-u, był Czajkowski z lewicy. Sporo

chodziliśmy, dużo rozmawialiśmy z samorządowcami, można było poznać ich problemy. Każdy kraj posiada inną ustawę samorządową. To wszystko odbywało się w bardzo sympatycznej atmosferze.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Nigdy nie działałam w radzie osiedlowej. W tej trzeciej kadencji był pomysł, żeby rady osiedlowe trochę zmodyfikować, stworzyć większe osiedla, ponieważ tych rad jest chyba ze czterdzieści kilka. Sytuacja jest dosyć skomplikowana i tak na przykład w trzeciej kadencji, frekwencja wyborcza była zastraszająco niska, co pokazuje, że te rady praktycznie nie istnieją. Przeważali w nich sami emeryci. Teraz to się zmienia, zaczynają startować młodzi ludzie. Ostatnio zaczęłam się interesować tym, co się dzieje w moim osiedlu. Okazało się, że młodzi ludzie chcą się zaangażować w ten rodzaj działalności, a nie tak wiele jest osób, które mają ochotę coś zrobić.

W moich czasach rada osiedla opiniowała, wyrażała zgodę na sprzedaż alkoholu w sklepie. Teraz chyba już tego nie ma. A to były konfitury, dostaniesz albo nie dostaniesz, i można było trzymać ludzi w szachu.

Rady osiedlowe są potrzebne, tylko nie takie małe. Moim zdaniem, one powinny prowadzić przedszkola. Należy im coś dać, jakieś zajęcie. Mają za małe fundusze, które im wystarczają jedynie na zorganizowanie dwóch festynów w ciągu roku.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Miałam bardzo dobre relacje z mediami, ponieważ wiedziałam, że to jest ich chleb, oni muszą z tego żyć. Przed każdą sesją organizowałam konferencję prasową, na której był omówiony porządek, wskazywałam, które z uchwał są bardziej, które mniej istotne. Trochę im podpowiadałam, żeby jakichś głupot nie popisali.

Generalnie mamy słabe media.

◇◇◇

śniej, pod koniec lat 70. XX w. byłem współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników, a także czasem pisałem o problemach miasta redagując czasopismo wydawane w „drugim obiegu".

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Jak zostałem wybrany radnym w 1994 r. i zostałem wiceprzewodniczącym Rady, to w ramach podziału kompetencji pomiędzy wiceprzewodniczących i przewodniczącego otrzymałem gospodarkę komunalną oraz rozwój przestrzenny i architekturę, czyli w tym zakresie nadzorowałem prace komisji Rady Miejskiej. Musiałem też czytać wiele różnych projektów uchwał, przygotowywanych przez Zarząd Miasta czy też przez radnych. Fakt, że się tymi sprawami zajmowałem, spowodował, że jesienią 1997 r., kiedy wiceprezydent Sławomir Najnigier został powołany przez wicepremiera prof. Leszka Balcerowicza na stanowisko szefa Urzędu Mieszkalnictwa i zwolniło się miejsce wiceprezydenta, zostałem kandydatem na wakujące stanowisko. W tej sprawie zwrócił się do mnie prezydent Zdrojewski oraz moja macierzysta partia, wtedy Unia Demokratyczna. I tak zostałem kandydatem na wiceprezydenta. Ostatecznie zostałem wybrany przez Radę Miejską w listopadzie albo w grudniu. Od stycznia zostałem wiceprezydentem i do moich obowiązków należał nadzór nad drogami, komunikacją, ciepłem, oczyszczaniem miasta i *de facto* wszystkimi inwestycjami w mieście.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Mogę powiedzieć o dwóch, trzech sprawach, które uważam za swój sukces.

Po pierwsze, udana prywatyzacja Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta (MPO) oraz częściowa prywatyzacja i wprowadzenie na giełdę Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej (MPEC). Po drugie, budowa estakady gądowskiej. Estakada kosztowała około 60 mln złotych, to był duży wysiłek finansowy, udało się wypuścić obligacje i przygotować taką inżynierię finansową, która umożliwiła tę inwestycję. Osiągnięciem było również przeprowadzenie pełnej procedury przetargowej oraz wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę mostu Milenijnego – już jako prezydent wbiłem pierwsza łopatę i wmurowałem kamień węgielny. Zajmowałem się tym zagadnieniem jako wiceprezydent miasta. Miałem przygotować sposób sfinansowania, znaleźć w budżecie miejskim sto kilkadziesiąt milionów złotych, zastanowić się nad źródłami dochodu i rozpisać to na poszczególne lata, itp., żeby móc przystąpić do przetargu, zorganizować komisję przetargową. Stałem na czele tej komisji. Musiałem przekonać prezydenta Zdrojewskiego, który od początku swojego władztwa we Wrocławiu nie chciał, ażeby prezydent i wiceprezydenci brali udział w komisjach przetargowych. Przekonałem prezydenta, że chcę stać na czele komisji przetargowej na budowę estakady gądowskiej i mostu Milenijnego. Skoro miałem być odpowiedzialny za przeprowadzenie całej procedury, to chciałem mieć wpływ na wybór wykonawców. Prezydent obawiał się, że jeśli ktoś, kto jest politykiem, a nie urzędnikiem o właściwych kwalifikacjach, stoi na czele komisji przetargowej, to w razie niepowodzenia może być obciążona cała jego macierzysta formacja. Miałem inne zdanie, prawdę mówiąc miałem zaufanie tylko do siebie. Zdołałem szefa przekonać i rozpoczął się długotrwały okres przygotowań do budowy mostu Milenijnego. Musiałem obejrzeć nowe mosty, które zostały wybudowane w Polsce, a powstało ich bardzo niewiele. Zdołałem zobaczyć projekty, porozmawiać z projektantami, z głównymi wykonawcami, poznałem całe środowisko mostowców. Zdecydowaliśmy się przeprowadzić jeden przetarg na całość prac przy moście. Nasz most miał mieć długość 1 km i miał być tanią przeprawą przez Odrę. Uznałem, choć nikt wcześniej tak nie postępował, że musimy zrobić jeden przetarg na projekt i wykonanie, po to, żeby wykonawca nie zrobił księżycowego projektu, który może będzie piękny, ale niewykonalny, albo okaże się gigantycznie drogi. Starałem się wszelkie elementy ocenne przetargu zminimalizować do zera, wolałem, by na wybór miały wpływ tylko obiektywne dane. Uważałem, że należy wydać jak najmniej pieniędzy z kasy miejskiej, zapewniając przy tym niezbędne minimum estetyki tego mostu. Po długich dyskusjach, komisja zgodziła się ze mną, żeby „sparametryzować piękno". Doszliśmy do wniosku, że most jest ładny, jeśli ma długie przęsło główne, pod którym przepływają barki i statki. To główne przęsło powinno być co najmniej takie, jak szeroka jest Odra w tym miejscu, czyli chyba 100 m, pozostałe przypory mogą być rozmieszczone gęsto, nas to już nie interesowało. Most też powinien być okazały wzwyż. W każdym razie pylony powinny być co najmniej na 30 m wysokie, i to było sparametryzowanie piękna, jak to żartobliwie nazywam. Przeciwko temu protestowała pani Iwaszko wicedyrektor Wydziału Architektury. Po długiej rozmowie i ona, i ja, podjęliśmy decyzję, że ona wycofa się z tej komisji, bo nie była w stanie z pełnym przekonaniem zaakceptować tego rozwiązania.

By ustrzec się przed posądzeniami o korupcję, zrobiłem dla mnie rzecz oczywistą. Ogłosiłem, że można składać oferty do chwili zebrania się komisji przetargowej, wręcz można je przynieść, położyć na stole i pilnować do momentu otwarcia. Nikt nie złożył dokumentów wcześniej, wszyscy przyszli od razu na komisję przetargową. Przedstawiono 4 oferty, z których jedna była bardzo ciekawa, ale niekompletna i trzeba było ją odrzucić. Szkoda, bo projekt był piękny. Otwierałem każdą kopertę, pokazywałem wszystkie papiery, te zasadnicze, czyli cenę i główne warunki na formularzu, pokazywałem każdą stronę po kolei, wszyscy robili zdjęcia, żeby nie było podejrzeń, że ktoś dokonał jakiejś korekty. Otworzyłem wszystkie koperty i jako komisja dyskutowaliśmy. W ciągu pół godziny cały wielki przetarg z koszami papierów został rozstrzygnięty

Niestety, ten most i estakada gądowska stały się przyczyną postępowania prokuratorskiego – byłem ścigany przez prokuratora. Jeśli chodzi o most, to zarzucono mi, że w jednej z ofert, zresztą tej zwycięskiej, nie wszystkie materiały są po polsku. W zwycięskiej ofercie, przedstawionej przez konsorcjum kilku firm, jedna z nich, zresztą austriacka, duża i znana w Europie, dołączyła do materiałów swój folder w języku niemieckim ze zdjęciami różnych mostów zbudowanych w Europie – podpisy pod fotografiami były po niemiecku. Zarzucono mi, że nie unieważniłem oferty, w której materiały były w języku niemieckim. Uważałem to za absurd, ale to były takie czasy, szukano dziury w całym. Ten folder nie był wymagany. Firma i tak wygrała, bo z wzoru wynikało, że spełniała wszelkie parametry: cena, konstrukcja, itp. Po kilku miesiącach sprawa została umorzona przez prokuratora. Z powodu drugiej sprawy nie kandydowałem na prezydenta Wrocławia. W Jeleniej Górze ciągnęło się postępowanie o to, że w przetargu na estakadę na Gądowie, a wcześniej w przetargach na budowę części obwodnicy (ul. Bystrzycka i Na Ostatnim Groszu), w warunkach przetargu zażądaliśmy, by wykonawca w ramach urządzenia zaplecza budowy kupił również samochód. Chodziło o to, aby inwestor, czyli ZDiK, mógł dokonywać kontroli prac przez dwa lata budowy. Według specyfikacji, po zakończeniu robót samochód miał przejść na własność Miasta, czyli na własność ZDiK-u. Media mi zarzucały, a więc i prokurator, że to jest bezprawne i korupcyjne, że wicedyrektor ZDiK pan Sozański będzie miał korzyść osobistą. Jakiś totalny absurd. Co więcej, potem wykazałem, że Dyrekcja Budowy Dróg i Autostrad w Polsce przy wszystkich przetargach żądała samochodu jako elementu wyposażenia własnego dyrekcji budowy. 26 października 2002 r. były wybory samorządowe, w których nie kandydowałem i Rafał Dutkiewicz został prezydentem Wrocławia. Dzień później, w poniedziałek, prokurator podjął decyzję o umorzeniu śledztwa ze względu na brak znamion przestępstwa. Po przesłuchaniu około stu iluś świadków.

Wracając do prywatyzacji MPEC. Po powodzi były ogromne zniszczenia – trzeba było remontować główne linie przesyłowe, trzeba było także odnawiać ulice. Powstał wówczas program odbudowy sieci przesyłowych MPEC i trzeba było zgromadzić pieniądze, a chodziło o kilkadziesiąt milionów. Miasto wydało obligacje, które obiecało zamienić na akcje, przekształcając spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością w spółkę akcyjną, która wejdzie na giełdę. To była zachęta dla wszystkich potencjalnie zainteresowanych posiadaniem akcji MPEC. W pakiecie emisyjnym znalazł się zapis, że jeśli nie uda się przeprowadzić tego procesu, to Miasto je wykupi po jakiejś bardzo wysokiej cenie. To też było atrakcyjne dla inwestorów. Emisja zakończyła się sukcesem. Z udziałem pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży obligacji oraz środków pozyskanych od rządu polskiego, który zaciągnął pożyczkę w Banku Światowym w wysokości 200 mln zł, udało się zgromadzić pieniądze na przeprowadzenie modernizacji sieci przesyłowych.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

W takich przypadkach polityk pytany o porażkę, szuka czegoś takiego, co tak naprawdę od niego nie zależało. Bezrobocie bardzo wzrosło w czasie tych 15 miesięcy, kiedy byłem prezydentem, wzrosło zresztą w Polsce z 8 do 11,6 %., choć oczywiście jest to okolicznością tylko częściowo usprawiedliwiającą. Warto przy tym zauważyć, że wtedy PKB bardziej spadło niż obecnie. Były to czasy kryzysu, lata 2002-2004, nie wiem czy nie poważniejszego niż obecnie, w każdym razie, jeśli chodzi o Polskę był dotkliwiej odczuwalny.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Należę do kilku takich organizacji. Jestem w Stowarzyszeniu 9 Dni założonym przez młodych ludzi dla upamiętnienia 5 rocznicy śmierci Jana Pawła II – funkcjonuje ono od czerwca 2009 r. Współdziałam także z fundacją sióstr boromeuszek Evangelium Vitae. Boromeuszki odzyskały od Miasta budynki poklasztorne, w których mieścił się szpital im. Rydygiera. Założyły fundację i zaprosiły mnie do współdziałania, zostałem przewodniczącym Rady. Fundacja ma na celu zorganizowanie w tych pomieszczeniach oddziału dla obłożnie chorych, oddziału położniczego, a także szkoły medycznej. Pierwszy z wymienionych oddziałów udało się częściowo zorganizować, to jest hospicjum. Natomiast szukam pieniędzy na budowę szkoły medycznej – strasznie brakuje pielęgniarek. W pewnym momencie pozamykano większość szkół pielęgniarskich i teraz są kłopoty. Z siostrami współpracuję już 4 lata,

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Do radnych czy posłów nie przychodzi wielu petentów. Ale i tak przychodziło ich więcej niż mogłem przyjąć, od kilku do kilkunastu miesięcznie. Do mnie zazwyczaj przychodzili na dyżury ludzie ze sprawami, które niewiele miały wspólnego z funkcją radnego, ze sprawami, które przekraczały kompetencje radnych. Często chcieli dostać mieszkanie od Miasta albo je zamienić, prosili, żeby im załatwić pracę. To byli interesanci, którzy nie zdawali sobie sprawy, czym tak naprawdę się zajmuję. Mieliśmy system odsiewania przez sekretariat, żeby przychodzili tylko tacy, którym radny może pomóc zgodnie ze swoimi kompetencjami. Jako radny przyjmowałem petentów, ale nie przypominam sobie, żeby to były jakieś sprawy wiekopomne. Natomiast często bywałem na spotkaniach protestacyjnych przeciwko budowaniu lub nie budowaniu czegoś, jakiejś ulicy lub obwodnicy, oczyszczalni ścieków czy też składowiska odpadów. Zaszokowały mnie protesty, kiedy miał być realizowany wschodni odcinek obwodnicy śródmiejskiej. Jestem gorącym rzecznikiem tego, żeby wybudować część obwodnicy wschodniej, mianowicie od estakady na ul. Krakowskiej, przez most na Odrze, Dąbie czy Biskupin, brzegiem Sępolna, Zalesia do Centrum Korona, czyli – żeby całkowicie zamknąć śródmiejską obwodnicę. To, że protestowali mieszkańcy ul. Chełmońskiego,

Pugeta, 9 Maja czy ul. Paderewskiego, czyli tych ulic, przy których z grubsza wyznaczony był bieg tej obwodnicy, to jeszcze rozumiałem. Byli wściekli, musiałem chodzić na spotkania, na których temperatura była bardzo wysoka, padało mnóstwo wyzwisk także pod moim adresem. To mnie nie zaskakiwało, ale to, że do protestujących dołączyło 5 tys. mieszkańców Sępolna, Biskupina z ulic dalej położonych, którzy mieliby rozwiązany problem komunikacji i korków? Uznałem to za zbiorową histerię. Byłem radnym z Wielkiej Wyspy i uważałem za rzecz horrendalną i brak racjonalnego myślenia to, że ludzie się temu poddali, że organizowano rozmaite komitety, które chodziły po domach, a ludzie podpisywali te protesty przeciwko rzekomej autostradzie przez serce Wyspy, która miałaby zniszczyć cały mikroklimat, architekturę, i Bóg wie, co jeszcze. Pamiętam spotkanie w Szkole Podstawowej nr 45, na które przyszli protestujący. Jako wiceprezydent miasta wtedy mówiłem, że nie zrezygnuję z tych planów, że to absolutnie konieczne i że w żaden sposób nie przekonują mnie argumenty zebranych. Przekonywałem, że będą budowane ekrany ekologiczne wzdłuż ulicy 9 Maja, że jeżeli mieszka się w wielkim mieście, to trzeba zdawać się na uciążliwości, itd., że obwodnicy śródmiejskiej nie da się budować poza miastem, gdzie nie ma zabudowy i że takie drogi są w Berlinie, Monachium, Wiedniu. To, że mi się nie udało przekonać tych ludzi, uważam za coś absurdalnego. Wielu spośród protestujących znałem. Wśród tych pięciu tysięcy osób znałem nazwiska około 1000 mieszkańców. Po kilku latach część z nich przychodziła do mnie i protestowała, że są korki i nie mogą przejechać przez pl. Grunwaldzki. Odpowiadałem im, że składali protesty 8 lat temu. Na to słyszałem: „to było 8 lat temu". Tak, 8 lat temu zablokowaliście możliwość wybudowania drogi, która dzisiaj byłaby użytkowana. Powinienem podawać wasze adresy, bo przez was nie ma tej obwodnicy i to przez was stoi się w półtorakilometrowym korku.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Wtedy prezydenci i wiceprezydenci miasta byli wybierani przez Radę Miejską. Nie pamiętam jakichś większych zgrzytów, ta współpraca była dobra, różna z radnymi opozycji, różna z radnymi koalicji. Jako wiceprezydent dobrze układałem sobie relacje z Radą. Takie projekty, jak wspomniana prywatyzacja MPEC, która musiała wejść na giełdę, przeprowadziłem w Radzie bez problemu. Jak pamiętam, opozycyjna partia SLD, która była wówczas dość silna, także głosowała za tym projektem. Uważałem, ze radnym należy poświęcać czas. Nawet jeśli część radnych była nieprzygotowana do pełnienia swojej misji i roli, i była merytorycznie bardzo słaba, to powtarzałem dyrektorom podlegających mi jednostek miejskich, że radni są naszymi pracodawcami, nawet jeśli uważamy jakiegoś radnego za idiotę i cymbała, to należy się odzywać z szacunkiem i kulturalnie, przychodzić na komisje i odpowiadać na pytania. Pamiętam wiele awantur z dyrektorami jednostek, którzy nie chcieli brać udziału w posiedzeniach komisji. Wtedy powtarzałem: „to są nasi pracodawcy, jeśli pan nie chce, niech pan nie idzie, skoro jednak jest pan dyrektorem, to albo pan złoży dymisję, albo pójdzie i będzie odpowiadał na pytania radnych. Może pan myśleć o swoim zbiorowym szefie, co pan chce, ale na każde pytanie odpowiedzieć bez emocji, nawet, jeśli pytanie jest głupie, złośliwe czy tendencyjne". Kiedy zostałem prezydentem, zwolniłem z Urzędu Miejskiego tych, którzy się źle i nonszalancko odnosili do radnych.

Jak układała się współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Moim zdaniem Biuro było bardzo dobrze przygotowane i rozumiało swoją misję. Pracownicy Biura stawali się buforem pomiędzy często rozemocjonowanymi mieszkańcami Wrocławia a wiceprzewodniczącym czy przewodniczącym Rady i przyjmowali na siebie tych mieszkańców. Kawą i herbatą udawało się uspokoić będących pod wpływem emocji petentów, zanim się ich wpuściło do przewodniczącego Rady.

Wszystko było na czas, wszystkie sprawozdania, papiery i dokumenty potrzebne na posiedzenie komisji. Uważałem, że to Biuro jest naszą mocną stroną. Przeprowadziliśmy w nim bardzo niewiele zmian personalnych. Pani dyrektor Biura była w czasie różnych kadencji ta sama. Jak to w życiu, może na nią narzekaliśmy od czasu do czasu, ale uważam, że jej profesjonalizm brał górę i nie należało zmieniać tego stanu, natomiast wicedyrektorów kilka razy zmienialiśmy.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Jeśli do ergonomii zaliczymy czas pracy, to nie był to ergonomiczny okres mojego życia. Jeśli chodzi o komfort pomieszczeń, dostęp do komputerów, to było wszystko dobrze. Będąc wiceprezydentem, pracowałem po 14 godzin, także w weekendy, więcej, niż kiedy pełniłem funkcję prezydenta czy przewodniczącego Rady. Pewien problem mieli zwykli radni. Część z nich chciała, by zorganizować im pokój radnych. Wobec braku pomieszczeń bywały z tym kłopoty.

W jakich pracował pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jako wiceprzewodniczący Rady należałem do Komisji Gospodarki Komunalnej i chyba Ochrony Środowiska, przyznam, że już zaciera mi się to w pamięci.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Pamiętam wystąpienia pana Jerzego Przystawy, który był niezależnym radnym z własnym komitetem wyborczym, był on krytyczny wobec bardzo wielu spraw. Kiedyś prezydent Bogdan Zdrojewski mówił o budżecie na kolejny rok, o pięknych planach i wizjach. Zaraz potem zabrał głos radny Przystawa i powiedział: „Panie prezy-

dencie, pan, jak ten orzeł unosi się w powietrzu i widzi pan te piękne inwestycje, te wszystkie wspaniałe plany, jest pan wizjonerem. A ja, jak ta żaba, jak ten straszny pokraczny płaz, chodzę po trotuarze, widzę te kałuże, te dziury, umazany tym wszystkim". Pamiętam, że się śmiałem bardzo… Większość jednak była oburzona, tym atakiem na „świętego" prezydenta Zdrojewskiego. Przypominam sobie także konflikt pomiędzy wiceprezydentem Zygfrydem Zaporowskim i panią Barbarą Wawrzyniak przewodniczącą Komisji Architektury. Wiceprezydent Zaporowski był odpowiedzialny właśnie za architekturę i rozwój przestrzenny miasta. Kontakt z tą komisją miał bardzo częsty i był bardzo skonfliktowany z panią Wawrzyniak, już nieżyjącą radną, którą znał jeszcze z czasów studenckich. Miał także konflikt, jak większość naszego klubu Wrocław 2000, z panem Krzysztofem Tenerowiczem, jednym z radnych ówczesnej opozycji prawicowej, który miał język bardzo złośliwy. Po którymś ostrym wystąpieniu Tenerowicza, Zaporowski wszedł na mównicę i powiedział, że „gdyby kłamstwa umiały latać, to Pan Tenerowicz unosiłby się pod sufitem" – tu zawiesił głos. „Z radną Wawrzyniak na rękach", dodał po chwili. Wzbudziło to wystąpienie potworny bunt całej opozycji, zarówno radych lewicowych, jak i prawicowych, zażądano przerwy. Pamiętam, jak prezydent Zdrojewski wezwał do siebie Zaporowskiego i domagał się przeproszenia tych Państwa. Zdaje się, że kompromis polegał na tym, że Zaporowski oświadczył, że nigdy w życiu nie przeprosi Tenerowicza, natomiast kobietę tak. Po przerwie powiedział, że Tenerowicz sam by się unosił pod sufitem i że przeprasza panią Barbarę Wawrzyniak.

Pamiętam wizytę w 2001 r., kiedy staraliśmy się o przyznanie Wrocławiowi organizacji Światowej Wystawy Expo w roku 2010. Byłem wtedy prezydentem miasta. Do Wrocławia przyjechała delegacja, pierwsza z kilku tego typu delegacji, z przedstawicielem Belgiem i Francuzem. Zabrałem ich na spacer na Stare Miasto, a był bardzo pogodny i nastrojowy wieczór. Kiedy minęliśmy narożnik Rynku i ukazał się ratusz, oni zdębieli. Moi goście po raz pierwszy znaleźli się w kraju Europy Środkowo-Wschodniej i pewnie sobie wyobrażali, że my tu żyjemy w jakichś lepiankach. Jeden z delegatów po chwili odzyskał mowę i powiedział: przecież to jest europejskie miasto.

Pamiętam, jak wymyśliłem, że ściągnę do Wrocławia dyrektora z Brukseli, osobę ważną dla naszych starań o europejskie pieniądze z funduszu ISPA. Staraliśmy się o rekultywację składowiska na Maślicach przy ul. Koziej. Wymyśliłem, że zabiorę tego dyrektora na to wysypisko, i rzeczywiście pojechaliśmy tam. Wjechaliśmy śmieciarką na sam szczyt, powiedziałem mu, że to najwyższa góra we Wrocławiu, ma 43 m, i stamtąd oglądaliśmy panoramę miasta. On dotąd raczej chodził po biurach, oglądał plany, a tutaj wyprawa śmieciarką na tę górę. Był zdumiony, że zobaczył tam szperaczy, bo Polska to kraj o jeszcze sporej grupie ludzi biednych. Zaczął się nad tym zastanawiać i stwierdził, że ci ludzie są znakomitą metodą na recykling – co do sztuki wyciągną metale kolorowe, plastik, puszki po piwie zrobione z aluminium, bo z tego żyją. Były pomysły, żeby ten teren ogradzać murem, drutem kolczastym, jednak byłaby to krzywda dla tych ludzi, może należy im zapewnić ubezpieczenia, odzież ochronną i badania, i ucywilizować ten proces. Taka to była nauka na szczycie.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

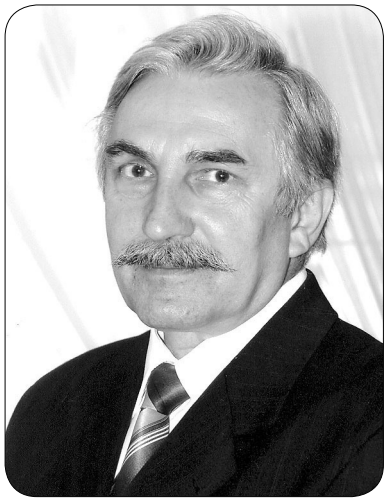
Uważam, że nie dałoby się rządzić Radą Miejską, gdyby nie było partii i komitetów wyborczych, czyli takich organizacji, które wystawiają listy w całym mieście, a potem właśnie działają w klubach i są jakoś zorganizowane. Jeżeli radni nie są zorganizowani i, co więcej, nie obowiązuje ich dyscyplina narzucana przez partie – nie da się rządzić. Często ludzie zżymają się, że głosują wbrew własnemu sumieniu. Umawiamy się, że chcemy przeprowadzić reformę gospodarczą, np. w dziedzinie gospodarki odpadami. Ona może być bolesna dla części mieszkańców, bo zmusimy ich do tego, żeby szamba były szczelne i nie zatruwały wód podziemnych i będziemy karać niesubordynowanych, a to boli, bo szczelne szambo szybciej się napełnia, ale jest potrzebne. Gdy dochodzimy do szczegółowych rozwiązań, nagle radni nieobciążeni dyscypliną twierdzą – nie, tam nie można uszczelnić szamba, bo są biedni ludzie. Wiem, że to, co mówię jest niepopularne, ale uważam, że dyscyplina wśród klubów radnych jest konieczna. Pamiętam radną, która płakała, kiedy dowiedziała się, że należy podnieść opłaty za wodę i za ścieki, a mieliśmy wtedy 26:25 głosów w stosunku do opozycji – dysponowaliśmy tylko jednym głosem przewagi. Jeśli ta uchwała nie przeszłaby, to zamknęłaby się możliwość sfinansowania tych inwestycji, które służyły polepszeniu jakości wody. Myśmy tę naszą koleżankę „kołem łamali", żeby zagłosowała. Tłumaczyła nam, że nie może tego zrobić wbrew sobie. Zachowaliśmy się wtedy zdecydowanie. Jesteś z nami, czy nie? Jeśli nie, przejdź do opozycji, a w następnych wyborach nie licz w żaden sposób na naszą pomoc.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Rady osiedli prezentowały, z wyjątkiem chyba trzech, na ogół postawę roszczeniową. Jest to w pewnym sensie zrozumiałe. Rada Osiedla Przemieście Oławskie zawsze będzie protestowała, że ul. Krakowską czy ul. Pułaskiego jeździ zbyt dużo samochodów. Kiedy chcemy ten ruch przenieść, zaraz protestują inni, że u nich budujemy obwodnicę. No dobrze, ale co robić? Oni nie oceniają problemu w skali ogólnomiejskiej. Może trzeba im dać więcej kompetencji, więcej odpowiedzialności, żeby decydowały o wyborze firm, które oczyszczają i które sprzątają. Im mogłyby podlegać tereny zielone, ławki, tereny rekreacyjne z zapewnieniem finansowania, ale tego bym się bał. Łatwiej jest zarządzać, kiedy jest jedno centrum decyzyjne.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Uważam, że było zawsze duże, często konstruktywne. Co nie znaczy, że zawsze pisano pozytywnie. Dziennikarze widzieli potrzebę opisywania różnych zjawisk w Mieście, biorąc pod uwagę interes całej społeczności. Czasem można było liczyć na współpracę mediów przy realizacji społecznie wrażliwych programów – jak zwiększenie opłat za wodę i ścieki, budowa oczyszczalni. Wydaje mi się, że wtedy media były konstruktywne, chyba można mówić o pewnej współpracy, co nie znaczy podporządkowaniu, bo one były zawsze wolne. Potem prasa, radio i telewizja przekształciły się w krytyków wszystkiego i zdegenerowała się ich funkcja łącznika pomiędzy władzą a rządzonymi. Są media, które zajmują się wyłącznie ciekawostkami czy skandalami i skandalikami tam, gdzie są i gdzie ich nie ma. Wraz z upływem czasu konstruktywne kontakty zanikły. O mediach mam bardzo złe zdanie, czasem mam wrażenie, że stały się szkodliwym elementem demokracji.



Grzegorz STOPIŃSKI

Radny III, IV i V kadencji, w połowie V kadencji zrezygnował z mandatu radnego, wiceprzewodniczący i przewodniczący Rady Miejskiej w latach 2002-2006.
Meliorant.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Uważam, że tak. Do czasu wygrania wyborów do Rady Miejskiej w 1998 r., byłem członkiem partii politycznej, która miała swoją reprezentację w Radzie Miejskiej. Stałym punktem obrad Zarządu Wojewódzkiego mojej partii były sprawy Miasta. Na posiedzeniach zawsze omawialiśmy najistotniejsze zagadnienia, jakimi zajmowała się Rada, Zarząd Miasta i prezydent. Podstawą do dyskusji były relacje naszych przedstawicieli w Radzie. To oni sygnalizowali nam problemy, przed którymi stoi Miasto. Niejednokrotnie szukali w partii wsparcia dla swoich projektów lub pomysłów. Więc, siłą rzeczy, musiałem znać i rozumieć sprawy Miasta, prowadzoną politykę i kłopoty związane z koniecznością rozstrzygania bieżących problemów, które w pierwszych latach piętrzyły się przed władzami Wrocławia do niebotycznych ilości i rozmiarów.

Zwłaszcza lata 1990-1994 (pierwsza kadencja Rady Miejskiej) były decydujące dla późniejszego, dynamicznego rozwoju miasta. W Radzie zasiadało wówczas 70 radnych. Co to się wtedy działo! Z opowiadań kolegów wiem, że posiedzenia Rady były bardzo burzliwe i często kończyły się o drugiej, a nawet trzeciej w nocy. Pamiętam, że w tym czasie we Wrocławiu bardzo dużo emocji budziła prywatyzacja mienia komunalnego. Prezydent był poddawany niewybrednej krytyce. Zarzucano mu, że sprzedaje Niemcom za bezcen kamienice w Rynku. Były to często wypowiedzi bardzo emocjonalne, pozbawione logicznych argumentów. Po ponad dwudziestu latach możemy sami się przekonać, czy stawiane wówczas zarzuty miały podstawę. W mojej ocenie, jeżeli nawet sprawy prywatyzacji nie dla wszystkich były klarowne i być może zdarzyły się potknięcia, mam na myśli np. kłopoty związane ze Wzgórzem Partyzantów, to w okresie, w którym afery korupcyjne w sferze prywatyzacji były w kraju i w dużych miastach codziennością, Wrocław przeszedł ten czas bez wstrząsów i już wtedy stanowił przykład dobrego zarządzania dla wielu miast.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie zajmowałem się. Z wykształcenia jestem meliorantem, więc siłą rzeczy moje życie zawodowe toczyło się poza miastem.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan będąc radnym?

W czasie, kiedy byłem radnym zajmowałem się sprawami gospodarczymi, bezpieczeństwa, ochrony środowiska, sportem i turystyką. Pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Regulaminowej, Głównej, a następnie wiceprzewodniczącego i przewodniczącego Rady Miejskiej. W tym czasie wystąpiłem samodzielnie z projektami uchwał dotyczących „Uruchomienia alternatywnych ujęć wody pitnej dla Wrocławia w celu zabezpieczenia ciągłości jej dostaw w sytuacjach kryzysowych", „Programu rozwoju turystyki we Wrocławiu", „Nowelizacji Statutu Samorządowej Jednostki Pomocniczej Wrocławia", „Utworzenia instytucji kultury pod nazwą Muzeum Solidarności

i Walki z Totalitaryzmem", „Nadania nazwy Adolfa Marii Bocheńskiego skwerowi usytuowanemu pomiędzy ul. Piwną, Miłą i Szczytnicką", „Inicjatywy uchwałodawczej mieszkańców" i dziesiątkami różnych propozycji, wynikających z bieżącej pracy w komisjach.

Co uznałby Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Działanie w grupie powoduje, że każdy sukces ma wielu ojców i w moim przypadku zapewne też tak jest. Gdybym nie uzyskał akceptacji dla swoich pomysłów i wnoszonych propozycji ze strony większości Rady i prezydenta trudno byłoby mówić o jakimkolwiek sukcesie. Więc dla mnie największy sukces to fakt, że Wrocław traktowany jest przez wielu jako przykład do naśladowania w sztuce zarządzania miastem. Bo to jest nie tylko praca, ale i sztuka. Jak na razie więcej jest potrzeb niż możliwości, dlatego dobre rządzenie to nie lada sztuka. I tak będzie jeszcze przez wiele lat.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Polemicznie odpowiem, że dla mnie istotne jest nie to, co się nie udało, lecz to, co nas popchnęło do przodu. Ale rzeczywiście trzeba mieć gdzieś z tyłu głowy to, co się nie udało, chociażby po to żeby wyciągnąć wnioski. Cóż, niepowodzeniem skończyły się starania o organizację we Wrocławiu wystawy Expo. Od początku nie bardzo wierzyłem w powodzenie tej inicjatywy. Dałem temu wyraz w audycjach publicystycznych, a mimo to solidaryzowałem się w dążeniu do realizacji tego przedsięwzięcia. Może czasami uzasadnione jest sięganie po to coś, co jest nieosiągalne. Bo kiedy się to zdobędzie, wówczas wartość sukcesu rzeczywiście może być nie do przecenienia.

Jak Pan ocenia współpracę z organizacjami pozasamorządowymi?

Bardzo dobrze. Przecież, to one w dużym stopniu tworzą zdrową tkankę Miasta. W zasadzie ich sukces staje się sukcesem nas wszystkich. Więc dobra współpraca między władzami Miasta i wrocławskimi instytucjami oraz firmami to oczywistość i wymóg dobrego rządzenia oparty na wzajemnych relacjach uwzględniających interesy wszystkich stron. Powstała też prawna możliwość realizacji części zadań statutowych Miasta przez organizacje pozarządowe. W tym obszarze daje się łatwo zauważyć wzrastające zainteresowanie władz miasta scedowaniem coraz większej liczby spraw do załatwienia tym instytucjom, i to cieszy.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Dość krytycznie. Mój wyborca oczekuje, żebym interweniował w przysłowiowej źle położonej płytce chodnikowej. Sprawy płytek czy też osiedlowej piaskownicy powinny być rozstrzygane poza radnymi. Natomiast radni powinni zajmować się kwestiami strategicznymi dla Miasta, bo to one mają później wpływ na komfort codziennego życia i zamieszkania. Te przysłowiowe płytki, którego problemu zresztą nie bagatelizuję, powinny pozostać w kompetencji rad osiedli. Ale aby tak się stało potrzeba dokonać zmian w zapisach ustawy o samorządzie. Jak na razie pozostaje jedynie żałować, że sprawy zmian ustrojowych nie zostały przez ustawodawcę doprowadzone do końca.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Mimo tarć i częstej różnicy zdań dobrze, a nawet bardzo dobrze. Celem zawsze było dążenie do konsensusu. W tej kwestii chcę wyróżnić dwa okresy, do roku 2000 i po 2002 roku. Związane jest to z nowelizacją ustawy o samorządzie, w której dokonano zasadniczych zmian w sposobie wybierania prezydenta, burmistrza i wójta. Od 2002 r. są oni wybierani w wyborach bezpośrednich i ustawodawca nałożył na nich jednoosobową odpowiedzialność za podejmowane decyzje. We Wrocławiu tak się ułożyło, że w pierwszym okresie prezydentem miasta był pan Bogdan Zdrojewski. Dla Wrocławia był to czas porównywalny z jazdą pociągiem. Wsiedliśmy do niego w czerwcu 1990 r. Obrazowo można by się wyrazić, że był to pociąg osobowy składający się również z wagonów towarowych, ciągniony przez starą, zdezelowaną lokomotywę. W latach następnych wagony towarowe zamienione zostały na pulmany. Wymieniona została lokomotywa na bardziej zmodernizowaną i jechaliśmy już do przyszłości w tempie pociągu osobowego, a pod koniec wspomnianego okresu w tempie pociągu pośpiesznego. Byliśmy postrzegani w kraju bardzo pozytywnie. Często to, co działo się we Wrocławiu dawano jako pozytywny przykład innym miastom. Jak na te czasy niesłychanym osiągnięciem w skali kraju był fakt, że we Wrocławiu nie dochodziło do bulwersujących opinię publiczną wstrząsów ani afer gospodarczych. Później, w latach 2000 - 2002 miastem zarządzał pan Stanisław Huskowski. W pamięci z tego okresu pozostał mi moment oddania do ruchu estakady na Nowym Dworze i do końca dobiegła w tym czasie budowa mostu Tysiąclecia. Mimo że obydwaj panowie opuścili Wrocław i poświęcili się pracy państwowej opatrzność była po naszej stronie i dalej czuwała nad miastem. W 2002 r. wybory na urząd prezydenta Wrocławia wygrał bezapelacyjnie pan Rafał Dutkiewicz. Należałoby powiedzieć, że właściwy człowiek znalazł się na właściwym miejscu. To, co zaczęło się dziać za rządów pana Rafała Dutkiewicza bez przesady można określić skokiem cywilizacyjnym miasta. Wystarczy porównać budżety Wrocławia do 2002 r. z budżetami po 2002 r. Wrocław z dnia na dzień staje się piękniejszy, bardziej nowoczesny, jest otwarty na nowe technologie i przyjazny dla wszystkich, którzy dobrze życzą miastu. Obrazowo można się wyrazić, że od 2002 r. doganiamy wysoko rozwinięte miasta Zachodu w tempie jazdy pociągu ekspresowego.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Troszkę niezręcznie jest mi o tym mówić, ponieważ pani dyrektor Biura jest moją koleżanką jeszcze z lat dziecięcych. Razem bawiliśmy się na jednym podwórku grając w klasy i dwa ognie. Mówiąc bardziej poważnie, należy podkreślić, że w Biurze Rady pracują osoby bardzo oddane sprawom samorządu. Będąc radnym zawsze mogłem liczyć na ich pomoc i nie zawiodłem się. Są osobami w pełni dyspozycyjnymi i można by określić, że swoją pracę traktują jak misję.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Mówiąc o klubach radnych trzeba mieć na uwadze, że wybory w dużych miastach są wyborami politycznymi. Głosując, mieszkańcy bardziej zwracają uwagę na szyld partii, a mniej na osoby. Może się to zmienić w sytuacji zmiany ordynacji wyborczej z proporcjonalnie większościowej na większościową i okręgi jednomandatowe. Być może taka zmiana nastąpi już niedługo. A wówczas mniejszą rolę będą odgrywały partyjne środowiska radnych i być może będą kluby, lecz po to, by stworzyć skuteczny lobbing na rzecz realizacji konkretnego zamierzenia. Dzisiaj zaletą klubu radnych jest to, że można bez kłopotu mieć wgląd i wyrazić stanowisko we wszystkich sprawach, którymi zajmuje się Rada lub prezydent, co bez istnienia klubów w praktyce byłoby niemożliwe.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

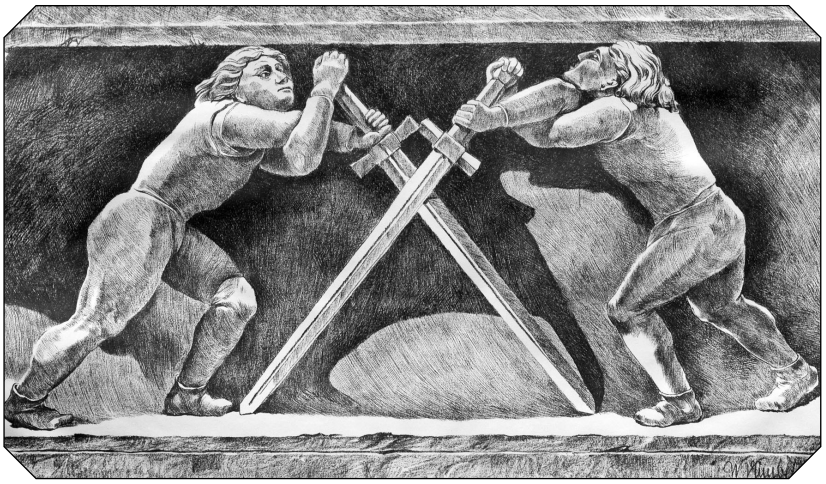
Organizacja mszy świętej przez władze miasta po śmierci papieża Jana Pawła II. Co prawda, to było smutne wydarzenie, ale najbardziej utkwiło mi w pamięci. Byłem wówczas na urodzinach u znajomego. Po informacji o śmierci naszego ukochanego papieża przerwaliśmy spotkanie i rozeszliśmy się do domów. Następnego dnia zadzwoniłem do pana prezydenta (w tym czasie pełniłem funkcję przewodniczącego Rady Miejskiej), natychmiast spotkaliśmy się i zapadła decyzja o organizacji mszy świętej. W porozumieniu z archidiecezją wrocławską wszystko zostało przygotowane dosłownie w ciągu kilku godzin. Było to dla mnie niezwykłe wydarzenie i pozostanie w mojej pamięci na zawsze.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

To potężna grupa ludzi. Jest ich we Wrocławiu ponad 700 osób. W zasadzie są to wybory przypadkowe. Bywa, że wystarczy wpisać się na listę wyborczą i mandat ma się w kieszeni. A bywa, że wystarczą do wygrania głosy najbliższej rodziny. Może być ich nawet trzy, lub jeszcze mniej. Poza wyjątkami, w dziwny sposób rozumieją swoją misję i organy Miasta nierzadko mają z nimi kłopoty, ponieważ często mają postawę roszczeniową. Pamiętam, że raz spotkałem się z próbą zawiązania wśród rad osiedli struktury poziomej w celu destruktywnego pokazania siły. Wówczas zacząłem zastanawiać się, czy tych rad powinno być czterdzieści siedem, jak obecnie, czy siedem. Myślę, że problem ich funkcjonowania tkwi w zapisach prawa o samorządzie terytorialnym, ponieważ ustawodawca nie dał im osobowości prawnej.

Jak pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Dość krytycznie. Bardzo rzadko dziennikarze odnoszą się dogłębnie do rzeczywistych problemów i toczących się na ten temat sporów. Ich relacje nie zawsze są obiektywne. W pamięci utkwiła mi atmosfera towarzysząca ujawnieniu agenturalnej działalności św. pamięci pana Dzieduszyckiego. Co też wtedy działo się w mediach! W tym czasie pełniłem funkcję przewodniczącego Rady i niewiele brakowało, żebym to ja stał się winnym powstałego zamieszania. Nikt, kto jest rozsądny nie będzie gniewał się za krytykę, jeżeli jest do tego podstawa. Ale jeżeli opisuje się tendencyjnie dane zdarzenie, a szczególnie osoby biorące w nim udział, czego nie raz doświadczyłem, jest to krzywdzące i nieuczciwe. Jedną z form obrony w takiej sytuacji jest możliwość zamieszczenia sprostowania. Jak ono wygląda w gazecie i jakie są dalsze tego skutki, szkoda mówić.





Barbara ZDROJEWSKA

Radna IV i V kadencji, wiceprzewodnicząca Rady Miejskiej
w latach 2002-2006, przewodnicząca Rady Miejskiej w latach 2006-2009.
Absolwentka kulturoznawstwa.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Tak, chyba nawet lepiej niż inni. W dorosłe życie wkraczałam przecież, kiedy powstawała „Solidarność" i NZS, później byłam we władzach Stowarzyszenia Centrum Demokratyczne. Kiedy powstawały komitety obywatelskie włączyłam się w tworzenie samorządu, pracowałam przy wszystkich kampaniach do Rady Miejskiej. Kiedy mąż został prezydentem Wrocławia skupiłam się na rodzinie i pracy. Do aktywności politycznej wróciłam, kiedy mąż przeszedł do pracy w parlamencie.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Przede wszystkim kwestiami społecznymi i kulturą. Jestem radną już drugą kadencję. Podczas pierwszej byłam przewodniczącą Komisji Kultury i wiceprzewodniczącą Rady. W drugiej zostałam przewodniczącą Rady Miejskiej. To też oznaczało konieczność aktywności we wszystkich obszarach miasta. Obecnie kieruję klubem PO. Największą satysfakcję miałam zwłaszcza w pierwszej kadencji. To wówczas np. udała się reaktywacja „Jazzu nad Odrą". Napracowałam się nad tym bardzo. Środowisko było podzielone. Powstały dwa odrębne podmioty, które toczyły bitwę o wyłączne prawo do tego festiwalu. Około roku trwały mediacje. Na forum komisji Rady Miejskiej toczyły się bardzo burzliwe dyskusje. Jednak udało się i to zarówno ocalić markę, jak i pogodzić środowiska i zrealizować pierwszy z prawdziwego zdarzenia „Jazz nad Odrą". Zaangażowałam się również w powstanie Festiwalu Opowiadania. Doprowadziłam do rozpoczęcia prac nad utworzeniem Muzeum Sztuki Współczesnej, a także, dzięki Stowarzyszeniu Wrocławskiej Zachęty, zgromadzenia sporej kolekcji. Aktywnie uczestniczyłam w projektach tworzenia Narodowego Forum Muzyki i innych ważnych przedsięwzięć we wrocławskiej kulturze. W sferze społecznej natomiast już na początku poprzedniej kadencji stworzyliśmy solidne podstawy finansowe funduszu grantowego dla organizacji pozarządowych. Ponadto, przy wsparciu Sławomira Piechoty, ale głównie z mojej inicjatywy, powstała uchwała Rady Miejskiej i program dla rodzin wielodzietnych, pierwsza tego typu w Polsce.

Kolejna ważna sprawa, to działania na rzecz seniorów, grupy zbyt często lekceważonej, pozostającej na marginesie zainteresowania Miasta. Należało stworzyć dla nich ofertę i zapewnić wsparcie dla ogromnej aktywności. Wiele przyjemności sprawiło mi organizowanie wystawy „Wrocław dziękuje 100-latkom". Ta wystawa miała zwrócić uwagę mieszkańców na rolę, jaką we Wrocławiu odegrało najstarsze pokolenie, w wyjątkowym czasie, bo przecież są to ludzie, którzy przyjechali tutaj po wojnie i podnosili miasto z ruin. Społeczeństwo starzeje się, a najstarsi mieszkańcy stanowią coraz liczniejsza grupę.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Okres mojego funkcjonowania w Radzie Miejskiej, ale też czas związany z prezydenturą pana Dutkiewicza i z nową ustawą o samorządzie gminnym, dzielę na dwa etapy. Podczas pierwszej kadencji współpracę oceniam dobrze. Widać było kontynuację tego, co udawało się we Wrocławiu robić przez poprzednie lata. Wokół prezydenta miasta skonsolidowały się główne siły Rady Miejskiej. Byliśmy swoistym ewenementem. Nigdzie PiS z PO tak nie współpracowały. We wrocławskiej Radzie Miejskiej udawało się to bardzo dobrze. Nie oznacza to, że nie było sporów czy różnicy zdań, ale myślę, że ta współpraca dobrze służyła miastu.

Trudniej jednoznacznie ocenić drugą kadencję. Dzięki napływowi środków z Unii Europejskiej miasto przeżywa duży boom inwestycyjny, co należy ocenić bardzo pozytywnie. Budujemy współfinansowany przez państwo stadion, na którym odbędą się rozgrywki Euro 2012. Dzięki centralnym środkom powstaje największa po wojnie inwestycja drogowa na Dolnym Śląsku, autostradowa obwodnica Wrocławia. Realizowane są ogromne inwestycje na infrastrukturę kulturalną, jak budowa wielkiej sali koncertowej we Wrocławiu, remont Hali Stulecia, nowe gmachy szkół artystycznych czy teatr Capitol, które dostały znaczne środki z UE. Dzięki tym inwestycjom Wrocław zyska podstawę do tego, żeby mówić o sobie, że jest prawdziwą metropolią, która ma wszelkie zadatki do tego żeby się starać o to, żeby być np. Europejską Stolicą Kultury w 2016r.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Nie powiodły się starania o Expo i rywalizacja o siedzibę Europejskiego Instytutu Technologicznego, największe projekty poprzedniej kadencji. Niepokoi tempo realizacji kluczowych inwestycji miejskich i przesunięcia na

kolejne lata ważnych projektów. Budżet Wrocławia i spółki miejskie są zadłużone na wiele kolejnych lat, a trudna sytuacja finansowa wymusza cięcia we wszystkich dziedzinach. Podziały i różnice zdań, zwłaszcza wokół budżetu i polityki finansowej, zaangażowanie polityczne prezydenta i jego ataki na rząd doprowadziły do zerwania współpracy największych sił w Radzie i w konsekwencji rozpadu budowanej przez dwadzieścia lat zgody wokół najważniejszych spraw miasta. Prezydent nadal cieszy się poparciem mieszkańców, ale ci coraz częściej dostrzegają błędy w zarządzaniu miastem i niepokojące skutki fatalnej sytuacji finansowej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W V kadencji z całą pewnością pogorszyła się współpraca Rady Miejskiej i prezydenta. W wyniku nowej ustawy samorządowej kompetencje Rady Miejskiej, zwłaszcza kontrolne, zostały mocno ograniczone. Jednocześnie prezydent uzyskał ogromną, jednoosobową władzę. Sejm w porównaniu z radą miejską ma o wiele większe kompetencje i możliwości kontrolowania rządu, rada miejska bardzo ograniczone. Brakuje skutecznych mechanizmów zmuszających prezydenta do zasięgania opinii rady lub bezpośrednich społecznych konsultacji. Oprócz ustawy, jest również kwestia osobowości. Poprzednim prezydentom udawało się prowadzenie dialogu społecznego. Teraz na konferencji prasowej możemy usłyszeć: nikt mi się nie będzie wtrącał do zarządzania. Ludzie zaczynają narzekać, że prezydent nie przyjmuje mieszkańców, że się wyizolował, że zbyt dużo czasu i środków przeznacza na autopromocję. Z dystansem przyjmowane były polityczne projekty startowania na prezydenta państwa czy budowanie własnych struktur politycznych, daleko wykraczających poza sprawy miasta.

Czym powinni się zająć prezydent i radni następnej kadencji? W badaniach społecznych jasno widać, że mieszkańcy oczekują od samorządu przede wszystkim zaspokajania podstawowych potrzeb. Największe wrocławskie problemy, to komunikacja i korki, gospodarka komunalna, wszystko to, co jest zasobem mieszkaniowym, kanalizacja. Nie możemy spać spokojnie w XXI w., gdy we Wrocławiu funkcjonują nadal szamba i sławojki na podwórku. Co nam z tego, że będziemy mieli nowe centrum przy Hali Stulecia, jeżeli nie będziemy mieli jak tam dojechać. Ze względu na problemy budżetowe okroiliśmy mocno wszystkie ważne wydatki, a kolejna kadencja pogłębi ten stan. Reforma miejskich finansów i budżetowa dyscyplina będzie podstawowym zadaniem nowego skarbnika, lekceważenie tego problemu przez ostatnie cztery lata doprowadziło nas na skraj katastrofy. Konieczność konsolidacji finansów powinna wymusić też reformę spółek miejskich, wzmocnienie kontroli nad nimi, a nawet likwidację niektórych z nich.

Jak Pani ocenia współpracę z Biurem Rady Miejskiej?

Dzięki ciągłości kompetentnego i zaangażowanego dyrektorowania Janiny Śledzińskiej Biuro Rady Miejskiej pracuje jak szwajcarski zegarek. Zespół stanowią długoletni pracownicy i zupełnie młodzi ludzie. Synergia doświadczenia i świeżej krwi jest podstawą sukcesu. Jako przewodnicząca Rady miałam okazję poznać pracę innych biur w kraju i jestem przekonana, że nasze jest najlepsze w Polsce. Wszyscy mieszkańcy odwiedzający licznie Biuro oraz radni mają zapewnioną obsługę prawną, profesjonalnie przygotowane komisje, dokumenty, sprawne posiedzenia Rady i świetną oprawę uroczystych sesji. Tutaj pielęgnuje się tradycję, nic więc dziwnego, że samorządowcy poprzednich kadencji chętnie tu zaglądają, chwaląc przyjazną atmosferę.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Odgrywają ogromną rolę. Komisje wydają opinie merytoryczne, ale stanowiska i kluczowe decyzje podejmowane są na posiedzeniach klubów. Często towarzyszą im gorące dyskusje. Zapraszani są przedstawiciele mieszkańców i magistratu, mniej oficjalna atmosfera sprzyja szczerości i otwartości ze strony magistrackich prominentów. Prezydent na komisjach nie bywa nigdy, a na klubach bardzo rzadko.

Dokumenty przechodzą z komisji do klubów. Tu są po raz pierwszy prezentowane wszystkim radnym. Urzędnicy wyjaśniają wątpliwości. Zgłaszane są poprawki, debaty zazwyczaj zbliżają stanowiska i często kończą się kompromisem.

Jak sprawdzają się w samorządzie kobiety?

Znakomicie. Są dokładne, pryncypialne, często odważniejsze w prezentowaniu odrębnego zdania. Widać to na sesjach i dotyczy to wszystkich ugrupowań. Jakby kierowały się zasadą, że gdy wszyscy myślą tak samo, nikt nie myśli zbyt wiele. Czasami uda im się przekonać innych, czasem jest to walka z wiatrakami. W pracy Rady, gdzie przeważnie trafiają gotowe projekty przygotowane przez Urząd niezwykle ważna jest zdrowa dawka krytycyzmu albo przynajmniej, aby ktoś powiedział: zastanówmy się, może jest lepsze rozwiązanie. Taką rolę często pełnią kobiety, które walczą o swoje zdanie.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Rady osiedla są bardzo ważną i często niedocenianą częścią samorządu. Do końca tej kadencji zapewne nie zapadną decyzje, które zreformują ich działalność i zasady finansowania. Został przygotowany projekt, który wzbudził spore kontrowersje. Spotkał się z protestami rad osiedli i radnych Rady Miejskiej. Obecne rozwiązania statutowe i organizacyjne sprowadzają pracę osiedlowych radnych do pisania, często bezskutecznych, podań i próśb do urzędników. Rady osiedla powinny móc same zadbać o lokalne interesy, powinny mieć kompetencje – gdzie ławeczka, gdzie park, gdzie posprzątać, i dużo większy wpływ na finansowanie tych osiedlowych inicjatyw.

Przyglądając się radom osiedli wiemy, że są lepsze, które świetnie pracują, i gorsze. W poprzedniej kadencji proponowałam pilotażowe zwiększenie kompetencji najlepszych rad we Wrocławiu. Bez skutku do dziś.

Jak Pani ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jako przewodnicząca Rady Miejskiej kierowałam się zasadą pełnej jawności i dostępu do informacji. W ostatniej kadencji bardzo wzrosło zainteresowanie mediów pracą Rady. Doczekaliśmy się już stałych korespondentów z Rady. Niektórzy z dziennikarzy, relacjonujący dłużej naszą pracę mają dużą wiedzę o samorządzie i byliby świetnymi radnymi. Wrocławskie media sporo uwagi poświęcają ważnym uchwałom, dyskusjom budżetowym, kontrowersyjnym tematom. Potrafią skupić ludzi wokół ważnych lokalnych spraw. Dyskusje przenoszone z sali obrad do mieszkańców pozwalają budować wspólnotę mieszkańców, uspołeczniać podejmowane decyzje. Poparcie opinii społecznej pozwala radnym i prezydentowi skuteczniej pracować, a krytyka sprzyja wyciąganiu wniosków i zmianom stanowiska. Często jest to jedyny sposób, aby przekonać mieszkańców do decyzji, które są niepopularne. Pamiętam też przypadki, kiedy pod wpływem krytyki medialnej prezydent wycofywał niefortunne projekty uchwał. Radni mają mocny mandat pochodzący z wyboru, silnie zaznaczone w ustawie zadania kontrolne, ale dość ograniczone kompetencje i narzędzia do wypełniania tych zadań. Tym bardziej ważna jest rola mediów w społecznej kontroli samorządowej władzy.

◇◇◇

cencie w tym uczestniczyłem – nie z punktu widzenia struktury miasta i jego funkcjonowania, lecz raczej z punktu widzenia technik, jakie są stosowane w zaopatrzeniu w wodę.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zacząłem od Komisji Infrastruktury i od Komisji Edukacji. Te dwie dziedziny są mi bliskie zawodowo. Infrastruktura komunalna z powodów, o których mówiłem – zaopatrzenie w media, w szczególności w wodę. I edukacja – jestem nauczycielem akademickim stąd zainteresowanie tymi sprawami. Trzecia dziedzina – to współpraca z zagranicą, możliwość kontaktowania się z ludźmi z całego świata. Moja wieloletnia praca za granicą owocowała tym, że mam liczne kontakty. Kiedy pracowałem w krajach arabskich, poznałem wiele osób – ludzi z całej Europy, specjalistów właściwie z całego świata. Bardzo sobie zacząłem cenić możliwość kontaktów, od których w przeszłości byłem odcięty, ponieważ do mojego służbowego wyjazdu nigdy nie otrzymałem paszportu. Składałem wniosek o paszport i zawsze spotykała mnie odmowa z wyjaśnieniem, że nie otrzymuję paszportu z innych ważnych powodów społecznych, taki był paragraf w prawie paszportowym.

Mieliśmy problem związany z gimnazjami, bardzo silnie atakowanymi, podobnie jak cała idea reformy szkolnictwa. Starałem się wspierać szkoły, z którymi współpracowałem. W różnych okresach były różne szkoły. Cały czas V LO, moje rodzime liceum, ale także Gimnazjum nr 7, szkołę na Krzykach, chyba 64, gdzie był problem zaplecza sportowego. Chętnie uczestniczę w spotkaniach z młodymi ludźmi, także w szkołach podstawowych. Bardzo chętnie współpracuję z samorządem uczniowskim, który funkcjonuje przy Radzie Miejskiej. Kiedy zostałem przewodniczącym Rady, podjąłem inicjatywę piątków. W każdy piątek, o godzinie 13 zaczyna się spotkanie z uczniami, które jest realizowane w dwóch etapach. W pierwszym etapie odbywa się spotkanie w Muzeum Miejskim w ratuszu, gdzie pracownicy muzeum prezentują te eksponaty, te miejsca, które związane są z tradycją samorządu wrocławskiego. Druga część odbywa się w sali Rady Miejskiej. Spotkania prowadzę ja lub któryś z radnych. Utworzyła się grupa 8 radnych, którzy w tym programie uczestniczą. Mówimy o historii Nowego Ratusza, historii samorządu po 1989 r. Omawiamy aktualną sytuację, procedurę wyborczą, podział na okręgi wyborcze oraz strukturę polityczną Rady Miejskiej, a przede wszystkim poświęcamy pół godziny na pytania ze strony naszych młodych gości. Są to sytuacje bardzo budujące – pytania są trafne, ciekawe, świadczące o tym, że zainteresowanie teraźniejszością i przyszłością miasta jest ogromne. Głównym celem tych spotkań jest to, ażeby pokolenie młodych ludzi wciągnąć w samorząd, żeby zrozumieli, że działalność samorządowa jest nieporównywalnie bardziej efektywna, niż działalność władz na szczeblu krajowym, że samorząd powinien być obdarzany coraz większym zaufaniem i coraz większą odpowiedzialnością w sprawach lokalnych, ponieważ on najlepiej sprawami lokalnymi będzie zarządzał.

Co Pan uważa za największy sukces w swej dzielności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

Nie widzę takich szczególnych, pojedynczych wielkich sukcesów. Cały czas intensywnie pracuję, małych sukcesów jest wiele i to składa się na pewną satysfakcję.

Gospodarka komunalna, a w szczególności zaopatrzenie w wodę, to kwestie związane z moim zawodem. Budujemy potężną oczyszczalnię ścieków, która całkowicie zabezpieczy potrzeby Wrocławia. Uchroni Odrę przed zanieczyszczeniem. W związku z tym starałem się i wpływam cały czas na to, ażeby standardy zaopatrzenia mieszkańców osiągnęły odpowiedni poziom. Na te sprawy spogląda się z punktu widzenia ekonomicznego, tzn. opłaty za wodę mają zabezpieczać możliwość pobierania kredytów i finansowania wielkich inwestycji. Te kryteria finansowe są bezduszne. Do tej pory nie zauważało się, że woda jest bardzo specyficznym towarem. Ta specyfika polega na tym, że należy wytworzyć pewien zapas, nawet jeśli nie ma stałego popytu na wodę, ponieważ poziom tego popytu jest miarą stanu sanitarnego środowiska. We wszystkich krajach o wysokich standardach sanitarnych, w środowisku miejskim zużycie wody jest na poziomie 130-150 l na osobę na dobę. U nas to się bardzo zmieniało, było nawet 250 l na dobę na osobę, ale to nie wynikało z dobrobytu, tylko ze skandalicznego stanu sieci, ponieważ ok. 35% wody znikało w podłożu, nie docierając do mieszkańców. Sieć była w tak złym stanie, że znaczną część wody gubiono. W tej chwili, kiedy sieć doprowadzono do przyzwoitego stanu, tzn., że straty są rzędu kilkunastu procent, należy bardzo pilnować, ażeby zaopatrzenie w wodę w naszym mieście ustabilizować w granicach 150 l na dobę na osobę, a narzędziem jest polityka cenowa. Cały czas apeluję, co się jeszcze nie skończyło sukcesem, ale już dotarło do świadomości, żeby we Wrocławiu wprowadzić ceny kroczące. To byłby pierwszy taki przypadek w Polsce: do poziomu stałego popytu 130-150 l na dobę na osobę cena powinna być stosunkowo niska, aby zachęcić ludzi do używania wody. Powyżej tej normy ceny należy zwiększać, bo to będzie dotyczyło ludzi bogatszych, mieszkańców domków jednorodzinnych, którzy najczęściej mają większe możliwości finansowe.

We Wrocławiu w tych obszarach zamieszkania, które nazywamy popularnie blokowiskami, zużycie wody jest bardzo niskie, oceniając w przybliżeniu rzędu 70-80 l na dobę na osobę, bo stosowane ceny są zbyt wysokie. Myślę, że ten temat powróci po zakończeniu wielkiego procesu inwestycyjnego. Po jego zakończeniu spróbujemy wprowadzać taki system, który nie tylko nie będzie blokował, ale będzie zachęcał do zużycia wody. Myślę, że proces podwyższania cen wody może trwać jeszcze najwyżej dwa lata. Potem powinna nastąpić całkowita zmiana struktury cen. Musimy skończyć Janówek, a to jest jeszcze około 300 milionów zł. Połowę tej sumy zamierza-

my zdobyć z budżetu, więc te podwyżki są umiarkowane i uzasadnione. Zanieczyszczamy środowisko poprzez wylewanie ścieków na pola irygowane, co potem w ok. 30% ląduje w Odrze. Wprowadzenie 100% ścieków do nowoczesnej oczyszczalni spowoduje, że po ich oczyszczeniu, oczyszczalnia stanie się wytwórnią dodatkowych dóbr, np. paliw, może wytwarzać także energię elektryczną, bo biogaz staje się znakomitym paliwem zabezpieczającym potrzeby takiej instytucji. Zatem koszty eksploatacji takiej firmy znacznie maleją. Wtedy będzie można realizować program uzyskiwania odpowiedniego poziomu zużycia wody, stosując racjonalną politykę cen. Miejsce, w którym oczyszczalnia ścieków w Janówku spuszcza wodę do Odry jest ulubionym miejscem wędkarzy. Tam jest najwspanialsza woda i najwspanialsze ryby. Dyrektor oczyszczalni mówił, że jeśli jakiekolwiek ścieki dostaną się do Odry, to wędkarze natychmiast atakują dzwoniąc z komórek: „coście nam tutaj spuścili", co oczywiście nie jest dokładnym cytatem.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeniem Rady jest mieszanie polityki krajowej i jej struktur do działalności samorządu. W Radzie Miejskiej Wrocławia zjawisko to występuje w stosunkowo niewielkim stopniu, ale i tak jest uciążliwe. Jest ono obecne w wielu innych radach, gdzie blokowane jest ich funkcjonowanie z przyczyn czysto politycznych. W momentach stresujących, trudnych, gdy radni powinni kierować się przede wszystkim interesem ogółu rozumianym jako interes miasta, ujawniają się interesy grup, czyli partii. Wybory samorządowe powinny opierać się na komitetach społecznych, które nie mają zobowiązań wobec struktur centralnych.

Niepowodzeniem było jedno z pierwszych, organizowanych przeze mnie, spotkań wyborczych, w rejonie, gdzie się wychowałem. Muszę powiedzieć, że przyszli tylko moi znajomi, a jedynym motywem była chęć spotkania i dowiedzenia się, co się z tobą dzieje? Kompletny brak zainteresowania polityką lokalną. W wyborach do samorządu można wskazać tych, których zna się od lat, zna się ich możliwości, wiedzę i poglądy, ma się do nich zaufanie. Oczywiście to moje spotkanie było bardzo miłe, z punktu widzenia towarzyskiego. Natomiast z punktu widzenia wyborów samorządowych było totalną klęską.

Mam nadzieję, że to będzie się zmieniać, że człowiek idący do wyborów we Wrocławiu, będzie wiedział, na kogo głosuje, kim jest ten człowiek, w jaki sposób używa naszego języka, w jakim stopniu go opanował, bo jest ważne, ażeby umieć wyartykułować opinię swoją i swojego otoczenia.

Jak ocenia Pan współpracę z organizacjami pozasamorządowymi?

Jestem bardzo życzliwie nastawiony do tych organizacji. Od początku lat 90. aktywnie działam w światowym ruchu Rotary. Przez rok byłem prezydentem wrocławskiego klubu, zgodnie z obowiązującymi zasadami dotyczącymi kadencji. Nadal tam, oczywiście, działam. To jest ruch ludzi wspomagających innych w wielu dziedzinach. Ruch rotariański bardzo się rozwinął.

W sposób szczególny interesuje mnie współpraca z organizacjami, które działają na rzecz mniejszości narodowych we Wrocławiu. Uważam, że określenie Wrocławia jako miasta spotkań – nas wrocławian zobowiązuje. We Wrocławiu wszyscy jesteśmy u siebie, przyszliśmy z różnych stron świata i tutaj się spotkaliśmy. W ciągu tych obydwu kadencji angażuję się w sprawy związane z Romami, którzy są bardzo specyficzną grupą, o własnej hermetycznej tradycji. Wiele elementów tej tradycji warto chronić, a jednocześnie należy ułatwiać adaptację Romów w naszym społeczeństwie poprzez oferowanie im edukacji. Pod tym względem we Wrocławiu dzieje się bardzo dużo dobrego. Zajmowałem się funkcjonowaniem szkoły na Brochowie. W tej placówce Urząd Wojewódzki zatrudniał z funduszy europejskich nauczycielki, które prowadziły zajęcia pozalekcyjne i pomagały dzieciom romskim. Dzięki tej działalności wzrastał ich ogólny poziom i zainteresowanie szkołą. Wydaje się, że dzięki edukacji możliwe będzie wyrwanie tych dzieci z kręgu biedy. W tym środowisku jest bardzo wysoki poziom bezrobocia, konieczne jest wyrwanie ich z tego kręgu beznadziei.

Współpracuję także z przedstawicielami innych mniejszości, przede wszystkim dbając o to, aby dla swojej działalności otrzymywali stosowne wsparcie ze strony Miasta. Uczestniczę w organizowanych przez nich imprezach, żeby pokazać, że lubię ludzi, jestem ciekawy świata, innej kultury, innej muzyki, innej literatury. To są wspaniałe rzeczy, bo uroda świata polega także na jego różnorodności. Niestety, pewna część naszego społeczeństwa uważa, że wszystko, co obce jest z definicji wrogie i podejrzane.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Nie chciałbym się narażać, tym bardziej, że wybory się zbliżają, ale muszę powiedzieć, po tych kilku latach działania w Radzie, że u wielu wyborców dominuje interes osobisty nad zrozumieniem interesu ogółu.

W 2003 r., w drugim roku mojej działalności, pojawiła się kwestia mostu Wschodniego, dojazdu na Wielką Wyspę. Akcja zbierania podpisów pod protestem prowadzona była w sposób niewłaściwy. Wykładane przed kościołami petycje były podpisywane przez przypadkowe osoby, niewiedzące, o czym jest mowa. Moja 89-letnia teściowa ma dosyć liczne grono znajomych, są to osoby w zaawansowanym wieku, które w większości podpisały te petycje. Do tych osób udawałem się osobiście, bo je znam. Pytałem je wówczas o motywy tego podpisu. Motyw był jeden, bo ksiądz prosił.

Ludzie, którzy to organizowali, działali w imię swego osobistego interesu. Przedkładano argumenty, które były w znacznej mierze nieprawdziwe. Twierdzono, że wzrośnie zanieczyszczenie parku Szczytnickiego spalinami z samochodów przejeżdżających obwodnicą, co jest nieprawdą z dwóch powodów:

- obwodnica będzie ulokowana na wschód od parku, a mamy taką różę wiatrów, że 70% wiatrów to są wiatry zachodnie,
- po drugie, samochód w ruchu, co każdy kierowca jest w stanie stwierdzić, zużywa połowę tej ilości paliwa, którą zużywa samochód poruszający się powoli, w korku.

Dzisiejsza sytuacja, kiedy są korki, kiedy setki samochodów od pl. Grunwaldzkiego po akademiki na ul. Wittiga stoją, prowadzi do skrajnego zanieczyszczenia środowiska. I na to ci mieszkańcy się godzili. Nie godzili się na rozwiązanie, które by tę sytuację radykalnie zmieniło na ich korzyść, nie mówiąc o tym, że znacznie skróciłby się czas dojazdu na Wielką Wyspę z dzielnic peryferyjnych czy też z centrum. Propagowano taką wiadomość, że obok obwodnicy budynki będą traciły na wartości, co nie jest prawdą, bo na ogół zyskują. Dochodowość biznesu w pobliżu dobrych dróg jest znacznie większa, niż w miejscu, do którego dojazd jest trudny. Skomunikowanie Hali Stulecia z miastem jest warunkiem powodzenia inwestycji, które tam są lokowane, tak samo jak rozwój ZOO.

Tak na podstawie powierzchownych informacji neguje się inicjatywy w skali ogółu. Brakuje myślenia w kategorii wspólnoty, w kategorii interesu miasta.

Również w 2003 r. dyskutowano na temat likwidacji targowisk na pl. Grunwaldzkim oraz przy ul. Zielińskiego. To była niezwykle zorganizowana i silna grupa, która za wszelką cenę zabiegała o to, żeby te targowiska pozostały, twierdząc, że jest to ich jedyne źródło utrzymania, co jest prawdą. Starałem się ich przekonywać, że targowisko nie jest jedyną formą handlowania. Deklarowałem, że Miasto będzie im pomagało i że będzie z nimi współpracować w likwidowaniu brudnych placów targowych na rzecz hal kupieckich, których kilka już we Wrocławiu powstało. Pamiętam rozmowę, w czasie której kupcy się na mnie obrazili. Chodziło o to, że zapytałem tych przedstawicieli, jak liczną grupę mieszkańców reprezentują. Odpowiedzieli, że to jest około 60 tys. ludzi, którzy pracują na targowiskach i są powiązani finansowo z istnieniem tych targowisk. Wtedy powiedziałem: „Szanowni Państwo, jeżeli dysponujecie 60 tys. głosów, to zorganizujcie się i pójdźcie do wyborów, jak jeden mąż. Wybierzcie sobie swojego prezydenta i zamieńcie miasto w jedno wielkie targowisko". Na szczęście chyba się tym nie przejęli.

Miasto włączało się w realizację biznesplanów, dawało teren, zachęcało do organizowania się, pomagało w uzyskaniu kredytów, kupcy budowali hale kupieckie i dzisiaj znakomicie prosperują, że wspomnę Arenę czy też halę w Leśnicy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Prezydent jest wybierany w wyborach bezpośrednich i ciąży na nim ogromna odpowiedzialność. Jednocześnie tę odpowiedzialność zdjęto z Rady. I to może być błąd. Jeżeli jest sprawny prezydent, dobrze zarządzający, to ten system jest dobry, jeśli jednak prezydent jest słaby, to jest to wielkie nieszczęście dla miasta. Siła Rady polega na kilku uchwałach w roku, m.in. o budżecie. Nawiasem mówiąc, Rada wcale nie musi podjąć decyzji, bowiem prezydent cały rok może pracować opierając się na prowizorium budżetowym. Prezydent tak pracuje, kiedy ma Radę przeciwko sobie. Nasza Rada zawsze uchwala budżet i to jest dobrą tradycją, pod koniec poprzedniego roku. W nowy rok wchodzimy z gotowym budżetem. Wiele spraw załatwiamy na zasadzie dobrych kontaktów z prezydentem, wiceprezydentami i dyrektorami departamentów. Choć nie zawsze, bo zdarzają się trudności. Władza wykonawcza jest władzą dominującą, i to jest niezadowalające. Mamy jednak szczęście do dobrych prezydentów, bo wszyscy trzej panowie sprawnie zarządzali Wrocławiem.

Rada może blokować wiele rzeczy. Może prowadzić stosunkowo skutecznie działalność negatywną, ponieważ powołanie wielu instytucji, zmiany organizacyjne w strukturze Miasta, czy to w szkolnictwie, czy też w innych instytucjach miejskich, to wszystko musi przejść przez Radę. Prezydent zdaje sobie sprawę, że jeżeli rozpocznie wojnę z Radą, to dobrze na tym nie wyjdzie. Rada z kolei nie jest w stanie go do niczego zmusić. Pozycja prezydenta jest tak silna, jak 37 radnych razem wziętych. To wynika z systemu.

Typowo zarządcze działania są wyłączną odpowiedzialnością prezydenta, natomiast wszelkie koncepcje i budowanie struktur organizacyjnych Miasta jest w dużej mierze zależne od opinii Rady.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Jestem człowiekiem naturalnie dobrze nastawionym do ludzi i moi współpracownicy, jak sądzę, bardzo to sobie cenią. Oczywiście na bieżąco dużo się tu dzieje, ale jest to dobra współpraca. Pani dyrektor jest osobą bardzo doświadczoną i w związku z tym jest w stanie przewidzieć wiele sytuacji. I to ja raczej pytam. Całe grono pracowników jest pod zdecydowaną kontrolą pani dyrektor, stosunki są sympatyczne. Widzę, że ci ludzie są spokojni, raczej się uśmiechają, a swoje robią. Nie zdarzyła mi się sytuacja, że coś ważnego nie zostało zrealizowane na czas, na odpowiednim poziomie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W tej dziedzinie największe zasługi ma pani Zdrojewska. W czasie, gdy była przewodniczącą wszyscy radni otrzymali laptopy. To jest wielkie ułatwienie i można powiedzieć, że praktycznie komunikacja pomiędzy radnymi

i Biurem Rady odbywa się drogą elektroniczną, co jest także wielką oszczędnością papieru, na całą kadencję to były tony. Została także zinformatyzowana sala obrad Rady. Pracę znacznie ułatwia dostęp do środków audiowizualnych, które możemy wykorzystywać w czasie obrad Rady Miejskiej. Posiedzenia są transmitowane w Internecie, każdy się może temu przyjrzeć. Przewodniczący i wiceprzewodniczący otrzymali podpis elektroniczny. Stopień informatyzacji Urzędu Miejskiego jest bardzo wysoki, jak na polskie warunki.

Musimy wprowadzić w Radzie pewne rozwiązania w kwestii techniki głosowania. Nasz system, zgodnie z obowiązującym prawem w tej kwestii, prowadzi do tego, że zdarzają się sytuacje, że nie możemy zapisać, w jaki sposób poszczególni radni głosowali. Mimo że głosowanie jest jawne, nie ma takiego zapisu, taki zapis istnieje w Sejmie, a nie ma go w samorządzie. Uważam, że jest to błąd. Technika głosowania polega na podnoszeniu ręki za, przeciw, wstrzymał się, i przyciśnięciu przycisku. To podniesienie ręki – ja czy inna osoba prowadząca sesję nie zawsze jest w stanie stwierdzić, czy ono jest zgodne z wynikiem, jaki wydrukowano. Były takie sytuacje, że wynik wcale nie był zgodny z tym, co się działo na sali. Muszą być przeprowadzone zmiany w systemie, ale niestety, jak się okazuje, także zmiany w prawie. Z tym jest bardzo trudno, bo musi to przejść przez parlament. Musi zatem powstać pewna grupa nacisku ze strony samorządu na Sejm, żeby wprowadzić pełną kontrolę głosowania. Jeśli głosowanie jest niejawne, to oczywiście zachowujemy tajemnicę.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, że kluby radnych powinny powstawać, ponieważ działanie grupowe daje siłę. Grupa dysponuje pewną liczbą głosów, a każdy głos w ważnej sprawie się liczy.

Nie uważam natomiast, że kluby powinny być związane ze strukturami politycznymi. Grupa tworzy się wokół ważnych spraw, nie powinna ona mieć nic wspólnego z partią polityczną, ponieważ okazuje się, że członek tej grupy musi głosować zgodnie z decyzją partii. Uważam, że kluby radnych powinny powstawać, ale raczej wokół problemów, a nie wokół partii. Struktura klubów partyjnych służy do wymuszania posłuszeństwa w czasie trudnych głosowań oraz do realizowania interesów partii, co często ma się nijak do interesów społeczności lokalnych.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Było ich bardzo wiele. W pamięci utkwiły ostatnie wybory do rad osiedlowych. To było bardzo ważne wydarzenie i bardzo deprymujące doświadczenie. Wydaje się, że jest to problem wymagający podstawowej dyskusji nad strukturą i sposobem organizacji miasta. Były to wybory, które zakończyły się totalną klęską. To jest dowód na to, że jest to nietrafna struktura. Albo nie jest potrzebna, albo jest źle zorganizowana. Zaproponowałem Radzie zorganizowanie dyskusji na ten temat i powołanie komisji według pewnego parytetu, proporcjonalnego do liczby członków poszczególnych klubów politycznych i klubu pana prezydenta. Okazało się to niemożliwe, ponieważ partie polityczne nie zgodziły się na ten parytet. W związku z tym przekazałem przewodniczącym klubów politycznych, ażeby porozumieli się, w jaki sposób będą dyskutowali na temat rad osiedli, organizacji i struktury miasta. Nie jestem optymistą, ponieważ temat staje się coraz bardziej polityczny ze względu na zbliżające się wybory. Teraz każda partia będzie chciała pokazać mieszkańcom: „Jacy to my jesteśmy dobrzy i jak dbamy o interes poszczególnych osiedli". W związku z tym nie sądzę, aby ten problem został rozwiązany do końca tej kadencji. Być może w następnej będą warunki do dyskusji.

Mamy dobry stan finansów miasta. Dobry, jak na warunki ekonomiczne kraju. Budżet na rok 2010 r., uchwalony w porozumieniu pomiędzy poszczególnymi klubami, uchwalony jednogłośnie, zabezpieczający wszystkie żywotne interesy Miasta. Dzięki temu budżetowi będą realizowane plany, które Miasto podjęło. Oznacza to także dość wysoki poziom zadłużenia, co jednak było planowane z zachowaniem bezpiecznej wielkości.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Mam kontakty z radami osiedlowymi Oporowa i Brochowa, placu Grunwaldzkiego. Działalność tych rad oceniam bardzo pozytywnie. Natomiast uprawnienia rad i ich możliwości finansowe są znikome. Ich finanse są prawie żadne. Jest to jednak pewna grupa nacisku, która mając dobre kontakty z radnymi miejskimi pewne działania na terenie osiedla jest w stanie przeprowadzić. Rady organizują różnego rodzaju kluby i świetlice dla ludzi starszych i dla młodzieży. Mogą przeprowadzać drobne zmiany związane z komunikacją, z lokalizacją przystanków czy częstością poruszania się środków komunikacyjnych. Takie sprawy są w stanie załatwić.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Uważam, że media nie informują o działalności Rady. Media informują tylko o tym, co jest dla nich interesujące.

Oczywiście są wyjątki. Organizowałem Dni Otwarte Samorządu. To była sobota. Rada Miejska była otwarta dla mieszkańców, można było odwiedzić pana prezydenta, zwiedzić kościół św. Elżbiety. Odwiedziło nas wówczas około 1200 osób. W tym przypadku prasa odegrała znaczącą rolę. Zadzwoniłem do pani Beaty Maciejewskiej, a jest to osoba wyjątkowa, i poprosiłem o zamieszczenie artykułu na temat historii samorządu w „Gazecie Wyborczej". Ukazał się znakomity artykuł, zachęcający do uczestnictwa w tym wydarzeniu i myślę, że miało to istotny wpływ na frekwencję. Zadzwoniłem do pani redaktor i podziękowałem.

Na co dzień pisze się bardzo mało. Z całego przebiegu sesji Rady informuje się tylko o podwyżkach albo o awanturach, które akurat nie są częste i najważniejsze. Moim wielkim rozczarowaniem z ostatniej sesji był

brak reakcji mediów na plan zagospodarowania pl. Społecznego. Jest to koncepcja nowego Wrocławia. Chodzi o wielką kilkudziesięciohektarową działkę, która uczyni Wrocław jeszcze piękniejszym albo zrobi mu wielką krzywdę. Tym powinna być zainteresowana prasa i wszyscy wrocławianie. Na publiczną dyskusję przyszły 4 osoby. A o dyskusji na ten temat w czasie Rady ukazały się niewielkie notateczki. To jest moje wielkie rozczarowanie, ponieważ jest to największy plan, jaki od 1989 r. był dyskutowany. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie, ale w moim przekonaniu koncepcja jest ciekawa. Był ogłoszony międzynarodowy konkurs i warsztaty organizowane przez Wydział Architektury. Pracowali nad tym studenci, czyli ludzie o bogatej wyobraźni. Uczestniczyli w tym także studenci z Londynu. To wszystko zebrano i zrobiono coś rzeczywiście ciekawego. Cała struktura nawiązuje do kształtu wybrzeża Odry. Przewiduje się zupełnie inny przebieg ciągów komunikacyjnych. Zmieni się rola pl. Społecznego. Gdy powstaną nowe obwodnice, to już nie będzie skrzyżowanie całego ruchu tranzytowego. Przed wojną Stare Miasto ciągnęło się do Odry. Dyskusja fachowców polegała na tym, czy rekonstruować, czy też stworzyć nową szansę. Wybrano drugą koncepcję. Warto by pokazać, że nad losem miasta pracuje się w wielkim trudzie i z ogromną wyobraźnią.





Bogdan ZDROJEWSKI
Prezydent Wrocławia w latach 1990-2001

Radny I, II i III kadencji.
Senator RP IV kadencji. Poseł na Sejm RP IV, V i VI kadencji.
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego od 2007 r.
Absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego
Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

I tak i nie. Z jednej strony moja wiedza o mieście okazała się dość obszerna, a przygotowanie zawodowe lepsze niż sam mogłem sądzić. Z drugiej jednak, część informacji o np. sytuacji finansowej miasta czy też obowiązujących mechanizmach władzy musiała być zweryfikowana i po części budowana od podstaw. Trzeba pamiętać, iż ustawodawstwo samorządowe było tworzone w trakcie kampanii wyborczej i to w ostrym sporze pomiędzy różnorodnymi środowiskami prawników i polityków. Przypomnę, iż np. Ustawa kompetencyjna powstała tuż przed ogłoszeniem wyników wyborów. A więc o super-przygotowaniu można było jedynie pomarzyć.

Wracając jednak do samego przygotowania, to dwa elementy decydowały o w miarę przyzwoicie zbudowanych dwóch kompetencjach: znajomości miasta i doświadczeniu zawodowym. Miałem wówczas zaledwie 33 lata i dość spory zasób różnorodnych doświadczeń. Zdążyłem skończyć dwa fakultety (filozofię i kulturoznawstwo), zdobyć dyplomy adiunkta kolei państwowych, technika ekonomii i organizacji przedsiębiorstw, a także np. technika obróbki skrawaniem. Miałem za sobą pracę w przedsiębiorstwie zbożowo-młynarskim (części zamienne), spółdzielni mieszkaniowej, dwóch wyższych uczelniach, a także dwuletni epizod pracy jako młodszy maszynista trakcji elektrycznej.

Siedząc w lokomotywach oglądałem Wrocław od strony licznych torów, stacji, podstacji, bocznic, *etc*. Pracując w przemyśle zbożowo-młynarskim musiałem dobrze poznać zakłady na Różance, makaroniarnie na Hubskiej, Młyny Maria czy też Sułkowice. Uzyskanie dyplomu z zakresu obróbki skrawaniem oznaczało przejście praktyk w takich gigantach, jak np. Pafawag, Polar, Dolmel, JASE i nie tylko. Od momentu przeprowadzki z Kłodzka do Wrocławia (na przełomie 1973/74 roku) każdego dnia byłem w innym miejscu miasta. Odwiedziłem wszystkie instytucje kultury, przede wszystkim oczywiście kina – było ich wówczas prawie pół setki. Pracowałem w kilku domach kultury, robiłem na zamówienia zdjęcia w prawie wszystkich parkach miasta. Można więc powiedzieć, iż z racji samej aktywności i różnorodności doświadczeń zawodowych miasto prawie nie miało przede mną tajemnic.

Prawie. Anachroniczny system zarządzania miastem był pierwszą niespodzianką. Struktura odpowiedzialności, kolejnym niemiłym wstrząsem. Stan finansów na papierze i w rzeczywistości (niezwykle rozbieżny) musiał wywoływać co najmniej niepokój. To, co jednak było źródłem największego niepokoju, to wynik badań społecznych, z których wynikało, iż ponad 70% wrocławian nie wiąże swojej przyszłości z miejscem zamieszkania i najchętniej miasto by opuściło.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W pewnym sensie tak. Każda praca, zwłaszcza ta społeczna oznaczała „dotykanie miasta" w różnych jego aspektach. Miałem także kilka szczególnych epizodów. Pracowałem np. w małych ośrodkach kultury Nowego Dworu (kluby Kleks, Meta). Trafiały tam dzieci z różnych domów i rodzin. Było to o tyle istotne, iż kontakt z patologiami i talentami wymuszał aktywność w pozyskiwaniu wiedzy o mechanizmach charakterystycznych dla każdej wielkiej aglomeracji. Z drugiej np. strony, pracując w ośrodkach socjologicznych (jeden z nich zakładałem i prowadziłem) zawodowo zajmowałem się elementami diagnozy społecznej miasta. Tam zetknąłem się z problemem braku akceptacji miejsca zamieszkania przez liczne grupy wrocławian czy też wrogości systemowej do procesów prywatyzacyjnych, czy też np. potencjalnej obecności kapitału obcego. Wyniki były zaskakujące i dość dramatyczne.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Z racji łączenia funkcji radnego i prezydenta praktycznie wszystkimi. Nie miałem jednak ani ambicji, ani możliwości bycia ekspertem w każdej dziedzinie gospodarki komunalnej. Od razu przyjąłem założenie, iż pozyskuję do pracy ludzi lepszych ode mnie w konkretnych obszarach kompetencyjnych. Tak zbudowałem np. zespół architektoniczno-urbanistyczny z Zygfrydem Zaporowskim na czele. Podobnie było z Bohdanem Aniszczykiem, który przyszedł do Urzędu wprost z Fundacji Brata Alberta. By móc korzystać z wielkiego potencjału Politechniki

Wrocławskiej ważne było zatrudnienie na stanowisku wiceprezydenta Andrzeja Olszewskiego. Żadnego z tych panów wcześniej nie znałem. Ale to oni swoimi kompetencjami, wiedzą, wyborami personalnymi decydowali o kształtującej się jakości rządzenia.

Pozyskanie ludzi klasy prof. Müllera, prof. Rozpędowskiego, inż. Rafała Guzowskiego, Tadeusza Bieńki, Wojciecha Sozańskiego, Zbigniewa Komara czy też Witolda Sumisławskiego budowało szansę wyprowadzenia Wrocławia na prostą w dość krótkim czasie. Do tego dochodził zespół ludzi o niezwykłych kompetencjach. Pamiętam fenomenalną pracę pań Hubickiej i Kapełko przy planach miejscowych Starego Miasta, czy też pani Liberskiej przy wszelkich nowych aktach prawnych. Przy tym wszystkim, tamtych wyborach, istotne było to, iż Urząd, samorząd był niezwykle otwarty. Pozyskiwanie takich osób, jak Adam Grehl czy też dr Tomasz Ossowicz odbywało się niezwykle naturalnie.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności i jednocześnie sukces I-III kadencji Rady?

Najważniejszym sukcesem pozostaje zbudowanie z prawdziwego zdarzenia integracji mieszkańców z miastem. Wykorzystanie szans na zbudowanie podstaw do dumy z Wrocławia. Oczywiście stało się to na raty. Poprzez silną identyfikację z najważniejszymi inwestycjami zmieniającymi oblicze miasta. Poprzez pozyskiwaną wiedzę o mieście, poprzez liczne bezpośrednie kontakty moje z mieszkańcami. A nawet dzięki permanentnej gotowości do odpowiadania na żywo w każdą niedzielę, na pytania w telewizji Echo, potem TeDe. Natomiast kluczowe dla budowy dumy z miasta miały zmiany w oblicza Rynku, placu Solnego, całego Ostrowa Tumskiego, porządkowanie zieleni, przełamanie niemocy na najważniejszych inwestycjach drogowych. Zmieniała się gospodarka komunalna, powstał port lotniczy z międzynarodowymi połączeniami, przyszedł wartościowy kapitał zachodni (Volvo, Danfos, Alfa-Laval, Bosch, *etc*.). Ale ten najważniejszy sukces upatrywałbym właśnie w sferze psychospołecznej.

Udało się zbudować fenomenalną identyfikację społeczeństwa z miejscem swojego zamieszkania, a co najważniejsze nie opartą na fałszu. Wspomniałem o tym, gdyż dziś nie pamiętamy, iż 20 lat temu we Wrocławiu walczyły ze sobą dwa fałszywe mity: pierwszy, iż nasze miasto było, jest i na zawsze będzie wyłącznie niemieckie, ze swej natury i historii, drugi, że wręcz odwrotnie: „tu każdy kamień mówi po polsku", a powrót do macierzy jest wyrazem dziejowej sprawiedliwości. Pokazanie wielokulturowości, złożoności, klasy tego miasta, jego historii było zadaniem niezwykle trudnym, ale oznaczało też zupełnie inne traktowanie także mojej funkcji gospodarza. Wielka potrzeba identyfikacji z nowo powstającym samorządem oznaczała konieczność zbudowania niezwykle transparentnej aktywności. Każda decyzja była konsultowana, tłumaczona i pokazywana w fazach realizacyjnych. Uzupełnieniem tej działalności było także upowszechnianie wiedzy o historii Wrocławia. Luka w tej materii była ogromna. Z tego też powodu zamówiłem publikacje w Instytucie Historii u prof. Wojciecha Wrzesińskiego, pani prof. Teresy Kulak, u dr Michała Kaczmarka, ale też u prof. Normana Daviesa. To ostatnie nazwisko było szczególnie ważne, bo gwarantowało nie tylko niezbędny dystans emocjonalno-polityczny, ale także szanse na promocję naszej historii w całej Europie.

Znając procesy społeczne, naturę mechanizmów budowania poczucia dumy, wiedziałem, iż dobra opinia gości, komplementy z zewnątrz, tworzona zazdrość z sukcesów miasta będzie także wpływać na samopoczucie samych wrocławian. Po inwestycjach w samym centrum miasta nadszedł czas przygotowania wizyt królowej Beatrix, Paoli, kanclerzy, premierów, prezydentów państw i wielkich artystów. Mogliśmy już z pełnym przekonaniem o sukcesie gościć także Jana Pawła II z niezwykle liczną grupą kardynałów z całego świata.

Dopiero na drugim miejscu stawiam gospodarkę komunalną. Nie Rynek, tylko właśnie gospodarkę komunalną. Bo ta w 1990 r. była w stanie kompletnej zapaści. Mieliśmy kłopoty z osadami, ogromną liczbę awarii wodociągowych, stanem rur przesyłowych, jakością wody uznawanej w Polsce za najgorszą. Do tego brak oczyszczalni ścieków, zatkane pola osobowickie i zanieczyszczana Odra. Kolejny element, to stan nekropolii, wyczerpane możliwości pochówku na cmentarzach Grabiszyńskim i Osobowickim i brak rezerw także na parafialnych. Bardzo dramatyczna ocena stanu zieleni, z której przecież Wrocław przed wojną wręcz słynął. Prawie każdy element gospodarki komunalnej wymagał natychmiastowej interwencji. Stan nabrzeży Odry groził katastrofą głównego budynku Uniwersytetu Wrocławskiego. Z prawie 100 mostów blisko 80 wymagało natychmiastowego remontu, podobnie jak sieć torowisk komunikacji tramwajowej. Średnia wieku autobusów to było blisko 10 lat itd., itd. Już dziś nikt nie pamięta, jak wyglądała gospodarka komunalna śmieciowa Wrocławia w roku 1990. Przełamanie w gospodarce komunalnej impasu to był wysiłek blisko 6-letni.

Pamiętam te chwile radości z pierwszych w Polsce parkingów wielopoziomowych, z wprowadzanych nowych technologii w remontach torowisk, budowanych mostów Dmowskiego, Mieszczańskich, Średzkich i tych dużo mniejszych. Wielkim świętem była dla nas zarówno uroczystość otwarcia oczyszczalni ścieków, jak i również nowej nekropolii na Kiełczowie. Mnie zaś osobiście wielką przyjemność sprawiało odbieranie nagród za zieleń, za park Szczytnicki, park Południowy, park Zachodni i na koniec za Ogród Japoński.

Dopiero na trzecim miejscu wymieniłbym dokonane zmiany w centrum miasta. Podkreślam wielkomiejskie centrum, a nie sam Rynek. Właśnie taka filozofia zagwarantowała sukces. Najpierw była wielka inwentaryzacja, potem przygotowywane cztery najważniejsze plany miejscowe, zmiany w strukturze aktywności gospodarczej

a następnie kompleksowy remont. Zmieniał się sam Rynek, plac Solny, Ostrów Tumski, ale także ulice: Świdnicka, Oławska, Wita Stwosza, Kiełbaśnicza, przejścia Sukiennicze, Garncarskie, a do tego pozyskani inwestorzy dla pasażu pod Błękitnym Słońcem czy dla rekonstruowanych kamienic w Sukiennicach czy też Pod Złotym Psem.

Gdybym szukał symboliki myślenia dla Rynku i Ostrowa Tumskiego, to najlepszą ilustracją dla kompleksowości zmian byłaby wspomniana ul. Kiełbaśnicza, czyli najszpetniejsza i najbardziej pechowa ulica Wrocławia lat 70. i 80. Dziś jedna z wzorcowych, jeżeli chodzi o przekształcenie, renowację, szacunek do historii, właściwe proporcje. Uporządkowanie natomiast Ostrowa Tumskiego było możliwe dzięki ogromnej determinacji wielu ludzi, ale też dzięki kardynałowi Gulbinowiczowi, który miał do mnie ogromne zaufanie. W ciągu praktycznie 11 lat mogliśmy zrealizować po kolei budynek za budynkiem, park za parkiem, nabrzeże za nabrzeżem.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Były dwa: gospodarka mieszkaniowa, a ściśle mówiąc tempo remontu starych kamienic, oraz nieprzekonanie radnych do koncepcji podzielenia Wrocławia na 11-12 obszarów administracyjnych. Zarządzanie całością miasta „z ratusza" – to błąd. Brak akceptacji Rady, a właściwie na koniec koalicjanta, nie pozwolił mi zakończyć procesu budowania ostatniego składnika samorządowej administracji

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dla mnie one były bardzo ważne. Traktowałem miasto i swój system zarządzania jako obywatelski. Spotykałem się ze wszystkimi, którzy mnie zapraszali. Byłem na każdym spotkaniu z mieszkańcami, bez względu na to, czy było ich 10., czy 100. Niektóre spotkania były burzliwe, ale tak rodziły się instytucje spoza sektora publicznego. Były to instytucje samorządów zawodowych, które przekształcały się w inicjatywy obywatelskie, np. te, które przyniosły Wrocławiowi eksplozję lekarzy rodzinnych, była to również idea likwidacji domów dziecka i tworzenia rodzin zastępczych – Wrocław absolutnie był tu prekursorem.

Najważniejsze dla mnie były te środowiska zawodowe, które decydują o jakości miasta. Współpraca z uczelniami wyższymi była praktycznie doprowadzona do perfekcji. Korzystałem z sił Politechniki: współpracowałem z zespołem prof. Kmity, chemikami, którzy bardzo nam pomogli w zmianach technologicznych produkcji wody, ze środowiskami zajmującymi się architekturą krajobrazu. Ilustracją panującej zgody i świetnej współpracy były nawet wspólne dla całego środowiska akademickiego inauguracje roku akademickiego.

Także środowiska gospodarcze, przecież tak mocno poturbowane w pierwszym okresie, na skutek wielu rozmów i permanentnych kontaktów szybko wpisały się w transformację miasta. Opinia o wielkim szacunku dla podmiotów gospodarczych miasta była dla mnie wielkim komplementem, zwłaszcza, że najpierw przyszła z zewnątrz, w efekcie porównania. Pamiętam, ile zabiegów było potrzeba, aby Wrocław stał się miastem zgody. Udało się doprowadzić do tego, że wszystkie siły polityczne współpracowały z samorządem. Z wszystkimi rządami zbudowaliśmy przynajmniej przyzwoity system współpracy. W związku z tym chętnie w mieście bywali i Lech Wałęsa, i Aleksander Kwaśniewski, i Leszek Miller i Jan Krzysztof Bielecki. To ważne, bo za tymi wizytami pojawiły się kolejne i to już z gośćmi zagranicznymi. Pamiętam, jak Jerzy Buzek zaprosił właśnie do Wrocławia kanclerza Kohla, a np. kardynał Gulbinowicz dzisiejszego gospodarza Watykanu wówczas kardynała Ratzingera.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność?

Codziennie spotykałem się z wyborcami – przyjmowałem od kilku do kilkunastu osób. Nie było tak, że przyjmowałem tylko np. we środy czy soboty, ale codziennie. Było to niezwykle uciążliwe, ale niezwykle cenne. Raz w tygodniu miałem spotkania w telewizji Echo, gdzie każdy mieszkaniec mógł zadzwonić i bardzo mi zależało, żeby rozmowy nie były selekcjonowane, tylko leciały na żywo. Zdarzało się tak, że odbierałem telefony bez pośrednictwa centrali. Jak policzyłem, miałem także w ciągu roku od 50 do 70 spotkań z mieszkańcami poza siedzibą ratusza. Te spotkania były różne. W szkołach podstawowych, domach kultury, parafiach, radach osiedli, a nawet w mieszkaniach prywatnych różnych społeczników. Regularnie chodziłem na spotkania Dolnośląskiej Izby Lekarskiej, Izby Rzemieślniczej, Izby Gospodarczej, Towarzystwa Miłośników Wrocławia, kolegia Rektorów Szkół Wyższych. Tych spotkań było bardzo dużo. Dzięki temu wiedziałem, co naprawdę się dzieje i co komu dolega (śmiech). Odwiedzałem także stulatków, by osobiście złożyć im życzenia, ale także, by sięgnąć gdzieś w głąb historii losów pionierów Wrocławia. Do tego, spotkania w szkołach z licealistami i uczniami szkół zawodowych. Istotne było dla mnie, aby podejmowane w ratuszu decyzje miały swoje korzenie w konkretnej przestrzeni miasta, materialnej i społecznej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Miałem dobry początek i on zadecydował o tym, jak się to potoczyło. Ten dobry początek, to dwie osoby. Pan prof. Miękisz, osoba, która, moim zdaniem, zbudowała wzorzec przewodniczącego Rady i najlepszy wzorzec kontaktów radnych z prezydentem. Rada była prowadzona w sposób absolutnie autentyczny, z wielkim szacunkiem do wszelkich relacji i rozmaitych wrażliwości. Trzeba też pamiętać, iż ówczesny samorząd był organizmem niezwykle żywym. Sesje trwały dwa dni i kończyły się nierzadko po północy. Bywało tak, iż w efekcie emocji niezbędna była pomoc medyczna. Ale wszystko to było dowodem autentyczności i prawdziwych emocji. Profesor Miękisz gwarantował, przy tej żywiołowości, wysoki poziom finalnych uzgodnień. Dla mnie jest to taki czas, który

wspominam z ogromnym sentymentem, choć wiem, ile mnie to kosztowało. Wszyscy staraliśmy się szukać nie kompromisów, ale najbardziej optymalnych rozwiązań. Wymagało to osobistego zaangażowania i dużej pokory. Pamiętam, iż nie było szans na to, bym opuścił sesję, choć na moment. Byłem od początku do końca, a zwłaszcza na pytaniach radnych. Profesor Miękisz pomimo pewnej surowości tak zbudował współpracę, że wszystkie strony ówczesnych sporów dziś patrzą na niego z wielkim szacunkiem. Warto przy tej okazji wspomnieć drugą osobę, którą była pani Janina Śledzińska. Kierowała zespołem Biura Rady i od samego początku prezentowała profesjonalizm bez zarzutu. Ta sprawność organizacyjna wynikała, można powiedzieć, i z wiedzy, i z kultury osobistej, a także naturalnego szacunku wobec wszystkich. Znam historię i różne koleje losów wielu miast i uważam, że wrocławski zespół Biura Rady był najlepszy w Polsce.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Sesje Rady na samym początku były bardzo siermiężnie. Odbywały się przy pl. Nowy Targ, nie było klimatyzacji, głosowano przez podnoszenie rąk, liczenie, od czasu do czasu były reasumpcje, bo brakowało głosów. Ale, pamiętam, Sejm w tym samym czasie obradował tak samo, byli sekretarze, którzy liczyli głosy i to nie 70, lecz 460. Natomiast każdy radny miał dostęp do każdego dokumentu, mógł uczestniczyć w każdym postępowaniu. W Sukiennicach mieliśmy już klimatyzację, właściwe oświetlenie. Co było jednak ważne, radnym bardzo zależało na tym, by, owszem, warunki mieć w miarę dobre, ale nie było żądań przesadnych. Każde stopniowe podnoszenie jakości i warunków pracy było odbierane bardzo dobrze zarówno przez radnych, jak i wyborców. Wszyscy wiedzieli, że Wrocław powinien mieć miejsce, które pokazuje klasę tego miasta. Dlatego też ratusz, Sukiennice, te wszystkie elementy, które były budowane z myślą o funkcjach reprezentacyjnych, dobrze zaprojektowane, były dobrze odbierane.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W komisjach nie pracowałem, jako prezydent nie byłem członkiem komisji. Tylko na samym początku takie przypisanie było. Pomimo tego moja obecność na wielu komisjach była prawie standardem. Doktorant opisujący samorząd wrocławski doliczył się w ciągu 10 lat mojej obecności na blisko 200 komisjach. Byłem na wszystkich posiedzeniach Komisji Budżetu, które dotyczyły projektu budżetu, zmian w budżecie i sprawozdań z jego wykonania.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych mają sens i budują podstawę funkcjonowania radnych. Na samym początku miały charakter bardzo silnej identyfikacji z określoną formacją polityczną. Dziś jest większe bogactwo możliwości. Ważne jest, aby klub w swojej formule nie zniewalał swoich członków, ale też, aby dyscyplina odpowiedzialności za samą pracę nie była pozorna.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Tego jest oczywiście dużo, ale najważniejsza jest powódź. To wówczas więzi społeczne i wzajemne zaufanie miały największe znaczenie. Dla mnie ta katastrofa to najbardziej traumatyczne przeżycie, ale jednocześnie najtrudniejszy sprawdzian roli i funkcji gospodarza miasta. W pamięci pozostają zarówno piękne postawy ludzi, nadzwyczajne zaangażowania, a także odsunięte na daleki plan wszelkie różnice. Potem przychodzi pełna świadomość skali zagrożenia i poczucie ulgi, że z najgorszym jednak się uporaliśmy. Moja osobista satysfakcja z tego czasu ma jednak źródło w decyzjach podjętych kilka lat wcześniej. Najpierw udało się wyremontować spore odcinki wałów w centrum miasta. A na koniec w efekcie już mojego osobistego uporu – cały centralny odcinek wału przeciwpowodziowego na wyspie piaskowej. Udało się go skończyć na dwa tygodnie przed powodzią!

Innym wydarzeniem, do którego chętnie sięgam pamięcią, jest otwarcie Rynku po remoncie. Pamiętam ten stół dookoła Rynku, panującą atmosferę, zgodę wszystkich ze wszystkimi, wielką radość, dumę i poczucie właśnie wspólnego sukcesu. Do tego obrazek dnia następnego. Dość wcześnie siedzę z Lebensteinem w ogródku restauracyjnym i słyszę głos radnego, najbardziej aktywnego opozycjonisty, który oprowadzając grupkę jakichś znajomych z dumą mówił o wielkim sukcesie renowacji Starego Miasta, w którym miał swój niewątpliwy udział.

Z innych historii, do których lubię wracać – był spór w Radzie o stan gastronomii. Było to w czasie pierwszych przetargów i zamykania pierwszych restauracji, np. „Ratuszowej".

Właśnie do niej został zaproszony pan Tadeusz Mazowiecki – premier rządu. Po dniu pracy, postanowiliśmy go przyjąć gdzieś niezbyt daleko. Wyboru zresztą wielkiego nie było, bo poza hotelowymi zaledwie trzy, cztery restauracje miały jakąś renomę. Zeszliśmy na dół do części piwnicznej. Usiedliśmy w dość przygnębiającym kącie. Był strasznie brudny obrus, prosiliśmy o zmianę – przyszła pani i obróciła go na drugą stronę. Podała łyżki aluminiowe, zimny barszcz. Niestety, barszcz postawiono tak nieszczęśliwie, że lekko, kropelkami, co prawda, ale pochlapano pana Tadeusza Mazowieckiego. On to wszystko niezwykle dzielnie znosił, ale na koniec, w związku z tym, że taka historyczna wizyta w jakiejś restauracji, poprosił o książkę, żeby mógł się wpisać. Pani, która podeszła, powiedziała, że oni w ogóle książki nie podają, a zażalenia trzeba składać do Komitetu Wojewódzkiego. Na następny dzień podjęliśmy z Krzysztofem Turkowskim decyzję o zamknięciu „Ratuszowej" i zrobieniu przetargu – tak pozyskaliśmy Spiża.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem zwolennikiem silniejszych rad osiedli. Uważałem, że jeżeli będą one silniejsze i będą operować na troszkę większym terenie będą miały szanse na większe kompetencje. Nie chciałem jednak tego narzucać. Uważałem, co także nie przeszło, że rada osiedla powinna być konstytuowana wówczas, kiedy frekwencja w danym osiedlu jest powyżej 10 %. To oznaczałoby eliminowanie tych pojedynczych aktywności, które nie mają wsparcia społecznego. Jednocześnie mielibyśmy zmienną mapę rad osiedli, bo powstawałyby one tam, gdzie jest na nie zapotrzebowanie społeczne, gdzie jest coś do załatwienia, dlatego że łatwo zainteresować mieszkańców, jak wszyscy na osiedlu mówią: powołujemy w tym roku radę na tę kadencję, bo chcemy mieć park, pan ma to załatwić, mobilizujemy się wokół zadania. Musimy zbudować zainteresowanie mieszkańców – wtedy te 10% pójdzie do wyborów, zagłosuje na określonych radnych.

Przyjęto koncepcję taką, jaką wymyślili sobie wówczas radni osiedlowi, czyli że rad osiedli jest bardzo dużo. W związku z tym one są tylko i wyłącznie ciałami opiniodawczymi, wspomagającymi, ciałami pomocniczymi, tak, jak to wynika z ustawy. Rad osiedli we Wrocławiu jest za dużo. Ich struktura powinna być odzwierciedleniem stanu majątkowego, a zwłaszcza struktury własności na danym terenie. Inaczej się współpracuje z radą osiedla, która jest na Muchoborze i Nowym Dworze, a inaczej z radą, która jest na Starym Mieście. Dziś mamy tak, jakby pochodziły z jednej sztancy.

Są jednak ciałem, niewątpliwie, potrzebnym, dającym szanse na weryfikowanie wiedzy urzędników. Dla mnie nie ulega też wątpliwości, że to rada osiedla powinna decydować, gdzie jest przystanek, jak wygląda zatoczka, gdzie powinny być pojemniki na selekcję makulatury, szkła itd., jak powinno wyglądać otoczenie szkoły, przedszkola, jak powinny wyglądać skwerki, trawniki, a zwłaszcza ścieżki prowadzące do domów. Te wszystkie pozornie drobne rzeczy, ale tak kluczowo ważne, powinny być wręcz rozstrzygane przez rady osiedla.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Nie oceniam. Co prawda, mam wrażenie pewnej powierzchowności i doraźności, ale ocen szczegółowych wolę nie ferować. Natomiast moje 11 lat współpracy z mediami oceniam bardzo wysoko. To wtedy ukazywał się cykl „Jak minął tydzień, panie prezydencie?", pytania „Czytelnicy do nas", „My do prezydenta", rozmowy w telewizji Echo i TeDe „Czas dla prezydenta", „Czas dla Wrocławia". Dziś debatę często psuje anonimowość internetowa. Zbyt wiele jest agresji, wulgaryzmu, bylejakości i nierzetelności. Mamy kryzys debaty o mieście. Impuls do dyskusji o mieście powinien wychodzić z Ratusza – brakuje tego.





Leon KIERES

Przewodniczący prezydium Sejmiku Samorządowego we Wrocławiu

Radny I i II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego. Założyciel i członek prezydium Krajowego Sejmiku Samorządu Terytorialnego.
Delegat do Kongresu Władz Lokalnych i Regionalnych Rady Europy oraz jej wiceprzewodniczący do 2004 r.
Senator RP w kadencji 1997-2000 oraz od 2007 r.
Założyciel i prezes IPN w latach 2000-2005.
Profesor zwyczajny nauk prawnych.

Jakie były początki pierwszej, demokratycznie wybranej wrocławskiej Rady Miejskiej? Na ile byliście państwo przygotowani do pełnienia funkcji radnego w zupełnie nowej rzeczywistości?

Zajmuję się prawem administracyjnym. Dzisiaj prawem administracyjnym gospodarczym, ale w tamtym czasie strukturami władz lokalnych i regionalnych, ich organizacją w Polsce. Samorządnością zajmowałem się w związku zawodowym, którego członkiem jestem do tej pory. Jako członek „Solidarności" przygotowywałem różnego rodzaju opinie, ekspertyzy oraz statuty dla samorządu załóg przedsiębiorstw państwowych. Na wykładach z administracyjnego prawa gospodarczego omawiałem problematykę samorządu, także samorządu terytorialnego. Od 1989 r. byłem ekspertem Komisji Samorządu Terytorialnego Senatu. O pomoc poprosiła mnie pani prof. Teresa Rabska, która była oficjalnym ekspertem. Wspólnie przygotowaliśmy, do dzisiaj tylko w niewielkim stopniu nowelizowany, rozdział ustawy o samorządzie terytorialnym poświęcony mieniu komunalnemu. Ta ustawa obecnie nosi nazwę ustawy o samorządzie gminnym. Tak więc byłem przygotowany, ale od strony teoretycznej, nie praktycznej.

W 1989 r. byłem sekretarzem Komisji Zakładowej „Solidarności" na Uniwersytecie Wrocławskim. Dolnośląski Komitet Obywatelski, zwłaszcza Rafał Dutkiewicz i Romuald Siepsiak, konsultowali ze mną problematykę organizacji i wyborów – wówczas do rad gmin. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będę kandydował do Rady Miejskiej. W 1990 r. Komisja Zakładowa zdecydowała o przedstawieniu mojej kandydatury Wrocławskiemu Komitetowi Obywatelskiemu, którego byłem nieoficjalnym konsultantem. Nie chciałem kandydować do Rady Miejskiej, zdecydowanie stawiałem opór. Nakłaniano mnie do zmiany zdania, m.in. pani prof. Krystyna Bukietyńska, wiceprzewodnicząca Komisji Zakładowej „Solidarności" UWr., która jest niezwykle energiczna, a także inne panie z Komisji. Sposoby perswazji były różne. Jeśli siła argumentów nie przekonywała, to próbowano użyć argumentu siły – żartuję oczywiście. Nie zgodziłem się. Znając ustawę, powiedziałem, że mogę zostać członkiem jednej z komisji Rady Miejskiej Wrocławia spoza grona Rady. Wówczas ustawa dopuszczała członkostwo w komisjach rad gmin nie tylko radnych, ale także osób nie będących radnymi. Wreszcie, pamiętam to do dzisiaj, było spotkanie w sali Balzera UWr. z udziałem Rafała Dutkiewicza i Władysława Frasyniuka, z działaczami „Solidarności" z całego regionu. W przerwie tego spotkania Rafał Dutkiewicz i Władysław Frasyniuk po raz kolejny przyszli nalegając, żebym kandydował do Rady Miejskiej. Pamiętam, jak zbliżali się do mnie, a ja się cofałem w kierunku okien wychodzących na ulicę Grodzką. Wtedy powiedziałem, no dobrze, to już się zgadzam. To był chyba kwiecień, a może nawet jeszcze marzec. Tak więc w sali Balzera, postawiony pod oknem wyglądającym na ul. Grodzką – zgodziłem się. Kandydowałem z okręgu Psie Pole. Z tego okręgu kandydował również Sławomir Najnigier, który do tej pory mówi, że był to jedyny raz, gdy z Kieresem wygrał wybory. S. Najnigier był na pierwszym miejscu listy, ja byłem na drugim. Po tych wyborach, ujawniam tutaj pewną specyficzną sytuację, odbyło się w sali Banacha, na parterze Gmachu Głównego Uniwersytetu, spotkanie radnych Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego. Był Rafał Dutkiewicz, ale także pani Teresa Michalska – dzisiaj postać zapomniana, ale wtedy bardzo aktywna pani, prowadząca później sprawy Komitetu Obywatelskiego we Wrocławiu. Wtedy poznałem Bogdana Zdrojewskiego, wtedy także zaproponowano mi wybór – albo funkcję prezydenta Wrocławia, albo przewodniczącego Sejmiku Samorządowego Województwa Wrocławskiego. To był maj 1990 r. Pamiętam radną panią Ewę Sudnik, która w czasie tego zebrania także nalegała, żebym zgodził się zostać prezydentem Wrocławia. Powiedziałem, że mogę zostać radnym Sejmiku Województwa Wrocławskiego, no i ewentualnie później jego przewodniczącym, bo jednak prezydentura wymagałaby pełnego zaangażowania zawodowego, a ja byłem wtedy profesorem uniwersyteckim i uważałem, że kariera akademicka, obowiązki akademickie są moim powołaniem. Wtedy przedstawiono Bogdana Zdrojewskiego, jako drugiego kandydata. Tak jak Sławomir Najnigier kiedyś o mnie powiedział, że raz ze mną wygrał wybory, podobnie można powiedzieć, że raz również była taka sytuacja, kiedy ja byłem pierwszy przed Bogdanem Zdrojewskim. Mogłem zostać prezydentem Wrocławia, ale zrezygnowałem z tej funkcji na rzecz godniejszej.

Po ukonstytuowaniu się Rady Miejskiej i wybraniu prof. Stanisława Miękisza na funkcję przewodniczącego Rady wybrano delegatów Rady Miejskiej Wrocławia do Sejmiku Samorządowego. Wówczas radni, czyli tzw. delegaci, nie pochodzili z wyborów bezpośrednich. Radnych do Sejmiku, proporcjonalnie do liczby ludności gminy, wybierali spośród siebie radni gminni. Znalazłem się w grupie chyba 9 radnych Rady Miejskiej Wrocławia, którzy byli jej delegatami w Sejmiku Samorządowym, a Sejmik wybrał mnie na funkcję przewodniczącego prezydium Sejmiku Samorządowego.

Co Pan uważa za największy sukces swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Wtedy wszystko robiliśmy od początku. Największym sukcesem jest to, że potrafiliśmy się zorganizować. Nie było podziałów. Uważam, że jak na pierwszą kadencję to była dla nas dobra sytuacja. Kłótnie, spory są nieodłącznym elementem życia publicznego, zwłaszcza w organach przedstawicielskich. Jednak wówczas, kiedy budowaliśmy zręby samorządności, złym przekazem adresowanym do społeczeństwa, które też przecież nie wiedziało, co jest solą, co jest istotą samorządności terytorialnej, byłoby gdybyśmy rozpoczęli od sporów. O wiele trudniej także byłoby pokonywać kolejne etapy mitręgi związanej z organizacją instytucji komunalnych, z komunalizacją mienia, czyli jego przejmowaniem, a następnie prywatyzacją. To my wymyśliliśmy wówczas tzw. samoprywatyzację, co oczywiście z nazwy nie było szczęśliwym określeniem, bo sugerowało, że coś „samo się prywatyzuje". Nam jednak chodziło o spacyfikowanie nieprzychylnych nastrojów dla prywatyzacji ze strony tego rodzaju instytucji, jak MHD, PSS, WSS. Chcieliśmy – i to, m.in., tłumaczyłem radnym – żeby ci, którzy prowadzą biznes byli na swoim. Wiedzieliśmy, że początkowo trudno nam będzie przekonać wszystkich radnych do propozycji sprzedaży, zbycia, czyli przekazania na własność dotychczasowym najemcom czy innym podmiotom, lokali użytkowych i sklepów. Proponowaliśmy więc pracownikom sklepów, żeby zakładali spółki cywilne, bo w ten sposób będą mieli preferencje przy zawieraniu umów na korzystanie z tych lokali, a następnie, jeśli będzie ich na to stać, na kupno. Uważam, że była to jedna z najlepszych koncepcji prywatyzacji mienia komunalnego w sferze lokali użytkowych, jakie znam w Polsce. Pozwoliła nam na uniknięcie kontrowersji. Za przygotowanie tej koncepcji w szczegółach bardzo dużą cenę zapłacił Krzysztof Turkowski. Musiał się wycofać z kandydowania do Rady Miejskiej Wrocławia drugiej kadencji. Proces prywatyzacji lokali użytkowych we wrocławskim Rynku, za który przejął personalną odpowiedzialność, nie przysporzył mu popularności, zwłaszcza w niektórych środowiskach. Dzisiaj jest w Warszawie, ale uważam, że trzeba to nazwisko przypomnieć, jako osoby, której Wrocław naprawdę wiele zawdzięcza, gdy idzie o uporządkowanie sfery własnościowej, stosunków majątkowych, w odniesieniu do lokalów użytkowych.

Nie wprowadzaliśmy gospodarki rynkowej do zasad zarządu mieniem komunalnym w sposób gwałtowny. Musieliśmy się liczyć z nastrojami społecznymi. Ludziom wmawiano, że jak ktoś kupi lokal to w ten sposób uwłaszczy się na naszym wspólnym mieniu. Ciągle były obecne resentymenty z epoki socjalizmu, tego realnego socjalizmu, kiedy ludziom wmawiano, że jeśli nie ma realnego właściciela, to znaczy, że wszyscy jesteśmy właścicielami. Ludzie uważali, że mienie publiczne jest własnością samorządu terytorialnego, czyli nas wszystkich, więc jeśli my się wyzbywamy składników tego mienia, wysprzedajemy lokale, to dokonujemy gwałtu na naszej powszechnej własności. Dzisiaj jest oczywiste, że Miastu zależy na sprzedaży nieruchomości. Wtedy sprzedaż była rozumiana jako wyzbywanie się na rzecz „prywaciarza".

Jeżeli chodzi o ustrój, to wtedy przygotowaliśmy Statut Wrocławia, podzieliliśmy Wrocław na osiedla, nie tylko w sensie terytorialnym. Staraliśmy się upodmiotowić rady osiedli czy osiedlowe wspólnoty mieszkańców. Moim zdaniem, dzisiaj ta instytucja jest już przeżytkiem. Należy wrócić do samorządu dzielnicowego. Wtedy była to koncepcja, przez którą chcieliśmy zakorzenić samorządność w świadomości konkretnych mieszkańców.

Statut Wrocławia był wzorcowy. Większość dokumentów, które opracowywaliśmy we Wrocławiu czy w Sejmiku Samorządowym Województwa Wrocławskiego była później upowszechniana jako dokumenty wzorcowe, służące jako przykład dobrej legislacji samorządowej, dobrego prawa miejscowego. Województwo wrocławskie i sam Wrocław przez wiele lat był przykładem tego, co się nazywa dobrą samorządnością terytorialną. Nie chcę mówić o swoich zasługach, chociaż, jak wielu ludzi, jestem próżny i łasy na pochlebstwa. Przyjemnie mi było, jak kiedyś radny Edmund Galek, przewodniczący Komisji Rolnictwa w Sejmiku, wrócił zadowolony z jakiegoś ogólnopolskiego spotkania, na którym powiedział, że dziwi się problemom, jakie tam mają, na co ktoś z Ustrzyk czy Międzyzdrojów mu odpowiedział, „a bo wy tam Kieresa macie, to..." Pełniłem funkcje społecznie, bez wynagrodzenia, ale ile by człowiek dał, żeby zamiast pieniędzy usłyszeć tego rodzaju komplementy. Przecież ja wtedy nie robiłem tego dla siebie, nie miałem z tego żadnych pożytków. Potem okazało się, że były z tego pożytki, kandydowałem do Senatu, itd. Jednak do dzisiaj dzieci mi przypominają, że nie miałem urlopów. Ten okres miał także znaczenie dla mojej pracy naukowej, chociaż wtedy jeszcze nie byłem kierownikiem Zakładu Prawa Administracyjnego Gospodarczego, którym dzisiaj kieruję. Może więcej bym osiągnął w życiu naukowym, chociaż inni z kolei mówią, że moje publikacje na tematy samorządowe dotyczące administracji gospodarczej nie miałyby tej wartości, gdybym nie miał okazji skonfrontowania regulacji prawnych z praktyką ich stosowania. I odwrotnie, na pewno nie byłoby tak, jak było na pierwszej sesji Sejmiku, tej wyborczej, kiedy mnie wybrano – w czerwcu 1990 r. Mianowicie, kiedy mnie pytano, jak zamierzam zorganizować Sejmik, przesłuchiwano mnie jako kandydata, to

wyjąłem z teczki projekt statutu Sejmiku, który wcześniej sam napisałem. Powiedziałem: wy już nie będziecie tego musieli pisać. W innych sejmikach miesiącami przygotowywali uregulowania prawne. Pamiętam, późniejszy przewodniczący komisji samorządowej, która się zajmowała tym statutem, a dzisiejszy wicemarszałek województwa dolnośląskiego Grzegorz Roman, już tylko pracował z zespołem nad tym dokumentem. W ciągu paru tygodni Sejmik jako pierwszy w Polsce miał przygotowany statut. Gdybym nie był prawnikiem to na pewno by tego nie było. Napisałem ten statut od marca do czerwca, kiedy się przygotowywałem do wyborów do Sejmiku.

W Sejmiku Samorządowym pracowałem intensywnie, zwykle wracając do domu na nocleg. W woj. wrocławskim było 40 gmin, każda gmina miała podobne kłopoty jak we Wrocławiu. W Miękini, Środzie Śląskiej, w Długołęce, Mietkowie, Krośnicach, Bierutowie itd. były to kłopoty może w mniejszej skali, ale były to kłopoty takie same. Wójtowie nie byli przygotowani do pełnienia nowych funkcji.

Co uznałby Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Powiedziałbym, iż to przede wszystkim komunikacja, drogi, ulice Wrocławia. Jest to jednak materia, która rodzi wyzwania wielopokoleniowe. Należy też pamiętać, że nie mieliśmy doświadczeń, gdy idzie o kontraktowanie, czyli zlecanie zadań firmom. Niestety, to, co różni naszych wykonawców od wykonawców zagranicznych, także jeszcze dzisiaj, to siermiężna technologia i wykonawstwo. A zwłaszcza wówczas. Dzisiaj, kiedy po kilku latach znowu trzeba remontować wrocławskie ulice, to jest to skutek właśnie tego, jak pracowali wówczas wykonawcy, także firmy, które jeszcze dzisiaj są obecne na rynku komunalnych inwestycji miejskich. Dla mnie jest to trudne do zaakceptowania. Nie wiem, na ile te złe technologie zastosowane przy remontach ulic były efektem nieudolności, świadomego czy niegodziwego wyboru, a na ile poziomem odpowiadały poziomowi rozwoju technologicznego, gdy idzie np. o materiały, technologię budowy czy przebudowy ulic.

Nie mieliśmy wówczas pieniędzy. Wrocław przejął finanse miejskie w sytuacji dramatycznej. O tym się dzisiaj nie pamięta. Miasto było zadłużone, nie tak, żeby ogłosić upadłość, samorządy terytorialne nie podlegają prawu upadłościowemu, ale jednak miasto obciążone było różnego rodzaju zobowiązaniami finansowymi. Do dzisiaj pamiętam, co powiedziałem Bogdanowi Zdrojewskiemu, gdy został prezydentem. Mówiłem: jeżeli nie potrafisz uratować mostów, sparaliżujesz całe miasto. Bogdan Zdrojewski rzeczywiście rozpoczął politykę inwestycji w układ komunikacyjny, w ratowanie mostów, ich remonty. To oczywiście odbyło się ze szkodą dla remontu ulic, co nie zawsze przynosiło nam uznanie ze strony mieszkańców.

Tak naprawdę to nie widzę wielkich porażek w tym mieście. Co więcej, za moją namową Bogdan Zdrojewski przejmował wówczas szkoły podstawowe. Dzisiaj jest to zadanie obowiązkowe gmin, wtedy było to zadanie kuratora. Dzięki moim rekomendacjom i staraniom, na wniosek gminy w woj. wrocławskim 27 na 40 gmin przejęło oświatę podstawową, dokładając w ten sposób, chociaż nie musiały, do finansowania szkół. Także Wrocław, a obok niego 20 innych gmin wrocławskich przejęło lecznictwo otwarte, chociaż nie musiało. Kiedy dzisiaj oceniamy woj. dolnośląskie, okazuje się, że gminy byłego woj. wrocławskiego nie mają tych problemów z oświatą i służbą zdrowia, jakie miały i mają pozostałe gminy z trzech byłych województw dolnośląskich: Wałbrzycha, Jeleniej Góry i Legnicy. Przy wsparciu Janusza Zaleskiego, ówczesnego wojewody, uprzedzająco reagowaliśmy na pewne wyzwania związane z tymi sferami aktywności.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Nie było ich wówczas tak dużo jak dzisiaj.

Nie jestem „nawiedzonym samorządowcem". Wbrew temu, co można by sądzić, nie uznaję, że samorząd jest remedium czy panaceum na wszystkie bolączki życia współczesnego, chociaż bez samorządu nie wyobrażam sobie ustroju państwa. Współczesnego, nowoczesnego państwa. Omnipotencja państwa byłaby przykładem na chorobę, państwo nie może decydować o tym, gdzie postawić szkołę, wymienić rurę itd. Tak było w systemie rad narodowych. Moim zdaniem, współpraca z organizacjami pożytku publicznego, stowarzyszeniami wówczas dopiero kiełkowała. Nie byliśmy opozycyjni wobec tego rodzaju inicjatyw.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Były różnego rodzaju spory, ale generalnie wspieraliśmy Zarząd, prezydenta. Dzisiaj jest to organ jednoosobowy, wtedy był to organ kolegialny na czele z prezydentem Wrocławia. Zarząd był organem wykonawczym, ale oczywiście nie wszyscy radni potrafili zrozumieć, że np. ustawa mówi, iż gminę na zewnątrz reprezentuje prezydent, a nie przewodniczący Rady, że radni mają funkcje kontrolne, ale nie zarządzające. Trudno było zakorzenić w świadomości radnych, że funkcja kontrolna nie może mieć charakteru paraliżującego działalność organów wykonawczych, że funkcja kontrolna nie oznacza funkcji decyzyjnej, że to prezydent odpowiada za wykonywanie uchwał. To się zmieniało stopniowo.

W drugiej kadencji w Radzie Miejskiej podzieliliśmy się. Nie chodzi tylko o prof. Jerzego Przystawę, Ewę Sudnik czy też Antoniego Lenkiewicza. Stosunkowo silny klub lewicy. Pamiętam pierwszą sesję Rady Miejskiej Wrocławia II kadencji, kiedy lewica nie uzyskała funkcji wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej. Radny Cyrul wygłosił wtedy przemówienie – pełne pretensji, niepozbawione racji – w którym podkreślał, że istotą demokracji jest także dzielenie się władzą z opozycją. Odpowiedziałem mu wtedy: nie może pan zapomnieć o historii tego

miasta, nie tylko tej Rady, ale tego miasta, roli, jaką odgrywaliście w poprzednim systemie. Obok siedział Ryszard Maj, był wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej, który poparł mnie w tej sprawie.

Opozycja w II kadencji była silna. Była bardzo krytyczna, dochodziło do istotnych sporów w różnych sprawach, gdy idzie o komunalizację mienia, także zarządzanie mieniem, prywatyzację. Po stronie opozycji pojawiały się pewne elementy socjalne, powiedziałbym nawet socjalizujące. Nie prywatyzować, nie inwestować, tylko pomagać biednym ludziom. Innymi słowy, zauważyłem, że wówczas po tamtej stronie pojawiała się koncepcja zła – kupujmy ludziom ryby, zamiast dawać im wędki.

Jak układała się współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Jak najlepiej. Miałem tak duże zaufanie do pani dyrektor Janiny Śledzińskiej i jej współpracowników, w zasadzie współpracowniczek, o ile pamiętam, Biuro to było całkowicie sfeminizowane, że oddałem Pani Dyrektor prawo do dysponowania moją dietą. Ówczesnemu przewodniczącemu panu prof. Stanisławowi Miękiszowi i wiceprzewodniczącemu Bogdanowi Cybulskiemu sugerowałem, by nie rezygnowano z osób, które pracowały w biurze byłej Miejskiej Rady Narodowej. Pani Janina Śledzińska pracowała. Podobnie zresztą było w Sejmiku. Kiedy w Sejmiku tworzyłem Kolegium Odwoławcze przy Sejmiku, czyli organ *quasi*-sądowniczy, powiedziałem, że tworzymy organ, który będzie rozpatrywał spory. To bardzo istotne, bo w Kolegium rozpatrywane są odwołania od decyzji wójtów, burmistrzów i prezydentów w sprawach indywidualnych, w składzie trzyosobowym. Uważałem, że w składzie powinny być dwie osoby nowe i jedna osoba z tzw. starego układu, która ma doświadczenie. Uważałem, że jeśli ta osoba nie dopuściła się czynów haniebnych, to jej doświadczenie będzie dla nas bezcenne. Podobnie radziłem obydwu naszym przewodniczącym. Oni tak postąpili i uważam, że była to jedna z naszych lepszych decyzji. Janina Śledzińska & consortes to był bardzo dobry zespół. Powiem tak, wiele nam brakowało: po pierwsze, wyposażenia technicznego, ta siermiężna sala, zresztą remontowana, praca w fatalnych warunkach przy Nowym Targu, brak mikrofonów, nie było żadnej komputeryzacji, brakowało tzw. środków audiowizualnych, elektronicznego systemu komunikowania się. Stosy papierów, ale życzliwość ze strony tych pań, ich oddanie, a nawet poświęcenie były nieocenione – radni nie są wdzięcznym partnerem dla takich osób. Tamten okres, te 8 lat wspominam bardzo mile.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W II kadencji były już kluby. Nie miały one jeszcze umocowania ustawowego. Przygotowaliśmy nowelizację Statutu. Wojewoda nie protestował. Dzisiaj jest to już efekt nowelizacji ustawy. Przez 4 lata byłem przewodniczącym klubu Wrocław 2000 Plus i nieustannie przedmiotem mojej troski było zapewnienie jego spójności. Był to klub koalicyjny, złożony z przedstawicieli Unii Wolności, Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego, Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Z jednej strony, radny Mirosław Okińczyc, radny Ireneusz Guszpit, z drugiej, radny Andrzej Łoś, Bogdan Zdrojewski. Klub był bardzo podzielony i coraz bardziej się dzielił. W opozycji było i SLD, i KPN, radny Jerzy Przystawa, Ewa Sudnik i Antoni Lenkiewicz. To były trudne czasy.

W tamtej kadencji widać było wyraźnie, że w samorządzie coraz bardziej rodzi się polityka. Już nie byliśmy tacy spójni, jednomyślni, jednolici. Za powód do zadowolenia poczytuję sobie to, że udało się klub utrzymać przez całą kadencję w pewnej spójności. Bogdan Zdrojewski bywał w dramatycznych sytuacjach. Ratowaliśmy go i Zarząd przed kłopotami na sesji, bo gdyby doszło do pęknięcia, to nagle władza wykonawcza utraciłaby większość. Byłoby to dla miasta w tej II kadencji nieszczęście. Nadal przecież borykaliśmy się z różnymi problemami komunalnymi w mieście.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Wizyta Ojca Świętego we Wrocławiu, ale także nasza wizyta w Watykanie. W 1993 r. prezydent Wrocławia, wojewoda wrocławski, ja i nasze małżonki oraz metropolita wrocławski ks. kardynał Henryk Gulbinowicz, byliśmy na audiencji indywidualnej u Jana Pawła II. Celem wizyty było zaproszenie papieża do Wrocławia i prośba o wyrażenie zgody na Kongres Eucharystyczny we Wrocławiu. Taka jest procedura, chociaż decyzja już była podjęta. Byliśmy wówczas w wąskim gronie na mszy świętej w prywatnej kaplicy papieża. Ojciec Święty, któremu zostałem przedstawiony jako prawnik, chyba usłyszał, że jestem ekonomistą, bo powiedział: proszę pozdrowić ode mnie polskich ekonomistów.

Każde wybory były dla mnie pewnym przeżyciem, kierowanie koalicją w II kadencji. Tych wydarzeń było mnóstwo.

Każda mediacja, np. w Skokowej był moment, kiedy nie wiedziałem, jak sobie poradzić ze strajkującymi i głodującymi rodzicami, którzy stanęli w obronie dyrektora szkoły odwołanego przez wójta Prusic. Oni byli tak agresywni, że dziennikarze próbowali mnie wyciągać siłą z sali, w której głodowali, bojąc się, że strajkujący zrobią mi krzywdę. Zostałem, rozmawiałem. Po wielu dniach negocjacji przekonałem ich, że jestem uczciwy i wiarygodny w tej mediacji. Właściwie w przypływie rozpaczy powiedziałem, że do czasu przyjęcia rozwiązań kompromisowych ja zostanę dyrektorem szkoły w Skokowej. Oni się zgodzili. Przerwali strajk. „Rzeczpospolita" napisała w wydaniu ogólnopolskim, że to chyba jest pierwszy przypadek, kiedy profesor Uniwersytetu chce zostać dyrektorem szkoły w małej wiejskiej miejscowości. Na tę koncepcję nie zgodził się jednak kurator. Uznał, że nie

mam kwalifikacji. Bo żeby być dyrektorem szkoły trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje. Okazuje się, że profesor Uniwersytetu takich kwalifikacji nie ma.

Wydarzeniem była także wrocławska powódź w 1997 r. Przez dwa tygodnie spałem w Urzędzie Wojewódzkim na łóżku polowym, które przywieźli mi wrocławscy strażacy, bo wcześniej spałem na fotelach. Pamiętam, jak którejś nocy komendant wojewódzki Policji przyjechał do mnie do Urzędu. Budzono mnie, bo mieszkańcy Siechnic zamknęli drogę do Opola paląc opony. Bano się, że oni ruszą z tymi oponami na budynek Urzędu Gminy w Świętej Katarzynie. Następnego dnia pojechałem tam mediować. Dla mojej wiarygodności zostawiłem we Wrocławiu kierowcę i sam prowadziłem samochód. A stacje radiowe nadawały z trasy, jaką jechałem nieustanną informację, gdzie już jestem. Kiedy mieszkańcy Radwanic usłyszeli, że jadę do Siechnic, żeby tam mediować, to zamknęli drogę w Radwanicach mówiąc, że najpierw niech pan mediuje między nami a wojewodą, bo u nas też trzeba. Tak, to były dramatyczne sytuacje.

Mówiąc o Statucie wspomniał Pan, że wtedy powstała koncepcja osiedli i rad osiedlowych, ale obecnie uważa Pan ją za przeżytek.

Ta koncepcja miała na celu pobudzenie aktywności mieszkańców. Zdaję sobie sprawę z tego, że aktywność mieszkańców ma charakter jednorazowy i sprowadza się do aktu głosowania. Potem mieszkańcy zapominają o władzach, przypominają sobie o nich, gdy Rada podejmuje jakieś rozwiązania dobre lub złe, bezpośrednio dotykające każdego z nas. A przecież samorządność polega na czynnej aktywności każdego z nas. Nie tylko na obserwowaniu życia samorządowego. Jednak polski ustawodawca nie przewiduje możliwości znaczącego wsparcia samorządu osiedlowego. Dopiero w ubiegłym roku uchwaliliśmy tzw. ustawę o funduszu sołeckim, gdy idzie o gminy wiejskie. Gdy idzie o gminy miejskie, poziom i ich zdolności i możliwości działania jest bardzo niewielki. Moja żona jest przewodniczącą Caritasu naszej parafii i często współpracuje z radą osiedla, zarządem osiedla, i widzi niekiedy poczucie bezradności, chociaż duże zaangażowanie tych ludzi. Moim zdaniem, władze miasta muszą się podzielić zadaniami, kompetencjami i pieniędzmi z ośrodkami decyzyjnymi samorządowymi, ale nie o charakterze osiedlowym tylko większym, dzielnicowym. Mała jednostka w układzie terytorialnym miejskim nie może otrzymać wielu kompetencji. Większa jednostka może więcej, chociażby, gdy idzie o utrzymanie dróg – ulic, czystości, prowadzenie jednostek pożytku publicznego, np. problem opieki społecznej tam powinien się rozstrzygać. To nie może być iluzja, bo ona powoduje zniechęcenie – jeśli niewiele mogę zrobić, to się zniechęcam. Uważam, że czas rad osiedli mija. Nadchodzi czas innych wyzwań, mianowicie decentralizacji zadań i finansów komunalnych do dzielnic. Oczywiście zawsze osobowość prawną ma tylko gmina, odpowiedzialność majątkowa będzie spoczywała na władzach miejskich. Tak jest w Krakowie, Łodzi, Warszawie. Tam nie odeszli nigdy od dzielnic. My wracamy, ale to nie są te same dzielnice, którymi zarządzały rady narodowe w systemie scentralizowanej administracji publicznej, wskaźników dyrektywnych w budżetach itd. Dzisiaj właścicielem mienia komunalnego jest gmina i uprawnienia w zakresie zarządu mieniem komunalnym może przekazywać właśnie dzielnicom. Budżet miejski może przewidywać środki do samodzielnego wykorzystania przez władze dzielnicowe, oczywiście pod kontrolą władz miejskich i innych instytucji. Moim zdaniem, w przyszłej kadencji powinno się promować i przygotować tę koncepcję, a być może nawet ją wdrożyć. Uważam, że nie powinniśmy z tym czekać.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Było bardzo duże, dociekliwe, ale nie tak dociekliwe jak dzisiaj. Oni się wtedy uczyli samorządności. Często byłem dla dziennikarzy ekspertem. Zadawali mi pytania, a potem czytałem swoje wypowiedzi jako własne dziennikarzy. To było dobre, bo chcieli się uczyć. I byli życzliwi. Nie było tej agresji, która dzisiaj często jest w tekstach komentujących pracę samorządu gminnego, wojewódzkiego czy powiatowego. Nie było krytyki dla krytyki. W pewnym stopniu dziennikarze byli opozycją dla Rady Miejskiej. Starali się być, ale to nie było krytykanctwo, co dzisiaj często się zdarza.

Współpracę ze środowiskiem dziennikarskim wspominam bardzo dobrze. Efektem tej współpracy są dwa wyróżnienia, które otrzymałem – Radnego 10-lecia w plebiscycie czytelników „Wieczoru Wrocławia" oraz Dżentelmena Roku, też w plebiscycie czytelników wrocławskich gazet.



Radni Rady Miejskiej Wrocławia
1990-2010



Lech ADAMCZYK

Radny I, II i III kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1990-1994.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, adwokat.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Uważałem, że jestem przygotowany. Jestem po aplikacji sędziowskiej, zdanych egzaminach adwokackich. Zawodowo miałem kontakt ze sprawami cywilnymi i karnymi. Prowadziłem postępowania administracyjne, a więc odwołania od decyzji, zaskarżanie uchwał, np. spółdzielni mieszkaniowych i nie tylko spółdzielni. Tak więc umiałem się poruszać w kwestiach prawnych w różnych dziedzinach prawa. Poruszanie się w sferze prawa, także tego dotyczącego nowo tworzonego samorządu nie stanowiło dla mnie żadnego problemu.

Przez wiele lat byłem członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu. Zasiadałem we władzach tej organizacji, która wtedy nie była zbyt liczna, gromadziła ok. 200 osób. Tam uczyłem się działania w grupie, zarządzania, podejmowania decyzji, prowadzenia rokowań, przewidywania, planowania. Naturalnie na bardzo maleńką skalę, ale dawało mi to doświadczenie, jak zarządzać osobą prawną, jakąś instytucją na zasadzie samorządu i – trzeba pamiętać – demokracji, bo KIK był instytucją demokratyczną. Takich klubów do 1980 r. było w Polsce zaledwie 5. To była szkoła demokracji, co znajduje potwierdzenie, jeżeli popatrzeć na Sejm Kontraktowy, na wpływ ludzi, którzy obejmowali stanowiska. Także jeżeli się popatrzy na ludzi, którzy zasiadali w Radzie w I kadencji. Najliczniejszą grupą osób, które zasiadały w Radzie były osoby, które w różny sposób były związane z KIK. Było ich kilkadziesiąt.

Pierwsza kadencja zgromadziła ludzi z różnych środowisk, o różnej przeszłości, czasami odmiennej, odrzucanej przez „Solidarność". Przyjęto jednak, że ci ludzie zmienili swoje zachowania, poglądy. Były przecież osoby związane z instytucjami, organizacjami, które były afiliowane do Frontu Jedności Narodowej. Komitet Obywatelski o tym nie wiedział. To wyszło już po wyborach.

Nie wchodziłem w skład Komitetu Obywatelskiego. Zgłoszono mnie jako kandydata do Rady Miejskiej. Było to związane z moją wcześniejszą działalnością publiczną nie tylko w KIK-u, ale i w „Solidarności", w której działałem od momentu jej narodzin do jej odrodzenia.

Pamiętam pierwszą sesję Rady Miejskiej w ratuszu. Wyłanialiśmy wtedy przewodniczącego Rady Miejskiej. Został nim prof. Stanisław Miękisz. Później wybieraliśmy prezydenta. Trzeba pamiętać, że na 70 wybranych radnych 67 pochodziło z Komitetu Obywatelskiego. Spoza Komitetu były trzy osoby. Był to prof. Jerzy Przystawa, radny Antoni Lenkiewicz i kojarzony z lewicą pan Ryszard Bobrowski. Prezydentem Wrocławia został pan Bogdan Zdrojewski. Na prezydenta Wrocławia zgłoszono dwóch kandydatów – Bogdana Zdrojewskiego i Zenona Wysłoucha. Powołano Zarząd Miasta. Ukonstytuowało się prezydium Rady Miejskiej. W jego skład wszedł Bogdan Cybulski, Leonard Smołka, który potem szefował Komisji Inwentaryzacyjnej, i pan Edward Czapiewski. Przewodniczącym był, jak już wspomniałem, prof. Miękisz, jedyny, który przewodniczył Radzie Miejskiej przez całą kadencję. W kolejnych kadencjach zmieniano się na tej funkcji. Z różnych powodów. Często dlatego, że obejmowano jakieś inne funkcje w samorządzie lub poza nim.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Przede wszystkim budżetem i finansami. Byłem przewodniczącym Komisji Budżetu i Finansów. Zasiadałem także w Komisji Gospodarki Komunalnej, ale jako jej członek. No i Komisja Statutowa. Najlepiej czułem się w Komisji Budżetu i Finansów i Komisji Statutowej. Te komisje były zgodne z moimi zainteresowaniami. Komisja Gospodarki Komunalnej była dosyć specyficzna. Zajmowała się głównie problemami przedsiębiorstw komunalnych, które przypadły Miastu w wyniku ustawy samorządowej, a więc MPK, MPWiK, MPO itd., a więc tymi przedsiębiorstwami, które były państwowe, a stały się samorządowe, by następnie przekształcić się w spółki. Działo się tak na skutek kolejnych, często zresztą sprzecznych ze sobą ustaw. Opowiem, jak to wyglądało, na przykładzie wprowadzania podatku dochodowego i podatku vatowskiego. Wchodzi podatek VAT, a więc zupełnie nowy podatek, bo podatek dochodowy był, powiedzmy ukryty, ale był. Zlikwidowano podatek obrotowy, wprowadzono vatowski. Pojawił się problem, czy gmina będzie podatnikiem VAT. Późniejsze sądy nad prezydentem Zdrojewskim były nieuczciwe w tym sensie, że kierowane do prezydenta zarzuty były nieuczciwe. Działo się tak na zasadzie rozgrywek politycznych ze strony ugrupowań, które chciały przejąć władzę w mieście, które chciały

odsunąć Zdrojewskiego z urzędu prezydenta. Miał zmarnowane 5 lat z powodu tych procesów, bo to był proces karny, wytoczony przez Prokuraturę Okręgową w Legnicy. Obecnie, prowadzący wówczas tę sprawę prokurator – później był pracownikiem Wydziału Prawa UWr. – jest sędzią Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu. Sprawa zakończyła się korzystnym i prawidłowym rozstrzygnięciem dla Bogdana Zdrojewskiego. Przez 5 lat Wrocław miał prezydenta, któremu podcinano skrzydła. Relacje w prasie, radiu, telewizji nie sprzyjały rozwinięciu talentów.

Początkowo było zapewnienie, że nie będziemy podatnikami VAT-u, nie będziemy płatnikami VAT-u. Jak to w Polsce, uchwala się ustawę i interpretuje się przepisy, że one są korzystne dla gminy, a potem mówi się – nie, będziecie płatnikami, a przepis nie ulega zmianie. Zmienia się jedynie jego interpretacja.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Mój głos był jednym z 70, możemy więc mówić o sukcesie Rady jako całości. Uważam za niezwykle ważne, że radni doprowadzili do zmian w sposobie kierowania Wrocławiem. Zerwali także z tradycją, że Wrocław się zaczyna 6 maja 1945 r. Zaczęło się mówić o historii Wrocławia od czasów najdawniejszych, poprzez czasy niemieckie, pruskie, hitlerowskie. Przecież to też jest historia Wrocławia. Zła, dobra, ale jest. Wrocław ma swoje piękne karty historii, ale rozgrywały się tu również rzeczy straszne. Na pl. Solnym spalono Żydów pod wpływem kazań św. Jana Kapistrana za to, że mieli się dopuścić profanacji hostii. To była nieprawda, ale zginęło kilkudziesięciu Żydów. A brała w tym udział osoba później wyniesiona na ołtarze, czyli Jan Kapistran. Hotel Monopol nie tylko gościł Hitlera, ale wydano tam również bankiet – o czym niewiele osób wie – na który przyjechał z Oświęcimia Himmler, gdy uruchomiono obóz. Bankiet wydał Erich von dem Bach-Zalewski – późniejszy kat Warszawy. Obok jest tablica, która upamiętnia jednego z laureatów nagrody Nobla Maxa Borna. On się urodził w tej właśnie kamienicy. Laureat nagrody Nobla pochodzenia żydowskiego, Himmler – to też historia Wrocławia, w innym miejscu spalono Żydów, synagoga, do której chodziła m.in. Edyta Stein. Za budynkiem Gwardii jest mały pałacyk, w którym mieszkał przewodniczący partii Centrum, która doprowadziła do obalenia Bismarcka. To był głęboko wierzący katolik, który prowadził wojnę z Bismarckiem i doprowadził do jego usunięcia.

Zaczęliśmy chronić obiekty historyczne. Te działania były mocno spóźnione. Niestety, niektóre obiekty zostały utracone bezpowrotnie, i to nie na skutek działań wojennych, np. cmentarz między ul. Braniborską i Legnicką. Był tam pochowany architekt Bramy Brandenburskiej Carl Langhans. Zniszczono wspaniałe cmentarze przy ul. Ślężnej, m.in. cmentarz wojskowy z czasów pruskich. Często na tych cmentarzach znajdowały się groby ludzi życzliwych Polakom, ale trzeba było to zniszczyć, bo było niemieckie. Stary cmentarz żydowski, który ocalał przy ul. Ślężnej zawdzięczamy tylko temu, że jest na nim grób Ferdynanda Lassalle'a – autora definicji socjalizmu.

Udało się także odzyskać niektóre zabytki wywiezione, jak ja mówię zrabowane z Wrocławia po wojnie przez grupę prof. Lorentza. Do Kościoła Najświętszej Marii Panny na Piasku wrócił ołtarz zamieszczony po wojnie w odbudowanej katedrze warszawskiej. Gdy kardynał Wyszyński ufundował srebrny ołtarz dla katedry warszawskiej do Wrocławia wrócił nasz ołtarz, a arcybiskup Kominek umieścił go w kościele NMP na Piasku, czyli w miejscu, dla którego wykonano go w średniowieczu.

Zaczęto przywracać tożsamość wrocławską. Pamięć o ludziach, którzy tu żyli, mieszkali, tworzyli. Przecież nic nie wiedzieliśmy o historii naszego miasta przed 1945 r.

Miasto zaczęło się zmieniać. Powstawały prywatne firmy. Rozbudowano lotnisko, którego byłem gorącym zwolennikiem w przeciwieństwie do prof. Jerzego Przystawy, który twierdził, że będzie hałas, że samoloty będą przeszkadzały mieszkańcom Wrocławia, że to jest zupełnie niepotrzebne, że to są rozbuchane ambicje i kto tu będzie lądował. I po co to lotnisko? Żeby kilka lotów odbywać do Warszawy? Mimo że jest fizykiem, wtedy przekraczało jego wyobraźnię, że lotnisko to nie tylko przyloty osób fizycznych, lecz także komunikacja ze światem, łatwiejsze dotarcie do miasta ludzi biznesu. Profesor przyznał się później do błędnej oceny. Lotnisko rozwija się cały czas. Jest niewątpliwie źródłem sukcesu Wrocławia. Wszędzie się podkreśla, że we Wrocławiu jest dogodnie położone lotnisko, bardzo blisko centrum miasta. Jeżeli będzie szybki tramwaj, jeżeli, jak się mówi, będzie tam dojeżdżała kolej z Dworca Świebodzkiego – to niewątpliwie zachęci, przyciągnie inwestorów.

Powstają liczne hotele. Wzorcem tego, jak powinien wyglądać Wrocław jest nasz Rynek. Pamiętam osoby niezadowolone, które bardzo krytycznie wypowiadały się do prasy – a nie mamy na jedzenie, a nie mamy jak mieszkać, dlaczego robi się Rynek, a nie naszą ulicę? Dzisiaj Rynkiem wszyscy się zachwycają. Stał się on nawet swoistym argumentem za tym, że wiele osób do Wrocławia przyjeżdża. Rynek rozrasta się na sąsiadujące ulice. Krąg piękniejący wokół niego staje się coraz większy. Wrocław odzyskuje swój kształt. Mam nadzieję, że kolejne kadencje doprowadzą do likwidacji ul. Kazimierza Wielkiego i przywrócą układ urbanistyczny zakłócony decyzją Czulińskiego.

Wydarzeniem napędzającym miasto był Kongres Eucharystyczny, a także zorganizowane przez kardynała Gulbinowicza spotkania Taizé – pierwsze chyba w 1989 r.

1997 r. to wrocławska powódź. Pamiętam sesję czwartkową, na której podawano informację, że Wrocław może być zalany, że zalane może być centrum miasta. Wydawało się to nierealne. Straty były duże, ale okazuje się, że takie wydarzenie może wyjść na dobre. MPWiK uzyskało nowe urządzenia techniczne, zostały wyburzone znisz-

czone powodzią kamienice, które jeszcze by trwały, a przecież były mocno zdekapitalizowane. Powódź pokazała, że mieszkańcy są związani z miastem. Poświęcali się osobiście, często wożąc bardzo luksusowymi samochodami piasek, ziemię, żeby zabezpieczać miejsca zagrożone wodą. Było to oczywiste obywatelskie pospolite ruszenie. Ludzie chcieli ratować swoje miasto, jego dobra materialne, budowle – przykładem niech będzie obrona przed wodą Ostrowa Tumskiego czy Wyspy Piasek.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Za moich czasów prezydentem miasta był Bogdan Zdrojewski. Istniała pewna ciągłość, określona wizja, że to już zrealizowaliśmy, teraz będziemy się tym zajmować. Jeżeli były jakieś gorsze okresy, to spowodowane były przyczynami obiektywnymi, np. pod koniec drugiej kadencji regres w budownictwie, kiedy wydawało się, że inwestycje nagle się zatrzymały. Tak naprawdę nie jestem w stanie wskazać, gdzie była jakaś klęska Miasta. Także trudno władze Miasta obciążać ciągle niezrealizowanymi obwodnicami. Drogi, jak wiadomo, dzielą się na lokalne i krajowe, które są własnością Skarbu Państwa, czyli odpowiada za nie wojewoda. Tam są fundusze i decyzje. Bo drogi są na terenie miasta, ale nie są własnością miasta. Za rządów SLD Wrocław był pomijany przez władze państwowe w inwestycjach. Do decyzji wkradała się polityka.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Przyjemnie wspominam moment, kiedy z ramienia Komisji Inwentaryzacyjnej podpisywałem przejęcie wrocławskiego ratusza. Ratusz był własnością wojewody. Stał się majątkiem Wrocławia. Do podpisania tych dokumentów specjalnie wziąłem z domu srebrne pióro ze złotą stalówką, żeby najlepszym piórem, jakie posiadam, godnie podpisać tak ważny dokument – przecież wszystkie dokumenty podpisywało się długopisem. Ratusz to symbol miasta, jego najważniejsza budowla.

W Sukiennicach mieściła się Dzielnicowa Rada Narodowa Wrocław Stare Miasto. Sukiennice, które za niemieckich czasów nazywały się Nowym Ratuszem, stały się siedzibą władz miasta i jego prezydenta. I tak powinno być. Proponowano Miastu kupienie Poltegoru, a byłem jedną z osób, która się temu gwałtownie sprzeciwiła. Poltegor chciano sprzedać za niedużą cenę i proponowano, aby tam umieścić wszystkie urzędy. Uważałem, że to nie ma najmniejszego sensu. Bez mojej wiedzy architektonicznej wiedziałem, że ta inwestycja byłaby największą głupotą. Byłem jednym z tych, którzy skutecznie torpedowali i storpedowali pomysł nabycia Poltegoru. Budowla była przestarzała, źle wybudowana, a jak się okazało w czasie rozbiórki naszpikowana urządzeniami podsłuchowymi.

Równie przyjemne było dla mnie jako przewodniczącego Komisji Budżetu i Finansów podjęcie decyzji o sfinansowaniu rękopisu „Pana Tadeusza" zakupionego dla Ossolineum. To także krytykowano. Uważano, że rękopis jest własnością Ossolineum. Nie była to prawda. Tarnowskim rękopis zabrano i oddano do Ossolineum. Oni nigdy nie utracili tej własności. Sprzedaż była za kwotę bardzo wysoką, ale równocześnie zostało uregulowane prawo własności, a za rękopis „Pana Tadeusza" trudno mówić o wysokiej cenie. „Pan Tadeusz" jest w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a Miasto za to zapłaciło.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Początkowo ich nie było. Najbardziej pamiętam pierwsze spory z kupcami. Toczyły się one wokół kwestii uwłaszczenia lokali. Kto miał te lokale dostać? Należały one do różnych przedsiębiorstw państwowych, spółdzielni inwalidów, spożywców. Chodziło o to, by lokale należały do tych, by ich najemcami byli ci, którzy tam pracują. Nie wszyscy byli tym zainteresowani.

W mojej komisji opiniowaliśmy przyznawanie środków przeznaczonych na organizację imprez czy dofinansowanie instytucji, jak np. Ogród Botaniczny UWr. Chodziło o sfinansowanie ogrodzenia Ogrodu. Wyszliśmy z założenia, że wprawdzie nie jest to nasz obiekt, ale służy mieszkańcom Wrocławia jako park i ważne jest, aby dobrze zabezpieczyć ten obiekt i żeby ogrodzenie spełniało jakieś kryteria estetyczne. Stąd też zgodziliśmy się na wsparcie finansowe.

Moja współpraca z organizacjami pozasamorządowymi z pozycji Komisji Budżetu i Finansów sprowadzała się głównie do dawania pieniędzy. Niektóre organizacje są niezwykle ważne i potrzebne, np. Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Jest to instytucja trwale związana z Wrocławiem. Pracują tam lekarze, w dużej mierze lekarze sportowcy, pływacy, nurkowie. Mieszkamy nad Odrą, a motorówki, niezbędny sprzęt jest drogi. Oni nie zbiorą potrzebnych środków ze składek. Muszą być dofinansowywani. Niektóre organizacje wypełniają przecież zadania, które należą do naszych obowiązków. Dla nas będzie nawet taniej, jeżeli damy pieniądze, niż gdyby przejmować od tych organizacji ich działalność i organizować ją na nowo.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W tamtym czasie to się jeszcze nie przekładało. I wydaje mi się, że nadal to się nie przekłada. Musi upłynąć więcej czasu, żeby wykształciły się możliwości kontaktu radnych z wyborcami. Na dyżury ludzie przychodzili jak do ściany płaczu. Z różnymi sprawami, którymi radni kompletnie się nie zajmowali.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Współpraca układała się bardzo dobrze. Wychodziłem z założenia, że Rada jest po to, żeby umożliwiać podejmowanie decyzji przez władzę wykonawczą. Ale Rada nie jest po to, by tę władzę zastępować. Wielu kolegów

z Rady uważało natomiast, że skoro prezydent czy Zarząd wydał taką decyzję, to oni mogą to zmienić, że trzeba ją zmienić, bo ona jest zła. Nie, nie można jej zmienić, bo to jest zupełnie inna instytucja i my nie możemy zmieniać jej decyzji. Mimo że powołujemy Zarząd, mamy uprawnienia do jego odwołania, nie możemy zmieniać jego decyzji. Wytłumaczenie tego niektórym radnym było bardzo trudne. Były naturalnie próby, żeby wykazać, że Zarząd źle coś robi, więc podejmijmy uchwałę nakazującą Zarządowi robić tak, jak my chcemy.

Zarząd przygotowywał także projekty uchwał, które mogła podjąć tylko Rada, a bez nich nie mógł działać. Dyskusje były bardzo długie, sesje Rady Miejskiej trwały po trzy dni. Często jak się zaczynały o 15^{00}, to trwały do pierwszej, drugiej w nocy. Gadulstwo było ogromne.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Biuro poruszało się dosłownie na zasadzie ducha. Przygotowywało wszystko, co trzeba, jak trzeba. Ja nie odczuwałem żadnego dyskomfortu. Obecności Biura nie odczuwało się w tym sensie, że zawsze wszystko było zrobione, nie było się o co upominać.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Rada Miejska początkowo miała swoją siedzibę przy Nowym Targu. Przy Nowym Targu wszyscy się jakoś mieścili. Dalekie to było od komfortu. Podczas przerw brakowało miejsca na korytarzach. Ale w mojej pamięci nie zapisał mi się ten okres źle.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W I kadencji Rady byłem przewodniczącym Komisji Budżetu i Finansów, zasiadałem także w innych komisjach. W drugiej także zasiadałem w Komisji Budżetu i Finansów, której przewodniczyłem. W trzeciej byłem w jej składzie, ale już nie przewodniczyłem. W trzeciej kadencji przewodniczyłem Komisji Nominacyjnej zajmującej się przyznawaniem tytułów i nagród miasta Wrocławia. Zasiadałem również w Komisji Rewizyjnej w drugiej i trzeciej kadencji. Przez pewien czas w trzeciej kadencji byłem przewodniczącym klubu radnych Wrocław 2000 Plus. Podczas pierwszej kadencji, z uwagi na regulacje ustawowe, byłem delegatem do Sejmiku Samorządowego. Tam byłem w Samorządowym Kolegium Odwoławczym, gdzie orzekałem. Organizował je Roman Chalimoniuk, który wspólnie z Leonem Kieresem organizował pracę zespołów, również orzekał. Potem został jego szefem.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Już w trakcie pierwszej kadencji formowały się rozmaite frakcje. Powstawały przecież partie polityczne. Było Porozumienie Centrum, później powstała Unia Demokratyczna. Niektórzy radni wiązali się z partiami politycznymi, inni mieli już skrystalizowane wcześniej poglądy i chcieli je realizować na zasadzie prawie, że działalności politycznej w Radzie Miejskiej. Nie przyjmowali do wiadomości, że Rada Miasta nie może podejmować uchwał czy nawet decyzji w sprawach nieuregulowanych ustawą o samorządzie. To ustawa wskazywała, czym może zajmować się samorząd, w jakich granicach może działać. Zostaliśmy wybrani, mamy mandat demokratyczny, więc nam wszystko wolno, możemy o wszystkim orzekać, możemy orzekać o wszystkim, co nie jest zakazane – tak uważali. To nie była słuszna postawa, gdyż instytucje mogą działać tylko w granicach prawa. Obywatel natomiast może robić wszystko, co chce, z wyjątkiem tego, co jest zakazane przez prawo. Takie są regulacje. Ponieważ większość radnych nie miała wykształcenia prawniczego tłumaczenie, że czegoś nie wolno wywoływało czasami wściekłość, nie tylko złość, gniew czy jakieś rozgoryczenie, ale właśnie wściekłość. Radni często reagowali agresywnie, uważali, że im się coś narzuca, utrudnia, że to prawnicy wymyślają, a przecież mają takie świetne pomysły i wiedzą lepiej.

Późniejsza sytuacja, startowanie w wyborach z różnych list spowodowała, że ci, którzy wystawiają kandydatów na radnych oczekują, że radni będą ze sobą współpracowali. Żeby to było możliwe muszą tworzyć jakąś instytucjonalną grupę. Nazwano to klubami. Powstanie klubów przyczyniło się do skrócenia posiedzeń Rady Miejskiej. Na posiedzeniach klubów i w komisjach przygotowywane jest stanowisko prezentowane potem podczas sesji. Czas na dyskusję jest poza posiedzeniami. Na sesji spotykamy się po to, żeby głosować.

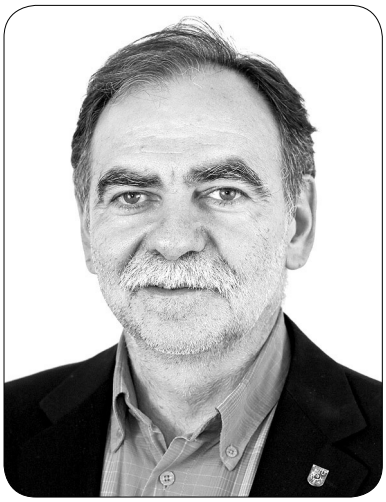
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem i jestem przeciwnikiem rad osiedli. Nie czuję i nie widzę potrzeby ich istnienia. Jest to tworzenie nowego ciała, które nie ma kompetencji, a chciałoby je mieć. Rady osiedla chciałyby podejmować decyzje, a nie mogą ich podejmować. Nie bardzo wiadomo jak traktować opinie rad. Zainteresowanie wyborcze najlepiej mówi o tym, czy rady osiedla są potrzebne. Uchwała o powołaniu rad osiedli przeszła bardzo niewielką liczbą głosów, nie wiem, czy nie jednym głosem. Obywatelom nie da się narzucić aktywności. Czym innym są wspólnoty mieszkaniowe, nakazane zresztą ustawowo, ale wymuszone także wspólnym zamieszkiwaniem jednego budynku przez różnych właścicieli.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Różnie. Czasami dziennikarze rzetelnie relacjonowali przebieg sesji, a czasami zajmowali się folklorem i ciekawostkami nie przekazując tego, co jest istotne. Często nie rozumieli niektórych kwestii. Dobrze byłoby, gdyby dziennikarze przyszli na posiedzenia komisji i tam posłuchali. Na sesjach niektórzy radni się popisywali, być może

po to, by zaistnieć w mediach. Dla wielu dziennikarzy ciekawe jest to, co jest sensacyjne. Podejmowane uchwały czy decyzje były mniej atrakcyjne.



Bohdan ANISZCZYK

Radny I - V kadencji. Członek Zarządu Miasta w latach 1990 - 2002 odpowiedzialny za sprawy społeczne i oświatę.
Absolwent Instytutu Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor habilitowany, matematyk.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Czy byłem przygotowany? Raczej nie, mam do dzisiaj poczucie, że byliśmy amatorami, którzy zabrali się do porządkowania różnych rzeczy w kraju z poczucia obywatelskiego obowiązku. Pocieszałem się, że inni także nie mają większego doświadczenia. Sprawami społecznymi interesowałem się od dawna, więc nie było to dla mnie takie nowe, nowe było tylko miejsce. Działałem w organizacjach młodzieżowych, w organizacjach studenckich, w Związku Nauczycielstwa Polskiego, zanim nastała „Solidarność", w zakresie, jaki był wtedy możliwy.

Od pierwszych dni stanu wojennego, w różnej formie, uczestniczyłem w działalności podziemnej, która z czasem stawała się coraz bardziej jawna i powoli przegrywała „konkurencję" z moją działalnością zawodową – dydaktyczną i naukową – okazało się jednak, że nie na długo. Gdy już była prawie gotowa moja rozprawa habilitacyjna – parę miesięcy przed pierwszymi wolnymi wyborami do samorządu Wrocławia – zaangażowałem się we wrocławskie koło Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta. Samo uprawianie nauki nie dawało mi satysfakcji, że jestem pożyteczny dla środowiska, dla kraju. Podsumowując, zawsze pociągały mnie sprawy społeczne i nabrałem przekonania, że chyba je rozumiem.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Właściwie nie, ale wiedzę powierzchowną na temat władz Wrocławia miałem. Na przykład, wiedziałem, że w pewnym momencie zrezygnowano z prezydenta Wrocławia, ale całkiem niedawno go przywrócono, że są dzielnice i ich urzędy o kompetencjach niepodlegających Urzędowi Miejskiemu, ale na tym się to raczej kończyło.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego? Co uważa Pan za sukces swoich kadencji?

Przy każdych wyborach robiłem dla siebie bilans, co mogę uznać za swój wkład w rozwój Wrocławia i co jeszcze jest do zrobienia. W I kadencji zajmowałem się sferą społeczną, z wyjątkiem kultury. Byłem organizatorem Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, najpierw w strukturze Urzędu Miejskiego, a potem jako zewnętrznej, samodzielnej jednostki, której byłem dyrektorem. Po kilkunastu miesiącach zostałem wybrany do Zarządu Miasta, w którym odpowiadałem za coraz większy obszar, do pomocy społecznej doszło zdrowie, sprawy alkoholu i uzależnień, w tym izba wytrzeźwień, w końcu oświata.

Pamiętam taką trochę „przepychankę" moją – dyrektora MOPS z Zarządem Miasta dotyczącą żłobków. W myśl ustawy kompetencyjnej przejmując pomoc społeczną mieliśmy przejąć również żłobki, które do tej pory stanowiły część służby zdrowia, a tej nie przejmowaliśmy. Próbowaliśmy nie przejmować żłobków jako instytucji, tylko przejąć budynki, aby potem przyjmować do pracy w żłobkach pojedynczo tylko tych ludzi, których będziemy chcieli zatrudnić – czuliśmy, że pracowników jest za dużo. Pod groźbą strajku i czasu – rzecz działa się przed i po świętach Bożego Narodzenia – ostatecznie zdecydowano, że przejmujemy wszystkich pracowników z dobrodziejstwem inwentarza, a więc na mocy porozumienia stron.

Przyjęto jednocześnie moją propozycję, aby żłobki wpisać w strukturę MOPS-u, bym mógł bezpośrednio przeprowadzić ich „sanację". Kiedy przejmowaliśmy 36 „naszych" żłobków, funkcjonowało we Wrocławiu jeszcze kilkanaście zakładowych. Większość tych ostatnich zamknięto w krótkim czasie, bez większej straty dla dzieci – wszystkie dzieci mogły znaleźć miejsce w naszych. Żłobki okazały się miejscem jaskrawej niegospodarności. W wielu z nich na jedną osobę personelu przypadało jedno, naprawdę uczęszczające dziecko. Dobrą stroną był

jedynie fakt, że ludzie mieli pracę, ale ta liczba personelu na tę liczbę dzieci była za duża. Podstawowe zadanie, jakie sobie stawiałem polegało na tym, że jeśli wydajemy na coś pieniądze, to wydatek musi być racjonalny i musi być wiadomo, dlaczego ten wydatek robimy. Po roku wspólnego funkcjonowania musiałem zapowiedzieć i przeprowadzić zbiorowe zwolnienie z pracy przeszło 200 osób i zamknięcie 10 żłobków – liczba dzieci korzystających z tej formy opieki została zachowana. Większa część obiektów po ich zamknięciu została przekazana na potrzeby organizacji pozarządowych – głównie na szkoły niepubliczne, pozostałe znalazły nowych właścicieli.

Drugą sprawą, o którą „sprzeczałem się" z kolegami z Zarządu Miasta, były przedszkola. Przekonywałem, że skoro tyle potrafiliśmy zaoszczędzić na żłobkach, to pewnie przedszkola, a było ich 4 razy więcej, też mogłyby stać się źródłem oszczędności. To był argument, który ostatecznie przekonał Bogdana Zdrojewskiego, że warto zarządzać przedszkolami bezpośrednio i przejąć to zarządzanie do Miasta. I przekazaliśmy je na pewien czas do... MOPS-u. To też była wtedy osobliwość – możliwa tylko w tamtym okresie – MOPS zarządzał finansami przedszkoli.

Liczbę przedszkoli zmniejszyliśmy z ok. 145 do 120, przy czym część stała się niepublicznymi, co wzbudzało emocje, ale wzbogaciło ofertę dla rodziców. Decyzje należały do Zarządu Miasta, a potem Rady Miejskiej, ale przekonywanie wszystkich gremiów, że trzeba będzie takie rozwiązania przyjąć spoczywało na mnie. Przekonywałem decydentów, ale również mieszkańców Wrocławia w bezpośrednich spotkaniach i za pośrednictwem dziennikarzy. Była jasna myśl, której jako władza miejska pilnowaliśmy: chcemy pieniądze wydawać lepiej i z pożytkiem dla środowisk dotkniętych zmianą. Odzyskane środki finansowe szły na to, co zostawało albo co się tworzyło. Żłobki, a potem przedszkola, zaczęły być systematycznie remontowane, czego przedtem nie było, otrzymywały nowe wyposażenie.

Moim pomysłem było także utworzenie żłobko-przedszkoli. Musieliśmy ograniczać liczbę grup z powodu braku dzieci. Część grup żłobkowych przenieśliśmy do pobliskich przedszkoli, które też pustoszały. Rozwiązanie sprawdziło się w praktyce, ale władze resortowe – oświaty i zdrowia – uznały, że żłobko-przedszkola nie mieszczą się w przepisach i zabroniły takich przekształceń, a o zmianie przepisów nie chciały w ogóle myśleć.

Po uporaniu się z pustymi przestrzeniami w placówkach pojawiły się nowe pytania. Punktem wyjścia była obserwacja, że o ile do przedszkoli chodziło ok. 50% dzieci z odpowiednich roczników, o tyle w żłobkach było ich 8-9%. Rodziło się pytanie, na ile te dzieci powinny być dotowane przez Miasto, skoro 90% ma zapewnioną opiekę bez pomocy Miasta. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: kto naprawdę ze żłobków korzysta – biedni czy bogaci? Podnoszony był argument, że żłobki są dla biednych, „bo oni idą do pracy i nie mają z kim dzieci zostawić, a muszą iść do pracy, ponieważ nie mają pieniędzy". Wykonane analizy pokazały, że, owszem, dzieci z biednych rodzin chodziły do żłobków, ale zdecydowana większość dzieci pochodziła z rodzin zasobnych. Miesięczne utrzymanie dziecka w żłobku kosztowało Miasto tyle, co niska pensja, więc wiele matek mówiło, to dajcie połowę z tego, a ja zostanę w domu z dzieckiem. Małymi krokami urealnialiśmy opłaty za żłobki, argumentując, że jeśli dziecko jest w żłobku, to dużą część kosztów zdejmujemy z rodziny i nie ma powodu, żeby się tak łatwo z tym godzić. Jeżeli rodzina może, to powinna za część jego utrzymania zapłacić, jeżeli nie może, to powinniśmy pomóc. Przygotowany został system ulg wspomagający tych, którzy mają trudną sytuację.

Żłobki i przedszkola są obszarem, który znów wymaga inwestycji, ale w zupełnie innym standardzie i gdy teraz powstają nowe obiekty, to myślę, że dzięki temu, iż nie wydawaliśmy przez wiele poprzednich lat pieniędzy na próżno.

Przez I i do połowy II kadencji samorządu mogliśmy się czuć w pełni kreatorami nowej rzeczywistości. To, co sobie zamierzaliśmy i było rozsądne, mogliśmy zrealizować, bo przecież – jak myśleliśmy – obowiązuje zasada: „czego nam prawo nie zabrania jest dozwolone". To była główna idea tego czasu dla wszystkich samorządowców w Polsce. W II kadencji zaczęło się to zdecydowanie łamać. Administracja centralna zaczęła nam coraz częściej tłumaczyć, a potem egzekwować różnymi sposobami, że administracji publicznej – a samorząd jest częścią administracji publicznej – wolno robić tylko to, na co pozwalają przepisy. Stopniowo zaczęto nam związywać ręce i uniemożliwiać realizację idei, które wydawały się bardzo racjonalne, np. połączenie żłobków i przedszkoli czy późniejszy pomysł na połączenie bibliotek szkolnych z publicznymi, czy też wspólną obsługę finansową różnych placówek miejskich.

Stosowaliśmy naturalną procedurę: ustalamy, czym dysponujemy, jakie funkcje to, co mamy ma spełniać, czy je spełnia i czego jeszcze możemy oczekiwać. Jeśli spełnia, to czy można to robić mniejszym kosztem i czy środki przekazywane są racjonalnie wydawane. I co można zrobić, żeby były jeszcze racjonalniej wydawane. Tak po kolei, próbowaliśmy porządkować każdą dziedzinę. Ponieważ właściwie zawsze udawało się nam, domagaliśmy się dalszych kompetencji i otrzymywaliśmy je. W moim zakresie po żłobkach i przedszkolach pojawiły się szkoły podstawowe, a niewiele później służba zdrowia, a wraz z nią problem uzależnień. Ze służby zdrowia przejęliśmy na przełomie 1993 i 1994 roku ok. 80 placówek opieki ambulatoryjnej – ok. 2 tys. pracowników. Sformułowaliśmy podstawowe drogowskazy naszej miejskiej polityki zdrowotnej (wspieranie instytucji lekarza rodzinnego, prywatyzacja pracownicza, zapewnienie bezpieczeństwa zdrowotnego naszym mieszkańcom i szeroki rozwój profilaktyki), którą realizowaliśmy przez dwie kadencje. Od 2004 r. zmiana nastąpiła jedynie w punkcie dotyczą-

cym szczególnych preferencji dla naszych pracowników przy prywatyzacji. W ostatnich latach wokół profilaktyki zdrowia udało się zgromadzić właściwie wszystkie najważniejsze instytucje.

Przez wszystkie kadencje starałem się wspierać wszelkie inicjatywy oddolne: organizacje pozarządowe: parafie, samorządy, inicjatywy obywatelskie czy samorządy osiedli. Dobrą ilustracją może być problem uzależnień, który od 1993 r. w dużej części przerzucono na gminy – do gmin skierowano środki z opłat za sprzedaż alkoholu wraz z zobowiązaniem do finansowania z nich działań zmniejszających negatywne skutki uzależnień. Po stronie władz miejskich były i są do podjęcia jedynie dwie generalne decyzje: pierwsza – ile punktów sprzedaży alkoholu dopuścić we Wrocławiu (od tego zależy, ile pieniędzy zgromadzimy) i druga – jak wydać uzyskane pieniądze. Zaproponowałem, i zostało to przyjęte, że warto bardziej inwestować w profilaktykę niż leczenie, bo jest tańsza, może docierać do szerokiego kręgu osób i rodzin zagrożonych i może realizować dodatkowe cele – policzyliśmy, że nawet przekazując wszystkie środki na rozszerzenie sieci poradni odwykowych nie obejmiemy wszystkich osób uzależnionych. A przy tym właśnie organizacje pozarządowe mogą łatwiej, taniej i szybciej wdrażać nowe sposoby radzenia sobie z problemem uzależnień w najrozmaitszych środowiskach. Właściwie od samego początku staraliśmy się zlecać nasze zadania organizacjom pozarządowym – przynajmniej w dziedzinach mi podległych. Na początku nie było żadnych ograniczeń – tak uważaliśmy. Potem pojawiła się Ustawa o finansach publicznych, która, jak powszechnie odczytywano, zakazywała przekazywania pieniędzy organizacjom pozarządowym. Wtedy Wrocław służył jako przykład miasta, które pomimo tej ustawy, jednak przekazuje organizacjom pozarządowym pieniądze. Często pytano nas, jak to robimy, więc pokazywaliśmy. Po kolejnych kontrolach czy nowelizacjach siadaliśmy, aby znów znaleźć najdogodniejszą ścieżkę finansowania, by nie stracić wypracowanych pomysłów i sprawdzonych działań.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez pana funkcji radnego?

Nie wiem, czy to można rozpatrywać w kategorii porażki. Uważałem, że trochę cieniem kładzie się na naszą działalność skupienie się na Wrocławiu. Prezydent Bogdan Zdrojewski rygorystycznie oczekiwał od nas, by działalność polityczną traktować drugorzędnie, bo my pracujemy dla Wrocławia. Owszem, my pracujemy dla Wrocławia, ale ci, którzy nam urządzają tę rzeczywistość, nie przeszli tej drogi. My, którzy mieliśmy dobre doświadczenia w samorządzie i pozytywne efekty, ograniczaliśmy się tylko do Wrocławia. Nasze doświadczenie nie przekładało się na dokumenty, które powstawały w Warszawie, bo nie uczestniczyliśmy w tym jako podejmujący decyzje. Zmieniło się to w ostatnich latach – w Warszawie „desant wrocławski" jest spory: wicepremier, minister kultury, a także sekretarz stanu w ministerstwie pracy pochodzą z Wrocławia. Ludzi na ważnych stanowiskach pochodzących z Wrocławia zaczęło być widać, szkoda, że tak późno.

Jedną porażkę odnotowałem przy okazji ustalania sieci szkół podstawowych, gdy powoływaliśmy gimnazja. Atmosfera była burzliwa, więc miałem pełnomocnictwo od kolegów, że mogę podejmować na bieżąco decyzje jednoosobowo, czyli mogę modyfikować propozycje przedstawiane Radzie Miejskiej. Klub również miał zaufanie do mojego wyczucia i wiedzy. Przy tej debacie, w jednej sprawie złamałem się i odstąpiłem – dla „spokoju społecznego", jak myślałem – od likwidacji jednej ze szkół podstawowych. Szybko okazało się, że zamiast spokoju otworzyliśmy w ten sposób lokalny konflikt na kilka lat.

Jako pewną porażkę oceniam też nie zdobycie wystawy Expo dla Wrocławia. Staraliśmy się dwa razy – bez powodzenia. Nie można tego rozpatrywać w kategoriach niepowodzenia zawinionego. Ale byłby to istotny impuls dla rozwoju Wrocławia i tego należy żałować. Pytanie: czy mogliśmy zrobić więcej, jest pytaniem, które do mnie wraca. Znałem z relacji kolegów, którzy za to odpowiadali, chyba wszystkie podejmowane działania. Robili, co mogli, ale i tak nie było szans. Żal.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dla mnie instytucje pozarządowe, to przede wszystkim stowarzyszenia i fundacje, ale też wyższe uczelnie, od wielu lat bardzo autonomiczne, oraz środowiska biznesowe.

Jestem zaangażowany w kilka stowarzyszeń – dwóm od wielu lat przewodniczę – Towarzystwu Pomocy im. św. Brata Alberta – organizacji ogólnopolskiej, i Wrocławskiemu Szkolnemu Związkowi Sportowemu. Wspólnie z dwoma kolegami powołaliśmy fundację, która prowadzi we Wrocławiu inkubator organizacji pozarządowych. Właściwie najlepiej czuję się wśród podobnie zaangażowanych ludzi, to największa część moich przyjaciół. Ponieważ często szukam kontaktów w całej Polsce, to wiem z bezpośrednich relacji, że organizacje we Wrocławiu są w całkiem dobrej sytuacji. Oczywiście, zawsze może być lepiej. Wiele zależy tu jednak od konkretnych ludzi, od wzajemnego zaufania.

Co do współpracy ze szkołami wyższymi, to przypominam sobie jej trudne początki. Na pewnym posiedzeniu Zarządu Miasta bardzo się zdziwiliśmy, gdy jedna z uczelni – tych największych – wystąpiła z pretensją, że nie chcemy jej dotować, gdy oni mają takie wielkie potrzeby. Zrobiliśmy szybko rozeznanie i okazało się, że uczelnie dysponują podobnym budżetem jak Miasto. Odebrałem to, jak rozmowę z dzieckiem, które ogłasza, że właśnie ma pomysł, jak można użyć nowy samochód, więc tato musi mu go kupić. Nie byliśmy na takim etapie, nie mogliśmy pomagać w kupnie nowego samochodu. Takie były początki. Później sytuacja się zmieniła, a wiele wspólnych

przedsięwzięć sprawiło, że czujemy się partnerami. Największą bliskość i autentyczną wspólnotę interesów odczuwałem w staraniach o siedzibę Europejskiego Instytutu Technologicznego.

Współpraca z sektorem biznesowym nabrała wielkiego rozmachu wraz z przejęciem funkcji prezydenta Wrocławia przez Rafała Dutkiewicza, który założył sobie jako cel najważniejszy znaczne zmniejszenie bezrobocia we Wrocławiu. W porównaniu z innymi dużymi miastami, niestety, ten współczynnik był bardzo wysoki. Wcześniej dystansowaliśmy się raczej od biznesu – traktowaliśmy go jako całkowicie niezależną sferę, granice były bardzo rygorystycznie pilnowane. Właściwie jedynym wspólnym tematem były nieruchomości. Prezydent Dutkiewicz pokazał, że można mieć inne podejście i to przyniosło oczekiwany skutek.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Czasem mam wrażenie, że nie jestem najlepszym radnym. Nie umiem się utożsamić całkowicie z moim okręgiem wyborczym, tym bardziej, że nie jest on stale ten sam, co nie jest moją decyzją. Pewnie z racji funkcji, którą pełniłem, jako członek Zarządu Miasta, mam zakodowaną perspektywę ogólnomiejską. Wyborcy są dla mnie bardzo ważni i nie tylko ci, którzy deklarują, że na mnie głosowali. Punktem odniesienia są wszyscy mieszkańcy Wrocławia.

Na początku, w I kadencji, przyszli do mnie młodzi ludzie, którzy mieli kłopot. Nie chciano ich zameldować do mieszkania komunalnego, w którym mieszkała tylko starsza pani, oczywiście za jej zgodą. Okazało się, że było to celowe działanie Urzędu nastawione na przekonanie tej pani do zamiany mieszkania na mniejsze. Początkowo myślałem, że to bardzo racjonalne. Pani dostałaby mniejsze mieszkanie, a my na jej miejsce posłalibyśmy jakąś inną rodzinę w potrzebie. Zmieniłem trochę ten pogląd, gdy porozmawiałem z tą 70-letnią panią. Okazało, że mieszkała w swoim mieszkaniu od lat 40. Miała tu swoich sąsiadów, swoje sklepy, wszyscy jej pomagali, a ci młodzi ludzie, których chciała zameldować, to dalsi krewni, którzy od dłuższego czasu opiekowali się nią na co dzień. Naszym zamysłem było racjonalne wykorzystanie powierzchni mieszkaniowej, a jednocześnie przewidywaliśmy, że jeśli tą samotną panią przeprowadzimy, to stanie się ona z pewnością podopieczną pomocy społecznej. Na razie nie wymaga opieki, bo ma sąsiadów i dalekich krewnych, którym udziela pokoju. Po przeprowadzce będzie musiała przyjść opiekunka, bo zanim pozna sąsiadów, to już zdąży mieć więcej problemów niż znajomych. Udało się – młodzi ludzie zostali zameldowani, a odpowiedzialni urzędnicy uznali to rozwiązanie za uzasadnione.

Przy okazji rozpoznawania spraw zgłaszanych podczas dyżurów nauczyłem się pokory. Po wielu rozmowach zrozumiałem, że chociaż nasze rozwiązania w skali globalnej uwzględniają podstawowe czynniki tej skali, to mogą i często nie uwzględniają interesów konkretnych ludzi, konkretnego środowiska, do których są kierowane. Stale do siebie mówię: szukaj rozwiązań, które uwzględnią też możliwie dużo pojedynczych konkretnych interesów – zawsze można coś poprawić.

Chętnie słucham ludzi. Gdy córka pytała mnie dawniej, co robię w pracy – odpowiadałem: „gadam i gadam". Z wykształcenia i zawodu jestem matematykiem, a w Mieście zajmowałem się od 20 lat opieką społeczną, zdrowiem i edukacją. Moja wiedza o sprawach, którymi się zajmowałem, brała się z rozmów i lektur. Lektura dostarczała wiedzy ogólnej, w rozmowach pojawiały się konkrety, które mogły całkowicie zmienić hierarchię spraw.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To rzeczywiście trudne pytanie, ponieważ ja byłem po wszystkich stronach. Jak już chyba wspominałem, lepiej czułem się w roli zarządzającego. Funkcja radnego była dla mnie jakby przepustką do zarządzania – cały Zarząd Miasta składał się z radnych. Jako zarządzający musiałem przekonywać swoje koleżanki i kolegów radnych do pewnych rozwiązań. Nie byłem członkiem Komisji Edukacji, gdy zarządzałem edukacją, nie byłem członkiem Komisji Zdrowia, gdy zarządzałem zdrowiem. Od początku jednak nieprzerwanie jestem członkiem Komisji Budżetu. Nie miałem żadnych konfliktów. Mam przekonanie, że najłatwiej broni się prawda i tak podchodziłem do wszystkich kontaktów. Wierzę, że dobra wola udziela się drugiej stronie – naprawdę trzeba jakiegoś zacietrzewienia, żeby na dobrą wolę odpowiedzieć inaczej.

Moje motto życiowe złożone jest z 4 elementów: „rozumieć – być użytecznym – być skutecznym – dawać świadectwo". Gdy zaczynałem pracę w samorządzie wydawało mi się, że wystarczy „rozumieć – być użytecznym". Kolejne kadencje uzupełniły to jednak o następne ogniwa. Za najtrudniejsze uważam dawanie świadectwa – na dziś najczęściej rozumiem je jako bycie autentycznym. Owe cztery zasady – jak myślę – sprawiają, że moje stosunki układały się ze wszystkimi bardzo dobrze. Może dlatego nie mam problemów z innymi, bo jak się pojawiają – to rozwiązania szukam w sobie. Po to Pan Bóg dał mi głowę, żebym trudności pokonywał – to ja mam się wysilić, żeby sprawę załatwić, a nie narzekać, że ktoś czegoś nie załatwił, sprawy, na której mi zależało, o którą prosiłem. Może nie wykonałem wszystkiego, co pomogłoby. Zakładam dobrą wolę wszystkich i się na tym nie zawiodłem.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. To jest takie miejsce, które mnie dyscyplinuje. Ja potrzebuję wsparcia w wypełnianiu powziętych zobowiązań. Mam ochotę każdemu pomóc. A potem czasu nie ma…odłożę, zapomnę. A Biuro Rady pilnuje. Pilnuje dyżurów, protokołów, planów, to taki dyscyplinujący czynnik. Bardzo przyjaźnie dyscyplinujący. Pracownice i pracownicy Biura są bardzo życzliwi, kompetentni.

Mój promotor na studiach mówił o mnie, że jestem pięknoduchem, i tak chyba zostało – najłatwiej przychodzi mi wymyślanie rozwiązań i przygotowanie planów, a ktoś musi mi pomóc je zrealizować i w tym Biuro jest niezastąpione.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Gdy wspominam pierwsze sesje Rady Miejskiej jeszcze na Nowym Targu.... to, jeśli chodzi o wystrój byliśmy jeszcze w systemie poprzednim – żadnych udogodnień – bez nagłośnienia, przy zwyczajnych stolikach, na twardych krzesłach biurowych. Ale atmosfera była już inna i to miało swój urok – siedzieliśmy naprzeciwko siebie – bokiem do prezydium – i rozmawialiśmy ze sobą właściwie cały czas, staraliśmy się uzgodnić stanowiska, komentowaliśmy na bieżąco wystąpienia. Teraz mamy środki techniczne, które nas odczłowieczają. Systemy do głosowania – karty, przyciski, programy na laptopach – a ręce przy głosowaniu i tak musimy podnosić, chociaż nikt tego nie liczy – przycisnąć trzeba, a jak się karty nie włoży, to się nie liczy. Na różnice zdań szukamy przepisów w Statucie, w regulaminie, w opiniach prawnych i nabywa się wiedzę, która właściwie nie jest potrzebna. Teraz mamy spisane, kto, jak głosował, a nie spotkałem nikogo, dla kogo by to miało znaczenie po kilku tygodniach. Może dziennikarze czasem o tym napiszą, że ileś sesji, iluś radnych… Sesja jest coraz bardziej rytuałem – nawet rozmawiać poza przerwą ze sobą nie wypada – najczęściej wszystko wiadomo przed nią – barwnych, przygotowanych wystąpień prawie nie ma. Ważne są pisma, podpisy, obecności.

Czasem się martwię, bo nie wiem, czy napisałem więcej niż 5 interpelacji przez wszystkie kadencje. Zawsze pod koniec kadencji jestem w dyskomforcie psychicznym – „ten to tyle napisał, tamten tyle", a ja na szarym końcu. W ostatniej kadencji uratował mnie Jarek Krauze, bo ze dwie interpelacje napisaliśmy wspólnie. W ten sposób miałem kilka zaliczonych i nie byłem „najgorszy". Nie widzę sensu pisania, jeśli to nie rozwiązuje żadnej sprawy. Z interpelacji wiedza rośnie, ale ona już po dwóch miesiącach jest nieaktualna. Czy o to chodzi? Mnie nie chodzi o to – sprawy staram się załatwiać bezpośrednio z zainteresowanymi – łatwiej mogę poznać cały kontekst, a on często zmienia ocenę. Na szczęście kiedyś jeden z dziennikarzy zauważył problem i napisał o tym – poczułem się lepiej.

Jeśli chodzi o nowinki techniczne, to oczywiście używam laptopa otrzymanego z Rady Miejskiej, przynoszę na sesję i rzeczywiście z niego korzystam, szczególnie w dostępie do przepisów prawa. Ale on też trochę mi przeszkadza, gdy czasem chcę coś zanotować na kartce lub śledzić materiały na papierze – jest za duży na nasze pulpity.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich pracę?

Głównie w tych zajmujących się problematyką społeczną, jakby z obowiązku: Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej, Komisji Edukacji. Bardzo dobrze czułem się i czuję w Komisji Budżetu – rachunki to moja pasja. Byłem swego czasu w Komisji Gospodarki Komunalnej, w Komisji Statutowej, Rewizyjnej. Byłem też w Komisji Regulaminowej, która miała oceniać radnych i dyscyplinować nawzajem. Nie jestem pewien, czy chociaż raz się ona zebrała. W każdej kadencji starałem się uczestniczyć w pracach co najmniej trzech komisji.

Posiedzenia Komisji Budżetu bywały bardzo burzliwe, są takie także w tej kadencji. Z liczbami się nie dyskutuje, można je tylko komentować. Różniliśmy się w komentarzach. Niektórzy mówili, że określona kwota to tylko taki mały dług. Kto inny o tej samej sumie mówił, że to katastrofa. O każdej sprawie można mówić podobnie. Czasem słyszałem pytanie: „jak można tak dużo przeznaczać na edukację – 25% budżetu?" Są gminy, które wydają 75% i te mogą płakać. My nie mamy powodu, póki mamy z czego dokładać. Pytanie prawdziwe brzmi, czy chcemy inwestować w edukację?

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W czasie I kadencji była specyficzna sytuacja, ponieważ na 70 radnych 67 wywodziło się z Komitetu Obywatelskiego. Ta przytłaczająca większość gwarantowała spokój Zarządowi Miasta. Bardzo dramatyczny charakter – w formie – miały wystąpienia Jerzego Przystawy, który nie był kandydatem Komitetu Obywatelskiego, a który często domagał się jedynie przestrzegania procedur. Chcąc nie chcąc, przyznawałem mu rację – jeżeli już raz uchwaliliśmy dla nas jakieś ramy, to przestrzegajmy ich. Inne, bardziej ideowe spory pojawiły się pod koniec kadencji i zaowocowały dużo większą opozycją w Radzie Miejskiej II kadencji. Wtedy powstały kluby radnych, ale ja nie jestem zwolennikiem takich partyjnych podziałów.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Gdy uchwalaliśmy „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia" przygotowane przez prof. Tadeusza Zipsera i jego zespół. Inaczej spojrzałem na miasto. Wcześniej zdawało mi się, że wszystko rozumiem, że ja to właściwie wszystko wiem – przecież sam odpowiadam za pomoc społeczną, zdrowie, oświatę… i słucham o tych mostach, energetyce, ulicach, uczelniach... Uświadomiłem sobie, że miasto jest ogromnym systemem naczyń połączonych, że trzeba stale patrzeć na nie z naprawdę dalekim horyzontem. Ówczesne dyskusje uświadomiły mi, że większość rozwiązań, jakie planujemy we Wrocławiu, jeśli są logiczne, to właściwie zostały zaprogramowane bardzo dawno temu. Ci, którzy planowali miasto przed wojną podjęli decyzje, których konsekwencje my teraz dopiero odkrywamy, niekiedy gwałcąc ich zamysły związane z Wrocławiem jako

całością. To, z czym próbujemy sobie poradzić, to np. plac Społeczny – „rakowa narośl" w środku miasta, rozjazd w centralnym punkcie, który niczego nie rozwiązał. Wracamy do dawnych koncepcji. Oczywiście już pewne fakty nastąpiły, jakieś obiekty powstały, ale racjonalna myśl jest podobna, jak przed wielu laty.

Szczególnym przeżyciem był też pierwszy Wieloletni Plan Inwestycyjny (WPI). Pracami nad nim kierował Andrzej Łoś. O ile przy okazji „Studium...." byłem raczej odbiorcą wyników, o tyle w przypadku WPI osobiście uczestniczyłem w jego powstawaniu. To był sprawdzian praktyczny z lekcji o „Studium...", miałem poczucie, że uczestniczę w tworzeniu historii miasta. Odczuwałem dużą radość w tej pracy, atmosfera była bardzo twórcza.

Podobne emocje, chociaż nie tak intensywne, towarzyszyły mi przy uchwalaniu właściwie wszystkich dokumentów strategicznych.

Z wydarzeń innej natury, najbardziej zapamiętałem prawie całonocną sesję, na której kilka tysięcy głosowań przeprowadził Staszek Huskowski – wówczas przewodniczący Rady.

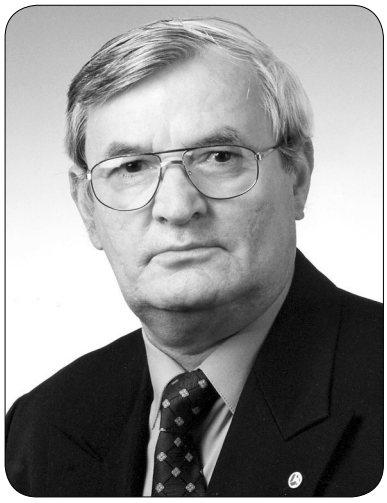
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych, ale widzę ogromną potrzebę ich działania. Były i są rady bardzo zaangażowane i takie, które prawie w ogóle nie przejawiały działalności. Rzecz z jednej strony, w ludziach, w ich aspiracjach, ale z drugiej, też w ich kompetencjach. Łatwiej jest w takich miejscach, gdzie można zrobić coś konkretnego dla mieszkańców osiedla, znacznie trudniej znaleźć sens w samym opiniowaniu, gdy na dodatek władze tych opinii często nie podzielają, bo patrzą na nie z perspektywy całego miasta. Rola rady osiedla ogranicza się wtedy do opiniowania pozwoleń dla sklepów z alkoholem i kilku innych drobnych spraw.

Były pomysły, aby rady decydowały o środkach na bardzo małe inicjatywy. To jest pewna niekonsekwencja: z jednej strony, domagaliśmy się większych kompetencji dla miasta od rządu, z drugiej, odmawialiśmy jej naszym jednostkom pomocniczym – osiedlom. Były opinie prawne, że rada osiedla nie może dysponować pieniędzmi, bo nie ma aparatu. Po doświadczeniach z organizacjami pozarządowymi myślę, że problem jest w nas – sprawujących władzę w mieście – nie mamy przekonania, że warto naszą władzą się podzielić. Usprawiedliwieniem bywa 3-procentowa frekwencja w wyborach do rad osiedli. Ale może to oznacza co innego, może należy mieszkańcom osiedli pozwolić decydować, uświadomić, że mają coś do powiedzenia, żeby zaczęli widzieć w tym coś istotnego i wtedy frekwencja się poprawi. Nie znam w Polsce dobrych rozwiązań w tym zakresie.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Od paru dobrych lat widzę na ul. Sienkiewicza reklamę jednej z gazet z napisem „O moim Wrocławiu". Wiele badań pokazuje, że wrocławianie utożsamiają się z miastem i są z niego dumni. Dziennikarze też są mieszkańcami Wrocławia, więc ich te wyniki także obejmują. Oczywiście, mamy jako władza poczucie, że za mało piszą o tym, jak się staramy i czasem czujemy się skrzywdzeni, gdy opisując zdarzenia nie podzielają naszych ocen i opinii. Ja nie mam takich osobistych „złych" doświadczeń. Nie mam też żalu, że za mało piszą o tym, czym się zajmuję czy też, czym zajmuje się Komisja Edukacji i Młodzieży. Ważne sprawy się przebijają, a jeśli nie, to jest to wyzwanie dla mnie: „rusz głową – postaraj się – pomóż im zrozumieć – dasz radę!"



Stanisław APOZNAŃSKI

Radny II i III kadencji.
Prezydent Wrocławia w latach 1984-1985.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W latach 1984-1985 pełniłem funkcję prezydenta Wrocławia. W czerwcu 1984 r. kończyliśmy budowę Szpitala Czterdziestolecia – pierwszej takiej placówki we Wrocławiu, zbudowanej od podstaw po 1945 r. Na uroczystość otwarcia przyjechał Wojciech Jaruzelski, jako premier rządu. Ja, jako dyrektor wykonawczy i dr Malinowski, który odpowiadał za służbę medyczną szpitala, oprowadzaliśmy Jaruzelskiego po tym szpitalu. Razem z nim przybyła liczna delegacja, w której znalazł się m.in. minister budownictwa oraz zdrowia. Po trzech dniach zaproszono mnie na rozmowę, podczas której zaproponowano mi objęcie stanowiska prezydenta Wrocławia.

Wcześniej takiego stanowiska nie było. Po wyborach w czerwcu 1984 r. powstała Miejska Rada Narodowa. Ta rada powołała mnie na prezydenta Wrocławia. Zacząłem tworzyć miejską strukturę od podstaw. Wtedy prezydent nie miał takich kompetencji, jak teraz. Dzisiaj prezydent jest prawdziwym gospodarzem. Ma do dyspozycji konkretny budżet i razem z Radą Miejską decydują o jego wykorzystaniu. Ja nie miałem takich możliwości. Ówczesne władze miasta, mimo małych kompetencji, nie były ciałem dekoracyjnym. Udało mi się uchwalić w 1985 r. ogólny plan przestrzenny zagospodarowania Wrocławia. Do dziś jest to jedyny taki dokument obejmujący całe miasto. Obowiązuje do dziś, jest oczywiście w wielu szczegółach modyfikowany. Są, niestety, duże opóźnienia w opracowywaniu szczegółowych planów zagospodarowania przestrzennego.

Miasto było podzielone na pięć dzielnic miejskich. Każda z dzielnic dbała o swoje interesy, nie patrząc na całość. Wrocław jest dużym miastem i ktoś musiał koordynować całość. Próbował to czynić wojewoda. Miasta jako bytu odrębnego wówczas nie było. Ówczesne prawo administracyjne przewidywało istnienie dwóch instancji. Mój urząd znajdował się pomiędzy nimi. To powodowało problemy w zarządzaniu. W części zagadnień byłem pierwszą instancją, w innych zaś drugą, nad dzielnicami. Sprawy te nie były do końca uregulowane. Wrocław był za mało znaczącym przypadkiem, żeby w skali całego kraju zmieniać prawo. Należało się jakoś do tego dopasować. Naczelnicy dzielnic nie podlegali mi formalnie. Stworzyłem kolegium prezydenckie, na które zapraszałem naczelników i próbowałem koordynować rozwiązywanie miejskich problemów.

We współpracy z naczelnikami Starego Miasta i Śródmieścia rozpoczęliśmy rewaloryzację starówki. Zakończył to prezydent Zdrojewski. Na siedzibę urzędu prezydenta udało mi się wywalczyć budynek przy pl. Nowy Targ, który do dziś jest wykorzystywany przez Urząd Miejski.

Pod koniec 1985 r. zrezygnowałem ze sprawowania funkcji prezydenta. Chciałem być rzeczywistym gospodarzem miasta, chciałem podporządkować urzędowi prezydenta dzielnice, ale to nie było w tamtych warunkach możliwe. Nie chciano mnie zwolnić, bo sprawa była polityczna, ledwo został powołany, a już odchodzi. Dymisję złożyłem przed Miejską Radą Narodową, której szefem był prof. Henryk Rot – prawnik z Uniwersytetu. On podejmował w tej sprawie decyzje formalnie, faktycznym decydentem był Komitet Wojewódzki PZPR i wojewoda. Moim następcą został Stefan Skąpski, mój zastępca, sam go rekomendowałem.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

We Wrocławiu mieszkam od 1946 r., zaś w latach 70. zacząłem pracować w budownictwie. Szefowałem wielu firmom budowlanym, aż do lat 90. Miałem przyjemność wybudować wiele obiektów komunalnych tego miasta, np. zakład produkcji wody na Mokrym Dworze, jedną i drugą elektrociepłownię, Szpital Czterdziestolecia, zajezdnię autobusową przy ul. Obornickiej i Opolskiej. Na początku lat 70. woda była racjonowana, dopiero po wybudowaniu zakładu na Mokrym Dworze wody przestało brakować we Wrocławiu. Byłem wówczas dyrektorem Wrocławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 2. Ta firma od lat 70. budowała większość infrastruktury Wrocławia.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Po rezygnacji z funkcji prezydenta wyjechałem na budowę do Czechosłowacji, i pod Pragą, jako szef kontraktu, budowałem duże zakłady chłodnicze. Do Polski wróciłem w 1990 r., już po wyborach samorządowych. Cztery lata później wziąłem udział – z ramienia SLD, choć nie byłem członkiem Sojuszu – w kolejnych wyborach samorządowych i zostałem wybrany do Rady Miejskiej. Dość dobrze orientowałem się w zagadnieniach dotyczących infrastruktury komunalnej Wrocławia, chciałem też zobaczyć jak wygląda nowy samorząd – dlatego postanowiłem wziąć udział w tych wyborach. W Radzie Miejskiej zajmowałem się przede wszystkim infrastrukturą miejską.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Nadzorowaliśmy modernizację zakładu produkcji wody na Mokrym Dworze. Przekształciliśmy Miejskie Przedsiębiorstwo Wodne i Kanalizacyjne w spółkę prawa handlowego, co poprawiło funkcjonowanie tego przedsiębiorstwa. Woda stała się towarem, za który się płaci, dzięki czemu jej zużycie jest bardziej racjonalne. Zużycie wody w mieście spadło z 300 tys. m^3 na dobę do 130 tys. m^3. Modernizowana i rozbudowywana jest sieć kanalizacji.

Jako dyrektor Wrocławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 2 rozpocząłem budowę oczyszczalni ścieków na Janówku. Podczas prezydentury Bogdana Zdrojewskiego otwieraliśmy ten obiekt.

Interesowała mnie gospodarka odpadami. W swoim programie wyborczym pisałem o tym, że należy zlikwidować wysypisko na Maślicach, które podczas powodzi w 1997 r. stało się źródłem wielu, bardzo niebezpiecznych zanieczyszczeń. Udało się w końcu zamknąć to wysypisko i zrekultywować teren, na którym się znajdowało.

Zajmowaliśmy się też rozwiązywaniem problemów komunikacyjnych we Wrocławiu, z którymi miasto ma najwięcej problemów. Przekształcaliśmy Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w spółkę prawa handlowego, dzięki czemu zwiększyła się efektywność jego działania. Szkoda tylko, że MPK nie ma prawie żadnej konkurencji.

Trwały też prace nad budową obwodnicy śródmiejskiej. Za czasów mojej prezydentury otwieraliśmy wiadukty przy ul. Armii Krajowej, jako fragment obwodnicy, którą budują do dnia dzisiejszego.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Przez dwie kadencje Rady Miejskiej – drugą i trzecią – wchodziłem w skład Komisji Gospodarki Komunalnej. Doskonale mi się w niej pracowało, m.in. razem z ówczesnym wiceprezydentem Zaporowskim.

Byłem też – podczas dwóch kadencji – w Radzie Nominacyjnej, która przedstawiała kandydatów do wyróżnień przyznawanych przez Miasto, m.in. do Nagrody Miasta Wrocławia.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niezadowolony jestem z tego, że nie do końca rozwiązano problem śmieciowy. Zbudowano przesypownię przy ul. Szczecińskiej, dokąd zwozi się śmieci z całego miasta. Tam odbywa się segregacja i wywóz na składowiska, które znajdują się na terenie gmin, z którymi Miasto podpisało umowy o składowaniu odpadów. Moim zdaniem, to nie jest najlepsze rozwiązanie, te umowy mogą być przecież wymówione, więc jest to rozwiązanie prowizoryczne. Nie udało się też rozwinąć recyklingu.

Bolączką, która bardzo uwidoczniła się podczas powodzi, jest zła organizacja zarządzania gospodarką wodną. Jest, co najmniej pięciu gospodarzy, kto inny odpowiada za wały, a kto inny za rzekę, komu innemu podlegają melioracje. Podobnie jest z drogami.

Uważam też, że w mieście kulała gospodarka lokalami mieszkaniowymi. Miasto chciało się pozbyć jak największej liczby mieszkań, żeby nie ponosić kosztów ich utrzymania. Wprowadzono bardzo duże ulgi dla osób, które wykupywały mieszkania, ale to nie do końca się udało. Zlikwidowano Dzielnicowe Zarządy Budynków Mieszkaniowych. Powołano spółki, które nie dawały sobie rady z zarządzaniem miejskimi mieszkaniami. Zaczęły powstawać wspólnoty mieszkaniowe, które zarządzały budynkami, w których były wykupione mieszkania. Kamienice, w których własność lokali była mieszana – część mieszkań była w rękach prywatnych, część nadal należała do Miasta – mieszkańcy nie chcieli partycypować w kosztach utrzymania danego budynku. Proces prywatyzacji mieszkań rozpoczęto, ale go nie zakończono.

Gdy byłem radnym, Miasto reformowało podległe szkolnictwo, likwidowano szkoły zawodowe i technika. Jako klub SLD wnioskowaliśmy, żeby zmian tych nie wprowadzać za szybko, zbyt pochopnie. Dziś widać, że popełniono błędy, brakuje nam specjalistów. Staraliśmy się też, by nie podwyższano opłat w przedszkolach i zwiększano w nich liczbę miejsc.

Byłem zwolennikiem tego, żeby w poszczególnych latach ustalić dwa, trzy priorytetowe zadania, które należało sfinansować do końca. Praktyka wyglądała inaczej: wszyscy dostawali za mało i nikt nie był zadowolony.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dobrze.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Aktywność ta była niewielka, dotyczyła przede wszystkim spraw indywidualnych wyborców.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Prezydent Zdrojewski zrobił sporo, ale działał w innych warunkach. Ja, jako prezydent nie mogłem wykorzystywać prywatnych środków, nie mogłem sprzedawać lokali miejskich, by uzyskane w ten sposób środki wykorzystać na rzecz Miasta.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpracę z Biurem Rady Miejskiej wspominam bardzo dobrze. Zawsze z ogromną przyjemnością korzystałem z pomocy pracowników Biura, którzy służyli mi dobrą radą.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Warunki były dobre, nie mam do nich żadnych zastrzeżeń.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Nie da się uniknąć ich tworzenia, ich istnienie wynika z upolitycznienia Rady. Klub SLD podczas drugiej kadencji liczył osiemnastu radnych, ale byliśmy na marginesie. Lewica po przemianach w 1989 r. była poobijana, staraliśmy się być opozycją merytoryczną. Nikt spośród nas nie znalazł się w prezydium Rady, nie zaproponowano nam też szefostwa jakiejkolwiek komisji. Całkowity ostracyzm. Dopiero wspólna praca w komisjach, udział w sesjach przyczyniły się do powolnej zmiany klimatu wokół nas, zaczęła się merytoryczna współpraca. Jednak całą II kadencję musieliśmy być w opozycji. Nigdy nie mogliśmy przegłosować naszego stanowiska.

Podczas III kadencji nadal byliśmy z boku, ale to już nie był ostracyzm w stosunku do klubu SLD – łatwiej było rozmawiać. Włodzimierz Gut – nieżyjący już – został wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej. Niekiedy zastanawialiśmy się, czy nie zrezygnować z tworzenia klubów politycznych w Radzie, bo bardzo trudno stwierdzić, czy dziura w jezdni jest lewicowa, czy też prawicowa. Najbardziej podziały polityczne uwidaczniały się podczas debat budżetowych, naszych wniosków nie uwzględniano, a jak już coś zapisano w budżecie, to trudno było to zmienić.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Było to, m.in., otwarcie oczyszczalni ścieków na Janówku. Jako dyrektor Wrocławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 2 rozpocząłem budowę tego obiektu.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?
Nie działałem w radach osiedlowych, trudno mi je ocenić.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?
Było wystarczające.



Piotr BABIARZ

Radny V kadencji.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Mandat radnego V kadencji Rady Miejskiej Wrocławia uzyskałem w 2006 r. z listy Prawa i Sprawiedliwości, którego jestem członkiem. Moje zainteresowanie samorządem wynika z obranej przeze mnie ścieżki kariery zawodowej. Ukończyłem studia politologiczne, w czasie których działałem w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów – co też ukształtowało moją postawę społeczną. Po studiach zaangażowałem się w działalność polityczną, należałem do Ruchu Społecznego Akcji Wyborczej Solidarność, zaś po jego rozpadzie wstąpiłem do PiS. Przez kilka lat pracowałem w administracji rządowej.

Zaangażowałem się w działalność samorządową w pełni świadom jej istoty, z bagażem wiedzy teoretycznej. W praktycznej działalności samorządowej bardzo pomogło mi wykształcenie oraz wcześniejsza działalność społeczna. Praktyka jest tu bardzo istotna.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?
Obecnie mam 35 lat, więc siłą rzeczy moje zainteresowanie samorządem czy szerzej działalnością społeczną rozpoczęło się na studiach, czyli w połowie lat 90.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?
Zajmowałem się sprawami związanymi z bezpieczeństwem, sprawami mienia komunalnego oraz nadzorem i kontrolą organów samorządowych.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?
Myślę, że przewodniczenie, z powodzeniem, klubowi radnych PiS Rady Miejskiej Wrocławia. Spośród spraw merytorycznych sądzę, że sukcesem jest przeprowadzenie inicjatywy poprawy uchwały regulującej zasady czynszowe mieszkań komunalnych, inicjatywa zamrożenia obciążeń podatkowych na rok 2009, a także pomoc w kilkunastu indywidualnych sprawach mieszkańców.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?
Jest wiele rzeczy, nad którymi musimy jeszcze pracować. Rozwiązania wymagają problemy infrastrukturalne, nierozwiązane na wciąż rozbudowujących się osiedlach mieszkaniowych, np. Ołtaszynie, Jagodnie czy Muchoborze Wielkim. Niekończące się korki, to także problem Miasta. Brak odpowiedniej infrastruktury na osiedlach, nie dotyczy to tylko dróg, ale także żłobków, przedszkoli, ośrodków zdrowia, itd. To, że kwestii tych nie rozwiązano, mam taką nadzieję, to nie zła wola kogokolwiek, a raczej priorytetów i koncepcji rozwoju Wrocławia. Jak to w życiu bywa, przysłowiowa kołderka zawsze będzie przykrótka, czyli mamy do czynienia z faktem ograniczonych środków finansowych. Takie sprawy są często tematem zażartych dyskusji, gdzie należy lokować strumienie finansowe.

Komunikacja miejska jest jednym z najtrudniejszych do rozwiązania problemów, z jakim boryka się Rada oraz władze miasta. Schemat komunikacji miejskiej – śmiem twierdzić – nie zmienił się, od co najmniej, czterdziestu, pięćdziesięciu lat, a przecież miasto jest organizmem żywym. Wrocław się zmienia, powstają nowe osiedla, pojawiają się nowe potrzeby. Miasto nie reaguje odpowiednio szybko na te zmiany. A to właśnie wpływa na jakość życia. Dlatego wielokrotnie poruszałem ten temat. Brakuje bezpośredniej komunikacji miedzy poszczególnymi dzielnicami. Dobrym przykładem jest tu sytuacja panująca w dwóch sąsiadujących ze sobą osiedlach: Klecinie i Partynicach. Przejazd komunikacją miejską pomiędzy jednym osiedlem a drugim zajmuje półtorej godziny.

Winą takiego stanu jest właśnie brak bezpośredniego połączenia. Pewnym rozwiązaniem problemu mogłoby być wykorzystanie alternatywnych środków lokomocji. Miasto próbowało porozumieć się z PKP w sprawie włączenia infrastruktury kolejowej w system komunikacji zbiorowej. Kolejarze nie są ponoć w stanie określić, z jaką częstotliwością kursowałyby składy pasażerskie, ponieważ dla PKP najważniejszy jest przewóz towarów, a ten jest nieregularny i blokowałby przejazd miejskiej kolei, ale za to odpowiada Zarząd Miasta, czyli prezydent.

Tramwaj wodny, w moim przekonaniu, sprawdzi się w turystyce, ale nie w komunikacji miejskiej, ponieważ jest za dużo stopni wodnych, których pokonywanie zajmuje wiele czasu. Przemieszczenie się, np. z Biskupina do Uniwersytetu byłoby zbyt czasochłonne.

Jest wiele problemów, które mogą doskwierać mieszkańcom Wrocławia. Ważne jest, aby na nie odpowiednio reagować. Dlatego powinno się dostosowywać priorytety do bieżących potrzeb. W tym kontekście proponuję zarządzanie zgodne z hasłem „Wrocław od(nowa)". Nie chcę tutaj negować osiągnięć moich poprzedników, ale czasem jest potrzebna odnowa.

Poruszyłem tylko kilka z tematów związanych z samorządem. Działalność samorządowa daje bardzo wiele możliwości, a zarazem otwiera oczy na to, jak wiele jest do zrobienia. Skuteczność naszego działania w dużej mierze zależy od liczby osób tak samo zaangażowanych w sprawę.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Działalność, funkcjonowanie takich organizacji jest istotnym elementem istnienia społeczeństwa obywatelskiego, a także, co ważne dla nas samorządowców, dużym wsparciem w tych miejscach, gdzie samorząd nie może pomóc lub jego działalność jest niewystarczająca. Dlatego, moim zdaniem, samorząd powinien wspomagać i współpracować z takimi organizacjami.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Oprócz tworzenia prawa lokalnego istotą funkcjonowania radnego jest stały kontakt z mieszkańcami. Radny reprezentuje ich interesy. Wrocławianie zgłaszają się do mnie z różnymi sprawami. Duża część z nich, to szeroko pojęte sprawy komunalne, wśród których przeważają sprawy mieszkaniowe. To nie zmienia się od lat, m.in. dlatego, że we Wrocławiu jest największy w Polsce zasób mieszkań komunalnych – ponad czterdzieści tysięcy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W dużej mierze stosunki te determinuje ustawa o samorządzie gminnym, która daje bardzo dużą władzę władzy wykonawczej, w naszym wypadku prezydentowi. W samorządzie wrocławskim były pola współpracy, ale pojawiały się rozbieżności. Niestety, często radni poprzez, moim zdaniem, źle skonstruowaną ustawę samorządową stoją na przegranej pozycji wobec organu wykonawczego.

Są tematy, które rozgrzewają atmosferę posiedzeń Rady – mimo wszystko jesteśmy politykami i mamy różne poglądy. Jednym z takich zagadnień jest budżet, w którym są oczywiście priorytety, których nikt nie podważa, np. organizacja Euro 2012. Muszą być pieniądze na strategiczne drogi oraz bezpieczeństwo. Spieramy się jednak w sprawach dotyczących wielkości środków przeznaczanych na promocję miasta, spraw społecznych czy też kolejności remontu poszczególnych ulic. Mamy także różne poglądy co do wysokości podatków lokalnych i innych obciążeń mieszkańców. Mimo to mam nadzieję, że każdy z nas ma jeden cel – pomyślny rozwój Wrocławia.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze. Mam nadzieję, że pracownicy Biura Rady Miejskiej podobnie odbierają współpracę ze mną.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Nie mam zastrzeżeń. Bez zarzutu.

W jakich pracuje Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W Radzie Miejskiej Wrocławia pracuję w Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego, Statutowej i Rewizyjnej. Pierwsza z nich zajmuje się rozpatrywaniem pod względem formalnym skarg mieszkańców na instytucje samorządowe oraz omawianiem spraw bezpieczeństwa w mieście. Członkowie komisji spotykają się z przedstawicielami instytucji odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo: komendantem miejskim Policji, Straży Miejskiej oraz Straży Pożarnej. Wnioskujemy wówczas o pewne działania z ich strony, dofinansowujemy też w znaczny sposób ich działalność.

Komisja Statutowa stoi na straży zgodności uchwał z obowiązującymi przepisami prawnymi. Gdy projekt uchwały wpłynie do Biura Rady Miejskiej jest on analizowany pod względem formalnoprawnym.

Komisja Rewizyjna, to najbardziej stałe, obligatoryjne ciało Rady, co wynika z ustawy o samorządzie terytorialnym oraz Statutu Wrocławia. Umożliwia ona kontrolę organów samorządu przez radnych. Komisja ustala każdego roku plan kontroli, na który składa się pięć lub sześć tematów kontroli Urzędu Miejskiego i podległych mu jednostek.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych, czyli środowiska polityczne w Radzie, są odzwierciedleniem poglądów wyborców. Zrzeszają radnych o podobnych poglądach i pomagają w sprawnym funkcjonowaniu Rady.

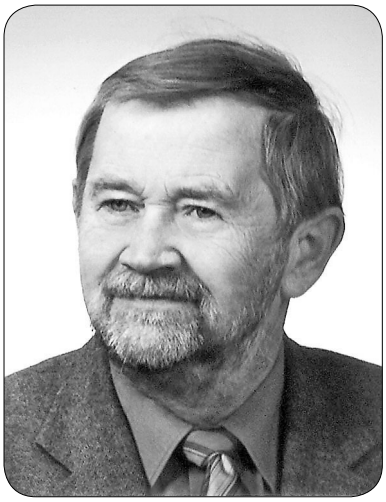
W obecnej kadencji w Radzie Miejskiej Wrocławia funkcjonują trzy duże środowiska polityczne: klub Rafała Dutkiewicza, klub Platformy Obywatelskiej, klub Prawa i Sprawiedliwości oraz radni związani z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Współpraca na poziomie Rady układa się raczej dobrze, nie dochodzi do walk politycznych, jakie często widzimy w parlamencie. Kooperują ze sobą wszyscy w sprawach, które w końcu dotyczą nas wszystkich, naszego miasta.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pan pamięci?

Pierwsza sesja Rady, zaprzysiężenie na radnego, wybór Polski – w tym Wrocławia – na organizatora Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej Euro 2012 oraz przygotowania do tej imprezy. Ponadto ważne jest dla mnie to, jak miasto zmieniło się przez ostatnie 4 lata, także, mam nadzieję, dzięki mojej działalności.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Od ponad roku gorącym tematem w samorządzie są rady osiedli. Są różne koncepcje dotyczące ich funkcjonowania. Jedna z nich mówi o stworzeniu dziesięciu dzielnic, które przejęłyby część kompetencji wykonawczych. Ich kształt regulowałby statut miejski. Ja opowiadam się za inną koncepcją, która mówi o zwiększeniu kompetencji istniejących od dwudziestu lat rad osiedli oraz respektowaniu tych uprawnień, które już posiadają – jest nim, np., prawo obecności przedstawiciela rady osiedla podczas odbioru wyremontowanej ulicy. Jako klub PiS postulujemy, żeby z ogólnego budżetu Miasta obligatoryjnie wydzielić część środków, które byłyby przeznaczone dla rad osiedli, które mogłyby realizować z góry ustalony dla nich katalog zadań. Rady osiedli w drodze konkursu mogłyby aplikować o środki finansowe. To spowodowałoby m.in. zwiększenie aktywności mieszkańców, którzy zaczęliby rozliczać z działalności radnych osiedla. Zmian tych nie dokona się szybko, kadencja obecnych rad osiedla potrwa jeszcze trzy lata. To wystarczająco dużo czasu, by przygotować nowe ramy ich działalności.



Jerzy BARAŃSKI

Radny I i II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1990-1994.
Miejski Rzecznik Konsumentów.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego,
doktor nauk prawnych, specjalista prawa pracy.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Nie miałem doświadczeń, jeżeli chodzi o pracę w samorządzie. Miałem jedynie doświadczenia związkowe. Jeszcze przed 1980 r. byłem wiceprzewodniczącym rady zakładowej ZNP na Akademii Ekonomicznej. Po sierpniu 1980 r. rada zakładowa w większości przeszła do „Solidarności", utworzono Komisję Uczelnianą „Solidarności". Tam też byłem wiceprzewodniczącym. W stanie wojennym prowadziliśmy działalność podziemną w granicach uczelni. W marcu 1989 r. podczas zebrania pracowników, po spotkaniu z panią Labudą, podjęliśmy decyzję o odtworzeniu zdelegalizowanej w stanie wojennym komisji zakładowej. Członkiem mojej Komisji Uczelnianej „Solidarności" był pan Bogdan Zdrojewski – wówczas pracownik Akademii Ekonomicznej.

Do Komitetu Obywatelskiego „Solidarności" wydelegowały mnie dwie instytucje: Komisja Uczelniana „Solidarności" Akademii Ekonomicznej i zebranie Komitetu Obywatelskiego na Brochowie. Tak więc nie byłem wprost członkiem Komitetu Obywatelskiego, ale identyfikowałem się z nim.

Zarozumiale powiem, że porównując się z innymi kolegami, czułem się kompetentny do pełnienia funkcji radnego. Radnymi zostali często młodzi ludzie, łącznie z panem prezydentem, którzy nie zajmowali się prawem. Uważałem, że ktoś, kto zajmuje się prawem stosunkowo szybko sobie poradzi. Zorientuje się, jaki jest zakres kompetencji, jaki jest sposób funkcjonowania samorządu. Podstawy znajomości prawa ułatwiają istotnie opanowanie zakresu działania instytucji. Dla mnie ważne było, że gdy działam w instytucji publicznej to mogę uczynić tylko tyle, ile wynika z przepisów prawa. Tak więc nie bałem się tej pracy. Potwierdzeniem tego jest, że podjąłem się kierowania Komisją Statutową. Jej podstawowym zadaniem było opracowanie statutu samorządu wrocławskiego. Podjęcie się przez członków Komisji Statutowej opracowania tego dokumentu nie było łatwe. Nie było żadnego wzoru w tym zakresie. Trzeba było odczytywać przepisy ustawy, które wskazywały, że jakaś kwestia

może być regulowana statutem. Byłem przewodniczącym tej komisji przez całą kadencję. Przez te cztery lata udawało nam się uniknąć konfliktów z wojewodą. Komisja Statutowa opiniowała projekty uchwał. Wydawałoby się, że zrobiono swoje, czyli uchwalono Statut i że powinna ona zniknąć. Jednak już w trakcie pierwszej kadencji, a potem w następnych przekształciliśmy tę komisję w Komisję Uchwałodawczą, na której dokonywało się oceny poprawności legislacyjnej i poprawności merytorycznej zgłaszanych projektów. Komisja do dzisiaj funkcjonuje, ten pomysł z pierwszej kadencji przetrwał. Znaczenie tej komisji było szczególne w pierwszej kadencji, w czasie, gdy formował się samorząd, w którym nie było zbyt wielu prawników. To jest stały mankament Polski samorządowej i Polski parlamentarnej. Funkcje publiczne pełnią często osoby bez doświadczenia i wyobraźni w sferze publicznej. Mówiąc trywialnie, można powiedzieć, że wszystko opiera się na prawie. Jako nauczyciel akademicki mający zajęcia na Akademii Ekonomicznej musiałem odejść od swojej specjalności jaką było prawo pracy i zająć się innymi specjalnościami, bo studentom trzeba przekazywać informacje z kilku gałęzi prawa. To był dodatkowy czynnik, który pozwalał mi się czuć pewniej w Radzie Miejskiej – nie byłem ograniczony jedną gałęzią prawa.

Czy pełnił Pan jakieś inne funkcje w Radzie Miejskiej poza Komisją Statutową?

Byłem członkiem Komisji Budżetu i Finansów. W drugiej kadencji byłem przewodniczącym Komisji Praworządności. Skład tej Komisji i Statutowej był identyczny. Czasami zastanawialiśmy się, jaka jest różnica między nimi. Ponieważ skład był identyczny, nie było kolizji między zadaniami jednej i drugiej komisji.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan będąc radnym?

W drugiej kadencji byłem członkiem Komisji Gospodarki Komunalnej. Byłem inicjatorem, chyba wspólnie z panem Henrykiem Mikorskim radnym pierwszej kadencji, powstania Zespołu Inicjatyw Komunalnych, który funkcjonuje do dzisiaj. Uważaliśmy, że można pewne problemy lokalne, typu brak gazociągu, wodociągu, kanalizacji, drogi czy oświetlenia, rozwiązać wspólnymi siłami. Myślę, że przez te 19 lat sporo rzeczy udało się rozwiązać dzięki temu Zespołowi, że to był pierwszy krok do Polski obywatelskiej, samorządowej. Drugą kwestią były sprawy osiedlowe. Zajmowaliśmy się tym z panem radnym Cybulskim. W Komisji Statutowej opracowaliśmy pierwszy statut dla osiedli. Pozostawienie we Wrocławiu rad dzielnicowych byłoby zachowaniem struktur amorficznych. Miasto jest duże. To prawie 300 km^2 powierzchni. Najpierw zajęliśmy się kwestią podziału Wrocławia na osiedla. W pierwotnej wersji osiedli było 47, obecnie jest 48. Ktoś może powiedzieć, że to bardzo dużo, ale patrząc na zróżnicowanie Wrocławia widać, jak odmienne są problemy osiedli. Inicjatywa powołania organów osiedlowych zależała od ludzi mieszkających w tych osiedlach. W drugiej kadencji wybory organizowano odgórnie. Początek jednak był taki, że nie narzucamy budowania struktur poszczególnym osiedlom, lecz oczekujemy inicjatywy z ich strony. Proszę bardzo, macie określone kompetencje, chcecie tworzyć, to my to umożliwimy.

Miałem okazję być w Wiesbaden w czasie tamtejszych wyborów. Oddelegował mnie prof. Stanisław Miękisz. Uważał, że powinienem zobaczyć, jak tam przebiegają wybory. Były tam wybory lokalne, ale były równocześnie wybory do rad osiedlowych. Wiesbaden jest o połowę mniejsze od Wrocławia, a osiedli mieli prawie 30. Istotne było to, że te wybory odbywały się w tym samym czasie, co rozwiązywało kwestię frekwencji. Do lokalu wyborczego przychodził wyborca zainteresowany sprawami ogólnomiejskimi i lokalnymi. U nas ciągle trwa dualizm. Niektórzy uważają, że wybory powinny odbywać się w różnych terminach, bo wynika to z ustawy. Myślę, że należałoby zmienić ustawę. Połączenie tych wyborów uświadomiłoby większej liczbie mieszkańców, że oprócz Rady Miejskiej funkcjonuje osiedle.

Inicjatywą partii politycznych powinno być to, że wybory samorządowe do rad gmin i pomocniczych jednostek samorządowych będą odbywać się w tym samym czasie. Jest to kwestia szacunku dla obywatela, a także kosztów. Obywatel, gdy nie bardzo wie, czym się kto zajmuje i ma kolejny raz iść głosować, to nie pójdzie.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Utworzenie Statutu Wrocławia. To była duża satysfakcja, dlatego że to była praca twórcza. Nie było wzorów, nie można się było odnosić do innych statutów. Wysiłek intelektualny był znacznie większy niż podczas innych działań. Gdy opiniowaliśmy jakąkolwiek inną uchwałę to był konkret do zaopiniowania. Przy Statucie nie wystarczyło znaleźć odpowiednie delegacje w ustawie, ale trzeba im było nadać określoną treść i ciągły był dylemat, jak daleko ta treść powinna sięgać, jak szczegółowy powinien on być, czy nie wykraczamy poza to, co ustawodawca chciał nam delegować. Udało się Statut napisać dosyć syntetycznie. Jestem zwolennikiem właśnie takiego prawa syntetycznego, bo ono pozwala na szereg działań, bez odwoływania się do szczegółów, bo im więcej szczegółów tym gorsze prawo.

W Komisji Statutowej byli prawnicy. Co prawda różnie bywało w dyskusjach z radnym Lenkiewiczem, ale trzeba przyznać, że wnosił on także pozytywne uwagi. Najtrudniejsze było opracowanie szkieletu, czyli jakie kwestie mają się znaleźć w statucie. Trzeba było dokładnie przeanalizować Ustawę o samorządzie terytorialnym oraz inne ustawy. Doszliśmy do wniosku, że dobre uchwalenie statutu to nie jest tylko kwestia szybkości, ale dostrzeżenia jak ma funkcjonować Miasto, jak mają funkcjonować jego organy. Chyba niecały rok trwało jak Statut został przyjęty. Nie wiedzieliśmy jak nasz projekt zostanie przyjęty w Radzie Ministrów. Byliśmy przekonani, że Statut

zawiera te kwestie, które powinny w nim być. Pamiętam, że uwag było niewiele, a te uwagi, które były wynikały z naszego „przedobrzenia". Jedna uwaga jednak nie zaistniała. Mianowicie, uważałem, że Biuro Rady Miejskiej powinno być odrębną jednostką administracyjną, wyłączoną z Urzędu. Powinno być, jak to wtedy mówił Kodeks pracy, zakładem pracy. To się udało, nie została ta propozycja zakwestionowana. Niestety, później trzeba było z niej zrezygnować, ponieważ Ustawa o pracownikach samorządowych nie przewidziała tego, co my przeprowadziliśmy w Statucie. W praktyce oznaczałoby to, że pracownicy Biura nie byliby pracownikami samorządowymi. Trzeba się było z tego wycofać. A szkoda, bo jeżeli Sejm ma osobną kancelarię, która obsługuje marszałka Sejmu – nie obsługuje go Rada Ministrów – to podobnie powinno to funkcjonować przynajmniej w dużych miastach. Władza przewodniczącego Rady Miejskiej powinna być dalej idąca niż to jest obecnie. Obecnie pracownicy Biura podlegają prezydentowi. Niestety, Ustawa o pracownikach samorządowych ciągle nie wprowadza zmian w tym zakresie. Myślę, że jest to skutkiem tego, że brakuje rozwiązań dla metropolii. Gdy opracowywaliśmy Statut było to relatywnie proste, bo nie było tylu kompetencji.

Statut Wrocławia stał się wzorcem dla innych miast, nie tylko tych, które liczą powyżej 300 tys. mieszkańców. Korzystały z niego miasta na Dolnym Śląsku.

Dyskutowaliśmy, czy przejmować oświatę, służbę zdrowia, czy wydać pieniądze na coś innego. Dzisiaj jest oczywiste, że to jest gminne, ale my przejmowaliśmy to już wtedy. Rada wychodziła z założenia, że to są nasze dzieci, że to są nasi pacjenci.

Gdy mówimy o pierwszej kadencji, nie pamiętam, kto był inicjatorem, ale na pewno nie byłem przeciwny, uchwaleniu uchwały dotyczącej Biuletynu Rady. Był to taki miejski dziennik ustaw. Wychodziliśmy z założenia, że ten Biuletyn powinien być, bo kto to słyszał, żeby Miasto wywieszało swoje uchwały jedynie na tablicy ogłoszeń. Funkcjonuje on do dzisiaj, z tym, że decyzja o uchwaleniu Biuletynu zapadła trochę później. Najpierw miał postać książkową. Były cztery części. Obecnie Biuletyn ukazuje się po każdej sesji.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeniem było to, co i w Polsce się zaczęło dziać, że za szybko nastąpił podział polityczny w Radzie. On stopniowo się wyłaniał. Znacznie więcej udało nam się dokonać w pierwszej kadencji. Było to możliwe, bo przez jakiś czas nie było takiego wyraźnego podziału politycznego. Jak wiadomo, z Komitetu Obywatelskiego weszło 67. radnych. Komitet Obywatelski też nie był monolitem, ale ludzie potrafili się dogadać. Ale już wtedy zdarzały się niczym nieuzasadnione, rozrabiackie sprzeciwy.

Dobrym przykładem wydają się prace nad uchwałą o budowie lotniska. Dyskusja o budowie lotniska była jedną z pierwszych w I kadencji, chyba latem 1990 r. Była taka inicjatywa, żeby rozbudować nasze lotnisko, które jak się okazuje jest już dzisiaj za małe, a jednym z nielicznych i to głośnych przeciwników był prof. Jerzy Przystawa. Nie chciał lotniska we Wrocławiu. Mówił: po co nam to lotnisko?! Wydawałoby się oczywiste, że takie miasto jak Wrocław nie powinno być gorsze od Poznania czy Krakowa, że jesteśmy tym pierwszym frontem na zachodzie kraju, że lotnisko jest niezbędnie, ale jak się okazuje nie dla wszystkich radnych było to oczywiste.

Inną sprawą z tamtego czasu była kwestia dotycząca siedziby Sądu Apelacyjnego. Napisałem projekt uchwały przekazującej budynek na ul. Energetycznej. Było pod tym projektem kilka podpisów – mecenasa Adamczyka, pana Cybulskiego, pana Kieresa, jeszcze jakichś innych osób, i tym sposobem, mówiąc nieładnie, przepchnęliśmy uchwałę przekazania tego budynku na potrzeby Sądu Apelacyjnego. Zarówno w Radzie Miejskiej, jak i w Zarządzie Miasta brakowało zrozumienia dla tych działań, uważano, że państwo powinno płacić za ten budynek. Groziło Wrocławiowi, całemu Dolnemu Śląskowi, że część mieszkańców jeździłaby do Katowic, część do Poznania, aby załatwiać sprawy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Wydaje mi się, że nie bardzo to wtedy funkcjonowało. Ja przynajmniej takiej informacji nie mam. Jeżeli istniał dialog, to zwłaszcza ze związkami zawodowymi. Dotyczyło to głównie MPK. Jednak wszelkie dyskusje miały mniejszy wydźwięk, jeżeli chodzi o Radę, bardziej przekładały się na Zarząd. Rada funkcjonowała w zakresie uchwałodawczym. Znana była kwestia dotycząca Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Miało ono skromne środki, a chodziło o zagwarantowanie bezpieczeństwa na Odrze.

Warto wspomnieć o powodzi. Była to druga kadencja Rady. Na dwa dni przed powodzią podjęliśmy uchwałę, wtedy bez podstawy prawnej, żeby Kłodzko i Bardo otrzymało od Wrocławia pomoc finansową. Wiadomo było, że poszła tamtędy 8-metrowa fala powodziowa. Co ciekawe, w lipcu czy sierpniu Sejm podjął uchwałę w naszym duchu, czyli dał podstawy prawne, żeby samorządy mogły współdziałać, pomagać sobie. Wyprzedziliśmy Sejm naszą uchwałą, dając środki finansowe na pomoc dla samorządu Kłodzka i Barda. Jak widać, ustawodawca też nie nadążał. Przecież samorząd istniał już od 7 lat, a nie przewidziano, że samorządy mogą sobie pomagać. Wtedy także uzyskaliśmy informację, że woda od strony Opola pójdzie na prawy brzeg, czyli, że się wyleje w kierunku Widawy nie zagrażając Wrocławiowi. Jak wiemy, informacja okazała się chybiona. Wszystko poszło od strony ul. Traugutta i jedynie na planie miasta można było śledzić, dokąd dojdzie ta woda. Część miasta uratowały nasypy przy torach kolejowych. Potem odtwarzaliśmy zniszczoną strukturę miejską.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją aktywność w Radzie?

Kontakt z wyborcą trzeba utrzymywać chociażby po to, żeby wyborca był zorientowany, jakie są możliwości Rady, jak się przyjmuje budżet.

Chodziłem na spotkania z wyborcami. Uwagi, które na tych spotkaniach padały, najczęściej dotyczyły drobiazgów, że jezdnia nie taka, chodnik dziurawy, lampy brakuje. Były jednak również głosy wskazujące na to, że wyborca jest świadom swojej siły. Czasami wyborca mówił: zobaczycie, jak to będzie na wyborach. Na własnym przykładzie wiem, że jak miałem napisane, że jestem doktorem nauk prawnych to z przedostatniego miejsca na liście uzyskałem drugi wynik, czyli wyborca się interesował, na kogo głosuje, a nie mechanicznie zakreślał osoby z pierwszej czy drugiej pozycji. W drugiej kadencji nazwisko prezydenta Zdrojewskiego stanowiło koło zamachowe. Toczy się dyskusja nad ordynacją wyborczą, ale wydaje mi się, że w mieście takim dużym jak Wrocław niewiele da się zmienić.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Pozytywnie. Wywodziliśmy się z tego samego pnia, nie było więc jakichś istotnych różnic. Naturalnie często toczyły się zażarte dyskusje, ale Zarząd mógł spokojnie realizować swoją politykę. Zarząd został wybrany przez nas. Wtedy prezydent nie był wybierany w wyborach bezpośrednich. Możliwość kolizji interesów Rady i prezydenta jest obecnie większa niż wtedy. Wtedy kolizja interesów nie była pożądana. Im mniej było sprzecznych opinii, tym szybciej Miasto rozwiązywało swoje problemy. W połowie 1990 r., gdy rozpoczęliśmy naszą pracę było np. 7 budżetów: 5 dzielnicowych, miejski i jak pamiętam wojewódzki, bo Wrocław był miastem na prawach województwa. W Polsce były trzy miasta wydzielone, czyli Warszawa, Łódź i Kraków, a Wrocław to było miasto-województwo. Tak więc tylko kwestia wyprowadzenia budżetu na prostą wymagała współdziałania i zgody, wspólnej decyzji, żeby już w 1991 r. inaczej działać. W tamtym czasie przyjęliśmy np. uchwałę, że rezygnujemy z diet. Za połowę 1990 r. nie braliśmy diet. Chcieliśmy w ten sposób wspomóc budżet, w którym były spore braki. I nie zastanawialiśmy się wtedy nad tym, czy jest to zgodne z prawem. Działaliśmy emocjonalnie. Uważaliśmy, że nie wypada, że taki gest jest konieczny. Miasto było w poważnych tarapatach finansowych.

Można się zastanawiać, czy ustawodawca nie nazbyt pochopnie zmienił ustrój organów samorządowych wprowadzając wybory bezpośrednie na prezydenta. Wybory bezpośrednie w sposób oczywisty osłabiają Radę i radnych. Ich rola sprowadza się obecnie do ustanawiania budżetu, podejmowania uchwał itd. Ustawodawca potraktował gminy w ten sposób, że są wybory bezpośrednie, ale już w powiecie czy województwie tego nie ma. Zarządy powiatów wyłaniane są z grona radnych. Naturalnie w sensie propagandowym, w sensie zwiększenia frekwencji, ma to znaczenie, natomiast, moim zdaniem, zostało to zrobione przedwcześnie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej szybko dostosowało się do nowej rzeczywistości. Pani dyr. Śledzińska stwarzała nam dobre warunki do funkcjonowania. Obsługa była bardzo dobra. Uważałem, znalazło to odzwierciedlenie w Statucie, że to powinien być dyrektor Biura, a nie kierownik. Z punktu widzenia funkcjonowania komisji czy przygotowania sesji wszystko było profesjonalne. Nie można było liczyć na to, że pojawia się wielki samorząd w roku 1990 i wszyscy dotychczas zatrudnieni są niepotrzebni. Wręcz przeciwnie. Jako przykład powiem, że sekretarzem Miasta w początkowym okresie był naczelnik dzielnicy Stare Miasto. Namawiałem kolegów, żeby zachować pewną ciągłość w pracy urzędniczej. Przecież nowo wybrani radni w poprzednim systemie też funkcjonowali w jakichś strukturach, pełnili jakieś role społeczne. Z punktu widzenia urzędnika ciągłość jest niezwykle ważna. Nie można robić tak, że zawiesza się wcześniej uchwaloną ustawę o służbie cywilnej. Tak więc nie wprowadziliśmy rewolucji. Jak widać, pani dyrektor przeżyła tylu przewodniczących, że nie będę wyliczał, z dobrym skutkiem. Z punktu widzenia samorządu pewne kwestie z poprzedniego ustroju nie zmieniły się. Ulicami zajmowano się wtedy i obecnie. Podobnymi sprawami komunalnymi zajmowano się wtedy i obecnie. Ktoś, kto ma przygotowanie i doświadczenie w pracy urzędniczej jest bezcenny.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Początkowo wszystko mieściło się przy Nowym Targu. Często były problemy z tym, gdzie mają się odbywać obrady komisji. Te początki z punktu widzenia lokalowego były trudne. Ale wtedy do Rady nie szło się z kalkulacji, szło się z potrzeby, żeby zmieniać na lepsze funkcjonowanie miasta. Przejawiało się to i na sesjach, i w komisjach. Zdecydowanie więcej było nastawienia pozytywnego.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

My funkcjonowaliśmy bez klubów. Wtedy nie było takiej potrzeby. W sytuacji, kiedy wybory są bardziej upolitycznione, gdy radny reprezentuje określone ugrupowanie, kluby stają się niezbędne. Jeżeli jakieś ugrupowanie idzie do wyborów z określonym, konkretnym programem, to po to, aby próbować choć po części zrealizować ten program, musi działać zespołowo. U nas to działanie zespołowe było naturalne. Wynikało z faktu, że jako Komitet Obywatelski mieliśmy zdecydowaną przewagę w Radzie.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Wydaje mi się, że i na początku, i dzisiaj media nie w pełni się odnajdują w samorządzie i nie tylko w samorządzie. W parlamencie też to można zaobserwować. Za mało przekazują tego, co istotne dla funkcjonowania samorządu. Bardziej się szuka newsów, informacji chwytliwych. Wtedy dziennikarze nie byli przygotowani, ale i nie bardzo chcieli się uczyć; do czego jest ten samorząd, jak przekazywać informacje, jakie uchwały są najważniejsze, jakie są możliwości działania. Za mało było ze strony dziennikarzy dydaktyki, informacji dla czytelnika. Nie byli dobrym łącznikiem między Miastem a mieszkańcami. To tak, jak we wspomnieniach premiera Mazowieckiego, że: oni [rząd] byli zapracowani, sami nie potrafili przekazać mediom swoich istotnych informacji. My także byliśmy zapracowani. Było zdecydowanie więcej sesji i często toczyły się one do późnych godzin nocnych, a brak znajomości tematu powodował, że informacje dziennikarskie były zdawkowe. Nie przyczyniały się one do wyrobienia obywatelskiego czytelnika.

◇◇◇

nr 24. Zaczynaliśmy wszystko z pieniędzy społecznych, później przekazane zostało to jako majątek Miasta i służy do czasów obecnych. Współpraca z tą szkołą trwała wiele lat, praktycznie do śmierci dyrektora szkoły, który zginął w hali w Katowicach. Udało mi się również przyczynić do skomunalizowania cmentarza przy ul. Trzmielowickiej, ponieważ parafia nie była w stanie go dalej utrzymywać. Myślę, że każdy radny działając nawet na rzecz całego miasta najlepiej zna potrzeby swojego osiedla i tam jest w stanie najbardziej pomóc.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Myślę, że takim niepowodzeniem było to, że nie udało się przeprowadzić reformy rad osiedli. Tych rad jest bardzo dużo, a nie zawsze pieniądze, które dostają na swoją działalność są wykorzystywane tak, jak powinny. One są zbyt małe, żeby cokolwiek większego zrobić. Uważam za takie moje niepowodzenie, iż, mimo że byłam przewodniczącą Komisji ds. Osiedli, to nie udało mi się przeprowadzić reformy rad osiedli. Należy zmniejszyć ich liczbę i dać większą władzę i decyzyjność na swoim terenie. Najczęściej pieniądze są przyznawane na jakieś imprezy o charakterze lokalnym, np. szkoła z tego terenu może otrzymać wsparcie finansowe. Mogą być one przeznaczone na jakiś festyn na terenie danego osiedla. Niestety, na nic więcej tych pieniędzy nie wystarcza, a przecież są tam różne potrzeby.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Taka współpraca była, szczególnie z organizacjami, które działały na rzecz kobiet, ofiar przemocy. Ta współpraca układała się dobrze.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Z uwagi na to, że prowadzę działalność gospodarczą i jestem na osiedlu dostępna, to powiem, że byłam przez swoich wyborców często oblegana. Zgłaszano mi różne potrzeby, ale także uwagi krytyczne, które dla mnie były zawsze mobilizujące. Nawet żartowałam sobie z takich wypowiedzi, typu „Pani Alu, bo ja na Panią głosowałem". Tym, którzy zgłaszali się, iż to na mnie głosowali, mówiłam, że należy poddać w komisji wyborczej kontrolę tych moich głosów, bo chyba było ich zbyt mało w porównaniu z liczbą przychodzących do mnie osób. Ludzie przychodzili i prosili, by np. zmienić ruch przy ul. Średzkiej, zrobić ruch dwukierunkowy przez ul. Płońskiego, ale również były zgłoszenia typu: ja nie mam od czasów powojennych wymienionego okienka w piwnicy. To były różne przypadki i problemy dla różnych osób bardzo ważne. Każdego trzeba było wysłuchać i coś z problemem począć. Podczas dyżurów ludzie również przychodzili, chociaż nieraz były to osoby z jakąś zaburzoną psychiką. Najczęściej jednak pojawiały się problemy o charakterze mieszkaniowym. Pamiętam taki jeden przypadek z komisji mieszkaniowej. Było w kwestii mieszkaniowej podanie pani, która była ekspedientką w Domach Towarowych Centrum. Miała ona troje dzieci, jedno z tych dzieci było przed maturą, jedno wymagało specjalnej troski. Ta pani mieszkała w pokoju z byłym mężem, jego nową żoną, nowymi dziećmi oraz teściową. Ta osoba miała kącik za szafami. Cała rodzina byłego męża była patologiczna. Pani wraz z dziećmi praktycznie przebywała poza domem cały dzień, a wieczorem rozkładali materac i kładli się spać. Te jej dzieci były wzorowymi uczniami. Nie wierzyliśmy, że w tym jednym pokoju może mieszkać tak wiele ludzi, a faktycznie tak było. Dostała jednak ta pani mieszkanie. Dla mnie był to przypadek szokujący. Dzieci uczyły się w świetlicy w szkole czy też w bibliotekach. Ta kobieta nie zdemoralizowała się, chociaż egzystowała w takim środowisku. Są takie wspomnienia, które ze mną zostaną na zawsze. I to może jest dziwne, że człowiek zapomina o tych sprawach dających radość, w pamięci pozostają sprawy trudne, a gdzieś tam pojawia się też sukces, jeżeli udało się komuś pomóc.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Z uwagi na to, że pracowałam w zespole przydzielającym środki na inicjatywy lokalne, gdzie właśnie z rad osiedli, ze stowarzyszeń wpływały wnioski, to bardzo dobrze współpracowało mi się z Wydziałem Inwestycyjno-Technicznym, ze św. pamięci panem Tadeuszem Bieńko, który przewodniczył temu zespołowi, a także z Wydziałem Gospodarki Komunalnej. Z innymi bywało różnie, np. z Biurem Sprzedaży Lokali, jak były interwencje, jednak po pewnym czasie ta współpraca się dotarła. Generalnie nie miałam problemu w nawiązywaniu współpracy z urzędnikami.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Praca z Biurem Rady Miejskiej zawsze była dla mnie ogromną przyjemnością. Poznałyśmy się bliżej również prywatnie i znamy swoje problemy rodzinne. Pamiętamy o sobie wzajemnie z okazji świąt, ale czasu ciągle jest mało i czasami ten brak kontaktu uważam za grzech zaniedbania.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Za mojej kadencji nie było takich wygód, jakie są teraz. Wtedy podnosiło się rękę i liczyło głosy. Nie było przecież poczty elektronicznej tak rozpowszechnionej w tej chwili. Teraz można sobie wszystko przeczytać w Internecie, wtedy wszystkie materiały były pisane. Te materiały trzeba było nosić ze sobą. Pamiętam te tomy „Strategii...", które wiozłam tramwajem do Leśnicy. Ja w ogóle nie uskarżałam się, że coś mi tam przeszkadzało w pracy. Myślę, że teraz radni mają lepiej. Samych radnych jest mniej i łatwiej jest nawiązać jakieś porozumienie, dojść do jakiegoś konsensusu. Sesje Rady trwają o wiele krócej. Wtedy siedziało się do północy, a nawet dłużej. Radni

podzieleni są na partie polityczne, wtedy w większości reprezentowaliśmy stowarzyszenia. Było stowarzyszenie Wrocław 2000. W mojej pierwszej kadencji było nas 5 osób z Samorządowej Komisji Osiedli – radnych wybranych z rad osiedli. Teraz tych klubów jest więcej i bardziej jest to wszystko upolitycznione. My byliśmy samorządowi. Takie jest moje odczucie z lektury codziennej prasy. Ten czas, w którym byłam radną wspominam bardzo mile.

Chciałabym przytoczyć jedno wspomnienie z sesji, podczas której była taka trochę awantura. Radny K. Tenerowicz z mównicy bardzo był oburzony na pracę Komisji ds. Sportu, której przewodniczył pan Włodek Mękarski. Z tej mównicy podły bardzo ostre słowa. Pomyślałam, że panowie po tych swoich wystąpieniach obrażą się na siebie już na zawsze. Wychodzę w przerwie do bufetu i słyszę, jak pan Włodek Mękarski woła: Krzysiek, co ci wziąć? Przy stoliku siedziałam z panem prof. Kieresem. Opowiadam, że po tych wystąpieniach panów byłam w szoku, na co pan profesor odpowiedział mi „pani Alino to jest polityka". Tego wydarzenia nie zapomnę chyba nigdy.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracowałam w Komisji ds. Osiedli, w Komisji Inicjatyw Gospodarczych, w Komisji Budżetu i Finansów, to były te główne wiodące komisje. Ponadto byłam w zespole ds. inicjatyw lokalnych, byłam również w Radzie Programowej Wrocławia, w której to przyznawaliśmy Nagrody Wrocławia. Komisja ds. Osiedli nie osiągnęła według mnie celu, o czym już mówiłam. Nie udało nam się przeprowadzić reformy, chociaż mieliśmy wzorce. Byliśmy w Dreźnie, w Wiesbaden i obserwowaliśmy, jak tam wyglądała organizacja osiedli. Pracowałam także w Komisji Zdrowia i Spraw Społecznych. Tam poznawałam różne problemy ludzi niepełnosprawnych, sprawa reorganizacji służby zdrowia była dość głośna i burzliwa w tamtym czasie na terenie miasta. Były też takie reformy, jak: likwidacja domów dziecka, powstanie rodzin zastępczych we Wrocławiu. Tu pan Sławek Piechota, według mnie, był takim pionierem tych działań. Popierałam te działania, gdyż widziałam ich sens. W moim osiedlu był jeden z ostatnich domów dziecka i bronił się przed likwidacją, a pracowników było tam więcej niż podopiecznych. Koszty utrzymania tych placówek były przecież bardzo duże. Komisja Budżetu, wydaje mi się, że pracowała dobrze. Ja osobiście oceniam dobrze prace komisji. Może tylko miałabym zastrzeżenia do niektórych członków wymienionych komisji, ponieważ albo się spóźniali, albo też w ogóle nie przychodzili. Czasami pojawiali się, by wyrzucić z siebie stek uwag, po czym po podpisaniu listy obecności zwyczajnie znikali. Polegało to na zaliczeniu obecności, gdyż nieobecność powodowała straty w diecie. Komisja Inicjatyw Gospodarczych, to przede wszystkim handel, usługi czy też likwidacja placów targowych we Wrocławiu. Niektóre takie sytuacje były bardzo trudne. Często zdarzało się, że przychodzili protestujący kupcy w związku z likwidacją miejsca handlu. Zawsze było tak, że likwidujemy, ale dostajecie nowe miejsca pracy. Zresztą po dziś dzień jest właśnie tak, i taka polityka jest realizowana. Ludzie przychodzili też w sprawach prywatyzacji, ponieważ okres najmu lokali użytkowych był określony. Ludzie chcieli inwestować, a ten okres najmu był dosyć krótki. Udało się sprawić, że kolejną umowę podpisywano z najemcą na 9 lat z prawem pierwokupu. Myślę, że jest to pożyteczne, bo daje jakąś stabilizację tym najemcom lokali. Pojawiła się też kwestia uregulowania spraw po powodzi, były lokale podtopione i chodziło o spowodowanie, żeby ci najemcy nie płacili czynszu za czas remontu, ponieważ ten czynsz nie jest niski. W komisji były też uzgadniane stawki czynszu proponowane przez Urząd, uregulowana została sprawa dziedziczenia lokali i najbliższa rodzina przechodziła z urzędu w najem po zmarłym głównym najemcy. Pozytywnie dla najemców rozwiązano problem wykupu mieszkań wyremontowanych po 2005 r. Według mnie, jak najbardziej powinno się prywatyzować, gdyż wtedy nie ma sytuacji takiej, że ktoś nie wymienił mi okienka w piwnicy.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Uważam, że kluby radnych powinny być z tych grup, które zostały wybrane przez elektorat. Myślę, że opozycja powinna być, ponieważ ona jest mobilizująca i w celach kontroli i samokontroli, wyzwalająca jakieś inicjatywy. Klubów nie powinno być za dużo. Pozytywnie oceniam pracę klubów, do których należałam. Co prawda należałam do radnych, którzy w II kadencji wystąpili wraz z 6 innymi radnymi z klubu Wrocław 2000, ponieważ uważaliśmy, że pewne działania powinny być inaczej prowadzone niż były. Utworzyliśmy nowy klub.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Bardzo ważnym wydarzeniem było dla mnie, że jako radni w czasie Kongresu Eucharystycznego mieliśmy możliwość spotkania z Janem Pawłem II. Bardzo ważne było dla mnie, że papież był u nas i my z nim we Wrocławiu mieliśmy okazję zobaczyć się z bliska. Mało tego, zostaliśmy pobłogosławieni, każdy z nas miał możliwość przywitania się z Janem Pawłem II. Jako zwykły mieszkaniec takiego zaszczytu nie miałabym możliwości dostąpić.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

Działałam w Radzie Osiedla Leśnica i okolic do czasu wyboru na radną Rady Miejskiej Wrocławia. Później nie można było już łączyć funkcji w tych dwóch radach. Wtedy oddałam mandat w radzie osiedla. Nie zrezygnowałam oczywiście z pracy, ale już nie byłam radną w radzie osiedla. Nawet teraz mam kontakt z radą osiedla. Powiedziałabym, że na początku ustroju demokratycznego pierwsze rady pracowały jakoś bardziej aktywnie, było większe zaangażowanie ludzi niż teraz. Na początku była euforia, chęć do pracy, spontaniczność, której teraz już nie ma. Ludzie również niechętnie startują w wyborach do rad osiedli. W moim osiedlu w ostatnich wyborach nie było chętnych, żeby wypełnić listy, a w niektórych osiedlach w ogóle nie było wyborów, ponieważ zgłosiło się tylu

radnych, ile było miejsc. W pierwszych kadencjach była jednak rywalizacja o ten mandat. Może to zniechęcenie wynika z obserwacji awantur na wyższym szczeblu. Wydaje mi się, że gdyby rada osiedlowa miała większą władzę, to pewnie wyglądałoby to inaczej.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Przez te dwie kadencje mojej działalności w Radzie media były zainteresowane pracą radnych. Dziennikarze często szukali jakiejś sensacji, by zwiększyć poczytność swoich gazet. Generalnie oceniam to zainteresowanie dość dobrze. Nawet teraz w „Gazecie Wrocławskiej" wynajduję informacje na temat pracy Rady, jak też o tym, co dzieje się w mieście. Śledzę na bieżąco, to, co dzieje się we Wrocławiu. W prasie pojawia się dosyć dużo krytyki, ale ogólnie uważam, że dziennikarze interesują się sprawami miasta. W czasie moich kadencji zawsze na sesji była obecna telewizja wrocławska oraz różne lokalne rozgłośnie radiowe.

◇◇◇

Wrocławia Stefanem Skąpskim. Desygnowana przez związki zawodowe lub inne organizacje społeczne uczestniczyłam w różnych forach i spotkaniach dotyczących spraw Wrocławia. Przyszłam do samorządu z pewnym bagażem doświadczeń, aktywności i założenia, że można wiele zmienić poprzez współpracę. Na pewno przyszłam z nastawieniem na szybsze zmiany społeczne niż one następowały.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani, w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Zajmowałam się przede wszystkim szeroko pojętą polityką społeczną. To nie była tylko pomoc osobom, znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej. Istotna była problematyka tworzenia się lokalnego systemu sprawnej pomocy społecznej. Ważne były dla mnie sprawy dotyczące młodzieży, edukacji w mieście, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki kobiet, co, niestety, w niewielkim stopniu brano pod uwagę. Od zawsze byłam zaangażowana w inicjowanie przedsięwzięć przyczyniających się do aktywności mieszkańców. Chciałam rozwijać ich świadomość demokratyczną, włączać ich do debaty publicznej. Przykładem może być zorganizowana przeze mnie młodzieżowa sesja Rady Miejskiej, zresztą z udziałem radnych miejskich i ówczesnego prezydenta Wrocławia Bogdana Zdrojewskiego. Młodzież z różnych szkół, na różnych poziomach, po króciutkich warsztatach, prowadziła sesję Rady Miejskiej, z rezolucjami, z wnioskami, tak, jak dorośli. Pokazaliśmy ich aktywność i ogromne zaangażowanie. Prezydent był wtedy mile zaskoczony.

Byłam bardzo zaangażowana w działania na rzecz akcesji z Unią Europejską – organizowałam wiele przedakcesyjnych spotkań międzynarodowych, zarówno z udziałem kobiet, jak i młodzieży.

Założyłam, istniejący do dziś, Salon Polityczny Kobiet Dolnośląskich, gdzie spotykają się kobiety z różnych opcji politycznych, z różnych środowisk: nauki, kultury. Spotykają się ponad podziałami. Choć jest to Salon Polityczny Kobiet, na spotkaniach i debatach publicznych bywają również mężczyźni. Jego celem jest pokazanie dorobku kobiet, ich aktywności, ale jednocześnie też budowanie porozumienia na rzecz spraw większych niż przekonania polityczne.

Podejmowałam różne akcje, żeby zwrócić uwagę społeczną, decydentów i autorytetów na to, co w mieście się dzieje i czym musimy się zająć. Na przykład, w 1997 r., na moją prośbę, ksiądz kardynał Henryk Gulbinowicz celebrował mszę świętą w katedrze na rzecz ofiar i sprawców przemocy. Uczestniczyli w niej włodarze naszego miasta, osoby bezdomne i potrzebujące wsparcia. Zależało mi bardzo na tym, żeby włączyć wszystkie środowiska do współdziałania przeciwko przemocy. To był bardzo ważny akcent. Kościół wtedy pierwszy raz odezwał się tak zdecydowanie. Poza tym moja kadencja, to jest czas powodzi. To było bardzo wielkie wyzwanie. Prowadziłam wówczas społecznie, założony jako jedyny w Polsce, całodobowy Ośrodek Socjoterapeutyczny dla Kobiet i Dzieci po Przemocy. Wtedy, w lipcu, musieliśmy ewakuować te kobiety. Pamiętam, jak z innym radnym jechałam przez mosty Jagiellońskie i zamknęli nam dojazd. Ledwo dotarliśmy na Psie Pole, ale zdążyłam przewieźć kobiety na Młodych Techników. Sama jednak zostałam na kilka dni na Psim Polu, bo nie mogłam dotrzeć na Krzyki, gdzie mieszkam, ponieważ wszystko było pozamykane. Jak wracałam, to na placu Kościuszki widziałam wiceprezydenta Adama Grehla, który w podwiniętych spodniach szedł przez wielkie kałuże wody. To była dla nas radnych wielka mobilizacja, ale też przyznaję, że i trudny okres.

W czasie mojej kadencji zajmowałam się edukacją, sprawami społecznymi i osiedlami. Uczestniczyłam w Komisji ds. Osiedli i wspólnie z koleżankami miałam taką ideę, żeby włączyć społeczności lokalne do współdziałania, do dyskursu publicznego na temat gminy. Rady osiedla, niestety, nie miały zbyt wielkich uprawnień. Demokratyzacja nie postępowała wtedy tak, jak potrzeba. Wszystko zależało od lokalnych liderów, a rady często były roszczeniowe. Myślę, że i dzisiaj jeszcze samorząd wrocławski nie ma takiej skutecznej formuły współpracy z radami osiedla, która przenosiłaby się na poziom Miasta, a równocześnie przynosiła korzyści w środowisku lokalnym. Takie ogniwo lokalnej podmiotowości w demokracji wydaje mi się bardzo ważne. Aktywność ludzi, a także świadomość uczestniczenia i pewnej odpowiedzialności za swoje lokalne sprawy jest bardzo ważna. To chyba nam się nie udało w Mieście do dzisiaj. Nie mówię tego w kontekście oceny aktywności tych ludzi, bo naprawdę te rady, które są na ogół nielicznymi grupami, robią, co mogą. Natomiast chodzi mi o przeniesienie później ich działalności na poziom Miasta. Moim zdaniem na tym polu mamy duże niedostatki.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Moim sukcesem było to, że został przyjęty gminny program profilaktyki rozwiązywania problemów alkoholowych. To była zresztą moja inicjatywa uchwałodawcza. Druga rzecz, to sprawa związana z uregulowaniem współpracy Miasta z organizacjami pozarządowymi. Zgłosiłam również taką inicjatywę, powołano komisję, przygotowaliśmy oczywiście projekt uchwały i wytyczne do niego, natomiast Miasto też przygotowało swój projekt i odbyło się głosowanie. Oczywiście przeszedł ten projekt, który przygotowała gmina. Dzisiaj już pewnie nikt tego nie pamięta, ale odbyło się to z mojej inicjatywy. To były dwie moje inicjatywy uchwałodawcze, dla których pozyskałam przychylność swojego klubu, przekonałam także osoby z innych klubów, które wchodziły w skład tej komisji. Pracowaliśmy wspólnie i jestem im za to bardzo wdzięczna. Wśród radnych poziom wrażliwości na aktywność obywatelską i sprawy społeczne jest bardzo różny. W latach, kiedy byłam radną, dopiero się rozwijał trzeci sektor. Nie mieliśmy Ustawy o działalności pożytku publicznego i wolontariacie. Byliśmy przyzwyczajeni

tylko do działalności charytatywnej. Natomiast te działania musiały być też uregulowane prawnie, trzeba było napisać jakiś projekt, wycenić go. Gmina też się tego uczyła i myślę, że to się całkiem dobrze rozwinęło. Powiedziałabym, że te inicjatywy, które, dzięki temu, że byłam radną, udało mi się zorganizować, uważam za swój sukces.

Organizowałam spotkania z młodzieżą, również międzynarodowe. W Radzie Miejskiej robiłam mnóstwo konferencji o charakterze społecznym, europejskim, dotyczących aktywności obywatelskiej czy międzynarodowych stereotypów. To wszystko wyprzedzało naszą akcesję. Myślę, że to było również ważne dla Miasta. Byliśmy jednymi z pierwszych, którzy uregulowali współpracę z organizacjami pozarządowymi. Z gminnym programem współpracy byliśmy trochę w tyle. Naciskałam, żeby to wreszcie zrobić.

Naszym wspólnym sukcesem chyba było to, że w czasie powodzi i po powodzi byliśmy zgodni, co do polityki Miasta, i pomimo tego nieszczęścia Wrocław się rozwijał. Wtedy przecież zaczęły się duże inwestycje, które wymagały akceptacji Rady Miejskiej. Wtedy rozpoczęła się również renowacja Rynku. Wydają mi się te wydarzenia bardzo istotne. Przeżyliśmy też wtedy wizytę papieża, z którym osobiście rozmawiałam. Prezydent Bogdan Zdrojewski przedstawił mnie jako „Panią", broniącą ubogich i pokrzywdzonych. Myślę, że to były bardzo ważne sprawy. Udało się je zrealizować mimo sporów politycznych. Trzeba pamiętać, że kiedy ścierają się racje polityczne i dochodzi do sporów, to nie zawsze interes gminy jest na pierwszym miejscu. Z sentymentem wspominam moją kadencję. Wiele razy zdarzało się, że pracowaliśmy do trzeciej w nocy, to była ciężka praca.

Było też kilka osobowości w Radzie. Do dzisiaj bardzo dobrze wspominam pana profesora Jerzego Przystawę, jego analityczny umysł, krytyczne, choć kąśliwe riposty. Ludzie byli bardzo aktywnie nastawieni do swojej pracy.

Samorząd będzie oczywiście zawsze powiązany z polityką, bo to też jest związane z zarządzaniem państwem, ale samorząd jednak powinien być odpolityczniony. Nieszczęściem jest silne ograniczanie roli radnego. To się zaczęło za mojej kadencji, ale teraz dostrzegam, że jest jeszcze silniejsze. W zasadzie pojedynczy radny mógł zgłosić *votum separatum*, mógł wystąpić z protestem, ale tak naprawdę nie miał szansy na zrealizowanie swoich inicjatyw bez wsparcia klubu. Myślę, że aktywność radnych była ograniczona przez politykę. Poza tym tak, jak wszędzie, funkcjonowały pewne powiązania, układy. Natomiast był to na pewno samorząd twórczy, taki, który próbował przedyskutować pewne sprawy i wprowadzić zmiany.

Co Pani uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Osobiście uważam, że dużym błędem było, że gmina nie była przygotowana dobrze do prywatyzacji czy to placówek służby zdrowia, czy oświaty. Był niż demograficzny i tak chętnie czasami oddawaliśmy, np. obiekty oświatowe. Pamiętam, jak toczyłam z panem Jarosławem Obremskim rozmowy i wręcz mówiłam, że jak to jest, że to, co gminne ma być najgorsze. Uważałam, że w gminie ma zostać to, co dobrze funkcjonuje, a jeśli ludzie mają pomysł na coś, z czym sobie gmina nie daje rady, to trzeba im to oddać, niech się rozwijają i tworzą jakąś nową jakość. Natomiast byłam przeciwna, żeby to, co gminne miało najniższy standard i wręcz zarzucałam, że zamiast szpitali będziemy mieli lazarety w gminie i najniższej jakości usługi edukacyjne. To trochę w tym kierunku zmierza. Wydaje mi się, że Wrocław, jak na miasto europejskie, ma jeszcze wiele do nadrobienia. Teraz znów mamy wyż demograficzny, żłobków nie ma, brakuje nam ponad tysiąc miejsc w przedszkolach. To, co zawsze uważałam za błąd w polityce, to fakt, że nie było żadnej odpowiedzialności za chybione projekty i inwestycje. Klęską Rady, bardziej to dotyczy Zarządu Miasta, była sprawa Goliata na placu Grunwaldzkim, czyli namiotu, w którym odbywał się handel. Na skutek niewłaściwie zawartych umów, przez wiele lat nie można było skutecznie zamknąć tej działalności, pomimo wskazań różnych służb dotyczących bezpieczeństwa. To świadczy o tym, że nie tylko ja przychodząc do Rady musiałam uczyć się samorządu, ale i ci, którzy zarządzali, podejmowali decyzje, musieli też coś przeoczyć. Skończyło się tym, że trzeba było używać forteli, żeby wyprowadzić Goliata z placu Grunwaldzkiego. Uważam tę sprawę za porażkę.

W Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych walczyliśmy o mieszkania socjalne i lokalny system wsparcia dla ludzi w kryzysie, niepełnosprawnych i z dysfunkcjami.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Jako radna miałam dyżury społeczne w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego, Demokratycznej Unii Kobiet, w osiedlach i dyżury w Radzie Miejskiej. Zgłaszane problemy, wydaje mi się, w większości pozałatwiałam. Ludzie przychodzili głównie interwencyjnie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej oraz Urzędem Miejskim?

Co do stosunków Rady, to różnie można je ocenić. Rada, składająca się z klubów radnych była albo popierająca Zarząd, albo nie. Jeżeli była popierająca, to oczywiście wszystko było bardzo dobrze, a jeśli nie, to zwykle było podejście raczej krytyczne. Z Urzędem Miejskim było już trochę inaczej. Urzędnicy nie do końca byli przekonani o tym, że radny może mieć wpływ na to, co oni robią. Były takie wydziały Urzędu Miejskiego, które radni źle oceniali, zarówno w kontekście kultury zachowań, jak i merytoryczności. Dylematy pojawiały się zawsze przy okazji jakiegoś fragmentu planu zagospodarowania przestrzennego, w czasie sesji Rady Miejskiej zawsze były jakieś pytania, zawsze były jakieś wątpliwości w tym obszarze. Podobnie się działo przy okazji uchwalania i rozliczania budżetu. Kontrowersje budziły też przetargi lokali użytkowych.

Jak się Pani układała współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z Biurem Rady Miejskiej, z panią dyrektor Janiną Śledzińską, jak również z jej współpracownicami, układała mi się bardzo dobrze. Osoby tam zatrudnione można postawić za wzór kultury wewnętrznej i zewnętrznej, wzór urzędnika samorządowego. Były to osoby godnie reprezentujące gminę. Biuro Rady Miejskiej było otwarte dla podmiotów społecznych organizujących różne przedsięwzięcia.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Moja kadencja przypada na okres przed remontem pomieszczeń Rady Miejskiej oraz budynku. Po pierwsze, brakowało windy, a piętra są wysokie. Po drugie, mieliśmy stare krzesła, ale nie wiem, czy one nie były wygodniejsze niż obecne. Nie pamiętam, czy wtedy mieliśmy mikrofony…? Podchodziliśmy wszyscy do trybuny. Nie było żadnych szafek na dokumenty. W pokojach klubów, w tych mniejszych salkach, mieliśmy bardzo trudne warunki. Brakowało toalet dla niepełnosprawnych. Może było skromniej, ale naprawdę nie można tego oceniać w kategoriach, że było źle.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak Pani ocenia ich pracę?

Pracowałam w Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych, Komisji Oświaty i Młodzieży, Komisji ds. Osiedli i innych komisjach doraźnych.

Chyba najlepiej pracowała Komisja Zdrowia i Spraw Socjalnych. Komisja Oświaty była dość sprawnie prowadzona i wydaje mi się, że jej działania były przejrzyste. W Komisji Zdrowia była większa gotowość szybkiego reagowania na problemy; było wtedy wiele sporów – czy prywatyzować przychodnię, czy nie. Było wiele rzeczy trudnych, baliśmy się też odpowiedzialności za wspieranie prywatyzacji, do której było dużo zastrzeżeń. Mieliśmy wtedy całą batalię z Narodowym Funduszem Zdrowia.

Komisja ds. Osiedli, prowadzona wtedy przez Ewę Rzewuską, była bardzo pracowita. Zajmowała się problemami osiedli, głównie tych peryferyjnych. Jeździłam po tych osiedlach razem z innymi radnymi w związku z interwencjami mieszkańców dotyczącymi zamykania przedszkoli, szkół i bibliotek. Mieszkańcy walczyli o utrzymanie tej infrastruktury, która była jedyna w ich miejscu zamieszkania, a z kolei Zarząd Miasta decydował o zamykaniu tych placówek w związku z ich nierentownością. Zamykanie biblioteki czy domu kultury na peryferyjnym osiedlu, gdzie utrudniony jest dostęp do takiej działalności, było złym podejściem. To mnie bardzo denerwowało, to nieuwzględnianie jakości życia w kontekście pojedynczego człowieka i zaspokajania jego potrzeb. Często brakowało wyobraźni, zrozumienia, że skutki likwidacji oświatowych obiektów, w wyniku czego powstaną różne zaniedbania, są daleko trudniejsze do odrobienia w przyszłości, niż skutki błędnej polityki gospodarczej.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Pozytywną stroną jest to, że w klubie stanowiska są przygotowane merytorycznie, chociaż wyrażają też wolę polityczną. Nie ma tego niebezpieczeństwa, że dziesięciu radnych będzie mówiło na ten sam temat i niekoniecznie merytorycznie, ponieważ nie każdy na wszystkim się zna. Jest to na pewno plusem. Radni są różni, jedni aktywni, drudzy mniej, a kluby jednak aktywizowały swoich członków. Był też monitoring obecności. Klub upominał swoich radnych za nieobecności na sesjach i posiedzeniach komisji. Poza tym, poprzez udział w pracach klubu ludzie się uczyli globalnego i komplementarnego podejścia do pewnych zagadnień. Negatywne natomiast było to, że w sprawach, gdzie porozumienie powinno nastąpić, na pierwszy plan wychodziła wola polityczna i brakowało dialogu merytorycznego. Wiele zależało od lidera klubu i jego zainteresowania wieloma sprawami.

Kluby polityczne w zdecydowany sposób ograniczały aktywność inicjatywy pojedynczych radnych. Czy ja bym kluby zlikwidowała? Może niezupełnie, ale wydaje mi się, że jednak wiążącą ideą musi być działanie na rzecz gminy, na rzecz miasta. Na tym polega istota samorządu i demokratycznej reprezentacji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Wydarzeniami, które odróżniają moją kadencję od innych jest na pewno wizyta papieża, powódź i początek renowacji Rynku i zabytkowych kamieniczek. Istotną sprawą były zmiany w zakresie pomocy społecznej i oświacie, związane z prowadzeniem żłobków, przedszkoli i szkół, również nagrody Prezydenta Miasta, Nagrody Miasta Wrocławia, medal Miasta Wrocławia i inne wyróżnienia. Mogliśmy realizować wiele inicjatyw społecznych, europejskich konferencji kobiecych.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Działałam w Komisji ds. Osiedli. Natomiast w samych radach osiedlowych – nie. Nawet próbowałam się dobić do mojej rady osiedlowej, ale pan przewodniczący tej rady, który był też wtedy radnym, powiedział, że musi zapytać Zarząd, czy ja, mieszkanka tego osiedla, mieszkająca na sąsiedniej ulicy od siedziby rady osiedla, radna Rady Miejskiej, członkini Komisji ds. Osiedli, mogę przyjść na zebranie. W związku z taką odpowiedzią zrezygnowałam.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Wtedy na każdej sesji była i prasa i telewizja. Jeśli chodzi o prasę, wtedy była to prasa wrocławska, polska. Zainteresowanie mediów problematyką społeczną było bardzo duże. Media rzeczywiście odzwierciedlały to, co się w Radzie dzieje. Nie pamiętam sesji Rady Miejskiej, z której nie ukazałby się komunikat, artykuł czy jakaś

sensacyjka, bo i to się zdarzało. Natomiast później to się zmieniło. Bardzo tego żałuję. Mieliśmy naprawdę grupę młodych dziennikarzy zorientowanych politycznie i samorządowo. Jak trzeba było poruszyć problem społeczny, to dziennikarze byli do dyspozycji, oni zawsze byli obecni. To zainteresowanie oceniam bardzo pozytywnie. Później, jak skomercjalizowano rynek mediów, to był zakaz tego rodzaju publikacji. Oczywiście różnie bywało, bo pojawiały się już pierwsze „brukowce". Wtedy sesja Rady Miejskiej była wydarzeniem w mieście, a teraz, czy w ogóle ktoś słyszy…?

Nie ma co spoglądać w przeszłość, bo przyszłość powinna być lepsza, z nostalgią wracam jednak do tamtego okresu.



Tadeusz BEREŻAŃSKI

Radny II kadencji.
Geodeta.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Przygotowany praktycznie nie byłem, teoretycznie to tyle, co przeczytałem albo z opowiadań rodziców. Należałem do harcerstwa i w tej organizacji zdobyłem trochę doświadczenia. Uczestniczyłem również w działalności parafialnej, ksiądz takie grupy powołał do działania miejscowego. Takie były moje doświadczenia samorządowe z lat młodzieńczych.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W zasadzie tak, z racji zawodu, bo jestem geodetą. Po skończeniu technikum dostałem nakaz pracy do Państwowych Zakładów Fotogrametrycznych w Warszawie, następnie zostałem przeniesiony do Ministerstwa Rolnictwa. Jeździłem po Polsce do 1961 r., po czym podjąłem pracę w Radzie Narodowej w Wydziale Rolnictwa, w Biurze Urządzeń Rolnych, które zorganizowałem dla Wrocławia. To biuro zajmowało się uwłaszczeniem rolników na mieniu rolnym w mieście Wrocławiu, czyli wydawaniem postanowień dotyczących wykonania aktów nadania, decyzji uwłaszczeniowych, przygotowaniem dokumentacji do ksiąg wieczystych, wprowadzeniem wszystkich właścicieli do operatów ewidencji gruntów. W tym czasie uczestniczyłem również w likwidacji spółdzielni produkcyjnych, a we Wrocławiu m. in. uczestniczyłem w likwidacji obowiązkowych dostaw, które były paradoksalne, bo w mieście trudno było prowadzić hodowlę, a mięso trzeba było oddawać, gdy posiadało się choćby 100 m² użytków zielonych. Rolnik szedł na plac targowy, kupował mięso i zanosił do skupu. Zajmowałem się likwidacją tych obowiązkowych dostaw. Zajmowałem się również gleboznawczą klasyfikacją gruntów w mieście Wrocławiu. Później jako geodeta opracowywałem kameralne wyniki prac terenowych, cały czas pracując na rzecz miasta. Następnie zwolniłem się z tego biura i przeszedłem do Miejskiej Pracowni Geodezyjnej i tam również zajmowałem się problemami miasta. Stworzono duże przedsiębiorstwo pod nazwą Okręgowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne (OPGK), które obsługiwało cały Dolny Śląsk. Tam byłem głównym specjalistą ds. organizacji ośrodków dokumentacji geodezyjno-kartograficznej, pracowni mapy zasadniczej i ewidencji gruntów. Organizowałem to na terenie Dolnego Śląska, w tym we Wrocławiu.

W ramach tego przedsiębiorstwa powstał zakład nr 1 OPGK, gdzie pracowałem na etacie zastępcy kierownika zakładu. W ramach zakładu nr 1 OPGK w 1989 r. przyjąłem zlecenie Urzędu Miejskiego na komunalizację i kierowałem zespołem, który liczył ponad 100 osób. Wspólnie z drem Tadeuszem Lasotą z Akademii Rolniczej opracowaliśmy program na potrzeby komunalizacji miasta Wrocławia. Stąd Wrocław bardzo dobrze znam. Poza tym pracowałem też prywatnie jako geodeta uprawniony. Tak więc sprawami miasta cały czas się zajmowałem, aż do emerytury.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Jako przewodniczący Rady Osiedla Swojczyce-Strachocin-Wojnów zajmowałem się przede wszystkim osiedlami. Jednocześnie byłem współinicjatorem i założycielem Samorządowej Koalicji Osiedli we Wrocławiu, czyli jakby związku wszystkich rad osiedlowych na terenie miasta Wrocławia. Program nasz miał za zadanie dbać

o poszczególne osiedla, ich rozwój, w tym przeprowadzanie remontów mienia komunalnego. Szczególnie chodziło mi o Psie Pole, które było i do dzisiaj jest bardzo zaniedbane. Kolejna sprawa, którą się zająłem, dotyczyła opłat adiacenckich we Wrocławiu, wynikających z uzbrojenia terenu osiedli w urządzenia komunalne wykonane w czynie społecznym przez mieszkańców osiedli, w wyniku czego wzrosła wartość poszczególnych działek budowlanych – nieruchomości. Zarząd Miasta wystąpił o opłatę adiacencką. Zaprotestowałem, argumentując, że opłat adiacenckich nie powinniśmy płacić z tej racji, że mieszkańcy poszczególnych osiedli wnieśli swój wkład, poprzez udział dotyczący uzbrojenia terenu, w tym i uzbrojenie terenów komunalnych. Pracowaliśmy w czynie społecznym. Na terenie mojego osiedla zajmowałem się organizowaniem prac projektowych i wykonawczych oraz nadzorem nad realizacją tych prac. Osiedla nasze zostały uzbrojone w instalacje komunalne, w tym wodę, gaz, telefony. Przeprowadzono renowację sieci energetycznej, kanalizacji, naprawę ulic. Druga sprawa, która była najważniejsza dla mnie i dla mieszkańców Wrocławia, to zmiana formy władania nieruchomościami z wieczystego użytkowania na własność. Szczególnie dotyczy to terenów odzyskanych po II wojnie światowej, gdyż ma to wymowę polityczną. Moim zdaniem, własność powoduje stabilizację i pewność władania nieruchomością. Chciałem, żeby każdy czuł się właścicielem tej nieruchomości, tej ziemi. Zwróciłem się wówczas do Rady Miejskiej z wnioskiem, aby zainspirowała posłów do wystąpienia z inicjatywą ustawodawczą. Jak mi wiadomo, ta inicjatywa przez niektórych została podchwycona i zrealizowana w formie ustawy sejmowej. Przyczyniłem się także do podjęcia przez Radę Miejską uchwały, na mocy której osoby powyżej 70 roku życia mogą jeździć bezpłatnie komunikacją miejską. Kolejna sprawa, którą się zajmowałem i którą udało się zrealizować, to uzbrojenie terenów w osiedlach peryferyjnych. Miałem także swój udział w likwidacji skutków powodzi w 1997 r. Byłem przewodniczącym komitetu popowodziowego na terenie mojego osiedla. Współpracowałem w tym czasie z ówczesnym prezydentem Wrocławia Bogdanem Zdrojewskim. Doprowadziłem do tego, że powodzianie, m.in., otrzymali odszkodowanie za zniszczone mienie znajdujące się poniżej parteru domów jednorodzinnych, podczas gdy ustawa przewidywała wypłacanie odszkodowań tylko od parteru wzwyż.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Za swój sukces uważam wszystko to, o czym mówiłem poprzednio.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Muszę powiedzieć, że z prezydentem Zdrojewskim dobrze się współpracowało. Był on ugodowy i jeśli się miało argumenty, to je przyjmował, wtedy, kiedy były one racjonalne. Świadomy byłem, że po tych zaniedbaniach, jakie we Wrocławiu pojawiły się po 1946 r. nie jest możliwa szybka odbudowa zniszczeń powojennych. Zdrojewski zapoczątkował odbudowę miasta z dużą dynamiką, skupiając się na centrum. Dla mnie istotne było, aby Wrocław rozwijał się równomiernie i odbudowywał się także w części peryferyjnej.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca z instytucjami pozasamorządowymi była słaba. To były początki, te organizacje były jeszcze mało aktywne. Ja byłem otwarty na współpracę, ale nie było chętnych. W tym czasie aktywną organizacją we Wrocławiu była Rodzina Katyńska, której w miarę moich możliwości pomogłem w budowie pomnika poświęconego ofiarom Katynia, ustawionego w parku im. Słowackiego, za co otrzymałem list z podziękowaniem od rodzin katyńskich.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy zgłaszali się wtedy, kiedy były zagrożone ich interesy. Jeśli osobiście ich coś nie dotyczyło, to ta aktywność była słaba. Pamiętam, jak kiedyś interweniowałem w sprawie nazwy ulicy. Sprawa dotyczyła brzmienia nazwy ulicy: Łaniewska, czy Łanieska? Mieszkańcy tej ulicy mieli wielkie kłopoty z uzyskaniem pożyczki w bankach, itp. Miasto uzasadniało, że powinna być nazwa Łanieska, że ktoś się pomylił nazywając ulicę Łaniewską. Jednak ta nazwa istniała już kilkadziesiąt lat i mieszkańcy tej ulicy musieliby wymieniać wszystkie dokumenty. Udało mi się przekonać Urząd Miejski, aby pozostała stara nazwa ulicy. W tej sprawie poparł mnie pan Leonard Smołka z Towarzystwa Miłośników Wrocławia, a zarazem wiceprzewodniczący Rady Miejskiej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Różnie bywało, najgorzej się współpracowało z Wydziałem Architektury. Może dzisiaj jest trochę lepiej, bo szefem architektury jest Adam Grehl, człowiek, który ma dużą wrażliwość na potrzeby interesantów.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze się współpracowało. Wszystkie panie, począwszy od szefowej, były uczynne i miłe.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Za mojej kadencji postanowiono wyremontować salę posiedzeń. Za moich czasów każdy klub dostał pokój. Na te możliwości, jakie posiadała Rada Miejska w tamtym okresie, było wszystko, co potrzeba, więcej trudno było żądać.

W jakich Pan pracował komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Gospodarki Komunalnej, współpracowałem z Komisją Architektury i Budownictwa oraz byłem wiceprzewodniczącym w Komisji ds. Osiedli. Pracę tych komisji oceniam dobrze.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, że kluby radnych powinny istnieć, z tym, że nie jestem za ich upartyjnianiem.

Wolałbym, żeby w radach osiedlowych absolutnie nie było żadnych partii. Nikt nie powinien w imieniu partii startować do rady osiedla, jeżeli startuje, to już pod zupełnie innym szyldem, np. organizacji społecznej. Ja byłem bezpartyjny. Moim zdaniem trzeba się skupić nie na polityce, a na odbudowie zniszczonych osiedli we Wrocławiu, takich jak: „Trójkąt Bermudzki", pl. Piłsudskiego na Karłowicach i inne. Po prostu trzeba pracować na rzecz miasta, a nie bawić się w politykę. Jestem przeciwny upartyjnianiu w radach osiedlowych, natomiast w Radzie Miejskiej mogłoby to być dopuszczalne, ale z akcentem na działalność miejscową, a nie polityczną i krajową. Kluby są potrzebne, bo uwzględniają taktykę postępowania, inaczej nie byłoby gdzie jej uzgodnić. Pracę poszczególnych klubów oceniam dobrze. Za mojej kadencji kluby nie były tak upartyjnione, jak w tej chwili.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najbardziej zapisała się w mojej pamięci powódź w 1997 r. Na naszym osiedlu zorganizowałem komitet przeciwpowodziowy. Przyjechali nam z pomocą Holendrzy, Niemcy. Doszło wówczas do nieprzyjemnego incydentu. Jedna z dziennikarek źle się wyraziła o Niemcach, oni się obrazili i wyjechali. W związku z tym poprosiłem księdza proboszcza, żeby pójść do konsulatu niemieckiego i przeprosić. Napisaliśmy depeszę do jednego z dzienników berlińskich z przeprosinami dla Niemców. Kolejne wydarzenie, to sytuacja dotycząca opłat adiacenckich, o których wspomniałem. Wizyta papieża, tuż przed powodzią, z okazji Kongresu Eucharystycznego. Przebudowa ulicy Piłsudskiego. Tu mi się dzisiaj nie podoba. Kiedyś to była pryncypialna ulica – i za Niemców, i po wojnie. Dzisiaj ulica Piłsudskiego została sprowadzona do roli drugorzędnej, została zdegradowana i to celowo. Kolejnym wydarzeniem była przebudowa Rynku.

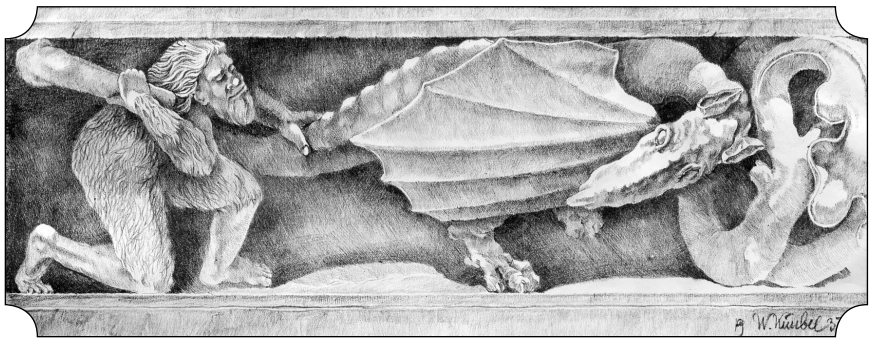
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W 1989 r. zorganizowaliśmy Osiedlowy Komitet Obywatelski. Zajął się on sprawami trzech osiedli: Swojczyc, Strachocina i Wojnowa. Były one ze sobą powiązane. Osiedlowy Komitet Obywatelski zainicjował wydawanie biuletynów osiedlowych, w których pisaliśmy, czym się zajmujemy, a było co robić, bo nasze osiedla w ogóle nie były uzbrojone w media. Prócz energii elektrycznej, która źle funkcjonowała, nic więcej nie było. Zorganizowałem zebranie mieszkańców osiedli, na którym powołaliśmy Osiedlowy Komitet Obywatelski. Zebranie odbyło się 17 lutego 1991 r., było to pierwsze zebranie. Zostałem przewodniczącym tego Komitetu Osiedlowego. Zaczęliśmy myśleć o sprawach dotyczących inwestycji. Zajęliśmy się uzbrojeniem w wodę, potem gaz, telefony i naprawą sieci energetycznej, no i na końcu kanalizacją, która została zakończona dopiero w 2009 r. Właściwie kanalizacja została wykonana na dwóch osiedlach, bo na Swojczycach do dnia dzisiejszego nie jest zrobiona. Byłem bardzo zaangażowany w działalność społeczną. W 1994 r. zostałem radnym Rady Miejskiej, gdzie pełniłem funkcję przewodniczącego klubu Samorządowej Koalicji Osiedli. Działałem w Radzie Osiedla do 2002 r., po czym zrezygnowałem z tej pracy, doszedłem do wniosku, że swoje zrobiłem. Za mojej działalności ustaliliśmy herb dla naszego osiedla, na którym jest wizerunek Smoka Strachoty. Artysta-kowal pan Mazur, ten sam, który wykonał latarnie w Rynku, zrobił nam statuetkę smoka, który był nagrodą w wyścigu kolarskim, organizowanym z okazji święta 3 maja. Powstała legenda o Smoku Strachocie. W Teatrze Lalek wystawiana była dla najmłodszych sztuka o tym smoku. Nasza rada inspirowała i organizowała uroczystości Święta Niepodległości w dniu 11 listopada. Wówczas zapraszaliśmy do siebie różnych działaczy z okresu II wojny światowej, m. in. Generała Zygmunta Szumowskiego, mieszkańca naszego osiedla. Naszym celem było krzewienie patriotyzmu i dumy narodowej, że żyjemy w wolnej ojczyźnie małej (osiedle) i dużej. Z mojej inicjatywy także zostały wykonane i ustawione tablice z nazwami osiedli.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Prasa interesowała się naszą działalnością. Byliśmy jedną z najbardziej aktywnych rad osiedli we Wrocławiu. Stąd zainteresowanie nami prasy i telewizji. Występowałem kilka razy w telewizji w programie pani redaktor Leny Kaletowej. Prowadziła ona program dotyczący rad osiedli we Wrocławiu.

Ogólnie uważam, że media bardziej nastawione są na sensacje i inne wydarzenia, a merytorycznymi sprawami mało się zajmują.



Ewa BIEGAŃSKA-SUDNIK

Radna I i II kadencji.
Absolwentka Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Nie byłam przygotowana, jak większość z nas, myślę. Nawet sobie nie zdawałam sprawy, jakie ma zadania samorząd terytorialny. Zetknęłam się z samorządem, który funkcjonował jeszcze w poprzednim ustroju. Mój mąż, to był chyba rok 1987 czy 1988, miał propozycję kandydowania na radnego. Jak mój mąż dostał tę propozycję, to pół nocy nie spaliśmy, ponieważ rozważaliśmy tę możliwość, jako że nie jesteśmy ludźmi, którzy uchylają się od działalności społecznej. Jednak stwierdziliśmy, że nie może przyjąć tej funkcji, ponieważ my nie utożsamialiśmy się z tą władzą.

Wiedziałam, co to jest samorząd terytorialny tylko w teorii. Nie byłam przygotowana w sensie merytorycznym, absolutnie. Natomiast, co do pracy w jakieś społeczności, grupie środowiskowej, miałam doświadczenie, ponieważ zajmowałam się pracą społeczną, działalnością studencką. Byłam dość aktywna, byłam przewodniczącą w Komisji Nauki. Miałam umiejętności i naturalną potrzebę pracy społecznej. Organizowałam duże imprezy. Tylko takie było moje doświadczenie.

Czy przed 1990r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Nie, absolutnie nie.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Byłam w Komisji Zdrowia, Komisji Nauki i w Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Temat szkół, młodzieży był mi bliski, bo miałam wtedy dzieci w wieku szkolnym. W Komisji Zdrowia, bo jestem lekarzem. Komisja Inicjatyw Gospodarczych, to zupełnie jest odrębna historia, bo nigdy bym nie przypuszczała, że mogę być w takiej komisji. Zajęłam się tym może przez wrażliwość na problemy ludzi, bo tak też rozumiałam swoją pracę. Weszłam w problem, który mnie pochłonął praktycznie przez dwie kadencje.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Nie było wypracowanej strategii, ogólnych zasad, ja z tego powodu cierpiałam. W I kadencji funkcja radnego była dla mnie łatwiejsza, w sensie pracy merytorycznej, bo weszłam na czyste pole. Byłam w stanie większość rzeczy rozumieć, przynajmniej w sprawach zasadniczych, nie mówię o szczegółach, bo są dziedziny, które były mi zupełnie obce i nie próbowałam w to wchodzić. Jeśli był przedstawiony pewien pomysł, projekt, to ja go umiałam umiejscowić w jakieś mojej ogólnej wizji miasta. Miałam takie przekonanie, że wiem, o co chodzi i jeżeli chciałabym to kontrolować czy pilotować, to mogłam to robić. W II kadencji już wiele rzeczy było zorganizowanych, ale czasem one ulegały zmianom. Jedno się uchwaliło, to nie pasowało, przyszedł lobbing – znowu zmieniano, i to wszystko tak się wahało. Trzeba być niesamowicie pojemnym intelektualnie albo jakiś talent trzeba mieć, żeby to wszystko ogarnąć. Większość z nas, kiedy szła na naradę godziła się na projekty, bo ufało się ludziom. Powiem szczerze, w I kadencji, jak byłam radną, wyobrażałam sobie, że robiąc przekształcenia od początku, powinniśmy mieć pogląd, do czego zmierzamy i co chcemy osiągnąć. Mówię o nauce, o szkolnictwie, o zdrowiu i innych dziedzinach w mieście, np. takich, jak handel i gospodarka lokalami. Zarząd wiedział, co chce realizować, natomiast ja miałam mętny obraz przekształceń. Konflikty, które z powodu przekształceń miały miejsce w mieście dotykały środowisk poddawanych tym procesom. Koncepcja Zarządu była nieprzejrzysta, a wdrażanie chaotyczne i to właśnie wtedy powstawały napięcia. Przekształcenia przyszły także w opiece zdrowotnej. W I kadencji tych przekształceń było mniej, to szło takim starym trybem. W II kadencji było już takie parcie na przekształcenia. Uważam, że do dziś to pokutuje, niestety, bo opieki zdrowotnej nie mamy dobrze zorganizowanej. Błędem też jest twierdzić, że można znaleźć jakieś lekarstwo na opiekę zdrowotną, jakiś idealny system, wydaje mi się to niemożliwe. To kosztuje duże pieniądze, osiągnięcia w medycynie są bardzo duże i, niestety, nie stać nas na to, żeby mieć wszystko. Trzeba znaleźć złoty środek, bo ludzie rozumieją, że nie mogą mieć wszystkiego, ale nie mogą też mieć poczucia niesprawiedliwości albo absurdalnych, niegospodarnych działań w tej materii. Brakowało strategii przekształceń. Była to taka radosna twórczość. Moim zdaniem, to było największym niepowodzeniem Rady w czasie pełnienia przeze mnie funkcji radnej. Może to jest subiektywne, ale takie mam odczucie.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W I kadencji instytucji pozasamorządowych nie było za dużo, to ze zrozumiałych przyczyn. Uczestnictwo w spotkaniach, zebraniach, zainteresowanie nie było złe. Największe zainteresowanie związane było z przekształceniami w handlu. To mi dało takie doświadczenia, że jak ludzie są zawiedzeni, rozczarowani, to powstaje coś takiego w ludziach, że są w stanie góry ruszać. Ja tego doświadczyłam, bo tak było z handlem. Ludzie nieprzeciętnie się zorganizowali i dzięki temu, nie powiem, że zwyciężyli, ale odroczyli egzekucję, która jakby za szybko przyszła

do nich. Nie mieli szans. Zarząd, władza wykonawcza, miała przeogromne możliwości. Przekształcenia w Polsce dokonywały się według koncepcji jakieś niewielkiej grupy ludzi, która miała wiedzę i ona to organizowała. To było możliwe i na szczeblu państwowym, i samorządowym.

W sposób niewystarczający wykorzystujemy możliwości. Teoretycznie wszystkie instrumenty w ustroju demokratycznym są zagwarantowane. Gdybyśmy w pełni byli w stanie z nich korzystać, wtedy to, co nas otacza i całe państwo, i samorząd, na pewno inaczej by wyglądało. Przyczyny są złożone. Kiedyś patrzyłam na to i obwiniałam ludzi. Byłam niezadowolona, że mało się angażują. Jak przez lata człowiek nabiera doświadczenia, wie, że nie może mierzyć wszystkich swoją miarą. Wszyscy ludzie nie muszą się aż tak angażować. Aby u nas w Polsce zmieniać rzeczywistość w czasie przekształceń, trzeba było tyle energii zużyć, że nie wiem, kto by jej tyle miał, żeby temu podołać. To jest zniechęcające, i wtedy ludzie nie podejmują tego, bo uważają, że nie ma to sensu. Czyli to nie jest tak, że jesteśmy tacy „be", to działa w dwie strony. Nie ma też klimatu takiego, który dawałby nadzieję ludziom, że będzie normalnie, że jak będziemy mieć rację, będzie większość, będziemy uzgadniać. Trzeba pokonać coś więcej, to nie są proste mechanizmy, w relacjach społecznych. Jeśli ludzie nie organizują się, to nie oznacza, że władza wykonawcza może robić co chce – zobowiązana jest ponad wszystko służyć ludziom i państwu.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ wyborców może być bardzo duży, może być przemożny, ale do tego trzeba przeogromnej energii ze strony ludzi i dużej pracy, zaangażowania i przede wszystkim dużego altruizmu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Patrząc z punktu widzenia kultury bycia, kurtuazji, określania tych stosunków w sferze pozamerytorycznej, to uważam, że bardzo dobrze. Myślę, że ten Zarząd, ta władza, to była wysoka kultura. Mam też inną ocenę, krytyczną. Tak się zdarzyło, że weszłam do Rady z Komitetu Obywatelskiego, który zdominował Radę prawie w 100%. Było tylko dwóch radnych, prof. Przystawa i pan Bobrowski z tzw. postlewicy, którzy dostali się do Rady spoza Komitetu Obywatelskiego. Bardzo krótko tworzyłam monolit z tą grupą. W maju były wybory, czerwiec ukonstytuowanie, a już w lipcu szły takie uchwały, które zawiodły mnie do Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Zdarzyło się to tak nagle z racji mojej otwartej postawy wobec wyborców. W konsekwencji znalazłam się na aucie. Całą moją kadencję w rzeczywistości tak naprawdę byłam w opozycji. Gdy podjęłam współpracę z ludźmi z miasta, z tymi masami, z tymi setkami ludzi, którzy zawiedzeni byli ową władzą, że jakby działa przeciwko nim, to się zainteresowałam ich sytuacją. Jeśli nawet wszyscy dookoła mi mówili, że to jest wataha jakiś wariatów, że nie mają racji, no to – jeżeli poszłam do Rady po to, żeby reprezentować tych ludzi z miasta – to jak ja mogłam się tym nie zainteresować. Dla mnie to, co czytałam, to była magia, całkowita nowość (np. uchwały), nie rozumiałam tego. Początkowo nie chciałam się tym zajmować, ale jak się temu przyjrzałam, jak zobaczyłam mechanizmy, w jaki sposób ci ludzie zostali wyrolowani, to tego tak nie mogłam zostawić. Dlatego zaczęłam „dobijać" się o ich racje. To się Zarządowi nie podobało, bo mieli inne plany. Powiem szczerze, to też postawiło mnie w takiej sytuacji, że oni uważali, że jestem opozycjonistką. Przez pryzmat tych doświadczeń patrzyłam na wiele rzeczy bardzo krytycznie. Bo nawet, jeżeli one były dobre, ale były jakieś niedociągnięcia, to już było dla mnie coś niejasne. Byłam tak zdeterminowana przez te zdarzenia, które były bardzo dramatyczne, że mogłam być nawet nieobiektywna.

Jeśli chodzi o współpracę, to była bardzo pozytywna, jeśli natomiast chodzi o merytoryczne rozwiązania, koncepcje niektórych przekształceń, organizowania opieki zdrowotnej, szkół, no to tutaj ja to oceniam bardzo krytycznie. Wielu tych koncepcji nie akceptowałam, więc byłam w opozycji. Inaczej to sobie wyobrażałam. Przytoczę taki moment, który utkwił mi w pamięci i może rzucić światło na moją postawę i postawę ludzi władzy, którzy mieli duże wpływy. Pamiętam, w I kadencji był Władysław Frasyniuk, którego nie znałam nigdy osobiście, tylko z relacji, jak działał w podziemiu, jakim był bohaterem. Nie ukrywam, nie wstydzę się powiedzieć, że nawet czasami płakałam i ubolewałam, jak to Władek Frasyniuk cierpi, itd. Mówię o tym, bo ważna też jest psychologia. Ja go tutaj widziałam innym człowiekiem. On, jak zobaczył moje działania, zresztą rzadko się pokazywał, parokrotnie był na naradach, bo był radnym, ale jego miejsce było gdzie indziej – działał w wielkiej polityce – i tylko od czasu do czasu pokazywał się w Radzie, i jak tam był raz, to, pamiętam, poprosił mnie na moment, to jeszcze było na Nowym Targu, w szatni, między rzędami w tej szatni prowizorycznej, tam gdzieś poprosił mnie i tak zagadnął: „pani jest nielojalna wobec nas". Patrzyłam na niego i powiedziałam: „wie pan co, ja jestem lojalna wobec nas, wobec Komitetu Obywatelskiego". Byłam zawiedziona, zaskoczyło mnie to, bo to było tak, jakby mnie obraził. Powiedziałam mu: „trudno, być może to jest poczytywane jako nielojalność, ale ja mogę być lojalna wobec ludzi, którzy są wierni ideom, którym służyli...". To może jest śmieszne słowo, ale musi nam przeświecać, że powinna być sprawiedliwość. Przecież, jeśli tyle ludzi się przeciwko czemuś zbuntuje, to nie można ich kompletnie ignorować i na siłę ich uszczęśliwiać. Jeśli zlekceważymy ludzi, grożą nam ideologiczne przekształcenia, a już jedną ideologię marksizmu-leninizmu przerabialiśmy. Daleka jestem od tego, żeby nie być lojalną, ja byłam po prostu zawiedziona postawą bohaterów. To był mój jedyny kontakt z Frasyniukiem. Wtedy zrozumiałam, że to nie jest tak, że wszystko, co przyszło nowe jest takie, jak sobie wyobrażałam, pragnęłam, żeby było. Z perspektywy czasu uważam, że współpraca była bardzo trudna, było widać niezadowolenie, ale trzeba było kalkulować i dyskomfort

można było znieść. W dzisiejszej rzeczywistości dwa bieguny – władza i opozycja – są mocno spolaryzowane, brutalne w działaniach, mocno bezwzględne. Upadła kultura bycia i to jest koszmar.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Tutaj daję najwyższe oceny. Byłam w opozycji przez osiem lat, ale w żadnym momencie tego nie odczułam. Wszyscy byli jednakowo traktowani. Wysoka kultura, absolutnie.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Początki były trudne, ale myśmy to tak naturalnie traktowali, że w żadnym momencie nie przyszło mi do głowy, że mam jakieś utrudnienia, że jest to przeszkodą np. w tym, żebyśmy mogli realizować swoją działalność. W żadnym momencie nie przyszło mi coś takiego do głowy. Dostęp do sal, to wszystko oceniam bardzo dobrze.

W jakich Pani pracowała komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

To była Komisja Szkolnictwa, Komisja Zdrowia i Komisja Inicjatyw Gospodarczych. Trudno mi powiedzieć, jak ja to oceniam. W Komisji Szkolnictwa pamiętam takie spotkanie z dyrektorami, z zastępcami, w każdym bądź razie z osobami odpowiedzialnymi za szkoły. To było na sali sesyjnej, to była duża sala i ona była wypełniona prawie cała, czyli to była reprezentacja większości szkół we Wrocławiu, no i przedstawiciele Komisji Szkolnictwa. W każdym bądź razie było to zebranie, jedno z tych, które później miały wpływ na kształtowanie wizerunku szkoły, koncepcji, jak ta szkoła ma wyglądać. Dotyczyło to stołówek i problemu jedzenia, takiego socjalu w szkole. W komunie mieliśmy stołówki i to w większości szkół. Szkoła miała kuchnię, kucharkę, stołówkę i wiele dzieci tam jadło, tam się gotowało. Gdy przyszło nowe i szkoły zaczęły liczyć pieniądze, to się okazało, że to troszkę kosztuje. Jak stołówki zaczęto likwidować, powstał problem, co w zamian? Będą kioski, gdzie będą hamburgery, mikrofala, itp. Zwolni się wszystkie panie, które pracowały w stołówkach, oczywiście dla oszczędności. Wprowadzi się podmiot prywatny, wydzieli się kawałek pokoiku. Patrzyłam na to bardzo krytycznie. Nie może tak być, że polikwidujemy stołówki i postawimy sklepiki. Przecież sklepik to były chipsy, gazowane napoje, woda, wszystko to, co jest niezdrowe. No i nie mamy żadnych instrumentów wpływania na dzieci i młodzież, żeby kształtować w nich prawidłowe nawyki. Dziecko sięga właśnie po takie rzeczy. Trzeba kształtować pewną kulturę jedzenia, zachowań, gdzie się stołować, a gdzie nie. Jeżeli dzieciom wprowadzimy takie kioski, to nawyki są tragiczne. Patrzyłam na to też jako lekarz, z punktu widzenia programów, jak zdrowo jeść. Mieliśmy stołówki, które były wkomponowane w szkoły, trzeba było tylko je zmodyfikować. Byłam przeciwna likwidowaniu stołówek. Uważałam, że to nie służyło dobru dziecka, absolutnie. Na tym spotkaniu przysłuchiwałam się, w jakim to kierunku szło. Nikt z dyrektorów się nie odzywał, nie było dyskusji. Wszyscy przyjmowali koncepcję, że likwidujemy stołówki i będą kioski. Zabrałam głos, powiedziałam, że ja to widzę inaczej, że później za to zapłacimy, bo to się zemści wcześniej czy później, że będą to pieniądze pozornie zaoszczędzone. Mówiłam właśnie o tych programach zdrowotnych, itd. Na sali było bez odzewu. Siedzieli wszyscy, nikt nie miał odwagi się odezwać. Gdy wyszłam z tej sali, to się znalazły pojedyncze osoby, mówiące, że miałam rację. Bardzo nad tym ubolewałam, bo często tak było, że po kątach mówili mi, że miałam rację, ale oficjalnie, jak było parcie na inne rozwiązanie, to nikt nie miał odwagi, żeby powiedzieć, przeciwstawić się temu. Albo żeby już nie przeciwstawić się, ale powiedzieć swoje zdanie na ten temat, wtedy miałoby to jakiś sens. Bardzo nad tym ubolewałam.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Kluby radnych na bazie opcji politycznych, jak najbardziej, to musi być. Ja, jakby niechcący, też znalazłam się w opozycji. Wyszłam naprzeciw tym masom ludzi, którzy byli niezadowoleni. Sama weryfikowałam to nieraz, że byłam nieskuteczna przez to, że byłam w mniejszości. Przecież ja to robiłam zgodnie z moim sumieniem, tak, jak powinnam się była zachować. Miałam duży dyskomfort, że nie byłam w tej większości, a nie miałam z kolei takiego mocnego klubu, takiego oparcia, gdzie mogłabym to później konfrontować i te swoje działania zobiektywizować. Uważam, że kluby są bardzo potrzebne.

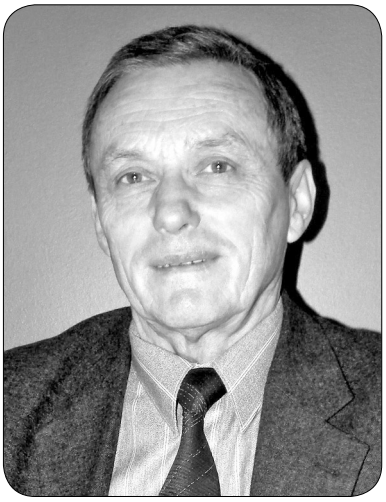
Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

To jest temat rzeka, który nie powiem, że był mi całkowicie obojętny. Byłam dość zaangażowana w te rady, ponieważ mój kolega klubowy miał konika na punkcie rad i on merytorycznie to bardzo rozpracowywał. Byłam blisko tego, bo z nim współpracowałam, natomiast sama uważałam, że rady osiedla są jakby drogą do tworzenia społeczności takiej bardziej obywatelskiej. Tak to sobie wyobrażałam, że ludzie w radach osiedla będą mieli taką możliwość odrębnego zetknięcia się z problemami miasta i potem to będzie jakby naturalną trampoliną, żeby wchodzić w wyższe szczeble samorządu. Czy to wyszło? Myślę, że nie. Trudno powiedzieć, jak to dziś wygląda. Na pewno, jak ja się tym zajmowałam szło bardzo ciężko i nie powiem, że to było już na takim poziomie, żeby satysfakcjonowało, to się dopiero wtedy tworzyło, rodziło. To jest proces wieloletni. Wtedy ludzie na pewno chcieli. Generalnie jestem za tym, żeby ludzie się organizowali.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Mogę na ten temat coś powiedzieć. Miałam kolegę, który też jakby utożsamiał się trochę z tą moją opozycją. On miał kontakty z telewizją. Była taka prywatna, dolnośląska telewizja. Ta telewizja zrobiła program pt. „Czas

dla radnych". Zostałam zaproszona do tego programu. Ja, Ewa Sudnik, taka zbuntowana, byłam inna, nielojalna, i występowałam. Ten kolega także występował w tym programie. No i zdjęli nas, nie podobało się to, bo myśmy byli w opozycji. Nie wiem, czy to jest prawda, ale wieści krążyły, że przyczynił się do tego sam przewodniczący Rady, prof. Miękisz. Dotarły do mnie takie plotki, że jakby z racji swojej funkcji musiał interweniować, żeby nas tam nie było. Dziś opowiadam to jako ciekawostkę, ale przedtem przyczyniało się to do niefajnej atmosfery. Jeśli chodzi jeszcze o media, to odnosiłam takie wrażenie, że dziennikarze, którzy byli obecni na obradach, była taka ława dla nich, i na sesji obserwowali, patrzyli, a potem ich relacje były zupełnie oderwane od tej rzeczywistości, która miała miejsce w tej Radzie. Nie wiem, czym to było spowodowane, może nie czuli tego, byli młodzi, niedoświadczeni. Były ważne momenty, ostre dyskusje, pięć godzin bicia tzw. piany, bo to tak w mediach było pokazane, ale trzeba było się zastanowić, co było pianą, bo zadaniem dziennikarza jest wyłuszczyć to, co było istotą tej piany.



Tadeusz BIELAWSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W okresie działalności podziemnej, a szczególnie w czasie stanu wojennego czytałem sporo literatury z zakresu państwa demokratycznego i organizacji samorządowych, były to jednak wiadomości dość ogólne.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Bezpośrednio nie zajmowałem się takimi sprawami, ale interesowały mnie problemy związane ze służbą zdrowia.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się problematyką ochrony zdrowia, gdyż od dawna była w kręgu moich zainteresowań. Infrastruktura w ochronie zdrowia była w stanie beznadziejnym, a Miasto zmieniało przeznaczenie wielu nieruchomości. Uznałem, że będzie dobrym rozwiązaniem pracować w Komisji Inwentaryzacyjnej Mienia Komunalnego w celu pozyskania wiedzy o możliwym przekształceniu nieruchomości budowlanych dla celów służby zdrowia. Niestety, działający wtedy na tej niwie decydenci nie byli skorzy do poprawy tej sytuacji i wiele wysiłków poszło na marne.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Samorząd lokalny, jako nowy czy też odrodzony podmiot prawny, po latach niebytu musiał na nowo ukonstytuować się, wypracować wszelkie należne mu rozwiązania prawne i procedury. Jest to praca wymagająca dużego wysiłku, szczególnie intelektualnego, a nie przynosząca uznania i zaszczytów. To, jak na początek, udało się zrobić w dobrym tempie i jakości.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie wypracowano koncepcji rozwoju miasta. Brakuje wizji wyprzedzającej na kilka dziesięcioleci. Nie przygotowano planu przestrzennego miasta, co powoduje chaos i ograniczony rozwój, a często wadliwe decyzje inwestycyjne. Zbyt mało korzystano z potencjału intelektualnego mieszkańców naszego miasta. Nie wspomagano i nie inicjowano przedsięwzięć na większą skalę, w które w sposób spontaniczny włączaliby się mieszkańcy. Tworzyłoby to zręby pod budowę społeczeństwa obywatelskiego, którego tak bardzo nam dzisiaj brak.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Oceniam, że ten obszar jest całkowicie zaniedbany i nie widać mądrych koncepcji dla rozwoju tak ważnego zagadnienia. Dla przykładu można wskazać MOPS, który ma kosztowne i mało sprawne struktury, które można byłoby zastąpić albo przynajmniej wspomóc takimi instytucjami.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy widząc znikomy osobisty wpływ na działalność organów Miasta i rozwiązywanie ich problemów ograniczają się i są w szerokim zakresie bierni.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W ramach Rady Miejskiej wyłoniła się nieformalnie grupa radnych, którzy grupowali się wokół Zarządu Miasta, co w następnych kadencjach można było nazwać klubami. Ten nieformalny klub był zawsze na wyższym poziomie wtajemniczenia i chętniej wysłuchiwany przez władzę.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze, jednak niepotrzebnie ciągle jeszcze funkcjonowały dzielnicowe biura Rady, chociaż dzielnic już formalnie nie było.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Jak na początek nowej formy bytu prawnego, uważam, że było dobrze – uwzględniając również tamte możliwości. Myślę, że obecnie te warunki są zdecydowanie lepsze.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Zdrowia, z pewną przerwą, jednak najwięcej pracy i czasu poświęciłem Komisji Inwentaryzacyjnej Mienia Komunalnego i uważam, że wykonała ona ogrom pracy w bardzo krótkim okresie.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych zbudowane według opcji politycznych przynoszą samorządom duże szkody, gdyż gloryfikują partyjniactwo. W organizacji Rady, poza komisjami, widziałbym również dodatkowo elementy skoncentrowane wokół zadań i problemów, które trzeba rozwiązywać na rzecz mieszkańców i miasta.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Niechęć do otwartości i komunikacji z obywatelami tego miasta, zasięgania ich opinii i oczekiwania akceptacji pomysłów i rozwiązań proponowanych przez władze miasta. Mam tu na myśli te posiedzenia Rady Miejskiej, kiedy na sali obrad spontanicznie pojawiali się mieszkańcy, których traktowano przedmiotowo, a tematy zgłaszane przez mieszkańców rozmywały się w czasie.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem. W tej formie i przy braku kompetencji rady osiedlowe niewiele mogą zdziałać i to mimo tego, że są tam ludzie wartościowi.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media nie wypracowały jeszcze modelu ani właściwego warsztatu do komunikacji społecznej. Na podstawie własnych obserwacji odniosłem wrażenie, że karmią się głównie sensacją. Nie zgłębiają tematów, które są im sugerowane poprzez rzeczników jako materiały interesujące mieszkańców.

◇◇◇

„Tygodnika Powszechnego" Jerzy Turowicz, redaktor Tadeusz Żychiewicz, redaktor Anna Morawska, posłowie koła „Znak", miałem więc kontakt z ludźmi, którzy mieli szerokie horyzonty i wyrazistą, autentyczną tożsamość.

Oczywiście wiadomo, że były różne ograniczenia cenzuralne i inne, ale muszę powiedzieć, że pracując w przemyśle za bardzo się tym nie przejmowałem. Ludzie z uczelni byli bardziej tacy trochę zalęknieni. W przemyśle na każdym kroku miałem do czynienia z wieloma ludźmi, trzeba było wykonać określoną pracę, i jeżeli I sekretarz mówił to czy tamto, to ja mówiłem, że on mi tabliczki mnożenia nie będzie ustalał. Do partii nigdy nie należałem. Do NSZZ „Solidarność" wpisałem się 1 września 1980 r., a następnie ponownie w 1989 r. Reprezentowałem „Elwro", jako wiceprzewodniczący obwodowej komisji wyborczej w 1989 r.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W programie KIK i w programie SEP były sprawy jak najbardziej związane z miastem. Jeszcze w ramach Klubu chcieliśmy zrobić prelekcję „Perspektywy rozwoju i przemysłu gospodarczego Dolnego Śląska" i wystąpiliśmy o zgodę na otwarte zebranie, lecz cenzura zabroniła nam tego zarzucając, że nie działamy na rzecz gospodarki i polskości.

Była taka zasada: żeby mogło się odbyć zebranie, o którym można ogłosić, że każdy może na nie przyjść, potrzebna była zgoda odpowiedniego wydziału. My wystąpiliśmy, a wydział nie wyraził zgody. Wtedy prowadzący miał obowiązek powiedzieć, iż na to nie uzyskał zgody, że jest to zebranie dla członków Klubu. Wiadomo, że nikt nikogo z zebrania nie wyrzucał, ale niektórzy myśleli, że się kogoś wyrzuca, mówili „no, co, wy wyrzucacie ludzi?". Zresztą wtedy wszyscy wszystkich podsłuchiwali. Ponieważ byłem sześć lat na zesłaniu, to zdawałem sobie sprawę, że na każdym kroku są ludzie z dziesięciokrotnymi uszami, nie zawsze wiadomo było, kto jest kto. Ale nie można było bać się w nieskończoność.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W czasie pracy w Radzie byłem w Komisji Przemysłu, Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej oraz w Komisji Ochrony Środowiska, Komisji Inicjatyw Gospodarczych i Komisji Statutowej. Na początku trzeba było uchwalić statut, więc siedzieliśmy po kilkanaście godzin na sesjach i ustalaliśmy ten statut. Statut był konieczny m.in. po to, by móc uczestniczyć w innych komisjach.

W połowie kadencji w Komisji Przemysłu zorganizowaliśmy bardzo ciekawą sesję na temat przemysłu dolnośląskiego. Zostały wówczas przedstawione gruntowne analizy o sytuacji w naszym przemyśle. Było to dobrze przyjęte i bardzo potrzebne, szczególnie tym zakładom, które były w trakcie transformacji, zwłaszcza, że ta transformacja odbywała się ruchem „turbulentnym", tzn., że były sprzeczne przepisy, z jednej strony mieli się rozwijać, z drugiej, musieli płacić popiwek, potem były jeszcze jakieś inne historie i nie było jasności, co do tego, jak to właściwie ma się rozwijać. Nawiązaliśmy kontakt z Ministerstwem Gospodarki i Przemysłu, które w 1992 r. objęło patronat nad Polskim Ruchem Produktywności. Ministerstwo Gospodarki powołało ten ruch, a i myśmy się w to włączyli. Do Wrocławia przyjechali przedstawiciele rządu japońskiego, którzy prezentowali zasady ruchu produktywności, oprócz tego wysłaliśmy kilka osób na sześciotygodniową praktykę do Japonii, ponieważ to było wówczas możliwe. Odbyła się także misja produktywności do Wielkiej Brytanii, w której brałem udział. Tam, w Wielkiej Brytanii mogliśmy zobaczyć, jak wygląda aplikacja tego, co nam oferują Japończycy i Brytyjczycy w nowoczesnym systemie zarządzania. Oni pokazywali, że w systemie zarządzania i dobrej organizacji leży rezerwa kilkudziesięciu procent, trzydziestu procent potencjału twórczego. Staraliśmy się to w jakiś sposób przekazać, ale muszę powiedzieć, że nie była to łatwa sprawa, dlatego, że były różne tendencje odgórne i ruch produktywności jakoś potem umierał własną śmiercią, w pewnym sensie. Mam nawet taki dokument, z troszeczkę późniejszego czasu, kiedy animatorzy ruchu produktywności występują z apelem do rządu polskiego i piszą, że „rząd polski nadal nie dostrzega w ruchu produktywności szansy dla polskiej gospodarki i społeczeństwa", podczas, gdy właśnie według tego, co nam prezentowali wszyscy eksperci, którzy do nas przyjeżdżali, m.in. profesor Nagaschima, dało to rewelacyjne efekty w Japonii, gdzie w okresie dwudziestu lat dochód narodowy wzrósł stukrotnie.

Druga sprawa, to był problem przemysłu. Tu w sposób szczególny interesowały nas problemy odpadów, a zwłaszcza zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego. Wyniki badań zdrowia dzieci i młodzieży, które otrzymaliśmy z Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej wskazywały, że przeszło 80% dzieci i młodzieży cierpi na wady postawy, a specjaliści twierdzili, że te wady postawy mają związek z zawartością ołowiu w atmosferze. Na ten temat odbyła się specjalna sesja w maju 1994 r. W materiałach z tej sesji jest podana liczba 45 ton ołowiu, który we Wrocławiu unosił się do atmosfery z samochodów przejeżdżających wtedy przez miasto. Została wówczas podjęta uchwała, która mówiła o odpowiednich działaniach eliminujących tę sytuację. Nie wiem, jak było dalej. Szkoda, że po upływie kadencji byli radni nie są wykorzystywani w sposób taki, żeby mogli coś na znany im temat powiedzieć. Muszę się przyznać, że od czasu, kiedy byłem radnym, a upłynęło dużo czasu, wiele osób mi mówi „a pan, jako były radny, niech pan to gdzieś tam przekaże", ale ja nie bardzo mam gdzie to przekazać, ponieważ nie stworzono odpowiednich mechanizmów. A chciałoby się. Ludzie chcą dzielić się swoimi uwagami i propozycjami, lecz nie są uruchomione mechanizmy, które pozwoliłyby na przekazywanie spostrzeżeń i informacji o potrzebach mieszkańców.

Jak ocenia Pan komisje, w których Pan pracował?

Nasze komisje były bardzo bojowe. Prosiliśmy ekspertów, żeby nam wyjaśniali szereg rzeczy i na forum Rady występowali członkowie tych komisji, którzy prezentowali określony problem: trzeba coś zrobić z tym przemysłem, trzeba coś zrobić z tymi wadami postawy. To rzeczywiście było dynamiczne. Oczywistą rzeczą jest, że nie było dostatecznego doświadczenia i członkowie z innych komisji mówili „a co wy tam mówicie, to są jakieś wymysły, bajki, itd." Gdy przygotowywaliśmy sesję na temat przemysłu, uprzednio zażądaliśmy, żeby była zrobiona gruntowna analiza rozwoju gospodarczego Wrocławia, na sto lat wstecz. Ta analiza sto lat wstecz i bieżąca została przeprowadzona, przedstawione materiały są bardzo bogate. Wskazywano na to, że dawnymi czasy liczba radnych była mniejsza, natomiast na jednego radnego przypadało kilku ekspertów. U nas sytuacja była odwrotna, bo żeby trafić do ekspertów trzeba było ich w jakiś sposób znaleźć, a było trudno, gdyż eksperci mieli swoją pracę, musieliśmy sami po amatorsku szukać i liczyć na własne siły. Wydaje mi się, że rola ekspertów przy Radzie jest istotna. Mało tego, w moim przekonaniu rola ekspertów nie jest w ogóle doceniona, podobnie jest w Sejmie.

Kiedyś była publikacja na temat „Na co wydają posłowie pieniądze?" Okazuje się, że w ramach prowadzenia swoich biur tylko niektórzy posłowie wydali dosłownie nikłe pieniądze na jakąś ekspertyzę. Wygląda na to, że robili to własnymi siłami lub siłami społecznymi, co oznacza, że nie mieli możliwości zasięgnięcia właściwej opinii. To jest chyba przyczyną, że, jak niektórzy powiadają, powstają „knoty legislacyjne" czy coś takiego, bo do tego, żeby się czymś zajmować, trzeba mieć określone kompetencje.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Naszym sukcesem było to, że każdy wyrażał swoją opinię. To było bardzo cenne. To znaczy, że my autentycznie spieraliśmy się i ten system komisyjnych dyskusji był bardzo istotny. Nie było innych podziałów. Jeżeli ktoś wpisał się do danej komisji, to on już w tej komisji siedział. Natomiast, jeżeli miał jakieś odmienne zdanie, to w ramach tej komisji mógł to swoje zdanie zweryfikować i wypracować właściwie. Nie było w ramach komisji sprzeczności interesów. Siła komisji była duża. Jednym z przykładów była taka sytuacja: było dwóch sąsiadów, z których jeden miał krzewy ozdobne, a drugi nie chciał, żeby on miał te krzewy i chciał mu zrobić na złość. W sądzie używał argumentów, które skazywały sąsiada na przegraną. My rozpatrzyliśmy tę sprawę z punktu widzenia przepisów ekologicznych, podczas gdy argumenty podawane przez sąsiada nie uwzględniały aspektów ekologicznych. Przedstawiliśmy swoją opinię sądowi jako eksperci. Nasza argumentacja była wypracowana w sposób rzetelny i pozwoliła na uniknięcie arbitralności. Nasza argumentacja dotyczyła rzeczy wymiernych, sprawdzalnych i w związku z tym – niepodważalnych.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

O niepowodzeniu można mówić jedynie w takim sensie, że nie wiemy, co było z kontynuacją prac Rady. Trudno powiedzieć, żeby to było winą Rady, bo u nas w państwie polskim jest w ogóle takie myślenie kadencyjne. To jest błąd metody. W różnych sprawach, a szczególnie w sprawach gminnych, gdzie jest wymagana ciągłość działania, trzeba postępować tak, jak Anglicy postępują z trawnikami – oni je stale, systematycznie koszą w taki sam sposób i wtedy te trawniki rosną. Natomiast gdyby chciało się za każdym razem te trawniki inaczej kosić, to one by nie rosły. W takiej demokracji, jak w Stanach Zjednoczonych, która się tworzyła od dołu, jest wymiana połowy składu osobowego, co zapewnia ciągłość działania. Wydaje mi się, że rozpoczynanie doświadczenia od nowej Rady i ta kadencyjność w jakiś sposób się mści, bo nie ma tej ciągłości.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jeżeli jako komisje występowaliśmy do różnych innych jednostek, to one były bardzo rzetelne i bardzo się cieszyły, że się im zadaje pytania i czegoś się od nich chce. Rzeczywiście na tej linii, w tych wszystkich komisjach, w których pracowałem, informacje otrzymywało się rzetelne.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mieszkam w osiedlu, gdzie kopałem własnoręcznie wykopy pod fundament, w związku z tym moi sąsiedzi mnie znają i do dzisiejszego dnia ode mnie jako byłego radnego jeszcze czegoś oczekują, a ja jestem w tej sytuacji bezradny. Natomiast tam, gdzie są wielkie bloki to wszystko ginie, ponieważ nie ma jakiegoś organu informującego. Na przykład, ja sam nie za bardzo wiem, gdzie szukać mojej rady osiedla, ponieważ nie wiem, gdzie jest jakaś tablica, na której to będzie napisane – podobno ona gdzieś tam jest. Inni też pytają. Chciałoby się, żeby na terenie dowolnego osiedla był jakiś słup czy jakaś tablica, gdzie by było napisane tak: to jest osiedle Iksińskie i tutaj rada jest taka, a pan Iksiński jest przewodniczącym rady.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i z Urzędem Miejskim?

Relacja z władzą wykonawczą jest pewnym problemem. Jeżeli jest połączona władza ustawodawcza z wykonawczą, to w tym momencie to wszystko trochę się zamazuje. Były takie problemy, wielu radnych podnosiło to jako problem, który należało w jakiś sposób rozwiązać, żeby nie było niejasności. Jeżeli kilkunastu radnych jest jednocześnie we władzy wykonawczej, to zaciera się ich rola uchwałodawcza i rola wykonawcza. Trudno powiedzieć,

jak to powinno być, ale w każdym razie jest to problem. Myślę, że najlepiej byłoby sięgnąć do wypróbowanych wzorów, gdzie jest już jakoś sprawdzona ta demokracja obywatelska.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej jest biurem, które działa sprawnie i rzeczywiście stanowi, w moim odczuciu, wzór służby cywilnej, która działa zgodnie z określoną pragmatyką, robi wszystko, co do niej należy. Jest to „maszynka", która działa sprawnie. Sprawnie i z uśmiechem.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Nie wiem, jak to wygląda w tej chwili, ale w I kadencji poza krzesłem i miejscem przy stole, radny nie miał żadnego boksu ani szuflady i trzeba było wszystko ze sobą nosić. Brakowało miejsca, gdzie radni mogliby spokojnie posiedzieć. Wtedy czegoś takiego nie było.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Jeżeli to są kluby o charakterze partyjnym, to ja tego nie pojmuję i koniec. Merytoryczne kluby, to tak. Gdybym mógł zobaczyć, jak wyglądają te sprawy we wzorcach wypróbowanych, jakichś zachodnich, to wtedy można byłoby się ustosunkować. Natomiast tutaj, w dodatku przy mnogości różnych partii, jest to dla mnie jakieś niezupełnie zrozumiałe.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Nie przypominam sobie specjalnych rewelacji z tamtego czasu. Nie było sytuacji skrajnie negatywnych. Były elementy humorystyczne i prasa bardzo chętnie je podchwytywała, np. pan radny Przystawa, który był indywidualnym radnym, nie był z komitetów obywatelskich, miał swój oryginalny sposób prezentowania i podczas jego wystąpień rzeczywiście działo się coś ciekawego. Drugim takim radnym był pan Lenkiewicz, który tak samo, jako publicysta, mógł polemizować, mógł przedstawiać swoje poglądy. Niekiedy byli bardzo krytyczni, ale bez nich może byłoby troszeczkę nudnawo.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

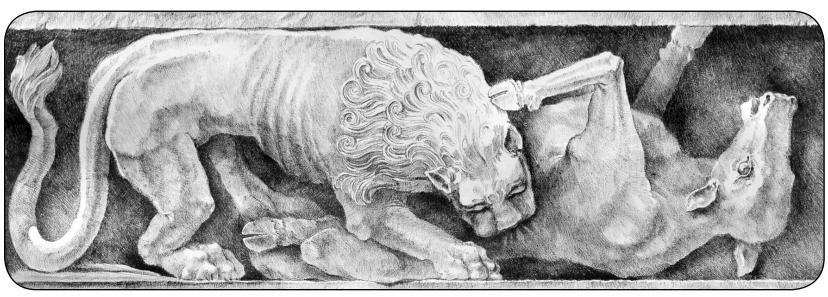
W radzie osiedlowej nie działałem i muszę powiedzieć, że moją radę próbowałem kiedyś znaleźć, ale to mi się nie udało i w związku z tym chyba wygląda na to, że nie umiem szukać.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Niestety, muszę powiedzieć, że jeżeli media nie nauczą się rozumieć i prezentować istoty spraw, to wszyscy na tym stracą. Nie można przedstawiać spraw ani w postaci humorystycznej, ani w postaci manipulowanej. To powinno być relacjonowanie rzetelne, merytorycznie, do rzetelnej informacji może być komentarz. Jeżeli informacja jest przedstawiona niekompetentnie, wtedy robi się krzywdę wszystkim. Celem Rady jest właściwy rozwój miasta i dobro wszystkich mieszkańców. Czy się chce, czy się nie chce – wszyscy płyniemy na tym statku i wobec tego, jeżeli ten statek nie będzie dobrze płynął, to dopłynie do tego portu nie w takim czasie, w jakim chcielibyśmy.

Wydaje mi się, że to zawsze tak samo wyglądało. Media, niestety, są nastawione na sensację, nie selekcjonują rzeczy ważnych według jakiejś hierarchii i w sumie odbywa się to ze szkodą dla wszystkich, bo pewne informacje są bezwartościowe, a pewne informacje są szkodliwe. Podam jako przykład, że szczegółowe opisywanie jakiegoś mordu działa destruktywnie i pewne jednostki słabsze psychicznie podświadomie się z tym utożsamiają, tak stwierdzili psychologowie. Ba, mało tego. Ponieważ prasa jest z reguły nastawiona na różnego rodzaju wybrzydzanie i sensacje, wobec tego nie promuje pewnych zachowań poprawnych tak, jak mogłaby promować. Gdyby patrzeć na gazety, to okazałoby się, że właściwie tylko wziąć sznurek i się powiesić, ponieważ wszyscy są albo złodziejami, albo kombinatorami, itd., a w ogóle, to siedzieć w domu i nie ruszać się, bo na każdym kroku coś grozi. Tymczasem, wbrew temu, co się czyta, rzeczywistość jest taka, że ludzie się do siebie uśmiechają, są życzliwi, itd.

Generalnie biorąc, praca w Radzie była ciężką pracą. Ktoś wyliczył, że w ciągu tych czterech lat kadencji kilka tysięcy godzin siedziało się na tych salach, na tych wszystkich komisjach, itd. To jest ogrom czasu. A jeszcze do tego dochodziło to, że naprawdę określone materiały się przygotowywało i to nie dlatego, że ktoś z tego odpytywał, lecz dlatego, że na komisji ludzie rzeczywiście merytorycznie musieli się do czegoś ustosunkować, utożsamiali się z tym. A to, niestety, nie było ukazywane w prasie.



Ryszard BOBROWSKI

Radny I i II kadencji.
Radny Sejmiku Samorządowego w latach 1998-2002.
Absolwent Wydziału Nauk Historyczno-Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Byłem i jestem. Urodziłem się w ustroju demokratycznym, w nim dorastałem, uczyłem się, pracowałem i dalej pracuję zawodowo i społecznie.

Do funkcji radnego osiedlowego, radnego Rady Miejskiej Wrocławia i radnego Sejmiku Województwa Dolnośląskiego przygotowywałem się od wczesnych lat sześćdziesiątych. Pierwszy raz na własnej skórze doświadczyłem demokracji, kiedy w 1963 r. grupa harcerzy z 54 Mazowieckiej Drużyny Harcerskiej wybrała mnie swoim zastępowym.

Bycia radnym nie można się nauczyć z książek ani na zebraniu partyjnym czy też podczas niedzielnej mszy. Radnym z prawdziwego zdarzenia, czyli z faktycznej i niemanipulowanej woli wyborców, można zostać świadcząc im wcześniej dobro, którego oczekują lub które jest im do życia niezbędnie potrzebne, a którego sami sobie nie są w stanie załatwić, dostarczyć lub zorganizować. Radnym być, to mieć wolną i nieprzymuszoną wolę bezekwiwalentnej pracy na rzecz innych, nie tylko w roku wyborczym. To umieć badać aktualne potrzeby, oczekiwania i możliwości elektoratu oraz umieć przewidywać następne i dążyć do skutecznego ich zaspokojenia. To cieszyć się wraz z innymi, każdą, nawet najmniejszą załatwioną sprawą w imieniu i dla wyborców. Radny, który „musi" rozwiązać problem ważny z punktu widzenia mieszkańców jego okręgu wyborczego jest figurantem, awanturnikiem i błędem tych, którzy umieścili go liście wyborczej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przyjmując, że podejmowanie bezinteresownych działań na rzecz innych mieszkańców Wrocławia jest zajmowaniem się sprawami miasta, to ja takimi sprawami się zajmowałem. Do nich m.in. mogę zaliczyć działalność w Związku Harcerstwa Polskiego, gdzie pełniłem różne funkcje. Współorganizowałem i współprowadziłem ponad 20 obozowych i nieobozowych akcji letnich i zimowych. W obozach i zimowiskach uczestniczyli nie tyko harcerze działający w kierowanych przeze mnie jednostkach, ale również dzieci i młodzież z domów dziecka i kierowana przez Sąd Rodzinny. Czy było to zajmowanie się sprawami miasta? W moim przekonaniu tak.

Wiosną 1988 r., na zebraniu ogólnym mieszkańców, zostałem wybrany członkiem Komitetu Osiedlowego Osiedla Gaj w ówczesnej dzielnicy Krzyki oraz wiceprzewodniczącym tegoż Komitetu. Komitet osiedlowy był odpowiednikiem obecnej rady osiedla. Obecnym radom wszystkich osiedli Wrocławia życzę takiego udziału w rozwiązywaniu problemów miasta, jakie miały komitety osiedlowe przed 1990 r. Przynajmniej takiego udziału, jaki miał Komitet Osiedla Gaj.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Nie mogę wyróżnić żadnych szczególnych dziedzin. W niektórych czułem się ekspertem z tytułu posiadanego wykształcenia (jestem pedagogiem), uprawianego obecnie zawodu (jestem doradcą zawodowym), wcześniej nabytych kwalifikacji (mam za sobą 25 lat służby w Wojsku Polskim) i doświadczenia w działalności społecznej (wszystkie możliwe funkcje przywódcze w ZHP od zastępowego do komendanta Hufca i członka Rady Chorągwi, różne funkcje w stowarzyszeniach, zespołach społecznego działania, samorządach, w tym jedną kadencję w samorządzie osiedlowym).

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

W kadencji 1990-1994 moim sukcesem, i myślę, że sukcesem mieszkańców Wrocławia, było to, że zostałem radnym Rady Miejskiej nie ukrywając w kampanii wyborczej swoich przekonań lewicowych, a nawet wcześniejszej przynależności do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Prymitywizm i obłuda dużej części radnych wywodzących się z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" sprawiały, że nie miałem możliwości, czasami ochoty, a niekiedy siły, żeby „kopać się z koniem", czyli prostować wszystkie brednie i fałszywe informacje, jakimi radni sami siebie faszerowali. Byłem tylko 1/70 tej Rady. Wielu radnych tej kadencji nie podzielało poglądów, celów i potrzeb solidarnościowych awanturników. Byli zastraszeni przez „grupę trzymającą władzę". W rozmowach kuluarowych (w palarni) często stanowiliśmy zwarty zespół przedstawicieli mieszkańców, zatroskany losami Wrocławia i wrocławian. Kiedy wchodziliśmy na salę obrad, koledzy radni spod znaku „Solidarności" dostawali partyjno-prawicowej głupawki. Zdarzało się jednak, że czasami, choć z dużą dozą nieśmiałości, podczas obrad przyznawali mi rację w dyskusji albo głosowali tak, jak ja.

To chyba było moim największym sukcesem. Dzięki mnie, mojej pozornie wrogiej, bo lewicowej pozycji wobec solidarnościowej elity, mogli przynajmniej od czasu do czasu uruchomić tkwiące w nich pokłady uczciwości.

W wyborach do Rady Miejskiej w roku 1994 mandat zdobyło 18 kandydatów z listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Myślę, że w tym sukcesie mieszkańców jest cząstka mojego sukcesu. Około 1/4 mieszkańców Wrocławia miała dość politycznego awanturnictwa, fałszowania historii, dzielenia się przez prawicowych władców miasta „obrzydliwym" posocjalistycznym majątkiem komunalnym, itp.

Myślę, że nikt spośród radnych kadencji 1990-1994 i 1994-1998 niebędących w Zarządzie Miasta nie może przedstawić indywidualnego sukcesu objawiającego się jakimś dziełem lub szczególnym zdarzeniem. Wyjątek stanowią radni pozostający w ścisłych związkach partyjnych z członkami Zarządu, co umożliwiało im skuteczne lobbowanie „w imieniu" lub „na rzecz".

Ja, między innymi, wywołałem temat związany z potrzebą utworzenia jednostek pomocniczych Rady Miejskiej. Szukałem wsparcia wśród innych uczciwych i zdroworozsądkowych radnych. (Chodziło mi o niezaprzepaszczenie dorobku komitetów osiedlowych). W głosowaniu okazało się, że zwolenników utworzenia rad osiedlowych – ku niezadowoleniu Zarządu – było kilku więcej niż przeciwników. Czy to był mój sukces? To był sukces większości radnych.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Na tak postawione pytanie, należałoby odpowiedzieć jednym zdaniem: W trakcie pełnienia przeze mnie funkcji radnego Rada Miejska Wrocławia nie doznała niepowodzenia. Jedynym niepowodzeniem, jakie może spotkać radę samorządu terytorialnego jest jej skuteczne odwołanie poprzez referendum, przed upływem kadencji. Referendum we Wrocławiu nie organizowano.

Pierwszym moim osobistym niepowodzeniem i niepowodzeniem jakiejś (niepoliczalnej wtedy, a dzisiaj tym bardziej) liczby mieszkańców było zlikwidowanie dzielnic we Wrocławiu. Przeciw likwidacji dzielnic, poza mną, było tylko kilku, może kilkunastu radnych.

Drugim moim osobistym niepowodzeniem było zakończenie wywołanego przeze mnie procesu tworzenia jednostek pomocniczych Rady Miejskiej – rad osiedlowych (małych dzielnic). Kiedy zorientowałem się, że głównym celem likwidacji dzielnic było rozparcelowanie majątku komunalnego pośród bezpośrednich i najbardziej zasłużonych beneficjentów solidarnościowej rewolucji i ich totumfackich, wszczęłem batalię o uporządkowanie podziału administracyjnego Wrocławia. Chciałem, aby w miejsce dotychczasowych 47 osiedli liczących od około 500 mieszkańców (np. Bieńkowice) do prawie 40 tys. (np. Pilczyce-Kozanów) stworzyć 14 lub 17 osiedli (małych dzielnic) liczących 35-45 tys. mieszkańców. Myśl taka chodziła mi, i jeszcze kilku radnym, po głowie, aby w okolicach środków tych 14 lub 17 osiedli, w miarę potrzeb, możliwości i zdobywania finansów, tworzyć osiedlowe centra kulturalno-oświatowe, rekreacyjno-sportowe, handlu i usług, w tym usług z obszaru administracji osiedlowej, czyli w myśl Ustawy o samorządzie gminnym z dnia 8 marca 1990 r. Chodziło nam głównie o to, żeby większość spraw ważnych (zaopatrzenie, wypoczynek, oświata, kultura, służba zdrowia) z punktu widzenia mieszkańców można było załatwić na miejscu, w osiedlu, podczas spaceru lub korzystając z roweru albo wózka inwalidzkiego.

Uchwała nr XX/110/91 z 20 marca 1991 r., ku uciesze Zarządu, zamknęła problem osiedli na bardzo długo, a może nawet na zawsze. Czyli do następnej rewolucji.

W kadencji 1994-1998 podejmowaliśmy próby naprawienia tej sytuacji. Bez efektów, bo z jednego miejsca we Wrocławiu, z ratusza, najskuteczniej można manipulować mieszkańcami.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Ustawa z 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym nie daje uprawnień ani nie wskazuje potrzeby i nie upoważnia Rady ani pojedynczych radnych do współpracy z instytucjami pozasamorządowymi. Znakomita większość aktów współpracy wynika z logiki zarządzania tak wielkim organizmem miejskim. Takim przykładem współpracy może być obsługa finansowa Miasta przez banki, ale to leży w kompetencjach Zarządu. Współpraca z innymi instytucjami pozasamorządowymi gwarantującymi szeroko rozumiane zaopatrzenie, bezpieczeństwo, transport, szkolnictwo wyższe, itd., wynikała z bieżących potrzeb i w dostępnym mi obszarze obserwacji przebiegała bez uwag.

Mój śladowy styk z instytucjami pozasamorządowymi ogranicza się do prowadzenia rozmów z zarządami spółdzielni mieszkaniowych i kierownictwami przedsiębiorstw (dymiących, hałasujących, itp.) w imieniu pojedynczych mieszkańców, które miały na celu likwidację niedogodności lub uciążliwości. Fakt posiadania mandatu radnego Rady Miejskiej Wrocławia ułatwiał prowadzenie tych rozmów i wpływał na ich skuteczność. Współpracę z instytucjami pozasamorządowymi na swoim wąziutkim odcinku oceniam dobrze, a przynajmniej nie pamiętam spraw, które chciałbym załatwić, a ktoś lub coś by mi w tym przeszkadzało.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Możliwe, że przeceniam siebie i swoich wyborców, ale patrząc z perspektywy lat, jakie minęły od pierwszej (1990) i drugiej (1994) kampanii wyborczej do Rady Miejskiej oraz do Sejmiku Województwa Dolnośląskiego w 1998 r., i kadencji po tych kampaniach następujących, wydaje mi się, że ja ze swoimi wyborcami stanowiłem trudną do zdefiniowania mentalną jedność. Radnym zostałem z ich woli, za ich przyczyną i w Radzie byłem dla nich.

Do dziś, chociaż radnym nie jestem już kilka lat, spotykam się ze strony zupełnie nieznanych mi mieszkańców osiedla z oznakami sympatii, nawiązującymi do tego, co robiłem w przeszłości. Myślę, że dla starszych mieszkańców osiedla/okręgu wyborczego jestem reliktem pochodzącym z okresu ich młodości, okresu społecznej szczerości, socjalnego bezpieczeństwa, niewymuszonej aktywności społecznej – czynów, zobowiązań rocznicowych, pochodów, *etc*.

Radnym w kadencji 1990-1994 zostałem, mimo prawicowej propagandy i zwierzęcej nienawiści do ludzi lewicy i wszystkiego, co lewicowe, spółdzielcze, społeczne lub państwowe. Radnym kadencji 1994-1998 zostałem pewnie z tej przyczyny, że kandydowałem z listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej, to po drugie, a po pierwsze, pewnie dlatego, że podczas kadencji 1990-1994 nie uczestniczyłem w podziale łupów i nie byłem w zmowie z ludźmi spod znaku „Solidarności". Mieszkańcy to docenili, mimo totalnej promocji politycznego awanturnictwa w środkach masowego przekazu i w Kościele. Dzięki im za to.

Radnym Sejmiku Województwa Dolnośląskiego w kadencji 1998-2002 zostałem chyba z rozpędu, bo przez osiem poprzednich lat nic szczególnego dla mieszkańców osiedla/okręgu wyborczego nie zrobiłem, kierując się zasadą, że radny Rady Miejskiej uwagę swoją skupia na całym mieście, a kiedy robi coś nadzwyczajnego dla swojego osiedla lub ulicy, to uprawia prywatę.

Czy zrobiłem coś namacalnego, jedynego i niepowtarzalnego dla całego miasta? Chyba nie. Byłem 1/70, gorszą częścią Rady, zabawki zostały rozdane. Przy prawicowo-liberalnym totalitaryzmie i prywacie władców (większości), mimo składanych wniosków, nic szczególnego dla mieszkańców Wrocławia zrobić nie mogłem. Chyba, że jako zasługę zaliczę sobie bezowocną walkę o przyznanie drobnych kompetencji dla rad osiedlowych, nowy podział administracyjny i przeciwstawianie się – z różnym skutkiem – rozkradaniu (przepraszam – likwidowaniu socjalistycznych pozostałości) majątku komunalnego.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W czasie kadencji 1990-1994 byłem w absolutnie szczególnej sytuacji. Owa szczególna sytuacja sprawia, że z tego okresu mam dwa skrajnie różniące się spostrzeżenia dotyczące stosunków międzyludzkich w układzie Zarząd/Urząd – radni/mieszkańcy.

Pierwsze spostrzeżenie. Stosunki pomiędzy radnymi (wyłączając mnie) a Zarządem Miasta były fantastyczne, wzorcowe, bliskie i ciepłe, pozbawione urzędniczej bufonady, uniżoności, lęku i respektu dla urzędnika np. w randze wiceprezydenta lub członka Zarządu. Byłem tym faktem zaskoczony, zbudowany i pełen zazdrości o to, że ja, kilka miesięcy wcześniej, będąc pracownikiem Urzędu Miejskiego nie mogłem tego doświadczyć. Zdarzyło mi się kilkakrotnie być świadkiem podejmowania istotnych dla miasta decyzji (co nie znaczy, że słusznych) podczas rozmów w przerwach obrad lub podczas spotkań korytarzowych.

Drugie spostrzeżenie. Stosunki pomiędzy mną a Zarządem określiłbym jako chłodne. Ja byłem z innej bajki. Ja byłem lewicowym wrzodem na zdrowym organizmie zwartej grupy radnych wywodzących się z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Podkreślić jednak muszę, że nie zdarzyło mi się, aby sprawa społeczna/interwencyjna, z którą przychodziłem jako radny do Zarządu Miasta, nie została załatwiona – jeśli w ogóle mogła być załatwiona. A w ocenie decydenta sprawa była do załatwienia, jeśli nie naruszała prawicowych pryncypiów lub nie naruszała biznesu nowo wykreowanych przedsiębiorców. Wcale mnie to nie dziwiło i dzisiaj nie dziwi. Nie miałem wtedy i dziś nie mam o to do nikogo pretensji. Ja też nie byłem zbyt sympatyczny dla prawicowych koleżanek i kolegów radnych. Zwłaszcza bezmózgowców uważających, że Wrocław urodził się w dniu wyborów samorządowych, tj. 27 maja 1990. Głosując odpowiednio, popsułem im kilka fantastycznych biznesów związanych z uwłaszczaniem się na majątku miejskim. Dziś może nawet mam do siebie o to pretensje. Bo przecież też mogłem, zgodnie z sugestią ówczesnego Prezydenta RP, ukraść swój pierwszy milion. Jednak wtedy przeciwstawianie się i utrudnianie „przejmowania" majątku było elementem mojej misji jako wybrańca mieszkańców.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Mógłbym pytanie skwitować jednym stwierdzeniem: Bez uwag. Jednak to krótkie zdanie nie oddałoby prawdy i istoty klimatu tamtych czasów. Panie pracujące w Biurze Rady Miejskiej, przynajmniej na początku kadencji 1990-1994, posiadały wiedzę o samorządzie, o potrzebach i oczekiwaniach mieszkańców, o możliwościach Urzędu, wielokrotnie przewyższającą wiedzę ówczesnych radnych. Chyba wszystkie panie były pracownicami Biura Rady Miejskiej przed 1990 r. Z pewnym zażenowaniem obserwowałem – komiczne z perspektywy czasu – sceny, podczas których ten czy ów radny nieskładnie definiował swoje potrzeby, np. wyszukania odpowiednich materiałów, zredagowania pisma lub fragmentu uchwały, a panie z Biura kończyły rozpoczęty przez radnego wątek lub dostarczały materiał, zanim radny do końca zebrał myśli i wycedził, o co mu chodzi. Biuro Rady Miejskiej, przynajmniej w dwóch pierwszych latach kadencji 1990-1994, wobec radnych spełniało funkcję kulturotwórczą i edukacyjną, przybliżając i objaśniając potrzebę i zasady funkcjonowania samorządu miejskiego, tłumacząc, że mieszkańcy Wrocławia nienależący do Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" to też są ludzie, tyle tylko, że mający inną wiedzę, doświadczenie, przekonania *etc*. Załoga Biura była zawsze miła, grzeczna i gotowa nieść pomoc każdemu radnemu, który był w potrzebie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Chyba jestem złym adresatem pytania, uważam bowiem, że jakość, sprawność i rzetelność sprawowania każdej funkcji przedstawicielskiej, w tym radnego osiedlowego, miejskiego i sejmikowego, nie zależy od oprzyrządowania technicznego i grubości gąbki pod zakończeniem pleców dostojnika. Czas posiedzenia przy wodzie i paluszkach, w wygodnych fotelach w klimatyzowanej sali sesyjnej wyposażonej w multimedialne środki wspomagania komunikacji pomiędzy radnymi powinien być tylko krótkotrwałym epizodem służącym wymianie poglądów i podejmowaniu decyzji. Można to zrobić siedząc na kuchennym taborecie. Praca radnego samorządu terytorialnego, w moim przekonaniu, opiera się na badaniu potrzeb i oczekiwań mieszkańców, na zestawianiu ich z możliwościami Miasta i służb będących w dyspozycji Zarządu. Na pełnieniu roli pośrednika pomiędzy mieszkańcami będącymi w określonym dyskomforcie a organami Rady mogącymi przeciwdziałać złu.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W Radzie Miejskiej Wrocławia pracowałem w komisjach do spraw: oświaty, zagospodarowania przestrzennego, samorządu osiedlowego, bezpieczeństwa, a w Sejmiku Wojewódzkim w komisjach: polityki społecznej, zdrowia i rodziny, uchwałodawczej, przestrzegania prawa i bezpieczeństwa.

Prace komisji, w których przyszło mi pracować, przebiegały według obowiązujących od zawsze reguł – przynajmniej dla mnie. Duma mnie rozpiera, kiedy pomyślę o Komisji Rozwoju Przestrzennego i Architektury. Przez dwie kadencje byłem jedynym jej członkiem nieposiadającym dyplomu urbanisty lub architekta. Mój głos pedagoga społecznika i działacza (zwróć uwagę – człowieka utożsamianego z lewicą) w czasie posiedzeń był słuchany i często uwzględniany. Zdarzyło się, że za moją przyczyną kilka projektów uchwał wycofano lub dokonano w nich daleko idących poprawek. Członkowie tej komisji byli pozytywną elitą pośród ogółu radnych. Dumny jestem, że byłem wśród nich.

Dobrze wspominam Komisję Oświaty. Zrobiliśmy kawał dobrej roboty. Chociaż zdarzył się pewien incydent. Mianowicie, byłem członkiem komisji konkursowej wybierającej dyrektorów szkół podstawowych. Wszystko było w porządku do czasu, kiedy zorientowałem się, że uczestniczę w farsie przygotowywanej dla mnie i kandydatów na dyrektorów, którzy uwierzyli w uczciwość intencji Urzędu Miejskiego. Wytrzymałem kilkanaście tzw. konkursów. Dyrektorami zostawali przeciętni nauczyciele, ale zasłużeni dla „Solidarności" lub Kościoła, co w czasie swobodnej wypowiedzi konkursowej mocno podkreślali. Kwalifikacje, predyspozycje, wiedza, doświadczenie, koncepcja zarządzania szkołą nie miały tu znaczenia. Postanowiłem zaprotestować i przerwać robienie sobie żartów z instytucji konkursu i w ogóle z oświaty. Wystąpiłem podczas sesji z informacją, jak przebiegają konkursy na dyrektorów i poprosiłem o zaprzestanie typowania mnie do składu komisji z tej przyczyny, że nie chcę swoim podpisem firmować wyborów, które w rzeczywistości są lokowaniem partyjnych/związkowych wskazańców na stanowiskach ważnych dla wrocławskiej oświaty. Mimo wieku i doświadczenia, naiwności mi nie brakowało. W normalnych warunkach, w normalnym kraju, po takim wystąpieniu spadłaby co najmniej jedna głowa. Moja, jeśli mówiłem nieprawdę, albo organizatora konkursu. Nic z tego. Moja prośba o niewpisywanie na listę komisji konkursowej zostało przyjęta ze zrozumieniem i z uznaniem. Reszta była O.K.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W czasie czterech kadencji sprawowania funkcji radnego (osiedle, 2 x miasto i Sejmik) ani przez chwilę klub radnych nie był mi do niczego potrzebny. Dwie pierwsze kadencje funkcjonowałem bez klubowego zaszufladkowania i ten okres działalności samorządowej wspominam najlepiej. Dwie ostatnie kadencje byłem członkiem klubu i miałem okazję dwa albo trzy razy doświadczyć tzw. dyscypliny klubowej. Wtedy otwarcie mówiłem, dziś to powtórzę, że zarządzanie przez partyjnego bonzę klubowej dyscypliny głosowania jest obdzieraniem działacza (aktywisty samorządowego) z człowieczeństwa i z tego, co jest istotą jego społecznego działania.

Z mojej wieloletniej obserwacji wynika, że kluby radnych potrzebne są przede wszystkim centroprawicy i ugrupowaniom stojącym jeszcze dalej na prawo od centrum. W pojedynkę bowiem nie można fałszować historii, robić przewrotów, przejmować majątku komunalnego, manipulować opinią, załatwiać totumfackim stanowisk, przeciwstawiać się zdrowemu rozsądkowi, itd. (psychologia społeczna). W grupie można nakręcać spiralę nienawiści do innych grup społecznych lub pojedynczych ludzi.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Wiem, że są radni, dla których fakt posiadania mandatu jest wystarczająco satysfakcjonujący. Mieszkańcy nie są im do niczego potrzebni, a uczestnictwo w obchodach jubileuszy, wernisażach, uroczystych podsumowaniach, dziękczynnych koktajlach, jest tylko dopełnieniem należnego im hołdu. Można je wyliczać długo.

Jeśli radny jest w stanie pokazać wydarzenie nadzwyczajne, tzn. wskazać zdarzenie, które jest wydarzeniem, to znaczy, że przed tym zdarzeniem zaistniało coś, czego radny/radni nie dostrzegli lub nie przewidzieli, a samo wydarzenie jest leczeniem lub naprawianiem zła wcześniej powstałego.

Wszystkie inne wydarzenia w postaci otwarcia obiektów szczególnego znaczenia (ulic, mostów, lotniska), konferencji lub festiwali są konsekwencją mrówczej pracy całej Rady Miejskiej, chociaż wkład pracy poszczególnych jej członków wcale nie musi być równy.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Z mocy ustawy z dnia 20 lipca 1983 r. komitet osiedlowy posiadał uprawnienia, o jakich rady osiedla działające na podstawie ustawy z 8 marca 1990 r. i Uchwały nr XX/110/91 Rady Miejskiej Wrocławia z 20 marca 1991 r. mogły tylko pomarzyć.

W grudniu 1990 r. uchwałą Rady Miejskiej nr XVI/95/90 w sprawie Regulaminu Organizacyjnego Urzędu Miejskiego we Wrocławiu, komitety osiedlowe zostały po cichu wyłączone z życia miasta. Jest to kolejny przykład bardzo zręcznej i skutecznej manipulacji odnowicieli spod znaku „Solidarności". Komitety osiedlowe, przynajmniej te, do których wcześniej miałem dostęp (znałem siedziby lub adresy członków), w drugiej połowie 1990 r. ograniczyły działalność do towarzyskiego wsparcia ludzi z osiedla będących w potrzebie, pilotowania wcześniej rozpoczętych działań niewymagających zgody lub wsparcia jednostki nadrzędnej i pilnowania majątku – najczęściej telefonu.

Po burzliwych dyskusjach, głównie kuluarowych w małych albo bardzo małych grupach, z pewnymi przeszkodami udało się utworzyć Komisję ds. Osiedli, na jej wniosek uchwalić granice tychże osiedli, opracować ordynację wyborczą, jesienią 1991 r. ogłosić i przeprowadzić wybory do rad osiedlowych.

Szczęście Zarządu i całego prawicowo-liberalnego aktywu sięgnęło zenitu, bo frekwencja w tych wyborach wyniosła od 2 do 5%. Były osiedla, gdzie liczba głosujących była równa liczbie kandydatów. Będę grzeczny i powiem, że radnymi zostali mieszkańcy o bardzo słabym przygotowaniu do działalności samorządowej. I o to chodziło. Wybory do rad osiedlowych w 1995 r., jeśli dobrze pamiętam, miały wyższą frekwencję. Sukces. Stary aktyw osiedlowy (miejski i wojewódzki również), w wyniku uprawianego politycznego awanturnictwa i pisania historii Polski/Wrocławia na nowo przez aktualnych władców i ich medialnych zauszników, skutecznie został zniechęcony do działalności samorządowej i nie pojawił się ani w postaci kandydatów na radnych, ani w postaci wybierających.

Kadencję 1994-1998 w Radzie Miejskiej kończyłem w przekonaniu, że samorządność opisana w ustawie o samorządzie gminnym pod hasłem „jednostki pomocnicze" umrze sobie w ciszy i spokoju, jak pamięć o tych, którzy działali dla Wrocławia i jego mieszkańców przed rokiem 1990, czyli zanim przyszli „wybawiciele". Tylko częściowo miałem rację. Dostępne mi materiały, między innymi nowe statuty osiedli, poprawione w ostatnich kadencjach, wskazują na to, że samorządność szczebla osiedlowego zbliża się do poziomu, jaki gwarantowała ustawa z 20 lipca 1983 r. Odnoszę wrażenie, że są na niej wzorowane. Samorząd osiedlowy zrobił nikomu niepotrzebne, ponad dwudziestoletnie kółko.

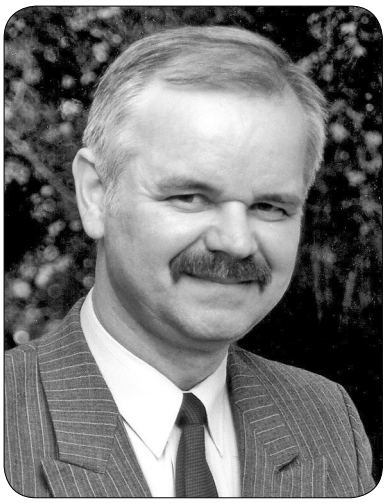
Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Możliwie jak najgorzej. Mam tytuł do tej oceny, bo mogę porównać zainteresowanie mediów przed 1990 i po 1990 roku. W okresie mojej działalności społecznej w osiedlu nie było tygodnia, żeby nie dzwonił lub przyjeżdżał ktoś z „Gazety Robotniczej" lub „Słowa Polskiego", rzadziej z Radia. Komitet Osiedlowy był źródłem informacji o Gaju. Był inspiratorem kontaktów Działów Miejskich tych gazet z podmiotami gospodarczymi działającymi na terenie osiedla bądź działającymi na jego rzecz.

Po wyborach udzieliłem kilku wywiadów. Robiłem za ciekawostkę przyrodniczą. Dziennikarzy nie interesował mój program, dorobek i planowane inicjatywy. Najważniejsze i najciekawsze było, jak to się stało, że bez poparcia „Solidarności", zostałem radnym. Próbowałem rozmowy kierować na problemy ważna dla Wrocławia i jego mieszkańców. Niekiedy mi się to udawało, co nie znaczy, że w wyniku tych rozmów ukazał się chociaż jeden artykuł. Przyszedł czas, że ja zacząłem szukać kontaktu z mediami. Zwłaszcza przed pierwszymi w mieście wyborami do rad osiedli.

Wybór rad osiedlowych, warunki, w jakich prowadzą swoją działalność, jakość ich pracy, środki finansowe i inne problemy, z jakimi borykają się radni rad osiedlowych, to są sprawy, które leżą poza sferą zainteresowania mediów. Szkoda.





Ryszard BUBIEŃ

Radny III kadencji.
Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Wrocławskiej.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Miałem trochę czasu na przygotowanie, ponieważ w Radzie Miejskiej znalazłem się w 1998 r., a wcześniej funkcjonowałem w „Solidarności", od początku jej istnienia. Byłem w komitecie założycielskim na Politechnice, a później szefem komitetu obywatelskiego. Również od początku istnienia samorządów jestem radnym w swoim osiedlu. Do dzisiaj jestem przewodniczącym rady osiedla. Oprócz tego cały czas interesowałem się sprawami samorządowymi. Studiowałem związane z nimi ustawodawstwo. Dzięki temu osiedlowy komitet obywatelski zarejestrowałem w sądzie jako jedno z pierwszych stowarzyszeń na Dolnym Śląsku. Uważałem, że dbając o swoje najbliższe otoczenie w miejscu zamieszkania oraz w miejscu pracy, znacznie szybciej naprawimy wieloletnie zaniedbania i jakość naszego życia ulegnie wyraźnej poprawie. Taka była moja myśl przewodnia trzydzieści lat temu i jest wciąż aktualna.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Szerszymi zagadnieniami się nie zajmowałem. Nie byłem natomiast obojętny na problemy, z którymi się stykałem, np. z problemem bardzo niebezpiecznego skrzyżowania al. Kochanowskiego z ul. Śniadeckich, na którym co roku były setki wypadków.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Problemy komunalne to bardzo szerokie pojęcie. Najczęściej dotyczą one spraw związanych z majątkiem komunalnym, z budynkami, ulicami, ale także z infrastrukturą i komunikacją miejską. Zajmowałem się wieloma sprawami. Jeżeli chodzi o te najpopularniejsze, to po pierwsze, w niektórych rejonach miasta występowały problemy związane z bardzo złą nawierzchnią ulic. Pracując w zespole do spraw inicjatyw lokalnych zajmowałem się takimi właśnie sprawami. Często w skali miasta drobnymi, ale dla mieszkańców bardzo ważnymi, np. wybudowaniem jakiegoś łącznika drogowego, oświetlenia czy utwardzeniem drogi.

Na moje dyżury radnego przychodzili ludzie z różnymi indywidualnymi sprawami, którymi także się zajmowałem. Jeden z panów odwiedzał mnie dość często i skarżył się, że władze miejskie nie chcą zająć się kaczkami, łabędziami i innymi zwierzętami w parkach czy na fosie miejskiej, że niewłaściwie wyremontowano wysepkę, że kaczki będą sobie kaleczyć nogi. Z takimi rzeczami ludzie do mnie też przychodzili. Wszystkich cierpliwie wysłuchiwałem, starałem się dać im szansę. W rezultacie niektórzy z nich byli później moimi stałymi gośćmi. Tych problemów było bardzo wiele. Jeżeli chodzi o sprawy komunalne, to pracowałem również, z racji swojego zaangażowania w samorządy osiedli, w Komisji ds. Osiedli. Tutaj też występowały różne konkretne, ludzkie problemy. Czasami nie tak bardzo istotne, łatwe do rozwiązania, a czasami poważniejsze.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Ponieważ byłem szefem Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych, to zajmowałem się przede wszystkim problemami ochrony zdrowia i pomocą społeczną, również od strony organizacyjnej i formalnej. Myślę, że w tamtej kadencji udało nam się zrobić parę dobrych rzeczy, m.in. zlikwidować tradycyjne domy dziecka i zastąpić je rodzinnymi. To była chyba najgłośniejsza sprawa. Byliśmy za to bardzo mocno krytykowani przez niektórych przeciwników tej reformy, wywodzących się ze starych struktur. Można powiedzieć, że Wrocław stał się pionierem, miastem zdecydowanie przodującym w tej dziedzinie w Polsce. Rodzinnych domów dziecka powstało wówczas we Wrocławiu ponad dwadzieścia, podczas gdy w całej Polsce było może sto kilkadziesiąt, a w Warszawie tylko jeden. Staraliśmy się także stwarzać dzieciom i młodzieży warunki do spędzania wolnego czasu, poprzez współtworzenie czy też pomaganie w tworzeniu świetlic osiedlowych. Powstało ich wiele. Później już rozwijały się z rozpędu, teraz jest ich około siedemdziesiąt, a może więcej. W każdym razie tworzenie świetlic oraz klubów seniora, które do dzisiaj funkcjonują, uważam za nasz sukces. Niektóre bardzo się rozwinęły. Powstał nawet telewizyjny klub seniora. Osoby, z którymi kiedyś współpracowałem, teraz go prowadzą.

Pamiętam, że bardzo poważnym wyzwaniem tamtych czasów był problem przekształceń w ochronie zdrowia, który teraz powraca w skali całego kraju. Miastu nie podlegają szpitale, tylko przychodnie. Przygotowaliśmy całą procedurę i warunki do tzw. prywatyzacji pracowniczej przychodni, nie kapitałowej. Miała ona wielu przeciwników. Dzięki uchwale, którą przygotowaliśmy, po szerokich, szczegółowych konsultacjach ze wszystkimi środo-

wiskami, pracownicy niektórych przychodni podjęli decyzję o prywatyzacji. Ci, którzy dobrze, solidnie do tego podeszli, odnieśli sukces. Niektóre z tych przychodni świetnie funkcjonują. Natomiast tam, gdzie to zaangażowanie było nie takie, jak być powinno, gdzie pracownicy nie skorzystali z pomocy specjalistów, tylko wzięli na siebie zarządzanie, nie mając odpowiedniego przygotowania, tam, niestety, to się nie powiodło. Myślę, że zrobiliśmy wszystko, żeby było jak najlepiej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Szczerze mówiąc nie pamiętam. Myślę, że niepowodzenia są zazwyczaj związane z opóźnieniem realizacji czegoś ważnego lub złym wykonaniem. Ponieważ ja nie zajmowałem się inwestycjami czy problemami tego typu, które, jak wiadomo, napotykają największe trudności, to trudno mi mówić o niepowodzeniach. Więcej mógłbym powiedzieć o pozytywnych rzeczach. Myślę, że wielkich niepowodzeń nie było.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Bardzo dużo współpracowałem z organizacjami oraz instytucjami tego typu. Z wieloma do dzisiaj współpracuję. Sam zaczynałem działalność w takich organizacjach i nadal w nich jestem.

Po zakończeniu kadencji, kiedy przestałem pełnić funkcję w Radzie Miejskiej, wspólnie z kolegami postanowiliśmy nie zmarnować naszego dorobku i nie zrywać kontaktów z ludźmi, z którymi współpracowaliśmy. Założyliśmy Ośrodek Inicjatyw Obywatelskich, który miał za zadanie pomagać szczególnie w nowych inicjatywach, w zakładaniu organizacji świeżym społecznikom, nie mającym doświadczenia. Udało się to jakoś zorganizować. Co pewien czas odbywały się spotkania liderów tych organizacji. Myślę, że to przyniosło dobre owoce. Teraz już się tym mniej zajmujemy, ale jeszcze czasami dzwonią do mnie osoby, które znają mnie z wcześniejszego okresu, z jakimiś problemami. Wtedy staram się im pomóc. Jestem przesiąknięty działalnością społeczną.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W moim przypadku ten wpływ był bardzo duży, przede wszystkim dlatego, że miałem z nimi częsty kontakt. Z jednej strony, byli to ludzie niezaangażowani w jakiejś organizacji, czyli tzw. zwykli mieszkańcy, którzy przychodzili do mnie z własnymi problemami, a z drugiej, miałem dużo kontaktów ze społecznikami zorganizowanymi, z różnych obszarów miasta, zajmującymi się różnymi dziedzinami codziennego życia w mieście. Miało to na mnie duży wpływ, ponieważ podsuwali mi oni różne problemy, a także pomysły, którymi warto było się zająć. Było to niezwykle pomocne, więc oceniam to bardzo pozytywnie, chociaż zabierało dużo czasu; żeby wysłuchać, przedyskutować. Byłem od świtu do nocy zajęty.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Muszę powiedzieć, że stosunki te były bardzo dobre. Boleję, że teraz takie dziwne rzeczy się dzieją. Występują jakieś konflikty pomiędzy klubami, między prezydentem a partiami politycznymi.

W III kadencji, na przełomie wieków, takich tarć nie było. Była bardzo dobra współpraca. Oczywiście, były różnice polityczne wygłaszane czasami, ale jeśli chodzi o współpracę merytoryczną, nie było większych napięć i oceniam to bardzo pozytywnie, szczególnie teraz z perspektywy czasu.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Była naprawdę bardzo dobra. Nie mam żadnych krytycznych uwag dotyczących tej współpracy.

Nie wiem, jak to teraz wygląda, bo nikogo się nie pytałem, ale wtedy była naprawdę świetna współpraca.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W III kadencji, kiedy ja byłem w Radzie, wyremontowano salę sesyjną. Unowocześniono ją, chociaż nie do końca. Osobiście wnioskowałem, żeby wprowadzić trochę więcej elektroniki.

Może to wynikało także z mojego zawodu, jestem elektronikiem. Zabiegałem wówczas o wykonanie w sali sesyjnej instalacji umożliwiających podłączenie do sieci Urzędu Miejskiego komputerów osobistych, elektroniczne liczenie głosów. W tamtych czasach panie z Biura Rady liczyły podniesione ręce. Na niektórych sesjach takich głosowań było kilkaset. Naprawdę było tak dużo, bo np. były ogłaszane konkursy na dyrektorów we wszystkich szkołach podstawowych we Wrocławiu i w każdym była kilkuosobowa komisja. Więc tych głosowań była ogromna liczba. Albo np. głosowanie nad kandydatami na ławników. Również były ich setki. To po prostu było dość mechaniczne, ale uciążliwe. Dlatego wydawało mi się, że dobrze by było to usprawnić, aby zaoszczędzić trochę czasu. Oczywiście wiązało się to z wydatkami. Później te udogodnienia zostały zrealizowane. Mimo to uważam, że wcześniej warunki pracy radnego były bardzo dobre.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Byłem przewodniczącym Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych, wiceprzewodniczącym Komisji Sportu i Rekreacji. Pracowałem w Komisji ds. Osiedli, a także w Komisji Nominacyjnej i w zespole do spraw inicjatyw lokalnych. Trochę wbrew regulaminowi. W zbyt wielu komisjach pracowałem, ale jakoś nikt mnie z tego powodu nie prześladował. Komisja Zdrowia i Spraw Socjalnych była najliczniejszą komisją w Radzie. Było w niej niewiele osób zawodowo związanych z ochroną zdrowia, ale generalnie skład był bardzo dobry. Mieliśmy w komisji trzy osoby spoza Rady.

Wtedy była jeszcze możliwość powoływania ekspertów. Czasami zajmowaliśmy się nawet problemami, które nie były w kompetencjach Miasta, ale zależało nam, aby poprawić warunki funkcjonowania ochrony zdrowia w mieście, np. pomagaliśmy szpitalom, które podlegają pod samorząd województwa. Bardzo pozytywnie oceniam współpracę w tej komisji. Jeśli chodzi o Komisję Sportu i Rekreacji, to też było sporo pracy. Jeździliśmy, oglądaliśmy i dyskutowaliśmy na temat obiektów miejskich umożliwiających uprawianie sportu i rekreacji. Wtedy większość z nich była bardzo zaniedbana, w bardzo złym stanie technicznym. Zabiegaliśmy, aby to poprawić. Spowodowaliśmy pewne zmiany w procedurach dotyczących przygotowania remontów i nowych inwestycji drogowych, które wymagają uwzględnienia ścieżek rowerowych. Oczywiście były też problemy związane z funkcjonowaniem konkretnych klubów sportowych czy pewnych sekcji, ale wtedy nie było możliwości, aby Miasto angażowało się finansowo we wspieranie prywatnych spółek sportowych. Osobiście ubolewam, że niektórych obiektów sportowych użyteczności publicznej nie udało się wtedy unowocześnić, wyremontować. Większość pieniędzy szła na duże inwestycje, np. halę „Orbita", a nie było na te mniejsze. To się nam właśnie nie udało, chociaż np. kąpielisko „Morskie Oko" zostało wyremontowane i wszyscy z tego powodu byli bardzo zadowoleni. Najbardziej mnie bolało to, że młodzi ludzie mieli mocno ograniczony dostęp do obiektów sportowo-rekreacyjnych. Był to główny problem. Każdy wie, że młodzież potrzebuje ruchu, sportu. Z jednej strony, istniały duże obiekty, takie jak Stadion Olimpijski, a z drugiej, były one niedostępne dla młodych ludzi z powodu barier finansowych.

Jeśli chodzi o sprawy osiedlowe, to było bardzo dużo różnych problemów, o których już wcześniej mówiłem. Część z nich udało się rozwiązać. Czasami występowały bardzo ostre konflikty pomiędzy mieszkańcami. Grupy zwalczających się osób uniemożliwiały racjonalne rozwiązanie problemów osiedla, które ciągnęły się w nieskończoność.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Mam pozytywne doświadczenia. Dzięki temu, że były kluby, w jednym z nich byłem wiceprzewodniczącym, mogliśmy przeprowadzać w gronie klubowym szczegółowe, merytoryczne dyskusje na temat konkretnych projektów uchwał, a także wniosków oraz inicjatyw.

Zapraszaliśmy autorów i ekspertów. Dzięki temu na sesje Rady Miejskiej szliśmy przygotowani. Nie mieliśmy wątpliwości. Wiedzieliśmy, jak głosować. Uważam, że było to pozytywne.

Gdy były jakieś bardzo ważne głosowania, wymagana była dyscyplina klubowa. Gdy dotyczyło to jakiejś sprawy trudnej, kontrowersyjnej, kiedy zdania były podzielone, na posiedzeniu klubu większością głosów decydowaliśmy o sposobie głosowania na sesji Rady. Działanie klubów oceniam pozytywnie, bo naprawdę wszystko mogliśmy dokładnie przeanalizować i przy okazji się podszkolić. Radny nie zna się na wszystkich zagadnieniach, dziedzinach, a na takim spotkaniu dyskutowane były problemy z różnych dziedzin. Jako szef Komisji Zdrowia nie zajmowałem się problemami komunikacyjnymi, a na zebraniu klubowym mogłem się wszystkiego dowiedzieć od kolegów, którzy pracowali w Komisji Komunikacji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Zależy, o jakiego typu wydarzenia chodzi. Spektakularne, przyjemne, to na pewno związane ze świętowaniem tysiąclecia Wrocławia. Z tej okazji było sporo wydarzeń, wizyty wielu wyjątkowych osób, bezpośrednie kontakty z nimi. Było to na pewno coś, co się pamięta.

W III kadencji nie było wielkich uroczystości związanych z uruchomieniem wielkich inwestycji. Pamiętam otwarcie przepompowni ścieków na Janówku. Teraz znacznie częściej oddaje się do użytku różne miejskie obiekty. Wtedy było znacznie mniej pieniędzy na takie cele.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radzie osiedla działam od początku jej istnienia. Wcześniej byłem przewodniczącym komitetu obywatelskiego, a później, gdy powstały możliwości, to oczywiście zajmowałem się organizowaniem samorządu w swojej okolicy, a następnie współpracą ze społecznikami w całym mieście. Wiosną 1996 r., mając już pewne doświadczenie, postanowiliśmy z kilkoma kolegami zorganizować społeczników z całego miasta przed wyborami do rad osiedli, które odbywały się w czerwcu. Powołaliśmy komitet wyborczy Solidarna Koalicja „Nasze Osiedle". Nazwa została wybrana w wyniku głosowania. Było wiele pomysłów, ale ta nazwa uzyskała najwięcej głosów i pod tym szyldem wystartowaliśmy w wyborach do rad osiedli. Zdobyliśmy prawie czterysta pięćdziesiąt mandatów. Później współpracowaliśmy ze sobą cały czas.

Z tymi samorządami jestem związany do dzisiaj. Po raz kolejny jestem przewodniczącym Rady Osiedla Zacisze-Zalesie-Szczytniki. Muszę powiedzieć, że, niestety, zainteresowanie samorządami osiedlowymi w ostatnich latach bardzo zmalało. Widzę tu kilka przyczyn. Młodzież nie bardzo chce się angażować w taką działalność. Sądzę, że również ze względu na to, co widzi w mediach czy czyta na temat zachowania polityków. Młodzi ludzie mają również różne problemy życiowe. Muszą walczyć o byt, o mieszkania, itd. W związku z tym, dominują w tych samorządach ludzie w zaawansowanym wieku, często już emeryci, którzy mają więcej czasu i mniej obowiązków osobistych, domowych. Drugą przyczyną jest brak kompetencji rad osiedli.

W kadencji, o której rozmawiamy, czyli na przełomie wieków, w komisji do spraw osiedli opracowaliśmy nowe rozwiązania dotyczące funkcjonowania samorządów osiedlowych, w oparciu o doświadczenia innych miast w kraju

i za granicą. Byłem w to bardzo zaangażowany. Nawet napisaliśmy książeczkę na ten temat. Próbowaliśmy te rozwiązania wdrożyć, ale niestety, nie uzyskało to poparcia większości i leżą one do dzisiaj w szufladach. Znowu pojawiają się głosy, żeby reformować samorządy osiedli. Jeżeli działacze osiedlowi nie mają praktycznie żadnych kompetencji, oprócz wyrażania opinii na temat przydzielania koncesji na sprzedaż alkoholu, to się zniechęcają. Powstają jakieś inicjatywy, ale działacze nie są w stanie ich wdrożyć, bo nie liczy się z nimi władza wyższego szczebla. Mamy przykłady miast, gdzie wygląda to inaczej, np. w Krakowie. Tam samorząd osiedla ma konkretne uprawnienia, przynajmniej w sprawach dotyczących np. mienia komunalnego na ich terenie. Mają jakieś funkcje kontrolne i środki finansowe na realizację tych zadań, nie dwadzieścia parę czy trzydzieści tysięcy złotych na rok, a kilka milionów.

To nam się właśnie nie udało. To jest odpowiedź na wcześniej zadane pytanie dotyczące niepowodzeń.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie, moim zdaniem, zawsze było duże. Miałem częste kontakty z mediami, z dziennikarzami. Często mnie wypytywali o różne rzeczy. Wydzwaniali, chcieli się dowiedzieć, co zostało ustalone, jaka jest moja opinia, itp. Z tego, co obserwuję teraz, bo codziennie czytam gazety, słucham i oglądam lokalne wiadomości, to widzę, że jest ono bardzo duże. Chociaż pewnie byłoby lepiej, gdyby było większe zainteresowanie pozytywnymi aspektami tej działalności niż negatywnymi. Nie podoba mi się to, że media żyją z sensacji, a nie promują pozytywnych zjawisk. Wytyka się ciągle błędy, negatywne zdarzenia, a nie pokazuje się dobrych przykładów i to, niestety, też niekorzystnie wpływa na młodsze pokolenia, o czym wcześniej mówiłem. Zniechęca je do angażowania się w sprawy społeczne.



Urszula BUKAŁA

Radna II kadencji.
Absolwentka Instytutu Filologii Angielskiej, nauczyciel akademicki w Studium Języków Obcych Politechniki Wrocławskiej.

Czy Była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Zostałam wybrana do Rady Miejskiej drugiej kadencji z okręgu Śródmieście II (Ołbin, Nadodrze), gdy doświadczenie działania odrodzonego samorządu w Polsce było stosunkowo krótkie. Moja wiedza pochodziła w dużej części z lektur anglojęzycznych dotyczących działania samorządu w krajach demokratycznych. Jako sympatyk ówcześnie działającego Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy, które zgłosiło moją kandydaturę w koalicji Nasz Wrocław, uczestniczyłam też w szkoleniu dotyczącym samorządu i warunków rozwoju przedsiębiorczości organizowanym we Wrocławiu przez działaczy Polonii belgijskiej.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Do czasu powstania samorządów w 1990 r. nie angażowałam się w sprawy miasta.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Zajmowałam się problemami oświaty oraz promocji miasta. Na początku lat 90. istniała tendencja do zamykania małych szkół, zarówno podstawowych, jak i gimnazjów. Nasz klub wielokrotnie temu się przeciwstawiał, pamiętam np. batalię o Gimnazjum nr 14 przy Podwalu. Uważałam, że mniejsze szkoły (tzn. poniżej 500 uczniów) zdecydowanie lepiej realizują funkcje wychowawcze. Zadaniem szkoły nie jest wyłącznie kształcenie. Starałam się również zapobiec ograniczeniu finansowania aktywności sportowej w szkołach; referowałam pierwszy projekt uchwały o ograniczeniu spożywania alkoholu w miejscach publicznych.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Sukcesem było wprowadzenie przepisów ograniczających spożywanie alkoholu w miejscach publicznych. Wprawdzie referowany przeze mnie projekt został odrzucony – z przyczyn nie merytorycznych, ale personalno-partyjnych, ponieważ byłam przedstawicielką mniejszego klubu – sprawa została jednak nagłośniona i niedługo później identyczna uchwała została przyjęta. Sukcesy przyniosły również interwencje w moim okręgu wyborczym,

które doprowadziły do remontów i zagospodarowania podwórzy w zaniedbanych kamienicach komunalnych oraz instalacji sygnalizacji świetlnej przy placu Strzeleckim.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Według mnie, słabą stroną Rady był brak przemyślanej polityki wobec rozwijającej się drobnej przedsiębiorczości w naszym mieście, z czym związane było dopuszczenie do powstania zbyt dużej liczby hipermarketów. Z powodu błędów w polityce lokalowej ucierpiały również prestiżowe instytucje kulturalne, jak np. księgarnia Ossolineum. Brak sensownej polityki w stosunku do lokalnej przedsiębiorczości był powodem mojego wycofania się z Komisji Promocji Miasta.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Nie miałam bliższych kontaktów ze stowarzyszeniami czy innymi organizacjami pozasamorządowymi.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność?

Podczas kadencji utrzymywałam stały kontakt z moimi wyborcami. Spotkania odbywały się wówczas przy parafii św. Bonifacego, dzięki uprzejmości ks. kanonika Wojciecha Tokarza. Miałam więc wiedzę o potrzebach mieszkańców w moim okręgu wyborczym, dotyczących zwłaszcza stanu mieszkań komunalnych oraz infrastruktury komunikacyjnej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Współpraca z Zarządem Miasta i Urzędem Miejskim układała się dobrze. Dotyczyło to również interwencji w sprawach powierzonych mi przez wyborców: niekiedy interwencje musiały być powtarzane, ale prawie zawsze przynosiły skutek.

Jak układała się współpraca Pani z Biurem Rady Miejskiej?

Układała się bardzo dobrze.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnej?

Warunki pracy radnych były dobre. Istniejąca wówczas infrastruktura techniczna była optymalnie wykorzystana.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracowałam w Komisji Oświaty, a do pewnego momentu również w Komisji Promocji Miasta.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Przez całą kadencję należałam do klubu Nasz Wrocław, z którego listy zostałam wybrana. Kluby radnych są potrzebne. Dyskusje powinny jednak dotyczyć rzeczywistych różnic poglądów. Niestety, w pracy Rady nieraz bywało, że projekt uchwały był odrzucany w głosowaniu tylko i wyłącznie dlatego, że referowała go osoba z innego klubu. Często z tej tylko przyczyny odrzucano inicjatywy klubu Nasz Wrocław.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

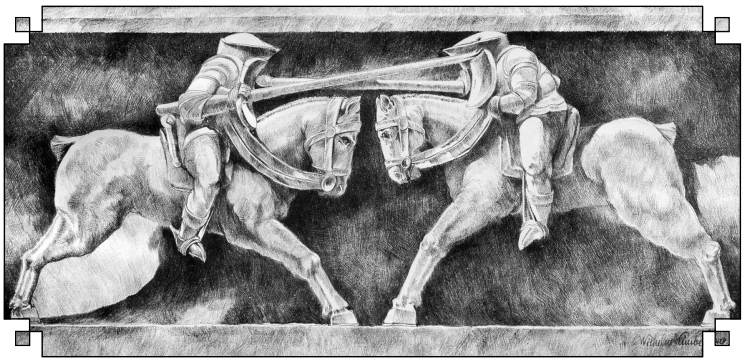
Najbardziej zapisała mi się w pamięci wizyta Ojca Świętego w ratuszu w 1997 r., która objęła również momenty mniej oficjalne. Razem z kolegami z klubu uzyskaliśmy możliwość krótkiej rozmowy z Ojcem Świętym. Wręczając kwiaty gorąco poprosiłam o błogosławieństwo dla radnych i naszego miasta.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Osobiście nie byłam w radzie osiedlowej, ale miałam kontakty z radnymi osiedlowymi. Ich działania oceniam pozytywnie; szczególnie w zakresie zwiększenia bezpieczeństwa pieszych w poszczególnych osiedlach oraz zagospodarowania terenów zielonych i rekreacyjnych (m.in. place zabaw dla dzieci).

Jak ocenia pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i samorządu?

Lokalne stacje radiowe, telewizja i prasa, niestety, nie wykazywały się obiektywizmem. Często pomijały informacje o inicjatywach mniejszych klubów w Radzie, poświęcając uwagę prawie wyłącznie dominującemu klubowi Wrocław 2000.





Jan CHMIELEWSKI

Radny II - V kadencji.
Poseł na Sejm RP III kadencji.
Absolwent Wydziału Mat. Fiz. Chem. Uniwersytetu Wrocławskiego, fizyk.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na ten temat? Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Uważam, że tak. Startowałem do Rady Miejskiej Wrocławia od II kadencji. W 1994 r.

NSZZ „Solidarność" Region Dolny Śląsk zaproponowała mi start w wyborach w grupie „Nasz Wrocław". Ponadto miałem poparcie Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", który powstał i działał przy mojej parafii pw. św. Elżbiety przy ul. Grabiszyńskiej 103 i liczył około 100 osób. W ramach przesłuchań kandydatów na radnych uzyskałem bardzo dobre wyniki i zostałem kandydatem „Naszego Wrocławia".

Już wówczas pojawiły się konkretne sprawy i problemy do rozwiązania. Dotyczyły one spraw polityki społecznej oraz rozwoju infrastruktury w naszym mieście. Oprócz swego wykształcenia uniwersyteckiego (fizyka doświadczalna i pedagogiczna), ukończyłem podyplomowe studia na Politechnice Wrocławskiej z zakresu technologii elektronowej oraz Archidiecezjalne Studium Teologiczne w zakresie teologii rodziny, a w 2005 r. podyplomowe studia „Zarządzanie bhp" na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Miałem doświadczenie, będąc zaangażowany w poradnictwie rodzinnym, grupie charytatywnej i w radzie parafialnej przy parafii rzymskokatolickiej pw. św. Elżbiety we Wrocławiu przy ul. Grabiszyńskiej 103.

Byłem też ekspertem w Zespole Synodu Archidiecezji Wrocławskiej ds. Rodziny, a od 1990 r. współorganizowałem letni wypoczynek dzieci i młodzieży (także dla polskich rodzin ze wschodu) w parafialnych ośrodkach charytatywnych. Uczestniczyłem także w 1989 r. w tworzeniu kuchni charytatywnej przy naszej parafii, która działa również obecnie i to we wszystkie dni tygodnia, łącznie ze świętami i niedzielami. Nabyłem również doświadczenie w komisji zakładowej NSZZ „Solidarność" przy Politechnice Wrocławskiej (Instytut Technologii Elektronowej I-25). Byłem także w 2007 r. prelegentem na IV Światowym Kongresie Rodzin.

W zakresie szerzej pojętej polityki społecznej pewnie jeszcze by coś się znalazło, np. systematyczne pisanie do naszego pisma parafialnego „Jak być człowiekiem". Byłem też w grupie współorganizatorów pierwszej pielgrzymki z Warszawy do Częstochowy w 1981 r., a także kolejnych.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Radnym Rady Miejskiej Wrocławia jestem od 1994 r. do chwili obecnej, tj. przez kolejne cztery kadencje. Zawsze byłem członkiem komisji odnoszącej się do problematyki Rodziny, Zdrowia i Spraw Socjalnych oraz Komisji Komunikacji. Przez jedną kadencję byłem w Komisji Infrastruktury, a przez dwie kadencje także w Komisji Ochrony Środowiska. Jako radny Rady Miejskiej Wrocławia byłem członkiem Komisji Polityki Społecznej w Związku Miast Polskich. W obecnej V kadencji Rady Miejskiej Wrocławia jestem także członkiem Komisji Rewizyjnej.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Podczas moich kadencji sukcesem Rady Miejskiej, oprócz podźwignięcia się po tragedii powodzi w 1997 r., było przygotowanie Wrocławia do 46. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego i wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w naszym mieście.

Osobiście bardzo się ucieszyłem utworzeniem Wrocławskiego Parku Technologicznego, ponieważ interesowała mnie ta tematyka – w komisji sejmowej prowadziłem temat parków technologicznych. Wrocław był prekursorem tego przedsięwzięcia, miał makietę i ideę, która się w pełni ziściła. To funkcjonuje i ciągle się rozwija, jest to najlepiej funkcjonujący WPT w Polsce.

Wrocław jako pierwszy w Polsce zlikwidował duże domy dziecka. Byłem wówczas szefem stałej podkomisji ds. Pomocy Społecznej w ramach Sejmowej Komisji Polityki Społecznej RP III kadencji. Współdziałałem wówczas intensywnie z Zarządem Miasta Wrocławia, szczególnie z wiceprezydentem Sławomirem Piechotą. Starałem się o właściwe umiejscowienie opieki nad dzieckiem, spowodowałem jej przeniesienie z edukacji do opieki społecznej. Ówcześnie rządzący, prezydent Zdrojewski i Zarząd rozumieli to i przekazali środki na duże mieszkania przeznaczone na rodzinne domy dziecka. Utworzono wiele rodzinnych domów dziecka, z czego przeszło 20 z nich działa do dzisiaj.

Ciągle nabiera tempa wrocławski program wsparcia dla rodzin wielodzietnych „2+3 i jeszcze więcej". Prowadzi go Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej i Wrocławskie Centrum Pomocy Rodzinie. Byłem współuczestnikiem powstawania tego programu dla rodzin wielodzietnych. To jest znakomite, taki pozytywny wizerunek wielodzietnej rodziny.

Sukcesem zakończyło się oddanie do użytku Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków w 2000 r. i obecnie trwająca konsekwentnie jej rozbudowa. Zakończono, również z sukcesem, modernizację taboru komunikacji zbiorowej, ukończono remont ul. Grabiszyńskiej od pl. Legionów do Cmentarza Grabiszyńskiego.

Z powodzeniem realizowany jest również wrocławski program wsparcia renowacji zabytków, w tym zabytkowych kościołów, oraz ambitny program rewitalizacji Wrocławia, zapoczątkowany programem remontu „100 kamienic", zmieniający oblicze naszego miasta. Sukcesem jest także otwarcie nowej siedziby Muzeum Miejskiego Wrocławia i opracowanie w 1999 r. „Polityki transportowej Wrocławia", która według mnie wymaga nowelizacji. Ponadto, dzisiaj widać, jak potrzebne było oddanie wiaduktu „Gądowianki" i remont ulicy Klecińskiej z wiaduktem nad torami kolejowymi.

Aktualnie Wrocław ma drugi, co do wielkości budżet samorządowy w Polsce.

Osobiście mam satysfakcję, że od 1995 r. Miasto włączyło się we wsparcie istniejących i później nowo powstałych kuchni charytatywnych dla głodnych, bezdomnych i innych osób będących w potrzebie. Kuchnie charytatywne realizują przecież zadanie własne Gminy. Aktualnie na to zadanie zawarte są stosowne wieloletnie umowy.

Powstał też „Raport o stanie wrocławskiej rodziny" i „Strategia rozwiązywania problemów społecznych Wrocławia". Te ważne dokumenty dla realizacji polityki społecznej Wrocławia będą wkrótce nowelizowane w oparciu o przeprowadzone w 2009 r. i 2010 r. badania socjologiczne. Cieszy też powstanie i działalność Wrocławskiego Banku Żywności.

Cieszy, tak bardzo oczekiwany przez mieszkańców, remont ulicy Grabiszyńskiej oraz współpraca z samorządem Wrocławia przy renowacji elewacji kościoła św. Elżbiety przy tejże ulicy, choć do całkowitego zakończenia prac jeszcze trochę brakuje. Cieszą nowe elewacje i remonty kamienic wraz z instalacją centralnego ogrzewania i ciepłej wody. Cieszą nowo powstałe wrocławskie kluby seniora i świetlice środowiskowe.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie udało się, chociaż było wiele dyskusji, stworzyć szybkiej kolei miejskiej, zbudować nowych przystanków i nowych podstacji. Bardzo trudno jest się dogadać z PKP, ale wcześniej czy później taka kolej musi powstać, bo to przyszłość Wrocławia.

Budujemy obwodnicę śródmiejską Wrocławia. Niepowodzeniem jest, według mnie, zatrzymanie tej budowy przez mieszkańców Wrocławia na ul. Mickiewicza.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Istnieje coroczny program współpracy Wrocławia z instytucjami pozarządowymi. Rada Miejska przyjmuje w tym zakresie coroczne sprawozdania. Wydaje się, iż jest to współpraca owocna i potrzebna, choć, niestety, z roku na rok coraz bardziej zbiurokratyzowana, i z tego względu można wiele aktywnych osób osłabić bądź zniechęcić do działania obywatelskiego. Procedury i kontrole muszą być, ale nie mogą swoim „dostojeństwem" zabijać obywatelskiej działalności.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją aktywność w Radzie?

Przekonany jestem, że ten wpływ rzeczywiście istnieje. W wielu środowiskach, w których bywam, często proszą mnie o szczegółowe informacje dotyczące aktualnych spraw oraz planowanych zamierzeń samorządu Wrocławia w różnych dziedzinach życia społecznego i różnych aspektów rozwoju naszego, coraz piękniejszego miasta Wrocławia. Wielokrotnie grupy osób proszą o komentarz do aktualnych wydarzeń.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Relacje Rady Miejskiej Wrocławia z przedstawicielami władzy wykonawczej, czyli Urzędem Miejskim, są natury formalnej, polegają na przedstawianiu merytorycznych projektów uchwał wnoszonych przez prezydenta Wrocławia lub odpowiedzi na wnoszone przez radnych zapytania, interpelacje. Są także spotkania robocze, w czasie których dyskutuje się na konkretny temat. Ponadto, dyrektorzy wydziałów, departamentów, wiceprezydenci i prezydent Wrocławia są dostępni na każdej sesji plenarnej Rady Miejskiej. Dzięki wnoszonym zapytaniom i interpelacjom radnego uzyskuję wyczerpujące informacje w danej sprawie lub o jakimś problemie, czego – niestety – nie można otrzymać poprzez krótką rozmowę telefoniczną.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Pracownicy Biura Rady Miejskiej są nastawieni na pomoc i współpracę z radnymi. Bardzo pozytywnie oceniam pracowników Biura Rady Miejskiej, w tym osoby prowadzące poszczególne komisje Rady, i to już od przeszło 15 lat.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Patrząc z perspektywy 15 lat to warunki coraz bardziej spełniają standardy. Sala posiedzeń też zmieniła się na elegantszą, bardziej nowoczesną. Dobrze się stało, że każdy radny ma swój mikrofon, który prowadzący obrady włącza lub nie. Każdy radny ma też kartę identyfikacyjną umożliwiającą głosowanie. Bieda, jeśli się jej zapomni.

Aktualnie każdy radny ma laptop i dostaje materiały, które do niedawna drukowało Biuro Rady Miejskiej, a teraz radny musi je drukować sobie sam.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracę w Komisji Rodziny, Zdrowia i Spraw Socjalnych oceniam jako ważną, z uwagi na środowisko, które reprezentuję. Pełnię tam funkcję wiceprzewodniczącego.

Jako przewodniczący Komisji Komunikacji i Ochrony Środowiska zajmuję się, oprócz spraw bieżących, problemami zgodnie z przyjętym planem pracy na dany rok.

Szczególny charakter ma Komisja Rewizyjna, która ma plan kontroli funkcjonowania samorządu w wielu aspektach, na przykładzie władzy uchwałodawczej i wykonawczej.

Radni w tej komisji, często wspierani przez ekspertów, realizują przyjęty plan kontroli w zespołach zatwierdzonych przez Radę Miejską Wrocławia.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Powołanie klubów radnych uważam za celowe, choć oznacza to dodatkową liczbę spotkań. Osoby, które razem, w pewnej zaangażowanej grupie, startowały do Rady Miejskiej Wrocławia, poprzez dyskusje między sobą, po wysłuchaniu zaproszonych gości (z Urzędu Miejskiego lub innych), mogą wypracować własne stanowisko w danej sprawie. Ponadto, zawsze warto rozmawiać, a nawet trzeba, by na sesji plenarnej Rady Miejskiej mieć stanowisko przemyślane, przedyskutowane, a nie kierować się potrzebą polityczną chwili czy emocjami.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najbardziej zapadły mi w pamięć, a także wpisały się w historię Wrocławia, takie wydarzenia, jak wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II we Wrocławiu oraz coroczne uroczyste sesje Rady Miejskiej w ratuszu w dniu Święta Wrocławia, czyli 24 czerwca.

Pamiętać należy o skoku cywilizacyjnym Wrocławia w latach 1995-2010 – to już jednak nie wydarzenie, lecz proces, w którym mam też swój udział. Ale niestety nic za darmo, bo dzieje się to często kosztem życia rodzinnego i zawodowego. Ponadto rodzina, przyjaciele i znajomi są wymagającymi cenzorami podejmowanych działań.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Niektóre rady osiedlowe działają bardzo prężnie. Z wieloma z nich, np. jako przewodniczący Komisji Komunikacji i Ochrony Środowiska czy wiceprzewodniczący Komisji Rodziny, Zdrowia i Spraw Socjalnych, spotkam się w sprawach wchodzących w zakres ich kompetencji. Trzeba przyznać, że w wielu wypadkach udaje się wiele spraw wyjaśnić lub wypracować w danej komisji Rady Miejskiej optymalne rozwiązanie dla danej społeczności lokalnej.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media interesują się sprawami Miasta, czasami jednak zdarzają się merytoryczne pomyłki lub akcent położony nie na meritum problemu. No cóż, łatwiej się wydaje opinie, a trudniej zebrać wszystkie argumenty za i przeciw. Cenię sobie zawsze opublikowanie i omówienie sprawy, bo zajęcie stanowiska, jeśli się nie zna całego zagadnienia, nie obrazuje rzeczywistego problemu.

Media uczestniczą we wszystkich wydarzeniach samorządu Wrocławia, a mieszkańcy czekają na ich obiektywną relację. I niech tak zostanie.

◇◇◇

które zmierzały do uchwalenia ustawy o samorządzie terytorialnym. Był najlepiej z nas wszystkich przygotowany. Ja się czułem nie najgorzej przygotowany, bowiem jako prawnik, historyk prawa, miałem do czynienia z samorządem na ziemiach polskich, który działał wcześniej, ale tak naprawdę to nikt z nas nie był przygotowany do pełnienia funkcji radnego. Weszliśmy do samorządu z marszu, po wyborach. Z zakłopotaniem rozglądaliśmy się. Stwierdziliśmy, że dotychczasowa struktura Rady Narodowej jeszcze żyje, bo pozostały jej pewne elementy, np. urzędnicy, którzy obsługiwali radnych Rady Narodowej i dzielnicowych rad narodowych, które funkcjonowały w mieście. Weszliśmy w tkankę, która nie przestała funkcjonować z dniem nowych wyborów i wejścia w życie nowej ustawy.

Większy kłopot mieli ci radni, którzy nie mieli do czynienia z prawem, a ich była ogromna większość, a którzy zostali wyrwani ze swojej normalnej pracy zawodowej, ze swoich środowisk. Wcześniej nie zajmowali się samorządem, bo na dobrą sprawę nie było społeczeństwa obywatelskiego.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Sprawami miasta się nie zajmowałem. Byłem aktywny inaczej, bo współorganizowałem Fundację na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową, działałem poza Uniwersytetem pomagając rolnikom „Solidarności" RI w latach osiemdziesiątych. Ówczesny system zarządzania miastem był mi zupełnie obojętny.

Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek moja działalność będzie związana z władzami miasta. Namówił mnie Leon Kieres, który tłumaczył, że jego zdaniem mam dobre zaczątki na działacza społecznego i radnego. Ja w sobie tego potencjału nie dostrzegałem. Mówił, że potrzebni są prawnicy. Był zorientowany, jak są budowane listy kandydatów na radnych i bardzo zmartwiony tym, że tak mało jest kandydatów, którzy mają przygotowanie prawnicze, a wiedział doskonale, ile będzie kwestii prawnych do rozstrzygania w tych nowych strukturach. Bał się, że Rada nie podoła obowiązkom, jeżeli w jej składzie nie będzie prawników.

8 marca 1990 r. pojawiła się ustawa o samorządzie, a już 27 maja były wybory. Nie było kiedy się czegoś nauczyć. Ta ustawa to było coś zupełnie nowego. Zrozumienie jej, zrozumienie tego, jakie stwarza ona perspektywy, było wtedy poza naszą wyobraźnią. Obowiązki, jakie na nas nakładała były zarazem możliwościami działania na rzecz miasta. Na Leona Kieresa patrzono jako na administratywistę, jako na działacza państwa obywatelskiego, promotora zmian. Miał on wielkie poczucie odpowiedzialności i strach w oczach. Wiedział, co prawda, jak działały ustrojowo rady narodowe, ale teraz trzeba było to przełożyć na zupełnie nowy model.

Ja miałem łatwiej, bo o systemie rad narodowych niewiele wiedziałem. Na nową ustawę popatrzyłem absolutnie świeżym okiem. Ogromna większość radnych tak samo. Nie zastanawialiśmy się, jak wykonywali swoją funkcję poprzedni radni w radach narodowych. Do naszej pracy w Radzie przystąpiliśmy trochę jak poszukiwacze złota. Jest dolina, płynie strumyk, podobno tutaj może być złoto... Tak więc, zupełnie surowa gleba, za plecami jakiś system, który już nie obowiązuje, my mamy poczucie odpowiedzialności za miasto, mamy je reprezentować, dbać o nie w oparciu o inne reguły gry. Te reguły określała ustawa o samorządzie terytorialnym.

Pierwsze wybory, a potem zostaje Pan wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej. Jak to się stało?

Byłem zaskoczony propozycją wejścia do prezydium Rady. Sądzę, że to za sprawą Leona Kieresa, który uważał, że w składzie prezydium powinien zasiadać prawnik.

W pierwszym okresie zajmowała nas praca nad statutem miasta. Włączyła się do tego większość radnych. Najważniejsza jednak była aktywność tych radnych, którzy byli prawnikami. Wtedy nie było tak, że Rada i Miasto ma iluś prawników, którym szkicuje się problem do rozwiązania, albo daje się im jakąś materię, którą oni przerabiają na projekt uchwały. Cały statut miasta był budowany w gronie kilku osób związanych z Radą i z Zarządem Miasta. Wiedzieliśmy, że statut uchwalony przez Radę trzeba będzie zawieźć do Warszawy, bo musi go zatwierdzić prezes Rady Ministrów. Z prof. Stanisławem Miękiszem, dr. Jerzym Barańskim prowadziliśmy rozmowy w Urzędzie Rady Ministrów z trochę przestraszonymi prawnikami premiera. To był pierwszy statut dużego miasta, ponad 300-tysięcznego, przedstawiony premierowi do zatwierdzenia. Statut zyskał akceptację, i uważaliśmy to za duży sukces. Statut był ważny nie tyle dla mieszkańców, ile dla zorganizowania wewnętrznego władz miejskich. Mówił o relacjach między Radą a organem wykonawczym, poszczególnymi wydziałami, zawierał konstrukcję wewnętrzną Rady Miejskiej, określał, ile ma działać stałych komisji. Cała procedura funkcjonowania wynikała ze statutu. Wynikało też z niego, że będą osiedla we Wrocławiu, a nie będzie dzielnic. To była pierwsza batalia na zewnątrz miasta o swój charakter, o swoją organizację, o fundament władz samorządowych. Można powiedzieć, że jest to konstytucja miasta. Ta batalia została przeprowadzona bardzo energicznie i skutecznie.

Stworzenie i zatwierdzenie Statutu to był największy sukces z okresu Pana działalności w Radzie Miejskiej?

Tak. Można tak powiedzieć, bowiem konstruowanie właściwych podstaw dla Rady, dla wykonywanych przez nią zadań, relacje między Radą a organem wykonawczym to fundament, który do dzisiaj jest taki sam. Mieliśmy świadomość, że jeżeli się pomylimy przy tworzeniu statutu, to naturalnie będzie to można zmieniać, ale skutkiem takiej pomyłki mogą być trwałe straty. Przez kolejne lata nikt nie próbował zmieniać konstytucji Wrocławia. Ze spokojem przyglądam się, że nikt nie poszukuje twórców, żeby im powiedzieć, iż byli niemądrzy.

Statut Wrocławia stał się wzorcem dla statutów innych miast. Skoro taką konstrukcję prezes Rady Ministrów zaakceptował we Wrocławiu, to dlaczego inni mieliby wymyślać coś nowego. Wszędzie są podobne zadania, podobna konstrukcja, różnią nas tylko detale, a statut nie mówi o detalach. Statut jest pogłębioną ramówką. Punktem wyjścia jest ustawa o samorządzie, która też mówi o Radzie, o zadaniach Zarządu. Statut jest pewnym uszczegółowieniem, ale bez przesady. Określa wewnętrzną konstrukcję Rady, relacje z Miastem. Utworzony został regulamin organizacyjny Miasta. Jeszcze czymś innym był regulamin Rady, który ustalał zasady funkcjonowania radnych, ich obsługę. Statut jest podczepiony pod ustawę, jest jej rozwinięciem. Poniżej statutu są szczegółowe regulacje o charakterze wewnętrznym, które mieszkańców nie interesują. To jest ten budulec wewnętrzny służący temu, aby Rada mogła wykonywać zadania ustawowe w sposób pełny.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeń miałem masę, ale z perspektywy kilkunastu lat one nie są istotne. Bolało, kiedy mnie przegłosowywano. Miałem także małe sukcesy, np. kiedy czasem coś przechodziło jednym głosem, jak np. przy herbie Wrocławia. Pamiętam, że po długich dyskusjach na placu boju pozostały dwa herby. Jeden na wzór trzynastowiecznej pieczęci z dwiema wieżami obronnymi i bramą wjazdową do miasta i drugi pięciopolowy. Zażarty bój się toczył o to, który ma być przyjęty. O ile pamiętam, był remis i decydował głos przewodniczącego obradom. Prowadziłem te obrady. Poparłem pięciopolowy. Ta połowa radnych, która była przeciwnego zdania miała do mnie żal.

Nie mam jednak poczucia porażki o charakterze strategicznym. Z perspektywy lat uważam, iż radni pierwszej kadencji byli to bardzo fajni, zaangażowani bezpośrednio, bez ukrytych konotacji ludzie, którzy mandat radnego wykonywali tak jak potrafili, ale uczciwie. To byli radni, którzy popełniali błędy, ale dlatego, że uważali, iż mają rację. Działali w najlepszej wierze. Często kłóciliśmy się, byliśmy na siebie poobrażani w trakcie dyskusji. Posiedzenia trwały wiele godzin. Były także nadzwyczajne sesje, np. gdy groził strajk komunikacji miejskiej. To był szantaż tramwajarzy – chodziło o podwyżki cen biletów, co rzutowało potem na dochody MPK. Sesja została zwołana o godz. 22 z widmem, że rano nie wyjadą tramwaje i autobusy i ludzie nie będą mieli czym dojechać do pracy.

Największym moim błędem było – forsowałem ten pomysł, chociaż to nie było obowiązkowe – utworzenie Komisji Rewizyjnej w Radzie Miejskiej. Byłem tak naiwny, że chciałem, aby weszli do niej ci trzej radni, którzy byli w mniejszości, bo nie należeli do Komitetu Obywatelskiego. Doradzano mi, żeby to poszło normalnym tokiem i jeżeli ta komisja ma już koniecznie być, to niech będzie normalnie zbudowana. Powiedziałem: nie, mają być ci, którzy są w opozycji do nas. Niech nam patrzą na ręce. Niestety, zaproponowani przeze mnie radni nie sprawdzili się. Nie byli konstruktywni. Harcowali nie merytorycznie. Nie byli wiarygodnymi kontrolerami tego, co robi większość.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Powiem o organizacjach pozarządowych – obywatelskich. Szczerze mówiąc, w tym czasie organizacje obywatelskie, jakby *quasi*-pozarządowe, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – pożytku publicznego, sami musieliśmy zbudować, np. budując osiedla. Zachęcaliśmy ludzi, żeby chcieli głosować, a przede wszystkim, by chcieli być radnymi osiedlowymi. Organizacje pozarządowe były wtedy w powijakach. Było ich mało, prawo nie pozwalało na dofinansowywanie ich w żaden sposób. Jedyne, co można było dla nich zrobić – i to nie my Rada, lecz przede wszystkim Zarząd – to dać im jakieś pokoiki, żeby mieli jakieś siedziby, i nie traktować ich komercyjnie, żeby za te lokale nie płacili za dużo. Miasto nigdy nie rozpieszczało organizacji pozarządowych. I to dobrze. Każda musi płacić czynsz, każda musi wykazać się aktywnością, żeby być partnerem dla Miasta.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Jeżeli radny, który został wybrany, ma poczucie wstydu, to nie musi kontaktować się ze swoimi wyborcami zbyt często. Ani ich unikać, ani ich szukać. Po prostu będzie wiedział, czy jest w porządku i może mieć tylko nadzieję, że jego wyborcy też tak to ocenią. Skończył się czas bezpośrednich wieców, spotkań, manifestacji. Ludzie nie mają czasu brać w tym udziału. Oceniają naszą aktywność publiczną poprzez pryzmat mediów, dokonań, często nie personifikując tego. Często jako mieszkańcy nie mamy zielonego pojęcia jak się nazywają nasi radni. Dopiero przy kolejnych wyborach ludzie zaczynają sobie przypominać, na kogo głosowali poprzednio, np. na komitet wyborczy Dutkiewicza. I następuje weryfikacja.

Jak się układały stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To była szorstka przyjaźń, jak to powiedział jeden z polityków. Pan prezydent Zdrojewski ze swoją ekipą byli często zdegustowani, zirytowani postawą pana prof. Miękisza jako przewodniczącego Rady. Radni wymagali tego, co jest w Statucie miasta, regulaminie. Prezydent, członkowie Zarządu uważali, że utrudniamy im działanie. Chcieli wrzucać na sesje jakieś swoje projekty z dnia wczorajszego. Myśmy bronili prawa radnych do zastanowienia się nad projektami, prawa komisji do zastanowienia się i zaopiniowania, czym nieraz pan prezydent Zdrojewski i jego ludzie byli zirytowani. Ale pod wodzą prof. Miękisza twardo trzymaliśmy się tego, że stoimy jako prezydium na straży uprawnień radnych i Rady jako takiej. Dzisiaj jednak, jak sądzę, wszyscy z rozrzewnieniem wspominają tę współpracę.

Pod koniec kadencji zauważyliśmy, że z letargu budzą się inwestorzy, którzy na początku mieli w nosie władze miasta, bo byli tak przyzwyczajeni do życia w socjalizmie, do rad narodowych, które nic nie mogły – radny-bezradny, że nas na początku zlekceważyli. Nikt na nas nie naciskał, bo nikt nie zrozumiał, że mamy realne pieniądze, realne kompetencje. Jednak z miesiąca na miesiąc coraz bardziej okazywało się, że ta władza jest realna, że bez decyzji tych władz nie będzie można postawić ani budki z piwem, ani budynku, nie będzie można prowadzić legalnej działalności. To spowodowało, że inwestorzy zaczęli się zbliżać do władz, próbować oddziaływać na władzę, a co najmniej rozmawiać z tą władzą, przedstawiać swoje problemy. Bywało tak, że przychodzili do nas, do Rady. Wtedy my musieliśmy rozmawiać z Zarządem. Przepływ informacji działał w obie strony i relacje z Zarządem były bardzo aktywne, przy czym obie strony dzielnie walczyły o niezależność, o potwierdzenie swojego miejsca, żeby się nie dać zdominować. Zarząd uważał, że to on jest najważniejszy, w związku z tym trzeba go było hamować, mówiąc, że Rada nie da się stłamsić. Zadaniem prezydium Rady była obrona radnych i Rady jako instytucji.

Można to skonkludować tak: wprawdzie ustrojowo Rada jako organ uchwałodawczy jest ważniejsza, a prezydent i Zarząd to organ wykonawczy, ale tak naprawdę walka szła o to, żeby relacje były w najlepszym tego słowa znaczeniu partnerskie. Nie chcieliśmy zdominować organu wykonawczego, ale też nie chcieliśmy, aby on zdominował nas, narzucał nam swoje zdanie. My nie byliśmy fachowcami. Zarząd z każdym miesiącem coraz lepiej znał potrzeby miasta i przepisy szczegółowe, ale mogli żonglować i nas wprowadzać w błąd, bo radny jest rodzajem wolontariusza, który został powołany poprzez wybory do reprezentowania mieszkańców i nie musi się znać na tym wszystkim. Ci, którzy mieli etaty – członkowie Zarządu, dyrektorzy wydziałów – oni próbowali swoją wizję przepychać na siłę, bo radny nic nie wie, jest laikiem. Zadaniem prezydium było bronić radnych przed takim traktowaniem.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Ostoją tej współpracy od początku była pani Janina Śledzińska, która od pierwszej kadencji była kierownikiem Biura. Trochę potraciła ludzi. Po radach narodowych zastaliśmy 27 osób, co było niemożliwe do utrzymania. Nastąpiła redukcja pracowników, a więc zmniejszyła się grupa ludzi do obsługi radnych. Jednakże radni szybko dobrze się poczuli w Biurze Rady. Przychodzili tu do siebie. Bardzo pilnowaliśmy tego, żeby mieli, gdzie się spotykać, żeby w Biurze czuli się dobrze. Trzeba przypomnieć, że na początku, w 1990 r. wszyscy funkcjonowali na Nowym Targu – pan prezydent i Rada Miejska. Było tam bardzo ciasno, nie było dobrych warunków do pracy ani dla radnych, ani dla Biura. Przewodniczący Rady miał jeden pokój, w którym urzędowaliśmy we czterech. Warunki były iście spartańskie. Pani Janinka też miała mały pokoik i też nie była sama. Radni nie mieli się gdzie spotykać. Brakowało sal na posiedzenia komisji. Pamiętam, że chyba jesienią 1990 r. poprosiłem panią Janinkę o zorganizowanie wyjścia do Sukiennic. Mieściła się tam siedziba dzielnicy Stare Miasto. Nikt tam nie zaglądał. Sukiennice były martwe z punktu widzenia nowej władzy miejskiej. Wszystko się odbywało na Nowym Targu. Zapytałem, czy tam (w Sukiennicach) jest duża sala. Usłyszałem, że tak, tam jest taka duża sala, w której jeszcze do wojny odbywały się posiedzenia Rady Miejskiej, ale sala nie jest w ogóle używana od dziesiątków lat, tam odbywają się jedynie komisje poborowe. Dostaliśmy się tam jakimś bocznym wejściem. Zobaczyliśmy Sukiennice poprzedzielane dyktą i przepierzeniami. W dużej sali kotara, która omal się nie zarwała od ciężaru kurzu, przymiar do mierzenia wzrostu rekrutów, stara rozwalająca się waga i... puchy. Wtedy zapadła decyzja, która nie była wiążąca, że tu trzeba będzie stworzyć salę posiedzeń Rady Miejskiej. Zakomunikował to prezydentowi przewodniczący Rady Miejskiej pan prof. Miękisz. Oznajmił, że musimy rozpocząć remont tej sali i Rada Miejska będzie obradowała w tej sali w Sukiennicach. I tak naprawdę z niczego powstało to, co dzisiaj wszyscy znają. Była to inicjatywa nie Zarządu Miasta, lecz Rady Miejskiej i jej prezydium. Naturalnie dzięki panu prezydentowi było to możliwe do wykonania. Efekt jest taki, że odzyskaliśmy dla miasta cudowny budynek.

Jak widać, bardzo szybko uświadomiliśmy sobie i władzom wykonawczym, że trzeba przenieść siedzibę głównych władz z Nowego Targu do ratusza i Sukiennic, bo to jest naturalne miejsce dla władz miasta. Cieszę się, że pomyśleliśmy o tym tak szybko. To są takie drobne satysfakcje. Będą one różne dla różnych radnych. Jeden będzie uważał za sukces, że zlikwidowano śmierdzące autobusy, że wprowadzono katalizatory, drugi będzie uważał za sukces to, że nie kupowano wozów tramwajowych z wystającym dyszlem, trzeci to, jak usunąć liście jesienią, itd.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Podstawą była maszyna do pisania. Po pół roku zdobyliśmy pierwszego robotrona – maszynę elektroniczną, ale już z pamięcią. W połowie 1991 r. uzyskaliśmy pierwszy komputer osobisty. Pani Lidia Huzarewicz, która zaczęła pracować w Biurze Rady Miejskiej, dostała bojowe zadanie przepisywania uchwał. Praktycznie Ona tworzyła pierwszy Dziennik Urzędowy Rady Miejskiej Wrocławia, to był pierwszy w Polsce dziennik promulgujący wszystkie uchwały Rady Miejskiej. Wszystkie uchwały z poprzedniej sesji były osobno drukowane – i pani Lidia składała to na tym komputerze. Każdy radny miał komplet wszystkich podejmowanych uchwał i zarządzeń Zarządu Miasta. Uchwały, zarządzenia władz wykonawczych były dostępne dla mieszkańców, co było tym istotniejsze, że dziennikarze tego nie publikowali. Początkowo niektóre uchwały były publikowane, np. w „Wieczorze Wrocławia", „Słowie Polskim". Potem dziennikarze dali sobie z tym spokój. Tym bardziej trzeba było zapewnić dostęp do działalności uchwałodawczej Rady.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracę komisji oceniam bardzo dobrze. Moim autorskim pomysłem, niezbyt udanym, była Komisja Rewizyjna. Inne były powołane decyzją całej Rady. Z Biurem Rady staraliśmy się, żeby miały się one gdzie odbywać i żeby były dobrze obsługiwane. Każda komisja musiała mieć pracownika Biura, który robił protokół, przygotowywał materiały. Ja pracowałem jedynie w Komisji Nadzwyczajnej ds. Statutu. Działał także zespół ds. „legislacyjnych", którego byłem członkiem. Jak były kłopoty dotyczące sformułowań w projekcie uchwały lub trzeba było rozmawiać z Zarządem, negocjować, czy puścić uchwałę w takim brzmieniu, to zadaniem zespołu było dbanie, by wszystko odbywało się *de lege artis*. Do prac włączał się Leon Kieres. Często negocjowaliśmy bardzo zażarcie, czy Rada w ogóle może taką uchwałę podjąć, czy to jest poza jej kompetencją, czy Zarząd może przygotować taki projekt, czy to jest w ogóle w zakresie działania samorządu.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Zaczęło się wtedy rozmawiać o klubach, ale jeszcze nie w wymiarze politycznym. Z jednego wielkiego klubu Komitetu Obywatelskiego część ludzi przeszła do naturalnej opozycji. Z biegiem miesięcy powstała grupa radnych, którzy byli w opozycji do Zarządu. Pochodziliśmy z różnych środowisk i byliśmy akceptowani jako kandydaci na radnych przez Komitet Obywatelski Wrocławia, na czele którego stał Rafał Dutkiewicz. Dzięki panu Dutkiewiczowi, to jest mój pogląd, prezydentem został pan Zdrojewski. Mieszkańcy Wrocławia myślą, że dzisiaj dzięki Zdrojewskiemu prezydentem miasta jest Dutkiewicz. A przed pierwszymi wyborami dużo większe znaczenie miał Rafał Dutkiewicz. On rekomendował Zdrojewskiego. Mówię to bez żadnych ukrytych intencji. Po prostu tak było.

Teraz mamy upolitycznienie rad. Kluby mają wymiar *stricte* polityczny. Kiedyś miały inny. Ludzie się zrzeszali, bo się lubili, bo np. mieli taki sam pogląd na Zarząd, np. że go nie szanują i nie cenią. Obecnie to nie ma znaczenia. To już nie są relacje personalne, osobiste, lecz różne polityczne interesy. Początkowe dzielenie się radnych na kluby było raczej zjawiskiem socjologicznym, a nie politycznym.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

O Statucie miasta, nowej siedzibie Rady już mówiliśmy. Może więc tylko dwie anegdoty na koniec, z życia mieszkańców.

Bardzo starszy pan, wtedy po osiemdziesiątce, przyszedł do Rady Miejskiej – już w Sukiennicach. Usłyszałem, jak ktoś pomstuje głośno na siedzącą w pomieszczeniach Biura panią Janinę Śledzińską. Wszedłem tam. Jakiś starszy pan krzyczy na panią Janinkę, że chce się dostać do pana przewodniczącego, a jego nie ma. Poprosiłem go do siebie. Ten pan przychodził do mnie regularnie przez cały rok. Ten pan mniej więcej od 1952, 1953 r., a więc przez 40 lat, niepokoił wszystkie władze, początkowo z powodu obawy przed dokwaterowaniem do jego mieszkania sublokatora, gdyż miał nadmetraż. Aby temu zapobiec zameldował u siebie kogoś z rodziny. Ta osoba wprowadziła się do mieszkania tego pana. Kiedy przestały obowiązywać stare przepisy, sublokator nie chciał się dać usunąć. Przez 40 lat pan Józef, bez względu na system, walczył o swoje mieszkanie. Dotarł także do nas. To nie była jego pierwsza wizyta, więc zdanie miał wyrobione na temat wszystkich, i nie było ono pochlebne. Zacząłem go wysłuchiwać. Pan Józef przychodził do mnie regularnie, nastawiał kuchenny teimer na 20 min. i opowiadał o wszystkim. Zegarek dzwonił, pan Józef umawiał się na następny termin i wychodził, i tak to trwało przez rok. Jak wiadomo, wyszedłem z Rady, straciłem kontakt z panem Józefem. Minęły jakieś dwa lata. Jestem u prof. Kieresa jako przewodniczącego Sejmiku i słyszę pana Józefa awanturującego się w sekretariacie. Słyszę, jak pan Józef krzyczy: tak w tym mieście, ten wasz Kieres, on niczego nie chce słuchać, on się w ogóle ludźmi nie przejmuje. Jedynym człowiekiem z sercem jest pan przewodniczący Cybulski. O moim zakłopotaniu lepiej nie mówić.

I jeszcze jedno zdarzenie. Jest początek naszej działalności. Jeszcze na Nowym Targu. Przychodzi jakiś człowiek z białą laską. Sądzić można, iż niewidomy. Od razu w drzwiach krzyczy. Nie wiadomo, o co chodzi. Wychodzę z gabinetu zajmowanego wspólnie z prof. Miękiszem i drugim wiceprzewodniczącym Pawłem Skrzywankiem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pan koło osiemdziesiątki wydziera się na wszystkich, zaczyna nas obrażać. Prośby, żeby się uspokoił, nic nie dają. Wtedy wychodzi z gabinetu Paweł Skrzywanek, bardzo młody człowiek, zaraz po studiach, i mówi, że jeżeli się nie uspokoi, to wezwie Policję. Wyobraziłem sobie, jak następnego dnia opisze nas prasa. A ten pan odpowiada: to wezwij Policję. Paweł dzwoni na Policję, a ja już widzę nagłówki gazet. Po 15 min. przychodzi dwóch młodych, też zakłopotanych policjantów. Ten pan popatrzył, uśmiechnął się szeroko i mówi: po raz pierwszy od lat zostałem poważnie potraktowany, dziękuję. To jest autentyk. Kto by się domyślił, że temu panu do spełnienia potrzebne jest takie poważne potraktowanie?

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Mimo iż mieliśmy z nimi kłopoty uważam, iż lepiej się wywiązywali ze swojej funkcji niż dzisiaj ich następcy. Oni naprawdę siedzieli na sesjach, naprawdę się dopytywali, może niezbyt precyzyjnie i obiektywnie, ale relacjonowali to, co się na sesji działo. Pamiętam, jak po wiele godzin z notatnikami wisieli na małym balkoniku nad salą. Zapisywali wypowiedzi. Potem w prasie znajdowałem, wybiórcze oczywiście, relacje z posiedzeń Rady. Dzisiaj mieszkaniec nie dowie się z gazety niczego o planach i perspektywach. Budżet miasta interesuje dziennikarzy o tyle, czy został przegłosowany, i ewentualnie jakaś wzmianka na temat zadłużenia. Dziennikarze z różnych

powodów przestali się interesować merytorycznie, szukają tylko sensacji. Może to i dobrze. Być może doszli do wniosku, że tak naprawdę wszystko jakoś idzie w mieście, a to, co pozytywne, ich zdaniem, jest nieciekawe.

Pamiętam, jaki byłem pewnego razu przerażony. Jeden z radnych zgłosił wniosek o rozwalenie obelisku ubeków i milicjantów na rondzie Powstańców Śląskich, którzy zginęli za utrwalanie władzy ludowej. Był to rok 1990 przełom 1991. Galeria pełna. Jako historykowi zrobiło mi się nieswojo. Na obelisku było ileś nazwisk osób, których krewni zapewne żyją. Pamiętam, że prowadząc tę sesję stanąłem w oporze, mówiąc, że obelisk powinno się przekazać być może do muzeum, może na Cieszyńskiego, może na któryś z cmentarzy, być może gdzie indziej, ale nie rozwalać, nie niszczyć. Jakoś to przeszło. Po skończonej sesji pomyślałem, że już widzę nagłówki gazet jutro: Przewodniczący Rady Miejskiej Cybulski broni ubeków. Rano bałem się sięgnąć po gazetę. Niesłusznie. Rzetelnie opisano przebieg całej sprawy. A nietrudno wyobrazić sobie, jak wyglądałoby to dzisiaj.



Tomasz CZAJKOWSKI

Radny III, IV i V kadencji.
Informatyk. Przedsiębiorca.

Czy miał Pan jakiekolwiek doświadczenia w pracy w samorządzie?

Żadnych. Uczyliśmy się tego z rówieśnikami, którzy też w sporej liczbie trafili wtedy do Rady Miejskiej.

W 1993 r., w ramach protestu, bo wywodzę się z opozycji, postanowiłem zapisać się do SdRP. W latach 1988-1989 współorganizowałem strajki okupacyjne na Politechnice Wrocławskiej. Byłem sercem za tym, żeby ustrój poprzedni, PRL-owski, słusznie minął. To się stało. Moje całe życie to były kontakty z opozycją. Potem nastąpił zwrot o 180 stopni, ponieważ runęły wszystkie moje ideały solidarnościowe, to, w co wierzyłem. Dokonali tego panowie, którzy się dorwali do polityki, od Wałęsy przez całą stronę solidarnościową. Skończył się etos budowania wspólnej przyszłości, skończyły się wartości, które towarzyszyły im w czasie opozycji. Zaczęła się zwykła walka o władzę. W ramach protestu przeciwko takiemu biegowi rzeczy poszedłem na ul. Matejki i zapisałem się do SdRP. Tak zacząłem zupełnie nową kartę mojego życia.

W 1998 r. były wybory samorządowe. Wystartowałem z 3 miejsca na liście w okręgu krzyckim i zostałem radnym. Jestem nim do dzisiaj, a więc przez 12 lat.

Jak się okazało na wrocławskim przykładzie, samorząd jest silnie upolityczniony. We Wrocławiu jest to szczególnie widoczne. Wytłumaczę. Rafał Dutkiewicz bardzo dużo zyskiwał wśród wyborców właśnie z tego powodu, że był kreowany jako prezydent apolityczny; jako osoba, która ponad podziałami potrafi zyskać sobie poparcie różnych formacji politycznych, która nie angażuje się wprost w politykę, która chce służyć mieszkańcom na poziomie samorządu lokalnego. Dlatego jego wyniki wyborcze i utrzymujące się poparcie tego, co robił, były bardzo duże. Lewica, opozycja, mówiła zawsze, jest to jeden wielki mit, że są to po prostu misterne relacje polityczne, że jest to tkana równowaga polityczna w funkcjonowaniu prezydenta, że nie jest tak, jak to przedstawiały media i pijar prezydencki. W tej kadencji prezydent w końcu się opowiedział. Powiedział nawet, że zmiecie polską scenę polityczną. Co było potem, wiemy. Platforma Obywatelska, jej żelazne zastępy murem za nim stojące, od prezydenta Bogdana Zdrojewskiego, przez Stanisława Huskowskiego, przeszły na drugą stronę. Prezydent zyskał opozycję wśród tych, którzy go zawsze popierali. Wreszcie okazało się, że to jest mit, iż można apolitycznie funkcjonować w samorządzie.

Jakimi sprawami z życia komunalnego Pan się zajmował?

Po 12 latach funkcjonowania w Radzie Miejskiej jestem prawie ekspertem w kilku dziedzinach. Pierwsza moja kadencja to Komisja Sportu i Rekreacji oraz Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa. W mojej drugiej kadencji byłem przewodniczącym Komisji Infrastruktury Komunalnej i Ochrony Środowiska. Ta komisja powstała już pod nową ordynacją wyborczą i stała się superkomisją. Powstała z połączenia się czterech komisji: ds. komunalnych – infrastruktury, transportu, mieszkalnictwa i komisji ochrony środowiska. Tak więc te wszystkie cztery dziedziny to było to, czym się zajmowałem, a równocześnie miałem zaszczyt jej przewodniczyć. Byłem także członkiem

Komisji Rewizyjnej. W obecnej kadencji jestem członkiem Komisji Inicjatyw Gospodarczych i nadal Komisji Rewizyjnej.

Co uważa Pan w przekroju tych trzech kadencji za największy sukces własny i Rady Miejskiej?

Zadowolony jestem z wielu rzeczy, które udało mi się zrobić. Jedna szczególnie utkwiła mi w pamięci i do dzisiaj odciska swoje piętno na życiu miasta. Otóż, w mojej pierwszej kadencji, byłem młodym radnym z wielkim zapałem, nie widzącym barier naokoło siebie, postanowiłem przeforsować, nie wiem, czy nie pierwszy w Polsce, program, który umożliwiał wypłacenie z budżetu gminy pieniędzy na Policję i na różnego rodzaju działania prewencyjne dotyczące szeroko rozumianego bezpieczeństwa w mieście. Do wtedy prawodawstwo stanowiło, że gmina nie może sama z siebie podejmować działań, które by dofinansowywały Policję albo służby parapolicyjne. Oczekiwanie społeczeństwa było tak wielkie, potrzeby były tak duże, że trzeba było działać. Udało mi się napisać program. Namówiłem ówczesnego przewodniczącego Komisji Bezpieczeństwa radnego generała Janusza Ornatowskiego do tego, aby wsparł mnie w tym projekcie. Po wielu miesiącach pracy z przedstawicielami Policji, Straży Miejskiej, Wydziału Zdrowia, Wydziału Edukacji, Obrony Cywilnej udało się stworzyć program, który zyskał akceptację Rady Miejskiej. Było to budujące, bo wykreował to przecież przedstawiciel opozycji. Miasto zyskało możliwość dofinansowywania bardzo konkretnych, specyficznych działań, typu utworzenie specjalnego wydziału antynarkotykowego, wyposażenie go, programy prewencji szkolnej, kamery, programy osiedlowej aktywności Policji, Straży Miejskiej itd. W realny sposób przekazaliśmy na to z budżetu środki jako chyba jedyni w Polsce. Była to uchwała zatytułowana „Program poprawy bezpieczeństwa miasta na lata...” Do dzisiaj to funkcjonuje. To jest tak najbardziej namacalny sukces, efekt. Czyli, jeżeli ktoś bardzo chce, to może to przeprowadzić, nawet, jeżeli okoliczności nie sprzyjają. Niestety, najlepsze intencje towarzyszące propozycjom, które często lewica składa nawet w postaci uchwał są torpedowane przez różne mądre analizy ze strony urzędników, że to jest mniej potrzebne, a to bardziej, że mamy podobne programy, że nie ma pieniędzy itd. Na 20 składanych przez lewicę projektów uchwał torpedowane jest 19. Jeżeli tego nie zaproponował prezydent, to nie mamy o czym gadać.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

We Wrocławiu obowiązuje swoiście pojmowana poprawność polityczna. Wiąże się to z tradycjami solidarnościowymi. We Wrocławiu nigdy nie było prawdziwej równowagi pomiędzy opozycją i rządzącymi. Media kreują wizerunek Wrocławia jako miasta, w którym da się dogadać politycznie. To nie do końca jest prawda. Jakkolwiek nie ma nieporozumień na linii głównych partii politycznych, czyli PiS, PO, AWS, kiedyś UW itd., to jednak absolutnie nie ma równowagi, jeżeli chodzi o uczestnictwo w tym wszystkim lewicy. Cztery lata temu doszło do czegoś bardzo niedobrego, co będzie miało różnego rodzaju konsekwencje. Mianowicie, zawsze jest tak, również w Sejmie, że wszystkie formacje polityczne uczestniczą w gremiach typu prezydium Sejmu. Chcę powiedzieć, że dopiero w IV kadencji Rady Miejskiej wywodzący się z lewicy Władysław Gut był wybrany wiceprzewodniczącym. W prezydium Rady Miejskiej nie ma reprezentacji formacji, na którą głosowało 20% wyborców, potem trochę mniej, ale niewiele mniej. Mało tego, jest Komisja Główna, która organizuje sesje Rady Miejskiej. Tam nas również nie wpuszczono, pomimo naszych protestów. Nie było to eleganckie postępowanie i ze strony przewodniczącej Rady Barbary Zdrojewskiej, i prezydenta, który nie widział żadnej potrzeby dla pełnej reprezentacji Rady. Przejęto całość bez patrzenia się na lewicę.

Lewica ma jeszcze wiele do przepracowania. Ubolewam nad tym, że nie ma we Wrocławiu bardzo znanych nazwisk z nią związanych. Mamy nietypowy czas i we Wrocławiu, i w Polsce, i w Europie. Nie wiedzieć czemu jest odwrót od nurtu lewicowego. W czasie kryzysu lewica ma coraz mniejsze poparcie społeczne. Powinno być odwrotnie.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Podczas mojej pracy w samorządzie miałem mnóstwo kontaktów z takimi organizacjami. W 95% były to nieskuteczne interwencje. Postulaty, z którymi do nas przychodzili przedstawiciele tych instytucji, w Mieście odbijały się, jak groch od ściany. Działo się tak dlatego, że wrocławski urzędnik jest przeświadczony o swojej nieomylności. Niektórzy pracują we wrocławskim Urzędzie Miejskim 20 lat i mają utarte sposoby zachowania. We Wrocławiu, ale i w Polsce, nie ma czegoś takiego, jak odpowiedzialność urzędnika, a prezydent w ramach poprawności politycznej wtyka pod dywan, duże, mniejsze i malutkie potknięcia urzędników. Przykład: nie załatwiono do dzisiaj sprawy kupieckiej. Stowarzyszenia kupieckie przychodziły do mnie wiele razy. A to tutaj hali nie chcą pozwolić wybudować, a to likwidują kolejny bazar, a to nie ma realizacji uchwały, bo prezydent nie wykonał uchwały Rady Miejskiej dotyczącej wsparcia środowisk kupieckich. To była uchwała z 2003 r., którą zresztą współtworzyłem. Miała powstać mapa planowanych realizacji hipermarketów we Wrocławiu – to ściśle się wiąże z podejmowaniem lub nie działań przez kupców. Następny przykład, działkowcy. We Wrocławiu trwa permanentna walka z działkowcami. Nie dlatego, że działkowcy są „be”, a prezydent jest „cool”. Działkowców traktuje się jak wrzód i najchętniej by się ich wycięło. To prawda, że wiele lokalizacji działkowych nie ma żadnego sensu w nowocześnie rozwijającym się mieście, że są w centrum, na terenach planowanych dróg, autostrad, obwodnic itd., ale Miasto niewłaściwie podchodzi do kwestii działkowców nie dając alternatyw. Zrozumiałbym, gdyby urzędnik przyszedł

i powiedział tak: szanowny panie prezesie, potrzebna nam ta ziemia, o czym wiemy wszyscy. Dajemy wam świetnie przygotowaną ziemię, na obrzeżu miasta czy dzielnicy i jeszcze dopłacamy za skanalizowanie tego i za to, i za tamto. Swego czasu przygotowałem się do dyskusji na temat środowiska działkowców. Wrocław jako chyba jedyne miasto w Polsce w ogóle nie łoży na wsparcie infrastruktury na ogrodach działkowych. Wszystkie miasta wspierają działkowców, a Wrocław nie. Nie chodzi o zbuntowanych działkowców, którzy mając ustawę, która dość dobrze chroni ich interesy, mówią nie, bo nie. Problem polega na braku alternatywy i nieumiejętności dogadania się. Nieumiejętność rozmowy miejskich urzędników oraz prezydenta z różnymi grupami pokutuje konfliktami we Wrocławiu. Jak wyglądają działania urzędnicze, gdy zamyka się szkołę lub wygasza się przedszkole? Nie ma dyskusji. Nikt z Wydziału Edukacji nie idzie spotkać się z rodzicami, żeby przedstawić swoje racje: że chodzi o to, że szkoła będzie nowocześniejsza, że dwie ulice dalej będą świetne warunki itd. Jest decyzja, likwidacja i już. Urząd słabo komunikuje się z mieszkańcami.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy mają bardzo duży wpływ na moje poczynania, ponieważ to z ich inspiracji podejmowałem różne działania. Przykład: mieliśmy swego czasu totalną porażkę działań prezydenckich, jeśli chodzi o reformę ZGK-ów. Przekazano to spółkom bez przetargu, niektórzy pozarabiali miliony, a potem wylali dziecko z kąpielą, bo na samym końcu ważny był mieszkaniec miejskich kamienic komunalnych. Sensem samym w sobie była reforma – danie zarobienia paru groszy znajomym. Znajomym, bo tę reformę zaprojektował i największe profity czerpał z tego były dyrektor jednego z ZGK, reforma Oszusta, tak się mówiło, czyli Grzegorz Oszast. Ważne jest, że mieszkaniec nie był podmiotem tej reformy. Przychodzili do mnie mieszkańcy. Raz jako do szefa opozycji, bo byłem przewodniczącym jedynego opozycyjnego klubu radnych, oraz przewodniczącego Komisji Infrastruktury, która się tym zajmowała. Zdecydowałem, że stworzę punkt informacyjny. Zorganizowałem specjalistę od spraw zarządzania, specjalistę od rozliczeń mediów, prawnika, biegłą księgową. Te osoby pełniły dyżury dla mieszkańców. Zaproponowaliśmy, aby ci, którzy mają problemy z analizą swoich rachunków przychodzili po poradę. Potem zrobiliśmy zestawienie. Zgłosiło się kilkaset osób, którym udzieliliśmy porady, napisaliśmy im pisma, powiedzieliśmy, co mają zrobić itd.

Sprawy, z którymi zwracał się do mnie mieszkaniec-wyborca determinowały moje działania w Radzie Miejskiej. Nie jestem maszynką do głosowania. Jeżeli jest jakiś pomysł, to staram się dotrzeć do środowiska i zapytać, co oni na ten temat sądzą.

Jeżeli ktoś chce być aktywny, czuje misję, powołanie, widzi sens działania w samorządzie, to tak powinien postępować i postępuje. Wielu jest takich radnych. Są także tacy, że nawet jak tabuny ludzi do nich walą, to ich to nie obchodzi.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Niestety, stwierdzam, że w większości przypadków radni są maszynką do głosowania. Jest projekt, do którego większość nawet nie siada, nie wiedzą, za czym głosują. Mówię o radnych, którzy wspierają prezydenta. Podnoszą ręce, bo nie mogą nie podnieść rąk, skoro wspierają prezydenta. Teraz się trochę zmieniło, prezydent wypowiedział wojnę, więc ma opozycję w postaci PO, która go dotąd wspierała. Niektóre projekty są przynajmniej analizowane. Według prezydenta, Rada najlepiej żeby nie istniała. Kuriozalnym przypadkiem jest skandal, który był ostatnio. Ja jako radny poczułem się dyskomfortowo, ale nie wiem, jak czuli się radni, którzy wspierają prezydenta. Bodaj 28 grudnia 2009 r. była sesja budżetowa, na której radni udzielają absolutorium prezydentowi. Jeżeli udzielą absolutorium, to prezydent nadal pełni funkcję, jeżeli nie, to zaczynają się kłopoty – referenda, itd. Jest to kluczowa sesja w ramach kontynuacji zarządzania miastem przez prezydenta. 28 grudnia prezydent otrzymał absolutorium i nawet nie zająknął się na temat sytuacji związanej z budową wrocławskiego stadionu. 28 grudnia przewodniczący klubów, którzy wspierali prezydenta, czyli Barbara Zdrojewska i Piotr Babiarz otrzymują informację, żeby przyszli za 15 jedenasta następnego dnia, to prezydent im coś powie. Następnego dnia w gabinecie prezydenta czy nawet w przedsionku przewodniczący klubów dowiadują się, że prezydent właśnie wczoraj rozwiązał umowę z Mostostalem, a 15 minut później prezydent wychodzi na konferencję prasową i to samo mówi dziennikarzom. Nazwałem to skandalem. Prezydentowi Rada Miejska do niczego nie jest potrzebna, nie czuł elementarnego obowiązku, przynajmniej pod klauzulą poufności, zachowania tajemnicy, aby poinformować o swojej decyzji szefów klubów i przedstawiciela opozycji. Prezydent jest królem i on decyduje. Rada ma zatwierdzić budżet. Kolejny przykład, że we Wrocławiu te relacje są popaprane: prezydent zaczął robić bardzo niekorzystną dla miasta rzecz. Wyciąga poważne, duże sfery zarządzania miastem na zewnątrz, tworząc spółki miejskie, jak np. Euro 2012, Wrocławskie Inwestycje sp. z o. o., Wrocławska Rewitalizacja sp. z o.o., i inne. Tworzone są wirtualne budżety. Ponieważ jesteśmy na krawędzi zadłużenia takiego, że już nie możemy więcej, więc nie udziela się dotacji, które idą z budżetu miasta np. do MPK, a które obciążałyby deficyt budżetowy, lecz MPK bierze kredyt komercyjny. W sprawozdawczości budżet pozostaje na tym samym poziomie, natomiast zadłużenie *de facto* jest ogromne, jak liczyłem Wrocław ma ponad 1 miliard zł zadłużenia w tych spółkach. Prezydent nie działa jednak wbrew prawu. Inne miasta postępują podobnie. Zresztą, czym innym jest 60% zadłużenia Wrocławia, który ma ogromny potencjał finansowy sam

w sobie, a czym innym będzie zadłużenie 60-procentowe np. Bielawy. Ustawodawca powinien zmienić prawne możliwości zadłużania się. Ważne jest jednak przede wszystkim to, że prezydent pozbawił radnych nadzoru nad spółkami. Radny, nawet Komisja Rewizyjna, nie ma prawa zajrzeć np. do MPK, spółki Wrocławskie Inwestycje itd. Nie mamy możliwości skontrolowania ich, bo są to spółki miejskie. Wgląd ma tylko prezydent jako założyciel.

W Komisji Rewizyjnej powołaliśmy Zespół ds. Kontroli Procesów Nadzoru Właścicielskiego nad Spółkami Miejskimi.

Jak układała się współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Zawsze bardzo dobrze. Także z przewodniczącymi Rady, za wyjątkiem przewodniczącego z PiS Grzegorza Stopińskiego. Pracownicy Biura, ci, którzy prowadzą nam komisje są profesjonalistami.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak je Pan ocenia?

Kluby porządkują obrady podczas sesji Rady Miejskiej. Praca klubów jest pochodną zaangażowania radnych. Obecność w klubie radnych, którzy zauważają jakieś mankamenty w przedstawianych projektach nie oznacza, że klub zagłosuje przeciw. Obowiązuje poprawność polityczna. Jest tak, że dopuszcza się jakieś postękiwanie, ale przegłosowywana jest jedyna słuszna decyzja. Uzgodnienia w ramach pewnych priorytetów są ważniejsze niż zdanie poszczególnych radnych. Przychodzi szef klubu, mówi trzeba poprzeć prezydenta i to jest wiążące.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Panu pamięci?

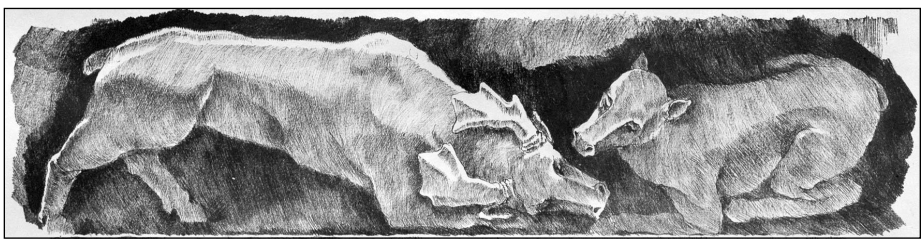
Wiele się wydarzyło. Trudno wybrać. Niektóre rzeczy mnie śmieszą, np. tacy byliśmy dumni, że prezydent wreszcie kupił nowe tramwaje. Wszyscy byli szczęśliwi, że są. Tymczasem w każdym normalnym mieście podniosłoby się larum, że nowe tramwaje kupiono dopiero po 17 latach, a na dodatek bez klimatyzacji. Media i pijar wokół prezydenta przekuwają dziwne rzeczy w jego sukces. Inny przykład: Urząd Miejski we Wrocławiu – siedziba Wydziału Komunikacji, rozbudowali wszystko, wyposażyli, tylko o parkingu przy Zapolskiej nikt nie pomyślał. O takich rzeczach się nie mówi, bo to jest mniej wygodne. Urzędnicy spaprali wszystko, co się da, jeżeli chodzi o procedury przetargowe przy obwodnicy. Mamy trudne przepisy, jeżeli chodzi o postępowania przetargowe, ale tak formułuje się specyfikację, że co chwilę daje się możliwość odwołania firmie przegrywającej przetarg. To się ślamazarzy, bo urzędnicy słabo przygotowują dokumenty, bo nie potrafią się dogadać z właścicielami jakiejś działki. To samo jest teraz na Maślicach – pan Krzywda protestuje, że dzieje mu się krzywda. Urzędnik nie ponosi odpowiedzialności, nawet, jeżeli wszystko popaprał. Właściciele powinni powiedzieć, ile za to chcą. Jeżeli nie ma innej możliwości, to w interesie publicznym należy dać te pieniądze. Przede wszystkim jednak nie można rozmawiać z właścicielem dopiero wtedy, kiedy droga już do niego dochodzi. Trzeba rozmawiać, gdy ją się wytyczy, kiedy jeszcze nie ma planów, a tylko kierunkowe decyzje. Rozmawiać trzeba wcześniej.

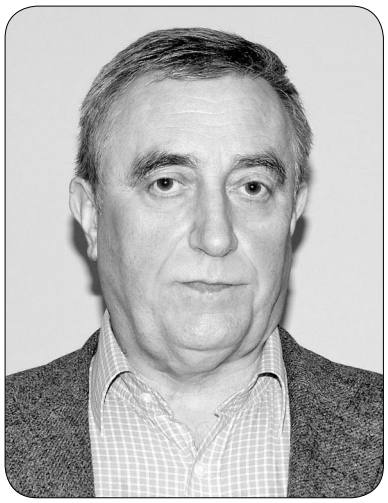
Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Kadłubkowy twór, z bardzo niewielką kasą. 1 milion 700 tys. zł w tym roku na wszystkie rady osiedli. To nie pobudza aktywności na dole. Rady osiedla powinny mieć większe kompetencje, większe pieniądze, powinny same realizować swoje zadania. Frekwencja w wyborach do rad osiedli wynosiła ostatnio chyba 2% – takie jest poparcie wrocławian dla tych rad. Uważam, iż ten twór w obecnej konfiguracji się nie sprawdził. Pracujemy teraz nad zasadniczą reformą miasta.

Jako ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media są służalcze względem prezydenta. Media są – mówię o gazetach – dotowane przez Ratusz, są ogłoszenia itd. Znajomym prezydenta jest szef „Gazety Wyborczej", gdzie wystawia mu się laurki. Prasa, media mogą szczypać, ale lekko. Niepoprawne politycznie jest racjonalne ocenianie działań prezydenta. Ja w tej kadencji również kandydowałem na prezydenta Wrocławia z ramienia lewicy. W samej kampanii wyborczej bardzo często robiliśmy konferencje prasowe, potem również. Mówiliśmy o różnego rodzaju nieprawidłowościach w Mieście. Co trzecia taka informacja się ukazywała. Media bardzo niechętnie prezentowały te krytyczne względem prezydenta uwagi, a jeżeli nawet prezentowały, to komentarz redakcyjny powątpiewał w ich zasadność. Media we Wrocławiu z pewnością chcą również być poprawne politycznie. Trzeba jednak dodać, że w ostatnim roku da się zaobserwować pewne zrównoważenie tych relacji. Nie ma już totalnego bałwochwalstwa, coraz częściej pojawiają się głosy krytyczne, głównie ze strony niektórych dziennikarzy „Gazety Wyborczej", „Gazety Wrocławskiej", telewizja też przestała się bać drażliwych tematów.





Edward CZAPIEWSKI

Radny I kadencji, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w latach 1990-1994.
Historyk, profesor Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu,
specjalista w zakresie historii Polski i powszechnej XIX i XX w.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym?

Wtedy myślałem, że byłem przygotowany do pełnienia funkcji radnego, natomiast w trakcie jej pełnienia, już wiedziałem, że nie, że mam wiele braków. Na pewno w porównaniu z innymi radnymi posiadałem sporo wiedzy, czerpałem ją z historii. Wiele doświadczenia nabyłem pracując fizycznie i rozmawiając z wieloma ludźmi, co też daje pewne wyobrażenie o rzeczywistości. Przez rok pracowałem w Prezydium Rady Miejskiej w Nowym Dworze Gdańskim. Poznałem wówczas pragmatykę urzędniczą. Bez względu na to, czy to jest ustrój komunistyczny, czy jakikolwiek inny, to pewna pragmatyka służbowa obowiązywała i można było nauczyć się wiele. Poza tym, miałem bardzo wymagającego ojca, który mówił, że jak masz coś zrobić źle, to lepiej nie rób wcale, że człowiek odpowiada za to, co robi. Miałem dobre wychowanie do pracy organicznej, odebrałem takie solidne niemieckie wychowanie, ponieważ ojciec uważał, że Niemcy dobrze pracują i wychowują, uczą odpowiedzialności, solidności i myślenia przy pracy.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Sprawami Wrocławia bezpośrednio nie, ale o samym Wrocławiu wiele wiedziałem, wiedziałem także o Krakowie, jakie są problemy z zabytkami, że np. Poznań dostaje pieniądze z Warszawy, a my nie mamy na kogo liczyć. Wrocław był zapóźniony. Z tego rodzaju problemów zdawałem sobie sprawę, tak, że, w pewnym sensie zajmowałem się sprawami miasta, byłem obeznany w polityce komunalnej. Prasa w latach 80. sporo pisała o różnych niedociągnięciach i wbrew pozorom – cenzura, cenzurą – wiele można było się dowiedzieć.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego? Co Pan uważa za największy sukces w swej działalności jako radnego?

Tych sukcesów było kilka. Jako wiceprzewodniczącemu Rady Miejskiej podlegały mi wszystkie resorty gospodarki miejskiej. Zajmowałem się gospodarką komunalną, handlem, architekturą. Nadzorowałem wszystkie ważne i newralgiczne działy gospodarki. Uczęszczałem na te wszystkie komisje w Radzie, bez prawa głosu stanowiącego. Przyjęliśmy w prezydium Rady zasadę, że żaden z nas nie uczestniczy w głosowaniach komisji, natomiast może wpływać na pewne jej decyzje poprzez udział w dyskusji i zasadność argumentów.

Uważam, że jednym z ważniejszych sukcesów było przyjęcie poglądu, że, nie wszystko, co zostało podjęte w czasach komunistycznych było złe, a my zaczynamy wszystko od nowa. Mieliśmy bardzo niski budżet w porównaniu z innymi miastami. Wrocław nie miał dotacji, które należało sobie dopiero wywalczyć. Pewne rzeczy kontynuowaliśmy i jedną z nich była oczyszczalnia na Janówku oraz budowa kolektorów.

Ta Rada i Zarząd Miasta dokonała przekształceń własnościowych, tu podkreśliłbym działalność członka Zarządu Sławomira Najnigiera. Pod jego kierunkiem Miasto zaczęło tworzyć spółki akcyjne i to była ogromna praca. Podkreślam znaczenie i wagę tych przekształceń, ktoś to musiał porządnie zrobić, a opór był wielki, ponieważ ludzie bali się większych zmian, także w trosce o stabilną pracę.

Wtedy właściwie rozpadała się gospodarka wodna, większość rur, arterii wszystko było praktycznie zdezelowane albo do wymiany. Prezydium Rady poparło Zarząd, żeby szefem został pan Sumisławski, który to wszystko przebudowywał w ciągu wielu lat. Podziwiałem tego człowieka. Za gospodarkę wodną należy mu się mały pomnik we Wrocławiu.

Radni pochodzili z zaciągu społecznego, mieli jak najlepszą wolę, wielu nie miało przecież pojęcia o gospodarce, ale wspierali poczynania Zarządu dyskutując zażarcie przed podjęciem decyzji. Było bardzo wiele dobrej woli, ale też brakowało zaufania, co było widoczne bardziej w drugiej połowie kadencji. My, radni poparliśmy te wnioski, które wywoływały obiekcje, zarówno dotyczące wodociągów, jak i systemu ogrzewania. Tam, gdzie są problemy podejrzewa się korupcję, której w tym wypadku nie było. Trudności wynikały raczej z pewnej nieumiejętności zarządzania, a na tym się traci. Jeśli popatrzymy na Wrocław, to u nas nie było żadnych afer, jeśli nawet krytykowano, to potem się okazywało, że podejmowano bardzo dużo racjonalnych decyzji.

Rada mojej kadencji nie była taka idealna. Podam przykład słynnych diet. Rozważaliśmy kwestię: wprowadzać te diety, czy nie wprowadzać? Wiedzieliśmy, że ludzie wchodząc do Rady będą musieli pracować codziennie, może nie wszyscy radni, ale prezydium, szefowie komisji i wielu radnych pracowało codziennie i nierzadko

w niedzielę. Na nas spoczywał obowiązek całkowitej zmiany prawodawstwa gminnego. Trzeba było przygotować kolejne posiedzenia, a to naprawdę ogromna praca, prócz tego przychodzili rozmaici interesanci. Podjęliśmy decyzję, że będą wypłacane diety, i tu popełniliśmy błąd, ponieważ uzależniliśmy je od wysokości diet poselskich. Nie przewidzieliśmy, że te będą błyskawicznie wzrastały. W pierwszym roku diety radnych wynosiły 35% diety poselskiej, potem miało być 50% – to trochę dużo. Żeby to zobrazować, w 1994 r. (koniec kadencji) moja dieta wiceprzewodniczącego wynosiła na dzisiejsze pieniądze 360 zł, dzisiaj zwykły radny dostaje kilkakrotnie więcej. My jako prezydium podjęliśmy decyzję, że nie będziemy podwyższać wypłacanych nam kwot. Przewodniczący Miękisz powiedział: „niech zadecyduje następna Rada, jak to dalej robić". Oczywiście znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że te diety są za niskie i że nie wykonujemy uchwały Rady i że w takim razie będą kłopoty. Powiedziałem im: „proszę zgłosić to na sesji, ciekawy jestem, co powie na to społeczeństwo".

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Katastrof nie było. Uważam, że pewne rzeczy ciągnęły się za długo. Nie było sensu byle jak remontować ulic. Lepiej wyremontować jedną porządnie, niż kilka byle jak.

Za swoją prestiżową porażkę uważam to, że nie zdołałem przekonać Zarządu do współpracy z miastem Charlerois w Belgii. Miasto było bardzo dobrze zarządzane. Chciałem, żeby od nas pojechało dwóch urzędników po naukę. Obecnie Charlerois jest jednym z lepiej rozwiniętych miast w Belgii. Zarząd miał jednak inną koncepcję.

Decyzją trudną do przyjęcia ze względów psychologicznych była zamiana systemu grzebalnictwa. Krematoria źle się kojarzyły. Rada mojej kadencji postanowiła zbudować nowy cmentarz umożliwiający wprowadzenie kremacji zwłok, co zrealizowano w następnych kadencjach. Było dużo dyskusji, natomiast zwlekano z decyzją.

Poważnym błędem było praktycznie zaniechanie opracowania od nowa planu zagospodarowania przestrzennego Wrocławia. Trzeba było go przynajmniej w dużym stopniu zapoczątkować. Ten plan był trudny do opracowania i potem wiele lat był opracowywany, ale za mało naciskaliśmy, żeby go przygotować. Realizowano miejscowe plany, a to stwarzało pole do podejrzeń o załatwianie prywatnych interesów.

Gdybym miał wystawić cenzurkę Radzie mojej kadencji, to powiedziałbym, po pierwsze, że Bogdan Zdrojewski był dobrym prezydentem, a wielu radnych szybko się uczyło. Po drugie, ta Rada nie była partyjna. Wielu należało do jakichś partii, ale tego nie przekładali na działalność w Radzie. Ludzie ci starali się załatwiać konkretne sprawy i nie byli związani tzw. dyscypliną partyjną lub czymś podobnym.

Jak ocenia Pan swoją współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Na jedno z pierwszych posiedzeń Rady, już jesienią 1990 r., zaprosiliśmy dyrektorów wrocławskich przedsiębiorstw. Jak zobaczyłem tych dyrektorów jeszcze z okresu komunistycznego, już po samych twarzyczkach było widać, że to sama nomenklatura. Przeraziło nas, że zakładami wrocławskimi rządzą tak słabi ludzie. Z drugiej jednak strony, ci nowi, którzy przychodzili, niewiele mogli zdziałać, ponieważ tych zakładów nie dało się utrzymać. Zachodziła wówczas głęboka rewolucja gospodarcza. Na przykład „Elwro" musiałoby dostać wielkie pieniądze z zewnątrz, Siemens, owszem, je wykupił, ale nie przebudował tych zakładów, to samo było z Pafawagiem, trzeba by było wprowadzać nowe licencje – to wszystko się pokończyło. Nie było tak, że upadły czy doprowadzono do upadku wspaniałe zakłady, przecież na produkty tych fabryk nie było zbytu (odpadł rynek ZSRR, krajów socjalistycznych). Jedyne, co mogła zrobić nasza Rada, to odroczyć (umorzyć) tym zakładom podatki komunalne.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Na spotkaniach przedwyborczych złożyłem jedną obietnicę. Powiedziałem, że jeśli uda mi się w trakcie kadencji przeprowadzić wprowadzenie rozkładów jazdy tramwajów i autobusów z dokładnie rozpisanymi kursami, to moja rola będzie spełniona. Sam korzystałem z tego środka lokomocji i byłem przeważnie zdenerwowany, że tramwaje albo jeżdżą tabunami, albo wcale. Nie wiedziałem wówczas, że zostanę wiceprzewodniczącym Rady, chciałem pracować w Komisji Oświaty, tak się jednak ułożyło, że zostałem wiceprzewodniczącym. Spotykałem się ciągle z wyborcami, jako wiceprzewodniczący Rady. Przychodziło do mnie bardzo wiele ludzi z prośbą o pomoc, może w związku z tym powstały jakieś plotki. Po każdym takim spotkaniu skarga była rejestrowana i ja zawsze występowałem z odpowiednim pismem. Interesanci przychodzili głównie w sprawach mieszkaniowych, tego było bardzo dużo, także handlowcy w związku z czynszem, bo poszła fama, że bronię handlowców. Tłumaczyłem wiceprezydentowi Krzysztofowi Turkowskiemu, że nie jestem za przetargiem dla samego przetargu. Rozumiałem, że przetargi powinny odbywać się na lokale w centrum i byłem za tym, żeby ten obszar dokładnie określić. Natomiast tam, gdzie ludzie płacili czynsze, to, po co robić przetargi, jeśli to funkcjonuje dobrze. Opowiadałem się za naturalną wymianą handlowców. Jeśli nie płacili lub zalegali z czynszem, wtedy należało podjąć odpowiednie kroki. Wolnych lokali było sporo i mogły iść na przetarg. Moim zdaniem, tak to właśnie należało robić, a nie decydować kategorycznie, że na jednej ulicy wszystkie lokale idą na przetarg, a na innej nie. Powodowało to bowiem oskarżenia, ludzie przychodzili ze skargami i ja w ich sprawach interweniowałem. Walczyłem o tych wszystkich, którzy się do mnie zgłaszali i czuli się skrzywdzeni, a potem było pytanie, co ja tak o nich walczę – mam w tym interes? Walczyłem, bo jak ktoś przyszedł do mnie ze skargą, to, moim zadaniem, należało rozważyć sprawę, a następnie, jeśli to było zasadne, dopomóc.

Kiedy już była nabrzmiała sprawa z handlem i przetargami, zgodziłem się zorganizować spotkanie z handlowcami, na które zaproszony był wiceprezydent Turkowski oraz wszyscy odpowiedzialni za te sprawy. Zdecydowałem się przewodniczyć temu spotkaniu i w którymś momencie było rzeczywiście ostro. Powiedziałem wówczas, że są problemy i może dobrze, żeby sobie o nich spokojnie porozmawiać, ale to nie może być na zasadzie, że każdy krzyczy, bo jeśli zrobi się bałagan, trzeba będzie zebranie zamknąć. No i dyskutowaliśmy już spokojnie, wszystkie problemy zostały zapisane. To chyba była wiosną 1991 r. Pamiętam, że wtedy zrozumiałem, że Zarząd nie zawsze ma rację, bo jest jednak mnóstwo uzasadnionych zarzutów. Usłyszeliśmy, w jaki sposób usuwano ludzi z lokali, jak obliczano czynsze, jednym rozkładano je na jakiś czas, innym z kolei odmawiano lub wyznaczano zbyt krótkie terminy na zapłacenie zaległości. Zawsze mówiłem, że władza podejmuje pewne decyzje, a ja jestem od kontrolowania tej władzy, tzn. na podstawie otrzymanych informacji sprawdzam w swoim zakresie, czy Zarząd podjął właściwe decyzje lub, co zrobić, aby mógł te decyzje podjąć.

Te 4 lata były naprawdę bardzo ciężkie i burzliwe. Bywało, że narażałem się Zarządowi, ale też Radzie lub jej części.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Najlepiej współpracowało mi się ze Sławomirem Najnigierem. Był bardzo konkretny, od razu mówił, co możemy zmienić i szukał dobrych rozwiązań, potem się może trochę zmienił, ale nie miałem już z nim kontaktu. Bardzo dobrze współpracowało mi się także ze św. pamięci wiceprezydentem Zygfrydem Zaporowskim, mimo bardzo trudnych spraw związanych z Wydziałem Architektury. Dyrektorował tam wówczas bardzo ostry Stefan Müller, znakomity architekt, ale trudny we współpracy człowiek, jeśli to można tak powiedzieć. Był bardzo wymagający, jeśli chodzi o urzędników. Część radnych miała do niego wiele zastrzeżeń i nie brakowało pomówień o korupcję. Z nim można się było znakomicie dogadać, ja jakoś nie miałem problemu, pomagał często w rozwiązaniu spraw interwencyjnych.

Po latach muszę powiedzieć, że dobrze oceniam politykę Krzysztofa Turkowskiego, tzn. w wypadkach, kiedy się nie upierał. Nie bardzo mi się chce wierzyć w posądzenia korupcyjne, to byłoby widać. Turkowski był jednak uparty i przywiązany do swoich decyzji, to był jego mankament. Tutaj trzeba było mieć więcej elastyczności. Czasami „z wysoka" schodził Bogdan Zdrojewski i on te sprawy łagodził. Turkowski miał się zajmować kulturą i trochę mu ten handel wciśnięto. Wiceprezydent Olszewski był zawsze ostrożny, bardzo wolno działający, choć jednak skutecznie.

Profesor Miękisz miał taką cechę, że był bardzo koncyliacyjny, ja byłem na pewno ostrzejszy i miałem do niego pretensję, że za bardzo ulegał Zarządowi. Jak rozmawialiśmy w prezydium, często mówił: „będę rozmawiał z Bogdanem", potem, jak już porozmawiał, znowu był łagodniejszy i bardziej ustępliwy wobec prezydenta. Ale to dobrze, bo Rada nie miała takich kryzysów, jak w innych miastach. Mnie chyba trzy razy radni chcieli odwołać ze stanowiska, taki wniosek jednak nie przeszedł. Na początku zawsze Miękisz prowadził posiedzenia Rady i miał trudności, ponieważ to była skomplikowana materia. Później przewodniczący otwierał obrady, a następnie oddawał nam kierowanie sesją, co nie było łatwe, bo Rada była chimeryczna, trudna. Moim zdaniem nie było jednak tak źle.

Byliśmy „my", a Zarząd stawał się „oni". Dyskutowaliśmy o tym, że Zarząd jest zbyt mało kontrolowany i wymyśliliśmy, że będę chodził na posiedzenia Zarządu. Na te posiedzenia uczęszczałem przez rok. Z tego, co zakulisowo dowiedziałem się później, kiedy miałem pojawić się na posiedzeniu po raz pierwszy, to się tego obawiano. Ja tam przyszedłem nie jako kontroler, tylko starałem się wnieść coś konstruktywnego. Wiadomo, że Zarząd ma swoje sprawy, którymi nie chce się dzielić publicznie. Zrobiło się trochę humorystycznie, bowiem, z tego, co wiem, oficjalnie spotykaliśmy się w poniedziałki, natomiast ścisłe grono naradzało się w piątki.

Szczególnie Komisja Rewizyjna chciała wszystko badać, stawiając czasami zarzuty o wszystko. Chciano dokonywać kontroli i nieraz dokonywano ostrych, i niczego nie udowodniono. Wiem, że chodziło o lokale handlowe. Sam też, w którymś momencie sprawdzałem sprawy przetargów w Wydziale Inicjatyw Gospodarczych. Strach padł trochę na urzędników, ja mówiłem, że nie jestem śledczym, tylko chcę sprawdzić, czy wszystko jest dobrze prowadzone. Początkowo pan prezydent prosił mnie, żebym uczestniczył w komisjach przetargowych na lokale handlowe. Uczestniczyłem, bo to była newralgiczna sprawa, ale potem doszedłem do wniosku, że radni nie powinni w tym brać udziału, bo to jest funkcja wykonawcza Zarządu i odmówiłem dalszego uczestnictwa w posiedzeniach komisji przetargowej. Komisja obradowała w gabinecie prezydenta Turkowskiego, tym sposobem wpływał on na podejmowanie decyzji. Potem zaczęto przygotowywać informator. Znalazły się tam informacje, kto i jak wywiązywał się z czynszów. Okazywało się, że ktoś wygrał w przetargu lokal i wychodziło na jaw, że zalegał z czynszem. Tam się dopiero przekonałem, że zarządzać jest niezmiernie trudno. Łatwo mieć pretensje, ale samo zarządzanie i wypracowywanie właściwych kierunków jest niezmiernie trudne.

Oczywiście miewałem zgrzyty z Turkowskim i z prezydentem Zdrojewskim. Natomiast przewodniczący Miękisz starał się to wszystko tonować. Miałem nawet o to do niego pretensje. Patrząc po czasie uważam, że szef postępował trafnie. Wiele rzeczy łagodził i dzięki temu nie było u nas, tak jak w Krakowie, konfliktu pomiędzy przewodniczącym a prezydentem. Natomiast sam prezydent i te jego słynne wywiady, że on wie o każdej dziurze w mieście, to była fikcja, nie wierzyłem, że to jest możliwe. Tutaj była przygotowana cała socjotechnika. Ale

Zdrojewski bardzo szybko się uczył i był bardzo kompetentnym prezydentem. To, że wyrabiał sobie ten „pijar", jak się dzisiaj mówi, oznacza, że był jednym z pierwszych, który zrozumiał jak bardzo ważne jest uzyskanie poparcia publicznego. Wrocław na tym zyskał.

Wrocław poszedł we właściwym kierunku. Pamiętajmy, jaki był punkt startu naszego miasta. Nie mieliśmy żadnych tradycji samorządowych. Wrocław od dawna przestał być miastem wydzielonym, nie miał tzw. chodów w Warszawie. Tramwaj szybkobieżny, który miał być dla Wrocławia, został przekazany Poznaniowi przez panią premier Suchocką. Poznań do dzisiaj tego nie wprowadził.

Zaobserwowałem jedno, coś się zmieniło w latach 90. XX w. W sprawach służbowych jeździłem często do Warszawy, a najszybszy pociąg do stolicy ma trasę przez Poznań. Tutaj dosiadali się pasażerowie i mówili „O wy to macie prezydenta, to jest władza". Zrodził się mit Wrocławia, a przedtem był zawsze Poznań czy Kraków. Kraków dostawał ogromne pieniądze i nie zawsze je wykorzystał właściwie.

Prezydent Zdrojewski, a jeszcze lepiej Dutkiewicz potrafili pozyskiwać biznes. Zdrojewski tak tego nie potrafił, on był bardzo ostrożny. Pamiętajmy, że patrzono mu bardzo na ręce. Podam charakterystyczny przykład sprawy, o którą się bardzo ścieliśmy. Znałem dobrze poprzedniego wójta Kobierzyc Ryszarda Chomicza. Spotkaliśmy się samorządowo i on mi tłumaczył, jak przyciągnął inwestorów. Opracowywał biznesplan i różne propozycje wysyłał do Anglii czy w inne miejsca. Oni albo nie odpowiadali, albo nie byli zainteresowani, aż wreszcie trafił na Cadbury i od tego się zaczęło. Dla mnie było czymś oczywistym, że okolice autostrady były znakomitym miejscem, gdzie można rozwijać handel i biznes. Proponowałem, żeby ten teren załatwić u wojewody dla naszego miasta. To, niestety, zostało przespane w I kadencji. Kobierzyce nie przespały i dostały Bielany. Posiadałem informacje z różnych dziedzin, czytałem, co się dzieje na Zachodzie i było dla mnie oczywiste, choć oczywiste nie było dla wszystkich, że sprawę przespaliśmy. Miałem pretensje do Olszewskiego, że zbyt późno złożył wniosek, no i potem już wojewoda Zaleski nie przyznał nam tego terenu. O konflikcie Zdrojewski – Zaleski było dosyć głośno i on przekładał się na to, że Wrocław był pokrzywdzony w stosunku do innych gmin. Wojewoda bardziej dbał o inne gminy, a z Wrocławiem nie najlepiej mu się układało. Spotkały się dwie silne, ambitne osobowości i to, niestety, było ze szkodą dla stolicy Dolnego Śląska.

Jak układała się współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

O to chyba Biuro należałoby zapytać. Ze względu na problemy zdrowotne nie byłem tam już dwa lata, chociaż wciąż wybieram się w odwiedziny. Tam zawsze bardzo mnie mile witają. Stosunki układały się wzorcowo. Pamiętam, że odziedziczyliśmy 4 rady dzielnicowe i w każdej było biuro. Połączyliśmy te biura w jedno, nie zwalniając przy tym ludzi z pracy. Część pracowników sama później odeszła, ktoś przeszedł na emeryturę, następny załatwił sobie lepiej płatną pracę. Staram się zawsze szanować ludzi. Im wyższe miejsce w hierarchii zajmujesz, tym bardziej musisz szanować ludzi. Jeszcze dzisiaj starsi urzędnicy, którzy teraz już mają koło sześćdziesiątki, mówią mi dzień dobry, jak jestem w Urzędzie Miejskim. Ja tam niezmiernie rzadko przychodzę i to chyba oznaka sympatii, ponieważ znamy się, przy czym oni mnie pamiętają lepiej, ja ich pamiętam słabiej, ponieważ miałem do czynienia z wieloma urzędnikami, a oni mieli mnie tylko jednego. Współpraca z Biurem była bardzo dobra i mam nadzieję, że pracownicy również tak to pamiętają.

Profesor natomiast bywał taki różny, wiadomo – zdenerwowanie, trudne posiedzenia Rady. Panie wymyśliły takie powiedzenie, że „profesor unosi się nad lamperią". Jak pamiętamy, lamperia jest do połowy ściany, tak mówiono, kiedy miał gorszy dzień.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Przez pierwsze dwa lata spotykaliśmy się w Radzie dzień w dzień, nawet w niedzielę. Trzeba było podejmować decyzje, ciągle były posiedzenia, spotkania, czyli absolutnie niehigieniczny tryb życia. Na początku I kadencji były tylko maszyny do pisania, komputeryzacja dopiero zaczęła się rodzić. Musieliśmy zrobić wielki skok. Zarząd z prezydentem Zdrojewskim bardzo pilnowali komputeryzacji. Jednym z najpoważniejszych argumentów było to, że komputeryzacja ukróci biurokrację, przyśpieszy pracę, że nie trzeba będzie tylu tych papierów. Radni ciągle domagali się brakujących kompletów dokumentów. Ile drzew w lesie zmarnowało się… Komputeryzacja wcale nie zmniejszyła biurokracji. Wręcz przeciwnie, administracja się rozrastała, ale Urzędowi przybywało nowych zobowiązań, gmina przejmowała oświatę i kulturę – domy kultury, biblioteki, potem muzea. Z jednej strony, wymagało to przebudowy, z drugiej zaś, więcej osób należało zatrudniać. Polikwidowano dzielnice, a mimo to rozrastała się tkanka biurokratyczna, mamy Sukiennice, Urząd na Nowym Targu, także na Zapolskiej. Niestety, z biurokracją nikomu nie udało się wygrać. Demokracja także powoduje rozrost tego zjawiska. Natomiast niewątpliwie poprawiła się obsługa, uzyskanie szybko danych z komputera, to też ogromne ułatwienie. Przebudowywano gmach Urzędu, żeby lepiej można było obsłużyć petentów.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Najwięcej pracowałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych, która zajmowała się lokalami handlowymi i trzeba było pilnować, żeby to wszystko funkcjonowało. Byłem także w Komisji Architektury oraz w Komisji Gospodarki Komunalnej. Podlegała mi także Komisja Rewizyjna. Radny Lenkiewicz miał taki przydomek – Lenikiewicz. On

był taki ostry, podejrzliwy. To byli ci działacze wywodzący się z konspiracji. Przeszli długą drogę konspiratora i charakteryzowała ich nieufność. Ciągle się zastanawiali, że trzeba tu czegoś pilnować, a że się dzieje krzywda albo, że prezydent Zdrojewski chce zostać na drugą kadencję, a czy to będzie dobre? Uczestniczyłem w tych posiedzeniach dość rzadko i nieraz starałem się tłumaczyć pewne niuanse. W oczach niektórych członków komisji uchodziłem za człowieka Zarządu, w moim pojęciu ja takim człowiekiem nie byłem. Miałem swoje zdanie o Zarządzie, a Zarząd miał o mnie, nie zawsze najlepsze. Uważałem, że Komisja Rewizyjna była potrzebna, ale tutaj za dużo pary szło w gwizdek. Kontrolować dla samego kontrolowania…, no i jednak trzeba mieć wsparcie w Radzie, a w tym przypadku tak nie było, ta komisja nigdy nie była w stanie przeprowadzić swojego zdania. Tak na przykład było z koncesjami alkoholowymi. Byłem zdania, iż każda reglamentacja prowadzi do korupcji, że nie upilnujemy urzędników. Proszę bardzo, niech kupiec zapłaci za koncesję, a rynek powinien uregulować opłacalność sprzedaży alkoholu. Moi adwersarze przytaczali argumenty, że nie można do tego dopuścić, liczba punktów powinna być ograniczona, bowiem szerzy się pijaństwo. Z prasy wiem, że w następnej kadencji wybuchła wielka afera korupcyjna. Trzeba rozsądnie do tego podchodzić, kto chce pić to i tak będzie pił. Na pewno komisje rewizyjne są teraz bardziej profesjonalne, lepiej obudowane ekspertami. Natomiast tamci działali z ogromną pasją. Kiedyś, po 4 latach, po tamtej Radzie spotkałem się z Lenkiewiczem. Wyszła jego książka „Zdrada nagminna Wrocławia", ja otrzymałem od autora miano komunisty. Poszło o zmianę nazw ulic. Powiedziałem, że nie musimy dokonywać tak radykalnych zmian, bo to są duże koszty. Pamiętam, że broniłem wtedy nazwy ulicy Adama Próchnika, którego Lenkiewicz pomylił prawdopodobnie z działaczem komunistycznym Próchniakiem. Tłumaczyłem, że Próchnik był autorem fundamentalnego podręcznika o dwudziestoleciu międzywojennym, z którego uczyliśmy się na studiach. Był też spór o zmianę nazwy ulicy Świerczewskiego. Część radnych chciała wrócić do nazwy ul. Ogrodowa, ja uważałem, że skoro już jest pl. Piłsudskiego, to zróbmy lepiej 11 listopada, jak jest w Krakowie, albo Trzech Wieszczów. Tu się znowu dowiedziałem, że jestem przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu. Polityka władz miejskich to nie jest budowanie pomników jednej konkretnej osobie, równie zasłużony był Roman Dmowski. Takie to były gry i zabawy, trochę żartobliwie patrząc. Ale w sumie uważam, że słusznie zmieniono większość nazw ulic, chociaż w zbyt szybkim tempie. Była wtedy i taka opinia, że ta Rada nic więcej nie robi poza zmianą herbu i zmianą nazw ulic. A prasa informowała, jak informowała. Później stało się widoczne, że zrobiliśmy więcej.

Komisja Inicjatyw Gospodarczych to była dawna komisja handlu. Jej przewodniczącym był Janusz Marak, dzisiaj już profesor Uniwersytetu Ekonomicznego, bardzo spokojny i rzeczowy. On przewodniczył też komisji przetargowej. Bardzo dużo zrobił i niezasłużenie padały pod jego adresem uwagi, że jest sługusem Zarządu Miasta czy prywatnie prezydenta Turkowskiego. Bardzo go cenię, bowiem szalenie skomplikowana była materia miejskiego handlu. Wszelkie posunięcia wywoływały olbrzymie kontrowersje. Przekształcenia dotyczyły handlowców przyzwyczajonych do reglamentacji towarów i niskich czynszów. Rada I kadencji podniosła czynsz nie o 100 %, ale o półtora tysiąca procent. To było trochę za wysoko. Na posiedzeniu Zarządu postulowałem obniżenie opłat. Zarząd był twardy, pieniądze były konieczne dla budżetu Miasta. Rzeczywiście, jeśli obniżono by czynsz, mogło zabraknąć pieniędzy na inwestycje miejskie. Rozumiałem argumenty Zarządu, który ponosił bezpośrednią odpowiedzialność – potem pod jego adresem byłyby pretensje, że nie ma środków finansowych. Natomiast na pewno Zarząd nie miał racji w sprawach nadmiernego podnoszenia czynszu w centrum. Przeprowadziłem wówczas ekspertyzę. Byłem zwolennikiem zasady, że należy zapytać obie strony. Tłumaczono mi, że jeżeli czynsze zostaną podniesione w centrum, to handel przeniesie się na obrzeża miasta. Na Zachodzie stało się tak w ciągu 50 - 60 lat, a u nas proces podobnych zmian zaszedł w ciągu 10 lat.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Była wizyta, którą pamiętam do dzisiaj. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał przedstawiciel samorządu, w ramach pomocy rządowej, podzielić się z nami wrażeniami, jak funkcjonuje samorząd w Stanach Zjednoczonych. Dowiedzieliśmy się np., że w miastach większych niż nasze jest 11 radnych i to funkcjonuje. To, co mi najbardziej utkwiło w pamięci, to stwierdzenie, że on już w od listopada siedzi nad rozliczeniami z Urzędem Skarbowym. Dla nas to była abstrakcja, ponieważ podatki wprowadzono w 1991 r.

Przysyłano do nas także ekspertów krajowych. Do Wrocławia przyjechał pan Lewandowski, minister ds. przekształceń własnościowych, słyszał bowiem, że my zaczynamy przekształcać przedsiębiorstwa. Pytał, w którym kierunku pójdzie prywatyzacja?

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem. Nawiasem mówiąc, działacze osiedlowi zaproponowali mi w 2002 r., żebym kandydował w wyborach na prezydenta, i postanowiłem ich wesprzeć bez nadziei zwycięstwa.

Uważam, że Rada mojej kadencji popełniła błąd. Byłem zwolennikiem utworzenia kilkunastu osiedli, a teraz jest ich ponad 40. Uważałem, że powinno ich być trzykrotnie mniej, powinny być silniejsze i lepiej wyposażone w kompetencje. Zwyciężyła opcja rozdrobnienia jako bardziej samorządna. Nasza Rada miała prawo do tego błędu. Natomiast niewybaczalnym błędem następnych rad było nie wyciągnięcie wniosków. Ten problem jest ciągle dyskutowany, w jakim zakresie centrum powinno mieć władzę? U nas jest ona nadmiernie skupiona w Sukien-

nicach. Prezydent Zdrojewski nie dotrzymał słowa, że zlikwidujemy podział na dzielnice, a w zamian powstanie około 10 jednostek wyposażonych w szerokie kompetencje. Przy obecnym układzie ludzie nie znają działaczy osiedlowych ani nie chcą ich wybierać. Tymi groszami, które dostają na malowanie ławek, nie da się zarządzać efektywnie. Chciałem ten układ zmienić

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Po 20 latach powiedziałbym, że media dobrze wypełniły swoją rolę. Niejednokrotnie przesadzały w krytyce czy dość jednostronnym spojrzeniu, ale to, o paradoksie, ułatwiało działanie. Trzeba było lepiej zastanowić się nad uwagami krytycznymi. Dociekliwość mediów jest zawsze konieczna. Dzisiaj jest z tym trochę gorzej, bo brakuje szerszych dyskusji nad sprawami miasta. Przeważa relacjonowanie.



Rafał CZEPIL

Radny V kadencji.
Ekonomista.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Miałem to szczęście, że szkołę średnią rozpocząłem już w ustroju demokratycznym. Mój światopogląd kształtował się po 1990 r. w momencie ważnych przemian, tak długo oczekiwanych przez wielu Polaków. Obserwacja życia czasów przełomu wywołała u mnie zainteresowanie sprawami społecznymi, społeczno-politycznymi. Początek lat 90. był czasem bardzo dynamicznego rozwoju kraju i społeczeństwa. Wiele osób musiało inaczej spojrzeć na swoją pracę zawodową, wiele zakładów pracy upadło i na tej płaszczyźnie dokonało się wiele zmian. Poza tym zawsze byłem ciekawy świata i chciałem go poznawać. Dlatego dzisiaj jestem radnym Rady Miejskiej Wrocławia. Oczywiście, moja świadomość społeczna była kształtowana już poprzez dom, rodzinę.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmuje się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Działam w Komisji Infrastruktury Komunalnej i z tymi problemami życia mieszkańców naszego miasta, praktycznie, mam do czynienia na co dzień. Staram się rozwiązywać te sprawy i pomagać wrocławianom, niezależnie od miejsca ich zamieszkania. Jak wiadomo, radnego wybiera się w określonym okręgu wyborczym, ale jestem radnym Rady Miejskiej Wrocławia, więc nie ograniczam się do pomocy określonej grupie osób, pomagam tym wszystkim, którzy tego potrzebują. Tych problemów jest naprawdę bardzo wiele. Mieszkańcy zgłaszają się z problemami dotyczącymi czynszu, kupna mieszkania, zagmatwanej sprawy własności. Są to sytuacje, w których gmina nie jest nawet partnerem, ale mieszkańcy i tak proszą mnie o poradę. Oczywiście, na tyle, na ile jestem w stanie, bardzo chętnie jej udzielam. Wielokrotnie konsultuję to z urzędnikami miejskimi, odpowiedzialnymi właśnie za ten obszar. Mieszkańcy docierają do mnie poprzez stronę internetową Urzędu Miejskiego, poprzez radę osiedla, w której również działam, a także poprzez media. Docierają również poprzez dyżury Rady Miejskiej. Są też sprawy, w których wystarczy kontakt telefoniczny lub mailowy.

Co uznałby Pan za największy sukces swojej działalności jako radnego a jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Najbliższa mi jest polityka komunalna. Ostatnio zgłosili się do mnie mieszkańcy z prośbą o wstawiennictwo i rozpoczęcie działań w sprawie nowelizacji uchwały dotyczącej zarządzania zasobem komunalnym i „uwolnienia" mieszkań komunalnych do sprzedaży na rzecz ich najemców, gdyż sprzedaż wszystkich mieszkań komunalnych, remontowanych po 1 stycznia 2005 r. była zablokowana. Zorganizowałem spotkanie, na którym radni mieli możliwość poznania tej problematyki i argumentów przedstawionych nam przez mieszkańców miasta. Tak rozpoczęła się droga nowelizacji zmiany projektu uchwały, zaproponowanej przez urzędników pana prezydenta. Przy moim udziale został ten projekt trochę zmieniony na bardziej korzystny dla najemców, przy uwzględnieniu budżetu miasta, bo jako radny Rady Wrocławia, z jednej strony staram się pomagać mieszkańcom, ale również stoję na straży finansów miasta. Umożliwiając sprzedaż lokali komunalnych na rzecz ich najemców wyznaję zasadę, że Miasto nie powinno na tym zarabiać. Biorąc pod uwagę za i przeciw, udało się przekonać koleżanki i kolegów z Rady do przyjęcia takiego projektu, który byłby bardziej korzystny i pozwolił na wykup mieszkań zainteresowanym.

Ta uchwała daje możliwość zaoszczędzenia od kilku do kilkunastu tysięcy złotych. Sprawa dotyczy około 2,5 tys. mieszkań. W skali naszego miasta jest to duży zasób komunalny i mam nadzieję, że moje działanie pozwoli większej liczbie osób zostać właścicielami własnego „M". Moim osobistym sukcesem jest rozpoczęcie tej dyskusji, na bazie korespondencji i inicjatywy lokalnej społeczności, co pozwoliło na zmianę całego prawa lokalnego w tym aspekcie. Jest to coś, co mnie bardzo ucieszyło. I z tego, co wiem, również ucieszyło wielu mieszkańców naszego miasta.

Co uważa Pana za największe niepowodzenie Rady V kadencji?

Wydaje mi się, że mieszkańcy ponosili koszty braków w funduszach i środkach na realizację różnych celów w formie zbyt wysokich podwyżek. Z jednej strony, wydaje się, że kwestia kilku złotych jednostkowo jest niewielką kwotą, ale zbierając wszystkie ewentualne podwyżki i te, które zostały przyjęte, okazuje się, że to spora suma. Jest to, niestety, przenoszenie odpowiedzialności finansowej na mieszkańców. Uważam, że powinno to być ostatecznością. Lepiej szukać oszczędności w ramach określonych zadań czy działań.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Zarówno jako radny Rady Miejskiej, jak i radny rady osiedla, oceniam tę współpracę pozytywnie, chociaż na pewno jest jeszcze wiele do zrobienia. Czasami same organizacje się zgłaszają i w ramach współpracy próbują zaangażować radnych. Przykładem jest Parlament Młodzieży Wrocławia, który kreuje kadrę naszych następców, młodych ludzi, którzy w przyszłości zajmą miejsca w ławach Rady Miejskiej. Wydaje mi się, że rzeczywiście lokalnie współpraca i wspólne działania wyglądają bardzo dobrze. Organizuje się punkty informacyjne będące miejscem spotkań, wspólnych rozmów, w celu pokazywania lokalnej społeczności i możliwości kierunków rozwoju, angażowania i wspierania ich inicjatyw. Natomiast radni powinni kreować te działania, wspierać. Jestem bardzo dumny z tego, że na moim osiedlu takie działania są podejmowane. Generalnie, oceniam tę współpracę bardzo pozytywnie, ale widzę wiele możliwości lepszej, bardziej ścisłej współpracy, chociażby z organizacjami zrzeszającymi młodych ludzi. Przyszłość naszego miasta i współpraca różnych grup społecznych leży w rękach tych młodych ludzi, którzy mają wiele do zaoferowania, energię, chęć do działania, polot. Mam nadzieję, że za sprawą takich organizacji więcej osób będzie chciało się angażować chociażby w życie lokalne.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Rady osiedla funkcjonują bardzo różnie – jedne lepiej, inne gorzej. Są takie, które praktycznie nie wychodzą poza swoje gabinety i tak naprawdę ich działalność jest marginalna. W tych osiedlach nie ma chętnych, żeby kandydować do rady osiedlowej. Mamy tu prostą zależność: jeżeli rada funkcjonuje mało przekonująco, nie jest widoczna, a mieszkańcy nawet nie są świadomi, gdzie urzęduje, gdzie można spotkać się i porozmawiać z tymi radnymi, kiedy przychodzi moment wyborów – nie ma chętnych. Brak w tych społecznościach świadomości, że takie ciało funkcjonuje. A jest to przecież jednostka pomocnicza przy Radzie Miejskiej Wrocławia. Natomiast są rady osiedla, które skupiają ludzi wokół siebie i swojej działalności, pokazują swoje działania i zaangażowanie. Jest to bardzo często miejsce, gdzie mieszkańcy wiedzą, że mogą się zawsze zjawić z problemem, jaki ich nurtuje, poprosić o pomoc radnego, który tej pomocy im udzieli, wiedzą, że w danym miejscu mają dyżury strażnicy miejscy, którzy wysłuchają ich problemów i pomogą w sytuacjach kryzysowych. Te rady organizują nie tylko życie społeczne, ale również polityczne, są płaszczyzną dyskusji, debat. Także organizują życie towarzyskie, poprzez różnego typu festyny, zabawy dla dzieci. Na osiedlu Nadodrze jest organizowany cykliczny europejski Dzień Sąsiada, obchodzony w wielu miastach europejskich. To bardzo ciekawa inicjatywa, bardzo rozpropagowana przez media, bardzo kolorowa, na tyle ciekawa, że mieszkańcy innych osiedli przyjeżdżają, aby móc w tym przedsięwzięciu uczestniczyć. I do mocno aktywnych rad osiedla jest tak wielu chętnych, że niestety gros osób nie ma szansy się tam dostać. Mam nadzieję, że rad funkcjonujących prawidłowo, pomagających i wspierających lokalną społeczność, wysłuchujących ich problemów i organizujących życie lokalne, będzie coraz więcej.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mieszkańcy mają bardzo duży wpływ na moją działalność w Radzie Miejskiej, poprzez kontakty telefoniczne, mailowe, radę osiedla. Jest wiele kanałów komunikacji, przez które do mnie docierają i proszą o pomoc w rozwiązaniu problemu, udzielenie informacji, wysłuchanie. Jako radni jesteśmy dla mieszkańców naszego miasta, oni nas wybrali. Jeżeli jestem w stanie udzielić pomocy i wsparcia, to nie ograniczam się w żaden sposób i staram się to robić na wielu płaszczyznach.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Trudno mi się wypowiadać w imieniu całej Rady, mogę jedynie powiedzieć, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. Moje kontakty z przedstawicielami władzy wykonawczej Urzędu Miejskiego są bardzo pozytywne. Kiedy proszę o pomoc i oczekuję wyjaśnienia rożnych spraw, praktycznie nie spotykam się z odmową współpracy. Jest to współpraca bardzo merytoryczna, a przychylność i życzliwość wielu urzędników nastraja optymistycznie. Mam nadzieję, że i oni mają świadomość, że ich funkcjonowanie w strukturach Urzędu Miejskiego i władzy wykonawczej ma służyć dobru mieszkańców i całego miasta.

Jak się układa Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Pracownicy Biura są bardzo życzliwi. Na moje prośby, również telefoniczne, zawsze udostępniają niezbędne dokumenty. Nie ukrywam, że z wieloma osobami jestem już zżyty.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i warunków pracy radnego?

W ostatnim czasie sale, w których obradujemy zostały wyremontowane i wyposażone w sprzęt elektroniczny, który niezwykle pozytywnie wpływa na jakość naszej pracy. Możliwość nagrywania rozmów, urządzenia multimedialne ułatwiają pracę i dają możliwość prezentowania określonych dokumentów uchwał. Mamy dostęp do laptopów, poczty elektronicznej, Internetu bezprzewodowego. Są również bardziej tradycyjne możliwości komunikowania się, gdyż otrzymujemy biuletyny urzędowe w formie papierowej. Nowoczesne rozwiązania są niewątpliwym ułatwieniem, bo nie zawsze jesteśmy w stanie dotrzeć bezpośrednio do Biura, natomiast zawsze mamy stały dostęp do informacji i dokumentów. Tą drogą również możemy otrzymywać nagłe informacje czy prośbę o analizowanie i opiniowanie dokumentów, również z Urzędu Miejskiego. Wszystko to bardzo ułatwia pracę radnego.

W jakich komisjach Pan pracuje i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracuję w Komisji Budżetu i Finansów, Komisji Infrastruktury Komunalnej i Komisji Inicjatyw Gospodarczych, w której jest też podkomisja ds. Stabilizacji Małych i Średnich Przedsiębiorców na terenie gminy Wrocław. Wszystkie te działania mają na celu uatrakcyjnienie i zorganizowanie wielu narzędzi, aby działalność gospodarcza, głównie małej i średniej przedsiębiorczości była bardzo pozytywnie postrzegana przez mieszkańców miasta oraz ułatwiała funkcjonowanie samym przedsiębiorcom. Te działania rzeczywiście przynoszą określone efekty, pozytywnie odbierane przez przedsiębiorców. Na bazie wzajemnych spotkań, rozmów czy debat prowadzimy wspólną politykę. Oczywiście, pojawiają się tematy, gdzie rozbieżność poglądów jest dosyć duża, ale z mojego punktu widzenia prowadzi to w kierunku unowocześnienia i wprowadzenia rozwiązań, które będą wspierać działalność gospodarczą. Pracę Komisji Budżetu i Finansów i Komisji Infrastruktury Komunalnej, mających bardzo duży wpływ na lokalną politykę i finanse miasta, oceniam bardzo pozytywnie. Spotkania komisji odbywają się 2 - 3 razy w miesiącu i są płaszczyzną debat, dyskusji merytorycznych, czasami nawet wielogodzinnych.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych są bardzo ciekawym ciałem, które jest platformą wewnętrznej dyskusji w ramach jednej organizacji zrzeszającej radnych o określonych poglądach. Zawsze warto rozmawiać.

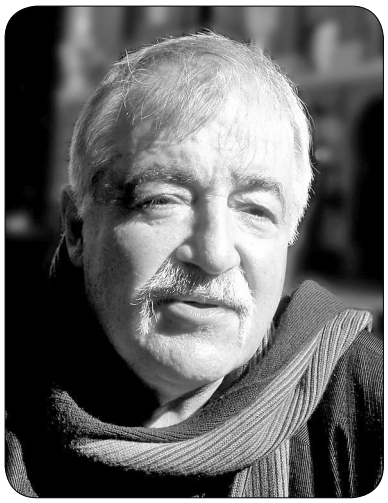
Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Radnym jestem od dwóch lat. Dla mnie kluczowym momentem była dyskusja nad absolutorium dla prezydenta na 2009 r. i uchwalenie budżetu na rok 2010. Te dwa wydarzenia wywołały bardzo ożywioną dyskusję i prowadziły do określenia polityki naszego miasta oraz oceny pracy prezydenta.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Niestety, jest ono niewystarczające. Media interesują się bardzo wybiórczo sprawami bardziej politycznymi, które się teraz najlepiej sprzedają. Niestety, sprawy bieżącej działalności Rady Miejskiej Wrocławia nie obchodzą mediów i to widać nawet na sali sesyjnej. Dziennikarze pojawiają się, kiedy mówimy o budżecie, absolutorium czy sprawach polityki komunalnej, a więc o czymś, co bezpośrednio może wywołać „burzę" lub konflikt. Być może warto by było zorganizować debatę dotyczącą przejęcia patronatu medialnego nad działalnością Rady Miejskiej tak, żeby właśnie określone medium czy grupa mediów informowała niezależnie mieszkańców, którzy są zainteresowani pracą Rady, ale nie mają możliwości zdobycia informacji na jej temat. Brak jest komunikacji pomiędzy radnymi a mieszkańcami miasta, bo media nie zawsze są zainteresowane przekazywaniem bardziej banalnych, prozaicznych informacji. Nie zawsze są to nośne informacje, nie zawsze debatowanie nad projektem uchwały czy jakimś rozwiązaniem musi wywoływać konflikt polityczny. Czasami są to bardzo spokojne i stonowane dyskusje. Media nie są tym zainteresowane i myślę, że tutaj jest wiele jeszcze do zrobienia. Na pewno warto apelować i rozmawiać, aby tę sytuację zmienić tak, aby rzeczywiście mieszkańcy mieli świadomość tego, co się dzieje, czym zajmują się radni, których wybrali.





Ryszard DACZKOWSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Czy Pan był Przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła wiedzy na temat samorządu?

Nie byłem przygotowany. Pełnienie funkcji radnego zaczęliśmy rozpatrywać po wizycie panów Zdrojewskiego i Dutkiewicza w Radzie Okręgowej Stowarzyszenia Architektów Polskich, którą kierował wtedy Zygfryd Zaporowski. W efekcie tego spotkania nasza deklaracja oddania się, ze swoją wiedzą i doświadczeniem, na służbę miastu – została przyjęta. (Czego dowodem później była obecność pięciu architektów w Radzie Miejskiej tamtej, I kadencji.) Podzieliliśmy między siebie ogrom zaniedbanych zagadnień z dziedziny gospodarki przestrzennej miasta, jego miejsc szczególnych, prawidłowości obsługi komunikacyjnej i racjonalnej sanacji centrum. Nasze przemyślenia zawodowe, szczególnie dotyczące rozwoju przestrzennego miasta, były dyskutowane z różnymi gremiami radnych, którzy wnosili swoje specjalistyczne punkty widzenia. W efekcie zgodzono się na wybranie południowo-zachodniego kierunku rozwoju miasta. Decyzja ta zaowocowała ogłoszeniem przez wojewodę konkursu (wśród dopuszczonych zespołów z całego kraju) na koncepcję połączenia przyszłych rozwiązań centrotwórczych terenów zagospodarowania przestrzennego miasta Wrocławia z rejonem Węzła Bielańskiego przy autostradzie A4 (Niemcy - Ukraina).

Wygranie tego konkursu (z zespołem autorskim, m.in. dr Andrzej Poniewierka) pozwoliło mi na zajęcie się formalne i zawodowe stykiem gmin: Wrocław, Kobierzyce i Kąty Wrocławskie. Istotne związanie z autostradą A4 zadecydowało o stworzeniu wielkiego ośrodka handlowego oraz innych funkcji potrzebnych na obrzeżu głównego miasta – stolicy regionu o charakterze głównej aglomeracji. Konieczne byłoby tu podkreślenie zaangażowania nieżyjącego już wójta Kobierzyc Ryszarda Chomicza, którego determinacja wykorzystania sąsiedztwa autostrady A4 i możliwości zagospodarowania terenów jej przyległych znalazła tak wielkie zainteresowanie na kongresie problematyki urbanistycznej w nowych relacjach politycznych w Glasgow w 1996 r. (Pełny sukces tamże, jak i w Londynie, gdzie firmy z Bliskiego Wschodu „polowały" na oferty z krajów postkomunistycznych.)

Znalazły wtedy pełne zrozumienie słowa Jana Pawła II do wrocławian „Wy jesteście przewidziani do związania z Europą". Zostało to potwierdzone podczas naszej oficjalnej wizyty w Paryżu, gdzie wysocy dygnitarze z Polski stwierdzili, że Wrocław i Dolny Śląsk będą pomostem do wspólnoty europejskiej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Okręgowej SARP-u odpowiedzialnego za kontakty zewnętrzne i stanowiska zajmowanie przez architektów w istotnych sprawach miasta. Posiadanie funkcji rzeczoznawcy SARP-u ds. planistycznych i ds. architektonicznych pozwalało mi na uformalnienie mojego stosunku w tych sprawach.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Chodziło głównie o to, aby w „nadrabianiu" zaległości dotyczących stworzenia warunków właściwego życia komunalnego nie zagubić walorów predyspozycji przestrzennych naszego miasta, aby jego rola w historii tego regionu została właściwie odczytana i kontynuowana bez pochopnych decyzji, tzw. „nowoczesności". Porządkowanie układu miasta, „odbudowa" i budowa niezbędnych elementów nowej infrastruktury nie powinna być w opozycji do zachowania częściowo istniejących świadków historii miasta.

Jednym z przykładów takiego kierunku działania była droga sanacji placu Dominikańskiego – terenu w bezpośredniej bliskości absolutnego centrum z ratuszem. My architekci, radni tego miasta, doprowadziliśmy do przeprowadzenia kompleksowych badań konserwatorskich na obszarze lokalizacji, do pełnego czuwania nad działalnością projektową (poprzedzającą realizację) poprzez firmę zewnętrzną – obsadzając zarówno utworzoną w tym celu spółkę Miasta z austriacką firmą ILBAU, jak i sprawując pełne funkcje kontrolne z pozycji rady nadzorczej, którą kierowałem z ramienia Rady Miejskiej.

Wiele jest przykładów zatrzymania absurdalnych zakusów inwestorów, nabywców wystawionych na sprzedaż działek, na których proponowane funkcje nie gwarantowały zgodności z założoną pozycją miasta w skali kraju i Europy.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Nie mogę pochwalić się żadnym sukcesem materialnie potwierdzającym moją rolę jako „rajcy miejskiego", nawet własnej pracowni nie przeniosłem w bezpośrednie śródmieście, co może teraz jest zupełnie niezrozumiałe.

Wystarczającą satysfakcję daje mi obecnie efekt zarażenia władz miasta niezbędnymi potrzebami ruchów zasadniczych i ustalenia ich obowiązującej do dziś dnia zasady. Koleje mojego losu sprawiły, że w następnych kadencjach Rady nie byłem rozważany, gdyż odniesiony sukces w konkursie architektonicznym dla krajów germańskich na rozwiązanie projektowe kompleksu hotelowo-rekreacyjnego z europejską akademią golfa spowodował konieczność przeniesienia działalności zawodowej do Wiednia. Przez ostatnie miesiące I kadencji stamtąd uczestniczyłem w pracach Rady Miejskiej Wrocławia.

Wtedy, pamiętam, utwierdziłem się w tym, że przyjęte kierunki rozwoju przestrzennego miasta oraz jego detali są i będą kontynuowane.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Odpowiedź na to pytanie jest trudna, gdyż „chwała Bogu" jeszcze nie było klubów politycznych i była charakterystyczna, porażająca spontaniczność działania Rady. Ale jednak wielu radnych (chyba sterowanych z zewnątrz) ciągle miało usiłowania polityczne. Znana jest historia, jak to wielkie naciski na rozprawienie się od razu z „komunistycznym" nazewnictwem ulic i placów, odsuwane w czasie przez większość, zakończone zostały pokazaniem autorom tych przyspieszeń wiersza na cześć Stalina, autorstwa jednego z tej grupy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Pozasamorządowe instytucje społeczne nie nadążały wtedy, w I kadencji, za duchem Rady, która bardziej optymalnym lub bardziej impulsywnym działaniem chciała nadążyć za Europą samorządową – instytucje przecież były bardzo zachowawcze, nie bardzo wiedziały, co mogą. Jednostka rządowa, w jakiś sposób Urząd Wojewódzki jest pozasamorządowy, w sumie kontrolna i decyzyjna oraz stanowiąca o wartości uchwał samorządowych, była wtedy czynnikiem hamującym w poczynaniach, gdyż zostali tam ci sami ludzie, obyczaje i świadomość dotychczasowej roli. Nie było wymiany personelu, a więc dopływu „świeżej, rozumiejącej krwi", choć pozostawione przywództwo starało się, jak rzadko. Szczególnego znaczenia nabierała, z naszego punktu widzenia, sprawa interpretacji starej i nowej ustawy o planowaniu przestrzennym, hamująca zmiany w sposobie użytkowania.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Godna pochwały w tym „moim" czasie w Radzie była właśnie rodząca się aktywność wyborców. Powołując lokalne komitety obywatelskie stawali wtedy przed Radą z dezyderatami, które – często bardzo trudne – od razu stawały na sesjach Rady. Oczywiście były to sprawy z „własnych podwórek". Odbarczenie, wymuszające likwidację tranzytu przez śródmieście, komitety widziały w ten sposób, że ich to nie dotyczy. Oczywiście przykłady strat kulturowych musiały znaleźć zrozumienie, jak zamiana szkoły tysiąclecia na wielkie muzeum historyczne przy tzw. „PKWN Platz".

Z drugiej strony, wyborcy w tym czasie zrozumieli, że odbudowa wizerunku najświetniejszego i największego w tej części Europy placu miejskiego jest warunkiem dojścia do utraconej wcześniej świetności miasta. Nawet teraz młodzież z Krakowa jadąca na Zachód „na saksy" zatrzymuje się na największym w Polsce Rynku, by być przygotowanym na sukcesy w zachodniej części tego kontynentu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Tak sobie tego wcześniej nie wyobrażaliśmy, ale prowadzone w Radzie od razu kłótnie a także potrzeba osiągnięcia konsensusu skutkowały wyartykułowaniem poglądu, co mamy zrobić z pomocą Urzędu.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Krótko powiem – Biuro jak marzenie. Oddanie sprawie pań, od szefowej Biura począwszy, było pomocne w klarownym osiągnięciu postawionych kierunków rozwiązań.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Sądzę, że te elementy na moim etapie działalności w Radzie były nieistotne i nie stanowiły o istocie pracy tego gremium.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Architektury, Gospodarki i Rozwoju Przestrzennego z racji mojego przygotowania zawodowego, na innych strukturach się nie znałem. Miasto mianowało mnie przedstawicielem Rady do kontrolowania kierunków zagospodarowania przestrzennego różnych miejsc, jak np. placu Dominikańskiego. Ponieważ zostałem powołany przez Miasto do oceny tego, co miało powstać, starałem się być ostry w wyrażaniu swoich poglądów i mimo różnic zdań starałem się to robić jak najlepiej.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Wtedy nie było jeszcze klubów. Uważam, że powołanie klubów nie jest dobre, ponieważ zaczynają się interesy polityczne, które przeważają nad rozwiązywaniem problematyki miasta. Prezydentem wtedy był Bogdan Zdrojewski, zaś z układów politycznych wyszło na to, że aktualny prezydent Dutkiewicz nie został wojewodą i musiał zająć się czymś innym. Człowiek ten jako obecny prezydent miasta chciał dla Wrocławia jak najlepiej, ale jednocześnie partia, która go osłaniała nie jest partią, w której on się mieści. Efekt jest taki, że zobowiązania na rok 2012, mające mieć możliwości realizacji także pod względem finansowym, są hamowane centralnie z Warszawy.

Nasze miasto zasługuje na realizację różnych inwestycji dla równoprawnego uczestnictwa w Unii Europejskiej i całego potrzebnego przygotowania do współczesnego życia.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Dla mnie najważniejszy był układ gotowości do pracy na rzecz miasta, który pewnie się już nie powtórzy. Były to działania spontaniczne, wszystkim zależało i nie było w tej kadencji żadnych politycznych demonstracji. Żmudnie szło, aby wypracować całe układy operatywności we wszystkich dziedzinach budowy miasta od początku. Osobiście uważam, że nie było rzeczy szczególnych, przejmowaliśmy się, co prawda, różnymi sprawami, np. budową Galerii Dominikańskiej jako pierwszej inwestycji zbliżonej do centrum.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem, ponieważ połowę czasu spędzałem w Wiedniu, po wygranym tam konkursie, jednocześnie pracując nad koncepcją Węzła Bielańskiego we Wrocławiu. Wciąż wędrowałem, postrzegając rosnącą aktywność rad osiedlowych.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Generalnie oceniam źle. Jeśli chodzi o tamte czasy, to z mediami było nawet lepiej niż dziś, np. miałem parę wystąpień na temat działalności Wydziału Architektury Urzędu Miejskiego, podczas których przedstawiałem i uzasadniałem inny pogląd niż ten, który panował w mediach. Jak to możliwe, że w tym samym czasie niektórzy dziennikarze zajmowali się nauczaniem społeczeństwa o tym, co powinno być albo nie powinno być, oceniając wydarzenia w sposób absolutnie sprzeczny z opinią ludzi znających się na rzeczy? Przekładając to na prosty przykład: przychodzi człowiek, który jest przedstawicielem inwestora, zleca mediom, które za określone pieniądze piszą słów parę i tłumaczą społeczeństwu, że jak będzie to zrobione tak jak chce inwestor, to będzie bardzo dobrze. Jest to absurdem, gdyż jest to ukryta reklama, promocja, a nie obiektywna ocena działalności przestrzennej.



Anna DĄBROWSKA

Radna I kadencji.
Doktor nauk przyrodniczych.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

W 1980 r. działałam w strukturach związkowych, zajmowałam się służbą zdrowia. Pracowałam na Akademii Medycznej. W Komisji Zakładowej „Solidarności" zajmowaliśmy się problematyką służby zdrowia na różnych szczeblach struktur związkowych. Myślę, że działalność związkowa jest dobrą drogą do wejścia w działalność społeczną. Była to moja jedyna działalność funkcyjna. Wcześniej, przed „Solidarnością", nie należałam do żadnych organizacji.

Międzyzakładowy Komitet Założycielski „Solidarności" organizował kursy na temat demokracji, struktur demokratycznych. Po pracy biegaliśmy na plac Czerwony i słuchaliśmy bardzo dobrych wykładów na temat funkcjonowania różnych typów demokracji i zagrożeń demokracji. Wydaje się, że byliśmy dobrze przygotowani i mieliśmy dość dobre rozeznanie. Zwykle po kursach jeździliśmy do mniejszych miejscowości, gdzie pomagaliśmy zakładać struktury związkowe. Z oficjalnych źródeł nie można było nic wyczytać na temat samorządu.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Jeżeli problemy służby zdrowia są problemami miasta, a chyba są, to nimi się zajmowałam. Pracowałam też nad nowym projektem ustawy o szkolnictwie wyższym. Najbardziej zajmowałam się problematyką uczelni.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Byliśmy taką nietypową Radą, nie mieliśmy klubów, dyscypliny klubowej. Praktycznie wszystkie dyskusje odbywały się w trakcie posiedzenia. Każdy z nas, jeżeli chciał w miarę odpowiedzialnie głosować, musiał interesować się wszystkim.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Myślę, że można uznać za sukces pracę Komisji Rewizyjnej. Byliśmy odpowiedzialni za dwa wydziały Urzędu i nie minęły dwa lata, a prezydent wymienił kierowników tych wydziałów. Wtedy sprawy zaczęły iść właściwym torem. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej był pana dr Lenkiewicz, który w tym czasie bardzo punktował działania władz miejskich. Dochodziło do zatargów między Zarządem a naszym przewodniczącym. Uważam, że prezydent wtedy był w dość trudnej sytuacji. My byliśmy romantykami, a prezydent był pragmatykiem i musiał pracować z takim „garniturem", jaki miał. Prezydent miał taką dobrą cechę, że swoich pracowników bronił do końca, co nie podobało się przewodniczącemu Komisji Rewizyjnej, gdyż on chciał odnosić sukcesy. Jak wypunktowywaliśmy jakieś nieprawidłowości, to wtedy on lubił to nagłaśniać. Prezydent zaś, jak musiał rozstawać się z pracownikami, to robił to w ciszy i spokoju. Dla mnie nie był ważny spektakularny sukces, ale ważne było, że sprawa posuwa się do przodu.

Więcej sukcesów miałam w Komisji Zdrowia. Były to spektakularne sukcesy. Nasza komisja dość łatwo popadła w konflikt z izbami lekarskimi. Kiedy przejmowałam Komisję Zdrowia, sytuacja była ciężka i trzeba było dojść do jakiegoś kompromisu z izbami lekarskimi. Mogę się zaliczyć do pionierów promocji zdrowia. Dwadzieścia lat temu zdrowie kojarzyło się z lekarzem i pastylkami. O zdrowym stylu życia nawet z lekarzami było trudno rozmawiać. Twierdzili, że szkoda pieniędzy na nowości, jak nie ma na lecznictwo. W tamtych czasach nawet uczelnie nie przygotowywały studentów pod kątem promocji zdrowia. Dziś wszelkie takie informacje mamy w telewizji, radiu, gazetach, wtedy problem promocji zdrowia spotykał się z niezrozumieniem. Udało mi się wprowadzić Wrocław do Stowarzyszenia Zdrowych Miast Polski, gdzie działałam w zarządzie. Były to bardzo owocne spotkania. Dzieliliśmy się naszymi problemami, sukcesami, wymienialiśmy się informacjami. Myślę, że to Stowarzyszenie spowodowało pewien ruch, gdyż nawet dziennikarze przychodzili na zebrania na szczeblu krajowym i zaczynali się tym interesować. Na początku lat 90. zorganizowaliśmy pierwszy promocyjny happening poświęcony promocji zdrowego stylu życia i zapobiegania chorobom serca. Była to pierwsza akcja promocyjna tego typu na terenie Wrocławia.

W tamtym czasie został powołany Wydział Zdrowia, który mógł się zajmować promocją zdrowia. Bardzo mile wspominam współpracę z doktorem Sidorowiczem, który był Lekarzem Miejskim. Gdy kończyłam kadencję, jego biuro bardzo sprawnie działało. Było wiele akcji i programów promujących. Mam nadzieję, że to się później rozwinęło.

Powstał pierwszy dom opieki dla kobiet przy ul. Robotniczej. Był to wynik długich dyskusji na Komisji Zdrowia, z udziałem moich kolegów, którzy działali w Towarzystwie Pomocy im. św. Brata Alberta. Udało się to zrobić. Na ten cel został przekształcony żłobek.

Przy kościele Serca Jezusowego był zakład dla dziewcząt oraz dla osób starszych. Dwadzieścia lat temu Miasto miało ten problem, że samotni ludzie często mieszkali w dużych mieszkaniach komunalnych. Kiedy nastąpiły podwyżki czynszów, nie stać ich było na utrzymanie takich dużych mieszkań. Nie wiadomo było, co z tymi ludźmi zrobić. Moją ideą było przekształcanie pustych domów wypoczynkowych Funduszu Wczasów Pracowniczych na mieszkania dla osób starszych. Ludzie mieliby tam zapewnioną opiekę, dowożone byłyby obiady. Wtedy trudno było przebić się z taką ideą. Zarząd Miasta podjął decyzję o adaptacji na taki cel budynków po żołnierzach radzieckich przy ul. Kamieńskiego. Był to dobry pomysł. Ten dom funkcjonuje do dzisiaj. Z tego, co wiem, kolejki są tam długie, na miejsce czeka się co najmniej dwa lata.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

W naszej kadencji byliśmy pionierami. To, co chcieliśmy zrobić z reguły nam się udawało. Należałam do grupy zwolenników powołania rad osiedli, ale nie udało się wypracować większego powiązania miedzy radami osiedli a Radą Miejską.

Moją ideą było zorganizowanie rad osiedli na wzór terenowych struktur „Solidarności". Z krajowej komisji przychodziły informacje do regionu, później do komisji zakładowej. Zbierali się przewodniczący kół i dyskutowali. Informacje zbierane były na poziomie komisji zakładowej, potem przechodziły do MKZ lub na poziom regionów. Z punktu widzenia działacza związkowego wydawało mi się, że można podobnie zorganizować lokalny samorząd. Niestety, to nie wyszło. Kiedy zostałam przewodniczącą Komisji Zdrowia i Opieki Socjalnej, zebrałam wszystkich przedstawicieli opieki zdrowia. W mojej komisji był przedstawiciel rad osiedlowych. Spotykaliśmy się raz na miesiąc. Jako przykład posłużę się pewnym zdarzeniem, które mnie trochę zniechęciło do działania. Otóż, na zebraniu omawiany był problem związany z promocją zdrowia, stylem życia. Myślałam, że do większości dotarły te problemy, że wiedzą, czym powinni się zajmować. Pod koniec spotkania pewien pan oznajmił mi, że dbamy o pacjentów, gdyż właśnie wymalowaliśmy przychodnię. Zamiast zachęcać do zdrowego stylu życia, uprawiania sportu. Niestety przepływ informacji między Radą Miejską a radami osiedla nie wychodził. Innym razem, do Komisji Rewizyjnej przyszła skarga którejś rady osiedla na działalność Zarządu. Na zebraniu okazało się, że przygotowanie do działalności w strukturach demokratycznych było zerowe. Zupełny brak zrozumienia, jak funkcjonują rady osiedla.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Bardzo mi zależało na takiej współpracy. Istnieje pewien problem, otóż nie da się instytucji pozasamorządowej zorganizować tak, aby miała przedstawiciela w Komisji Zdrowia. Przedstawiciel ten mógłby być takim kontaktowym człowiekiem do porozumiewania się z nimi. Minusem takiej działalności jest to, że konkurują o pieniądze. W momencie, kiedy zaczyna się konkurować o pieniądze, to nie udaje się nic wprowadzić.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Nie najlepiej. Mieliśmy dyżury w klubie. Była o nich informacja. Przychodziła może jedna osoba, czasem kilka. Od czasu do czasu przychodzili z konkretnymi problemami. Myślę, że ludzie byli spokojni i zadowoleni ze zmian, wierzyli, że będzie dobrze. W ciągu czterech lat może miałam sześć wizyt.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nie mogę narzekać na tę współpracę, mimo niejednokrotnie różnicy zdań. Z Zarządem walczyliśmy o pieniądze, zwłaszcza na cele socjalne. Mimo że w Komisji Rewizyjnej wyciągaliśmy wiele spraw, to jednak uważam, że to pomagało Zarządowi.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze. Nie było problemów. Dostawaliśmy w swojej poczcie potrzebne materiały. Sprawy te trzeba było przeanalizować, przemyśleć, przyjść na Radę i głosować zgodnie z własnym sumieniem.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wtedy nie mieliśmy zbyt dużych wymagań. W Komisji Rewizyjnej nigdy nie było problemów z pracownikami Urzędu. Wszystko było załatwiane, gdy potrzebowaliśmy dokumenty lub chcieliśmy się czegoś dowiedzieć. Dziś jest zupełnie inaczej, dyskusje są na klubach. Dawniej dyskutowaliśmy na sesjach, które kończyły się nieraz o pierwszej w nocy. Była dyscyplina, za nieobecność ponosiło się sankcje.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Z racji zainteresowań zawodowych pracowałam w dwóch najtrudniejszych komisjach, Zdrowia i Opieki Socjalnej oraz w Komisji Rewizyjnej. Praca w tych komisjach była trudna, zwłaszcza w Komisji Rewizyjnej.

Oceniam je dość dobrze. Wtedy wszystko dopiero się budowało. Nawet sposób pracowania w komisjach trzeba było dostosować do danych warunków. Najbardziej pracochłonna była praca w Komisji Rewizyjnej. W tym czasie nie mieliśmy żadnych ekspertów, którzy by nam pomagali. Mile wspominam prof. Ziomeckiego, stanowiliśmy wówczas dobraną parę w Komisji Rewizyjnej. Naszym obowiązkiem było nadzorowanie Wydziału Architektury i Wydziału Nieruchomości. Profesor Ziomecki był archeologiem i posiadał taki dar archeologicznej dokładności. Całymi popołudniami przeglądaliśmy dokumenty przydzielonych nam wydziałów. Podchodziłam do tej pracy kierując się kobiecą intuicją, a profesor to wszystko archiwizował. Napotykaliśmy wiele problemów. Nasz Zarząd, radni mieli stary „garnitur" urzędników miejskich. W czasie naszej pierwszej kontroli zainteresowała nas sprawa związana z nową ustawą o zbywaniu nieruchomości za pomocą przetargów. Klauzula tam zawarta, mówiąca o wskazaniu lokalizacyjnym, zapewniała nabycie nieruchomości na drodze bezprzetargowej. Po naszej kontroli wykazaliśmy, że w poszczególnych spółdzielniach były decyzje lokalizacyjne na kilka nieruchomości, a w innych spółdzielniach lista oczekująca na takie wskazania była bardzo długa i nikomu nic nie przyznawano. Na nasze pytanie, dlaczego tak się dzieje otrzymaliśmy odpowiedź od osoby odpowiedzialnej za tego typu decyzję, „że trzeba znaleźć do mnie prywatne dojście". Z takimi problemami często musieliśmy się zmierzyć. Udało nam się dość szybko uporządkować te sprawy, a po dwóch latach powstało Biuro Obrotu Nieruchomościami, gdzie wszyscy w sposób jawny mogli się dowiadywać o danych terenach. Doprowadziliśmy także do jawności decyzji.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Mieliśmy to szczęście, że wtedy były komitety obywatelskie plus „Solidarność". Byłam w opcji solidarnościowej. Mieliśmy trzech radnych, którzy nie byli z tego komitetu wyborczego. Koalicje się tworzyły tematyczne. Jedno z największych, najtrudniejszych, najbardziej męczących posiedzeń było wtedy, gdy podchodziliśmy trzy razy do uchwalenia Statutu miasta. Uczyliśmy się tej demokracji. W trakcie uchwalania poszczególnych paragrafów, każdy z radnych mógł wnosić poprawki i proponować coś w zamian. One przechodziły lub nie. Po pierwszym uchwaleniu okazuje się, że nie są spójne. Za trzecim razem poprosiłam, aby jakiś prawnik po wniesionej poprawce mówił nam, jak ona ma się do poprzednich już uchwalonych, by takich sytuacji już nie było. Wtedy, zamiast prawnika, prezydent Zdrojewski nam wyjaśniał i potem szło sprawnie. Byliśmy jednym z pierwszych miast, które uchwaliły Statut. Było to obszerne dzieło i nie było proste je uchwalić. Uchwalaniu Statutu miasta towarzyszyła olbrzymia dyskusja i walka o rady osiedla. Byłam za radami osiedla.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Pierwszym wydarzeniem był ten Statut, który uchwaliliśmy o godzinie czwartej nad ranem. Największa dyskusja odbywała się od dwudziestej do drugiej w nocy.

Większość z nas idąc do Rady nie wiedziała, że będą jakieś diety. Część radnych chciała z nich w ogóle zrezygnować. Powstał potem kompromis i co miesiąc oddawano pieniądze w całości lub mniej na jakieś organizacje

charytatywne. Uważaliśmy, że przyszliśmy tu nie po to, by dostawać jakieś diety. Wiele osób było zbulwersowanych, jak można za tę pracę brać pieniądze. Było to bardzo charakterystyczne podejście, zwłaszcza tych, którzy działali w związkach.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Nie nigdy nie działałam w radach osiedlowych. Rady osiedla zostały wprowadzone uchwałą zatwierdzającą Statut miasta.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W tym czasie nie było zbyt dużo dziennikarzy przygotowanych do relacjonowania obrad. Mam nadzieję, że teraz to się poprawiło, gdyż jest więcej wyspecjalizowanych dziennikarzy. Lubili przedstawiać jakieś gafy. Kiedyś podczas dyskusji o Policji zniekształciłam nazwisko pana, który nazywał się Anioła, przekręciłam je na Anioł. Potem wszystkie gazety to podchwyciły i napisały. To była jedyna i najważniejsza informacja z całej sesji. Pamiętam też telewizję Echo, która organizowała spotkania z radnymi. Podczas programu omawiało się aktualne problemy. Potem to przejął prezydent Zdrojewski. Mówił ciekawie o problemach miasta. Dziennikarze na sesje przychodzili sporadycznie, a przecież nawet mieszkańcy mogli przychodzić. Przedstawiciele rad osiedli także nie przychodzili zbyt często. Najczęściej przychodzili dziennikarze z „Gazety Robotniczej", „Słowa Polskiego", „Wieczoru Wrocławia". Przedstawiali oni podstawowe, ważne dla Wrocławia uchwały, które podejmowaliśmy.

◇◇◇

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Mam bardzo optymistyczne nastawienie do świata i życia. Nawet jeżeli jakaś moja działalność nie kończy się sukcesem, to taką sytuację też uważam za powodzenie. Dwa dni temu miałam spotkanie z kupcami, którzy uważają, że dzieje się źle. Natomiast ja uważam, że dobrze, iż zaczynamy rozmawiać. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że nie jest to sukces. Jednak to jest pewien sukces, ponieważ w świadomości kupców i przedsiębiorców budzi się przekonanie, że coś należy naprawić. A więc, jeżeli dzieje się tak, że dobrze nie jest, to musimy zrobić coś, odwrócić tę sytuację. A dzieje się źle, ponieważ nie została w pełni zrealizowana uchwała, która mówi o wsparciu małej i drobnej przedsiębiorczości, a przynajmniej nie jest to tak, jak chcieliby tego przedsiębiorcy. Myślę jednak, że małymi krokami zostanie osiągnięty konsensus.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dzisiaj jest tak, że organizacje pozasamorządowe przejmują pewną działalność, którą kiedyś prowadził Urząd. Cieszę się, że na terenie Wrocławia działa dużo tych organizacji, ponieważ one przejmują pewne działania, które swego czasu należały do zakładów pracy czy urzędów. Dzisiaj tą sferą zajmują się organizacje pozasamorządowe. Jestem jedną ze współautorek prowadzonej swego czasu we Wrocławiu akcji – bezpieczna taksówka dla kobiet. Tak naprawdę chodziło o obudzenie w świadomości taksówkarzy takiej reakcji, że gdy późnym wieczorem widzi idącą kobietę, to jednak niech się zatrzyma, spyta, a może Pani pomóc? Zależało nam na uświadomieniu, że samotna kobieta wieczorem może być w zagrożeniu. Może to być przecież matka, siostra, córka któregoś z panów. Ta akcja trwała przez 3 lata i myślę, że zrobiła dużo dobrego. Współpracuję również z Kliniką Hematologii Dziecięcej pani profesor Chybickiej. W tej dziedzinie jest bardzo dużo do zrobienia. Cieszę się, że tego typu organizacje budzą w ludziach dobro, ponieważ jak człowiek ociera się o wiele tragedii, to wtedy w pewnym momencie się zatrzymuje i mówi, ja też mogę pomóc, i to jest właśnie piękne.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Z wyborcami jest różnie. Część wyborców idzie do urn i wybiera na chybił trafił. Wybory do rad miejskich natomiast polegają na oddaniu głosu na daną osobę. Myślę, że radni mają bezpośredni kontakt ze swoimi wyborcami albo się otarli o nich bezpośrednio, albo też współpracują ze swoimi wyborcami, gdyż nie jest to przypadek, że osoba nieraz z ostatniego miejsca na liście wyborczej zostaje radnym. Czyli nieprawdą jest, że głosuje się na pierwszą osobę z listy. Te wybory są jednak wyborami wprost na daną osobę i uważam, że tak powinno być, chcę mieć takiego radnego, który byłby mi pomocny i może zrobić wiele dobrego. Podczas dyżurów radnych ludzie przychodzą ze swoimi problemami. Nie ma takich dyżurów, podczas których radny nic by nie miał do zrobienia. Część ludzi, to tacy, którzy są zagubieni społecznie, część jest taka, że wytwarza sztuczne problemy, po to, żeby mieć kontakt z innymi ludźmi, i to jest zastanawiające. Uważam, że we Wrocławiu powinno powstać wiele świetlic dla osób starszych i takich punktów, gdzie ci ludzie mogliby się spotkać, ponieważ człowiek społecznie doceniony jest o wiele bardziej wartościowy. Ludzie przychodzą z problemami z danego środowiska albo też są to problemy indywidualne. Często jest im łatwiej przyjść do radnego na dyżur niż pójść do urzędnika i sprawę wyjaśnić bezpośrednio, ale my właściwie po to jesteśmy, żeby pomóc zarówno jednostce, jak i jakiejś społeczności. Uważam, że dyżury są potrzebne, a nawet myślę, że mogłoby ich być trochę więcej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nigdy nie miałam problemów z komunikatywnością – tak, jak wcześniej powiedziałam – mam bardzo optymistyczne podejście do życia. Uważam, że nawet, jeśli pojawia się bardzo trudna sprawa, to warto ją omówić, przeanalizować. Warto rozmawiać, bo może się jednak pojawi jakiś dobry moment do załatwienia danej sprawy. Moim zdaniem jest coraz lepiej. Urzędnik to nie jest już ta zaszłość z dawnych czasów. Urzędnik jest coraz częściej nastawiony na to, żeby pomóc i tak też się dzieje. Takie przynajmniej ja mam odczucie. Często załatwiam sprawy w Urzędzie jako zwykły petent i coraz bardziej podoba mi się przychylność i dobre nastawienie urzędników. Oczywiście, zdarzają się takie sytuacje, że nie da się dojść do porozumienia, w grę wchodzą nerwy i sprawy nie da się załatwić. Czasami po jednej i drugiej stronie puszczają nerwy, tak też się zdarza. Myślę jednak, że współpraca między Urzędem, radnym, mieszkańcem jest coraz lepsza.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Panie w Biurze Rady to wyjątkowo miłe osoby, a to jest też umiejętność przy współpracy z taką dużą grupą radnych, ponieważ każdy z nas jest inny, ma inny charakter. Nieraz na początku radni są zagubieni, bo jest sztuką ogarnąć to wszystko. Pomijam już tę współpracę merytoryczną: przygotowanie taśm, przepisywanie dokumentów, umiejętność rozmowy począwszy od prezydenta do najniższego stanowiska. Tu pracują wyjątkowi ludzie i taka jest moja ocena. Ta praca nie jest łatwa, tu trzeba znać i ogarnąć wiele problemów i mieć niesamowite umiejętności organizacyjne, ale także umiejętności pracy w stresie, gdyż jak przychodzi sesja i okazuje się, że nagle coś trzeba zmienić, poprawić, to ktoś, kto nie posiada takiej umiejętności miałby problem.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnej?

Laptop, który otrzymałam, chyba nie ułatwia mi pracy, mówię tak dlatego, że złości mnie to, że trochę wolno chodzi. Mam laptopa w pracy, w domu, a teraz jeszcze ten trzeci, który muszę czasami nosić ze sobą. Cóż, świat idzie do przodu i jeszcze trochę, a pojawi się inny sprzęt. Ja zawodowo „siedzę w papierach", więc jestem przygotowana do korzystania z takiego sprzętu, jak laptop, dyktafon itp. Nie mam zastrzeżeń co do dostępu do materiałów, ponieważ dzisiaj są takie możliwości, że z tym nie ma żadnych problemów. Cały Urząd jest kompatybilny, jeśli chodzi o komputery, telefony, więc jeśli ktoś czegoś potrzebuje, to naprawdę nie ma problemu.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracuję w Komisji Rewizyjnej. Na początku roku układamy plan działania komisji i później go realizujemy. W tej komisji trzeba mieć trochę doświadczenia życiowego i zawodowego, ponieważ jest to komisja specyficzna. Przeprowadzając kontrolę trzeba pamiętać, że oprócz dokumentów może być gdzieś tam jeszcze drugie dno. Jestem też w Komisji Bezpieczeństwa. Jest sporo osób, które składają skargi – skargę rozpatruje się przede wszystkim prawnie, a później dopiero merytorycznie. Myślę, że w tej komisji jest dużo do zrobienia, ale plan jest realizowany. Moją ulubioną komisją, w której pracuję, jest Komisja Inicjatyw Gospodarczych, tutaj czuję się wyjątkowo dobrze. Rzeczywiście jest tu ogrom pracy, którą należy wykonać, ale też wiele zostało zrobione, chociaż życie dopisuje ciągle nowy scenariusz. Żyjemy w czasach, kiedy zmienia się koniunktura ekonomiczna czy społeczna i to ma wpływ na inicjatywy gospodarcze i prowadzenie działalności gospodarczej, najczęściej mówimy o tych małych i średnich przedsiębiorcach. Duże koncerny oparte są na kapitale zagranicznym i dobrze sobie dają radę. Natomiast we Wrocławiu na 100% zarejestrowanych podmiotów gospodarczych około 92-94% to są średnie i małe firmy i w tej dziedzinie jest bardzo dużo do zrobienia, ale dużo też zostało zrobione.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

W Radzie reprezentujemy środowiska, z których się wywodzimy i myślę, że powinny być kluby, ponieważ samo życie do tego zmusza. Myślę, że radni reprezentujący daną partię powinni się spotykać w klubie i dyskutować, wymieniać poglądy. Powinno się dyskutować na temat problemów, które występują czy uchwał, które się pojawiają.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Takich wydarzeń jest sporo. Byłam wydelegowana, i uważam to za wyjątkowe szczęście, na pogrzeb papieża. To było coś tak niesamowitego i to przeżyłam wyjątkowo. Gdybym nie była radną, to w tym momencie też chciałabym tam być.

Cieszyłam się natomiast z takiego wydarzenia, kiedy np. udało mi się pomóc rodzinie wielodzietnej, która walczyła o mieszkanie. Nie musi być to coś spektakularnego, żeby mnie cieszyło.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałam bezpośrednio, ale mam kontakt ze swoją radą. Są rady na terenie Wrocławia, które działają bardzo prężnie, które znają swoje środowisko i wychodzą mu naprzeciw, są też rady, w których frekwencja w ostatnich wyborach powiedziała sama za siebie. Są rady, gdzie społeczność nie chce pracować, nie chce działać. Może uważają, że jest to niepotrzebne, a może ludzie są już zmęczeni.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Cenię dziennikarzy, którzy są dociekliwi, podchodzą do swojego zawodu bardzo uczciwie – takich dziennikarzy szanuję. Wiem, że powinni oni piętnować złe rzeczy i oczekiwać od radnych, by pracowali na rzecz jakiegoś środowiska czy problemu. Natomiast jest część dziennikarzy, którzy są niesumienni, nierzetelni, którzy wypisują czasem niestworzone rzeczy i robią tym krzywdę nie tylko danej społeczności, ale i radnym. Dziennikarz potrafi zniekształcić całą sytuację i wówczas radny, który naprawdę może dużo zrobić, zostaje przez środowisko odsunięty. Jest to tak, jak w każdym zawodzie, są bardziej lub mniej rzetelni pracownicy, niestety, dziennikarze mają niesamowity oręż, a czasem wystarczyłoby się po prostu dopytać. Takich przykładów można by mnożyć. Myślę, że w zawodzie dziennikarza można się pogubić idąc na totalną łatwiznę, a przecież przy odrobinie umiejętności można tak napisać, by artykuł opierał się na prawdzie.





Jerzy DUL

Radny IV i V kadencji.
Ekonomista.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Przed 1989 r. mało kto był przygotowany. Było niemożliwe, żeby z dnia na dzień, po przejściu z systemu totalitarnego do demokratycznego, być w pełni przygotowanym do sprawowania tego rodzaju funkcji. Ja miałem to szczęście, że działałem w opozycji demokratycznej, w związku z czym miałem dostęp zarówno do literatury, jak i do różnego rodzaju spotkań kształcących, przygotowujących kadrę do pracy w wolnej i niepodległej Polsce. Tylko z tych źródeł mogłem się nauczyć wiedzy o samorządzie, w szczególności samorządzie demokratycznym. Ponadto, pracę w samorządzie podjąłem w 2002 r., czyli 12 lat po pierwszych demokratycznych wyborach samorządowych, kiedy samorząd już „okrzepł" i był w pełni ukształtowany.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Ponieważ byłem w opozycji, nie mogłem się sprawami miasta zajmować. Tym zajmowała się ekipa wówczas rządząca.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan pełniąc funkcję radnego?

Z racji pełnionych funkcji zawodowych bliska mi była Komisja Infrastruktury Komunalnej i Ochrony Środowiska. Udzielałem się w tej komisji, podobnie jak w Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Uważam, że moje wykształcenie i doświadczenie zawodowe predysponuje mnie do zajmowania się tymi sprawami. A w Komisji Sportu jestem, ponieważ ze sportem było związane całe moje życie.

Co Pan uważa za największy sukces swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

Myślę, że wszyscy mieszkańcy Wrocławia, wychodząc na ulicę czy patrząc przez okno, widzą, jak zmienia się Wrocław, ile inwestycji zostało dokonanych w ostatnim okresie. Myślę, że jest to skutkiem inicjatyw podjętych przez poprzednich prezydentów, ale przede wszystkim aktualnego prezydenta Wrocławia. Ważne jest, że Wrocławiowi udało się wziąć udział w organizowaniu Mistrzostw Europy w piłce nożnej, to dało nam możliwość przyśpieszenia i pozyskania dodatkowych środków. Ponadto w perspektywie lat 2007-2013 mamy możliwość uzyskania bardzo dużej pomocy ze środków unijnych, a Wrocław jest w czołówce miast polskich, jeżeli chodzi o ich wykorzystanie. Na każdym kroku widać, że Wrocław się zmienia i to z dnia na dzień.

Co uznałby Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Przyznam szczerze, że nie widzę drastycznych punktów, które można by uznać za niepowodzenie.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca się układa bardzo dobrze. Myślę, że wiele osób w mieście, jak i w województwie widzi, że mamy jeden wspólny cel, który staramy się wspólnie realizować.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wielu mieszkańców Wrocławia jest zainteresowanych swoimi sprawami osiedlowymi, ale wielu też interesuje się całokształtem działalności Miasta. Maile, jakie otrzymuję w tej sprawie, zapytania i rozmowy na spotkaniach z mieszkańcami świadczą o tym, że zainteresowanie mieszkańców sprawami miasta jest bardzo duże. Nie ma dyżurów radnych, na które by ktoś nie przyszedł. Przychodzą różni ludzie, nieraz po to, by załatwić swoje osobiste sprawy, z którymi nie mogą się „przebić", czasami by podzielić się swoimi obserwacjami na temat funkcjonowania różnorodnych dziedzin miasta. Natomiast kwestie globalne, dotyczące osiedli i miasta, poruszane są przeważnie na spotkaniach z radami osiedli i na otwartych spotkaniach z mieszkańcami.

Jak układały się i układają stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nie było takiej sprawy (w większości były to sprawy przekazywane mi przez mieszkańców Wrocławia), z którą bym się zwrócił do urzędników miejskich i nie spotkał się z rzeczową i szybką odpowiedzią ze strony władz miejskich. Nie mam powodu, żeby narzekać na te kontakty. Zawsze trafiam na bardzo dobrą współpracę.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo poprawnie. Biuro służy nam pomocą w wykonywaniu mandatu radnego i zawsze ta współpraca układa się wręcz wzorowo.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Przygotowanie techniczne jest na wysokim poziomie. Każdy radny ma do swojej dyspozycji komputer, posiada możliwość dostępu do każdego rodzaju materiałów. Nie ma na co narzekać.

W jakich pracował Pan komisjach i jak Pan ocenia ich pracę?

W IV kadencji pracowałem w Komisji Infrastruktury Komunalnej i Ochrony Środowiska, Komisji Nominacyjnej, Komisji Inicjatyw Gospodarczych, Komisji Sportu i Rekreacji. W tych dwóch ostatnich pracuję również w aktualnej, V kadencji. Jeżeli chodzi o ocenę, każda z tych komisji zajmuje się inną dziedziną i każda ma swoją specyfikę. Do każdej z nich można coś nowego wnieść, dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy o funkcjonowaniu miasta i w wielu przypadkach rozwiązywać problemy wspólnie z urzędnikami miejskimi.

Co Pan sadzi o celowości powoływania klubów radnych i jak Pan ocenia ich pracę?

Mamy taką a nie inną ordynację wyborczą. Do wyborów przystępują zarówno ugrupowania polityczne, jak i inne stowarzyszenia i związki, które chcą realizować swój program. W związku z tym jest naturalną rzeczą, że po wyborach tworzą one swoją reprezentację w samorządzie. Dopóki mamy taki system wyborów myślę, że powoływanie klubów jest celowe i spełnia oczekiwania wyborców.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Rada zajmuje się na co dzień bieżącymi sprawami miasta. Jest ciałem uchwałodawczym, wskazującym kierunki działania dla władzy wykonawczej, jaką jest prezydent. Jednak w pamięci zapisują się wydarzenia nadzwyczajne, chociażby jak to ostatnie związane z uczczeniem ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem, które miało miejsce w ostatni piątek, połączone z uroczystą Sesją Rady Miejskiej, na której wspominano poległych Dolnoślązaków. Podobne spotkanie miało miejsce w związku ze śmiercią Jana Pawła II.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Nie działałem nigdy w radach osiedlowych. Miałem natomiast możliwość spotykania się z przedstawicielami rad i mogę powiedzieć, że wszystko zależy od ludzi, którzy w tych radach pracują. Są rady bardzo prężne, które dbają o swoje osiedla i ich mieszkańców, ale są i takie, które nie wywiązują się ze swoich zadań tak, jak należałoby. Wszystko zależy od ludzi, od tego, jakich przedstawicieli mieszkańcy sobie wybiorą.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media na bieżąco informują społeczność lokalną o tym, co jest dla niej najważniejsze w funkcjonowaniu miasta. Myślę, że lokalne media w sposób należyty wykonują swój obowiązek informowania mieszkańców na temat tego, co się dzieje w mieście.

◇◇◇

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pierwszą, jedną z trudniejszych spraw, była organizacja systemu planowania przestrzennego we Wrocławiu i sprawienie, żeby ten proces był jak najbardziej profesjonalny, obiektywny, nie poddany krótkotrwałym tendencjom i wewnętrznym bodźcom powodowanym mniej ważnymi, niemerytorycznymi przyczynami. Druga sprawa, to prywatyzacja struktury komunalnej. Chodziło o lokale handlowe, był to bardzo trudny, drażliwy temat, który wtedy prowadził Krzysztof Turkowski. Zajmowałem się także skomplikowaną kwestią urealnienia opłat gruntowych za wieczyste użytkowanie terenu. Najtrudniejszą rzeczą, w której poniosłem pewnego rodzaju klęskę, która, mam wrażenie, odbiła się też bardzo niekorzystnie na rozwoju miasta przez długie lata, była kwestia przekształceń terenów rolnych w tereny budowlane. W tym temacie, powiedziałbym, poległem. Chodziło o zbyt duże pieniądze, zbyt wielkie grupy interesu. Nie dało się działać skutecznie. Obserwowałem, co się dzieje, gdy opuściłem Radę, i zauważałem, że, niestety, wielkie grupy interesu zwyciężyły nad sensownym procesem przekształceń terenów Wrocławia w tereny budowlane.

Co Pan uważa za największy sukces swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Myślę, że największym sukcesem Rady było ukształtowanie systemu samorządowego w bardzo wielu aspektach, począwszy od rzeczy, wydawałoby się mniej ważnej, typu – nazewnictwo ulic, poprzez podstawową symbolikę miejską – herb miejski, który był właśnie symbolem władzy miejskiej, dalej – ukształtowanie zrębów skutecznego funkcjonowania Urzędu. Zajmowałem się przygotowywaniem systemu organizacyjnego Wydziału Architektury i Biura Rozwoju Miasta i mam wrażenie, że to do dzisiaj nawet dość sensownie funkcjonuje.

Myślę, że takim ogromnym sukcesem był początek procesu rewaloryzacji centrum miasta. Pamiętam, że długo zastanawialiśmy się, jak zacząć. Przeważyła idea rewaloryzacji Rynku. Dążyliśmy do tego, żeby ten symbol, czyli plac, który stanowi w tej chwili przedmiot identyfikacji własnej wrocławian, nabierał sensownego kształtu. Tak się stało, i to też jest wielkim sukcesem tej kadencji. Oczywiście, kolejne kadencje też w tej sprawie bardzo wiele zrobiły, ale my rozpoczęliśmy ten proces, wtedy zostały podjęte decyzje.

Były też mniejsze, jednostkowe rzeczy, z których jestem dumny. Częściowo za swoje „dziecko" uważam dziedziniec Arsenału wrocławskiego. Udało się namówić radnych do tego, żeby ta budowla pełniła funkcję Archiwum Budowlanego. Uważam, że to jest jedno z ciekawszych miejsc Wrocławia. Archiwum Budowlane jest też jedną z lepszych instytucji Wrocławia.

Bardzo sensownie nam się działało pod kierunkiem pana Zbyszka Karneckiego w Komisji Kultury. Mocno wzięliśmy sobie do serca, żeby kontrolowane były pieniądze publiczne, które są przekazywane na funkcjonowanie instytucji kultury, m.in. teatrów. Pamiętam, że te pieniądze w sposób świadomy były wydawane, nie było to kierowanie się polityką czy układami personalnymi, lecz jakością przedstawień.

Do spraw, które wtedy się rozpoczęły, a które potem bardzo długo czekały na realizację, należała kwestia obwodnicy miejskiej. Pamiętam to jako wielkie przeżycie – latałem samolotem i helikopterem, i wybieraliśmy trasę obwodnicy. Teraz dopiero jest ona budowana, więc po ilu latach! A wynikało to między innymi z tego, że ewidentnie źle była prowadzona polityka dotycząca obrotu nieruchomościami. Istotą działalności komisji, którą prowadziłem, była właśnie kwestia przede wszystkim planu zagospodarowania przestrzennego, obrotu nieruchomościami, przyjęcia uchwał, które sprawiałyby, że obrót byłby prowadzony w sensowny sposób, dla dobra miasta.

Ostatni z działów naszej działalności, to oczywiście uczestnictwo w różnych konkursach architektonicznych, opiniowanie zarówno planu zagospodarowania przestrzennego, jak i wtedy nowo pojawiających się projektów. Niektóre z tych projektów dzisiaj pewno wrocławianie mogą uznać za nieudane, bo jest to i Solpol, i parking wielopoziomowy, ale wiele z nich się sprawdza.

Pamiętam przeżycia towarzyszące trudom sprzedaży kamienic w centrum miasta, nikt nie był tym zainteresowany, dzisiaj jest to zupełnie nie do pomyślenia, jest bitwa o każdy metr kwadratowy.

Pewnym osiągnięciem były początki kontaktów międzynarodowych. Wielokrotnie jeździłem do Francji na targi komunalne i spotkania, w których zaczęli uczestniczyć przedstawiciele samorządów z nowych demokratycznych państw wschodnio czy centralnoeuropejskich.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Bardzo bolesne dla mnie było upolitycznienie Rady. Ważniejsza stała się przynależność do grupy albo partyjnej, albo interesów, różnie to bywało (myślę, że te rzeczy się ze sobą łączyły), od tego, jaki będzie miała skutek dla Wrocławia dana decyzja czy opinia.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Były takie kontakty, chociażby z instytucjami kultury, i to były dobre kontakty. Nie pamiętam jakichś trudnych momentów, może poza takimi, kiedy z kolegą radnym chodziliśmy kontrolować finanse, np. Muzeum Historycznego. Pamiętam, że pan Łagiewski przynosił teczki, a my musieliśmy je przeglądać, stronica po stronicy, bo nakazali nam to koledzy z komisji. Dzisiaj to zupełnie niewyobrażalne, to było „ręczne sterowanie", ale może wtedy było to słuszne, to był początek działania samorządowego Muzeum Historycznego. Skoro nam się powierzyło odpo-

wiedzialność za publiczne pieniądze, całkiem duże w owym czasie dla Miasta, to trzeba było tę odpowiedzialność wziąć w swoje ręce.

Z Urzędem Wojewódzkim różnie się układało, ale nie pamiętam jakiś konfliktów. Pamiętam, że w kwestiach architektury mieliśmy różne zdania z panem Włodzimierzem Szostkiem, ale umieliśmy się dogadać. Interes państwa był nieco różny od interesu miasta. Później wielokrotnie obserwowałem sztucznie wywoływany konflikt, który chyba był powodowany głównie ambicjami, a nie sprawami merytorycznymi.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność?

Pamiętam panią, która przychodziła zawsze do mnie o dziesiątej wieczorem do domu w sprawie ogródków działkowych, których już dzisiaj nie ma, w tej chwili jest tam duże osiedle uniwersyteckie, na końcu ulicy Jaracza. Przychodziła w obronie tych ogródków. Ja zawsze twardo stałem na stanowisku, że trzeba mówić prawdę od samego początku, z tym, że rozmawiałem z nią szczerze i starałem się być sympatyczny; ona mnie chyba jednak lubiła, mimo tego, że mówiłem, że ogródki nie mają żadnych szans.

Wiele osób przychodziło na dyżury radnych w sprawach drobnych, ale też bywały osoby, które w występowały w istotnych sprawach. Pamiętam bardzo trudną sytuację, kiedy zostałem wysłany jako negocjator na Rynek do grupy protestującej – byli to kupcy „Społem", tzn. tej dużej organizacji, która miała właściwie wszystkie lokale użytkowe w centrum. Mówiliśmy, że trzeba te lokale sprywatyzować. To był bardzo trudny i niewdzięczny proces, ale trzeba było to zrobić. Niestety, muszę powiedzieć, że tych lokali nie sprywatyzowano do końca, bo często zostały i nadal pozostają w rękach miejskich.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Powiedziałbym, że bardzo konstruktywnie – nie pamiętam tych złych momentów – na ogół bardzo dobrze. Władza wykonawcza rzeczywiście była władzą wykonawczą władzy ustawodawczej, którą była Rada Miejska. Ja tę władzę, jako władzę ustawową, jako radny, przewodniczący komisji, czułem bardzo wyraźnie. To oczywiście mogło mi nawet trochę w głowie przewrócić, bo to była bardzo wielka władza. Było to w tym momencie, kiedy się tę Radę tworzyło, kiedy całe miasto było komunalne, a wielkie obszary rozdzielało się pomiędzy poszczególne branże.

Najczęstsze kontakty miałem oczywiście z Wydziałem Architektury i ze wszystkimi po kolei dyrektorami tego Wydziału, którzy mieli niemalże obowiązek przychodzić na wszystkie zebrania mojej komisji, która zbierała się dwa razy w tygodniu.

Moje kontakty z prezydentem Zdrojewskim było bardzo miłe, myślę, że ta sympatia była obopólna. Zdarzały się jednak sporne elementy. Jako radny uważałem, że prezydent jest zbyt spolegliwy wobec tych wszystkich złych sił, które wokół niego się zaczynają tworzyć. Te grupy lobbingowe bardzo mocno działały przez całe lata 90., drugą połowę lat 90. To był taki etap rozwoju gospodarki, wszyscy o tym wiemy. Na tym tle powstał między nami pewien konflikt. Moje stosunki z prezydentem miały charakter koleżeński, dzięki czemu mogliśmy sobie powiedzieć dużo więcej. W I kadencji Rady Miejskiej nie było jasno określonej przynależności partyjnej, wymuszającej wewnętrzną lojalność. My mogliśmy mówić prawdę, to, co naprawdę uważamy, to, co naprawdę wiemy.

Do każdego spotkania mojej komisji starałem się przygotowywać sprowadzając różne materiały, nie tylko z Polski, ale również z zagranicy. Każdemu z kolegów mogłem powiedzieć wszystko, co uważam, ponieważ nie było żadnego przymusu lojalności partyjnej. Miałem wtedy 32-33 lata, natomiast prowadziłem komisję, w której było czterech czy pięciu najważniejszych, jeżeli chodzi o architekturę i urbanistykę, wrocławskich profesorów. Oczywiście miałem dla nich ogromny szacunek, ale też widziałem, że w komisji potrzebny jest młody, dynamiczny człowiek, który czasami potrafi powiedzieć ostrzej, mocniej, szybciej to, co oni chcieliby powiedzieć, ale się może trochę bali. Także kontakt między nami był bardzo fajny. Niestety, bardzo wyraźnie zaczęło się to psuć pod koniec kadencji – wtedy, kiedy zaczęły się podziały na partie i koledzy zaczęli mówić językiem nie swoim, lecz cudzym, i robić dziwne miny, które dla mnie nie były zrozumiałe.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej mnie bardzo często karciło, i miało rację: albo, że brzydko piszę, albo, że zjadłem wszystkie cukierki, które leżały na stole, bo zawsze byłem potwornie łakomy, albo, że za często chcę się gdzieś tam spotykać, a to kosztuje jakieś pieniądze. Ale naprawdę pani dyrektor, pani Śledzińska była dla mnie wielkim autorytetem, dokładnie wiedziała, jak to wszystko ma funkcjonować. Pamiętam początek działalności, kiedy w sposób naiwny nie tylko prowadziłem zebrania, ale je protokołowałem, potem zostawałem do nocy i próbowałem spisywać te protokoły – bardzo dokładne, dotyczące niezwykle ważnych spraw. Potem mi powiedziano: „pan ma dwie panie sekretarki, niech się one tym zajmą" – w ogóle do głowy mi to nie przyszło.

Następna rzecz, pamiętam, jechaliśmy z panem Zenonem Wysłouchem i panem Pawłem Skrzywankiem na delegację, niezwykle ważną, zawrzeć jakieś pierwsze kontrakty z Francuzami. Nie było kierowcy, więc ja prowadziłem ten samochód, tego Poloneza, na zmianę z panem Zenkiem Wysłouchem, bo Paweł Skrzywanek nie miał prawa jazdy. Jechaliśmy sami tym samochodem, który się nawet zaczął psuć na granicy – to nie do pomyślenia dzisiaj. Mieliśmy średnie przygotowanie językowe, żadnego tłumacza, żadnych diet, itd., ale to było inne działanie, to była

radość, coś z tego rzeczywiście wynikało, była satysfakcja. No i żywe zainteresowanie nie mediów, ale wyborców, którzy pytali bardzo często o różne sprawy, które się omawiało.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Pamiętam moje pierwsze, „zapyziałe" biuro na ul. Zapolskiej. Potem było zdecydowanie lepiej, w budynku Sukiennic, a jeszcze po drodze była sala przy Nowym Targu, jako sala radnych. Pamiętam sytuację, kiedy kolega, który siedział obok mnie, w pewnym momencie powiedział: „słuchajcie, ale to jednak my chyba jesteśmy jakaś władza, to może byśmy w garniturach zaczęli przychodzić, w marynarkach?" I to było już po dwóch czy trzech miesiącach sprawowania tej władzy. Ktoś komuś zwrócił delikatnie uwagę: „wie pan co (czy po imieniu), słuchaj, tak chyba nie wypada, jak sobie jesz kanapki podczas obrad". Takie to były czasy normalnych ludzi, którzy uzyskali nagle wielką władzę. Na pewnym etapie, też nie bez oporów, zaczęliśmy korzystać z bezpłatnych biletów Komunikacji Miejskiej, co zresztą bardzo dobrze nam zrobiło, bo co aktywniejsi radni spisywali punktualność tramwajów i autobusów; kierowcy nas nie lubili. Pamiętam, że był taki krewki radny, który się zawsze przyczepiał do tramwajarzy i do kierowców autobusów, że oni albo za wolno, albo za szybko jadą, albo za długo stoją.

Pamiętam posiedzenia Rady Miejskiej, miałem stały konflikt z żoną, ponieważ wracałem późno do domu. Sesje zaczynały się o godzinie czternastej, piętnastej i trwały do drugiej, trzeciej w nocy, dyskutowaliśmy, wymienialiśmy się argumentami. Wychodziłem z sesji niezwykle zadowolony, gdy udało się wygrać kilka głosowań. Jeżeli byłem przekonany i miałem argumenty udawało mi się przekonać kolegów, dosłownie dwóch, trzech głosów czasami brakowało, albo była ich wystarczająca liczba, żeby taką czy inną uchwałę przeprowadzić. Wszystko było robione w sposób naturalny, żadne biura tego nie przygotowywały. W komisji raz zamówiliśmy ekspertyzę prawną do przygotowania bardzo dużej, poważnej uchwały dotyczącej spraw przekształceń terenów rolnych w tereny budowlane, a która była zbudowana na wzorze prawa francuskiego, które specjalnie z Francji przywiozłem, i polskiego prawa przedwojennego. Konieczne było profesjonalne tłumaczenie, złożenie tego w uchwałę, więc zatrudniliśmy jakieś biuro zewnętrzne, które nam pomogło to zrobić. Wynik, niestety, był żaden.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Muszę powiedzieć, i to powiem nieskromnie, że pracę Komisji Architektury tamtego czasu oceniam bardzo wysoko. Powiem, że ilekroć z kimkolwiek rozmawiam o tym, gdy spotykam kogoś, kto pamięta te czasy i działania tej komisji, skutki jej działania – to jego zdanie jest podobne. Wyjątkowo merytorycznie pracująca komisja, ze składem wyjątkowo merytorycznym. Był w niej profesor Wdowiak (nieżyjący), profesor Jagielski (nieżyjący), no i później znaczące postacie z rynku architektonicznego, Tadeusz Sawa Borysławski, pan Ryszard Daczkowski czy pan Poniewierka. Byli także z zewnątrz zaproszeni eksperci, m.in. nieżyjący już pan Marek Dziekoński (wnuk słynnego architekta warszawskiego), który się pojawiał na posiedzeniach komisji, podobnie jak i inne osoby. W tej chwili na posiedzenia komisji chyba nie zaprasza się ekspertów zewnętrznych. My zapraszaliśmy. Byli oni stałymi albo co pewien czas pojawiającymi się ekspertami komisji.

Komisja Kultury, myślę, że ona była świetna właśnie poprzez to, że tam dokonywano rzeczywistej oceny efektów pracy instytucji kultury, robiły to osoby, które w tych pracach uczestniczyły, i oczywiście pan Zbyszek Karnecki, szef tej komisji. Tam byli ludzie, którzy mieli coś do powiedzenia i to dawało sensowne rezultaty. To wszystko oceniam wysoko.

Myślę, że do pewnego momentu skuteczność Rady Miejskiej, jeżeli chodzi o podejmowanie uchwał, też była niezła. Głosowania nie były automatyczne, za każdym razem trzeba było wniosek argumentować, rozważało się „za" i „przeciw". To nie było w żaden sposób związane z jakąś z góry przyjętą taktyką czy polityką, dopiero potem, na sam koniec, te argumenty zaczęły się pojawiać. Zarząd nigdy nie wiedział, co usłyszy i my nie wiedzieliśmy, co usłyszymy od Zarządu, to nie było tak, że wszystko było „rozdane" od samego początku, ukartowane. To było świetne. To oceniam wysoko.

Następny proces, który się udał, to kwestia nazwania czy przemianowania placów i ulic – to było w miarę proste. Zbyszek Magdziarz i jego komisja, w której byłem, zrobiła to całkiem zręcznie.

Natomiast pewne rzeczy nie zostały zrobione. Nie zapadła uchwała, którą uważam za jedną z ważniejszych, w sprawie przygotowania odpowiedniej ilości terenu pod rozwój systemów komunikacyjnych Wrocławia. To też wynikało właśnie z funkcjonowania grup interesu. Te procesy o ogródki działkowe i różne inne rzeczy wynikają właśnie z funkcjonowania tych grup interesu, a nie z sensownego, mocnego prawa miejskiego. Uważam, że źle się stało, iż nie uchwalono planu zagospodarowania dla całego obszaru miasta, nawet uproszczonego. Nie dało się tego zrobić. Bardzo trudne uwarunkowania prawne sprawiły, że tego nie zrobiono, ale nigdzie w Polsce tego nie zrobiono, więc nie możemy się uważać za specjalnie „grzesznych". Uważam, że proces prywatyzacji lokali użytkowych nie był dokończony w sposób konsekwentny, nie zdążyliśmy tego zrobić po prostu. To w dużym stopniu się stało, ale powinno to być zrobione powszechnie, tak samo jak z mieszkaniami. Nie jest do końca sprawiedliwie, że mieszkańcy mogą mieć mieszkanie za darmo, a ci, którzy lokale użytkują tych lokali nie mogą przejąć.

Za pewną klęskę uważam to, że nie zdołano uruchomić wewnętrznej kolei miejskiej. Były takie próby, zostały one jednak storpedowane przez MPK. Chodziło o podłączenie toru tramwajowego do linii kolejowej pomiędzy

Leśnicą a Brochowem. Poznań zrobił szybki tramwaj, inne miasta też zdołały to zrobić – myśmy już tego nie zdołali zrobić. Myślę, że nie mieliśmy szans, żeby ten proces zakończyć, ale przynajmniej trzeba było zacząć. Pamiętam, że byłem zapisany do grupy inicjatywnej i bardzo mocno w tej sprawie współdziałałem, ale wyraźnie było lobby przeciwne temu, reprezentujące interesy firm komunikacji i innych, tych, którzy mają „dmuchane koła".

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Za moich czasów ich nie było i było dobrze. Na temat klubów politycznych nie mam prawa się w ogóle wypowiadać, bo w tym nie uczestniczyłem. Powiem tyle, że nasze kluby były po prostu komisjami i klubami związanymi z jakimiś konkretnymi zainteresowaniami, ale nie były związane z partiami. Pamiętam, że kilka uchwał projektowaliśmy wspólnie z osobami z różnych komisji, z bardzo dobrym skutkiem. Potrafiliśmy dobrze się przygotować do odpowiedniego podejmowania odpowiedniej uchwały, która była wspólnie pisana. Więc to były kluby. One były powoływane okazjonalnie wraz ze sprawami, które trzeba było rozwiązać. Jeżeli natomiast mają być to kluby, które się powołuje po to, żeby się dobrze czuć w grupie, mocno, po to, żeby trwać w swoich poglądach i swoich grupach związanych z polityką czy partiami – to mi się to nie podoba. Jestem daleko od tego, żeby myśleć, że takie grupy mogą korzystnie działać w samorządzie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Dla mnie był bardzo wzruszający sam moment powołania tej pierwszej Rady, wolnej Rady, bo to była realizacja tego, o czym marzyłem przez lata, od osiemnastego, dziewiętnastego roku życia. Jak była przysięga składana w Sali Wielkiej Ratusza, to byłem bardzo wzruszony, pomyślałem, że „nowy świat" się przede mną otwiera, że jestem naprawdę w kraju, który zaczyna być, bo to był początek, krajem demokratycznym. O to walczyłem, za to nawet w więzieniu trochę siedziałem.

Bardzo ważne dla mnie były pierwsze kontakty zagraniczne, to, że możemy mieć kontakty z Europą, że one są merytoryczne, nie dotyczą „bicia piany", tylko konkretnych projektów, które tam chcemy zobaczyć albo uzyskać wiedzę na ten temat. Zasadnicze znaczenie miały dla mnie momenty, kiedy obserwowaliśmy, że zaczynają się Wrocławiem interesować inwestorzy, że coś się może we Wrocławiu pojawić, że coś możemy zbudować dla mieszkańców. Ważne były pierwsze wizyty na placu budowy na Rynku, oglądaliśmy pierwsze wykopy i plany zagospodarowania Rynku, posadzki, pierwsze latarnie, których kształt zresztą zmienialiśmy. Dla mnie bardzo ważne było, przejmujące niemal, przyjmowanie uchwały o przebiegu obwodnic, natomiast efekt jest, jaki jest. Po wielu latach będziemy mogli, mam nadzieję, wreszcie się doczekać, a tę uchwałę przyjmowaliśmy na koniec kadencji, chyba w 1993 r.

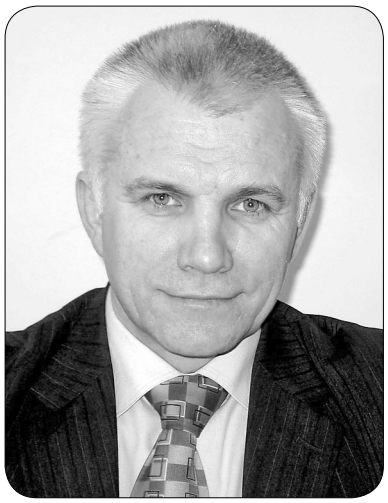
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Powiem wprost – jestem przeciwny radom osiedla i od samego początku byłem przeciwny. Zresztą zacząłem sobie wtedy robić wrogów w samorządach, bo było kilku radnych, którzy troszkę chcieli może karierę jakąś zrobić na tym tzw. poparciu lokalnym. Mój 82-letni ojciec jest działaczem takiej rady osiedlowej i widzę paranoidalność takiego działania. Do niczego specjalnie to nie prowadzi poza tym, że ktoś tam jakieś żale wyleje. W układach europejskich rad osiedlowych nie ma. Nie jestem zwolennikiem „kraju rad", po prostu, i uważam, że skutecznie funkcjonująca Rada Miejska zupełnie wystarczy – jest tym, czego potrzeba. Organizujmy komitety, kiedy nie możemy czegoś załatwić, będzie wtedy komitet „za" albo „przeciw". Niekoniecznie trzeba mieć biuro, budżet i sekretarkę, to prowadzi do skostnienia i sztucznego wywoływania tematów. Miałem też takie niesympatyczne kontakty z radami polegające właśnie na załatwianiu albo odbieraniu koncesji alkoholowych, i przestało mi się to podobać zupełnie. Uważam, że jest to kompetencja Rady Miejskiej, a nie kogokolwiek innego.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest duże, i bardzo dobrze, że jest duże zainteresowanie mediów. Musimy jednak sobie zdawać sprawę, że media mają własną politykę, polegającą na tym, że trzeba szukać takiego tematu, który pozwoli gazetę sprzedać. Za moich czasów media były dużo słabsze, wywiadów prawie w ogóle nie było. Były audycje w radiu. W telewizji Echo, pierwszej prywatnej telewizji, opowiadaliśmy o tym, co Rada robi. To było bardzo ważne, ale potem okazało się, że tylko pan prezydent może tam występować, nas jakoś z tego wypchnięto. On to świetnie robił, jest w tym względzie do tej pory genialny i bardzo go podziwiam za to, ale to nie było do końca właściwe, bo skończyło się mówienie o konkretnych, naprawdę załatwianych sprawach. Owszem, prezydent mówił o konkretnych, załatwianych sprawach, ale nie po to, żeby te sprawy załatwić, tylko raczej w celach propagandowych. Z drugiej strony, to Zdrojewski nas nauczył, do czego telewizja służy.





Marek FORIASZ

Radny I kadencji.
Absolwent Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, nauczyciel.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Myślę, że generalnie nikt nie był przygotowany do wykonywania nowych obowiązków, bo tak naprawdę, po II Rzeczypospolitej nie mieliśmy do czynienia z klasyką demokracji. Byliśmy innym ustrojowo modelem, w związku z tym, tak naprawdę, wchodziliśmy do Rady bardziej z dobrymi chęciami niż z kompetencjami.

Moją przygodę z działalnością radnego poprzedziło współdziałanie ze Związkiem Zawodowym „Solidarność" Rolników Indywidualnych, z którym współpracowałem jako doradca. W połowie lat 80. uczyłem się, zdobywałem wiedzę w zakresie działalności antytotalitarnej i tworzenia warunków do działalności, która byłaby oparta na równości i współpracy. Z takim bagażem doświadczeń zostałem powołany, a wcześniej wskazany przez mieszkańców Wrocławia do Rady Miejskiej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Wyłącznie w zakresie ochrony interesów rolników indywidualnych, bo w tym i z tym związkiem zawodowym współpracowałem.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Trzeba by się cofnąć do lat 90. i wcześniejszych, kiedy gospodarka rolna we Wrocławiu była jedną z dominujących dziedzin gospodarki miasta. Godzenie interesów rozwijającej się aglomeracji i interesów rolników stawało się istotnym wyzwaniem dla tej grupy zawodowej. Działanie poprzez Komisję Rolną Rady Miejskiej, m.in. miało gwarantować przygotowanie zasad i procedur łagodnego przechodzenia od starego stanu do stanu nowego, m.in. odrolniania terenów miasta pod inne funkcje. Tym się zajmowałem. Drugi obszar, który interesował mnie z racji mojego wykształcenia, to była kultura fizyczna i przywrócenie miastu, przede wszystkim jego mieszkańcom, dostępności i swobody korzystania z obiektów sportowych. Trzeci obszar, to gospodarka mieszkaniowa. Wówczas przejmowano od Skarbu Państwa zasoby z tzw. dobrodziejstwem inwentarza, w tym obiekty bardzo wysłużone, które za chwilę przestały mieć prawo funkcjonowania w obszarze m.in. gospodarki mieszkaniowej. Problemy przejmowania zasobów często stawały na styku interesów Miasta i gospodarki rolnej, bo Wrocław w większości to dawne wsie przyłączone do aglomeracji. Godzenie interesów grupy zawodowej rolników indywidualnych z ich nie najlepszą sytuacją mieszkaniową było elementem uzupełniającym moją działalność w komisji.

Co Pan uważa za największy sukces swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Myślę, że trzeba by zwrócić uwagę na kilka elementów, zarówno o charakterze utylitarnym, jak i o charakterze strategicznym. Z tego pierwszego obszaru, niezwykłym sukcesem I kadencji była możliwość pracy w obszarze czystej demokracji. Tak naprawdę, przez dużą część kadencji, bo z czasem zaczęło się to troszeczkę deformować, ale przez dużą część kadencji podejmowaliśmy decyzje opierając się na posiadanej wiedzy, doświadczeniu oraz materiałach udostępnionych nam przez organy wykonawcze gminy Wrocław. Podejmowaliśmy decyzje, za które odpowiadaliśmy osobiście. Dzisiaj mamy zdarzenia podporządkowywania decyzji klubom Rady Miejskiej czy klubom politycznym, które tak naprawdę odciągają szeregowego radnego od jego przekonania i odpowiedzialności za decyzję, a bardziej dryfują w kierunku tzw. dyscypliny, co wydaje mi się bardzo niekorzystne, w konfrontacji z lojalnością względem mieszkańców miasta. W I kadencji weszliśmy do obszaru zarządzania miastem jako osoby, które chciały się podporządkować wyłącznie problemom miasta, a nie układom w strukturze organizacji społecznych czy politycznych. Wydaje mi się, że w tym zakresie był to niepowtarzalny sukces tej kadencji Rady Miejskiej. Natomiast w sensie strategicznym bardzo ważnym elementem, który później coraz mniej był doceniany przez Radę Miejską, była kwestia ustanowienia i powołania rad osiedli, zaangażowania ludzi, którzy tak, jak i my, chętnie, spontanicznie i bezinteresownie chcieli się włączyć w obszar porządkowania miasta. Robili to z niezwykłym zaangażowaniem, czasami nawet nas zawstydzając, jeżeli chodziło o ich aktywność. Uważam, że ten element w kwestii strategii Miasta był bardzo doniosłym osiągnięciem.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie udało nam się dokonać inwentaryzacji zasobów i to spowodowało, że nie zapisaliśmy się „złotymi głoskami" w procesie planistycznym, jako ten pierwszy zespół zarządzający miastem. Proces planistyczny do tej pory

jest najsłabszym elementem funkcjonowania Wrocławia, a trudno realizować dobry proces planistyczny, bez dogłębnej, rzetelnej inwentaryzacji. Jak się nie wie, co się ma, to trudno tym zarządzać. Wydaje mi się także, że nasza pionierska działalność, która miała przede wszystkim za cel stworzenie ponadpodziałowej płaszczyzny do rozwoju Wrocławia, niestety nam się nie udała. Później bardziej koncentrowaliśmy się na prostych, propublicznych rozwiązaniach, które miały przede wszystkim dostarczać efekt propagandowy, a nie na organicznej pracy, za którą pewnie by nas wówczas niewiele osób chwaliło, ale z czasem okazałoby się, że to niezwykle pożyteczna działalność dla miasta. Tego nie osiągnęliśmy i uważam, że to było największą porażką naszego dziewiczego zespołu. Nie udało się wykorzystać energii, dobrej woli i zamieniło się to na późniejszą szarą rzeczywistość, przepychania się z różnymi decyzjami, które podejmowano raczej dla osobistych efektów, a nie *pro publico bono*.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Wydaje mi się, że trzeba by było najbardziej zwrócić uwagę na funkcjonowanie nowych struktur, które się tworzyły w ówczesnym samorządzie terytorialnym, czyli m.in. takich, jak Regionalna Izba Obrachunkowa, Samorządowe Kolegium Odwoławcze. Instytucje te i osoby desygnowane do tych instytucji były podmiotami, które silnie wspierały nasz proces decyzyjny. Niejednokrotnie wskazywały na pewne konflikty między naszą aktywnością, aktywnością Miasta, a ówczesnymi rozwiązaniami prawnymi. Szereg zmian legislacyjnych w ówczesnym prawie polskim był wywołany reakcjami przedstawicieli tych instytucji czy organów. Trudno nie wspomnieć o doniosłej roli pana prof. Leona Kieresa w tworzeniu tych instytucji. Naszego mentora prawa komunalnego.

W tamtym okresie tworzenie organizacji społecznych nie było zbyt popularne, w związku z tym, ta współpraca najczęściej przejawiała się na linii Miasto – Kościół. Tworzące się później świeckie struktury organizacyjne były istotnym partnerem Rady Miejskiej. Z czasem, te struktury świeckie zaczęły łączyć się ze strukturą rad osiedli i tworzył się dość ciekawy system powiązania struktury Miasta ze strukturą parafii i radami osiedli, które tworzyły spójny system wzajemnego wsparcia. Czasami objawiało się to w działalności proboszcza lokalnej parafii, który potrafił wyrazić dezaprobatę dla osób niewłączających się w działalność osiedla, działalność społeczną. To było sygnałem dla radnych, że wspólnota samorządowa rzeczywiście ma wymiar fizyczny i duchowy, co czasami jest nam potrzebne, żeby nie tracić wiary i zaangażowania w to, co chcemy zrealizować.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

To był okres niezwykle dynamiczny. Po zakończeniu działalności państwa ludowego, państwo demokratyczne musiało się uporać z pewnymi mechanizmami i przyzwyczajeniami. Kiedyś I sekretarz był „guru" lokalnej społeczności, rozwiązywał problemy, z którymi sobie nie radzili przedstawiciele organów wykonawczych. Później rolę I sekretarza wyborcy chcieli odnaleźć na dyżurze czy w pracy radnych, czy komisjach Rady. A radny w uzgodnieniach z organami wykonawczymi próbował dopiero weryfikować czy rewidować decyzje administracyjne. Te kontakty były niezwykle trudne, ale cenne i potrzebne, bo nam, jako radnym pozwalały modyfikować system prawa i władzy samorządowej. Weryfikowanie efektów działalności organów wykonawczych na podstawie opinii obywateli skarżących się czy proszących o interwencję było papierkiem lakmusowym efektywności pracy poszczególnych wydziałów czy komórek, które miały dobrze obsługiwać obywateli miasta. Kontakty z wyborcami pokazywały nam drugą stronę medalu, czyli efekt działalności Rady i organów wykonawczych, czy rzeczywiście osiągamy założone cele, czy te cele okazywały się zbyt teoretyczne, a ich realizacja mijała się z oczekiwaniem społecznym.

Jak się układały stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Byliśmy grupą reprezentującą komitety obywatelskie i można byłoby powiedzieć, że funkcjonował system koleżeńskiej współpracy, w dobrym tego słowa znaczeniu. Byliśmy w większości ze sobą „per ty", mogliśmy w każdej chwili zadzwonić, spotkać się z prezydentem, wiceprezydentami lub innymi przedstawicielami organów wykonawczych. To ułatwiało, m.in. przepływ informacji, konsultowanie decyzji Rady oraz przekazywanie negatywnych informacji do organów wykonawczych czy poszczególnych agend Urzędu Miejskiego. Ten początkowy okres charakteryzował się bardzo wysokim poziomem utrzymywania bieżących kontaktów w realizowaniu różnych procesów czy projektów miastotwórczych. Nie pamiętam, żeby podczas mojej kadencji miała miejsce sytuacja wzajemnej niechęci do współpracy, wręcz przeciwnie. Z przyjemnością prowadziliśmy rozmowy, które nie były przyjemne dla przedstawicieli organów wykonawczych, mówiąc im, co nam, członkom Rady się nie podoba. Myślę, że I kadencja Rady miała też „czysty" charakter funkcjonowania samorządu terytorialnego, gdzie radny (rajca, ojciec grodu, głowa miasta) miał prawo mówić organom wykonawczym, jakich efektów od nich by oczekiwał w działaniu, a organy wykonawcze miały wówczas poczucie podległości organowi uchwałodawczemu, w sensie porządku/efektu publicznego. Dzisiaj, mówiąc: radny, rajca, zastanawiamy się, czy rzeczywiście ten radny ma wpływ na jakość i sposób wykonywania obowiązków organów wykonawczych, które, niestety, zaczynają przejmować dominującą rolę nad procesami miastotwórczymi. Organ uchwałodawczy, w dzisiejszych realiach funkcjonowania samorządu terytorialnego, przez cichą akceptację pozwala się zepchnąć na drugi plan, pomimo że z punktu widzenia istoty oraz oczekiwania wyborców, ten właśnie organ ma być dominującym podmiotem kreowania nowej rzeczywistości miejskiej, po procesie wyborów samorządowych. Ja, wyborca, chciałbym, żeby mój przedstawiciel, wybrany przeze mnie do Rady Miejskiej, nadawał ton rozwojowi tego miasta. Jeżeli ma być

ubezwłasnowolniony przez prezydenta, wójta, burmistrza czy innych przedstawicieli organów wykonawczych, na których wybór nie mam wpływu, to przestaję mieć zaufanie do tej formuły reprezentowania moich interesów w Mieście. Rada musi być silna. Rada musi być dominującym organem, a organ wykonawczy musi być podporządkowany Radzie we wszystkich przejawach swojej działalności. W innym przypadku organ wykonawczy będzie dążył, przepraszam za zwrot, do efekciarstwa, ponieważ takie elementy będą głównie podstawą oceny medialnej jego pracy. A tego chyba nie chcielibyśmy w działalności samorządu.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że układ współpracy z Biurem Rady miał bardziej charakter rodzinny niż służbowy. Z przyjemnością przychodziliśmy do Biura Rady, czasami trudno było się z Biura wyrwać, dlatego, że wdawaliśmy się w rozwiązywanie problemów, które konsultowaliśmy z zespołem Biura Rady Miejskiej, bo przecież jego przedstawiciele byli konsumentami naszych decyzji w Radzie. W bardzo wielu wypadkach mieli bardzo ciekawe przemyślenia. Bardzo często dochodziło do niezwykle zażyłych przyjaźni, np. z osobami, które odpowiadały za współpracę z poszczególnymi komisjami. Tak naprawdę, o każdej porze dnia i nocy mogliśmy być w kontakcie z Biurem i ta formalistyka była wówczas zamieniona na wielką życzliwość. Z przyjemnością wspominam ten okres współpracy z Biurem Rady. Z wieloma osobami, które tam wówczas pracowały, do chwili obecnej utrzymuję kontakty koleżeńskie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wydaje mi się, że wówczas byliśmy tak głodni zapoznania się ze wszystkimi problemami miasta, żeby móc jak najszybciej nauczyć się gospodarować tym globalnym przedsięwzięciem, że nikt z nas nie zwracał uwagi na pewne mankamenty techniczne czy organizacyjne. Nie wiem, czy któryś z radnych, z pierwszego okresu działalności Rady Miejskiej we Wrocławiu, kiedykolwiek zwrócił uwagę na mankamenty techniczno-organizacyjne. Problemy, które się mogły pojawiać, były bardzo mile i sprawnie niwelowane przez pracowników Biura Rady Miejskiej, którzy nieraz poprzez osobiste zaangażowanie czy nawet swoje własne, prywatne pieniądze, próbowali podnieść czy poprawić komfort pracy. Jako przykład mogę podać, niedawno świętowany, „tłusty czwartek", kiedy nieraz panie z Biura obdarowywały nas pączkami. To było bardzo przyjemne. Ich życzliwość na każdym kroku zastępowała nam pewne mankamenty, których chyba nawet nie odczuwaliśmy. Każdy z nas przychodził bez doświadczenia gabinetów, systemów interaktywnej obsługi, tak naprawdę nie mógł też mieć wysokich oczekiwań. Przechodziliśmy z „poligrafii z podziemia", na kserokopiarki czy faksy, co już było dla nas kolosalnym uderzeniem techniczno-organizacyjnym.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

To były: Komisja Rolna, Komisja Kultury Fizycznej, Komisja Mieszkaniowa. Jeżeli chodzi o pracę Komisji Rolnej i Komisji Mieszkaniowej, to największym obszarem naszego zainteresowania było coś, czego nie udało się w mieście zrealizować do chwili obecnej. Jest to szczególny kłopot Wrocławia, czyli to, że nie uporaliśmy się z inwentaryzacją zasobów. Tak naprawdę jeszcze dziś zdarzają nam się przypadki, kiedy gmina Wrocław rozporządza nie swoimi terenami pod projekty komunalne. Wówczas stawialiśmy bardzo mocno na to, żeby stworzyć pilotowe programy, które przygotują miasto na nowe wyzwania. Miasto może być gotowe wtedy na nowe wyzwania, kiedy dokładnie wie, czym dysponuje, czym zarządza. Natomiast kultura fizyczna była obszarem, w którym można było stworzyć i wykreować nowy system funkcjonowania rekreacji i sportu w mieście. Później, poprzez zaangażowanie i udział rad osiedli, stworzono bardzo ciekawą formułę aktywizacji sportowo-rekreacyjnej miasta, poprzez tworzenie lokalnych imprez sportowo-rekreacyjnych, łączonych niejednokrotnie z okolicznościowymi festynami, np. wyścig kolarski o puchar Smoka Strachoty na osiedlu Swojczyce-Wojnów-Strachocin.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak Pan ocenia ich pracę?

To jest dla mnie obszarem zagadkowym. Jeżeli traktowalibyśmy to w kategoriach pewnego pogłębiania wiedzy o mieście, specjalizowania się w pewnych obszarach funkcjonowania miasta, to rzeczywiście byłoby to ciekawe, ale byłoby też w pewnym sensie powielaniem funkcji komisji Rady. Niestety, coraz częściej spotykamy się z tym, że kluby radnych mają podtekst polityczny. Grupy osób, które są obecne w klubach radnych, są czasami podporządkowywane pewnemu modelowi podejmowania decyzji, a co za tym idzie, nie są to już ich decyzje. W wielu wypadkach są to decyzje, które, śmiem twierdzić, w momencie podejmowania nie są zgodne z ich sumieniem. Mam to szczęście i ten zaszczyt, że wtedy, kiedy ja podejmowałem decyzje, będąc członkiem Rady Miejskiej, ponosiłem za nie wyłącznie osobistą odpowiedzialność. Nie mogę dzisiaj powiedzieć, że ktoś mi sugerował lub namawiał mnie do jakiegoś trybu głosowania, bo byłem wolny od takich nacisków. Dziś uważam, co nie jest tajemnicą, że w naszym świecie publiczno-politycznym, system kontrolowania decyzji osób powołanych przez obywateli z imienia i nazwiska powoduje deformację demokracji. Jeśli głosuję na konkretnego radnego, a on potem, tak naprawdę, daje się ubezwłasnowolnić w procesie podejmowania decyzji, pojawia się pytanie, w jakim zakresie reprezentuje on wówczas moje interesy?

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

To była wizyta burmistrza miasta Charlotte z Północnej Karoliny i wspólne posiedzenie burmistrza i prezydenta Wrocławia, z udziałem radnych. Wtedy pierwszy raz dowiedzieliśmy się, na czym polega zarządzanie miastem. Burmistrz miasta Charlotte nie potrafił w precyzyjny sposób wypowiadać się na temat szczegółów swojego miasta, dotyczących np. stanu ulic, stanu technicznego budynków lub innych mankamentów. Był nawet niezadowolony, że radni czy dziennikarze pytają go o takie szczegóły. Zwrócił nam uwagę, że kierujący miastem jest tym, który reprezentuje interesy i oczekiwania organu uchwałodawczego i podporządkowuje tym interesom system wykonawczy. Ten, który wykonywał szczegółowe zadania w mieście Charlotte był pracownikiem urzędu, mającym wypełniać rolę zarządzającego miastem. Burmistrz pełnił funkcję odpowiedzialnego za kreację działań w zakresie tworzenia i rozwoju miasta. Prezydent nie musiał i nie powinien interesować się z taką dużą dozą szczegółowości zdarzeniami miejskimi, za które odpowiadali poszczególni przedstawiciele struktury organizacyjnej i administracyjnej Miasta. Przede wszystkim miał odpowiadać za utrzymywanie kierunków i tendencji w rozwoju miasta, nakreślonych przez Radę Miejską. Organ wykonawczy, w ich rzeczywistości – burmistrz, w naszej – prezydent, miał być przedłużeniem działalności Rady Miejskiej, strażnikiem nad Urzędem, nad instytucją spełniającą oczekiwania i założenia Rady. Było to zdarzenie, które utkwiło mi w pamięci, ponieważ, niestety, po doświadczeniach samorządu terytorialnego w kolejnych kadencjach Rady Miejskiej brnęliśmy coraz bardziej w prezydentów–urzędników, a nie prezydentów–przewodników dla Miasta. To, co się zdarzyło wówczas, za pośrednictwem burmistrza miasta Charlotte, to było uświadomienie niedostosowania nowej rzeczywistości samorządowej w Polsce do takich wysokich demokratycznych standardów, jakie nam wówczas zaprezentował przedstawiciel amerykańskiego samorządu. Standardów tych nie osiągnęliśmy do tej pory. Z punktu widzenia samorządu amerykańskiego, miasto ma się rozwijać tak, jak my chcemy, a nie tak, jak chciałyby organy centralne czy organy regionalne. To my odpowiadamy za rzeczywistość naszego sąsiedztwa, naszego otoczenia i po to powołujemy swoich przedstawicieli, a oni po to powołują swojego misyjnego przedstawiciela – prezydenta, burmistrza czy wójta – żeby osiągali jak najlepsze efekty dobrostanu samorządowego. Niestety, w naszych realiach mamy pewne rozbieżności, które z kadencji na kadencję coraz bardziej zniechęcają do uczestnictwa w procesie dokonywania wyboru, najlepszych z najlepszych, do Rady Miejskiej.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Z przyjemnością i bardzo mocno byłem zaangażowany w funkcjonowanie rad osiedlowych. W zasadzie znałem wszystkich przedstawicieli i większość członków z terytorium dzielnicy Psie Pole, gdzie uczestniczyłem i pracowałem w tworzeniu oraz powoływaniu wielu rad, gdzie rozmawiałem z wieloma osobami, namawiając do przystąpienia i udziału w radach osiedlowych. Wierzyłem i dalej w to wierzę, że Wrocław bez rad osiedli nie mógłby się tak dynamicznie rozwijać, chociaż jestem przekonany, że ta dynamika mogłaby być większa, gdyby po stronie organów wykonawczych i administracji było trochę więcej życzliwości dla społecznych inicjatyw, które niejednokrotnie były tłumione, może ze względu na niechęć do angażowania się w nie swoje projekty. Czasami dochodziło do niweczenia tej aktywności, a co się z tym wiąże, powodowano utratę wiarygodności organów, które miały stać na straży rozwoju „samorządności u podstaw". Uważam za największy sukces I kadencji Rady to, że udało nam się rady osiedlowe powołać, że one zaczęły swoją pracę z niebywałą aktywnością i niepowtarzalnym już później zaangażowaniem.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Komitety obywatelskie były tworzone m.in. przez przedstawicieli radia i telewizji wrocławskich oddziałów tych instytucji. W związku z tym, jeżeli chodzi o zaangażowanie mediów, dziennikarzy w naszą działalność, ono było niezwykle duże i miało całkiem inny charakter niż w chwili obecnej. Praca z dziennikarzami służyła nam, radnym, jako element pewnej twórczej pracy w zakresie rozwoju samorządu wrocławskiego. Nie miała takiego charakteru, jak dziś, czyli pogoni za elementami o charakterze sensacji. Miała raczej charakter wspierania się i kolportowania wiedzy o Mieście, o działalności Rady Miejskiej, o działalności samorządu terytorialnego. Cały Wrocław i wszyscy jego mieszkańcy uczyli się tego samorządu. Dziennikarze spełniali rolę nośnika informacji od Rady, od radnych w kierunku do mieszkańców Wrocławia. Udział dziennikarzy w spotkaniach z radami osiedli miał przede wszystkim za zadanie rejestrować pewne zdarzenia, na których powinniśmy się uczyć, jak kolejne czynności wykonywać lepiej i bardziej efektywnie, a nie wykazywać nieudolności, choć z pewnością w wielu obszarach byliśmy nieudolni. Jeżeli chodzi o sprawy Miasta, działalność mediów była spontaniczna, współpraca z wieloma dziennikarzami była przyjemnością. Nikt z nas nie obawiał się, że wykorzystają pozyskane od nas informacje czy wiedzę przeciwko Radzie, przeciwko nam. Wręcz przeciwnie, pomagali nam również w pracy nad własnym wizerunkiem.



Władysław FRASYNIUK

Radny I kadencji.
Poseł na Sejm RP I, II i III kadencji.
Technik samochodowy. Przedsiębiorca.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym?

Z zawodu jestem technikiem samochodowym. Dzisiaj jestem przedsiębiorcą, choć pewnie najdłużej w swoim życiu byłem awanturnikiem politycznym. Tworzyłem podziemną „Solidarność". Konspiracja, anonimowość, to nie jest miejsce, gdzie ludzie uczą się społeczeństwa obywatelskiego, budowania struktur demokratycznych.

W stanie wojennym uznaliśmy, że nie można bojkotować samorządów pracowniczych, dlatego że to jest jedyne miejsce, gdzie można coś przyzwoitego jawnie zrobić. Była uchwała Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej wzywająca do bojkotu także samorządów pracowniczych, z wyłączeniem naszego regionu, bo ja się temu ostro sprzeciwiłem, uważałem, że jeżeli mamy być w jakiejś części związkiem zawodowym, to potrzebny jest partner, z którym możemy w jakiś sposób współpracować.

Przypomnę, że najpierw były wybory do parlamentu. W tych wyborach zdecydowanie odmówiłem startu. Uważałem, że bardzo łatwo odbuduje się w Polsce podział na „My" i „Oni". My, czyli społeczeństwo biedne, zapomniane, i Oni – władza. Uważałem, że w tym trudnym momencie, kiedy będą się musiały dokonać duże zmiany, w momencie niezwykle ryzykownym, bo wiele autorytetów z „Solidarności", wiele autorytetów publicznych miało pójść do władzy, musi istnieć obywatelskie zaplecze, a żeby to było możliwe, przywódcy, czyli wiarygodne osoby muszą pozostać poza parlamentem. Tak się stało. Nie zostałem posłem X kadencji.

Wkrótce potem miały miejsce wybory samorządowe. Bardzo mnie nakłaniano, bym brał w nich udział. Mówiłem, że mnie to kompletnie nie interesuje, że nie wierzę, iż można być przewodniczącym związku i dobrym radnym. Przewodniczący związku zawodowego w tamtym czasie nadal był liderem ruchu obywatelskiego, był osobą, która po części zajmowała się działalnością polityczną. Wtedy wszyscy mnie przekonywali, że to bez znaczenia, że akceptują mój warunek, żeby mnie nie wywoływano do tablicy z tego powodu, że nie jestem aktywnym radnym, że nie ma mnie na posiedzeniach Rady. Wystartowałem. Stało się tak, że wprowadziłem do Rady całą listę, z której startowałem. Szczerze mówiąc, pełniłem rolę konia pociągowego, którego zadaniem było zwiększenie szans kandydatów na radnych z listy Komitetu Obywatelskiego; chodziło o to żebyśmy w Radzie Miejskiej mieli większość.

Staliśmy się współgospodarzem swojego miasta.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Nie pamiętam, w jakich pracowałem komisjach. Pewnie mnie zmusili do pracy w Komisji Komunikacji, ale nie jestem pewien, czy w niej byłem. Pamiętam Karola Żyromskiego, więc może gdzieś z nim współpracowałem. Jednak raczej proszono mnie o różne rzeczy, potrzebny byłem, gdy np. na sesji Rady Miejskiej spodziewano się jakiejś awantury. W każdym środowisku występują podziały, bo każde buduje swoją własną pozycję. Komitet Obywatelski, taki solidarnościowy, był od „Sasa do lasa", można powiedzieć, iż wszystkie trendy polityczne były tam obecne, także i populistów.

Dość szybko zacząłem bronić ludzi najbardziej wtedy prężnych, czyli środowisk gospodarczych. Uczestniczyłem w jakiejś awanturze, chodziło o jakąś restaurację, na Wzgórzu przy ul. Piotra Skargi. Radni zaczęli mnie podejrzewać, że mam tam jakieś udziały. Takie polskie piekło. Jak ktoś stawał w obronie przedsiębiorców, to oznaczało, że musiał mieć w tym interes. Pamiętam plotki dotyczące Krzysztofa Turkowskiego. Osoba publiczna nieustannie się zużywa, musi się narażać. Jej kapitał raczej się ściera niż buduje. Jednakże osoby, które nie realizują śmiałych pomysłów, nawet jeżeli wielokrotnie będą w Radzie czy parlamencie, będą zapomniane.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Dwie rzeczy. Pierwszą zapisałbym absolutnie Zdrojewskiemu, jego niebywałej intuicji. Zdrojewski zbudował legendę tego miasta, zintegrował ludzi. Mieszkańcy poczuli się współgospodarzami. Zaczęli być dumni z miasta, z którego pochodzą i wyprostowali się. Nie mieli poczucia kompleksu. Zdrojewski potrafił także budować naszą legendę w kraju, na zewnątrz, poza Wrocławiem. Potrafił stworzyć niezwykle przychylny, życzliwy klimat dla Wrocławia w całej Polsce. O Wrocławiu zawsze mówiło się pozytywnie. Jest to rzecz nie do przecenienia. Jest to jego wielka zasługa. Zawsze miał fantastyczne pomysły, nie wszystkie zrealizowane, ale pobudzał ludzi do aktywności, co jest niezwykle ważne. Zdrojewski przez wiele lat, a tak się umawialiśmy w Komitecie Obywatelskim, był takim właśnie gospodarzem miasta, reprezentował interesy obywateli.

Drugi powód do dumy, to wrocławski Rynek. W którymś momencie Zarząd Miasta wyłączył Rynek spod tzw. strefy przetargu. Postanowiono zrealizować autorski pomysł Krzysztofa Turkowskiego, który dążył do tego, aby wrocławski Rynek stał się podobny do rynków europejskich. Namawiałem Bogdana Zdrojewskiego, żeby wciągnął do współpracy Krzysztofa Turkowskiego, którego znałem z podziemia i pierwszej „Solidarności". Mówiłem:

Krzysztof Turkowski to taki bardzo specyficzny człowiek, taki oficer rozrywkowy na pokładzie, powinieneś go wziąć, bo ma przeróżne talenty, ale cholerny świat, co mu powierzyć? Zdrojewski zaufał Turkowskiemu. Tylko w postrzelonej głowie Krzysztofa Turkowskiego mógł się zrodzić pomysł, żeby nie przejmować się specjalnie przepisami, obawami, tylko realizować śmiały projekt otwartego Rynku, który przypomina każdy zachodnioeuropejski.

Pierwsze zbuntowały się komisje zakładowe różnych spółdzielczych i państwowych sklepików. To był problem, że nagle Miasto – nasi z „Solidarności" wyganiają naszych z „Solidarności". Pamiętam niekończące się spory, dyskusje. Tutaj byłem rzeczywiście bardzo przydatny Miastu, bo chodziłem, przekonywałem, mówiłem, jaki ma być Wrocław. Paradoks polega na tym, że po pewnym czasie zaczęli do mnie przychodzić przedsiębiorcy, czyli restauratorzy, którzy mówili: panie przewodniczący, chyba to Miasto przesadza, bo jest już 10 restauracji, a oni jeszcze jedenastą, piętnastą – zbankrutujemy, niech pan coś powie. Każde środowisko ma swój partykularny interes i nie widzi tego ogólnego. Dzisiaj się okazuje, że restauracji w Rynku jest kilkadziesiąt, jest konkurencja, ale radzą sobie.

To jest takie gospodarcze, biznesowe chyba największe przedsięwzięcie, jakie udało nam się zrobić. Rynek został rozkopany, wymieniono całą infrastrukturę, następnie zakopano i od lat nie trzeba żadnej płyty wyrywać, żeby coś naprawić, np. zmienić instalację elektryczną. To jest majstersztyk. Wrocławski Rynek jest swoistym pomnikiem Komitetu Obywatelskiego, pierwszego prezydenta, pierwszego Zarządu, pierwszej Rady Miejskiej. Gdyby nie ich fantazja, wyobraźnia, działania przełamujące schematy, to nie mielibyśmy takiego miejsca – powodu do dumy.

Kiedy byłem parlamentarzystą spotkałem się z Amerykanami, którzy są bardzo pragmatyczni. Przyjechał król truskawki z Teksasu, który przeprowadził badania na temat wegetacji truskawki w całej Polsce. Zrobili oni także badania na temat przejrzystości biznesu polskiego. W tej przejrzystości Wrocław znalazł się na drugim miejscu od końca, ale jeśli chodzi o otwartość na partnerstwo i na współpracę, na związki kapitałowe byliśmy na miejscu pierwszym. To Zdrojewski zbudował taki pozytywny klimat, który sprzyjał integracji mieszkańców Wrocławia.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Powiedziałbym tak – bardzo późno zaczęliśmy myśleć w kategoriach efektywnej współpracy z Europą. Kraków nas wyprzedził i dużo szybciej sięgnął po środki europejskie. Dopiero powódź 1997 r. spowodowała, że Wrocław się otworzył na środki europejskie i zaczął się profesjonalnie tym zajmować. To uważam za porażkę, bo Wrocław ma nieprawdopodobny kapitał, który nie do końca został wykorzystany.

Wrocław jest ważnym miastem przemysłowym między Berlinem a Kijowem. Brakowało działań ofensywnych w kierunku Niemiec. Jakiś tu był lęk przed kapitałem niemieckim, podczas gdy najbardziej spolegliwy, najbardziej układny kapitał, zwłaszcza na terenach odzyskanych, to był kapitał niemiecki. Szukaliśmy kapitału wszędzie, pamiętam dyskusje: Brytyjczycy, Skandynawowie, ale zawsze był lęk przed Niemcami.

Ten lęk był zresztą po obu stronach. Partnerem prywatyzowanego Banku Zachodniego chciał być Deutsche Bank. Deutsche Bank przez różnych emisariuszy pytał, czy może, czy to nie zostanie potraktowane, jak czwarty rozbiór Polski. Rozmawiałem z premierem Buzkiem – powiedział: Władku jesteś jedynym posłem z Wrocławia, który nie boi się kapitału niemieckiego, przed tobą byli wszyscy i mówili: tylko nie Niemcy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Zdecydowanie lepiej niż w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym – pierwszym demokratycznym klubie parlamentarnym, czyli z listy Lecha Wałęsy. Podział, jaki się dokonał w OKP był podziałem znaczącym i obowiązuje do dzisiaj.

W Radzie Miejskiej, po pierwsze, nie było podziałów, po drugie, wśród radnych przeważało myślenie obywatelskie, nawet, gdy się pojawiali populiści. Moim zdaniem, ogromna w tym zasługa prof. Miękisza. To był jeszcze taki czas, kiedy uznawano autorytety. Stanisław Miękisz był takim prawdziwym profesorem, tzn. otwartym, a jednocześnie rzetelnym. Korzystał z wiedzy i dzielił się tą wiedzą, nigdy niczego nie narzucał, natomiast paradoksalnie taka miękkość Profesora nie była miękkością w prowadzeniu Rady. Miękkość polegała na tym, że starał się ludziom stworzyć takie warunki, żeby rzeczywiście w tym uczestniczyli, mieli poczucie, że realnie podejmują decyzje. Nie było czegoś takiego, że nieustannie zawiązywał kompromisy. Jak się popatrzy na pierwszy skład, to byli to ludzie, którzy w znaczącej większości odwoływali się do systemu wartości z Sierpnia 80 roku. Gotowi do współpracy, otwarci na dialog, szukający porozumienia. Moim zdaniem, to była najlepsza Rada Miejska, gdy chodzi o klimat, współpracę, życzliwość, taka najbardziej odwołująca się do tradycji wrocławskiej „Solidarności". Do tej pierwszej Rady ludzie nie przyszli z powodu diety. To był awans społeczny, a nie jakikolwiek inny, np. finansowy. Nie pobierałem diety. Moją dietę przeznaczyłem dla zakładu dla dzieci ociemniałych, który mieścił się, o ile dobrze pamiętam, przy ul. Kasztanowej. W następnej kadencji najbardziej zmartwionymi osobami, że nie startuję do Rady, były panie i dzieci z tego zakładu. Panie mówiły, „o Jezu, panie Władku, to jedyne pieniądze, które regularnie do nas napływają".

Później wpływ na Radę i radnych miał podział, który dokonywał się w Warszawie, w miejscu gdzie się tworzy prawo. Musiał znaleźć swoje odbicie w reprezentacji w Radzie Miejskiej.

Jak się współpracowało Panu z Biurem Rady Miejskiej?

Klimat tu był taki, że człowiek przychodził, jak kiedyś na spotkanie konspiracyjne. Wszyscy się znali, byli życzliwi, otwarci. Wtedy słowo było ważniejsze od papierka. Życzliwość, wiara i zaufanie do ludzi było niebywałe.

Ten okres to szczyt społeczeństwa obywatelskiego, kiedy nie papier, nie nieufność, lecz otwartość powodowały, że można było mnóstwo rzeczy zmieniać. Potem zaczął się podział na my-politycy jesteśmy lepsi niż wy-urzędnicy. Wtedy wszyscy byli wobec siebie niezwykle życzliwi. Pamiętam, jak prof. Miękisz zawsze się krępował, żeby paniom powiedzieć, że prosi o kawę. Rzadko tu bywam, ale gdy wchodzę do starej gwardii, to czuję się jakbym tu był wczoraj.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Naturalna kolej. Nie należy się temu dziwić ani krytykować. Należy się zastanowić, w jaki sposób zmienić sytuację. To, co się dzieje jest procesem, który należy bacznie obserwować.

Wydaje mi się, że we Wrocławiu i tak jesteśmy w dobrej sytuacji. Uważam, że jest fenomenem to, iż Dutkiewicz potrafił uzyskać poparcie dwóch znaczących partii politycznych, a jak wiadomo partie polityczne przenoszą konflikt ze sceny centralnej do samorządu. Doświadczamy tego w ostatniej kadencji we Wrocławiu. Jest brutalnie. Poprzednio jednak ci radni potrafili ze sobą współpracować.

Z punktu widzenia podatnika i obywatela kluby radnych są kosztowne, bo każdy prezydent musi dawać jakieś fanty po to, żeby znaleźć wspólny interes. Te fanty są zawsze naszym, obywateli kosztem. Czasami płacimy tym, że niekompetentny człowiek zajmuje jakieś ważne stanowisko.

Myślę, że zmiana w ordynacji wyborczej, dzięki której prezydent miasta jest wybierany w powszechnych wyborach, przynosi pozytywne efekty. Prezydent, burmistrz, wójt staje się niezależny od partyjniackich interesów. Nie do końca jest to prawda, bo musi kupować głosy, co oznacza, że jest tutaj taka korupcja polityczna. Sądzę, że to zmusi prezydentów do myślenia o obywatelskiej reprezentacji, że ta obywatelska reprezentacja będzie inna i nie będzie niosła za sobą potrzeby budowania, najłagodniej mówiąc, urzędu zatrudnienia dla politycznego zaplecza partii, które są w Radzie. Wydaje się, że ten proces się rozpoczął. Dutkiewicz startuje jako niezależny kandydat, i takich prezydentów, którzy zamierzają się oprzeć na obywatelskich listach wyborczych w Polsce jest coraz więcej.

To, że prezydent miasta Wrocławia myśli o takiej reprezentacji obywatelskiej, która znalazłaby odzwierciedlenie w Sejmiku, jest bardzo ważne, bo chodzi o pieniądze na cały region. Dostrzegam, że zaczęło się myślenie o powrocie do korzeni, do formuły samorządu obywatelskiego. Czy to się uda?

We wszystkich demokracjach na świecie funkcjonuje system partyjny, samorządy są absolutnie upartyjnione. U nas także partii się nie pozbędziemy. Jeśli jednak ten obywatelski klub będzie duży, to będzie miał decydujący głos. Im bardziej społeczeństwo uzna, iż ten obywatelski krąg jest potrzebny, tym większa szansa na zmniejszenie roli partii. One jednak pozostaną w samorządzie, bo to jest zasada funkcjonowania demokracji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najbardziej pamiętam chwilę, kiedy poinformowałem dyrekcję tego zakładu dla ociemniałych, że już nie będę radnym. To mi tak utkwiło w głowie, że będę to pamiętał do końca życia.

Poza tym pamiętam, że wtedy bardzo nakłaniałem różnych ludzi do wydania dwujęzycznego, niemiecko-polskiego albumu o Wrocławiu. Omawiałem to ze Zdrojewskim i moimi kolegami z Zarządu, także z dyrektorem Łagiewskim. Długo nie mogliśmy się zdecydować na taki album. Ciągle były jakieś lęki. A ja marzyłem, żeby ludzie w centrum miasta mogli kupić jakieś pamiątki i także taki album. Wiele lat trwało nim coś takiego w końcu się ukazało.

Wrocław z tamtego okresu pamiętam jako miejsce, w którym była niezwykle pozytywna energia. Potem trochę zacząłem marudzić, że zamknięto się na Rynku zapominając o okolicach, ale jak widać poszło to dalej.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

To naturalne, że one powstały. Jeżeli chodzi natomiast o ocenę ich działania, to cóż, są one bardzo różne. Często działają w nich ci sami ludzie, którzy byli aktywni w poprzednim systemie i dalej w tych radach siedzą.

Znam niezwykle dynamiczne rady na nowych osiedlach. Gdy powstanie taka rada, gdy ludzie są kreatywni, osiedle zmienia się z dnia na dzień. Miasto jest życzliwe wobec aktywnych obywateli. Znam nowo pobudowane osiedla, gdzie rada potrafiła mobilizować mieszkańców do współudziału i wszystko tam powstawało – od infrastruktury telekmunikacyjnej po drogę. Trzeba kontynuować ten proces, bo jest on zgodny z filozofią „Solidarności". Sprzyja to decentralizacji.

Nie wiem, co może zrobić Miasto, żeby uaktywnić lokalne społeczności, bo generalnie, jak tak się spojrzy, to myślę, że aktywność rad jest za mała, ale być może to wynika z tego, że nasza, obywateli, aktywność w wyborach do tych rad jest beznadziejna. I tu koło się zamyka, bo nie wiadomo, kogo krytykować. Mieszkałem na osiedlu, gdzie tak naprawdę dwie osoby bardzo wiele dla niego zrobiły. Pamiętam, jak bardzo musiałem się napracować, żeby namówić tych ludzi, żeby zaczęli startować w wyborach. Dotychczasowa rada osiedla była mało aktywna i patrzyła z zazdrością. W efekcie dochodziło do sytuacji, że wygłosowywali naszych. Mobilizowali się, żeby nie wpuścić tych nowych.

Miasto ma narzędzia i musi w jakiś sposób obywatelom przypominać, że są wybory do rad osiedlowych nie tylko w postaci oświadczenia w mediach. Myślę, że Miasto powinno więcej robić w zakresie edukacji obywatelskich postaw. Pytanie, co może spowodować aktywność obywateli w trakcie wyborów? Może trzeba wrócić do kon-

cepcji lokalnych ryneczków. Mamy plac Gottwalda (Piłsudskiego), mamy Leśnicę. Jest parę takich miejsc, gdzie są stare, poniemieckie, przepiękne, dzisiaj zdewastowane ryneczki. Wystarczyłoby odtworzyć to, co pozostało po Niemcach, zaczynając od tego samego, co w Rynku. Uwielbiam były plac Gottwalda – raz tam siedziałem na komisariacie – ale nie z tego powodu. To jest piękne miejsce, ale bardzo zdewastowane. Muszę powiedzieć, że dwadzieścia lat temu wyglądało ono lepiej niż dzisiaj. Leśnica była też strasznie zapyziała, dzisiaj się zmieniła niebywale i zaczęła wytwarzać miejsca pracy, są restauracje, można zjeść. Zmieniła się infrastruktura, elewacje.

Jest naturalne, że Wrocław będzie się rozszerzał. Przykład Rynku pokazuje jednak, jak to można przyspieszyć. Jestem wielkim zwolennikiem takich lokalnych centrów. One nie tylko będą integrować lokalną społeczność, lecz także dadzą impuls dla lokalnych biznesów.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Nie powinniśmy narzekać. Mówi się, że jest to patologia, bo prezydenci miast niezależnie od tego, z jakiego są ugrupowania zawsze mają dobrą prasę, a to dlatego, że są głównymi inwestorami – współfinansują media. Przecież w prasie zamieszczane jest każde obwieszczenie, każde zawiadomienie o przetargu.

We Wrocławiu bardzo dobrą tradycję zbudował Bogdan Zdrojewski. Regularnie się spotykał z dziennikarzami, opowiadał o swoich planach, marzeniach, o kłopotach, nie wiem, czy robi to Dutkiewicz, ale wtedy dziennikarze mówili, że te spotkania bardzo pomagają im w przygotowaniu gazety. Wrocławskie gazety są życzliwe wobec lokalnych polityków, którzy myślą w dalszej perspektywie niż tylko jedna kadencja. To jest pozytywne. Ale generalnie rzecz biorąc, gazety zpsiły się. Nie ma dziennikarstwa. Współczuję dziennikarzom, którzy pracują w lokalnych gazetach.

Wydawało nam się, że zdecentralizujemy władzę i skończymy z tym pochodem do Warszawy, jak za komuny. Tu jednak ma miejsce porażka radnych, bo ciągle jest tak, że jeżeli chcesz coś osiągnąć, to musisz być w Warszawie. Znam wielu wybitnych wrocławskich aktorów, którzy stali się wybitni dopiero wtedy, kiedy wylądowali w Warszawie czy Krakowie. Jestem pełen podziwu dla Kingi Preis, która jest wybitną aktorką, o czym piszą nawet w centralnej prasie, ale ona jest „głupią" patriotką wrocławską i siedzi tutaj.

Niestety, tak się stało, że dziennikarze także wywędrowali do Warszawy. We Wrocławiu dziennikarze są sfrustrowani, bo pracują za małe pieniądze, a szczerze powiedziawszy liczy się kasa, czyli mówiąc krótko liczy się temat, który przełożyłby się na pieniądze. Wydawca gazety najchętniej zrezygnowałby z dziennikarzy w zamian za to, żeby przy dobrych kontaktach z prezydentem miasta mieć wszystkie obwieszczenia. Wszystko pozostałe poza ogłoszeniami jest kosztem.

◇◇◇

ewoluuje w dobrym kierunku i oczywiście również samorządy, jednak skuteczność konkretnych działań często jest mizerna. Mechanizmy polityczne są bardzo rozbudowane. Propozycje ograniczenia tego, choćby przez wprowadzenie okręgów jednomandatowych, są odrzucane przez wszystkie siły polityczne. Brakuje świadomości, że radni i posłowie powinni się liczyć z głosem wyborców. Przyjęto system działania politycznego, który w Polsce źle funkcjonuje. Nie ma żadnej wentylacji w partiach, tworzą się zamknięte grupki. Młodzi ludzie nie są dopuszczani, a przecież młodym trzeba pozwolić działać. To są trudne sprawy.

To, co mnie bardzo zniechęciło do dalszych działań w samorządzie, to właśnie nieefektywność działania. Procedury biurokratyczne ułatwiają blokowanie nowych inicjatyw. Zbyt duża jest liczba urzędników. Wiele trzeba by zmienić, uprościć. Brakuje często analizy ekonomicznej, podobnie jak w Sejmie. Często uchwały, tak jak i ustawy, są sporządzane niedokładnie lub na zamówienie polityczne, a następnie uchylane. Należałoby koniecznie ograniczyć biurokrację, a wykorzystując technologię informacyjną łatwo to przeprowadzić. Podstawą jest uproszczenie prawa i zharmonizowanie legislacji. Nie leży to jednak w gestii samorządu.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Istniała, ale była to bardzo słaba współpraca. Te instytucje powinny być głębiej zakorzenione w społeczeństwie. W organizacjach pozasamorządowych powinni działać ludzie, którzy robią to z pasją i wtedy mogą działać społecznie nie oczekując ekwiwalentu.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy byli mało aktywni, brakowało skutecznych mechanizmów komunikacji.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z Biurem Rady Miejskiej układała mi się bardzo dobrze. Była tam niesłychanie dobra organizacja pracy, wspaniała i jakże sympatyczna „Szefowa" i mili, zawsze służący pomocą pracownicy.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Próbowaliśmy ułatwić pracę radnych poprzez wykorzystanie narzędzi informatycznych. Była powołana komisja, aby wprowadzić takie rozwiązanie w Urzędzie, ale nic z tego nie wyszło.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich pracę?

Działałem w trzech komisjach. Byłem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Działalność w tej Komisji jest dosyć trudna. Moim atutem było to, że byłem niezależny od Miasta. Trudno było rozwiązywać konflikty, które się pojawiały, ponieważ były różne grupy, które miały wpływy i stosowały naciski pozamerytoryczne. Pracowałem też w Komisji Budżetu i Finansów. Jeśli chodzi o sektor finansowy, to pracowały tam osoby, które nie były dobrze do tego przygotowane. Była pani skarbnik, która pracowała w budżetówce komunistycznej, więc o księgowości zbyt wiele nie wiedziała. Jak wyszła sprawa VAT-u, to pani ta była bezradna. Pan prezydent Zdrojewski również zaangażował się w tę sprawę, najprawdopodobniej z tak pojmowanej przez niego solidarności. Mieliśmy odmienne zdania na ten temat. Wiele osób nie rozumiało istoty konfliktu. Byłem przedsiębiorcą i wiedziałem, że niepłacenie tego podatku, to przestępstwo skarbowe i urząd skarbowy nie przymknie na to oka. Był to istotny problem nierówności podmiotu wobec prawa. Wrocław nie płacił VAT-u przez 10 lat. Argumentowano, że jest to korzystne dla mieszkańców. Samorząd powinien dać przykład przestrzegania prawa i działania zgodnie z prawem. W rezultacie sprawa skończyła się w sądzie, a urząd skarbowy na poczet należności odebrał Miastu budynki za 80 mln. Widać tu, jak trudno było komisji rozwiązywać takie problemy. Zarząd był, niestety, czasami niechętny do wysłuchiwania innych racji i uznania swoich pomyłek.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Jest to problem skomplikowany. Ja jestem generalnie przeciwnikiem partyjności i uważam, że kluby forsują tylko linię partii. Pozbywają się ludzi, którzy mają inne zdanie. Z drugiej strony, jeżeli byliby tylko pojedynczy radni, to też takie działania byłyby bardzo chaotyczne i trudne. Musiałaby powstać jakaś instytucja koordynująca. Kluby radnych mogłyby być, ale powinny one mieć jakieś konkretne zadania. Nie powinno się grupować według klucza partyjnego, tylko programowego. Jeżeli radni skupialiby się według klucza programowego, to wiadomo, że musieliby coś zrobić i łatwiej byłoby ich rozliczać. Programy partyjne zawsze są skażone jakimiś zobowiązaniami czy uwarunkowaniami wewnątrzpartyjnymi. Ich działanie często nie jest *pro publico bono*, ale *pro domo sua*. Jestem na ten problem szczególnie uwrażliwiony, ponieważ nigdy nie należałem do żadnej partii. Jestem przeciwnikiem partyjności, uważam, że to ogranicza swobodę wypowiedzi, wolność człowieka.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Jeśli chodzi o wydarzenia związane z działalnością Rady, to na pewno można by było wymienić tu uroczyste sesje Rady Miejskiej.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Uważam, że część kompetencji powinno się oddać radom osiedla. Konkretnie pewne prace powinny być nadzorowane przez rady osiedla, np. budowa chodników czy dróg lokalnych, bo ci ludzie tam mieszkają i jest im łatwiej zauważyć wszelkiego rodzaju niedociągnięcia. Wyborcy powinni mieć pieczę nad powstawaniem obiek-

tów sportowych, wypoczynkowych i inwestycjami w swojej dzielnicy. Powinni też uczestniczyć w powstawaniu różnych projektów. Problemem jest zaktywizowanie ludzi, dziś naprawdę brakuje społeczeństwa obywatelskiego, a szkoda, bo czym więcej jest ludzi zaangażowanych i opinii, które się ścierają, tym lepiej.

Jak ocenia Pan zainteresowania mediów sprawami Miasta i pracą samorządów?

Wydaje mi się, że to zainteresowanie jest znaczne, a uważam, że czym większa obecność tych spraw w mediach, tym lepiej. Jednakże mechanizmy zewnętrzne w polityce, a więc i w samorządzie są takie, że bez kontroli mediów struktury władzy się degenerują. Oczywiście, media lubią skandale, sensacje, chętniej przedstawiają to, co wyszło źle, bo jak jest dobrze, to się źle sprzedaje.

Z drugiej strony, często jest tak, że media powiązane są z jakimiś grupami politycznymi.

Media tracą swoją niezależność i bardzo się upolitycznią, lecz wtedy również tracą wiarygodność. Ale niezależnie, co byśmy o nich nie powiedzieli, to i tak pełnią funkcję kontrolną. To wszystko jest skomplikowane i rozwiązaniem optymalnym jest jak największa liczba mediów niezależnych zarówno od wpływów zewnętrznych, jak i od siebie nawzajem.

◇◇◇

- utworzenie TBS w grudniu 1998 r. na bazie ZGK-Psie Pole, które w późniejszych latach stało się głównym źródłem pozyskiwania przez Wrocław nowych mieszkań;
- opracowanie, przy współpracy z Wydziałem Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, pierwszej w Polsce uchwały popularnie znanej „Uchwałą śmieciową";
- opracowanie i uchwalenie zatwierdzonego przez premiera RP Statutu Wrocławia.

W kadencji 1998-2002 do takich działań zaliczam:
- opracowanie i uchwalenie „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia" oraz Wieloletniego Planu Inwestycyjnego – dokumentów podstawowych dla Wrocławia;
- szybkie i sprawne zakończenie likwidacji skutków powodzi stulecia z lipca 1997 r.;
- uruchomienie i oddanie do użytku Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków;
- pierwszą w kraju emisję obligacji gminnych, tzw. obligacji mieszkaniowych, na kwotę 50 mln zł, za którą to kwotę wybudowany został wiadukt nad Gądowem wraz z dojazdami, a same obligacje posłużyły wrocławianom do wykupu mieszkań z 25 % bonifikatą
- rozpoczęcie budowy mostu Milenijnego (koszt ~ 150 mln zł), który łącznie z wiaduktem nad Gądowem stanowią najważniejsze elementy będącej w chwili obecnej w końcowej fazie budowy obwodnicy śródmiejskiej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Była to przeprowadzona w kadencji 1998-2002 reforma zarządzania mieszkalnictwem we Wrocławiu polegająca na likwidacji ZGK i przekazaniu zarządzania prywatnym spółkom. Reforma ta była źle przygotowana i jeszcze gorzej przeprowadzona. Zarządzanie miejskim zasobem mieszkaniowym przekazane zostało wprawdzie w uzgodnieniu z władzami naczelnymi spółkom prywatnym, ale bez przetargu. W rezultacie, większość komunalnego zasobu mieszkaniowego przejęła w zarządzanie jedna spółka, która od samego początku z tym problemem sobie nie radziła. Ostatecznie po kilku latach totalnego bałaganu Miasto musiało ponownie zająć się zarządzaniem mieszkaniami.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Pamiętam, że w kadencji 1994-1998 występował brak współpracy ze strony Urzędu Wojewódzkiego, głównie w obszarze gospodarki nieruchomościami. Wojewoda nigdy nie konsultował z Miastem zamiaru sprzedaży jakiejkolwiek nieruchomości oraz utrudniał zakończenie procesu komunalizacji. Z innymi jednostkami współpraca była poprawna. Nie zanotowałem także żadnych negatywnych zdarzeń w tym zakresie w następnej mojej kadencji radnego Wrocławia.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Najbardziej ożywione kontakty między radnymi a wyborcami miały miejsce w I kadencji Rady Miejskiej, ale wtedy kandydatów do Rady Miejskiej wystawiały komitety obywatelskie. W następnej kadencji w latach 1994-1998, aby mieć ciągły kontakt z wyborcami, oprócz obligatoryjnych dyżurów w ratuszu pełniłem dyżury w siedzibie klubu Nasz Wrocław, a także, raz w tygodniu, w moim okręgu wyborczym. Najlepsze rezultaty w tym zakresie uzyskiwałem jednak z działalności w Radzie Osiedla „Borek". Z ubolewaniem muszę stwierdzić, że mieszkańcy (wyborcy) rzadko występowali z inicjatywami obywatelskimi, a w czasie kadencji nikt nawet nie próbował rozliczać mnie z pracy radnego. Do kontaktów dochodziło najczęściej w czasie protestów. Typowym przykładem może być projekt budowy spalarni odpadów na ~ 20 000 t/rok przy ul. Paczkowskiej. W miarę upływu czasu (kolejnych kadencji) i upolitycznia samorządów, także we Wrocławiu wpływ wyborców na pracę radnych w czasie kadencji stawał się coraz mniejszy, a obecnie praktycznie nie istnieje. W moim okręgu wyborczym, przez te wszystkie lata, żaden radny z tego okręgu nie zorganizował spotkania z wyborcami ani, mimo zaproszenia, nie raczył uczestniczyć w spotkaniu zorganizowanym np. przez radę osiedla. Radni uaktywniają się dopiero w następnej kampanii wyborczej, po to tylko, aby uzyskać reelekcję. Myślę, że dla poprawienia wzajemnych relacji dobrze byłoby wprowadzić stosowne poprawki i uregulowania do ordynacji wyborczej, np. radny powinien pod groźbą utraty mandatu przynajmniej raz w roku odbyć spotkanie z wyborcami swojego okręgu i zdać sprawozdanie ze swojej działalności w Radzie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W czasie pełnienia przeze mnie mandatu radnego władzę uchwałodawczą (ustawodawczą) stanowiła Rada Miejska w liczbie 70 radnych, a władzą wykonawczą był Zarząd wybierany przez Radę, w składzie: prezydent i czterech wiceprezydentów. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że stosunki pomiędzy Radą a przedstawicielami Zarządu oraz jednostkami organizacyjnymi Urzędu Miejskiego były partnerskie. Występujące czasem drobne nieporozumienia nie miały istotnego wpływu na pracę radnych. Wszystkie materiały analityczne i decyzyjne zawierały wyczerpujące dane i dostarczane były w wymaganym terminie. Niezbędne czasem uzupełnienia wykonywane były również w ten sposób. Myślę, że było to możliwe z uwagi na twórczą atmosferę, zaangażowanie radnych oraz prosty dwupoziomowy system zarządzania (prezydent – dyrektor jednostki organizacyjnej urzędu). Rada Miejska sprawowała istotną władzę w mieście, a pozostałe organa były wykonawcami jej woli. Sytuacja diametralnie

zmieniła się w 2002 r. Skład Rady ograniczony został do 37 radnych, a prezydent po raz pierwszy wybierany był w wyborach powszechnych. Sam ten fakt i nowy podział kompetencji pomiędzy Radą a prezydentem automatycznie spowodował spadek prestiżu i znaczenia Rady, która stała się takim przysłowiowym „kwiatkiem do kożucha"!

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Patrząc z perspektywy wszystkich funkcji, jakie pełniłem w dwóch kadencjach Rady mogę stwierdzić, że współpraca z Biurem Rady przebiegała prawidłowo, bez większych zgrzytów. Biuro Rady właściwie wypełniało swoje obowiązki w zakresie przygotowania materiałów i zaplecza do pracy radnych w komisjach, klubach i na sesjach Rady oraz organizacji pracy radnych i ich szkoleń. Można powiedzieć, że Biuro stwarzało właściwą atmosferę do pracy dla radnych.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W kadencji 1994-1998 zarówno sale posiedzeń komisji, jak i sale klubów radnych oraz sala sesyjna posiadały wyłącznie podstawowe wyposażenie, które stanowiły stoły i krzesła. Brakowało natomiast specjalnego wyposażenia z zakresu techniki biurowej, ułatwiającego pracę radnym. Szczytem techniki była od czasu do czasu (jeżeli prezentujący się postarał) prezentacja materiałów przy użyciu slajdów. Biuro Rady dobrze było wyposażone w urządzenia do powielania i przygotowania materiałów dla radnych. Radni zasypywani byli tonami zadrukowanego papieru, a prezentacja np. projektów MPZ odbywała się wyłącznie na planszach formatu A-0 i większych. O technice komputerowej w tej kadencji mogliśmy jedynie tylko pomarzyć. W kadencji 1998-2002 w sali sesyjnej przeprowadzony został remont kapitalny, odrestaurowano zabytkowy drewniany strop, ściany wyłożono w części odrestaurowaną boazerią, a w części specjalnie dobranymi wzorzystymi tkaninami. Ponadto sala została wyposażona w całkowicie nowe umeblowanie, automatyczne zasłony okienne, rzutnik dwustronny wysuwany ze stropu sterowany i prezentujący materiały z komputera. Największym problemem było wyłonienie (byłem członkiem komisji przetargowej) wykonawcy, który potrafiłby się wczuć w atmosferę tak dostojnego miejsca, jakim jest sala sesyjna Rady Miejskiej i przedstawić stosowne propozycje w zakresie jej wyposażenia. Sala i biurka radnych wyposażone zostały we wszystkie możliwe instalacje i sieci, m. in. oświetlenie, mikrofony, instalacje do głosowania, gniazdka do podłączenia komputera z dostępem do Internetu itp. Mimo to praca radnych w tej kadencji nie uległa jeszcze znaczącym zmianom, gdyż zabrakło funduszy na zakup wyposażenia uzupełniającego dla radnych, np. komputerów.

W jakich Pan pracował komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W kadencji 1994-1998 byłem członkiem i wiceprzewodniczącym Komisji Gospodarki Komunalnej, członkiem Komisji ds. Osiedli, członkiem Rady Nominacyjnej (nominacje do tytułu *Civitate Wratislaviensi Donatus* oraz do Nagrody Miasta Wrocławia), przewodniczącym klubu radnych Nasz Wrocław.

W kadencji 1998-2002 byłem przewodniczącym Komisji Gospodarki Komunalnej, członkiem Komisji Budżetu i Finansów, przewodniczącym Komisji Mieszkaniowej (po reformie zarządzania gminnym zasobem mieszkaniowym), reprezentowałem Wrocław w Komisji Polityki Mieszkaniowej i Przestrzennej Związku Miast Polskich. Pełniłem również funkcję wiceprzewodniczącego klubu radnych AWS.

Komisje, w których pracowałem, miały zasadniczy wpływ na poprawę jakości życia mieszkańców Wrocławia. Moim zdaniem, Komisja Gospodarki Komunalnej jest jedną z najważniejszych komisji w Radzie Miasta. Wszystkie decyzje o większości realizowanych we Wrocławiu inwestycji w takich dziedzinach, jak: komunikacja (budowa i przebudowa układu komunikacyjnego, budowa i modernizacja dróg, remonty ulic i mostów, transport zbiorowy, w tym rozwój sieci autobusowych i tramwajowych itd.); zaopatrzenie ludności w wodę oraz oczyszczanie i odprowadzanie ścieków; oczyszczanie miasta (sprzątanie i odśnieżanie, odbiór, selekcja, wywóz, składowanie i utylizacja odpadów – gospodarka odpadami); gospodarka mieszkaniowa (remonty istniejących i budowa nowych mieszkań); inwestycje w takich dziedzinach, jak kultura, szkolnictwo, oświata, służba zdrowia itp., w dużym stopniu opracowywane były właśnie w tej komisji. Śmiało mogę stwierdzić, że w obydwu kadencjach była to jedyna komisja złożona z wybitnych fachowców, która dobrze przysłużyła się Wrocławiowi. Dyskusja na posiedzeniach komisji zawsze miała charakter i przebieg merytoryczny i nigdy nie została zakłócona przez kłótnie i utarczki polityczne – z tego jestem dumny!

Ponieważ moja droga do Rady Miejskiej prowadziła poprzez uczestnictwo w Radzie Osiedla „Borek", naturalna więc była w kadencji 1994-1998 moja praca w Komisji ds. Osiedli. Komisja ta prowadziła szeroką działalność w dziedzinie rozwoju osiedli, szczególnie w zakresie wyrównywania poziomu życia w osiedlach peryferyjnych, w których często brakowało podstawowej infrastruktury miejskiej – dróg, sieci, szkół, ośrodków zdrowia, placówek handlowo-usługowych, przedszkoli itp. Pozytywną rolę w tym procesie odegrał utworzony w pierwszej kadencji Rady Miasta Fundusz Wspierania Inicjatyw Lokalnych.

Uczestnictwo w pracach Komisji Budżetu i Finansów było niejako naturalną konsekwencją przewodniczenia Komisji Gospodarki Komunalnej, która w dużym stopniu decydowała o większości inwestycji w mieście. Uczestnicząc w pracach Komisji Budżetu i Finansów mogłem mieć wpływ na tworzenie budżetu oraz rozdział środków na poszczególne zadania realizowane we Wrocławiu. Z perspektywy czasu pracę w tej komisji mimo ciągłych

prób upolitycznienia jej działalności przez opozycję (SLD), oceniam pozytywnie i mogę również stwierdzić, że komisja ta dobrze zasłużyła się dla Wrocławia

Przy okazji chciałbym przypomnieć, że budżet miasta w roku 2002 wynosił ~1,5 mld zł, a mimo konieczności dopłat niemalże do wszystkich dziedzin życia w mieście (najwięcej: oświata, mieszkalnictwo, komunikacja) koszty inwestycji stanowiły ~ 40% wydatków budżetowych. Dla porównania dodam, że budżet Wrocławia na 2010 r. wynosi nieco poniżej 4,0 mld zł.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Powoływanie klubów radnych uważam za celowe (szczególnie dla ugrupowań opozycyjnych) pod warunkiem zlikwidowania pojęcia, tzw. „dyscypliny klubowej", która w praktyce staje się narzędziem łamania sumień radnych oraz ich ubezwłasnowolnienia. Radny powinien przede wszystkim kierować się interesem swoich wyborców i postępować oraz głosować zgodnie z własnym sumieniem, a nie nakazem klubowym. Kluby radnych i komisje Rady są to te miejsca, w których radni powinni przede wszystkim pracować!

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Do wydarzeń, które na zawsze pozostaną w mojej pamięci z okresu pełnienia mandatu radnego zaliczam Kongres Eucharystyczny w Hali Ludowej w czerwcu 1997 r., nadanie Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II tytułu *Civitate Vratislawiensi Donatus* oraz powódź stulecia w lipcu 1997 r. i uporczywą walkę wrocławian z jej powstrzymaniem i skutkami.

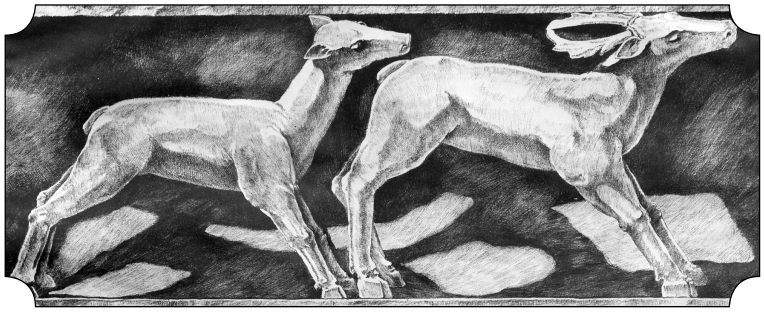
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

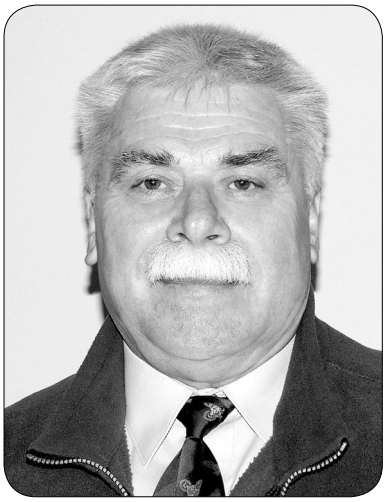
Jestem członkiem Rady Osiedla „Borek" piątą kadencję, od momentu jej powstania w 1992 r. Moja praca w Radzie Miejskiej świetnie harmonizowała z pracą w radzie osiedla, gdzie uzyskiwałem aktualną wiedzę o życiu i potrzebach mieszkańców, a członkowie rady osiedla uzyskiwali aktualne wieści z Ratusza. Rady osiedla nigdy nie miały uprawnień władczych. Nie posiadały i w dalszym ciągu nie posiadają osobowości prawnej. Przy takim usytuowaniu rady osiedla nie mają żadnych możliwości zadbania o interesy swoich mieszkańców, gdyż zależy to wyłącznie od dobrej woli urzędników miejskich.

W początkach działalności rad osiedli współpraca z jednostkami miejskimi była w miarę poprawna, a wnioski składane przez rady osiedla, wprawdzie po dłuższym oczekiwaniu, były realizowane. W miarę upływu czasu rady osiedla stawały się uprzykrzonymi klientami, od których urzędnicy opędzają się, jak od dokuczliwych owadów. W rezultacie, praktycznie żadne wnioski rad osiedla nie są realizowane. Popularność i znaczenie rad osiedla systematycznie spada, o czym może świadczyć dobitnie mizerna frekwencja w ostatnich wyborach w 2009 r. (np. w osiedlu liczącym ~15 000 ludzi w wyborach uczestniczyło ~ 400 osób). W tej sytuacji, aby uratować ten w pełni społeczny czynnik, jakim są rady osiedla, należy zrobić wszystko, aby podnieść ich prestiż w osiedlach. Do tego nie potrzeba wielkiej reformy, nad kształtem i wprowadzeniem której dyskusje i kłótnie trwać będą latami i jak zwykle skończą się na niczym! Na początek wystarczy, aby w budżecie miasta wyodrębnić kilkadziesiąt mln zł (we Wrocławiu aktualnie istnieje 48 osiedli) na potrzeby osiedli. O przeznaczeniu i wykorzystaniu tych środków będą decydować rady osiedla, a ich realizacją zajmie się obligatoryjnie Urząd Miasta. W ten sposób rady osiedla będą mogły załatwić wreszcie najpilniejsze sprawy i zlikwidować drobne uciążliwości występujące w osiedlu, co niewątpliwie podniesie ich prestiż.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Muszę znowu z ubolewaniem stwierdzić, że w miarę upływu czasu (w tym roku będziemy obchodzić 20-lecie samorządu we Wrocławiu) media wykazują coraz mniejsze zainteresowanie sprawami Miasta i pracą samorządu. Media wolą zajmować się kłótniami i aferami wywoływanymi przez polityków, gdyż są to tematy nośne i podnoszące tzw. słuchalność i oglądalność oraz nakłady gazet. Trzydziestosekundowa wzmianka w telewizji lokalnej o przebiegu sesji Rady Miejskiej lub Sejmiku Wojewódzkiego i od czasu do czasu krótki wywiad z przedstawicielem władz miasta oraz pojękiwania na temat opóźnień w budowie stadionu, na którym odbędą się trzy mecze, nie załatwiają niczego. Pozytywnie wyróżnia się tutaj jedynie „Gazeta Wrocławska" publikując obszerne relacje z życia miasta i samorządu, a nawet całe cykle artykułów i reportaży na ten temat.





Mieczysław GAWEŁ

Radny II i III kadencji.
Poseł na Sejm kontraktowy.
Absolwent Akademii Rolniczej.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jaki były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Przez jedną kadencję byłem przewodniczącym Rady Miasta i Gminy Kąty Wrocławskie. W latach 1974-1975 gmina zdobyła tytuł mistrza gospodarności kraju. Wprowadziłem tam pewne zmiany, które były wynikiem wiedzy nabytej na praktykach w Holandii, we Francji i w Niemczech. Po latach to miasto funkcjonuje na bazie naszego programu, przez nas opracowanego i częściowo zrealizowanego: budowa oczyszczalni ścieków, stworzenie strefy przemysłowej i strefy mieszkalnictwa. Zostały przygotowane podwaliny i miasto rozwija się do dzisiaj.

W latach 1989-1991 byłem posłem. W Sejmie pracowałem nad ustawami dotyczącymi samorządu, konsultowałem zagadnienia samorządu terytorialnego.

Uczestniczyłem w tej sesji Rady Miejskiej, gdy rozstrzygało się, kto będzie nowym prezydentem Wrocławia – czy to będzie Rafał Dutkiewicz, czy Bogdan Zdrojewski – i wielu następnych. Współpracowałem przy tworzeniu nowoczesnego samorządu. Widziałem, jak to funkcjonuje, jak to się dzieje w gminach, przyjeżdżałem do Wrocławia obserwować, jak to się wdraża.

Od samego początku działania samorządów jednak weszła w nie polityka i warto podkreślić, że do dnia dzisiejszego są za bardzo upolitycznione. Ludzie więcej by skorzystali, gdyby w Radzie Miejskiej zasiadali fachowcy. Ale już w XV w. tak było we Wrocławiu, że radnych zrzucano z wieży, bo mieli inne poglądy niż mieszkańcy. Zawsze uważałem, że to, co jest dobre dla ludzi, jest dobre dla miasta, i nie musi być związane z polityką. Ja, Mieczysław Gaweł, w swoim życiu miałem problemy, bo szedłem w kierunku prawdy, nie w kierunku polityki, a to nie jest dobrze odbierane. Jak się nie podporządkujesz decyzjom klubowym, to różnie na ciebie patrzą, nie mają zaufania, ale dobro miasta jest ponad wszystko, to jest istotne. Mogę iść przez miasto i patrzeć mieszkańcom w oczy, bo podejmowałem słuszne decyzje w ich imieniu.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Oczywiście, że tak, byłem mieszkańcem Wrocławia, i nie tylko. Byłem w tym czasie przewodniczącym wrocławskiego rejonu PCK. Poprzez tę organizację miałem kontakt z wieloma ludźmi, widziałem ludzi biednych, znałem potrzeby, jakie mieli. W 2001 r. otrzymałem pamiątkowy medal wybity przez PCK. Medal ten przyznano mi za całokształt pracy w PCK.

Współpracowałem z radami osiedli – poprzednio była to całkowicie inna struktura – z radą na Ołtaszynie, wtedy przewodniczącym był pan Grzegżółka i przez dłuższy czas pan Ptak.

W latach 80. XX w. byłem dyrektorem zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego i współpracowałem z ówczesną Spółdzielnią Ogrodniczą – wówczas współpracowałem z przedszkolami, z domami dziecka, żłobkami, z wieloma instytucjami. Panował system nakazowo-rozdzielczy, a my byliśmy jedynym producentem olei jadalnych w tym rejonie. Inaczej to wówczas funkcjonowało, na zasadzie pomocy bieżącej.

W latach 1989-1991 w Sejmie, pracowałem w komisji zajmującej się opracowaniem projektów ustaw dotyczących samorządu terytorialnego. W tym samym czasie pracowałem również w komisji dotyczącej tworzenia rynku rolnego. Działając w Sejmie i tworząc prawo samorządowe, współdziałałem z Radą Miejską, instytucjami rolnymi, a także z agendą wojewódzką w zakresie tworzenia nowych zadań.

Moim zadaniem było poinformowanie wyborców, przygotowanie ich do nowej rzeczywistości. Wielu było takich, którzy chcieli się uczyć, którzy się przygotowali i przetrwali. Obowiązkiem posła, radnego jest informowanie swoich wyborców. Poseł powinien współpracować z radnymi ze swojego okręgu. Kiedy tworzone było prawo energetyczne, kontaktowałem się z energetykami z ul. Trzebnickiej, bo w tym czasie mieszkałem na ul. Kasprowicza. W sprawach dotyczących służby zdrowia porozumiewałem się z dyrektorami szpitali. Gdy pytano mnie, czy można uzyskać jakieś fundusze, mówiłem, w jaki sposób można to zrobić. I tak znalazły się pieniądze na Ossolineum, załatwione zostały fundusze na budowę oczyszczalni ścieków – nie tylko z budżetu Miasta, była także dotacja państwowa. Szło się do odpowiedniego ministra, rozmawiało się i interweniowało na rzecz miasta.

Do mnie, jako do radnego, ludzie przychodzili w różnych sprawach. Starałem się informować, doradzać, podawałem swój numer telefonu. Nie jestem już radnym, a do dzisiaj wiele osób do mnie dzwoni. Udzielam informacji

w ramach obowiązującego prawa, nie interweniuję, ale doradzam, gdzie i do kogo mają się udać, do jakiego działu i do jakiego departamentu, żeby wiedzieli, jak postępować i nie zostali oszukani.

Współpracowałem zwłaszcza z rolnikami, a było ich we Wrocławiu 6 tys. Ci ludzie posiadają grunty, te grunty idą pod różne inwestycje. Gdy wynikła kwestia Węzła Bielańskiego, zrobiłem spotkanie 32 osób u wojewody. Dyskutowaliśmy o rozwoju gminy pod rządami wójta Chomicza. W tych latach zorganizowałem także spotkanie dla rolników wrocławskich, żeby ochronić ich przed spekulacyjną sprzedażą gruntów. Chodziło o to, żeby pytali, kiedy mają wątpliwości, żeby obserwowali pracę Rady, bo Rada podejmuje uchwały, kto te uchwały czyta wie, w jakim kierunku rozwija się Wrocław.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W czasie II kadencji byłem przewodniczącym Komisji Rolnictwa. Miałem możliwość tworzenia rynku rolnego. W 1991 r. byłem przedstawicielem Polski na Światowym Kongresie Obrotu i Marketingu w Baltimore w Stanach Zjednoczonych. Kiedyś Polska w tym uczestniczyła, potem nie, i w końcu po demokratycznych wyborach została zaproszona ponownie. Byłem w pięcioosobowej delegacji, zajmującej się nowoczesną strukturą handlu międzynarodowego. Zostaliśmy przeszkoleni przez przedstawicieli Banku Światowego w różnych kierunkach: od producenta rolnego, przez gospodarstwa rolne, hypotoniczny system upraw na glebach gorszej jakości w Stanach Zjednoczonych, hipermarkety typu Johns, gdzie w jednym kompleksie handlowym sprzedaje się 42 tys. produktów. U nas w tych dużych hipermarketach sprzedaje się 20 tys. produktów.

W czasie mojej pracy w Komisji Rolnictwa podejmowaliśmy już działania w ramach ISPY. ISPA to unijny system pomocy dla rozbudowy kanalizacji i wodociągów. W ramach tej międzynarodowej organizacji Miasto wykładało część swoich pieniędzy, część pochodziła z kredytu udzielanego na preferencyjnych warunkach, a część właśnie z dotacji unijnej.

Celem nadrzędnym polityki komunalnej powinno być doprowadzenie do wzrostu liczby mieszkańców Wrocławia o ok. 120-150 tys. – jeśli tak się stanie, Wrocław będzie miastem przyjaznym i tańszym w eksploatacji.

Współpracowałem z wodociągami i elektrociepłownią wrocławską, uczestnicząc w wytyczaniu kierunków pozytywnych zmian: budowy nowych kotłów, systemu skojarzonej energetyki, zabezpieczeniu Wrocławia w infrastrukturę. W czasie II wojny światowej na Wrocław spadło tysiące ton bomb, niemal każdy budynek był pęknięty, a cała infrastruktura zniszczona. Nie ominęło to zabytkowych kościołów na Ostrowie Tumskim. Dlatego też działając jako radny starałem się czuwać nad inwestycjami w zakresie infrastruktury. Byłem na Janówku w czasie tworzenia całego systemu kanalizacji, interesowałem się problemami zaopatrzenia miasta w wodę i ciepło, a także budownictwa mieszkaniowego na Maślicach.

A wszystko zaczyna się od ziemi. To nie powinno być tak, jak się niejednokrotnie obserwuje. Jeśli Miasto chce sprzedać grunt, to proponuje od 1000 do 1200 zł za m^2, jeśli natomiast chce kupić, to płaci pomiędzy 100 a 200 zł za m^2. To jest niesprawiedliwe wobec ludzi, po prostu cena rynkowa powinna być jednakowa dla wszystkich. Rozumiem, że są przetargi, że są przepisy, należy się jednak rozliczać w uczciwy sposób, gospodarczo, sprawiedliwie, a nie cwaniacko. Wiadomo, że Miasto, Dział Gospodarki Nieruchomościami chce jak najtaniej kupić, a Iksiński chce jak najdrożej sprzedać. Ludzie często nie wiedzą, jakich mają użyć argumentów. Gdy zwracali się do mnie po radę, a byłem zorientowany w tych sprawach, mając na uwadze interes Miasta, zawsze uważałem, że należy znaleźć złoty środek. Podejmowaliśmy działania w zakresie mienia komunalnego, obwodnicy autostradowej – to było w latach 90. XX w., a dopiero teraz jest ona realizowana.

Bardzo istotna dla rozwoju aglomeracji wrocławskiej jest współpraca z gminami ościennymi. Nie mogłem być przeciwko wiceprezydentowi Najnigierowi, Huskowskiemu czy innym, którzy byli odpowiedzialni za ten odcinek, i nie byłem. Mój klub w Radzie mówił: nie, trzeba inaczej. Niejednokrotnie miałem z tego tytułu konflikt z moimi klubowymi kolegami. Mówiłem wówczas, że z inżynierskiego punktu widzenia musi być tak i tak, a z politycznego jest oczywiście inaczej. Uważam, że trzeba podejmować takie decyzje, które będą skutkować za 10, 20 i 30 lat.

Nigdy nie bałem się rozmawiać na trudne tematy z mieszkańcami. Do tego trzeba się było jednak przygotować. Przygotowywałem się do każdego spotkania z mieszkańcami. Trzeba sięgać do materiałów, czytać dokumenty z sesji, wiedzieć, że pewne problemy zostały już opracowane, że istnieją plany do 2025, czy 2030 r., to wszystko z czegoś wynika, pod ten plan należy tworzyć infrastrukturę i pod tę infrastrukturę trzeba podejmować pewne polityczne decyzje. Dzięki temu w południowej części Wrocławia powstało m.in. Centrum Hurtu Rolno-Spożywczego – to była główna inicjatywa związana z infrastrukturą. W Komisji Rolnictwa zdecydowaliśmy, że ten rynek ma powstać i te zamierzenia są realizowane. Powstała tam droga i droga przemysłowa, a także obwodnica, czyli decyzja była trafna i perspektywiczna. Tam powinno być centrum bazaru wrocławskiego, centrum obrotu rolnego. To jest istotne, bo bez jedzenia nikt długo nie wytrzyma. Na przestrzeni ostatnich 10-15 lat zmieniło się bardzo wiele. Miasto z producenta stało się importerem. Tym bardziej potrzebne są firmy, które tym się zajmą. Do Centrum Hurtu Rolno-Spożywczego można dojechać tirem, a po mieście powinny jeździć małe samochody, które nie będą blokowały ruchu i dowiozą towar z hurtowni do podmiotów gospodarczych.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Moim osobistym sukcesem jest powstanie Dolnośląskiego Centrum Hurtu Rolno-Spożywczego oraz budowa Centrum Profilaktyki Weterynaryjno-Zootechnicznej przy ul**.** Ślazowej, gdzie zostanie przeniesione schronisko dla psów. Na popegeerowskim terenie, o wielkości 5 ha, znajduje się Centrum, które ma miejsce pochówku dla zwierząt, także lecznicę i hotel. Jeśli ktoś jedzie na wczasy, może tam zostawić ulubieńca.

Natomiast największym sukcesem Rady jest to, że potrafiła działać perspektywicznie. Euro 2012 można przeprowadzić we Wrocławiu, ale to jest sukces lat 90. XX w. – nie byłoby to możliwe bez wcześniejszego zbudowania infrastruktury technicznej, co wymagało zgody wielu podatników – to nie jest tak, że decyzję podejmuje sam prezydent. Była taka sytuacja, że przy remoncie odcinka pomiędzy ul. Świdnicką i pl. Legionów były 102 dodatkowe protokoły konieczności i koszt tego przedsięwzięcia wzrósł o 50%. Okazało się, że inaczej biegną rury, że są pęknięte, że biegną stare instalacje, że wszystko trzeba zrobić na nowo. Instalacje, które zostały położone są droższe, ale starczą na 50, 60 lat.

Czyli, za sukces uważam powstanie Rynku Rolno-Spożywczego, to, że budowana jest obwodnica oraz, że kończy się realizacja zadań w ramach programu ISPA i będzie możliwość rozbudowy południowych rejonów miasta.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Trudno to tak ocenić. Moim zdaniem, niepowodzeniem jest powódź 1997 r. To było nieszczęście. W komunalnej gazecie, kilka miesięcy przed tą klęską, został opublikowany artykuł dotyczący powodzi, chyba z 1903 r. Decydenci jednak chyba go nie przeczytali. Pamiętam, że na sesji Rady mówiono, w jakim kierunku to wszystko zmierza. Nie można było zahamować tej wody, natomiast można było wielu rzeczy uniknąć. Jeśli przerwałoby się wał w Łanach, zalano by Karłowice. Można było powiedzieć ludziom: przenieście te rzeczy wyżej, i może nie padłoby 700 czy 800 firm, nie byłyby zalane m.in. Zakłady Przemysłu Papierniczego. Ludzie by to zrobili i nie mieliby pretensji. Ale tutaj też zadziałała polityka. Wiele rzeczy jednak udało się uratować. Pamiętam, jak wynosiłem własne kompoty. Mój samochód stał na Karłowicach na osiedlu koło domu poniżej poziomu Odry. Wszyscy pytali, dlaczego? Odpowiadałem, że tu nie zaleje, a jak zaleje, to trudno. Inni wywozili tu i tam. Byłem z ludźmi i na wałach, na okrągło te kropelki potu razem wylewaliśmy. Wykonaliśmy dobrą pracę, bo się ratowało swoją małą ojczyznę.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Nie mogę narzekać, cały czas współpracowałem z rozmaitymi organizacjami. Dla Rotary Club fundowałem nagrody, byłem, jak już wspominałem, bardzo aktywnym działaczem PCK. Jako dyrektor często pomagałem różnym instytucjom charytatywnym, społecznym, organizacjom przykościelnym. Nie mogłem rozszerzać przynależności do rozmaitych instytucji ze względu na brak czasu – mam rodzinę, dwie córki. Poza tym należało zostawić czas na naukę, bo według mnie to najważniejsze. Trzeba było również stworzyć warunki do życia rodzinie. I to mi się udało.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Z wyborcami współpracowałem, obserwowali mnie, pytali, rozmawiali. Chodziłem na rady osiedla, jak był jakiś problem, to się po prostu z nimi kontaktowałem. Ruszała inwestycja – powstawał konflikt o drogę. Nie należało dyskutować z mieszkańcami z pozycji siły, raczej należało wyjaśniać z pozycji ich interesu. Budowa drogi na Wojszycach, składowiska śmieci, obwodnicy – każdy by chciał, żeby coś takiego powstało, tylko nie koło jego domu, a tak się nie da. Miasto jest wielką aglomeracją, trzeba znaleźć złoty środek. Ale ludziom trzeba to wcześniej wytłumaczyć, żeby w porę wiedzieli. Jak coś budujesz, to wiadomo, że obok zaraz powstanie coś następnego. U nas jak się ktoś wybuduje, to przecież wie, że obok wyrośnie kolejna inwestycja, ale zaraz zaprotestuje, bo mu to widok przesłania, a do widoku się przyzwyczaił. To jest błąd organizacyjny. Ludzie powinni podpisywać oświadczenia. Jeśli dostaje pozwolenie na budowę, to powinien podpisać oświadczenie, że zapoznał się z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego i że wie, iż obok wzniesione zostanie coś nowego, i nie będzie demonstrował sprzeciwu. Na dzień dzisiejszy to oświadczenie przy wydaniu decyzji administracyjnej nie jest wymagane, a w wielu wypadkach podpisanie go zahamowałoby proces odwoławczy.

Współpracowałem z wyborcami w moim rejonie: Polanki, Różanki. W tym rejonie było wiele zakładów pracy i trzeba było z nimi współdziałać. Robiłem to, niejednokrotnie rozmawiałem z ludźmi i to mi pozwalało podejmować decyzje. Często współpracowałem z radami osiedla tam, gdzie mieszkałem, czyli na Karłowicach, ale i tam, gdzie się urodziłem, gdzie mieszkała moja mama, na Ołtaszynie i Krzykach. Pamiętam taką szczególna sprawę. Na Wojszycach mieszkał człowiek, który znosił do domu śmieci – koszmar. Miasto nie podejmowało decyzji, bo to własność prywatna. Trzeba było doprowadzić do tego, żeby to mieszkanie uporządkować. Inny przykład, to kupcy w rejonie ul. Strzegomskiej i na pl. Wolności – należało ich przenieść, a tam znajdowały się ich miejsca pracy, więc rodził się konflikt. Także wszelkie szkoły, początkowo był wyż, potem przyszedł niż demograficzny. W szkołach nauczycieli było tyle samo – budynek duży, koszty duże, dzieci nie ma, trzeba było szkoły łączyć, a każdy chciał pozostać przy swoim – no i oczywiście natychmiast protesty szkolne. Likwidacja przedszkoli, a co w zamian? Człowiek w tym uczestniczył, ludzie przychodzili, pytali, rozmawiali, trzeba było bardzo spokojnie się zachowywać, bo niejednokrotnie kierowały nimi bardzo duże emocje.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze, czy to z panią Śledzińską, czy z panią Rogalą – zawsze bez większych problemów. Trzeba szanować tych ludzi. Wiadomo, że radnych jest 40, każdy czegoś chce. Zawsze ruch, a to trzeba przygotować materiały na komisje, a to protokół, a tu sesja Rady. Bardzo dobrze się współpracowało ze wszystkimi.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Trzeba było mieć swój długopis i otwartą głowę. Wiem, że sala była modernizowana w czasie tej mojej kadencji. Ta sala służy nie tylko rajcom, lecz także miastu. Jest kserokopiarka, jest mail, jest dobre zabezpieczenie, tylko kłopot z parkowaniem samochodu.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Rolnictwa i Komisji Kultury oraz w Komisji Sportu, gdzie współpracowaliśmy z różnymi klubami sportowymi. Do dzisiaj w każdy poniedziałek gram w siatkówkę. Interesowałem się kulturą, mój szwagier Ryszard Karczykowski jest śpiewakiem operowym, córka skończyła szkołę artystyczną. W ramach tej komisji współpracowaliśmy z teatrami, wspieraliśmy Festiwal Jednego Aktora.

O Komisji Gospodarki Żywnościowej mówiłem wcześniej. Brałem także udział w posiedzeniach tych komisji, które mnie interesowały. Często przychodziłem na posiedzenia Komisji Architektury, bo akurat gdzieś był zatwierdzany plan miejscowy.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Jest to pokłosie funkcjonowania Sejmu. Uważam, że przez to zbyt wolno rozwiązuje się sprawy związane z rozwojem miasta, członków rozmaitych klubów dzielą różnice poglądów, a kontrowersje powodują zwolnienie tempa. Inaczej na te same sprawy patrzą konserwatyści, liberałowie czy socjaldemokraci. Wydaje mi się, że kluby powinny się tworzyć wokół konkretnych problemów. Ci, którzy są u władzy prezentują interesy swoich partii. Mamy prosty przykład w obecnym czasie. Rafał Dutkiewicz współpracował z Platformą i nagła zmiana, z przyjaciela stał się wrogiem. Ludzie nie patrzą na to, że funkcja to okres przejściowy. Radnym czy posłem się bywa, a nie się jest. Ministrem się bywa. Na ogół stanowisko otrzymuje ktoś, kto jest dobrze przygotowany, lecz niestety, często się przyzwyczaja do fotela, uważa, że jest niezastąpiony, jedyny, często właśnie odwołuje się do interesu partyjnego.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Na pewno powódź. I przede wszystkim ta uchwała o założeniu Rynku Rolno-Spożywczego. Na pewno zatwierdzenie ISPA 2000, na pewno plan rozwoju Wrocławia, który pozwolił widzieć rozbudowę miasta do 2020 r. To były wydarzenia związane z rozwojem perspektywicznym Wrocławia.

Tych wydarzeń było wiele: Kongres Eucharystyczny, spotkanie z papieżem Janem Pawłem II w sali ratusza, a jego uścisk dłoni czuję do dziś. Tytuł honorowego obywatela Wrocławia dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego, pierwszy Sylwester w Rynku.

Istotną sprawą jest zagospodarowanie Wyspy Słodowej, przebudowa Ossolineum, a także biesiada w Rynku po zakończeniu prac remontowych. Ważną sprawą dla miasta jest stworzenie funduszu stypendialnego dla uzdolnionej młodzieży – stypendia przyznawane były w rozmaitych dziedzinach, także w sporcie.

Pamiętam też założenie hełmów na katedrze wrocławskiej, przyglądałem się temu. To są takie rzeczy integrujące, chociaż trwają zbyt krótko

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Działałem w radzie osiedla i cały czas współpracuję z radami osiedla. Zostałem odznaczony honorowym medalem „ 300-lecia Karłowic" wybitym przez radę osiedla z okazji obchodów tej rocznicy. Współdziałałem z opatem Antonim Dudkiem i brataliśmy się na wałach w czasie powodzi 1997 r. W tej chwili mieszkam na Ołtaszynie, ale nadal pozostaję w kontaktach z radami z Karłowic, Psiego Pola i Zawidawia.

Uważam, że rady powinny być, powinny funkcjonować i oceniam je bardzo dobrze. To pozytywne wywołanie inicjatywy społecznej. Być może lokalni radni są czasem za ambitni, a to drażni urzędników. W niektórych sprawach niekiedy przeszkadzają, ponieważ nowe inwestycje, jak np. ulokowanie wysypiska, położenie nowych nitek gazowych czy energetycznych, naruszają indywidualne interesy. Rady jednak muszą widzieć całe miasto, choć, oczywiście, nie zawsze tak jest. Wrocław się rozwija, jak rady osiedlowe dobrze działają. Nam się ma żyć dobrze i taniej. Jak już mówiłem, jeśli we Wrocławiu będzie więcej ludzi, tak do 1 miliona, to się koszty jednostkowe rozłożą na większą liczbę mieszkańców i będzie się taniej żyć. Istotne jest to, że jest wydzielona strefa przemysłowa i także to, żeby powstał dogodny dojazd do pracy, praktyczny jest szybki tramwaj.

Większość wrocławskiej dawnej zabudowy została dotknięta działaniami wojennymi. Długi czas stała zaniedbana. Rewitalizacja starych kamienic jest czymś bardzo znaczącym. Przed Euro 2012, rok 2010, rok 2011 i pierwsza połowa 2012 to czas porządkowania miasta, w co powinny się włączyć rady osiedlowe. Więcej zieleni, więcej kwiatów na balkonach, więcej odnowionych obiektów. Ważna jest też kultura, bo co z tego, że się coś zrobi, jak jakiś grafficiarz od razu do zabazgra. W innych krajach to jest niedopuszczalne!

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Trzeba znać ten układ. Media są bardzo ostrożne w tym względzie. Jeśli media byłyby bezstronne i pisały prawdę w danym momencie, to gazeta nie dostanie zleceń z Miasta. Takie ogłoszenie kosztuje parę tysięcy złotych. Pamiętam, że jak prasa zaczęła pisać krytycznie o poprzednim czy obecnym prezydencie, to nie dostała dwa czy trzy tygodnie ogłoszeń, a każde takie ogłoszenie kosztuje kilka tysięcy złotych. Potem już zaczęli inaczej, wyciszyli się i wytonowali. Oddziaływanie na media jest bardzo duże, a ich bezstronność niezmiernie ważna. Dziennikarze nie są bezstronni i dają temu wyraz. Przykładem jest TV 4 i Radio Eska zaangażowane politycznie.

Dzisiaj także bardzo ważną rolę odgrywa Internet. Jeśli czegoś chcesz się dowiedzieć, to zaglądasz na stronę internetową. Korzystają z tego przeważnie ludzie młodzi. Natomiast starsi, o tym należy pamiętać, wolą media tradycyjne z informacjami o mieście, o jego problemach, o tym, co jest budujące. Trzeba umieć propagować konstruktywną działalność. Co jakiś czas warto zamieszczać ważniejsze uchwały, informować o strategii rozwoju Wrocławia rozpisanej na dzielnice w zakresie infrastruktury, w zakresie inwestycji. Rolą radnego jest informować. Powinna być taka specjalna biblioteka, w której wszystkie akty prawne i materiały byłyby w zasięgu ręki.

Zadaniem mediów i ich służbą dla mieszkańców jest informowanie wrocławian o istotnych zjawiskach, inwestycjach, ułatwiających nam życie.

Uważam, że inicjatywa spotkania samorządowców z całego dwudziestolecia, to dobry czas na wymianę poglądów i szansa konfrontacji myślowej na różne tematy czy zadania inwestycyjne związane z naszym ukochanym, a moim rodzinnym Wrocławiem.

◇◇◇

tworzyli prawo, ja w związku z tym byłam bardzo mocno zaangażowana. Uchwaliliśmy w tym czasie, czyli w I i II kadencji, kilka takich bardzo ważnych uchwał, które do chwili obecnej obowiązują. W trakcie pracy w Radzie Miejskiej bezpośrednio uczestniczyłam w tworzeniu gminnych programów, m.in. programu dotyczącego gospodarki odpadami, pierwszego w Polsce tzw. „Prawa śmieciowego" porządkującego system gospodarki odpadami w mieście. Z naszego opracowania korzystało później kilka dużych miast polskich. Byłam współautorką prawa lokalnego, dokumentu o nazwie „Zasady polityki ekologicznej Wrocławia", opracowanego przy współpracy Wrocławskiego Oddziału Instytutu Ochrony Środowiska. Z komisją, której byłam przewodniczącą, wraz z MPWiK przez prawie rok aktywnie pracowałam przy tworzeniu programów mających poprawić jakość wody pitnej w mieście. Razem z komisją byłam inicjatorem szerokiej debaty dotyczącej reaktywowania budowy Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków. Przy współpracy Komunalnego Biura Projektów opracowany został program urealniania i przyśpieszenia budowy Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków oraz systemu kolektorów ściekowych, a także harmonogram budowy kanalizacji na wrocławskich osiedlach mieszkaniowych. W efekcie, w 1996 r. ruszyła w szybkim tempie budowa Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków na 90 tys. m^3 ścieków na dobę. W roku ubiegłym rozpoczęta została budowa II etapu oczyszczalni do rozmiarów 140 tys. m^3 ścieków na dobę. Uczestniczyłam w tworzeniu programów porządkowania ruchu kołowego w mieście i planowaniu remontów wrocławskich ulic. Czterokrotnie uczestniczyłam w procesie opracowywania strategicznego dokumentu dla Wrocławia – „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia". To są według mnie najbardziej strategiczne działania. To są programy, które są bardzo ważne dla funkcjonowania miasta

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Trudno powiedzieć, że były jakieś niepowodzenia, na pewno były takie rzeczy, które w mniejszym stopniu były realizowane. Ja jednak nie pamiętam jakiś szczególnych. Skupiłam się raczej na tym, co trzeba było zrobić. Z mojego punktu widzenia nie było takich spraw, które trzeba byłoby zapamiętać i martwić się tym, że to się właśnie nie udało. Oczywiście można było zrobić więcej, ale zawsze pojawiała się bariera finansowa. Uważam, że i tak zrobiliśmy dużo, żeby miasto mogło funkcjonować normalnie. Było to przecież bardzo trudne. Naprawdę nikt z nas nie był przygotowany merytorycznie do tego, czym miasto żyje i na czym to wszystko polega. Uczyliśmy się wszyscy bardzo pilnie i muszę powiedzieć, że te lata na początku mojej kadencji radnej wspominam najmilej, bo była to rzeczywiście praca bardzo merytoryczna, a polityki, szczególnie na początku, nie było żadnej, potem było jej bardzo mało, a teraz jest coraz więcej.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W tych komisjach, w których pracuję czy pracowałam niewiele miałam do czynienia z tymi instytucjami. Współpracowaliśmy raczej z fachowcami technicznymi, których prosiliśmy o pomoc.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Aktywność oceniam po częstych kontaktach drogą mailową wyborców ze mną. Wcześniej było dużo telefonów dotyczących życia codziennego. W tej chwili jest dużo spraw związanych z prawem miejscowym. Ludzie mają działki, nie podoba im się, że coś tam ma być. Umawiam się najczęściej na mój dyżur. Zwołuję też komisję, jeżeli jest jakiś problem. Takie spotkanie komisji z mieszkańcami Kowal odbyło się przedwczoraj. Mieszkańcy chcą, żeby tam były działki budowlane, zieleń, by były tereny rekreacyjne. Potem spotkaliśmy się z przedsiębiorcami związanymi z kupcami. Ludzie przychodzą również wtedy, kiedy mają kłopoty z remontami, mieszkaniami, a także komunikacją, no i kiedy im się coś nie podoba. Takimi sprawami się właśnie zajmuję. W tej chwili mieszkańcy o wiele więcej wiedzą o tym, co dzieje się w Mieście. Ludzie czytają protokoły z sesji, stąd też mają większą wiedzę. Na stronie internetowej jest sporo informacji. Ludzie przychodzą, są aktywni, zgłaszają swoje problemy, także poprzez rady osiedla.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Ja osobiście mam dobre relacje, tzn. dobrze mi się współpracuje ze wszystkimi. Jak są jakieś sprawy do załatwienia, to na ogół, w 95%, są one załatwiane. Ja orientuję się, co jest realne i co można załatwić. Czasami jednak ludzie mają takie pomysły, że niestety nie są one do zrealizowania. Mnie osobiście dobrze się współpracuje i z prezydentem i wiceprezydentami, i z urzędnikami. Jeżeli chodzi o Radę, to różnie bywa, ponieważ czasami polityka bierze górę, a szczególnie teraz, w ostatnim okresie. Uważam się za samorządowca, nie polityka, mimo że należę do partii, ponieważ w pewnym momencie musiałam należeć, ale podchodzę do tego inaczej, nie od strony politycznej, tylko od strony merytorycznej i tak też jestem postrzegana przez wszystkich.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Z Biurem Rady Miejskiej moja współpraca układała się zawsze bardzo dobrze. Uważam, że całe Biuro to osoby sympatyczne i nie mam powodów do narzekań.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Tutaj mamy warunki do pracy, mam też dobre warunki mieszkaniowe w związku z tym w domu też mogę pracować, od tej strony nie mam żadnych zastrzeżeń.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracuję w trzech komisjach. W obecnej V kadencji Rady ponownie jestem przewodniczącą Komisji Rozwoju Przestrzennego i Architektury. Jestem również członkiem Komisji Infrastruktury Komunalnej oraz Komisji Komunikacji i Ochrony Środowiska. Te komisje od początku są w kręgu mojego zainteresowania. Myślę, że moja komisja pracuje dobrze, mamy kontakt z mieszkańcami oraz radami osiedla. Bardzo dobrze układa się także współpraca z wiceprezydentem Grehlem, z dyrektorem departamentu. Jesteśmy na bieżąco w każdej sprawie. Wszystko jest odpowiednio przygotowane, współpraca jest bardzo dobra. Jestem członkiem Komisji Infrastruktury, w tej komisji praca jest dosyć trudna, ponieważ dotyczy mediów, czyli ciepła, wody, ścieków oraz oczywiście gospodarki mieszkaniowej. Jest sporo problemów, ale komisja daje sobie radę. Komisja Komunikacji ma sporo pracy przed Euro 2012. Poza sprawami związanymi z Euro, komisja kładzie nacisk na komunikację zbiorową. Jedynie, co nas może uratować przed ogromnymi korkami to wydzielone torowiska, po których poruszają się autobusy komunikacji miejskiej. Cały czas dyskutujemy, jak tę komunikację usprawnić. Jestem także członkiem Zespołu ds. Inicjatyw Lokalnych, który ocenia i decyduje o realizacji zadań zgłoszonych przez społeczności lokalne na osiedlach.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

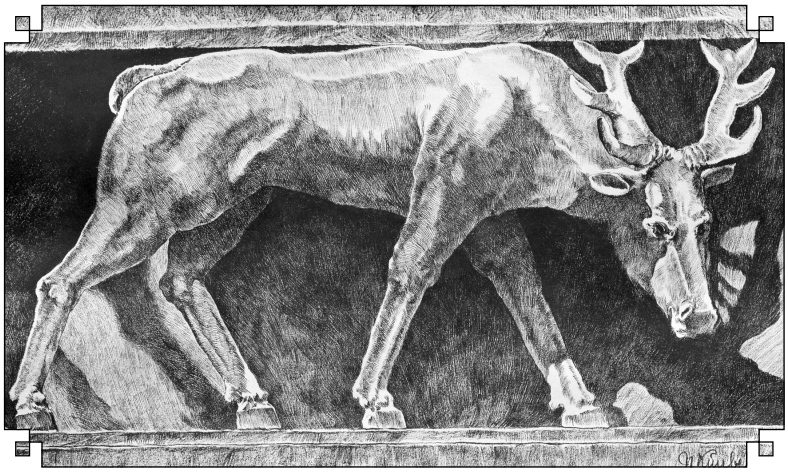
Były to wydarzenia związane ze sprawami, w które bardzo mocno byłam zaangażowana, np. było to otwarcie oczyszczalni ścieków z udziałem ministra środowiska. Tak samo „Studium uwarunkowań...", bardzo trudny dokument, w którego powstanie byłam bardzo zaangażowana. Te rzeczy były dla mnie bardzo ważnymi wydarzeniami.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Mam kontakt z radami osiedla, ale sama bezpośrednio w radach osiedla nie działam.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W tej chwili jestem negatywnie ustosunkowana do mediów. Na początku mojej działalności wyglądało to inaczej, było sympatycznie. Myślę, że wtedy, tak jak my i dziennikarze uczyli się. Natomiast teraz większość mediów nastawiona jest na to, by nas na czymś przyłapać, niekoniecznie prawdziwie czy nieprawdziwie. Nie jest to ważne. Mogę podać własny przykład. Miesiąc temu oceniała mnie prasa jako najlepszą radną, która kontaktuje się z wyborcami. Tydzień temu ukazał się artykuł, w którym przedstawiono całkowicie odmienną relację – najgorsza radna, bo leniwa, nie spotyka się z mieszkańcami Wrocławia. Więc, albo jestem najgorsza, albo też najlepsza, o co w tym wszystkim chodzi? To była ta sama gazeta, która nie sprawdziła informacji. Po czym w „Fakcie" ukazał się artykuł, że była to tylko prowokacja. No dobrze, może takie prowokacje są też potrzebne, ale wyszło na to, że od początku roku w ogóle nie miałam kontaktów z mieszkańcami, dopiero w kwietniu. To jest oczywiście nieprawda, bo ja z mieszkańcami spotykałam się już kilkadziesiąt razy na komisji. Dzieje się tak zawsze, gdy pojawia się jakiś szerszy problem i chcę, żeby komisja się nim zajęła. W tym roku wraz z komisją spotykaliśmy się z mieszkańcami około dziesięciu razy. Wyszło jednak na to, że oficjalnie, według harmonogramu w Internecie, to ustawowe spotkanie, które ja muszę mieć, odbędzie się dopiero w kwietniu. Nawet nikt się nie zainteresował, czy to jest wszystko, czy my się w innych terminach nie spotykamy. Poza tym brak jest autoryzacji wywiadów. W tej chwili przestałam się spotykać z dziennikarzami i wręcz odmawiam, ponieważ parę razy po udzielonym wywiadzie ukazały się takie informacje, których ja się wstydzę, gdyż była napisana nieprawda. Po moim pytaniu, dlaczego dziennikarz tak napisał, padła odpowiedź, że szef kazał skrócić wypowiedź, więc z trzech zdań zrobił jedno. W każdym z tych zdań mówiłam o czymś innym, więc w ten sposób powstała totalna bzdura. W tej chwili odmawiam, bo jeśli nawet proszę o autoryzację, to tej autoryzacji nie ma. Potem już nie ma odwrotu, nawet, gdy jest jakieś sprostowanie, to gdzieś na ostatniej stronie i nikt tego nie czyta. Tak wyglądają moje doświadczenia z mediami. Myślę, że jest dużo młodych dziennikarzy, którzy tak naprawdę nie wiedzą, o czym piszą.





Renata GRANOWSKA

Radna V kadencji.
Absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Myślę, że byłam w pełni przygotowana do pełnienia funkcji radnej, jeżeli chodzi o Wrocław, bo mieszkam tu bardzo długo, tutaj pracuję i założyłam rodzinę, tutaj kształcą się moje dzieci i wychowują w placówkach edukacyjnych. Jeżeli natomiast chodzi o źródła wiedzy na temat samorządu, zawsze była moją pasją historia. Zdawałam historię na maturze, a jeszcze jako nastolatka pisałam artykuły dotyczące naszej historii w czasach przełomu, w latach 1989-1990. Chodziłam wtedy do liceum i pisałam w lokalnej gazecie na temat Piłsudskiego, jego życia, historii 20-lecia międzywojennego. Historia zawsze była dla mnie żywa, nie tylko o niej czytałam, ale i pisałam. Natomiast, jeżeli chodzi o głębszą wiedzę na temat samorządu, to ukończyłam prawo. Samorząd jest mi bardzo bliski, ponieważ studiowałam i broniłam się w Katedrze Prawa Konstytucyjnego, która zajmuje się samorządem terytorialnym. Myślę, że miałam bardzo głęboką wiedzę i dobre źródła wiedzy na ten temat.

Czy przed 1990 r. interesowała się Pani sprawami miasta?

Pochodzę z mniejszego miasta, z Brzegu Opolskiego i czasy, kiedy byłam licealistą były okresem przemian. Wyniosłam z domu tradycje walki o demokrację, moi rodzice też nie byli obojętni na dawne czasy, kiedy demokracja była tłamszona. Trudno mi powiedzieć, czy zajmowałam się sprawami miasta. Pewno można tak to nazwać, że były to sprawy miasta, sprawy bliskie zarówno mnie, jak i moim koleżankom i kolegom z liceum. Chcieliśmy, żeby nam żyło się lepiej, chcieliśmy pisać w gazetach to, co myśleliśmy, nie mieć cenzury. Pamiętam nawet, jak po szkole, w szatni były pochowane ulotki. Także taki był początek mojego wejścia w bycie osobą aktywną społecznie i teraz radną.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmuje się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Zajmuję się sprawami edukacji. Mój okręg wyborczy jest przeze mnie bardzo dopieszczany, jeżeli chodzi o przedszkola i szkoły. Natomiast moją pasją jest sport i bardzo bym chciała, żeby młodzież i dzieci we Wrocławiu miały dobrą infrastrukturę sportową, czyli boiska, sale gimnastyczne, baseny. Jest to zarówno moja pasja, jak i mój cel. Jest to również sfera życia, zapewniająca dzieciom z rodzin patologicznych możliwość spędzania wolnego czasu inaczej, niż na piciu alkoholu czy zażywaniu narkotyków. Cieszy mnie także, że jestem w Komisji Statutowej, ponieważ jestem jedynym prawnikiem tej kadencji i mam duży wpływ na tworzenie naszego prawa lokalnego tak, aby było ono dobre i praktyczne, i wysokiej jakości. Zajmuję się też często gospodarką komunalną, jeżeli chodzi o zasób mieszkaniowy, gdzie spotykam się z problemami i staram się pomagać bezpośrednio mieszkańcom w ich rozwiązywaniu. Cały czas zarządzanie mieszkaniami komunalnymi jest bardzo dużym problemem dla naszego miasta.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Dla mnie największym sukcesem było wejście do Rady, ponieważ startowałam z szóstego miejsca na liście wyborczej. Do moich sukcesów mogę zaliczyć także kontakty z mieszkańcami, rozwiązywanie codziennych problemów życia. Mocno otoczyłam opieką przedszkole dla dzieci niepełnosprawnych w moim okręgu. Potrzebny był remont, zainstalowanie windy, pryszniców, podłóg. Są to dzieci niepełnosprawne fizycznie w bardzo ciężkim stopniu, więc zamontowanie niezbędnej infrastruktury było nieodzowne, aby te dzieci mogły do przedszkola uczęszczać. Dlatego bardzo mnie ta współpraca cieszy. Nie ukrywam, że też tam posłałam swoje dziecko, aby miało styczność z ludźmi niepełnosprawnymi i nauczyło się w dorosłym życiu traktować ich, jak pełnosprawnych. Myślę, że mój okręg wyborczy uzyskał też, dzięki mnie, liczną infrastrukturę sportową wysokiej jakości, jeżeli chodzi o boiska przy szkołach.

Co do sukcesu Rady, uważam, że jest nim ponadczasowość spraw, jakimi się zajmujemy. Są to naprawdę sprawy mieszkańców, a nie partykularne interesy grup.

Jak ocenia Pani współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

We Wrocławiu jest Sektor III przy ulicy Legnickiej, który zajmuje się instytucjami pozasamorządowymi. Powiem, że tym instytucjom jest bardzo ciężko z powodu braku pewnej regulacji prawnej wyższego rzędu. Sama

regulacja jest, ale jeżeli chodzi o praktykę, bardzo często te instytucje muszą borykać się z podstawowymi problemami, jak znalezienie siedziby, koszty. Miasto im pomaga, ale jesteśmy w fazie bardzo jeszcze raczkującej, jeżeli chodzi o Sektor III, sektor instytucji pozarządowych. Jak na razie, jest też bardzo mało pieniędzy dla nich. Oczywiście, w różnych dziedzinach życia takich, jak kultura, edukacja czy sport, są konkursy różnego typu, ale chyba jeszcze nie wygląda to tak, jak powinno.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Działam tak, jak mnie nakierowują moi wyborcy. Mam taki komfort pracy, że mieszkam w okręgu, z którego jestem radną, znam problemy lokalne, znam ludzi, ludzie mnie znają i generalnie nie mają żadnego problemu, żeby się ze mną skontaktować. Kiedy okazuje się, że chcą mieszkańcom na boisku postawić blok dziesięciopiętrowy czy trzeba wyremontować ulicę, natychmiast działam, jestem na bieżąco z miejscowymi problemami. Wpływ wyborców na moją pracę jest bardzo transparenty i z tego się cieszę.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To pytanie jest bardzo tendencyjne i nie wiem, dlaczego jest tutaj zawarte. Czy ktoś pyta, jak układają się stosunki władzy wykonawczej z nami? Pytanie jest bardzo tendencyjne i bardzo mi się nie podoba. Nie odpowiem na nie.

Jak się układa Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnej?

Wyposażenie sal jest bardzo dobre, osoby obsługujące moje komisje świetnie pracują, mamy dobry dostęp do materiałów, jak i komputerów. Jesteśmy na bieżąco, posiadamy pocztę mailową.

W jakich komisjach Pani pracuje i jak Pani ocenia ich pracę?

Jestem wiceprzewodniczącą Komisji Statutowej. Ponieważ jestem jedynym prawnikiem w Radzie V kadencji, Komisja Statutowa jest troszkę takim moim obowiązkiem. Komisja ta spotyka się dwa razy częściej niż pozostałe, ponieważ nasza praca jest czasochłonna. Opiniujemy projekty uchwał, które później są przedstawiane radnym. Musimy przeczytać wszystkie uchwały, bez względu na merytorykę, czy to dotyczy komunikacji, zasobu komunalnego, gospodarki. Wszystkie uchwały do nas trafiają i Komisja Statutowa opiniuje je wszystkie. Jestem również wiceprzewodniczącą Komisji Rewizyjnej, która przeprowadza kontrolę Urzędu Miasta i pana prezydenta. Praca jest bardzo twórcza, bardzo ciekawa, związana z moim zawodem prawnika. Polega na dociekaniu stanu faktycznego i porównywaniu go ze stanem prawnym, jaki powinien być w Urzędzie Miejskim i w pracy pana prezydenta. W przypadku Komisji Sportu i Rekreacji, jest to moja pasja. Staram się być wszędzie, gdzie dzieje się coś we Wrocławiu związanego ze sportem, pomagam stowarzyszeniom zajmującym się sportem, głównie wspierającym młodzież i dzieci.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

To już chyba tradycja, że powstają kluby radnych. Od zawsze w samorządzie była polityka, ugrupowania polityczne. Na tym polega demokracja, że ludzie wybierają między dobrym a lepszym i mam nadzieję, że zawsze będzie to wybór pomiędzy dobrym a lepszym, a nie pomiędzy złym a lepszym. Nie chciałabym oceniać pracy innych klubów, mogę ocenić pracę swojego. Myślę, że jesteśmy wybierani przez ludzi ze względu na naszą głoszoną ideologię czy założenia dotyczące różnych sfer życia: gospodarczego, rozwoju miasta, socjalnego podejścia do starszych ludzi, celów i sposobów kształcenia, czyli edukacji naszych dzieci. Różnimy się i przedstawiamy te różnice podczas kampanii wyborczych i jest to celowe, bo każde z ugrupowań politycznych ma za sobą ludzi kompatybilnych w myśleniu na dany temat.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Wizyty ważnych gości z różnych państw. Na pewno ważny był dla mnie moment, kiedy dostaliśmy Euro 2012. Byłam na Rynku ze swoją rodziną, kiedy Platini ogłaszał, że Wrocław jest wśród miast organizujących i na pewno było to wydarzenie, które pozostanie na długo w mojej pamięci. Na pewno ważną chwilą była moja nominacja, otrzymanie legitymacji radnej i składanie przysięgi, czyli uroczystości zaprzysiężenia, po których otrzymałam mandat radnej.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Jestem członkiem rady osiedla Szczepin. Rady osiedlowe są oczywiście różne. Natomiast w przypadku mojej rady, odczuwam wielki dyskomfort, ponieważ jest ona mocno nakierowana na działania jednego rodzaju, nie pomaga ludziom. Myślę, że jest to wynikiem podziału głosów i pana przewodniczącego, który jest już drugą kadencję i zajmuje się bardziej swoim hobby niż spełnianiem obowiązku radnego osiedlowego, pomimo że jest najbliżej mieszkańców, a przynajmniej powinien być.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Bardzo tendencyjnie.



Adam GREHL

Radny I, II i III kadencji, wiceprezydent Wrocławia w latach 1992-1998, 2002-2006 i od 2007 r.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym?

Mogę powiedzieć, że nie byłem przygotowany, ponieważ nikt nie kształcił radnych w okresie transformacji do pełnienia takich funkcji. To była sytuacja nadzwyczajna, związana z utworzeniem pierwszego niekomunistycznego rządu, z wielką reformą państwa i z pierwszymi demokratycznymi wyborami w Polsce. Myślę, że do takiego zdarzenia nikt się długo nie przygotowywał.

Propozycja udziału w wyborach była dla mnie zaskoczeniem. Miałem wątpliwości, czy powinienem brać w nich udział. Ta myśl zrodziła się w środowisku, z którym byłem związany, myślę tutaj o parafii św. Elżbiety przy ul. Grabiszyńskiej. W rozmowach, które zainicjował ksiądz Franciszek Głód, wskazywałem na zacne osoby, również z jego otoczenia, jako bardziej doświadczone i już przygotowane. Ksiądz zwracał uwagę, że jest potrzeba ludzi nowych, młodych, że jest to okres wyjątkowy i trzeba w tym procesie zaangażować się i go wspierać. Ostatecznie przekonał mnie i podjąłem decyzję o kandydowaniu. I tak, mogę powiedzieć, zaczęła się moja przygoda z samorządem, która trwa do dzisiaj.

Jakimi dziedzinami gospodarki komunalnej zajmował się Pan w czasie swojej działalności w Radzie?

Początkowo byłem w Komisji Infrastruktury Gospodarki Komunalnej, również uczestniczyłem w Komisji ds. Osiedli. Kiedy zostałem członkiem Zarządu Miasta punkt ciężkości przeniósł się z organu ustawodawczego na pracę związaną z zarządzaniem i dotyczył głównie mienia komunalnego. Potem, już jako wiceprezydent, również byłem radnym, ale punkt ciężkości związany był z wykonywaniem obowiązków członka Zarządu i wiceprezydenta. Do moich obowiązków należało głównie przygotowanie oferty inwestycyjnej, współpraca z inwestorami, współpraca ze środowiskami gospodarczymi, a także zadania związane z emisją obligacji komunalnych i sprzedażą mienia. Podjąłem m.in. inicjatywę giełd nieruchomości, to było związane z realizacją pewnych celów związanych z prywatyzacją, żeby wrocławianie mogli stać się właścicielami swoich mieszkań, swoich sklepów. Przygotowywałem także ofertę inwestycyjną Miasta związaną z budynkami, z możliwością ich adaptacji do nowych funkcji, a także z ofertą terenów dla inwestora, po to, ażeby zrealizować pewne wizje rozwojowe miasta.

Samorząd był zdeterminowany, ażeby krok po kroku podejmować takie decyzje. Nie było dokumentów, ale ważna była wizja i jej konsekwentna realizacja. Większość w Radzie, pewność działań Zarządu i prezydenta sprawiały, że w którymś momencie uzyskiwano efekty, że widać było, że tworzy się nowe miasto. Oczywiście, to rodziło się, z jednej strony, z wizji zarządzających, z drugiej zaś, z atmosfery, którą tworzono we współpracy z Radą, gdzie dyskutowano i strategicznie kształtowano wizję, chociażby Rynku, który potem, w kampanii wyborczej, stał się synonimem pozytywnych zmian. Myślę, że panowała wtedy wielka determinacja tworzenia, przekształcania miasta, która legła u podstaw sukcesu.

Co uważa Pan za największy sukces swoich kadencji Rady Miejskiej?

Trudno mówić o swojej pracy, to powinni oceniać inni. Dla mnie zawsze ważne były wybory, bo one były takim sprawdzianem, czy moja praca, styl tej pracy zyskuje akceptację. To, że w tych wyborach zostałem wybrany po raz pierwszy, drugi czy trzeci, to było dla mnie ważne. Jeśli chodzi o pracę zarządczą, to wydaje mi się, że mam jakiś udział w wykorzystaniu tych szans, jakie były związane z majątkiem komunalnym, ze stworzeniem oferty inwestycyjnej. Wspominam działania na ul. Kiełbaśniczej, które krok po kroku doprowadziły do tego, że ulica, która od kilkudziesięciu lat, po pożarze kościoła św. Elżbiety, w połowie była niedostępna dla wrocławian, na odcinku od ul. Świętego Mikołaja do Odry, odzyskała swój blask. Znajdowały się tam wykwaterowane budynki i nie były to miejsca odwiedzane przez wrocławian. Odbudowana Kiełbaśnicza obok Rynku pokazywała, co jest siłą Wrocławia – wrocławska ulica, wrocławskie kamienice. Tam przyszło nowe życie, nastąpiła zmiana funkcji na hotelową, powstały połączenia pomiędzy budynkami, pomiędzy „Art Hotelem" a kamieniczkami obok. Szczególnie wspominam projekt zabudowy i realizację kwartału pomiędzy ul. św. Mikołaja i Kiełbaśniczą. Pamiętam moment, kiedy podpisywaliśmy umowę sprzedaży kamienicy w patio dzisiejszego budynku „Art Hotelu". Wokoło rozciągał się bardzo ponury widok, to było miejsce nie do życia, nawet dla gołębi, ponieważ te kamienice od lat stały puste. Raz zdecydowaliśmy się na podpisanie umowy w takim strasznym miejscu, żeby uświadomić mieszkańcom Wrocławia, co przejęliśmy. Myślę, że to jest takie właśnie miejsce, które pokazywało tę transformację.

Przyszła nowa funkcja, potrzebna w nowoczesnym mieście, powstały hoteliki, nowe firmy, urokliwe pasaże. Wrocławski duch przedsiębiorczości dał nowe życie temu miejscu.

Realizowaliśmy też wielkie projekty inwestycyjne. Prowadziliśmy negocjacje z firmą Volvo, żeby inwestowała we Wrocławiu, w momencie, kiedy musiała wyjść z Jelcza. Dzisiaj jest to jedno z większych centrów przemysłowych tego koncernu. Jesteśmy włączeni w globalny międzynarodowy obrót gospodarczy. Tu już nie montuje się tylko ciężarówek, to już jest historia. Tutaj powstają autobusy, to jest centrum informacyjne, centrum finansowe, powstają maszyny budowlane. Czyli, z jednej strony, nawiązanie do tradycji kultury technicznej miasta, z drugiej, nowoczesne technologie wdrażane przez absolwentów wrocławskich uczelni i powstanie parku przemysłowego. Uczestniczyłem też w wielu innych projektach.

Mam to szczęście, ten przywilej, że mogę wpływać na kształt przemian. To jest największa radość, kiedy chodząc po mieście, widzi się efekty swojej pracy na konkretnych przykładach. Cieszą mnie rzeczy, które się udały i czasami żałuję, że jeszcze czegoś nie zrobiłem, że mogłem to zrobić albo lepiej, albo więcej. Cieszą rzeczy małe, drobne, zwłaszcza, jak jest ich sporo i cieszą rzeczy duże. Cieszyły mnie nowe restauracje na wrocławskim Rynku, obiekty handlowe i nowe plomby. Bardzo sobie cenię również współpracę ze środowiskiem gospodarczym.

Wiele czynników złożyło się na dynamizm Wrocławia. Zachowały się branże rzemieślnicze. Mamy dobrych rzemieślników w branżach artystycznych. Oni mają tutaj swoje miejsce i potrafią robić ciekawe rzeczy.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Myślę, że najbardziej trudny moment był związany z powodzią. Oceniam te wydarzenia jako najtrudniejsze doświadczenie tamtych czasów. Nasze miasto, które tak wypiękniało w czasie przygotowań do Kongresu Eucharystycznego, nagle spotkał kataklizm, wobec którego byliśmy bezsilni. Ta bezsilność, że ja nie mogę nic zrobić, żeby temu przeciwdziałać, to było najtrudniejsze.

Jako negatywne zjawisko oceniam to, co się zdarzyło w późniejszym okresie – upolitycznienie samorządu. Ja dojrzewałem jako samorządowiec na bazie idei społeczeństwa obywatelskiego, tzn. szerokiego udziału różnych osób, skupionych wokół demokratycznie wybranych władz miejskich. Wrocław długo budował samorządność, z jednej strony, na reprezentantach partii, z drugiej zaś, na szerokim spektrum rozmaitych osobowości. Wydaje mi się, że to miało wpływ na charakter rządów w mieście. Jestem bardzo przywiązany do idei samorządności, jako osoba, która nie jest członkiem żadnego ugrupowania. Uważam, że wrocławianie powinni mieć różnorodną reprezentację.

Był dla mnie trudny okres po zakończeniu pracy w Zarządzie po drugiej kadencji. Nastąpiła zmiana w systemie – teraz już nie można być radnym i pełnić funkcji wykonawczych. Po wyborach do Rady III kadencji były prowadzone rozmowy w celu zawiązania koalicji z ugrupowaniami w ramach Rady. Prezydent Zdrojewski miał prawo rekomendowania osób do Zarządu Miasta i widział tam nadal moją osobę, dotychczas byłem jego zastępcą. Współpracowaliśmy w ramach Zarządu ponad 6 lat. Przedstawiciele innych partii odmiennie widzieli sprawy personalne i inaczej oceniali więź – prezydent i ja. Ugrupowanie Akcja Wyborcza Solidarność forsowało swoje propozycje i swoje wizje. Przez dłuższy czas panowało pewne napięcie związane z formowaniem Zarządu, od pewnego momentu była to relacja prezydent – Rada i klub Wrocław 2000 oraz Akcja Wyborcza Solidarność. Kryzys w tej sprawie trwał dosyć długo i w końcu zdecydowano pomiędzy politykami.

Trwała również medialna dyskusja. Twierdzono, że należy rozbić duet Zdrojewski – Grehl. Byliśmy świadkami uzewnętrznienia transformacji samorządów w kierunku silnego udziału ugrupowań partyjnych.

Dla mnie osobiście ten moment był bardzo trudny. To wszystko odbywało się w ramach demokratycznych reguł i może tylko styl… Ten styl mógł być inny i mogę mieć uwagi do obu stron sporu.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozarządowymi?

Siłą samorządowca jest jednak więź z mieszkańcami i oczywiście współpracuję z rozmaitymi organizacjami. Uważam, że właśnie w urzeczywistnianiu idei społeczeństwa obywatelskiego ważny jest udział mieszkańców, w tym sensie przypisuję ważną rolę organizacjom pozarządowym. W swojej pracy spotykam przedstawicieli różnych organizacji pozarządowych i organizacji pożytku publicznego.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Uważam, że dla samorządowca jest bardzo ważny. Sądzę, że należy słuchać i trzeba rozmawiać. To jest inspirujące, bardzo ważne i naturalne. Nie czyńmy z tego sprawy incydentalnej, to jest właściwie sens pracy samorządowca, żeby słuchać. Trzeba również słuchać krytycznych uwag, bo zawsze osób, które chwalą jest wiele. Powinniśmy być blisko wyborców, podtrzymywać kontakt. Uwagi krytyczne dotyczą rozmaitych problemów. Był okres, kiedy mówiono, dbacie tylko o centrum, a dlaczego zaniedbujecie Psie Pole i Leśnicę… Dziś rewitalizujemy wiele miejsc, m.in. Nadodrze, Psie Pole, Włodkowica.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

To było zawsze takie miejsce, które miało swoją wyjątkową atmosferę. To była zawsze atmosfera wielkiej życzliwości, uśmiechu i troski o radnych, wielkiej kultury. To są osoby, które często towarzyszyły pracy radnego. To są setki godzin spędzonych na posiedzeniach komisji, to są sesje, a te sesje kończyły się czasami bardzo późno,

zwłaszcza w pierwszych kadencjach. To były panie, które musiały wrócić do swoich domów, bardzo często odwoziliśmy je do domu, gdyż jako ostatnie opuszczały gmach Sukiennic. Na drugi dzień były już normalnie w pracy. Myślę, że wiele wspaniałych osób ze swoją życzliwością i uśmiechem było bardzo blisko nas. Warto też wspomnieć o osobach, które są w Biurze Rady od samego początku. To są osoby bliskie radnym. Owe relacje przekształciły się w znajomość, która trwa.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Postęp techniczny jest wielki. Pierwsze posiedzenia Rady odbywały się na Nowym Targu w sali 215, a następnie w Sukiennicach w historycznym miejscu. Wystrój się bardzo zmienił. Teraz po remoncie jest całkiem inny. Zmiany nastąpiły po II i III kadencji. Obok sali sesyjnej jest klub radnego, gdzie zawieszono zdjęcia radnych kolejnych kadencji. Myślę, że to buduje atmosferę tego miejsca, w którym nawiązuje się do ciągłości samorządu. To miejsce będzie obrastać kolejnymi fotografiami. W klubie znajdują się również zdjęcia honorowych obywateli Wrocławia.

Innowacją było wprowadzenie elektronicznego systemu liczenia głosów. Początkowo rozprowadzane były materiały pisane w dużej ilości. Zmiany techniczne i estetyczne znajdowały odzwierciedlenie w sali sesyjnej. Dzisiaj radni posiadają komputery, karty elektroniczne i to wydaje się naturalne. Trzeba pamiętać, ze sala sesyjna jest elementem budowania tradycji miasta i dobrze, że skutecznie służy radnym miejskim. Tu przychodzą dzieci, młodzież, turyści i mogą zobaczyć to miejsce, gdzie się podejmuje decyzje. Przewodniczący ma swoją ławę i w symboliczny sposób otwiera i zamyka posiedzenia Rady. Ważna jest tradycja szarfy radnego wyróżniającej reprezentanta miejskiej społeczności.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich pracę?

Wspomniałbym Komisję Gospodarki Komunalnej. Warto przypomnieć, że w 1990 r. nie było we Wrocławiu oczyszczalni ścieków. Minęło 20 lat, wybudowano oczyszczalnię, a dzisiaj się ją rozbudowuje jako jeden z najnowocześniejszych obiektów. To oczywiście również sprawy układu drogowego, coś, co się planowało, dzisiaj jest urzeczywistniane. Do komisji przychodziłem również jako przedstawiciel Zarządu lub prezydenta.

Druga przygoda związana jest z Komisją Architektury, w której uczestniczyłem w III kadencji i to, jak myślę, była taka komisja, w której mogłem wykorzystać w sposób pełny różne doświadczenia i te z zakresu gospodarki komunalnej, i te od spraw gospodarczych. W ramach Komisji Architektury istnieje konieczność wieloaspektowego rozpatrywania zagadnień związanych z kształtowaniem przyszłości. Tam w sposób pełny mogłem wykorzystać swoje doświadczenie jako radnego i jako członka Zarządu. Wymieniłem dwie komisje, które były mi najbliższe.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

To wynika z systemu, który zagospodarował przestrzeń publiczną. Partie, system wyborczy, zgłaszanie list kandydatów, sposób obliczania głosów. Bardzo wiele osób mówi, że to jest naturalne. Ale jednak powstało w Polsce coś wspaniałego, czyli reforma samorządowa, która uznana jest za jedną z najbardziej udanych, która zmieniła Polskę, wyrosła z korzeni obywatelskich.

Oczywiście, gdy rozmawiać z przedstawicielami partii, to oni mówią, że tak jest na całym świecie, to wynika z przeszłości i tak ma być. Wielu analityków uważa jednak, że to, co się tworzy na poziomie niższym jest dla ludzi bardzo ważne. Najbliżej obywatela są ich reprezentanci w miastach. Kiedyś prezydenta wybierała Rada, dzisiaj wybierają mieszkańcy. To były decyzje ustrojowe, które dały dynamizm i turbodoładowanie samorządom.

Nie mam nic przeciwko reprezentacji również przez środowiska partyjne. One mogą tę reprezentację zapewnić, ale muszą także zapraszać inne osoby. Jeśliby to potrafiły i nie ograniczały się jedynie do osób z aparatu partyjnego, dostrzegły potrzebę szerszej reprezentacji, to wszystko będzie dobrze. Nie można wykluczyć poprzez system partyjny osób zaangażowanych, które wywodzą się z różnych środowisk społecznych, które mają aspiracje aktywności społecznej.

Cały system, czyli ustawa, sposób rozliczania, finansowania, jest ukierunkowany na rzecz partii. Konieczne są zmiany, to wymuszą obywatele. Bliska mi jest możliwość głosowania na swoich przedstawicieli. Jednomandatowe okręgi wyborcze są jednym z rozwiązań. Alternatywą może być taki system obliczania głosów, który daje równe szanse wszystkim startującym. Partie powinny się bardziej otwierać na innych kandydatów i tworzyć szerokie listy. Tak było we Wrocławiu. Partie potrafiły zawiązać koalicję i iść do wyborów pod wspólnym szyldem. Koalicje były bardzo szerokie, były organizacje pozarządowe, byli obywatele, którzy mogli się zaangażować, i były ugrupowania polityczne i był lider. To jest idea bardzo bliska wrocławskiemu społeczeństwu. Ludzie akceptowali to, bo było bliższe ich oczekiwaniom, stąd sukces tych koalicji, ale i wielka mądrość ludzi, którzy je budowali. Myślę, że jednym z sukcesów wrocławskiego samorządu jest właśnie stworzenie miejsc dla różnych osobowości. Wiele osób, które miały wpływ we Wrocławiu, podejmowało decyzję w imię tych wartości, stąd wydaje się, że my się wyróżniamy i to z perspektywy czasu dało nam przewagę w stosunku do innych miast, to była jedna z przyczyn sukcesu.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Na pewno to był ten pierwszy okres, kiedy musieliśmy przejąć odpowiedzialność za miasto i odnieść się do jego historii. Mam na myśli przywrócenie Wrocławiowi dawnego herbu i odwołanie się do dawnych tradycji. Na

pewno również okres ustanowienia nowych nazw ulic. To, co się najpiękniejszego zdarzyło, w czym samorząd ma udział, to budowanie tożsamości Wrocławia, również odniesienia do przeszłości miasta.

Ważna była batalia o zmianę wizerunku wrocławskiego Rynku. Toczył się wówczas spór o zakres prywatyzacji związany z nową wizją głównego placu Wrocławia. Atakowano nas ostro za rozkopany Rynek, za te dziury, za tę koparkę „Waryński", która tam stała pośród kurzu, myślę, że uczestnicy tych ataków woleliby o tym zapomnieć. To nie rodziło się w sposób bezbolesny. To częste ludzkie spory, może nawet bardzo ostre, wynikające z konfliktu interesów. Nie wszyscy mogli zrozumieć tę wizję, ale z tego sporu rodziła się rzeczywistość. Najdobitniej ukazano to na jednej z ulotek wyborczych, gdzie zamieszczono czarno-białe zdjęcie Rynku skonfrontowane z ujęciem wykonanym już po remoncie, ukazującym nowe, barwne elewacje kamienic i wiele ogródków kawiarnianych. W tej wersji czarno-białej sklepy były zamknięte, działała jakaś produkcja rękawiczek, jej przeciwstawieniem był ten nowy Rynek, który stworzyli wrocławianie, dzięki pewnej polityce.

Był także spór o lotnisko, kiedy pojawiła się idea Międzynarodowego Portu Lotniczego, kiedy Miasto wystąpiło z inicjatywą, żeby stworzyć port lotniczy. Rozpoczął się spór o to, że chcemy realizować tę wizję. Niektórym radnym wydawało się wówczas, że w obliczu innych potrzeb, należy zadać pytanie: „dla kogo ten port, czy od tego musimy zaczynać"?

Tymczasem, najpierw był zwykły port lotniczy, potem jego rozbudowa w związku z Kongresem Eucharystycznym. To, co załatwiało potrzeby w 1997 r., nie zaspakaja obecnych potrzeb miasta. Budujemy zupełnie nowy terminal. Można powiedzieć, że ten spór w Radzie, utrwalony w protokole sesji, ukazuje nazwiska tych, którzy pewnie dzisiaj wstydziliby się swoich głosów. Pytano, kto będzie latał tymi samolotami?

A czasami rzeczy piękne rodzą się w bólu. Z punktu widzenia samorządu, ktoś miał wizję, musiał do niej przekonać innych, nie zawsze to było łatwe, ale widać, że było ważne.

Żyjemy Euro 2012, ludzie interesują się, fascynują, czy będzie zrobiona droga, czy będzie wybudowany stadion. Tak naprawdę źródłem tych działań była decyzja w czasie, kiedy nikt nie wierzył, że Euro może dostać Polska, może dostać Wrocław. Prezydent Dutkiewicz musiał podpisać się pod wnioskiem, złożyć deklarację w czasie, kiedy to przedsięwzięcie wydawało się wirtualne. To pokazuje, że w zarządzaniu miastem, trzeba mieć wizję i ją realizować, a nie zawsze idzie to tak łatwo. Ale jednak miasto rozwija się przez wydarzenia, czy to był Kongres Eucharystyczny, czy będzie Euro. U podstaw nie było zdobycie Euro, ale rozwój miasta z myślą o mieszkańcach. Takie wydarzenia, daty zapisujące się w historii miasta, pozwalają wykonywać skoki rozwojowe.

Podobnych przykładów realizacji rodzących się w bólach nie brakuje, np. walka o obwodnicę wschodnią, która jest związana z aktywnością prezydenta Dutkiewicza i Grzegorza Romana. Jeszcze parę lat temu to była utopia, w tym sensie, że jeszcze nie było decyzji o budowie obwodnicy autostradowej Wrocławia, a już mówiono o tzw. obwodnicy wschodniej. To są takie momenty kluczowe.

Kiedy patrzę na to dwudziestolecie, to już widać wyraźnie, że pierwsze dziesięciolecie związane jest z budowaniem tożsamości Wrocławia, która jest teraz siłą samorządu, to było bardzo istotne. W drugiej dekadzie wprowadzono miasto do Unii Europejskiej i zarysowało się wielkie otwarcie zewnętrzne. Ta zbudowana w pierwszej dekadzie siła tożsamości była trampoliną w przejściu do wielkiej ofensywy inwestycyjnej. Dzięki temu można było pozyskać nowych inwestorów, nowe firmy. Dzisiaj można realizować wiele inwestycji infrastrukturalnych i gospodarczych, które z kolei staną się odskocznią do następnego skoku rozwojowego. Wrocław będzie mógł wkroczyć w następny etap rozwojowy, jeżeli to wszystko, co teraz wykonujemy zostanie zrealizowane, czyli zostanie realizowana budowa nowego terminala lotniczego, sali koncertowej, stadionu, kilometrów nowych dróg, wiaduktów i mostów. W następnych latach pieniądze nie będą musiały iść w nadrabianie zaległości, w beton, tylko będą mogły pójść w inne przedsięwzięcia.

Zarządzanie miastem jest pewnym procesem i nie da się uzyskać efektów z dnia na dzień, chociaż wszyscy byśmy bardzo tego chcieli. Ważna jest pewna kontynuacja myślenia o mieście w sposób najlepszy, ponadczasowy.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem w Komisji Wyborczej, która wybierała pierwsze rady osiedli. Pamiętam, że rozgorzał spór, czy należy tworzyć jednostki pomocnicze, czy też powinny pozostać dzielnice. Bliższa była mi jednak idea powołania osiedli, ponieważ jestem, jak już podkreślałem, zwolennikiem koncepcji społeczeństwa obywatelskiego. Na początku uważaliśmy, że tych rad osiedli powinno być wiele. Trudno bowiem specyfikę małych osiedli, o zintegrowanej społeczności i aktywnych mieszkańcach, mieszać ze specyfiką np. osiedli śródmiejskich albo dużych osiedli mieszkaniowych, gdzie te więzy były inne.

Uczestniczyłem, jako przewodniczący Komisji Wyborczej, w tej pierwszej skomplikowanej procedurze przeprowadzania wyborów do pierwszych rad osiedli. To było urzeczywistnienie idei społeczeństwa obywatelskiego. W tak dużym mieście istniała nie tylko konieczność powołania Rady Miejskiej, lecz także jednostek pomocniczych. Panowała wówczas niechęć do rad dzielnicowych, wynikająca z przyczyn historycznych. Zwyciężyła idea powołania osiedli, będąca wyrazem silnego samorządowego myślenia. Rada jako całe miasto i jednostki pomocnicze jako przedstawicielstwo osiedli, a tych było początkowo około 40.

Obecna struktura władz samorządowych, wprowadzona wieloma zmianami ustawowymi, implikuje także konieczność zmian w sposobie działania organów pomocniczych. Być może dzisiaj trzeba szukać kompromisu, zmieniając strukturę i kompetencje rad osiedlowych. Do tego prawdopodobnie będzie musiała się odnieść Rada następnej kadencji. Niektórzy uważają, że należy stworzyć struktury na poziomie mniejszych osiedli czy dzielnic.

To jest pytanie o pewien model ustrojowy. Czy chodzi tu o współrządzenie miastem, czy też o funkcję doradczą przedstawicieli osiedli i dopomaganie w rozwiązywaniu ich miejscowych problemów. Bardzo często miesza się te dwa porządki i chce się w tych wypadkach wprowadzenia struktury urzędów. Bardzo często też mamy do czynienia z klasycznym dylematem, że osoby, które zostały wybrane do opiniowania chcą zarządzać.

Zwolennicy poglądu dotyczącego funkcjonowania rad osiedlowych jako organów pomocniczych doprowadzili do wyborów i ten pierwszy okres aktywności rad był bardzo dynamiczny. Grupa osób angażowała się w sprawy osiedli i podejmowała fantastyczne inicjatywy, początkowo infrastrukturalne, np. w Pawłowicach czy Wojnowie i Strachocinie. Tak było zwłaszcza z budową wodociągów, budową kanalizacji oraz budową dróg. Oni naprawdę podejmowali wielki wysiłek w rzeczach, które robi się teraz z klucza. A potem robili festyny, budowali tożsamość osiedli. Znakomitym przykładem jest Leśnica, mówi się „księstwo leśnickie" w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Widoczne było, że w osiedlach mniejszych, gdzie ludzie się znają i łączą ich więzy osobiste, jest się łatwiej zorganizować. Nieco słabiej w tych osiedlach dużych, gdzie były struktury samorządowe spółdzielni mieszkaniowych, gdzie trudno było ludzi skłonić do działania, ale wystarczy popatrzeć na Nadodrze w Śródmieściu, tam mamy do czynienia z tkanką sprawnie działającą.

Wielu radnych zaczynało swoją drogę samorządową właśnie w radach osiedlowych. Wkrótce rozwinie się dyskusja, jak je zmodyfikować.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Pamiętam wielu dziennikarzy, którzy autentycznie towarzyszyli radnym i siedzieli bardzo długo z nami. Pani Hanna Wieczorek, która żyła tymi sprawami jako wrocławianka i jako dziennikarka, pytała, była dociekliwa. Redaktor Jacek Kulesza – młody dziennikarz, który był chłonny każdej informacji o mieście. Telewizje lokalne Echo, potem TeDe organizowały cotygodniowe spotkania, stwarzając możliwość bliskiego kontaktu z mieszkańcami, którzy chcieli zadać pytania, mieli problemy. Mam wrażenie, że w pierwszej dekadzie media nas wspomagały, panowało duże zaufanie. Potem wszystko się zmieniło, ja to kojarzę z upolitycznieniem samorządu. To zależy także od tytułów i od postaw różnych dziennikarzy. Niektórzy z nich, w swoich felietonach wręcz podkreślają swoją niechęć do ludzi zarządzających miastem. To należy wtedy inaczej czytać, jak ktoś ma w sobie niechęć, to taki jest. Jest wolność opinii mediów, wolność słowa. Czasami zdarzają się bardzo bolesne czy krzywdzące artykuły i opinie.

Unikaliśmy tego, żeby w nowej rzeczywistości recenzować media, one działają zgodnie z prawem. Jeśli opinia rozmija się z przepisami, można dochodzić prawdy na drodze sądowej.

Wydaje mi się, że wiele rzeczy w rodzinie samorządowej rodziło się jednak ze wsparciem mediów.

◇◇◇

Czy przed 1990r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Niestety, nie. Był to czas, kiedy studiowałam.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Radny wykonując swój mandat zajmuje się wszystkimi zadaniami gminy, czyli całym, tzw. życiem komunalnym miasta. Nie istnieje zatem pojęcie specjalizacji w problematyce miasta czy życiu jego mieszkańców. Można jedynie mówić o pewnych zainteresowaniach niektórymi sferami życia komunalnego, które realizuje się poprzez pracę w komisjach stałych Rady. Byłam więc członkiem Komisji Rewizyjnej, Komisji Kultury i Nauki oraz przewodniczącą Komisji Statutowej. W Komisji Kultury i Nauki zainteresowana byłam wspieraniem społecznej aktywności kulturalnej oraz współpracą ze środowiskiem kultury i nauki, zwracałam także uwagę na wszelkie kwestie związane z promocją Wrocławia jako prężnego ośrodka kultury. W IV kadencji Rady pracowaliśmy zresztą wszyscy wspólnie nad stworzeniem wizji Wrocławia jako miasta kultury. To wtedy właśnie powstały m.in. takie projekty, jak sala koncertowa, nowe odkrycie Filharmonii Wrocławskiej i *Wratislavii Cantans*, Dzielnica Czterech Świątyń, większość festiwali wrocławskich, nagroda literacka Angelus. Natomiast praca w Komisji Statutowej związana była ściśle z moją wiedzą i umiejętnościami prawniczymi, a konkretnie polegała na praktycznym ich wykorzystaniu przy tworzeniu obowiązujących mieszkańców przepisów prawa. Wtedy to przeprowadziliśmy z sukcesem nowelę Statutu Wrocławia. Dokonaliśmy zmian statutów osiedli oraz dokonywaliśmy na bieżąco szeregu interpretacji przepisów prawa w kwestiach problematycznych dla mieszkańców Wrocławia. Dzisiaj mogę już powiedzieć, że praca w tej komisji dawała mi olbrzymią satysfakcję.

Jak oceniłaby Pani pracę tych komisji?

Bardzo dobrze. W komisjach zasiadali przedstawiciele różnych opcji politycznych oraz różnych środowisk, a mimo to nie przypominam sobie jakichś szczególnych kłótni czy sporów. Łączyła nas troska o dobro wspólne, a nie o partykularne interesy grup, oraz wola kompromisu. Każda kwestia sporna była gruntownie przeanalizowana i przedyskutowana, a wypracowany konsensus był trwały. Wszyscy zresztą pragnęliśmy wejścia do Unii Europejskiej i wszyscy mieliśmy świadomość olbrzymiej szansy na lepszy rozwój miasta w związku z szerszymi możliwościami finansowania zadań, dlatego bardzo kibicowaliśmy projektom prezydenta, które temu służyły. Zresztą sprzyjał temu także odpowiedni klimat polityczny w kraju.

Co uważa Pani za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces IV kadencji Rady?

Kwestii mojej działalności w Radzie nie rozpatrywałam nigdy w kategoriach indywidualnych sukcesów, „wchodząc" do Rady nastawiałam się raczej na pracę zespołową, bo tylko taka praca rozumiana jako wypadkowa pewnej zbiorowej mądrości może służyć mieszkańcom. Należy pamiętać, że w tamtej kadencji, w sposób bardzo dynamiczny, działo się bardzo wiele dobrych rzeczy dla Wrocławia i wiele z nich dopiero w tej kadencji ma swój końcowy efekt. Niewątpliwym sukcesem było wypracowanie pewnych zasad prowadzenia sporu politycznego, które zakładały pełne poszanowanie poglądów przeciwnika, konstruktywną dyskusję i poszukiwanie dróg kompromisu, które niewątpliwie prowadziły do osiągnięcia konsensusu, a wszystko to realizowane było na komisjach merytorycznych Rady i tym samym nie było sytuacji przenoszenia sporów na sesje Rady. Także stworzenie wizji Wrocławia jako liczącego się ośrodka kultury nie tylko w regionie, ale i w kraju, dzięki realizacji wielu spektakularnych imprez i znaczących przedsięwzięć, zbudowanie filozofii Wrocławia na koncepcji miasta spotkań oraz miasta ludzi młodych i podjęcie kompleksowych nowatorskich działań w takich sferach życia miasta, jak infrastruktura, nauka, oraz stworzenie korzystnych podstaw prawnych dla przedsiębiorców (pomoc publiczna, poszerzanie stref ekonomicznych), studentów (stypendia, nagrody, wspieranie nauk ścisłych) skutkujących w efekcie zwiększeniem miejsc pracy i spadkiem bezrobocia poniżej 9,8% muszę rozpatrywać w kategoriach sukcesu (przy moim udziale) Rady Miejskiej IV kadencji. Już wtedy przecież rozpoczęliśmy starania o organizację Euro 2012 i Expo 2010. Byliśmy zaangażowani emocjonalnie i politycznie w to, co działo się na Ukrainie, podejmując stanowisko popierające Pomarańczową Rewolucję. Swoim następcom zostawiliśmy drugi, co do wielkości w kraju budżet, który na początku kadencji wykazywał 60-procentowe zadłużenie, oraz miasto, o którym mówiło się w kraju i zagranicą jako o mieście sukcesu i dobrych perspektyw. Wspominam ten czas, by podkreślić, że wszystko, co wtedy zrobiliśmy było ciągiem zdarzeń, który w rezultacie zaowocował pewnym stylem bycia, pewną jakością, którą teraz można i wręcz powinno się kontynuować.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Myślę, że niezrealizowanie zamiaru przyznania inicjatywy uchwałodawczej mieszkańcom Wrocławia, co uznaję za porażkę całej Rady. Projekt uchwały stanowiący o tej demokratycznej idei nie został wtedy zaakceptowany przez zdecydowaną większość radnych zarówno tych koalicyjnych, jak i opozycyjnych, a szkoda.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Instytucje pozasamorządowe to bardzo cenne podmioty, za pomocą których Miasto może realizować część swoich mniej popularnych zadań publicznych. W czasach, kiedy byłam radną zabiegaliśmy, by wykonywanie niektórych zadań Miasta, zwłaszcza ze sfery kultury, spraw społecznych wykonywały właśnie te podmioty. Problemy

powstawały jednak na gruncie finansowania realizowanych zadań oraz w obszarze świadomości mieszkańców o potencjalnych możliwościach podjęcia pewnej działalności ze sfery administracji publicznej, jakie w tym czasie dawały przepisy prawa. Należy wyrazić tylko życzenie, by ta pożyteczna ze wszech miar idea urzeczywistniająca zasadę pomocniczości była kontynuowana i by powstawało jak najwięcej tego typu instytucji zaangażowanych w życie publiczne, tym samym, by realizowała się koncepcja społeczeństwa obywatelskiego.

Jak ocenia Pani wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W swojej działalności, jako radna, związana byłam z tradycją uniwersalistyczną wykonywania mandatu radnego miejskiego, rozumianą jako reprezentacja interesu całej gminy lub dobra ogółu. Musiałam więc zacząć zwracać uwagę na sprawy, którymi nie interesuje się przeciętny mieszkaniec Wrocławia i zawsze rozważałam, jakie skutki dana decyzja będzie miała w przyszłości dla miasta. Szczególnie ceniłam sobie podejmowanie działań na rzecz terenu całej gminy, także wskutek sygnalizowania problemów przez mieszkańców, a często miało to miejsce podczas mojego dyżuru w Radzie czy w rozmowie telefonicznej, lub nawet listownie. Były więc składane przeze mnie w wielu takich sprawach zapytania i interpelacje do prezydenta, a nawet świadczenie pomocy w rozwiązywaniu konfliktów, kiedy o nią proszono. Natomiast zawsze starałam się inicjować i inspirować inicjatywy obywatelskie mające na celu aktywizację mieszkańców i w tym tylko aspekcie mój mandat nie był mandatem wolnym.

Jak się układały stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

IV kadencja Rady był to czas, w którym organ władzy wykonawczej – Prezydent – po raz pierwszy pochodził z wyborów bezpośrednich. Wiązało się to z kreowaniem określonego modelu zarządzania gminą i naszą jego akceptacją bądź nie. Muszę powiedzieć, że koncepcja zarządzania miastem stworzona przez Rafała Dutkiewicza, prezydenta miasta tej kadencji, oparcie się na budżecie zadaniowym, stworzenie realnych priorytetów dla miasta w określonej bliższej i dalszej perspektywie – musiała zaowocować tylko pozytywnie, byliśmy o tym przekonani. W pełni zaakceptowaliśmy wiele, jak się później okazało, pozytywnych inicjatyw dla miasta, sami również mieliśmy wiele swoich pomysłów na jego rozwój, które wspólnie z prezydentem wdrażaliśmy w życie, a wszystko to w atmosferze współdziałania, a nie rywalizacji i konfliktu.

Jak się układała Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Zawsze wszystko ze strony Biura Rady było organizowane profesjonalnie. Dlatego wszelkie spotkania, posiedzenia komisji, zespołów czy szkolenia przebiegały bez zarzutu. Mieliśmy do dyspozycji przygotowane na czas materiały, w pełni rozwiązane nurtujące nas problemy.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Nigdy w tej kwestii nie zgłaszałam żadnych zastrzeżeń. Pracowaliśmy w odpowiednio do tego przygotowanych pomieszczeniach, w czasie dostosowanym do naszych potrzeb. Nie mieliśmy jednak komputerów i cała dokumentacja dostarczana była w formie papierowej, czasami tonęłam w ogromie dokumentacji. Głosowania podczas sesji odbywały się bez elektronicznego systemu rejestracji głosów, stąd zachodziła czasami konieczność powtórnego ich zliczania przez pracowników Biura Rady. Problemem było parkowanie samochodów w okolicach Rynku, ale to już taka powszechna bolączka wrocławian.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Jestem przeciwnikiem upartyjniania samorządów. Uważam, że o jakości pracy w samorządach powinny decydować jedynie talent, zaangażowanie, determinacja w dążeniu i znajomość problematyki miasta, wiedza oraz poczucie realizacji pewnej misji. Nie potrzeba do tego legitymacji partyjnej. Przynależność partyjna nie zawsze zresztą służy interesom miasta, bo często oznacza walkę polityczną podczas prac Rady i dążenie do realizacji interesów partii przez radnych, którzy są jej członkami. W obecnej jednak rzeczywistości upartyjnienie samorządów jest faktem, a praca na rzecz samorządu bardzo często służy jedynie jako trampolina do tzw. większej polityki. Działalność radnych jeszcze długo będzie więc determinowana ich przynależnością do klubów tworzonych zgodnie z aktualnym podziałem partyjnym w samej Radzie, a więc będzie to działalność podporządkowana konkretnym poglądom ideologicznym.

Ludzie bardzo często głosują nawet nie wiedząc, jaki jest program partii.

Tak często bywa, nie dostrzegam jednak w tym zjawisku jakiegoś szczególnego problemu.

Jest z tym związane inne niebezpieczeństwo, mianowicie sytuacja, w której gloryfikatorzy programów zaczynają odczuwać konieczność ich realizacji i w tym nierzadko irracjonalnym pędzie zapominają o swojej roli w samorządzie, a może właśnie mając pełną jej świadomość doprowadzają do sytuacji, która nie służy lub wręcz jest szkodliwa dla realizacji inwestycji lub tworzenia lokalnych programów gospodarczych, czy wręcz dla budżetu.

Skoro prezydent jest niezależny partyjnie?

Tak właśnie powinno być, skoro prezydent swoją pracą ma służyć miastu! Uważam, że misją prezydenta jest dążenie do realizacji swojej wizji miasta, a do tego potrzebne są jedynie jego osobiste predyspozycje, współpraca z Radą ponad podziałami, jasno wytyczone cele i kierunek działań, a w tym przynależność partyjna może tylko przeszkadzać.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Dla mnie w okresie mojej działalności w Radzie wszystko było ważne, bo dotyczyło mojej Rady i mojego udziału w kreowaniu przyszłości mojego miasta i bytu jego mieszkańców, dlatego trudno jest mi dokonać jakiejś sensownej weryfikacji ciągu zdarzeń, mając na uwadze bliżej nieokreślone kryterium. Na pewno takim wydarzeniem, które pozostanie w mojej pamięci będzie sprawa Wojciecha Dzieduszyckiego i konieczność uchylenia przyznanego mu honorowego obywatelstwa Wrocławia. Do dzisiaj pamiętam nasze ogromne zaskoczenie i zdziwienie. Pamiętam także te nasze długie dyskusje nad poszukiwaniem źródła sfinansowania budowy mostu Milenijnego i to nasze rozdarcie dotyczące podjętej decyzji o sprzedaży udziałów gminy w energetyce, pamiętam również likwidację niektórych przedszkoli, protesty rodziców dzieci uczących się w tych przedszkolach i tę bolesną, znaną nam radnym sytuację prawną i techniczną obiektów, wyszłam wówczas z sesji Rady ze łzami w oczach, wtedy też zrozumiałam, że nie jest łatwo.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Z praktyki wykonywania swojego mandatu mogę obiektywnie potwierdzić olbrzymi potencjał tkwiący w tych ciałach i niepodważalną ich wartość w wykonywaniu władzy publicznej. W przyszłości mam nadzieję na poprawę wzajemnej komunikacji i współpracy między radnym miejskim a radnym osiedlowym oraz organem wykonawczym, gdyż tu właśnie widzę pilną potrzebę dokonania zmian i to niekoniecznie tych proceduralnych, ale w sensie wypracowania pewnej mentalności w procesie sprawowania władzy publicznej.

Jak Pani ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W każdej sesji Rady Miejskiej, w konferencji organizowanej przez gminę oraz zorganizowanym spotkaniu władz miasta uczestniczyli przedstawiciele lokalnych mediów. Media zawsze wykazywały żywe zainteresowanie sprawami Miasta, pracą i zamiarami radnych oraz prezydenta. Dzięki ich pracy, wnikliwości, talentom w pozyskiwaniu informacji, mieszkańcy mogą uzyskać informacje o sprawach i problemach miasta oraz o działalności organów władzy publicznej, mogą uczestniczyć w wydarzeniach miasta oraz żywo reagować na jego problemy. Mając jednak na względzie tę nierzadko twórczą działalność mediów, korzystających (moim zdaniem słusznie) z przymiotu czwartej władzy, chciałabym podkreślić wagę i znaczenie słów wypowiedzianych przez jej przedstawicieli i zwrócić uwagę na obowiązującą w tym zawodzie szczególną potrzebę rzetelnego wykonywania swoich zadań. Osobiście nie miałam kontaktu z mediami, a mimo to mogłam w lokalnej prasie nieraz przeczytać nieprawdziwe, krzywdzące informacje dotyczące mojej osoby, i to jest smutne.



Tomasz HANCZAREK

Radny III, IV i V kadencji.
Absolwent Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Absolutnie uważam, że byłem przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym. Uważam, że każdy człowiek, który jest świadomy i jest aktywny – jest przygotowany do pełnienia funkcji publicznych. Bardzo dobrze, jeśli ktoś ma doświadczenie w sferach samorządowych, w sferach ludzkich, w sferach zarządzania, w sferach kontaktów z władzą – to powoduje większą świadomość w podejmowaniu decyzji.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie zajmowałem się sprawami miasta, ale zdecydowanie zajmowałem się sprawami samorządu. Pięć lat później byłem w samorządzie studenckim, przez dwa lata działałem w partii politycznej i miałem bezpośredni kontakt z tym, co się dzieje w mieście i co się dzieje z finansami samorządowymi. W samorządzie studenckim zajmowałem się finansami uczelni.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Bodźcem do kandydowania, tak jak w 99% przypadków, jest chęć wpływania na rzeczywistość. Widzimy wokół siebie świat i chcemy mieć jak największy wpływ na jego kształt, chcemy przyspieszać proces rozwoju,

oczywiście w ramach możliwości intelektualnych, doświadczenia i energii. Ten proces możemy wspierać, jeśli ktoś umie i potrafi, albo być hamulcowym, bo też takie przypadki się zdarzają

Jestem ekonomistą, zarządzam dużym przedsiębiorstwem i tak naprawdę w przeciągu 10 lat mojej działalności, od samego początku, od czasów studenckich interesowało mnie to, żeby ludzi zachęcać do aktywności. Uważam, że ani państwo, ani żaden lokalny samorząd nie zadba o człowieka tak, jak on zadba o siebie. Czyli moje zainteresowania dotyczą wszelakiego duchowego rozwoju człowieka. To się przekłada na moje działania studenckie, samorządowe i zawodowe. Interesuje mnie ekonomia, ale także to, żeby ludzie na dowolnych polach byli jak najbardziej aktywni.

Co Pan uważa za największy sukces w swej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III - V kadencji Rady?

Powiem w ten sposób. Jest to polityka, którą prowadzi prezydent Rafał Dutkiewicz. Pan prezydent prowadzi politykę, którą w jej założeniach można popierać. Jest to polityka biegu do przodu i ciągnięcia za sobą Wrocławia. Jeżeli odległość pomiędzy ideami pana prezydenta a poczuciem bezpieczeństwa wrocławian, ich przynależności i komfortu życia nie jest za duża – to jest bardzo dobra polityka. Jeżeli odległość się zwiększa, to się staje to bardzo niebezpieczne, przestaje być dla ludzi, staje się antyludzkie. W najtrudniejszym czasie tej kadencji przejąłem szefostwo klubu Platformy Obywatelskiej. Dokonaliśmy głębokiej weryfikacji programu i tego, jaki on miał wpływ na miasto, dostrzegliśmy błędy. Uważamy, że przyszedł czas na korekty i z grupą radnych z PO wskazałem te korekty, które stały się osią rozmów i w domach mieszkańców Wrocławia, i w prasie, i wśród dziennikarzy. Poczytuję to sobie za duży sukces.

Istotą mojego działania jest kreowanie idei rozwoju i kreowanie planów. Jakiś czas temu został stworzony Wrocławski Plan Inwestycyjny. Pamiętam, z jakim ogromnym pietyzmem podchodził do tego wiceprezydent Andrzej Łoś. Pamiętam nasze rozmowy na ten temat. Jakie to było istotne, żeby nie urzędnik decydował o tym, co jest ważniejsze, a co mniej ważne, lecz waga problemu. Jeśli decyzję o tym, czy budujemy szkołę, czy most, czy drogę, czy robimy „imprę na Rynku" podejmuje urzędnik, to jest to często decyzja emocjonalna. Bo potrzebuję imprezy, bo dzisiaj wstałem lewą nogą, itd.

Pamiętam, jak mocny nacisk był kładziony na ustanowienie zasad programowych. Teraz jest to wszystko gdzieś zagubione. Staje się to bardziej czy mniej zachcianką urzędnika tego czy owego i ja właśnie przeciwko temu protestuję – całą swoją postawą, całym swoim działaniem, wszystkimi wypowiedziami dążę do tego, żeby nastąpił powrót do mądrego myślenia.

Na pytanie o sukces nie chcę odpowiadać, że złożyłem 84 tys. interpelacji. Bo to jest dla gawiedzi. To jest po to, że jak ktoś zrobi ranking, będzie mógł powiedzieć: zrobiłem 800 interpelacji, zabrałem 400 razy głos w Radzie i to zajęło mi 48 godzin. Przeciętny obywatel nabierze wyobrażenia, że radny X jest taki szalenie pracowity. Uważam zdecydowanie inaczej. Jeśli ktoś podczas sesji wypowiada się 10 razy, to jest nierozwojowe, to jest po prostu strata czasu. Wszystko, co robimy, powinno być bezpieczne dla ludzi – żeby wiedzieli, że ich nie skrzywdzimy, że chcemy im pomóc. Czyli musi być kierunek, a tego kierunku w tej chwili brak.

Za prezydentury Bogdana Zdrojewskiego, do którego ludzie mogą mieć obiekcje, każdy może mieć obiekcje, był konsensus ze środowiskami naukowymi, politycznymi, samorządowymi, i ludzie to wspierali. Nie wszystkie mosty i dziury zostały naprawione, ale istniała wspólna chęć, żeby to robić. W tej chwili są tylko kłótnie i krzyki. Zobaczmy, co się dzieje z EIT+, gorszące przepychanki. To samo dzieje się tutaj, w Radzie Miejskiej. W tej chwili jest tak, że moi przyjaciele z innych klubów zajmują się tym, żeby kopnąć przeciwnika. To nie jest prorozwojowe. Całe moje działanie było, jest i zawsze będzie, wskazaniem błędów, niezależnie od konsekwencji. Chcę mówić prawdę, chcę mówić o błędach i dążyć do jedności. Tak, żeby był kompromis, żeby urzędnik był postrzegany jako przyjaciel. Wiele rozmawiałem z mieszkańcami, z różnymi grupami. Nie ma wśród nich poczucia, że jeśli coś się wydarzy, to służby zajmą się tym w sposób odpowiedni. Być może zajmują się w sposób odpowiedni, ale ja nie do końca w to wierzę.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Pamiętajmy o tym, że radny, z założenia, stara się kreować na komisjach prawo i oceniać rzeczywistość. W tej chwili Rada zajmuje się głównie kontrolowaniem działań prezydenta. Wcześniej istniały rozbieżności w myśleniu, ale mieliśmy wspólną ideę. Teraz ona się gdzieś zagubiła.

Akceptuję bieg Wrocławia do przodu, pociąganie Wrocławia za sobą, stworzenie silnej marki. Prowadzenie właściwej polityki marketingowej, przyjmowanie inwestorów i odpowiednia polityka wobec nich, to dawanie mieszkańcom pieniędzy wprost.

Chcemy igrzysk, każdy chce igrzysk. Chcemy oceanarium, chcemy wspaniałej fontanny. Nie wiem, czy któryś mieszkaniec przeliczył, ile kosztuje go codzienne utrzymanie efektownego wodotrysku. Bo codziennie każdy mieszkaniec płaci na fontannę. Jeśli z Paryża będą tutaj przyjeżdżać, żeby ją oglądać, to przyniesie korzyści. Jeśli tak nie będzie, to wynik ekonomiczny może być wątpliwy.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że jesteśmy kreatorami rzeczywistości. Dla nas jest urzędnik, dla nas jest prezydent, dla nas jest Straż Miejska. Straż Miejska jest nie po to, żeby nas denerwować i wzburzać, ale po to, żebyśmy do niej biegli po informacje i po opiekę.

Pan prezydent doprowadził do podziału w środowisku kupieckim, w środowisku przedsiębiorców, w środowisku naukowym i chyba nie można tego ocenić jako pozytywne zjawisko. Oczywiste jest to, że nigdy socjalista nie porozumie się w sprawach programowych z konserwatystą. Niestety, u nas te podziały przebiegają na poziomie nieco innym, raczej jakimś chorym i niepolegającym na kontakcie z rzeczywistością.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Na początku tej kadencji miałem szereg spotkań z grupami wyborców, na które przychodziło od 20 do 30 osób. Wniosek, jaki wyciągnąłem z tych rozmów był taki, że ci ludzie nie mają żadnej opieki ze strony urzędników. Opieki w tym sensie, że oni zapewniają sobie wyżywienie i spanie, natomiast funkcjonują w jakieś kamienicy, gdzie ktoś rozlicza wodę, ogrzewanie, energię elektryczną. Ale jeśli to zostanie źle naliczone, to obywatel nie bardzo ma się do kogo zwrócić. Te rzeczy, którymi urzędnik powinien się zajmować, są robione w sposób kulawy i często nieprofesjonalny. Urzędnik kompletnie nie zwraca uwagi na człowieka.

Jeżeli tak jest, że władze tego miasta odbiegły za daleko od społeczeństwa, to trzeba to naprawić, i tyle. Uważam, że zawsze jest czas na otrzeźwienie i zawsze jest czas powrotu do normalności. Wpływ wyborców, spotkań z nimi, na moją świadomość jest spory. Trzeba mieć kontakt z ludźmi. Dzięki rozmowom poznaję konkretne problemy, wiem, czy dana ulica jest zrobiona, czy nie, jakie mieszkańcy mają oczekiwania. Zdecydowanie uważam, że władzom miasta, ogarniętym wizją zrobienia Paryża z naszego miasta, umykają pewne istotne sprawy. Jeśli zwiedza się Luwr, to tam można zobaczyć, że przez to jedno z największych muzeów na świecie przechodzą ulice, dlatego, że ludzie muszą mieć możliwość przemieszczania się.

Wyłączyliśmy z ruchu Rynek i to jest w porządku, ale jak wyłączyliśmy ul. Szewską, to ulica stała się martwa. Jeśli planujemy wyłączenie następnych kwartałów, to wizualnie będzie bardzo ładnie, będzie można wyjść i nie zobaczyć samochodów. Ale to jest nieludzkie, ponieważ ludzie chcą do Rynku dojeżdżać samochodami i jeżeli nie ma 12 parkingów, to ten pomysł będzie dobry za 40 lat. Jeżeli chcemy wyłączyć całe kwartały, to musimy mieć parkingi. Martwe miasto – to jest miasto, w którym ludzie nie chcą mieszkać. Projekty powinny bazować na dogłębnych, kompleksowych analizach, inaczej ich twórcy narażają mieszkańca na niedogodności.

A zatem, wyborcy mieli wpływ, mają wpływ i będą mieli wpływ, a radni muszą się z nimi spotykać. Ze strony Urzędu powinny być podejmowane działania, żeby tych spotkań było jak najwięcej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Z ogromną przykrością stwierdzam, że kiedy spostrzegliśmy niekonsekwencje w polityce prezydenta i władz wykonawczych i swoje uwagi zaczęliśmy artykułować, to nasze głosy zaczęły być postrzegane emocjonalnie negatywnie. To oznacza, że władza zaczęła bardzo siebie kochać i uważać, że jest nieomylna, to jest niebezpieczne. Nie chcę, żeby ktoś był nieomylny, wolę, żeby się mylił – wtedy wiem, że on się myli, on także wie, że się myli i jest ostrożniejszy.

Jedynowładztwo jest niebezpieczne. Powiem tak, bardzo lubię i bardzo jestem dumny z prezydenta Rafała Dutkiewicza. Dowodzę tego absolutnie każdym moim zachowaniem. Jego udział w opozycji, wiedza menadżera oraz założenie spółki, to wszystko jest mi bardzo bliskie. Ale obecnie prezydent funkcjonuje tak, jak prezes w przedsiębiorstwie, który jest bardzo daleki od ludzi, natomiast ma wykonawców robiących to i tamto. Tu jest jednak samorządność i my gospodarujemy na wspólnym. Jeżeli mówimy społeczeństwu dopłacaj, to musimy dać coś w zamian. Możemy dać dobrą wodę, dobre oświetlenie i dobre miejsca parkingowe. Czy dajemy?

Wracając do pozycji prezydenta. Przyczyna tego stanu tkwi w zmianie ustawy, która w długiej perspektywie może okazać się bardzo dobra. Pamiętajmy, że ludzkość rozwija się krokami. Uważam, że reforma samorządowa jest śmiała i sensowna, daje duże prerogatywy prezydentom i jest bodźcem postępu. Jeżeli jednak wszyscy ci przyklaskują, akceptują cię, to można stać się narcyzem, to jest naturalne. Jeśli wszyscy mówią, że jesteś piękny, to nabierasz przekonania, że tak jest, mimo że lustro pokazuje inaczej.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozarządowymi?

Miałem kontakt z kilkoma stowarzyszeniami w dwóch dziedzinach. Jeden zakres to była kultura. Uważam, że ludzie powinni być innowacyjni. Jeśli coś zaczyna być robione przez wielkie korporacje, typu Mac Donald, to owszem to jest ekonomicznie słuszne i zyskowne, ale nie posuwa świata do przodu. Im więcej jest tej strefy poza główna linią ekonomiczną, tym lepiej, bo to jest rozwojowe. W tych strefach znajdują się organizacje pozarządowe. W obszarze kultury mamy generalnie do czynienia ze stowarzyszeniami, które tworzą teatry i wydarzenia offowe. To jest ferment, który powoduje powstawanie nowych, odkrywczych form teatralnych i nie tylko.

Druga rzecz, miałem kontakt ze stowarzyszeniami kupieckimi. Powiem szczerze, unikam jako radny dużych Izb Gospodarczych, to zostało zawłaszczone przez innych, którzy tam się spotykają, to przestało być kreatywne. Wolna myśl stowarzyszeń kupieckich ustąpiła niezrozumieniu sytuacji i niezrozumieniu przepisów oraz postawie roszczeniowej.

Mimo to sadzę, że należy te organizacje wspierać.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

W Biurze Rady Miejskiej pracują profesjonaliści. Radny ma tutaj jak najlepszą obsługę. Jestem bardzo otwarty i bardzo lubię ludzi. Nie ma dla mnie znaczenia, czy mijam królową angielską, czy sprzątaczkę, zawsze mówię dzień dobry. Uważam, że z ludźmi trzeba mieć kontakt. Myślę, że nie jest ważne, czy ktoś jest bogaty, biedny, głupi, mądry, ładny, brzydki, nie ma uszu. Uważam, ze każdy jest tyle samo wart. Generalnie mam bardzo dobre kontakty z ludźmi.

Faktem jest, że gdyby każdy z wydziałów Urzędu był taki, jak pracownicy Biura, to Miasto byłoby szczęśliwe.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W tej kadencji jestem ponownie w Komisji Architektury, bo ma największy wpływ na rozwój miasta. Jest też tak, że jeśli ma się dom i chce się go wyremontować – to właściwa jest Komisja Infrastruktury, jeśli się jest aktorem i chce się dostać jakiś grant – to Komisja Kultury. Każdy radny powie, ze jego komisja jest najważniejsza, łącznie z szefową Komisji ds. Osiedli czy Komisji Współpracy z Zagranicą, choć nie wiem, czy ta komisja coś zrobiła.

Faktem jest, że Komisja Architektury kreuje przestrzenny rozwój miasta. Rozwój przestrzenny miasta, to jest i fabryka, i wysokościowiec, i ulica, i cały kwartał. Przy rozważaniu projektów brane są pod uwagę względy ekonomiczne.

Inne komisje, np. Komisja ds. Osiedli i Komisja ds. Współpracy z Zagranicą spotykają się raz w miesiącu lub raz na dwa miesiące. My pracujemy co tydzień po parę godzin. Ta komisja została dobrze wyposażona. Mamy wszelkie mapy związane ze wszystkimi inwestycjami, z miastem.

Kapitalnym pomysłem było zakupienie laptopów dla radnych i dzięki temu jest dostęp on line do wszystkiego. Setki, jeśli nie tysiące drzew zostało ocalonych, dzięki temu, że radni dysponują mailami, które są za darmo. Nie ma potrzeby już korzystać z usług urzędnika do kopiowania materiałów i ich rozprowadzania.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Oczywiście powinny być powoływane kluby radnych. Przeciwny pogląd, to z gruntu fałszywa teza, którą przedstawiają osoby związane ze Stowarzyszeniem Polska XXI, teraz Dolny Śląsk XXI.

Załóżmy, że mamy złamanie otwarte, a do wyboru w Internecie Jana Kowalskiego z ul. Pułtuskiej i Jana Kowalskiego ze Stowarzyszenia od Złamań Otwartych. Kogo wybierzemy? Oczywiście, człowieka z organizacji, bo budzi większe zaufanie, bo ktoś nad tym człowiekiem stoi, ktoś się nim zajmuje. Podobnie jest tutaj. Jeżeli jestem członkiem PO, to obowiązuje mnie wzorzec zachowań, kanon idei, które wyznaję jako radny Platformy. Wiadomo, że będę za tym, za tym i za tym. Za pana prezydenta, który nie należy do żadnej partii nikt nie bierze odpowiedzialności, tylko on sam za siebie, i to jest mniej bezpieczne niż kontakty z partiami.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Powiem tak, może to się wyda półmarketingiem, ale naprawdę obecność w Radzie to jest praca. Tu się nie przychodzi na ploty i żeby spotkać się, w sensie imprezowym.

Jeżeli się siedzi 8 godz. nad planem, to jest nużące i ciężkie. Jak sesja trwa 10 godz., to się przychodzi do domu i pada. Niestety, często mnie oburzają wypowiedzi niektórych radnych. Jeśli ktoś przez 25 minut mówi o jakichś bzdurach, to źle o nim świadczy. Bo nie myśli o tym, że 40 osób siedzi i słucha, a mogliby być w tym czasie produktywni. To jest moje wrażenie negatywne, ludzie powinni być trochę skromniejsi i powinni w lustrze widzieć i oceniać swoje możliwości oratoryjne, intelektualne i wszelakie inne.

Zawsze mnie wzruszał moment przysięgi. Jestem człowiekiem emocjonalnym, podniosłe i tragiczne momenty bardzo na mnie oddziałują. Można sobie powiedzieć, że formuła „tak mi dopomóż Bóg" jest niczym. Może niektórzy do tego nie przywiązują wagi. Moment przysięgi to ważna rzecz. Ważne jest także to, że, poza furiatami, jestem postrzegany przez radnych jako najlepszy radny. Jestem postrzegany jako człowiek kompromisu i mógłbym być przewodniczącym Rady Miejskiej. Nie wiem jednak, czy jestem najlepszy, bo nie siedzę i nie śrubuję 80. tys. interpelacji.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Ja uważam, że jest zainteresowanie. Są dwie gazety i trzy radia, które spotykają się i rozmawiają. Wrocławskie media są nieco bliższe ludzi, niż te w innych ośrodkach. Prasa bije się o ten marketing, bo to przynosi korzyści.

Ważne są dobre relacje z mediami, ponieważ one kreują wizerunek. Pan prezydent ma dosyć duży dział, który jest odpowiedzialny za kontakty z mediami. Im bardziej są one krzyczące, tym lepiej dla ludzi.





Robert HOLANOWSKI

Radny III i IV kadencji.
Radny Sejmiku Województwa Dolnośląskiego od 2006 r.
Absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu i Wydziału
Nauk Społecznych na Uniwersytecie Wrocławskim. Przedsiębiorca.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Byłbym dalece nieskromny, gdybym powiedział, że byłem dobrze przygotowany. Na pewno można było być przygotowanym lepiej. Studiowałem politologię jako drugi fakultet, która pokazała mi podstawy życia społecznego w społeczeństwach demokratycznych, co daje podstawę do stwierdzenia, że byłem lepiej przygotowany niż przeciętni obywatele.

Początkowo nie wiedziałem, że zostanę radnym, nie to było w sferze moich zainteresowań.

Fascynacja demokracją to rok 1989, a moja aktywność w tej dziedzinie to już rok 1990. Przystąpiłem wtedy do Konfederacji Polski Niepodległej, do partii, w moim odczuciu, o takim bardzo niepodległościowym programie, nawiązującej przede wszystkim do ruchu piłsudczykowskiego. Sylwetka Józefa Piłsudskiego u mnie w domu znaczyła bardzo wiele, a KPN bezpośrednio się do tego nurtu odnosiła.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1990 r. byłem skoncentrowany na nauce, ponieważ moją wewnętrzną dyrektywą było dostanie się na medycynę, a to wymagało sporo pracy.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych. Interesowały mnie zagadnienia związane z ochroną zdrowia, pomocą społeczną, programem walki z alkoholizmem i uzależnieniami. Tymi problemami zajmowałem się dlatego, że jestem lekarzem, z racji tego natomiast, że jestem przedsiębiorcą byłem członkiem Komisji Inicjatyw Gospodarczych i tam też realizowałem się jako radny w zakresie współpracy z organizacjami pracodawców, kupców, z organizacjami przedsiębiorców, a ich było niemało. Miasto przecież mogło im pomóc.

Jeśli chodzi o reformę służbę zdrowia, to ubezpieczenia zdrowotne jawiły się jako środek realizowania tej reformy. Nie jest to jednak sprawa samorządów, lecz raczej rozwiązań systemowych. Realizację tej reformy po 10 latach oceniam bardzo dobrze. Pamiętam decyzję o usamodzielnieniu się zakładów opieki zdrowotnej, urealnieniu kosztów oraz włączenie w pracę zarządzania służbą zdrowia dyrektorów tychże jednostek, co jest jak najbardziej słuszne i zasadne. To jest to, czego kadra zarządzająca służbą zdrowia przed 1999 r. nie rozumiała, a teraz już rozumie. Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że w dziedzinie lecznictwa otwartego Polska jest liderem w zakresie prywatyzacji tych usług. Sądzę, że niewiele krajów w Europie ma tak sprywatyzowany ten sektor, jak Polska. Większość opieki ambulatoryjnej jest niepubliczna, znaczna jej część – to spółki pracownicze, praktyki lekarzy rodzinnych czy też prywatne biznesy pootwierane po 1999 r. To może rodzić pewne wątpliwości co do dostępności usług, ale praktyka pokazuje, że tylko teoretycznie, dlatego, że jeśli jedynym płatnikiem jest NFZ, to tak naprawdę nie ma znaczenia, czy staramy się dotrzeć do prywatnej opieki, która ma podpisaną umowę z NFZ, czy też publicznej. Oczywiście jest jeszcze trzecia kategoria zupełnie niepublicznych zakładów opieki zdrowotnej, które świadczą usługi komercyjne. Tam mogą przyjść tylko ci, którzy mają pieniądze. Ale tak jest wszędzie na świecie i te jednostki muszą konkurować z tymi publicznymi, które jeszcze ciągle w Polsce funkcjonują. Jeśli chodzi o lecznictwo ambulatoryjne, to prawie w 90% finansowane jest z NFZ i w związku z tym dostępność dla każdego jest taka sama.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III i IV kadencji Rady?

Od czasu rozdzielenia władzy wykonawczej od władzy uchwałodawczej trudno oddzielić sukces Rady od sukcesu pana prezydenta. Tak naprawdę te dwa ciała współdecydują o tym, jakie kroki są podejmowane. Sukcesem naszej kadencji, czyli Rady i Rafała Dutkiewicza, w czasie jego pierwszej kadencji jako prezydenta Wrocławia, było zakończenie i oddanie inwestycji, jaką był most Tysiąclecia we Wrocławiu. Wprawdzie nie jest to w pełni nasza zasługa, ponieważ ta budowa trwała dużo dłużej, ale w III kadencji udało się oddać ten most mieszkańcom Wrocławia.

Za sukces uważam swoją prywatną walkę o zmianę modelu przekształceń zakładów opieki zdrowotnej, dla których Miasto było organem założycielskim. Chciałbym podkreślić, że dotychczasowa praktyka zakładała nieopłacalność prowadzenia tego typu działalności. Jako człowiek zajmujący się biznesem i posiadający wykształcenie

medyczne chciałem wskazać prezydentowi, że to jest złe myślenie o służbie zdrowia. Jeżeli mamy dokonać przekształceń, to w sposób najbardziej skuteczny. I takim naszym wspólnym sukcesem było przeforsowanie mojego pomysłu, dotyczącego przekształcenia ZOZ dla szkół wyższych. Zgodnie z pierwotną koncepcją pana prezydenta, a w zasadzie Departamentu Spraw Społecznych, przychodnia miała zostać przekształcona w prowadzoną przez trzy osoby spółkę. Jako przewodniczący Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych nie zgodziłem się na to, przekonałem Radę i ta propozycja upadła. Sprawa skończyła się na ogłoszeniu konkursu na świadczenie tych usług z wyborem oferenta. Jak policzyłem z długopisem w ręku, w perspektywie 10 lat przysporzyło to Miastu około 18 mln zł, podczas gdy przy pierwotnym pomyśle Miasto nic nie zyskiwało.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Ja być może za słabo oponowałem, podobnie jak cała Rada, ale zgodziliśmy się i przegłosowaliśmy taką a nie inną formę budowy Aquaparku we Wrocławiu. Do dzisiaj są tego konsekwencje. Model zaproponowany przez prezydenta był chyba najgorszym rozwiązaniem, a myśmy się na to zgodzili. Idea tego projektu polegała na tym, że firma, która realizowała inwestycję nic *de facto* nie wniosła do Miasta. Innymi słowy, stała się większościowym udziałowcem spółki Park Wodny i tym udziałowcem jest do dzisiaj bez wkładu finansowego. Jak wiemy, budowa Aquaparku nie była bezproblemowa. Nastąpiło przekroczenie założonego budżetu, realizacja trwała o wiele, wiele dłużej niż planowano. Do dzisiaj są jakieś problemy, które wypływają z błędów i omyłek popełnianych w trakcie realizacji tej inwestycji. Model, w którym ktoś zostaje właścicielem i nie wnosi do spółki istotnego wkładu finansowego jest modelem, przynajmniej dla mnie, wątpliwym.

Jak Pan ocenia współpracę z organizacjami pozasamorządowymi?

Wiele takich organizacji się do mnie zwracało jako do przewodniczącego Komisji Zdrowia: Towarzystwo Pomocy św. Brata Alberta, Polski Czerwony Krzyż, Polski Komitet Pomocy Społecznej. Najczęściej organizacje te przychodziły z projektami i prosiły o wsparcie. Gmina bardzo chętnie współpracuje z organizacjami trzeciego sektora, ponieważ wykonują one powinności ustawowo należne gminie. One prowadzą działalność, którą powinna realizować gmina, jak praktyka pokazuje, o wiele taniej. Robią to chętnie, opierając się na ludziach zaangażowanych społecznie, wolontariuszach, którzy chcą pomóc potrzebującym – potrzebują tylko środków, które raz do roku są im przekazywane.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Kontakt z wyborcami uświadamia często istotne problemy, z których, radny raczej nie zdaje sobie sprawy. W trakcie dyżuru radnego czy w trakcie Komisji Zdrowia przychodziły osoby ze swoimi problemami. Rzadko to były indywidualne problemy, raczej dotyczyły wspólnot, klatki schodowej czy kamienicy. Powody nigdy nie biorą się bez przyczyny. Najczęściej przyczyny tkwią gdzieś w systemie pracy gminy i rozmowa z tymi ludźmi jak najbardziej pomagała radnym i mnie osobiście dostrzegać pewne rzeczy, z którymi nie miałem styczności. Jak spotkałem się z ludźmi, to uświadomiłem sobie, na ile ich problemy są ważne. Jeżeli uważałem, że jest słuszne, żeby powalczyć, zwracałem się do prezydenta.

Pamiętam jak przyszli do mnie pracownicy przychodni Domu Opieki Społecznej przy ul. Karmelkowej. Przyszli do mnie jako do przewodniczącego Komisji Zdrowia z takim wezwaniem o ratunek. Wówczas Departament Opieki Społecznej Urzędu Miejskiego podjął decyzję o wypowiedzeniu im umowy na dzierżawę pomieszczeń przy ul. Karmelkowej, co było jednoznaczne z likwidacją tej przychodni. Miasto chciało im wypowiedzieć umowę, a oni nie mając miejsca do świadczenia usług, natychmiast przestaliby istnieć. To było dla mnie na tyle istotne, że spotkałem się z nimi, wysłuchałem i natychmiast zareagowałem, bo wiedziałem, jaką dobrą wykonują robotę. To był czas, kiedy jako lekarz jeździłem w Pogotowiu Ratunkowym, ze stacji Nr 6.W zakresie obowiązków tej stacji były interwencje w Domu Opieki Społecznej przy Karmelkowej. Pogotowie wzywane tam było kilka razy dziennie, ponieważ pracujący tam lekarz przyjmował pacjentów jedynie w godzinach od 9^{00} do 15^{00}, a po południu pensjonariusze byli pozbawieni opieki lekarskiej. Nagle, od pewnego momentu te wezwania się skończyły. Od czasu, kiedy powstała wspomniana Przychodnia „Ankora". My w Pogotowiu odczuliśmy to bardzo pozytywnie, ponieważ jeździliśmy tam najczęściej po to, aby podać zastrzyk albo wypisać receptę pacjentowi, który jej potrzebował. To nie były nagłe wezwania, tylko klasyczna opieka ambulatoryjna. Jak powstała Przychodnia „Ankora", skończyły się wezwania tego rodzaju, ponieważ pacjenci zostali objęci fachową opieką medyczną i to zaczęło się bardzo fajnie układać. Więcej szczegółów poznałem, kiedy przyszli do mnie pracownicy tej przychodni, która nagle, jak się okazało, miała ulec likwidacji. Perturbacje wynikły z osobistego konfliktu kierownika przychodni z jednym z dyrektorów Urzędu Miejskiego. Miasto wypowiedziało ośrodkowi umowę, wysyłając służby do zamknięcia „Ankory". To był powód mojej bezpośredniej interwencji. Wiele miesięcy stawałem w obronie przychodni. W efekcie udało mi się ją utrzymać i do tej pory jej pracownicy prowadzą swoją pożyteczną działalność.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W tamtej kadencji moja współpraca z panem prezydentem układała się bardzo dobrze. Gdyby nie przychylność pana prezydenta i chęć wysłuchania mnie jako radnego, w sytuacji, kiedy stałem w twardej opozycji do jego urzędników, to sprawy „Ankory" nie udałoby się załatwić. Pan prezydent był bardzo otwarty i sprawiedliwy w ocenie.

Potrafił wysłuchać drugą stronę i osądzić, gdzie jest racja. Przyznam, że jeśli chodzi o współpracę z władzą wykonawczą, to ja współpracowałem osobiście z panem prezydentem, a nie z niższymi szczeblami, takie to były czasy.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze oceniam funkcjonowanie Biura Rady Miejskiej. Myślę, że pracownicy, którzy prowadzą komisje i organizują pracę są osobami bardzo dobrze zorganizowanymi. Bardzo dobrze wspominam pracownika panią Basię Rogalę, która prowadziła Komisję Zdrowia. To bardzo merytoryczna i bardzo profesjonalna urzędniczka.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Bywało to bardzo różnie. Komisje zbierały się nie rzadziej niż raz w miesiącu. Ze względu na plany, które tworzyliśmy, nawet czasami dwa razy. Spotykaliśmy się w Biurze Rady w salach obrad. Poznałem przewodniczącego Komisji Zdrowia Rady Miejskiej w Poznaniu. Podtrzymywaliśmy wzajemne kontakty. Pamiętam, że zorganizowaliśmy nawet taki wyjazd do Poznania, gdzie spotkaliśmy się z ich Departamentem Zdrowia i Spraw Społecznych. Później zaprosiliśmy ich do nas. U nich to jest trochę inaczej zorganizowane. Ta wzajemna wymiana chyba przyniosła korzyść obu stronom.

60% czasu komisji Rady jest zawsze poświecone opiniowaniu pojedynczych uchwał. Te projekty uchwał są zawsze tworzone przez władzę wykonawczą, czyli przez Urząd Prezydenta, Rada natomiast ma zadanie je zaopiniować poprzez swoje komisje. Gdy porównuję pracę obu samorządów – miejskiego i wojewódzkiego, to z dużym sentymentem i uznaniem wspominam funkcję radnego gminy Wrocław, gdzie ta współpraca merytoryczna coś wnosiła. Bardzo często radni z rozmaitych opcji politycznych, choć ten podział nie był tak wyraźny jak w Sejmiku Województwa, kiedy mieli różne zdania, przekonywali się nawzajem i w efekcie bardzo często dochodziło do poprawienia tekstów uchwał, a pan prezydent przychylał się do tych poprawek. Zapewne uważał, że może niekoniecznie propozycje urzędników są najlepsze, że komisja Rady Miejskiej udoskonaliła treść nowych aktów prawnych. Czegoś takiego z pewnością nie ma w obecnych pracach Sejmiku Wojewódzkiego. Jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby została uwzględniona przez marszałka jakakolwiek poprawka, która wpłynęła z komisji.

Myśmy opiniowali te uchwały, które dotyczyły zdrowia i opieki społecznej. Bardzo wiele czasu poświęcaliśmy sprawom przekształceniowym w opiece zdrowotnej oraz uchwałom dotyczącym budżetu w zakresie pomocy społecznej. Pamiętam, że udało nam się dokonać wielu korzystnych przesunięć budżetowych.

Co Pan sądzi o powoływaniu klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, ze na poziomie rady gminy nie powinno się tworzyć klubów politycznych. Samorząd powinien być odpolityczniony. Powoływanie klubów radnych uważam za przeciwdziałanie idei samorządności. Tego rodzaju podziały sprzyjają usilnemu politykierstwu. Jestem zatem zdecydowanie przeciwny. Spory mogą się odbywać w ramach komisji, gdzie są radni z różnych opcji, ale uzgadnia się kompromisowe stanowisko.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Sympatycznie wspominam udział w rajdzie samorządowców zorganizowanym przez nasze partnerskie miasto Wiesbaden. Uczestniczyła w nim grupa może 30 osób, w tym nawet radni z Izraela. Zwiedzaliśmy szereg miejscowości, byliśmy gośćmi różnych samorządów, to trwało 7 dni. Trasa ostatecznie skończyła się w Szczecinie u prezydenta Jurkiewicza.

Muszę powiedzieć, że było wiele takich różnych wydarzeń. Co sesję wydarzało się coś godnego odnotowania. Na pewno zapamiętałem oddanie mostu Tysiąclecia. Bardzo ważny dla mnie był również wyjazd radnych na dwudniowe szkolenie na początku kadencji. Mieliśmy okazję się poznać, z większością nawiązałem wówczas miłe kontakty. Zapoznano radnych z prawodawstwem związanym z działalnością samorządu. Myślę, że to była dobra tradycja. W Sejmiku już tego nie było. W mojej ocenie, znajomość prawa jest podstawą. Radny tak naprawdę stoi na straży zapisów uchwał prawa lokalnego, które jest wnoszone na sesję Rady. Jeśli radni nie mają stosownej wiedzy, to zamieniają się w lobbystów, figurantów. Prezydent wnosi projekty uchwał, a podstawowa aktywność radnych polega na zastanawianiu się nad sensem tych uchwał.

Utkwiło mi w pamięci wystąpienie na jednej z sesji pana Korzeniowskiego z klubu SLD, nie na temat i niegrzeczne. Miał taki styl bycia, używał ostrych sformułowań. Dobrze wspominam Jasia Chmielewskiego, zawsze na temat, tylko trochę długo.

Bardzo wiele czasu poświęcaliśmy budżetowi. Pamiętam takie swoje wystąpienie przy okazji walki o zwiększenie budżetu – udało nam się uzyskać dodatkowe pieniądze.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Stykałem się z przedstawicielami tych rad i nie widzę sensu ich tworzenia.

To jest niepotrzebne zamieszanie. Widać to najbardziej w czasie wyborów do rad osiedlowych. Zawsze jest problem, kto ma na tych listach się znaleźć. W mojej ocenie te rady tak naprawdę niewiele wniosły.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Prawda jest taka, że dzisiaj mamy już niewiele lokalnych mediów. Większość dziennikarzy interesują sensacje albo artykuły sponsorowane. Brak jest wnikliwego zainteresowania sprawami miasta.



Szymon HOTAŁA

Radny V kadencji.
Absolwent Wydziału Budownictwa Lądowego i Wodnego Politechniki Wrocławskiej.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Jeżeli mówimy o Radzie Miejskiej, rzeczywiście czułem się dość przyzwoicie przygotowany, w związku z tym, że wcześniej, przez blisko trzy lata, byłem radnym osiedlowym, co pozwoliło mi zapoznać się z pracą nad tworzeniem uchwał dotyczących bardzo lokalnych spraw. Wiedziałem, że gdy przyjdzie mi spotkać się z bardziej rozbudowanymi aktami prawnymi, to będę wiedział, jak się w nich poruszać. Nowością była dla mnie działalność *stricte* polityczna, gdzie trzeba szukać porozumienia, i tu przyznam, że cały czas się uczę. Z roku na rok staram się mieć jak najwięcej zrozumienia i szacunku dla opinii przeciwnych niż moja. Nie jestem z siebie do końca zadowolony, ale postępuje to w dobrym kierunku.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed rokiem 1990 zajmowałem się moją edukacją w Szkole Podstawowej nr 45.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pracowałem i nadal pracuję w trzech komisjach: Infrastruktury Komunalnej, ds. Osiedli i Rewizyjnej. W Komisji ds. Osiedli podjąłem, wspólnie z Markiem Mutorem (który zrzekł się niestety mandatu), próbę przedstawienia nowego projektu ustrojowego dla Wrocławia. Przygotowaliśmy plan podziału Wrocławia na dzielnice. Nasze zamierzenia dążyły do tego, aby usprawnić jednostki pomocnicze samorządu, dać im większe kompetencje i środki finansowe. Praca nad tym projektem, przyznam szczerze, zajęła mi blisko dwa lata. W Komisji Rewizyjnej przyszło mi prowadzić kontrole dotyczące wycinków działalności Urzędu Miejskiego, ostatnio kontrolowałem wydatkowanie środków na promocję Wrocławia poprzez sport. W Komisji Infrastruktury Komunalnej głównie zajmowałem się problemami związanymi z jak najbardziej sprawiedliwym dostępem do mieszkań komunalnych i ich stanem technicznym.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Indywidualne sukcesy to pojedyncze interwencje w sprawach wrocławian. Głównie dotyczyły problemów mieszkaniowych, ale pomagałem też w negocjacji stawek czynszowych w lokalach usługowych, których najemcy znajdowali się w trudnej sytuacji. Skuteczność, mam wrażenie, była dosyć dobra. W większości przypadków, kiedy mieszkańcy się zgłaszali z problemami to udawało im się pomóc, choć nie zawsze tak, jak sobie to wyobrażali na początku. Natomiast, jeśli chodzi o sukces całej kadencji, to uważam, że jest to dobra współpraca wszystkich 37 radnych. Każdy dołożył do tego cegiełkę, co spowodowało, że w dosyć trudnym czasie zamieszania na krajowej scenie politycznej (na naszą kadencję przypadła wymiana rządu z Prawa i Sprawiedliwości na rząd Platformy Obywatelskiej i PSL-u), myśmy to bardzo gładko przeszli. Mimo pewnych, być może gorszących konfliktów, każdy z nas, 37 osób, miał w sobie odpowiedni ładunek dobrej woli, który spowodował, że wrocławianie nie odczuli z tego tytułu zbyt dużego dyskomfortu. Nasze spory są dużo bardziej merytoryczne niż te na poziomie Parlamentu RP.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeniem jest to, że nie udało się przeforsować zmian ustrojowych związanych z powołaniem rad dzielnic. Ostatecznie, wśród naszych kolegów i koleżanek z innych grup ten projekt nie zyskał uznania. Stwierdzili, że jeszcze nie czas. Argumentowali, że należy na razie pozostawić taki system, jaki jest. Szczęście w nieszczęściu, jakaś debata wewnętrzna i medialna na ten temat się odbyła, więc myślę, że ziarno zostało zasiane i w odpowiednim momencie zakiełkuje.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Uważam, że aktywność tych organizacji w kontakcie z nami jest niewielka. To jest garstka organizacji, które do nas bezpośrednio o coś apelują. Jak już przychodzą z prośbą czy pomysłem, to są dobrze przygotowani. Problem tkwi w tym, że nasze społeczeństwo obywatelskie jeszcze jest w powijakach.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W ustawie o samorządzie gminnym jest napisane, że radny powinien być w bieżącym kontakcie z wyborcami, ale też jest zapis, który mówi, że nie może kierować się instrukcjami przez nich wydawanymi. Staram się tego przestrzegać. Jeżeli ktoś rzeczywiście zgłasza problem, to nie przypominam sobie, żebym albo na klubie, albo na

stosownych komisjach go nie poruszył. Prawda jest taka, że jesteśmy wybrani w swoich okręgach, ale ci ludzie w okręgach nas wybierają po to, abyśmy dbali przede wszystkim o ogół, o całe miasto. Tak staram się robić, dbać o ogół, i być w najbliższej komunikacji z mieszkańcami z mojego okręgu.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Różnie się układa. Są takie osoby w Urzędzie, które mają bardzo wyrazisty pogląd na jakiś temat, koncepcję opracowaną na wiele lat do przodu i nie bardzo sobie wyobrażają większe zmiany planu, ale też są takie wydziały, jak np. Wydział Spraw Społecznych, które są bardzo elastyczne i nasze pomysły, podpowiedzi rozwiązań spotykają się z dużą akceptacją.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Panie i panowie z Biura są zawsze uprzejmi, nigdy nie odmawiają pomocy i współpracy.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

My jesteśmy kadencją przełomową, która została porządnie wyposażona, m.in. w laptopy. Umożliwiono nam bezpapierowy przepływ dokumentów, co jest tańsze i wygodniejsze. Przeliczyliśmy środki wydawane na papier, wydruki uchwał, i okazało się, że taniej jest zakupić 37 osobom laptopy. Jest to bardzo przydatne, ułatwia pracę w domu. Mamy również elektroniczny system liczenia głosów, dzięki czemu głosowania przechodzą bardzo sprawnie. Marzeniem jest stworzenie pomieszczenia do wideokonferencji, np. z radnymi z innych miast, z innych państw.

W jakich pracuje Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Tak jak mówiłem, w Komisji Infrastruktury Komunalnej, w Komisji Rewizyjnej i Komisji ds. Osiedli. Najlepiej oceniam Komisję Infrastruktury Komunalnej, najwięcej jest w niej zadań, poruszana jest problematyka bardzo istotna z punktu widzenia mieszkańców. Komisję ds. Osiedli oceniam dobrze, z tym, że moja ocena byłaby wyższa, gdybyśmy wspólnie wypracowali reformę rad osiedli, wtedy, oprócz dobrej pracy nad bieżącymi problemami, wykazalibyśmy się przełomową inicjatywą. Tego zabrakło.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych muszą istnieć. Powinniśmy być rozróżnieni ze względu na swoje poglądy. Tego nie powinno się unikać. Teraz, gdy jesteśmy w atmosferze żałoby narodowej po katastrofie smoleńskiej, eksplodowała potrzeba ogólnonarodowego pojednania. Jednak takie pojednanie musi być przeprowadzone z określeniem różnic, co nie wyklucza dobrej współpracy. Taka jest specyfika demokracji. Odnoszę też wrażenie, że kluby związane z partiami krajowymi mają problem z wypracowaniem pełnej niezależności od central. Pojedynczy radni wyrażają taką chęć, widać, że chcieliby mieć większą swobodę. Życzę im, żeby to się udało, może w następnej kadencji, żeby dzięki temu była jeszcze bardziej samorządowa.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najbardziej zachowuje mi się w pamięci coroczne święto Wrocławia. Wtedy mam silne poczucie tego, że jesteśmy kontynuatorem kilkusetletniej tradycji rajców miejskich. Da się to przede wszystkim odczuć, gdy w budynku Starego Ratusza honorujemy osoby, które swoim życiem służyły wrocławianom. To jest powód do dumy, która daje energię na cały rok pracy. Ze spraw bardziej przyziemnych, w mojej pamięci zapisało się szkolenie, które odbyło się w Polanicy Zdroju.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Uważam, że są tam wartościowi ludzie, ale mają mało instrumentów do zarządzania osiedlem, przez co ich głos nie jest należycie wysłuchiwany i trochę się ich energia w tych radach marnuje. Najgorsza jest władza, która niewiele może, to jest dla społeczeństwa rozprężające. Dlatego tak zależało mi na wzmocnieniu rad.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest duże zainteresowanie, raczej nie spotykam się z takimi sytuacjami, aby dziennikarze ignorowali jakiś problem czy projekt, który się im przedstawia. Problemem mediów jest to, że brakuje im trochę czasu do głębszej analizy zagadnień, być może system premiowania dziennikarzy jest tak skonstruowany, że kładzie zbyt duży nacisk na sensacyjność tekstu.





Marek IGNOR

Radny V kadencji.
Ekonomista.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W 1997 r. rozpoczęła się moja aktywność polityczna poprzez wstąpienie do Unii Wolności, a następnie tworzenie Platformy Obywatelskiej we Wrocławiu. W ramach działalności partyjnej wielokrotnie spotykałem się z problematyką samorządu Wrocławia. W 1998 r. zostałem szefem sztabu wyborczego w wyborach samorządowych na terenie województwa wrocławskiego, więc w sposób naturalny musiałem poznać mechanizmy rządzące samorządem. W latach 2001 - 2002 byłem członkiem Komisji Promocji Miasta i Współpracy z Zagranicą jako ekspert spoza Rady Miejskiej. W latach 2002 - 2006 jako dyrektor finansowy Teatru Muzycznego „Capitol" we Wrocławiu, będącego miejską instytucją kultury, współpracowałem z Urzędem Miejskim. Podsumowując, uważam, iż byłem wystarczająco przygotowany do pełnienia funkcji radnego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Jako Rada Miejska zajmujemy się całą sferą życia komunalnego, natomiast moje indywidualne działania głównie dotyczyły interwencji w sprawach:

- problemów wrocławian zamieszkujących mieszkania komunalne. Skupiały się one głównie na trzech wątkach, tj. złym stanie technicznym mieszkań, zaległościach płatniczych, innych prośbach, jak zamiany czy przenosiny;
- sieci wodno-kanalizacyjnej, którą zarządza MPWiK. Najważniejsze z nich to kwestie wielkości opłat oraz przyłączania nowych osiedli do miejskiej sieci;
- wnętrz międzyblokowych, tzw. „podwórek". Głównie chodziło o ich zagospodarowanie i poprawę bezpieczeństwa;
- miejsc parkingowych w ścisłym centrum. Deficyt miejsc parkingowych powoduje duże utrudnienia dla mieszkańców.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Każdy radny powinien mieć swój indywidualny obszar działalności i zrealizować choćby kilka drobnych spraw. Nie chodzi o tematy, które stanowią podstawę działania całej Rady Miejskiej. Sukcesem mogę nazwać realizację swojego programu wyborczego poprzez:

- stworzenie Wrocławskiego Inkubatora Przedsiębiorczości, który stanowi centrum wspierania mikro i małych firm, a w szczególności służy tym, którzy chcą rozpocząć działalność gospodarczą,
- poprawę bezpieczeństwa w szkołach poprzez dwukrotny wzrost ilości systemów zabezpieczeń,
- zwiększenie środków finansowych na remonty i zagospodarowanie wnętrz międzyblokowych (podwórek) oraz doprowadzenie do ich realizacji w moim kręgu wyborczym,
- nadzór z ramienia Komisji Budżetu i Finansów oraz współpracę ze skarbnikiem Miasta przy wdrażaniu budżetu zadaniowego dla gminy Wrocław, pozwalającego na prowadzenie efektywniejszej gospodarki publicznymi pieniędzmi.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Politycznie: niepotrzebne spory i przejście Platformy Obywatelskiej do opozycji wobec prezydenta miasta. Merytorycznie: nieprzyznanie naszemu miastu wystawy Expo 2010.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Uważam, iż na terenie Wrocławia instytucje pozasamorządowe dobrze spełniają swoją rolę. Z roku na rok wzrasta ilość przeznaczanych na ten cel środków. W 2009 r. Wrocław wydał około 59 mln zł. Sukcesywnie wzrasta również liczba tych instytucji. Jedyny mankament, chociaż może to być tylko moje wrażenie, to niewystarczający przyrost nowych pomysłów.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Niestety, odczuwam niedosyt w zakresie wpływu pojedynczych mieszkańców na aktywność radnych. Jest ona ograniczona głównie do spotkań podczas dyżurów radnych i niewielu indywidualnych próśb. Pomagałem wszystkim, którzy się do mnie zwrócili, jednak szkoda, że mieszkańcy naszego miasta tak rzadko szukają bezpośredniego kontaktu z radnym. Wprawdzie zorganizowane grupy mieszkańców, jak np. przedsiębiorcy, poprzez swoich reprezentantów robią to częściej i skuteczniej, to jednak skala tych działań mogłaby być większa. Dla mnie

jako radnego dużym wyróżnieniem jest pozytywne rozwiązanie problemu, chociaż ostatnio otrzymane pisemne podziękowania od wrocławskich kupców są również bardzo mobilizujące.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Właściwie poza jednym przypadkiem, gdzie wykazano się brakiem działań i kompetencji, bardzo dobrze.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Uważam, że rozpoczęty w tej kadencji kierunek informatyzacji pracy radnych jest właściwy. Jest jeszcze wiele do zrobienia w tej kwestii, ale już dzisiaj widać pozytywne efekty organizacyjne i ekonomiczne. Reszta składników, wpływająca na komfort pracy, jest zadowalająca.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W tej kadencji pracowałem w Komisji Budżetu i Finansów jako jej wiceprzewodniczący oraz Komisji Inicjatyw Gospodarczych i Podkomisji ds. Stabilizacji i Rozwoju Małych i Średnich Przedsiębiorców na terenie Gminy Wrocław.

Komisja Budżetu i Finansów stara się skupiać na kluczowej dla jej zadań kwestii, tj. gospodarce finansowej Wrocławia. Dzięki temu praca przebiega sprawnie i bezproblemowo.

Jestem przekonany, że Komisja Inicjatyw Gospodarczych i Podkomisja ds. Stabilizacji i Rozwoju Małych i Średnich Przedsiębiorców na terenie Gminy Wrocław poprzez swoje działania wywarły pozytywny wpływ na otocznie gospodarcze i właściwie spełniły swoje role. Efekty tych działań zostały wielokrotnie docenione poprzez podziękowania organizacji skupiających przedsiębiorców.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych bardzo dobrze spełniają swoją funkcję, ponieważ stanowią dobre miejsce do dyskusji oraz wypracowania wspólnego stanowiska dla grupy realizującej podobny program wyborczy.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Przyznanie Wrocławiowi organizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej Euro 2012. Jestem przekonany, że pozytywne efekty przygotowań do tej imprezy będą widoczne przez lata.

Przyznanie przez Radę Miejską tytułu honorowego obywatela Wrocławia Jego Świątobliwości XIV Dalajlamie oraz jego wizyta.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie mediów sprawami Miasta uważam za zadowalające, choć niewystarczające. Po pierwsze, wiele istotnych tematów, takich jak planowanie inwestycji w mieście jest pomijane lub nazbyt ogólnikowo opisywane. Po drugie, jakość przekazywanej informacji pozostawia wiele do życzenia. Niewielu dziennikarzy jest wystarczająco przygotowanych do tematyki, którą opisują, a stopień weryfikacji pozyskanych informacji jest niewielki.

◇◇◇

dwunasty rok w Policji. Jak wiadomo, Policja samodzielnie nie może funkcjonować. Zakres działania Policji jest oparty na współpracy z różnymi podmiotami, w tym również z samorządem. Zadania Policji i samorządu są zbieżne i dlatego mogę uznać, że moje przygotowanie było na poziomie dobry z minusem, a z minusem, dlatego, że wcześniej nie zajmowałem się zagadnieniami czysto samorządowymi, jak gminy i województwa. To było poza moimi zainteresowaniami.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1990 r. miałem 22 lata i byłem krótko po ślubie. Nie mogę powiedzieć, że sprawy miasta były mi obce, jeżeli jednak sprawy miasta rozumiemy jako zakres samorządowy, to nie zajmowałem się.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Radny nie powinien być tzw. omnibusem. Nie powinien zajmować się wszystkim. Znam przypadki radnych, którzy próbowali zajmować się wszystkim. Wtedy wychodziło na to, że zajmując się wszystkim nie zajmowali się czymś konkretnym. Określiłem sobie cel, byłem w tym czasie policjantem i nadal jestem z tą formacją związany. Postanowiłem, że moim głównym działaniem będzie bezpieczeństwo i na tym się skoncentrowałem. Drugi podstawowy zakres, to prawo, czyli tworzenie prawa miejscowego, dlatego wybrałem pracę w Komisji Statutowej. Na początku kadencji 1998 r. prowadzono ze mną rozmowy, abym przejął prowadzenie Komisji Statutowej. Nie czułem się merytorycznie na siłach i odmówiłem. Przewodniczącym komisji został wtedy pan Piotr Gaglik, który znakomicie sprawował tę funkcję. Byłem członkiem tej komisji i doszkalałem się przy Piotrze. Zajmowałem się głównie bezpieczeństwem w aspekcie miejskim. Zauważałem, że jest dużo pracy w zakresie poprawy bezpieczeństwa mieszkańców.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III i IV kadencji Rady?

Jako sukces indywidualny można uznać to, że przez interpelacje zająłem się problemem uratowania setek miejsc pracy na targowisku na Dworcu Świebodzkim. W 2000 r., pamiętam, był zamysł likwidacji targowiska na tym dworcu. Moja interwencja miała przyczynić się do wskazania przez istniejący wtedy Zarząd Miasta alternatywnego miejsca do prowadzenia tego typu działalności. W każdym większym mieście są tego typu targowiska, które nie funkcjonują tylko w niedzielę, a przez wszystkie dni tygodnia lub we wskazane dni. Strona miejska powiedziała, likwidujemy targowisko i wówczas musiałem się ująć za przedsiębiorcami na tym targowisku. Jak widać, ta działalność w tym miejscu do dzisiaj istnieje. Problem sam w sobie pozostał. Problem brudu i to, że dalej nie ma wskazanego miejsca alternatywnego, ale uważam, że uratowanie tych miejsc pracy można uznać za mój sukces w Radzie. Drugi sukces, to program poprawy bezpieczeństwa we Wrocławiu, który był tworzony w latach 2000-2001. Był to nowatorski program utworzony na podłożu budżetu miasta. Miasto łożyło na poszczególne podprogramy tego głównego programu, którego celem była poprawa bezpieczeństwa we Wrocławiu. Inne miasta wydzwaniały do nas pytając o ten program, tj. jak go wprowadziliśmy, w jakiej formie, gdyż też chciały u siebie taki program wprowadzić. Stworzyliśmy ideę pomocy Policji w walce ze zjawiskiem narkomanii. Wydział ds. Walki z Narkomanią w strukturze Komendy Miejskiej Policji istniał, ale my go doposażyliśmy w sprzęt, w samochody i sprzęt operacyjny. Zauważalne były efekty pracy tego Wydziału. Nie ma co udawać, że we Wrocławiu nie było i nie ma problemu narkotyków. Trzeba było stworzyć takie mechanizmy, które by mogły zahamować przestępczość narkotykową, także dążyć do niewdrażania jej wśród dorastających pokoleń.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

W moim odczuciu niepowodzeniem była reforma szkół w 2001 r. W kadencji, w której uczestniczyłem jako radny zlikwidowano moją ukochaną szkołę, tj. Żeglugę Śródlądową przy ul. Brücknera. Nie wiem, jakie wtedy były zamierzenia Miasta, czy rzeczywiście zrobiono analizę, że szkoła w tym miejscu dla przyszłości zawodu nie jest potrzebna, co wydaje mi się dziwne. Brałem udział w spotkaniach osób zajmujących się pracą na rzekach – tam widziano niezbędność kontynuacji zawodu marynarza śródlądowego. Za chwilę będzie brakowało osób z tego zawodu. Może trzeba było dać dobre miejsce jako bazę lokalową dla najlepszego Liceum Ogólnokształcącego nr XIV właśnie na ul. Brücknera? Był tam basen, wspaniała sala gimnastyczna, aula, korty tenisowe, stadion, internat, warsztaty szkolne, miejsce lokalowe wspaniałe. Z łezką w oku wspominam tamtą szkołę. Jakiś czas temu był zlot absolwentów w żegludze, wymieniano mnie jako osobę, którą się szkoła szczyci. Nie uważam, że powinienem być w tym gronie, bo przecież byłem w Radzie Miejskiej, która przyczyniła się do likwidacji szkoły. Kilka lat później stwierdziliśmy, że jednak popełniono błąd i wylało się tzw. dziecko z kąpielą. Jednakże moja ukochana Żegluga Śródlądowa nie powróciła.

Inna porażka, to założenia programu poprawy bezpieczeństwa. Nie mogę tu nie wspomnieć o moim przyjacielu panu generale Januszu Ornatowskim, gdyż inicjowaliśmy ten program wspólnie. Tam było zapisane, że prowadzony będzie monitoring wizyjny miasta Wrocławia. To, co zakładaliśmy w 2001 r. nie zostało wprowadzone. Jest okamerowany wizyjnie Rynek, Ostrów Tumski, dopiero 2009 r. zaczęliśmy wychodzić zza obrzeży Rynku, dochodząc do mostu Milenijnego. Założeniem programu było istnienie monitoringu wizyjnego w miejscach tzw. strachu, tj. instalacji na naszych osiedlach. Do dzisiaj to się nie ziściło i ubolewam z tego powodu. Londyn np. jest okamerowany na całej powierzchni i nie narusza to niczyjego wizerunku, jak niektórzy myślą. Rozmawiając

o wizerunku, trzeba sobie postawić pytanie: co jest ważniejsze, czy ochrona naszego wizerunku, czy poczucie bezpieczeństwa grupy jako społeczności, a te kamery zdecydowanie służą zwiększeniu poczucia bezpieczeństwa i zmniejszeniu przestępczości. W Poznaniu w tej chwili jest 120 kamer. Koszt ich wyniósł 14 mln zł. W Gdyni zaś jest zamontowanych 150 kamer wizyjnych. Mamy przykład, że można zrobić monitoring wizyjny naszych osiedli.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Taką instytucją jest Policja. W okresie, kiedy byłem radnym, wraz z generałem Ornatowskim byliśmy takimi łącznikami między Policją a Radą. Słuchaliśmy głosu mieszkańców, czego oczekują. Na spotkaniach z komendantami miejskimi przekazywaliśmy te informacje, a nawet sprawdzaliśmy, jak one są realizowane. Zauważam obniżenie komunikowania się Rady tej kadencji z Policją. Gdy jeszcze byłem w Radzie, środki realne przekazywane przez Miasto na rzecz Policji były zdecydowanie wyższe niż obecnie. Służb ponadnormatywnych opłacanych przez Miasto było więcej. Policjanci mogli wykonywać więcej służb w czasie wolnym, a tym samym policjantów było więcej na ulicach, gdyż służby ponadnormatywne nie są służbami zza biurka. Policja była dyslokowana tam, gdzie mieszkańcy wnioskowali. Uważamy, jako mieszkańcy, że dziś brakuje nam tego munduru. Mundur policyjny w tamtym okresie był bardziej widoczny. Uważam, że ta współpraca w latach 1998 - 2006 była na dobrym poziomie.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborców, niestety, nie interesuje człowiek, a jedynie przynależność znaczka partyjnego. Owszem, podczas kampanii wyborczej zapraszają na spotkania, ale wystarczy, że jest się innej przynależności – wtedy odczuwa się pewien ostracyzm.

Wyborcy nie interesują się radnymi, gdy kadencja już się rozpocznie. Należę do osób, które prowadząc kampanię wyborczą, chodzą od domu do domu. Pukam i rozmawiam. W jednym z mieszkań pani po chwili rozmowy powiedziała, niech pan poczeka, i wyskoczyła do mnie z wrzątkiem wody. Chciała mnie oblać, mówiąc: Ty Belzebubie czerwony. To była moja pierwsza kampania, miałem wtedy 30 lat. Zastanowiłem się nad tym i stwierdziłem, że wyborcy, niestety, nie patrzą na to, jak chcemy prowadzić prace w Radzie, interesuje ich tylko tzw. koloryt partyjny. Jeżeli natrafimy na wyborcę, który jest skrajnie przeciwstawny do naszej aksjologii, możemy spotkać takie przypadki, jak ten, który tu opisałem.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Ta odpowiedź może być oparta jedynie na zapytaniach interpelacyjnych, które składaliśmy i odpowiedziach na nie, tj. czy odpowiedzi były pełne, czy terminowość była zachowana. Uważam, niestety, że informacje w odpowiedziach były niedoprecyzowane, niedopisane, niedomówione. Jednak, jeżeli radny próbował dociec rozpoczętego tematu, to daną informację uzyskiwał. Przykładem niech tu będą umorzenia podatkowe zastosowane przez Miasto. Zasłaniano się na początku tajemnicą skarbową. Chyba cztery interpelacje na ten temat składałem. Finalnie odpowiedź otrzymałem. Jest to przykład na to, że do końca trzeba drążyć to, o co się pyta.

Uważam, że współpracę z władzą wykonawczą, prezydentem i Urzędem Miasta można uznać za współpracę dobrą.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bez zastrzeżeń. Można powiedzieć, że wszelkie dokumenty uzyskiwaliśmy w porę. Wypowiadam się za siebie jako były przewodniczący Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa. Miałem pomoc pracownika Biura w zakresie informacji prawnej czy też uzyskania dodatkowej dokumentacji, która byłaby mi niezbędna przy rozpatrywaniu skarg. Ogólnie mogę uznać współpracę nawet za bardzo dobrą.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Jeżeli porównujemy do obecnego stanu, gdzie radni mają laptopy, system przycisków do głosowania, to należy się zastanowić, jak opisać moją kadencję. Co do wyposażenia, nie jestem wymagający. Pierwsze lata posiedzeń Rady mieliśmy na krzesłach ze stolikami. Nie było foteli tak jak dzisiaj. Krzesła były wygodne, stoły mosiężne, dużo dokumentów się tam zmieściło. Nie obawialiśmy się, że się załamią. Dostęp na mównicę także był. Uważam, że warunki były dobre, jak na tamten czas. W 2003 r. po remoncie oddano salę sesyjną. Wtedy warunki zdecydowanie nam się poprawiły. Każdy miał swoje wyznaczone miejsce. Były tabliczki z nazwiskiem przyczepione do różnych stanowisk. Uważam, że na dobrym poziomie był dostęp do materiałów. Z ułatwień technicznych niczego jeszcze wtedy nie było. Podnosiło się rękę do góry, taki był sposób głosowania. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Bezpieczeństwa i Praworządności, w której w mojej pierwszej kadencji byłem wiceprzewodniczącym. Przewodniczącym był pan generał Ornatowski. W drugiej mojej kadencji byłem przewodniczącym tej komisji. Uważam, że moje wiceprzewodniczenie to był dobry przedsionek do przewodniczenia komisji w następnej kadencji. Trudno mi jest siebie ocenić. Nie mam zastrzeżeń do swojego jej prowadzenia i nie słyszałem, żeby jakieś były. Drugą komisją była Komisja Statutowa. Nie mieliśmy takiego komfortu, jak obecni radni, gdzie mają prawników, którzy oceniają uchwały i tzw. gotowce przekazują. Komisja Statutowa prowadzona najpierw przez pana Gaglika, a potem pana Sławomira Piechotę musiała wyłuskiwać uchybienia, nieprawidłowości czy nawet nieraz wątpliwości prawne. Te zawiłości musieliśmy rozpatrywać czasem na wielogodzinnych posiedzeniach.

Obydwie komisje mile wspominam. Trzecia komisja, to epizod kilkumiesięczny. To Komisja Ochrony Środowiska, Komisja Budżetowa i Komisja Rewizyjna. Każdy musi wiedzieć, w czym się dobrze czuje i czy dobrze wykonuje pracę, do której został powołany w wyniku wyborów przez mieszkańców. Jeżeli w jednych komisjach czułem się jak ryba w wodzie, to nie uważałem za stosowne, żeby lawirować w pozostałych zagadnieniach, zwłaszcza, że te komisje nie były pozbawione fachowców. Są to komisje merytoryczne.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby same w sobie to jest nic innego, jak grupki osób w jakiejś ideologii z sobą związanych, najczęściej są to kluby powiązane partyjnie. Z racji zawodu, który wykonuję jako policjant, nie mogę należeć do żadnej partii. Ustawa tego nam zabrania. Policjanci muszą być apolityczni. Często przeciwstawiałem się dyscyplinie klubowej. Dla mnie moje zdanie jako radnego powinno być najważniejsze i to ja powinienem określać, jak w danej sytuacji powinienem postąpić.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pan pamięci?

Dni Rady Miejskiej obchodzone 24 czerwca. Charakter, specyfika, zaproszeni goście nadawały odpowiedni wymiar tym uroczystym sesjom. To zdecydowanie na pierwszym miejscu. Na drugim, wybór ławników na kadencje w latach 2004-2007. Pewną niedźwiedzią przysługę zrobiła nam jedna z gazet, która napisała, że ławnicy mogą zarobić po pięćdziesiąt złotych dziennie na posiedzeniu. Okazało się, że mieliśmy pięćset miejsc do obsadzenia, a zgłosiło się ponad trzy i pół tysiąca chętnych. Zostałem przewodniczącym do spraw naboru ławników. Rolą komisji było stworzenie takiej wstępnej weryfikacji, aby przedstawić Radzie odpowiednio mniej osób. Było to trudne zadanie. Przeprowadzane były wywiady środowiskowe. Jedna z przesłanek głosiła nieskazitelność charakteru. Sami musieliśmy definiować tę nieskazitelność charakteru. Definiowaliśmy ją przy pomocy sądu i Policji. Potem natomiast były skargi odnośnie do interpretacji tego terminu, gdyż ktoś, kto dostał mandat drogowy już nie mógł być uznany, iż ma nieskazitelny charakter. Te dwie rzeczy zapamiętałem szczególnie.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W tej chwili jestem drugą kadencję radnym w Radzie Osiedla Gajowice. Jest to rada, która ma 28 tys. mieszkańców. Jest to duża rada. Na chwilę obecną uważam, że niezbędne jest wprowadzenie reformy jednostek pomocniczych, jakimi są rady osiedli. Powinny być to duże rady i należy dać im większe uprawnienia. Uważam, że powinno powstać maksymalnie dziesięć rad osiedli, które oparte byłyby na większym budżecie i zarządzie z pensją urzędników. Stworzylibyśmy takie małe podgminy. Swoje zdanie opieram na wspaniałej pracy Rady Osiedla Leśnica, z którą jestem zawodowo związany, gdyż pracuję tam w komisariacie, jest to również duża rada. Zdecydowanie reforma jest potrzebna. Tylko powstaje pytanie, kiedy? Mam nadzieję, że nowa Rada Miejska zrobi to, co powinno od dawna być zrobione.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Charakterystyczne jest jedno, że media przychodziły na sesję i były tylko przy kluczowych punktach. Jak się zaczynała merytoryka w zakresie np. planów zagospodarowania przestrzennego, itp. to wtedy już tu ich nie było. Media nie były zainteresowane całym zagadnieniem, czym się Rada zajmuje we Wrocławiu, tylko miały pewne swoje priorytety tematyczne.

◇◇◇

tworzeniem tego ustroju. Moja wiedza była jednak przeciętna, jak przeciętnego zainteresowanego tymi sprawami obywatela w Polsce.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Jestem człowiekiem aktywnym, zajmowałem się różnymi rzeczami. Jestem architektem z wykształcenia. Zrealizowałem w mieście parę projektów, chociażby z racji mojego zawodu. Poza tym byłem i jestem aktywnym w pracy pozazawodowej. Współpracowałem w tworzeniu sportu we Wrocławiu. Moim hobby jest sport. Tutaj dołożyłem swoją cegiełkę, mam nadzieję zauważalną. Jestem absolwentem II LO i całe życie byłem związany ze sportem, byłem trenerem, menadżerem w tenisie stołowym, w tamtym czasie twórcą potęgi wrocławskiego tenisa stołowego. Między innymi byłem nawet trenerem Kadry Narodowej Kobiet.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Przez jakiś czas byłem przewodniczącym Komisji Inicjatyw Gospodarczych, a także przewodniczącym Komisji Architektury i Rozwoju Przestrzennego Miasta. Pracowałem w tych dziedzinach z racji mojego zawodu architekta. Sam również prowadziłem przedsiębiorstwo, więc miałem jakieś doświadczenie w dziedzinie przedsiębiorczości gospodarczej.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Myślę, że to był okres budowania pewnych standardów w samorządzie gminnym. Uważam, że nie musimy wstydzić się pracy, którą wykonaliśmy, tj. stworzenia pewnej płaszczyzny porozumienia ponad podziałami politycznymi dla dobra miasta. W Radzie Miejskiej było to dosyć widoczne. Mimo różnych korzeni politycznych, radni potrafili w ważnych momentach współpracować dla dobra miasta. Myślę, że taki model współpracy, powstanie różnych wspomagających instytucji, chociażby Biura Rozwoju Miasta tworzącego plany zagospodarowania przestrzennego, pozwoliło na dynamiczny rozwój Wrocławia. Sukcesem radnych jest to, że potrafili odróżnić politykę od pracy w samorządzie lokalnym. To było bardzo ważne.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Trudno jest wskazać. W każdym działaniu jest sukces i jest porażka. To tak, jak mówiłem o mojej dziedzinie – rozwoju przestrzennym miasta. Biuro Rozwoju Miasta w miarę skutecznie tworzy plany zagospodarowania przestrzennego. Okazuje się jednak, że, gdy mają powstać jakieś inwestycje, by rozwój miasta był szybszy, to właśnie brakuje tych planów. Dobrze, że one powstają, ale jest ich ciągle za mało. Jak w każdym działaniu, jest sukces i porażka. Zawsze są jakieś ograniczenia. Chociażby to, że planistów jest wciąż nieodpowiednia liczba i wszystko czeka na swoją kolej. Rozwój Wrocławia był jednak taki, że nie mógłbym mówić o jakiś porażkach. Cały czas uczyliśmy się. Wszystko szło do przodu i w dobrym kierunku. Nie było takich sytuacji, że zaniedbaliśmy coś czy zapomnieliśmy o czymś. Wiadomo, że każdy narzeka na komunikację miejską lub na coś innego. Wpierw muszą pojawić się pieniądze, a jak się już pojawiają pieniądze z Unii Europejskiej, to trzeba stworzyć mechanizmy wdrażające, w jaki sposób te fundusze weźmiemy i praktycznie wykorzystamy. To uważam za bardzo ważne.

Największą porażką jest to, że mając takie tereny kolejowe, jakie są w tej chwili, nie potrafiliśmy jako Miasto się porozumieć z PKP, po to, by stworzyć szybką kolej miejską. Przy wykorzystaniu właśnie tej infrastruktury kolejowej tramwaj miejski rozładowałby w dużym stopniu problemy komunikacyjne.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Trudno mi powiedzieć. Nie mam do tego jakiegoś stosunku. To chyba lepiej oceniają właśnie te instytucje, czyli np. z dziedziny sportu, o którym była mowa. Ta ocena jest pełniejsza od strony klubu. To, czy klub miał pomoc, czy radni starali się pomóc klubom sportowym, rozwojowi sportu młodzieżowego. Pamiętam rozmowy o trenerach osiedlowych, boiskach dla młodzieży. To było cały czas w toku działań, a potem okazywało się, że się udało. Czyli ta praca nie poszła na marne. Były rozmowy o przedszkolach, rodzinnych domach dziecka, o dzieciach, które są w najtrudniejszej sytuacji. Także o tym myślano i podejmowano decyzje ułatwiające prowadzenie takiej działalności.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Myślę, że chyba każdy radny, który zaczyna pełnić tę funkcję, czyli zaczyna swoją pracę w Radzie Miejskiej, pamięta o ludziach, którzy go wybierali. To jest rzecz oczywista dla mnie, że człowiek wybrany do Rady z reguły już się dał poznać jako aktywniejszy niż przeciętny mieszkaniec Wrocławia. Każdy mieszkaniec, który oddał głos na takiego człowieka, ma nadzieję, że on załatwi ileś spraw dla niego. Z reguły mieszkańcy myślą o sprawach im najbliższych, tych, które ich dotyczą bezpośrednio. Są też mieszkańcy, którzy patrzą globalnie i cieszą się, szczególnie wtedy, gdy są rozwiązane problemy w skali makro.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Wrocław jest tym przykładem, gdzie zawsze była dobra współpraca między prezydentem, urzędnikami a Radą Miejską. To oczywiście wymagało ciągłej, stałej pracy, czasami wymiany zdań ostrzejszej lub łagodniejszej. Wszystko się jakoś układało. Myślę, że Wrocław jest pozytywnym przykładem na tle innych miast.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Zawsze układała się świetnie. Obsługa Biura Rady Miejskiej była zawsze bez zarzutu. Tak więc tutaj mam same pozytywne wspomnienia.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Za moich czasów w Radzie Miejskiej powstawał projekt zmiany sali sesyjnej. Myślę, że sami radni śledzili prace projektowe. Ich postulaty z pewnością zostały spełnione. Sala i całe otoczenie Rady Miejskiej jest na wysokim poziomie, wypracowane także przez radnych tej kadencji.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych, Komisji Architektury i Rozwoju Przestrzennego i Komisji Sportu. Oceniając ich pracę mam pozytywne odczucia, że wypracowano pewne standardy współdziałania z władzą wykonawczą, co dało efekty. Gdyby oceniać efektywność, to czasami chciałoby się, by to było bardziej efektywne. Nie zawsze ten czas spędzony na komisji kończył się jakimś efektem pozytywnym. Jakieś kierunki się wytyczało, a później procentowało to w jakości pracy Urzędu i służb, które bezpośrednio pracowały dla mieszkańców. Staraliśmy się współdziałać z prezydentem, z Urzędem Miejskim, aby pewne rzeczy przyspieszać, a nie hamować, nadrabiać pewien stracony czas z minionego okresu.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

To jest polityka. Myślę, że przy tych mocno funkcjonujących podziałach politycznych chyba to jest niezbędne w tej chwili, żeby była taka płaszczyzna porozumienia ludzi z jednej opcji politycznej. To jest naturalna konsekwencja – powołanie klubów radnych, następną konsekwencją są listy kandydatów na radnych. Bez pracy klubów radnych dużo gorzej wypracowywałoby się kompromisy. Zawsze jednak przedyskutowanie w klubie pozwala łatwiej ustalić kompromis. Nie wyobrażam sobie, że na sali jest np. trzech liderów i każdy ma coś do powiedzenia. Byłoby to bardzo nieuporządkowane. To jest na dzień dzisiejszy niezbędne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Zapamiętałem głównie pewne potyczki w sali sesyjnej Rady. Były wtedy osobowości, które narzucały ton dyskusji na Radzie Miejskiej i wiadomo było, że po radnej X, powstanie radny Y i będzie dosyć wesoło, ale i twórczo. Jakość tych dyskusji oceniam wysoko. To nadawało pewien koloryt pracom Rady.

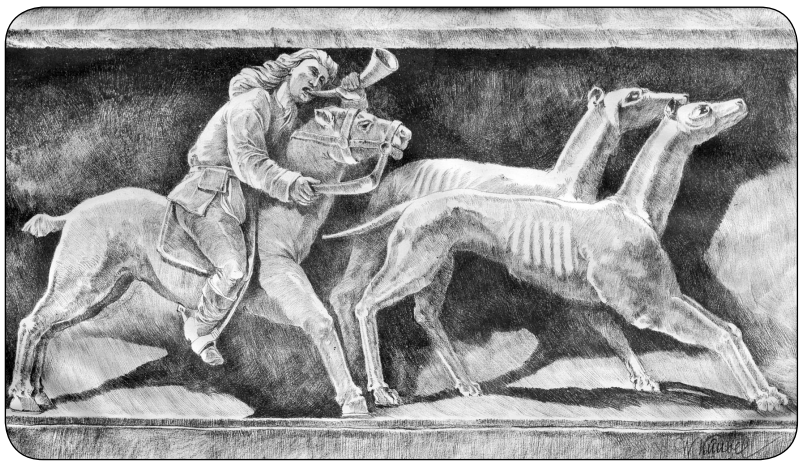
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

To jest naturalny kierunek, że poprzez radę osiedla ludzie trafiają do Rady Miejskiej. Moje wcześniejsze opinie o radach osiedla były niezbyt pozytywne. Raczej to był obraz pewnego towarzystwa kilku osób, które mają gdzie posiedzieć, ale więcej nic z tego nie wynika. Wiem, że to się zmienia. Teraz te rady mają więcej pól do działalności, a ich aktywność ma wpływ na jakość życia mieszkańców.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media oceniam pozytywnie, gdyż to jest sól tej całej działalności, poddawanie się stałej ocenie. Trzeba skuteczności działań, efektywności i jakości pracy na rzecz miasta. Media muszą mieć ten ogląd społeczny, szukają „dziury w całym" i to jest pozytywne. To jest ten plus demokracji, że działania są przy otwartej kurtynie. Jeżeli ktoś popełni błąd, to musi się z tego wytłumaczyć. Media są obecne wszędzie. Oceniam je pozytywnie, nie oznacza to jednak, że lubię tabloidy typu „Fakt" i „Superexpres", ale to jest inny temat i to oceniam zawsze negatywnie.

Media lubią wydarzenia sensacyjne, pokazują się wtedy, jak coś się dzieje, gdy pojawia się jakiś spektakularny spór. Myślę, że codzienna praca radnych nie jest interesująca dla mediów. Są to wtedy krótkie notatki, że coś tam zrobiono, ale praktycznie mediów przy tym nie ma. Media niekoniecznie muszą relacjonować czy być sprawozdawcą normalnych działań każdej komisji i wszystkich prac Rady Miejskiej.



Teresa JASZTAL

Radna II kadencji.
Posłanka na Sejm RP II, III i IV kadencji.
Absolwentka Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Wiedziałam, na czym polega praca samorządu. Kiedy zdecydowałam się na kandydowanie zapoznałam się z ustawami o samorządzie terytorialnym, Statutem Wrocławia, obserwowałam również pracę Rady Miejskiej I kadencji.

Rok wcześniej uczestniczyłam w wyborach do Sejmu i odbywałam wiele spotkań z wyborcami. Większość spraw poruszanych na tych spotkaniach leżało w kompetencji samorządu.

Czy przed 1990r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Tak. Jestem, a właściwie byłam nauczycielką, uczyłam historii, opiekowałam się samorządem szkolnym i sprawy miasta, w którym żyjemy nie mogły być ani mnie, ani moim uczniom obojętne. Byłam i jestem we Wrocławiu zakochana. Najpierw za sprawą mojej ówczesnej sympatii studiującej weterynarię, a potem mojej przyjaciółki. Oboje w listach opisywali miasto. Pamiętam moje pierwsze „spotkanie" z magnolią. Moja przyjaciółka opisała ją jako „drzewo kwitnące różowymi tulipanami". Kiedy sama znalazłam się we Wrocławiu, a był to rok 1960, po ciasnocie i zadymieniu Zagłębia i Katowic Wrocław, zielony, z szerokimi ulicami, pełen młodych ludzi, wydał mi się cudownym miejscem. I tak już zostało.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Moja działalność jako radnej związana była z oświatą. Pełniłam funkcję wiceprzewodniczącej Komisji Oświaty. To były sprawy dla mnie najbliższe i najlepiej mi znane. Byłam również członkiem Komisji Sportu. Problematyka tej komisji dotyczyła również młodzieży.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Praca w Radzie to praca zespołowa. Każda uchwała Zarządu Miasta trafia do odpowiedniej komisji i tam trwają prace, które mają przygotować wspólne stanowisko na sesję. Ale nie jest to jedyne stanowisko. Każdy klub przygotowuje swoje, i nie zawsze stanowiska komisji i klubu są tożsame. Myślę, że II kadencja Rady była bardzo pracowita. Trzeba było podjąć setki uchwał w związku z przejęciem przez samorząd odpowiedzialności za sprawy lokalne. Moim małym sukcesem było wybranie mnie do Komisji Edukacji Związku Miast Polskich,

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Nie przypominam sobie niepowodzeń Rady, chociaż pewnie nie wszystko udało się zrealizować bez bólu. Nigdy nie jest tak, żeby wszyscy byli zadowoleni, a przecież tworzyliśmy nowy ład prawny. Największe emocje były przy uchwalaniu budżetu. Potrzeby były i pewnie są teraz bardzo duże, a środki finansowe ograniczone. Pewnie nie wszystkie zamierzenia udało się zrealizować, ale czy to były niepowodzenia?

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Komisje współpracowały z instytucjami opiniotwórczymi w obszarze spraw, którymi się zajmowały. Współpraca ze związkami zawodowymi działającymi w oświacie układała się dobrze, chociaż nie zawsze była łatwa. Podobnie było z organizacjami sportowymi. Ale ta współpraca była konieczna, bo znajomość potrzeb tych środowisk pozwalała na ich uwzględnianie choćby przy budżecie.

Jak ocenia Pani wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Szczerze? Słabo. Aktywność wyborców wyzwala się wtedy, gdy ich interesy są zagrożone. Likwidacja szkoły, przedszkola, przebudowa czy budowa drogi wtedy aktywność rośnie. Na dyżury radnych prawe nikt nie przychodził, a jeśli już, to były to skargi. Może małe zainteresowanie wynika stąd, że ludzie nie wierzą, że poprzez radnych mogą mieć na cokolwiek wpływ. Często nie znają swoich radnych. Dlatego „wyżywają" się na prezydencie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Ówcześni przedstawiciele władzy wykonawczej to byli ludzie o dużej kulturze osobistej, dlatego stosunki, mimo różnic, układały się bardzo dobrze. Nie pamiętam takich sytuacji, żeby używano słów, które mogły ranić, mimo emocjonalnych wystąpień podczas sesji. Duża w tym zasługa pana prezydenta Bogdana Zdrojewskiego. Stosunki z urzędnikami polegały na ścisłej współpracy z radnymi. To oni dostarczali radnym potrzebne do pracy dokumenty i służyli wyjaśnieniami.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady to było serce Rady. Pracujące tam panie, to były osoby profesjonalnie przygotowane do tej pracy. Zawsze uczynne, sympatyczne, gotowe zawsze służyć pomocą. Nigdy nie było problemu z materiałami na

sesję, z przygotowaniem uchwał czy materiałów na posiedzenia komisji. Na szczególne wyróżnienie zasługują przygotowywane przez Biuro Rady uroczystości. Zawsze ze smakiem, zawsze profesjonalnie. W dodatku zawsze uśmiechnięte! To niewątpliwie zasługa szefowej pani Janeczki Śledzińskiej.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wtedy nie było w powszechnym użytku laptopów, poczty elektronicznej, więc siłą rzeczy nosiliśmy „tony" papierów. Sesje trwały do późnych godzin nocnych. Ale takie były potrzeby i ja nie narzekam. Nieskromnie uważam, że uczestniczyłam w czymś ważnym, w tworzeniu nowej, mam nadzieję lepszej dla rozwoju miasta i mieszkańców rzeczywistości.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Jak już wspominałam, pracowałam w komisji związanej z edukacją, bo byłam przekonana, że jest to dziedzina, na której znam się dobrze. Całe moje zawodowe życie związane jest z oświatą. Byłam nauczycielką, dyrektorem, wizytatorem, a nawet zastępcą inspektora oświaty. Zmiany, które nastąpiły po 1989r. nie ominęły również przedszkoli i szkół. Nie było łatwo. Nie wszystkie pomysły urzędników wtedy i później były trafne. Nie doceniono roli przedszkola w rozwoju i socjalizacji dzieci. Likwidacja opieki medycznej i stomatologicznej też nie była dobrym pomysłem. Zastąpienie szkolnych stołówek firmami kateringowymi i sklepikami z niezdrową żywnością nie służyło uczeniu dzieci zdrowych nawyków żywieniowych. Ale podejmowaliśmy działania zmierzające do finansowego usamodzielnienia szkół i był to słuszny kierunek. Walczyliśmy o jak najwyższy budżet dla oświaty. Wiele szkół i szkolnych obiektów sportowych wymagało remontów. Dzisiaj z uznaniem patrzę na piękne boiska szkolne, których wciąż przybywa i nowe przedszkola, których wciąż za mało. Cieszę się, że opieka medyczna wraca do szkół. Komisja Sportu, to była taka trochę „kultowa" komisja. Nie każdy radny mógł w niej zasiadać. Pan przewodniczący Mękarski zadbał, aby skład tej komisji odpowiadał jego wizji. Moja praca w tej komisji pozwoliła mi dużo dowiedzieć się o sporcie, szczególnie wyczynowym, klubach sportowych i związkach sportowych. Poznałam wiele obiektów sportowych i poznałam problemy sportowego środowiska. Praca w obydwu komisjach była merytoryczna i mam nadzieję, że naszą pracę dobrze oceniały środowiska, dla których pracowaliśmy.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Wybory w naszym kraju odbywają się w oparciu o działające legalnie partie polityczne. To one umieszczają na listach swoich zwolenników. Mają też swój program, z którym idą do wyborów. Tworzą więc swoje kluby, żeby móc prezentować swoje stanowisko we wszystkich sprawach, w których Rada podejmuje decyzje. W samorządach jest jednak mniej polityki, bo sprawy, które musi rozwiązywać samorząd są bardzo łatwe do zweryfikowania przez wyborców. Byłam radną SLD. Nasz klub liczył kilkunastu radnych. W klubie też ścierały się różne racje, ale musieliśmy wypracować wspólne stanowisko wobec proponowanych przez władze rozwiązań. Nasze stanowisko wyrażaliśmy w głosowaniach. Bardzo dobrze wspominam swoją pracę w Radzie Miejskiej Wrocławia. Poznałam wielu wspaniałych ludzi z różnych opcji politycznych, z którymi przy spotkaniach serdecznie się witamy. Nasza Rada była przykładem tego, że można się różnić pięknie. Bardzo dużo nauczyłam się będąc radną. Po takiej „szkole" łatwiej było mi pracować w parlamencie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

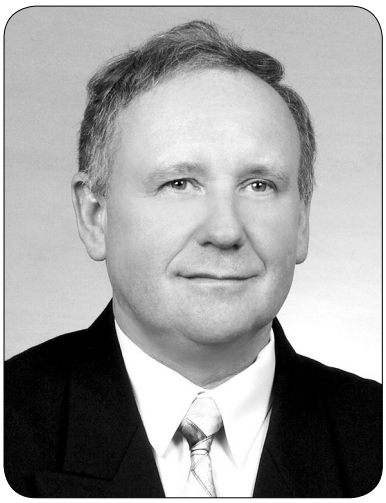
W pamięci utkwiły mi głosowania nad powoływaniem składów komisji. To były pierwsze organizacyjne głosowania. Praca komisji skrutacyjnej trwała do pierwszej w nocy. Byłam jej przewodniczącą. Potem okazało się, że to był tylko przedsmak tego, co nas czekało. Często sesje kończyły się późno w nocy i trzeba było prosić zmotoryzowanych kolegów o podwiezienie do domu. Pamiętam bardzo miłe spotkania opłatkowe i noworoczne. Udało mi się zorganizować spotkania kobiet radnych w czasie przerw w obradach Rady. Pamiętam konsternację panów. Nie bardzo wiedzieli, czego się po tych „babskich" spotkaniach spodziewać. Te spotkania pozwoliły nam dobrze się wzajemnie poznać, wymienić poglądy w różnych sprawach. A poglądy miałyśmy w wielu kwestiach, szczególnie światopoglądowych, bardzo różne. Nie przeszkadzało nam to wzajemnie się szanować.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

Na temat rad osiedlowych nie mam zdania. Wtedy toczyła się dyskusja o ich kompetencjach, i pewnie trwa do dzisiaj. Wiem, że rady te były zaangażowane w pomoc placówkom oświatowym. Współpracę z nimi wysoko oceniali dyrektorzy tych placówek.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W czasie, kiedy byłam radną dziennikarze Radia Wrocław na bieżąco komentowali sesje Rady. Pewnie jest tak i dzisiaj. Pytanie tylko, kto tych relacji słuchał? Media z pewnością interesują się sprawami Miasta, czy wystarczająco? Myślę, że dziennikarze dostarczają swoim czytelnikom różnorodnych informacji o mieście i tych dobrych, i tych gorszych. To dzięki mediom dowiadujemy się o ważnych dla społeczeństwa wydarzeniach. Media często włączają się do propagowania akcji społecznych, do mobilizowania mieszkańców, aby wzięli w nich udział.



Ireneusz JÓŹWIAK

Radny II kadencji.
Profesor doktor habilitowany, informatyk.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Byłem przygotowany do pełnienia funkcji radnego, gdyż od 1992 r. pełniłem funkcję przewodniczącego Rady Osiedla Pilczyce-Kozanów-Popowice Pn. W tamtych latach nazywano je jednostkami pomocniczymi Rady Miejskiej Wrocławia. Doświadczenia, jakie tam zebrałem doprowadziły do tego, że już w 1994 r. postanowiliśmy założyć Samorządową Koalicję Osiedli. Byłem jednym z jej założycieli. Ta Samorządowa Koalicja Osiedli m.in. spośród radnych rady osiedla wyłoniła kandydatów do Rady Miejskiej Wrocławia. W czerwcu 1994 r. wygrałem wybory w swoim okręgu z listy Samorządowej Koalicji Osiedli. Tym samym stałem się radnym Rady Miejskiej Wrocławia. Z pewnością można powiedzieć, że wiedziałem, co mnie czeka w Radzie Miejskiej.

A czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Byłem za młody, żeby zajmować się sprawami miasta. Mogłem się zajmować sprawami politycznymi, bo „Solidarność" była na fali, potem stan wojenny, więc nastąpiło zaniechanie działalności związkowej. Wtedy skupiłem się na działalności religijnej wygłaszając liczne prelekcje w kościołach i salkach katechetycznych na tematy religijne. Skupiłem się także na działalności naukowej. Od 1979 r. byłem przecież pracownikiem Politechniki Wrocławskiej. Intensywna praca naukowa doprowadziła do tego, że szybko zrobiłem habilitację i zostałem powołany na stanowisko profesora w Politechnice Wrocławskiej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem członkiem aż pięciu komisji Rady Miejskiej. Moimi ulubionymi komisjami były dwie: Komisja Oświaty i Młodzieży oraz Komisja Kultury i Nauki. W obu tych komisjach bardzo aktywnie działałem, także z racji mojej aktywności zawodowej. Pierwsza aktywność, to praca naukowa w Politechnice Wrocławskiej, czyli Komisja Nauki i Kultury była tą komisją, w której mogłem wykazać swoje umiejętności. Druga płaszczyzna mojego działania to działalność oświatowa w Katolickim Liceum Ogólnokształcącym imienia Najświętszej Maryi Panny Pośredniczki Łask we Wrocławiu. Merytoryczną komisją w tym zakresie była Komisja Oświaty i Młodzieży. Mogłem na bieżąco śledzić rozwój szkolnictwa we Wrocławiu i wpływać na jego stan prawny wykorzystując swoją wiedzę oświatową. Oprócz tego pracowałem bardzo aktywnie w Komisji ds. Osiedli. Odczuwałem wielką satysfakcję, gdy mogłem dopomóc radzie osiedla, która się do mnie zwróciła z prośbą o pomoc. A swojej radzie osiedla przewodniczyłem do 2002 roku. Potem nie mogłem już do niej kandydować, gdyż z Kozanowa wyprowadziłem się na Muchobór. Jeszcze były dwie komisje, których byłem członkiem. Uczestniczyłem w posiedzeniach tych komisji, ale nie miałem już czasu, żeby się bardziej w nich angażować. Pierwszą z nich była Komisja Komunikacji, a drugą Komisja Architektury i Rozwoju Przestrzennego. Praca w aż pięciu komisjach była ponad siły i moje możliwości czasowe. Dlatego po zakończeniu kadencji radnego z premedytacją wyłączyłem się z pracy społecznej w samorządzie. Przede wszystkim rodzina bardzo cierpiała z powodu mojej nieobecności w domu. Żona i czworo dzieci wymagały, abym częściej był w domu.

Co Pan uważa za największy sukces swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że moja praca na rzecz kultury i nauki była wielkim sukcesem. Komisji Kultury i Nauki przewodniczył Ireneusz Guszpit. To on był reżyserem rozwoju kultury w mieście. Uratowano w owym czasie Teatr Muzyczny – Operetkę Dolnośląską. Uczestniczyłem w tych działaniach, aby obiekt po kinie „Śląsk" przeszedł w ręce Operetki Dolnośląskiej. W posiedzeniach Komisji Kultury i Nauki uczestniczył ówczesny dyrektor Teatru Muzycznego – Operetki Dolnośląskiej Marek Rostecki. W czasach jego dyrektorowania Operetka święciła wielkie triumfy. Warto było powalczyć o to, aby właścicielem obiektu było Miasto. Następnie, Teatr Lalek też nie był właścicielem obiektu przy pl. Teatralnym. Należało wspomóc działania w sprawie przejęcia przez Miasto i tego obiektu. Oczywiście działania te stanowiły długotrwały proces, niemniej jednak zawsze się opłacają, bo są dokonywane dla dobra Miasta i jego mieszkańców. Dzięki działaniom dokonywanym małymi kroczkami rozwija się Wrocław na polu kulturalnym, naukowym, sportowym i innym.

Komisja Kultury i Nauki pozytywnie zaopiniowała mój wniosek o przyznaniu w 1998 r. tytułu *Bene meritus* prof. dr. hab. inż. Zdzisławowi Bubnickiemu, wybitnemu uczonemu, członkowi rzeczywistemu PAN z Politechniki Wrocławskiej. To dzięki niemu zjeżdżali do Wrocławia wybitni uczeni z całego świata z zakresu informatyki, automatyki i robotyki. Profesor zmarł w 2006 r.

Moją siedzibą jako przewodniczącego rady osiedla był Dom Kultury Pilczyce przy ul. Rękodzielniczej 1. Uratowanie tego Domu Kultury było wielkim sukcesem. Został on zlikwidowany uchwałą Rady Miejskiej Wrocławia I kadencji. Mieszkańcy Pilczyc dowiedzieli się o tym i postanowili powalczyć, aby ten obiekt spełniał dalej swoje funkcje. Obiekt przejęła Rada Osiedla Pilczyce-Kozanów-Popowice Pn. – w dalszym ciągu ma ona tam swoją siedzibę. Funkcjonuje tam również Ośrodek Działań Społeczno-Kulturalnych „Piast" prowadzony znakomicie przez panią Jolantę Macała. Dziś obiekt ten kwitnie. A w latach 90. tak nie było. Obiekt był bardzo zrujnowany, gdy przejmowała go rada osiedla. Dzięki Komisji Ochrony Środowiska, która przyznała środki finansowe, zmieniliśmy ogrzewanie koksowe, które zanieczyszczało atmosferę, na ogrzewanie gazowe. Inicjatywę przywrócenia funkcji temu obiektowi poparła także Komisja Kultury i Nauki, która kilka razy odbyła posiedzenie w Domu Kultury Pilczyce. Rada osiedla bardzo pozytywnie oceniła moje działania na rzecz mieszkańców Pilczyc, Popowic i Kozanowa. Gdy w 2002 r. kończyłem kadencję, rada przyjęła uchwałę o mianowaniu mnie Honorowym Przewodniczącym Rady Osiedla Pilczyce-Kozanów-Popowice Pn. Było to bardzo piękne podsumowanie mojej pracy, bo wyprowadzając się z Kozanowa na Muchobór nie mogłem już być radnym tej rady osiedla. Chciałbym opowiedzieć o jeszcze jednej wspaniałej inicjatywie związanej z radą osiedla. Kilkanaście lat temu z inicjatywą tą do rady osiedla wystąpili państwo Jolanta i Henryk Macałowie, proponując współorganizację wieczerzy wigilijnej przed Bożym Narodzeniem dla osób starszych i samotnych. Był to „strzał w dziesiątkę". Firma ochroniarska IMPEL wspomaga od kilkunastu lat organizatorów fundując każdemu uczestnikowi paczki wigilijne. Od szeregu lat wieczerzy przewodniczy hierarcha Kościoła katolickiego. W grudniu 2009 r. był nim Jego Eminencja ks. bp Edward Janiak. Na wieczerzę przybyło także dwóch wiceprezydentów Adam Grehl i Jarosław Obremski.

Następnym moim „oczkiem w głowie" była praca w Komisji Oświaty i Młodzieży, której przewodniczył pan Zbigniew Magdziarz. Pracując w tej komisji wpływałem na tworzone prawo samorządowe w oświacie.

Myślę, że największym sukcesem kadencji 1994-1998 było przyjęcie w maju 1997 r. Ojca Świętego Jana Pawła II, który przybył do Wrocławia na Światowy Kongres Eucharystyczny. Papież przybył wówczas do ratusza i był przyjęty przez Radę Miejską Wrocławia, która nadała papieżowi tytuł *Civitate Wrateslaviensi Donatus*, co znaczy Wybitnie Zasłużony dla Wrocławia. Każdy radny miał możliwość przywitania się i rozmowy z Ojcem Świętym. Było to wielkie przeżycie. Z punktu widzenia organizacyjnego było to wielkie przedsięwzięcie. Byłem członkiem komitetu organizacyjnego przygotowującego przyjazd Ojca Świętego do Wrocławia. Wrocław zyskał bardzo dużo dzięki przyjazdowi Jana Pawła II i organizacji Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego.

Rok przed przyznaniem Janowi Pawłowi II tytułu *Civitate Wrateslaviensi Donatus* tytuł ten otrzymał Jego Eminencja ks. Henryk kardynał Gulbinowicz. To także było dla każdego z nas wielkie przeżycie, gdy gościliśmy Jego Eminencję w ratuszu, a potem byliśmy jego gośćmi na placu Katedralnym.

Kolejnym wielkim przedsięwzięciem Rady Miejskiej było ratowanie Wrocławia w czasie powodzi stulecia w lipcu 1997 r. Żonę z dziećmi wywiozłem do Drezdenka, a sam mogłem włączyć się w ratowanie Wrocławia przed wielką wodą. Pełniłem w Biurze Rady Miejskiej dyżury odbierając telefony od mieszkańców, udzielając porad i rozdzielając pomoc charytatywną.

Jestem przekonany, że żadna dotychczasowa kadencja Rady Miejskiej Wrocławia po 1989 r. nie przebiegała tak burzliwie, jak ta z lat 1994-1998.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Myślę, że niepowodzeniem w latach 90. XX w., czyli wtedy, gdy byłem radnym Rady Miejskiej Wrocławia, była likwidacja w niektórych osiedlach domów kultury. Jako członek Komisji Kultury i Nauki nad tym bardzo bolałem. Z drugiej strony, rozumiałem Miasto, że nie ma pieniędzy na utrzymanie tych małych domów kultury, jak np. Dom Kultury w Praczach Odrzańskich, Maślicach itd. Rady osiedla działające w tych osiedlach nie były w stanie sprostać wydatkom na te obiekty z racji znikomych środków finansowych przyznawanych przez Radę Miejską. Szkoda, że się tak stało, bo mieszkańcy zostali pozbawieni dostępu do obiektu kultury. Ludzie mieszkający w dzielnicach peryferyjnych Wrocławia nie mają czasu, a zwłaszcza boją się o swoje dzieci, które miałyby udać się w daleką podróż do najbliższego domu kultury, żeby uczestniczyć w jakiejś imprezie kulturalnej. Dobrze, że „Zamek" w Leśnicy i klub „Formaty" na Muchoborze Wielkim funkcjonują, ale ile polikwidowano! Oczywiście, rozumiem władze Miasta, budżet ma swoje prawa.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Bardzo wysoko oceniam współpracę Miasta z instytucjami pozasamorządowymi. Sam jestem prezesem dwóch stowarzyszeń, w tym jednego jako organizacji pożytku publicznego – Stowarzyszenia Oświaty i Wychowania. Wnioski są rozpatrywane bardzo merytorycznie. Szkoda tylko, że przyznawane środki finansowe nie wystarczą na pełne pokrycie wydatków. Trudno się wtedy rozwijać. Ale niestety, nie zawsze ma się to, co się chce. Niemniej jednak, współpraca układa się bardzo pozytywnie. Zawsze byłem i jestem zadowolony.

Mnie się dobrze pracowało i współpracowało z organizacjami pozasamorządowymi. Wtedy były inne wydatki niż te, które ma Miasto obecnie, organizując Euro 2012. Gdy byłem członkiem Komisji Kultury i Nauki w zasadzie na każdym posiedzeniu rozdzielaliśmy środki finansowe na imprezy kulturalne organizowane przez wiele

instytucji pozasamorządowych. Komisja żadnego wniosku nie pozostawiła bez wsparcia finansowego, bowiem dysponowała swoim budżetem na finansowanie przedsięwzięć pozasamorządowych, jak np. wsparcie finansowe amatorskiego teatru dziecięcego.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Miałem dyżury w Biurze Rady Miejskiej i w Domu Kultury w Pilczycach. Na dyżur przychodziło bardzo dużo ludzi. Mieszkańcy Pilczyc, Kozanowa i Popowic przychodzili z własnymi problemami. Szczególnie mieszkańcy Pilczyc mieli liczne kłopoty, bo domy, w których mieszkali były komunalne. Popowice i Kozanów są osiedlami spółdzielczymi, olbrzymimi blokowiskami. Większość mieszkańców Pilczyc mieszkała tam od czasów wojny w budynkach komunalnych. Ci ludzie przychodzili do rady osiedla poskarżyć się na urzędnika miejskiego, który utrudniał załatwienie sprawy. Wtedy przyjmowałem skargę i interweniowałem. Wiele spraw można było ludziom załatwić. Bardzo miło się współpracowało z ówczesnym Zarządem Gospodarki Komunalnej na ul. Grabiszyńskiej, którego dyrektorem był pan Mieczysław Mielniczyk, także radny Rady Miejskiej. Jakże często wysłuchiwałem narzekań na służbę zdrowia. To był i jest odwieczny problem. Ale uratowaliśmy dwie wielkie przychodnie przed likwidacją: Przychodnię na ul. Dokerskiej 9 i Przychodnię „Pulsantis" na ul. Ostrowskiego 3. Walnie przysłużyłem się do uratowania tych przychodni przed likwidacją. Nie wiedziałem wtedy, że kiedyś będę leczył się w Przychodni „Pulsantis". Utrzymanie Przychodni na Kozanowie przy ul. Dokerskiej 9 było możliwe dzięki znakomitej współpracy z panią dyrektor Stefanią Łętowską, która do dziś jest dyrektorem ZOZ-u Wrocław Fabryczna przy ul. Podróżniczej 26-28. Mieszkańcy także mieli wpływ na moje działania związane z przeniesieniem Przychodni Rehabilitacyjnej z ul. Budziszyńskiej na ul. Celtycką. Przekonaliśmy Spółdzielnię Mieszkaniową „Energetyk", której byłem członkiem, żeby wygospodarowała pomieszczenia na ul. Celtyckiej dla Przychodni. Powstała Przychodnia Rehabilitacyjna, która istnieje do dzisiaj. Były to działania na rzecz mieszkańców i dla ich dobra. Skoro Kozanów i Popowice były jednym z większych osiedli wrocławskich, to mieszkańcom tych osiedli należała się taka przychodnia. Funkcjonowała ona wcześniej w małym domeczku na Nowym Dworze i ludzie mieli kłopoty z wejściem po schodach, zwłaszcza na rehabilitację. Na ul. Celtyckiej wszystko jest na parterze. Choćby na tym przykładzie widać, jak bardzo potrzebne były oddolne działania rad osiedli. Wrocław był pierwszym miastem w Polsce, które powołało rady osiedla, ażeby mieszkańcy mieli wpływ na obraz swego osiedla.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej oraz Urzędem Miejskim?

Moim zdaniem było dobrze. Dyrektorzy wydziałów Urzędu Miejskiego uczestniczyli w posiedzeniach każdej komisji. Jeżeli było np. posiedzenie Komisji Kultury i Nauki, to dyrektor albo jego zastępca pani Barbara Haraszowa uczestniczyli w prawie każdym jej posiedzeniu. Podobnie było z posiedzeniami Komisji Oświaty i Młodzieży. Pamiętam, że zawsze uczestniczył w niej dyrektor Wydziału Edukacji W. Harężlak bądź jego zastępca. Na posiedzenia Komisji ds. Osiedli zapraszaliśmy niektórych przewodniczących rad osiedli. Jeżeli było omawiane jakieś osiedle, to przewodniczący danej rady osiedla był na posiedzeniu. Oczywiście, mogliśmy go zapytać, poprosić go o opinię. Zresztą zawsze to czyniliśmy, bo niektóre uchwały Rady Miejskiej czy decyzje Urzędu wymagały opinii rady osiedla. Radni lub urzędnicy mogli się z tą opinią nie zgodzić, ale ona musiała być. Współpraca radnych z poszczególnymi wydziałami była bardzo owocna. Bardzo owocne były dyżury radnego. Notatka sporządzona przez radnego była zawsze szczegółowo rozpatrywana, a mieszkaniec otrzymywał odpowiedź od członka Zarządu Miasta lub od dyrektora wydziału Urzędu Miejskiego. W czasie II kadencji Rady Miejskiej był problem z wysypiskiem śmieci Maślice-Pracze Odrzańskie. Odbyło się wiele spotkań z mieszkańcami Maślic i Pracz Odrzańskich. Mieszkańcy zgłaszali liczne zastrzeżenia do lokalizacji tego wysypiska. Ci ludzie chcieli spokojnie żyć i nie chcieli mieć kłopotów z pękającymi domami wskutek znacznego ruchu ciężarówek. Bo ten sprzęt był za ciężki, a ulice do tego transportu nie były przystosowane. Wszystkie takie i inne sprawy usiłowaliśmy załatwiać na bieżąco.

A współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z Biurem Rady Miejskiej była też bardzo merytoryczna. Pilnowała tego znakomicie pani Śledzińska, która do dzisiaj jest dyrektorem tego Biura. Dzięki uprzejmości pani dyrektor wiele spraw można było załatwić przez telefon. Idealnie układała się także współpraca z paniami, które obsługiwały poszczególne komisje.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Kluby radnych miały swoje pomieszczenia. Wtedy, gdy ja byłem radnym do siedzenia służyły zwykłe fotele. Stanowisko pracy musi być odpowiednio przystosowane. Dobrze, że ktoś wpadł na pomysł remontu sali sesyjnej Rady Miejskiej, aby poprawić radnym ergonomię pracy. Dzisiaj powinien być dostęp do komputera i to wszystko jest w tej chwili zapewnione. Obecnie jest dużo lepiej niż wtedy, gdy ja byłem radnym. Zupełnie inaczej się wtedy pracowało. Miejsca na stole było niewiele. Teraz ergonomia się zdecydowanie poprawiła. To jest bardzo istotna sprawa w pracy administracyjnej. A praca radnego jest pracą administracyjną.

Jak ocenia Pan pracę komisji, w których Pan pracował?

Wymieniając komisje, w których pracowałem jednocześnie dokonałem ich oceny. Tak, jak to powiedziałem przewodniczącymi byli ludzie bardzo profesjonalni i doskonale przygotowani do kierowania pracami komisji. Byli

oni świetnymi mówcami i znawcami problematyki rozpatrywanej na posiedzeniach komisji, umieli bezkonfliktowo kierować ludźmi. A to jest bardzo ważne na tych stanowiskach. Komisje były prowadzone merytorycznie. Dzięki temu udział w posiedzeniach komisji nie był męczący. Lubiłem uczestniczyć w posiedzeniach komisji.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Wydaje mi się, że powoływanie klubów radnych jest koniecznością. Jest to podstawowe forum, gdzie można omówić projekty uchwał Rady Miejskiej i ustosunkować się do nich. Drugim miejscem, gdzie można ustosunkować się do projektu uchwały jest merytoryczna komisja Rady Miejskiej. Ale omawianie projektu uchwały w komisji jest jednostronne. Uwzględniony jest jedynie aspekt tej komisji. Natomiast w klubie radnych są członkowie wielu innych komisji i rozpatrywanie projektu uchwały może być wielopłaszczyznowe. Kluby mogą zaproponować inny punkt widzenia projektu uchwały Rady Miejskiej. Dlatego kluby radnych powinny istnieć i mieć prawo do zgłaszania wniosków dotyczących zmiany uchwał Rady Miejskiej Wrocławia.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Myślę, że najważniejszym wydarzeniem mojej kadencji w Radzie Miejskiej było organizowanie Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu, z wizytą Ojca Świętego Jana Pawła II we Wrocławiu. Rada Miejska przyjmowała Ojca Świętego Jana Pawła II w ratuszu. Każdy z nas mógł podejść do Ojca Świętego, przywitać się, ucałować pierścień. Wszyscy radni mieli robione przez Arturo Mari zdjęcie z papieżem. To było bardzo wielkie wydarzenie, nie tylko dla radnych, ale dla całego miasta. Takiej promocji Wrocławia na pewno wcześniej nie było. W 1983 r. był także Ojciec Święty we Wrocławiu, ale nie był wtedy w ratuszu. A w 1997. był organizowany Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny i do Wrocławia zjechał „cały świat".

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta oraz pracą samorządu?

Myślę, że media bardzo się interesują sprawami Miasta i pracą samorządu. Wystarczy obejrzeć „Fakty" w TV oraz poczytać gazety.

W tamtych czasach media także bardzo interesowały się sprawami Miasta, było zatem podobnie. Prezydent Zdrojewski występował niemalże etatowo w mediach. Jedyna różnica polega na tym, że obecny prezydent jest przez media krytykowany. Jestem z tego powodu zdziwiony. Mieszkańcy Wrocławia wiedzą jednak swoje i na pewno w kolejnych wyborach pan Rafał Dutkiewicz zostanie ponownie wybrany na prezydenta w pierwszej turze. Bardzo mi się podoba działanie obecnego prezydenta Wrocławia i bardzo bym chciał, żeby jak najdłużej rządził Wrocławiem. Wszystkim podoba się to, że jest niezależny od partii politycznych. To jest bardzo cenne. Miastu jest potrzebny gospodarz niezależny od partii politycznej. Takiego prezydenta ma Wrocław. Źle jest, gdy interes partii jest ponad interesem miasta.



Andrzej KALISZ

Radny II i III kadencji.
Wicewojewoda wrocławski w latach 1995-1997.
Przewodniczący Związku Pracodawców Polskich Dolnego Śląska.
Absolwent Wydziału Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej, doktor nauk ekonomicznych.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W moim przekonaniu zarówno wykształcenie, doświadczenia zawodowe, wieloletnia aktywność społeczna, osobiste zainteresowania i predyspozycje dają podstawę, by sądzić, że byłem dobrze przygotowany, by ubiegać się o mandat radnego i skutecznie wypełniać tę funkcję.

Ukończyłem studia na Wydziale Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej. Zostałem na uczelni. Doktorat obroniłem z nauk ekonomicznych. Pracowałem jako nauczyciel akademicki zarówno na Politechnice Wrocławskiej, jak i na Akademii Ekonomicznej zajmując się problematyką nauk o zarządzaniu. Na początku lat 90. postanowiłem zweryfikować teorię w praktycznej działalności gospodarczej. Równolegle aktywnie zajmowałem się działalnością społeczną i polityczną. Samorząd we Wrocławiu, zresztą jak w całej Polsce, budował niemal od podstaw swoją nową tożsamość. Współtworzyliśmy jego zręby ucząc się niejako w „biegu", z pełnym przekona-

niem, słuszności obranego kierunku. Na szczęście mieliśmy doskonałych nauczycieli, takich jak prof. Leon Kieres, który o samorządzie wiedział wszystko.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Od chwili przyjazdu do Wrocławia na studia interesowałem się sprawami miasta. Była w tym pewnie swoista fascynacja młodego człowieka, który przyjechał do tej metropolii z małej miejscowości. Na szczęście zamiast kompleksów pojawiła się we mnie chęć jak najbardziej czynnego uczestnictwa w życiu Wrocławia. Wiele możliwości w tym zakresie stwarzała przynależność do Zrzeszenia Studentów Polskich, a potem „dorosła" działalność polityczna.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Z mojej obserwacji wynika, że ówcześni radni dzielili się na dwie grupy. Z jednej strony byli to radni „frontowi", operacyjni, mający dobry i częsty kontakt z wyborcami. Zajmowało ich w znacznym stopniu rozwiązywanie bieżących, ważnych problemów, często o charakterze interwencyjnym. Druga grupa, do której ja należałem, to tzw. radni „sztabowcy", skupiający swoją aktywność na tworzeniu prawa miejscowego regulującego funkcjonowanie Miasta w nowej politycznej, społecznej, prawnej i gospodarczej rzeczywistości.

W wielu dziedzinach trzeba było tworzyć prawo miejskie niemal od podstaw. Samorząd otrzymał nowe kompetencje, nowe obowiązki i uprawnienia.

Najbliższe moim zainteresowaniom było tworzenie sprzyjających warunków dla rozwoju wrocławskiej przedsiębiorczości. Służyło temu między innymi opracowywanie zasad gospodarowania nieruchomościami komunalnymi i racjonalna polityka ich sprzedaży, najmu i dzierżawy. Zajmowały mnie także problemy infrastrukturalne. By móc prawidłowo funkcjonować, miasto musi mieć dobre rozwiązania w zakresie dobrze utrzymanych dróg, komunikacji, oczyszczalni ścieków, gospodarki śmieciowej, dystrybucji ciepła i wody.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Chciałbym mówić bardziej o sukcesach Rady Miejskiej Wrocławia niż własnych. Pozytywne i trwałe rezultaty to efekt pracy wielu osób. Wspólnym wysiłkiem opracowaliśmy wiele dokumentów regulujących zasady funkcjonowania nowoczesnego miasta. Tworzyliśmy zrównoważone prorozwojowe budżety ucząc się, jak skutecznie zapewnić miastu przychody i racjonalnie nimi gospodarować. Te kadencje to restauracja pięknego wrocławskiego Rynku, rewitalizacja Starówki, budownictwo plombowe na wielką skalę, budowa nowoczesnej oczyszczalni ścieków, początek wielkiego programu przebudowy układu komunikacyjnego i rozbudowy lotniska. Także reforma miejskiej oświaty, opieki społecznej i rozkwit wrocławskiej kultury.

Ważne było także tworzenie dobrego klimatu dla rozwoju biznesu zarówno tego lokalnego, jak i dla znaczących inwestorów zagranicznych, którzy zaczęli odkrywać Wrocław jako dobre miejsce własnej ekspansji. Służyła temu także skuteczna polityka promocji miasta.

Niezwykle ważne było to, iż Rada poza rozwiązywaniem codziennych problemów i wypełnianiem bieżących zadań, intensywnie zajmowała się tworzeniem perspektyw rozwoju miasta opracowując niezwykle ważną „Strategię 2000 Plus".

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Łatwiej mówić o tym, co dawało satysfakcję, trudniej o tym, co nie dawało zadowolenia. Wszystko jest kwestią rozłożenia akcentów. Wydaje mi się, że w pewnym momencie potrzeba eksponowania miasta czy też osób identyfikujących się z tym miastem sprawiła, że priorytetem zaczynały być działania promocyjne. Ciesząc się z wyglądu Rynku należało pamiętać, że 100 metrów od niego były zakątki, których trzeba było się wręcz wstydzić, ponieważ wymagały natychmiastowego remontu. Miasto to nie tylko jego centrum, ale także peryferia, których mieszkańcy chcą uczestniczyć we wszystkich przejawach rozwoju. Zbyt często w pracach Rady odchodziło się od takich codziennych problemów w kierunku tych bardziej prestiżowych, budujących zewnętrzną pozycję miasta. Czasami zapominano, że podstawowym zadaniem Rady, Zarządu i prezydenta jest tworzenie „małej Ojczyzny" dla mieszkańców i dbałość o szeroko rozumiany komfort ich życia. Za ewidentną porażkę uważam stan dróg i komunikacji. „Zakorkowany" Wrocław to jedna z negatywnych wizytówek naszego miasta.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Wzajemne relacje Rady i organizacji pozarządowych były, moim zdaniem, niewystarczające w stosunku do rzeczywistych potrzeb. Były zbyt rzadkie i powierzchowne. Być może było to wynikiem słabej jeszcze pozycji tych organizacji i niedoceniania ich roli w życiu społecznym.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Przyznam, że należałem do tej grupy radnych, którzy zdecydowanie lepiej czuli się w działaniach sztabowych, a nie w bezpośrednich kontaktach. Mam jednak osobistą satysfakcję, że przy wyborach do Rady Miejskiej III kadencji, czyli mojej drugiej, otrzymałem trzeci wynik w mieście, jeśli chodzi o liczbę głosów wyborców. Więcej głosów otrzymali tylko prezydent Bogdan Zdrojewski i wiceprezydent Adam Grehl. Mam więc prawo

domniemywać (ponieważ było to już po mojej pierwszej kadencji), że moje działania, moja aktywność i sposób wypełniania mandatu radnego zostały przez wyborców ocenione pozytywnie. Myślę także, że potrafiłem prawidłowo odczytywać oczekiwania formułowane przez wyborców, choć samokrytycznie przyznaję, iż zbyt mało uwagi poświęcałem bezpośrednim spotkaniom z nimi.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Relacje Rady i radnych z prezydentem i członkami Zarządu oceniam jako dobre i partnerskie. Uważam, że duża w tym zasługa prezydenta Bogdana Zdrojewskiego. Będąc radnym klubu SLD, a więc pozostającym w formalnej opozycji, miałem poczucie, że w sprawach ważnych dla miasta stanowimy jedną drużynę. Z drugiej strony, nasza opozycyjność była przejawem różnic programowych, a nie doktryny politycznej. Generalnie, polityki w jej dzisiejszym rozumieniu było w pracach Rady bardzo mało i w tym postrzegam ważne źródło jej sukcesów.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Relacje radnych z Biurem Rady oceniam szczególnie dobrze. Dyrektor Biura pani Janina Śledzińska stworzyła świetny zespół. Wraz ze współpracownikami stworzyła bardzo dobrą, merytoryczną, ale i bardzo miłą atmosferę. Przede wszystkim traktowano wszystkich radnych jednakowo, bez względu na przynależność do klubu. Pracownicy Biura bardzo pomagali nam radnym w wypełnianiu obowiązków.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Oczywiście w pierwszych latach sala sesyjna i całe zaplecze nie wyglądały tak jak dzisiaj. Inny był sposób komunikowania się. Nie było laptopów, telefonów komórkowych i poczty elektronicznej. Wiemy jednak doskonale, że komfort stwarza lepsze warunki do pracy, ale nie gwarantuje jej wysokiego poziomu merytorycznego. Z rozrzewnieniem wspominam natomiast smak potraw, które za rozsądne pieniądze mogliśmy kupować w zaimprowizowanym barze w trakcie przerw w sesji Rady. Czasami nawet ta dobra kuchnia była przyczyną problemów prowadzących obrady z przywróceniem kworum na sali.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Była to Komisja Inicjatyw Gospodarczych, której przewodniczył Krzysztof Wojtyłło. W owym czasie była to bardzo ważna komisja. Jej zadaniem był m.in. nadzór nad racjonalnym gospodarowaniem mieniem komunalnym, przekształceniami własnościowymi i tworzeniem warunków dla rozwoju przedsiębiorczości wrocławian. Potrzebna była odwaga w tworzeniu procedur prawnych pozwalających przedsiębiorcom, ludziom aktywnym, na prowadzenie własnego biznesu, na inwestycje. Pracę tej komisji oceniam szczególnie wysoko.

Wiele pracy miała również Komisja Infrastruktury. Do jej zadań należał m.in. nadzór nad spółkami komunalnymi, których praca decydowała o sprawności funkcjonowania miasta i warunkach życia jego mieszkańców. Realizowane ważne inwestycje, takie jak oczyszczalnia ścieków, wysypisko śmieci, lotnisko czy przebudowa układu komunikacyjnego wymagały wielkiej aktywności radnych.

Trzecią komisją była Komisja Kultury, której przewodniczącym był Ireneusz Guszpit. Ta była dla mnie odskocznią od bardzo ważnych, ale nieco przyziemnych problemów opisanych wcześniej. Był to bardzo dobry okres dla wrocławskiej kultury. Komisja wspierała istniejące już projekty i inspirowała powstawanie nowych. Inicjowała współpracę Miasta ze środowiskiem akademickim. Praca w tej komisji sprawiała mi nie tylko merytoryczną satysfakcję, ale i dawała okazję do osobistych kontaktów z wieloma interesującymi osobami. Myślę, że każda z komisji, w których przyszło mi pracować, wnosiła znaczący wkład w rozwiązywanie problemów Wrocławia i rozwój idei samorządności.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak Pan ocenia ich pracę?

Kluby radnych jako szczególna płaszczyzna aktywności radnych miały wiele walorów. Klub, który nie był zbyt upolityczniony i nie ograniczał swobody myślenia i zachowania jego członków stawał się dobrą płaszczyzną dyskusji nad rzeczywistymi problemami i miejscem przygotowywania stanowisk grupy radnych, co w znacznym stopniu ułatwiało pracę w trakcie sesji. Niestety, w praktyce zdarzały się także zachowania skrajnie upolitycznione i przypadki nadużywania tzw. dyscypliny klubowej ze szkodą dla merytorycznej strony pracy Rady.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

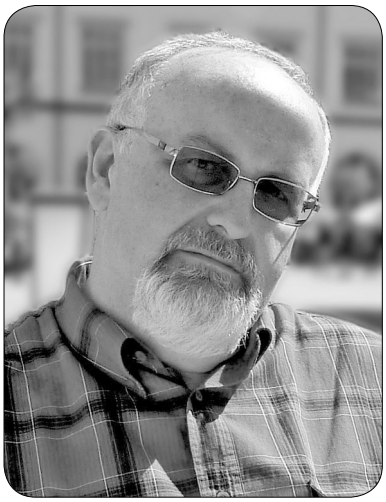
Bardzo pozytywnie wspominam obchody Millennium Wrocławia. Piękna sesja w Rynku, koncert Plácido Domingo, to wydarzenia budujące prestiż miasta i poczucie dumy jego mieszkańców.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych i jako radny nie miałem z nimi zbyt wiele kontaktów. Dziś mieszkając na Oporowie wiem więcej o aktywności tych rad. Myślę, że jest to bardzo ważne i potrzebne ogniwo w systemie ustroju samorządowego. Ludzie pracujący społecznie w tych radach, często niedoceniani, mają wielki wkład w poprawę warunków życia mieszkańców osiedli. Szkoda tylko, że tak mało mieszkańców chce angażować się do tej pracy. Świadczy o tym m.in. niska frekwencja w wyborach do rad osiedlowych. Myślę, że rady te winny uzyskać większe wsparcie ze strony Rady Miejskiej i władz miasta.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Wówczas tak jak i dzisiaj media żyją newsami. Jeżeli był konflikt, media tym żyły. Nikt nie chce, żeby koło jego domu było wysypisko śmieci, by zlikwidować jego ogródek działkowy uniemożliwiający budowę drogi. Rodzicom trudno zaakceptować fakt, że zamyka się szkołę, do której dziecko ma dwadzieścia metrów. Gdy na sesjach pojawiali się protestujący mieszkańcy, obecni byli także dziennikarze. Brak było natomiast pogłębionej dyskusji o sprawach systemowych, rozwiązaniach często trudnych, ale dających szansę na rozwój miasta. Mam jednak wrażenie, że w tym zakresie niewiele się zmieniło. Podziwiałem zawsze rządzących Wrocławiem za doskonałe opanowanie relacji z mediami, czego efektem był często nadmiernie pozytywny obraz władz miasta. Zdecydowanie brakowało mi ocen krytycznych, publicznej polemiki, dającej dowód, że media sprawują rzeczywistą funkcję kontrolną.



Marek KARPF

Radny IV kadencji.
Politolog. Dziennikarz.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Oczywiście nie miałem stosownej praktyki w tym zakresie. Jednak od strony teoretycznej – jak sądzę – byłem nieźle przygotowany do pełnienia funkcji radnego. Podstawy teoretyczne do tego, co możemy nazwać funkcjonowaniem samorządu terytorialnego wyniosłem przede wszystkim ze studiów z zakresu nauk politycznych, jakie ukończyłem na Uniwersytecie Wrocławskim. Dały mi one też niezłe rozeznanie w systemach samorządowych, jakie funkcjonują w Europie.

Również wiele lat pracy dziennikarskiej, w której miałem okazję stale stykać się z problemami działalności ogniw samorządu terytorialnego wszystkich szczebli, poszerzyło znacznie moje rozeznanie w tych sprawach. Zwłaszcza, że dziennikarstwo pozwalało spojrzeć na problemy i skuteczność działań samorządu z różnych, często odmiennych perspektyw – bądź to z punktu widzenia przeciętnego obywatela stykającego się z samorządem przy rozwiązywaniu swoich życiowych problemów, bądź to przez pryzmat organów samorządu terytorialnego zmuszonych do rozstrzygania dylematu ważności pomiędzy słusznym interesem jednostki i ważkimi interesami ogólnospołecznymi. Miałem też okazję wielokrotnie być obserwatorem sesji Rady Miejskiej Wrocławia, co wynikało z moich obowiązków dziennikarskich.

Nie bez znaczenia był również fakt, iż podczas pełnienia mandatu radnego sam byłem pracownikiem samorządowym szczebla wojewódzkiego będąc dyrektorem generalnym w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego. Z tego tytułu aktywnie uczestniczyłem we wszystkich aspektach działalności samorządu, tyle że wojewódzkiego.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Moja orientacja w problemach miasta – jak sądzę, nieco głębsza niż większości mieszkańców Wrocławia – wynikała przede wszystkim z pracy dziennikarskiej. Jej początek, to kilka lat pracy reporterskiej w Dziale Miejskim „Gazety Robotniczej", który zajmował się wyłącznie problemami Wrocławia i wrocławian. Pracujący w nim dziennikarze siłą rzeczy musieli interesować się zarówno szeroko rozumianymi sprawami komunalnymi, jak też problemami szkół i przedszkoli, funkcjonowaniem placówek kultury, działaniem komunikacji miejskiej itp. Często w imieniu wrocławskich czytelników gazety musieliśmy zadawać trudne i niewygodne pytania zarówno radnym miejskim, jak też urzędnikom prezydenta miasta. Wymagało to od nas nie tylko posługiwania się wiedzą przekazywaną nam przez czytelników, wymagało solidnego rozeznania w poruszanej tematyce, aby nie dać się zbyć ogólnikami i frazesami.

Mogę również odwołać się do epizodu z początku lat siedemdziesiątych, gdy przez jedną kadencję byłem radnym Dzielnicowej Rady Narodowej Wrocław Śródmieście. Oczywiście nie ta epoka, nie ten samorząd, inna rzeczywistość polityczna i nie taka suwerenność radnych i Rady, ale problemy dzielnicy na tle problemów miejskich równie złożone, a może nawet trudniejsze do rozwiązania w tamtych niezbyt demokratycznych czasach.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W Radzie Miejskiej pracowałem przez całą kadencję w Komisji Kultury oraz w Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa, więc moje bezpośrednie związki z problematyką komunalną były dość ograniczone. Chociaż przy zagadnieniach kultury czy problemach związanych z bezpieczeństwem miasta nie sposób było uniknąć problemów o charakterze komunalnym. Tak było m.in., gdy podnosiliśmy na komisji kwestie monitoringu wrocławskich ulic czy też zagospodarowania wnętrz blokowych w obszarach starej, secesyjnej zabudowy Wrocławia.

Problematyka infrastruktury komunalnej i gospodarowania zasobami mieszkaniowymi bardzo wyraźnie wybijała się na czołowe pozycje przy corocznych dyskusjach budżetowych budząc żywe emocje radnych – niezależne od podziałów politycznych czy przynależności do komisji. W tym okresie, jak wszyscy radni, starałem się wgłębiać w problemy komunalne, by móc na forum Rady lub komisji zabierać głos i prezentować swoje stanowisko w sposób kompetentny i rzetelny.

Najbardziej bezpośrednie, a jednocześnie bardzo przykre zetknięcie się z problematyką komunalną, w tym głównie problemami związanymi z gospodarowaniem przez Miasto zasobami mieszkaniowymi, wynikało z dyżurów, jakie, podobnie jak pozostałym radnym, przychodziło mi pełnić w Biurze Rady. Przyjmując mieszkańców Wrocławia ze skargami i żalami mogłem przekonać się osobiście, jak trudne i bolesne problemy spotykają sporą rzeszę mieszkańców miasta. Dominowały problemy mieszkaniowe, a konkretnie potrzeby mieszkaniowe. Okazywało się, że tak oczywista potrzeba własnej, choćby minimalnej powierzchni do egzystencji dla wielu rodzin jest w tak bogatym mieście niemal bądź wręcz nieosiągalna. W wielu sprawach nie dało się pomóc – ze względu na bezduszność przepisów lub ubóstwo miejskich zasobów mieszkaniowych. Czasami trzeba było przekonywać urzędników miejskich, że paragrafy i przepisy to jedno, a prawo do życia nie mieszczące się w suchych literach i cyferkach, to drugie. Czasami udawało się to – częściej nie.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV kadencji Rady?

Trudno jest mówić o jakimś jednym spektakularnym sukcesie. Praca radnego, to nie tylko oracje wygłaszane na sesjach czy ostentacyjne głosowanie „za" lub „przeciw". To przede wszystkim stała praca w komisjach problemowych. Osobiście za sukces „mojej" – nie znaczy, że tylko osobisty – kadencji uważam to, że w komisjach, w których przyszło mi pracować udało stworzyć się atmosferę wspólnego działania, bez oglądania się na podziały polityczne, dla rozwiązywania stojących przed samorządem miejskim problemów. To przecież cała Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa pracowała nad rozwiązaniami problemów poprawy bezpieczeństwa mieszkańców (program taki uchwaliła Rada). Wspólnie walczyliśmy o zwiększenie środków na monitoring najbardziej zagrożonych rejonów miasta. Razem zabiegaliśmy o poszerzanie frontu wychowawczego w środowiskach szkolnych. To cała komisja zdecydowanie walczyła o nową, gwarantującą lepsze warunki pracy, siedzibę komisariatu Policji w Leśnicy. Takich spraw było wiele i trudno wyłonić z nich jeden sukces. Wskazanie jednego odbyłoby się ze szkodą dla innych.

Podobnie było w Komisji Kultury, chociaż tu częściej objawiały się podziały – może nie tyle polityczne, co ideologiczne. Nietrudno o nie, gdy przychodzi poruszać się w sferze nadbudowy. Jednak w miarę upływu kadencji, wraz z większym poznaniem problematyki, dyskusje na komisji stawały się głównie merytoryczne, a podziały ideowe schodziły na dalszy plan. Coraz częściej komisja prezentowała jednolite stanowisko w istotnych dla miasta sprawach.

Te małe sukcesy, jakie były naszym udziałem w pracach komisji, udawało się w wielu bardzo ważnych dla Wrocławia i jego mieszkańców sprawach przenosić na forum sesji. Stąd wiele głosowań odbywało bez kłótni i swarów. Często zażarte dyskusje kończyły się spokojnym głosowaniem. Wielokroć podejmowanie ostatecznych decyzji udawało się przeprowadzić poza podziałami politycznymi i partyjnymi. Linia podziałów w trakcie sesji była częściej merytoryczna niż polityczna. Stąd niejednokrotne zdziwienie przypadkowych obserwatorów, gdy klub np. SLD głosował razem z klubem LPR.

Tę atmosferę dążenia do osiągnięcia konsensusu – poza nielicznymi przypadkami – uważam za ewidentny sukces całej kadencji.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcje pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Trudno określić obszar, który można byłoby uznać za największe niepowodzenie Rady na przestrzeni całej kadencji. Zwłaszcza będąc radnym ugrupowania opozycyjnego. To, że nie zgadzam się z takim czy innym pociągnięciem koalicji rządzącej miastem nie oznacza, że można zaliczyć je do grupy niepowodzeń czy wręcz klęsk. Poprzednio starałem się wykazać, że można było pogodzić rozsądną opozycyjność z rozsądnym sprawowaniem władzy przez rządzących. Tym bardziej nie chcę subiektywnymi ocenami zamazywać pozytywnych odczuć. Stąd nie potrafię jednoznacznie wskazać na największe niepowodzenie Rady.

Nie oznacza to, że wszystko było takie wspaniałe i ugłaskane. Były sprawy, które powodowały moją osobistą frustrację. Przy podkreślanym przeze mnie wcześniej merytorycznym charakterze sporów, jakie miały miejsce na forum Rady, zdarzały się „awantury" o wyraźnie politycznym charakterze. Tak było przy głosowaniu wniosków – zgłoszonych przez ówczesnego wojewodę wrocławskiego – o nadanie nowych nazw ulic. W tym konkretnym przypadku chodziło o rondo Reagana oraz o ulicę płka Kuklińskiego. Pierwsza nazwa – nie tylko moim zdaniem

– pasuje, jak przysłowiowa pięść do nosa do dotychczasowych nazw placu Grunwaldzkiego oraz mostu Grunwaldzkiego. Druga postać do dziś dzieli nasze społeczeństwo oraz budzi żywe emocje i kontrowersje. Czy trzeba było przenosić je na forum Rady? Osobiście myślę, że nie. Sam wnioskodawca mógł z większym pożytkiem dla Wrocławia i jego mieszkańców zająć się bardziej istotnymi sprawami.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W obu obszarach – w kulturze i bezpieczeństwie, jakie dominowały w mojej pracy radnego, natrafiłem na przedstawicieli instytucji, którzy byli żywo zainteresowani rozwiązywaniem problemów związanych z funkcjonowaniem miasta. Bardzo wysoko oceniam współpracę z Policją czy też z przedstawicielami instytucji szeroko rozumianej kultury. Potrafili oni z dużym zaangażowaniem podejmować tematy i zagadnienia sugerowane przez komisje czy też konkretnych radnych. Stanowili grono życzliwych doradców w naszej działalności i solidnych sojuszników w podejmowanych inicjatywach i programach.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Utrzymywanie kontaktów z wyborcami, jeden z ważniejszych obowiązków radnego, nie jest proste do spełnienia. Brakuje mechanizmów pozwalających systematycznie realizować to zadanie. Kontakty z radami osiedli sprowadzają się głównie do wysłuchiwania skarg i zażaleń na instytucje miejskie, a tym samym do podejmowania interwencji, których skuteczność jest dosyć ograniczona. Radni umocowani mocno w swoich partiach przytłaczani są często przez argumenty polityczne, wcale nieułatwiające funkcjonowania w roli radnego.

Osobiście w trakcie całej kadencji odczuwałem spory dyskomfort z racji zbyt rzadkich kontaktów z moimi wyborcami, w tym również z mojej winy. Utrudnieniem był też fakt, iż moje miejsce zamieszkania nie było zgodne z moim okręgiem wyborczym.

Aby więź z wyborcami przestała być czymś fasadowym, aby nie „ożywała" tylko w przeddzień wyborów, potrzebne są zmiany systemowe. Mam tu na myśli wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Tylko wówczas będzie można mówić o rzeczywistej więzi z wyborcami.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Jest to temat bardzo złożony. Generalnie można mówić o bardzo poprawnych stosunkach Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim. Prezydent, jego zastępcy i dyrektorzy odpowiednich komórek Urzędu Miejskiego zawsze chętnie spotykali się tak z komisjami, jak też z klubami partyjnymi radnych. Również poszczególni radni nie mieli większych problemów z osobistymi kontaktami z przedstawicielami władz wykonawczych. Jednak rola Rady i radnych w stosunku do wybieranego w powszechnych wyborach prezydenta, a tym samym w stosunku do podległego mu aparatu urzędniczego jest mocno ograniczona i sprowadza się przede wszystkim do wpływu na budżet. W innych kwestiach wpływ Rady na władzę wykonawczą jest mocno ograniczony. Ale to są kwestie systemowe, zadecydowane legislacyjnie na szczeblu krajowym.

Jak układała się Pana współpraca Biurem Rady Miejskiej?

Będąc nowym, młodym radnym byłbym bez opieki Biura Rady Miejskiej jak przysłowiowe dziecko we mgle. Pani dyrektor oraz wszystkie sympatyczne panie z Biura otoczyły nas prawdziwie matczyną życzliwością od pierwszego dnia funkcjonowania w roli radnego. Cierpliwie, ciepło i serdecznie instruowały nas o wszystkich ścieżkach, jakimi musi poruszać się radny. Z ogromną cierpliwością i wyrozumiałością objaśniały zawiłości samorządowych procedur oraz pośredniczyły w kontaktach z aparatem urzędniczym prezydenta. Zawsze uśmiechnięte, gotowe do wspierania i pomocy w wypełnianiu obowiązków radnego – w trakcie posiedzeń komisji, sesji Rady Miejskiej, każdego dnia, bez względu na jego porę. Biuro Rady było tym miejscem, w którym nigdy nie odczułem, że nie jestem radnym z koalicji rządzącej. Wyrazy najwyższego uznania i podziękowania.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Warunki pracy radnego nie stwarzały nam żadnych problemów, były dobre i odpowiadały aktualnym potrzebom. Do pełni szczęścia brakowało mi jedynie przydziału laptopa oraz „maszynek" do głosowania. Dzięki uprzejmości Biura Rady od połowy kadencji mogłem w trakcie sesji podłączyć się z własnym laptopem.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W Radzie Miejskiej pracowałem przez całą kadencję w Komisji Kultury (pełniąc funkcję wiceprzewodniczącego) oraz w Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa. Komisje są tą płaszczyzną, na której rozgrywa się podstawowa część pracy radnego. Jest to praca często żmudna, bez fajerwerków i oklasków, wymagająca systematyczności i dużego zaangażowania. To na komisjach podejmowane są podstawowe, codzienne problemy i zagadnienia istotne dla warunków życia mieszkańców naszego miasta. Tam wypracowuje się stanowiska merytoryczne przenoszone następnie do klubów radnych oraz na sesje.

Pracowałem jeszcze w jednej komisji – Komisji Nominacyjnej. Złożona z przedstawicieli wszystkich klubów partyjnych miała za zadanie dokonywać selekcji kandydatur zgłoszonych do przyznawanego każdego roku tytułu *Civitate Wratislaviensi Donatus* oraz dorocznych nagród Miasta i Prezydenta. Z natury różniący się politycznie jej skład, a także – jak okazało się w trakcie pracy – różny charakterologicznie, został skazany na zadanie z pozoru

niewykonalne. Komisja miała na sesji przedstawić jednolite, wspólne stanowisko. Na pierwsze posiedzenie komisji każdy jej członek przychodził z pakietem własnych, jedynie słusznych kandydatur. Z ostatniego posiedzenia wychodziliśmy – mniej czy bardziej przekonani – z jednolitym stanowiskiem. Myślę, że działalność tej komisji można uznać za charakterystyczną dla atmosfery tej kadencji.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Dopóki nie zostaną wprowadzone jednomandatowe okręgi wyborcze, dopóty partyjność będzie dominującym nurtem działań samorządu lokalnego. Stąd konieczność działania klubów partyjnych, stąd spora ich rola w działalności Rady. Czy jest to rola pozytywna? A to już zależy od ludzi, którzy je tworzą.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Szczególne miejsce we wspomnieniach z kadencji radnego zajmują wszystkie uroczyste, czerwcowe sesje Rady organizowane w dniu Święta Wrocławia, w dniu patrona miasta – św. Jana Chrzciciela. Podniosła atmosfera, dostojni goście, nastrój Sali Rycerskiej Ratusza zostawiają niepowtarzalne wrażenie.

Jednak inne wydarzenie, może nie aż tak bezpośrednio związane z działalnością Rady, utkwiło mi najmocniej w pamięci z tamtych lat. Dzięki funkcji radnego mogłem w maju 2005 r. uczestniczyć w Europejskim Szczycie Regionów i Miast, jaki Komitet Regionów Unii Europejskiej zorganizował w Hali Ludowej. Rok po rozszerzeniu Unii Europejskiej o dziesięć nowych państw Szczyt zgromadził w naszym mieście ok. 400 prezydentów regionów, prezydentów głównych miast Unii, przewodniczących regionalnych parlamentów oraz liderów europejskich i krajowych stowarzyszeń samorządowych. Piękna uroczystość rozpoczęcia obrad i powitalne przemówienia prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza oraz przewodniczącego Komitetu Regionów Petera Strauba pozwoliły mi poczuć się dumnym, że mogę reprezentować wraz z innymi radnymi Wrocław, który potwierdza swój europejski charakter.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Po 1990 r. nie działałem bezpośrednio w radach osiedlowych, stąd trudno mi wypowiadać się na temat ich działalności. Jednak mam pełną świadomość, że ich dzisiejsza rola jest fasadowa i nie daje możliwości konkretnego udziału, pełnienia roli rzeczywistego gospodarza osiedli. Aby to zmienić, rady osiedlowe muszą otrzymać konkretne kompetencje, a wraz z nimi niezbędne środki do ich realizacji.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Lokalne media wykazują spore zainteresowanie sprawami Miasta i pracą samorządu. Jest w tym jednak zbyt wiele pogoni za sensacją i poszukiwaniem afer, a za mało zainteresowania rzeczywistymi problemami miasta i jego mieszkańców. Rada i radni najczęściej prezentowani są przez pryzmat ewentualnych kłótni i rozrób. Zbyt mało mówi się o pracy radnych w komisjach.

◇◇◇

Miejskiej I kadencji. Zaproponowałem kogoś na swoje miejsce i ten ktoś został radnym. Czuję, że byłem przygotowany, ale bez praktyki.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie. Byłem nauczycielem licealnym, więc wykonywałem to, co było w zakresie moich obowiązków, bo istniałem i funkcjonowałem w strukturze bardzo wyspecjalizowanej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zawsze miałem zamiłowanie do spraw finansowych, więc tym się zajmowałem w Komisji Budżetu i Finansów. Byłem także w Komisji Kultury i Nauki. Pielęgnowałem swoje zamiłowania związane z historią. Byłem też na drugim kierunku studiów w Instytucie Historii Sztuki, którego nie skończyłem, zrezygnowałem w pewnym momencie, ale mam zamiłowania tego typu, więc sprawy kultury w szerszym rozumieniu zawsze mnie interesowały. Oczywiście także sprawy oświaty, byłem przecież nauczycielem. I sprawy pewnej tkanki społecznej, co wynikało z moich doświadczeń w różnych typach działalności, organizacjach, stowarzyszeniach, podziemiu. Widziałem potrzebę współpracy z ludźmi, którym na czymś zależało. Był taki moment, kiedy nadzorowałem z ramienia Komisji Budżetu i Finansów wszystkie rady i zarządy osiedli, jest ich czterdzieści parę. Opiniowałem wtedy ich wszystkie pisma, które warunkowały wykorzystywanie środków, stąd nadzór. To była jednoosobowa delegacja do tego nadzoru. Dziękuję, i myślę, że nie zawiodłem zaufania. Zajmowałem się i trochę rozruszałem sprawę nadzoru nad ławnikami i wyboru ławników. Samorządy mają pomóc w wyborze ławników i to jest odpowiednio określone. Rozruszałem to na poziomie Wrocławia. Ławnikami byli zwykle ludzie starsi, na emeryturze, wolnego zawodu albo pasjonaci. W tej chwili ta struktura się trochę zmieniła. Istotą rzeczy było, aby uczynić ławnikami ludzi nieco młodszych.

Wiele było tematów związanych z funkcjonowaniem Komisji Budżetowej. Pomogłem doprowadzić do tego, żeby konserwator zabytków miał własny budżet, do tego czasu nie miał środków wydzielonych w budżecie. Jego oczekiwania związane z remontami zabytków czy to architektury, czy ruchomych, zawsze były realizowane przez inne struktury, na przykład te, które zajmowały się remontami. Te instytucje miały przede wszystkim remontować budynki, więc cele związane z ratowaniem zabytków schodziły na plan dalszy.

Jak by Pan ocenił pracę komisji, w których Pan pracował?

Każda komisja ma swojego ducha, w zależności od kadencji. W Komisji Budżetu i Finansów oraz w Komisji Kultury i Nauki byłem w obu moich kadencjach w Radzie. Komisja Regulaminowa, to inaczej sąd koleżeński, tak naprawdę, taki wewnętrzny. Jej natura była zupełnie inna, więc pomińmy ją. W rzeczywistości zawsze jest duża rola przewodniczącego, on narzuca pewien styl. Komisja Kultury i Nauki miała dużą autonomię, ponieważ prezydentowi też zależało na wielu elementach kultury. Z dużym pietyzmem podchodził wtedy Zdrojewski do tych spraw, interesował się tym, ale przewodniczący i członkowie komisji mieli dość dużo do powiedzenia.

Podczas I kadencji Rady przewodniczącym Komisji Budżetu i Finansów był mój kolega Lech Adamczyk, którego bardzo cenię, adwokat i sędzia jednego z trybunałów. Prowadził komisję w swoim stylu. Ja prowadziłem ją w trochę innym stylu i uważam, że nieco rozruszałem komisję, że ją przypilnowałem. Wprowadziłem jakiś taki rytm sprawności, który wydawał mi się potrzebny, i jak sądzę, z pewnym sukcesem. Na początku kadencji zaproponowałem szkolenie dla wszystkich członków komisji, wszystkich przewodniczących pozostałych komisji, ważniejszych dyrektorów wydziałów i Zarządu Miasta, bo wtedy jeszcze był Zarząd Miasta. Zrobiliśmy szkolenie, zakończone dyplomem, dla przybliżenia, pokazania, jak funkcjonuje budżet w odniesieniu nie tylko do tworzenia budżetu, ale prawa i pewnych zmian, instytucji, organów nadrzędnych. Sporo chyba takie szkolenie pomogło. Relacje z administracją Rady też troszeczkę zmieniłem, bo wtedy chciałem to usprawnić. Materiały, na przykład, dostawaliśmy często w ostatnim momencie. Ponieważ radni są ludźmi uzawodowionymi, więc muszą mieć trochę czasu, żeby się zapoznać z nimi, bo to nie jest ich praca zawodowa. To jest praca społeczna. Więc potrzebne są te dwa tygodnie, to jest takie minimum czy optimum, żeby można było się zapoznać z materiałami. Wcześniej czasami tylko przewodniczący dostawał materiały. Życie pokazywało, że dobrze by było, gdyby każdy je dostał, więc to trzeba było też ustalić.

W związku z pracami nad przygotowaniem budżetu dążyłem do tego, żeby w każdym roku przeprowadzić dyskusję wszystkich zainteresowanych komisji dla przedstawienia swoich racji przez te komisje naszej komisji. Bo w końcu mieliśmy to opiniować. Zostało to wykonane przy pomocy członków Zarządu.

Ogólnie uważam, że Komisja Budżetu miała autorytet i była bardzo mało upolityczniona, czego pilnowałem. Polityka wszędzie się wdziera i tutaj też, ale miała uwidocznienie nie w bieżącej pracy, a raczej przy konstruowaniu budżetu, przy tych strategicznych, ostatnich decyzjach. Poglądy się ścierały, czasami były uzewnętrzniane w dyskusji budżetowej. Starałem się tonować wszystkie sprawy pozamerytoryczne.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Zarząd, który podejmuje decyzje, bo taka jest natura Zarządu, sukcesów ma mnóstwo, od przysłowiowego Rynku, poprzez lotnisko, są to drobne rzeczy, ale wtedy wielkie, poprzez zmianę w przebudowaniu struktury myślenia o mieście w ogóle.

Dla mnie sam fakt, że się miało wpływ na kształtowanie wszystkich zmian był sukcesem. Kolega, który był konserwatorem zabytków w strukturze miejskiej, mówił mi o problemie kościoła św. Michała. Tralki, sterczyny, to wszystko, co jest neogotyckie i w gotyku widoczne się sypało, groziło to katastrofą budowlaną, szyby były powybijane, ptaki latały po kościele. Więźba była po wojnie zrobiona tymczasowo. Kościół nie był zniszczony, ale dach na pewno był zniszczony w czasie wojny. To były ogromne pieniądze. Proboszcz kościoła pytał, czy można by pomyśleć o jakiejś formule wsparcia finansowego. Pomyślałem, że warto doprowadzić do stworzenia odrębnego budżetu w ramach struktury budżetu, zapisu budżetowego dla konserwatora zabytków, stworzyć stałe finansowanie remontów i w ogóle zabytków. Wystąpiłem o taki budżet na ratowanie najcenniejszych zabytków, bez względu na własność i formę zarządu. Poprosiłem o podpisy wszystkich kolegów, którzy byli na sesji, bez względu na kluby, więc to poszło apolitycznie. Tylko jedna osoba się wstrzymała, dlatego, że nie uczestniczyła w trakcie głosowania nad tym wszystkim. Wszyscy byli za i to trafiło na dobry moment, bo Zarząd to przyjął. To był mój osobisty pomysł, który przedstawiłem i przeforsowałem i to funkcjonuje do tej pory. W większości dotyczy to zabytków sakralnych, ale nie tylko. Z reguły są to kościoły katolickie, ale i prawosławne, i ewangelicko-augsburski, i jakieś zabytki ruchome się pojawiły. W zależności od potrzeb. Często to było ratowanie dachów, bo jakby od dachów się zaczyna niszczenie wszystkiego, dach to są setki tysięcy złotych.

Natomiast generalnie uważam, że największym sukcesem było to, że miałem wpływ, że doceniono mnie i zaproponowano, żebym wszedł do Komisji Budżetu i Finansów, że byłem w Unii Metropolii Polskich. To jest właściwie bardzo ulotne, co jest sukcesem. Dla mnie sukcesem było usprawnienie funkcjonowania zadań osiedli i zarządów osiedli. My nie decydowaliśmy, bo nie taka jest natura komisji, ale bez mojego podpisu nie można było uruchomić pieniędzy. Na bieżąco, systematycznie dwa, trzy razy w tygodniu opiniowałem pisma. Ludzie nie czekali tygodniami. Jeżeli coś mi się nie podobało, prosiłem o wyjaśnienia. Wydaje mi się, że nie miałem ani jednej skargi, więc jestem przekonany, że byłem za to szanowany.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie umiem powiedzieć. Niepowodzeniem Rady była chyba nieumiejętność wyjścia z takiego klinczu w relacjach wewnętrznych, który powodował rozpolitykowanie i walkę. Walka powinna być w każdej Radzie, właśnie brakuje jej teraz. Ona jest, ale na innym poziomie i jest nawet ostrzejsza, ale w takim rozumieniu, jak przedtem, ona nie istnieje. Chodzi o taki klincz, gdzie było obecne myślenie takimi kategoriami, że coś tam w opozycji zrobiliśmy, chcemy dobrze dla tego miasta, przecież tak chcemy wszyscy, tylko się nie rozumiemy. To się nie przekładało na taką dyskusję, która by spowodowała, że bez względu na to, kto skąd jest, jeżeli ma dobry pomysł, to w pewnym momencie ten pomysł przechodzi. Równocześnie oczekiwania, to po budżecie pięknie widać, były tak ogromne, że budżet musiałby być wielokrotnie większy i żadne największe miasto, w żadnym największym kraju nie poradziłoby sobie. Dyskusja nad budżetem była często bardzo emocjonalna, nie zawsze padały argumenty racjonalne, które można byłoby odrzucić, ale można byłoby się spierać.

Do tej pory nie wiadomo, co zrobić z radami osiedla. One są tworami, które mają pomóc Radzie Miejskiej, mają swój budżet, ale tak naprawdę nie mają wyrazistego celu. One powstały właśnie z pewnego przymusu. Prezydent Zdrojewski uznał, że powinien przyjąć tę propozycję. Była koncepcja, żeby zrobić makro-rady, co groziło stworzeniem urzędów. Urzędy takie były w czasach komunistycznych, w tych szerszych, dzielnicowych przestrzeniach, i one się nie zawsze sprawdzały. Prezydent bał się utraty kontroli nad nimi. Tak myślę, to jest moja interpretacja.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy przychodzili do mnie bardzo często. Przez to, że prowadziłem biuro senatorskie miałem z nimi dobry kontakt i starałem się go utrzymywać. W pewnym momencie, trzeba sobie uczciwie powiedzieć, pewna profesjonalizacja, tam, gdzie oddziaływały struktury Urzędu powodowała, że radny znajdował się w coraz trudniejszej sytuacji, coraz częściej był traktowany jak intruz. Radny, który częściej przychodził z problemami przekazywanymi mu przez wyborców traktowany był albo jako upierdliwiec, albo ignorant, albo osoba, która po prostu zachowuje się przynajmniej dziwnie.

W rezultacie, często się podchodziło do prezydenta, mówiło o problemach wyborców. Prezydent miał mnóstwo spraw, czasami chciał pomóc, ale nie zawsze mógł, nie zawsze pamiętał. Z czasem okazywało się, że takie interwencje ku niczemu nie prowadzą i to też budziło niezrozumienie i niezadowolenie. Równocześnie, prezydent też miał metodę na kontakty ze społeczeństwem, to były te słynne spotkania w telewizji Echo czy później w innej telewizji. Radni też się zaczęli specjalizować w ten sposób, że pewne środowiska zaczęły być im bliższe, Komisja Kultury jest tu takim prostym przykładem, z tym, że to już było lepiej przygotowane, profesjonalnie, poprzez pisma, poprzez zapraszanie tych ludzi, poprzez opiniowanie, dyskusje, ścieranie się poglądów.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To jest ciekawe. W pierwszej kadencji, w której nie uczestniczyłem, tworzyła się pewna struktura opozycyjności wzajemnej. Na te siedemdziesiąt osób, które tam były, tylko trzy osoby były spoza wyboru zewnętrznego, a pozostali z jednego bloku. Ale ten blok pękł i on musiał pęknąć, jak życie pokazało. Tylko, że pękał tak bardzo dziwnie. To w II kadencji było już widoczne, tworzyły się kluby, klubiki, struktury. Z reguły wiadomo, że jak jest klub

kogoś, kto rządzi, to jest jemu łatwiej, jest wysłuchany w pierwszej kolejności. Pewna przyzwoitość nakazuje pytać też druga stronę, i trzeba powiedzieć, że Zarząd starał się być tutaj uczciwy. Ale też były charaktery i charakterki wśród radnych i te osoby, narzucając swoją wolę, nie zawsze zgodną z oczekiwaniami Zarządu, irytowały Zarząd i odwrotnie, Zarząd irytował te osoby. One często były wpływowe w Radzie. Na poziomie formalnym stosunki były dobre. Z komisjami były też dobre, nawet bardzo dobre, przynajmniej w tych komisjach, w których ja byłem.

Wydaje mi się, że prezydent Zdrojewski robił to, co zamierzał i osiągał te cele, które zamierzał. Musiał jednak liczyć się z radnymi. Trzy pierwsze kadencje Rady, przy tamtej strukturze wyborów, dawały duże możliwości radnym, dużą osobista autonomię, poczucie, że to oni są odpowiedzialni i zostali wybrani, dostali mandat, a nie grupa polityczna. To rzutowało na metody pracy i to było w całości widać.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Różnie. To z różnych powodów wynika. Byliśmy jedną z najważniejszych komisji. Każda komisja ma takie poczucie, ale Komisja Budżetowa trzymała jednak całą strukturę. Dla Biura natomiast nie byliśmy wyjątkiem, byliśmy jedną z wielu komisji. Nie tylko komisje zaprzątają uwagę i obowiązki urzędników Rady. Również cała struktura Rady, przygotowanie sesji, przygotowanie dokumentów, opracowywanie, praca organizacyjna z opiniowaniem itd. To naprawdę wielka masa pracy, z wielkim szacunkiem. Czasami my czegoś nie zauważaliśmy, czasami i oni. Nie bałem się stawiać problemów, jeśli one były, czasem wbrew poglądom pracowników, ale też na co dzień starałem się nie odnosić źle się do tych ludzi, którzy tam byli, raczej z szacunkiem. Pilnowałem tylko spraw, które mi się należały. Wydaje mi się, że w sumie spotkało się to ze zrozumieniem i docieraliśmy się.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

I kadencja, to kadencja, w której nie uczestniczyłem, jak wspomniałem czynnie ją obserwowałem, jeszcze na Nowym Targu, w takiej dużej sali, która spełniała rolę sali sesyjnej. W mojej pierwszej kadencji przygotowano nową salę. Oczywiście to pomaga, ale to nie miało znaczenia, bo inne relacje były potrzebne. Dzisiaj taka spartańskość bardzo by przeszkadzała, wtedy to w ogóle nie miało znaczenia. Cieszyliśmy się z sukcesu, że się coś zmieniło, ale na to się aż takiej uwagi nie zwracało. Oczywiście, winda, nowe salki, kluby dostały swoje pokoje, gabinety klubowe. Takie ułatwienia po prostu pomagały. Dla mnie to była rzecz, z której się cieszyłem i uważam, że dobrze zrobiono, ale gdyby się pojawiło jedną kadencję później, bo pewno i tak by się musiało pojawić, to w ogóle by mi nie przeszkadzało.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Nie da się tego uniknąć. Początkowo były to grupy za prezydentem czy za burmistrzem, za wójtem lub przeciw. W tych ramach jeszcze się dzieliły, w zależności od poglądów, i były potrzebne, bo organizowały ludzi i pracę.

Kluby tak naprawdę mają wymiar dyskusyjno-administracyjny. Dyskusyjny dla własnego środowiska, administracyjny dla wyrażania poglądu i dla działania poprzez zarządzanie dyskusją.

Ci, którzy rządzą muszą mieć zaplecze polityczne dla przegłosowania swoich poglądów. To utrudnia dyskusję. Często radni z grupy rządzącej, nie mówię tu w odniesieniu do Wrocławia, tylko generalnie, mają własny pogląd, ale jeśli się jest w drużynie, musi się przyjąć pogląd drużyny. Pytanie: gdzie jest granica, przy której się mówi „dziękuję, do widzenia". Czyli ktoś idzie na emigrację wewnętrzną lub całkowicie odchodzi. To jest dyskusja bardzo otwarta, ale nie do uniknięcia.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Mnóstwo było takich ulotnych chwil. Pamiętam dyskusję nad budżetem, nad paroma rzeczami, nad mostem Milenijnym. Ostatecznie powstał, ale były duże napięcia, prawie rozdzieranie szat w dyskusjach zakulisowych. Wymieniłbym spotkania z ludźmi, których nominowaliśmy do naszych nagród, ich było przecież parę. Może były i pomyłki w niektórych przypadkach, jak życie pokazało. Wzruszające były wizyty czy kontakty, które nawiązywaliśmy w samorządach. Dla mnie wzruszające były takie codzienne, ważne sprawy, które się co jakiś czas pojawiały. Codzienne w takim sensie, że ważne dla miasta, ale niekoniecznie największe, niekoniecznie spektakularne.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Właściwie Echo powstało jako pierwsza telewizja, jakiej do tej pory nie było jeszcze w Polsce. Do Radia „Maryja" można to przyrównać, telewizja, do której każdy mógł zadzwonić, każdy mógł porozmawiać, przyjść, powiedzieć, dziennikarze też o wszystkim mówili. Paru z tych dziennikarzy przetrwało do tej pory, są w różnych publicznych telewizjach, okazali się świetnymi dziennikarzami. Tam była taka naturalna żywiołowość, naturalne zajęcie się wszystkim, co jest ważne. To się skończyło, Echo ostatecznie upadło. Telewizja, jej struktury gospodarcze też musiały się profesjonalizować, inaczej odpowiedzieć na swoje potrzeby. Zmniejszył się bezpośredni kontakt z radnymi, ale pozostał z administracją i prezydentem. Jacek Ściobłowski, który te wywiady prowadził, czuł i znał to środowisko, więc jego pytania były zupełnie inne, niż zadawane przez osobę, która by takiej dojrzałości nie miała. Prezydent odpowiadał na pytania, znał każdą dziurę w ulicy, takie było odczucie społeczne. Tak żartobliwie mówię, że znał każdą dziurę w ulicy i wiedział, kiedy będzie wyremontowana.

Szczepan KAWSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Tak, wiedzę ogólną uzyskałem z mediów i w ramach praktycznej aktywności społecznej w Komitecie Obywatelskim, wiedzę szczegółową natomiast na temat nowego samorządu terytorialnego uzyskałem podczas szkoleń dla kandydatów na radnych, jeszcze przed wyborami. Szkolenia były organizowane, jak mi się teraz wydaje, przez Komitet Obywatelski. Jeden z wykładów prowadził pan prof. Leon Kieres. Do Rady trafiłem poprzez Osiedlowy Komitet Obywatelski „Solidarność" z dzielnicy Fabryczna (osiedle Popowice).

Zaangażowałem się w działalność samorządową, bo chciałem zrobić coś dla społeczeństwa i zmienić nasz kraj, przynajmniej na szczeblu samorządowym.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, włączałem się jedynie w bieżącą działalność obywatelską, czyli wspierałem działania opozycyjne. Należałem do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, a po wprowadzeniu stanu wojennego brałem udział w manifestacjach, malowałem napisy na murach, kupowałem wydawnictwa podziemne. Po wyborach w 1989 r. włączyłem się w działalność Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się ochroną środowiska i gospodarką odpadami oraz edukacją ekologiczną.

Bardzo ważne dla mnie były też sprawy zwierząt. Wszystkie te dziedziny należało uporządkować w ówczesnym porządku prawnym.

Miasto odzyskiwało w tym czasie wiele budynków, które znajdowały się na jego terenie i miały strategiczne znaczenie dla funkcjonowania miejskich instytucji. W samej Radzie było dość mocne lobby architektów, dzięki którym dużo dowiedzieliśmy się o architekturze i planowaniu przestrzennym. Było dużo sesji poświęconych różnym koncepcjom rozwoju miasta.

Znaczące było też lobby kultury, które między innymi wniosło duży wkład w rozwój kulturalny miasta. Prezydent Zdrojewski bardzo dbał o te sprawy i zabiegał o to, by we Wrocławiu nie zanikły znaczące przedsięwzięcia kulturalne, np. *Wratislavia Cantans*.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Myślę, że nasza Rada zrobiła bardzo dużo, najwięcej ze wszystkich dotychczasowych rad, gdyż jako pierwsza, w nowym ustroju społecznym, musiała przede wszystkim stworzyć od podstaw fundamenty działalności samorządowej we Wrocławiu.

Sukcesem jest stworzenie prawa miejscowego w miejsce nieaktualnych uregulowań prawnych, wygasłych – działania te wymagały szybkiej legislacji samorządowej na szczeblu lokalnym. Na drugim miejscu postawiłbym zwrócenie uwagi na znaczenie realnej ochrony środowiska i ochronę warunków ekologicznych w mieście, tzn. ochronę i rozwój zieleni, odnowienie istniejących parków i rozszerzenie ich funkcji rekreacyjnych, a także utworzenie ciągów zieleni chronionej (użytków ekologicznych) wzdłuż cieków wodnych – przede wszystkim wzdłuż dopływów Odry i wzdłuż samej Odry. Uporządkowaliśmy gospodarkę lokalami użytkowymi i działalność handlowo-usługową w mieście, w tym na targowiskach, gospodarkę przestrzenną i gospodarkę nieruchomościami.

Uregulowaliśmy sprawy dotyczące obecności zwierząt w mieście i opieki nad nimi. Opracowania została Mapa Glebowo-Siedliskowa Wrocławia dla potrzeb planowania nasadzeń roślinności w mieście, odpornej na warunki wodno-glebowe i środowiskowe związane z lokalnymi zanieczyszczeniami.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Za niepowodzenie uważam to, że nie został uchwalony ogólny planu zagospodarowania Wrocławia. Ponadto Radzie nie udało się stworzyć takiego modelu funkcjonowania samorządu i Urzędu Miejskiego, żeby był on bardziej przyjazny dla obywatela. Trudno było zmienić mentalność urzędników w sytuacji, gdy na planie pierwszym znajdowały się zmiany organizacyjne i prawne Urzędu, a jednocześnie większość urzędników myślała „po staremu" i „broniła się" przed komputeryzacją Urzędu. Nie rozumiała istoty komputeryzacji, bo nie potrafiła obsługiwać tych urządzeń, a tym samym bała się zwolnienia z tego powodu.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W I kadencji dopiero rodził się powszechny ruch tworzenia organizacji społecznych, pozarządowych dla realizacji różnych celów społecznych. Owszem, istniały już organizacje tego typu, ale nie było ich wiele i w znacznej części wywodziły się z okresu minionego, sprzed reformy samorządowej. W tym czasie tworzyło się państwo

obywatelskie, a zatem i zasady życia obywatelskiego, i współpracy samorządu z organizacjami pozarządowymi. Stosunek do organizacji społecznych był wtedy, podobnie jak dzisiaj, różny, przy czym wówczas te różnice były bardziej znaczące. Organizacje społeczne zajmujące się pomocą społeczną bez wątpienia miały zielone światło wśród samorządowców i urzędników, ale już organizacje ekologiczne nie, bo były postrzegane jako oszołomskie, blokujące „słuszne" działania i inicjatywy. Tymczasem, zazwyczaj ekolodzy mieli rację, a konflikt wynikał z tego, że urzędnicy lekceważyli sobie opinię publiczną i nie poddawali swoich planów pełnym konsultacjom społecznym albo ignorowali wnoszone uwagi i protesty.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy mieli wpływ na radnych w sposób bezpośredni wówczas, gdy zgłaszali się do nich z różnymi sprawami: osobistymi i publicznymi. To inicjowało różne działania radnych, którzy starali się pomóc rozwiązać owe problemy. Czasami interweniowali w odpowiednich wydziałach Urzędu Miejskiego albo składali interpelacje i zapytania podczas sesji Rady Miejskiej. Niekiedy byli zmuszeni korzystać z pomocy mediów. Najczęściej sprawy trafiały najpierw pod obrady komisji tematycznych Rady.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Rada *in gremio* cały czas zachowywała autonomię, mimo że większość wywodziła się z korzeni solidarnościowych i komitetów obywatelskich. Zazwyczaj nie było większych kontrowersji, ale bywało, że Rada przegłosowywała sprzeciw wobec propozycji Zarządu Miasta i uchwalała inaczej, niż życzyłyby sobie tego władze wykonawcze.

Myślę, że można też mówić o pewnej alienacji Zarządu od Rady. Wizje rozwoju miasta tak jednych, jak i drugich czasami bardzo się od siebie różniły. Wśród radnych istniała grupa osób, które stale popierała Zarząd. Wiele z nich pracowało w Urzędzie Miejskim lub było związanych ze spółkami miejskimi. Reszta radnych, a była to większość, kierowała się własnym zdaniem, a zatem raz popierała propozycje Zarządu, a innym razem głosowała przeciw, zgodnie ze swoim sumieniem.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej, moim zdaniem, funkcjonowało bez zarzutu. Zatem współpraca radnych z Biurem przebiegała bardzo dobrze, w miłej atmosferze i efektywnie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Sądzę, że jak na ówczesne czasy – stan technologiczny kraju i istniejącą infrastrukturę oraz wyposażenie Biura, a także całego Urzędu Miejskiego – radni mieli dużą wygodę i ergonomię pracy i tylko od nich samych zależało jak dalece, na ile efektywnie to wykorzystają.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Sportu – bardzo dobra, Komisji Rolnictwa – średnia, bo też i tematyka była nieadekwatna do realiów i wymogów życia w cywilizowanym mieście. Komisje: Zdrowia i Pomocy Społecznej, Inicjatyw Gospodarczych, Ochrony Środowiska – bardzo dobre. Komisja Rewizyjna – słaba, z uwagi na jej upolitycznienie i często brak obiektywizmu oraz nieporadność w działaniach wynikających z uzasadnionych zastrzeżeń.

W Komisji Ochrony Środowiska byłem przez pewien czas wiceprzewodniczącym. Dużo działo się w tej komisji. Walczyliśmy z panującą wówczas we Wrocławiu tendencją zabudowywania każdego terenu, bez względu na to, czy jest na nim zieleń, czy też nie. Brakowało przepisów, które regulowałyby te kwestie. Architekci traktowali środowisko jako coś, co tylko przeszkadza. Dotyczyło to między innym tzw. „klina wentylacyjnego" miasta. Jest to pas ziemi, który ciągnie się od Wzgórza Andersa na południe Wrocławia. Udało się go ochronić i jeśli teraz coś się w nim buduje – np. budynki Akademii Medycznej przy ul. Borowskiej – to nie mogą to być obiekty zbyt wysokie. Nie mogą hamować przepływu powietrza do centrum miasta. Zajmowaliśmy się też ochroną tzw. użytków zielonych, do których należą ciągi zieleni wzdłuż dorzeczy Odry (wały, międzywala i ich otoczenie). Wiele wysiłku – zwłaszcza Ryszard Majewicz – włożyliśmy w to, by zaczęto remontować murowane nabrzeża Odry. Uratowało to część centrum miasta podczas powodzi w 1997 r. Udało nam się też wprowadzić w życie zakaz organizowania corridy we Wrocławiu. Projekt ten próbował wprowadzić jakiś związek wojskowy. Zajmowaliśmy się też zakazem wpuszczania do miasta cyrków ze zwierzętami. Znaczną część pracy komisji stanowiło opiniowanie projektów proekologicznych, dotacji i planów pracy na obszarach zieleni miejskiej.

Komisja Ochrony Środowiska na mój wniosek doprowadziła do tego, że wszystkie sprawy dotyczące zwierząt we Wrocławiu zostały scalone i przekazane do Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego. Wcześniej podlegały one różnym jednostkom organizacyjnym, np. Ogród Zoologiczny i Schronisko podlegały Wydziałowi Gospodarki Komunalnej.

Również z mojej inicjatywy powstał program reorganizacji schroniska dla zwierząt przy ul. Skarbowców. Powstał projekt zatrudnienia tam czterech lekarzy oraz 4 techników weterynarii, co bardzo poprawiłoby sytuację w tym schronisku i pozwoliło na jego całodobową pracę, w tym na dyżury interwencyjne. Zamierzenia tego nie zrealizowano, ponieważ skończyła się kadencja i środki na ten cel, które były już zarezerwowane w budżecie

wydano na co innego. Nie miał kto tego dopilnować, gdy mnie zabrakło w nowej Radzie. Opracowałem też w tym czasie program rozwiązywania problemów związanych z obecnością zwierząt na terenie miasta. Komisji nie udało się też uporządkować spraw związanych z ZOO. Jako student weterynarii pracowałem tam i widziałem, co się działo, ile zwierząt umierało, bo przebywały w bardzo złych warunkach. Zaproponowałem komisji, by zażądała od państwa Gucwińskich, którzy kierowali tym ogrodem, raportu na temat jego stanu. Gucwińscy potraktowali to jako atak na nich i zrobili wszystko, żeby taki raport nie powstał.

Z inicjatywy Komisji Ochrony Środowiska powstała też mapa siedliskowo-środowiskowa, wskazująca, gdzie i jakie rośliny należy sadzić w mieście, ze względu na jakość gleb, stosunki wodno-glebowe i mikroklimat oraz zanieczyszczenia. W aglomeracji miejskiej rośliny mają „ciężkie życie" i dlatego opracowano tę mapę, by zapobiec umieraniu nowo posadzonych drzew i krzewów. Gatunki odporne na różne niekorzystne czynniki można było świadomie sadzić tam, gdzie miały szansę przetrwać tylko te rośliny.

W pracach Komisji Ochrony Środowiska przewijał się też temat cmentarzy. Chciano np. rozszerzyć Cmentarz Grabiszyński na przeciwległą do tego cmentarza stronę ulicy Grabiszyńskiej. Udało się nam ten zamiar zablokować.

W Komisji Zdrowia zaangażowałem się w działalność Stowarzyszenia Zdrowych Miast Polskich. W tej komisji najwięcej uwagi poświęcano sprawom socjalnym mieszkańców, pomocy społecznej i zrównoważonemu rozwojowi aglomeracji miejskich, by żyło się w nich jak najlepiej pod każdym względem: środowiska, mikroklimatu, infrastruktury, komunikacji, opieki zdrowotnej i socjalnej oraz szkolnictwa. Poza tym, przewijały się też sprawy likwidacji żłobków. Miasto chciało się pozbyć wielu placówek, a Rada walczyła o to, by ich jak najmniej likwidować. Na tym polu Rada współpracowała z „Solidarnością".

Komisja Rolnictwa zajmowała się przede wszystkim zanikającym już na terenie miasta rolnictwem. Przez krótki czas wchodziłem w skład Komisji Sportu. Komisja Inicjatyw Gospodarczych zajmowała się gospodarką lokalami usługowymi, zasłużył się w tym – co by o nim nie mówić – wiceprezydent Krzysztof Turkowski. Komisja ta miała również duży wpływ ukształtowanie struktury branż usługowych, które powstawały w centrum miasta i rozwoju rzemiosła oraz handlu i innych rodzajów działalności gospodarczej na terenie miasta.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Dopóki kluby nie mają charakteru politycznego, to owszem, ma to sens. Kluby powinny sprzyjać jednoczeniu się ludzi, konsolidacji społecznej radnych i swobodnej wymianie poglądów, szukaniu porozumienia i optymalnych rozwiązań, a zatem zapobiegać eskalacji napięć podczas sesji, skracaniu czasu trwania sesji, dzięki wcześniejszemu uzgodnieniu stanowisk. Zamiast się jałowo spierać godzinami na sali sesyjnej, lepiej rozstrzygać spory na poziomie komisji i klubów i spotkań międzyklubowych. Radni powinni mniej czasu tracić na kłótnie, koncentrować się na inicjatywach i działaniach nadzorczych wobec władzy wykonawczej (powinni władzy „patrzeć na ręce"), a także przeznaczać czas na spotkania z władzami w celu wspólnego uzgadniania planów i sposobu realizacji działań bieżących.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pan pamięci?

Wszystkie sprawy i działania Rady Miejskiej Wrocławia I kadencji były na tyle ważne i doniosłe, że trudno coś spośród nich wyróżnić.

Dla mnie ciekawe i ważne były odwiedziny specjalistów z Charlotte, którzy pokazywali nam, jak to się robi w USA w ich mieście. Na mnie zrobiły te wykłady duże wrażenie, bo pokazywały jak powinno funkcjonować dobrze zorganizowane społeczeństwo na szczeblu lokalnym i jak powinny wyglądać relacje urząd – obywatel. Także obieg i wymiana informacji między urzędem i obywatelem były dla nas wzorcowe jak na owe czasy. Niestety, nie skorzystano z tego, a szkoda. Zapewne społeczeństwo jako całość nie było gotowe na taką rewolucję, bo zbyt głęboko tkwiło „w starym" systemie i mentalności socjalistycznej.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Rada, w której się znalazłem zaczęła swą działalność w trakcie zmian ustrojowych i powstawania autentycznego samorządu. Wiązało się to z koniecznością tworzenia od podstaw nowego prawa miejscowego oraz lokalnych struktur samorządowych. Toczyły się nieustające dyskusje wśród radnych. Bardzo często rozmawiano o radach osiedli, zakresie ich kompetencji, temat ten podnoszono w związku z tym, że wówczas przygotowywano statut miasta. Część radnych uważała, że osiedla powinny być duże, a poprzez to silne. Zdaniem innych, osiedla powinny być małe, dzięki temu byłyby one bliżej mieszkańców, dzięki czemu do Rady Miejskiej trafiałyby informacje z pierwszej ręki. Spierano się też na temat tego, czym te rady miałyby się zajmować. Wyszło na to, że mają być źródłem informacji dla Rady i jej łącznikiem ze społeczeństwem. Obawiano się wtedy przekazania większej władzy społeczeństwu, bo uważano, że jest ono do tego nieprzygotowane.

Uważam, że rady osiedlowe były, są i będą bardzo ważnym elementem demokracji lokalnej i aktywności obywatelskiej. Z roku na rok jednostki te coraz lepiej działają i w ślad za tym powinno iść stopniowe zwiększanie ich kompetencji i odpowiedzialności za losy i samorządność poszczególnych osiedli.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Tu, jak w każdym innym przypadku media oceniam na „3=". Gonią głównie za sensacją, a przygotowanie merytoryczne i profesjonalizm dziennikarzy najczęściej jest równy zeru. Bardzo często piszą bzdury, bo nie wiedzą, o czym piszą, nie znając tematu albo jego niuansów. Niestety, najczęściej żurnaliści zajmują się wszystkim i w związku z tym nie znają się na niczym, ale piszą i piszą, wprowadzając w błąd opinię publiczną i często szkodząc sprawom. Często też dziennikarze piszą o sprawach, kierując się własnymi uprzedzeniami lub przeświadczeniem, a tym samym nie zachowują obiektywizmu.

Naprawdę, media są najsłabszym, obok polityków, ogniwem naszego społeczeństwa. Mimo to, wszystko jakoś się toczy wbrew dziennikarzom i politykom.

◇◇◇

się wykazać wiedzą na dany temat, niekoniecznie tę wiedzę wykazują na sesjach. Praca w Komisji Rozwoju Przestrzennego i Architektury jest mi naprawdę bardzo bliska. Tam pochylamy się nad wszystkimi uchwałami, które przychodzą i są związane z zakresem działalności komisji. Czasami w komisji pracujemy dłużej niż czas trwania sesji. W tej chwili pracujemy nad zmianami w „Studium zagospodarowania przestrzennego". Chcieliśmy uchwalić ten dokument w lipcu albo w sierpniu [2010]. Pierwsze czytanie dokumentu ma się odbyć na sesji kwietniowej. To dawałoby nadzieję na zmiany, chociaż jest to bardzo trudne, gdyż czasami jest to łączenie wody z ogniem, np. jedni chcą budować, inni chcą terenów zielonych. My musimy swoje uchwały dostosować do obowiązującego prawa, które ustanawia Sejm Rzeczypospolitej. Każda nasza uchwała trafia do wojewody. Może on oczywiście ją zawetować, niejednokrotnie zdarza się tak, że nasze uchwały są kwestionowane przez wojewodę. Bywa, że niektóre uchwały trafiają do sądu i to sąd decyduje, kto miał rację, czy mieszkańcy, którzy wnieśli swoje uwagi, czy też Rada Miejska. Takie mamy prawo urbanistyczne i musimy się do tego prawa stosować.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

W tej chwili ten sukces się pojawia, gdyż prace z nim związane są bardzo zaawansowane. Reprezentuję północno-wschodnią część Wrocławia, niestety, jeszcze nieskanalizowaną. Chcę doprowadzić do tego, by kanalizacja tam była. Robię wszystko, żeby ta sprawa do 2015 r. została sfinalizowana. Na dzień dzisiejszy, dzięki moim skromnym działaniom udało się doprowadzić do tego, że MPWiK przygotowało projekty kanalizacji. Mam nadzieję, że po okresie projektowania MPWiK przystąpi do ich realizacji. Jeżeli to by się udało, to kanalizacja trafi do ludzi, którzy na nią czekają. Gdyby udało się te projekty przeprowadzić, to mógłbym powiedzieć, że jest to mój mały sukces w mojej działalności w Radzie Miejskiej Wrocławia. Bardzo mocno pilnuję tej sprawy i na dzień dzisiejszy jest nadzieja, że projekty dotyczące dziewięciu osiedli w październiku 2010 r. będą miały szansę realizacji. To będzie się wiązało z następnym krokiem, czyli kwestią pozyskania środków finansowych. Mam nadzieję, że budowa kanalizacji będzie rozpoczęta. Następna sprawa, to odtworzenie nawierzchni ulic na tych kanalizowanych osiedlach. Wtedy będzie można już te ulice zrobić docelowo i na kilkanaście lat problem zostanie rozwiązany.

W tej chwili najważniejszą sprawą dla miasta i mieszkańców jest Euro 2012, ponieważ wydarzenie to będzie miało wpływ na rozwój Wrocławia i jego funkcjonowanie. To są przecież obwodnice, szybki tramwaj, transport z lotniska na Dworzec Świebodzki. Może to rozwiązać wiele problemów komunikacyjnych, i to wszystko pozostanie. Ze stadionu będziemy korzystać, ale pozostaną także rzeczy, które usprawnią funkcjonowanie Wrocławia.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Staram się patrzeć na wszystko raczej optymistycznie, chociaż pewnie jakieś drobne niepowodzenia się zdarzały. Czasami koledzy czy koleżanki z mojego klubu tłumaczyli mi, że niektóre moje propozycje w tej chwili są niepotrzebne, ale jakichś wielkich niepowodzeń nie dostrzegam.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Te instytucje na pewno są potrzebne, ale obserwuję pewną zależność, np. jest samorząd i w samorządzie są konkretni ludzie. Za fundacją czy stowarzyszeniem też są konkretni ludzie, ale niektórzy wykorzystują te instytucje do takiego ciepłego, spokojnego życia nie za swoje pieniądze, coraz częściej to obserwuję. Uważam, że nad takimi instytucjami potrzebna jest kontrola, dlatego, że organizacje te otrzymują dotacje od Miasta, a to są pieniądze wszystkich wrocławian. Mamy często takie sytuacje, że pieniądze trafiają do osób, do których nie powinny trafić, czyli do prywatnych kieszeni. To może nie jest zbyt nagminne, ale się zdarza i wiadomo, że część ludzi, którzy mieli jakieś idee, w tej chwili traktuje te organizacje jako możliwość spokojnego i zasobnego życia.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Każdy radny jest zobowiązany raz na kwartał uczestniczyć w dyżurze. Dyżur trwa dwie godziny i wówczas radni przyjmują petentów ze wszystkich rejonów miasta z ważnymi sprawami. Z mojego doświadczenia wiem, że głównym problemem mieszkańców są zazwyczaj sprawy mieszkaniowe. Niestety, jest to problem, który bardzo trudno rozwiązać.

Jak układała się Pana współpraca Biurem Rady Miejskiej?

O współpracy z Biurem Rady Miejskiej mogę się wypowiadać tylko w samych superlatywach. Z całym personelem, na czele z panią dyrektor Śledzińską, współpracuje mi się bardzo dobrze. Dla mnie są to ludzie, którzy pracują z wielkim oddaniem i poświęceniem. Jeśli miałbym ocenić w skali szkolnej tę współpracę to byłaby to szóstka.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wygoda pracy radnego bardzo się poprawia. W tej kadencji m.in. mój klub i ja sam w tym mocno uczestniczyłem. Przeforsowaliśmy decyzję o tym, żeby każdy radny otrzymał laptopa – wszystkie informacje związane z uchwałami czy z posiedzeń trafiają do nas w formie elektronicznej. Jest to naprawdę wielkie udogodnienie, gdyż nie musimy już czytać setek stron papieru. Możemy teraz kontaktować się ze wszystkimi urzędnikami w Mieście, łącznie z Biurem Rady. Drugim udogodnieniem jest elektroniczny system liczenia głosów. Jest to oczywiście system pomocniczy, ponieważ w dalszym ciągu obowiązuje podniesienie ręki, gdyż tak zapisane zostało w Statucie.

Jest też system elektronicznego ewidencjonowania radnych na sesji, poprzez kartę elektroniczną. Takie udogodnienia usprawniły pracę, poprawiły jej jakość.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych są konieczne, ponieważ, niestety, nie uciekniemy od polityki. Jest to problem, ponieważ to powoduje, że trzeba się umieć swoimi poglądami podzielić, ale tak, by wypracować jakiś konsensus. To za sobą niosą kluby. W klubach uczymy się wspólnej pracy. Klub narzuca nam pewne normy współpracy. Mój klub, można powiedzieć, że jest liberalny i każdy może wypowiedzieć swój pogląd. Tam dyskutujemy, ścierają się różne poglądy, pojawiają się różne rozwiązania dotyczące konkretnych uchwał. Uważam, że jest to jak najbardziej potrzebne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Zawsze takim wydarzeniem dla mnie jest Święto Wrocławia, przyznawanie tytułu Honorowego Obywatela Wrocławia. Myślę, że te osoby, na które miałem przyjemność oddać swój głos i były uhonorowane, jak Dalajlama czy reżyser Sylwester Chęciński, dyrygent Kurt Mazur, to postacie godne takiego uznania. Przebywanie z nimi, zobaczenie ich z bliska daje ogromną satysfakcję.

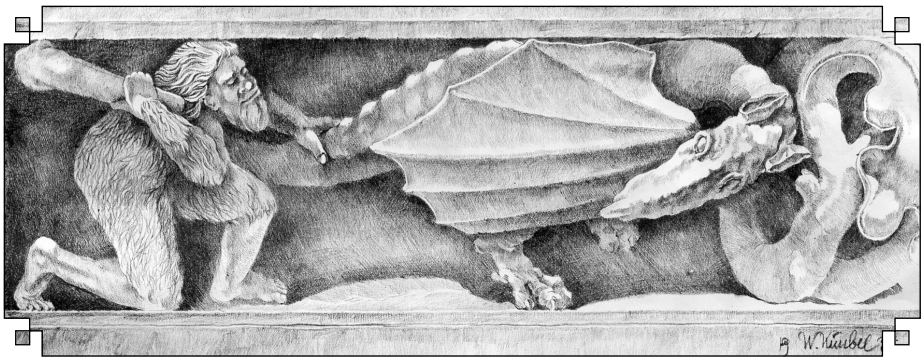
Takim też fantastycznym dla mnie wydarzeniem było otwarcie fontanny we Wrocławiu. Powiem szczerze, że takiego obiektu dawno nie widziałem, nie słyszałem też negatywnej opinii na ten temat, a wręcz przeciwnie mieszkańcy Wrocławia, turyści są tym obiektem zachwyceni. Czasami jest mi przykro, kiedy słyszę opinię od mieszkańców, że to nie było we Wrocławiu potrzebne, ponieważ zbyt wiele kosztowało pieniędzy. Jest to na pewno taki obiekt, który powinien przyciągać turystów, nie tylko polskich, ale również zagranicznych i ta fontanna za dwa, trzy lata będzie przynosić dochody i wpisze się w obraz naszego miasta.

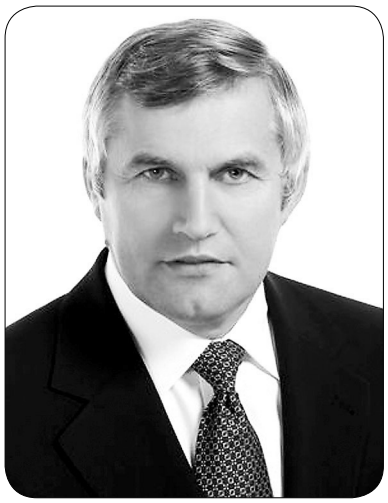
Co sądzi Pan o działalności rad osiedlowych?

W radach osiedlowych działałem przez cztery kadencje. Rady osiedla w pewnym sensie spełniały swoją rolę. W tej chwili wymagają trochę zmian, jeżeli chodzi o ich kompetencje. Należałoby dać więcej swobody radom osiedlowym. Za większą swobodą działania powinny pójść też większe środki finansowe, ponieważ bez tych środków niczego się nie dokona. Obecnie ludzie nie chcą się angażować w różnego typu czyny społeczne. Jeśli rady osiedla mają mieć jakąś przyszłość, to należy zmienić ich charakter prawny. Zaproponowaliśmy, aby radom osiedli zmienić kompetencje i zwiększyć środki pieniężne. Trafiliśmy jednak na mało podatny grunt, jeśli chodzi o PO i PiS. Te prace zostały wstrzymane, ale mam nadzieję, że to się zmieni. Należy się też zastanowić, czy nie nastąpił regres w radach osiedlowych, ponieważ po ubiegłorocznych wyborach do 24 rad trzeba było prowadzić dodatkowy nabór. Tylko w 23 osiedlach liczba chętnych była większa niż miejsc. To był pierwszy przypadek, kiedy zaistniała taka sytuacja. Po marcowych wyborach zastanawialiśmy się, co w takiej sytuacji zrobić, gdyż daje to sygnał, że świadomość pracy na rzecz osiedla jest coraz mniejsza. Miałem przyjemność zaprzysięgania trzech nowych rad, Patrząc na ludzi, którzy są zaangażowani w działalność rad widziałem osoby z pewnym doświadczeniem, ludzi młodych natomiast jest bardzo mało.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media są zazwyczaj nastawione na sensację. Jeśli np. przyłapie się radnego na sali sesyjnej, który je ciastko, to jest to wielka sensacja. Pojawiają się komentarze, że się objada za pieniądze podatników, chociaż za to trzeba sobie zapłacić. Radny jest przecież zwykłym człowiekiem, który ma swoje słabości czy też ułomności. Czasami te ułomności się ujawniają i jeżeli pojawia się zdjęcie i odpowiedni do niego podpis, to robi się z tego sensacja. Sam czegoś takiego doświadczyłem i to jest denerwujące. Uważam, że ukazywanie polityków czy radnych w „krzywym zwierciadle" wcale tej naszej młodej jeszcze demokracji nie pomaga, a wręcz przeszkadza. Kontrola mediów powinna być merytoryczna, powinna zakładać też granice prywatności radnego czy polityka. Niektórzy z dziennikarzy nie są w stanie tego zrozumieć i to jest bardzo przykre. Dziennikarze zazwyczaj dzwonią z określoną tezą i tak prowadzą rozmowę, by tę tezę potwierdzić – wtedy dziennikarz jest usatysfakcjonowany. Nie jest ważne, że ta teza może być skierowana przeciwko rozmówcy, ważne jest, by ją potwierdzić.





Wiesław KILIAN

Radny III kadencji, członek Zarządu Miasta w latach 2001-2002.
Poseł na Sejm RP V i VI kadencji – od 2010 r.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Działałem w „Solidarności". „Solidarność" z lat osiemdziesiątych dążyła do tego, żeby samorządność była obecna nie tylko w związkach zawodowych, lecz także w miastach, gminach, w powiatach. Ten kierunek, który ukształtowany został w czasie „Solidarności" pozostał. Od 1985 r. pracowałem w Urzędzie Miasta. Miałem dość dużo do czynienia z gospodarką mieszkaniową, ponieważ byłem kierownikiem Rejonu Obsługi Mieszkańców podlegającego Dzielnicowemu Zarządowi Budynków Mieszkalnych. Moje doświadczenie związane z samorządem wynikało z pracy i z działalności w Związku Zawodowym „Solidarność".

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie. Po studiach, w początkach lat osiemdziesiątych, pracowałem trochę u rodziców w gospodarstwie rolnym. Dopiero po 1985 r. przybyłem do Wrocławia i od tamtej pory byłem związany z Miastem.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W Radzie Miejskiej zajmowałem się gospodarką mieszkaniową i współpracą z zagranicą. Były to dwie komisje, które mi podlegały. Gospodarką mieszkaniową zajmowałem się z racji tego, że w połowie kadencji zostałem członkiem Zarządu Miasta, który odpowiadał za bezpieczeństwo oraz gospodarkę mieszkaniową. Gospodarka mieszkaniowa to temat, który mnie interesował. Doświadczenie związane z pracą w Dzielnicowym Zarządzie Budynków Mieszkalnych, kontakt z mieszkańcami, tym właśnie się interesowałem, w tej dziedzinie chciałem funkcjonować w Radzie Miejskiej.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Była to III kadencja Rady Miejskiej, lata 1998-2002 r. Z tego, co pamiętam, wtedy powstał Wieloletni Plan Inwestycyjny, związany z planowanymi inwestycjami w mieście. Był to czas, kiedy byliśmy po powodzi w 1997 r. Radnym zostałem w 1998 r. Wiele działań tej Rady dotyczyło odbudowy infrastruktury i wszystkiego, co zostało zniszczone w czasie powodzi. W tym czasie zajmowałem się także gospodarką mieszkaniową. Po raz pierwszy zostały wtedy wypuszczone obligacje na zakup mieszkań. W czasie naszej kadencji zostało sprzedanych dużo mieszkań. Z tego, co sobie jeszcze przypominam, wchodziliśmy w program przygotowawczy ISPA, związany z pozyskiwaniem środków Unii Europejskiej na budowę i odtwarzanie infrastruktury lub tworzenie nowej infrastruktury. Gmina Wrocław przodowała wtedy w pozyskiwaniu tych środków. Uzyskaliśmy je m.in. na zamknięcie wysypiska śmieci na Maślicach, wybudowanie oczyszczalni ścieków na Janówku. Czas tej kadencji był związany z dużymi inwestycjami w mieście. Rynek został zakończony. Związane to było z Kongresem Eucharystycznym w 1997. W tamtej kadencji złożyliśmy wniosek o Expo. Bogdan Zdrojewski był wtedy prezydentem. Przy poparciu Rady Miejskiej wystąpiliśmy o organizację Expo w 2010 r. Przegraliśmy, organizację Expo wtedy otrzymał Szanghaj. Tych działań było dużo.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Przegranie Expo. Wystąpiliśmy, Rada Miejska i prezydent, o organizację Expo. Gdy weszliśmy do drugiej tury głosowań, wydawało się, że możemy powalczyć. Jednak przegraliśmy. Przy czym przegrana z Szanghajem to nie wstyd, Chińczycy wcześniej wygrali olimpiadę.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Z instytucjami pozasamorządowymi jest różnie. Są organizacje, które mają wizję swego działania i z takimi współpracuje się dobrze. Jest także wiele organizacji, które powstają i w zasadzie nie wiadomo, jaki cel im przyświeca. Organizacje te są z reguły nastawione na to, aby pozyskiwać z gminy pieniądze tylko na swoje istnienie. Rada Miejska uchwalając budżet zapisuje w swoich projektach, jakie będzie dofinansowanie do organizacji pozarządowych w danym roku. Warto wspierać te organizacje, które mają dorobek, wtedy widać, że pieniądze nie idą na utrzymanie biur tej instytucji. Potrafią one przejawiać taką działalność, która ma widoczne efekty.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wydawać by się mogło, że wybory najniższego stopnia do samorządów gmin, powiatów powinny cieszyć się większym zainteresowaniem niż wybory parlamentarne. Z reguły wybieramy władzę, która jest blisko nas. Jak

jednak popatrzymy na frekwencję wyborczą, to okazuje się, że jest ona niższa od tej, która jest w wyborach parlamentarnych. Ostatnio w wyborach parlamentarnych frekwencja we Wrocławiu osiągnęła pięćdziesiąt parę procent. Z reguły wybory samorządowe są na poziomie 40%. Najgorzej jest w wyborach do rad osiedla, gdzie frekwencja jest rzędu 2-3%. Okazuje się, że czym bliżej jesteśmy władzy, tym jest mniejsze zainteresowanie wyborem.

Kiedy radni mieli dyżury w Radzie Miejskiej, to niewielu mieszkańców na te dyżury przychodziło, żeby interweniować u radnego, zapytać, co się dzieje w Radzie Miejskiej? Zresztą, jak popatrzymy na sesje Rady Miejskiej, jest tam miejsce dla publiczności, a tylko wąskie grupy tam przychodzą, natomiast takiego większego zainteresowania mieszkańców samorządem nie ma.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Miałem okazję być w czasie swojej kadencji po jednej i po drugiej stronie. Jako radny uważam, że władza w mieście, Zarząd był otwarty na działanie radnych, choćby w pozyskiwaniu pieniędzy na działania związane z okręgiem wyborczym. Pamiętam, że prezydent Bogdan Zdrojewski miał dzień, w którym przyjmował interesantów. Przyjmował nie tylko radnych, lecz także mieszkańców z całego miasta. Godziny dyżurów również obowiązywały członków Zarządu Miasta i wiceprezydentów. Cały skład siedmioosobowego Zarządu miał wyznaczone godziny na przyjmowanie stron, łącznie z prezydentem B. Zdrojewskim. Władza była otwarta na kontakt z mieszkańcami, wyborcami. Z punktu widzenia radnego patrzę na to pozytywnie. Kiedy miałem jakąś kwestię do rozwiązania z którymś z członków z Zarządu Miasta, to nie było problemu, aby się spotkać i przedyskutować, i znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Również dobrze. Materiały na sesję czy na komisje otrzymywaliśmy zawsze dużo wcześniej. Pamiętam, jak spotykaliśmy się na komisji i trzeba było wyznaczyć nowy termin komisji, to obsługa Rady Miejskiej była przychylna, pomagała znaleźć taki termin, który radnym pozwoli się zebrać, przedyskutować tematy związane z komisją merytoryczną. Ten układ między radnymi a Biurem Rady Miejskiej był bardzo dobry.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w dwóch komisjach, w Komisji Mieszkalnictwa praca związana była z moimi zainteresowaniami, druga to Komisja Promocji Wrocławia i Współpracy z Zagranicą, gdzie byłem wiceprzewodniczącym. W tej komisji były podejmowane różne inicjatywy, m.in., sprowadzanie Polaków zza wschodniej granicy, z Kazachstanu. Kilka takich uchwał w komisji było przyjętych. Do tej komisji wpływało dużo wniosków celem zaopiniowania, a potem przegłosowania na Radzie Miejskiej do realizacji. Pamiętam, że w tym czasie udało się kilka rodzin ściągnąć zza wschodniej granicy. Oprócz tego, że gmina daje mieszkanie, to jest również zobowiązana znaleźć miejsce pracy.

Komisja Mieszkalnictwa związana była z budownictwem mieszkaniowym. W latach 1998-2002 ok. 2000 mieszkań komunalnych zostało oddanych do użytku dla mieszkańców. Uporządkowaliśmy również ulicę Pułaskiego, która szpeciła. To droga krajowa. Wzdłuż były budynki, z których wykwaterowano mieszkańców. Wyburzyliśmy wtedy około 20 kamienic. To były zabytkowe kamienice, ale konserwator zabytków nie nakładał obowiązku restaurowania. One nie były wpisane do rejestru zabytków. W ciągu drogi, która powinna być poszerzona, te budynki nie miały racji bytu. Po pierwsze, trzeba by było wyłożyć ogromne pieniądze na remont, gdyż były w bardzo złym stanie technicznym, po drugie, nie byłoby możliwości poszerzenia tej drogi, która jest drogą krajową.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W tej kadencji została otwarta po remoncie sala sesyjna. Pierwsze posiedzenia naszej Rady odbywały się na Nowym Targu. W poprzedniej kadencji podjęto decyzję remontu sali sesyjnej. W tej chwili mamy salę sesyjną dobrze wyposażoną, z fotelami bardzo dobrej jakości. Przebywając na sali sesyjnej czasami od 15^{00} do 24^{00}, człowiek nie był zmęczony.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W tamtej kadencji mieliśmy trzy kluby. Był klub SLD, AWS i klub 2000 Plus. Jeżeli na klubie się przedyskutuje dany problem czy daną uchwałę, to wtedy dużo sprawniej przebiega sesja. Jeżeli natomiast klubu nie ma i poszczególni radni byliby rozproszeni, to sadzę, że ta debata sesyjna zamiast się skończyć w ciągu paru godzin, np. 10., pewnie trwałaby przez tydzień, gdyż każdy z radnych miałby do przedyskutowania swój punkt widzenia. Większość pracy odbywała się na klubach. W ramach klubu można było przyjąć stanowisko, które potem na sesji było sprawnie przedstawione i przegłosowane. Jak uzyskiwało się większość, to uzyskało się ten efekt uchwały, która była wypracowana przez klub czy przez Zarząd. Jeśli nie znalazło się argumentów na poparcie uchwały, to się przegrywało takie głosowania. Jestem za tym, aby w ramach Rady funkcjonały kluby czy też koła.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

To jest trudne pytanie. W moim odczuciu sam moment ślubowania, kiedy człowiek został wybrany na radnego. Pamiętam też, że starając się o Expo była zorganizowana sesja czy wizyta ambasadorów. Kilkudziesięciu ambasadorów przyjechało do Wrocławia i zrobiło to na mnie duże wrażenie. Nagle Wrocław stał się miejscem,

gdzie przyjeżdżają ambasadorzy, a z reguły ambasady są w Warszawie i tam prowadzą swoją pracę. Udało się ich ściągnąć, zaprezentować i pokazać Wrocław.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

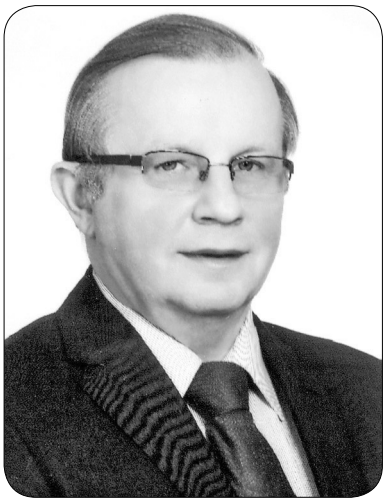
Miałem bliski kontakt z radami osiedli poprzez moją pracę zawodową – przez 15 lat w Dzielnicowym Zarządzie Budynków Mieszkalnych. W pierwszym etapie, do 1990 r. rady osiedla były jeszcze jako komitety osiedlowe. One miały duży wpływ na opinie budżetów DZBM-ów. Potem to się przekształciło w rady osiedla i dobrze, ponieważ jest to taka mini-władza osiedlowa, która znajduje się najbliżej mieszkańca, najlepiej odczuwa problemy mieszkańców w swoim siedlisku. Próbowaliśmy przymierzyć się w tamtej Radzie do reformy rad osiedli, podobnie jak było to w Poznaniu i Krakowie, jak sobie przypominam. We Wrocławiu mamy ponad 40 rad osiedli i zarządów. Są zbyt rozproszone, aby mogły być jakąś siłą, która by mogła oddziaływać na radnych czy na władzę wykonawczą w mieście. Jeżeli byłoby 10-8 rad osiedli, to wtedy sadzę, że oddziaływanie tych środowisk z miejsca zamieszkania byłyby dużo większe, na pewno z pożytkiem dla mieszkańców i pewnie dla władzy wykonawczej. Rada Miejska mogłaby posiłkować się opiniami z tego źródła. Jak obserwuję, zainteresowanie pracą w radach osiedli jest niewielkie. Jako członkowi Zarządu podlegały mi również rady osiedla. Sprawdzaliśmy obecność na posiedzeniach tych rad. Okazało się, że frekwencja nie była zbyt duża. Było tam parę osób aktywnych. Sądzę, że liczbę radnych można by ograniczyć, w poszczególnych radach funkcjonuje po ok. 20 radnych. Jest to dość duże ciało. Są ludzie, którzy pracują dobrze. Aby wygrać wybory do rady osiedla nie trzeba wielkiej liczby głosów. Przy frekwencji, jest ona ok. 2-3%, można zebrać głosy sąsiadów i ma się efekt, że jest się radnym. Ale to nie efekt bycia radnym się liczy, tylko pracy i przełożenia na to, co możemy zrobić dobrego dla mieszkańców. Gdyby rad osiedla było 10, a obszar większy do działania, to sądzę, że i weryfikacja radnych byłaby dużo większa.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media są zainteresowane funkcjonowaniem Rady, funkcjonowaniem władzy wykonawczej. Nie wiem, czy to wynika z tego, że chcą zainteresować mieszkańców kupieniem codziennej prasy czy oglądaniem telewizji. Na pewno każdego z nas interesuje to, co się dzieje w naszym środowisku, w naszym mieście. Jeżeli to powoduje, że media się interesują, no to dobrze.

Uważam, że media powinny pokazywać dobre i złe strony rządzenia. Nie tylko patrząc na to, czy zachęcimy mieszkańców do oglądania programu telewizji z naszego miasta, czy też zachęcimy ich do kupowania prasy, która jest tutaj wydawana.

Najczęściej media są zainteresowane czymś, co jest sporne. Patrzę z perspektywy i śledzę media. Mało jest przekazu, który pokazałby to, co jest dobre albo pokazywał radnych czy też władzę wykonawczą, kiedy robią dobre rzeczy na rzecz mieszkańców. Z reguły przekaz jest taki, że ten radny nie był na sesji, ten opuścił tyle sesji, ten nie zabrał głosu. Prezydent nie spotkał się, nie przyjął. Za mało, moim zdaniem, jest pokazywania tej dobrej strony działalności Rady i Zarządu Miasta.



Zbigniew KORZENIOWSKI

Radny II, III i IV kadencji.
Oficer Wojska Polskiego. Przedsiębiorca.

Jak to się stało, że Pan został radnym?

Kiedy rozpocząłem pracę w biznesie zacząłem spotykać się z działaczami różnych opcji politycznych. Któregoś dnia jeden z moich współpracowników zapytał się, czy nie zechciałbym startować do Rady Miejskiej z ramienia SdRP. Po przemyśleniu uznałem, że jest to jakieś nowe wyzwanie, wyraziłem zgodę. Wtedy były wybory, jak zresztą do tej pory, z list partyjnych. Umieszczono mnie na trzecim miejscu. W wyborach uzyskałem tak dobry wynik, że zostałem radnym kadencji 1994-1998. Zawsze byłem dynamiczny, aktywny. Partie obserwują swoich przedstawicieli. Zaproponowano mi żebym zasilił szeregi – wtedy SdRP, która później przekształciła się w SLD. Ponieważ bliskie mi były poglądy z lewej strony, przystąpiłem do tej organizacji, gdzie bardzo szybko doceniono mnie, moją aktywność jako przedsiębiorcy, działacza społecznego, moją wrażliwość na

sprawy ludzkie i społeczne. Znalazłem się nawet we władzach tej partii. Dzięki temu w kolejnych wyborach miałem już lepsze miejsce na liście – pierwsze. Przez kolejne dwie tury wyborów dostawałem się do Rady Miejskiej z dobrymi wynikami. W ostatniej kadencji, w której brałem udział jako radny, zostałem szefem klubu radnych SLD. Wiadomo, że praca w Radzie Miejskiej polega na dogadywaniu się, na ustalaniu między radnymi, między klubami stanowisk, opinii, decyzji, które później prezentuje się podczas sesji Rady Miejskiej. Dla mnie nadrzędną sprawą było takie stawianie sprawy, aby nie blokować sztucznie, politycznie, spraw związanych z samorządem. Partia opozycyjna, a wtedy taką było SLD, jednoznacznie stawiała na to, że obojętnie jak, ale musi być przeciw, bo to nie jest nasz prezydent. To było dla mnie dużym dyskomfortem. Wiadomo, że na głównych sesjach, na których ocenia się prezydenta, głosuje się nad absolutorium dla Zarządu Miasta, absolutorium dla prezydenta, przewodniczący klubu musi powiedzieć z trybuny, jaka jest opinia, zdanie klubu. Byłem niepokornym członkiem SLD, który nigdy nie pozwolił narzucić sobie jedynie politycznego zdania. Usiłowałem forsować opinię, która może nie była dobra dla opozycji, ale oddawała istotę i prawdę.

Podczas moich trzech kadencji było trzech prezydentów Zdrojewski, Huskowski i Dutkiewicz. Zdrojewski miał łatwą sytuację, bo w ogóle nie miał opozycji. W I kadencji wśród radnych był tylko jeden człowiek o poglądach lewicowych, potem było nas już 25, opozycja była większa. Jednak moim zdaniem, człowiekiem o największym rozmiarze kapelusza jest Rafał Dutkiewicz. On wprowadził taki sposób zarządzania Miastem, który bardzo mi odpowiadał. Można było krytykować, ale jeżeli było dobrze, to nie należało negować. To było dla mnie istotne, a później spowodowało – w mojej ostatniej kadencji w Radzie Miejskiej – że ja i radny Piotr Żuk zostaliśmy dyplomatycznie zmuszeni do opuszczenia szeregów SLD, gdzie myślano, że jest to nasz polityczny aut. Nam jednak udało się stworzyć Wrocławskie Forum Socjaldemokratyczne. Jest taka zasada, że jeżeli zbierze się 5 radnych w Radzie Miejskiej to może powstać klub radnych. Przez ostatnie 2,5 roku IV kadencji działał w Radzie Miejskiej klub radnych, którzy mieli poglądy podobne do moich. Staliśmy się takim zdroworozsądkowym języczkiem u wagi. Reprezentowaliśmy naturalnie wyborcę, który jest po lewej stronie, ale nie byliśmy twardym betonem, który będzie krytykował tylko dlatego, że tak każe partia. Prezydent i Zarząd Miasta widzieli, że nie jesteśmy destrukcyjni, lecz że jesteśmy ludźmi, którzy chcą współpracować, potrafią także powiedzieć o czymś krytycznie, ale nie robią tego pod publikę czy dla taniej popularności.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym?

Dla mnie radny jest przedstawicielem jakiejś grupy społecznej. Startuje w wyborach po to, aby reprezentować i pomagać wyborcom. Bycie radnym jest niewątpliwie wyróżnieniem, ale moim przesłaniem było to, aby być blisko ludzi. To zresztą robiłem przez całe życie. Byłem wykładowcą w Studium Wojskowym Akademii Ekonomicznej, wychowywałem młodzież, dobrze się poruszam wśród ludzi. Podczas dyżurów radnych byli koledzy, którzy siedzieli, a wszyscy petenci czekali w kolejce do mnie, wiedząc z jakiejś opinii, iż jestem skuteczny, że jestem na tyle wrażliwy, iż bardziej się zainteresuję ich problemem. Rzeczywiście, paru osobom udało mi się pomóc.

Przygotowania jako takiego nie miałem. Pomagało mi głównie podejście do ludzi i ich spraw. Takiemu radnemu łatwiej się poruszać. Radny nie powinien traktować bycia radnym jak wzrost pozycji społecznej czy trampoliny do dalszej kariery, lecz jako służbę ludziom.

Jednym z powodów usunięcia nas z SLD i pozbawienia szansy startowania w kolejnych wyborach z list SLD było to, że parokrotnie poparliśmy linię budżetu prezydenta. Na piśmie sformułowano zarzut, że nie krytykujemy, lecz popieramy prezydenta. Zaczęły się wybory. Powstała grupa ludzi, która startowała pod szyldem klubu Rafała Dutkiewicza. Nie ukrywam, że miałem propozycję, bo spotkał się ze mną prezydent i powiedział, że mam do wyboru – mogę startować z jego listy do Rady Miejskiej, ale też widziałby on mnie w zespole swoich bliskich doradców, że proponuje mi stanowisko doradcy na etacie. Wybrałem to drugie. Powiedziałem, że jeżeli propozycja jest poważna, to już dzisiaj deklaruję, iż z niej skorzystam. Tak się stało.

A nie brakuje Panu Rady Miejskiej? Sesji, komisji?

Może i tak, bo rzeczywiście te sesje, spotkania, komisje – byłem przewodniczącym Komisji Sportu – na pewno tak. Są sprawy, które mnie drażnią. Tak jak sport nie powinien być polityczny, tak samorząd też nie powinien być. Wiem, że to niemożliwe, aby byli tu ludzie apolityczni, lecz niejednokrotnie są tu rozgrywki typowo polityczne. Ostatnim takim przykładem było potraktowanie przez panią Zdrojewską pana Dutkiewicza, który nie zgodził się ze zjawiskami, jakie mają miejsce w PO. Jestem człowiekiem, który ma własne zdanie. Może nie takie, żeby za nie umierać, ale mam. A tutaj jest taka elementarna zasada, że jak jest klub to musi być drużyna. Nie ma miejsca na własne zdanie. To dla mnie dyskomfort. Wolę być urzędnikiem – prezydent może przyjąć moje propozycje, ale nie musi. Chciałbym, aby w Radzie Miejskiej było więcej miejsca dla ludzkich spraw, żeby zajmować się ich konkretnymi problemami. Działalność w Radzie nie powinna polegać na zawieraniu koalicji czy zwieraniu szeregów. Wiadomo, że jeżeli ulica jest krzywa to ją trzeba wyprostować, a jeżeli drzewa rosną tam, gdzie nie trzeba to należy je wyciąć.

Przedstawiciel społeczności danego samorządu powinien mieć ten komfort, że jak przyjdzie do radnego to załatwi sprawy, z którymi przyszedł. A tutaj jest jakaś niemoc. Jestem człowiekiem, który uważa, że nie ma rzeczy

niemożliwych, tylko trzeba chęci i dobrej woli. Nieraz brakuje tej dobrej woli. Nieraz mówi się pięknie, tak jak w kampaniach wyborczych.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem wiceszefem Komisji Rewizyjnej. Zawsze interesowało mnie wyjaśnianie pewnych kwestii do końca. Byłem także w Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Zauważam, iż w Radzie jest mało przedstawicieli grup zawodowych, więcej działaczy politycznych. Daje się w ramach jakiejś rekompensaty czy zadośćuczynienia miejsce na liście wyborczej, nie patrząc na to, co ten człowiek będzie mógł wnieść. Ja na Komisji Inicjatyw Gospodarczych mogłem śmiało mówić o sprawach gospodarczych, ponieważ ja ten biznes czuję. Jestem w nim od 1989r. Biorę udział we wszystkich podatkach, zmianach prawa. Łatwiej mi zrozumieć tego, który występuje o opinię, niż takiemu gościowi, który jest działaczem politycznym i zajmuje się pijarem. Do Komisji Inicjatyw Gospodarczych poszedłem dlatego, że jestem przedsiębiorcą i problematyka tego środowiska jest i bliska. A ze względu na charakter, do Komisji Rewizyjnej. W następnej kadencji uznałem, że dziedziną, która najbardziej pozwoli mi się realizować, a nie będzie tam polityki, jest sport. Zostałem przewodniczącym Komisji Sportu. Do tej pory jestem doradcą prezydenta ds. sportu. Udało nam się we Wrocławiu wiele dla sportu zrobić.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Największym sukcesem jest to, że Rada Miejska istnieje, że powstały samorządy. Będąc radnym miałem przegląd całego społeczeństwa wrocławskiego. Przychodził ktoś na dyżur i mówił, że 9-osobowa rodzina mieszka w jednym pokoju. Przeżyliśmy powódź, ona pokazała jak się potrafiliśmy zorganizować. Ważne było dla mnie uczestniczenie na żywo w dużym zespole ludzi, którzy mieli różne priorytety, różne poglądy. Istotna była możliwość pomocy niektórym ludziom, co jest dla mnie najważniejsze.

Niektórzy mówią, że sukcesem było wybudowanie hali „Orbita", co zresztą zostało zrealizowane w wielkich bólach, ale dobrze, że jest. Ale to dla mnie nie jest sukces. Ja sukces inaczej mierzę. Na pewno sukcesem było, że bezpośrednia władza, czyli Zarząd Miasta, musiał się liczyć z opinią radnych. Zawsze można się było dostać do prezydenta czy wiceprezydenta i powiedzieć, że są takie i takie niepokojące sygnały. Nie było prezydentów czy wiceprezydentów, którzy by nie liczyli się z opinią radnych.

Uważam, że dobrze zrobiono zmniejszając liczbę radnych. Gdyby tak jeszcze partiom narzucono, że musi być 4 prawników, 2 nauczycieli, po prostu przedstawicieli różnych środowisk... Chodzi o pełne przedstawicielstwo mieszkańców Wrocławia, o otwarcie się partii na to, aby do Rady Miejskiej wchodzili przedstawiciele różnych grup zawodowych. W Komisji Kultury powinni być ludzie, którzy znają się na kulturze, a nie np. tacy, którzy są finansistami. O sporcie powinni decydować ci, którzy znają się na sporcie. Żeby były fachowe głosy, środowiskowo jak najszersze. Wtedy jest łatwiej, bo gdy np. jakieś sprawy dotyczą środowiska nauczycielskiego to daje się radnego, który rozmawia z nimi tym samym językiem. Do pomocy może iść ktoś, kto widzi problem szerzej – politycznie.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

W mojej pierwszej kadencji niepowodzeniem było, że politycy z prawej strony i centrum nie widzieli możliwości, żeby wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej był ktoś z lewicy. W Radzie Miejskiej są przedstawiciele każdej opcji. We Wrocławiu żyją ludzie, którzy mają poglądy lewicowe, prawicowe itd. Pierwszym wiceprzewodniczącym z lewicy został w IV kadencji Rady Miejskiej radny Władysław Gut. Tak również zaczęto postępować w Sejmie. Wiele do życzenia pozostawiało obycie i kultura osobista radnych. Dla mnie to jest bardzo ważne. Byli radni, którzy wystawiali Radzie Miejskiej złą opinię. Od radnego się więcej wymaga. Pewne rzeczy wypada robić inne nie.

Rada Miejska jest strukturą, która opiniuje. Nie ma wpływu wprost na zarządzanie.

Powiem tak, jako radny opozycyjny z podziwem patrzyłem na pana prezydenta Dutkiewicza, który od początku kadencji zaczął robić remonty ulic we Wrocławiu. Było mnóstwo korków, ale tłumaczyłem sobie tak: mądry gość, bo jak będzie kończył kadencję to będzie mógł powiedzieć – ul. Wyszyńskiego jest zrobiona, Lotnicza jest zrobiona, przez pl. Grunwaldzki się przejedzie. Zawsze lepiej być wokół decydentów – tam gdzie się podejmuje decyzje, niż tam gdzie się opiniuje. Bo co z tego, że radni wysyłają petycje czy interpelacje. Możemy pójść do archiwum, w którym jest mnóstwo słusznych interpelacji, niezrealizowanych.

Będąc radnym udzieliłem wywiadu: „Wrocław to nie tylko Rynek". Wtedy nie było instrumentów, żeby ściągnąć do Wrocławia inwestorów. Zdrojewski tego nie robił, Dutkiewicz tak. Ale odeszła Motorola do Krakowa, odeszły inne duże firmy. Nie było inwestycji. Wiem, że dzisiaj się chwalimy, przyjeżdżają wycieczki, ale brakowało pragmatycznego myślenia na przyszłość, co pozostanie dla naszych dzieci. W tych pierwszych moich kadencjach porażką był brak inwestycji. Dopiero dzisiaj widać jak się naprawdę ściąga inwestorów zagranicznych. Nie mówię o inwestorach, którzy korzystają z pieniędzy unijnych, lecz o poważnych inwestorach, którzy dają miejsca pracy – Siemens, Motorola, koncerny coś produkujące, LG, który nie korzysta z pieniędzy unijnych, korzysta ze strefy ekonomicznej. Mówię o inwestorach, którzy maja pieniądze. Możliwość korzystania z pieniędzy unijnych pobudza aktywność ludzi. Ja jednak mówię o inwestycjach mających skutek dla miasta, z kapitałem, tworzących miejsca pracy, przyczyniających się do tego, że miasto staje się bardziej atrakcyjne. Rynek to nie wszystko.

W latach 1996-1998 jechało się na Fabryczną i widziało się nędzę i rozpacz. Dzisiaj budują Orliki, działa program „Radosna Szkoła" itd. Wtedy się o tym nie myślało.

Jedni radni przychodzą do Rady Miejskiej, żeby skonsumować mandat – w tym sensie, że jest się ważnym – zaspokoić swój snobizm, potrzeby, dowartościować się. Inni przychodzą się wykazać, a jeszcze inni przychodzą, żeby robić politykę. Radni powinni mieć jakąś wizję, powinni chcieć coś zrobić. Nie powinni kierować się tym, że będą siedzieć w I rzędzie w teatrze, że za darmo będą zaproszeni na jakąś imprezę. Radnym powinien być ktoś taki, kto wstaje na sesji i mówi: panie prezydencie, co jest z placami zabaw, kiedy pan ureguluje to i to, co jest z ilością basenów, co jest z profilaktyką. O to mi chodzi. Trzeba zrobić inwentaryzację, zobaczyć, czego wrocławianie chcieliby najbardziej, co jest Wrocławiowi potrzebne do życia oprócz sklepu, mieszkania i pracy. Rada Miejska powinna robić takie badania, badania zapotrzebowania społeczeństwa na coś. Wtedy wiadomo byłoby, z jaką inicjatywą występować. Należy się zwrócić do przewodniczącego z pytaniem, jakie badania Rada zleciła socjologom we Wrocławiu. Nie ma takich badań. To jest porażka.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Relacje są dalece niewystarczające. Za moich trzech kadencji oczywiście współpracowaliśmy. Jednakże niewystarczająca czy wręcz zła jest jakość współpracy z tymi organizacjami ze strony Rady Miejskiej. Kiedyś można było dopraszać do komisji kogoś spoza Rady Miejskiej, potem tego zaniechano. Są to bardzo potrzebne organizacje, chociaż niektóre, np. Klub Ludzi Życzliwych – zapewnia byt panu Janoszce. Ale to już kwestia człowieka. Rady Miejskiej nie traktuję jako 40. radnych plus prezydium. Dla mnie to powinien być organizm, na który składają się także rady osiedla, każdy, kto czuje, że coś robi. Podobna jest rola dziennikarzy, którzy powinni kreować, motywować takich zapaleńców.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Uważam, iż jedynym rozwiązaniem są mandaty jednoosobowe. Wtedy ja jestem w stanie z wszystkich deklaracji rozliczyć. To zrobiłem, to nie, tu podjąłem próbę. Musi być samodyscyplina i samonakręcanie się radnego. Radny musi dążyć do doskonałości, aby zaspokoić oczekiwania wyborców. Mieszkaniec miasta ma być dobrze reprezentowany, a tymczasem liczą się oklaski i tania popularność.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Było różnie. Zdrojewski miał ten komfort, że nie miał opozycji, nie miał ani krytyki, wszystko robił dobrze, to, co chciał załatwiał. Nigdy nie było w Radzie Miejskiej tak, żeby opozycja była na tyle silna, żeby mogła coś przegłosować. Nie pamiętam uchwały, żeby Rada była w stanie przegłosować nawet coś społecznie ważnego. Zawsze władza wykonawcza robiła swoje. Gdyby radni byli wybierani z mandatów jednoosobowych, gdyby nie byli związani politycznie, to w głosowaniach musieliby się dogadywać.

Jak układała się Panu współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Atmosfera wśród ludzi obsługujących radnych jest bardzo ważna dla funkcjonowania Rady Miejskiej. Rzadko się człowiek czuje się w instytucjach czy urzędach tak, jak tutaj. Z przyjemnością czekałem na czwartek, kiedy była sesja. To był taki trzeci dom. Te dziewczyny pod kierownictwem pani dyrektor stworzyły wspaniałą atmosferę. Jak były przerwy, to nie chodziłem do restauracji, lecz przychodziłem do Biura. Myślę, że należałem do radnych, którzy zawsze byli grzeczni, mili i uprzejmi. Poza tym profesjonalizm. Wszystko było na czas. Biuro jest świetnie zarządzane. Panie obsługujące komisję od razu wiedziały, o co chodzi. Tutaj czuć, że Biuro jest dla radnych. Nawet o 1. w nocy panie były uśmiechnięte, życzliwe, eleganckie, a co najważniejsze zawsze przygotowane merytorycznie i zawsze wiedziały jak mogą pomóc.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Lepiej jak się dogaduje jeden z drugim przewodniczący klubu, lepiej jak się ustala dyscyplinę klubową w głosowaniu, to usprawnia pracę. Tylko radni muszą być odpowiedzialni. Nie może np. przewodniczący klubu opozycyjnego krytykować dobrze skonstruowanego budżetu. Możemy się wstrzymać od głosu, ale nie może być tak, że mieszają się do budżetu, którego nie potrafią czytać. Głosują przeciw, bo im tak partia kazała. Nawet, jeżeli członkiem klubu jest ktoś niepartyjny, to musi się podporządkować dyscyplinie klubowej.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Na pewno była to wizyta Ojca Świętego i spotkanie w ratuszu. O powodzi nie chcę mówić. Wiele osób zrobiło na niej tanią popularność. Bardzo ważne było spotkanie Chiraca, Schroedera i Kwaśniewskiego w maju 2003 r. Także coroczne spotkania w ogrodach Papieskiego Wydziału Teologicznego podczas święta Wrocławia są zawsze dużym przeżyciem duchowym.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

To bardzo ważny element, lecz jest kwestia priorytetów na osiedlu. Ludzie widzą, że żadne ciało nie spełnia do końca swojej funkcji. Dla przeciętnego wrocławianina Rada Miejska też nie spełnia jego oczekiwań.

Rady osiedli nie mają sensu. Ja to odnoszę do wspólnot. Mieszkańcy przeżywają gehennę tam gdzie są wspólnoty mieszkaniowe. Nie mogą się dogadać w najprostszych sprawach. Koszty wspólne, które trzeba ponosić, fundusz

remontowy – na dziesięć mieszkań jest 8 zdań. Podobnie jest w radach osiedla. Jeżeli ktoś ma w sobie tyle siły, ma przebicie i pozwoli mu się osiągnąć sukces, np. da mu się teren na boisko, da mu się jakiś lokal to będzie działał, ale działają tylko zapaleńcy. Nie mamy jako społeczeństwo potrzeb czy umiejętności łączenia się w takie lokalne grupy. Spośród nich mogliby potem być wyłaniani radni do Rady Miejskiej itd. Wśród działaczy brakuje młodych ludzi. Nie garną się do samorządu.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Czapkę z głowy dla gazety, dziennikarza, czasopisma, które miałoby rubrykę nie tylko o ulicach, przystankach, lecz o większych problemach, np. gdzie ma pójść matka z dzieckiem, które nie chodzi do szkoły.

Rolą radnych jest dotrzeć do takich ludzi, którzy potrzebują pomocy. Ludzie się wstydzą. Poczucie godności sprawia, że wolą nie jeść niż przyznać się do tego, że są głodni. Każdego roku z panią Wandą Ziembicką organizujemy wigilie dla bezdomnych, co roku dla stu osób. To taki drobny gest. Nie zauważyłem, aby Rada Miejska zrobiła wigilię dla bezdomnych. Żeby to weszło w kalendarz Rady, że przewodniczący Rady, radni w iluś tam wybranych osiedlach organizują wigilię – w tym roku te pięć osiedli, w następnym inne pięć itd. Nie wolno zostawiać ludzi. Obserwuję, że radni zamykają się w Radzie ze swoimi problemami, a nie wychodzą na zewnątrz. Życzyłbym sobie, aby radny nie miał tylko legitymacji radnego, ale też żeby od czasu do czasu mógł przez swój klub zgłosić np. propozycję takiej wigilii. Nie widzę żadnych pomysłów, które firmowałaby Rada Miejska, jeżeli chodzi o profilaktykę czy inne zjawiska. Rada skupia się tylko na opiniowaniu uchwał, wystąpieniach politycznych itd. A przecież jest to reprezentacja 550-tysięcznego miasta.

◇◇◇

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Byłem kandydatem bezpartyjnym, a to oznacza, że obce mi były rozgrywki polityczne czy dyscyplina partyjna. Zaskakujące było dla mnie, że radni poszczególnych klubów, często mimo przekonania, że jakąś decyzję należałoby poprzeć wetowali ją, ponieważ byli w tzw. opozycji lub koalicji. Nie wiem, czy teraz cokolwiek się zmieniło, obawiam się jednak, że nie. To mnie zawsze wstrzymywało przed tym, aby głębiej zaangażować się w politykę.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Podczas II i III kadencji, kiedy byłem radnym, Komisja Inicjatyw Gospodarczych i Komisja Rewizyjna miały niewielki kontakt z takimi instytucjami. W Komisji Zdrowia zainicjowaliśmy współpracę z organizacjami, które zajmowały się problematyką kobiet. Nie byłem jednak w szczególny sposób w to zaangażowany.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Podczas dyżurów w Radzie Miejskiej, a także poprzez współpracę z Izbami Gospodarczymi, miałem duży kontakt z wrocławianami, także z tymi, którzy zajmowali się działalnością gospodarczą – najczęściej prosili o interwencję, nie tylko w swoich sprawach. Największym problemem były sprawy lokalowe i prywatyzacyjne – przedsiębiorcy wstrzymywali się z inwestowaniem pieniędzy w remonty lokali, gdyż nie byli ich właścicielami. Obawiali się, że po 2 lub 3 latach skończy się najem i przepadnie to wszystko, co zainwestowali. Zmieniała się wtedy mentalność, każdy chciał coś własnego pozostawić po sobie dzieciom. Lata 90. to był okres przejściowy, krótkie najmy lub tzw. „przydziały" wszystkim kojarzyły się z czasami komunistycznymi, oznaczały brak stabilizacji. Doświadczenia z tych spotkań pozwalają mi stwierdzić, że wyborcy byli zainteresowani takim rodzajem kontaktu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Podczas II i III kadencji Rady Miejskiej prezydentem Wrocławia był pan Bogdan Zdrojewski, który miał większościowe poparcie wśród radnych. Opozycja, do której formalnie należałem, nie miała większego znaczenia, żadnych znaczących stanowisk czy funkcji. Prezydent Zdrojewski nie miał w zwyczaju dzielenia się władzą z opozycją czy mniejszością. Nie oznacza to jednak, że nie popierałem dobrych pomyłów koalicji, miałem ten komfort jako bezpartyjny radny, że mogłem to robić.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Ta współpraca zawsze układała się bardzo dobrze. W komisjach zwykle było dużo pracy, a to wymagało dobrej współpracy – raporty, opracowania końcowe przygotowywane były właśnie przez Biuro.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W poprzednich kadencjach radnych było dużo więcej niż dziś. Na przełomie I i II kadencji został zmieniony wygląd sali sesyjnej, np. za moich czasów jeszcze nie było komputerów przy każdym stanowisku. Potrzebne dokumenty były drukowane w czasie sesji Rady lub w przerwach. Czekaliśmy na druki na korytarzu lub w bufecie. Przynoszono i rozdawano wszystkie materiały przed i w czasie sesji, takie były czasy, nikt się temu nie dziwił, były inne wymagania. Trudny był czas samego remontu – obrady odbywały się w sali przy pl. Nowy Targ, w małym i niewygodnym pomieszczeniu. Na szczęście każdy remont kiedyś się kończy.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych, Komisji Incjatyw Gospodarczych oraz Komisji Rewizyjnej. Każda z komisji pracowała według rocznego planu, a także reagowaliśmy na bieżące wydarzenia. W Komisji Inicjatyw Gospodarczych zajmowaliśmy się rozwojem regionalnym w kontekście działalności prywatnej, opiniowaniem licencji, rozpatrywaniem skarg osób, które były najemcami miejskich lokali. Tego typu spraw było bardzo dużo. Komisja Rewizyjna najczęściej reagowała na skargi i prośby o interwencję. Niekończącym się tematem kadencji była sprawa VAT-u, od razu podzieliła radnych: opozycja była zdania, że VAT należy płacić, co po latach przyznał nam sąd. Upór radnych koalicyjnych popierających prezydenta Zdrojewskiego okazał się finalnie dla Wrocławia kosztowny.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Obserwowałem pracę Rady, kiedy w niej byłem, obserwuję również i teraz – widzę, że wszystko krąży wokół tzw. „polityki"… i chyba nie da się tego uniknąć. Myślę, że powinno być sprawą drugorzędną, kto, do którego klubu należy. Ważne natomiast powinno być to, jak skutecznie rozwiązać pojawiające się problemy mieszkańców Wrocławia. Obawiam się jednak, że jest to trudne, a przyglądając się bieżącej kadencji Rady nawet nie wiem, czy jest to możliwe.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Głównie jedno wydarzenie, którego nie zapomnę do końca życia – wizyta papieża Jana Pawła II, atmosfera, w jakiej się to spotkanie odbywało. Nie jestem osobą, którą można określić jako nadmiernie wierzącą i praktykującą, ale wrażenie, jakie wywarł na mnie bezpośredni kontakt z Ojcem Świętym jest dla mnie czymś, czego nigdy nie zapomnę.

Co sądzi Pan o działalności rad osiedlowych?

Moja żona, która jest dziennikarką telewizyjną, od niedawna działa w radzie osiedla. Zaraz po przyjściu ze spotkania rady dzieli się ze mną wrażeniami – wspomagam ją w miarę moich możliwości i wiedzy. Niestety, często frekwencja i zainteresowanie mieszkańców tą pracą jest znikome. Równocześnie, jak widzę, rady osiedla często są bezsilne w kontaktach z Radą Miejską, co powoduje, że wrocławianie nie widzą sensu pracy w tych radach. Bywa, że radnymi osiedlowymi są etatowi pracownicy Urzędu Miejskiego, co dodatkowo utrudnia prace, wstrzymuje inicjatywy lokalne, bo te same osoby są petentami w swoich sprawach, a powinny być odpowiedzialne za rozwiązanie problemów osiedla, które reprezentują, a nie pracodawcy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media powinny być obecne w pracy samorządu, to najlepszy kontroler i środek dopingujący dla polityków.

◇◇◇

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

W chwili obecnej, ze względu na upływ czasu, trudno mi jest podać jakiś konkretny przykład. Na pewno niepowodzenia były, ale najwyraźniej nie zaważyły one na pracy Rady, stąd i moja niepamięć. Myślę, że za niepowodzenie uznać można zbyt duże upolitycznienie Rady. Utworzone zostały kluby, co prawda nie były one jeszcze partiami, ale już widać było jakąś grę polityczną między klubami czy radnymi niezrzeszonymi w klubach. Wszyscy mieli świadomość, że nie powinno się upolitycznić Rady, ale trzeba załatwiać problemy miasta i jego mieszkańców, a nie zajmować się polityką. Pojawił się jednak ten element gry politycznej i to bym traktował jako pewien „początek", moim zdaniem, zły początek współpracy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Na dobrą sprawę, ja takiego bezpośredniego kontaktu z instytucjami pozasamorządowymi nie miałem jako radny. Wtedy, przynajmniej tutaj, na terenie Wrocławia, tworzone były instytucje pozasamorządowe, które w jakimś sensie miały współpracować z Radą, natomiast z uwagi na to, że pracowałem wtedy intensywnie w dwóch komisjach, nie miałem okazji współpracować z innymi instytucjami.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Ponieważ pracowałem nad statutem dla rad osiedla, spotykałem się z wyborcami niekoniecznie moimi. Słuchałem ich uwag, ich bolączek i to pewnie rzutowało na nasze rozwiązania, chociażby ustrojowe, czyli statutowe, Statut osiedli czy Ordynację wyborczą do rad osiedli. Kontakt z wyborcami był na pewno bardzo potrzebny, ponieważ ujawniał zapotrzebowanie społeczności wrocławskiej i był podstawą tworzenia ważnych dokumentów.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W okresie II kadencji, myślę, że stosunki z władzą wykonawczą były bardo dobre, mimo że, jak powiedziałem, pojawiały się elementy gry politycznej i to głównie ze strony Zarządu Miasta.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Z mojego punktu widzenia współpraca była bardzo dobra, Biuro Rady Miejskiej bardzo dobrze wywiązało się z zadania organizatora życia Rady. Ludzie pracujący w Biurze Rady byli zawsze uprzejmi, bardzo dobrze przygotowani merytorycznie, zawsze chętni do pracy.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Jeśli chodzi o dostęp do materiałów, to dla mnie jako szefa Komisji Statutowej na początku było to nieco utrudnione czy w jakiś sposób ograniczone. Wynikało to z przyczyn technicznych. Nie było wtedy programu Lex, który zawiera aktualne stany prawne na konkretny dzień uwzględniające wszystkie zmiany. Pamiętam panią obsługującą Komisję Statutową, z którą na akcie podstawowym nanosiliśmy zmiany, które nasz Sejm wielokrotnie w ciągu roku czynił, i w pewnym momencie pogubiliśmy się z tymi naklejaniami, wykreśleniami zmieniających się tych podstawowych dokumentów. W momencie, kiedy pojawił się program Lex było to naprawdę znakomite narzędzie dla pracowników, którzy pracowali w Komisji Statutowej. Dzięki temu mogliśmy na bieżąco śledzić zmiany i dostosowywać nasze przepisy do ustawodawstwa krajowego.

Natomiast, jeśli chodzi o warunki ogólne, to myśmy jeszcze wówczas nie posiadali takiego wyposażenia, które radni posiadają dzisiaj. Sala sesyjna nieco inaczej wyglądała, ale myślę, że nikt z nas nie narzekał na te warunki, choć jeden z radnych, jako że był elektrykiem, zawsze upominał się o lepsze oświetlenie na tej sali, ale tak naprawdę nikt z radnych takich negatywnych opinii nie wyrażał. Dzisiaj technika poszła do przodu i radni mogą głosować z miejsca, na którym siedzą za pomocą przycisków, a nie tylko przez podniesienie ręki. Budynek został przystosowany dla osób niepełnosprawnych. W II kadencji rozpoczęto remont budynku, który trwał jeszcze w III kadencji.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Chwaliłem sobie to, że na tych komisjach dyskusja była merytoryczna. Nie były natomiast używane argumenty polityczne, były to argumenty prawne. Bardzo wysoko ceniłem sobie pracę w obu komisjach. Jak już wspominałem, skład komisji był znakomity, stąd i dyskusje toczyły się na bardzo wysokim poziomie i praktycznie, co Komisja Statutowa w swojej opinii zawarła, Rada akceptowała 99%. Zarząd, myślę, że również przyjmował w 99% te uwagi jako autopoprawki. Dlatego radni nie musieli przegłosowywać wniosków, tylko przyjmowano je jako autopoprawki. Stąd bez problemu przyjęliśmy nowy Statut, jak również inne dokumenty.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Nie pamiętam, czy były one już przyjęte ustawowo, ale w II kadencji istniały już zwyczajowo. Utworzyły się kluby, ale nie były bezpośrednio związane z polityką. Istniał klub Wrocław 2000 Plus koalicji samorządowej, klub SLD i kilku radnych niezależnych. W Statucie przyjęliśmy założenia, kiedy może być utworzony klub, ilu członków może liczyć. W pewnym momencie ustawodawca też usankcjonował funkcjonowanie tych klubów. Myślę, że działanie klubów ma większe znaczenie w dużych radach, takich jak wrocławska, mniejsze natomiast w gminach, gdzie radnych jest około 15, zatem utworzenie dwóch czy trzech klubów jest trudne. Kluby to podział polityczny, ale na pewno stanowią one platformę do wymiany poglądów.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Od strony radnego i pracy radnego jest to np. przyjęcie Statutu Wrocławia czy Ordynacji wyborczej do rad osiedli, tzn. dokumenty ustrojowe.

Takim wydarzeniem była też niewątpliwie powódź w 1997 r. Mieliśmy wtedy posiedzenie Rady i prezydent Zdrojewski zapewniał nas, że powódź do Wrocławia nie dotrze, uspokajał, ale, niestety, stało się inaczej. Otrzymałem telefoniczną informacje, ponieważ byłem poza Wrocławiem, o nadchodzącej wielkiej fali. Sesja się odbyła i za kilka dni mieliśmy we Wrocławiu powódź. Wówczas, bez względu na orientację polityczną, wszyscy stawili się do pomocy miastu.

Ważnym wydarzeniem była wizyta Ojca Świętego. Uczestniczyłem w zabezpieczeniu wizyty papieża.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Jak powiedziałem wcześniej, w radzie osiedla działałem w latach 1992-1995, później już nie, współpracowałem natomiast z radami osiedli, służąc im pomocą prawną.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Każda sesja, to kilkunastu dziennikarzy, jak to media, zawsze szukają jakiejś sensacji. Z czasem dziennikarze zapoznali się z zasadami funkcjonowania samorządu i ta współpraca układała się lepiej. Choć dziennikarze zawsze chcą mieć jakąś sensację.

◇◇◇

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

W 2002 r. wystartowałem w wyborach do Rady Miejskiej. W moim okręgu zająłem drugie miejsce. Radnym zostałem dopiero w drugiej połowie IV kadencji na skutek przejścia moich kolegów do Sejmu RP.

W IV kadencji, według mojego odczucia, Rada Miejska miała znacznie więcej do powiedzenia. Wynikało to m.in. może nie tyle z poczucia odpowiedzialności radnego, co ze zdecydowanie lepszej współpracy z panem prezydentem, który odpowiada za całą organizację we Wrocławiu. Uważam, że w IV kadencji sukcesem było uchwalanie bardzo dobrych uchwał, które umożliwiły przyspieszony rozwój Wrocławia. Wrocław był chyba na trzecim miejscu, jeżeli chodzi o wysokość budżetu w skali kraju. Praktycznie mogliśmy sobie pozwolić na duży rozwój. Wtedy też rozpoczęliśmy walkę o Expo, o Euro 2012. To przekładało się na sukces całego Wrocławia i wiązało się częściowo z sukcesem działalności Rady Miejskiej. W V kadencji, w latach 2006-2008 Wrocław rozwijał się na podobnym poziomie. Na początku kryzysu, w 2008 i w 2009 r., Rada Miejska pokazała się z tej dobrej strony. Kryzys miał jednak wpływ na pewnego rodzaju podziały w Radzie Miejskiej, która przez wiele poprzednich kadencji zgodnie pracowała na rzecz Wrocławia. W tej chwili jest podobnie, ale upolitycznienie wzięło górę nad możliwością normalnej pracy. Nastąpiły podziały polityczne, które po prostu źle wróżą działalności Rady w końcowym etapie tej kadencji. Wrocław nigdy nie miał aż takich podziałów, jakie dzisiaj występują. To się przekłada na pracę, na zgodność Rady w podejmowaniu pewnych decyzji. Jest pewna obstrukcja dobrych decyzji prezydenta Wrocławia. Rada jest też odsuwana od swoich obowiązków, marginalizowane jest jej znaczenie. Czasami mam wrażenie, że Rada zaczyna być traktowana jako dopust Boży.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Jak wspomniałem, największym niepowodzeniem jest to, że nastąpiły podziały. Zgodnie ze Statutem może powstać klub, jeżeli dana partia czy organizacja, wprowadziła radnych i ma ich pięciu lub więcej. W związku z tym, powstały trzy kluby, które są w naszej Radzie. Wszystkie trzy, przy ważniejszych uchwałach się okopują, a ponieważ mamy ustrój demokratyczny, trzeba szukać większości. Ta większość wielokrotnie jest bardzo mocno torpedowana. Pan prezydent też musi szukać większości dla swoich pomysłów. To powoduje rozdźwięki w samej Radzie, a nie było tego w poprzednich kadencjach. Radni potrafili się kłócić na komisjach, potem potrafili się kłócić na sali sesyjnej, ale głosowania były prawie jednogłośne. Teraz niektórzy politycy wykorzystują sytuację i potrafią uchwalić uchwałę niekoniecznie korzystną dla Wrocławia. Wydawałoby się, że Rada jest pewnym tworem jednolitym, wszyscy chcemy jak najlepiej dla Wrocławia, a okazuje się, że różnice są niewielkie w porównaniu z tym, co się dzieje w Sejmie i w Polsce.

Sukcesem jest jednak to, że Rada poprzez swoje uchwały ma ogromny wpływ na funkcjonowanie Wrocławia. W 2012 r., pomimo różnego rodzaju kłopotów, będziemy mieli Euro 2012. Oczywiście, dzisiaj można powiedzieć, i pewnie większość wrocławian to zauważy, można to zobaczyć również w artykułach prasowych, że mamy kłopoty z komunikacją, kłopoty w wielu innych dziedzinach, natomiast trzeba sobie powiedzieć, że w 2010, 2011 i 2012 roku powinniśmy zacząć odczuwać właśnie te sukcesy, tzn. kończymy remonty i zaczynamy normalnie żyć w naszym mieście.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jestem wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej, a jednocześnie radnym dość mocno zaangażowanym we współpracę z instytucjami pozasamorządowymi. To jest pole działania, którym się zajmuję od trzech lat. Sama idea jest teraz mocniej propagowana w Polsce. Parę lat temu została wprowadzona ustawa, że możemy odpisywać jeden procent od podatku i przekazywać go potrzebującym.

Rada Miejska i pan prezydent współpracują z różnymi instytucjami. Instytucje pozasamorządowe to różnego rodzaju stowarzyszenia, fundacje, które zajmują się sprawami takimi, jak narkomania we Wrocławiu czy alkoholizm, wspomagają służbę zdrowia, prowadzą niepubliczne domy opieki dla osób niepełnosprawnych. Działania tych instytucji odciążają Miasto. Wrocław mając możliwość przekazania pieniędzy tego typu instytucjom, niejako daje im także możliwość wykazania się, ale jednocześnie sam, może nie pozbywa się, ale odsuwa problem. W Stowarzyszeniu Brata Alberta, o którym wszyscy słyszeli, wykonuje się gigantyczną pracę, której nigdy żaden samorząd nie byłby w stanie podołać. Podobnie jest z Caritasem, to również jest instytucja powołana do tego, żeby pomagać. Miasto również częściowo ją dofinansowuje, ale generalnie rzecz biorąc, instytucje, które prowadzą własną działalność korzystają ze środków publicznych. Wrocław nie musi się martwić o takie potężne działania, jak np. otwarcie stołówek, w których średnio wydaje się między 200 a 400 obiadów dziennie. Bardzo dobrze, że we Wrocławiu funkcjonuje instytucja, która zajmuje się osobami niepełnosprawnymi, a zwłaszcza młodzieżą i dziećmi specjalnej troski. Są to instytucje, które zrzeszają bardzo często rodziców tychże dzieci. Dofinansowanie powoduje, że można wiele problemów szybciej i łatwiej rozwiązać. Praktycznie wszystkie półkolonie, które są organizowane w obrębie Wrocławia, są wspierane przez samorząd wrocławski, ale organizowane przez instytucje pozasamorządowe. Wszystkie dostają dofinansowanie i to jest dobra strona tej współpracy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Władza wykonawcza i Urząd Miejski to jest w zasadzie jedno i to samo. Muszę powiedzieć, że nie spotkałem się z sytuacją, w której odmówiono by współpracy lub też żebym miał jakiekolwiek kłopoty związane z załatwianiem spraw, oprócz tych, których po prostu nieraz nie da się załatwić. Powiedziałbym, że współpracę mamy idealną. Czasami może się ktoś na kogoś zdenerwować, ale to jest ludzkie i nie ma w ogóle znaczenia. Ja przynajmniej nie spotkałem się z jakimkolwiek problemem czy błędami, których by nie można było wyprowadzić.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej, to jest taka ciekawostka. W czasie mojej pierwszej kadencji byłem zwykłym radnym Rady Miejskiej i czasami denerwowałem się, że nie otrzymałem jakichś dokumentów czy też o coś prosiłem i zostałem, wydawało mi się, źle potraktowany. Natomiast muszę powiedzieć, że to jest tygiel, w którym się bardzo dużo rzeczy dzieje, które nie są czasami zauważalne. Rada Miejska jest obsługiwana przez Biuro Rady Miejskiej i przeciętny radny nie zauważa, że otrzymał pismo czy też, że ktoś przygotował dla niego odpowiedź, czy ma opracowaną jakąś analizę prawną, czy też idąc na dowolną komisję jest obsługiwany. Ktoś przecież przepisuje protokoły i to wszystko, co się dzieje wokół Rady Miejskiej jest pieczołowicie organizowane właśnie przez Biuro. Gdy w V kadencji zostałem wiceprzewodniczącym, okazało się, że każdy z nas jest bardzo sumiennie obsługiwany przez tak naprawdę niewielką grupę ludzi, którzy na tym się znają. Nikt się nie zastanawia, że jak znajduje w skrzynce dokument, to znaczy, że ktoś ten dokument przygotował. Jest ciągle pewne niedoinformowanie. Przeciętny radny Rady Miejskiej na pytanie, czym się zajmuje Biuro Rady Miejskiej w zasadzie wzrusza ramionami. Zapytany, no, ale przecież dostałeś odpowiedź, ktoś to napisał, odpowiada, co to jest, jedna czy dwie strony. Biorąc pod uwagę jednak 37 radnych i liczbę dni w roku, to tych stron się robi cała masa. Wystarczy zobaczyć, że co miesiąc zatwierdzamy protokół z poprzedniej sesji Rady Miejskiej, który jest napisany na komputerze, ale przecież w jakiś fizyczny sposób to słowo mówione w czasie posiedzenia Rady Miejskiej zostało przekształcone na słowo pisane.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Za wielki sukces tej kadencji uważam to, że radni Rady Miejskiej zdecydowali się na zakup komputerów dla każdego radnego. Oczywiście to nie są komputery, które zostały rozdane radnym. Są one na wyposażeniu Rady Miejskiej i jak przyjdzie następna kadencja, to każdy radny musi oddać komputer lub przekazać go swojemu koledze czy po prostu zdać go. To spowodowało, że zniknęła ogromna ilość dokumentów biurowych, co jest wielkim osiągnięciem. Komunikacja pomiędzy przewodniczącym, Biurem Rady Miejskiej a radnymi mocno się skróciła. Oczywiście są radni, którzy nie chcą otwierać laptopów codziennie ani nawet co jakiś czas, ale ich jest coraz mniej. Żyjemy w takim świecie, w którym Internet jest podstawą informacji. I to jest moim zdaniem sukces Rady Miejskiej, że potrafiła to przeprowadzić i doprowadzić do końca i dzisiaj mamy taką sytuację, że każdy z radnych już nie czeka na dokument, tylko dostaje go na adres mailowy.

Jeśli chodzi o dostęp do materiałów czy wyposażenie sal posiedzeń, uważam, że mamy jedną z najlepiej wyposażonych sal i w dodatku jedną z najładniejszych w Polsce. Miałem okazję być w kilkunastu miastach, korzystając z zaproszeń kolejnych przewodniczących rad w Polsce. Muszę powiedzieć, że nasza jest jedną z najpiękniejszych sal, jaką miałem okazję zobaczyć. Trzeba uchylić czoła, że w pierwszej kadencji Rada Miejska Wrocławia zdecydowała się na taki krok, żeby tę salę tak wyposażyć. W poprzedniej kadencji uruchomiliśmy możliwość głosowania za pomocą przycisków. Prawdopodobnie kolejni radni uchwalą nowy statut, który usprawni pracę Rady Miejskiej.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Każdy z radnych ma obowiązek pracować w trzech komisjach. Ja wybrałem Komisję Architektury, Komisję Komunikacji i Komisję Zdrowia. W IV kadencji pracowałem w Komisji Komunikacji i Komisji Zdrowia. Architektura, komunikacja i ochrona środowiska w pewien sposób wiążą się z moim wykształceniem, natomiast Komisja Zdrowia interesowała mnie głównie dlatego, że pochodzę z rodziny lekarskiej i mam duży kontakt ze środowiskiem lekarzy. W Komisji Zdrowia mam okazję zobaczyć, jak od tej drugiej strony funkcjonuje opieka nad zdrowiem mieszkańców. Na niektórych posiedzeniach też mamy okazję posłuchać o współpracy z Narodowym Funduszem Zdrowia.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Wydaje mi się, że to pytanie jest źle postawione. Nie powinniśmy pytać o powoływanie klubów radnych, dlatego że kluby radnych to jest kwestia polityczna. Nasza ustawa dotycząca wyboru do samorządu również określa sytuację, jaką jest powoływanie klubów radnych. Przeciętny Kowalski nie jest w stanie zaistnieć, nie jest w stanie znaleźć się na liście do Rady Miejskiej, czyli wziąć czynnego udziału w wyborach, nie mając za sobą stowarzyszenia czy też różnego rodzaju zrzeszeń. Może to być PiS, PO czy klub radnych Rafała Dutkiewicza, ale bez tego nikt nie jest w stanie znaleźć się w Radzie Miejskiej. W związku z tym powoływanie klubów nie odbywa się w Radzie. Kluby niejako wchodzą do Rady Miejskiej i dlatego pytanie o celowość powoływania klubów jest pytaniem źle postawionym.

Sądzę, że powinniśmy zadać pytanie o celowość powoływania komisji Rady Miejskiej, takich jak komisje architektury czy zdrowia. Na dzień dzisiejszy mamy 14 komisji. Jest to według mnie absolutne szaleństwo. One

zostały powołane na początku tej kadencji, ja jeszcze wtedy nie byłem we władzach Rady Miejskiej, kiedy zostały powołane. Mamy 37 radnych, czyli teoretycznie biorąc, gdyby radny mógł pracować tylko w jednej komisji, to komisja składałaby się tylko z dwóch radnych. W którymś momencie wnioskowałem, żeby prezydium Rady Miejskiej rozpatrzyło tę kwestię i scaliło komisje, ale właśnie ze względów politycznych nikomu to nie jest na rękę. Efekt jest taki, że wiele prac poszczególnych komisji się powiela. Komisja Architektury np. rozpatruje kwestie sprzedaży mienia komunalnego bądź też generalnie mienia miasta Wrocławia, to samo wykonuje Komisja Komunikacji i Komisja Infrastruktury. Można by to załatwić jedną komisją. Oczywiście, w miarę potrzeb należałoby powołać podkomisje, które by funkcjonowały w ramach tej jednej komisji, ale myślę, że usprawniłoby to pracę takiej komisji, która miałaby może i większą siłę niż obecnie. Na przykład w Komisji Architektury jest 5 radnych, w Komunikacji jest ich 8. Nie może być mniej niż 5. To powoduje, że każdy radny musi działać w minimum 3 komisjach, co też dość mocno dezorganizuje pracę biorąc pod uwagę, że każdy z nas wykonuje to poza godzinami pracy zawodowej jako pracę społeczną, chociaż oczywiście wynagradzaną dietą. Prasa wypomina nam, że bierzemy za darmo diety. Nie spotkałem się z tym, żeby ktoś brał tak naprawdę pieniądze za darmo. Tygodniowo spędzam przeciętnie około 30-40 godzin w tej pracy. Wiele z moich obowiązków musiałem przekazać innym osobom. Moja żona nie za bardzo jest zadowolona z tego, że wpadam czasami wieczorami do domu i tak mało się widzimy. Ale tak jest. To jest taki aspekt, który jest rzadko poruszany, bo przecież każdy mówi, że jakoś funkcjonujemy. Praktycznie w każdą sobotę i niedzielę mam zajęcia, czasami są one bardzo sympatyczne, bo przecież reprezentuję Radę Miejską na różnego rodzaju spotkaniach. Większość moich kolegów radnych podobnie funkcjonuje. To też jest związane np. z pracami w komisjach, które odbywają się dwa razy w miesiącu. Tego się nie uniknie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Z poprzedniej kadencji pamiętam takie zdarzenie. Mieliśmy przegłosować pewną uchwałę i z racji sprzeciwu trzech osób, które stały się językiem u wagi, do momentu zagłosowania mieliśmy potężne naciski na to, żeby właśnie przechylić szalę na korzyść uchwały, którą podejmowaliśmy. Nie będę mówił, czego dotyczyła ta uchwała, ale była niezmiernie ważna. Faktem jest, że dzięki nieprzyjęciu tej uchwały miasto Wrocław nie straciło 7 milionów złotych na dofinansowanie. Mało tego, zarobiło też ładnych parę milionów w postaci środków uzyskanych z przetargu. Walka toczyła się pomiędzy pracownikami. Zabrakło solidarności. To było moje pierwsze spotkanie z tak potężnymi naciskami. My się wtedy nie złamaliśmy, ale muszę powiedzieć, że miałem już moment niepewności, bo jeden głos był potrzebny, tak naprawdę. My trzej występowaliśmy jako przeciwnicy, było 21 głosów na 19, ten jeden głos przeważał. To było pierwsze moje wyzwanie dotyczące demokracji i sposobów nacisku, których koledzy używali. Dzisiaj się do tego przyzwyczaiłem, ale to było takie pierwsze moje spotkanie z rzeczywistością demokracji.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

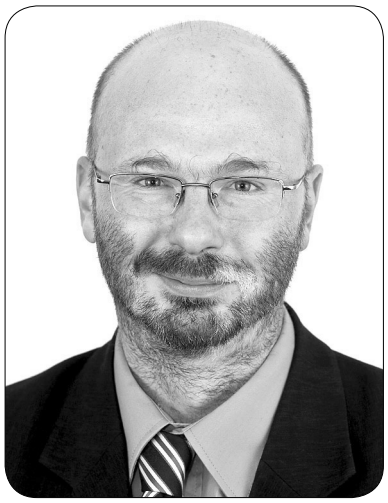
Jest taki pomysł, żeby zmienić uchwałę o działalności rad osiedli. Wywodzę się z rad osiedli. W tym okresie, w którym byłem w radzie osiedla wybory były wyborami i trzeba było prowadzić kampanię wyborczą. Na jedno miejsce przypadało czterech, pięciu kandydatów. W ostatnich wyborach do rad osiedli mieszkańcy Wrocławia tak się zrazili, że były rady osiedla, w których członków wpisywano na listę z łapanki. Nie było wyborów, bo nie było takiej potrzeby. Zgodnie z ordynacją powyżej 70% kandydatów na listach wystarczy do utworzenia rady. To pokazuje, że rady osiedla nie zostały *de facto* zaakceptowane. Uważam, że jest to wynik przerwania pewnych prac związanych z przekazywaniem kompetencji radom osiedlowym. Rady osiedla mają niewielkie fundusze, które otrzymują na działalność i na ewentualne potrzeby zorganizowania jakichś klubów czy pomocy. Nie mają kompetencji, jeżeli nawet z czymś się nie zgodzą, to brak ich zgody może być brany pod uwagę, ale nie musi. W efekcie te rady zostały niejako odsunięte na bok.

Po ostatnich wyborach do rad osiedli próbujemy zmienić koncepcję, próbujemy znaleźć takie miejsce, w którym rada osiedla mogłaby funkcjonować, próbujemy dać im większe kompetencje. Niestety, w związku podziałami politycznymi w Radzie Miejskiej na pewno w tej kadencji nie nastąpi zmiana. Ci, którzy się dostaną do następnej kadencji będą mieli dwa lata na zmiany, bo wybory do rad osiedli są, podobnie jak do Rady Miejskiej, co 4 lata, z tym, że jest przesunięcie dwuletnie, w związku z tym dwa lata po nowych wyborach do Rady Miejskiej nastąpią wybory do rad osiedli. Jeżeli do tej pory się nie zmieni statut rad osiedli i nie otrzymają one większych kompetencji, to myślę, że pójdą w niepamięć.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jeżeli most Grunwaldzki jest mostem i przejeżdża się przez niego dwa razy dziennie, to nie jest to żadna informacja, jeżeli z jakiegoś powodu zerwałby się ten most, to przypuszczam, że bylibyśmy wszędzie w mediach. Podobnie jest z Radą Miejską, wszystko, co się dzieje wokół Rady jest praktycznie poza prasą, chyba, że radny nadużyje alkoholu, to wtedy rzeczywiście mamy w mediach dość duże zainteresowanie. Media żyją sensacją i trudno się im dziwić, jeżeli jest sensacja, to gazeta jest dobrze sprzedawana. To pokazują takie media, jak „Fakt", „Super Expres". Do tego również w tej chwili zmierza „Gazeta Wyborcza". To są gazety, gdzie tak naprawdę bez jakiejkolwiek sensacji się nie obejdzie, np. że się dach zawalił, bo ktoś nie odśnieżył, że sople zostały, bo Miasto

nie zdążyło zerwać tych sopli, albo, że Miasto nie chciało przekazać pieniędzy na odśnieżanie osiedlowych uliczek. Natomiast to, że uchwaliliśmy kolejne dobre uchwały – rozszerzamy gamę biletów MPK, o tym była jakaś drobna wiadomość, podobnie, jeśli chodzi o jakieś przystąpienia do planów czy też samo uchwalenie planów zagospodarowania przestrzennego, jakie na ostatniej sesji uchwaliliśmy – na ten temat nie było żadnych informacji. Media żyją swoimi sprawami. Mają się pewnie dobrze. Czasami martwimy się z kolegami, że ważne rzeczy nie zostały nagłośnione przez media. Brakuje tego w wielu przypadkach, dlatego, że zawsze przy tego typu nagłośnieniach jest bardzo duży odzew. Pocieszająca wiadomość jest taka, że teraz mamy własną stronę internetową jako Rada Miejska. Niektórzy radni mają własne blogi. W związku z tym myślę, że idzie to wszystko w dobrym kierunku i za niedługo takie podstawowe media, jak telewizja, radio i gazeta będą jednak wyparte przez rzetelną informację bezpośrednio od radnego.



Witold KUŹNIK

Radny IV i V kadencji.
Pracownik Poczty Polskiej SA.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Byłem przygotowany do pełnienia funkcji radnego, gdyż przez 7 lat pracowałem jako asystent klubu radnych SLD w Radzie Miejskiej. Nabyłem tam szeroką wiedzę o tym, jak wygląda samorząd, a w szczególności jak funkcjonuje samorząd Wrocławia. Uczciwie mogę stwierdzić, że byłem przygotowany, by w sposób demokratyczny zostać radnym samorządowym i by sprawnie realizować tę funkcję.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Było to wykluczone z dwóch powodów: po pierwsze, przed tym rokiem nie miałem jeszcze 18 lat, po drugie, w 1990 r. rozpoczynałem studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Edukacja, komunikacja, budownictwo komunalne, to są sprawy, które mnie najbardziej interesują i pochłaniają. W tych dziedzinach upatruję jeszcze dużo do zrobienia we Wrocławiu.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

Ogromnym sukcesem V kadencji jest fakt współdziałania przy doprowadzeniu do zmniejszenia wysokości podwyżek czynszu za mieszkania komunalne. Złożyłem w tej sprawie projekt uchwały. Ostatecznie sam projekt nie został przyjęty, ale wnioski w nim zawarte zostały przyjęte przez pana prezydenta. W związku z tym, podwyżki nie sięgnęły 30%, tylko 10%, 15%. To jest duży sukces, bo dotyczyło to kilkudziesięciu tysięcy rodzin we Wrocławiu.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Osobiście czuję żal, że nie udało mi się zgromadzić większości w Radzie, by zmniejszyć ceny za bilety w komunikacji miejskiej, które, niestety, zostały drastycznie podwyższone. Zgłosiliśmy projekt w sprawie obniżek cen biletów. Niestety, przepadł jednym czy dwoma głosami w Radzie Miejskiej. Było to osobiste niepowodzenie, bo uważam te podwyżki za niesprawiedliwe. Niepowodzeniem Rady jest fakt, że stała się ona organem pomocniczym urzędu prezydenckiego. Większość Rady wypełnia polecenia urzędu prezydenta, co pan prezydent wymyśli, to ta Rada uchwala. Stała się organem pomocniczym, zamiast jednym z dwóch najważniejszych organów Miasta. To jest tragedia tej Rady, zresztą nie tylko Rady we Wrocławiu, ale bardzo wielu rad gmin, rad miast w kraju. To jest błąd ustrojowy, który jest wpisany w polski system w skali kraju i to jest porażka, gigantyczna porażka.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jako radny oceniam współpracę raczej pozytywnie. Jeśli mówimy o takiej współpracy, że przychodzi do mnie przedstawiciel instytucji samorządowej, stowarzyszenie ludzi, którzy chcą ze mną współpracować, mają pomysł, to radny może coś spróbować zrobić, może zainterweniować itd. Instytucjonalnie nie jest to jednak dopracowane. Brakuje osmozy między organizacjami pozarządowymi a Radą Miejską, a bardziej nawet między organizacjami

a Miastem jako całością. Brakuje nie tyle woli współpracy, ile wspólnej płaszczyzny. Ponadto, problemem Rady Miejskiej jest, wbrew wielu obiegowym opiniom, brak mocy sprawczej radnych, gdyż to nie oni decydują w konkretnych sprawach. W związku z tym, my możemy pomóc w pojedynczej sprawie, inicjatywie, przy konkretnym problemie, który się pojawia, np. czynsz jest za duży, zalega mieszkaniec z czynszem, jest inicjatywa do współpracy lub opracowania itd. Jako Rada i radni natomiast, instytucjonalnie, mamy niewiele do powiedzenia. Tutaj, niestety, największą wolę współpracy z organizacjami pozasamorządowymi ma urząd prezydenta.

Co roku przyjmujemy program współpracy z tymi organizacjami i jak zwykle odbywa się głęboka dyskusja, jednak nie potrafimy tak naprawdę ocenić, jaka jest skala tej współpracy.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Zawsze opowiadam taką anegdotę. Bardzo mi się ona podoba, gdyż jest prawdziwa. Przyszedł do mnie wyborca i mówi: „No, Witek na skrzyżowaniu Armii Krajowej i Krakowskiej, tam na wiadukcie światła nie działają". Odpowiadam: „Nie ma problemu, napiszę interpelację, zobaczymy, co z tego wyniknie". Napisałem interpelację: „Mieszkaniec do mnie przyszedł, składa protest, że nie ma świateł". Załóżmy, że napisałem interpelację 15 stycznia, otrzymuję odpowiedź z datą 17 stycznia, że: „Pan radny się myli, światła są i się świecą". Przychodzi do mnie mieszkaniec i mówi: „No tak 16 stycznia światła się zaświeciły". W związku z tym, wolę się „mylić", żeby wyborcy to światło mieli. Tak poważnie, uważam, że wrocławianie do dnia dzisiejszego nie zdają sobie sprawy, że mogą interweniować, interweniują zbyt mało. Przeciętny wrocławianin nie ma świadomości, że jego interwencja niekiedy oddziałuje, że dziś tak naprawdę radny ma większy wpływ na sprawy indywidualne. Wrocławianie z tego nie korzystają. Urząd Miejski jeszcze w tych sprawach reaguje. Jeśli wyborcy do mnie się zgłaszają, to ja z chęcią im pomagam. Zawsze piszę interpelację i przynosi to w 50% efekt zadowalający wnioskodawcę. Wysprzątają klatkę schodową, oświetlą ulicę itd. Lubię to i takie małe zwycięstwa sprawiają mi przyjemność, jestem zadowolony z takich spotkań z mieszkańcami. Cieszę się, że mogę pomóc pani Krysi, panu Zenkowi i innym. Natomiast, muszę powiedzieć, że zdarza się, że na dyżur radnego przychodzą osoby dyżurne, które często chcą załatwić sprawę nie do załatwienia, niesłusznie obarczając Miasto winą, ale naszą rolą jest ich wysłuchać i wytłumaczyć.

Jak ocenia Pan współpracę Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Moje odczucia odnośnie do współpracy są fatalne. Urząd Miejski, zwłaszcza pan prezydent, traktuje Radę jako dodatek. W poprzedniej kadencji, gdy jeszcze nie miał pewnej większości w Radzie, bywał na wszystkich posiedzeniach Rady Miejskiej, spotykał się z klubami, przedstawiał swoje pomysły. Teraz raczej standardem jest to, że jeśli pojawia się na sesji Rady Miejskiej to bywa przez 15, 20 minut i znika. Bardzo często bywa tak, że w ogóle się nie pojawia się na sesjach. Dlaczego? Bo ma większość. Jego koledzy, koleżanki polityczne przegłosują to, czego on oczekuje, więc po co ma współpracować z całą Radą, jeśli może jej narzucić, to czego od niej oczekuje. Jest to błąd ustrojowy. Wynika to z dwóch różnych spraw: po pierwsze, pan prezydent i Rada Miejska są wybierani w osobnych wyborach, po drugie, tak naprawdę pan prezydent potrzebuje Radę raz w roku, gdy jest uchwalany budżet, później nawet już nie musi udawać, że jej potrzebuje. Tak więc tę współpracę oceniam fatalnie. Oceniam fatalnie postawę pana prezydenta, który obraża się. Potrafi wyjść z posiedzenia Rady Miejskiej Wrocławia, gdy ktoś powie o nim krytyczne słowo. Jest to śmieszne, że pan prezydent unosi się honorem i wychodzi z posiedzenia, biegnie do dziennikarzy i mówi, że jest urażony takim postępowaniem. W związku z tym, oceniam negatywnie tę współpracę. Dla przykładu przedstawię pewną sytuację: w czasie sesji, kiedy Rada przyjmowała projekt, przewodniczący klubu radnych prezydenta pan Jarosław Krauze wstał i zaproponował, abyśmy to rozszerzyli na studentów zaocznych. Pewnie cała Rada zagłosowałaby za rozszerzeniem, tylko w tym momencie ktoś podszedł do pana Krauzego i zarządzono przerwę. Po przerwie pan Krauze wraca i stwierdza, że nie podtrzymuje swojego wcześniejszego wniosku. To jest żywy przykład, jak w czasie sesji można oddziaływać na radnych i wydawać im polecenia. Uważam, że Rada tak naprawdę jest dodatkiem, który pan prezydent musi ścierpieć.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Osoby tam pracujące są bardzo kompetentne. Większość z nich pracuje tam od wielu lat. Mają dla nas dużo cierpliwości, zawsze są gotowe do pomocy. Więc ja oceniam Biuro Rady Miejskiej bardzo wysoko.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Pomysł np. z wprowadzeniem laptopów jest jednym z najmądrzejszych, jaki można było wymyślić. Po pierwsze, oszczędnościowy, gdyż koszt papieru, jaki był wykorzystany, przewyższałby wartość laptopa, po drugie, przepływ dokumentacji i informacji jest szybszy. To jest bardzo dobre – takie myślenie perspektywiczne. To jest pozytywne. Sala, system elektroniczny głosowania działa dobrze, czasami się zacina, trudno powiedzieć, dlaczego. Jednak całościowa opinia jest pozytywna, tutaj w ogóle nie będę narzekał, wręcz odwrotnie powiem, że bardzo jest to świetnie przygotowane.

W jakich Pan pracował komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem dwie kadencje w pięciu komisjach. Komisja Rewizyjna, która powinna być i jest, wbrew pozorom, najważniejszą komisją w Radzie Miejskiej Wrocławia, w poprzedniej, IV kadencji nie potrafiła się przebić przez

swoje zadania. Komisję Statutową w obecnym kształcie uważam za błąd. W tej komisji byłem w poprzedniej kadencji. Nie wygląda na to, żeby zmieniła sposób swego postępowania. Zajmuje się ona przestawianiem przecinków i zmianą projektów uchwały w ustroju, a powinna badać zgodność projektów uchwały z prawem, ze statutem, po drugie, wykazuje się głęboką tendencyjnością polityczną. Jak projekt uchwały jest zgłoszony przez pana prezydenta lub przez jego klub, to przerabiany jest tak, by był zgodny z prawem. Jak jest zgłoszony przez opozycję, to mówi się, że jest niezgodny z prawem. Była to metoda wypracowana w obu moich kadencjach. Uważam takie postępowanie za złe. Taka forma pracy nie jest zadaniem Komisji Statutowej. Komisja Edukacji jest zdominowana przez kilka osób i to się nie zmieniło od dwóch, trzech kadencji. Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa jest z kolei komisją zajmującą się skargami, tutaj jest różnie, bardzo często wpływają skargi bardzo potrzebne, bardzo ważne. Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa potrafi prezydentowi zwrócić uwagę, że popełnił błąd, że odpowiedź na odwołanie nie została udzielona w terminie, itd. To jest bardzo ważna komisja. Bardzo niepokojące jest to, że co trzy, cztery miesiące temu samemu wydziałowi Urzędu Miejskiego zwracamy uwagę, że nie udzielał odpowiedzi w terminie, mijają trzy, cztery miesiące i znowu jest podobny wydział, i my znowu zwracamy uwagę. Rada Miejska przyjmuje uchwały, ale nie jest w stanie zmienić sposobu pracy wydziałów Urzędu Miejskiego. W indywidualnych sprawach jest w stanie pomóc, natomiast systemowo – nie. Komisje potrafią być bardzo ważne, bardzo pomocne, natomiast niekiedy nie mogą narzucić Urzędowi Miejskiemu pewnych standardów, to jest problem.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Mogę się wypowiadać o dwóch kadencjach. Obecnie, w V kadencji, z powodu wyników wyborów, nie należę do żadnego klubu. Z jednej strony, kluby są bardzo dobre, bardzo potrzebne i bardzo pożyteczne. Radny może należeć maksimum do trzech komisji – by rzetelnie w nich uczestniczyć. To moja opinia. W związku z tym nie jest w stanie zapoznać się ze wszystkimi projektami uchwał, ze wszystkimi tematami, które przechodzą przez Radę Miejską. Kluby potrafią być bardzo pomocne, gdyż można zapoznać się z projektami uchwały z innych komisji, podzielić się opinią w szerszym gronie, przedyskutować problemy, zgłosić uwagi odnośnie do danego projektu uchwały czy procesu na komisji, zgłosić poprawki. Więc kluby potrafią być, w takim mniejszym gronie ludzi, którzy sobie ufają, narzędziem intensywnej pracy. Więc, z tej strony są bardzo pozytywnym elementem w Radzie Miejskiej. Z drugiej zaś, mają pewną skrajność negatywną. Przy tak upolitycznionej Radzie, jaka jest we Wrocławiu, kluby narzucają opinię swoim radnym. Sytuacje, w których radny ma publicznie inne zdanie niż klub się nie zdarzają. Dyscyplina klubowa, z tego, co ja wiem, jest raczej dość powszechnie stosowana. Tak było w poprzedniej kadencji i w tej kadencji jest identycznie. Kluby potrafią przeforsować swoje zdanie i jest to ich negatywna funkcja. Funkcja pozytywna jest ważniejsza, czyli radni, którzy są w klubach mają szansę na szerszą perspektywę. Oczywiście, kluby mają tę możliwość, że mogą oddziaływać bezpośrednio na Urząd Miejski, tzn. do pojedynczego radnego prezydent nie pójdzie, natomiast jak klub się zbuntuje i zażąda wyjaśnień, to prezydent czy ktoś z jego wysokich urzędników potrafi się pofatygować. Grupa ma większą siłę oddziaływania. We Wrocławiu wszystkie kluby są polityczne. Mówienie, że np. klub Platforma Obywatelska jest partią polityczną, a klub prezydenta nie jest polityczny jest zwykłym niuansem, wszystkie kluby są polityczne, wybierane w tej samej drodze. Uczestniczą w wyborach, by zdobyć władzę, tylko, że za jednymi stoi partia polityczna, a za drugim pan prezydent.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Pewnie każdego roku coś innego pozostaje w pamięci.

Powiem o pozytywach i negatywach. Na pewno taki szczególny pozytyw był kilka dni temu, bodajże w piątek, kiedy było pożegnanie wszystkich ofiar katastrofy samolotu pod Smoleńskiem. To był pozytyw, bo zebraliśmy się razem, oddaliśmy cześć tym osobom i to pozostanie, podejrzewam, na zawsze w pamięci, że odeszli ludzie z lewej i prawej strony sceny politycznej. Śmierć, tragedia, odejście znajomych, kolegów, przyjaciół dotknęło wszystkich. Myśmy potrafili wspólnie oddać Im cześć.

Negatyw natomiast, to sprawa pana hrabiego Dzieduszyckiego. Poza Radą, w wyniku pseudoobiektywnej (w mojej ocenie) publikacji, pozbawiono, zmuszono właściwie, w mojej opinii, nie wiem, jak było naprawdę, pana Dzieduszyckiego, aby złożył rezygnację z tytułu Honorowego Obywatela Wrocławia. Cała ta sytuacja, zachowanie władz, dla mnie miała bardzo nieprzyjemny oddźwięk. Źle to zapamiętałem, to mi się bardzo nie spodobało.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych. Ich działalność oceniam różnie. We Wrocławiu są bodajże 52. rady osiedla. W jednej mieszka 700 czy 1000 mieszkańców, a w drugiej prawie 40 tys. Jedna i druga ma takie same kompetencje. Frekwencja w wyborach do rad osiedli powoli spada. W mojej opinii, odchodzi pokolenie, które było zaangażowane w sprawy lokalne, małe. We Wrocławiu od chyba 15 lat trwa dyskusja, jak zreformować rady osiedla. To się zawsze toczy przed wyborami do rad osiedli, kończą się wybory, dyskusja się kończy. Odnoszę wrażenie, że to jest wygodne dla osób sprawujących władzę, bo rady osiedla tak naprawdę nie mają żadnych kompetencji, mogą zorganizować festyn, itp. To jest wygodne, na to pieniądze idą niewielkie. Oczywiście, są radni osiedlowi, którzy chcą działać, robią wiele pozytywnych rzeczy. Bez wątpienia za cztery, osiem lat rady osiedla w obecnym kształcie nie będą mogły funkcjonować. Muszę powiedzieć, że w tej kadencji, co sesję odwołujemy jednego, dwóch, trzech

radnych osiedlowych. Można ich odwołać tylko za to, że przez pół roku nie przyszli na posiedzenie. Nie wiem, ilu w tej kadencji odwołamy radnych, ale sądzę, że ok. 10%. To jest bardzo niepokojąca sytuacja. Bez wątpienia są rady, które działają pozytywnie, inne – negatywnie, różnie to bywa. Są takie bardzo pod wpływem Kościoła, są antyklerykalne, są tacy przewodniczący rad osiedli, którzy są zasiedzieli i działają w radzie od 20. lat, są tacy, którzy są bardzo otwarci, robią jak najwięcej się da. Jest to bardzo skomplikowana sprawa, ale ma charakter ustrojowy. Tak naprawdę, nikt nie ma ochoty się tym zająć.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Sprawy samorządu są sprawami wbrew pozorom trudnymi. Jak w Warszawie w Sejmie głosuje się ustawę, to sprawa jest mniej więcej łatwa, politycznie część jest za, część przeciw. Sprawy samorządu bardzo często dotyczą takich spraw, jak bym powiedział, szczegółowych. Bardzo często są to sprawy nienośne, bo jeśli jest sprawa np. nazwania kawałka ulicy imieniem rotmistrza Pileckiego, to sprawa jest medialna, przyjemna, można o niej napisać na pierwszej czy drugiej stronie, a jak sprawa dotyczy rozplanowania przestrzennego, to jest sprawą ciężką, niemedialną, mało interesującą. Niekiedy chyba zbyt wiele czasu poświęca się sprawom bardzo nośnym i w tym momencie ludzie to bardzo źle odbierają – oni się znowu kłócą o nazwę ulicy. Mniej poświęca się uwagi sprawom ważnym, merytorycznym. Nie mam pretensji do dziennikarzy, bo cały system medialny jest tak ustawiony, że sprawa nośna musi być na pierwszej stronie, sprawa mniej nośna musi być na stronie ostatniej. Jako młody człowiek przeczytałem świetną książkę o historii Wielkiej Brytanii, gdzie pewna dziennikarka prześledziła 30. lat działalności radnego, czym się zajmował. Bez złudzeń, polskie media są o wiele słabsze, zwłaszcza personalnie nie ma takiej możliwości, żeby dziennikarz zajmował się tylko pracą np. Rady Miejskiej Wrocławia, co jest naturalne w Nowym Jorku, Londynie. Tam są specjaliści, którzy zajmują się tylko sprawami komunalnymi. U nas dziennikarz jest na posiedzeniu Rady Miejskiej, tego samego dnia musi przeprowadzić wywiad z posłem, być na konferencji prasowej kandydata, później musi się zająć inną sprawą. Mówi się, że dziennikarze nie za bardzo się wgłębiają, ale też i radni nie są zainteresowani albo też i wylewni w mówieniu o sprawach skomplikowanych, bo mają świadomość, że to się nie przebije. Oczywiście, media mają swoje sympatie polityczne. Media przyczyniły się, właściwie w mojej opinii, wykreowały w dużym stopniu Rafała Dutkiewicza jako takiego „superguru", wielkiego prezydenta. Teraz same zderzyły się z wizerunkiem, który wykreowały i też za bardzo nie mogą, nie umieją, nie potrafią z tym fantem czegoś zrobić. Jak się przez 4 lata pisało, że Rafał Dutkiewicz jest kandydatem na następnego prezydenta Polski, to dzisiaj ciężko powiedzieć, że nie daje sobie rady, powiedzmy z zarządzaniem mieniem komunalnym lub też komunikacją w mieście. To jest problem mediów we Wrocławiu. Jedne sobie dają z tym radę lepiej, inne gorzej, a jeszcze inne opisują sprawę „po łepkach". Faktem jest, że od dwóch, trzech lat zainteresowanie jest większe, bardziej wczytują się w politykę miejską, interesują się tym, co dzieje się w Mieście, wcześniej było słabiej.

◇◇◇

W 1990 r. działałem zarówno w „Solidarności", jak i w Konfederacji Polski Niepodległej, a także w Solidarności Walczącej. Nasze drogi już wówczas trochę się porozchodziły, wypadłem w pewnym sensie z „Solidarności". KPN uchodziła za partię bardzo radykalną. Oceniałem krytycznie poczynania Moczulskiego, jego kontakty z Kiszczakiem, które były znane. Uważałem jednak, że w czasie bitwy nie opuszcza się szeregów. Byłem krytyczny wobec KPN-u, ale byłem szefem KPN-u na Dolnym Śląsku, więc z tej listy i z tej partii kandydowałem do Rady Miejskiej.

Do Rady Miejskiej dostałem się spoza listy Komitetu Obywatelskiego. W Komitecie Obywatelskim widziałem pewną słabość. Każda demokracja i jej praktyczne stosowanie wymaga aktywnego działania tych, którzy uzyskali większość i trochę słabszej części krytycznej, potrzebna jest równowaga, a w każdym razie jakaś różnica zdań jest niezbędna. Tymczasem poza mną z KPN, Jerzym Przystawą z Solidarności Walczącej i Borowskim z SLD pozostali radni wywodzili się z Komitetu Obywatelskiego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan będąc radnym?

Dosyć wcześnie i o dziwo skutecznie zaproponowano mi pełnienie funkcji przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. Wszystkie komisje były obsadzone przez ludzi większości. Była to ważna pozycja także z punktu widzenia demokratycznego. Ktoś z opozycji niech patrzy na ręce rządzącym. Zostałem szefem kontrolnej komisji. Zgłoszono do niej także Lecha Adamczyka, ale w głosowaniu wygrałem.

Skoncentrowałem się na działalności kontrolnej. To jednak nie było proste. Nie mieliśmy doświadczenia, uczyliśmy się demokracji. Znając z historii doświadczenia II Rzeczpospolitej, dosyć wcześnie sygnalizowałem problem, że jeżeli ktoś jest radnym, to nie może być pracownikiem Magistratu. Tymczasem prezydentem został Bogdan Zdrojewski, wielu radnych zostało pracownikami Magistratu, inni natomiast zostali ulokowani gdzieś w przedsiębiorstwach komunalnych. To było chore w samym założeniu. Samego siebie nie można skontrolować. Było to na pewno zaprzeczeniem możliwości skutecznego działania kontrolnego.

W tej sytuacji personalnej nie mogłem znaleźć wystarczającej liczby radnych podobnie krytycznych czy też chcących kontrolować. W miarę czasu to się jakoś wyklarowało i znalazła się część radnych, głównie z Porozumienia Centrum – pan Tenerowicz, pani Sudnik – którzy podjęli się funkcji kontrolnej, a byliśmy w naszych ocenach surowi. Kiedy jednak dochodziło do przegłosowania – przepadaliśmy. Przepadaliśmy nawet przy dużej skrupulatności, przy podawaniu faktów, na podstawie których krytycznie ocenialiśmy taką czy inną osobę. Wiceprezydentem powiązanym z licznymi aferami był pan Turkowski, ale był działaczem „Solidarności" i jego potępienie czy ustalenie odpowiedzialności za cokolwiek okazywało się niewykonalne w układzie tej większości, która zdominowała Radę.

Krytyczne oceny poczynań Zarządu Miasta czy prezydenta, mimo że protokołowane, zapisywane, okazywały się nie bardzo możliwe do przeprowadzenia w sensie odpowiedzialności. Ale zostały zgłoszone, zapisane i są jakimś doświadczeniem, że tak całkiem poza kontrolą ani Zarząd, ani prezydent nie byli.

Z perspektywy 20 lat łagodniej oceniam już pana Zdrojewskiego. Uważam, że w tamtej sytuacji, on również był i młody, i trochę bezsilny wobec niektórych układów. To słowo jest trochę wyśmiewane, powiedzmy powiązań z rzeczywistością, która istniała.

Zwracałem uwagę na działania promocyjne Wrocławia jako miasta, z którego jest bardzo blisko i do Berlina, i do Pragi, Bratysławy czy Wiednia, a może najdalej do Warszawy.

W działaniach promocyjnych Wrocławia brakowało pewnej kontynuacji, podkreślania związków z Polską, tradycji śląskiej, powiązań z Wielkopolską i Piastami, z doświadczeniami, z rolą Kopernika. Moje historyczne zainteresowania i pasje związane z Kopernikiem dotyczyły m.in. wykazywania jego związków z Wrocławiem. A dziś wystarczy zobaczyć, w jakim stanie jest pomnik Kopernika. Nie ma na nim nawet nazwiska, żadnej informacji o tym, kim był.

Pamiętam wielki spór – to jedna z inicjatyw, które ja zgłaszałem, i którą wygrałem wówczas – o herb Wrocławia. Pięciopolowy herb z głową świętego Jana pochodzi z 1525 r. Dwa razy w historii był zmieniony. W czasie Hitlera i w czasie władzy Stalina. Pamiętam – Rada i Zarząd na podstawie ekspertyz chciały przyjąć inny herb, taki z czarnym orłem (śląski orzeł nigdy nie był czarny, był raczej szary) – trwał spór i ja należałem do tej grupy radnych, która obroniła i przekonała Radę, że ten XVI-wieczny herb jest i bardzo ładny, i historyczny, i najbardziej właściwy, zważywszy, że dwa totalitaryzmy „zamachnęły" się na niego, chciały go usunąć.

Byłem też przeciwny wprowadzeniu nowoczesnego logo Wrocławia, nie ma ono symboliki patriotycznej, nie jest także – moim zdaniem – dziełem sztuki. Takie były działania i w różnych kwestiach te działania były pionierskie.

Zwracałem uwagę na sprawy ogólnospołeczne, również gospodarcze. Uważałem, że za szybka jest likwidacja tak potężnych zakładów, jak Pafawag, Elwro, Dolmel. Pospieszne prywatyzacje, źle rozumiane, także były przedmiotem moich bojów i negatywnych ocen w Radzie.

Co uważa Pan za największy sukces Rady I kadencji?

Myślę, że Wrocław utrzymał się wówczas na dosyć wysokim poziomie świadomości prozachodniej, takiej przywracającej Polsce miejsce w Europie. Na pewno właściwe były poczynania podkreślające znaczenie „Solidarności". Widać było, że blisko nam do Europy. W porównaniu z innymi miastami, zwłaszcza tymi z ziem tzw.

odzyskanych, działania te były przodujące, tak jak w okresie „Solidarności". Myślę, że potem zostaliśmy trochę zepchnięci, choć czołowe miejsce Wrocławia wśród 5 polskich miast na pewno jest ważne.

Bardzo wyraźnie podkreślaliśmy silne dążenie do związku z UE i NATO. O to też toczył się spór. Często z takich urzędowych pozycji krytykowano mnie i moje poczynania, zarzucano mi ambicje i to, że nie koncentruję się na sprawach konkretnych, miejskich, lokalnych. Przyznaję, że właśnie tak trochę było, ale myślę, że niekoniecznie to było błędne.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Myślę, że bezkarność w tych sprawach, gdzie ewidentnie były poczynania aferalne. Były takie działania, nazwiskiem Turkowskiego śmiało można się posługiwać, wprawdzie uniknął odpowiedzialności, ale były poczynania prywatyzacyjne naruszające prawo, m.in. z podatkiem VAT, z umowami wynajmu lokali. Zdrojewski miał poważne kłopoty.

Pierwszy okres komunalizacji był trochę dziki i obciążony wieloma bezkarnymi działaniami w sensie nie układów, lecz powiązań personalnych. Wrocław mógł obronić część swoich zakładów, gdyby miał taką wolę, gdyby miał poparcie i gdyby nie ulegał tak bezkrytycznie jakimś działaniom niekorzystnym także dla pracowników prywatyzowanych zakładów i dla miasta. Można powiedzieć, że to były klęski i pewne zaniechania, których się już odrobić nie dało. Jak już takie Elwro czy Dolmel został sprzedany, to można było tylko przypominać, że przecież nowi właściciele nie kupują tych zakładów po to, żeby prowadzić produkcję. Na przykład, niemiecka firma Siemens kupiła Elwro po to, aby niszczyć konkurencję. Przeciwstawianie się tym działaniom było nieskuteczne. W mojej ocenie była to klęska i polityczna, i gospodarcza.

Lata do 1994 r. pozwalały na wiele. Nie potrafiliśmy bardziej racjonalnie, skutecznie bronić interesów. Za błędny uważam sposób, w jaki przeprowadzano prywatyzację. Pamiętam swoje rozmowy z Frasyniukiem: a co zrobimy z państwowymi przedsiębiorstwami? Mówiłem: jak państwo będzie nasze i ludzie będą nie z jakiegoś awansu społecznego, a odpowiedzialni fachowcy będą kierowali przedsiębiorstwem, to może być ono i państwowe, i miejskie, i nie widzę w tym nic złego. Frasyniuk uważał, że będziemy się o to kłócić. Myślę jednak, że były to słowa nie Frasyniuka i nie Labudy, tylko pewnego układu, traktowania prywatyzacji systemowo; że to trzeba zniszczyć, zlikwidować. Trudno to zaakceptować. Wiadomo, że tak się dzieje nie tylko w Polsce, lecz to od ludzi jednak dużo zależy, od ich postawy, aktywności, rozumu i pewnej ofiarności. Wiadomo było, że decydując się na posłuszeństwo można było awansować i robić karierę. Niejeden mi powiedział – nie podskakuj, bo to jest szersza polityka. Gdybym tak właśnie rozumował, z egoistycznego punktu widzenia, to w wielu działaniach nie powinienem iść tak pod wiatr.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Te organizacje były zdominowane, a często tylko firmowane przez „Solidarność". Inne dopiero powstawały. Rodziły się różne organizacje kombatanckie, w których i ja działałem, bo w PRL-u byłem przecież wieloletnim więźniem politycznym, powstał np. Związek Młodocianych Więźniów Politycznych lat 1944-1956 „Jaworzniacy".

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Myślę, że byłem mało skuteczny w załatwianiu spraw osiedlowych, konkretnych. To z punktu widzenia wyborców nie dodawało mi zalet. Uważam, że radny nie załatwia jakiejś ulicy, jakiegoś domu, jakichś pozwoleń. W moim odczuciu raczej nie trzeba być takim użytecznym na pożytek jakichś drobnych, lokalnych interesów. To jednak są głosy, które na pewno liczą się w następnych wyborach. W 1994 r. na II kadencję nie zostałem wybrany. Uważałem, iż jestem wystarczająco popularny, tymczasem okazało się, że może należało zabiegać o głosy wyborców. Może należało się bardziej zajmować tymi lokalnymi sprawami.

Indywidualna popularność nie wystarcza, zwłaszcza, gdy ordynacja wyborcza jest taka, jaka jest. Musiałyby być okręgi jednomandatowe. Kiedyś byłem ich wielkim zwolennikiem, ale gdy uświadomiłem sobie, jak wiele znaczą pieniądze i jak wiele mogą załatwić ci, którzy pieniędzmi dysponują, to zwątpiłem. Z perspektywy obecnej sytuacji uważam, że to bardzo groźne.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Rada Miejska była podporządkowana, Zarząd też nie był w pełni samodzielny. Myślę, że był w jakimś ogólnym „porozumieniu". Rada nie miała, nie ma i nie może mieć pełnego przełożenia na Zarząd. Oczywiście mogą być jakieś odwołania, ale przy obecnej ordynacji prezydent jest wybierany w wyborach bezpośrednich. Także podczas I kadencji Rada pełniła funkcję dekoracyjną w stosunku do Zarządu i urzędu prezydenta. Radnych pracujących w Magistracie i różnych podległych instytucjach była prawie połowa. Po prostu pracowali albo w Urzędzie Miejskim, albo w jakichś przedsiębiorstwach komunalnych z Miastem związanych. Byli zależni. Władza ustawodawcza realizowała to, co chciał Zarząd Miasta.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze, panią Śledzińską podziwiałem i do tej pory podziwiam. Bardzo sprawna, grzeczna. Opinia o mnie na pewno była dalej idąca niż moje realne postępowanie, ale uchodziłem za tego zadziornego, za takiego,

którego można było nie lubić. Tu jednak nigdy nie spotkałem się z żadną przykrością, wręcz przeciwnie, gdy potrzebowałem kserokopię protokołów, dostawałem z uśmiechem. Tak, tu jest pełne uznanie. Nie dziwię się, że pani Śledzińska się utrzymuje. Odejście pani Śledzińskiej może być stratą dla Rady i Miasta. Takich osób jest naprawdę nie za wiele. Rozsądnych, grzecznych, kulturalnych. Nie słyszałem, aby ktoś miał pretensje do Biura Rady.

Na początku I kadencji warunki pracy radnych nie należały do najłatwiejszych.

To prawda. Lokal na Zapolskiej to były pokoiki słabo wyposażone, nieposiadające warunków np. do zarejestrowania posiedzeń komisji czy szybkiego przepisania tekstów uchwał. Dziś sama technika w tym zakresie się bardzo udoskonaliła. Wtedy było kiepsko. Ale powiedziałbym, że ogół radnych nie był aż taki ochoczy do pracy. Oczywiście, byli entuzjaści, ale byli i ludzie tacy, którzy płynęli na fali, korzystając tu i ówdzie z jakichś możliwości. Myślę, że kwalifikacje intelektualne może były lepsze niż moralne. Poza tym ten realizm postępowania, że niewiele można zwojować i niewiele od wielkiego zaangażowania zależy. Na pewno było kilku czy kilkunastu radnych, którzy uważali, że ten świat można radykalnie zmieniać i walczyć. Byli także tacy, jak ten, który zwierzał się w rozmowie ze mną, że nie ma nic wspólnego z tymi z „Solidarności". Wydawało mi się, że byłem rozpoznawalny, a tu przychodzi ktoś, kto nie wie jak aktywnie działałem w „Solidarności".

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Myślę, że kluby radnych są konieczne. Już w I kadencji powstał klub – jeszcze bez tej nazwy – grupa związana z Porozumieniem Centrum. Wtedy już się wyłoniła i była znacząca. Nie wszyscy w niej byli jednak jednorodni. Ten powiedziałbym PiS-owski kierunek już istniał. Godne wzmiankowania jest, że oceniałem Kaczyńskich jako nazbyt ugodowych, gdy tymczasem oni mieli rację, że Polski się nie da zmienić w ciągu dwóch, trzech, czterech czy pięciu lat, że to jest proces. Do dziś pamiętam słowa Lecha, Jarosław też mówił w tym duchu: jest to proces na pokolenia, minie 20 lat. Okazuje się, że i to za mało. Ich wizja była podziwu godna. Ja przecież też byłem doświadczony politycznie i też nie uważałem, że to się stanie z dnia na dzień, że jutro się obudzimy i ogłosimy w telewizji: wczoraj skończył się komunizm. Wiedziałem, że to bajka. Uważałem jednak, że znacznie szybciej, może w ciągu 5, 6 lat musi ten kraj się przemienić.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Myślę, że są słabiutkie. Sama zasada jest słuszna, ale rady osiedli nie mają ani pieniędzy, ani kompetencji. To jest takie tworzenie pewnej fikcji, też coś tam kosztującej. Jest w tym jakaś fasadowość. Od początku była to fikcja, a robiono wokół tego wiele szumu. Z zachodnich, a zwłaszcza amerykańskich filmów wynika, że lokalne, małe społeczności bardzo dużo mogą. Ale to ludzie muszą chcieć. Tego się administracyjnie nie da narzucić.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Niedobrze oceniam. Media bardzo szybko zostały zawłaszczone przez tych, którzy mieli pieniądze, którzy mieli możliwości. Był program lokalny, w którym występowałem ja i grono osób, ale został szybko przechwycony. Jeżeli chodzi o telewizję czy radio, to potem powstały firmy i połączenia kablowe. Lokalne stacje zostały absolutnie zdominowane przez interesy.

Myślę, że podczas I kadencji dziennikarze nie interesowali się Radą, pisali okazjonalnie. „Gazeta Wyborcza", która miała nastawienie aż nazbyt liberalne, a także kosmopolityczne oraz internacjonalistyczne, dosyć skutecznie dbała o swoją monopolistyczną pozycję. Nie przebiły się żadne inne pisma. Włodzimierz Suleja w 1990 r. zaledwie przez kilka miesięcy redagował „Dziennik Dolnośląski", w którym publikowałem swoje felietony. Kornel Morawiecki od marca do września 1991 r. wydawał „Dni". Informowałem tam o pracy Rady Miejskiej w cyklu „Wieści Gminne".

Od sierpnia 1994 r., tj. od 16 lat, wydaję „Wrocławską Gazetę Polską". W tej gazecie na stronie tytułowej używam herbu Wrocławia. Próbowano mi to odebrać. Ale w uchwale Rady Miejskiej o herbie zostało zachowane moje sformułowanie, że jeżeli ktoś nie w celach komercyjnych, lecz społecznych posłuży się i wykorzysta herb, to ma do tego pełne prawo. Obroniłem to prawo. Nie jest jednak tak, że gazeta, radio czy telewizja może funkcjonować bez pewnych środków społecznych, bez reklam. Musi mieć pieniądze. Najbardziej utalentowani ludzie nie przebiją się ze swoimi informacjami, jeżeli nie mają środków.





Alicja LEWANDOWSKA

Radna II, III i IV kadencji.
Absolwentka Akademii Rolniczej we Wrocławiu, urzędnik samorządowy.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Tak, byłam przygotowana, ponieważ byłam radną Miejskiej Rady Narodowej w latach 1988-1990. Ponadto moja mama była radną Miejskiej Rady Narodowej od 1984r. i jednocześnie działa w komitecie osiedlowym, więc na co dzień miałam do czynienia z działalnością samorządową. Ponadto zagadnienia związane z samorządem mieszkańców zawsze mnie interesowały, dlatego też korzystałam z powszechnie dostępnych źródeł, przede wszystkim ustawy o samorządzie gminnym i ustaw związanych z nią oraz orzecznictwa w tym zakresie, a także z literatury (wydawnictwa Sejmu, opracowania autorstwa prof. Zyty Gilowskiej, prof. Leszka Patrzałka i innych) oraz publikacji zbiorowych

Czy przed 1990r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Jak wspomniałam, byłam radną Miejskiej Rady Narodowej we Wrocławiu w latach 1988-1990, pracowałam w Komisji Ochrony Środowiska.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W latach 1994-1998 zajmowałam się zagadnieniami służby zdrowia, pomocy społecznej, rolnictwa, mieszkalnictwem komunalnym oraz finansami Miasta

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Trudno jednoznacznie wskazać sukcesy, ale można za sukces uznać podjęcie pakietu uchwał dotyczącego mieszkalnictwa komunalnego (zgodnie z nową ustawą o mieszkaniach komunalnych, tzw. ustawa Blidy), przygotowanie do Kongresu Eucharystycznego, całość spraw związanych z odbudową Wrocławia po powodzi w 1997r., remont Rynku, starania Wrocławia o organizację Expo 2010, uchwalenie „Studium uwarunkowań kierunków rozwoju przestrzennego Wrocławia", uchwalenie „Strategii rozwoju Wrocławia", WPI (wieloletniego planu inwestycyjnego), który co prawda jest zbyt często zmieniany, ale widocznie planowane inwestycje nie były do końca przemyślane

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Zbytnie podporządkowanie Rady prezydentowi, a w zasadzie jej ubezwłasnowolnienie – często miałam wrażenie, że Rada i radni są tylko po to, by przegłosowywać wszystkie pomysły urzędników miejskich bez jakiejkolwiek dyskusji. Natomiast radni nie rozumieją do końca swojej funkcji – to przecież od ich decyzji zależy jakość tworzonego prawa miejscowego, jakość życia mieszkańców miasta. Brak mi jest inicjatyw uchwałodawczych radnych dotyczących funkcjonowania miasta – jeśli są, to dotyczą nazewnictwa ulic, choć ostatnio uchwała w sprawie sfinansowania szczepień przeciwko rakowi szyjki macicy u nastolatek jest godny pochwały – oby takich inicjatyw było więcej.

Problemem nowego samorządu jest zmarginalizowanie roli rad osiedli – przed zmianą ustroju istniejące ówcześnie komitety osiedlowe miały osobowość prawną i mogły zaskarżać do NSA decyzje ich zdaniem niezgodne z interesem mieszkańców (mimo istnienia trzech poziomów rad: dzielnicowej, miejskiej i wojewódzkiej). Komitety osiedlowe obejmowały mniejszą liczbę mieszkańców, były bardziej mobilne i zaangażowane w życie mieszkańców.

Równie źle oceniam politykę władz miasta, jeśli chodzi o zaangażowanie środków na remonty budynków i ulic – mamy wspaniałe centrum, odnowione kamieniczki (prawdą jest to, że nie zawsze jest to zasługa Miasta) oraz zaniedbane okolice centrum (wystarczy przejść się od Rynku na ul. Ofiar Oświęcimskich przez bramy budynków, a poznamy zapachy dalekie od perfumerii) aż po peryferyjne osiedla – zaniedbane budynki komunalne, dziurawe drogi, zniszczona zieleń – Wrocław to nie tylko Rynek, ratusz i Ostrów Tumski, to także uliczki przy Rynku oraz osiedla położone dalej od centrum,

Jak ocenia Pani współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W zasadzie Rada nie współpracowała z tymi organizacjami, było to raczej przypisane Zarządowi, a później prezydentowi. Zdarzały się sporadyczne przypadki, kiedy te organizacje występowały o dofinansowanie ich działalności (np. sfinansowanie windy w hospicjum).

Jak ocenia Pani wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W mojej pracy wyborcy mieli bardzo duże znaczenie. Pełniłam dyżury w niektórych radach osiedla (nie wszystkie wyraziły taką wolę) z mojego okręgu wyborczego i wiele interpelacji i zapytań powstało na podstawie uwag i propozycji wyborców. Często posiłkowałam się opiniami wyborców przedstawiając stanowisko na forum klubu radnych, a co za tym idzie – na forum sesji.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Jako radnej współpraca z władzą wykonawczą, czyli Zarządem (później prezydentem i jego zastępcami) układała się dobrze, czego natomiast nie można było powiedzieć o urzędnikach miejskich – przeprowadzając na polecenie w Komisji Rewizyjnej kontrole w Urzędzie Miejskim miałam wrażenie, że jestem traktowana jako zło konieczne, któremu się nic nie powie czy nie przekaże dokumentów. Podobnie rzecz miała się na posiedzeniach komisji – bardzo często zadawane pytania były traktowane, jak opędzanie się od uprzykrzonej muchy. A jak pokazuje życie, brak pytań i kontroli ze strony radnych kończy się wpadką, jak to miało miejsce przy budowie stadionu na Pilczycach (nieprzestrzeganie przez wykonawcę harmonogramu i brak kontroli ze strony specjalnie powołanej spółki – czyli całkowity brak kontroli Rady Miejskiej) czy wspieranie Śląska (zastrzeżenia NIK-u).

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Pracownicy Biura Rady to wspaniali ludzie, zawsze chętni do pomocy, szczególnie wtedy, gdy byli traktowani jak ludzie, a nie jak popychadła. Radni traktowali czasem pracowników Biura bardzo nonszalancko, patrząc na nich z góry.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na początku naszej pracy, tj. w 1994 r., jako radni nie mieliśmy zbyt komfortowych warunków, ale nam to tak bardzo nie przeszkadzało. W miarę postępu technicznego marzyły się nam laptopy, maszyna do głosowania, klimatyzacja, co powoli zaczęto wprowadzać w życie.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

W latach 1994-1998 pracowałam w Komisji Zdrowia i Pomocy Społecznej, Komisji Rolnictwa (zrezygnowałam w trakcie kadencji), Komisji Budżetu i Finansów oraz Komisji Rewizyjnej. Byłam także przewodniczącą Odwoławczej Komisji Mieszkaniowej.

W latach 1998-2002 pracowałam w Komisji Budżetu i Finansów oraz Rewizyjnej. Z udziału w Komisji Rewizyjnej zrezygnowałam w trakcie kadencji ze względu na sposób pracy przewodniczącego oraz traktowanie komisji przez Radę Miejską – większość radnych nie widziała potrzeby jej funkcjonowania, a część radnych kierowała do niej wnioski, które powinna załatwiać komisja na swoich posiedzeniach – nie wszyscy radni przyjmowali do wiadomości, że każda komisja Rady ma uprawnienia kontrolne.

W latach 2002-2006 pracowałam w Komisji Budżetu i Finansów oraz Komisji Infrastruktury.

Sposób pracy komisji zależał od wiedzy i umiejętności jej przewodniczącego. Bardzo często, szczególnie na początku każdej kadencji, komisja miała służyć tylko i wyłącznie temu, by każdy projekt uchwały przegłosować bez dyskusji oraz poszerzenia wiedzy. W trakcie upływu kadencji zmieniało się, coraz częściej byli zapraszani merytoryczni goście, którzy potrafili odpowiedzieć na pytania radnych, co miało szczególne znaczenie przy projektach uchwał związanych z budżetem.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Na forum klubu radnych wspólnie wypracowuje się stanowiska – znacznie skraca się czas dyskusji, a radny, który nie zgadza się ze stanowiskiem klubu zawsze miał prawo wypowiedzi w trakcie dyskusji. Uważam, że powołanie klubów było dobrym pomysłem

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

W zasadzie nie było takich przełomowych wydarzeń, a to, co było godne uwagi, wymieniłam wcześniej. Choć w pewnym sensie, przełomem było utworzenie powiatów i sejmików wojewódzkich – szkoda, że utworzenie kolejnych samorządów nie zostało powiązane instancyjnością – powiat jest samorządem II instancji, sejmik – III instancją, wtedy bardzo często samorządy nie wchodziłyby sobie w drogę i zadania nie byłyby powielane, nie byłoby takiego ścigania się w pozyskiwaniu środków, czasem na inwestycje nie do końca przemyślane. Na pewno współpraca byłaby znaczenie lepsza.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Do 2009 roku nie działałam w radach osiedlowych, ale jak wspomniałam, miałam okazję zapoznać się z działalnością rad osiedla poprzez pracę mojej mamy, która po zmianie ustroju do roku 2009 działała w radzie osiedla.

Kompetencje rad osiedli, określone w Statucie miasta i statutach poszczególnych rad powodują, iż ich działalność jest zmarginalizowana. Rady są organem pomocniczym i wydają opinie, które mogą być brane pod uwagę przez urzędników albo nie (i tak najczęściej się dzieje). Równocześnie, wszystko zależy od tego, kto jest w radzie, kto jej przewodniczy i jak zorganizuje pracę rady. Bowiem są rady osiedla takie, które prowadzą szeroką działalność (np. prowadzenie Domu Kultury na Pilczycach, organizowanie turniejów sportowych, itp.) i są takie, które

działają tylko na przetrwanie – od kadencji do kadencji, bez pomysłów i zaangażowania, najlepiej robić imprezy dla swoich (wyjazdy na grzyby, wigilie, i innego rodzaju spotkania). Jak wspomniałam wcześniej, poprzednicy rad osiedli, czyli komitety osiedlowe miały osobowość prawną, a ich działalność regulowała ustawa (!), a nie Statut Rady Miejskiej. Należałoby zastanowić się nad dalszym ich losem. Jestem za tym, by zmniejszyć liczbę rad, a znacznie zwiększyć ich kompetencje i środki, jakimi dysponują, ponieważ to rady są gospodarzami na swoim terenie i one naprawdę wiedzą, co jest najbardziej potrzebne i przydatne na ich osiedlu.

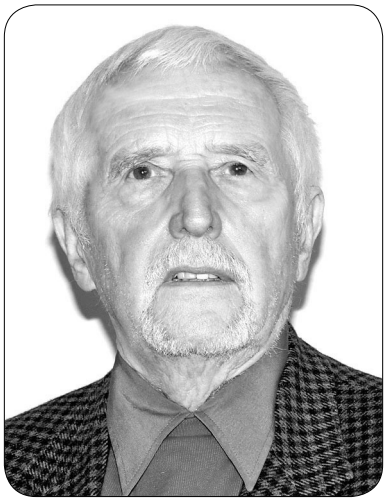
Poza tym, radni wybrani do Rady Miejskiej Wrocławia z danego okręgu nie czują więzi ze swoim okręgiem wyborczym (brak jest dyżurów w radach osiedli, konsultacji w sprawach ważnych dla danego osiedla) szczególnie przy uchwalaniu planów zagospodarowania przestrzennego.

Niestety, świadomość samorządowa mieszkańców Wrocławia jest bardzo niska, co powoduje, że są problemy ze skompletowaniem chętnych do kandydowania w wyborach, a frekwencja wyborcza jest bardzo często 2-3-procentowa.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Generalnie, pracą samorządu media interesują się, ponieważ wiele inwestycji jest przeprowadzanych przez Radę lub Sejmik Wojewódzki. Wiele zagadnień jest problematycznych i nie zawsze oceniane są one jednoznacznie dobrze przez mieszkańców. Natomiast boli mnie to, że mieszkańcy bardzo słabo znają swoje prawa i dopiero, jak zaczną, przysłowiowo, budować drogę przed ich oknami, wtedy dopiero skrzykują się i domagają się zmian, nie zdając sobie sprawy, że mogli to uczynić wcześniej. Ale też nie zawsze są dobrze poinformowani czy to przez urzędników, czy też media nie zawsze piszą o wszystkich inwestycjach.

Dlatego też należałoby się zastanowić nad propagowaniem idei samorządności wśród mieszkańców. Lecz by ta świadomość miała rację bytu, trzeba najpierw sprawić, by mieszkańcy mieli czas i chęć, by nie zastanawiali się, czy znajdą pracę, czy będą mogli zapłacić czynsz, itp. – dopiero wtedy, gdy sytuacja ekonomiczna społeczeństwa poprawi się, wtedy ludzie będą zainteresowani swoim otoczeniem.



Bogusław LITWINIEC

Radny II i III kadencji – do 2001 r.
Senator RP IV i V kadencji.
Absolwent Fizyki Teoretycznej na Uniwersytecie Warszawskim.
Założyciel Studenckiego Teatru „Kalambur" we Wrocławiu.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Myślę, że byłem równie dobry jak pan „Poprawa" – mój adwersarz polityczny. On był liberałem, ja socjalistą, ale w sprawach wspólnych szliśmy ręka w rękę.

Do dzisiaj niektórzy wspominają repliki Przystawy na Litwińca i Litwińca na Przystawę. Wszyscy nam bili brawa i mówili, że jest wreszcie prawdziwa, wielka republika miejska. Myśmy między sobą brylowali opiniami życzliwymi dla Wrocławia kreatywnego, osobliwego, w tym sensie, że nie naśladowczego. Były nam wtedy obce wzory wyniesione z parlamentów europejskich, gdzie istniał system lojalności partyjnej. Myśmy, można powiedzieć, partyjną lojalność – on liberała, ja socjalisty – mieli w nosie, mając na uwadze podstawową lojalność – interes Wrocławia, aczkolwiek różnie, na różne sposoby realizowaną.

W ciągu pierwszych lat pracy we Wrocławiu narastało we mnie poczucie obywatelskiego obowiązku. Pamiętam, że obowiązywała wówczas zasada, że młodzi ludzie, uczniowie, studenci, pracownicy naukowi, zazieleniali Wrocław. Część drzew na pl. Grunwaldzkim sadziłem własnoręcznie, w ramach takiej dużej akcji, to było chyba kilkaset drzew.

Potem już moja obecność była związana z teatrem „Kalambur". Uznany za nieprzeciętnego fizyka, rzuciłem fizykę i udałem się w objęcia teatru studenckiego. Wybór pomiędzy fizyką a teatrem studenckim spowodował, że byłem młodzieńcem nietłustym, z dobrą linią, co widać do dzisiaj. Byłem jednak szczęśliwy, ponieważ znalazłem się w gronie kreatywnym. Dzisiaj to jest ogromnie modne, samorealizacja, duch obywatelski, organizacje

pozarządowe. Wszystkiego tego doświadczyłem uprawiając twórczość i towarzyszącą tej twórczości działalność gospodarczą. Jak zepsuły się reflektory, to trzeba było je naprawić, jak trzeba było pomalować wnętrze, to malowałem, jak trzeba było zbudować magazyn dekoracji, to murowałem z najętym murarzem.

I wreszcie, największa z moich rąk akcja. W tej kamienicy, gdzie jest kawiarnia „Pod Kalamburem" znajdowała się sprzedaż mięsa prowadzona przez spółdzielnię PPS, która ostatecznie zbankrutowała. Prezydent namawiał mnie wtedy: „niech to pan weźmie, panie Litwiniec, i swoją energią to odbuduje". Chciałem to odbudować, aliści na mojej drodze stał Urząd Konserwatora Zabytków. Pani konserwator stwierdziła: „daję to panu, ale musi pan to odbudować w stylu secesyjnym", a tam secesji nie było nic. Tam była taka prymitywka zrobiona zaraz po wojnie. Ja tę prymitywkę zamieniłem w kreację secesyjną, ale podstawy dla tej kreacji, czyli mury, zbudowałem własnymi rękami z dwoma studentami. Skorzystałem na tym, bo dwukrotnie wybierany na radnego dostawałem tyle głosów na Starym Mieście, że mogłem pociągnąć za sobą dwóch kolegów z opcji. Ja miałem dziewięćdziesiąt kilka procent głosów z maksimum. Tak trafiałem do Rady i spędziłem jako radny dwie kadencje, a i koledzy moi dostali więcej szans, żeby zostać wybranymi.

No cóż, przeskoczyłem z budowy duchowej i fizycznej do mojej obecności *quazi*-politycznej w Radzie Miejskiej. Miałem wówczas zdolność bycia autentycznym radnym, bo już wiedziałem, co to jest problem trotuarów – zbudowałem przecież przed Kalamburem fragment trotuaru w stylu secesyjnym z takich czarnych kamyczków, i tam jest napis Kalambur, Kalambur. Zbudowałem kawałek fasady fragmentu kamienicy i za moją przyczyną powstała najbardziej secesyjna kawiarnia we Wrocławiu, aczkolwiek powstawało tam wszystko od nowa. Jest to gmach zbudowany „z rączek" projektanta z Gdańska, mojego kolegi i znalezioną przez niego brygadę Kaszubów, no i mnie jako tego, który musiał szukać kasy i być nadzorcą nad wszystkim. Tak powstała secesyjna rzekomo kamienica „Pod Kalamburem", ale to jest secesja gdańska. A wrocławska secesja, to wiedeńska secesja – symetryczna. Ta zbudowana secesja przy ul. Kuźniczej dzisiaj jest przez wszystkich uważana za autentyczne wrocławskie dzieło.

Kamienica została spalona nieszczęśliwie podczas Sylwestra. Jeden z reżyserów filmowych w moim wieku, zbyt dużo popił na Sylwestra, zasnął z papierosem w ręku i tak podpalił mi kawiarnię. Całą noc się paliło, a tlen nie dochodził, więc taki rodzaj czadu osiadł na mosiądzach, na wszystkich malowidłach i potem to trzeba było wydrapać. Nazajutrz przyszła telewizja i ja na oczach wszystkich popłakałem się wiedząc, że to było tyle wysiłku i wszystko spalone. Ludzie, którzy widzieli ten reportaż, jak Litwiniec płacze, przyszli i powiedzieli, pomożemy ci. Tu się objawiła prawdziwa tożsamość wrocławianina ze wschodu, przyszli i drapali, drapali z tych takich brudnych, zaczadziałych ścian, bardzo kunsztownych boazerii w secesyjnej stylistyce. 200 osób przychodziło i dokonało tego, że nasza kawiarnia, odwiedzana przez wielu turystów z różnych stron świata, znowu otworzyła swoje podwoje.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Od chwili, kiedy stałem się bytem społecznym zajmowałem się niektórymi fragmentami rzeczywistości miejskiej. Wkroczyłem w sprawy miasta jako przesiedleniec z Wołynia.

Wiosną zimną, a nie śnieżną, 1946 r. trafiłem na ulicę Kuźniczą 29a, gdzie była zainstalowana tzw. UNRA, stołówka z darów ze Stanów Zjednoczonych, która dokarmiała wędrowców ze wschodu na zachód. Ja przyjechałem jako pierwszy z tatą leśnikiem, który wiózł mnie do Dusznik Zdroju – mama jeszcze została w rodzinnej miejscowości. Po drodze była wielogodzinna przesiadka we Wrocławiu, a my byliśmy głodni. Tata przeczytał, że karmi się tych przesiedleńców na Kuźniczej obok Uniwersytetu i zrobiliśmy taki spacer z Dworca Głównego na Kuźniczą. W tej stołówce na I piętrze zjadłem z tatą unrowski posiłek i to był pierwszy psychofizyczny kontakt z Wrocławiem.

10 lat później, kiedy już byłem po epizodzie studenckim na fizyce we Wrocławiu i po dłuższym epizodzie studenta delegowanego z Wrocławia jako młodego geniusza w ręce młodego asystenta Einsteina prof. Leopolda Infelda do Warszawy. Kiedy prof. Infeld przyjechał ze stajni Einsteina zażądał po jednym młodym geniuszu z polskich uniwersytetów. Jako jedyny znalazłem się tam z Wrocławia i pod kierunkiem prof. Infelda skończyłem studia w Warszawie. Był to czas przydziałów pracy i mnie przydzielono robotę we Wrocławiu. W tym czasie ówczesna władza ludowa w akcie odwilży, bo już po śmierci Stalina, przekazała gmach nad Odrą Wydziałowi Fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Otrzymałem zadanie wypełnienia tego pustego wówczas gmachu meblami. Zająłem się zatem meblowaniem fragmentu nauki wrocławskiej. To jest moje dzieło pierwsze, które okazało się trwałe. Kilka lat temu przeszedłem się po tych pomieszczeniach i znalazłem ślady swojej działalności inwestycyjno-meblarskiej.

Drugą robotą był udział w studenckim teatrze „Ponuracy". To był pierwszy teatr z tzw. miotu teatrów satyry. Na wzorach warszawsko-gdańskich wypowiadaliśmy się w sposób nonkonformistyczny. Tak, Wrocław budowałem w sposób nie tylko fizyczny, byłem murarzem, ale przede wszystkim duchowo. Nasz reżyser, aktor Teatru Polskiego Wójcik, był fanem Brechta. Nie wiem, jak on dotarł do twórczości Brechta, w każdym razie czytał na próbach tego niemieckiego dramaturga, ale ciągle nie mógł z Brechta zrobić spektaklu, a chciał z Brechta zrobić teatr współczesny. Napisałem wtedy kilka tekstów. Ponieważ mam dość wyrazistą ekspresję głosową, on to podchwycił i dał mi główną rolę. Byłem więc autorem tekstów i aktorem. I to była moja pierwsza, jak ja to nazywam, prefizyczna akcja na rzecz Wrocławia.

Dobrze wspominam ten pobyt w „Ponurakach". Wokół gruzy, niedaleko Kuźniczej 29a była zburzona kamienica i stamtąd, przy silniejszych wiatrach, zalatywało trupami. Po 10 latach Wrocław oczyścił się z gruzów, a ja ciągle pamiętałem tan zapach.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się tradycyjnie, tzn. byłem w Komisji Kultury. Zgodnie z tym pojęciem to była strefa metafizyczna, tzn. do kultury należały architektura i wystrój miasta. To jest raz, a dwa, to Komisja Współpracy z Zagranicą. Ta sfera była mi przypisana jakby od razu, jako temu obeznanemu trochę z językami obcymi i jako szefowi międzynarodowych festiwali. Zajmowałem się też zagadnieniami promocji Wrocławia poza granicami.

Przytoczę tutaj historię, która mnie bardzo poruszyła, a była wyrazem braków w uchwałodawstwie miejskim. Moje wystąpienie poparły inne opcje polityczne Miasta. Myślę o bardzo przykrym wypadku, który zdarzył się przy ul. Krupniczej. Jeden z budynków mieszczących się przy tej arterii został sprzedany pewnemu chciwcowi wraz z mieszkańcami. Sprzedaż była uwarunkowana tym, że godził się na to, że będą oni tam jeszcze mieszkać bodajże w ciągu 10 lat. Jeśliby chciał się ich pozbyć wcześniej, musiał zapewnić lokale zastępcze. Po upływie tego terminu, miał prawo ich eksmitować. Decyzja ta okazała się bardzo nieszczęśliwa, bowiem części mieszkańców nie stać było na wykupienie sobie nowych mieszkań. On chciał, tutaj okazał się łobuzem, dokonać tego wcześniej. Umowa ta była opatrzona jeszcze takim paragrafem, że jeśli sami lokatorzy uznają, iż tu mieszkać nie można i się wyprowadzą, wtedy trudno… Budynek przed upływem 10 lat będzie wolny dla jego inwestycji. I co ten łobuz zrobił? On powybijał okna w trakcie mrozów i doprowadził do tego, że tam się żyć nie dało. Tam było troje małych dzieci. Rodzina została praktycznie zmuszona, żeby pójść do opieki społecznej i porosić, żeby na czas zimy ich przechowali. Tak powybijał te szyby, że ich nie było jak po raz dugi wstawić. Powybijał szyby, po prostu rozbójnik, i wyrzucił rodzinę. W Radzie Miejskiej stanęliśmy przed tym problemem – powybijał, to można go ukarać jakąś sankcją. On zapłacił sankcję za wybite szyby, ale ich nie wstawił. Wtedy ja z panem „Poprawą" zbuntowaliśmy się przeciwko „państwu Wrocław": że to nie jest zgodne z prawem rzymskim, gdzie duch musi być zgodny z literą prawa. Tutaj duch przeczył literze prawa. Opowiedziałem to, żeby podkreślić, iż zdarzały się sojusze ponadpartyjne zawierane w imię wartości humanistycznych, za tym opowiadała się większość Rady. Zawstydzeni zostali prawnicy, którzy nie dość precyzyjnie opracowali tę umowę.

Podobny przypadek miałem z wiceprezydentem Grehlem, którego sposób myślenia o samorządzie, o interesie wspólnoty był *pro publico bono*. Postulował on zbudowanie składów towarów. Przypomniałem wówczas historię wrocławskich składów soli. On wówczas powiedział: „panie radny Litwiniec, a ja się do pana dopisuję, że pan dał takie metaforyczne uzasadnienie historyczne, że kiedyś na tym Wrocław zyskał i dzisiaj też może na tym zyskać". Już nie pamiętam, w którym miejscu te składy zbudowano, trzeba było na to dość dużo kasy, ale się udało.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Nie mogę powiedzieć, że dzięki mnie Wrocław został pomalowany. Nigdy nie można powiedzieć, że coś jest dziełem jednego radnego. Te dwie kadencje, to były dobre kadencje, myśmy się wzajemnie nie wykluczali. Nawet radni z Krakowa i Poznania twierdzili: wy potraficie odłożyć sztandary polityczne. I to uważam za wielki sukces.

Pamiętam, że przyjechała do nas delegacja samorządowców z obszarów francuskojęzycznych – Francuzi, Belgowie. Oni powiedzieli wtedy, że u nas panuje dobra atmosfera na sesji. Panuje pełna demokracja, jeden mówi z takiej pozycji, drugi z innej, a nie ma nienawiści. Nie było konieczności posiadania wroga. Mogła istnieć demokracja bez wrogów.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Przegraliśmy z całkowicie egoistycznym stosunkiem niektórych mieszkańców Wrocławia do budowy śródmiejskiej obwodnicy. Przeżyłem tych 5 lat zmagań z kilkunastoma wrocławianami, mieszkającymi na trasie obwodnicy, którzy nieustannie odwoływali się do wszystkich możliwych instytucji, żeby tej obwodnicy nie budować. To już był pat. Zaczęliśmy sobie wtedy skakać do oczu, że to wina tego, to wina tego. Krzyczeliśmy: „przecież to jest twój sąsiad, jest w twojej partii, dlaczego go nie chwycisz za mordę?"

We Wrocławiu zetknąłem się z przejawami chciwości obywatelskiej, bez świadomości, że prędzej czy później przegrają. Wówczas kłóciłem się bardzo ze swoimi kolegami o przeprowadzenie obwodnicy przez Biskupin. Nawet radni z tego osiedla nie chcieli nowoczesnej drogi obok swoich domów. To była ciężka sprawa. Rada Miejska podzieliła się na tych popierających biskupinian i na resztę. To były inwestycje, które naruszały interes obywatela, który nie chciał, żeby koło jego willi huczały tiry. Do dziś dnia nie stoi, a mógł stać most na Biskupinie, odwodzący ruch z centrum. Już jechałoby się do Warszawy omijając cmentarz Osobowicki. Chwała, że wreszcie ta obwodnica poszła na drugą stronę Odry. Tylko, że myśmy 5 lat czekali, żeby wreszcie „łaska obywatelska" dała się przekonać.

To na pewno były nasze przegrane.

Ta ochratyczna, jak to nazwę z grecka, czyli populistyczna racja niektórych egoistów nas wkurzała, ale byliśmy bezsilni. To jest moja przegrana. Powiem cynicznie, ta niedobra demokracja, nierepublikańska demokracja, niewartościowa demokracja, tylko statystyczna demokracja popiera błędy, powstają po drodze spóźnienia, które są przyczyną szkód i przykrym momentem.

W Komisji Kultury nie wybuchały jakieś specjalne konflikty. Jak była kasa, to myśmy sprawiedliwie tę kasę dzielili. To trochę zależało od przewodniczącego, czy dostatecznie wcześnie przyniósł plik wniosków, żebyśmy mogli przeczytać i nabrać pewnego dystansu. Niektórzy pisali panegiryki na temat swojego pomysłu, drugim zabrakło sztuki retorycznej, a trzeba było wyłuskać najciekawsze pomysły. Przewodniczący komisji to bardzo odpowiedzialna robota, on nie tylko kieruje, ale pozwala dojść do prawdy. Jeśli chodzi o kulturę, to my praktycznie po każdej sesji uchwalającej budżet, co roku swoją retoryką wywalczaliśmy większe sumy. Raz tylko wkurzyłem się, że Opera zażądała takiej kwoty, że to pachniało skandalem, w takim wypadku brać małych zespołów byłaby ogołocona. Samorządy mają problem w takich przypadkach, gdzie jest dziecko i potężny, doświadczony brodaty starzec wymagający ogromnych nakładów na wszystkie swoje choroby.

Z przekonaniem poparłem wszystkie decyzje dotyczące bibliotek, bardzo walczyłem o biblioteki. Pafawag miał bardzo dobrą bibliotekę zawodową. Bardzo o nią walczyłem i odniosłem sukces. Czułem wtedy pewną satysfakcję, ponieważ ja jestem czytacz, mój tata leśnik był czytacz. Jakość społeczeństwa bierze się nie z telewizji. Matematyki i fizyki nie da się uczyć przez Internet i ten duch abstrakcji, jako pewnej jakości dotyczącej formy, rodzi się przez ten element mózgu czy wyobraźni, który inaczej dochodzi z papieru.

Inaczej trochę jest z naszą oświatą, ponieważ tam zawsze powstawał problem pensji, są tacy, którzy zawsze zakłócają merytoryczną rozmowę żądaniami finansowymi. Budżet kultury bardziej przeznaczony jest na książkę, na lokal niż na pensję. W tej chwili widać także, co się dzieje w zdrowiu, że 300 mld przeznaczonych na zdrowie poszło na utrzymanie załogi, tzn. 70% z 300 mld na pensję, a 30% na leki.

Na temat oświaty dużo mogę powiedzieć, ponieważ mam żonę nauczycielkę. Miałem kilka wystąpień antynauczycielskich i raz wystąpiłem z tym samym w parlamencie polskim. W czasie wielkiego wiecu zorganizowanego przed Sejmem i Senatem nie było wśród 100 afiszy i transparentów ani słowa o uczniach, o edukacji, tylko wszystko o pensjach dla nauczycieli – to jest absurdalne. W kulturze nie mogło być tak, że byłaby walka o pensje dla aktora, a nie byłoby mowy o instytucji, o repertuarze. Skapcaniało nam nauczycielstwo, a to wiem przez doświadczenie koleżanek mojej żony. W szkole, gdzie moja żona uczyła, ja bym połowę kadry zwolnił.

Muszę powiedzieć, że w Radzie Miejskiej wnosiłem spontaniczną intuicję, pewien sposób myślenia o „republice Wrocław". Choć raz muszę się pochwalić. Zdarza mi się słyszeć: „Oj Litwiniec, kiedy ty byłeś w Radzie z Grehlem, Kieresem, z prof. fizyki «Poprawą», to się inaczej tam dyskutowało. Tam panował taki duch wyższej jakości, a potem spragmatyzowała się Rada, trzeba załatwić to i to". Potem jeszcze odwiedzałem Komisję Kultury z racji uprawnień posła i senatora, który może przyjść na komisję posłuchać czy coś poradzić. Bywałem też w Radzie i sam zauważyłem, że poziom retoryki nie rośnie we Wrocławiu

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Ja sam byłem instytucją, bo założyłem Stowarzyszenie Europejskiej Myśli, które składało się z członków rozwiązanego teatru „Kalambur". Przyniosłem wyżebrane od biznesu 2 miliony na istnienie teatru, a Miasta nie było stać na dopłacenie jednego miliona do działalności. Stowarzyszenie Europejskiej Więzi miało kontynuować ochotniczą działalność, którą prowadziłem jako szef Międzynarodowego Festiwalu Teatru Otwartego. Festiwal rozwiązano na mój wniosek, ponieważ uważałem, że skończyła się epoka awangardy kontrkultury.

Rozwiązałem ten teatr w 1994 r., a przecież przewinęło się przezeń kilka tysięcy ludzi, animatorów, organizatorów, tych, którzy bawili się robiąc ten festiwal. Dla nich była to prawdziwa, obywatelska, ochotnicza gra w przygodę z teatrem, z obcymi językami, możliwość ciekawych kontaktów.

Tak, założyłem to Stowarzyszenie, a przyszła do mnie jeszcze grupa repatriantów ze wschodu, z małych miasteczek Wołynia i Podola. Twierdzili, że są samotni i utworzyli sekcję. Stowarzyszenie złożone było z sekcji kalamburowców, organizatorów festiwali i sekcji repatriantów tych miasteczek ze wschodu, którzy działają ze mną po dziś dzień. Podejmowaliśmy wiele inicjatyw. Tak powstał Ośrodek Partnerstwa Europejskiego, który jest dziełem tego Stowarzyszenia. Sprowadziłem kilkanaście wydarzeń artystycznych. Bardzo dobra była wystawa strojów współczesnych na motywach ukraińskich z Akademii Sztuk Pięknych ze Lwowa. Bardzo ciekawa wystawa artystek ze Lwowa, które sięgały do motywów kozackich strojów, ale już w ubiorze współczesnym. Kontynuowaliśmy i do dziś dnia kontynuujemy wydawnictwa. Zorganizowałem z moimi kolegami wędrówkę poetów z jednego krańca miasta na drugi kraniec, pod zobowiązaniem niezaglądania do żadnej knajpy, bowiem głód wzmaga intelekt. I tak maszerowali z Psiego Pola do Leśnicy i tam wreszcie otrzymali wikt i opierunek, i trzy dni pisali natchnieni tą pieszą wycieczką po Wrocławiu.

Zrobiłem z tego książkę „Raport ze spacerów po Wrocławiu", taki tomik poezji z refleksjami z tej wędrówki. W ramach Stowarzyszenia opracowuję „projekt ustroju dla świata". Pracuję nad tym projektem nie sam, jest na zapleczu cała brać profesorska, niektórzy członkowie teatrów studenckich z Uniwersytetu Warszawskiego, z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z Uniwersytetu Wrocławskiego, z Uniwersytetu Poznańskiego.

Stowarzyszenie prowadzi spotkania o charakterze interdyscyplinarnym młodych doktorantów przy okrągłym stole, w tym uczestniczą polonista, ekonomista, matematyk, sportowiec, którzy ze sobą dyskutują na różne tematy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Muszę powiedzieć, że moje stosunki z dzisiejszym ministrem kultury układały się na zasadach pewnej lojalności, krótko mówiąc Zdrojewski zachowywał się wobec mnie z lojalnością dobrego urzędnika. Prosił najpierw dyrektora Wydziału Kultury, gdy miałem prośbę, żebym w jego obecności przedstawił swoją prośbę. Ówczesny prezydent mówił: „proszę to Litwińcowi załatwić, bo on jest rzetelny" – to oczywiście w generalnym skrócie. Było wiadomo, że ja nie naciągnę Miasta. To się wiąże chyba z tym, ze w pewnym momencie pomogłem Miastu. Zdarzyło się tak, że grupa młodzieży wywodząca się z kulturalnego ruchu studenckiego, stworzyła bardzo drogi program, zrobiła coś w rodzaju festiwalu i oszukała Miasto. I ja się wtedy wkurzyłem i rozpoznałem tę sprawę. Była to grupa, przepraszam za określenie „gówniarzy", która mieszkała w akademikach i zaczęła od tego, że przeniosła się do najdroższego Art Hotelu ze swoimi dziewczynami. I tak roztrwonili kilkadziesiąt tysięcy złotych. Potem, kiedy zrobił się skandal i okazało się, że było to przedsięwzięcie prawie nieudane, prasa wrzała… Przygotowałem wówczas dla Rady negatywną opinię o sposobie kwalifikacji przez urzędników wniosków do realizacji. To groziło odwołaniem wiceprezydenta. Wtedy ująłem się za nim. Ta młodzież ordynarnie naciągnęła Miasto na wielkie sumy, które wystarczyłyby na ogrzanie kliku domów kultury, bo na to zawsze brakuje pieniędzy.

Jak ocenia Pana współpracę z Biurem Rady Miejskiej?

Przy tej okazji chciałbym wspomnieć także o innych biurach. Najczęściej kontaktowałem się z biurami Wydziału Kultury. Tam rozliczałem dotacje czy załatwiałem dopłatę do lokali festiwalowych. Mieliśmy z nimi bardzo dobrą współpracę, podobnie jak z Biurem Rady Miejskiej. Inaczej wspominam Biuro Promocji Miasta, które mnie zawsze odsyłało, choć, jak mi się wydawało, urządzam imprezy promujące miasto. Zorganizowałem odtworzenie barokowego obyczaju, kiedy młode panienki biegły po futro od pręgierza do szermierza. Futro fundowali rzemieślnicy, trochę dopłacało Miasto. Tłum się zjeżdżał, żeby zobaczyć, jak te dziewczyny na szpilkach biegną po to futro. Kiedy starałem się o dofinansowanie w Wydziale Promocji to odsyłali mnie do Wydziału Kultury – i tak między Scyllą i Charybdą. Pamiętam spór na ten temat w Wydziale Promocji. Powiedziałem wtedy jednemu z pracowników: „Niech pan weźmie Słownik Wyrazów Obcych, a jeśli pan nie ma, to ja pana osobiście zaprowadzę do Ossolineum, do odpowiedniej półki i niech pan przeczyta, co znaczy stała promocja". Ale śmierć i życie to było to, że mi Miasto nie przyznało 1 miliona na prowadzenie „Kalambura". Od tego czasu nie miałem za co robić przedstawień.

Przyrzekłem wyborcom, że w trakcie swojej kadencji wymuszę na Radzie Miejskiej zrobienie tych wszystkich trotuarów w uliczkach Starego Miasta. W trakcie zmiany ustrojowej Stare Miasto miało jeszcze Bismarckowskie trotuary, czego teraz już nie ma. Jak się zaczynała sesja w Nowym Roku, zawsze miałem takie krótkie przemówienie: „panie prezydencie, panie przewodniczący, chciałem przypomnieć, że znajduję się w gronie radnych, którzy obiecali swoim wyborcom, że obywatelki Starego Miasta nie będą łamać obcasów, jak w czasie ulicznego biegu po futro".

W jednym dniu w tygodniu przychodzili do mnie biedni ludzie z prośbą o pomoc. To były wizyty interwencyjne. Do mnie nie zwracano się z tzw. zasadniczymi problemami związanymi z kulturą, pełniłem wtedy raczej rolę doradcy. Spotykałem się ze środowiskiem kultury, z nurtem teatrów studenckich. Mówiłem: „Słuchaj musisz zrobić, to, to i to". Tłumaczyłem, że w tych wnioskach należy zachować proporcje, że materiały za tysiąc, a honoraria za 10 000 zł, to będzie fucha dla was, a nie uczestnictwo w ruchu amatorskim.

Nie doszłoby do tego, że za jeden sylwestrowy wieczór jedna artystka weźmie 200 000 zł. Te pieniądze starczyłyby na utrzymanie Teatru Współczesnego. Miasto uległo tego rodzaju populizmowi, który nie jest w etosie kultury.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Postęp techniczny został wprowadzony już właściwie po moim wyjściu z Rady.

W praktyce ważne było to całe zaplecze, które pozwoliło docierać z głosem, żeby być słyszanym i nagranym. Po prostu domagałem się, żeby usłyszeć, jak mówi nieśmiała koleżanka, którą trzeba koniecznie „podkręcić". Retoryka polega również na umiejętności śpiewania rozmową. Natomiast technika, że już przy stole można się odezwać, chyba w Radzie jest niepotrzebna. Radny z radnym musi mieć kontakt osobisty, podejść, powiedzieć coś do ucha. Nie wszystko można zmanipulować technicznie, bo wtedy stajemy się elementem robotyzacji. Ostrożnie w małych strukturach społecznych. Rozumiem, ze musi istnieć szybkie połączenie Moskwa – Waszyngton, żeby w sprawach kryzysów mieć możliwość szybkiego porozumienia. Życie w małych grupach jest radością i wyzwala potencję wspólnotową (proszę to zapisać, to jest moje pojęcie).

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Te dwie kadencje nie były ostro konfliktowe, nie było tak, że jeden drugiemu nawymyślał, że przewodniczący Rady musi odwołać się do Sądu Koleżeńskiego.

Pamiętam dobrze sprawę powieszenia krzyża w Radzie, spór wybuchł, ale wszystko jakoś ucichło. Ten krzyż by przeszedł, nawet socjaliści powiedzieli: „większość chce, to nich większość ma". Tutaj jakaś ortodoksja jest nie na miejscu, chyba że ktoś pryncypialnie uznaje literę za literę. To był taki jedyny przykład wśród lewicy, kiedy zastanawiała się wyjść, czy nie wyjść. Ale jakoś później nikt do tego nie wracał, mówię o lewej stronie, która

zasadę świeckiego państwa ma w statutach. Mogę powiedzieć, że wśród lewicowych radnych był taki absmak. To był absmak nie od Kościoła, nie do Chrystusa czy do tych babć, które chcą umrzeć z księdzem. Tylko, po co się afiszować z tym, co jest pewną intymnością ludzką. Raz do roku przyjmę księdza na rozmowę, tę taką noworoczną. Przyjmuję, bo byłem kiedyś chrzczony, bierzmowany i wychowany w tym systemie kulturowym. Oznacza to, że chcę sobie porozmawiać w moim prywatnym mieszkaniu o sprawach duchowości. Gdybym tę rozmowę odbywał nie w moim prywatnym mieszkaniu, tylko na wiecu, to byłaby manifestacja. I dlatego myśmy mieli pewien absmak, krzyż powiesił jeden dewot i dwie dewotki, to był czysty dewocyjny odruch. Będę w piekle, jeśli nie powieszę. Rozmawiałem z tymi radnymi i z tego, co pamiętam takie właśnie były argumenty: „panie radny, czy pan chce odpowiadać za to, że ja się będę w piekle smażył?"

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Z radami osiedlowymi stykałem się w czasie walki o budowę obwodnicy.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media nie pomogły, moim zdaniem, utrwalać demokracji. Mnie osobiście tylko raz pomogły, bo to była sensacja. Między innymi za sprawą tej obwodnicy wyreżyserowałem taką scenę: bębny od „Kalambura", nagi Litwiniec (oczywiście bez jąder na wierzchu), mnie obtłukiwali. Grałem winnego, który musi przejść przez pokutę za błędy Rady Miejskiej. To była sensacja. Tylko nie było czasu, żeby się zainteresować, o jakie to błędy Rady Miejskiej chodzi. Ważne, że jest radny, że jest nagi, że walą w bębny, że biczują Litwińca. Prosiłem o wywiad w Polskim Radiu – nie było. Chciałem wtedy powiedzieć, że na biblioteki należy dorzucić w połowie roku, bo im nie starcza pieniędzy. Chciałem poruszyć problem komunikacji, miałem bowiem wyobraźnię, że Wrocław się zatka komunikacyjnie.

◇◇◇

ska" pana Piotra Jaroszyńskiego profesora KUL-u. Z tej racji uważałem, że moje miejsce powinno być w Komisji Rodziny. Właśnie w tej komisji pracuję do dnia dzisiejszego. W Komisji Kultury też pracuję trzecią kadencję. W obecnej V kadencji pracuję także w Komisji Komunikacji i Środowiska, która zajmuje się bardzo ważnymi dla naszego miasta problemami.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Nie mogę mówić o jakichś wielkich sukcesach. W dużej mierze staram się załatwiać sprawy publiczne, które nurtują ludzi. Interesują mnie sprawy, które znam jako radny z okręgu wyborczego. Pierwszym moim sukcesem, wracając do mojej pierwszej kadencji było to, że Szkoła Podstawowa nr 19 na Pilczycach pozyskała salę gimnastyczną. Muszę jednak podkreślić, że nie uważam się tak do końca za ojca tego sukcesu, ponieważ gdyby szkoła nie była przygotowana i nie miała wsparcia rady osiedla, rady rodziców, to też byłoby trudno. Wsparcie jednak było, a mój głos przeważył, że jedna z trzech budowanych sal powstała w szkole na Pilczycach.

Jako radni pracujemy nad sprawami gospodarczymi, budżetowymi. Nie zawsze wszystkie problemy dało się od razu rozwiązać, ale muszę zaznaczyć, że wiele doczekało się realizacji. Ostatnio zajmowałem się problemem kanalizacji. Jedna z ulic w Praczach Odrzańskich nie jest skanalizowana.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Myślę, że takich druzgocących spraw nie było. Uważam, że lepiej, kiedy nie ma jednomyślności, bo do niej łatwo się przyzwyczaić. Gdy jest mocna opozycja i jeszcze konstruktywna, wtedy wszystkie nieprawidłowości można wyprostować. Nie mogę powiedzieć, że zdarzyło się coś, czego bym się wstydził.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Staram się słuchać głosu moich wyborców. Oprócz tego, że mam dyżury w Radzie Miejskiej według ustalonego harmonogramu, to właściwie jestem do dyspozycji przez cały czas, ponieważ w radzie osiedla często przyjmuję moich wyborców mających problemy. Staram się rozwiązywać nieraz bardzo prozaiczne i osobiste problemy mieszkańców. Na rzecz mieszkańców podejmowałem wiele działań społecznych. Jednym z moich postanowień przedwyborczych było, że chciałem umieć spojrzeć wyborcom w oczy po skończonej kadencji.

Pełniąc dyżur radnego trafiłem tylko na kilka poważnych spraw. Na dyżury radnych bardzo często przychodzą ludzie, śmiejemy się, że „etatowi". Czasami przychodzą z takimi sprawami, które się nie potwierdzają. Ludzie ci zajmują czas, gdyż nie można być obojętnym wobec zgłaszanych problemów. Występujemy do prezydenta czy też do służb Urzędu Miejskiego i okazuje się, że już kilkakrotnie te sprawy były poruszane. Były już odpowiedzi. Są też jednak tematy, które, niestety, nie zostały załatwione. Czasami jestem „namolny", żeby daną sprawę załatwić.

Jak Pan ocenia pracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jeśli chodzi o organizacje pozasamorządowe to uważam, że jest to jeszcze program bardzo raczkujący. Widzę wiele błędów popełnianych przez organizacje pozasamorządowe. Nie podoba mi się bardzo mocne zbiurokratyzowanie całej procedury. Wydaje mi się, że mogłaby ona być mniej absorbująca, jeżeli chodzi o pisanie dokumentów. Zdaję sobie sprawę, że tam, gdzie są środki publiczne musi być rzetelna kontrola, chociaż nie zawsze sprawozdanie napisane na papierze jest adekwatne do tego, co się robi.

Pracując nad statutem osiedli chcieliśmy wprowadzić funkcję kontrolną dla rad osiedli, aby weryfikować np., czy na danym osiedlu potrzebna jest świetlica, czy rzeczywiście korzystają z niej dzieci. Nie chodzi o to, żeby ktoś kontrolował merytorycznie, ale by nadzorował, co się dzieje. Myślę, że taka kontrola byłaby bardziej efektywna niż pisanie długich sprawozdań.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W III kadencji Rady Miejskiej nie byłem w koalicji, wtedy może miałem więcej swobody, ale mniej wiedziałem. Teraz wiem, że wiele spraw załatwia się na klubach. Dwie ostatnie kadencje jestem w klubie Rafała Dutkiewicza. W poprzedniej kadencji byłem w klubie PiS-u, obecnie w klubie prezydenta Rafała Dutkiewicza. Nie mogę powiedzieć, że te stosunki źle się układają, ponieważ to, co nam leży na sercu, co nas boli rozważamy na klubie. Jeżeli natomiast chodzi o Radę Miejską, to kiedyś była mocna opozycja w postaci SLD, teraz jest w postaci PO.

Nie każdy może jest zadowolony z rządów Urzędu Miejskiego, daleko nam do doskonałości, ale nie jest przecież tak bardzo źle. Chodzi o to, żeby margines tego, co złe był rzeczywiście tylko marginesem.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Z Biurem Rady Miejskiej moja współpraca układa się bardzo dobrze. Jestem traktowany bardzo podmiotowo, bardzo poważnie. Jeszcze jak prowadziłem Komisję ds. Osiedli, to nigdy nie było sytuacji, że coś nie zostało odpowiednio załatwione. Jestem bardzo usatysfakcjonowany tą współpracą.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Uważam, że jest bardzo dobrze. Warunki sprzyjają, by wrocławianie mogli uczestniczyć w sesjach. Nie ma takiego problemu, jakim mógł być problem lokalowy.

Zawsze myślałem, że jak będzie poczta elektroniczna to tych różnych materiałów będzie mniej. Niestety, jesteśmy zasypywani tak ogromną ilością różnych pism, że nie jestem w stanie wszystkiego przeczytać i pochylić się nad wszystkim. Apeluję do moich wyborców, że pismo to tylko dokument formalny, natomiast trzeba przychodzić, mówić, ponieważ jestem nie tylko radnym, ale wykonuję też pracę zawodową.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych na pewno są płaszczyzną do omawiania wielu problemów. Myślę, że istnienie klubów jest uzasadnione, ponieważ są one na pewno areną wymiany poglądów.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W pamięci pozostaje każda uroczysta sesja 24 czerwca związana z naszym świętem, uhonorowanie nagrodami Wrocławia wybitnych mieszkańców czy nagrodą Honorowego Obywatela Wrocławia. Obchodziliśmy 15-lecie samorządu wrocławskiego i to również zapisało się w mojej pamięci. Ta 20 rocznica na pewno będzie znacząca. Bardzo ważne są też sesje, na których ustanawia się budżet czy udziela absolutorium.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radzie osiedla pełniłem funkcje w zarządzie, dwie kadencje wstecz byłem przewodniczącym rady. Obecnie jestem przewodniczącym Rady Osiedla Pilczyce-Kozanów-Popowice. Na funkcjonowanie rad osiedla mam szerszy pogląd, ponieważ w IV kadencji Rady Miejskiej przewodziłem Komisji ds. Osiedli. Powiedziałbym, że nie ma właściwie reguły, jeżeli chodzi o działalność rad osiedli. Wiadomo, że są one tak prężne i tak działają, jakich mają radnych. Radni są z wyborów powszechnych. Jeżeli niektórzy kandydaci oczekiwali wielkich diet i to nimi kierowało, żeby wejść do rady, to właściwie trudno oczekiwać jakichś sukcesów. Natomiast tam, gdzie naprawdę weszły osoby, które miały na względzie dobro osiedla, to te osiedla działają dobrze. Przeglądając sprawozdania, które rady były zobowiązane przesyłać do gminy, doszedłem do wniosku, że tylko około 30% rad osiedli spełnia moje oczekiwania, 70% to tak różnie. Muszę jednak zauważyć, że były też takie rady osiedli, które nie wykorzystywały minimum przyznanych im środków. Nawet te marne subwencje, które rady osiedla posiadają, były niewykorzystywane. A przecież wiemy, że na osiedlu jest wiele rzeczy do zrobienia, które wychodzą poza procedury organizacji pozarządowych. Istnieją koła, nieformalne drużyny sportowe, które potrzebują środków na nagrody, koszulki, itp. I to są środki z subwencji rady osiedla, które powinny być wykorzystane, ponieważ te nieformalne organizacje nie mogą występować o wsparcie.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie mediów jest duże. Media oczywiście interesują się wszelkiego rodzaju niepowodzeniami, czasem są mało obiektywne. Znam taką telewizję, ale nie powiem, która to jest, bo mogłaby to być kryptoreklama, która bez komentarza pokazuje to, co się dzieje.



Zbigniew MAGDZIARZ

Radny I i II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1990-1998.
Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego, urzędnik.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Raczej nie, nie było takich możliwości. Pewne doświadczenia zdobyłem w latach 1983-1985, kiedy to jako członek NZS pełniłem funkcję delegata studentów do Rady Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Tam poznałem procedurę funkcjonowania organów kolegialnych, ale to było wszystko.

Z pewnością lepiej przygotowany byłem politycznie. Ostatnio pani Grażyna Tomaszewska poprosiła, abym powiadomił mojego wujka, że na wystawie „Historia Wrocławia" w Muzeum Miejskim został wyeksponowany ten sam powielacz, na którym w naszym domu przez pięć lat powielane były podziemne materiały.

Gdy na początku 1990 r. pojawiła się idea wyborów samorządowych część z nas, w ramach Komitetu Obywatelskiego, uzyskała możliwość uczestniczenia w posiedzeniach rad narodowych. Zostałem oddelegowany do

Rady Narodowej Wrocław-Krzyki i uczestniczyłem w jej posiedzeniach jako obserwator. Trudno powiedzieć, czy zdobyte tam umiejętności przydały mi się, z pewnością były to ciekawe obserwacje.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Pierwszym przewodnikiem po Wrocławiu był mój ojciec. Wielokrotnie pokazywał mi wystawy czy artykuły w prasie dotyczące rozwoju Wrocławia. Pamiętam projekty przebudowy ul. Suchej i Swobodnej oraz inne rozwiązania urbanistyczne, z których oczywiście nic nie wyszło.

Jako 18-latek w 1979 r. zostałem członkiem Towarzystwa Miłośników Wrocławia oraz laureatem konkursu wiedzy o Wrocławiu. Tak się składa, że obecnie już od 20 lat jestem organizatorem tego ogólnomiejskiego konkursu. Mogę powiedzieć, że Wrocław cały czas przewija się przez moje życie.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W I kadencji byłem członkiem Komisji Kultury, Komisji Inwentaryzacyjnej, Komisji Sportu oraz przewodniczącym Komisji Nazewnictwa. Byłem też członkiem Komisji Architektury, ale z uczestnictwa w niej zrezygnowałem po 3-4 miesiącach.

Uważam, że bardzo ważną, choć niedocenianą obecnie rolę odegrała Komisja Inwentaryzacyjna. Dokonała ona jednej z najbardziej fundamentalnych rzeczy. Doprowadziła do komunalizacji całego mienia Gminy Wrocław. Dokumentacja tego procesu, to dziesiątki tysięcy dokumentów. Na wielu z nich jest mój podpis. Komunalizacja była ciągiem wielu procedur. Trzeba było sporządzić m.in. podkłady, mapki, opisy danej nieruchomości oraz tzw. kartę inwentaryzacyjną. Karta musiała przejść odpowiednie etapy. Na końcu podpisywali ją członkowie komisji i przekazywano ją wojewodzie, który wydawał następnie stosowną decyzję. Taki dokument został sporządzony m.in. dla ratusza. Było to ważne i zarazem symboliczne wydarzenie. Oto ratusz – symbol Wrocławia podlega komunalizacji i powraca do Miasta. Od tego momentu można już było mówić o prawdziwym samorządowym charakterze ówczesnych władz Wrocławia i o nawiązaniu do bogatej średniowiecznej tradycji wrocławskiego samorządu.

Komunalizacja objąć miała większość budynków we Wrocławiu. Po pewnym czasie zaczęliśmy obawiać się, że sami będziemy musieli kompletować wszystkie dokumenty – taki też był początkowy zamysł ministerstwa. Na szczęście po 4 czy 5 miesiącach, uwidoczniony ogrom pracy spowodował, że w Urzędzie Miasta powstała specjalna komórka, która przejęła część zadań. Rola radnych ograniczyła się do podejmowania strategicznych decyzji, opiniowania i podpisywania tysięcy dokumentów. Podpisując je czuliśmy się trochę, jak „pionierzy" pozyskujący dla Miasta kolejne obiekty. Dzięki, m.in., komunalizacji kamienic wokół Rynku i późniejszym decyzjom władz Miasta mógł powstać najbardziej „imprezowy" plac w tej części Europy.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie wprost. Naprawdę żyliśmy w innych czasach. Idea, że w obrębie Rynku nie będzie sklepu mięsnego czy spożywczego „przekraczała" wtedy „zdolności" mieszkańców Wrocławia, nasze – radnych – również. A już wizja wiceprezydenta Turkowskiego, że główny plac miasta stać się ma „wielkim pubem....".

Nie mieliśmy wówczas wzorców do naśladowania. Często to Wrocław stawał się takim wzorcem, tak było nie tylko w przypadku Rynku i kostki granitowej na nim, ale również w sprawie Statutu Gminy i innych podejmowanych uchwał. Powinniśmy być dumni, że tak wiele miast i gmin wdrażało nasze, wrocławskie wzorce.

Nie dla wszystkich, np., było oczywiste, że w ramach Rady Miejskiej musi funkcjonować Komisja Sportu. Pojawiła się ona dopiero po roku, głównie w wyniku starań Włodka Mękarskiego. Od początku komisja zajmowała się na równi sportem młodzieżowym, jak i wyczynowym. Udało się wówczas stworzyć symbiozę pomiędzy klubami, działaczami a Urzędem. Sport stał się wizytówką Wrocławia, czego nie można powiedzieć o obecnych czasach. Dzisiaj mamy spory kryzys w tej dziedzinie. Sportowe sukcesy Wrocławia z końca lat 90. XX w., to m.in. efekt pracy tej komisji. Wówczas też powstawały nowe obiekty sportowe, takie jak hala „Orbita", basen na Psim Polu, wyremontowana została także Hala Ludowa.

Nie wiem, czy najważniejszym sukcesem tej Rady nie było to, że w jej ramach każdy z nas uzyskał swój własny obszar do samorealizacji. Nikt nam nie przeszkadzał w realizacji własnych pomysłów. Jedynymi ograniczeniami były przepisy prawa i możliwości finansowe gminy. Jak popatrzymy na fotografie ówczesnych radnych, to automatycznie „widzimy" zagadnienia/problemy, którym dany(a) radny(a) się zajmował, np. p. W. Mękarski to sport, E. Rzewuska – ekologia, S. Kawski – ochrona zwierząt, R. Majewski – Odra, E. Góralczyk – gospodarka komunalna, a E. Gałek – rolnictwo. Każdy z nas miał swój własny obszar samodzielnego działania. Były grupy architektów, urbanistów, lekarzy, artystów, którzy realizowali własne pomysły. W moim przypadku była to Komisja Nazewnictwa Ulic i budowa wrocławskiej tożsamości. Co najważniejsze, chcieliśmy to wszystko robić za darmo. Pamiętam nasze zaskoczenie, że za pracę w Radzie otrzymywać będziemy dietę. Później okazało się, że pełniąc zaszczytny tytuł radnego wielu z nas straciło na tym finansowo, np. poprzez zakaz projektowania dla Wrocławia czy zakaz współpracy z firmami miejskimi.

Komisja Nazewnictwa Ulic to „moje dziecko". Powstała ona w wyniku silnych nacisków mieszkańców i organizacji żądających stosownych zmian. Już na początku kadencji zgłoszono ponad 500 propozycji zmian nazw dotyczących około 120 ulic. Nieodzowne stało się utworzenie specjalnej komisji, która już w lipcu 1990 r. otrzy-

mała zadanie przygotowania stosownej uchwały. Komisja ta przy pomocy Komisji Nazewnictwa Ulic działającej w ramach TMW dokonała analizy zgłoszonych propozycji, ustalając listę ulic, którym należało zmienić nazwę ze względów historycznych, językowych (błędna pisownia), organizacyjnych, itp. Później zaproszono grupę historyków (np. prof. W. Wrzesiński) i językoznawców (profesorowie: B. Siciński, F. Nieckula, J. Miodek) i wspólnie zaproponowano nowe nazwy, przyjmując następujące reguły ich wyboru: przywrócenie nazwy historycznej, nawiązanie do nazw ulic sąsiednich (tzw. gniazdo semantyczne) i dopiero na końcu – uczczenie ignorowanych dotąd ważnych osób i wydarzeń historycznych. Tak przygotowane nazwy pod koniec 1990 r. zostały poddane pod publiczną dyskusję i w maju 1991 r. przyjęte. Obowiązywać zaczęły dopiero od 1 stycznia 1993 r. Podziękowania należą się ówczesnej prasie Wrocławia za szalenie konstruktywne podejście do tego problemu. Nawet nie chcę sobie wyobrażać przeprowadzenia takiej operacji w obecnych czasach. Chwalę tamtą prasę, mimo że to wtedy znalazłem się na pierwszej stronie jednej z gazet jako tzw. „negatywny bohater". Wówczas to autor artykułu nie chciał zrozumieć, że słynny „wóz Drzymały" miał Michał, a nie Wojciech Drzymała – bo taka nazwa ulicy obowiązywała do 1993 r. Prawdopodobnie Wojciech Drzymała był powojennym osiedlowym działaczem minionego systemu i otrzymał na Maślicach ulicę, podobnie jak bracia Steczyńscy na Klecinie.

Komisja Nazewnictwa Ulic zajmowała się nie tylko zmianą nazw ulic, lecz także prawnym uregulowaniem nazw ponad tysiąca ulic, parków, mostów, potoków, grobli, wzgórz oraz innych obiektów topograficznych. Mam też „dziką" satysfakcję wiedząc, że data nowego Święta Wrocławia, tj. 24 czerwca, jest moim autorskim pomysłem. Pozwolono mi wtedy nie tylko na wdrożenie tego pomysłu, ale i na stosowne rozmowy z „Ostrowem Tumskim".

Ta komisja to także budowa nowej tożsamości Wrocławia, to np. flaga miasta z nowym herbem, system nagród przyznawanych przez władze miasta, w tym *Civitate Wratislaviensi Donatus*. Należy pamiętać, że były to całkiem inne czasy. Gdy w 1991 r. na ul. Piłsudskiego pojawił się bar szybkiej obsługi „Mr Beaf", to od razu do komisji trafił protest mieszkańca, któremu ta nazwa kojarzyła się z Messerschmittem i z jego przeżyciami z II wojny światowej. Słowo Breslau wypowiadane swobodnie pojawiło się dopiero w połowie lat 90. Przewodniczyłem również podkomisji ds. turystyki działającej przy Komisji Sportu. Powstało ona, kiedy nie znano jeszcze legend i bajek o Wrocławiu, gdy trzeba było mocno zachęcać wydawców do wydawania książek o Wrocławiu. W ramach tej podkomisji, wspólnie z jej członkiem (spoza Rady) Bronisławem Zatheyem i z całym środowiskiem turystycznym, w 1996 r. udało nam się przyjąć uchwałę (XXXI/351/96) zawierającą program rozwoju turystyki, w tym i tożsamości Wrocławia. Nie jest już banałem określenie, że Wrocław to miasto spotkań, kalejdoskop kultur i narodowości. Przypominam sobie ówczesny problem synagogi rozpatrywany w ramach Komisji Kultury, czy ma to być świątynia, czy też biblioteka Akademii Medycznej. Nie było też problemu, aby w tej dość konserwatywnej Radzie wesprzeć dotacją prawosławną cerkiew czy kościół ewangelicki. Chór Oktoich dofinansowywany był zarówno w I, jak i w II kadencji.

Mam dużą satysfakcję, że swoimi działaniami przyczyniłem się do budowy wrocławskiej tożsamości. Te działania realizowałem w Radzie Miejskiej i w Towarzystwie Miłośników Wrocławia skupiającym ludzi, dla których – wbrew obiegowym opiniom – miłość do miasta była silniejsza od sentymentów historycznych i politycznych. Właśnie w ramach TMW powstała pionierska publikacja pt. „Wrocław w datach", gdzie p. Maciej Łagiewski umieścił pełny zestaw przedwojennych Honorowych Obywateli Wrocławia i burmistrzów Wrocławia. Długo zastanawialiśmy się wtedy, czy można już wydać polską wersję „Ballady o dzwonie Grzesznika" Wilhelma Müllera i czy rozpropagować inne legendy, jak np. „Mostek Czarownic", „Brama Kluszczana". Do połowy lat 90. były to pojęcia obce. Druku tych legend podjęło się działające przy TMW wydawnictwo „Wratislavia". Nawiązaliśmy wówczas kontakty ze szkołami, a organizowane przez nas konkursy pobudziły zainteresowanie historią i tradycją Wrocławia, wzrosło zapotrzebowanie na stosowne materiały. Swoista determinacja Komisji Kultury w II kadencji doprowadziła m.in. do powstania wielu „kultowych" obecnie publikacji.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Porażki na pewno były, ale spraw do zrobienia było tak wiele, że nie sposób było wszystkiego zrealizować. Mówienie o tym, że niezrealizowanie czegoś było porażką – to nieporozumienie. Można, przykładowo, zarzucić, że za późno zainteresowaliśmy się Torem Wyścigów Konnych i zbyt długo przywracaliśmy mieszkańcom ten piękny teren na południu Wrocławia, ale kto pamięta, że wymagało to kilkuletnich rozmów z Ministerstwem Rolnictwa i Skarbu? Można też powiedzieć, że porażką był upadek przemysłu ciężkiego, ale z perspektywy czasu, czy to porażka?

Pamiętam radnego Jerzego Przystawę, który jako przedstawiciel opozycji miał wątpliwości, czy należy inwestować w rozbudowę wrocławskiego lotniska. Miał on wówczas prawo postawić takie pytanie i należało się nad nim zastanowić. Radny Lenkiewicz toczył długi i ostry spór o Wzgórze Partyzantów, dotyczący wyboru dzierżawcy. Większość z nas uważała, że Lenkiewicz „jak zwykle" nie ma racji, a tu chyba miał. Rozwiązania przyjęte przez Radę nie sprawdziły się. Efekt końcowy jest taki, że Wzgórze to nie pełni obecnie swoich funkcji, wygląda tak, jak wygląda i z pewnością jest to porażka Rady. Ale błędów nie popełnia ten, kto nic nie robi.

Może współpraca z sąsiednimi gminami mogła układać się lepiej. Zajęci problemami wrocławskimi, nie dostrzegaliśmy potrzeby budowy metropolii. Pamiętam, że czymś abstrakcyjnym była idea współpracy Wrocławia

z Kobierzycami, gdy Bielany były jedynie skrzyżowaniem mało uczęszczanej autostrady „donikąd" z drogą na Kłodzko. Było czymś zdumiewającym, że oto nagle pod Wrocławiem powstaje centrum handlowe. Po co? Jak je skomunikować z miastem? Kolejnym niezrealizowanym przedsięwzięciem była szybka kolej miejska. Błędem okazała się też likwidacja kolei wąskotorowej do Milicza i trasy do Sobótki. Jednak trzeba pamiętać, że PKP było państwem w państwie i możliwości współpracy były i nadal są mocno ograniczone.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca z instytucjami rządowymi, bo od tych zacznę, układała się bardzo dobrze. Urząd Wojewódzki był instytucją, która również uczyła się wielu nowych spraw.

Wspominałem już o naszej współpracy z TMW. Współpracowaliśmy także ze stowarzyszeniami urbanistów i architektów, ekologów, ochrony praw zwierząt, PTTK, organizacjami społecznymi i oświatowymi. Była to dobra współpraca. Chętnie słuchano opinii przedstawicieli tych towarzystw i z pewnością nawiązane wzajemne kontakty służyły rozwojowi miasta.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Kontakty z wyborcami były problemem, generalnie współpraca ta układała się źle. Spotkania z wyborcami, jeśli ktoś na nie przychodził, często ujawniały prywatny, roszczeniowy i co najgorsze, niepodlegający dyskusji interes danego wyborcy. Ze strony wyborców bardzo rzadko pojawiała się chęć współpracy. Regułą jest, że przez pierwszy rok takich spotkań jest najwięcej, potem ich intensywność maleje, po to, aby nasilić się przed kolejnymi wyborami. Uważam, że pod tym względem sytuacja w I i w II kadencji niczym się nie różniła.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Ważną rolę odgrywała osobowość prezydenta i osób, które tworzyły Zarząd Miasta. Mocna pozycja Rady powodowała, że prezydent i jego zastępcy musieli brać pod uwagę żądania i opinie radnych. Współpraca „musiała być dobra", bo Rada miała siłę sprawczą do odwołania Zarządu. Nie ulega wątpliwości, że pozycja radnych w tamtych czasach była o wiele mocniejsza. Dawniej na interwencję radnego reagowano w Urzędzie inaczej niż teraz. O pozycji radnych świadczył również sposób udzielania odpowiedzi na interpelacje i zapytania radnego. Wówczas nie było takiej sytuacji, aby były to zdawkowe odpowiedzi i broń Boże udzielone po upływie dwóch tygodni. Każdy pierwszy dzień sesji to była „niezła przepychanka", zasypywano prezydenta i członków Zarządu dziesiątkami pytań i, o dziwo, udzielane na nie odpowiedzi były bardzo konkretne.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Na początku był krótki okres nieufności wobec pracowników Biura, ale gdy zorientowaliśmy się, że są to osoby nie tylko dobrze przygotowane merytoryczne, ale i wzbudzające zaufanie, współpraca zaczęła się układać bardzo dobrze. Swoją pracę panie i panowie z Biura wykonywali rzetelnie, nie było większych uwag do ich pracy, a co najważniejsze do apolityczności Biura Rady. Stopniowo pracownicy Biura otrzymywali od przewodniczących i członków komisji coraz większy zakres kompetencji. Po początkowym okresie kontrolowania np. wychodzących pism, później był już „automat". Bez wątpienia osobowością Biura była i jest pani dyrektor Janina Śledzińska.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na początku była maszyna do pisania i teksty przepisywane w hali maszyn. Pierwszym powiewem nowoczesności były elektroniczne maszyny do pisania. Komputery, a właściwe edytory tekstu, pojawiły się w połowie I kadencji. Później były już ksera i setki ton materiałów drukowanych na potrzeby radnych. Obecnie – to pakiet materiałów wysyłanych mailem na służbowe laptopy radnych.

Przez pierwsze dwa lata Rada obradowała na drugim piętrze gmachu Urzędu Miejskiego przy Nowym Targu w tzw. sali 215, a komisje przy ul. G. Zapolskiej, na pl. Kromera i w Sukiennicach (obecny Wydział Finansowy Urzędu). Dopiero pod koniec I kadencji Rada przeniosła się do obecnej sali sesyjnej, czekającej już na remont. Pod koniec III kadencji, po kompleksowym remoncie, oddano do dyspozycji radnych jedną z najpiękniejszych w Polsce sal sesyjnych.

Bardzo ważną rolę pełnił również bufet. Początkowo, kiedy sesje odbywały się na Nowym Targu, bufet ulokowany w przyziemiu był jedynie miejscem szybkiej konsumpcji w przerwach sesji. Natomiast w Sukiennicach bufet zaczął pełnić rolę miejsca posesyjnego wyciszenia i zaniku wzajemnych złośliwości. Często wiele osób irytowało, gdy radni, którzy w trakcie obrad „częstowali się" różnymi złośliwościami, po wyjściu do bufetu traktowali się jak dobrzy znajomi. Może te „wspólne posiłki" nie dotyczyły wszystkich, ale rzeczywiście bufet łagodził obyczaje.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich działalność?

Najkrócej w Komisji Architektury, trwało to ok. 3 - 4 miesiące. Na tym przykładzie można prześledzić, jaka była rotacja członków komisji w początkowym okresie funkcjonowania Rady. Praktycznie dopiero po pierwszym roku ukształtował się ostateczny skład poszczególnych komisji.

Byłem też członkiem bardzo ciekawej komisji, tj. Komisji Kultury. Tworzyli ją ludzie kultury, którzy reprezentowali różne środowiska twórcze. Pamiętam silną reprezentację wrocławskiego Teatru Polskiego (E. Petrykat, Z. Karnecki, nieżyjący już Z. Bielawski,). Dla mnie, młodego człowieka, wielkim zaszczytem była możliwość

współpracy z takim gronem. Ta komisja decydowała o podziale środków na kulturę i naukę. Długo dyskutowano wówczas, komu dać 100 zł (na dzisiejsze kwoty), a komu 50 tys. To właśnie radni z Komisji Kultury jak i Komisji Sportu decydowali o podziale środków. Wówczas urzędnik miejski przychodził na posiedzenie komisji jedynie po to, aby dostarczyć listę wniosków i udzielić szczegółowych informacji o wnioskodawcy. Obecnie jest zupełnie inaczej. To urzędnik decyduje o dotacji, a Komisja jedynie ją akceptuje. Ten przykład kolejny już raz wzmacnia pierwotną tezę, że pozycja ówczesnego radnego była znacznie silniejsza niż obecnie.

W ramach Komisji Kultury istniała także ścisła współpraca między radnymi a dyrektorami placówek kultury. Uczestniczyli oni w rozmowach, które często przeciągały się do godz. 21 czy 22. Podobnie było w przypadku Komisji Sportu, gdzie bardzo częstymi gośćmi byli dyrektorzy MOSiR-ów, szefowie klubów sportowych. Rozmawiało się z nimi nie tylko o bieżących problemach sportu młodzieżowego i wyczynowego, ale również planowano działania na kilka następnych lat, tak np. zrodziła się m.in. idea Otwartych Mistrzostw Wrocławia.

Powracając jeszcze do Komisji Nazewnictwa Ulic, to generalnie jestem zadowolony z nazw zaproponowanych wówczas przez Komisję Nazewnictwa Ulic, choć i tu pojawiają się małe wątpliwości. Może trzeba było zostawić gen. Połbina, Adama Próchnika, a plac PKWN nazwać starą przedwojenną nazwą plac Słoneczny (bo plac Legionów jakoś nie chwyta), może trzeba było „odważniej" korzystać z bohaterów i wydarzeń po 1956. Z pewnością ciekawa jest świadomość, że za sto/dwieście lat nie będą już funkcjonować przyjmowane obecnie uchwały budżetowe, statuty, regulaminy, plany zagospodarowania przestrzennego, a uchwały w sprawie nazw ulic obowiązywać będą nadal, podobnie jak teraz, gdzie jedynymi powojennymi uchwałami posiadającymi moc prawną są uchwały o nazwach ulic z 1945 i 1946 r.

W II kadencji pracowałem w Komisji Kultury i Nauki, w Komisji Sportu, w podkomisjach turystyki i nazewnictwa oraz, tak samo, jak w I kadencji, byłem delegatem Gminy Wrocław do Sejmiku Samorządowego.

Przez cztery lata II kadencji byłem przewodniczącym Komisji Oświaty i Młodzieży Rady Miejskiej Wrocławia. Wówczas zawodowo jako pracownik Kuratorium Oświaty i społecznie jako przewodniczący komisji uczestniczyłem w procesie przekazywania całej oświaty samorządowi. Pamiętam dość trudne rozmowy, aby gmina na początek przejęła szkoły podstawowe. Samorząd, zresztą słusznie, obawiał się, że wraz ze szkołami przejmie ich problemy finansowe. Potem pojawiła się ustawa z 1998 r. o reformie oświaty, powstały gimnazja. Na koniec przyszedł czas na przejęcie przez Wrocław szkół średnich. Z perspektywy czasu okazuje się, że błędem było zlikwidowanie szkół przyzakładowych i szkół zawodowych. W tym przypadku uwierzyliśmy, że rozwój cywilizacyjny będzie tak szybki, że nie będzie już zapotrzebowania na tego typu obszary edukacyjne.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W latach 90. XX w. wydawało się, że kluby nie są potrzebne, ale okazało się, że w tej wydawałoby się jednolitej Radzie I kadencji podskórnie kształtowało się już kilka klubów. Na początku między nami nie było widać żadnych różnic politycznych, one ujawniły się praktycznie po zakończeniu kadencji. Dopiero teraz można ocenić, komu bliżej było do liberalizmu, konserwatyzmu, socjaldemokracji, a komu do ortodoksji. Z tego też powodu wynik głosowania zawsze był trudny do odgadnięcia. Podczas sesji każda uchwała mogła być przegłosowana pozytywnie albo negatywnie. Na tym polegał urok I kadencji.

Teraz widać, że kluby znacznie usprawniły przebieg sesji. Obecnie ich przedstawiciele krótko przedstawiają opinie klubu i dana uchwała przyjmowana jest w ciągu 5-6 minut. Dawniej, nim wszyscy zainteresowani wypowiedzieli się, mijały dwie lub trzy godziny. Ale trzeba też pamiętać, że często po zakończeniu dyskusji jej uczestnik głosował inaczej niż to początkowo sobie zaplanował. Zależało to nie tylko od argumentów, ale i od erudytów, których nie brakowało. Gdy chodzi o tworzenie dobrego prawa i tworzenie kierunków rozwoju Wrocławia było to lepsze. Obecnie praca merytoryczna jest bardzo szybka i nie do końca jestem pewien, czy radni będący członkami klubów, zawsze podzielają stanowisko klubu.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Na pewno pierwsza, uroczysta sesja i fakt, że zostałem nie tylko radnym, ale że uzyskałem bezpośrednią możliwość wpływania na rozwój miasta.

Ważna była satysfakcja z tego, co udało nam się zrealizować. Co jeszcze? Duże wrażenie wywarło na mnie zasłabnięcie na sesji jednego z radnych z SLD – uświadomiłem sobie wtedy kruchość naszych działań, dyskusji i emocji. Trudno zapomnieć o relacjach prezydenta Zaporowskiego i Barbary Wawrzyniak. Był to konflikt dwóch różnych wizji rozwoju Wrocławia, merytoryczny konflikt dwóch osób, które wiedziały, o czym mówią i wiedziały, czego chcą dla Wrocławia. Na pewno bardzo cenna była też możliwość kontaktu z takimi osobami, jak Bogdan Zdrojewski czy Leon Kieres.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Z całą pewnością na początku lat 90. nie udało się wykorzystać ówczesnego zapału społeczno-obywatelskiego mieszkańców do rozbudowy struktur osiedlowych i rozwiązywania w ten sposób drobnych problemów osiedlowych. Może obawiano się wtedy zbytniej decentralizacji władzy i rozproszenia środków, których nie było za dużo. To, co obserwujemy teraz, to już właściwie polityka i prywatne interesy. Mimo to, należy wymienić kilka osiedli,

w których radni osiedlowi działali prężnie i dobrze, np. Brochów, Bińkowice, Księże Małe, Karłowice. To także Oporów i Borek. Ważną grupę stanowiły osiedla tzw. Wielkiej Wyspy, ale zostały one obecnie zdominowane przez działania polityczne. Obrona parku Szczytnickiego czy kwestia mostu Wschodniego były i są bardziej elementami walki politycznej niż troską o same osiedla. Ciekawą „instytucją" było też „Księstwo Leśnickie".

Generalnie jednak potencjał „osiedlowy" nie został wykorzystany przez okres pięciu kadencji. Jeśli powrócimy do pytania o porażki, to sadzę, że to jest jedna z nich. Odrębnym pytaniem jest, czy działacze osiedlowi chcieli rzeczywiście działać.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Wniosek, jaki nasuwa mi się z perspektywy minionych 20 lat, to współczesna porażka wrocławskich mediów. Jeżeli popatrzymy na lata 90. XX w., to ówczesna aktywność, kreatywność, prestiż wrocławskich mediów była o wiele większa niż dzisiaj. Przykład ostatniej powodzi (2010) pokazuje, że mieszkańcy Wrocławia, chcący dowiedzieć się cokolwiek o sytuacji powodziowej w mieście, zostali praktycznie pozbawieni takiej możliwości. Pozostało im oglądanie kolejnego odcinka „M jak miłość". Nie było informacji i komunikatów, jakie w 1997 r. przekazywała telewizja TeDe i inne radiostacje. Dotyczy to również prezentacji dorobku pracy radnych. Wcześniej radni mieli ogromne forum do prezentacji własnych poglądów (i nie chodziło tu o poglądy polityczne) oraz swoich działań na rzecz rozwoju miasta. Obecnie nie widzę takich warunków i możliwości.

Pamiętam, że procedura zmian nazw ulic wywołała falę artykułów, komentarzy i wywiadów. Wiele z nich było krytycznych, ale publikowano wówczas pełne, nieokrojone wyjaśnienia Komisji Nazewnictwa Ulic. Był dialog, była dyskusja. Przedstawiciele mediów licznie też uczestniczyli w długich sesjach Rady. Wytrwale opisywali przebieg sesji. Obecnie ich praca kończy się po przyjęciu porządku obrad i „złapaniu" kilku wywiadów. Dawniej dziennikarze współtworzyli i kreowali oblicze Wrocławia, teraz szukają tylko sensacji. Szkodzi to miastu i samym mediom.

◇◇◇

się wtedy współpracować z moim przyjacielem Mieczysławem Okińczycem. Uważałem, że są to sprawy bardzo istotne dla mieszkańców miasta.

Kiedyś byłem na ogólnopolskiej naradzie w Jachrance, gdzie spotkali się przedstawiciele różnych środowisk samorządowych i politycznych. Podczas tworzenia stolików tematycznych i okazało się, że są wszystkie struktury, począwszy do kultury na sporcie skończywszy, tylko brakuje stolika służby zdrowia. Wtedy zabrałem głos i powiedziałem, że to właśnie odzwierciedla, nawet w skali kraju, stosunek wszystkich do służby zdrowia. Ja nawet wówczas powiedziałem, choć nie wszystkim się to podobało: „oczywiście, że ważne są teatry, ważne są kina, ważne są szkoły, stadiony i wszelkie tego rodzaju instytucje, tylko może dojść do tego, że wszystko wybudujemy, a okaże się, że nie będzie miał kto do tego chodzić i z tego korzystać, bo wszyscy umrą. Bo jak nie będzie służby zdrowia, to nie będzie miał kto leczyć, żeby ludzie mieli siły i zdrowie, aby odwiedzać te wszystkie przybytki".

Co Pan uważa za największy sukces w swojej dzielności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Miasto, które zmieniało swój wygląd dosłownie z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Wszystko odżywało, wszystko zaczęło się podnosić. Wtenczas dopiero niektórzy zobaczyli ze zdumieniem, jak pięknym miastem jest Wrocław. Na początku zarzucano i prezydentowi, i całej Radzie Miejskiej, że zajmujemy się centrum, że Rynek jest najważniejszy, co było nieprawdą. Wiadomo, że te okolice były uprzywilejowane, ale powoli wszystko się rozszerzało i przez te dwie kadencje miasto diametralnie zmieniało swój wygląd. Było to zupełnie inne miasto – piękne, wspaniałe.

Za swój osobisty sukces uważam to, że poznałem wspaniałych ludzi, gotowych poświecić wiele dla rozwoju miasta, dla naszego kochanego kraju. Przewspaniały Leon Kieres, to jest postać, którą za mało eksponujemy, to jest człowiek, który zasługuje na najwyższe ordery, odznaczenia. Czy też nieżyjący już św. pamięci Zenek Zaporowski, wspaniały artysta, architekt, cudowna postać. Włodek Mękarski, którego znałem wcześniej, to także był bardzo oddany sprawom Wrocławia człowiek.

Jeżeli ktoś jeździł po Polsce i oglądał miasta równorzędne Wrocławiowi, jak Kraków Poznań czy Łódź, to musiał dostrzec, że tam siła sprawcza władz miejskich była o wiele słabsza niż u nas. Jedynie Wrocław podjął wysiłek szybkich przekształceń. W Zarządzie Miasta panowała determinacja. Oczywiście zawsze byli malkontenci...

Podczas spotkań przewodniczących rad wielkich miast powszechna była opinia, że Wrocław rozwija się najszybciej. Moi krewni mieszkający w Gdyni mówili, „żebyśmy mieli takiego prezydenta, jak wy macie…"

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie wiem, czy w ogóle można mówić o porażkach w sytuacji, jaka była w tamtym czasie. Jak już wspomniałem, wszyscy uczyliśmy się, a nauka ma to do siebie, że trwa dość długo. Oczywiście popełniono jakieś błędy, nie były to jednak błędy, które w generalny sposób rzutowały na całość. Ja osobiście uważam, że można było o wiele szybciej i lepiej załatwić sprawę dróg w mieście czy obwodnicy. Moim zdaniem, nie należy jednak mieć o to pretensji do Rady, bo w grę wchodziły różne czynniki. Przykładem niech będzie sprawa lotniska. Tajemnicą poliszynela było, że Warszawa i władze centralne nie chciały się zgodzić na rozwój lotnictwa we Wrocławiu, z wiadomych względów, obawiano się, że to odbierze pieniądze Warszawie. A jednak udało się, wrocławskie lotnisko stopniowo się rozwija, rozbudowuje, jest coraz więcej lotów, także tych bezpośrednich w różne odlegle strony świata.

Ludzie, którzy bezpośrednio nie byli zaangażowani nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie kłopoty towarzyszyły wszystkim zmianom dokonującym się we Wrocławiu.

Jak ocenia Pan współpracę z organizacjami pozasamorządowymi?

Miałem kontakt z rozmaitymi organizacjami, chociaż osobiście nie byłem zaangażowany w ich działalność. Przyczyniłem się do uruchomienia hospicjum oo. bonifratrów na Poświęckiej. Zorganizowaliśmy zbiórkę pieniędzy, żeby to umożliwić, i udało się. Nie byłem jednak instytucjonalnie zaangażowany w te sprawy.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W ciągu tych lat odbyłem kilkanaście, może kilkadziesiąt spotkań z wyborcami. W moim okręgu wyborczym w pewien sposób przyczyniłem się do budowy kolektora.

Jeżeli można to uznać za jakiś sukces, to walczyliśmy i wywalczyliśmy piękne gimnazjum na Oporowie. W kamieniu węgielnym pod budowę gimnazjum, w tubie, umieszczono moje nazwisko… Na spotkaniu w szkole z rodzicami, czyli w większości z moimi wyborcami, uświadomiono mi, jak ważne i potrzebne jest gimnazjum na Oporowie. Dowiedziałem się wtedy, w jakich fatalnych warunkach uczą się dzieci.

Na cotygodniowe dyżury w Radzie Miejskiej, czy to radnego, czy przewodniczącego, przychodzili ludzie z wieloma problemami, nie zawsze przyjemnymi. Ci, którzy się pojawiali nie rozumieli, że centrum miasta nie można zamknąć o godzinie 22^{00}, argumentowali, że tu mieszkają i chcą spać. Staraliśmy się tłumaczyć, że wszędzie na świecie centra są zawsze tymi miejscami, gdzie jest głośno. W rezultacie udało się ich przekonać.

Miałem też nieprzyjemne sytuacje, jak np. sprawa budowy spalarni na Tarnogaju. Protestowali mieszkańcy – głośna i agresywna grupa, która nie chciała przyjąć do wiadomości, że spalarnia powinna powstać i z założenia

jest superekologiczna. Dochodziło do różnego rodzaju scysji, awantur i krzyków. Ci ludzie bardzo różnie się zachowywali. Niestety, Radzie Miejskiej i Zarządowi zabrakło cierpliwości i odpuścili sprawę spalarni, a szkoda, bo ta spalarnia jest bardzo potrzebna. Nawiedzała nas również i atakowała słynna pani Saladin, ta od kotów. Trochę jej pomogłem, potem się okazało, że nieco nas oszukała, ale tak to czasem rożnie bywa.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nie mam żadnych zastrzeżeń do tej współpracy. Ale, co oczywiste, nie może być tak, żebyśmy się ze wszystkimi we wszystkim zgadzali. Osobiście poruszyła mnie sprawa Specjalistycznego Szpitala im. Ludwika Rydygiera, w którym w tym czasie pracowałem. W pewnym momencie postanowiono tę placówkę zamknąć. Oczywiście byłem temu przeciwny. Poparła nas Ewa Rzewuska i zaproponowała, żeby placówkę przekształcić w Szpital Miejski. Zebraliśmy 41 podpisów. Moje rozmowy z prezydentem Zdrojewskim nie przyniosły żadnych rezultatów. W szpitalu tym stworzyłem fantastyczny Oddział Ortopedyczno-Urazowy, Oddział Chirurgii – to wszystko zniszczono. Budynek można zamknąć, ale nie jest łatwo zbudować potencjał w postaci zespołu ludzkiego. Ci, którzy musieli odejść ze zlikwidowanego szpitala teraz są ordynatorami w Anglii, Holandii, Stanach Zjednoczonych.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

To cudna sprawa, mówię to bez żadnych podtekstów. Pani dyrektor Śledzińska stworzyła taką atmosferę, że do Biura się przychodziło jak do domu. Stworzyła taki zespół, że tylko pozazdrościć. Jeżeli chciałoby się wskazać jakiś model współpracy czy odpowiedzialności, to Biuro jest modelowym przykładem. Nigdy nie było żadnych konfliktów, żadnych awantur. Panie pracujące w Biurze musiały przygotować ogromne ilości materiałów – robiły to w sposób fantastyczny.

Nie do końca natomiast wypełniało swoje obowiązki Biuro Promocji Miasta.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Uważam, że przemiany w tej dziedzinie dokonywały się zgodnie z duchem czasu, przeprowadzano modernizację, żeby nam było wygodniej. Dobrze wyposażona sala służyła zachowaniu w czasie posiedzeń dobrej kondycji fizycznej, a także psychicznej, a to jest ważne.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Przez połowę II kadencji Rady Miejskiej Wrocławia byłem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Działałem także w Komisji Sportu, Komisji Zdrowia oraz w Komisji Ochrony Środowiska.

Właśnie w Komisji Ochrony Środowiska dyskutowaliśmy problem wspominanej już przeze mnie spalarni na Tarnogaju. Pamiętam, że na obrady Rady Miejskiej przyszła grupa mieszkańców z plakatami „powiesić Maja i Okińczyca". Wśród tych osób był także człowiek nie do końca zrównoważony. Prowadziłem wtedy sesję Rady Miejskiej, kazałem wezwać Straż Miejską i ich wyrzucić. A chcieliśmy zorganizować wycieczkę do Wiednia. Tłumaczyliśmy, że Austriacy mają „fisia" na punkcie ekologii, a zgodzili się na tego rodzaju spalarnię.

Generalnie, muszę stwierdzić, że zgadzam się z kierunkami przemian w służbie zdrowia. Sam prowadzę szpital, który pracuje na nowych zasadach. Nie mamy żadnych długów, pacjenci chętnie przychodzą, na miejscu zainstalowałem tomograf. We Wrocławiu przegapiono moment właściwy na restrukturyzację szpitali, ponieważ po 1990 r., jak powiedział jeden z kolegów, sam Bóg wskazał, które szpitale należy zamknąć – oczywiście te zatopione w czasie powodzi. Można było wybudować nowoczesny szpital na 500 łóżek. Wszystkie inicjatywy, które wchodziły ze strony Rady Miejskiej były torpedowane przez ówczesnego wojewodę Janusza Zaleskiego. Kiedyś go zapytałem, kto w pana imieniu będzie się zajmował służbą zdrowia? Odpowiedział, że on sam, bo zreformował służbę zdrowia w Długołęce – to było chyba jednak trochę za mało…

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Oczywiście, kluby radnych powinny być powoływane. Skoro jakiś komitet wyborczy wystawia swoich kandydatów do Rady Miejskiej, to oni powinni tworzyć klub, żeby zwiększyć „siłę rażenia". W tego rodzaju strukturach automatycznie wypracowuje się stanowisko. Wtedy efektywność pracy jest kilka razy większa. Osoby niezrzeszone mają większy problem z przekonaniem do swoich racji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Zawsze bardzo czekaliśmy na spór pomiędzy wiceprezydentem Zygfrydem Zaporowskim a Basią Wawrzyniak, radną z SLD. Oboje byli architektami. Nawet, jeśli Zenek wymyślił pomysł na miarę Nagrody Nobla, to zawsze było wiadomo, że pani Barbara wyjdzie i będzie ten projekt krytykować totalnie. To też nie było najważniejsze, najważniejsze były odpowiedzi Zenka, wszyscy czekaliśmy, co on odpowie i zarykiwaliśmy się ze śmiechu.

Bardzo wzruszający był pan prof. Leon Kieres, przewodniczący naszego klubu. Ja byłem wiceprzewodniczącym, tak więc siedzieliśmy obok siebie. Jedna rzecz była u Profesora niesamowita. Miał taką torbę, a w niej całą wiedzę na temat samorządu. Jeśli musiał coś zacytować w czasie swojego wystąpienia, wyciągał stamtąd odpowiedni artykuł albo przepisy prawne. Kiedy miał podejść do mikrofonu, podnosił się z godnością wartą wyższej sprawy, zapinał marynarkę i majestatycznie podążał w stronę prezydium, i to było piękne i wzruszające, ten obraz będę pamiętał przez całe życie.

Także Grażynka Tomaszewska, to była wspaniała osoba, kompetentna, bardzo zaangażowana w sprawy miasta, to należałoby zapisać złotymi głoskami w historii miasta, oczywiście przy tym piękna kobieta. Dobrze nam się współpracowało.

Z natury jestem dowcipnym człowiekiem. Często żartowałem podczas prowadzenia obrad. Krzyczałem do ludzi, którzy nie mogli odejść od mikrofonu, a byli tacy, że wezwę Straż Miejską.

Do Rady IV kadencji postanowiłem już nie kandydować. Zaproszono mnie na pierwszą sesję Rady Miejskiej IV kadencji. Już nie pamiętam kto, chyba Tomek Misiak przedstawiając nowego kandydata na przewodniczącego powiedział, „chcielibyśmy żeby [nowy przewodniczący] prowadził obrady, tak, jak to robił Rysiek Maj". Zrobiło mi się bardzo miło.

Wracając jeszcze do ciekawszych wydarzeń. Trochę wyjeżdżałem. Byłem w Charlotte w Stanach Zjednoczonych, a także z panem prezydentem, ówczesnym senatorem, w Guadalajarze w Meksyku. To była połączona wizyta Rady Miejskiej z oficjalną wizytą senatora RP pana Bogdana Zdrojewskiego. Gościł nas marszałek Senatu Meksyku i pani ambasador. Wtenczas oni dowiedzieli się, że się nazywam Maj, a działo się to w czasie, gdy Majowie burzyli się w prowincji Chiapas i władze Meksyku miały z tym poważne kłopoty. Nie bacząc na te wydarzenia, obdarowali mnie pięknym kalendarzem Majów w formie talerza srebrnego wykładanego szlachetnymi kamieniami. Mam piękną pamiątkę. Tam też poznaliśmy Ernesto Ramireza Godoy'a fantastycznego Meksykanina, który koniecznie chciał poznać Polaków. Zaprosił nas do swojej małej hacjendy w Tapalpa, miasteczku jak wyjętym z westernów, włącznie z białą kapliczką, licznymi osiołkami i miejscowymi ludźmi ubranymi w poncza. Jedynym śladem cywilizacji w tym rejonie była budka telefoniczna, z której zadzwoniłem do domu.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Na pewno trzeba oddać szacunek ludziom, którzy poświęcają prywatny czas, żeby poprawić życie w swoich osiedlach. Działaliby skuteczniej, gdyby mieli większe kompetencje i środki finansowe.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W mojej ocenie, media nie interesowały się sprawami merytorycznymi, tylko sensacjami. Ci młodzi ludzie nie byli przygotowani do zawodu. Czasami przykro było słuchać pytań, które zadawali, i czytać, co napisali.

◇◇◇

zostało zrealizowane, a zwłaszcza, jak zmienił się stan majątkowy kandydatów. Krótko mówiąc świadomy wyborca – bardzo mi się podobał.

Wybory samorządowe w maju 1990 r. były pierwszymi od pół wieku, w 100%, w pełni wolnymi i niezależnymi. Same wybory przebiegły błyskawicznie. Kandydaci komunistyczni przegrali z kretesem, przeszedł tylko jeden ich kandydat, bo startował jako niezależny. Do Rady dostał się też Antoni Lenkiewicz, który był kandydatem naprawdę niezależnym oraz Jerzy Przystawa, który reprezentował Ruch „Wolni i Solidarni". Cała trójka niejako automatycznie była w opozycji do nas, czyli do radnych Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

Radnym byłem przez jedną, pierwszą kadencję nowej Rady Miejskiej Wrocławia. Samorządu uczyłem się „z marszu". Za to nie miałem „obciążeń" z poprzedniego systemu sprawowania władzy. Kandydowałem na drugą kadencję, ale nie zostałem wybrany.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie. W tym czasie pracowałem na Akademii Rolniczej. Należałem do komisji zakładowej „Solidarności" tej uczelni. Należałem wówczas także do działającej w opozycji grupy „Baszta". Byłem też członkiem działającego jawnie Klubu Inteligencji Katolickiej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się sprawami ochrony środowiska, infrastruktury, komunikacji, a także majątkiem komunalnym.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Najważniejsze jest utworzenie od podstaw „żywej", autentycznej demokracji lokalnej w mieście, które nie miało przez pół wieku tradycji demokratycznych.

Niewątpliwym sukcesem było doprowadzenie do remontu najbardziej zagrożonych murów oporowych rzeki Odry i budowli hydrotechnicznych Śródmiejskiego Węzła Wodnego przed powodzią 1997 r. Wytypowaliśmy trzy najważniejsze obiekty do remontu: nabrzeża Wyspy Piasek, Śluzę Mieszczańską i ulicę Grodzką. Większość z tych prac zdążono wykonać jeszcze przed powodzią z 1997 r., co znacznie zmniejszyło straty, jakie wówczas poniósł Wrocław. Dzięki tamtym pracom, obecnie możemy między innymi: na Wyspie Piasek spacerować pięknym, reprezentacyjnym bulwarem nazwanym imieniem Piotra Włostowica, na ulicy Grodzkiej korzystać z poszerzonej arterii i chodnika czy przez śluzę Mieszczańską przepłynąć kajakiem lub małym statkiem turystycznym.

Sukcesem Rady I kadencji był także wspaniale zapowiadający się pilotażowy program zbiórki i segregacji odpadów prowadzony na Sępolnie przez rodzinną firmę „EKO S". Nowatorstwo polegało na tym, że mieszkańcy wynosili z domów tylko 2 kubły: jeden z tym, co można jeszcze wykorzystać i drugi z tym, czego zrecyklingować się już nie da. Kubły były wymieniane kilka razy dziennie! Na obrzeżach osiedla segregowano odpady i ewentualnie je myto – np. butelki. Zbierane tak poszczególne rodzaje odpadów sprzedawano z zyskiem. Na tradycyjne wysypisko wywożono tylko 10% (!) śmieci niemożliwych wtedy do zrecyklingowania. Firma rodzinna dbała też o czystość na całym osiedlu, które było najbardziej zadbane i najczystsze w mieście. Organizowała też festyny osiedlowe z nagrodami, przyczyniała się do integracji mieszkańców, itd.

Duże emocje wzbudzała sprzedaż lokali usługowych. Środki uzyskane w ten sposób pozwoliły załatać dużą dziurę budżetową, jaką Miasto odziedziczyło po 45 latach rządów partii komunistycznej. Bardzo spektakularną sprawą była też akcja zmiany nazw ulic, tak by ich patronami nie byli zasłużeni dla budowania komunizmu. Wiele miast w Polsce ma nadal ulice, których patronami są postacie, które budowały system totalitarny.

Dużym osiągnięciem było szybkie przekształcanie różnych instytucji miejskich, np. MPK, w spółki handlowe, co pozwalało Miastu zaoszczędzić znaczące kwoty pieniędzy, które by odprowadzono w postaci podatków. Liderem tych działań był wiceprezydent Sławomir Najnigier.

Krytykowano decyzję o remoncie Rynku. Jak się okazało, był to strzał w dziesiątkę, Miasto przez to dużo zyskało. Obecnie Rynek jest wizytówką i jednym z „cudów" Wrocławia.

Przypominam sobie też, że jedna z pierwszych uchwał Rady zawierała prośbę do rządu o wyprowadzenie z Wrocławia Armii Radzieckiej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie udało się zrealizować idei tramwaju wodnego, choć śluza Piaskowa została wyremontowana jeszcze w 1989 roku. Dopiero w grudniu 2005 r. na zlecenie Urzędu Miejskiego opracowałem Studium tramwaju wodnego, który miał ułatwić dojazd mieszkańcom Biskupina i okolic do centrum miasta, co pozwoliłoby rozładować korki na placu Grunwaldzkim we Wrocławiu. Zrezygnowano z realizacji tego Studium przede wszystkim ze względu na czasochłonność zawiłych procedur, jakie należałoby przestrzegać przy jego realizacji – Miasto nie jest też jedynym i najważniejszym gospodarzem Odry.

Nie udało się też wykorzystać do komunikacji miejskiej bardzo bogatej infrastruktury kolejowej we Wrocławiu. Na zlecenie prezydenta Bogdana Zdrojewskiego została przygotowana przez prof. Józefa Wysockiego bardzo dokładna i obszerna dokumentacja dotycząca realizacji tego przedsięwzięcia. Na przeszkodzie stanęła sama kolej, z którą ciężko było się porozumieć, a i we władzach miejskich nie brakowało sceptyków. Przedsięwzięcie to było bardzo skomplikowane pod wieloma względami, gruntownej reorganizacji musiałaby ulec dotychczasowa

komunikacja miejska, w którą należało obok PKP włączyć również PKS. Wszystko to należało razem sensownie skoordynować w jeden sprawnie działający układ. W efekcie mogła powstać doskonale funkcjonująca sieć komunikacyjna, która z czasem mogła objąć również podwrocławskie miejscowości. Jak to mogło wyglądać pokazuje komunikacja kolejowa, jaka dziś istnieje między Trzebnicą a Wrocławiem. Ta linia była kluczowa dla tego projektu. Mogła być czynna już 15 lat temu!

Podobnie było z pomysłem wykorzystania Dworca Świebodzkiego jako terminalu kolejowego portu lotniczego. Oczywiście, pomysł utworzenia portu lotniczego we Wrocławiu, to sukces. Ale wtedy zabrakło chęci i kilkuset metrów torów. Zabytkowy dworzec jest niewykorzystywany właściwie aż do dziś.

Podobnie z wrocławskimi obwodnicami drogowymi. Mogłyby być już dawno wybudowane, gdyby moje wnioski przyjęto do realizacji. Niestety, na ówczesne czasy były zbyt dalekosiężne.

Niepowodzeniem był upadek programu zbiórki i segregacji odpadów na Sępolnie w następnej kadencji Rady. Pomimo pilotażowego charakteru i gotowej dokumentacji dla wszystkich osiedli miasta, dla rozwoju systemu. Niestety, na drodze stanął m.in. monopol MPO. Obecnie mamy „jedynie słuszny" system wielu kubłów, który dla wszystkich jest kłopotliwy i nieopłacalny, a obowiązkowy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Pozytywnie. Przykładem – powstanie portu lotniczego, remont nabrzeży Odry czy założenie Fundacji Otwartego Muzeum Techniki. Choć jednostkowo bywały problemy, np.: niewątpliwie wskutek niechęci do współpracy ówczesnych dyrekcji PKP i PKS nie powstał wtedy nowy, spójny system zbiorowego transportu publicznego w aglomeracji wrocławskiej.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Akcyjnie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Pierwsze posiedzenie Rady było bardzo uroczyste i zaczęliśmy pracować. Na samym początku wybraliśmy przewodniczącego Rady, następnie wiceprzewodniczących. Później Rada wybrała prezydenta, następnie prezydent zaproponował kandydatury wiceprezydentów i w ten sposób zaczęła się wymiana w Urzędzie Miejskim. Później Krzysztof Turkowski mówił nam, że jak obejmował swoje stanowisko i przyszedł pierwszy raz do swego gabinetu, to poczuł się jak w trumnie. Czarne meble, ciemne, ponure obrazy, nieciekawe wnętrza.

Rada była od „patrzenia" Zarządowi na ręce, opiniowania przygotowywanych dokumentów i pracy w komisjach. Było bardzo rzetelnie, jeden wielki tygiel, dyskusje były bardzo żywe. Nie było dumania i dbania o jakiś fikcyjny interes polityczny. Na bazie tych emocjonujących dyskusji zaczęły się tworzyć różne pola współpracy, sposoby działania i opinie. Zaczęliśmy się autentycznie tej samorządności uczyć. Uczestniczyłem w tych pracach bardzo aktywnie. Każde głosowanie, to była decyzja moralna. Z czasem jednak powstały podziały polityczne, które powodowały to, że aby przegłosować jakąś oczywistą kwestię należało bardzo długo przekonywać ludzi do tego, żeby nie kierowali się tymi podziałami przed głosowaniami.

Często radni zadawali wiele pytań Zarządowi, a zwłaszcza prezydentowi. Niektórzy radni wykorzystywali to, że Zarząd musiał odpowiedzieć na każde, nawet najgłupsze pytanie i zadawali wiele bardzo złośliwych pytań. Dzisiaj to wszystko inaczej wygląda, jest bardziej sprofesjonalizowane – za naszych czasów był żywioł.

Obrady Rady trwały od rana do wieczora. Zwykle zaczynały się o 9 rano, a kończyły w środku nocy lub przenoszono je na dzień następny. Na początku każdej sesji Rady wszystko szło szybko, później przerwa, więc każdy leciał coś zjeść i szukał telefonu – komórek wtedy nie było – żeby coś załatwić. Po południu to już każdy ciągnął, aby do wieczora. Jak się w międzyczasie okazywało, że czegoś nie można przegłosować, to zaczynały się schody, a każdy był śnięty, zmęczony całodniowymi obradami. Wieczorem, gdy kończono lub przerywano obrady, zwykle było wesoło. Dawała o sobie znać granica ludzkiej percepcji.

Przeprowadzenie każdej sprawy wymagało określonej ilości czasu poświęconego przez konkretnych radnych. Dopóki się wszyscy nie wygadali. Radny Zenon Wysłouch apelował wtedy, żeby każdy, zanim zabierze głos, dobrze się zastanowił nad tym, o co mu chodzi. Żeby nie zabierać niepotrzebnie głosu i nie uprawiać „wolnej amerykanki". Wysłouch spisał swoje postulaty i rozdał wszystkim radnym, z których część miała mu to za złe: „nie będzie nas pouczał, co mamy robić". Ja byłem zadowolony, że ktoś próbował wprowadzić jakiś ład do naszych obrad. Sam zawsze z nich korzystałem. Na początku, podobnie jak w pierwszej „Solidarności", pilnowano procedur, aż do bólu. Padała masa pytań dotyczących spraw technicznych związanych z obradami. Zaczęto się więc zastanawiać, czy to ma sens. Z czasem coraz częściej udawało się to usprawnić – oczywiście bez łamania prawa – upraszczając procedury. Wszyscy musieliśmy się szybko uczyć – byliśmy przecież rzuceni na głęboką wodę – by to wszystko miało ręce i nogi. Często musieliśmy podejmować decyzje błyskawicznie, na bieżąco.

Z czasem wykrystalizowały się dwa główne obozy w Radzie. Pierwszy, to osoby związane lub sympatyzujące z Porozumieniem Centrum – byli to m.in.: Krzysztof Tenerowicz, Antoni Lenkiewicz, Ewa Biegańska-Sudnik, Edward Wiczkowski. Drugi obóz, to radni związani z Unią Wolności, wśród których wybijali się: Władysław Frasyniuk, Krzysztof Turkowski i Lech Adamczyk. Ja funkcjonowałem na obrzeżach PC, do którego jednak nigdy nie

wstąpiłem. Miałem jednak dobre relacje z wszystkimi. To był swego rodzaju koloryt tej Rady, która była wówczas najwyższą instancją w Mieście. To ona wybierała prezydenta, miała nadzór nad Zarządem Miasta. Tak więc każda ważniejsza decyzja Zarządu musiała „przejść" przez Radę.

Na czele Komisji Rewizyjnej stał Antoni Lenkiewicz i razem z Edwardem Wiczkowskim równo punktowali Zarząd. Lenkiewicz trochę nadużywał kompetencji tej komisji, ale to działało. Zarząd musiał się starać. Dzięki temu podnosił się standard zarządzania miastem. Teraz w wielu instytucjach można pomarzyć, żeby opozycja mogła tak skutecznie działać w organach kontrolnych.

Profesor Jerzy Przystawa był bezkompromisowy, strzelał zazwyczaj z grubej armaty. Dogadywał się z w pierwszej kolejności z Antonim Lenkiewiczem. Na jedną z sesji przyniósł apel o utworzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Większość radnych podpisała się na tej pierwszej liście. To tu narodził się ruch na rzecz jednomandatowych okręgów wyborczych.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Właściwie i sympatycznie. W Urzędzie Miejskim część osób zwolniliśmy, ale nie wszystkie. Do dziś dyrektorką Biura Rady Miejskiej jest Janina Śledzińska, zostawiliśmy też np. naczelnika dzielnicy Stare Miasto, który wszystkie pieniądze, jakie miał, inwestował w remonty dachów, mógł malować elewacje na święto „22 lipca" – jak robili to inni, a swoimi decyzjami ratował substancję komunalną.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Doceniałem wolny, ale stały postęp obsługi pracy radnego. Praca w Radzie to był drugi etat – w domu mnie praktycznie nie było. Za tę pracę dostawałem nieopodatkowaną dietę, która mojej młodej rodzinie bardzo się przydawała.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Ochrony Środowiska oraz w Komisji Komunikacji. Na samym początku byłem też w Komisji Inicjatyw Gospodarczych, ale szybko się wycofałem, bo nie dawałem rady – tak dużo było pracy. Skupiłem się na tym, na czym się znam najlepiej.

Jedną z sesji poświęcono sprawom Odry. Na sesję zostali zaproszeni przedstawiciele różnych instytucji, które się nią zajmowały. Wtedy Stanisław Miękisz poprosił mnie, żebym prowadził obrady. Był to jeden z niewielu, o ile nie jedyny przypadek, kiedy to zwykły radny przewodniczył obradom. Przewodniczący znał najważniejszych urzędników, ale nie znał szefów poszczególnych firm, których ja znałem, a chodziło o sprawne przeprowadzenie obrad, co się udało. Pozytywy sesji „odrzańskiej" odnotowała – zazwyczaj krytyczna wobec Rady – prasa lokalna.

Przeprowadziliśmy też na Odrze jedną sesję wyjazdową połączonych komisji Rady, podczas której radni mogli od strony wody z murów nabrzeżnych wyjmować luzujące się cegły. Dzięki tej wycieczce udało się namówić Miasto na to, by wyasygnowało corocznie pieniądze na remonty nabrzeży, a radni głosowali nad poprawkami budżetowymi bez zbędnych pytań. To był rozrusznik, bo inne „wodne" instytucje też się zaangażowały w to przedsięwzięcie. Po sukcesie sesji „odrzańskiej" od przewodniczącego Rady Miejskiej prof. Stanisława Miękisza otrzymałem propozycję kandydowania na wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej Wrocławia. W tajnym głosowaniu przegrałem jednym czy dwoma głosami z Leonardem Smołką.

Niebawem od prof. Stanisława Miękisza otrzymałem także zaproszenie na spotkanie założycielskie Fundacji Otwartego Muzeum Techniki. W ratuszu, obok sali sesyjnej Rady, 27 marca 1992 r. zgromadziło się 36. fundatorów: przedstawicieli najważniejszych uczelni i zakładów przemysłowych Wrocławia. Trwało ok. 1,5 godziny. To czasowy rekord do księgi Guinesa. Zrozumie to każdy, kto brał udział w zakładaniu dowolnej fundacji w Polsce. Zostałem wybrany wiceprezesem Zarządu i pełnię tę funkcję społecznie i honorowo do dziś.

Brałem też udział w pracach mających na celu zbudowanie krematorium na nowym cmentarzu na Psim Polu. Zanim do tego doszło delegacja Rady, w której reprezentowałem Komisję Ochrony Środowiska, wyjechała do Szwecji, gdzie powstają najlepsze tego typu obiekty w Europie. Szwedzi też (ze dwie kadencje później) w końcu nam to krematorium zbudowali. Całą tę sprawę załatwialiśmy bardzo delikatnie, ponieważ w Polsce krematorium kojarzyło się zazwyczaj z Oświęcimiem, a nie z ochroną środowiska.

Komisją Ochrony Środowiska kierowała Ewa Rzewuska, ja byłem wiceprzewodniczącym. Każdy z członków miał swoją „działkę", które ze sobą nie kolidowały. Jeśli były zagadnienia, na których nikt z komisji się nie znał, to wtedy wybierano fachowców spoza Rady. To doskonale funkcjonowało. Próbowano ten sprawdzony schemat powtórzyć w Komisji Ochrony Środowiska Rady drugiej kadencji, ale się nie udało.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby są potrzebne. Łączą radnych o podobnych przekonaniach. Pomagają wypracowywać różne sposoby osiągania celów na poziomie lokalnym, lobbować. Pomagają łączyć siły dla zdobywania i utrzymania władzy lub dla skuteczniejszego patrzenia na rządzących miastem jako opozycja.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Początek, „gdy wszystko było pierwsze". Walka o powstanie portu lotniczego, o przebudowę Rynku. No i – oczywiście – o Odrę i „jej sprawy".

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych. W I kadencji one dopiero powstawały, trudno mi je oceniać. Wspierałem natomiast tworzenie struktur rad osiedlowych, gdy istniały jeszcze struktury „dzielnicowe". Do dziś posługujemy się terminologią dzielnicową z poprzedniej epoki – nie tylko w mowie potocznej. Zajrzyjmy np. do zbiorów geodezyjnych Miasta. Dla mnie tworzenie samorządów osiedlowych było naturalne. One są najbliżej mieszkańców, a przypomnę, że nas jako kandydatów na radnych typowały komitety obywatelskie „Solidarność", które powstawały naturalnie i spontanicznie właśnie w osiedlach. Szkoda, że obecnie tamta spontaniczność wygasła, a wybory radnych osiedlowych mają frekwencję rzędu 1-2%.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Akcyjne, skupione na najważniejszych, prestiżowych wydarzeniach typu: postęp w budowie kolejnych remontów, inwestycji – ostatnio – tych na Euro 2012, także na sensacji, na tym, co, kto o kim powiedział i w jaki sposób. Media nie interesują się kompleksową problematyką „branżową", nie starają się kreować wizji miasta. Notują tylko to, co się dzieje.

◇◇◇

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Jako radny miejski czułem się powołany do dbania o interes miasta jako całości, tymczasem wyborcy niejednokrotnie oczekiwali ode mnie zdecydowanego preferowania swojej dzielnicy lub osiedla kosztem innych terenów miejskich. Na etapie organizowania się samorządu terytorialnego aktywność rad osiedli była jeszcze niemal niezauważalna.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Moim zdaniem, stosunki Rady z Zarządem i Urzędem Miejskim układały się bardzo dobrze. Szczególne wysoko oceniam współpracę Komisji Inicjatyw Gospodarczych z resortowym wiceprezydentem Krzysztofem Turkowskim i Wydziałem Inicjatyw Gospodarczych Urzędu Miejskiego.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z Biurem Rady Miejskiej układała się wzorcowo. Zawsze można było liczyć na pomoc Biura Rady i profesjonalną obsługę posiedzeń komisji Rady.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W kadencji 1990-1994 warunki pracy radnych, zwłaszcza komisji Rady, były trudne. Problem stwarzała przede wszystkim lokalizacja posiedzeń komisji w budynku przy ul. G. Zapolskiej. Hałas dochodzący z ulicy i od przejeżdżających w pobliżu pociągów oraz operujące słońce, wysoka temperatura pomieszczeń były nie do zniesienia.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych jako przewodniczący oraz byłem członkiem Komisji Komunikacji. Komisje pracowały efektywnie, członkowie byli bardzo zaangażowani w realizację zadań komisji. Komisja Inicjatyw Gospodarczych zapraszała na swoje posiedzenia przedstawicieli wrocławskich organizacji gospodarczych oraz niejednokrotnie wizytowała kluczowe organizacje i obiekty gospodarcze we Wrocławiu.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, że kluczowe decyzje i opinie dotyczące spraw miasta Wrocławia powinny podejmować komisje merytoryczne Rady wspólnie z Zarządem Miasta. Jednak biorąc pod uwagę fakt, iż prawdopodobnie większość radnych należy do partii politycznych, których programy wyborcze radni ci są zobowiązani realizować, nie widzę możliwości całkowitego wyeliminowania klubów radnych. Ważne jest, aby miały jedynie prawo do prezentowania swych opinii na posiedzeniach komisji merytorycznych lub na posiedzeniach plenarnych Rady i były pozbawione jakichkolwiek uprawnień decyzyjnych.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Wizyta w Kijowie, wspólnie z przewodniczącym Rady panem prof. Stanisławem Miękiszem i wiceprezydentem panem Krzysztofem Turkowskim celem nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków samorządowych oraz przekazania naszych doświadczeń w organizacji samorządu miejskiego.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w mojej radzie osiedla, a jej działalność oceniam krytycznie ze względu na realizowanie przez nią głównie interesu określonej grupy mieszkańców przeciwstawiających się budowie obwodnicy śródmiejskiej na terenie tzw. Wielkiej Wyspy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Uważam, że media lokalne poświęcają dużo miejsca sprawom miasta, a za mało pracom samorządu miejskiego. Lukę tę dość dobrze wypełniają przekazy internetowe.



Bogumił MASZEWSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, radca prawny.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Jeżeli chodzi o doświadczenie, to go nie miałem. W pewnym sensie pomagała mi okoliczność, że z wykształcenia jestem prawnikiem.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Interesowałem się sprawami Wrocławia jako jego mieszkaniec. Ponadto udzielałem się w organizacjach społecznych ukierunkowanych na osoby niepełnosprawne, m. in. w międzyuczelnianym Klubie Studenckim „Remedium" czy Dolnośląskim Związku Inwalidów Narządu Ruchu. Z pewnością doświadczenia tam zdobyte mogły być rozwijane w pracy radnego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcj radnego?

Zajmowałem się problemami ochrony zdrowia, pomocy społecznej, sportu, organizacji społecznych oraz osób niepełnosprawnych.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Udało mi się uczulić radnych i urzędników na problemy osób niepełnosprawnych, rozpoczęła się np. likwidacja barier architektonicznych w urzędach. Udało się przekonać radnych, aby Rada Miejska część środków w budżecie Miasta przeznaczała na dowozy dzieci niepełnosprawnych na rehabilitację, a nawet finansowała tzw. rehabilitację domową, czego nie finansowała ówczesna służba zdrowia (nie było też wówczas PFRON-u).

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeniem są słabe efekty w sporządzeniu planów zagospodarowania przestrzennego, z czym ma Miasto problem do dziś, a co blokuje rozwój Wrocławia.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Tę współpracę oceniam słabo. Miasto nie traktuje tych organizacji partnersko.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W swojej działalności radnego wyborców traktowałem bardzo poważnie. Mam tu na myśli takie środowiska, jak pracowników służby zdrowia, pomocy społecznej, kluby sportowe czy stowarzyszenia osób niepełnosprawnych. Z osobami z tych środowisk miałem stałe kontakty, a wiele ich postulatów i pomysłów udało się zrealizować w ramach mojej pracy radnego czy prac komisji Rady i Rady Miejskiej.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Poprawnie i dla mnie były zadowalające.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na tamte czasy warunki pracy były dobre.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Ochrony Zdrowia i Pomocy Społecznej, Komisji Sportu, Inicjatyw Społecznych. Po latach pracę komisji oceniam względnie dobrze.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W mojej kadencji nie było klubów, trudno więc mi się wypowiadać.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

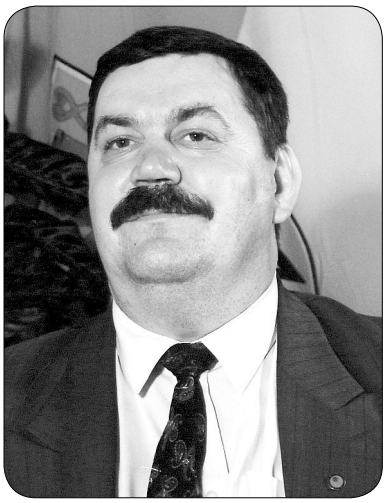
Wybór prezydenta Wrocławia.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych. Trudno mi ocenić ich działalność. Myślę jednak, że wtedy, jak i teraz, jest opór Rady Miejskiej i Zarządu do podzielenia się władzą z radami osiedlowymi i stąd działalność rad osiedli jest, jaka jest.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Brakowało mi czasami profesjonalizmu przejawiającego się krytyką władzy z powodu niedostatecznego zajmowania się takimi zagadnieniami, jak np. kanalizacja, budownictwo komunalne, brak planów zagospodarowania przestrzennego. Może zbyt często to zainteresowanie ograniczało się do szukania przede wszystkim płytkich sensacji.



Włodzimierz MĘKARSKI

Radny I i II kadencji.
Kiedyś mechanik samochodowy–kierowca, dziś przedsiębiorca.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Nikt wcześniej nie był radnym w Radzie Narodowej ani nie był we władzach komunistycznych. W 99% radnymi zostali ludzie z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", a nasza przeszłość nie wiązała się z działalnością w poprzednich strukturach.

W 1990 r., kiedy powstawały zręby samorządności w Polsce, kiedy tworzył się samorząd, stanąłem do walki o mandat radnego z Komitetu Obywatelskiego. Mandat zdobyłem. Moim dramatem było to, że ciężko zachorowałem – choroba nowotworowa. Nie byłem na inauguracji Rady Miejskiej, dopiero po dwóch miesiącach zostałem zaprzysiężony. Kiedy układały się sprawy związane z władzami, Radą Miejską, Zarządem Miasta, itd., byłem typowany na wiceprezydenta Wrocławia. Choroba spowodowała, że tej funkcji nie mogłem objąć. W czasie mojej choroby ukonstytuowała się Rada Miejska, wybrany został Zarząd Miasta.

Tak do końca nikt nie wiedział, jak ma funkcjonować Rada Miejska. Byliśmy pospolitym ruszeniem. Nie mogliśmy przecież opierać się na strukturach dawnej Rady Narodowej. Były jakieś materiały przygotowane wcześniej przez Komitet Obywatelski, intelektualistów, którzy próbowali nakreślić, jak ma działać samorząd, ale to wszystko było nowe. Byliśmy pionierami.

Prezydent Bogdan Zdrojewski, znający moje zaangażowanie w różne sprawy, powiedział, żebym sobie poszukał miejsca w Radzie. Zacząłem się zastanawiać nad miejscem dla siebie. Nie była zagospodarowana strefa dotycząca sportu, rekreacji, turystyki. Strefa w mojej ocenie bardzo ważna w życiu. Uważałem, że trzeba budować społeczeństwo otwarte na sport, na rekreację, na turystykę, że trzeba stworzyć odpowiednie warunki. Poszedłem do ówczesnego wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej Bogdana Cybulskiego, który z ramienia prezydium Rady Miejskiej zajmował się tworzeniem komisji i opiekował się nimi. Przedstawiłem mu swoje propozycje. Zaakceptował je. Projekt przedstawiłem prezydentowi Bogdanowi Zdrojewskiemu. Tak utworzyła się Komisja Sportu. Byłem jej twórcą, ale pracowałem nie tylko w niej. Ze względu na mój zawód byłem zainteresowany pracą w Komisji Komunikacji, której przewodniczył Karol Żyromski. Znałem problemy komunikacyjne miasta, więc chciałem w tej komisji działać. Trzecią gałęzią, którą się interesowałem, były sprawy związane z tworzeniem zrębów działalności handlowo-usługowej Wrocławia. Ówczesny wiceprezydent Krzysztof Turkowski zaproponował mi pracę w podkomisji zajmującej się przetargami na Rynek. Chodziło o stworzenie nowej rzeczywistości we wrocławskim Rynku, o lokale gastronomiczne, usługowe itd. Chcieliśmy zmienić charakter tego miejsca, by był on przyjazny turystom i stał się wrocławską perełką. Dla tej komisji nie było najważniejsze to, kto zapłaci większy czynsz, lecz ważne było, co ma do zaproponowania dla podniesienia atrakcyjności Rynku.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Przez cały czas, kiedy byłem radnym poświęcałem się przede wszystkim sportowi, rekreacji i turystyce. Sprawami komunikacji także zajmowałem się przez obydwie kadencje, gospodarką w drugiej kadencji już nie, z uwagi na to, że sprawy związane z najważniejszymi przekształceniami zostały załatwione w I kadencji, poszły swoją drogą.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

W pierwszej kadencji musieliśmy przede wszystkim zinwentaryzować całe mienie komunalne, w tym związane ze sportem i rekreacją, trzeba było zobaczyć, w jakim stanie są wrocławskie obiekty. Pierwsze dwa lata to przede wszystkim żmudna praca inwentaryzacyjna. W końcowej fazie pierwszej kadencji udało nam się zakończyć budowę kąpieliska na Kłokoczycach na Psim Polu. Było ono budowane kilkanaście lat. Przerzucano je, jak gorący kartofel, z ręki do ręki. Raz należało do Miasta, raz do Polaru, raz do WSK Hydral, itd. W każdym razie wróciło do Miasta i w końcówce pierwszej kadencji to kąpielisko wybudowaliśmy, co było niezwykle ważne dla mieszkańców tamtej części Wrocławia, ogromnych osiedli, jak Zakrzów, Kiełczów. Nie potrafiliśmy tego odpowiednio nagłośnić. Małą wagę przykładało się wtedy do marketingu. Poza tym przygotowywaliśmy się już do nowej kadencji. Nie przypuszczaliśmy, aby mogło się coś zmienić.

Największym sukcesem drugiej kadencji było przede wszystkim wybudowanie hali sportowo-widowiskowej „Orbita". Było to duże przedsięwzięcie. Po raz pierwszy we Wrocławiu po 1945 r. zbudowano od podstaw obiekt sportowy wysokiej klasy. Udało mi się przekonać do budowy hali „Orbita" w takich trudnych czasach, kiedy nie

było pieniędzy unijnych. Podczas inwentaryzacji, o której wspominałem, natknąłem się na makietę tej hali u Tadeusza Banacha dyrektora Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji „Zachód". Stworzył ją nieżyjący już architekt Marek Dziekoński, który zaprojektował także m.in. budynek Panoramy Racławickiej. Hala została zaprojektowana w miejscu starego, praktycznie rozpadającego się lodowiska na ul. Wejherowskiej. Zainteresowałem się tym projektem, bardzo mi się spodobał. Wiedziałem, że taki obiekt jest bardzo potrzebny we Wrocławiu, więc zacząłem przekonywać innych. Zacząłem od prezydenta Zdrojewskiego. Po swojej stronie miałem wówczas także, niestety również już nieżyjącego, Zygfryda Zaporowskiego architekta, wiceprezydenta Wrocławia. Gdy sprawę przyklepał prezydent, razem z Zaporowskim i dyrektorem Banachem jeździliśmy do Warszawy do Ministerstwa Sportu po to, by przekonać władze krajowe, rząd Polski, do przekazania pieniędzy z Totalizatora Sportowego na dofinansowanie hali. Jedyne pieniądze, na jakie mogliśmy liczyć pochodziły z budżetu miasta i budżetu państwa, a zwłaszcza Totalizatora Sportowego, bo on się wtedy zajmował obiektami sportowymi. Udało się. Pieniądze się znalazły. Kadencję skończyliśmy otwarciem „Orbity". Jestem z tego bardzo dumny i uważam to za swój największy sukces.

Za ogólny sukces uważam to, że w tej pierwszej fazie samorządu nie byliśmy tak upartyjnieni. Udało się stworzyć Radę z ludzi, którzy mieli duże zapotrzebowanie na zrobienie czegoś dla miasta. Pełnych entuzjazmu. Ludzie byli zafascynowani zmianami. Nie było gier politycznych. Każdy płomiennie, słusznie czy niesłusznie, przedstawiał swoje racje, a nie racje grupy czy racje związane z polityką. To uważam za olbrzymi sukces tamtej kadencji. W przeciwieństwie do dzisiejszych czasów, kiedy wszelkie decyzje są upartyjnione i wynikają z interesów partyjnych, a nie z interesów miasta. W naszym gronie było wtedy wiele fantastycznych osobowości. Ludzie, którzy stawali na czele komisji byli fachowo do tego przygotowani i w związku z tym odnosili duże sukcesy. Potrafili przekonać innych do swoich pomysłów. Wrocław pięknił i fantastycznie się rozwijał. Byliśmy swoistym kołem zamachowym.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Na pewno opóźnienia, choć nie zawsze przez nas zawinione, z budową obwodnicy autostradowej Wrocławia. Lekceważenie tego, że możemy mieć rzucane duże kłody pod nogi. Błędne było myślenie, że wszyscy przyklasną naszym pomysłom. Czasem bardzo słuszne pomysły nie przez wszystkich były akceptowane. Wynajdowano różne kruczki, żeby zablokować pewne fajne propozycje. Tak było z obwodnicą autostradową, tak było też z lotniskiem, gdzie wielu pukało się w czoło i mówiło, że idziemy z motyką na Księżyc. Dzisiaj widać, że te projekty się realizuje, ale mam niedosyt, że tak późno.

Także protesty mieszkańców blokowały często rozpoczęcie realizacji projektów komunalnych. Pamiętam, że gdy mieszkałem na Różance, mieszkańcy zrobili spotkanie po to, aby omówić na nim budowę szkoły. Wraz Zygfrydem Zaporowskim pojechałem na spotkanie z dobrą wiadomością dla mieszkańców osiedla, że tę szkołę zbudujemy. Pamiętam, jak podczas zebrania mówiliśmy, że wybudujemy szkołę, że są na to pieniądze. Na sali zapanowała wielka radość i nagle jeden z uczestników zadał pytanie o lokalizację tej szkoły. Zaczęło się piekło. Gdy Zygfryd Zaporowski powiedział, gdzie ona będzie stała, to ci, którzy mieszkali w pobliżu zdali sobie sprawę, jakie to będzie dla nich uciążliwe. Przypomnieli sobie, że do szkoły chodzą dzieci, dzwonią w niej dzwonki, jest hałas na boisku szkolnym, więcej przyjeżdżających samochodów. Ze słusznej sprawy zrobiła się straszna awantura. Podobnie było w komunikacji. Często łatwiej było znaleźć pieniądze, niż przekonać nieprzekonanych. Tak więc mówiąc o porażkach, myślę, że należało do nich to, że czasami nie udało nam się nakłonić ludzi do słusznych rozwiązań.

Jak Pan ocenia współpracę z organizacjami pozasamorządowymi?

Współpracowaliśmy z nimi. Zresztą wtedy było łatwiej. Dzisiaj komisje są bardzo hermetyczne. My byliśmy otwarci na środowiska, których dotyczyły sprawy omawiane na komisjach. W skład Komisji Sportu np., z pełnymi prawami, wchodzili ludzie, którzy nie byli radnymi. Potem uznano, że tak nie powinno być. Gdy komisje mogły być szeroko otwarte na środowiska, proponowałem na spotkaniach z różnymi organizacjami sportowymi, żeby ich reprezentanci weszli w skład komisji. Sport młodzieżowy wprowadził swojego reprezentanta, kluby sportowe wytypowały swojego przedstawiciela. Była reprezentacja środowiska trenerów, klubów sportowych, sportu młodzieżowego. Przedstawiciel turystyki także miał swoje miejsce w komisji. Byli to ludzie bardzo fachowi, którzy dużo wnosili w czasie dyskusji, a to, że mieli pełne prawa dawało im możliwość oddziaływania na własne środowiska. Byli ekspertami dla nas, ale także łącznikiem między nami i ich środowiskiem. Uważam, że tak było lepiej. Współpraca z tymi środowiskami była dobra. Do dzisiaj spotykam się z przychylnymi ocenami tamtych czasów. Mówi się, że wtedy znacznie prościej było załatwiać sprawy, że Urząd był bliżej mieszkańców. W komisji otwartej nawet lobbing jest czytelny, uczciwy, bo go widać. Unika się wtedy prywatnych koneksji.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Początkowo były to kontakty poprzez spotkania na osiedlach. Potem powstały rady osiedli, które miały być pośrednikiem między nami a mieszkańcami. Były naturalnie dyżury radnych – każdy mógł przyjść do radnego i przedstawić swoje problemy. Wtedy nie byliśmy upartyjnieni. Dzisiaj kandydat na radnego patrzy, jakie poparcie ma jego ugrupowanie i załapując się na wysokie miejsce na liście wie, że będzie wybrany bez względu na uzyskaną liczbę głosów, bez względu na swoją aktywność.

Jak układała współpraca Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Na pewno zupełnie inaczej niż dziś. Pamiętam wielkie święto, wielkie wydarzenie na początku I i II kadencji związane z wybraniem prezydenta Wrocławia. Prezydent był wtedy wybierany przez Radę. Wiadomo było, że skoro Rada wybiera prezydenta i Zarząd to może ich odwołać. Tak więc relacja między radnym i prezydentem jest zupełnie inna. Prezydent Wrocławia zabiegał o dobre relacje z Radą, z radnymi, bo to oni decydowali o tym, czy on będzie realizował swoje pomysły. Dzisiaj sprowadza się to praktycznie do budżetu. Dzisiaj w rękach prezydenta jest absolutna władza, który umizguje się do radnych tylko wtedy, gdy chodzi o pieniądze. Obecnie siła oddziaływania radnych na to, co dzieje się w mieście jest znikoma. Miałem dużą władzę w komisji, dzięki temu zrealizowaliśmy wiele rzeczy, zresztą dzięki bardzo dobrej współpracy z ówczesnym prezydentem. Byłem popularnym radnym. Radni, szefowie komisji mieli wówczas bardzo silną pozycję. Rada wtedy naprawdę współrządziła miastem.

W drugiej kadencji już bardzo zabiegaliśmy, by to, czym się zajmujemy docierało do mieszkańców. Ja np. miałem na stronach sportowych w „Słowie Polskim" stałą rubrykę „Widziane z Ratusza", gdzie mogłem co tydzień przedstawić mieszkańcom racje Miasta dotyczące inwestycji sportowych, dotowania sportowców czy klubów. Pierwsi w Polsce stworzyliśmy fundusz stypendialny dla wybitnych sportowców. Wspierał on sportowców w zdobywaniu sukcesów. Uważaliśmy, że są oni najlepszymi ambasadorami Wrocławia, bo sukces sportowca wrocławianina przekłada się na sukces miasta i na promocję miasta. Również jako pierwsi w Polsce stworzyliśmy Otwarte Mistrzostwa Wrocławia. Był to całoroczny turniej prawie we wszystkich dyscyplinach sportowych, w którym mógł wziąć udział każdy, bez względu na wiek, płeć i zasobność kieszeni. To niestety upadło. W corocznym plebiscycie „Słowa Polskiego" zostałem uznany przez czytelników najlepszym działaczem roku 1994.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Czuło się tę służebność. Biuro pełniło taką właśnie służebną, pomocną rolę dla radnych. Przewodniczący Rady prof. Stanisław Miękisz to ostoja spokoju, wyciszał wszelkie konflikty. Potrafił stworzyć grupę administracyjną, z panią dyrektor Janiną Śledzińską na czele, która nam fantastycznie pomagała we wszystkich sprawach. Pracownicy Biura mieli dla nas dużo cierpliwości, a ich praca była bardzo żmudna. Obsługa komisji, pisanie protokołów. Nagrywało się na magnetofon, potem przenosiło na papier. Szczególnie spartańskie warunki panowały na Nowym Targu, gdzie podczas sesji siedzieliśmy bokiem, jak na weselu; prezydium jak młoda para, a radni bokiem wzdłuż stołów. Na wszelkie posiedzenia komplet dokumentów przygotowywało Biuro Rady. Także Biuro dbało o zapewnienie warunków dla spotkań radnych z wyborcami. Warunki były, jakie były, człowiek o nich pamięta, ale nie to było najważniejsze.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W pierwszej kadencji nie było takiej potrzeby. Był przecież jeden Komitet Obywatelski. Dzisiaj, jeżeli upartyjniło się Radę, to obecność klubów jest nieunikniona. Ja jednak bardziej bym naciskał na spotkania w ramach komisji, czyli spotkania dotyczące konkretnych tematów, niż żeby tym się zajmowały kluby. Rada Miejska powinna dopracowywać swoje pomysły dla dobra mieszkańców poprzez spotkania i pracę w komisjach. Tam powinno się decydować o istotnych sprawach, a komisje powinny być mocno otwarte na środowiska, których dotyczy ich praca. Obecnie kluby to struktura polityczna, a nie merytoryczna. Dba się w nich o interes partii, a nie miasta. Podczas drugiej kadencji byłem wiceprzewodniczącym klubu – przewodniczącym był prof. Leon Kieres, ale naszym zadaniem było dyscyplinowanie radnych, a nie działania polityczne. W ramach jednego klubu byli radni z różnych ugrupowań politycznych. Jeszcze raz podkreślam, środek ciężkości powinien być przeniesiony na komisje. To one powinny stanowić o merytorycznej pracy Rady Miejskiej.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Jak mówiłem, najważniejsze były wybory prezydenta, wybór władz. To decydowało o późniejszej pracy.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Współpraca w znacznej mierze zależała od aktywności rad osiedlowych. W moim okręgu niezwykle aktywną radną osiedlową była pani Teresa Michalska. Nie pozwalała nam spocząć na laurach. Cały czas zmuszała nas do działania. Jeżeli przewodniczący rad osiedli i ludzie związani z taką radą byli aktywni, mieli ciekawe pomysły, to nie dali nam spokoju i o to chodziło. Ja miałem zresztą znacznie szerszy kontakt z radami osiedli, poprzez specyfikę pracy komisji, którą kierowałem. Sport, rekreacja, turystyka dotyczyła całego Wrocławia. Budowanie boisk, remontowanie obiektów sportowych przyszkolnych czy osiedlowych, to w tych sprawach kontaktowali się z nami radni z tych osiedli. Dla rad osiedli jest miejsce, ale jak zwykle wszystko zależy od ludzi.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Za mało jest dzisiaj takiej informacji. Wywalczyłem sobie prawo pisania w gazecie o sprawach sportu, rekreacji i turystyki. Dzisiaj radni niespecjalnie zabiegają o to, by przekazywać informacje. A to tak powinno być. Dziennikarz nie będzie biegał za radnym. Radni nie potrafią zainteresować dziennikarzy swoimi pomysłami. W pierwszych kadencjach przyciągały dziennikarzy wybitne postaci, osobowości, ludzie o znanych nazwiskach, z dorobkiem, którzy weszli w skład Rady, interesowano się tym, co mają do powiedzenia. Dzisiaj w Radzie takich ludzi nie ma.

Dzisiaj liczy się prezydent, nie radni. Przecież nikt nie potrafi wymienić z nazwiska przewodniczących komisji, a co dopiero mówić o szeregowych radnych.



Mieczysław MIELNICZYK

Radny I i II kadencji.
Geolog. Przedsiębiorca.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Myślę, że byłem przygotowany tylko częściowo. Byłem od początku członkiem „Solidarności", chociaż wtedy nie można mówić jeszcze o demokracji. Kiedy pracowałem w DOKP, byłem wiceprzewodniczącym „Solidarności" w Oddziale Geodezji. Natomiast później byłem współtwórcą i wiceprzewodniczącym Komitetu Obywatelskiego w Leśnicy, tam, gdzie mieszkałem wtedy i mieszkam nadal. W komitecie zapoznawaliśmy się ze strukturami, które były w Mieście i myśleliśmy o tym, jak można by je zmienić. Wiedzieliśmy już, że chcemy sami decydować o zmianach. Później byłem w Radzie Miejskiej dwie kadencje.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Myślę, że nie bardzo. Jedynie w okresie na krótko przed wyborami, czyli wtedy, kiedy powstał Komitet Obywatelski, w którym też były komisje, takie jak gospodarki komunalnej czy ochrony środowiska. Z racji tego, że jestem geologiem, czyli przyrodnikiem, zajmowałem się tematyką ochrony środowiska w tamtej części Wrocławia. Natomiast trudno powiedzieć, żebym skupiał się na reszcie miasta.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Już po roku, jak zostałem radnym, wziąłem udział w konkursie na Naczelnika Dzielnicy Wrocław-Fabryczna. Zastaliśmy po poprzednikach podział na dzielnice: Fabryczna, Krzyki, Psie Pole, Śródmieście, Stare Miasto. W każdej dzielnicy były osobno wydziały oświaty, zdrowia, wydziały meldunkowe, Dzielnicowe Zarządy Budynków Mieszkalnych i inne. Wygrałem konkurs w 1990 r. W tamtym okresie zajmowałem się wieloma aspektami życia komunalnego Dzielnicy Fabryczna. Po roku zlikwidowano stary system podziału na urzędy dzielnicowe i nazwano te ciała Zarządami Gospodarki Komunalnej. Cały proces trwał parę lat, kiedy pewne funkcje zaczęły się integrować w centrum miasta. Po paru latach Zarząd Gospodarki Komunalnej zaczął się zajmować głównie budynkami komunalnymi, czyli tym, czym kiedyś DZBM, ale również współpracą z radami osiedli w całej swojej dzielnicy czy zielenią na tym terenie. Mogę powiedzieć, że uczestniczyłem w procesie przekształceń, a następnie likwidacji Zarządów Gospodarki Komunalnej, kiedy powstały prywatne spółki zarządzające budynkami, a inne zadania zostały przeniesione do jednostek miejskich.

Kiedy byłem radnym, jako geolog, próbowałem walczyć w I kadencji o „zdrową wodę dla Wrocławia", o podziemną wodę z geologicznych złóż. To się częściowo udało, czyli powstała odpowiednia uchwała, zlecaliśmy badania zasobów do Centralnego Urzędu Geologicznego w Warszawie, robiliśmy inne badania, a później wiercenia. Już wcześniej geolodzy z Uniwersytetu Wrocławskiego rozpoznali szereg ciekawych podziemnych struktur wodonośnych w okolicach Wrocławia, które można by było wykorzystać, w dodatku ujęć odnawialnych. Zresztą wiadomo, że nadal są ukryte struktury podziemne, w których znajduje się czysta woda na głębokości stu, stu kilkudziesięciu metrów. Wtedy udało się zrobić szereg badań, potem kilkanaście studni głębinowych, następnie prowadzono prace nad możliwością podłączenia głębinowej wody do wodociągów miejskich. Niestety, nie skończyło się to dobrze, ponieważ zwyciężyło lobby wodociągów wrocławskich, które nie były absolutnie zainteresowane, żeby tę czystą wodę doprowadzić do miasta. Było zainteresowane tym, żeby wodę z rzeki Oławy tak chemicznie uzdatnić, aby dotarła do mieszkańców możliwie jak najczyściejsza. Ale wiadomo z góry, że to jest zupełnie inna jakość. Próbowaliśmy też jako Komisja Ochrony Środowiska zwracać uwagę na podziemne źródła jako alternatywne rozwiązania.

W 1997 r. podczas powodzi zalane zostały wrocławskie ujęcia wód powierzchniowych i oczyszczalnia ścieków. Tereny z ujęciami wód podziemnych nie zostały zalane. Niestety, pomimo że studnie są odwiercone i należą do Wrocławia nie doprowadzono wody z ujęć do granic miasta.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Mogę powiedzieć, że przynajmniej te dwie kadencje, kiedy byłem radnym, osiągnęły dużo. Wtedy zmienił się Wrocław, Rynek zaczął wyglądać tak, jak w Europie, podejmowano ważne decyzje. To były trudne decyzje, gdyż trzeba było np. na remont Rynku wydać duże pieniądze z niewielkiego budżetu, a wiadomo było, że peryferie wyglądają źle, i że potrzeb jest mnóstwo. Tak samo poważnym dylematem były wydatki na rozwój kultury, na przykład na festiwal *Wratislavia Cantans*, który wtedy był naszą sztandarową imprezą, czy na drogi, które ciągle są złe do dzisiaj, na budynki, które są fatalne, na kanalizację. Myślę jednak, że w miarę dobrze dokonano podziału, że niczego nie zaniedbano. Starano się o zrównoważony rozwój, zarówno gospodarki komunalnej, jak i spraw kultury, które rozwijają miasto i powodują, że więcej osób chce przyjeżdżać do Wrocławia.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

To jest trudne pytanie. I kadencja była, według mnie, najciekawsza. Uważam, że jednym z niepowodzeń Rady Miejskiej jest silne upolitycznienie struktur samorządu. Nie dotyczy to tylko samorządu wrocławskiego, gdyż jest to tendencja ogólna. My naprawdę chcieliśmy pracować dla Wrocławia, dla swoich osiedli. Oczywiście wiadomo, że nie mieliśmy pełnego przygotowania, ale autentycznie walczyliśmy o różne sprawy. Czasami dochodziliśmy do „ściany", ale chcieliśmy coś zrobić i mieliśmy bardzo dużo różnych pomysłów. Nie było „lewej", „prawej" strony, to była Rada jednorodna. Potem i tak doszło do podziału na frakcje, ale autentycznie walczono o różne sprawy. Natomiast już w następnej Radzie rola indywidualnego radnego się zmniejszyła. Wtedy zaczęły rządzić kluby radnych, a kluby radnych były partyjne. Może niedokładnie partyjne, raczej związane z partiami. Upolitycznienie Rady jest jej największym niepowodzeniem, ale to dotyczy wielu rad w Polsce. W dużych miastach powstały partyjne ośrodki władzy. Prezydenci Wrocławia Zdrojewski i Dutkiewicz nie opowiedzieli się wyraźnie, po której są stronie, a byli na tyle mocnymi jednostkami, że Wrocław w miarę się temu oparł. W innych miastach natomiast, jak śledzę to do dzisiaj, czasami partyjne sprawy przesłaniają ważne problemy miast, co jest, według mnie, największym problemem samorządu w kraju.

Nadal żałuję, że nie udało się wykorzystać podziemnych źródeł wody. Jako geolog uważam, że to był błąd. Oczywiście, mówię to subiektywnie, ale tak uważam zwłaszcza, że wydano już tyle pieniędzy, studnie zostały wykonane, ponadto wiadomo, że zdroje uliczne za granicą i w Polsce się sprawdzają. Natomiast innych wielkich porażek nie widzę.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Na pewno na początku była trudna. Pamiętam, że współpraca nie była najlepsza przez długi okres, kiedy był podział na to, co państwowe i to, co samorządowe. Okazało się, że duża część Wrocławia to były tereny państwowe i samorząd nie miał na nie wpływu. Pozasamorządowa jest np. kolej i do dzisiaj są poważne kłopoty, żeby się porozumieć. Są jeszcze instytucje pozarządowe, które zajmują się np. pomocą charytatywną bądź instytucje artystyczne. Myślę, że w tym przypadku następuje rozwój i współpraca jest coraz lepsza, ale to dlatego, że te instytucje są coraz silniejsze i coraz częściej również Rada docenia ich działania.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Kiedy działaliśmy w Komitecie Obywatelskim i zostaliśmy wytypowani przez Komitet do Rady Miejskiej, spotykaliśmy się z wyborcami i kontakt z nimi był intensywny. Gdy powstały rady osiedlowe, jako dyrektor ZGK Fabryczna, miałem większe możliwości, często spotykałem się z członkami rad osiedlowych i rozmawialiśmy o sprawach komunalnych, które ich nurtowały. Myślę jednak, że za mały jest udział indywidualnych wyborców. To są bardziej działania jakiegoś ciała: rady osiedlowej, komitetu obywatelskiego, można do tego dodać parafie czy szkoły. Wpływ wyborców jest ciągle za mały, a nawet jest mniejszy niż za moich kadencji. Był taki okres na początku, że radni spotykali się czy to w radzie osiedla, czy w komitecie obywatelskim, opowiadali, co było tematem obrad Rady. Odbywały się dyskusje. Teraz, myślę, że jest inaczej, że ten szczebel samorządu ma mały wpływ na to, co się dzieje w Mieście, że teraz niestety właśnie decydują partie polityczne.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej oraz Urzędem Miejskim?

Mógłbym powiedzieć, że jestem tutaj dobrym przykładem, bo przez siedem lat byłem po obu stronach. Uważam, że relacje były w miarę poprawne. Na przykład, kiedy byłem przez osiem lat członkiem Komisji Gospodarki Komunalnej, często spotykaliśmy się z przedstawicielami: MPWiK, ZDiK-u, MPK, ZGK-u, Zieleni Miejskiej, Zarządu Cmentarzy Komunalnych i innymi instytucjami ważnymi dla miasta. Omawialiśmy jako radni ich zadania, gościliśmy często w ich zakładach. Często mieliśmy zastrzeżenia, które były brane pod uwagę. Natomiast, na ile to było skuteczne, to już trudniej mi powiedzieć, bo o skuteczności decydują trochę inne czynniki. Wiadomo, że dyrektor spółki komunalnej nie podlega Radzie Miejskiej, tylko prezydentowi, więc, jeżeli prezydent i jego służby, jego zastępcy itd. nie będą dobrze nadzorować, to Rada też nie jest w stanie tego zrobić.

Na ważnych urzędników wydziałów Urzędu Miejskiego wpływ był podobny. Jeżeli chcieliśmy, żeby coś przygotowali, otrzymywaliśmy plany i je analizowano. Byli zapraszani i starali się nam wyjaśnić problemy. Ale to była taka sama sytuacja, że my nie byliśmy ich pracodawcami i oni też o tym wiedzieli. Nie byliśmy w stanie zawsze spowodować, żeby kogoś odwołano albo ukarano – w wyjątkowych przypadkach trzeba było zwrócić uwagę prezydentowi czy wiceprezydentowi, żeby interweniował. Natomiast myślę, że nie o to chodzi, żeby radni

nadzorowali urzędników, raczej mają pilotować, wytyczać kierunki, obserwować, czy plany są realizowane i rozmawiać z osobami odpowiedzialnymi za to. Pamiętamy, jak wtedy wyglądał Urząd Miejski, a jak wygląda teraz. W tej chwili dostęp do urzędników jest zdecydowanie lepszy.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Myślę, że dobrze. Biuro było specjalnie dla nas, pomagało zorganizować działalność Rady Miejskiej od strony technicznej. Pomagało nam też w organizowaniu wyjazdów, również zagranicznych, a przede wszystkim dostarczało nam materiały, projekty uchwał itp. Oceniam tę współpracę dobrze.

Jakie są Pana uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Pamiętam, że to się zmieniało. W Sukiennicach nie było wind. Chyba jeszcze podczas I kadencji radnym była osoba niepełnosprawna i myśmy tego kolegę wnosili we czterech na pierwsze piętro z wózkiem i tak samo go znosiliśmy. Mało tego, on nawet nie mógł przejechać do mikrofonu, bo nie było miejsca między rzędami. Potem salę główną poddano poważnemu remontowi. Poza tym nie mieliśmy mikrofonów, mikrofon był jeden na środku sali i trzeba było wychodzić, co też utrudniało żywą dyskusję. Na początku nie mieliśmy komputerów w komisjach i sprzętu do powielania czy Internetu. Czasami posiedzenia komisji były w salce, w której stało kilka stolików, siadało się i rozmawiało. Było skromnie, ale nam to nawet nie przeszkadzało, bo wtedy liczyły się dyskusje. Myślę, że teraz jest zdecydowanie lepiej.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W I kadencji byłem wiceprzewodniczącym Komisji Ochrony Środowiska, członkiem Komisji Gospodarki Komunalnej i Komisji Inicjatyw Gospodarczych. W II kadencji pracowałem w Komisji Gospodarki Komunalnej oraz w Komisji Promocji Wrocławia i Współpracy z Zagranicą.

Myślę, że dużo zależy od przewodniczących komisji, od ich uporu, wiedzy, ale również współpracy z radnymi, żeby ich nie skłócić, tylko wykorzystać wszystkich do osiągnięcia najlepszych efektów. Chyba najbardziej podobała mi się Komisja Ochrony Środowiska w pierwszej kadencji z panią Ewą Rzewuską. Myślę, że ta komisja była ambitna, próbowano w niej nawet pisać naukowe prace, jeździliśmy po różnych „trucicielach" wrocławskich, na hałdę pod Siechnice, do zakładów chemicznych i hutniczych. Bardzo interesowaliśmy się tym, co można zrobić z wodą, m.in. podziemną, z parkami wrocławskimi. Wydaje mi się, że zajmowaliśmy się wieloma sprawami. Na drugim miejscu postawiłbym Komisję Gospodarki Komunalnej, która jest jedną z ważniejszych komisji, ponieważ w mieście gospodarka komunalna ma szeroki zakres. Z tym, że sposób działania tej komisji był bardziej kontrolny, niż szukający nowych rozwiązań. Firmy komunalne uzgadniały swoje plany rozwojowe z komisją. Zawsze też dyskutowaliśmy o podwyżkach cen, np. wody czy komunikacji MPK lub czynszów mieszkaniowych. Dostawaliśmy projekty podwyżek i wymagaliśmy ich uzasadnienia. Niektóre argumenty były wystarczające, a niektóre nie. Czasami nie zgadzaliśmy się na podwyżki. Były negatywne opinie komisji, które przedstawiano na sesji. Komisja Promocji i Współpracy z Zagranicą powstała w drugiej kadencji. Miałem nadzieję, że będziemy mogli więcej zrobić w tej komisji, żeby promować Wrocław, ale środki finansowe w budżecie Miasta na to nie pozwoliły. W Komisji Inicjatyw Gospodarczych byłem przez okres około roku w I kadencji. Nie byłem w stanie uczestniczyć w trzech komisjach, więc z tej zrezygnowałem.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Pamiętam, był taki okres, że nie należałem do klubu, bo kluby powstały w II kadencji. Początkowo w Radzie chciałem być samodzielny, bo uważałem, że w klubach inaczej to wygląda, gdzie indziej jest ośrodek władzy, że rządzi jedynie wąska grupa osób. W Radzie Miejskiej II kadencji było troje radnych, którzy bez poparcia dużych organizacji dostali się do Rady. Potem, po paru latach, przyłączyłem się do klubu Wrocław 2000 Plus, m.in. dlatego, że indywidualnie w Radzie niewiele można zrobić. W głosowaniu liczyła się duża grupa. Nawet jak zgłaszało się coś pozytywnego albo próbowało o coś zabiegać, to wiadomo, że w grupie łatwiej było przekonać innych. Poza tym, w klubach wiele rzeczy się omawiało, więc miałem dużo szerszy obraz spraw, które się dzieją we Wrocławiu, poza moimi zawodowymi. Także nie mogę powiedzieć, że kluby nie są potrzebne. Natomiast zrobiły się naprawdę polityczne i to jest po prostu niedobre, bo polityka jest czymś innym niż chciałbym, żeby był samorząd. Według mnie on się coraz bardziej upolitycznia i często pojedynczy radni nie mają wiele do powiedzenia. Rozumiem, że kluby powinny być, ale trzeba je odpolitycznić.

Bardziej mi się podobało w pierwszej kadencji, kiedy nie było klubów. Uważam, że obrady wtedy były wiarygodniejsze. Na sesji radni nie bali się występować ze swoimi argumentami. Pomimo że byliśmy grupą solidarnościowców mieliśmy trochę różne poglądy, ale nie baliśmy się wtedy dyskusji. A potem zauważyłem, że inna jest polityka i inne priorytety. Samorząd jest właśnie po, to żeby rozmawiać o wszystkim i żeby wybrać najlepsze rozwiązania. Oczywiście, pewnie to znowu zależy od ludzi, od władz klubów, od radnych. Bardziej sobie jednak cenię I kadencję Rady, która była spontaniczna i na pewno dyskusje były szczere. Później to się trochę zmieniło.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najważniejszą chwilą była możliwość goszczenia papieża Jana Pawła II w ratuszu. To było wielkie wzruszenie. Pamiętam to dobrze, mamy zdjęcia. To chyba najważniejsza uroczystość. Poza tym może pierwsze zaprzysiężenie.

Były odwiedziny głów koronowanych, różne rocznice. Pamiętam też wyjazdy radnych za granicę, gdzie mogliśmy reprezentować naszą Radę w zaprzyjaźnionych miastach. Byłem jako radny w Izraelu na spotkaniu miast bliźniaczych w Jerozolimie. Instytucja miast bliźniaczych czy siostrzanych istnieje do dzisiaj. Pamiętam, że dwa razy byliśmy w Wilnie. Raz w I kadencji, raz w II, i to były bardzo ciekawe spotkania. Byliśmy między innymi w Sejmie Litwy i Ambasadzie Polski w Wilnie.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radzie osiedlowej, tylko we Wrocławskim Komitecie Obywatelskim, który powstał przed radami osiedla. Natomiast miałem z radami osiedla dobry kontakt jako radny i jako dyrektor ZGK przez osiem lat. Wiem, jak one pracowały, wiem też, jakie miały kompetencje. Często nie były zadowolone z tych kompetencji, chciały mieć większe. Bo tak, jak wcześniej mówiłem, jeżeli te kompetencje są za małe, to aktywność ludzi spada. Jeżeli mogą decydować jedynie o naprawdę drobnych sprawach, to wydaje się, że szkoda na to czasu. Co z tego, że się spotykają, coś omawiają, kogoś zapraszają, jeśli efekt tego jest mizerny. Oczywiście znowu to zależy od aktywnych osób, od przewodniczących. Niektórzy w tych samych warunkach mogą uzyskać więcej, mimo że oficjalnie nie mają kompetencji, ale potrafią wpłynąć na decydentów, żeby więcej osiągnąć dla lokalnych społeczności. Dlatego dobrze, że są te szczeble samorządu, ale mają za małe kompetencje. Jest to trudny problem, bo wiem, że też nie może być tych kompetencji za dużo. Znałem osoby, które weszły do rad osiedlowych dlatego, że głosowało na nie jeden czy pół procenta mieszkańców całego osiedla, bo inni nie głosowali. Czasami ich myślenie czy ich żądania były zupełnie abstrakcyjne, niedopuszczalne z punktu widzenia Miasta.

Trzeba pamiętać o tym, że w radach też są aktywni ludzie. Często było tak, że członkowie rad osiedlowych brali potem udział w wyborach do Rady Miejskiej i to jest naturalny proces. Niewątpliwie jest ważne, żeby rady osiedlowe były ośrodkiem aktywności, zwłaszcza w dużych miastach, bo w małej miejscowości rada miasta czy gminy jest w stanie dostrzec większość problemów mieszkańców. To oczywiście jest problem, jak podzielić kompetencje, żeby z jednej strony nie było za drogie utrzymanie jednostek czy dzielnicowych, czy osiedlowych, a z drugiej, żeby usprawnić funkcjonowanie miasta i zwiększyć aktywność jego mieszkańców.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami miasta i pracą samorządu?

Początkowo było za słabe. Ale media się przeobrażały, powstawały gazety i telewizje niezależne, dyrekcje regionalne, itd. Myślę, że teraz zainteresowanie jest większe, ale to naturalne, bo samorząd funkcjonuje już 20 lat. Wcześniej więcej było kontaktów z mieszkańcami, rolę tych spotkań częściowo przejęły media. Nie zawsze każde zainteresowanie jest pozytywne. Czasami robi się niepotrzebnie z jakiejś sprawy sensację, nagłaśnia się niepotrzebnie lub bezpodstawnie. Także tu też trzeba uważać. Dla mnie jest to ważne, gdyż czuję się nadal samorządowcem, mimo że teraz pracuję w innej dziedzinie.

◇◇◇

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie. Do 1991 r. byłem pracownikiem Biura Studiów i Projektów Służby Zdrowia w Warszawie Oddział Wrocław. Zajmowałem się projektowaniem i nadzorem autorskim nad realizacją obiektów służby zdrowia.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Moim sztandarowym tematem w pracy radnego była mieszkaniówka. Wiele czasu poświęciłem opracowaniu planu miejscowego rejonu: ul. Pomorska, Dubois, Kurkowa i Łowiecka. Moim zdaniem, rejon ten jest jednym z piękniejszych w mieście – dużo zieleni, secesja i sporo terenów pod nową zabudowę oraz bliskość Rynku. Zajmowałem się też usuwaniem skutków powodzi w 1997 r., a także przygotowaniem do dyskusji nad uchwałami dotyczącymi opłat za wodę i odprowadzenie ścieków oraz opłatami za komunikację zbiorową. Przedstawiane plany budżetowe jednostek odpowiedzialnych za te tematy jako uzasadnienie proponowanych nowych opłat niejednokrotnie przygotowywane były chyba z myślą „oni i tak się nie znają". Bulwersowało mnie przeznaczanie dużych kwot na modernizację zakładów uzdatniania wody Na Grobli czy Mokrym Dworze. Tłumaczenie, że wodę po wyjściu z zakładu można pić nieprzegotowaną nie trafiało do mnie. Uważałem, że ważna jest dobra jakość wody wychodzącej z zakładu, ale ważniejsza jest woda u odbiorcy w kranie. Przeznaczanie środków na czyszczenie, cementowanie rur i ich wymianę w ilości około 30 km rocznie było niewystarczające przy łącznej długości sieci wodociągowej rzędu 1640 km. Taka polityka doprowadziłaby do wymiany starych rur po 50 latach. I cóż z tego, że z zakładu wychodzi bardzo czysta woda, kiedy u odbiorcy niejednokrotnie płynie woda nienadająca się do użytku. Odpady. Byłem zwolennikiem budowy spalarni odpadów na terenach PKP w rejonie ulicy Paczkowskiej oraz zakończenia eksploatacji wysypiska na Maślicach z jednoczesnym pozyskaniem metanu do produkcji energii elektrycznej.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

1. Budowa placu zbaw na Osiedlu Muchobór Mały. Budowa to sporo potyczek z piwoszami, którzy mieli tam swój ulubiony kiosk z piwem, mieszkańcami, którzy teren ten wykorzystywali (na dziko) jako pole uprawne, prezesem Spółdzielni, który kupił sąsiedni teren, a na tym terenie usiłował wybudować stację transformatorową, wreszcie urzędnikami miejskimi (nie wszystkimi) czy Wojewódzkim Sejmikiem Odwoławczym. Budowa została sfinansowana ze środków funduszu wspierania inicjatyw społecznych, składek niektórych mieszkańców osiedla, funduszy z Komisji Ochrony Środowiska, Komisji Sportu, a nawet z przyznanych funduszy przez prezydenta Bogdana Zdrojewskiego. Swój udział w tym zadania miał również ZDiK wykonując około 200 m chodnika przyległego do placu wzdłuż ul. Stanów Zjednoczonych. Teren ten został zagospodarowany tylko w części według planów sprzed 1939 r. Pozostały teren został przeznaczony pod budownictwo indywidualne w latach 80. dla „przodującej młodzieży".

2. Przejęcie przedszkola przy ul. Traktatowej od Pafawagu przez Miasto. Pafawag, jak wiele innych zakładów, w owym czasie likwidował przedszkola. Przedszkole przy Traktatowej miało być sprzedane. Moje starania doprowadziły, że zostało ono przejęte przez Urząd Miejski. Historia tego przedszkola ma ciąg dalszy. Budowa obwodnicy śródmiejskiej przewidywała wyburzenie tego budynku i przeniesienie dzieci do przedszkoli na Nowy Dwór, gdyż Wydział Oświaty Urzędu Miejskiego nie miał środków na budowę nowego przedszkola. Uważałem, że nie Wydział Oświaty ma odtwarzać utracone miejsca przedszkolne a inwestor obwodnicy. Doprowadziłem do spotkania inwestora – ZDiK-u, Wydziału Inwestycyjno-Technicznego Urzędu Miejskiego i Wydziału Oświaty. Po długiej dyskusji ustalono, że ZDiK w ramach inwestycji wybuduje nowe przedszkole na osiedlu.

3. Uratowanie Zespołu Szkół nr 3 przy ul. Szkockiej 64 przed przeniesieniem Szkół Handlowych do tego obiektu. Przy dużym zaangażowaniu rodziców dzieci uczęszczających do tej szkoły i całego grona pedagogicznego niedopuszczono do realizacji pomysłu niektórych urzędników Wydziału Oświaty. W całym tym zawirowaniu udało mi się załatwić dofinansowanie pracowni komputerowej.

4. Zmiana dyrektora Szkoły Podstawowej przy ul. Greckiej, który ze szkoły zaczął robić hurtownię, a nauczycieli „zmuszał" do prowadzenia sprzedaży towarów. Na nauczycielach z wielkim doświadczeniem pedagogicznym i mających posłuch wśród uczniów stosował mobbing.

5. Budowa kościoła.

6. Zagospodarowanie terenu wokół Przychodni Lekarza Rodzinnego przy ul. Nowodworskiej.

7. Sprzeciw uchwale popowodziowej przyznającej tereny deweloperom pod budownictwo dla powodzian. Wiadomo, że ludzi, którzy stracili w powodzi niekiedy cały swój dobytek, nie będzie stać na kupno mieszkania u dewelopera. Deweloper otrzymując od gminy taki „prezent" jest w stanie uzyskać niewspółmierne korzyści.

8. Udział i podpisanie w imieniu delegatów z Polski tzw. „Deklaracji Berlińskiej" odnośnie do sanacji budownictwa wielkopłytowego. W czasie tego spotkania, w którym uczestniczyły państwa byłego bloku komunistycznego oraz rząd Republiki Niemiec, jak również Bank Światowy i Fundusz Walutowy, przez uczestniczące strony zostało zawiązane Stowarzyszenie. Celem tego spotkania była pomoc fachowa i finansowa w sanacji budownictwa wielkopłytowego. Po powrocie gmina nie wyraziła zainteresowania działalnością tego Stowarzyszenia, gdyż było to w głównej mierze budownictwo spółdzielcze. Szkoda!

Moim zdaniem jednym z większych sukcesów Rady Miejskiej Wrocławia II kadencji jest uchwalenie „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Gminy Wrocław".

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Opieszałość Rady i Urzędu Miejskiego związana z przejęciem terenów po wojskach rosyjskich na Maślicach, które zostały sprzedane przez wojewodę za grosze. Przez zadufanie Rady i urzędników gmina straciła duży teren wraz z budynkami, które mogła pozyskać za około 350 tys. zł. Rada wraz z Urzędem nie pokusiła się nawet o opracowanie planu miejscowego tych terenów, choć ustawowo była do tego zobowiązana. W prezydium Rady panowało przekonanie, że inicjatorem wszystkich pomysłów jest Urząd. Drugie niepowodzenie, to nieuchwalenie planu miejscowego na zagospodarowanie terenów przy ul. Mińskiej po byłym gospodarstwie ogrodniczym, choć dyrekcja Agencji Rolnej Skarbu Państwa, przed sprzedażą podmiotowi prywatnemu, chciała dogadać się z gminą w sprawie tego terenu.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Instytucje pozarządowe miały swoje problemy tylko wtedy, kiedy chciały coś zyskać, chodzi w szczególności o pieniądze. Natomiast, jeżeli się nie wprosiłem, to nie byłem zapraszany. Mogłem nie wiedzieć, że coś takiego istnieje. Dowiadywałem się wtedy, gdy trzeba było coś im pomóc, wtedy przychodzili, zapraszali i prosili. Wychodzę z założenia, że jeżeli mnie nie chcą, to ja nie wchodzę i nie włączam się do dyskusji. Może się to zmieniło. Mówię oczywiście o tamtym okresie.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wyborcy nie są zbyt zainteresowani pracą radnego. Są mocno zainteresowani krytyką, ale nie krytyką konstruktywną. Jeżeli nic się nie robi, to nie ma się do czego przypiąć, jeżeli cokolwiek się zrobi, to znajduje się masa ludzi, którzy uważają, że to można było inaczej zrobić. Mają oni tutaj rację, tylko, że trzeba było wcześniej przyjść i powiedzieć, że trzeba zrobić to tak i tak. Jedynie krytykanctwo.

U nas jest pewnego rodzaju zawiść. Jeżeli nie zrobi się po myśli drugiej osoby, to ta osoba w odwecie będzie robiła złą opinię. To nie oznacza, że to, co ja chcę, jest słuszne. Jako przykład, spółdzielnia mieszkaniowa na moim osiedlu chciała, żebym załatwił środki finansowe na wymianę grzejników stalowych na żeliwne. Nie chodziło o duże kwoty w skali Miasta, a jedynie o 200 tys. zł. Nie zgodziłem się i nie poparłem tego pomysłu. Uważałem, że Miasto nie jest od tego, by środki publiczne przekazywane były na zwiększenie majątku „prywatnego" czy spółdzielczego, bo wymiana grzejników jest zwiększeniem majątku danej firmy. Z tego tytułu miałem opinię niezbyt ciekawą.

Nie było chęci kontaktu z radnym, choć takie możliwości były. Na początku swej działalności radnego pełniłem dyżury w budynku szkoły, ale zrezygnowałem, ponieważ siedzieć tam godzinę po to, by siedzieć, to stracony czas. Niektórzy mieszkańcy woleli przychodzić do domu, np. nauczyciele ze szkoły przy ul. Greckiej czy mieszkańcy ul. Krzemienieckiej na Muchoborze Wielkim, których zalewały wody opadowe, bo ulica na odcinku od przejazdu kolejowego do stacji CPN nie posiadała odprowadzenia tych wód. Po staraniach uzgodniono z PKP, że wykona się dwa wpusty uliczne z odprowadzeniem do rowu przy torach. Problem znikł.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Podejrzewam, że dobrze, przecież klub Wrocław 2000 Plus miał zdecydowaną większość w Radzie i w Urzędzie. Choć w pewnych tematach była opieszałość czy też „pokazanie", kto jest ważniejszy. Zbyt dużo nie mogę powiedzieć, w tym czasie byłem pracownikiem Urzędu Miejskiego. Jako pracownik jednostki samorządowej miałem ręce nieco skrępowane w wydawaniu ocen na te tematy. Tę „przewagę" niejednokrotnie wykorzystywali przedstawiciele Urzędu Miejskiego wrzucając w ostatniej chwili na sesję projekty uchwał, nieraz dość trudnych, które wymagały stanowiska i wnikliwej analizy komisji merytorycznej.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w trzech komisjach: Komisji Rozwoju Przestrzennego i Architektury, Komisji Gospodarki Komunalnej i Komisji Ochrony Środowiska, w której pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego. Po dwóch latach pracy w tej komisji złożyłem rezygnację. Uważałem i do dziś uważam, że ochrona środowiska, to problem naszych czasów. Jednak ochrona środowiska nie może zapominać o człowieku. „Gałąź nie może przesłaniać człowieka". Na decyzję o rezygnacji z pracy w tej komisji miała wpływ negatywna opinia komisji odnośnie do zabudowy terenu przy pl. Powstańców Śląskich róg ul. Sztabowej. Rejon ten przed 1939 r. był zabudowany. W 1945 r. było to jedno gruzowisko, na którym po uprzątnięciu porosły akacje. Komisja, ze względu na rosnące dziko akacje i sterowany protest uczniów szkoły podstawowej, negatywnie zaopiniowała wniosek o zabudowę tego rejonu. Po latach okazało się, że miałem rację. Dziś stoi tam piękny budynek, a platany i kasztanowce rosną dalej, jak przed rokiem 1939. Praca w komisjach w znacznej mierze zależy od osoby przewodniczącego. Czy przewodniczącemu zależy na merytorycznej pracy komisji, czy na politykowaniu?

Mile wspominam pracę w Komisji Rozwoju Przestrzennego i Architektury. Pomimo zgrzytów na tle politycznym i osobistym pewnych osób z przewodniczącą, praca była ciekawa i merytoryczna. Przewodnicząca nie była lubiana, mówiąc delikatnie, przez przedstawicieli Urzędu Miejskiego.

W Komisji Gospodarki Komunalnej rozstrzygano problemy komunikacji miejskiej, mieszkalnictwa, zaopatrzenia w wodę i odbióru ścieków czy gospodarki odpadami oraz przedsięwzięć inwestycyjnych związanymi z tymi tematami.

Prace w komisjach zależą od merytorycznego przygotowania jej członków, mnie dobrze współpracowało się z ludźmi z SLD, którzy na komisjach dyskutowali merytorycznie i przyjmowali rzeczowe argumenty oponentów, co innego było na sali sesyjnej, gdzie dominowała polityka

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W II drugiej kadencji nie było takiej techniki jak dziś. Na owe czasy sala sesyjna była dobrze przygotowana, choć brakowało wentylacji, a ogrzewanie niekiedy zawodziło. Każdy miał swoje, co prawda nieopisane miejsce, a głosowało się przez podniesienie ręki. Głosy były liczone przez obsługę Biura. Taki brak techniki znacząco nie przeszkadzał, mimo że było nas siedemdziesięcioro. Dziś szybciej można ogarnąć całe grono. Zdarzały się też drobne pomyłki przy głosowaniu, robiło się wtedy powtórne liczenie. Były też przypadki, że dopiero przy sprawdzaniu protokołu okazywało się, że nie tak został policzony głos. Pisało się wtedy pismo o sprostowanie głosu. Materiały sesyjne otrzymywaliśmy przed wejściem na salę sesyjną. Wielu z nas rozumiało, że przygotowanie takiej ilości materiałów sesyjnych wymaga czasu i odpowiednich urządzeń do ich przygotowania (powielenia). Niejednokrotnie narzekaliśmy na taką sytuację, ale najbardziej była zbulwersowana opozycja. To prawo opozycji.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej w okresie pionierskim, tj. w czasie I kadencji, zdobyło odpowiednie doświadczenie. Pracownicy byli merytorycznie przygotowani do organizacji posiedzeń komisji tematycznych. Materiały dla radnych, o ile środki techniczne pozwalały, przygotowywane były na czas. Wielką zasługę w funkcjonowaniu Biura miała pani dyrektor Biura, osoba o wielkim doświadczeniu w tej materii. Pracownicy mili, sympatyczni i konkretni. Zdarzały się też potknięcia, więc oceniam pracę Biura na cztery z plusem.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Przy obecnej ordynacji wyborczej powoływanie klubów radnych jest niezbędne. Klub to forum dyskusyjne i decyzyjne danego ugrupowania. Tu opracowuje się strategię, tu ścierają się poglądy. Przewodniczący klubu reprezentuje dane ugrupowanie w prezydium Rady bądź na zewnątrz. Ordynacja wyborcza wręcz „zmusza" do tworzenia klubów radnych. Zgodnie z obowiązującą ordynacją wyborczą kluby i radni je tworzący to przedstawiciele danego ugrupowania, a nie przedstawiciele wyborców. W klubie należy liczyć się ze stanowiskiem ugrupowania, a nie wyborców. Jestem zwolennikiem okręgów jednomandatowych. Tu radny reprezentuje interesy wyborców, a nie danego ugrupowania. Przy obecnej ordynacji, radnym może zostać osoba, która uzyskała 53 głosy, taki przypadek miał miejsce w czasie II kadencji, natomiast osoba, która uzyskała 2500 głosów nie uzyskała mandatu. To dowód, że wyborcy nie posiadają swoich przedstawicieli, a jedynie ugrupowania. Nie liczy się przygotowanie, fachowość, lecz przynależność. Jednak należy zadać sobie pytanie, czy przy ordynacji jednomandatowej zbędne są kluby radnych? Kluby radnych w tym przypadku są też potrzebne do prezentowania zbieżnych opinii, lecz jest to „związek" dobrowolny, a nie organizacyjny. Tu dochodzi się do kompromisu, a nie wykonuje się wolę ugrupowania.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Wizyta papieża! Było to dla mnie tak wielkie przeżycie, że z bezpośredniego spotkania nic nie pamiętam. Do Ojca Świętego nie wiem, jak podszedłem, jak ucałowałem pierścień, jak odszedłem, co do mnie powiedział, jak się zachowałem, kompletna pustka. Gdyby nie pamiątkowe zdjęcie, nie wiedziałbym, co się wtedy wydarzyło. Nie mogę zrozumieć takiego stanu. To zdarzyło się w Sali Rycerskiej w ratuszu, stał Ojciec Święty, prezydent z małżonką i my w kolejce. My podchodziliśmy, a prezydent przedstawiał nas. To było coś niesamowitego. Jestem bardzo uczuciowy i nie potrafię tego opisać. Było to niesamowite wrażenie, które zabrało mi pamięć. Dla mnie to było wielkie i niezapomniane przeżycie.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Po 1990 r. z kilkoma osobami założyłem Osiedlowy Komitet Obywatelski. Impulsem było zebranie zorganizowane przez tworzące się nowe siły polityczne. Z tego zebrania wyszliśmy wraz z kilkoma nieznanymi mi osobami. Nie mogliśmy wysłuchiwać głoszonych bredni o stylu sprawowania władzy w kraju i w mieście. Zaproponowałem utworzenie Osiedlowego Komitetu Obywatelskiego, w skład którego weszły zarówno osoby zamieszkujące osiedle spółdzielcze, jak i osiedle o niskiej zabudowie. Ta inicjatywa nie przypadła do gustu pewnym działaczom spółdzielni mieszkaniowej, którzy później rościli sobie prawo decydowania o sprawach całego osiedla, z korzyścią dla części spółdzielczej.

W tym czasie mocno udzielałem się społecznie. Kiedy Rada Miejska rozpoczęła pracę nad powołaniem rad osiedli i wytyczeniem nowych granic osiedli, jako Osiedlowy Komitet Obywatelski rozpoczęliśmy „bój" o granice osiedla Mały Muchobór. Propozycja Rady Miejskiej, co do granic osiedli, skupiała się głównie na podziałach geodezyjnych. Uważałem, że nieistotne są podziały geodezyjne, a liczy się społeczność lokalna i elementy integrujące tę społeczność. U nas takim elementem była budowa kościoła na granicy podziału geodezyjnego: Nowy

Dwór i Muchobór Mały. Po spotkaniach z komisjami Rady Miejskiej i zespołem opracowującym granice osiedli uzgodniliśmy ostateczny przebieg granic osiedla. Muszę przyznać, że ta walka o granice, to mój największy błąd w wieloletniej działalności społecznej. Myślałem, że nowe czasy, to nowe podejście do problemów społecznych i międzyludzkich. Myliłem się bardzo. Interesów mieszkańców spółdzielni, a w szczególności ich działaczy, nigdy nie da się pogodzić z interesami mieszkańców budownictwa indywidualnego. Spółdzielcy są zorganizowani administracyjnie, zaś mieszkańcy zabudowy indywidualnej nie. Spółdzielca otrzymał mieszkanie, a właściciel domku go wybudował, zna wartość swojej pracy i wie, że na wszystko musi zapracować, niczego mu nie dadzą!

Gdy przez Radę Miejską została podjęta uchwała o radach osiedli, nastąpiło rozwiązanie Osiedlowego Komitetu Obywatelskiego i przystąpiliśmy do wyborów rady osiedla. Zainteresowanie było małe. Dla przykładu, na 19 miejsc w radzie osiedla zgłosiło się jedynie 18 kandydatów. Zostałem przewodniczącym. Kadencja moja trwała aż sześć lat. W tym czasie zostałem też radnym Rady Miejskiej. Podejmowałem próby integracji obu społeczności, bez powodzenia. Przeważył interes działaczy spółdzielczych i ich polityka roszczeniowa.

Rady osiedla w przyjętym kształcie na początku swej działalności, pomimo małego zainteresowania mieszkańców, spełniły swoją rolę demokratyzacji życia małych społeczności. Rady osiedla dziś to dobry „twór" dla urzędników. Są to organy jedynie opiniodawcze bez opinii wiążącej. Rola bardzo wygodna dla Urzędu. Jeżeli opinia jest sprzeczna z interesami Urzędu to jest niewiążąca, jeżeli jest wygodna to jest wiążąca. Pytam? Jaka to działalność społeczna, która Miasto kosztuje setki tysięcy złotych? Obecnie za swoją działalność rada osiedla nie ponosi odpowiedzialności, za wyjątkiem jej zawieszenia.

Uważam, że: radę osiedla należy bardziej związać z Radą Miejską; należy przeanalizować powstałe w latach 90. granice osiedli; należy utworzyć przedstawicielstwo rad osiedli, po jednym przedstawicielu z każdej rady, działających w rejonach odpowiadających okręgom wyborczym do Rady Miejskiej.

Wszelkie zmiany w statucie rad osiedli niewygodne urzędnikom będą przez nich torpedowane. Wiadomo nie od dziś, że działacze rad osiedli nie są mile widziani przez urzędników, bo w większości „coś chcą". Proponowane zmiany, to więcej rad, to więcej zgłaszanych problemów, to więcej klientów, ale mniej problemów i spokój w małych enklawach. To są też mieszkańcy tego miasta i wyborcy władzy gminnej, a nie urzędników.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Oni gonią za sensacją. Jeżeli nie przynosi to poczytności czy oglądalności, to ich temat nie interesuje. Na posiedzeniach Rady Miejskiej, kiedy miała być awantura, kiedy „Nasz Wrocław" klub opozycyjny robił szum, loża prasowa była zapełniona. Natomiast, kiedy były sprawy związane z Miastem, to przez pewien czas był tylko dziennikarz dyżurny. Moim zdaniem, brakowało zainteresowania problemami Miasta.

Media bardziej powinny uczestniczyć w informowaniu mieszkańców o pracach Rady Miejskiej. O jej problemach, o nowych uchwałach, o tym, co one zmieniają w życiu Wrocławia, jakie korzyści przynoszą mieszkańcom, a jakie utrudnienia powstaną po przyjęciu tej czy inne uchwały. Pamiętam dyskusję na temat spalarni odpadów w rejonie ul. Paczkowskiej. Dla przekonania protestujących mieszkańców zorganizowano wyjazd do Wiednia w celu zapoznania się z zaletami i problemami spalarni odpadów zlokalizowanej w centrum miasta, w pobliżu katedry św. Szczepana. W wyjeździe udział wzięli również dziennikarze (nie było radia, nie było telewizji). I co po powrocie? Ukazała się „wzmianka" o wyjeździe. Natomiast wszyscy się rozpisywali i pokazywali, jak to mieszkańcy protestują. Media nie zajmują stanowiska w temacie niektórych uchwał Rady, np. o rewitalizacji. Cóż to za rewitalizacja polegająca na naprawie dachu i wykonaniu nowej elewacji, a mieszkaniec, jak mieszkał w podstemplowanym mieszkaniu, tak mieszka. Media nie zainteresowały się tym tematem. Dla przypomnienia. Rewitalizacja to nie tylko malowanie „trawy", to także poprawa warunków bytowania mieszkańców. Drugi temat, to sanacja budownictwa wielkopłytowego, którym to tematem w 1998 r. próbowałem zainteresować media. I nic! Choć powstało międzynarodowe stowarzyszenie, choć Bank Światowy był sygnatariuszem tego stowarzyszenia. To na ówczesne czasy nie było newsem. Następnym przykładem nikłego zainteresowania mediów jest reforma zarządzania zasobem komunalnym przeprowadzona w latach 1999-2000 przez ówczesny Zarząd Miasta. Nikt nie był zainteresowany skutkami i kosztami z tego tytułu poniesionymi. A to wszystko dla dobrej współpracy pomiędzy mediami a rządzącymi.



Henryk MIKORSKI

Radny I, II i III kadencji.
Były dyrektor generalny Fundacji „Promyk Słońca".
Absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Moje przygotowanie do pełnienia funkcji radnego, to doświadczenie w pełnieniu funkcji przewodniczącego samorządu szkolnego.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1990 r., nie będąc członkiem żadnej partii politycznej, sprawami publicznymi nie mogłem się zajmować.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Moim „konikiem" były samorządy osiedli Wrocławia. Wiedziałem, że samorząd 700-tysięcznego Wrocławia nie powinien być ograniczony do samorządu Miasta, jeśli Wrocław ma być miastem racjonalnie zarządzanym. Mieszkańcy są w stanie identyfikować się wzajemnie w społeczności liczącej ok. 30 tys. osób, i na takiej wielkości osiedla należało podzielić Wrocław. Tak uczyniono w dużych miastach europejskich, jak Berlin i Wiedeń, aby w ten sposób pobudzać aktywność mieszkańców osiedli przy rozwiązywaniu ich problemów, a przez to redukować postawy wyłącznie roszczeniowe.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Pozytywne jest to, że udało się, mimo wszystko, z budżetu Miasta wyodrębnić niewielkie środki na Fundusz Wspierania Inicjatyw Lokalnych, dzięki któremu, przy znacznym współudziale mieszkańców osiedli, zrealizowano wiele inwestycji lokalnych. Co prawda, wykorzystanie podobnych funduszy w samorządach Krakowa czy Poznania jest o wiele efektywniejsze niż we Wrocławiu, ale na „bezrybiu…"

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Szkoda, że we Wrocławiu samorząd miejski zmarnował szansę efektywnego rozbudzania aktywności obywatelskiej poprzez rozwój samorządów osiedli. Powołał osiedla w sposób nieracjonalny, ponieważ niektóre osiedla są bardzo duże, liczą około 40 tys. mieszkańców, a niektóre bardzo małe, bo liczą około 4 tys. mieszkańców. Nieracjonalny podział osiedli pod względem liczby mieszkańców wymusił nieracjonalny podział kompetencji wśród tych osiedli. Osiedla duże narzekają na niedobór kompetencji oraz środków w stosunku do potrzeb mieszkańców dużego osiedla. Osiedla małe narzekają na niewielkie kompetencje i środki, które praktycznie uniemożliwiają im często jakąkolwiek działalność. Z takiego rozdziału kompetencji i środków są niezadowoleni mieszkańcy miasta, czego wyrazem jest frekwencja wyborcza przy wyborach do organów samorządów osiedlowych, która stale maleje, a w ostatnich wyborach wyniosła około 2%. Główny cel, jakim miało być pobudzanie aktywności mieszkańców osiedli przy rozwiązywaniu ich problemów został w ten sposób prawie zaprzepaszczony.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ wyborców na moją 12-letnią działalność w Radzie Miejskiej, z przykrością stwierdzam, był iluzoryczny. Nie mógł być inny, skoro na jednego radnego przypadało w pierwszej kadencji ok. 10 tys. mieszkańców, a obecnie przypada już ok. 20 tys. mieszkańców. Dyżury radnego były i są iluzoryczne. Od osobistego zaangażowania radnego zależy, czy jego praca w Radzie bardziej służyła jego wyborcom, czy bardziej jego wizerunkowi wśród wyborców.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Ewolucję wzajemnego wyodrębniania się działań Rady Miejskiej Wrocławia od Zarządu i Urzędu Miejskiego można było zaobserwować od samego początku zaistnienia samorządu miejskiego. Bezpośredni wybór prezydenta miasta i równolegle z tym wybory radnych do Rady Miejskiej, proces ten zintensyfikował i doprowadził do tego, że obecne działania Rady Miejskiej są bardzo ograniczone i mają coraz mniejszy wpływ na rzeczywiste zarządzanie miastem. Proces usamodzielniania się organu wykonawczego, jakim jest Zarząd Miasta i Urząd Miejski, w stosunku do organu stanowiąco-kontrolnego, jakim jest Rada Miejska trwał od początku powstania samorządu terytorialnego i trwa nadal. Czy jest to proces pozytywny, czy negatywny dla mieszkańców Wrocławia trudno jednoznacznie rozstrzygnąć i powinni to zrobić sami mieszkańcy w trakcie głosowania.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wystrój sali sesyjnej Rady Miejskiej Wrocławia jest zabytkowy. Budowniczy tej sali ergonomii nie znali. Obecnie salę odbudowano zgodnie z jej pierwotnym wyglądem. Sala ma wystrój zabytkowy, jest bardzo ładna,

ale niezbyt przyjazna radnym pod względem ergonomicznym. W efekcie, po 12 latach przesiadywania na sesjach i komisjach Rady nabawiłem się kłopotów zdrowotnych z kręgosłupem.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w komisjach: rewizyjnej, przemysłu, osiedli, zdrowia, oświaty. Efekty pracy w Komisji ds. Osiedli oceniam najwyżej, gdyż usiłowaliśmy w niej rozwiązywać ważne problemy mieszkańców osiedli i mieliśmy znaczący wpływ na działania administracji samorządowej w osiedlach. Najniżej oceniam efekty pracy w Komisji Rewizyjnej, ponieważ trud przyjmowania dużej liczby interwencji od mieszkańców nie przekładał się na działanie administracji samorządowej, czyli na poprawę pracy Zarządu Miasta oraz Urzędu Miejskiego.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W mojej pamięci z pracy w Radzie Miejskiej Wrocławia zapisały się trzy wydarzenia:

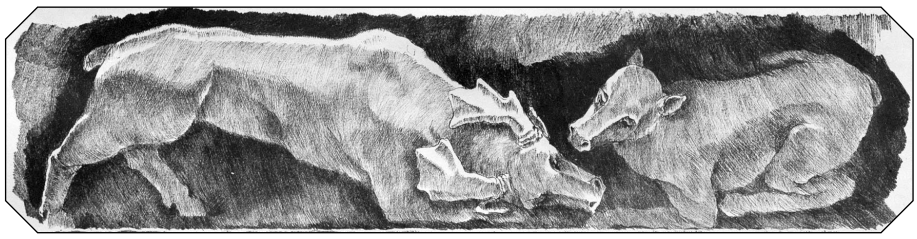
1. Skarbonka radnych. W pierwszej kadencji wielu radnych było zaskoczonych, a nawet oburzonych faktem, że zostanie im wypłacona dieta radnego jako forma rekompensaty za utracone zarobki z tytułu pracy w Radzie Miejskiej. Ich oburzenie wynikało z faktu, że byli przekonani, że miała to być praca wyłącznie społeczna. Po dyskusji przyjęto zasadę, że jeżeli ktoś z radnych uważa, że dieta mu się nie należy, to musi ją pobrać, ale może włożyć ją do skarbonki radnych. Skarbonkę radnych przechowywał przewodniczący Rady Miejskiej, a zebrane pieniądze były przeznaczane na cele społeczne. Przez pierwsze miesiące skarbonka radnych była pełna, ale z czasem była coraz uboższa, aż zniknęła bezpowrotnie, bo zabrakło chętnych do jej napełniania. Okres funkcjonowania skarbonki radnych był wprost proporcjonalny do poziomu entuzjazmu radnych do pracy społecznej w Radzie Miejskiej. Początkowo był bardzo duży, a z czasem był coraz mniejszy.

2. Wizyta u Ojca Świętego w Watykanie. W drugiej kadencji radni z Wrocławia i Wadowic pojechali z wizytą do Ojca Świętego Jana Pawła II do Watykanu. Wizyta odbyła się kilka miesięcy przed mającym się odbyć we Wrocławiu Kongresem Eucharystycznym. Ten fakt oraz to, że byli z nami radni z Wadowic spowodował, że w zasadzie wszystkie drzwi w Watykanie były dla nas otwarte. Doszło do spotkania z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo i było to dla nas wydarzenie ogromne – spotkać się osobiście z tak Wielkim Polakiem.

3. Zawieszenie krzyża w sali sesyjnej Rady Miejskiej. Duży mosiężny krzyż dla Rady Miejskiej Wrocławia w II kadencji przywieźli radni z Wadowic i przekazali go publicznie na sesji przewodniczącemu Rady Miejskiej. Upłynęło sporo czasu, a podarowanego krzyża w sali sesyjnej nikt nie zawiesił. Radni z klubu „Nasz Wrocław" z własnej inicjatywy zawiesili identyczny krzyż, jak ten z Wadowic, ale w tajemniczy sposób po trzech godzinach krzyż zniknął – „był zawieszony w sposób nielegalny". Znów po pewnym czasie w sali sesyjnej znalazł się skromny, drewniany krzyż nad stołem prezydialnym i znajduje się tam do chwili obecnej, ponieważ jest „legalny".

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Samorządy osiedli nie powinny być konkurencją dla samorządu miasta, a powinny stanowić jego uzupełnienie. Nie powinny otrzymać kompetencji strategicznych, typu: lokalizacja lotniska, wysypiska, obwodnicy, ale powinny otrzymać kompetencje lokalne typu: lokalizacja szkoły, przedszkola, sklepu osiedlowego. Początkowy plan samorządu Wrocławia podzielenia miasta na ok. 20 osiedli nie został zrealizowany. Przyczyn było wiele, w tym brak dostatecznej wyobraźni społecznej radnych Rady Miejskiej w I kadencji był przyczyną podstawową. W efekcie podzielono Wrocław na 46 osiedli w sposób nieracjonalny, powołując osiedla bardzo duże i bardzo małe. W ten sposób trudno było tak zróżnicowane osiedla traktować równorzędnie. W „małym" osiedlu wybrano 7-osobowy zarząd osiedla bez rady osiedla, a w „dużym" osiedlu wybrano ponad 20-osobową radę osiedla oraz zarząd osiedla. W „małym" osiedlu roczny budżet wynosił kilkadziesiąt tys. złotych, a w „dużym" osiedlu kilkaset tys. złotych. Efekty gospodarowania funduszami osiedlowymi przez osiedla małe i duże są bardzo zróżnicowane. Niektóre osiedla są zaniedbane i sprawiają przygnębiające wrażenie, a niektóre są przykładem dobrego gospodarowania. Szczególnie jest to widoczne w osiedlach położonych na peryferiach Wrocławia. To, że w dużym mieście należy osiedlom, szczególnie peryferyjnym, przyznać niezbędne kompetencje i środki do racjonalnego gospodarowania widać przy przekroczeniu granic Wrocławia. Podróżny przyjeżdżając do sąsiedniej małej gminy gołym okiem widzi efekty dobrego gospodarowania samorządu małej gminy, która dba o swój teren małej gminy w każdym miejscu, nie tak, jak samorząd dużej gminy, który głównie dba o Śródmieście i Rynek miasta, a brakuje mu energii na to, by dbać o swoje peryferia i stąd tak widoczna różnica dla każdego podróżnego.





Jacek MILLER

Radny II i III kadencji.
Przewodniczący Komisji Rozwoju Gospodarczego
Sejmiku Samorządowego w latach 1990-1993.
Architekt.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Nikt nie był przygotowany. Jeżeli ktokolwiek powie, że był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym, to nie jest to prawdą. Kiedy się miał przygotować, kto miał go przygotować i na jakiej zasadzie? Teoretycznie przygotowani byli ci, którzy skończyli prawo, bo znali ustawy samorządowe. Teoretycznie profesor Kulesza, profesor Kieres jako wybitny prawnik, ale kto więcej: architekci, fizycy, matematycy? Kiedy się mieli tego nauczyć i od kogo? O sobie mogę powiedzieć, że teoretycznie wiedziałem więcej niż inni, bo wcześniej pracowałem jako architekt miejski w Trzebnicy. Za czasów komuny, jeszcze jako młody człowiek, przez dwa lata miałem kontakt z tak zwaną Radą Narodową, więc mniej więcej wiedziałem, na czym powinien polegać proces legislacyjny na poziomie samorządu. Na tym kończyła się moja wiedza.

Biorąc udział w wyborach do Rady Miejskiej Wrocławia II kadencji byłem przygotowany o niebo lepiej. Wcześniej z ramienia Komitetu Obywatelskiego startowałem w wyborach do Rady Gminy Oborniki Śląskie – tam mieszkałem. Wygrałem wybory, zostałem radnym Miasta i Gminy Oborniki Śląskie. Zostałem członkiem Sejmiku Samorządowego, któremu przewodniczył pan profesor Kieres, byłem szefem Komisji Gospodarczej w tymże Sejmiku. W związku z powyższym w momencie, kiedy po przeprowadzce do Wrocławia zaproponowano mi start w wyborach samorządowych we Wrocławiu do Rady Miejskiej II kadencji, teoretycznie byłem przygotowany do pełnienia funkcji samorządowca.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie bezpośrednio, po studiach wyprowadziłem się do Obornik Śląskich, w związku z czym nie zajmowałem się sprawami miasta. Wrocław występował jako gmina wiodąca w organizmie, który dzisiaj nazywamy aglomeracją wrocławską. Stąd praktycznie Wrocław przewijał się przez wszystkie posiedzenia Komisji Gospodarczej Sejmiku Samorządowego oraz w bardzo wielu posiedzeniach Sejmiku. Należy pamiętać, iż gmina Oborniki Śląskie mająca bezpośrednią granicę z gminą Wrocław jest skazana na daleko idącą współpracę z Wrocławiem, w szczególności w ramach planowania przestrzennego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Jako architekt byłem członkiem Komisji Architektury i Planowania Przestrzennego. Wiodącą komisją była więc dla mnie ta komisja. Drugą komisją, w którą byłem zaangażowany, była Komisja Ochrony Środowiska, tematycznie bardzo blisko związaną z Komisją Architektury, w szczególności w zakresie planowania przestrzennego. Strona komunalna funkcjonowania gminy to przede wszystkim infrastruktura techniczna, swojego rodzaju układ krwionośny, nerwowy, funkcjonowania miasta. Każda z nitek infrastruktury technicznej: wodociągi, sieci kanalizacji, ulice, linie tramwajowe, *etc*. musi mieć swoje odzwierciedlenie w prawie miejscowym realizowanym poprzez miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego, a więc przez dokumenty, dla których Komisja Architektury była komisją wiodącą w Radzie Miejskiej.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Największym sukcesem, tzn. takim indywidualnym sukcesem, było skuteczne reprezentowanie Wrocławia na forum międzynarodowym. Skuteczne, bo doprowadziłem do podpisania dwóch dokumentów, na podstawie których Wrocław mógł występować jako pełnoprawny uczestnik programów międzynarodowych. Dokładnie chodziło o stowarzyszenie Miast Metropolitalnych Europy METREC oraz Stowarzyszenie Miast tzw. Nowej Hanzy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Rozumiem, iż w podtekście pytania jest ocena współpracy Rady Miejskiej Wrocławia z organizacjami i stowarzyszeniami niezwiązanymi z samorządem lokalnym i pozarządowymi. O ile tak, to mogę to ocenić przez pryzmat współpracy dwóch komisji, w których zasiadałem.

W szczególności w Komisji Architektury miała miejsce wielka merytoryczna współpraca w zakresie opiniowania wszelkich zjawisk związanych z planami rozwoju Wrocławia, zarówno tych ogromnych komunikacyjnych, jak i małych, aczkolwiek niezmiernie ważnych, jakimi były: place zabaw dla dzieci, współpraca przede wszystkim

z radami osiedli oraz różnymi stowarzyszeniami reprezentującymi interesy lokalne. Muszę powiedzieć, że nieżyjąca już pani Barbara Wawrzyniak, która była szefową tej komisji (z zawodu architekt, ogromnej wiedzy), niezmiernie poważnie podchodziła do każdego wniosku rady osiedli. Wnioski były bardzo szeroko dyskutowane i omawiane, a wiele z nich zostało zrealizowanych. Analogicznie, w kontekście prac Komisji Ochrony Środowiska, wysoce aktywnej, jedynej mającej realny wpływ na dyspozycje finansowe związane z Funduszem Ochrony Środowiska, należy przypomnieć ogromną merytoryczną współpracę ze stowarzyszeniami ekologicznymi.

Współpraca zaowocowała zrealizowaniem wielu przedsięwzięć proekologicznych, np. związanych z zielenią, zmniejszeniem zapylenia, *etc*.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Żaden, absolutnie żaden. Posłużę się przykładem. Otóż: każdy samorząd, oprócz funkcji pod tytułem „podnoszenie ręki i dyskutowanie", ma bardzo ważną rolę do spełnienia, mianowicie uchwalenie prawa miejscowego. Jest to jeden z niewielu dokumentów, gdzie Rada może stanowić prawo. Możemy kreować podatek od psów, kotów, ale tak naprawdę niewiele więcej, bo nawet, jeżeli będziemy tworzyć uchwały Rady Miejskiej pt. „Prawo śmieciowe" czy inne, czy ścieżki rowerowe, są one tylko manifestem pewnej woli, nie zamieniają się natomiast na prawo stanowione. Zagospodarowanie przestrzenne jest rzeczywiście dokumentem, gdzie Rada Miejska tworzy własne prawo: prawo miejscowe, które musi być respektowane przez wszystkich. Rozumiem przez to, że skoro to prawo miejscowe odciska swoje piętno na każdym z mieszkańców, to wszyscy powinni być tym prawem zainteresowani. W tym konkretnym przypadku stanowienia prawa miejscowego aktywność wyborców może mieć ogromny wpływ na treści w nim zawarte. Przewidział to ustawodawca, który powiedział, że jeżeli robimy jakikolwiek plan miejscowy będący prawem miejscowym, to muszą się z tym oczywiście zapoznać wszyscy radni, ale musi to być także wyłożone do wiadomości publicznej. Teoretycznie więc wszyscy wyborcy radnych naszego miasta mają prawo przyjść i zapoznać się z każdym dokumentem planistycznym i na temat każdego dokumentu planistycznego wygłosić swoją opinię. Na tysiąc planów i osiemset pięćdziesiąt tysięcy wyborców, ilu przyszło? Ilu chciało mieć realny wpływ na politykę w mieście, na jego perspektywiczny rozwój? Dwie osoby. Jeżeli więc mieszkańcy w ten sposób interesują się własnym miastem, to nic dziwnego, że odpowiedź jest jedna: wpływ mieszkańców, wpływ wyborców, jest żaden, kompletnie żaden.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Pytanie to jest skierowane do radnego, który był zawsze wśród zwycięzców wyborów samorządowych, w związku z tym jego stosunki układały się poprawnie. Gdybym natomiast był w SLD czy w PIS-ie, wówczas uważałbym, że negatywnie, bo miałbym ogromne problemy z przeforsowaniem swoich pomysłów. Tak to wygląda, taka jest prawda. Jeśli patrzymy przez pryzmat funkcjonowania mojej osoby jako radnego, członka klubu Wrocław 2000, który był wtedy u steru władzy, to nasza współpraca była rewelacyjna, opozycjonista natomiast powie – żadna. No tak, a co innego może powiedzieć.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Wobec ogromnej ilości spraw, nierzadko niezwykle ciężkich gatunkowo i trudnych merytorycznie, bez bardzo dobrej współpracy czy wręcz opieki radni nie mogliby pracować.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Początek: sala ze zwykłymi stołami, bez instalacji teletechnicznych, bez możliwości poruszania się przez osoby niepełnosprawne, brak windy. Dzisiaj: piękna amfiteatralna sala wyposażona w instalacje multimedialne, dostępna dla osób niepełnosprawnych.

Dostęp do materiałów był zawsze bardzo dobry. Są panie w Biurze, które opiekowały się poszczególnymi klubami, komisjami Rady i te panie są merytorycznie bardzo dobrze przygotowane, i z tego, co ja dobrze pamiętam nigdy nikt nie miał kłopotu z dostaniem jakichkolwiek materiałów, nigdy, tak po prostu było.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Lokalny parlament, czyli Rada Miejska, jest zbiorowiskiem kilkudziesięciu ludzi mających w pewnej części wspólny mianownik, jakim są poglądy społeczne i polityczne. Ich wspólną płaszczyzną są kluby reprezentujące jakąś grupę na zewnątrz. Czy jest to celowe? Trudno sobie wyobrazić 40 osób wypowiadających się jedna po drugiej na sesji i kolejno opiniujących projekt uchwały. Prościej, aby zrobiła to jedna osoba zabierająca głos w imieniu całej grupy mającej podobne zdanie. A więc szybciej, sprawniej i na pewno bardziej merytorycznie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Powódź, powódź i jeszcze raz powódź. Było to wydarzenie, które każdemu z nas musiało zapaść na zawsze w pamięci. Miałem zaszczyt być jednym z organizatorów obrony Wyspy Piaskowej, na której spędziłem kilkadziesiąt godzin. Zresztą spotkał mnie wielki zaszczyt, bo kiedy po latach wspominały o tym wrocławskie media, jeden z dziennikarzy napisał, że pamięta takiego Millera, który mówił, co robić i w jaki sposób układać wały. Na wyspie byłem do nocnej ewakuacji, a następnego dnia, po dwóch, trzech godzinach snu, zjawiłem się w Sukiennicach, z pytaniem: „Co robić?" Dostałem zadanie dostarczenia map geodezyjnych, sztabowych z biur Urzędu Miejskiego

do budynku Poltegoru. W Poltegorze zostałem trzy lub cztery dni. Tam powstał społeczny sztab koordynujący niektóre działania – najpierw obrony, a następnie udzielanej pomocy. Wspólnie z kilkoma osobami sprowadzaliśmy do Wrocławia wysokowydajne pompy szlamowe, specjalistyczne szczepionki, rozdzielaliśmy transporty żywności i środków czystości. O randze naszego działania niech świadczy fakt oddelegowania do Poltegoru oficerów łącznikowych Straży Pożarnej i Policji oraz zgłaszania się o wytyczne grup ratunkowych spoza Wrocławia. Jest to moje ogromne, prywatne doświadczenie.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nigdy nie działałem w radach osiedlowych, natomiast oceniając ich pracę przez pryzmat znanej mi Rady Osiedla Krzyki „Borek" mogę się wypowiadać w samych superlatywach.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zerowo, kompletnie nie ma zainteresowania. Media to sensacja. Nie ma sensacji, to nie ma mediów. Chciałbym, aby media próbowały kreować pewne zjawiska w kulturze, w architekturze, w naukach. Nie ma żadnych przeciwwskazań, żeby raz na kwartał w gazecie ukazała się informacja o Mieście, co planujemy wybudować we Wrocławiu, np. na Sępolnie, kolorowe zdjęcie, plan zagospodarowania. Nie widziałem zdjęcia przepięknie odnowionych kamienic, nie brałem udziału w publicznej prasowej dyskusji o strategii rozwoju miasta.

Nikt nie podał do wiadomości publicznej założeń WPI i do tego jeszcze przeprowadził na ten temat debatę. Co to jest WPI? To Wieloletni Plan Inwestycyjny, a więc podstawowy dokument, z którego przeciętny obywatel Wrocławia będzie wiedział, czy wreszcie wybudują mu ulicę. Tematów aż nadto, ale niestety, nie są sensacją.



Aldona MŁYŃCZAK

Radna IV kadencji.
Poseł na Sejm RP V i VI kadencji.
Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Swoją działalność społeczną rozpoczęłam w latach dziewięćdziesiątych, podczas pracy w radzie osiedla, gdzie pełniłam funkcję przewodniczącej zarządu. Rady osiedla są organami pomocniczymi dla Rady Miejskiej, dlatego też miałam możliwość współtworzenia polskiego samorządu terytorialnego.

Prezydentem Wrocławia był wówczas Bogdan Zdrojewski, a Rada Miejska funkcjonowała już w oparciu o nową ustawę. Był to czas, który możemy nazwać w pełni demokratycznym. W 2002 r., otrzymałam mandat radnej, a dzięki pracy w radzie osiedla byłam przygotowana do pełnienia tej funkcji, mogąc w pełni zaangażować się w pracę samorządową.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Tak, aczkolwiek w nieco innym wymiarze. W tym okresie moje życie, poza sprawami zawodowymi, wypełniało wychowanie oraz rozwój moich dzieci. Dlatego też sprawy podwórek, piaskownic, żłobków i przedszkoli były mi szczególnie bliskie. Czyli sprawy, z którymi każdy z nas styka się na co dzień.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W Radzie Miejskiej III kadencji byłam przewodniczącą Komisji ds. Rozwoju Przestrzennego i Architektury oraz członkiem Komisji ds. Inicjatyw Gospodarczych. Do obowiązków Rady Miejskiej i komisji należało opiniowanie wszystkich spraw, które są związane z mieszkalnictwem, szeroko pojętym ładem przestrzennym oraz projektowaniem dużych inwestycji. Do naszych obowiązków należało również udzielanie akceptacji na budowę dużych obiektów handlowych.

Natomiast sprawami związanymi z drobniejszym handlem zajmowała się Komisja Inicjatyw Gospodarczych. Do obszaru jej działalności należały także przedsięwzięcia związane z działalnością gospodarczą. Mam tutaj na myśli np. wynajem lokali, ewentualnie późniejszą ich sprzedaż osobom, które przez kilka kolejnych lat były ich dzierżawcami.

Podsumowując, nasze działania skupiały się na kwestiach związanych z budownictwem, remontami, rewitalizacją starych dzielnic, inwestycjami oraz działalnością gospodarczą.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Największym sukcesem była zdecydowanie praca w komisji, której przewodniczyłam.

Jej działalność miała bezpośredni wpływ na późniejszy rozwój Wrocławia oraz sukces naszego miasta. W okresie 2002-2006 Rada Miejska uchwaliła sto planów zagospodarowania przestrzennego. Nabiera to szczególnego wymiaru, jeżeli podsumujemy prace poprzednich komisji, którym udało się uchwalić zaledwie kilkanaście takich planów. W tym szczególnym okresie nastąpiło przyspieszenie planowania, które było pierwszym etapem prowadzącym do boomu inwestycyjnego w naszym mieście. W obecnym czasie kładzie się nacisk na rozwój infrastruktury, budownictwa, w tym na budowę nowych dróg oraz lotniska, jako inwestycji związanych bezpośrednio z Euro 2012. Jednakże zaznaczyć należy, że plany zagospodarowania przestrzennego z wyznaczonymi lokalizacjami pod budowę nowego lotniska, obiektów sportowych, szybkiej kolei oraz dróg dojazdowych miały swój rodowód w pracach komisji, której przewodniczyłam.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Częściej pamiętam sukcesy, szczególnie, że było ich zdecydowanie więcej. Jeżeli przytrafiają się niepowodzenia, to staram się wyciągać z nich lekcję. Oczywiście w tamtej dekadzie były drobne problemy związane głównie z remontami dróg, ścieżek rowerowych, itp. Niestety, sprawa remontu dróg jest ciągle aktualna, jako nieustanna bolączka naszego miasta. W mojej opinii, za mało środków było i jest przeznaczanych na rewitalizację Psiego Pola, ale wszystko wskazuje na to, że wypracowany cykl modernizacyjny zaczyna obejmować północne części miasta.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca polegała głównie na zasięganiu opinii przedstawicieli organizacji pozarządowych. Reprezentanci trzeciego sektora byli zapraszani na obrady komisji, gdzie mieli możliwość wpływania na proces decyzyjny. Natomiast przy realizacji miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego odbywało się bardzo dużo konsultacji społecznych. W związku z mnogością problemów oraz kontrowersjami krążącymi wokół niektórych tematów, tego rodzaju spotkania odbywały się nader często i miały charakter otwarty. Ich głównym celem było wysłuchanie opinii, dyskusja, wzajemne przekonywanie oraz uzyskanie kompromisu.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W mojej opinii wyborcy mają i powinni mieć wpływ na działalność Rady. Częstotliwość spotkań z wyborcami zależy od okręgu, z którego się startuje. W moim przypadku był to Wrocław-Południe. Mogę śmiało stwierdzić, że konsultacje z mieszkańcami odbywały się nader często. Bardzo dużo spotkań dotyczyło mieszkańców Wielkiej Wyspy i tych rejonów, gdzie zaplanowano przebieg obwodnicy śródmiejskiej. Konsultacje miały również charakter pojedynczych spotkań wszędzie tam, gdzie było to konieczne lub też mieszkańcy sygnalizowali potrzebę omówienia istotnych dla nich problemów, np. wytyczenie drogi, budowa szkoły, itp. Większość konsultacji Komisji Gospodarczej z przedsiębiorcami odbywało się na terenie Rady Miejskiej. Często były to wielogodzinne dyskusje dotyczące wysokości czynszów, możliwości wykupu lokali oraz wielu innych spraw związanych z handlem. Poza tym, każdy radny pełnił raz w miesiącu dyżur, aby mieszkańcy mogli porozmawiać i przedstawić swoje problemy.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej układały się bardzo dobrze. Pamiętam ten okres, gdy współpracowaliśmy z prezydentem. Była to pierwsza kadencja prezydenta Dutkiewicza, który chciał wypracować swoją wizję rozwoju miasta. To był czas nowego spojrzenia na miasto, wytyczenia nowych perspektyw, wizji, strategii, które są teraz realizowane. Oceniam tę współpracę jako bardzo dobrą, korzystną dla miasta, której efekty są widoczne dzisiaj.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze, szczególnie miło wspominam obsługę Komisji Architektury, której przewodniczyłam. Życzę każdemu, żeby miał taką opiekę ze strony Rady Miejskiej.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W czasie, gdy byłam radną nie było praktycznie ułatwień technicznych. W Radzie głosowało się poprzez podniesienie ręki. Pomimo tego nie czuliśmy się w żaden sposób pokrzywdzeni.

W mojej opinii urządzenia ułatwiają i uwiarygodniają pracę Rady, gdyż dzięki nim pomyłki zdarzają się niezmiernie rzadko. Wiadomo, ile jest wyświetleń, ile osób oddało głos za, ile przeciw, a kto nie stawił się na obrady. Z tego okresu pamiętam także ekrany, na których można było oglądać prezentacje. W tamtych czasach był to duży postęp. Natomiast sala, w której odbywały się posiedzenia komisji była standardowa, bez dostępu do infrastruktury informatycznej. Materiały były dostarczane w formie papierowej. Nie były przesyłane mailowo, gdyż nie było wtedy takiego zwyczaju. Każdy z nas miał swoją skrytkę na pierwszym piętrze, gdzie można było odebrać materiały. W tym czasie był to standard. Obecnie warunki techniczne w Radzie Miejskiej uległy polepszeniu, zgodnie z duchem czasu.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracowałam przede wszystkim w Komisji Architektury i Rozwoju Przestrzennego, Komisji Budownictwa i Komisji ds. Inicjatyw Gospodarczych. W końcowym okresie mojej pracy w samorządzie działałam także w Komisji Rewizyjnej. Jednakże, w związku z moim wykształceniem, za najbardziej interesującą muszę uznać pracę w Komisji Architektury i Rozwoju Przestrzennego.

Mogę śmiało stwierdzić, że praca parlamentarna w Komisji ds. Gospodarki oraz Komisji Infrastruktury jest bezpośrednią kontynuacją mojej działalności samorządowej w Radzie Miejskiej.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Demokracja polega na sporze, na wymianie poglądów i kluby radnych pełnią taka rolę w ramach działalności partii. To wewnętrzna agora, gdzie można wymieniać poglądy, ustalać stanowiska i dochodzić do kompromisów. W każdej partii jej członkowie muszą spotykać się i wypracowywać stanowiska, niejednokrotnie dążyć do kompromisu z partią opozycyjną. Stanowisko klubu jest pewną wytyczną kierunku działania i myślenia. Powinno być ujednolicone i przeważnie tak jest.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Wydarzeniami szczególnymi dla Rady Miejskiej były, i mam nadzieję, że jest tak nadal, spotkania i coroczne uroczystości związane z obchodami Dni Miasta Wrocławia. W tym czasie wręczany jest tytuł Honorowego Obywatela Wrocławia. W trakcie mojej kadencji najbardziej uroczyste było nadanie tego zaszczytnego tytułu Lechowi Wałęsie, który cały dzień poświęcił na spotkania z mieszkańcami miasta i radnymi. To jedno z wydarzeń, które najbardziej utkwiło mi w pamięci.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

W czasie mojej działalności w radzie osiedla miałam możliwość współpracy ze wspaniałymi i zaangażowanymi ludźmi. Dzięki tej współpracy powstała m.in. szkoła podstawowa i boiska, zarezerwowano miejsca pod przedszkola, a nawet pod kościół, który jest teraz budowany, będzie pod wezwaniem św. Ojca Pio. Wiele z tych osób nadal działa w radach osiedli, fundacjach czy stowarzyszeniach.

Postrzegam tamtą radę jako pasjonatów i entuzjastów zmian. Wówczas pierwszy raz po wojnie został zorganizowany festyn na ołtaszyńskim boisku „Florian". Od tamtej pory jest to cykliczne wydarzenie, odbywające się co roku w czerwcu.

Z perspektywy czasu, gdy spoglądam na działania rady osiedla, nabieram przekonania, że dobre tradycje przetrwały i są kontynuowane przez mieszkańców. Wiele osób w radzie osiedla pozostało na kolejne kadencje, kontynuują swoja pracę i „zarażają" tą pasją kolejne osoby.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Moim zdaniem, media interesują się głównie sytuacjami konfliktowymi. Mniej jest w mediach pokazywanej pracy i wyników, które dają pozytywne osiągnięcia. Codzienna praca zaangażowanych ludzi nie jest dla mediów atrakcyjna.

◇◇◇

firm. Spotkałam tam ludzi, którzy tworzyli „Solidarność". Jako zatwardziała antykomunistka natychmiast stałam się członkiem organizacji.

Mimo iż nie należałam wcześniej do żadnej organizacji politycznej, zawsze byłam społecznikiem, lubiłam robić coś pożytecznego, pomagać ludziom. Każdy mógł się do mnie zwrócić, jeżeli tylko byłam w stanie – służyłam pomocą. Co skłoniło mnie do działalności politycznej? My Polacy zawsze na wszystko narzekamy. Wszystko nam się nie podoba. Niestety, z naszego narzekania niewiele wynika. Mnie też ta zła cecha nie ominęła, ale w pewnym momencie zapytałam siebie: „ciągle narzekasz, a co zrobiłaś, aby to zmienić, czy włożyłaś wystarczająco dużo wysiłku, aby zmienić swoje otoczenie, przekonać innych, że warto?" To był właśnie ten moment, kiedy postanowiłam radykalnie zmienić swoją postawę. Zdecydowałam, że nie będę tracić energii na malkontenctwo, ale spróbuję coś zmienić, coś dać z siebie. Zapisałam się do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, którego liderem był Jan Maria Rokita i tworząc struktury lokalne zaczęłam swoją działalność polityczną. W momencie rozpadu AWS-u, do którego należało SKL, rozpoczęły się dyskusje o przyszłości partii. Część osób proponowała przejście do Platformy Obywatelskiej, ale ja nie widziałam się w partii liberalnej. Razem z częścią członków SKL-u, którzy pozostali wierni swoim konserwatywnym poglądom, stworzyliśmy Przymierze Prawicy, któremu przewodniczył Marek Jurek. Po pewnym czasie Przymierze Prawicy połączyło się z konserwatywną partią PIS i tak stałam się członkiem tej partii.

Od 2002 r. wykonuję mandat radnej Rady Miejskiej Wrocławia, a od 2008 r. jako radna niezależna. Jednak moje konserwatywne poglądy oraz zasady, którymi się kieruję są niezmienne od lat.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Nie, zupełnie nie. To było zaraz po studiach. Byłam młodym pracownikiem. Zajmowałam się pracą zawodową. Wówczas zaczęłam działać w „Solidarności" zakładowej. Jednak zawsze byłam aktywna społecznie. Interesowało mnie otoczenie, w którym się znajduję i dokładałam wszelkich starań, by je zmienić, upiększyć. Nigdy nie przymykałam oczu na otaczające problemy, starając się pomóc każdemu, kto się do mnie zwróci o pomoc. Ludzie z mojego otoczenia przyzwyczaili się, że zawsze mogą do mnie przyjść, bo przecież „pani Ula zawsze znajdzie rozwiązanie". Z czasem wrzucali na moje barki zbyt wiele, przygniatając mnie prawie do ziemi. Jednak momenty, gdy udało się pomóc były i są największą satysfakcją.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W pierwszej kadencji pracowałam w trzech komisjach: Komisji Inicjatyw Gospodarczych, Komisji Architektury i Rozwoju Przestrzennego oraz Komisji Promocji i Współpracy z Zagranicą, której byłam przewodniczącą. Najmniej znałam się na sprawach związanych z architekturą i rozwojem przestrzennym, dlatego też musiałam włożyć sporo wysiłku, aby zdobyć potrzebną wiedzę. Nie oznacza to, że zajmowałam się tylko obszarem danych komisji. Jako radni zajmujemy się każdą sprawą, dotyczącą naszego miasta i jego mieszkańców. Współpracuję z radami osiedli, bo przecież tam ludzie kierują pierwsze kroki, gdy chodzi o tematykę zasobu komunalnego. Za swoją działalność w 2005 r. zostałam nagrodzona przez Kapitułę Nadodrzańską wyróżnieniem „Zasłużony dla Osiedla Nadodrze". Bardzo sobie cenię to wyróżnienie, zwłaszcza że jest to część mojego okręgu wyborczego. Jest to okręg bardzo trudny, obszar zaniedbany, o jednej z największych patologii. Problemów społecznych jest wiele i trzeba ogromnej pracy, aby zmienić oblicze tej części miasta. Dlatego też bardzo się cieszę, że udało się ten obszar zgłosić do programu unijnego jako obszar wsparcia. Aby otrzymać unijną dotację należało spełnić kilka warunków: wysoka stopa długotrwałego bezrobocia, wysoki poziom przestępczości i wykroczeń, niski wskaźnik prowadzenia działalności gospodarczej, niski poziom wartości zasobu mieszkaniowego. W efekcie podjętych działań otrzymaliśmy ponad 10 mln euro na realizację tego programu. Za kilka lat Nadodrze będzie bezpiecznym, urokliwym miejscem z pięknymi kamienicami, których urok dostrzegamy dopiero po rewitalizacji. A Nadodrze, Kleczków, Ołbin składają się z takich właśnie kamienic. Istne perełki. Ze szczególną uwagą zajmowałam się ofertą dla dzieci i młodzieży. Boiska przyszkolne i sale gimnastyczne zostały przebudowane czy odnowione, powstały boiska ze sztuczna murawą, wdrożony został program trenera osiedlowego, a także powstały świetlice środowiskowe, gdzie dzieci mogą spędzać czas i rozwijać swoje umiejętności. Ważna dla mnie była również sfera związana z seniorami. Powstały programy i oferty również dla tej grupy naszego społeczeństwa, choć zdaję sobie sprawę, że w tej kwestii jest jeszcze wiele do zrobienia.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

Jestem drugą kadencję radną. Na początku kadencji takim sukcesem było zaliczenie Śródmieścia do obszaru wsparcia, o czym już wcześniej mówiłam. Później boiska przyszkolne, oferta dla dzieci, młodzieży i seniorów, a także wiele załatwionych indywidualnych spraw, które nie są spektakularne, ale jakże ważne dla mieszkańców.

Czasami sprawa jednostkowa ginie gdzieś w masie wielkich projektów, ale przecież za nią kryje się zwykły człowiek, dla którego jest to kwestia życiowa. I trzeba ze szczególną troską pochylić się nad takim problemem oraz dołożyć wszelkich starań, aby go rozwiązać.

Czasami ludzie przez niewiedzę lub niefrasobliwość wpędzają się w kłopoty i tak zagmatwają sprawę, że sami nie są w stanie znaleźć rozwiązania. I tutaj jest rola radnego, aby pochylił się nad problemem i wskazał

odpowiednią drogę, a czasami pomógł w kontaktach z Urzędem. Pamiętajmy, że często o pomoc do nas zwracają się osoby starsze, schorowane, które nie mają sił, aby przechodzić ciężką ścieżkę urzędniczą. Pamiętam starsze małżeństwo, zasłużone dla Wrocławia, które mieszkało w fatalnych warunkach, w sypiącej się kamienicy. Od lat bezskutecznie próbowali zdobyć dla siebie bezpieczne lokum. Nie było łatwo rozwiązać ten problem, ale kiedy po dłuższym zabieganiu udało się doprowadzić do szczęśliwego końca, radość w oczach tych ludzi była największym podziękowaniem.

Komisja Promocji i Współpracy z Zagranicą, której przewodniczę, zajmuje się m.in. repatriantami z dawnych republik radzieckich. Co roku typujemy trzy rodziny, które w ramach ustawy repatriacyjnej otrzymują zaproszenia do osiedlenia się we Wrocławiu. Wniosków jest bardzo dużo i nie jest łatwo wytypować rodziny, które otrzymają zaproszenia. Czytając je poznajemy tragiczne historie rodzin wysiedlonych na kresy wschodnie, tak przejmujące losy ludzi, że często ocieramy łzy z oczu. Pamiętam młodą dziewczynę, która przyjechała do Polski. Rozpoczęła naukę w szkole pielęgniarskiej, a po jej ukończeniu poszła na studia medyczne. Przez wiele lat starała się o kartę repatrianta, ale bezskutecznie. Wyszła za mąż, urodziła córkę, ukończyła studia, jednak kwestie osiedleńcze nadal nie były uregulowane. Była obecna na sesji, na której podejmowaliśmy uchwałę, związaną z zaproszeniem jej w ramach ustawy repatriacyjnej. Po głosowaniu rzuciła się w moje ramiona. Obie płakałyśmy. Takie chwile na zawsze zostaną w mojej pamięci i utwierdzają mnie w przekonaniu, że warto ponosić trud, bo radość w oczach drugiego człowieka jest największą nagrodą.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

W tej kadencji pracuję w trochę innych komisjach. Przewodniczę Komisji Promocji i Współpracy z Zagranicą oraz pracuję w komisjach Sportu i Rekreacji oraz Kultury i Nauki. Dla mnie największym niepowodzeniem była likwidacja Operetki Wrocławskiej. Wprawdzie decyzja o przekształceniu operetki w Teatr Muzyczny Capitol zapadła w poprzedniej kadencji, jednak faktycznie dokonało się to za mojego rajcowania. W dokumentach, które przestudiowałam znalazłam zapis o repertuarze operetkowym, jaki miał być realizowany przez Capitol, jednak rzeczywistość okazała się bardziej brutalna dla tego segmentu kultury. To, że Wrocław nie posiada operetki uważam za największy błąd. Z Marią Zawartko, która jest radną obecnej kadencji, czyniłyśmy starania w celu przywrócenia Wrocławiowi sceny operetkowej. W ciągu kilku dni tysiąc sześćset osób podpisało się pod petycją, aby przywrócić miastu operetkę. Niestety, do tej pory to się nie udało. Jednak nie ustajemy w wysiłkach i mam nadzieję, że w przyszłości teatr operetkowy powróci do Wrocławia.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Wszystko zależy od ludzi, którzy zajmują się tego typu działalnością. Są organizacje, które świetnie działają i są też takie, co do których mam duże wątpliwości. Jeżeli posiadam wiedzę lub jakiekolwiek podejrzenia, zgłaszam je odpowiednim służbom wnioskując o kontrolę. Przekazując środki publiczne na działalność musimy być pewni, że są one wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem. Podczas pracy w Radzie Miejskiej spotkałam wiele organizacji, które skupiają ludzi zaangażowanych w działalność związaną z kulturą, sportem czy pomocą społeczną. W większości są to młodzi, energiczni ludzie, którzy przygotowując oferty dla mieszkańców potrafią skupić wokół siebie wiele grup od dzieci po seniorów. Cenię sobie wysoko współpracę z tego typu organizacjami.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Pracując w Radzie Miejskiej spotykamy się z różnego rodzaju organizacjami, stowarzyszeniami, klubami czy przedsiębiorcami oraz mieszkańcami przedstawiającymi indywidualne problemy. Te ostatnie mają największą wartość. Chociaż staramy się systemowo rozwiązywać problemy, to jednak każda indywidualna sprawa dla zwykłego człowieka jest najważniejsza. Każdy wyborca, jeżeli chce, może się ze mną skontaktować. Zawsze można do mnie zadzwonić, napisać bądź też spotkać się choćby podczas sesji Rady Miejskiej czy dyżurów. Oczywiście spotkań nie ograniczam do tylko wymienionych. Spotykam się z wyborcami w dowolnym terminie, po uprzednim umówieniu się. Bardzo często przychodzą mieszkańcy podczas sesji. Z jednej strony jest to wygodne dla mieszkańca, bo może zastać wszystkich radnych, z drugiej zaś, jest ograniczenie czasowe. Niestety, większość mieszkańców ogranicza się do pójścia na wybory (o ile pójdą) i na tym właściwie się kończy ich zaangażowanie. A szkoda, bo przecież jesteśmy dla mieszkańców. Gdziekolwiek spotykam się z ludźmi informuję, w jaki sposób można spotkać się z danym radnym, gdzie znaleźć informacje, jak zgłosić swój problem. Zachęcam do kontaktu, bo przecież radnych jest tylko 37 osób, a miasto duże. Nie jesteśmy w stanie wiedzieć o wszystkim. Kontakty są potrzebne obu stronom, radni uzyskują informację, poznają problemy, a mieszkańcy uzyskują pomoc, o ile sprawa jest w gestii Rady Miejskiej. Z tym mamy jeszcze problem. Wielu ludzi uważa, że nie ma potrzeby kontaktowania się z radnymi, zwracania uwagi na problemy i potrzeby mieszkańców, bo to i tak nic nie da. Ja sprzeciwiam się takiej postawie. Gdybyśmy wszyscy tak myśleli, to jak dzisiaj wyglądałoby nasze miasto?

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W zasadzie dobrze. Wiele spraw udało się załatwić. Jednak do doskonałości wiele jeszcze brakuje. Jak w każdej organizacji, ludzie są różni, od bardzo zaangażowanych w swoją pracę do tych, którzy trochę psują wizerunek urzędnika. Ktoś kiedyś powiedział, że jedno walące się drzewo robi więcej huku niż cały rosnący las. I tak jest

w Urzędzie. Rzesza dobrych pracowników ciężko pracuje, jest oddana swojej pracy, a jedna osoba przez swoją niekompetencję czy złe zachowanie potrafi zburzyć ten pozytywny wizerunek. Uważam, że powinno się jeszcze zmienić postrzeganie petenta i traktowanie spraw, z którymi przyszedł w sposób bardziej ludzki. Oczywiście wszystkich obowiązuje prawo i nikomu nie wolno go naginać, aby wydać satysfakcjonującą mieszkańca decyzję, ale przecież są inne rozwiązania zgodne z prawem i należy takie rozwiązania podpowiadać. Takiego zaangażowania oczekiwałabym od wszystkich urzędników.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Jestem zadowolona z pracy, jaką świadczy Biuro Rady Miejskiej. Pracownicy są kompetentni, przyjaźnie nastawieni i pomocni. Jest to szczególnie ważne dla nowych radnych, którzy muszą poznać Urząd i nauczyć się, gdzie w danej sprawie skierować kroki.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

W ciągu dwóch kadencji pracowałam w Komisji Inicjatyw Gospodarczych, Architektury i Rozwoju Przestrzennego, Sportu i Rekreacji, Kultury i Nauki oraz Promocji i Współpracy z Zagranicą. Praca w komisjach jest pracą merytoryczną. Spieramy się w różnych kwestiach, ale najczęściej są to spory konstruktywne, oparte na argumentach. Chciałabym, aby styl pracy w komisjach miał swoje odzwierciedlenie w trakcie sesji Rady Miejskiej. Niestety, podczas sesji bardzo mało jest dyskusji merytorycznych, mają one charakter polityczny, a ich poziom pozostawia wiele do życzenia. Czasami padają słowa, które urągają powadze urzędu. W poprzedniej kadencji byłam bardzo zadowolona z tego, że polityczne spory na szczeblu parlamentarnym pomiędzy opcjami politycznymi nie przenosiły się na samorządy. Mimo że koalicje popękały, tutaj pracowaliśmy razem dla dobra miasta. W obecnej kadencji sytuacja jest odmienna. Spory z Warszawy przeniosły się na poziom samorządowy. Radni wykonują polecenia swoich liderów politycznych, choć w kuluarach wielu przyznaje, że nie popiera rozwiązań narzuconych z góry. Mam nadzieję, że wyciągniemy z tego naukę i w przyszłości nie będziemy spierać się o bzdury, o rzeczy mało ważne, tylko będziemy pracować dla mieszkańców, którzy nam zaufali i powierzyli mandaty, abyśmy mogli po zakończeniu naszej pracy zdać sprawozdanie ze swojej działalności, nie musząc się czerwienić i wstydzić, ale stanąć przed naszymi wyborcami i uczciwie powiedzieć, co zrobiliśmy, co się udało, a co nie.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Każda partia lub komitet wyborczy wystawiając swoich kandydatów do Rady przygotowuje program, z którego później trzeba się rozliczyć. Ludzie, którzy z woli wyborców otrzymają mandaty tworzą kluby, w których opracowują strategię realizacji swojego programu wyborczego. Dlatego też powoływanie klubów jest celowe. W klubach odbywają się dyskusje, czasami burzliwe, bo przecież radni mają różne wizje dotyczące sposobu realizacji programu. Trzeba wypracowywać kompromisy. Czasami kluby zarządzają dyscyplinę podczas głosowania, zgodną z wytycznymi swoich partii. Wówczas podawane argumenty nie zmieniają zamierzonego głosowania, chociaż wewnętrznie przekonują wielu radnych. Jest to efekt polityki, która zagościła w samorządach chyba już na dobre. Szkoda. A może kiedyś to się jednak zmieni?

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Były wydarzenia radosne i smutne, poważne i komiczne. Pamiętam bardzo długą sesję, która skończyła się o drugiej w nocy i dotyczyła planu zagospodarowania przestrzennego dla Biskupina. Mieszkańcy Wielkiej Wyspy zarzucili nas protestami (ponad półtora tysiąca), sprzeciwiając się planom budowy mostu łączącego Niskie Łąki z Biskupinem. Ludzie zawiązali stowarzyszenie mające na celu zablokowanie planu. Każdy protest należało przegłosować osobno, chociaż wszystkie były tej samej treści. Mieszkańcy wprowadzili dyżury i do końca „pilnowali" nas, czy nie głosujemy *en bloc*. Na pewno pozostaną mi w pamięci dyskusje budżetowe, wielkie inwestycje i sukcesy Wrocławia, z których jestem bardzo dumna. Smutnymi wydarzeniami były odejścia radnych na wieczny spoczynek. Czasami tak bywa, choć są to trudne chwile.

Co do radosnych czy też komicznych chwil, to warto wspomnieć chór Rady Miejskiej, założony przez radną Marię Zawartko. Swego czasu dyrektor Capitolu Konrad Imiela zaprosił mieszkańców do Chóru Narzekań. Chór Rady Miejskiej przygotował odpowiedź. Radny Jurek Skoczylas napisał tekst i w czasie święta Wrocławia zaśpiewaliśmy Hymn Pochwalny. Wrocławianie, którzy słyszeli nasz występ byli ubawieni, my również. W tym roku chór przygotował na święto Wrocławia nową piosenkę „Wrocławski czas", którą wykonaliśmy na wrocławskim Rynku, a obecnie jesteśmy w trakcie nagrywania tego utworu na płytę. Razem z Chórem Marszałkowskim śpiewaliśmy na zakończenie akcji walki z ubóstwem i wykluczeniem społecznym. To taka odskocznia od poważnych spraw, którymi się zajmujemy, ale to dobrze, że po ciężkiej pracy i wielu sporach możemy jeszcze ze sobą przebywać i w sympatyczny sposób odreagowywać stresy.

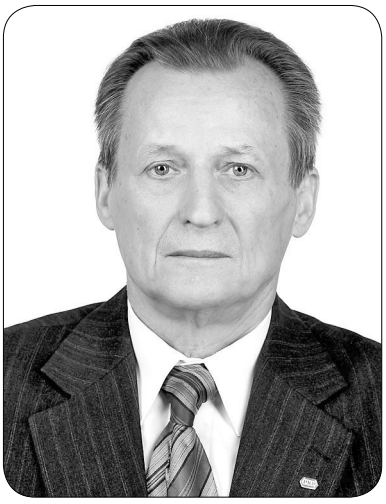
Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nigdy nie działałam, choć z nimi współpracuję. Są to jednostki pomocnicze Rady Miejskiej, które zajmują się sprawami mieszkańców w swoich osiedlach. Są rady, które bardzo aktywnie pracują na rzecz społeczności lokalnej, przygotowują wiele inicjatyw, są bardzo blisko mieszkańców. Ale są też takie, które

praktycznie nie wysilają się i sprawiają wrażenie, że nie są zainteresowane tym, co dzieje się na ich terenie. W kilku przypadkach rady osiedli nie zostały powołane. Spowodowane to było brakiem zainteresowania mieszkańców i brakiem kandydatów. Frekwencja wyborcza do rad jest na nieprzyzwoicie niskim poziomie, co pokazuje brak zainteresowania mieszkańców. Myślę, że w przyszłości należy zastanowić się nad rolą rad osiedlowych, a może nad zmianą formuły czy kompetencji.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Nie chciałabym wpadać w zbyt krytykancki ton, ale mam wiele zastrzeżeń do pracy mediów. Przykre jest to, że dziennikarze nie opisują rzeczywistości w rzetelny sposób. Wiele fajnych rzeczy dzieje się w naszym mieście. Mamy bogatą ofertę kulturalną, sportową, ofertę skierowaną do różnych grup i segmentów. Niestety wielu wrocławian nie wie, co się dzieje w naszym mieście. Dotyczy to również rozwoju. Wrocław szybko zmienia swoje oblicze, pięknieje, ale w mediach informacji takich jest jak na lekarstwo. To bolączka nie tylko wrocławskich mediów. Wystarczy spojrzeć w jakąkolwiek prasę czy stację telewizyjną i co widzimy? Same złe wiadomości, tragedie, katastrofy, przestępstwa. Tak, jakby nic dobrego się nie wydarzyło. A przecież wydarza się i to codziennie, więc należy o tym pisać. Niestety, zło lepiej się sprzedaje. Nieraz denerwuję się na nierzetelne wykonywanie zawodu dziennikarskiego. Gdy dzień po sesji czytam prasę, to zastanawiam się, czy byliśmy na tej samej sesji. Pomieszane fakty i wypowiedzi, słowa jednych radnych wkładane w usta drugich. A przecież dziennikarze powinni słuchać uważnie tego, co się dzieje na sali sesyjnej i przekazywać fakty. Nie ma słowa o ważnych sprawach, które były omawiane i podjętych uchwałach mających wpływ na nasze życie, ciekawych inicjatywach. Często prasa jest zapraszana na spotkanie, przedstawiane są dziennikarzom fakty i argumenty, wyjaśniane są rozwiązania i wydawałoby się, że wszystko jest klarowne i zrozumiałe. Następnego dnia w przekazie prasowym czy telewizyjnym nie można znaleźć żadnego argumentu, żadnych danych, które zostały dostarczone, natomiast informacja jest przekręcona, a czasem zmanipulowana. Dlaczego? Czasami mam wrażenie, że dziennikarze boją się pisać o dobrych poczynaniach prawdziwie, bo inne mają zlecenia od swojego szefostwa, a przecież dziennikarz to też człowiek, który boi się o swoje miejsce pracy. Marzę o czasach, kiedy dziennikarstwo będzie niezależne od układów politycznych.



Bolesław MUSIAŁ

Radny II kadencji.
Absolwent Wydziału Komunikacji Kolejowej Politechniki Warszawskiej, magister inżynier: eksploatacja techniczna kolei.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Moje przygotowanie wynikało przede wszystkim z tego, że praktycznie całe życie interesowały mnie sprawy społeczne i nimi się zajmowałem. W poprzednim systemie działałem w różnych komisjach, przygotowywałem również opracowania dla swoich zwierzchników, którzy byli przedstawicielami Wojewódzkiej Rady Narodowej. Moje zaangażowanie w radzie dzielnicowej Wrocław-Krzyki było powiązane z moją pracą w Biurze Projektów Kolejowych. Jednocześnie byłem konsultantem w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej Miasta Wrocławia. W tym czasie dyrektorem pracowni był inż. architekt Binkowski, zastępcą Włodzimierz Szostek późniejszy Architekt Wojewódzki. Współpracowaliśmy w zakresie układów komunikacyjnych w planie zagospodarowania przestrzennego. Miałem swój udział w tych opracowaniach. Po utworzeniu ustawy o samorządzie pracowałem również w Radzie Osiedla Wrocław-Kuźniki.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Tak, zajmowałem się sprawami miasta jako konsultant byłej Pracowni Urbanistycznej. Współpracowałem z panem Binkowskim, panią Czernerową, z profesorem Zipserem, który prowadził Katedrę Urbanistyki i Architektury na Politechnice Wrocławskiej, z Włodzimierzem Szostkiem, który w owym czasie był zastępcą dyrektora Miejskiej Pracowni Urbanistycznej – tu pracowałem cały czas jako konsultant do spraw komunikacji kolejowej, ale również w nawiązaniu do układów komunikacyjnych w komunikacji drogowej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Funkcję radnego pełniłem w okresie 1994-1998. Byłem przewodniczącym Komisji Komunikacji i członkiem Komisji Urbanistyki i Architektury, te elementy ściśle z sobą współpracują. Jednocześnie byłem w komisji zajmującej się wyróżnianiem osób zasłużonych dla Wrocławia (nominacja do tytułu *Civitate Wratislaviensi Donatus*). Ponadto byłem członkiem klubu Wrocław 2000, którego szefem w owym czasie był prof. Kieres.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Jako radny i jednocześnie jako dyrektor Okręgu Kolei Państwowych miałem wpływ na przebudowę układu komunikacyjnego miasta Wrocławia. Gdyby nie nasze decyzje dotyczące odbudowy, przebudowy przez kolej wiaduktów na ul. Powstańców Śląskich, dwóch wiaduktów na ul. Legnickiej, wiaduktu na ul. Hallera i wiaduktu na ul. Racławickiej, to Wrocław najprawdopodobniej do dnia dzisiejszego nie przebudowałby układu drogowego, a zwężenie byłoby ewidentne. To były ogromne inwestycje realizowane ze środków PKP, a służyły poszerzeniu świateł wiaduktu, żeby można było poprowadzić dwujezdniowe drogi. Ponadto, również za mojej kadencji, niejako z inicjatywy przewodniczącego Komisji Komunikacji, powstała idea budowy obwodnicy autostradowej Wrocławia, która jest realizowana po wieloletnim oczekiwaniu. Niektóre pomysły i projekty obecnie zrealizowane lub będące w trakcie realizacji mają swoje początki w latach siedemdziesiątych, chociażby przejście nad Gądowem lub wiadukt obwodnicy śródmiejskiej nad ul. Klecińską, to również kiedyś rozpoczynałem lub w tym uczestniczyłem. W tym rejonie przewidywany był również przystanek osobowy linii kolejowej w kierunku Jaworzyny Śląskiej, zlokalizowany między ul. Klecińską a ul. Ostrowskiego, jednakże tego przystanku nie zrealizowano. Także lat siedemdziesiątych sięgają pierwsze projekty przebudowy wiaduktu nad układem torowym w rejonie ul. Krakowskiej w ciągu obwodnicy śródmiejskiej, która była realizowana etapami, oraz przebudowa innych układów drogowych, np. w rejonie Psie Pole – Sołtysowice, usunięcie wszystkich przeszkód wynikających z linii kolejowych, które trzeba było przekroczyć tymi wiaduktami. Jako przewodniczący Komisji Komunikacji współpracowałem z ówczesnym Zarządem Miasta, a szczególnie z panem Sławomirem Najnigierem. Zajmowałem się sprawami związanymi z restrukturyzacją przedsiębiorstwa MPK oraz Zarządu Dróg i Komunikacji Miejskiej. W zakresie powiązań komunikacyjnych zajmowałem się inwestycjami prowadzonymi przez Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, w tym Zakładem Uzdatniania Wody na Mokrym Dworze, oczyszczalnią na Janówku, wysypiskiem śmieci na Maślicach, itp.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Uważam, że największym niepowodzeniem był brak rozwiązania dotyczącego spalania śmieci, czyli budowy spalarni we Wrocławiu. Sprawa ta była związana oczywiście z Miastem, ale pilotowana przeze mnie również w przedsiębiorstwie PKP. Jako przedsiębiorstwo PKP proponowaliśmy budowę tej spalarni w naszej kotłowni, która w owym czasie nie była nam już potrzebna. Przy ul. Hubskiej mieliśmy centralną kotłownię, która ogrzewała poprzednio Dworzec Główny i całą infrastrukturę kolejową, tj. lokomotywownię, wagonownię oraz inne zakłady kolejowe. Ogrzewanie węglem wymieniliśmy na gazowe i olejowe, w związku z tym na terenie tej kotłowni chcieliśmy wybudować spalarnię dla PKP i miasta. Mieliśmy już nawet decyzję prezydenta Wrocławia dotyczącą pozwolenia na realizację tej inwestycji, ale wspaniali koledzy z mojej partii, w owym czasie należałem do Unii Wolności, również się do tego przyczynili, że pan prezydent przed wyborami wycofał zgodę na lokalizację tej spalarni. Tym sposobem ta budowa nie doszła do realizacji. Byłaby to najbardziej nowoczesna spalarnia w Polsce, ponieważ miała być budowana na zasadzie procesów piezoelektrolizy w oparciu o osiągnięcia naukowców japońskich. Dzisiaj Wrocław nie miałby problemu z wszelkimi odpadami. Wiadomo, co można sortować i ponownie przetworzyć, natomiast pewne elementy, wszystkie odpady ze szpitali oraz różne niebezpieczne odpady byłyby spalane w technologii nowoczesnej i nieszkodzącej środowisku. Były problemy z mieszkańcami ul. Hubskiej i okolic. Jednocześnie zbliżał się termin kolejnych wyborów i część osób chciało wypłynąć na tej kanwie, aktywizowali się. No i tu przedstawiciele władzy chcąc być wybrani na następną kadencję zrezygnowali, wycofali nam projekt, mimo że myśmy już wydali znaczne środki i mieliśmy projekt gotowy. Niestety, spalarnia we Wrocławiu nie powstała i uważam, że to jest problem, który nęka Wrocław do dnia dzisiejszego, bo przecież wiemy, że są dyrektywy unijne, które mówią, że do roku 2015 musimy uporać się ze składowaniem odpadów. W Polsce powstają nowe góry, tym razem już nie wykształcone przez naturalne działanie przyrody, lecz powstają ze śmieci, które każdy z nas produkuje.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W tej chwili, z perspektywy czasu, trudno na ten temat coś powiedzieć, ale generalnie była współpraca. Jeżeli ona dotyczyła spraw merytorycznych, układała się dobrze. Gorzej, jeśli to były sprawy polityczne, wtedy dochodziło do zwarcia, było dużo emocji, dużo hałasu o nic, z czego nigdy nie wynika nic dobrego.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Sądzę, że nie jestem osobą, która jest uległa. Niejednokrotnie miałem różnych przeciwników, chociażby z racji tej, że nie zawsze podejmowało się tylko i wyłącznie popularne decyzje. Przecież każda przebudowa ulicy, każda przebudowa drogi, każdy przystanek czy nawet chociażby obwodnica śródmiejska po południowej stronie miasta

– zaczynając od ul. Krakowskiej, przez Ogród Zoologiczny i Biskupin – miała bardzo wielu przeciwników, m.in. prominentów Wrocławia oraz mieszkańców tego rejonu. Gdyby nie było sprzeczności, mielibyśmy obwodnicę Wrocławia również po południowej stronie i nie byłoby korków, które zdecydowanie utrudniają funkcjonowanie miasta, zresztą to samo jest na ul. Klecińskiej. Ileż tam awantur było w związku z propozycją, aby poprowadzić tamtędy obwodnicę śródmiejską. Samochody stały w korkach, było znacznie więcej spalin niż dziś, kiedy ruch odbywa się w sposób płynny. Mieszkańcy mają ekrany akustyczne, obwodnica została troszkę oddalona od zabudowy ul. Klecińskiej i jest to zupełnie inne rozwiązanie. Ludzie muszą czasami dojrzeć do wszystkiego, ale jeżeli znajdzie się jakiś awanturnik, który chce na tym zrobić interes, są sprzeczności i niedomówienia, to jest bardzo trudno pogodzić strony. Generalnie biorąc, chętnie wysłuchiwałem wszystkich opinii, bo przecież ja się na wszystkim też nie znam i nie mam monopolu na mądrość, starałem się wyciągać elementy, które będą służyć ogółowi społeczeństwa, a nie jednostkom.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Można powiedzieć, że stosunki układały się poprawnie. Poza tym jednym przypadkiem, dotyczącym spalarni, o której już wspomniałem. Spodziewałem się, że prezydent mimo wszystko nie wycofa swojej decyzji, a jednak stało się inaczej.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z paniami z Biura Rady Miejskiej układała się bardzo dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W owym czasie jeszcze nie było zmodernizowanej sali Rady Miejskiej w Sukiennicach, ale na ówczesne warunki ta sala bardzo dobrze spełniała swoją rolę. Może z nagłośnieniem był trochę większy problem, ale z tego powodu nigdy nie narzekałem, zresztą zajmowałem się tym, co należało zrobić, żeby nie zabierać cennego czasu innym. Ja również nie miałem czasu, żeby się zastanawiać nad sprawami naprawdę nieistotnymi.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Byłem przewodniczącym Komisji Komunikacji. Pracowałem jako członek Komisji Urbanistyki i Architektury. Trudno mi mówić o Komisji Komunikacji, bo to by było „mamo chwalą nas, wy mnie, a ja was". Komisja Urbanistyki i Architektury była prowadzona przez panią z innego ugrupowania i czasem mieliśmy ostre dyskusje, ale zawsze były to dyskusje merytoryczne i uważam, że ta współpraca bardzo dobrze się układała.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Trudno zrezygnować z klubów, bo kluby zrzeszają radnych z określonych ugrupowań politycznych, i wszystko jest w porządku do momentu, kiedy kluby zajmują się sprawami istotnymi dla miasta, dla społeczeństwa, dla obywateli tego regionu. Natomiast w momencie, kiedy wchodziła polityka, mnie to denerwowało, to zawsze była strata czasu, przelewanie z pustego w próżne, nic to nie dawało. Niejednokrotnie przy tego rodzaju spotkaniach wypływały sprawy polityczne, które miały drugorzędne znaczenie dla spraw merytorycznych, które należało omówić i zająć jakieś stanowisko.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W pamięci najbardziej utkwiły mi dwa wydarzenia, obydwa z 1997 r. Pierwsze, to Kongres Eucharystyczny. Byłem odpowiedzialny za transport. Pierwszy dekret, jaki dostałem od Jego Eminencji ks. kardynała Gulbinowicza, nakładał na mnie odpowiedzialność za logistykę transportu dotyczącą obsługi Kongresu Eucharystycznego, od lotniczego po kolejowy. Był to jeden aspekt, tj. organizacja, a później drugi, czyli sam przebieg Kongresu.

Drugie wydarzenie to powódź. Jako radny oraz dyrektor Okręgu Kolei czułem się odpowiedzialny za przestrzeganie bezpieczeństwa, ochronę całego majątku związanego z koleją, pomoc przy ewakuacji szpitali, podejmowanie decyzji, czy wstrzymać ruch, czy nie. Poziom wody był wysoki, podmywała ona nasypy kolejowe, zalewała urządzenia i niszczyła inne dobra. Należało utrzymać transport i obsługę rejonów dotkniętych powodzią.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem wiceprzewodniczącym Rady Osiedla Wrocław-Kuźniki. Uważam, że dopóki rady zajmują się wyłącznie sprawami merytorycznymi, a nie propagandą i polityką, to są jak najbardziej skuteczne, potrzebne i służą mieszkańcom. Natomiast najgorzej jest, jak zaczynają wchodzić w sfery, co do których nie mają, że tak powiem, statusu. To wszystko zależy od ludzi. Zawsze uważam, że nieważne, czy ktoś należy do partii takiej czy innej, do kółka różańcowego, „Solidarności" czy do PZPR – jeżeli był porządnym człowiekiem, to zawsze nim będzie i będzie starał się pomagać społeczeństwu, a nie szkodzić.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

To mój czuły punkt. Absolutnie nie podoba mi się działanie mediów. Media są nastawiane tylko i wyłącznie na sensację. Dla mediów ważniejsze byłoby, gdyby np. prezydent ubliżył biskupowi czy też odwrotnie, niż to, że coś zostało wybudowane, coś zostało przebudowane, że został wyremontowany Rynek. To również było zrobione za naszej kadencji. Była wielka awantura z opozycją i mieszkańcami o płyty w Rynku, o koszty, o wszystko. Dzisiaj wszyscy podziwiają, wszyscy są dumni, wszyscy się chwalimy, że mamy najładniejszy Rynek w Polsce. Jak się

robi drogę w jakimś rejonie, to społeczeństwo sądzi, że na pewno tam mieszka ktoś ważny, nie bierze zaś pod uwagę, że nowa infrastruktura posłuży przede wszystkim ogółowi mieszkańców. Niestety, tacy jesteśmy, a dziennikarze nie potrafią ocenić i zająć określonego stanowiska dla dobra ogółu. Dziennikarze nie są przygotowani merytorycznie, nie zajmują się problemami, nie chcą poświęcić odrobiny czasu, by zgłębić dziedzinę, w której się wypowiadają, tylko po prostu żerują na taniej sensacji. Tego do dnia dzisiejszego zrozumieć nie potrafię. Mnie śmieszy, na przykład, kiedy oglądam wielkie gale telewizyjne, te „Wiktory", itp. Przecież dziennikarze robią to dla siebie, sami siebie wybierają, sami na siebie głosują i sami siebie odznaczają. A przecież, czy tylko na tym polega rola mediów? Nie. Media mają przede wszystkim wychowywać i informować społeczeństwo. My, rodzice, musimy wychowywać swoje dzieci. Kościół z etycznego punktu widzenia powinien nas w tym wspierać. Również na szkole spoczywa obowiązek kształtowania postaw moralnych, a media powinny te prawidłowe postawy promować. Przeraża mnie to, co się obecnie dzieje w mediach. To, co dzisiaj oglądamy nie ma w ogóle treści merytorycznej. Kompletnie brakuje informacji dotyczących określonych działań, które powodują wzbogacenie naszego kraju o nowe obiekty czy nowe technologie, czyli np. nie pokazuje się budowy autostrady, obwodnicy autostradowej, obwodnicy śródmiejskiej, ładnego obiektu lub przebudowy którejś z ulic. Jeśli jest, to wzmianka, jedno lub dwa zdania, że coś oddano tam czy przecięto wstęgę na ul. Krakowskiej. Nie potrafimy dzielić się sukcesem nadmiernie uwypuklając niedociągnięcia, które przecież mogą przytrafić się przy realizacji ogromnych zadań. Nikt się nie pofatyguje, żeby powiedzieć, ile to kosztuje, ilu ludzi przyczyniło się dla powodzenia danej sprawy, żeby to załatwić, żeby to odpowiednio przeprowadzić przez wszystkie obowiązujące przepisy ustawy, w tym również o ochronie środowiska. Nie, nikogo to nie interesuje. Najważniejsze, że jeden drugiemu, tak, jak mówię, dał w buzię, to jest sensacja.

Uważam, że poziom przygotowania merytorycznego dziennikarzy jest bardzo niski. Oczywiście, nie można generalizować, istnieją osoby o ogromnej inteligencji, ogromnej wiedzy. Ale generalnie ten poziom został zaniżony. Patrzy się tylko na sensacje, a nie na merytoryczne sprawy, te, które są istotne i które powinny służyć społeczeństwu, wychowaniu młodzieży. Nie wszyscy ludzie są wykształceni, nie wszyscy potrafią ze zrozumieniem słuchać tego, co się do nich mówi czy wyciągać wnioski z przeczytanego artykułu. Temu powinni służyć dziennikarze. Generalnie nie mam dobrego zdania o dziennikarzach.



Izabela MUSIAŁ

Radna II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego.
Absolwentka Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Uważam, że byłam przygotowana. Głównie z tej racji, że do funkcji radnego rad osiedli kandydaci byli proponowani, a następnie przygotowywani przez Komitet Obywatelski. W każdym bądź razie, nasza Rada Osiedla Karłowice-Różanka była promowana przez Komitet. Była to struktura, która potrafiła ustalać, jakie będą zadania, jak społeczeństwo obywatelskie należy zacząć wychowywać. Był to również okres, kiedy nagłaśniane było powstawanie ustawy o samorządach. Komitet Obywatelski współpracował również z prof. Leonem Kieresem. W czasie I kadencji Rady Miejskiej, kiedy byłam radną Rady Osiedla Karłowice-Różanka przychodziłam wraz z innymi zainteresowanymi na posiedzenia Rady Miejskiej i przysłuchiwaliśmy się obradom. Niektórzy właśnie tam nabierali chęci do pracy w Radzie Miejskiej. Naszym opiekunem był wtedy prof. Leon Kieres. Już jako kandydaci do Rady Miejskiej przygotowywani byliśmy przez członków Zarządu Miasta, którzy przeprowadzali szkolenia. Uważam, że byliśmy dobrze przygotowani. Mieliśmy chęć do pracy, a to jest właściwie najważniejsze. Wiedzieliśmy, że na to będzie potrzeba dużo czasu i również innego stylu pracy.

Czy przed 1990r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Zajmowałam się będąc na studiach. Studenci byli wtedy zrzeszani w strukturach studenckich. Najważniejsze to, co było przed samymi wyborami do Rady Miejskiej, czyli kursy przygotowawcze, o których wspomniałam.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W Radzie Miejskiej II kadencji pełniłam funkcję przewodniczącej Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej i w tej roli miałam najwięcej pracy. Był to okres, w którym gmina wprowadziła program pilotażowy polegający na przejmowaniu zarządzania służbą zdrowia. W tym czasie wdrażano zmiany oparte na bazie rezydencji lekarzy rodzinnych i tworzono struktury kas chorych. Zmiany te wymagały zapoznawania się z organizacją opieki zdrowotnej w innych państwach. Z tytułu pełnienia funkcji i mojego zawodu byłam delegatem Rady Miejskiej do Komisji Zdrowia Sejmiku Samorządowego Województwa Wrocławskiego.

Byłam członkiem Komisji Ochrony Środowiska, która głównie zajmowała się opiniowaniem powstających wtedy planów zagospodarowania miasta – ogólnych i szczegółowych, sprawami związanymi z budową oczyszczalni ścieków. Kontrowersyjną sprawą była propozycja budowy spalarni odpadów komunalnych, która ostatecznie nie zyskała poparcia społecznego.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Dużym sukcesem naszej kadencji było stworzenie kuchni charytatywnych we Wrocławiu przy współpracy z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej. To był dla mnie okres taki bardzo dziwny, szeroko otwierałam oczy, skąd się bierze tyle ludzi bezdomnych, potrzebujących pomocy. Istniała obawa, że wśród tych biednych ludzi byli naciągacze, w związku z tym w niektórych przypadkach przeprowadzaliśmy wywiady. W organizację charytatywnych kuchni bardzo pięknie się wpisywał Kościół. Takie kuchnie powstały m.in. na ul. Traugutta, na Biskupinie. Największa kuchnia charytatywna była zorganizowana w Centrum Pomocy Caritas przy ul. Słowiańskiej. Zresztą ośrodek ten nie tylko wydawał bezpłatne posiłki, ale ogólnie pomagał ubogim osobom. Miasto przeznaczyło na ten cel lokal, a już organizacja, zbiórki, prace z wolontariatem, współpraca z radami osiedli było naszym zadaniem, m in. Komisji Zdrowia. Bardzo byłam szczęśliwa, kiedy otwierano ten obiekt. Rada Osiedla Ołbin bardzo się w tę sprawę wpisywała. Moim zdaniem, to było największym sukcesem naszej kadencji.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Myślę, że największym niepowodzeniem była ta spalarnia odpadów komunalnych, której budowa nie doszła do skutku. Sprawa spalarni była bardzo prestiżowa i już daleko posunięta. Był już teren przeznaczony na jej budowę i budżet był do pewnego stopnia zaakceptowany.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Bardzo dobra była współpraca z Demokratyczną Unią Kobiet, która prowadziła dom opieki dla samotnych matek. Bardzo dobrze rozwijała się ta współpraca. W to się wpisywali też lekarze: psycholog i pediatrzy. Prowadziliśmy współpracę z Towarzystwem Brata Alberta. Uważam, że demokracja powinna polegać na dobrej współpracy. Współpracowaliśmy również z Państwowym Funduszem Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, z pełnomocnikiem wojewody do spraw osób niepełnosprawnych z panem Tadeuszem Krasoniem. Zaangażowany w tę współpracę był także pan Sławomir Piechota. W ramach tej współpracy wyjeżdżaliśmy do Niemiec do Heidelbergu i nawiązywaliśmy kontakty z tamtymi ośrodkami charytatywnymi, aby uzyskać możliwości otrzymania sprzętu dla osób niepełnosprawnych. Powstały wówczas wypożyczalnie sprzętu. Uważam, że to była świetna sprawa.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Było duże zainteresowanie Radą. Jak były dyżury radnych, to ludzie przychodzili z różnymi problemami, także przychodzili po porady.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Myślę, że stosunki układały się różnie. Radni muszą być na tyle mądrzy i merytorycznie przygotowani w komisjach, w których są, żeby nie dać sobie wciskać ciemnoty. Mogę powiedzieć, że poprawnie układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Pani Janina Śledzińska, dyrektorka Biura Rady Miejskiej jest bardzo wyważoną i niekonfliktową osobą.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Warunki było wystarczające, choć niektóre salki były małe. Nie mam negatywnych odczuć.

W jakich Pani pracowała komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracowałam w Komisji Ochrony Środowiska oraz Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej – później ta komisja została rozdzielona.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Byłam członkiem klubu Wrocław 2000 i uważam, że był on dobrze zorganizowany. Moim zdaniem takie kluby powinny istnieć. Praca w danym klubie w dużej mierze zależy od osób, które w tym klubie pracują.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Wizyta papieża Jana Pawła II we Wrocławiu w czasie Kongresu Eucharystycznego w 1997 r. Następnie wizyta u papieża, kiedy zawieźliśmy jako przedstawiciele Rady Miejskiej album z powodzi. To był piękny i wzruszający moment. Również wyjazdy do Niemiec, o których już wspomniałam.

Kolejne wydarzenie związane jest z wizytą w Szwecji. Jako przedstawiciele Komisji Zdrowia byliśmy z wizytą w tym kraju i zapoznawaliśmy się z tamtejszą organizacją służby zdrowia, zorganizowaniem rezydencji lekarzy rodzinnych. Bardzo żałuję, że u nas do tego nie doszło. Ponadto, mogliśmy zaobserwować, jak dobrze mają Szwedzi zorganizowaną komunikację drogową i powietrzną. Najważniejsze jednak dla mnie było to, że mogłam się zaznajomić ze szwedzką organizacją służby zdrowia. Szkoda, że u nas takie formy się nie przyjęły, bo to, co u nas powstało, to jest coś pośredniego.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

Działałam w Radzie Osiedla Karłowice-Różanka. Nie oceniam tego źle, myślę, że to jest potrzebne. Nie było negatywnych relacji między radami osiedli a przedstawicielami Urzędu Miejskiego i Zarządu.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Nie śledzę mediów na tyle, żeby wiedzieć, jakie sprawy są przedstawiane. W okresie, kiedy byłam radną media oceniam pozytywnie. Dzisiaj jest mi ciężko powiedzieć, nie umiem tego ocenić.

◇◇◇

Mimo wielu pojedynczych sporów, Wrocław i tak uchodził za „miasto spokoju" w czasie intensywnej wojny pomiędzy PO i PiS, która narastała od wyborów parlamentarnych w 2005 r. Do istotnego pęknięcia doszło dopiero w 2008 r., w związku z próbą politycznej emancypacji Rafała Dutkiewicza i – w reakcji – przejściem PO do opozycji.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, nie zajmowałem się.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się sprawami kultury, edukacji oraz strukturą rad osiedli.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV i V kadencji Rady?

W mojej ocenie jednym z ważniejszych sukcesów kadencji, która rozpoczęła się w 2002 r. było uporządkowanie polityki finansowej Miasta. Dokonano restrukturyzacji zadłużenia i znacznie je ograniczono, rozpoczęto stopniowe obniżanie deficytu, rozwinięto inwestycje i pozyskiwano nowych inwestorów. Cały ten proces można było uruchomić w dużej mierze dzięki temu, że udawało się uzyskać polityczny kompromis w Radzie Miejskiej wokół najważniejszych spraw (np. kolejnych uchwał budżetowych czy wieloletnich strategii i planów inwestycyjnych). To wszystko było dobrą podstawą dla dynamicznego rozwoju w kolejnych latach. Dochody miasta w 2003 r. wyniosły nieco ponad 1,5 mld zł, a w 2009 to już ponad 3 mld. Wrocław jest dzisiaj jednym z szybciej rozwijających się miast, wydatki inwestycyjne w przeliczeniu na mieszkańca należą do najwyższych w Polsce, nasze miasto stało się też cenioną marką.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Oczywiście jest wiele problemów, ciągłe remonty i przebudowy utrudniają życie mieszkańcom, a w wielu sprawach potrzebne byłoby przyspieszenie. Mimo bardzo wielu wysiłków i zrealizowanych przedsięwzięć nadal dużym problemem jest komunikacja miejska. Brakuje ścieżek rowerowych, nie udało się wdrożyć w życie idei tramwaju wodnego. Ale i tak ostatnie lata można uznać za duży sukces.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dobrze.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Aktywność wyborców była bardzo niewielka i chociażby z tego względu nie mogła mieć większego wpływu na moją działalność w Radzie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Dobrze.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Były bardzo dobre i nie mam tu żadnych uwag.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Podczas obydwu kadencji zasiadałem w Komisji Kultury. Tematem bardzo długich i burzliwych dyskusji była np. polityka wobec sieci bibliotek miejskich. Był moment, w którym ta sieć była bardzo rozbudowana. Zaczęto ją ograniczać likwidując biblioteki osiedlowe na rzecz budowy centrów bibliotecznych. Wielokrotnie przekonywałem, żeby pochopnie nie likwidować osiedlowych bibliotek, które bardzo często spełniały rolę ośrodków animacji kultury lokalnej, a nierzadko miały dobre zbiory. Za przykład może służyć mała biblioteka przy ul. Olszewskiego, która zawsze miała nowości wydawnicze. Podczas studiów znajdowałem tam książki, których nie mogłem dostać w bibliotece instytutowej. Gdy chciano ją zlikwidować czytelnicy w niej skupieni aktywnie włączyli się w jej obronę i biblioteki nie zlikwidowano. W czasie mojej kadencji m.in. przekształcono Operetkę w Teatr Muzyczny Capitol. Dobrze, że powstała taka instytucja, źle, że nie ma już operetki. Mówiło się o zachowaniu sceny operetkowej w tym teatrze, ale zamierzenia tego w istocie nie zrealizowano. Wyremontowano za to Teatr Lalek, który przeżywa teraz rozkwit. Za bardzo istotne osiągnięcie ostatnich lat uważam wdrożenie budowy Narodowego Forum Muzyki – nowoczesnej sali koncertowej, która umożliwi organizację poważnych imprez kulturalnych na światowym poziomie. Skutecznie też zbudowano obraz Wrocławia jako miasta sprzyjającego kulturze. Sądzę, że Wrocław jest już prawdziwą europejską stolicą kultury.

Pracowałem również w Komisji ds. Osiedli. Skutków nie przyniosły moje starania o reformę jednostek pomocniczych (osiedli). Proponowałem, by zastąpić rady osiedli, których jest we Wrocławiu 48, kilkunastoma silnymi samorządami dzielnicowymi, które miałyby – w odróżnieniu od dzisiejszych jednostek pomocniczych – realne kompetencje i wpływ na budżet miasta. Chodzi o to, aby oddać w ręce obywateli decyzje dotyczące spraw ściśle lokalnych, często niedostrzeganych „z wyżyn ratusza". Propozycja utworzenia kilkunastu silnych samorządów pomocniczych szła w tym kierunku, aby wytworzyć realny i efektywny instrument obywatelskiej partycypacji

w zarządzaniu miastem. Zakładałem, że do takich samorządów wybory powinny odbywać się w jednomandatowych okręgach wyborczych, co zagwarantowałoby, że znajdywaliby się w nich prawdziwi liderzy lokalni. Zabrakło, niestety, konsensusu politycznego, część członków mniejszych rad osiedlowych obawiało się dominacji większych. Część radnych z kolei obawiała się, że Rada Miejska zostanie osłabiona. Odbyła się za to interesująca, rozłożona na kilka miesięcy debata, sprawą interesowały się także media. Myślę, że ten projekt jeszcze wróci do dyskusji, ponieważ miasto o takiej skali zadań i projektów, jak dzisiejszy Wrocław, musi wypracować jakieś mechanizmy udziału mieszkańców w systemie decyzyjnym.

Przez pewien czas zajmowałem się w Komisji Zdrowia, Rodziny i Spraw Społecznych sferą organizacji pozarządowych. Pracowałem też w Komisji Edukacji.

Mandat radnego złożyłem w 2009 r., ponieważ Ośrodek „Pamięć i Przyszłość", którego jestem dyrektorem, stał się instytucją miejską, a w takiej sytuacji prawo wymaga złożenia mandatu. Działalność w Radzie Miejskiej wspominam jako bardzo intensywny czas, ale też z wielką satysfakcją i wdzięcznością myślę o tym, że mogłem pracować w tym miejscu dla mojego miasta.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych są nieuniknioną konsekwencją sytuacji politycznej, jaka obecnie panuje w kraju.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej w jakim brałem udział.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem członkiem Rady Osiedla Biskupin-Sępolno-Dąbie-Bartoszowice. Uważam, że rady mają za mało uprawnień, co w dużym stopniu wpływa na to, że są one mało aktywne.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest wystarczające.

◇◇◇

jako reprezentanci studentów. Byliśmy nie tylko liderami opozycji studenckiej, ale i liderami zarządzania. Po latach widać, że szybko nauczyliśmy się zarządzania sprawami publicznymi. Z całą pewnością z tymi kompetencjami nie było źle. Na tle innych miast mieliśmy rewelacyjną Radę i Zarząd.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, z racji działalności opozycyjnej i tak byłam na czarnej liście, mogłem, co najwyżej, emigrować. Wtedy kończyłem drugie studia, musiałem utrzymać rodzinę, byłem szefem prywatnej firmy. Studiowałem ekonomię, interesowałem się gospodarką, w szczególności małymi przedsiębiorstwami.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pracowałem we władzach Miasta trzy razy: w latach 1990-1992 jako członek pierwszego Zarządu Miasta, w latach 1994-1997 oraz 2002-2007 jako wiceprezydent. Licząc kadencjami – w I, II, IV i V kadencji. Licząc prezydentami – za czasów Zdrojewskiego i Dutkiewicza. Podobne, choć dłuższe doświadczenie ma Jarek Obremski, również członek pierwszego Zarządu Miasta, oraz Adam Grehl, który, z przerwami, działa w Zarządzie od 1992 r. Było to dosyć nietypowe doświadczenie, łącznie ponad 10 lat.

W I kadencji nie mieliśmy pieniędzy. To był czas czyszczenia, restrukturyzacji i przygotowań na przyszłość. Symbolicznie pomalowaliśmy kilka kamienic w Rynku. Stworzyliśmy zespół inżynierów z dyrektorem Rafałem Guzowskim na czele, którzy w ciągu 20 lat zmienili miasto. W II kadencji ruszyły większe inwestycje – Rynek, kanalizacja, oczyszczalnia ścieków, drogi. Ruszyła prywatyzacja mienia i zaczął się napływ inwestorów. I pieniędzy, o które się staraliśmy. W 1995 r. namówiłem wiceprezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, aby wszedł do rozgrzebanego kolektora ściekowego na Maślicach. Zeszliśmy przez właz jakieś 10 m w dół do wielkiej, pustej i suchej rury o średnicy ponad 3 m, w której mogłyby jeździć samochody. Popatrzył, popytał i mówi: To, co? Zakładamy się, że za rok będą płynęły tutaj ścieki? No i popłynęły. Wrocław, jako jedno w niewielu dużych miast nie płacił po 2000 r. dużych kar za zrzut nieoczyszczonych ścieków. W II kadencji zaczęło się prawdziwe inwestowanie, które trwa do dziś. IV kadencja, za prezydentury Rafała Dutkiewicza, była już metodyczna, zaplanowana i zwycięska w staraniach o pieniądze z Unii Europejskiej. Pierwsze 10 lat pracy samorządu przyniosło prawdziwe efekty w ostatnich 10 latach.

Jednym z pierwszych naszych ruchów było przywrócenie Wrocławiowi dawnego herbu i poprzez to nawiązanie do tradycji przerwanej przez hitleryzm i komunizm. Tak zaczęliśmy odbudowywać naszą wrocławską tożsamość. Powołaliśmy spółkę Międzynarodowy Port Lotniczy Wrocław, w której reprezentowałem Miasto w pierwszej Radzie Nadzorczej. Do 1993 r. Wrocław nie miał żadnego połączenia międzynarodowego. Byliśmy lotniczą prowincją. Chodziło o otwarcie Wrocławia na Europę. Janisław Muszyński, pierwszy niekomunistyczny wojewoda wrocławski, bardzo pomagał przy uruchomieniu Portu. To była nasza wspólna sprawa. Warto przypomnieć, że ta decyzja była przez część radnych oprotestowana.

I kadencja była najbardziej pionierska. Większość z nas przyszła z uczelni. Jedynie Adam Grehl, który potem zasilił Zarząd, miał jakieś doświadczenie w administracji. Bogdan Zdrojewski namawiał mnie dobry tydzień, żebym wszedł w skład Zarządu, a szukał kogoś, kto na oczy widział w życiu jakieś pieniądze. Moje pierwsze zajęcie polegało na kontroli służb finansowych – wtedy jeszcze nie wyłoniliśmy skarbnika. Po miesiącu okazało się, że mamy trupa w szafie – 30% deficytu. Wcześniej odkryliśmy, że mamy 6 budżetów. Część wydziałów finansowych w urzędach dzielnicowych nie zdawało sobie z tego sprawy, iż są częścią samorządu. Deficyt udało się nam wyhamować drakońskimi metodami. Wciągu pól roku doprowadziliśmy budżet do równowagi. Przypuszczam, że dziś wywołałoby to nieprawdopodobny protest społeczny. Wtedy jednak nikt nie był zorganizowany tak, żeby wystąpić w obronie własnych interesów. Redukcja deficytu odbyła się poprzez ręczne sterowanie wydatkami, wymuszanie zmian w kontraktach, zaprzestanie pewnych przedsięwzięć.

Dostałem wówczas od prezydenta *carte blanche* na przeprowadzenie reformy wszystkich przedsiębiorstw, które wtedy zatrudniały 12 tys. ludzi. Były to w dużej mierze przedsiębiorstwa komunalne, budowlane i transportowe. Pierwsze decyzje zostały podjęte w grudniu 1990 r. Chcieliśmy przede wszystkim opanować sytuację w DZBM-ach, które kompletnie wymykały się spod jakiejkolwiek kontroli. Wtedy pracowało tam ok. 3 tys. osób. W grudniu 1990 r. Rada Miejska, na nasz wniosek, przekształciła DZBM-y w jednostki budżetowe. Na początku stycznia 1991 r., w nieogrzewanej sali Rady ogłosiłem, jakie są skutki tej decyzji dla DZBM-ów – nie są już przedsiębiorstwem, nie mają rad pracowniczych, nie mają prawa zaciągania zobowiązań, a dyrektorzy nie są dyrektorami. Wtedy wyznaczyliśmy swoich pełnomocników i zaczęliśmy restrukturyzację. Całe to przedsięwzięcie z firmami komunalnymi zajęło półtora roku i było, jak się okazało, największym przegrupowaniem przedsiębiorstw komunalnych w skali kraju.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności i jednocześnie sukces Rady?

W tym, co robiłem, miałem wolną rękę. Zarząd działał na zasadach federacyjnych – każdy był „królem" w dziedzinie, którą nadzorował – i naszą współpracę opieraliśmy na dużym wzajemnym zaufaniu. Restrukturyzacja nie była blokowana przez Radę. Wykorzystaliśmy swoje 5 minut w historii, bowiem tendencje antyprywatyzacyjne pojawiły się na początku 1992 r., kiedy mieliśmy już swoje decyzje za sobą. Rząd premiera Olszewskiego zaata-

kował prywatyzację „ideologicznie" i przyczynił się do protestów przeciwko prywatyzacji. Zdążyliśmy. Udało nam się zrobić coś, co w innych warunkach pozostałoby nierozwiązane. Udało nam się zmienić filozofię usług komunalnych, a część sprywatyzować. Do tego bardzo była konieczna dobra współpraca z Radą Miejską, bowiem musiała panować jasność, czy jest zaufanie do naszej strategii, czy nie. Nastroje antyprywatyzacyjne pojawiły się bardzo szybko, prywatyzacja kojarzyła się bardzo źle, także w „Solidarności", która we wrocławskiej Radzie była naszym sojusznikiem. Informacje, które wówczas przygotowałem powodowały, że ta strategia była na tyle klarowna, że nie wywoływała żadnych oporów ze strony Rady. Później się to zmieniło. To było widać w okresie likwidacji i restrukturyzacji różnych zakładów opieki zdrowotnej, kiedy część radnych blokowała zmiany i wolała pobrać z budżetu miejskiego 10-15 mln, żeby wesprzeć źle działającą instytucję, niż po męsku zlikwidować ten bałagan.

Muszę jednak podkreślić, że pierwsza Rada z pewnością działała *pro publico bono*, była najmniej upolityczniona i najbardziej ustawiona na reformy, na zmiany. Kooperacja z Radą była czasochłonna, ale wyśmienita. Oczywiście, słodko nie było, każde posiedzenie Rady Miejskiej mogło się zakończyć odwołaniem prezydenta i Zarządu Miasta. Już w 1991 r. były pewne próby odwołania niektórych członków Zarządu. Pierwsze ostre wystąpienia kupców odbyły się już w sierpniu 1990 r. Najemcy lokali użytkowych rozpoczęli okupację gabinetu prezydenta Wrocławia, gdy dowiedzieli się, że na wszystkie lokale w centrum ogłoszone zostaną przetargi. W tej sprawie nie ustąpiliśmy. Krzysztof Turkowski wytrzymał to napięcie i dzięki przetargom na lokale w Rynku zaczęły pojawiać się nowe restauracje.

Przeprowadziliśmy reorganizację całego Urzędu. To był skomplikowany proces likwidacji urzędów dzielnicowych, przebudowy całego systemu zarządzania miastem, opanowania sytuacji w instytucjach oświaty. Wymieniona została także kadra urzędnicza. Prezydent Zdrojewski, który za to odpowiadał, stawiał na nowe kadry. W niektórych wydziałach, np. odpowiedzialnych za nieruchomości, proces wymiany kadr kierowniczych przebiegał bardzo szybko, a w niektórych przeprowadzany był stopniowo. Udało się nam stworzyć przyzwoity standard działania publicznego i umożliwić reformy, które są kontynuowane. My z całą pewnością zarządzaliśmy miastem i bardzo szybko staliśmy się realnym graczem. Po krótkim czasie kojarzono, kim jest wiceprezydent i członek Zarządu, że Zarząd Miasta i Rada Miejska to ważna instytucja. Zarząd i Rada szybko stały się realnymi gospodarzami Miasta.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie z okresu, gdy pracował Pan we władzach Miasta?

Obszarem bardzo trudnym były zawsze nieruchomości. Proces komunalizacji miał trwać 3 miesiące i jego zakończenie przewidywano na jesień 1990 r., a trwa po dziś dzień. Na początku 1990 r. około 85% powierzchni Wrocławia było w rękach Skarbu Państwa. Bez katastru, bez porządnej ewidencji własnościowej. Miasto podjęło żmudną pracę, ażeby działka po działce doprowadzić do uregulowania stanu prawnego. W tych działaniach uczestniczyli także radni, zgodnie z ówczesnymi przepisami prawnymi. Pamiętam piętrzące się stosy dokumentacji, hałdy wykazów, w które każdy mógł zajrzeć. W praktyce w czasie I kadencji mogliśmy nieruchomościami dysponować, ale nie mogliśmy ich prywatyzować. Nasze myślenie o prywatyzacji nie ograniczało się do wybranych przedsiębiorstw. Chcieliśmy, żeby to miasto stało się miastem właścicieli nieruchomości, a nie miastem biednych najemców. Z całą pewnością w tym obszarze I kadencja była całkowitą porażką, w II ten proces przebiegał już zdecydowanie korzystniej. Tak naprawdę złote czasy zaczęły się po wejściu Polski do Unii Europejskiej.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Oj, chyba był niewielki. W I kadencji 95% czasu pochłaniało bieżące zarządzanie. Szczerze mówiąc, z tego powodu nie znajdowałem czasu dla wyborców. Łączenie funkcji radnego z pracą w Zarządzie okazało się pracochłonne. Wyborców informował Bogdan Zdrojewski przez lokalną telewizję. W II kadencji zostałem wiceprezydentem, nie będąc członkiem Zarządu, co poprawiło budżet mojego czasu. Komisje trwały godzinami, posiedzenia Rady Miejskiej były czasochłonne. W IV kadencji było już inaczej – na komisje chodzili dyrektorzy i oni relacjonowali większość spraw na posiedzeniu Rady.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej?

Początkowo Rada Miejska miała wiele kompetencji operacyjnych, np. decydowała o sprzedaży konkretnej nieruchomości. Żeby prowadzić dialog na zewnątrz musieliśmy prosić Radę Miejską o wiele decyzji. We Wrocławiu dobrym zwyczajem stało się przygotowanie odpowiednich materiałów, wyjaśnianie, korygowanie i czasami wycofywanie niektórych uchwał – z Radą Miejską prowadziliśmy dialog w standardach demokratycznych. Ten dialog owocował. Gdyby Zarząd Miasta zachowywał się arogancko, z całą pewnością nie byłoby ciągłości władzy przez 20 lat. Prawnicy w Radzie Miejskiej, jak wiceprzewodniczący Rady Bogdan Cybulski, szybko sformalizowali obrady, które od początku przypominały pracę parlamentu. Generalnie, Rada bardzo pragmatycznie pracowała w swoich komisjach.

Stopniowo Zarząd stawał się coraz mocniejszy nie tylko pod względem kompetencji, ale także wobec Rady Miejskiej. Po wyborach bezpośrednich na prezydenta w 2002 r. i zniesieniu instytucji Zarządu Miasta przewaga ustrojowa prezydenta nad Radą była jeszcze większa. Dziś prezydent może rządzić miastem wbrew Radzie Miejskiej.

Stosunki pomiędzy prezydentem i Radą także układały się na ogół pozytywnie. Relacje międzyludzkie we Wrocławiu były przyzwoite, zarówno Zarząd Miejski, jak i Rada Miejska nigdy nie zdradziły zasady *pro publico*

bono. We Wrocławiu nie istniała konkurencja między przewodniczącym i prezydentem. Z całą pewnością nie doszło do takich żenujących sytuacji, jak w Lublinie, kiedy to prezydent jechał całą noc II klasą PKP do Wrocławia, bo przewodniczący Rady nie dał mu delegacji na I klasę. Oczywiście są to dziś opowieści, jak o żelaznym wilku, ale takie sytuacje się zdarzały.

Na ogół było dobrze, ale zdarzały się burze. Pierwsza awantura rozegrała się o Zygfryda Zaporowskiego. Jedną z pierwszych nominacji otrzymał od Bogdana Zdrojewskiego na stanowisko architekta miejskiego Stefan Müller, który jest oryginałem, niezbyt stosującym zasadę poprawności politycznej w administracji. Potrafił on wywiesić na tablicy ogłoszeń oświadczenie z nazwiskami, że projektów panów X, Y czy Z nie przyjmuje. To wywołało nieprawdopodobne wrzenie w środowisku architektów. Do tego Müller chciał przerwać typ architektury, którym nas uszczęśliwiano w komunizmie. Wraz z Zygfrydem Zaporowskim starał się zahamować budownictwo wielkopłytowe. Rozpoczęła się walka pomiędzy stronnikami obu nurtów w miejscowym budownictwie (a w rezultacie o głowę Zygfryda Zaporowskiego), co doprowadziło do wielkich emocji w Radzie. Ostatni budynek z wielkiej płyty został wzniesiony na Gaju, tego nie udało się zatrzymać.

Popełniliśmy w tym czasie także wielki błąd, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, błąd polityczny, i wpuściliśmy lisa do owczarni. Nie wiem, dlaczego szefem Komisji Rewizyjnej został Antek Lenkiewicz, znany jeszcze z czasów pierwszej „Solidarności", który charakterologicznie był zawsze pobudliwy, a politycznie skrajny. Komisja Rewizyjna po kolejnych zmianach w prawie samorządowym stała się „batem" na Zarząd. Opinia Komisji Rewizyjnej była istotna przy odwołaniu Zarządu. Ta komisja także recenzowała budżet. Powstał konflikt, który stworzyliśmy na własne życzenie.

Konflikty w sprawie budżetu nie miały źródeł w polityce, nie wynikały z faktycznych kłopotów finansowych, to były raczej konflikty pomiędzy osobami. Niemałą rolę odgrywała osobowość poszczególnych radnych, część miała ambicje polityczne i szczerze mówiąc było im bardzo ciasno na stanowiskach radnych, chcieli do Zarządu lub do parlamentu. Pamiętam, jak w okresie wyborów w 1993 r. do prof. Stanisław Miękisza przyszedł Krzysztof Tenerowicz i pokazał mu ładny, kolorowy plakat wyborczy. Na tym plakacie widniało hasło, cytuję z pamięci: „Dzisiaj radnym, jutro posłem". Przewodniczący miał specyficzny dowcip. Zasępił się aktorsko i stwierdził: Ale, Panie Krzysztofie, na tym plakacie czegoś brakuje. – Czego panie profesorze, czego ???... – Znaku zapytania.

Warto też wspomnieć o konflikcie interesów całych grup zawodowych. W relacje Zarząd – Rada wkroczyli pracownicy. W II kadencji, w pierwszym miesiącu urzędowania w sierpniu 1994 r. groził nam strajk o płace we wrocławskim MPK. Taktycznie ustąpiliśmy, ale reforma MPK w latach 1995-1997 przyniosła redukcję zatrudniania o ok. 2000 pracowników.

W II kadencji zaczęły się też konflikty wewnątrz własnego klubu. Doszło może nie do otwartego buntu, ale do rozpadu wewnętrznej solidarności w koalicji Wrocław 2000. Pozycja Bogdana Zdrojewskiego wzbudzała zazdrość. Bogdan Zdrojewski stopniowo stał się postacią dominującą. Systematyczna praca wewnątrz klubu i pomoc Leona Kieresa w utrzymaniu jedności, to były czynniki, które spowodowały, że klub zaczął się spotykać i prowadzić wewnętrzny dialog. Pewne decyzje, które zamierzaliśmy podjąć jako Zarząd, były dyskutowane. Niektóre materiały i projekty, które miały być skierowane do Rady, były omawiane na klubie, a czasami wycofywane na skutek próśb. Zaczęliśmy wciągać naszych radnych do pracy organicznej. Wydaje się, że taki dialog pozwolił zachować poczucie podmiotowości.

W II kadencji kontynuowałem to, co robiłem w I kadencji. Odpowiadałem za gospodarkę komunalną, przekształcenia i inwestycje. To był bardzo przyjemny okres w moim życiu. Rozmaite zmiany w mieście zaczęły nabierać tempa. Około dwóch lat trwał remont Rynku (1995-1997). Nie wiem, czy wówczas ukazał się na ten temat, choć jeden pozytywny artykuł. Potem ci sami dziennikarze pisali: „O, jaki fajny Rynek" albo „wrocławianie odbudowali Rynek", a przez dwa lata pracowaliśmy w dość trudnych warunkach i bardzo nieprzychylnej atmosferze. Jedna taka inwestycja zrobiła dla Wrocławia najwięcej, przede wszystkim dała nowy image miastu i wprowadziła inne standardy. Jakość naszego centrum jest inna niż reszty Polski. To zasługa Zaporowskiego. Miał on szczególne wyczucie detalu architektonicznego i urbanistyki. Wiedział, co jest dobre, a co niedobre. Dobrze, że wtedy ustawa o zamówieniach publicznych jeszcze nie istniała, bo nie mielibyśmy Rynku. Pamiętam, kiedy pojawił się Zaporowski jako szef komisji konkursowej i powiedział: „jest problem, regulamin konkursu mówi, że prace mogą składać jedynie architekci z uprawnieniami. A tu najlepsza praca wpłynęła od studentów. Jest świetna". Wtedy postanowiliśmy, ze zmienimy regulamin konkursu w trakcie konkursu. Zapadła męska decyzja, że w Rynku nie będzie polbruku, tylko granit, nie będzie tandetnych metalowych lamp, a żeliwne. Dziś takimi sprawami zajęłoby się CBA, bo nastąpiłoby złamanie ustawy o zamówieniach publicznych.

W 1994 r. poleciłem uporządkować różne strategie w dziedzinach, które dla przeciętego wrocławianina nie miały większego znaczenia. Pod koniec 1996 r. mieliśmy jedną z pierwszych strategii wodociągów w kraju, wykorzystałem to jako wzór do ustawy o zaopatrzeniu miasta w wodę. Strategie wymagały akceptacji Rady. W II kadencji na spotkaniach z Radą spędziłem setki godzin.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Powiem bardziej o ergonomii pracy Urzędu. Znalazłem się w biurze z zakurzonymi fotelami, praktycznie zarządzało się jedną sekretarką. Swoją drogą, nie zapytałem Bogdana Zdrojewskiego, ile będę jako pracownik magistratu zarabiał. Przechodząc z sektora prywatnego do sektora publicznego przeżyłem szok. Zarobki spadły mi kilkukrotnie.

Wtedy o pensji Zarządu decydowała Rada Miejska, nie było limitu wynagrodzeń. Zarząd cieszył się dużym poparciem i systematycznie te wynagrodzenia rosły.

Wyposażenie Urzędu było żałosne, w takim siermiężnym, brudnym standardzie. Na początku gości sadzałem w jednym, okropnym, rudym i starym fotelu, z którego wzbijały się tumany kurzu, widoczne na garniturze. To było straszne! Standard techniczny sali radnych na Nowym Targu nie był lepszy.

Na początku lat 90. standard Urzędu poprawialiśmy stopniowo, tak, aby nikt tego nie zauważył. Miasto nie miało godnej siedziby. Ratusz nie był miejski. Zakup czegoś lepszego wymagał stosowania forteli. W I kadencji zaczęliśmy się interesować, nie tylko ze względów historycznych, gmachem Nowego Ratusza. W pewnym momencie zapadła decyzja, że prezydent będzie urzędował w Sukiennicach, wróci na swoje historyczne miejsce i Rada Miejska. Wszyscy wiceprezydenci zostali na Nowym Targu, w roboczych budynkach, jak mówiliśmy „do zadeptania". Ten historyczny manewr Bogdan Zdrojewski przeprowadził mistrzowsko. Co najmniej przez rok w tym nowym gabinecie stały wiadra i jakieś inne przedmioty. Nikt nie mówił: Zbudował pan największy gabinet w mieście. Pławi się pan w luksusie. Wszyscy mu mówili: Panie prezydencie, kiedy pan wreszcie skończy ten remont?

Bogdan był zdania, ze nowe standardy w administracji należy wprowadzać ostrożnie. Nie będę mówił o kulisach, ale kilka operacji zostało przeprowadzonych mistrzowsko. Prezydent jeździł dziadowskim polonezem z przebiegiem pól miliona kilometrów. Nowego Forda Mondeo nabyliśmy w salonie Forda za długi. Inaczej wygląda, kiedy prezydent kupuje do Urzędu nowy luksusowy samochód, inaczej, gdy gospodarny prezydent przejął Forda Mondeo w zamian za niezapłacony czynsz.

Generalnie – luksusów nie było wiele. Administracja była utrzymywana w stanie kontrolowanej siermiężności. Elewacja budynku na Nowym Targu była czarna i zaniedbana, Bogdan Zdrojewski uważał, że elewację Urzędu należy zrobić na końcu.

Sprawność Urzędu też była umiarkowana. W I i II kadencji wiele spraw posuwało się dzięki determinacji i jednolitości Zarządu. W III kadencji rozlazło się i przywództwo polityczne, i Urząd. W 2002 r. w Urzędzie funkcjonowało ponad 50 wewnętrznych jednostek organizacyjnych, podlegających różnym członkom Zarządu. Urząd miał kłopoty z wewnętrzną komunikacją. Załamała się prowadzona przez lata 90. informatyzacja Urzędu. Tutaj, niestety, popełniliśmy błąd. Informatycy namówili Bogdana Zdrojewskiego do opracowania własnych programów, było ich 50. Oprogramowanie funkcjonowało w systemie operacyjnym, który został wyparty z rynku. Dobrze się stało, że prezydent Dutkiewicz tego nie kontynuował. Reforma departamentalna, która została przeprowadzona w IV kadencji, z całą pewnością przecięła ten stan informatycznej i organizacyjnej niemocy. Większe remonty zrobiono dopiero w IV i V kadencji, za czasów Dutkiewicza. Sprawność Urzędu znacząco wzrosła. Urząd wreszcie zaczął przypominać w miarę jednolitą korporację.

W ciągu dwudziestu lat jedno było wspólne: zły klimat dla inwestycji w nowe budynki dla administracji. Po dziś dzień trwa awersja do budowy nowego budynku Urzędu. Nikt nie policzył, ile dodatkowo kosztuje utrzymanie Urzędu w wielu budynkach.

Co sądzi Pan o powoływaniu klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Niezorganizowani nie mają racji. W dużych radach to jest standard od 1990 r. Wtedy kluby były mniej partyjne. We Wrocławiu udało się utrzymać formułę klubu obywatelskiego do IV kadencji Rady Miejskiej. W Radzie procedury i zwyczaje dobrej współpracy powstały już w pierwszej kadencji. Przy uzgadnianiu porządku obrad, obsadzie komisji elementy „klubowe" zawsze występowały. Z całą pewnością mamy do czynienia z naturalnym elementem gry demokratycznej.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady od początku działało profesjonalne. Urzędowało ono w dość szczególnych warunkach przy pl. Nowy Targ. Później, w byłym gabinecie przewodniczącego Rady spędziłem wiele lat. Biuro Rady było zawsze stabilne, kompetentne, z pewnym wyczuciem wobec radnych. Radni to jest zbiorowość dość zróżnicowana i skomplikowana osobowościowo.

Od początku „biurokracja" Rady działała sprawnie. Materiały były powielane w odpowiedniej ilości. To, co jest normalne dzisiaj, kiedyś normalne nie było. Wszyscy się uczyli. Prawnicy – członkowie Rady wprowadzili standardy procedowania. Ustalono sformalizowany obieg materiałów w komisjach, to dawało całkiem przyzwoity system obsługi *quasi*-parlamentarnej, który przetrwał do dziś. Jednym z wynalazków, który wyróżnił Wrocław, był porządnie prowadzony dziennik urzędowy, gdzie każda uchwała Rady była wydrukowana i miała swoją pozycję. To pozwalało śledzić krok po kroku, co ta Rada zrobiła.

Materiały w Internecie, to już osiągnięcie stosunkowo późne, za późne. Serwis internetowy rozwijał się od końca II kadencji, ale portal osiągnął dojrzałość dopiero w IV kadencji. Laptopy dla radnych, transmisje w Internecie to już wynalazek współczesny, z V kadencji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Pamiętam oratorskie wystąpienia radnego Jerzego Przystawy. Można się było z nim nie zgadzać, ale mówił kwieciście, wywołując dużo śmiechu. Z wystąpień agresywnych, które nie mogą służyć jako wzór merytorycznych wystąpień, słynęła radna Ewa Sudnik. Znała się na wszystkim. Niektórzy radni mieli stałe tematy. Jerzy Tomaszewski, z którym jesteśmy zaprzyjaźnieni, nosił ksywkę „Dyszel". Zdarzył mu się wypadek na Biskupinie z tramwajem, wyposażonym w dyszel. Ten dyszel wbił mu się w samochód. Jurek zawsze wracał do tego tematu, zwłaszcza podczas dyskusji na temat cen biletów tramwajowych. Potem okazało się, że wjechał pod tramwaj na własne życzenie.

Do anegdotycznych historii należała w pierwszej kadencji słynna „dziura Galka". Pan radny Galek w żadnej sprawie nie zabierał głosu, oprócz jednej: dziury w drodze przed jego domem. Dziura ta, zwłaszcza po roztopach, zamieniała się w wielką kałużę. „Dziura Galka" zawsze była tematem wolnych wniosków, na które odpowiadał wiceprezydent Andrzej Olszewski. Nie mieliśmy pieniędzy na żadne remonty, więc odpowiedzi Andrzeja nigdy nie były zadowalające. Aż do momentu, kiedy Rada zmieniła nazwę ulicy. Problem został rozwiązany. Już nie było dziury przy ul. Ostrowskiego. Była przy ulicy Krzemienieckiej. Notabene, pan Galek nie zmienił swoich trudnych obyczajów i w III kadencji walczył z Miastem o treść planu zagospodarowania w miejscu, w którym mieszkał, a poglądy w sprawach urbanistyki też miał oryginale. W tej sytuacji w 2002 r. Miasto odstąpiło od sporządzania planu, a na mapie powstała druga „dziura Galka".

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Uczestniczyłem w decyzjach o powstaniu rad osiedlowych jako radny I kadencji. Do utworzenia rad osiedlowych przekonali nas profesorowie – członkowie Rady, którzy Wrocław znali jako architekci. Idea była taka – stworzyć przedstawicielstwo lokalnej społeczności. Rady osiedla były małe i było ich dużo, one miały mieć z założenia charakter pomocniczy. W tym czasie w administracji samorządowej wykonaliśmy ruchy centralizujące zarządzanie – likwidowaliśmy urzędy dzielnicowe. Oba procesy – decentralizacyjny i centralizacyjny się „minęły". Dla administracji samorządowej, urzędników, rady osiedli stały się zorganizowanym graczem w sprawach lokalnych. Natomiast nie myśleliśmy o tym, że ruch rad rozrośnie się w struktury, w tworzenie etatów, w diety i próbę tworzenia małych urzędów.

Czy w przyszłości rady mają być kolejną mutacją rady dzielnicowej, której podlega część administracji i budżetu? Nie sądzę, by był to kierunek właściwy. Nie wyobrażam sobie parcelacji administracji miejskiej na 49 rad osiedli. Z kolei, sami radni osiedlowi nie są zainteresowaniu stworzeniem większych jednostek, które współpracowałyby z odpowiednimi strukturami Urzędu. Uważam, że rady nadal powinny być strukturami pomocniczymi, a nie kolejną biurokracją miejską obsadzaną jakimiś pociotkami. Wyrażenie „jednostka pomocnicza" należałby traktować dosłownie. W nazwie brakuje mi jednego słowa: „społeczna".

Rady muszą pamiętać, że są częścią Miasta. Czytając materiały niektórych rad ma się wrażenie medialnej schizofrenii. Co dobre – to zasługa rady, co złe – to urzędnicy. Ostatnio jedna z rad osiedla robiła wszystko, żeby skrytykować tych okropnych urzędników, którzy niefachowo prowadzili program ISPA, a potem ogłaszali, że zrobią grilla, kiedy już wszystko będzie ładnie i pięknie. Tą są incydenty, bo w większość rad przeważał zdrowy rozsądek. W latach 90. rada osiedla z Maślic zawsze walczyła z nami (słusznie) o zamknięcie wysypiska śmieci. Gdy zaproponowaliśmy budowę obwodnicy osiedla (obecnie ul. Królewiecka), osobiście pomagali nam przekonać właścicieli nieruchomości do sprzedaży ich pod drogę, a prawnicy pomagali załatwiać zalegle sprawy spadkowe. Takie rady lubię.

Czasami jednak mieliśmy do czynienia z absolutną destrukcją. Mam przed sobą list z okresu, kiedy zaczęliśmy batalię o budowę obwodnicy śródmiejskiej przez ul. Klecińską i tzw. „Gądowianki". W tym przypadku rada osiedla zamiast łagodzić napięcia społeczne, zrobiła wszystko, żeby blokować coś, co nie było możliwe do zablokowania. Odwoływaliśmy się wtedy do argumentacji racjonalnej. Miasto potrzebowało obwodnicy, a Muchobór potrzebował przesunięcia ulic i ekranów akustycznych. Tłumaczyliśmy, że za chwilę – po wybudowaniu części ul. Hallera – przez Klecińską (wtedy marginalną, prawie wiejska drogę) przetoczy się lawina samochodów. Część z tych radnych rozpoczęła jednak absurdalny protest, który opóźnił budowę drogi o 3 lata. Tylko jedna osoba zachowała się racjonalnie. Pamiętam rozmowę z wykształconym menadżerem, który przyszedł jako obywatel na wielkie, burzliwe spotkanie w sali sportowej. Po spotkaniu powiedział tak: „Mam dom przy ul. Klecińskiej. Jak rozumiem, władze miasta nie mają alternatywy. Czy mam dom sprzedać?". Odpowiedziałem: „Bardzo dobrze Pan zrobi", i on to zrobił. I kupił dom o dwie ulice dalej.

Nie był to pierwszy konflikt z tą radą osiedla. W 1995 r. właśnie Muchobór był pierwszym we Wrocławiu miejscem, gdzie wprowadzona została strefa bezpiecznego ruchu. Zostały tam zainstalowane bariery, progi, równorzędne skrzyżowania, słupki, które ograniczają ruch uliczny i poprawiają bezpieczeństwo. Zamiast podziękowania,

Miasto stało się celem ataku. Dzięki dyrektorowi szkoły i wielu radnym osiedlowym dostaliśmy 900 protestów przeciwko wprowadzaniu tych „obrzydliwych" rozwiązań. Po dwóch, trzech latach, kiedy motoryzacja rosła dosyć gwałtownie i stała się uciążliwa, z innych części miasta rady wysyłały prośby o przyspieszanie wprowadzania takich stref.

Inny przykład irracjonalnego działania dotyczy części mieszkańców Biskupina. Od 1990 r., co pewien czas, wybuchają medialne konflikty o budowę drogi i mostu miedzy ul. Krakowską a Mickiewicza. Zawsze byłem zdziwiony, że ludzie uważający się za elitę wolą godzinami stać w korkach na pl. Grunwaldzkim, niż skorzystać z rozwiązań proponowanych przez urbanistów niemieckich przed 70 laty. W latach 90. nie mieliśmy na to pieniędzy, konflikt był wirtualny. Teraz prezydent przygotowuje realną inwestycję, którą – jak dobrze pójdzie – zakończy w VI kadencji. Ale i tak jestem pod wrażeniem, jak można przez 20 lat walczyć wbrew własnemu interesowi.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Na początku lat 90. nie mieliśmy zbyt wielu mediów. Wtedy wszyscy myśleli, że migawka w telewizji centralnej jest ważniejsza od tego, co jest lokalne. Przebojem I kadencji była pierwsza lokalna telewizja, która zaczęła odgrywać coraz większą rolę w przekazie o tym, co się dzieje w mieście. Prasa szybko straciła swoją dominującą pozycję. Okres powodzi w 1997 r., to już era przekazu medialnego. Swoją drogą – prasa zajmowała się sensacjami i konfliktami. Dla pozytywnych informacji nie było miejsca. Dziś nie ma rządzenia sprawami lokalnymi bez mediów – blogowania, portali społecznościowych, telewizji, telewizji interetowych, esemsów i „pijaru". Prezydenci stali się lokalnymi celebrytami. Ale to inna historia.

◇◇◇

Kultura i sport to takie dwie dziedziny działalności Miasta, w których pieniądze wydawane są bez kontroli i bez pomysłu. Fakt, że Muzeum Miejskie Wrocławia mieści się w dawnym pałacu jest zasługą prof. Łosia, który był gwałtownie atakowany przez wrocławskie media, a także przez prawicową i lewicową opozycję. Ta reforma nie została zakończona, natomiast w dużej mierze została skasowana przez prezydenta Dutkiewicza. W swojej pierwszej kampanii prezydenckiej zaatakował on Andrzeja Łosia za tę reformę. Zaatakował, ponieważ osłabiała ona znaczenie dobrze zakorzenionego etablishmentu, tak sportowego, jak i kulturalnego. Istotą tej reformy było połączenie muzeów miejskich, które tak naprawdę były bezwartościowe, ponieważ nie miały zbiorów; dokonanie gruntownego remontu pałacu królów pruskich, konkursowego obsadzania stanowisk dyrektorskich i ich kadencyjności. To ostatnie było szalenie zwalczane przez etablishment artystyczny, ponieważ ci wszyscy prezesi związków twórczych, artyści, mieli bardzo dobre kontakty z urzędnikami kultury, które pozwalały im latami żyć kosztem podatnika. Reforma miała przyczynić się do rozbicia niezdrowych stosunków panujących w naszym trzeciorzędnym świecie artystycznym, zreformować nasze miejskie muzea i inne miejskie placówki kultury, po to, żeby muzea zaczęły prowadzić własną działalność, czyli nie tylko eksponować wystawy sprowadzane z różnych miejsc. Oczywiście uczestniczyłem w uchwalaniu tych nowych praw. Zasiadałem też w pierwszej komisji konkursowej, która wyłoniła szefa Impartu. Wtedy właśnie przekonałem się, jak skorumpowane są środowiska artystyczne, które wyłaniały jakieś miernoty na stanowiska dyrektorskie, po to, żeby móc dalej z tą miernotą prowadzić jakieś interesy, a pieniądze podatnika przeznaczać na własne potrzeby. To było przeplatanie się interesów wrocławskich dziennikarzy, działaczy artystycznych, artystów z miernotami zasiadającymi na fotelach dyrektorskich, po to, żeby mógł latami funkcjonować pewien samonapędzający się system prowadzący do ogromnych wydatków z kasy publicznej, przy efektach artystycznych właściwie pomijalnych. Poznałem sposób działania mediów, dziennikarzy i redaktorów naczelnych, którzy, często bez wiedzy właściciela tych mediów, prowadzili swoje interesy towarzyskie pod pozorem informowania i relacjonowania. To było wartościowe doświadczenie.

Działalnością interwencyjną właściwie się nie zajmowałem. Jeżeli interweniowałem, to na rzecz instytucji czy działań artystycznych. Jeśli widziałem jakiś godny uwagi cel, np. konserwację jakiegoś dzieła sztuki, to chętnie się w to angażowałem.

Przez całe dwudziestolecie Wrocław się bardzo dobrze rozwijał, przyczyniła się do tego stabilność władzy politycznej, w miarę sprawne uchwalanie planu zagospodarowania przestrzennego. Te plany to znowu zasługa prof. Łosia. Trzeba pamiętać, że to on doprowadził do powstania Biura Rozwoju Wrocławia. Zanim pojawił się w Sukiennicach, planowanie przestrzenne było kompletnie zaniedbane. Jakaś grupa kombinatorów z Politechniki była w to zaangażowana, im się nic nie chciało.

Było także bardzo wiele pozytywnych wydarzeń. Obserwowałem dwóch kolejnych prezydentów – Bogdana Zdrojewskiego i Stanisława Huskowskiego. Mam bardzo dobre zdanie na ich temat. Sądzę, że przy różnych wadach, śmieszności i słabościach, bo każdy takie ma, oni nadali pewien styl w działaniu i obaj mieli bardzo dobrą rękę do decyzji personalnych. To byli ludzie, którzy się nie bali mocnych osobowości, nie bali się indywidualności. Dla funkcjonowania takiego organizmu, jakim jest Miasto, ma ogromne znaczenie, jaki jest wyższy i średni personel zarządzający, o tym trzeba pamiętać. W tej chwili już tylko niedobitki z tego zestawu dyrektorskiego pozostały w Urzędzie Miejskim. Takim symbolicznym aktem jest odejście Rafała Guzowskiego. Wówczas ukształtowała się pewna kadra, która tak naprawdę wcielała politykę ustrojową, prowadząc do awansu Wrocławia z miasta na 10 pozycji w 1990 r. do ścisłej czołówki polskiej. Zaszczytem i przyjemnością było dla mnie wspieranie Zarządu w takich działaniach.

W mistrzowski sposób rozwiązano we Wrocławiu problem służby zdrowia. Istotna była decyzja Bogdana Zdrojewskiego o nieprzejmowaniu szpitali. Wrocław skoncentrował się na bardzo skutecznej prywatyzacji otwartej służby zdrowia i przeprowadził to bardzo dobrze. W pewnym momencie rozwiązań wymagała opieka społeczna. Członkiem Zarządu odpowiedzialnym za opiekę społeczną był Sławomir Piechota, słusznie uważany z jednego z najlepszych parlamentarzystów w wolnej Polsce. To była gwiazda Zarządu Miejskiego, człowiek o wielkiej wizji, niesamowitej pracowitości i dobrym sercu. Potrafił połączyć wizję ze starannością, pracowitością, umiejętnością współpracy z organizacjami pozarządowymi i umiejętnością układania aktów prawnych, która umożliwiła przeprowadzenie gruntownej reformy spraw socjalnych we Wrocławiu. Polegała ona na przekazywaniu spraw organizacyjnych organizacjom pozarządowym, odbiurokratyzowaniu i wprowadzeniu pewnych norm i standardów. Przypominam sobie, jaka była nagonka na niego we wrocławskiej telewizji, gdy przekazywał ośrodek przy ul. Wejherowskiej jednej z organizacji pozarządowych, jaka była nagonka na niego za to, że poparł rodzinne domy dziecka, a zlikwidował te nieefektywne, tradycyjne. Pojawiło się mnóstwo kłamstw we wrocławskiej telewizji i w „Gazecie Wyborczej".

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Można powiedzieć, że niepowodzeniem były starania o Expo. Gdy jednak próbuję sobie przypomnieć te lata, to nie widzę wielu zmarnowanych szans. Nie przypominam sobie takich dni, których bym bardzo żałował, uważając, że można było zrobić coś jeszcze.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Istnieją instytucje generalnie niepotrzebne i szkodliwe, typu Regionalna Izba Obrachunkowa uświęcona w Konstytucji. Egzystują ciągle instytucje słynące z niekompetencji. Przypominam sobie anegdotę, którą opowiedział mi Bogdan Zdrojewski. Kiedyś kontroler z NIK-u prowadził kontrolę dotyczącą obchodów Milenium Wrocławia. Zaproszono wówczas do Wrocławia Plácido Domingo, który, wiadomo, otrzymuje gażę określonej wysokości. Prezydent musiał odpowiedzieć na pytanie, czy nie mógł rozpisać przetargu i wyłonić osobę, która zaśpiewałaby taniej….

Współpraca z instytucjami pozarządowymi była niezła, czasami bardzo dobra, ale zdarzały się przypadki rozmaite. Natomiast z instytucjami takimi, jak NIK była zła.

Sam z tego rodzaju instytucjami nie współpracowałem, lecz okazjonalnie miałem z nimi kontakt. Moje uznanie budziła działalność Sejmiku Osób Niepełnosprawnych. Tu się można było spodziewać postawy roszczeniowej, a tymczasem okazało się, że oni chcieli realizować ważne cele społeczne, co potrafili dobrze umotywować, i to były cele słuszne.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Kiedy radny spotyka się z wyborcami? Po pierwsze, prowadząc kampanię wyborczą, następnie, w ramach dyżuru radnego. Tam przychodzą ludzie, którzy mają jakieś sprawy do załatwienia, ponieważ doznali jakiejś krzywdy i niesprawiedliwości. W tego rodzaju przypadkach trzeba jakoś wpłynąć na funkcjonowanie bezdusznej maszyny urzędniczej, żeby im pomóc. Oczywiście, prawdziwi, zawodowi politycy zabiegają o kontakt z wyborcami i żadnej okazji nie zmarnują. Oznacza to przeważnie kontakt ze specjalnymi grupami interesów. Taka typowa grupa wyborców, z którymi politycy uwielbiają się spotykać, to kibice i działacze sportowi. Tego zawsze unikałem.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Oczywiście różnie to wyglądało, to były inne czasy niż obecnie, teraz znaczenie Rady Miejskiej jest minimalne, ponieważ nie ma ona wpływu na sprawy personalne ani na Urząd. Decyzje podejmuje samodzielnie prezydent. W czasach, kiedy ja byłem radnym Zarząd Miejski był wybierany przez Radę Miejską i to Rada Miejska uchwalała regulamin Urzędu, a zatem miała bardzo duży wpływ na sprawy personalne. Prezydenci Wrocławia byli ludźmi o bardzo silnej osobowości, znanymi z działalności w opozycji demokratycznej. Pomimo tego, że Rada Miejska miała wpływ na sprawy personalne, Wrocław był w stanie zachować dużą stabilność władzy. Współpraca z większością członków Zarządu była bardzo dobra, z dyrektorami wydziałów też. Oczywiście, zawsze się znajdą wyjątki. Jak sobie przypominam, większość kadry Wrocławia miała wysoką jakość i w większości byli to ludzie o dużej kulturze osobistej. Moją współpracę z nimi oceniam jako bardzo dobrą.

Zdarzały się sytuacje groteskowe. Za sprawą pana prof. Przystawy był stały punkt w Radzie – odwoływanie prof. Łosia. Dwóch ekscentryków zgłaszało ciągle tego rodzaju propozycje. Na szczęście nigdy do tego nie dochodziło. Jerzy Przystawa nie uważał, żeby obowiązywała go zasada zgłoszenia propozycji uchwały. Rada Miejska podejmuje decyzję w formie uchwały. Jeżeli ktoś chce, żeby doszło do głosowania, należy zgłosić projekt, choćby jednozdaniowy, np.: „Rada Miejska odwołuje Andrzeja Łosia ze stanowiska przewodniczącego Rady Miejskiej". Jerzy Przystawa uznał, że on się nie będzie podporządkowywał zasadom prawnym, toteż nie można było tego głosować.

Jak się układały Pana stosunki z Biurem Rady Miejskiej?

Jest niezbędne, musi istnieć obsługa Rady Miejskiej. Generalnie, jak jestem sobie w stanie dzisiaj przypomnieć, jest to instytucja sprawna i profesjonalna, mieszcząca się w takim zakresie kompetencji, jaki powinna mieć.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Cieszę się, że radni otrzymali laptopy. Mam nadzieję, że wlano im oprogramowanie typu Lex, umożliwiające łatwe korzystanie z najważniejszych prawnych baz danych. Podatnik jednak powinien wiedzieć, jak głosował jego przedstawiciel, a tego elektroniczny system głosowania nie zapewnia. To na pewno jest słabość, że nie wiemy, co nasi przedstawiciele robią.

Pod względem estetycznym budzi wątpliwości remont sali sesyjnej. Wprowadzono tam ciężki, staroniemiecki styl. Pytanie, czy ta przebudowa musiała być przeprowadzona w takim właśnie stylu? W to wątpię. To było dogodne dla firm wykonawczych, bo drogo kosztowało.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich działalność?

Pracowałem w komisjach: Statutowej, Promocji Miasta i Komunikacji. Najbardziej pracowita była Komisja Statutowa. Przechodziły przez nią wszystkie projekty ustaw. To było dobre miejsce dla radnego, który chciał uczestniczyć w pracy uchwałodawczej, w pisaniu i poprawianiu uchwał. W ciągu jednej kadencji Rada uchwala 1500 do 2000 aktów prawnych. Trzeba było przeczytać te wszystkie projekty uchwał. Można było dowiedzieć się, czym zajmuje się Rada, ale mało który radny czyta wszystkie projekty.

Komisja Komunikacji natomiast, to jest komisja Związku Zawodowego „Solidarność" MPK – całkowicie zdominowana przez działaczy związkowych. To były takie czasy, że w komisjach uczestniczył czynnik społeczny.

Kto został wybrany? Oczywiście działacze związku zawodowego „Solidarność" MPK. Oni bez przerwy wysuwali swoje sprawy socjalne, że „na pętli to a to", że „motorniczy wysiada w kałużę", – a pasażerowie? – co ich to obchodzi, ważne, co z motorniczym!

Na te zebrania przychodził zawsze szef ZDiK pan Komar, który jest wspaniałym fachowcem, czasami jego zastępca pan Sozański. Zastanawiałem się, dlaczego w tym roku robimy takie inwestycje, a w innym inne – okazało się, że oni mieli plan, który realizowali. Później powstał Wieloletni Plan Inwestycyjny, który obecnie jest farsą, jest bez przerwy zmieniany pod kątem tego wielkiego blamażu, który nazywa się Euro 2012. Wieloletni Plan Inwestycyjny obowiązywał przez pewien czas i rzeczywiście pojawiły się listy priorytetów na kolejne lata. Wiadomo było, że plan trzeba będzie modyfikować, ale nikt chyba nie przypuszczał, że to będzie tak wyglądało, jak w tej chwili. Ten plan jest czystą ozdobą i nie ma związku z tym, co się obecnie robi.

Miasto nie może funkcjonować bez sprawnej komunikacji. Krytyczny był rok 2005, kiedy całe miasto stało w korkach. Blamażem okazało się rondo Reagana, które przecież świeżo po wybudowaniu będzie remontowane w przyszłym roku. Źle prowadzono remont mostu Szczytnickiego, przez co prezydent Dutkiewicz stracił dotację unijną. To jest wynik złego układania priorytetów.

Teraz słyszę o inwestycjach, nad którymi debatowaliśmy ileś lat temu. To, że zbudowano tramwaj na Gaj, kursujący ulicami Bardzką i Świeradowską, a nie tramwaj na Kozanów, to jest decyzja, która zapadła ileś tam lat temu. Podobnym przykładem jest budowa pierwszej linii szybszego tramwaju nr 8, prowadząca od pętli przy parku Południowym na Kowale, to jest nowe torowisko na całej długości. Kwestia ścieżek rowerowych – jak zaczynałem kadencję we Wrocławiu było kilka ścieżek rowerowych, teraz jest 130. Postęp, jaki się dokonał w tym względzie jest przeogromny. W różnych miejscach stoją stojaki, w których można przymocować rower, to jest też znakomita rzecz. Mówi się przy tej okazji o zrównoważonym rozwoju, pewnej preferencji dla innego sposobu poruszania się po mieście niż samochodem.

Komisja Komunikacji mogła być ważna, ale niestety dominacja związkowców temu przeszkodziła. Członkowie komisji spoza Rady mieli prawo głosu, uczestniczyli w opiniowaniu budżetu i różnych uchwał, które trafiały na posiedzenia Rady i były przyjmowane głosami różnych grup interesów. Były to czasy koalicji z AWS-em, którego przedstawiciel był szefem komisji. AWS w dużej mierze realizował interesy związkowe.

Mimo tej bardzo poważnej wady, Komisja Komunikacji podejmowała jednak duże i ważne tematy dotyczące ogromnej części budżetu i wszystkich wrocławian. To była bardzo ważna komisja, i ogromnie się cieszę, ze mogłem brać udział w jej pracach.

Komisja Promocji Miasta i Współpracy z Zagranicą miała trzeciorzędne znaczenie. Byłem jej przewodniczącym, budżet w tej dziedzinie jest bardzo skromny. Jest to komisja autonomicznej działalności prezydenta. Prezydent, jak chce, to może, jak Kropiwnicki czy Dutkiewicz, dużą część roku spędzić na wyjazdach – prezydent Dutkiewicz spędził 137 dni na wyjazdach, ale to jest strefa jego autonomicznej działalności.

Jaka może być promocja współpracy z zagranicą? Strategia jest oczywista, dla każdego miasta taka sama: chcemy być wspaniałą metropolią znaną w całym świecie. Chcemy, żeby do nas przyjeżdżali turyści dla samej kultury, żadnej hołoty, która chciałaby się napić, ale tacy, którzy bardzo chcą chodzić do muzeów, teatrów, opery, którym nie przeszkadza śmierdzący Dworzec Główny. Chcemy takich dyskretnych i kulturalnych…

Prezydent Zdrojewski wykupił kiedyś kilkustronicowe ogłoszenie w „Newsweeku". Była straszna afera, był za to potwornie atakowany, za coś, co było przykładem wielkiej odwagi, jasności myślenia i umiejętności wykorzystania środków z kasy publicznej dla zmultiplikowania efektu. O tym, że Wrocław to wykupił napisały wszystkie gazety w Polsce, także niektóre zagraniczne poinformowały, że znalazło się miasto, które potrafiło zdobyć się na coś takiego. To już była reklama darmowa. Podobnie z Expo – dwukrotne fiasko. Za pierwszym razem dostaliśmy tylko 2 głosy, jednak w świecie wszyscy napisali wtedy o Wrocławiu. Można wskazać konkretne duże inwestycje, które nastąpiły dzięki staraniom o Expo. W sensie marketingowym były to znakomicie wydane pieniądze, one nie przyniosły efektu, o który zabiegano, ale przyniosły inny efekt marketingowy, którego nie udałoby się osiągnąć w inny sposób. Mniejszym sukcesem było Milenium Wrocławia, bo tutaj był mniejszy zwrot inwestycji, niż w przypadku tych większych imprez.

Sądzę, że próba uzyskania pełnego efektu promocyjnego przez działania, które opisałem, była bardzo skuteczna. Wysłano mnie do Wietnamu, Togo, Nigerii i Berlina. Decyzja, kto pojedzie była bardzo prosta. Do większości krajów świata musi pojechać mężczyzna w średnim wieku, znający języki i posiadający dobrą wizytówkę. Spełniałem te kryteria, byłem w stanie po angielsku i po francusku zrobić prezentację i porozmawiać. Za każdym razem byłem przedstawicielem prezydenta. Przedstawiciel władzy państwowej wręczał uroczyście list odpowiedniemu ministrowi kraju, rozmawiał z różnymi dyplomatami. Natomiast prezentacja, a także rozmowy i próby zrobienia dobrego wrażenia należały do przedstawiciela miasta. Główny cel, jaki stawiał sobie Wrocław w promocji zagranicznej, to przełamanie kompletnej anonimowości. Wrocław był miastem średniej wielkości, nikomu w świecie nieznanym. Wrocław w 1945 r. zmienił nazwę. Z marketingowego punktu widzenia został popełniony błąd, zmieniono znaną nazwę Breslau. Dopiero od 20 lat nazwa Wrocław zaczęła być rozpoznawalna, choć w świecie jeszcze w niewielkim stopniu. Nie chciałbym gloryfikować działalności Komisji Promocji. Wspierała ona działania Zarządu. Mistrzem

promocji był Bogdan Zdrojewski. Jego kolejny wspaniały pomysł marketingowy, to słaba książka Normana Daviesa „Mikrokosmos". Książka jest naprawdę słaba, ale autor rozpoznawalny w świecie. Jego honorarium wynosiło 200 tys. złotych. Naprawdę wspaniale wydane pieniądze. Książka ukazała się w dwóch głównych językach. Sam słyszałem, jak rozmawiano o tej książce w BBC. To niesłychane, żeby BBC rozmawiał o książce na temat tak mało znanego miasta jak Wrocław. Większość słuchaczy słyszała zapewne po raz pierwszy w życiu nazwę Wrocław. Przebicie się na największą światową scenę jest bardzo trudne.

Odbiór Wrocławia po tych 20 latach, tak w kraju, jak i w całym świecie jest już inny. To się nie stało przypadkiem, lecz dzięki wyobraźni i ciężkiej pracy wielu ludzi, przede wszystkim Bogdana Zdrojewskiego. Może mniej dynamiczny od niego, ale zawsze się w to angażował wiceprezydent wielu kadencji Jarosław Obremski, człowiek z otwartą głową o wysokiej kulturze osobistej.

Łatwo mogę mówić o czasach, w których sam uczestniczyłem. Trzeba jednak pamiętać, że wspaniałą promocję wśród biznesu prowadził obecny prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. To, co w tej chwili obserwujemy jest po części tym, o czym marzyliśmy lata temu, żeby we Wrocławiu pojawiło się wiele firm z dziedziny wysoko rozwiniętych usług. Oczywiście, wtedy nikt nie przypuszczał, że we Wrocławiu może otworzyć swoje centrum IBM. Tych firm z najwyższej półki jest coraz więcej. Jeśli ktoś gdziekolwiek w świecie używa telefonu Siemensa, to ma tam oprogramowanie napisane we Wrocławiu. Firmy te zatrudniają naszych absolwentów, tych, którzy chcą się rozwijać, a nie składać elementy na taśmie jakiejś koreańskiej czy japońskiej firmy. Fakt, że znane firmy się tutaj pojawiają to nie jest efekt przypadkowy, lecz jest to efekt długoletnich działań marketingowych i promocyjnych miasta. Jest mi bardzo miło, że mogłem w nich uczestniczyć na różnych etapach. Trzeba rozłożyć akcenty i wiedzieć, czyje zasługi są mniejsze, a czyje większe.

Co sądzi Pan o powoływaniu klubów radnych i jak ocenia Pan ich działalność?

Ich istnienie jest konsekwencją funkcjonowania systemu partyjnego. Dla sprawnego funkcjonowania Rady są nieodzowne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Oczywiście powódź. Wielkim profesjonalizmem bardzo mi wówczas zaimponowała Straż Pożarna. Cieszę się, że ówczesny szef Straży Wojtek Adamski został wiceprezydentem Wrocławia. To był przełomowy moment, dlatego że mieszkańcy tak naprawdę zidentyfikowali się wówczas ze swoim miastem. Odra zalała ten sam obszar, co w 1903 r.

Wrocław w bardzo wielkim stopniu skorzystał z funduszy pomocowych. Aby uzyskać do nich dostęp, trzeba było wykonać pracę urzędniczą. Trzeba było skutecznie oszacować straty i wypełnić różne formularze, co wtedy dla urzędników było trudne. Pod kierunkiem Macieja Bluja, obecnego wiceprezydenta, wyćwiczyli te umiejętności, które okazały się potrzebne w staraniach o fundusze europejskie, kiedy już te fundusze stały się dostępne. Miasto udało się odbudować w lepszym stanie niż było. Wrocławscy urzędnicy przeszli ważne szkolenie w wypełnianiu dokumentacji i to bardzo dobrze zaowocowało w latach, kiedy udało się dzięki ich fachowości skutecznie zabiegać o fundusze europejskie.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem. W ostatnich wyborach frekwencja, o ile pamiętam, wynosiła 3 %. Wrocławianie wydali werdykt na temat tych organów pomocniczych. Przedstawiciele tych rad pojawiali się na komisjach Rady Miejskiej, żeby załatwić swoje drobne interesy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i samorządu?

Poziom mediów jest, niestety, beznadziejny, a jakość intelektualna dziennikarstwa bardzo niska. Dziennikarze nie podjęli wysiłku intelektualnego, żeby zdobywać i weryfikować informacje, a nie żywić się wyłącznie plotkami. Wymaga to pewnego wykształcenia nie tylko formalnego, ale wykształcenia zdobywanego poprzez lektury, kontakt z rzetelnymi mediami i własne przemyślenia. Wymaga to odpowiedzialności. Często jestem w Wielkiej Brytanii i słucham radia. Jakość dziennikarstwa brytyjskiego i polskiego to dramatyczna przepaść. Śledziłem wiadomości podawane przez naszych dziennikarzy. Większość z nich nie ma wystarczającego poziomu wiedzy, żeby zrozumieć rzeczywistość w jej złożoności. Brakuje zainteresowania, próby zrozumienia procesów czy ważnych zagadnień, które mogą dotyczyć mieszkańców. Z pewną przyjemnością patrzę, że media publiczne wnet upadną, tam komornik pewnie wejdzie na pensje, a zakład energetyczny odetnie prąd i będzie święty spokój, bo one żadnej istotnej roli nie spełniają. Dyskusja musi być prowadzona przez dobrze poinformowanego dziennikarza, a tego nigdy nie było. Paradoksalnie media prywatne bywają lepsze, to jest zła okoliczność.

Moje doświadczenia z dziennikarstwem są naprawdę złe. Władza pozostaje bez kontroli, bo przecież na posiedzenia Rady dziennikarze nie chodzą, i nic dziwnego, bo to przeraźliwa nuda. Jak mają sobie wyrabiać zdanie właściciele, bo mieszkańcy Wrocławia są właścicielami miasta? Oczywiście z mediów, ale jak, skoro dziennikarzy interesują tylko plotki, personalia i afery? Władysław Frasyniuk kandydując na urząd prezydenta Wrocławia powiedział kiedyś, że powinno się wywiesić na drzwiach Ratusza tabelę łapówek. Powiedział to bezpodstawnie. Nigdy nie przytoczył żadnego szczegółu i dobrze, bo musiałby mówić o swoich przyjaciołach. Zostało to powtó-

rzone przez dziennikarzy setki razy. Następnie w rankingach na najbardziej skorumpowane miasto Wrocław zajął bardzo wysoką pozycję, bo, jeśli bombę Frasyniuka powtórzyć ileś setek razy, to z takiego rozliczenia wychodzi, że Wrocław jest najbardziej skorumpowanym miastem. To jest właśnie przykład braku odpowiedzialności dziennikarzy, którzy nie podjęli próby weryfikacji tego, co któryś z polityków powiedział realizując swoje cele polityczne. Takich przykładów było, niestety, bardzo wiele.

Sytuacja była i jest bardzo zła i dlatego czuję się tym rozczarowany.

◇◇◇

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Próbowałem nawiązać partnerskie stosunki z Kečke Med na Węgrzech. Na mój wniosek zebrała się Komisja Współpracy z Zagranicą. Na spotkanie zaproszono jako gościa Konsula Generalnego Konsulatu Węgierskiego w Krakowie, pana Kovača, znanego historyka. Niestety, z tego spotkania nic nie wynikło i nie doszło do zawiązania tej współpracy. Wtedy też zastanawiałem się nad współpracą z Białorusią, ale to również nie znalazło poparcia. Uważałem, że nawiązywanie kontaktów bezpośrednich, na poziomie lokalnym, z pominięciem centralnego, spowoduje lepsze poznanie się i lepszą współpracę. Moim konikiem była wymiana uczniów szkół podstawowych. Starałem się umożliwić przyjazdy dzieci z Białorusi, żeby mogły pomieszkać w polskich domach, zobaczyć, jak ludzie żyją i żeby nasza młodzież tam jeździła. Najważniejsza jest szkoła podstawowa, ponieważ jeżeli ludzie poznają się już w młodym wieku, to w okresie późniejszym nie będą do siebie wrogo nastawieni, „czym skorupka za młodu nasiąknie". Byłem bardzo przeciwny budowie pomnika Bolesława Chrobrego na tym zwierzęciu, które ma przypominać konia, a konia zupełnie nie przypomina. Uważałem, że w takim magicznym miejscu, jakim jest galeria, Pegaz, przepiękny, lekki architektonicznie dom towarowy Renoma, zbudowany w pięknym stylu Teatr Lalek, taka bryła granitowa potężna, wielkie stworzenie i postać z dzidą nie powinny być wznoszone. Przedstawiłem swoje argumenty na sesji Rady Miejskiej, kiedy powstawał projekt pomnika i pokazywano jego model. Powiedziałem, że taka bryła będzie psuła harmonię tego miejsca, że tam powinien stać niedźwiadek, syrenka oblewana wodą, coś magicznego, gdzie będzie można przyjść z przyjaciółką i rozmawiać o miłości. Przy takim facecie z dzidą nie będę o miłości rozmawiał, bo kobieta zaraz mnie rzuci. Do dzisiaj anegdoty krążą na ten temat. Co ciekawe, wtedy prezydentem był pan Zdrojewski, który popierał budowę tego pomnika, a niedawno przeczytałem jego wypowiedź jako ministra, gdzie właśnie wygłosił te argumenty przeciwko budowie tego pomnika, które ja poruszyłem właśnie wtedy, że pomnik jest ciężki i brzydki.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Bardzo dobrze.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Były niektóre sprawy sygnalizowane przez wyborców. Wtedy wyjaśniałem sprawę w odpowiednich oddziałach Urzędu Miejskiego albo pytałem kolegów radnych, którzy znali się na danej dziedzinie, ponieważ ja się na wszystkim nie znam, albo podnosiłem daną kwestię na sesjach Rady Miejskiej. Wyborcy nigdy nie byli aktywni. W większości przychodzili jedynie, żeby załatwić swoje osobiste sprawy, natomiast reszta mało ich interesowała. Jeżeli chodziło, np. o podwórko, to chcieli je ładnie zagospodarować jedynie dlatego, że tam mieszkali, a podwórka sąsiednie już ich nie interesowały.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Bardzo dobrze. Byli zawsze skłonni do wyjaśnień, udzielali wyczerpujących informacji na sesjach Rady. Również, kiedy sam szedłem z zapytaniem zawsze otrzymywałem konkretne, wyczerpujące informacje. Nie było żadnej obstrukcji w tym względzie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Jak najlepiej. Kiedy wyjeżdżałem w ramach Komisji Promocji Miasta w delegacje na targi zagraniczne, jako reprezentant Rady Miejskiej czy kiedy u nas było coś organizowane, to Biuro działało zawsze bezawaryjnie, konkretnie, punktualnie, zawsze wszystko było bardzo dobrze zorganizowane na czas. Nigdy nie było żadnych problemów.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wszystko było takie, jak trzeba. Było świetnie. Sala była przepięknie wyremontowana. Mogłem pracować w o wiele skromniejszych warunkach, obradować w dużo mniej komfortowych, siedzieć nawet na twardym krześle. Dla mnie ważne było meritum sprawy.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Sportu i Rekreacji oraz w Komisji Promocji Wrocławia i Współpracy z Zagranicą. Komisja Sportu miała nadzór nad obiektami sportowymi naszego miasta, nad MOSiR-ami, oceniała realizację programu budowy dróg rowerowych. Mieliśmy dużo sesji wyjazdowych na terenie miasta, spotykaliśmy się, oglądaliśmy, ocenialiśmy. Cały czas było co robić, na tyle konkretnie, że zawsze praca posuwała się naprzód. Podobnie było w Komisji Promocji Miasta i Współpracy z Zagranicą, gdzie byłem odpowiedzialny za kontakty z Niemcami, Dreznem i Wiesbaden, naszymi partnerskimi miastami. Kwitła również wymiana ze Lwowem, skąd radni do nas przyjeżdżali, a my wyjeżdżaliśmy do nich. Kontakty były bardzo bogate i bujne i wiele się z nich dowiadywaliśmy. Goście byli również oprowadzani po Wrocławiu, tak, że nie tylko formalnościom stawało się zadość, ale byli przyjęci również bardziej rodzinnie. Dbaliśmy o to, aby czuli, że nasze miasto różni się od pozostałych, że nie jest etatystyczne, jak Kraków, Poznań, tylko, że jest tutaj swoisty „tygiel". Zresztą mieszkańcy innych miast Polski też to odczuwają, kiedy przyjeżdżają do Wrocławia. Ludzie na ulicach naszego miasta są życzliwi, nie tworzą barier. Symbolem tego jest arena na Wyspie Piaskowej, wykorzenione drzewo, posadzone

korzeniami do góry, autorstwa Beresia. To symbol Wrocławia. W 1945 r. zostało wykorzenione drzewo niemieckie, a zakorzenione polskie. To był ewenement na skalę światową. W nowożytnej historii nie było sytuacji, żeby w ciągu paru lat tysiące mieszkańców wyjechało i tyleż samo przyjechało. Ponieważ nikt we Wrocławiu nie może powiedzieć, że jest tu z dziada pradziada, dlatego ludzie są otwarci. Wrocław jest jak Ameryka, tutaj każdy ma szansę się wybić, nie dlatego, że ma nazwisko, tylko dlatego, że ma umiejętności. Na tym polega urok Wrocławia i różnica w stosunku do innych miast.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Nie mogę sobie wyobrazić alternatywy do klubu. Klub zawsze reprezentuje jakąś partię, stronnictwo. Tam się omawia różne sprawy i wypracowuje wspólne stanowisko, żeby każdy odrębnie nie deklarował, czego chce, tylko żeby poprzez głosowanie wypracować konsensus będący dla wszystkich do przyjęcia. Uważam, że zawsze trzeba podporządkować się większości. Także jest celowe, aby nie występowało kilkadziesiąt osób, tylko jedna, w imieniu klubu.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Millennium, bardzo uroczyście obchodzone. Przyjechali goście ze Lwowa i innych miast. Przeprowadzono na tę okazję remont Uniwersytetu oraz popowodziowe remonty. Powódź jakby paradoksalnie uświetniła Millennium, wymiotła, oczyściła miasto. To, co miało się zapaść, zawalić, to się zawaliło. Również poprawiła się czystość Odry, która wcześniej przypominała ściek, a teraz pływają w niej ryby żyjące jedynie w bardzo czystych wodach. Powódź przeczyściła koryto Odry do samego dna. Także klęski powodziowe mają swoje dobre strony. Po pożarze wszystko się pięknie rozwija, po powodzi Miasto zaczęło remontować ulice, chodniki, kamienice i dzięki temu Millennium było piękniejsze.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Uczestniczyłem w spotkaniach rady osiedla na Krzykach, Przedmieście Oławskie, na ulicy Orzechowej, na osiedlu Gaj. Wszystko zależało od ludzi w radach. Lokalnie rady są bardzo dobre i skuteczne, bo widzą, co się dzieje na ich podwórku, znajdują się na miejscu. Zbierają informacje i poprzez rady osiedla można poruszać pewne kwestie i rozwiązywać problemy na sesjach Rady Miejskiej i przekładać na uchwały. Rady osiedla, mające bezpośredni kontakt z mieszkańcami, są informatorami Rady Miejskiej.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Najczęściej się interesowały, jak coś nie wychodziło. Lubiły jakąś „łatkę" doczepić. Komentowały protesty dotyczące np. burzenia garaży czy łączenia szkół, czy nawet, jak długo jakiś radny siedział na sali czy nie siedział, co absolutnie nie miało wpływu na uchwały. Media muszą z czegoś żyć i szukają sensacji. Natomiast nasza żmudna praca ich nie interesowała. Jeżeli coś się udało i wynikało ze żmudnej pracy, to w mediach się wcale nie ukazywało. Media lubią fajerwerki.

◇◇◇

czej w mieście, ponadto budżety, tutaj też starałem się bardzo wnikliwie każdorazowo czytać projekty, sprawozdania, te z Komisji Budżetu i powiem szczerze, że za każdym razem miałem jakieś swoje koncepcje. Oczywiście, ciężko było je forsować, bo działaliśmy w opozycji, także generalnie nie można było w żaden sposób jakoś tak odgórnie wyjść z inicjatywą, ale od czasu do czasu jakieś mniejsze sukcesy osiągaliśmy właśnie w zakresie kreowania budżetu. Uważam, że pod tym względem naprawdę wykonywałem ciężką pracę, czytałem setki stron budżetu. Robiłem to z przyjemnością.

Co Pan uważa za największy sukces w swej działalności jako radnego i jednocześnie sukces IV kadencji Rady?

Lansowałem taki pomysł, żeby Miasto trochę bardziej się zwróciło ku biedniejszym dzielnicom, biedniejszym osiedlom, żeby ten Wrocław to nie był tylko Wrocław widziany z okien ratusza. Muszę powiedzieć, że znajdowałem wielu popleczników i to się zaczęło zmieniać. Jak przestałem być radnym, po 2006 r. widziałem wiele inicjatyw, które odbywały się poza Rynkiem. Ożyło miejsce pod Halą Ludową. Tam przeniosło się lodowisko, tam przeniósł się jarmark ekologiczny. Można powiedzieć, że w jakiś sposób, w mniejszym lub większym zakresie o to walczyłem i uważam, że swoją cegiełkę dołożyłem, że władze miasta dostrzegły inne lokalizacje dla różnych imprez. Z większym pietyzmem zajęły się miejscami, które do tej pory były mniej eksponowane. W Radzie byłem krótko, właściwie niecałą kadencję, dwa i pół roku – dostałem mandat po zmarłej radnej Barbarze Wawrzyniak, trudno więc mi mówić o jakichś wielkich sukcesach. Przez rok się uczyłem, jak tym radnym być, półtora roku zostało na jakąś działalność. Moje działania były standardowe, pomagałem rozwiązywać problemy, chodziłem na spotkania z radami osiedlowymi. Mieszkańcy przedstawiali swoje problemy, starałem się je rozwiązać. Taka działalność typowo społeczna, która wpisuje się w mandat radnego, także ciężko tutaj mówić o jakichś wielkich sukcesach. Być może paru rodzinom pomogłem tak indywidualnie, interwencjami różnymi, pomogłem zorganizować kawałek drogi czy zaspokoić różnego rodzaju potrzeby.

Sukcesem tej Rady było to, że udało się jakoś zintegrować wszystkie środowiska. To jest dla mnie największy sukces. Nie było w tej kadencji, w której ja miałem mandat, naprawdę nie było, jakichś takich dziwnych waśni, nawet opozycja zachowywała się absolutnie w sposób merytoryczny, starała się współpracować z władzami miasta. To był największy sukces Rady.

Ta Rada wykonała ciężką pracę. Uchwaliliśmy chyba, przynajmniej tak wynika ze statystyk do roku 2006, najwięcej planów zagospodarowania przestrzennego. Uchwaliliśmy bardzo dużo kierunkowych uchwał, które do dzisiaj wydają się ponadczasowe, związanych chociażby z ratowaniem MPK, różnymi działaniami w ramach miejskich firm, spółek miejskich, MPWiK itd. Wydaje mi się, że pod tym względem Rada dobrze działała.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Jedną z takich porażek było powołanie ARAW-u – Agencji Rozwoju Aglomeracji Wrocławia. Ta spółka okazała się taką protezą. Działania podejmowane przez tę spółkę absolutnie nie prowadzą do rozwoju aglomeracji Wrocławia. Późniejsza wpadka z zakupem akcji pewnej spółki za pieniądze Miasta właśnie przez Agencję Rozwojową Aglomeracji Wrocławia to potwierdza. Uważam, że niepowodzeniem były tego typu inicjatywy, które bardzo mi się kojarzą z ARAW-em.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Miałem wiele do czynienia z instytucjami pozasamorządowymi, np. ze stowarzyszeniami kupców, z inicjatywami kobiecymi. Jeśli chodzi o samą współpracę, to uważam, że poziom merytoryczny był bardzo wysoki, różnego rodzaju spotkania były na wysokim poziomie także jeśli chodzi o wymianę poglądów. Oczywiście pojawiały się diametralne różnice zdań. Odwołując się chociażby do wspomnianych kupców, trzeba powiedzieć, że ich oczekiwania były zupełnie odmienne od oczekiwań Miasta i w ogóle od możliwości Miasta. Kupcy byli zainteresowani handlowaniem najlepiej pod ratuszem, co absolutnie w wizji współczesnego, cywilizowanego europejskiego miasta nie powinno mieć miejsca. Oczywiście, ich postulaty były nie do zaakceptowania, aczkolwiek, tak jak mówię, bardzo wysoko cenię sobie ich wiedzę, doświadczenie, ich sposób rozumowania.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wrocław jest za dużym miastem, żeby wyborca wpływał na radnego i odwrotnie, żeby radny w jakiś sposób mógł pomóc wyborcy. Także tutaj ciężko mówić o jakieś takiej empatii, bo praktycznie to jest niemożliwe. Wśród tych, którzy na mnie głosowali było wielu moich kolegów, z którymi utrzymywałem kontakt na co dzień. Na pewno z nimi miałem trochę inne relacje. Za ich pośrednictwem udało mi się poznać wielu innych wyborców, którzy dzięki ich agitacjom lub z własnego przekonania głosowali na mnie, ale nie znali mnie i tylko poprzez kontakty towarzyskie do mnie dotarli. Tym osobom oczywiście, w miarę możliwości, starałem się jakoś pomagać. To jest zbyt skomplikowana materia. Na panią Zdrojewską głosowało ponad trzy tysiące osób w okręgu, gdzie mieszka około osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Podejrzewam, że z tego ona zna około stu pięćdziesięciu. To są bardzo nietypowe relacje i ciężko je w ogóle ocenić.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Bardzo poprawnie, naprawdę można było w każdej chwili, bez uprzedniego anonsowania, porozmawiać na temat bieżących spraw, spraw, które nurtują, na temat spraw, które są przedmiotem obrad sesji Rady Miejskiej.

Władze wtedy, myślę, że tak dalej jest, były otwarte dla wszystkich. Nie wiem, jak to nazwać, ale w każdym razie sam parokrotnie przeżyłem dość duży szok, gdy władza wykonawcza próbowała sama nawiązać kontakt ze mną i zapytać się, co sądzę na jakiś temat.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej naprawdę pracowało bardzo sumiennie, rzetelnie. Także pani dyrektor świetna, akurat idealnie nadająca do tej roli, bardzo komunikatywna, bardzo ciepła. W sumie myślę, że jej właśnie taki ludyczny charakter powoduje, że wszyscy są zadowoleni ze współpracy z Biurem Rady Miejskiej. Jeżeli ktoś nie jest, to widocznie ma jakieś bardzo prywatne anse.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na pewno jest jeszcze dużo do zrobienia, tzn., jeśli chodzi o salę posiedzeń, salę obrad, to są na wysokim poziomie. Natomiast w moim wyobrażeniu radny powinien mieć dostęp do dużo większej infrastruktury, tzn. dla radnych powinny być jakieś sale komputerowe, czytelnia. Takie miejsca, gdzie można się doedukować, gdzie można się przygotować do posiedzeń. Ja to musiałem robić sam z perspektywy swojego biurka w domu czy z perspektywy swojego biurka w pracy, a mógłbym to zrobić z perspektywy jakiegoś biurka w Radzie, które byłoby udostępnione. Oczywiście każdy miał swój klub radnych, ale pokoje klubów radnych były wykorzystywane na dyskusje zmierzające do podjęcia decyzji w kwestiach dotyczących głosowania klubu. Tak jak mówię, brakowało mi miejsc, gdzie można było się merytorycznie przygotować do posiedzeń, nie w jakiś sposób polityczny czy w sposób klubowy, tylko merytoryczny, mieć materiały, możliwości porównań z rozwiązaniami w innych miastach, być może w innych miastach europejskich. Myślę, że to jest jeszcze do dopracowania. Jeśli chodzi o ergonomię pracy, to siedzenie dziesięć czy nawet piętnaście godzin w sali posiedzeń było samą przyjemnością, rzeczywiście tak.

W jakich Pan pracował komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych i Komisji Budżetu. Komisja Inicjatyw Gospodarczych kumulowała przedstawicieli różnych środowisk, ale przygotowanych merytorycznie. Jeżeli natomiast chodzi o Komisję Budżetu, tu byłem leciutko zawiedziony. Z wykształcenia jestem ekonomistą finansistą, zajmuję się finansami, wykładam finanse i finanse przedsiębiorstw, też finanse samorządu przy Wyższej Szkole Bankowej. Miałem pewien niedosyt, nawet chciałem się zwrócić do członków tej komisji, żeby zechcieli trochę się dokształcić, żeby poznali materię, wiedzieli, jakie są obszary budżetu, jak odbywa się ta cyrkulacja, redystrybucja środków z budżetu, jakie są działy, jakie wydatki, jakie dochody. Niektórzy dość słabo czuli ten problem. Często musiałem sobie odpuścić pewne dyskusje, bo wiedziałem, że jednak tak do końca merytorycznie nie podyskutujemy. To oczywiście zależało też od reprezentacji w Radzie. Jest to w końcu demokracja. Mieszkańcy mogą wybierać takich, a nie innych radnych. Rada składa się z 37 osób i jeśli wybierze się 37 architektów, no to siłą rzeczy 5 czy 6 będzie trzeba posadzić w Komisji Budżetu i będą musieli się nauczyć budżetu, bo oni nie będą specjalistami od budżetu.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych najczęściej są reprezentacją partii politycznych. Moim zdaniem, najlepszym rozwiązaniem dla samorządności byłoby to, żeby ludzie nie reprezentowali partii politycznych, lecz żeby reprezentowali jakieś społeczne poglądy i skupiali się na tym, że chcą sprowadzić jak najwięcej obcego kapitału, próbować robić wszystko, żeby uaktywnić polską przedsiębiorczość i promować za wszelką cenę tylko polskie firmy, żeby np. dbać o jak największe wpływy z turystów odwiedzających miasto czy wręcz stworzyć z naszego miasta ośrodek nauki, kultury. Tak bym widział podział, jeżeli chodzi o poglądy. To jest tylko marzenie. Wiadomo, że każdą demokracją rządzą partie polityczne. Właściwie tylko partie polityczne mogą wystawić reprezentację, która gwarantuje wygraną w wyborach, oczywiście są organizacje inne, które też mogą kandydować, ale te na pewno nie gwarantują zwycięstwa. Tak więc każdy przedstawiciel, każdy radny, siłą rzeczy jest zakładnikiem układu politycznego.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Na pewno jednym z takich wydarzeń była sesja nadzwyczajna po śmierci Jana Pawła II. To było wielkie wydarzenie. Cały czas wydawało się, że jednak Ojciec Święty jest niezniszczalny, że nie ma siły, która mogłaby w jakiś sposób spowodować Jego śmierć. Jak wiadomo, umarł w sobotę, w poniedziałek była sesja nadzwyczajna w ratuszu, później koncert ekumeniczny i wtedy do mnie dopiero dotarło, że każdy, nawet wybitny człowiek, jest z punktu widzenia świata doczesnego zwykłym śmiertelnikiem i ta refleksja towarzyszyła mi na tej sesji. Oczywiście ta sesja była bardzo patetyczna, bardzo wzniosła. Bardzo mi to utkwiło w pamięci jako wydarzenie w skali miasta, ale także prywatnie odcisnęło piętno na moim życiu to wydarzenie, ta sesja.

Można by tu oczywiście wymienić chociażby obchody 15-lecie istnienia samorządu, kiedy prezydent Wałęsa w ratuszu otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Wrocławia. Było parę takich momentów, ale jednak, wydaje mi się, że śmierć papieża była największym wydarzeniem.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Członkiem rad osiedlowych nigdy nie byłem, współpracowałem z radami osiedli na Krzykach, tzn. Klecina, Krzyki „Borek", Krzyki-Krzyki, Krzyki-Powstańców, Krzyki-Huby. Muszę powiedzieć, że to są bardzo fajne

inicjatywy. Często na poziomie partii politycznych dominuje pogląd, że to jest przetarcie przed jakąś karierą w polityce, byciem w Radzie Miejskiej czy później być może w Sejmie. Ja bym tego tak nie traktował. Jest to na pewno miejsce skupiające fanatyków, entuzjastów społecznikostwa, entuzjastów własnego osiedla. To jest piękna inicjatywa, powinno ich być więcej, zresztą w cywilizowanych krajach wcale nie trzeba powoływać rad osiedla, bo tam w społeczności lokalnej ludzie sami powołują takie inicjatywy. W krajach z długim okresem demokracji odbywa się to drogą naturalną, a my jeszcze na razie jesteśmy na etapie, kiedy musimy trochę wspierać te inicjatywy. Być może później sami mieszkańcy będą przychodzić do pana prezydenta i inicjować, że chcieliby założyć na swoim osiedlu koło osiedlowe czy jakiś klub sportowy, taki osiedlowy, że proszą o to tylko, żeby zrobić z jakiegoś klepiska boisko, i że tam będą grać. Na razie musimy takie inicjatywy wspierać instytucjonalnie.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Muszę powiedzieć, że tak średnio. Media interesują się najczęściej sprawami, o których dobrze się czyta, np. ile bilety na tramwaj podrożały, użytkowanie wieczyste podrożało, śmieci podrożały, coś tam znowu podrożało. Właśnie takiej polityce medialnej jestem przeciwny i uważam, że na poziomie takich mediów, jak prasa typu „Gazeta Wyborcza" pisanie o mieście powinno mieć charakter bardziej merytoryczny, bardziej wnikliwy i bardziej analityczny. Oczywiście media się bardzo zmieniły i wiele się poprawiło. Pamiętam, że kiedyś, z godzinnego wystąpienia, podczas którego wytknąłem trzy elementy w działaniu Miasta, jedna gazeta napisała jedno zdanie: „Radny Noga krytykował działania Miasta, zadawał pytania, bardzo dużo, i właściwie nie uzyskał spodziewanych odpowiedzi." Właściwie nie było w tej treści ani jednego słowa, które ja chciałem przekazać, czyli ani jednego słowa, które dotyczyło problemu, tylko taka typowa notka dziennikarska, próbująca zrobić jakiś szum wokół sprawy.

Często na korytarzach, oczywiście w kuluarach, dyskutowaliśmy. Wiadomo, jak się zbliżały wybory każdy był zainteresowany, żeby zaistnieć w mediach. Różne pomysły zaistnienia w mediach kreowali różni radni. Wspólnie zawsze dochodziliśmy do wniosku, że gdyby ktoś wyszedł na mównicę i zaczął pokazywać jakieś obsceniczne gesty, to może prędzej to byłoby zauważone, niż gdyby naprawdę zwrócił uwagę na bardzo ważki problem w działalności Miasta.



Adam NOWAK

Radny V kadencji.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Pracę z samorządem mogę datować od 1986r., kiedy to pierwszy raz zostałem radnym osiedla. W tamtym czasie podjąłem również podyplomowe studia na kierunku samorządu terytorialnego na Uniwersytecie, co pozwoliło mi nabyć szerszą wiedzę z zakresu prawa, funkcjonowania samorządu terytorialnego i z zakresu finansów publicznych. Myślę, że ta wiedza to podstawa, dzięki której wiedziałem, jak się poruszać w sferze samorządu terytorialnego. Niemniej prawda jest taka, że doświadczenie nabyte poprzez działalność w radzie osiedla i kontakty z instytucjami miasta budowane przez lata stały się największym moim źródłem wiedzy.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W 1990r. kończyłem studia i wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak potoczą się moje losy. Myślę, że nawet nie przypuszczałem, że będę się realizował w działalności społecznej i samorządowej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Wynika to z działalności w komisjach, w których jestem, a są to: Komisja Zdrowia, Komisja Ochrony Środowiska i Komunikacji, jako największa z tych komisji, oraz Komisja Bezpieczeństwa. Myślę, że mam prawo uważać się za inicjatora idei wyrównania opłat dla osób, które nie posiadają kanalizacji sanitarnej w swoich budynkach, a tylko posługują się szambami. Chodziło o to, że koszty ponoszone przez właścicieli szamb są wielokrotnie wyższe od kosztów osób korzystających z kanalizacji miejskiej. Zasadniczym celem tego rozwiązania było jednak uszczelnienie systemu wywozu nieczystości i niezanieczyszczenie środowiska przez mieszkańców. Dzięki

współpracy prezydenta i MPWiK udało się wypracować zgodne z prawem rozwiązanie pozwalające dofinansować odprowadzenie ścieków poprzez szamba.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Mówiąc szczerze najwięcej sukcesów odniosłem wspólnie z wieloma wspaniałymi i oddanymi sprawom lokalnym osobami, przewodnicząc radzie osiedla. Traktuję to jako sukcesy, ponieważ były to konkretne osiągnięcia, które spowodowały powstanie czegoś namacalnego, co służy teraz ludziom. Powstały drogi w ramach inicjatyw lokalnych, na które zbieraliśmy pieniądze. Powstały place zabaw. Udało się pozyskać fundusze Unijne na wybudowanie kanalizacji dla osiedla Wojnów. A także wiele innych mniejszych osiągnięć.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Uważam, że podziały polityczne, a przede wszystkim spory, które się nasiliły w drugiej połowie kadencji Rady były wielką porażką i nie służyły dobru miasta.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Myślę, że współpraca idzie w bardzo dobrym kierunku i jest coraz lepsza. Niemniej nie oznacza to, że nie niesie ze sobą problemów. Na początku budowania społeczeństwa obywatelskiego organizacje pozarządowe i jednostki miejskie uczyły się działalności w sferze pożytku publicznego. Instytucje pozasamorządowe, mówimy tu o fundacjach, o stowarzyszeniach, były wspierane przez gminę, ponieważ nie miały jeszcze takiej silnej pozycji, silnej bazy. Kiedy parę lat minęło, te instytucje wzmocniły się, co automatycznie podniosło próg wymagań. Odnoszę wrażenie, że narzucony przez Miasto formalizm nierzadko przerastał możliwości niektórych instytucji. Tu pokłoniłbym się nad tym, żeby spróbować to poprawić. Niemniej ocena jest bardzo pozytywna.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mówiąc szczerze wpływ wyborców jest zależny od tego, na ile radny chce wejść w kontakty z wyborcami. Jeżeli radny ich poszukuje, wtedy ten wpływ jest znacznie większy. Jeżeli bazuje na tym, kto dotrze do niego i jakim problemem spróbuje zarazić radnego, to nie jest to wielka aktywność. Ta aktywność jest budowana przez aktywność radnego, a nie przez aktywność wyborców.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Tutaj już się wchodzi w sferę polityczną. Startowałem z ramienia Platformy Obywatelskiej, ugrupowania, z którym mocno się utożsamiałem. Jednak najważniejsze są dla mnie relacje międzyludzkie, które są istotą funkcjonowania samego Miasta i wszystkich instytucji publicznych. Nierzadko się nie zgadzałem ze zbyt głębokim wkraczaniem polityki w sferę zarządzania miastem. Niestety, nie da się tego wyraźnie oddzielić. Te stosunki układały się bardzo dobrze na samym początku. Później doszło do sytuacji, kiedy te relacje zostały rozluźnione. Doszło do otwartych zatargów, czego nie oceniałem dobrze. Gdybym miał odpowiadać na pytanie dotyczące moich stosunków i relacji z władzą wykonawczą, to oceniam, że są bardzo dobre

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej funkcjonuje bardzo sprawnie. Nie mogę powiedzieć tutaj nic złego na jego temat. Wszystkie informacje, które są do przekazania, zawsze są na czas. Pracownicy Biura są mili i kompetentni. Wprowadzenie systemu komputerowego i elektronicznego komunikowania się znacznie usprawniło całą procedurę legislacyjną i w ogóle całą obsługę. Bardzo pozytywnie do tego podchodzę.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Częściowo już odpowiedziałem na to pytanie. Zapewne jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia, które mogłyby ułatwić i usprawnić pracę. To jest kwestia indywidualnego podejścia. Stan obecny w zupełności mi odpowiada. Moje wymagania nie są duże i nie widzę potrzeby wydawania dodatkowych pieniędzy.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jak już wspomniałem, są to Komisje: Zdrowia i Opieki Społecznej, Praworządności i Bezpieczeństwa Publicznego oraz Komunikacji i Ochrony Środowiska. Pracę komisji oceniam bardzo dobrze. Na tę ocenę wpływa przede wszystkim dobra współpraca Biura Rady i służb prezydenta, ale również dociekliwość i zaangażowanie samych radnych. Niewątpliwie nie bez znaczenia jest wiodąca rola przewodniczących komisji, którzy okazali się osobami, które sprostały postawionym przed nimi zadaniom.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych są przede wszystkim związane z podziałem politycznym. Niestety, sfera publiczna jest spolaryzowana, więc główne siły polityczne chcą odgrywać dominującą rolę w życiu samorządu. Ma to pewien sens. Gdyby wyłączyć tu sferę polityczną zagadnienia, to skupienie się na problemach w węższym gronie pozwala na lepsze wgłębienie się w ich tematykę, omówienie rozbieżności i wypracowanie wspólnego stanowiska. W efekcie poprawia to jakość i rzeczowość dyskusji podczas sesji Rady Miejskiej i usprawnia proces legislacyjny.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pan pamięci?

Wymieniłbym tutaj nadzwyczajne sesje Rady zwołane na okoliczność ważnych wydarzeń.

Szczególnie ciepło wspominam tę związaną z obecnością Dalajlamy. Wspaniały, mądry człowiek, który pozostawia w człowieku dużo dobrej energii. Wrażenia, które wtedy zapisały się we mnie zostaną ze mną już na stałe.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem radnym osiedla przez trzy kadencje. Są rady dobre, przeciętne i złe. Możliwości rad osiedlowych wiążą się z osobami, które w nich zasiadają i pomysłami, jakie one mają na swoją działalność. Choć nie mają specjalnie dużych możliwości, to jednak pozwalają realizować przedsięwzięcia, do których łatwiej przekonać prezydenta i pozyskać pomoc jego służb.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Myślę, że to zainteresowanie jest duże. Media naprawdę interesują się tymi sprawami. Oczywiście nierzadko wybierają sprawę, która z pozoru wydaje się mało istotna. Niemniej media najlepiej wiedzą, co jest czytane, lepiej przyswajane przez mieszkańców i najlepiej się sprzeda. Sztuka jest w tym, aby osiągnąć równowagę między tym, co ważne a tym, co tylko poczytne.



Mirosław OKIŃCZYC

Radny II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego.
Absolwent Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego, a także Studiów Podyplomowych na Politechnice Wrocławskiej i Uniwersytecie Warszawskim.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Jako specjalista z dziedziny ochrony środowiska i urbanistyki byłem merytorycznie przygotowany do zajmowania się tymi dziedzinami – kluczowymi, z punktu widzenia rozwoju przestrzennego miasta. Ponadto przydatne było moje doświadczenie płynące z wcześniejszej działalności w NSZZ „Solidarność".

Zaangażowałem się w działalność samorządową w 1994 r. za namową Radosława Gawlika, który był wówczas posłem i zajmował się między innymi ekologią. Należałem do grona jego doradców. Do Rady Miejskiej drugiej kadencji dostałem się z listy bloku Wrocław 2000. Nie należałem wówczas do żadnej partii politycznej, później dałem się namówić na wstąpienie do Unii Wolności.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Formalnie nie – nie byłem pieszczochem poprzedniego ustroju, choć zawodowo miałem do czynienia z opracowaniami związanymi z powstawaniem planów zagospodarowania przestrzennego. Przed 1990 r. nie miałem do czynienia z działalnością samorządową. W latach 1980-1981 kierowałem ogólnopolską strukturą „Solidarności" w przedsiębiorstwie „Geoprojekt", do której należało około 1,5 tysiąca osób. W połowie lat osiemdziesiątych – na słynne wezwanie Jacka Kuronia, należąc do konspiracyjnej „Solidarności" – stanąłem do wyborów i zostałem wybrany przewodniczącym Rady Pracowniczej we wrocławskim oddziale „Geoprojektu". Zdobyte w ten sposób doświadczenia organizacyjne i gospodarcze były mi bardzo pomocne w późniejszej pracy w Radzie Miejskiej Wrocławia.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pełniąc funkcję przewodniczącego Komisji Ochrony Środowiska przyczyniłem się do uchwalenia „Zasad polityki ekologicznej Wrocławia" oraz utworzenia Szczytnickiego Zespołu Przyrodniczo-Krajobrazowego. Jestem także współautorem pierwszej uchwały dotyczącej rozwoju ścieżek rowerowych. Ważnym zajęciem było opiniowanie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, a także kolejnych koncepcji dotyczących gospodarki odpadami i gospodarki wodno-ściekowej. Wspierałem także działalność Miejskiego Ogrodu Zoologicznego.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Do znaczących sukcesów Rady Miejskiej II kadencji zaliczyłbym uchwalenie dokumentów normujących funkcjonowanie miasta, takich jak „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego", „Strategię

rozwoju miasta" i „Zasady polityki ekologicznej", rozpoczęcie budowy hali „Orbita", integrację środowisk twórczych. Ważną decyzją było również powołanie Biura Rozwoju Wrocławia jako jednostki, której zadaniem stało się nie tylko opracowanie nowych planów zagospodarowania przestrzennego, ale także formułowanie nowych wyzwań w aspekcie polityki przestrzennej, jakie mogą pojawiać się w perspektywie długofalowej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzeniem było zaprzepaszczenie szans całościowego rozwiązania problemu gospodarki odpadami w mieście, choć sensownych programów i inicjatyw nie brakowało, opieszałość w rozbudowie układu komunikacyjnego miasta i błędy w jego kształtowaniu, brak determinacji w odnawianiu starych kamienic.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozarządowymi?

W latach 1994-1996 organizacje pozarządowe znajdowały się w powijakach, stąd też współpraca z nimi nie była zbyt intensywna. Myślę jednak, że były one mniej agresywne i roszczeniowe niż dzisiaj, a bardziej nakierowane na własną, pozytywną aktywność.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ ten dotyczył pojedynczych interwencji w sprawach, z jakimi wyborcy przychodzili.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Stosunki były poprawne, nie przypominam sobie żadnych nagannych sytuacji.

Podczas mojej kadencji zauważyłem początki niepokojącego zjawiska, polegającego na próbach wpływania na radnych przez partyjne centrale, dla których demokracja była szyldem dla władzy sprawowanej w sposób niedemokratyczny. Byłem tą sytuacją zdegustowany i zniesmaczony. Jak ten proces się rozwinął i wpłynął na jakość naszego życia publicznego, możemy obserwować dzisiaj.

W klubie Wrocław 2000 były dwie frakcje, ale nie ujawnialiśmy tego na zewnątrz. Linia podziału biegła pomiędzy osobami, które były związane z dawnym Kongresem Liberalno-Demokratycznym a osobami, którym naprawdę zależało na utrzymywaniu demokratycznych norm i zasad. Miało to swoje konsekwencje podczas wyborów do Rady trzeciej kadencji. Wówczas w Unii Demokratycznej władze sprawowały już osoby wywodzące się z KLD i one usuwały z list wyborczych do Rady Miejskiej kandydatów, którzy im nie odpowiadali, tzn. nie byli „sterowalni". W efekcie trzy osoby wraz ze mną (Ireneusz Guszpit, Włodzimierz Mękarski i Rafał Kubacki) zrezygnowały z członkostwa w Unii Wolności. Wówczas – latem 1998 r. – zorganizowaliśmy się w trzy tygodnie i założyliśmy Stowarzyszenie „Wrocławianie", z którym wystartowaliśmy do wyborów miejskich. Mało brakowało – zdobyliśmy ponad cztery procent głosów – abyśmy zostali wybrani do Rady Miejskiej.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze: dotyczy to nie tylko organizacji pracy Rady i komisji problemowych, ale także zwyczajnych relacji międzyludzkich.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Trzeba pamiętać, że lata drugiej kadencji, to zaledwie 4 lata po zmianie ustroju, dlatego też nie można było wymagać cudów. Oczywiście, ówczesny standard sali posiedzeń Rady jest nie do porównania z obecnym, choć mnie to specjalnie nie przeszkadzało. Sprawność i zaangażowanie pracowników Biura Rady niwelowały pojawiające się trudności techniczne.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Byłem przewodniczącym Komisji Ochrony Środowiska, członkiem Komisji Architektury oraz członkiem Komisji Kultury. Pracowało mi się w nich bardzo dobrze. To były czasy, kiedy radni mieli znacznie więcej do powiedzenia niż w tej chwili. Przewodniczący komisji mieli mocną pozycję. Obecnie zmniejszono zakres kompetencji Rady, a zwiększono kompetencje prezydenta. Radnymi stają się przede wszystkim ci, których namaszczą liderzy partii politycznych lub zaufani ludzie prezydenta. Są to więc wybory polityczne, a nie merytoryczne. W konsekwencji w Radzie brakuje specjalistów, np. z urbanistyki, gospodarki komunalnej czy też ochrony środowiska. Z moich obserwacji wynika, że radni I i II kadencji byli bardziej zaangażowani w pracy na rzecz miasta i mniej sterowalni przez partie polityczne.

Komisji Ochrony Środowiska II kadencji udało się doprowadzić m.in. do utworzenia Szczytnickiego Zespołu Przyrodniczo-Krajobrazowego, czyli w konsekwencji objęcia ochroną Wielkiej Wyspy. Chyba jako pierwsi w Polsce uchwaliliśmy „Zasady polityki ekologicznej" w mieście, choć niestety gorzej było z wprowadzeniem tych zasad w życie. Doprowadziliśmy też do przyjęcia pierwszej uchwały dotyczącej budowy ścieżek rowerowych. Komisja angażowała się w prace związane z przygotowaniem pierwszego „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia".

Komisją Architektury kierowała św. pamięci Barbara Wawrzyniak, osoba z bardzo dużym doświadczeniem i wiedzą w tym temacie – z opozycji (SLD), ale bardzo merytoryczna. Komisja miała bardzo duży wpływ na kształt miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego Wrocławia w tym okresie.

Ireneusz Guszpit kierował Komisją Kultury, która pracowała bardzo dobrze i aktywnie. Bardzo dużo posiedzeń, a właściwie co drugie odbywało się w jakiejś miejskiej instytucji kultury. Bardzo często też na nasze obrady zapraszaliśmy osoby związane z działalnością na niwie kultury.

W tym czasie, współdziałając z Czesławem Okińczycem, prezesem polskiego radia „Znad Wilii" organizowałem Dni Wrocławia w Wilnie, które miały charakter wydarzeń kulturalnych i były bardzo dobrze odbierane. Warto tu wymienić występy Romana Kołakowskiego, Teatru Lalek Wiesława Hejny, Konrada Imieli, Beaty Rakowskiej, chóru „Cantilena" z Tadeuszem Zatheyem i innych. W realizacji tych przedsięwzięć dużej pomocy organizacyjnej udzielił ówczesny prezes Polskiego Radia Wrocław św. pamięci Lothar Herbst i jego zastępca Robert Gawłowski. W czasie wielkiej powodzi w 1997 r. zadzierzgnięte więzi zaowocowały zebraniem przez radiosłuchaczy radia „Znad Wilii" ponad 100 tys. $ i przekazaniem ich dotkniętym powodzią szkołom, przedszkolom i innym instytucjom w naszym regionie.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Przy całej mojej negatywnej ocenie wyłaniania kandydatów na radnych przez partyjnych liderów sądzę, że powoływanie klubów jest celowe, pod warunkiem, że pracują merytorycznie, a nie są tylko pasem transmisyjnym dla działaczy partyjnych, którzy tą drogą realizują swoje cele polityczne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Z wydarzeń spektakularnych, oczywiście pobyt Jana Pawła II przed powodzią w 1997 r., sama powódź oraz przebieg Dni Wrocławia w Wilnie. Z wydarzeń „roboczych": uchwalenie „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego" i „Zasad polityki ekologicznej".

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Rady osiedli źle funkcjonowały i to się chyba nie zmieniło. Brakowało im konkretnych kompetencji i sensownego budżetu

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zdecydowanie negatywnie. Myślę, że jest wiele przyczyn takiej sytuacji, a przede wszystkim mizeria w samym świecie mediów wrocławskich. Brakuje dziennikarzy wyspecjalizowanych w sprawach samorządowych, brakuje szerszego forum wymiany poglądów na sprawy miejskie, media są uległe wobec potężnego podmiotu, jakim jest wrocławski Urząd Miejski i wreszcie sam Urząd jest mało transparentny.

◇◇◇

chomościami. Konieczne było poznanie organizacji i kompetencji urzędników. Należy zaznaczyć, że ogromnej pomocy udzielali mi pracownicy Urzędu Miejskiego, tłumacząc np. zawiłości organizacji zarządzania w Urzędzie.

Początki były jak wszystko, co pierwsze – trudne. Ze źródłami o nowoczesnej gospodarce rynkowej było gorzej jak skromnie. Wydawnictwa i publikacje zachodnie w zasadzie nie do zdobycia. Fora naukowe bądź gospodarcze nie istniały. Doświadczenia praktyczne? Wszyscy uczyli się. Komputery osobiste? Marzenia.

Trzeba było pozyskiwać różnymi drogami i zgłębiać jak najszybciej nowoczesną wiedzę zarządzania gospodarką rynkową, poznawać i uczyć się od sąsiadów z Zachodu, a równocześnie tworzyć nowe od podstaw, podejmować decyzje, których skutki będą widoczne przez lata. Doby było mało. Ale świadomość, że uczestniczę w tworzeniu nowego kraju dodawała siły.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Sprawy miasta były mi znane, jak każdemu mieszkańcowi. Zadania Rady Narodowej (tak się ten organ wtedy nazywał) Miasta czy Dzielnicy znałem ogólnie. Sprawy miasta były mi znane jako działaczowi Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Rada na jednym z pierwszych posiedzeń wybrała zarówno prezydium Rady, czyli przewodniczącego i wiceprzewodniczących, jak i Zarząd Miasta. Kompetencje tych organów były mniej więcej takie same, jak w chwili obecnej Rady Miejskiej i prezydenta z jego zastępcami.

Zarząd Miasta w I kadencji składał się z siedmiu osób: prezydenta, trzech wiceprezydentów i trzech członków Zarządu. Członkowie Zarządu byli równocześnie radnymi. Obowiązki wiceprezydenta pełniłem przez czteroletnią kadencję i zarządzałem miejską gospodarką komunalną (woda, ścieki, ogrzewanie), a także ochroną środowiska, komunikacją, geodezją i gospodarką nieruchomościami. Stąd mogę powiedzieć, że jako radny zajmowałem się przede wszystkim problemami tego właśnie obszaru gospodarki.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Wydaje mi się, że było kilka zdarzeń wartych odnotowania.

Jako jeden z sukcesów wymienię zdobycie funduszy z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska na uruchomienie i zakończenie porzuconej, niszczejącej przez 10 lat inwestycji – Miejskiej Oczyszczalni Ścieków Janówek. Dzięki temu zlikwidowana została oczyszczalnia ścieków na polach irygacyjnych w Dobrzykowicach i Świniarach. Fundusze NFOŚ uzyskiwało się wtedy zupełnie inaczej niż dzisiaj, kiedy jest na to cała procedura. Wysokość oprocentowania można było negocjować. Udało mi się wynegocjować bardzo niski procent, kilkakrotnie niższy niż gdyby pożyczka była zaciągnięta w banku.

Inny sukces, to zażegnanie poważnych konfliktów pracowniczych Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, które było zakładem budżetowym miasta Wrocławia. Sprawna komunikacja miejska we Wrocławiu była niezmiernie ważna, bo dla większości mieszkańców był to jedyny środek lokomocji. W październiku 1990 r., czyli niedługo po objęciu przeze mnie funkcji wiceprezydenta, MPK zagroziło strajkiem. Chodziło o podwyżkę płac. Należy przypomnieć, że w tym czasie, dla ograniczenia galopującej inflacji, wprowadzono słynną ustawę o popiwku, która polegała na tym, że zakład dający podwyżkę płac zobowiązany był do zapłacenia podatku w wysokości pięciokrotnej sumy podwyżek. Niespodziewanie znalazłem się w nowej sytuacji. Dotychczas jako członek „Solidarności" byłem po stronie strajkujących, teraz musiałem uspokoić strajkujących i znaleźć rozwiązanie problemu jako gospodarz miasta. Miasto nie miało żadnych możliwości akceptowania wysokości żądanych podwyżek, bo nie miało pieniędzy. Po trudnych negocjacjach z załogą MPK udało mi się trochę zmniejszyć żądania i wyciszyć nastroje pracownicze. Wtedy udałem się do Ministerstwa Finansów, gdzie po perturbacjach uzyskałem zgodę na odroczenie płatności popiwku (po pewnym czasie został on zmniejszony, a następnie zniesiony). W ten sposób we Wrocławiu uniknęliśmy strajku komunikacji miejskiej. Chcę zaznaczyć, że Wrocław nie był wyjątkiem w żądaniach pracowników, także komunikacji miejskiej. Na porządku dziennym były strajki. Wrocław był jednym z pierwszych, który temu zapobiegł.

Przy okazji inny sukces, też związany z MPK. Udało się doprowadzić do polepszenia jakości świadczonych usług, szczególnie dotyczyło to punktualności kursowania tramwajów i autobusów.

Na uwagę zasługuje także sprawnie i szybko przeprowadzony proces komunalizacji mienia Skarbu Państwa, a w dalszej kolejności komercjalizacja i prywatyzacja mniejszych, nierentownych przedsiębiorstw. Procesy te przeprowadziłem wspólnie z panem Sławomirem Najnigierem, ówczesnym członkiem Zarządu Miasta.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Wrocław miał zawsze, i dalej ma, problem z wywozem śmieci. Śmieci wywoziło się na wysypisko na peryferiach miasta. Kiedy jedno wysypisko już się zapełniło, otwierano następne. Tak zaczęło funkcjonować wysypisko na Maślicach. Obok tego wysypiska była kwatera wojsk radzieckich i wielkie hale, które wojsko później opuściło. Planowaliśmy w nich zrobić sortownię śmieci, jednakże brak środków uniemożliwił nam realizację tego zamierzenia. Nie znalazł się też żaden przedsiębiorca, który podjąłby się tego zadania. Wysypisko na Maślicach rosło

w błyskawicznym tempie. Szukaliśmy więc nowych lokalizacji. Miasto, z mojej rekomendacji, kupiło za niewielkie pieniądze 60-hektarowy obszar na północ od Wrocławia w okolicach wsi Borowa z przeznaczeniem na wysypisko. Kiedy jednak dotarło do publicznej wiadomości, że Wrocław planuje tam zrobić wysypisko, rozpoczęły się protesty. Przynoszono mi całe pliki podpisów ludzi protestujących przeciwko tej budowie. Drugą lokalizacją były okolice oczyszczalni ścieków na Janówku. Teren ten już i tak był częściowo zdegradowany przez oczyszczalnię. Miejsce było odpowiednie. Uważam, że było to idealne miejsce na wysypisko śmieci, a być może także na spalarnię. Nie udało się, niestety, również do tego doprowadzić. To chyba najważniejsze, czego mi się wtedy nie udało rozwiązać. Uważam to za swoją porażkę. Zresztą, problem nie został rozwiązany do dziś. A śmieci wciąż wywozi się daleko poza Wrocław...

Niepowodzeniem skończyły się również moje starania o chociażby częściową komunalizację miejskiej elektrociepłowni. Sprawa ta była także podejmowana przez moich następców – niestety również bez rezultatu. W tym przypadku interes Skarbu Państwa okazał się zbyt wielki, aby można było coś dla miasta uszczknąć.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Ogólnie współpracę oceniam jako dość mizerną. Można by uzasadniać, że były to początki i ludzie nie wiedzieli, w jaki sposób współpracować z tymi instytucjami (mam na myśli głównie instytucje naukowe). Doświadczałem tego, gdy zwracałem się z propozycjami współpracy przy rozwiązywaniu niektórych problemów.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Z wyborcami z mojego okręgu wyborczego Ołbin spotykałem się przy różnych okazjach, szczególnie często, gdy powstały rady osiedlowe. Byłem też zapraszany na różne, okazjonalne spotkania, gdzie miałem możliwość rozmawiania z mieszkańcami. Rada osiedla wiele zrobiła dla swoich mieszkańców, a ja starałem się im pomóc, jak tylko to było możliwe. Mieszkańcy przychodzili również do mnie w swoich rozmaitych, raczej w indywidualnych sprawach. Kontakty te pozwalały na postrzeganie różnych spraw życiowych, bo Ołbin jest dość trudnym obszarem społecznym.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Wszyscy byliśmy radnymi, ale niektórzy z nas byli również w Zarządzie Miasta. Rada była prawie monolitem (liczyła 70 osób, a tylko 3 osoby nie były wybrane z Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego), mimo to jej posiedzenia bywały dość burzliwe. Radni nie zawsze podzielali punkt widzenia Zarządu Miasta na sprawy będące przedmiotem obrad. Bywały czasami spięcia, a czasami trzeba było wzajemnie się przekonywać.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Nie było żadnych problemów. Współpraca układała się bardzo dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na początku lat dziewięćdziesiątych struktura Urzędu Miasta była dzielnicowa, chociaż nie było już Rad Dzielnicowych. Pomieszczenia przejęły Zarządy Gospodarki Komunalnej, które zajmowały się sprawami administracyjnymi oraz budynkami mieszkalnymi. Salki ZGK, gdzie mogli spotykać się radni, były porozrzucane po całym mieście. Były tam podstawowe meble, a wyposażenie biurowe pozostawiało wiele do życzenia. Rzutników, projektorów i innych środków audiowizualnych właściwie nie było, a to, co było urągało podstawowym wymaganiom technicznym. Jeśli taki sprzęt był potrzebny, prelegenci przynosili własny. Byli to przedstawiciele firm, które wtedy miały środki na zakup takiego, wtedy bardzo drogiego sprzętu. Nie było komputerów. Gdy rozpoczynałem pracę, w Urzędzie były trzy komputery, z czego dwa stały na szafie, bo nikt ich nie umiał obsługiwać. W tym czasie utworzono w Urzędzie Wydział Informatyki, który miał zająć się systematyczną komputeryzacją Urzędu. Jak prymitywne były początki świadczy fakt, że jednym z pierwszych zadań, jakie zleciłem wydziałowi było napisanie prostego programu, który umożliwiał sekretarce wpisywanie pism i śledzenie, co się z tymi pismami dalej działo. Dziś takich programów są setki i można je ściągnąć bezpłatnie z Internetu.

W jakich Pan pracował komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Ze względu na to, że pełniłem funkcję wiceprezydenta nie byłem członkiem żadnej komisji Rady Miejskiej. Tym niemniej często uczestniczyłem w posiedzeniach różnych komisji. Rządziły się one swoimi zasadami, a ja brałem udział w ich pracy w ramach moich obowiązków, żeby pewne rzeczy powyjaśniać, odpowiedzieć na pytania, jak Zarząd Miasta widzi sprawy, którymi zajmuje się komisja i co zamierza zrobić w danej dziedzinie. W komisjach Rady byłem raczej jako przedstawiciel Zarządu, a nie jako radny. W jakich komisjach? We wszystkich, które związane były z moim zakresem obowiązków.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Za moich czasów nie było klubów radnych. Kluby radnych wiążą się z przynależnością partyjną. W naszej kadencji, tak jak już wspomniałem, z 70 radnych 67 było z jednego ugrupowania i wszyscy mogli stanowić jeden klub. Uważam, że upolitycznienie samorządu oraz spory partyjne w Radzie Miejskiej stanowią zagrożenie i utrudniają pracę. Wszyscy na tym tracą, a przede wszystkim miasto.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Ten okres był gorący i ciągle coś się działo. Trudno mi wytypować jedno wielkie wydarzenie. W tym czasie każde wydawało się ważne. Dla Rady Miejskiej, dla Zarządu Miasta było istotne to, że Wrocław się zmienia. Wszystkie wydarzenia związane z tym, że coś wyremontowano, coś oddano nowego, że w Rynku pojawiła się chociażby nowa restauracja czy sklep z prawdziwego zdarzenia – bardzo cieszyły. Odnowione elewacje, wymieniona nawierzchnia Rynku czy deptak ulicy Świdnickiej stawały się wizytówką Wrocławia.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem. Już wcześniej wspomniałem, czasami bywałem na spotkaniach rad osiedlowych.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Myślę, że było większe niż w tej chwili i nie było okazjonalne. We Wrocławiu powstała prywatna telewizja Echo, która mieściła się w budynku Poltegoru (w miejscu, gdzie obecnie budowany jest Sky Tower). Często gościła nas u siebie, a szczególnie prezydenta Bogdana Zdrojewskiego. Był stały, cotygodniowy program „Czas dla prezydenta", w którym prezydent mówił o sytuacji w mieście. W trakcie programu mieszkańcy mogli „na żywo" telefonować i porozmawiać o mieście. Prezydent był znakomity w tych wystąpieniach i zawsze starał się w miarę możliwości pomóc, a mieszkańcy wiedzieli, że ci, którzy rządzą miastem nie siedzą tylko za biurkiem, że znają ich problemy. Wszyscy uważali, że prezydent Zdrojewski wie wszystko o swoim mieście. Zresztą rzeczywiście wiedział o wszystkim. No, prawie wszystkim. Również lokalna prasa zamieszczała sprawozdania z posiedzeń Rady Miejskiej, a także śledziła poczynania Zarządu Miasta, często je recenzując.

◇◇◇

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W czasie pełnienia funkcji radnego w latach 1998-2002 i 2002-2006 zajmowałem się problemami praworządności i bezpieczeństwa we Wrocławiu (byłem przewodniczącym Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa), sportu i rekreacji – przez obydwie moje kadencje w Radzie pracowałem w Komisji Sportu i Rekreacji, a także – pod koniec mojej drugiej kadencji – problemami ochrony środowiska.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji w Radzie Miejskiej?

Kierując Komisją Praworządności i Bezpieczeństwa wraz z pozostałymi jej członkami, przy współpracy ze służbami mundurowymi – Policją, Strażą Pożarną i Strażą Miejską – wprowadziliśmy w życie „Program poprawy bezpieczeństwa we Wrocławiu w latach 2000-2004". Program ten był jednym z pierwszych tego rodzaju programów w Polsce. Był wzorem dla innych dużych miast – Poznania, Krakowa, Warszawy. Był pierwszym programem we Wrocławiu finansowanym przez Urząd Miasta. Jego kontynuacją był „Program poprawy bezpieczeństwa Wrocławia na lata 2005-2008" – program uaktualniony, poprawiony, równie dobry i właściwie realizowany przez tych samych wykonawców, co poprzedni. Wprowadzono w życie m.in. podprogram „Strażnik osiedlowy", monitoring niektórych osiedli, monitoring Odry, monitoring niektórych szkół czy system podwyższania wałów przeciwpowodziowych. Powstało Centrum Zarządzania Kryzysowego.

Będąc członkiem Komisji Sportu i Rekreacji, wspólnie z niektórymi członkami tej komisji, opracowałem „Strategię Wrocławia w rekreacji i turystyce", została utworzona funkcja trenera osiedlowego (podwórkowego), przy szkołach powstało wiele boisk o sztucznej nawierzchni. Największym sukcesem całej Rady podczas tych dwóch kadencji było przyjęcie w dniu 6 lipca 2007 r. strategii rozwoju Wrocławia. Powstał dokument o nazwie „Strategia – Wrocław w perspektywie 2020 Plus" oraz „Wieloletni Plan Inwestycyjny na lata 2006-2010".

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Z pozycji komisji, w których pracowałem, niepowodzeniem zakończyła się próba wdrożenia „Strategii dla rozwoju sportu wyczynowego we Wrocławiu", nie udało się utworzenie nowej siedziby komisariatu policji przy ul. Średzkiej (Leśnica). Poniekąd największe niepowodzenie Rady, ale przede wszystkim Miasta, w tych dwóch kadencjach, to chybiony pomysł, a później próba organizacji Expo, oraz powstania Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii (EIT+). Nie powiódł się również plan rewitalizacji osiedli, np. Przedmieścia Oławskiego. Obecnie trwa rewitalizacja pojedynczych kamienic czy budynków.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca z organizacjami pozasamorządowymi takimi, jak Policja, Państwowa Straż Pożarna układała się wzorowo. Bardzo dobrze układała się współpraca z instytucjami kultury, wyższymi uczelniami i Kościołem, dobrze z prokuraturą i sądownictwem.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją aktywność w Radzie?

Trzeba zwrócić uwagę na niską frekwencję wyborczą, zarówno w roku 1998, jak i w 2002, brakowało zwłaszcza młodych ludzi.

Aktywność wyborców zależy w dużej mierze od aktywności i inspirującej roli samego radnego. Stwierdzałem bardzo duże zainteresowanie i dobrą frekwencję na spotkaniach organizowanych przez rady osiedli, np. w sprawie rewitalizacji osiedli, oraz Biuro Rady Miejskiej i komisje, w których pracowałem w sprawach bezpieczeństwa, rekreacji i sportu. Wyborcy przejawiali dużą aktywność przy rozpatrywaniu tematów trudnych, drażliwych, takich jak np. reorganizacja szkolnictwa podstawowego i ponadgimnazjalnego (likwidacja niektórych szkół czy ich łączenie), reorganizacja żłobków i przedszkoli czy likwidacja ogródków działkowych itp.

Dużą aktywność przejawiali wyborcy w trakcie dyżurów radnych, ale poruszane problemy dotyczyły zazwyczaj spraw osobistych. Inspiracja rad osiedli powodowała czasem większą aktywność wyborców i zainteresowanie problemami miasta, a przede wszystkim swoich osiedli, np. mieszkańcy Wielkiej Wyspy, kiedy powstał problem przedłużenia ul. Armii Krajowej, budowy mostów na Oławie i Odrze i drogi przez Wielką Wyspę. Obawa o zakłócenie „sielskiego" spokoju zaniepokoiła i mocno zaktywizowała mieszkańców tamtego rejonu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Problemy na styku z Urzędem Miejskim, mimo częstych kontrowersji i burzliwych dyskusji z udziałem prezydenta, wiceprezydentów i urzędników Miasta, były najczęściej rozwiązywane polubownie, z korzyścią dla Wrocławia. Najwięcej kontrowersji, a często różnic zdań, budziły plany zagospodarowania przestrzennego miasta przedstawiane przez Biuro Rozwoju. Bardzo długie i burzliwe dyskusje wywoływało coroczne ustalanie budżetu Wrocławia.

Współpraca z Zarządem i prezydentem miasta układała się znakomicie, gdy przewodniczącym Rady Miejskiej był pan Jarosław Obremski. Pewne wahnięcie miało miejsce podczas przewodniczenia Radzie przez pana Grzegorza Stopińskiego. Oceniam go bardzo nisko. Wtedy było najwięcej zgrzytów i niesnasek. Był to polityczny przewodniczący.

Współdziałanie Rady Miejskiej z Urzędem Wojewódzkim układało się różnie w zależności od dominacji partyjnej w układzie politycznym. Prawnicy wojewody często kwestionowali uzasadnienia prawne uchwał podejmowanych przez Radę Miejską. Wiele zależało od przynależności partyjnej samego wojewody (okoliczności nie do przyjęcia!).

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca z Biurem Rady Miejskiej w kadencjach 1998-2002 i 2002-2006, Biurem, którym kierowała wzorowo, bardzo profesjonalnie dyrektor Janina Śledzińska, układała się bardzo dobrze. Wszystkie dokumenty i opracowania projektów uchwał były przygotowywane profesjonalnie i terminowo. Obsługa zarówno sesji Rady Miejskiej, jak i posiedzeń poszczególnych komisji była perfekcyjna. Osobiście pani dyrektor Śledzińska, a także panie Barbara Rogala, Elżbieta Bocheńska, Ala Wichlińska, Maria Górska, pan Ryszard Parkitny mogą być wzorem do naśladowania. Ich osobista kultura, życzliwość i uprzejmość przyczyniły się do tworzenia wręcz rodzinnej atmosfery. Często zespół pracowników Biura nadrabiał ułomności osobowościowe poszczególnych przewodniczących Rady i zastępców (zastępczyń) przewodniczącego.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Początek kadencji 1998-2002 nie był zbyt komfortowy, jeżeli chodzi o wygląd, estetykę i wygodę samej sali sesyjnej i poszczególnych sal, w których obradowały komisje. Słabe było oświetlenie i nagłośnienie sali obrad Rady. Od początku nie szwankował natomiast dostęp do materiałów. Obraz ten uległ zdecydowanej zmianie po kapitalnym remoncie sali obrad Rady Miejskiej, sal przyległych i zaplecza gastronomicznego. Remont osobiście nadzorowała pani dyrektor Śledzińska. Poprawił się wystrój sali obrad Rady Miejskiej, jej wygoda, poprawiono akustykę, nagłośnienie i oświetlenie sali oraz zamontowano, bezcenną latem, klimatyzację sali. Poprzez centralne podwieszenie rzutnika obrazu można było wygodniej obserwować wyświetlane slajdy na przednim i tylnym ekranie. Już nie za mojej kadencji zamontowano urządzenie do automatycznego głosowania i indywidualne mikrofony. Remont pomieszczeń na ostatnim piętrze Urzędu Miejskiego oraz innych pomieszczeń, a także wymiana mebli i wyposażenia technicznego (nowe kserokopiarki) znacznie polepszyły ergonomię pracy radnych a także urzędników Rady Miejskiej.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jak już wspomniałem, pracowałem w komisjach: Praworządności i Bezpieczeństwa, Sportu i Rekreacji, a pod koniec mojej drugiej kadencji także w Komisji Ochrony Środowiska pod przewodnictwem pani Ewy Rzewuskiej. Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa, którą kierowałem w latach 1998-2002, była dobrze oceniona przez prezydium Rady i radnych. Wysoka była również ocena pracy tej komisji w latach 2002-2006 pod kierunkiem radnego Mirosława Iwanickiego. Oceny te wynikały przede wszystkim z tego, że zajmowaliśmy się (wszyscy członkowie) merytoryczną problematyką, fachowo, sprawnie, terminowo i zdecydowanie. Bardzo pomocni w kwestiach prawnych byli prawnicy Piotr Gaglik i Sławomir Krześ, konstytucjonalista Bartłomiej Nowotarski, a w sferze bezpieczeństwa komisarz Mirosław Iwanicki. Organizacyjną podporą i rodzimą „duszą" komisji była pani Elżunia Bocheńska, fachowiec wielkiej klasy, terminowa, systematyczna, a jednocześnie miła, pogodna, emanująca kobiecym ciepłem. Jak już wspomniałem, bardzo dobrze mnie i komisji współpracowało się z Komendą Miejską Policji i jej komendantem inspektorem Kucharskim, Komendą Państwowej Straży Pożarnej i jej komendantem st. bryg. Zbigniewem Szklarskim, komendantem Straży Miejskiej panem Sławomirem Łaganowskim, dyrektorem Wydziału Zarządzania Kryzysowego panem Kosiarczykiem oraz wiceprezydentem Wojciechem Adamskim odpowiedzialnym za sferę bezpieczeństwa.

W Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa przez dwie kadencje uniknęliśmy „politykowania", nie było oddziaływania poszczególnych partii i klubów radnych.

Zdecydowanie inaczej było w Komisji Sportu i Rekreacji. Tutaj, niestety, często dochodziły do głosu osoby reprezentujące różne partykularne interesy swoich partii i klubów radnych. Stąd częste rozdźwięki, targi, długie, nic nie dające dyskusje i brak ostatecznych dobrych decyzji i rozwiązań. Niektórzy koledzy radni nie mający ani wiedzy, ani wyobraźni o sporcie i rekreacji blokowali swoją postawą, narzucaną często przez kluby radnych, wiele ostatecznych decyzji tyczących zwłaszcza sportu dzieci i młodzieży i sportu wyczynowego. Rekreacja była problemem mniej dyskusyjnym. Stąd po mozolnym wypracowaniu „Strategii Wrocławia w rekreacji i turystyce" nie udało się przez dwie kadencje opracować strategii sportu młodzieżowego i wyczynowego oraz wypracować kierunków współpracy i pomocy Miasta dla poszczególnych klubów sportowych i zasłużonych sekcji. Stąd problemy z utrzymaniem obiektów sportowych, np. basenów, spadek do niższych lig rozgrywek, np. piłka nożna i ręczna, aż do rozwiązania niektórych sekcji, takich jak kolarstwo torowe czy tak zasłużonej sekcji, jaką była sekcja piłki koszykowej. To wielka porażka Wrocławia.

Moja praca w Komisji Ochrony Środowiska, sprawnie kierowanej przez panią dr Ewę Rzewuską, była poniekąd krótkim epizodem pod koniec mojej drugiej kadencji. Udało mi się jednak poznać wiele problemów dotyczących ekologii i ochrony środowiska Wrocławia. Komisja zajmowała się m.in. rozbudową oczyszczalni ścieków na

Janówku i rekultywacji wysypiska śmieci. Wiele uwagi poświęcano tzw. „polityce śmieciowej" Wrocławia. Praca komisji była bardzo owocna, wysoko oceniana przez radnych i Urząd Miasta.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Powoływanie klubów radnych oceniam zdecydowanie negatywnie. Ich tworzenie nie sprzyjało i nie sprzyja owocnej pracy Rady Miejskiej. Kluby radnych to, moim zdaniem, swoiste „towarzystwa wzajemnej adoracji", przenoszące na grunt Miasta poglądy, dyrektywy poszczególnych partii, nie zawsze służące interesowi Wrocławia. Doprowadza to do nic nie dających, bezsensownych dyskusji, waśni i nieporozumień, a często wręcz groteskowych sytuacji, rodem z naszego Sejmu. Poglądy i zdanie lewicy (opozycji) były lekceważone i zdecydowanie torpedowane. Dlatego w mojej drugiej kadencji dążyłem z kilkoma koleżankami i kolegami radnymi do utworzenia Koalicji Samorządowej w Radzie Miejskiej Wrocławia, która skupiałaby ludzi niezwiązanych z żadną partią, a myślących kategoriami ściśle tyczącymi miasta. Ale i tu poglądy polityczne stanęły na przeszkodzie do rzetelnego, merytorycznego działania w Radzie.

Jednym słowem, kluby radnych nie wnoszą nic dobrego do prac Rady, oceniam ich pracę jako wręcz szkodzącą demokracji i działalności samorządowej.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Przez okres dwu kadencji sprawowania przeze mnie funkcji radnego było bardzo wiele ważnych wydarzeń. Trudno jest o wyszczególnienie któregoś z nich. Każdego roku bardzo ważnym wydarzeniem było uchwalenie budżetu, burzliwa dyskusja wokół tego problemu i decyzja o absolutorium dla prezydenta Wrocławia, przyznawanie nagród honorowym obywatelom miasta i nagród Wrocławia dla zasłużonych ludzi i wiele innych zdarzeń. Wymieniłem już wcześniej przyjęcie „Strategii Wrocławia w perspektywie 2020 Plus" czy planów inwestycyjnych na kolejne lata.

Bardzo kontrowersyjną sprawą, chociaż marginalną w skali podejmowanych decyzji, było nadanie jednej z ulic imienia gen. Kuklińskiego. Utkwiło mi to w pamięci, bo na mój wniosek ta sprawa zeszła z porządku obrad sesji. Po pierwsze, Kukliński moim zdaniem – sprzedawczyk i zdrajca – nie był generałem (błąd formalny projektu Uchwały), a po drugie, opinia publiczna w większości była przeciwna takiemu wyróżnieniu. Stoczyłem wtedy z ówczesnym wojewodą panem Krzysztofem Grzelczykiem publiczną debatę telewizyjną we wrocławskim programie „Fakty po Faktach"

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych. Uważam jednak, że jest ich za dużo, winny być tworzone dzielnice i rady dzielnicowe, ale stosunek Miasta do nich winien się radykalnie zmienić. Nie mogą być traktowane jak dotychczas, jak „niechciane dziecko".

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Sprawami Miasta i pracą samorządu media interesowały się ze wzmożoną intensywnością, zwłaszcza TV i radio, podczas trwania sesji, a zwłaszcza sesji budżetowo-absolutoryjnych i uroczystych. Redaktorzy prasowi, moim zdaniem, mniej. Rzadko kiedy można było spotkać przedstawicieli mediów na posiedzeniach poszczególnych komisji, nie mówiąc już o posiedzeniach klubów radnych.

◇◇◇

Jeśli chodzi o moje przygotowanie do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym, muszę przyznać, że wcześniej nie pełniłem żadnych funkcji państwowych czy samorządowych, ale jako historyk analizowałem polityczne i społeczne uwarunkowania różnych ustrojów społecznych. Z racji moich zainteresowań patrzę na sprawy publiczne przez pryzmat przeszłych zdarzeń i ich konsekwencji dla potomności. A źródłami wiedzy były dla mnie książki, rozmowy z doświadczonymi w tym zakresie ludźmi oraz wolne media. Sądzę, że byłem dobrze przygotowany do pełnienia roli samorządowca. Ciągle jest we mnie wiele entuzjazmu i przedsiębiorczości. Te cechy oraz społecznikowska dusza są wystarczające, aby ubiegać się o mandat radnego. Namawiałbym każdego, kto czuje potrzebę pracy dla wspólnego dobra, o ubieganie się o ten zaszczyt.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1989 r. najważniejsze było odzyskanie niepodległości. Temu poświęciłem swój zapał i czas. A sprawami miasta zajmowałem się w sposób, który po odzyskaniu wolności piętnowałem (śmiech) – rozrzucałem ulotki i malowałem mury wzywając do udziału w demonstracjach.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zasób nieruchomości komunalnych był dla mnie największym wyzwaniem i choć bezpieczeństwo obywateli było mi bliższe, większość czasu poświęcałem na porządkowanie zaniedbań w sferze gospodarowania lokalami komunalnymi i likwidowanie skutków powodzi. Aktywnie działałem w sferze wieloletniego planowania i rozwoju miasta. Najwięcej serca miałem jednak dla idei rozwoju rodzinnych domów dziecka. Z osiągnięć w tym zakresie jestem najbardziej dumny. Chylę tu czoła przed Sławomirem Piechotą, któremu ta idea była równie bliska i którą miałem przyjemność z nim realizować.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Jako pierwsi w Polsce uruchomiliśmy program poprawy bezpieczeństwa miasta. Ponadto udało się zmienić sposób zarządzania mieszkaniami. Myślę, że ta zmiana miała największe konsekwencje społeczne. Wrocławianie otrzymali instrument decydowania o swoich mieszkaniach i budynkach w ramach wspólnot mieszkaniowych. Wcześniej to Zarządy Gospodarki Komunalnej decydowały za mieszkańców, co będzie remontowane. Po wdrożeniu przez Radę Miejską zmian obywatele otrzymali realne możliwości decydowania o swojej własności.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie przypominam sobie jakichś większych wpadek Rady Miejskiej. Koalicja wyjątkowo zgodnie patrzyła na sprawy wszechstronnego rozwoju Wrocławia. Może zdarzały się drobne niedociągnięcia, ale generalnie uważam kadencję Rady Miejskiej III kadencji za bardzo udaną. Zresztą każdy, kto ogląda nasze miasto widzi i odczuwa zmiany, jakie zaszły.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Operowałem na wielu płaszczyznach. Byłem bardzo zadowolony ze współpracy z Policją, Strażą Pożarną, Strażą Miejską i innymi służbami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo. Miałem tam świetnych partnerów. Wówczas Komendantem Miejskim Policji był młodszy inspektor Andrzej Matejuk, obecny Komendant Główny Policji w randze nadinspektora. Współpracowałem z radami osiedla, związkami zawodowymi. Miałem kilka epizodów w zakresie współpracy z instytucjami międzynarodowymi. Uczestniczyłem w kilku konferencjach specjalistycznych i rozmowach biznesowych z bankami zainteresowanymi inwestowaniem we Wrocławiu. Te spotkania dotyczyły przede wszystkim rewitalizacji miasta, rozumianej jako przywracanie dawnej świetności poszczególnych części Wrocławia.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

To był duży wpływ. Każdy z prezydentów miał obowiązek spotykania się z mieszkańcami w jakichś określonych godzinach. Ja musiałem pójść dalej i starałem się przyjmować zainteresowanych do późnych godzin wieczornych. Ponieważ miałem do czynienia z likwidowaniem skutków powodzi, jedną z pierwszych decyzji było przyspieszenie działań komisji mieszkaniowej. W ten sposób 75% nierozpatrzonych wcześniej spraw rozstrzygnęliśmy w trzy miesiące. To była praca w szaleńczym tempie, ale pozytywny skutek tej aktywności dał nam poczucie dobrze spełnionego obowiązku, zwłaszcza że przez poprzednie półtora roku rozpatrzono jedynie ¼ spraw.

Miałem bardzo dużo spotkań indywidualnych z mieszkańcami. Interesowałem się ich problemami, a z niektórymi nadal się kontaktuję. Zawsze starałem się zrozumieć problem i w miarę możliwości pomóc w jego rozwiązaniu. Niestety, nie zawsze było to możliwe. Kontakty z wyborcami, stowarzyszeniami, organizacjami społecznymi i małymi społecznościami wywierały istotny wpływ na podejmowane decyzje. W tym sensie aktywność wyborców jest konieczna, choć nie zawsze pomysły mieszkańców są do zrealizowania.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Zarząd Miasta bardzo harmonijnie współpracował z Radą Miejską. Owszem, w kilku kwestiach mieliśmy rozbieżne zdania, ale w sprawach strategicznych współpracowaliśmy jak jedna drużyna.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej jest odpowiedzialne za przygotowanie pracy radnych oraz koordynację ich współpracy z Zarządem Miasta. To była dobra współpraca i w miłej atmosferze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Nie wiem jak to wygląda w tej chwili. Natomiast wówczas przeżyliśmy ciężkie chwile związane z doposażeniem i unowocześnianiem sali posiedzeń. Obecnie sala prezentuje się okazale. Mam nadzieję, że radni zostali wyposażeni w niezbędne narzędzia pracy, a obieg dokumentów ma charakter elektroniczny. W mojej ocenie warto pomyśleć nad wynajęciem firm świadczących usługi webcastingu pozwalającego transmitować na żywo obrady Rady Miejskiej przez Internet. Ta technologia pozwala na załączanie prezentacji multimedialnych, a nawet prowadzenie sondaży i czatów. Dzięki tym narzędziom radni zyskaliby instrument bieżącej komunikacji z wyborcami.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych pod przewodnictwem pana Tomasza Misiaka, a także Budżetu i Finansów oraz Bezpieczeństwa. Komisji Bezpieczeństwa przewodniczył Janusz Ornatowski. Myślę, że sporo nauczyliśmy się nawzajem, a dobry kontakt, jaki udało nam się wypracować, towarzyszył nam przez kolejne lata. Komisji Budżetu przewodniczył Krzysztof Kawalec. Pracę w tej komisji wspominam równie ciepło. Profesjonalizm przewodniczącego dopingował pozostałych do stałego podnoszenie poziomu wiedzy. Część z zapisów ustawowych mam w głowie do dziś.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Klub radnych to miejsce wymiany poglądów, rozważania wariantów i podejmowania decyzji. To jest bardzo ważna instytucja społeczno-polityczna i musi istnieć. Tylko tak formacje społeczno-polityczne mogą forsować rozwiązania i kierunki zmian oczekiwane przez konkretnych wyborców i ich grupy. Jeśli między klubami radnych istnieją rozbieżności muszą poszukiwać wspólnych kompromisowych rozwiązań.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

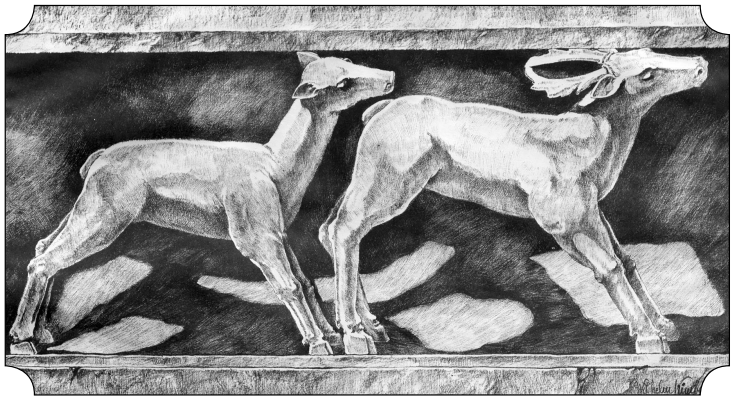
Wieloletni Plan Inwestycyjny – niezauważony przez radnych, media i mieszkańców, a jednak w mojej ocenie najważniejszy dokument, który wytyczył kierunki rozwoju miasta na kolejne lata. Dziś zbieramy jego owoce. Zapewne wielokrotnie zmieniany i uzupełniany pozwolił zaplanować politykę inwestycyjną i finansową na wiele lat do przodu. Przed jego wdrożeniem mieliśmy do czynienia z chaosem inwestycyjnym. Obecne władze korzystają z wówczas wypracowanych instrumentów i robią to znakomicie. Jako pierwsze miasto w Polsce otrzymaliśmy list gratulacyjny od ministra Marka Biernackiego za wdrożenie Programu poprawy bezpieczeństwa miasta.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem odpowiedzialny za współpracę z radami osiedli. Dość dobrze poznałem ich problemy i oczekiwania. Nie można ich oceniać *in gremio*. Niektóre z nich były doskonale przygotowane do pełnienia swoich obowiązków, ale część w ogóle nie pracowała. Wydaje się zasadne przemyślenie podziału terytorialnego działania rad osiedlowych i pewna koncentracja w tym zakresie. Warte przemyślenia jest dalsze delegowanie zadań do rad osiedlowych, co wzmacniałoby ich możliwości działania na poziomie osiedli.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zarząd Miasta miał generalnie dobrą prasę. Ale, jak to w życiu bywa, niektórzy dziennikarze byli łaskawsi dla włodarzy miasta, inni mniej. Część mediów starała się obiektywnie przedstawiać fakty, inne skupiały się na komentarzach. Taka jednak jest rola mediów. Jako „czwarta władza" media starają się sprawować funkcję kontrolną. Czy to się udaje? Choć mam różne doświadczenia w tym zakresie, nadal uważam, że media są dobrym pośrednikiem w kontakcie ze społecznościami, zwłaszcza lokalnymi.





Dionizy PACAMAJ

Radny V kadencji.
Absolwent Wydziału Nauk Historycznych i Pedagogicznych
Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Nie mogę powiedzieć, że byłem przygotowany w każdym aspekcie do pełnienia tej funkcji. Odbyłem stosowne szkolenia przed ubieganiem się o mandat, jednak w pracy radnego ważna jest nie tylko wiedza o funkcjonowaniu samorządu, ale także praktyka. To moja pierwsza kadencja, więc takiej praktyki nie posiadałem. Korzystałem zarówno z dokumentów, np. Ustawa o samorządzie gminnym, jak i szkoleń dla kandydatów do Rady Miejskiej prowadzonych przez moje koleżanki i kolegów posiadających doświadczenie w pracy samorządowej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1990 r. nie zajmowałem się sprawami miasta. Wtedy byłem studentem na Uniwersytecie Wrocławskim. Interesowałem się kwestiami szeroko pojętej polityki państwa, ale sprawami miasta jeszcze nie.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmuje się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Problematyka, którą zajmowałem się w trakcie pełnienia funkcji radnego wynikała z mojej pracy w komisjach Rady Miejskiej. Pracuję w Komisji Rewizyjnej, pełniąc funkcję przewodniczącego, Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa oraz Sportu i Rekreacji. Praca w każdej z tych komisji wiąże się z opiniowaniem uchwał dotyczących życia mieszkańców naszego miasta. W Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa zajmujemy się także rozpatrywaniem skarg mieszkańców dotyczących prawidłowości funkcjonowania Urzędu Miejskiego i prezydenta. Do tego dochodzą jeszcze rozmowy z mieszkańcami i reagowanie na ich interwencje. Wiele spraw dotyczy remontu ulic i planów ich przebudowy. Ostatnio doprowadziłem do przyspieszenia remontu ul. Wałbrzyskiej, która jest w fatalnym stanie. Mam nadzieję, że ta inwestycja zostanie zakończona w 2011 r., zgodnie z nowo uchwalonym Wieloletnim Planem Inwestycyjnym. Podobne działania podejmowałem po interwencjach mieszkańców ul. Czekoladowej czy ul. Przyjaźni.

Co Pan uważa za największy sukces w swej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Największe sukcesy są jeszcze przede mną, a tak, na poważnie, będę się cieszył, jeżeli wreszcie zostanie wyremontowana Wałbrzyska, Czekoladowa, Przyjaźni, Krzycka i wiele, wiele ulic w naszym mieście. Gdy kandydowałem do Rady Miejskiej zależało mi m.in. na budowie szkolnych boisk ze sztuczną nawierzchnią. Wiele tych boisk już powstało i wiem, że w kolejnych latach będą budowane nowe.

Cieszy mnie, że jest wiele osób, którym okazałem się pomocny w kontaktach z Urzędem Miejskim i którym skutecznie, przy dobrej współpracy z urzędnikami, pomogliśmy rozwiązać problemy codziennego życia.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Za największe niepowodzenie Rady Miejskiej uważam zakończenie współpracy koalicyjnej pomiędzy prezydentem miasta a Platformą Obywatelską. Jest głęboki sens w znanym stwierdzeniu, że „zgoda buduje". Myślę, że zarówno prezydent, jak i radni mogliby zrobić dużo więcej dobrego dla wrocławian, gdyby kierowali się tą prostą zasadą.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Pozytywnie. Przykładem tej dobrej oceny jest niezakłócona współpraca pomiędzy Urzędem Wojewódzkim i jego pracownikami a radnymi Rady Miejskiej Wrocławia.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ jest duży. Spotkania z mieszkańcami, ich interwencje motywują mnie do lepszej pracy. Wielu z mieszkańców Wrocławia posiada mój numer telefonu komórkowego i nie pozwalają zapomnieć, że jestem rzecznikiem ich spraw w kontaktach z tzw. „Władzą".

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Te stosunki układały się tak, jak w normalnym życiu, raz jest lepiej, raz gorzej. Oceniam, że większość urzędników ma wysokie kompetencje i że są świadomi nie tylko pracy, ale też służby na rzecz mieszkańców naszego miasta.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

W podobny sposób. Widać na każdym kroku chęć ułatwienia radnym pracy. W pracownikach Biura Rady Miejskiej istnieje chęć współpracy z radnymi, i za to ich najbardziej cenię.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do ergonomii i wygody pracy radnego?

Nie mam zbyt wielu wymagań. Pracujemy w najpiękniejszej sali sesyjnej w Polsce, która zapewnia komfort pracy. Nie ma problemu z dostępem do materiałów potrzebnych w naszej codziennej pracy. W tej kadencji zostaliśmy wyposażeni w przenośne komputery, które ułatwiają pracę. Jeśli w przyszłej kadencji nasi następcy dostaną nieco mniejsze i nieco lżejsze komputery, na pewno będą zadowoleni.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Każdy radny jest zobowiązany do pracy w trzech komisjach. Ja pracuję w Komisji Rewizyjnej, Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa oraz Komisji Sportu i Rekreacji. Praca w komisjach polega na czytaniu dokumentów, na opiniowaniu projektów uchwał. Do tego w Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa rozpatrujemy wszystkie skargi mieszkańców. Skargi są różne, w większości na prezydenta i jego służby. Dość często zgadzamy się z postulatami ludzi, wydaje się nam, że mają rację, ale zgodnie z obowiązującym prawem, niestety, nie możemy uznać tych skarg. Kiedyś zastanawiałem się nad tym, czy nie powinna powstać komisja skarg i wniosków, gdyż Komisja Praworządności i Bezpieczeństwa powinna zajmować się bezpieczeństwem mieszkańców, przestrzeganiem prawa, w pewien sposób nadzorowaniem działalności służb związanych z bezpieczeństwem mieszkańców Wrocławia. Czasami jest tak, że skargi, które mamy rozpatrywać pochłaniają 90% aktywności pracy tej komisji i na kwestie z dziedziny bezpieczeństwa brakuje nam czasu. Dlatego postulat powołania specjalnej komisji rozpatrującej skargi mieszkańców uważam za słuszny.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Klub radnych jest to grupa, która skupia ludzi o podobnych poglądach. Zawsze zapraszamy autorów ważnych uchwał, by omówić poszczególne zapisy lub by zaproponować poprawki. W wyniku dyskusji, wzajemnego przekonywania się, powstaje ostateczny kształt uchwał, które trafiają na sesje Rady Miejskiej. Pracę poszczególnych klubów Rady Miejskiej oceniam pozytywnie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Takie wydarzenia są praktycznie na każdej sesji Rady. Te, które utkwiły mi najbardziej w pamięci, to przyznanie Wrocławiowi organizacji Euro 2012 i związana z tym decyzja Rady Miejskiej o budowie stadionu na Maślicach. To także Drzwi Otwarte Samorządu, które zostały zorganizowane po raz pierwszy w ubiegłym roku w ramach obchodów 20. rocznicy wrocławskiego samorządu. Każdy mieszkaniec mógł przyjść do siedziby Rady Miejskiej, zobaczyć, w jakich warunkach pracuje prezydent miasta, przewodniczący Rady Miejskiej. Pamiętam spotkania z mieszkańcami w naszej sali sesyjnej.

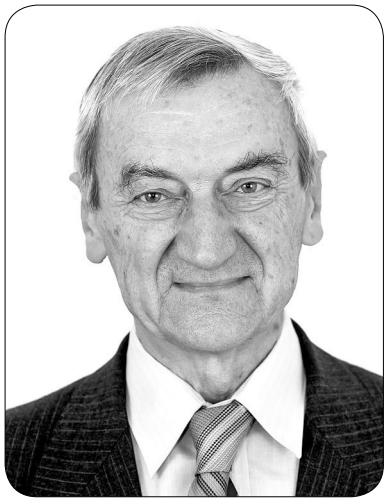
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem i nie działam w radzie osiedlowej. Natomiast ich działalność oceniam pozytywnie, gdyż są w nich ludzie, którzy chcą działać na rzecz swoich sąsiadów. W moim odczuciu, nasze społeczeństwo jest mało aktywne. Jeśli są osoby, które chcą się angażować w pracę społeczną, to trzeba je wspierać. Uważam też, że rady osiedla powinny mieć większe kompetencje. Radni osiedlowi są najbliżej mieszkańców i najlepiej znają potrzeby ich osiedla. Urzędnik mieszkający w zupełnie innej części Wrocławia może mieć jak najlepsze chęci i wspaniałe projekty, ale musi brać pod uwagę opinie mieszkańców, bo to oni najlepiej wiedzą, czego im potrzeba. Jestem przekonany, że powinniśmy położyć większy akcent na konsultacje społeczne projektów, które dotyczą poszczególnych osiedli, gdyż zdarza się, że uszczęśliwiamy ludzi na siłę. Miałem np. wiele interwencji z Ołtaszyna, gdzie zaprojektowano i wybudowano kanalizację. Mieszkańcy są zadowoleni z faktu wybudowania tej kanalizacji, ale mają wiele zastrzeżeń do sposobu przebudowy ulic i realizacji tego projektu. Uważam, że gdyby częściej rozmawiano z radą osiedla, z mieszkańcami, to wielu napięć i nieporozumień można by uniknąć.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Myślę, że ich zainteresowanie jest wystarczające, choć czasami mam wrażenie, że media skupiają się na konfliktach lub niepowodzeniach. Być może wynika to z tego, że mniejsze zainteresowanie czytelników, widzów bądź słuchaczy wzbudza przekaz pozytywny? Nie wiem. A może mylę się w swoich odczuciach…





Czesław PALCZAK

Radny V kadencji.
Absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej,
magister inżynier mechanik.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W momencie rozpoczęcia kadencji moja znajomość literatury prawnej na temat działalności samorządów była niewielka. Natomiast moje wykształcenie, doświadczenie nabyte w czasie 43 lat pracy zawodowej oraz znajomość problemów miasta, w którym mieszkam od 1955 r. predysponowały mnie do sprawowania zaszczytnej funkcji radnego i pracy w miejskim samorządzie. Wyższe wykształcenie techniczne oraz cechy osobowe dały mi niezbędną u radnego umiejętność logicznego myślenia, nawyk obserwacji zjawisk i wyciągania prawidłowych wniosków. Moja droga zawodowa – praca w różnych instytucjach: przemyśle, wykonawstwie, projektowaniu, długie lata w instytutach naukowo-badawczych i w przedsiębiorstwach – pozwoliła mi uczestniczyć w czynnym i wszechstronnym rozwiązywaniu problemów, jakie pojawiają się także w życiu miasta. Praca na różnych stanowiskach, w tym wielu kierowniczych, długoletnie zarządzanie miejską spółką MPK, dały mi umiejętność pracy z ludźmi. Po wyborze na radnego Rady Miejskiej Wrocławia ukończyłem szkolenie dla radnych, organizowane przez Biuro Rady Miejskiej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Pochłaniała mnie głównie praca zawodowa, która stała się moim hobby. Starałem się wykorzystywać swą wiedzę jako inżynier i naukowiec. Uzyskałem w tym czasie dwadzieścia patentów, sześć nagród ministrów i złoty medal w 1998 r. na międzynarodowej wystawie w Brukseli. Moje osiągnięcia zawodowe, z których jestem dumny, kosztowały mnie wiele wysiłku i czasu, w związku z tym nie próbowałem nawet czegokolwiek robić, co miało związek z polityką.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Od początku mojej pracy w samorządzie sprawuję funkcję przewodniczącego Komisji Statutowej, jestem także czynnym członkiem dwóch ważnych z punktu widzenia Miasta komisji: Komunikacji i Ochrony Środowiska oraz Komisji Infrastruktury Komunalnej. Wszystkie problemy, jakimi zajmowały się te komisje w trakcie mojej kadencji były przedmiotem mojej pracy.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

To bardzo trudna ocena. Z pewnością sprawne, bezkolizyjne działanie tak ważnej dla Rady Komisji Statutowej, w której zasiadają członkowie różnych ugrupowań politycznych, o różnych temperamentach i przekonaniach, uważam za pewne osiągnięcie.

Zostając radnym miałem nadzieję wykorzystać w naszym mieście swoją niebagatelną wiedzę o działaniu komunikacji. Dziesięć lat pełniłem z powodzeniem funkcję dyrektora naczelnego MPK, w związku z tym mam na ten temat obszerną wiedzę, z pewnością większą od przeciętnego radnego. Momentami jednak sądzę, że to, co mogło być moim sukcesem, stało się moją porażką. W sierpniu 2008 r. wprowadzano nowy cennik usług komunikacji zbiorowej, pomimo moich protestów i argumentacji. Uważałem, że projekt jest nieprzemyślany, bez dogłębnego rozeznania sprawy. Przestrzegałem, że uchwalenie tego cennika może się skończyć mniejszym wpływem do budżetu. Jak się okazało, miałem rację: za rok 2009 z tego tytułu wpływy do budżetu zmalały o 24 mln zł. Z żalem oceniam, że radni głosują nie zawsze opierając się na wiedzy.

Inny problem, jaki należało rozwiązać w tym roku, dotyczył podniesienia opłat za wodę i kanalizację. Przejrzałem wszystkie dokumenty, jakie były dostępne, m.in. bilans finansowy, plany inwestycyjne, uczestniczyłem w licznych dyskusjach w komisjach Rady Miejskiej. W oparciu o tę wiedzę, moim zdaniem, udowodniłem w sposób niezbity, że nie ma najmniejszego powodu do podnoszenia nawet o złotówkę ceny dla mieszkańców. Środki jakimi dysponuje MPWiK w 100% gwarantowały wykonanie planu inwestycyjnego na ten rok. Niestety, podobnie jak poprzednio zostałem przegłosowany i uchwała przeszła w niezmienionym kształcie. Tylko klub PiS głosował za mną.

Nawiasem mówiąc, byłem członkiem klubu Rafała Dutkiewicza przez trzy lata. Jak się zorientowałem, że moje argumenty oparte na wyliczeniach nie uzyskują poparcia w klubie z niejasnych powodów, podjąłem decyzję przeniesienia się do klubu, który mnie kilka razy poparł, a był to klub PiS.

Na szczęście spotykały mnie nie tylko porażki. Działanie na rzecz mieszkańców w sprawie odstępstwa od proponowanej podwyżki ceny wywozu odpadów komunalnych zakończyło się pozytywnie. Uchwała Rady Miejskiej

z 2005 r. określała górną granicę stawki, jaka może być stosowana za wywóz 1 m^3 odpadów, tj. 70 zł. To jest prawo lokalne. Ta uchwała jest bezkarnie łamana przez wszystkie firmy wywożące odpady komunalne od 1.01.2008 r. do dnia dzisiejszego. W trakcie mojej kadencji Miasto zaproponowało podniesienie tej stawki z kwoty 70 na 180 zł, uzasadniając to podwyżką ponoszonych kosztów składowiska. Zdecydowanie zaprotestowałem przeciwko temu, prosząc o rzetelną, merytoryczną wycenę wszystkich kosztów związanych z usuwaniem odpadów miejskich. Niestety, nie doczekałem się tego elementarnego dokumentu. Presja na podwyżkę opłat za wywóz odpadów rosła, wobec czego zdecydowałem się na opracowanie kalkulacji własnej, którą przedstawiłem na posiedzeniu Komisji Infrastruktury w obecności Zarządu Spółki WPO Alba. Zarząd Spółki był zaskoczony, argument wcześniejszy uzasadniający potrzebę podwyżki zmalał do zera, gdyż nie znaleziono w mojej kalkulacji błędów. Satysfakcję mam taką, że WPO Alba na rok 2010 nie podniosło ceny wywozu odpadów komunalnych nawet o 1 zł, pomimo że w III kwartale 2009 r. wydawało się to konieczne! To jest mój sukces.

Za największy sukces Rady mojej kadencji uważam fakt, że jest skuteczna, działa zgodnie z planem, bezkolizyjnie, pomimo pewnych małych tarć, których nie sposób uniknąć. Niezbędne uchwały zapadają terminowo, umożliwiając miastu nie tylko funkcjonowanie, ale i rozwój. Atmosfera w Radzie jest sympatyczna, nie ma większych swarów. Kluby mają na ogół na uwadze dobro miasta. Miasto pięknieje, przeprowadzane są niezbędne remonty obiektów miejskiej infrastruktury, nie ma problemów z zatwierdzaniem budżetów miasta na poszczególne lata ani też z uzyskiwaniem przez szefa miasta absolutorium.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Głównym niepowodzeniem, wręcz klęską, były skutki wcześniejszego sprywatyzowania WPO Alba i pozbycia się tej spółki miejskiej. Ceny usług spółki miejskiej zawsze są punktem odniesienia dla innych działających na rynku spółek. Nie mamy teraz tego. Zlikwidowano też Zakład Gospodarki Odpadami, tym samym pozbyto się elementarnej wiedzy dotyczącej chociażby ilości wytwarzanych odpadów przez mieszkańców miasta, jak również prowadzenia właściwej gospodarki odpadami. Firma WPO Alba jest firmą niezależną od miasta. Zgodnie z Kodeksem spółek jej nadrzędnym celem jest generowanie zysków. Nie jest zainteresowana podawaniem rzetelnych informacji o ilości odpadów wytwarzanych przez mieszkańców Wrocławia. Zasada określania ceny wywozu odpadów dla mieszkańców polega na podzieleniu kosztów ponoszonych przez spółkę za wywóz odpadów wytwarzanych w ciągu roku przez liczbę mieszkańców. Firma, która jest w pewnym sensie monopolistą, jest zainteresowana, aby wykazywać jak największe ilości odpadów, gdyż wtedy na jednego mieszkańca wypada wyższa kwota.

Pamiętam swoje ślubowanie, którego fragment brzmi: „będę dbał o dobro miasta i jego mieszkańców." Nie o dobro spółek prywatnych, na dodatek z obcym kapitałem, które, zgodnie z prawem, wygenerowane zyski przekazują udziałowcom za granicę. W sytuacji, jaka się wytworzyła Miasto nie jest już partnerem w omawianej sprawie, a jest zmuszone przyjmować bezkrytycznie propozycje firm wywożących odpady.

Najbardziej drastyczne wydarzenia w dziedzinie gospodarki odpadami, według mnie, czekają nas na początku 2011 r. Dyrektywa Unii stawia określone wymagania samorządom. Dotyczą one głównie odpadów biodegradalnych. Do końca 2010 r. powinniśmy zmniejszyć ilość tych odpadów wywożonych na wysypisko o 25%, a zmniejszyliśmy w ciągu 5 lat zaledwie o 2,1%. Unia ma prawo nałożyć na nas ogromne kary. Rozpoczęła się dyskusja, kto tymi karami będzie obciążony. Optymiści uważają, że obciążone będą firmy wywożące odpady i to będzie ich problem. Doświadczenie wskazuje jednak, że te kary mogą zostać wkalkulowane w cenę usługi, jak to wynika z dotychczasowej praktyki, i obciążą mieszkańców. Zaniedbania wieloletnie w realizacji Programu gospodarki odpadami mogą mieć opłakany skutek dla mieszkańców Wrocławia.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Nie mam uwag. Jestem radnym w trzech komisjach, w których nie zetknąłem się z tym problemem.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Oceniam bardzo wysoko. Wszystkie uwagi wyborców pilnie analizuję, staram się uczestniczyć w rozstrzyganiu i rozwiązywaniu przedstawianych problemów. Brałem udział w wielkiej akcji na Oporowie, w swoim okręgu wyborczym, dotyczącej lokalnej inicjatywy budowy drogi. Przez półtora roku zabiegałem o to, by pomóc społeczności lokalnej i wszystko się układało dobrze. Niestety, w końcu mieszkańcy pokłócili się i cała sprawa „padła". Na osiedlu Osiniec poproszono mnie o interwencję, ponieważ zamknięto w grudniu zeszłego roku skrzyżowanie ul. Granicznej z ul. Przybyły. Przez cztery miesiące nie prowadzono żadnych robót, a skomplikowano niezwykle życie tamtym mieszkańcom. Na spotkaniu ze służbami odpowiedzialnymi za inwestycje udowodniłem, że zamknięcie ulic było błędem. Moim zdaniem, radni powinni się wsłuchiwać w oczekiwania mieszkańców, a przede wszystkim rad osiedlowych, i działać na ich rzecz w słusznych sprawach. Dlatego zawsze ostro protestuję przeciwko niepowoływaniu przedstawicieli rad osiedlowych do odbiorów wykonanych inwestycji lokalnych. Uważam, że jeśli ktoś chce pomóc we właściwym odbiorze robót, zwłaszcza późniejsi użytkownicy, należy taką inicjatywę zdecydowanie cenić i wykorzystywać. Wszelkie niedociągnięcia, błędy wykryte i wskazane wykonawcy przed odbiorem inwestycji, m. in. przez mieszkańców, którzy będą z niej korzystać docelowo, muszą być usunięte przez wykonawcę i na jego koszt, nie obciążają zatem budżetu miasta.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Mam dużo dobrych i skutecznych kontaktów roboczych. Nie miałem z tym żadnych problemów. W przypadkach konieczności jakichkolwiek ingerencji, szukania potrzebnych informacji lub wyjaśnień, zwracałem się do osób kompetentnych. W wielu wypadkach było organizowane spotkanie na zadany temat w stosownym gronie. Nie miałem, jako radny, żadnych przypadków utrudniania współpracy z Urzędem Miejskim.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Współpraca radnych z Biurem Rady Miejskiej jest dobra. Jest to praca administracyjna. Jestem w tej dobrej sytuacji, że jestem przewodniczącym Komisji Statutowej i związane z jej działalnością sprawy prowadzi wyznaczony przez Biuro sekretarz. Pomimo tego, ponieważ nie mam w Urzędzie Miejskim biurka, w domu mam zgromadzone sterty papierów związanych z pełnieniem mojej funkcji. Jako przewodniczący Komisji Statutowej muszę mieć wszystkie akta. W trakcie sesji Rady Miejskiej, przy rozpatrywaniu każdego projektu uchwały muszę zabrać głos i przedstawić, jakie jest w tej kwestii oparte na opinii ekspertów stanowisko Komisji Statutowej. Obecnie każdy radny ma w użytkowaniu zakupiony podczas mojej kadencji osobisty laptop, co stanowi duży postęp, oszczędność papieru i ułatwienie pracy. Nie trzeba drukować ogromnych stert papierów, co było konieczne uprzednio, jest dużo szybszy przepływ informacji, np. w nagłych sytuacjach, kiedy trzeba pójść na spotkanie. Nie mam żadnych zasadniczych uwag do pracy i współpracy z Radą Miejską.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Sala sesyjna jest wyposażona bardzo dobrze. Krzesła są bardzo wygodne, każdy ma mikrofon i bez problemu może sygnalizować chęć zabrania głosu, do dyspozycji są audiowizualne urządzenia. Sale urzędowania poszczególnych komisji są wystarczająco przestronne i trudno cokolwiek w tej materii krytykować. Obecne wyposażenie sal, w których obradują radni, a także „usprzętowienie" każdego radnego jest dobre i całkowicie wystarczające. Warunki pracy w Radzie oceniam jako dobre i uważam, że nie istnieją żadne powody do narzekania.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jak już wspomniałem, pracowałem od początku kadencji w Komisji Statutowej, której jestem przewodniczącym i jej pracę oceniam jako dobrą. Natomiast pracuję jeszcze w Komisji Komunikacji i Ochrony Środowiska i Komisji Infrastruktury Komunalnej. Według mojej oceny, Komisja Komunikacji w gruncie rzeczy mało zajmuje się komunikacją. Pracę tej Komisji oceniłbym jako dostateczną tylko, ponieważ najważniejsze problemy, które dotyczą komunikacji, nie są na niej omawiane. W tej chwili jest podpisywana umowa na nowe kasowniki i bilet elektroniczny. Kilka razy bezskutecznie próbowałem się dowiedzieć, jak ta umowa wygląda; to nie jest tajemnica. W końcu musiałem problem zgłosić na posiedzeniu Komisji Komunikacji i mam nadzieję, iż może za jakiś czas dostanę odpowiedź. Słyszałem, że ta umowa jest dość niekorzystna dla Miasta. Niestety, jeszcze się z nią nie zapoznałem, więc nie mam na ten temat zdania.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Moim zdaniem, w sytuacji, jaka istnieje, bez klubów w samorządzie funkcjonować się nie da. Ordynacja wyborcza w naszym państwie jest ordynacją partyjną. To poszczególne partie desygnują swoich członków na miejskich radnych. W związku z tym wybrani radni grupują się według przynależności partyjnej, tworząc kluby. W naszym mieście jedynie lewica nie ma swojego klubu, bo posiada tylko dwóch przedstawicieli, a żeby klub założyć musi być ich co najmniej pięciu. Przewodniczący klubów uczestniczą w tzw. Komisji Głównej, gdzie układane są programy poszczególnych sesji. Każdy radny pracuje w określonych komisjach, co najmniej trzech. W naszej Radzie utworzono czternaście kierunkowych komisji, nie sposób pracować we wszystkich. Radni każdego klubu uczestniczą w pracach różnych komisji, zgodnie z podziałem organizacyjnym oraz własnym zainteresowaniem i kompetencją. Na spotkaniach klubowych radni dzielą się informacjami i podejmują stosowne, zgodne z polityką partii, decyzje odnoszące się do głosowania.

Moim zdaniem, wszystkie partie powinny legitymacje zostawić w domu, a praca radnych powinna być pracą na rzecz miasta i jego mieszkańców. Na sesje powinniśmy przychodzić jako wybrani przedstawiciele mieszkańców Wrocławia i uchwalać to, co dla miasta i mieszkańców jest dobre. Skoro jednak system samorządowy jest partyjny, nie zawsze tak się dzieje. Interes partyjny przedkłada się nad dobro miasta, co czasem powoduje przegłosowywanie uchwał wcześniej uzgodnionych, nawet wbrew logice i rzeczowym argumentom. Istnieje wiele spraw, które są z punktu widzenia obiektywnego załatwiane niewłaściwie, tylko z uwagi na partyjne układy i możliwości wynikające z liczebności partyjnych klubów. Szczególnie boli np. sprawa nadania nazwy wielkiej postaci, jaką był mało znany większości rotmistrz Pilecki, oddalonemu od miasta rondu w pobliżu lotniska, zamiast – jak proponował klub PiS – alei w centrum miasta, która mogła stać się ścieżką edukacyjną dla młodzieży. To była wybitna postać, którą powinno się przybliżać jako wzór do naśladowania. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy dziś młodzież nie ma prawie żadnych wartościowych autorytetów.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W mojej pamięci zapisały się przede wszystkim wszelkie uroczyste sesje Rady Miejskiej, jak np. pierwsza poświęcona zaprzysiężeniu radnych, poświęcone nadawaniu tytułów Honorowego Obywatela Wrocławia czy

też innych wysokich odznaczeń. Najgłębiej i ze wzruszeniem przeżyłem moment, kiedy odznaczony został mój serdeczny przyjaciel z lat szkolnych, wybitna osobowość, świetny, oddany pacjentom lekarz, rektor Akademii Medycznej dwóch kadencji Jerzy Czernik. Cieszyłem się też chwilą, kiedy uchwałą Rady odznaczeni zostali inni, których cenię, np. Tadeusz Różewicz czy Dalajlama. W mojej pamięci zapisało się sympatycznie spotkanie z przewodniczącą organizacji polonijnej na Białorusi panią Angeliką Borys.

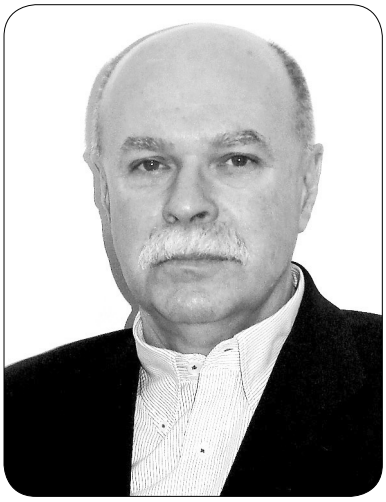
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Niektóre rady osiedlowe działają bardzo dobrze. Większość jednak skarży się, że mają za małe kompetencje, określane przez statuty. Spotykałem się z Radą Osiedla Oporów. Odniosłem wrażenie, że jest to bardzo prężna rada osiedlowa, czynnie i energicznie uczestnicząca w tym, co się dzieje na osiedlu. Byłem zapraszany do Rady Osiedla Osiniec i Jarmołtów, także do Rady Osiedla Biskupin. Uważam, że rady osiedlowe prowadzą pożyteczną działalność i stanowią dobrą organizacyjnie strukturę. Problem polega na tym, iż trzeba znaleźć ludzi, którzy chcą tam działać. Przy wyborach, w najlepszym przypadku, zgłoszona liczba kandydatów była równa liczbie miejsc. Bywało też tak, że nie było wystarczającej liczby kandydatów chętnych do podjęcia tej działalności i trzeba było powtarzać wybory.

Komisja, którą kieruję, pracuje obecnie nad zmianą Statutu Wrocławia, zwłaszcza nad tą częścią, która dotyczy tylko miasta. Jako załączniki przedstawimy nowe statuty dla rad osiedli. Mam nadzieję, że przed końcem kadencji uda mi się doprowadzić te prace do końca. Uważam, że rady osiedli w strukturze zarządzania miastem są bardzo potrzebne i ważne.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Niestety, według mojej oceny, nie ma właściwego i prawidłowego zainteresowania mediów problemami Miasta. Lokalne media głównie poszukują sensacji, nie czują, a nawet nie starają się czuć, najważniejszych problemów miejskich. Jeżeli nawet zasygnalizują trafnie mieszkańcom jakiś problem, nie interesują się jego losami i nie śledzą sposobu jego rozwiązywania. Wiele ważnych trudności w działalności Miasta, może i znanych mediom, nie jest uczciwie przedstawiane, a czasem jest celowo pomijane milczeniem. Przedstawiciele wrocławskich mediów są na ogół obecni głównie na rozpoczęciu poszczególnych sesji Rady Miejskiej, interesując się przede wszystkim wypowiedziami radnych z popieranych przez siebie ugrupowań partyjnych. Jeśli są poruszane jakiekolwiek inne ważne sprawy, nieistotne z punktu widzenia wpływowej partii, to mediów nie ma albo też nie podaje się tych spraw do wiadomości mieszkańców. Można, moim zdaniem, nazwać takie działania zwykłą propagandą. Media również często wpływają destrukcyjnie, manipulując opinią publiczną i np. w ten sposób wymuszają na określonych klubach oczekiwane decyzje. W normalnym, wolnym kraju narodowe, lokalne media powinny pełnić ważną rolę informacyjną i uczciwie ją wypełniać. Poprzez rzetelną informację można pomagać samorządowi w prawidłowym rozstrzyganiu lokalnych problemów. Nie tracę nadziei, że takich czasów dożyję.



Edwin PETRYKAT

Radny I kadencji.
Pełnomocnik marszałka województwa dolnośląskiego ds. kontaktów ze środowiskami twórczymi i artystycznymi.
Absolwent PWST w Warszawie.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Jak sięgam pamięcią wstecz, to niewielu z nas było przygotowanych do pracy w samorządzie. Nie byłem przygotowany do pełnienia żadnych funkcji ani też bycia radnym. Miałem dość sceptyczny stosunek do poprzedniczki Rady Miejskiej, czyli Miejskiej Rady Narodowej, która była kierowana przez gremia partyjne. Działałem w „Solidarności" i to dość aktywnie, ponieważ będąc wtedy w Teatrze Współczesnym byłem jednym z założycieli Komisji Zakładowej, pierwszego ogniwa „Solidarności".

Moje przygotowanie, powiedziałbym dzisiaj górnolotnie, było ideowe. Przez cały okres stanu wojennego i lata 80. byłem w dość mocnej opozycji wobec ustroju. Działaliśmy w teatrze NST, razem z członkiem Rady Zbyszkiem Karneckim. To było naturalne przygotowanie do tego, żeby w momencie zmiany ustrojowej podjąć jakieś

działania. Zwiedzaliśmy Polskę, zwiedzaliśmy również areszty w Polsce. Wszystko to było przygotowaniem do podjęcia pracy, która oczywiście łączyła się z odpowiedzialnością.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Uczestniczyłem dość aktywnie we wszystkim, co się w mieście działo. Przypomnę, że we Wrocławiu działy się rzeczy niezwykle ciekawe, takie jak: Festiwal Teatru Otwartego, *Wratislavia Cantans*, o ile się nie mylę. Uczestniczyłem w życiu kulturalnym miasta sam będąc twórcą, co było oczywiste.

W żadnych gremiach miejskich czy urzędowych nie zasiadałem.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Z racji mojego zawodu byłem w Komisji Kultury i Nauki. Tylko i wyłącznie temu się poświęciłem. Była to w tym okresie praca niezwykła, ponieważ zaczynał się wykluwać nowy model zarządzania kulturą. Samorządność stawała się rzeczywista. Komisja Kultury i Nauki, która liczyła kilkanaście osób z różnych środowisk, była zasypywana propozycjami działania. Komisja decydowała o tym, komu przyznajemy pieniądze i jakie pieniądze. Było to bardzo ważne i bardzo odpowiedzialne. Wniosków zwykle było bardzo dużo. Widzieliśmy, jak niewielkie czasem kwoty (ujawniła się wtedy taka oddolna aktywność twórców czy ludzi zajmujących się rozpowszechnianiem kultury) przyznawane przez Komisję Kultury mogły spowodować bardzo znaczący postęp tworzenia się nowych organizacji, nowych instytucji. Przypominam sobie, że wtedy właśnie zaczęły się wysypywać inicjatywy festiwali, które przetrwały do dzisiaj, inicjatywy popierania indywidualnych twórców, którzy potem rozsławiali nas, Dolny Śląsk, Polskę w Europie i świecie. Szereg było takich inicjatyw, tym głównie się zajmowałem. Potem doszła sprawa zarządzania instytucjami kultury, które były podległe Urzędowi Miejskiemu. Udział Komisji Kultury był też znaczący, przecież wszystko zaczynało się na nowo.

Pamiętam ścisłą współpracę z niezwykłym człowiekiem, jakim był Jerzy Ryba dyrektor Wydziału Kultury. Jak chodzę dzisiaj do bibliotek miejskich, do Mediateki, do muzeów, to widzę, że to, co mamy tam dzisiaj jest spełnieniem marzeń Jurka Ryby. On widział takie właśnie centra biblioteczne – wyposażone w Internet i połączone siecią. Wydawało się to odległym marzeniem. Pamiętam jak biblioteki wcześniej wyglądały – typowe regały z lekko zniszczonymi książkami, karteczki, mnóstwo fiszek. Musieliśmy się także zająć całą siecią domów kultury. Podlegały nam także szkoły artystyczne – średnie i wyższe.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

W moich odczuciu największym sukcesem była pełna zgodność Rady co do kierunku, jaki sobie wytyczyliśmy, co do tego, co robił prezydent i Zarząd. Mieliśmy to szczęście, że od samego początku na czele Zarządu Miasta stał Bogdan Zdrojewski. Była to mocna osobowość, akceptowana, mogę to dzisiaj powiedzieć z perspektywy czasu, przez wszystkie opcje polityczne, przez wszystkich wrocławian. On sobie „kupił" wszystkich swoją wiedzą, fachowością, swoim sposobem bycia. Pamiętam audycje w telewizji Echo, gdzie mówił o tych przysłowiowych dziurach na ulicy księżycowej: „tak, tak wiem, tam z prawej strony". To było to, wrocławianie nagle uwierzyli w samorządność. Uwierzyli, że nie trzeba mieć kogoś w partii, w KW, żeby coś załatwić. Uważam, że był to największy sukces.

Moim zdaniem, najważniejsze było to, że byliśmy blisko wrocławian, że oni uwierzyli, iż można dużo zrobić. Pamiętam, jakie były początkowo protesty i niepewność wrocławian związane z przebudową Rynku. Była to gigantyczna operacja, której podjął się Bogdan Zdrojewski i Zarząd Miasta. Doskonale mu się to udało. Wszyscy wtedy zaciskaliśmy zęby, chodziliśmy po tych gruzach w Rynku, po zwałach ziemi, ale wszyscy uwierzyliśmy, że Rynek – zapyziały, szary, wieczorem nieprzyjazny – stanie się jednym z najpiękniejszych placów w Europie. To są właśnie osiągnięcia. Gdyby nie było tej jedności, takiego fajnego ducha w tych pierwszych latach, to, kto wie, czy nie borykalibyśmy się z tym do dzisiaj.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Nie umiem określić. Pewno były jakieś porażki, to jest nieuniknione, zwłaszcza, że byliśmy takimi troszkę pionierami w tej nowej demokracji. Nie przypominam sobie jednak jakiegoś generalnego załamania. Ten czteroletni okres w Radzie wspominam bardzo dobrze, ponieważ skład ludzi, którzy do dzisiaj są na bardzo wysokich stanowiskach w samorządzie miejskim czy wojewódzkim, sprawiał, że dobrze nam się pracowało. W ostatniej fazie Rady były wyraźne tarcia między grupkami, ale cały ten okres wspominam jako bardzo twórczy, pozytywny. Nie umiem powiedzieć o żadnej generalnej klapie.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Wszystko się dopiero rodziło, także instytucje pozarządowe, pozasamorządowe. My, na poziomie radnego czy Komisji Kultury i Nauki, nie mieliśmy zbyt wielu problemów. Niewątpliwie dużo zależało od postawy prezydenta i wiceprezydentów, którzy bezpośrednio się stykali z wojewodą. Oni mogliby coś więcej powiedzieć. Nie odczuwałem żadnego ciężaru z tego powodu, że są jakieś złe stosunki z organizacjami samorządowymi.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Ten wpływ był bezpośredni, ponieważ pełniliśmy dyżury radnych. Ludzie, którzy do tej pory dość lękliwie podchodzili do władzy, nagle się ośmielili i mówili wprost z imienia i nazwiska, że chodzi im o to i owo, czy

dałoby się pomóc w tym, czy w tym. Było to dla nas ważne i uczyliśmy się dość dużej odpowiedzialności. Nie byliśmy osobami anonimowymi, tylko byliśmy osobami dość znanymi. Mieliśmy świadomość przyjęcia na siebie odpowiedzialności, gdy np. mówiło się: „tak, spróbuję, postaram się, zobaczę, co da się zrobić", trzeba było za to odpowiadać, a nie mówić, że Komitet Wojewódzki się nie zgodził. Udawało się załatwiać dużo interwencji. Powiedziałem już wcześniej, jest to jeden z największych sukcesów. Uważam, że wrocławianie poczuli, iż są nareszcie w swoim mieście, że mogą decydować, mają swoich przedstawicieli, do których mogą przyjść. Były też sprawy nie do załatwienia, gdyż nie wszystko dało się finansowo i organizacyjnie zgrać. Jednak wiele z interwencji się udawało i stąd rósł autorytet władzy we Wrocławiu, czego najlepszym dowodem jest to, że do dzisiaj, mimo wielu wspaniałych osiągnięć następnych prezydentów – pana Huskowskiego, pana Dutkiewicza – dzisiaj, wspomina się ten okres Zdrojewskiego, gdyż był w swej samorządności pionierski we Wrocławiu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Bardzo dobrze, często na naszych posiedzeniach komisji był któryś z wiceprezydentów. Był Bogdan Zdrojewski, który bardzo się interesował sprawami kultury i nauki. Dzisiaj jest ministrem i w naszej komisji miał wspaniałą szkołę. Współpraca ta, moim zdaniem, była bardzo dobra. Tak jak wspomniałem, była grupa oponentów, która krytykowała, jak to w Polsce, wszystko, zawsze i z zasady. Współpraca w Komisji Kultury była bardzo dobra. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

To było bardzo ważne. Biuro było w dużym stopniu sfeminizowane. Panie stawały przed trudnym zadaniem. Wszystko trzeba było na nowo tworzyć. Współpraca była świetna. Były to osoby, które bardzo kompetentnie kierowały pracami Rady, komisji. O Biurze Rady można mówić tylko w samych superlatywach. Mimo że byłem radnym tylko przez jedną kadencję, to do dziś, jak się spotykamy, na naszych twarzach wzajemnie pojawia się uśmiech. Jesteśmy dla siebie życzliwi. Panie „odwalały", mówiąc kolokwialnie, kawał wspaniałej, bardzo trudnej pracy. Proszę pamiętać, że wszystkie posiedzenia każdej komisji były protokołowane. Chcieliśmy, aby nasza działalność była całkowicie przejrzysta, by nikt nie mógł nam zarzucić, że coś załatwialiśmy pod stołem. Wszystko było przejrzyste. Raporty z prac komisji były bardzo skrupulatnie robione. Pracę całego Biura oceniam jak najbardziej pozytywnie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Porównując to, co jest dzisiaj, a co mieliśmy wtedy, to są lata świetlne. Jedynym urządzeniem, które pozwalało nam dostarczać materiały były kserokopiarki, nie było Internetu. Komputeryzacja wchodziła powoli, nie było telefonów komórkowych, co z kolei ułatwia dzisiaj życie. Jednak o wszystkim byliśmy powiadamiani, wszystko było w porę załatwiane. Obrady Komisji Kultury i Nauki odbywały się na ul. Gabrieli Zapolskiej, w budynku dzisiejszego Urzędu Miejskiego. Nie były to luksusowe warunki, ale nam w zupełności wystarczały. Nikt na to się specjalnie nie uskarżał. Sala obrad Rady zmieniła się, np. jeśli chodzi o meble. Wtedy nie było specjalnych wymagań, przecież nie dla foteli to robiliśmy. Jakie one były, takie były, i nikt nie narzekał.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem jedynie w Komisji Kultury i Nauki i nie mnie oceniać efekty tej pracy. Staraliśmy się zajmować nie tylko sprawami bieżącymi, ale takimi, które by wybiegały w przyszłość. Dzisiaj, jak chodzę po bibliotekach miejskich i oglądam te fantastycznie prowadzone centra, to widzę spełnienie naszych ówczesnych marzeń, aby tak wyglądały domy kultury, biblioteki, żeby ta nieinstytucjonalna część kultury była ważna.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kiedy byłem radnym, czyli w latach 1990-1994, właściwie nie było klubów. W większości byliśmy w Radzie Miejskiej z wyboru komitetów obywatelskich. Były grupy nieformalne, które reprezentowały inne, odmienne od całości stanowisko. Natomiast dzisiaj jest to konieczność. Nie ma innego wyboru. Są rzeczy tak ważne w tym, niestety, troszkę za bardzo zbrutalizowanym życiu politycznym, że trzeba podejmować decyzje poprzez dyskutowanie na klubie. Czy to się komuś podoba, czy nie, trzeba zachowywać pewną dyscyplinę i dyscyplinować radnych. Byliśmy na szczęście tego problemu pozbawiani. Każdy głosował nad uchwałami w sposób taki, że odwoływał się do swojego doświadczenia, swojej wiedzy. Oczywiście czerpaliśmy z wiedzy ludzi zarządzających miastem, szczególnie, kiedy prezentował sprawę prezydent Bogdan Zdrojewski lub inni wiceprezydenci. Swoboda naszej wypowiedzi i naszego głosowania nad problemami była bardzo duża. To sobie bardzo ceniłem.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Praca była tak pochłaniająca i tak stała, że właściwie nie pamiętam jakichś wielkich wydarzeń. Pamiętam, że dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, co to w ogóle było powołanie tej pierwszej demokratycznej Rady.

W Komisji Kultury było paru czynnych artystów. Był pan Zygmunt Bielawski już nieżyjący wspaniały aktor, był Zbyszek Karnecki wspaniały kompozytor, był także Jurek Tomaszewski plastyk. Byliśmy ludźmi, którzy znali się wcześniej i przez myśl nam nie przeszło, że przyjdzie nam zasiadać w kilkudziesięcioosobowym gremium,

które będzie decydowało o losach i przyszłości miasta. Było to fascynujące. Za największe osiągnięcie uważam chyba sam fakt, że tak zgodnie współpracowaliśmy.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Z radami osiedlowymi miałem dość luźny kontakt, tam gdzie mieszkałem, na Krzykach. Przedstawiciele rad osiedla przychodzili do nas, do Komisji Kultury, jak były jakieś lokalne, mniejsze problemy. Natomiast nie włączałem się w pracę tych rad. Uważam, że rady osiedla są absolutnie niewykorzystanym ogniwem oddolnej demokracji. Wiadomo było, że rady osiedla przed rokiem 1990, przecież one wtedy też istniały, były przybudówką PZPR-u i właściwie służyły do legitymizowania działań w małych okręgach. Uważam, że dzisiaj rola rad osiedlowych powinna być większa. One trochę kuleją. Działam w Platformie i wiem, że jak zbliżają się wybory do rad osiedla, to trudno wyłonić kandydatów. Niektórzy koledzy niechętnie do tego podchodzą. To chyba jest taka nasza polska natura.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W tym okresie, kiedy byłem radnym, zainteresowanie wzrosło niewspółmiernie w porównaniu z tym, co było wcześniej. Tworzyły się prywatne telewizje, które sprawami Miasta się zajmowały i zajmują się właściwie do dzisiaj. Jeśli chodzi o telewizję publiczną, lokalne wiadomości i programy naświetlały pewne nowe aspekty życia samorządowego, co było bardzo dobre, co nie zmienia postaci rzeczy, że mamy z tym kłopot do dzisiaj. Jeżeli w głównym wydaniu wiadomości lokalnych dowiaduję się o faktach, które się działy wczoraj, przedwczoraj, o tym wszystkim, o czym wyczytałem w lokalnej prasie, to przestaje mnie to interesować. Wiadomo, że teraz jest lokalny kryzys w telewizji publicznej, i to jest fatalne. Trzeba to odbudowywać przez długie lata i jest to pewien problem. Bardzo dobrym pomysłem, który już wtedy zaczął się rodzić, były lokalne dodatki do gazet, takie, jakie w tej chwili ma: „Gazeta Wyborcza", „Gazeta Wrocławska", która jest ciekawą gazetą. Wcześniej był większy wybór prasy, był „Wieczór Wrocławia" i „Słowo Polskie". W tej chwili to wszystko podlega prawom rynku. Uważam jednak, że informacja o Mieście, o pracy samorządów, jest dobra, jeżeli jest o czym pisać, a na pewno jest.

◇◇◇

usiłowały je likwidować. Zadaniem bibliotek publicznych, poza czytelnictwem, jest szeroko rozumiana działalność informacyjna. Nie wszyscy odpowiedzialni za funkcjonowanie bibliotek to rozumieli. We Wrocławiu pewien urzędnik wymyślił teorię, że można wszystkie biblioteki sprywatyzować. Dopiero protesty środowisk bibliotekarskich, jak również i mój znaczny w tym udział, zapobiegły można powiedzieć „katastrofie". W swoich licznych wystąpieniach w obronie bibliotek przekonywałam wątpiących w konieczność ich funkcjonowania. Wdrażanie do czytania, zaczynając od najmłodszych, pobudza wrażliwość i wyobraźnię, prowadzi do wychowania przyszłego uczestnika innych przedsięwzięć kulturalnych. Biblioteki dla dzieci mają w tych zamierzeniach szczególny udział. Prowadzą prace z młodymi ludźmi, co później owocuje. Oczywiście, pewnych zmian należało dokonać, następowała komasacja niektórych filii z powodu bardzo złych warunków lokalowych. Może we Wrocławiu placówek było za dużo. Podczas minionych lat często chodziło o dobrą statystykę, należało się wykazać przed władzami. Obecnie biblioteki we Wrocławiu mają się dobrze, są to piękne ośrodki informacyjne z nowoczesnym wyposażeniem, w większości skomputeryzowane. Osobiście mam satysfakcję, iż przyczyniłam się chociaż w małej części do przetrwania i rozwoju placówek bibliotecznych.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Jak już wspomniałam, zostałam wybrana na przewodniczącą Komisji Oświaty i Młodzieży. Ustawa o samorządzie terytorialnym dawała możliwość przejmowania szkół podstawowych. Nie wszyscy byli do tego przekonani i to zarówno radni, jak również Zarząd. Na spotkaniach Komisji Oświaty wypracowaliśmy po wielu konsultacjach opinię, iż szkoły należy przejąć. Edukacja to bardzo ważny element w życiu obywateli, samorząd lokalny powinien mieć wpływ na kształtowanie postaw nauczycieli oraz rodziców. Pozytywne opinie Kuratorium oraz Komisji Oświaty spowodowały, iż gmina Wrocław przejęła pieczę nad szkołami podstawowymi.

Ciężkie boje musiałam stoczyć w sprawie utrzymania w dobrej kondycji bibliotek. Trzeba było przekonać niektóre gremia, że biblioteki są bardzo ważnym ogniwem w edukacji i kulturze. Ponadto, że w państwie prawa muszą być respektowane ustawy, m.in. Ustawa o bibliotekach. Bibliotekarze i czytelnicy chyba najbardziej się ze mną cieszyli. Jakoś wspólnymi siłami obroniliśmy te biblioteki.

W II kadencji ważnym osiągnięciem Komisji Kultury było przyjęcie przez Radę Miejską uchwały o mecenacie miasta. Byliśmy jedynym miastem w Polsce, które przyjęło taką uchwałę. Zarząd Miasta uchwałą tą był zobligowany do wydzielenia w budżecie odpowiednich środków na ten cel. Na spotkaniach Komisji Kultury, często przy udziale dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, rozpatrywaliśmy wnioski wpływające do komisji. Przekazywane wnioski wiązały się z różnymi projektami w dziedzinie szeroko pojętej kultury. Podejmowaliśmy decyzje o dofinansowywaniu spektakli teatralnych, operowych, muzycznych, przedsięwzięć plastycznych, festiwali.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnionej przez Panią funkcji radnej?

Największym problemem dla nowo powstałych samorządów lokalnych był zbyt mały udział w wykorzystaniu finansów publicznych, przy dużym obciążeniu zadaniami. Gmina Wrocław miała szereg kłopotów z przejmowaniem mienia komunalnego. Stan mieszkań komunalnych był opłakany, a na remonty było niewiele środków. Część mieszkań wykupili lokatorzy, powstawały wspólnoty mieszkaniowe. Sesje budżetowe były bardzo trudne, czasem burzliwe. Zarząd przedstawiał założenia budżetowe. Zwykle były dwa czytania. Niektórzy radni usiłowali przekonać Zarząd, iż dziedzina reprezentowana przez komisję, której byli członkami, jest najważniejsza. Powstawał problem, komu zabrać, aby dać innym. Mimo tych wszystkich perturbacji, Wrocław zarządzany przez samorząd lokalny dużo zyskał, uporządkowane zostało wiele zagadnień. Miasto piękniało z roku na rok, Wrocław stawał się metropolią. Oczywiście jest jeszcze dużo do zrobienia, szczególnie w dzielnicach peryferyjnych. W czasach PRL-u Wrocław był wyjątkowo zaniedbany. Ówczesne władze niewiele otrzymywały z budżetu centralnego, może zbyt mało zabiegały.

Jak ocenia Pani współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Odbywało się wiele spotkań z różnymi gremiami szczególnie w sprawach oświaty, pomocy społecznej, opieki zdrowotnej. Na tych spotkaniach radni zapoznawali się z problemami dotyczącymi mieszkańców. Dużo kontrowersji budziły plany zagospodarowania przestrzennego miasta. Poświęcono tym tematom wiele sesji Rady. Ponieważ nie było szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego, były protesty mieszkańców, często sprawy musiał rozstrzygać NSA.

Jak ocenia Pani wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Zostałam wybrana radną z dzielnicy Stare Miasto. Radni wybrani w dzielnicach peryferyjnych, jak Psie Pole, Zakrzów, Leśnica byli bliżej mieszkańców. Jeśli chodzi o moje zaangażowanie w sprawy mieszkańców, przypominam sobie interwencję związaną ze sprzedażą alkoholu całodobowo. Złożyłam w imieniu mieszkańców interpelację w sprawie ograniczenia sprzedaży alkoholu. W późniejszym czasie Rada przyjęła uchwałę regulującą przydzielanie koncesji na alkohol. Generalnie moja działalność wiązała się bardziej ze środowiskami zawodowymi. Były też cotygodniowe dyżury radnych. Mieszkańcy przychodzili z różnymi problemami, pomagaliśmy im w ich rozwiązywaniu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej oraz Urzędem Miejskim?

Podczas I kadencji tworzono nową strukturę Urzędu Miejskiego. Powstały nowe wydziały. Nie wszyscy urzędnicy sprawdzali się na swoich stanowiskach. Mieszkańcy wnosili skargi do radnych na niekompetencję urzędników, a często arogancję w stosunku do petentów. Konieczne stało się prostowanie starych nawyków, rodem z minionej epoki. Potknięcia Zarządu Miasta niektórzy radni wykorzystywali celem zbijania kapitału politycznego. Często wystąpienia radnych podczas sesji były prowokujące, tym bardziej, że słuchali tego przedstawiciele mediów, można było „zaistnieć". Prezydent oraz cały Zarząd dążył raczej do konsensusu, dając obszerne wyjaśnienia, a nie do podżegania nastrojów.

Jak się układała współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Stwierdzam, że bardzo dobrze. Kierownictwo Biura Rady składało się z osób kompetentnych, dobrze zorganizowanych. Pracownicy Biura Rady odpowiedzialni za organizację pracy w poszczególnych komisjach byli odpowiedzialni i dobrze do tej roli przygotowani (organizacja posiedzeń komisji, protokoły, itp.). Prowadzenie obrad sesyjnych było również bez zarzutu (dostarczanie tekstów uchwał, czuwanie nad właściwym przebiegiem głosowań). Niektóre sesje przeciągały się do późnych godzin nocnych.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnej?

Pierwsze sesje odbywały się przy placu Nowy Targ. Warunki były bardzo skromne. Potem udostępniono Radzie Miejskiej pomieszczenia w ratuszu, gdzie komfort był dużo lepszy. Sala obrad przystosowana, nagłośnienie właściwe, zadbano również o wydzielenie miejsca przeznaczonego dla wyborców oraz mediów. W I kadencji nie było komputerów, pojawiły się dopiero w II kadencji. Materiały do sesji oraz inne dokumenty związane z działalnością Rady Miejskiej przechowywaliśmy głównie w domu. Jednak, gdyby ktoś z radnych chciał przechować dokumenty to zapewne Biuro Rady znalazłoby odpowiednie miejsce.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Pracowałam w dwóch komisjach. Komisja Kultury i Nauki zajmowała się śledzeniem ciekawych wydarzeń kulturalnych, które miały miejsce we Wrocławiu, oraz po części ich opiniowaniem, w związku z uchwałą Rady Miejskiej o mecenacie kultury. Komisja Kultury była dość liczna w obu kadencjach. Przewodniczący dobrze sobie radzili z organizacją pracy oraz przebiegiem spotkań. Dyskusje często były dość gorące, ale efekty były – kultura wrocławska miała i ma się dobrze. Druga komisja, w której pracach uczestniczyłam, to Komisja Oświaty i Młodzieży. W I kadencji miałam przyjemność jej przewodniczyć. Komisja nie była liczna, a wiele spraw do uporządkowania, siłą rzeczy większość prac spadła na przewodniczącego. Prowadzenie przedszkoli stało się ustawowym zadaniem własnym gminy. Ze względów oszczędnościowych część przedszkoli miała ulec likwidacji, niektóre wbrew ustawie miało się połączyć w jeden organizm ze żłobkami. Często były to placówki dobrze wyposażone, w dobrym miejscu, z zapleczem rekreacyjnym (ogród). Były też protesty rodziców. Po wielu dyskusjach udało się przekonać Zarząd, aby wycofał się z niektórych pomysłów związanych z likwidacją przedszkoli. Dużo pracy organizacyjnej i opiniotwórczej wiązało się z projektem przejmowania szkół podstawowych przez gminę Wrocław, ale o tym już wspominałam.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Druga kadencja Rady Miejskiej różniła się od pierwszej tym przede wszystkim, że weszły do niej osoby z różnych ugrupowań politycznych. Utworzono kluby, m.in. Wrocław 2000*,* którego byłam członkiem, który miał większość w Radzie. W związku z tym Zarząd wywodzący się również z tej koalicji był w dobrej sytuacji. Niemniej jednak podczas przyjmowania niektórych uchwał toczyła się ostra walka na argumenty „za" i „przeciw". Uważam, iż przenoszenie partyjności do samorządów prowadzi do niepotrzebnych gier politycznych, a tracić mogą na tym tylko mieszkańcy. W II kadencji po prostu było inaczej. I kadencja była bardziej żywiołowa, tworzyliśmy nowy Wrocław.

Pracę klubów oceniam pozytywnie. Na spotkaniach przed sesją Rady opiniowaliśmy uchwały, które miały być poddane głosowaniu. Niektóre uchwały budziły dużo kontrowersji również w moim klubie. Przypominam sobie, uchwałę o budowie spalarni odpadów, która miała być umiejscowiona w gęsto zabudowanej dzielnicy, w pobliżu centrum miasta. Niektórzy byli za, inni przeciw, odbyło się wiele spotkań z protestującymi mieszkańcami. W rezultacie spalarnia nie powstała. Dużo kontrowersji budziły uchwały o podwyżkach na przejazdy komunikacyjne, wodę, ścieki, itp.

Jakie wydarzenie związane z działalnością Rady najbardziej zapisało się w Pani pamięci?

Były momenty bardzo miłe, wspominam np. uroczyste zakończenie jednego z festiwali *Wratislavia Cantans*. Nastrojowe wnętrza Muzeum Architektury, wręczanie nagród przez ministra kultury, mnóstwo ludzi ze środowisk kulturalnych, ciekawe spotkania, rozmowy.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

Miałam sporadyczny kontakt z Radą Osiedla Przedmieście Oławskie, a także osiedla Szczepin. Uczestniczyłam dość często w posiedzeniach Rady Osiedla Huby. Rada ta ściśle współpracowała ze szkołami ze swojego terenu. Przed

powołaniem rad osiedli dużo dyskutowano w Radzie Miejskiej o ich przyszłych kompetencjach i uprawnieniach. Musiały one być stonowane ze względu na groźbę rozdrobnienia i zawłaszczenia uprawnień przynależnych Radzie Miejskiej. Po pierwszych wyborach do rad osiedli efekty były różne, niektóre osiedla były bardzo dobrze przygotowane do pełnienia przypisanej im roli. W Radzie Miejskiej został wybrany przedstawiciel odpowiedzialny za kontakty z radami osiedla. Niektóre zgłaszane sprawy zgodnie ze statutem musiały być rozstrzygane przez Radę Miejską.

Jak ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Dokładnie nie wiem jak to się obecnie przedstawia. I kadencja budziła spore zainteresowanie mediów ze względu na zupełnie nową jakość zarządzania Wrocławiem. Przedstawiciele prasy, radia, telewizji byli obecni na każdej sesji. Prowadzili wywiady z radnymi oraz Zarządem Miasta. Szczególnie dużo czasu antenowego poświęcała problematyce samorządowej prywatna telewizja TeDe. Audycje „Czas dla radnych", „Czas dla prezydenta" cieszyły się dużym zainteresowaniem mieszkańców.

Nowa ordynacja samorządowa wyposażyła w dużą władzę prezydentów miast, zmniejszyła rolę Rady Miejskiej. Prezydenci oraz Zarząd nadzorują i rozstrzygają w sprawach bieżących. W gestii Rady Miejskiej leży przede wszystkim uchwalenie budżetu. Ponadto należy dodać, iż liczebność Rady zmniejszyła się o 50%.

Podsumowując, sądzę, iż telewizja, szczególnie publiczna, śladowo przedstawia problematykę samorządu. Nieco więcej o sprawach Miasta można usłyszeć w telewizji prywatnej.

◇◇◇

to był w stanie uwzględniać ich głos. Brakowało zaangażowania przedstawicieli organizacji pozarządowych w szerszym zakresie, np. na posiedzeniach komisji czy na posiedzeniach Rady. Tego brakowało.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Myślę, że ludzie często uaktywniają się wtedy, gdy jest jakiś problem. Jeżeli pojawiał się problem, mieszkańcy wiedzieli jak dotrzeć do radnych. Wiedzieli, gdzie znaleźć radnego. Natomiast czasami brakowało też nam radnym wsparcia ludzi. Jeżeli wszystko w miarę idzie, to wtedy ludzie tracą zainteresowanie tym, co dzieje się w samorządzie. Może to i dobrze, ale taka jest prawda.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To było różnie. My radni, wtedy opozycyjni wobec władz miasta, zauważaliśmy takie przepychanie pewnych rzeczy przez władze miasta bez oglądania się na opozycję. Jest to w jakiś sposób racjonalne, ale czasami głos opozycji mógłby być brany pod uwagę. W naszym klubie było wielu radnych z dużym doświadczeniem i uwzględnienie ich uwag byłoby po prostu korzystne dla miasta. Władza wykonawcza twierdziła, że wie wszystko najlepiej. Wtedy w Radzie było siedemdziesiąt osób, a dziewięć czy dziesięć w naszym klubie. Mogliśmy być skutecznie przegłosowani.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Nie było żadnego problemu. Dostawaliśmy wszystkie materiały, które Biuro przygotowywało. Materiały były przygotowane i na komisje, i na posiedzenia Rady.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Byłem radnym już dziesięć lat temu. Od tego czasu troszeczkę się zmieniło. Pracowanie na materiałach papierowych i chodzenie ze stertą dokumentów nie jest zbyt dobrą rzeczą. Myślę, że można by zapewnić dostęp do pewnych materiałów w sposób elektroniczny, co umożliwiłoby dotarcie do nich z każdego miejsca pracy radnego. Mam na myśli Internet, to by się przydało. Natomiast sala, jak sala. Dziesięć lat temu było normalne, że się pracuje na papierach i na tonach odbitek ksero. W dzisiejszych czasach może już powinno być inaczej. To nie jest jakaś moja bardzo krytyczna uwaga, takie były czasy.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Ponieważ w skład Rady doszedłem w trakcie kadencji, w związku z tym była to troszeczkę decyzja klubu, do jakich komisji mam iść. Byłem w Komisji ds. Osiedli. Tę komisję oceniam dość dobrze. Komisją kierowała pani Alina Barczewska, która była bardzo dobrą przewodniczącą. Natomiast to, co chcieliśmy zrobić, czyli zreformować całą strukturę osiedli we Wrocławiu, to się nie udało. Nie było ze strony władzy wykonawczej zgody na przeprowadzenie takiej reformy i w zasadzie do dzisiaj te rady funkcjonują w bardzo podobnym zakresie. Ten zakres działania nie jest odpowiedni.

Druga komisja, to była Komisja ds. Mieszkalnictwa, która została rozwiązana na wniosek władz wykonawczych Miasta. Trzecia, to Komisja ds. Rodziny. Tam także byłem oddelegowany z ramienia klubu, by klub miał swoją reprezentację. Nie pamiętam, kto był przewodniczącym w Komisji ds. Rodziny. Praca tam także układała się bardzo dobrze.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Klub radnych jest czymś naturalnym w Radzie Miejskiej, ponieważ radni powinni się jednak gromadzić wokół pewnego programu dla miasta, dla Wrocławia. Gdy porównuję kadencję, w której byłem, z obecną, to wtedy kluby były mniej spolityzowane. Już wtedy było widać duży wpływ we Wrocławiu takiej *stricte* polityki na działalność klubów, ale wtedy kluby grupowały jeszcze ludzi niekoniecznie należących do partii. W obecnej chwili jest to już podział partyjny, to, co się odbywa w Radzie Miejskiej. U nas tak nie było. Szczególnie w naszym klubie były osoby, które wcześniej były związane z jakąś prawicą, centrum czy osiedlami. Nie było takiego *stricte* politycznego podziału. Ludzie, którzy potem weszli do PIS-u byli w Platformie, były bardzo różne osoby i bardzo dobrze nam się pracowało.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Najbardziej zapamiętałem przyznanie honorowego obywatelstwa Wrocławia Normanowi Daviesowi. To najbardziej zapisało mi się w pamięci, ponieważ miało taki uroczysty charakter.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Przez około osiem lat działałem w Radzie Osiedla Wojszyce-Ołtaszyn – w zarządzie osiedla. Dopóki tam działają ludzie, którzy coś chcą zrobić dla innych i niekoniecznie patrzą na własny interes, to rady w miarę mogą działać. Kompetencje rad osiedli są bardzo ograniczone. Środki, które mogą wydatkować również są ograniczone, ale myślę, że ich wpływ na funkcjonowanie społeczności lokalnej jest bardzo pozytywny. Najgorzej, jak w pewnym momencie w niektórych radach było widać, że niestety stają się taką odskocznią polityczną. Wtedy zaczynał być problem. Zaczynały się wzajemne animozje i patrzenie nie na to, co można zrobić na osiedlu, lecz jak zbudować własną pozycję. Na pewno to przeszkadzało w działalności rad osiedli. Co do kompetencji, wygląda na to, że rady osiedlowe trzeba oczywiście zreformować. Wygląda na to, że powinny być powołane większe jednostki,

z większymi kompetencjami, czasem interwencyjne. W obecnej chwili te kompetencje są bardziej opiniodawcze. Widzę, że w radach osiedli coraz mniej jest ludzi bardzo aktywnych, którzy chcą coś robić, ludziom po prostu brakuje czasu. Żeby się zaangażować, trzeba mieć czas. A kto ma czas? Przeważnie, nie chcę tu obrażać emerytów, ale bardzo często emeryci albo ludzie, którzy nie pracują. Nie mam pomysłu, jak wciągnąć do działalności rad osoby aktywne zawodowo, które mają pomysły, co można by na danych osiedlach zmienić. Chyba to jest sprawa nierozwiązywalna.

Obserwuję dwie kadencje w mojej radzie osiedla. W pierwszej zebrał się zespół ludzi, którzy chcieli ze sobą współpracować. Nikogo nie interesowało, czy ktoś ma lewicowe, czy prawicowe poglądy. Byli to różni ludzie. Natomiast nigdy polityka czy jakieś podziały ideologiczne nie stanowiły żadnego problemu. Postanowiliśmy, że będziemy się starać wybudować na osiedlu jakieś place zabaw dla dzieci, itd. W tym kierunku poszliśmy, m.in. z późniejszą radną panią Aldoną Młyńczak, z którą bardzo dobrze nam się współpracowało. Nie było nigdy problemu we współpracy. W drugiej kadencji rady osiedla, gdy niektórzy zobaczyli, że rady mogą być pewną odskocznią, skład był zupełnie inny. Zaczęła się walka, przepychanki. Już po moim odejściu z rady doprowadziło to ostatecznie do podziału osiedla Wojszyce-Ołtaszyn na dwa odrębne osiedla.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Na tamte czasy media bardzo mało się interesowały tym, co się dzieje w samorządzie. Myślę, że były zbyt mało krytyczne wobec tego, co się dzieje. Bazowały na oficjalnych informacjach przekazywanych przez władze miasta. Za mało było starania się o to, aby dotrzeć do innych informacji, do innych ludzi, którzy na dany temat mogą coś powiedzieć. Bardzo często były to artykuły, które prezentowały tę sama linię, co Miasto, a niekoniecznie to, co ludzie mieli na ten temat do powiedzenia.

Teraz media są bardziej krytyczne i bardziej wnikliwe. Widzę, że czasami czepiają się spraw mało istotnych, a sprawami bardzo istotnymi Miasta jakoś się nie interesują. Być może takie tematy ciężko sprzedać. Tej wnikliwości w niektórych rzeczach brakuje, ale na pewno jest pod tym względem lepiej niż było.

◇◇◇

Rzeczowa dyskusja miała decydujący głos. Zaczęliśmy myśleć bardziej strukturalnie, czyli strategicznie dla miasta i to jest chyba sukces tej I kadencji.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Myślę, że częściowo już odpowiedziałem na to pytanie poprzednio. Uważam, że sukcesem I kadencji, nas wszystkich, jest to, co się stało. Pamiętam strajkujących kupców i trwające bardzo długo sesje i komisje, ale jedno było niepowtarzalne, że wszystkim przyświecał jeden cel, mianowicie wszystko dla tego miasta i to uważam za największy sukces. Były naturalnie ostre walki, ale oczywiście na argumenty i na logikę, a nie na przynależność czy też wsparcie jakichkolwiek organizacji. Do takich największych zdarzeń, z których jestem dumny, przecież stan finansowy Miasta był niski, należało zrzeczenie się na pewien okres diet, żeby urzeczywistnić jakiś dobry cel. Uważam, że sukcesem całej Rady I kadencji, tych, którzy byli mocno zaangażowani i tych z opozycji również, było to, że po długich dyskusjach często dochodziliśmy do konsensusu.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Wydawało nam się wszystkim, że po zmianie, która nastąpiła nagle będzie inaczej, lepiej o 100%. Okazało się, że na takie wymierne efekty trzeba będzie poczekać. Myślę, że były to różne rozterki, takie jak podział miasta na strefy, wysokość podatków, niezadowolenie kupców, konieczność likwidacji niektórych obiektów, ale myślę, że okres tej I kadencji i te problemy, które były, to była nauka zarówno dla nas, jak i dla tych, którzy nastąpili po I kadencji i zajmowali się tymi problemami, pracując dla społeczeństwa. Niektóre problemy udało się rozwiązać, niektóre oczywiście nie. Najbardziej szkoda mi tych ludzi, którzy wyszli z rad osiedlowych, ponieważ część z nich, ze względu na brak takich namacalnych sukcesów, trochę się zniechęciła. Wydaje mi się, że to było niepowodzenie.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Taka współpraca istniała poprzez komisje i na forum komisji, natomiast osobistych kontaktów z radami osiedla nie miałem.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalności w Radzie?

Muszę powiedzieć, że w tych obwodach, które reprezentowałem wyborcy nas znali, ale zainteresowani byli tym, by poznać nas jeszcze lepiej. Te kontakty i zaangażowanie społeczeństwa było duże. Wyborcy potrafili podejść i rozliczyć, jak z czegoś byli niezadowoleni. Warto zauważyć, że ten kontakt był bezpośredni. Nawet spotkania podczas dyżurów radnych miały bardzo profesjonalny charakter. Do tych spotkań po prostu trzeba się było przygotować. Spotkania z wyborcami powodowały, że czułem się wzmocniony podczas obrad sesji. Była to taka niepisana więź, która człowieka determinowała do działania.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To był ten początek, uważam, że kierunek myślenia i działania był dobry, dlatego, że były warunki ku temu, żeby decydenci słuchali radnych. Nie dlatego, że mieli ich słuchać, ale dlatego, że był właściwy klimat do wprowadzenia pewnych elementów, które były przedyskutowane i właściwie, tak jak mówię, wypływały od dołu. Zresztą to był ten okres, gdzie zmiany, które nastąpiły w mieście miały wpływ na to, że ci ludzie, którzy chcieli pracować w tym układzie, również byli osobiście zaangażowani. Jeśli dwie osoby działają na podobnym polu i to nie tylko dlatego, że mają funkcję, ale mają pomysł, to obydwie chcą czegoś dokonać. Uważam, że to było dobre. Był to dobry czas i kto wie, czy nie najlepszy przez lata tej I kadencji.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Powiedziałbym, że Biuro Rady Miejskiej w tym czasie, to było coś więcej niż biuro. Miało ono z założenia obsługiwać komisje, jednak przerosło swoją działalnością powierzoną mu rolę. Biuro, to była jakby komórka rozrządowa do wszystkiego. Jeśli się o czymś zapomniało, to było mu to przypominane, a jak radny miał ochotę i wolny czas, to mógł przyjść i po prostu zwyczajnie porozmawiać. Biuro to była taka płaszczyzna spotkań różnych radnych, często przypadkowych, ale ta jego rola była niesamowita. Wiadomo, spraw jest dużo, ale duchowo jestem bardzo związany z Biurem i ta współpraca jest również sukcesem tego pierwszego okresu. Nie było formalnych obwarowań godzinami, kiedy można było przyjść z jakimś problemem. Do tego miejsca byliśmy przyzwyczajeni. Wtedy nie liczył się czas. Wiele razy po obradach komisji przychodziliśmy do Biura, i przy omawianiu różnych spraw poruszało się wiele tematów. Wtedy posiedzenia komisji odbywały się w różnych miejscach i tym również Biuro się zajmowało. Podejrzewam nawet, że w zależności od komisji dobierany był personel współpracujący z komisją, bo przecież wśród radnych zdarzali się ludzie o różnych charakterach. Chciałbym podkreślić tę wyjątkową umiejętność utrzymania porządku i pilnowania spraw. To były wyjątkowe zdolności pracowników Biura.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wtedy posiedzenia komisji, jak już wspominałem, odbywały się w różnych miejscach. Warunki były trudne, mieliśmy może dwie kserokopiarki, ale wszystko się układało. Powiedziałbym, że ten fetysz urządzeń niekoniecznie musi się sprawdzać na każdym poziomie. Długopis i kartka są w stanie zrobić więcej niż najlepszy wielofunkcyjny przyrząd. Na tamte czasy nie było źle.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Pracowałem w Komisji Architektury i Urbanistyki, nie było wtedy ścisłego rozdziału, a także w Komisji Kultury. Komisja Kultury, jak już mówiłem, to było spektrum ludzi, którzy byli zawodowo przygotowani i nie było partykularnych interesów historyka sztuki, muzyka czy aktora. Wspomnę w tym miejscu kolegę Zygmunta Bielawskiego, który prowadził tę komisję z wielką kulturą. Uczyliśmy się od siebie. Była to grupa ludzi, która doskonale rozumiała potrzeby i robiła wszystko, ale nie dla siebie. Jeśli natomiast chodzi o Komisję Architektury i Urbanistyki, to powiedziałbym, że tam dyskutowało się o wszystkich kierunkach strategii postępowania rozwoju miasta, jego naprawy w strukturze przestrzennej. Częstym gościem na tych komisjach był nasz kolega architekt Zygfryd Zaporowski, ówczesny wiceprezydent miasta. Podczas tych dyskusji zrodziła się idea, która we Wrocławiu jako jedna z pierwszych się zrealizowała i realizuje się do dnia dzisiejszego, mianowicie Biuro Rozwoju Wrocławia. To właśnie była idea Zygfryda Zaporowskiego i komisji, żeby stworzyć profesjonalne biuro, które pracowałoby na rzecz prezydenta i władz miasta i zajęło się strukturą i kierunkami rozwoju miasta. I kadencja była dość dawno, a Wrocław może się poszczycić Biurem Rozwoju, które funkcjonuje. Jestem członkiem Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej i patrzę jak ten zalążek, który wtedy powstał, funkcjonuje. I to może najbardziej określić tę pracę w komisjach. Bardzo wiele osób przychodziło do komisji i tam składało swoje protesty i zażalenia. Czasami też przychodzili ci, którzy mówili: jest dobrze, dziękuję. W I kadencji takie zachowania były dosyć częste, jak dalej to wygląda, trudno mi powiedzieć. Spektrum działania komisji było bardzo szerokie.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Z doświadczenia mojej kadencji wynika, że w komisjach spędzaliśmy bardzo dużo czasu, wspólnie – na dyskusjach. Często przeciągało się to, ponieważ mówiono o różnych sprawach, a potem były posiedzenia Rady Miejskiej i to, o czym już wspominałem, to miejsce magiczne w postaci Biura. To były te miejsca i płaszczyzny, gdzie bardzo często spotykali się ludzie z różnych komisji i nie było wtedy czasu na tworzenie czegoś takiego, jak klub radnego, ładnie brzmi, ponieważ każdy miał swoją pracę zawodową i w związku z tym przemyślenia były indywidualne i dotyczyły tego, co było na spotkaniach. Nie jestem szczególnym fanem klubów radnych, gdyż kojarzy mi się to z klubami seniora, chociaż uważam, że to piękna idea, ale ja już jestem w tym wieku, że zapraszany tam jestem na spotkania, a nie lubię tego, tworzą się wówczas tzw. getta wiekowe, kulturowe, przynależności politycznej. Uważam, że albo coś się tworzy spontanicznie, albo też w ogóle, ponieważ nie lubię rzeczy sterowanych.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Jak już wspomniałem, wola radnych i gest o zrzeczeniu się diet na pewien okres na rzecz Miasta, to było jedno wydarzenie. Druga sprawa, to niezadowolenie kupców. To ten obraz, kiedy trwały obrady sesji, a na zewnątrz stali niezadowoleni ludzie. Wychodził do ludzi prezydent i wydaje mi się, że wykazał się wielką kulturą i umiejętnością prowadzenia rozmów oraz dochodzenia do konsensusu. Przeżyłem to i na zawsze pozostały mi przed oczami konflikty społeczne. Dla mnie to był szok, ponieważ staraliśmy się robić wszystko, żeby było dobrze, a jednak pojawił się element niezadowolenia. Z tych spraw zadowalających, pojawiają się sytuacje, kiedy to ktoś nagle się ukłoni albo uśmiechnie i powie „pan był kiedyś radnym i ja na pana głosowałem". Kiedyś wybrałem się na przegląd techniczny samochodu i okazało się, że pan, który dokonywał przeglądu, mówi: „głosowałem na pana, pan był z mojego okręgu". Z moich rozmów z kolegami wynika, że wielu z nich ma tego rodzaju wspomnienia. Dumny jestem, że to, co na koniec kadencji próbowałem zrobić zaczyna być realizowane, chodzi mi tu np. o rewitalizację Psiego Pola.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem radnym, ale w radach osiedlowych nie działałem, natomiast te kontakty były dosyć częste i działalność rad osiedlowych powodowała, że radny był odpowiedzialny za skuteczność wniosków złożonych przez rady osiedla.

Jak ocenia Pan zainteresowania mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Powiedziałbym, że w działaniach mediów kiedyś i teraz jest drobna różnica. Media są teraz bardziej nastawione na tzw. ostrość działania, tzn. podbijanie sukcesów i odbijanie niepowodzeń. Przy tej ilości informacji, które dostajemy, trzeba czymś to podkreślić. To często nie jest dobre. Jest to czasami szukanie tematu, który zabłyśnie lub zaskoczy. Zdarza się oczywiście, że nie jest on do końca prawdziwy i potem trudno to odwrócić.

Powiedziałbym, że w tym pierwszym okresie media były jakby spokojniejsze i bardziej wyważone, tzn. nie było takich nieprzewidywalnych reakcji w przekazywaniu informacji czy też ataku na kogoś personalnie. W tej chwili sytuacja się zmieniła. W pierwszej kadencji, do drugiej kadencji, niestety, wartość niezależnego człowieka o nawet dużym zaangażowaniu, była postrzegana mniej niż tego, który zadeklarował przynależność do organizacji partyjnej. Od momentu, kiedy zaczęły się rozgrywki organizacyjno-partyjne, powiedziałbym, że media są bardziej ostre, ale to wynika z chęci pokazania, co jest lepsze, a co jest gorsze, chociaż nie zawsze jest to prawda.

Jerzy PRZYSTAWA

Radny I i II kadencji.
Profesor doktor habilitowany, fizyk, specjalista kwantowej teorii ciała stałego,
nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Wrocławskim.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym?

Myślę, że nie gorzej niż inni, powiedziałbym, że w ogólnym sensie tak, w jakimś sensie tak. Nigdy przed 1990 r. takiego pytania sobie nie zadawałem. Myślę, że na tle ówczesnych możliwości, nie najgorzej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Jestem profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego i pracuję we Wrocławiu ponad 50 lat, więc w jakiś sposób tak, ale nigdy oficjalnie. Żeby zajmować się sprawami miasta, trzeba było być w jakichś strukturach, które miały do spraw miasta dojście, a ja byłem zwykłym obywatelem, który po prostu patrzył na to i oceniał, co się działo.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Tworzyła się demokracja. Samorząd jest jednym z ważniejszych elementów demokracji. Ja o tę demokrację walczyłem przez całe życie. Skoro się taka okazja pojawiła, to podjąłem wyzwanie i rozpocząłem działalność w Radzie Miejskiej.

Nie zajmowałem się żadnymi fragmentami działalności komunalnej, taki się utworzył układ sił w Radzie Miejskiej, że byłem jedynym takim wyjątkiem, który miał nieco odmienny pogląd na zasady funkcjonowania Rady Miejskiej i właściwie moja działalność ograniczała się do wygłaszania tego odmiennego poglądu.

Mój program w odróżnieniu od większości Rady, która formułowała go w różny sposób, był złożony z 4 punktów. Zarówno w I, jak i w II kadencji założenia były podobne.

Po pierwsze, woda dla miasta Wrocławia. Uważałem, że miasto europejskie powinno mieć czystą wodę, taką nadającą się do picia. W każdym mieście europejskim, które poznałem, jak się otwiera kran, woda nadaje się do picia. We Wrocławiu, mimo że samorząd funkcjonuje już 20 lat, tak nie jest. My sprowadzamy filtrowaną wodę z jakichś BonArtów. Tym samym ten punkt programu nie został zrealizowany, nad czym ubolewam.

Drugi punkt mojego programu, to była obwodnica pozamiejska. Przez 8 lat pracowicie przypominałem władzom miasta, że to jest sprawa wielkiej wagi. Mamy już 20 lat, a tej obwodnicy nie ma, a więc drugi punkt programu też nie został zrealizowany, mimo moich wysiłków.

Trzeci punkt mojego programu, to był tani telefon dla mieszkańców. Ten projekt został zrealizowany bez mojego udziału, mógłbym powiedzieć, że jestem z tego dumny, ale nie miałem na to wpływu.

Czwarty punkt mojego programu, to była szkoła. Uważałem, że miasto takie, jak Wrocław powinno zadbać o szkołę. A zadbać o szkołę, to znaczy zadbać o nauczyciela. Przez wiele lat pisałem o kondycji nauczyciela, wydałem nawet książkę na ten temat. Szkoła, to przede wszystkim nauczyciel. Domagałem się, żeby Miasto w szczególny sposób zadbało o kadrę pedagogiczną. Wysuwałem różne propozycje. Na przykład, proponowałem takie rozwiązanie, że wprawdzie Miasto nie może podwyższać pensji, bo to robi władza centralna, ale może zaoferować bezpłatny przejazd środkami komunikacji miejskiej, i mówiłem, że gdyby coś takiego Miasto zrobiło, to jego sława rozeszłaby się po Polsce, że jest takie miasto, w którym o nauczyciela się dba. Dba się oferując darmowy przejazd autobusem lub tramwajem, to wszystko zostało odrzucone. Miasto Wrocław dba o nauczyciela, jak dbało, także w tym poniosłem pełną porażkę.

Po ośmiu latach doszedłem do wniosku, że to działanie jest beznadziejne i pozostawiłem je innym kolegom. I tak to wyglądało.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Może to jest mój wkład, słyszę, że moi koledzy wspominają mnie dobrze, to jest to jakiś wkład. Patrząc po Wrocławiu, raczej nic nie znajduję. Moja wnuczka, gdzieś tam poszła i zobaczyła zdjęcia, na których i ja byłem. Powiedziała do mnie: „Dziadku, widziałam Twoje zdjęcie, tam wszyscy głosują za, a Ty jeden byłeś przeciw…”

Natomiast sukces Rady. Jak ludzie pracują, to jakieś owoce tej pracy zawsze są, wobec tego Rada odniosła wiele sukcesów. Wrocław wypiękniał, wiele spraw uporządkowano. Szczególnie centrum zostało odnowione, ale we wszystkich polskich miastach po 1989 r. centra się zmieniły. Okolice ratuszy przekształcono w city. To jest ciekawe, że coś, co było niemożliwe przez 40 lat, stało się możliwe, zmiana była od razu widoczna.

Jeżeli chodzi o inne działania, typu inicjatywy gospodarcze, rozwój gospodarczy miasta, to w tym wypadku moja opinia była bardzo rozbieżna z opinią moich kolegów. Powstała cała masa nowych firm. Napisałem taki artykuł: „Wrocław Wallstreat kantor”, o nowym obliczu miasta bankowo-kantorowym. To są wszystko rzeczy, które się stały przy niewielkim udziale Rady Miejskiej, były raczej wynikiem transformacji ustrojowej. Nie potrafię wskazać, w którym miejscu byłoby coś do podkreślenia – może fontanna w Rynku i nowe elewacje rynkowych

kamienic, wyprostowane ulice, pewna otwartość – to są dokonania, które zarządzający miastem mogą odpisać na swoją korzyść. Chociaż pewna otwartość, której przedtem nie było, niekoniecznie jest specyfiką tego miasta, tej Rady, to jest ogólna sytuacja w kraju. Nie odmawiam sukcesów kolegom, tylko nie mogę się pochwalić niczym z mojego programu. Czyli, patrzyłem na to z takim pewnym smutkiem. Według mnie, mamy okres regresu edukacyjnego. Sytuacja w oświacie jest dramatyczna, obserwuję znaczne pogorszenie. Jeśli chodzi o obwodnicę, to pan prezydent mówi, że to teraz sprawa nr 1, ja mówię mój Boże, 20 lat temu można było to zrobić „jednym machnięciem żuchwy", tę obwodnicę i ona by była. Teraz jest trudniej, są problemy. Woda, to też taka sprawa, która przez tyle lat idzie ślamazarnie. Tu się też rozdwoiły trochę nasze wizje, również, jeśli chodzi o działanie samorządu jako takiego.

Główna część mojej walki dotyczyła zrozumienia istoty samorządu jako takiego, funkcjonowania Rady Miejskiej. Nieustannie na tym tle wynikały spory, awantury. Moi koledzy nie lubili mnie za uwagi i za krytykę. Byłem zdania, że Rada Miejska wybiera sobie Zarząd, któremu zleca pewne zadania i kontroluje ich wykonanie. Zdarzały się przy tym śmieszne sytuacje, że radny uczestniczył w pracach 5 - 6 komisji. Brali na siebie te komisje, a potem się chwalili, jednocześnie wytykając mi, że w tym nie uczestniczę. Byliśmy do tego zobowiązani, ja się zgodziłem, ale twierdziłem: po co mam być w komisji, gdzie są wszyscy moi przeciwnicy, a ja będę przychodził i psuł atmosferę.

Uważałam, że w Radzie Miejskiej udział osób zaangażowanych powinien być jak najszerszy. I tutaj był bój na noże. Moi koledzy byli zdania, że absolutnie nie powinno się wciągać do komisji ludzi spoza Rady. Były nawet spory prawne. Musieliśmy się do sądów odwoływać. – Ja mówiłem: „Panowie gwałcicie prawo". Przepisy dopuszczały, że w każdej komisji może uczestniczyć połowa osób spoza Rady. W rzeczywistości ludzie spoza Rady byli zupełnymi wyjątkami. Jakoś tak ci, którzy weszli do Rady, wyobrazili sobie, że tak, jak „Duch Święty zszedł na apostołów", tak oni mogą o wszystkim decydować. Ciągle jeździłem do wojewody ze skargami na fałszywą interpretację prawa, wtedy mówiono: „Pan nie jest prawnikiem, skąd pan się może na tym znać". Rzeczywiście, był pan profesor Kieres, wybitny autorytet prawny, a wychodził fizyk, i twierdził: „Panie profesorze, co nie jest zabronione prawem, to jest dozwolone – ta zasada dotyczy obywateli, a nie Urzędu. Urząd może robić tylko to, co jest dozwolone prawem. Na tym polega różnica". Tak spieraliśmy się.

Skutek tego sporu był nijaki, ponieważ Rada miała absolutną większość i to, co powiedział pan profesor Kieres zawsze było aprobowane, a mój głos był odrzucany, dlatego ja jakiegoś poczucia satysfakcji z tego nie czerpałem i nie czerpię. Dziennikarze, którzy siedzieli na wszystkich sesjach i przyglądali się temu z jakiegoś względu nie relacjonowali tych naszych sporów. Potem, mówili: „jak pana profesora nie było to było nudno", a jak byłem było interesująco, bo się kłóciłem z Radą i przegrywałem.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Były bardzo trudne sytuacje, może nie z samym Zarządem, ja uważam, że miałem konflikty raczej z Radą. Zarząd coś tam wykonywał, jeśli miałem jakieś zastrzeżenia, to je podnosiłem. Zarząd natomiast robił coś tam, miał swoje kompetencje, pieniądze i instrumenty – konkretna sprawa. Moim zdaniem, Zarząd działał sprawnie na tle tych stosunków. Myślę, ze pan prezydent Zdrojewski był dobrym zarządcą, także jego koledzy, jak pan Adamski, pan Obremski, pan Grehl. Oni sobie tam jakoś radzili. Nie wywiązywała się ze swoich obowiązków Rada. O to miałem pretensje, bo uważałem, że Rada to jest głos mieszkańców.

Takim konkretnym przykładem konfliktu była, jak już mówiłem, sprawa składu komisji. Podkreślę, że bardzo burzliwa. Potem wojewoda tę uchwałę Rady uchylił, przyznał mi rację, mimo opinii wybitnych prawników, którzy mówili, że jej nie mam. Ale to nie zmieniło sytuacji, że nadal nie chciano tych ludzi dopuszczać do udziału w decyzjach. Mimo że prawnie odniosłem sukces, to faktycznie niewiele się zmieniło.

Pamiętam wiele przykrych spraw, zakończonych w sądzie i prokuraturze, m.in. z panem prof. Andrzejem Łosiem, kiedy domagałem się jego odwołania. Potem nastąpiło naruszenie prawa. To była bardzo nieprzyjemna sytuacja, związana z powodzią, z zachowaniem się Rady i Zarządu Miasta wobec tej klęski żywiołowej. Wówczas bardzo krytycznie oceniałem działanie przeciwpowodziowe radnych i pana prezydenta. Popełnione zostały poważne błędy. Jednym z nich była próba wysadzenia wałów w Łanach. Poważny błąd – do dzisiaj się dziwię, że pan prezydent Zdrojewski uciekł od prokuratora bez żadnych konsekwencji. Była to sytuacja wyjątkowa – w takich wypadkach nie przychodzi się na sesję i nie ogłasza, że ja będę pojutrze wysadzał wały i zatopię ileś tam domów. Takich rzeczy nie można robić, nie działa się w ten sposób. Poza tym zachowanie całej Rady było karygodne. Rada rozeszła się na wakacje z chwilą, kiedy ogłoszono, że jest powódź. I tu był konflikt. Oczywiście domagałem się, żeby Rada pozostała na stanowisku, żeby radni pełnili dyżury, żeby Rada poszła w teren i obejrzała, jak to miasto jest przygotowane. Proponowałem zwołanie sesji, żeby złożyć sprawozdanie, jak to wszystko wygląda. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, pochodziliśmy z rejonów, gdzie żadnej rzeki nie ma. Rozjechaliśmy te wały, rozdeptaliśmy. To jest oczywiście barbarzyństwo, ale trzeba pojechać i popatrzeć. Byłem jedyny, który siedział w ratuszu i odbierał telefony. Był ktoś, kto odbierał telefony, że potrzebne są worki z piaskiem, że trzeba gdzieś pomocy.

Słyszałem tylko: „co my możemy?" Jak nic nie możemy, to siądźmy i kontrolujmy ten proces. Wtedy wystąpiłem o odwołanie pana Łosia, zebrałem ustawową liczbę podpisów – tyle, ile wymagała ustawa do odwołania

przewodniczącego. On to zignorował, włożył do szuflady i nie poddał pod głosowanie. Skierowałem to do prokuratury. Ciągnęła się ta sprawa. Podobne konflikty miałem z przewodniczącym Smołką, z panem Skrzywankiem, one wszystkie skończyły się w sądzie i prokuraturze. Ze Skrzywankiem skończyły się polubownie. Sprawą z panem Smołką zajmowały się 4 prokuratury, także Policja – potem temu wszystkiemu ukręcono głowę. Siła złego na jednego. Te wszystkie konflikty rzutowały na atmosferę w Radzie, a także na moją tam pozycję. Te wszystkie sprawy do dzisiaj bym podtrzymał. To były zarzuty zasadne i uważałem, że robię, co trzeba. Fakt, że nie było pozytywnych konsekwencji był trudny.

Mieliśmy do czynienia z taką dziwną demokracją. Radni uważali, że samorządność polega na tym, że my sami rządzimy i robimy, co chcemy, ponieważ jest 67 osób z jednego klubu. Moje nawoływanie, że jest prawo, które ustala ramy, których nie można przekroczyć, to był głos wołającego na puszczy. W tych ramach należy się poruszać, lecz dla większości one były niezrozumiałe. Ta sytuacja konfliktowa ciągnęła się, muszę powiedzieć, że było to dla mnie dosyć dokuczliwe i też beznadziejne, a prawdę mówiąc nic to nie dawało.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Ten lokal przy Psich Budach osobiście jakoś „odwojowałem" i zrobiłem. Miałem tu regularne dyżury i przychodzili do mnie ludzie ze swoimi sprawami, a ja o te sprawy wojowałem. Niektóre z tych problemów udało mi się załatwić. Pamiętam, jak św. pamięci pan Zaporowski powiedział mi „Pan to jest dziwak, 4 lata w tej Radzie, ani dla siebie nic nie załatwił, ani dla Uniwersytetu".

Pamiętam rozmowę z panem prezydentem Zdrojewskim, usiedliśmy tak prywatnie i zapytałem go, co jest dla niego najtrudniejszą sprawą w tym rządzeniu miastem. Odpowiedział: „sytuacja taka, kiedy przychodzą wszyscy radni i każdy ma jakąś indywidualną sprawę". Sesja Rady tak wyglądała, że siedzi prezydent miasta i bez przerwy któryś z radnych podbiega i mu coś tam do ucha szepcze, a on zapisuje. Cały czas był taki nacisk, każdy chciał załatwić jakąś sprawę osobistą. Ja tego nie robiłem. Owszem, jak przychodzili mieszkańcy, to uważałem za swój obowiązek interweniować. Ktoś tam był skrzywdzony, jakieś podanie o eksmisję, w muzeum wycięto jakieś stare drzewo i ja potem interpelowałem. Most się zepsuł po 3 miesiącach po naprawie, interweniowałem, awanturowałem się, bo firma, która wykonywała to zlecenie dawała gwarancje na 30 lat. Okazało się potem, że to firma „krzak", żadnej gwarancji nie ma i że to lipa. Takie to czasem bywały sprawy.

Jeśli ktoś przychodził do mnie, a sprawa wydawała mi się zasadna, to wtedy interweniowałem. Takim problemem, zupełnie bajecznym, był problem pana Kruszelnickiego, sędziwego 96-letniego mieszkańca Wrocławia, który wojował o wielokrotne naruszanie różnych praw: budowlanego, wodnego, prawa własności. Odziedziczył on działkę w międzywalu. Na tym kawałku gruntu ktoś wybudował sobie altankę. On domagał się wyburzenia tego. Prawo wodne oraz prawo budowlane zabraniały tego typu inwestycji na terenie międzywala, a wzniesiono ją na jego działce, w dodatku bez zezwolenia. Okazało się, że nie jest w stanie tej sprawy załatwić. Przychodził do „Wszystkich Świętych", także i do mnie, i stukał tą swoją laską. On do mnie: „Panie Jurku…", a ja na to: „ Panie poruczniku Kruszelnicki…", no i pisałem, interpelowałem. Tylko Pan Bóg zlitował się nad panem Kruszelnickim, przyszła powódź i to wszystko zalała dokumentnie. On przyszedł do mnie i powiedział: „sprawiedliwości stało się zadość".

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Założyłem Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Inicjatyw Gospodarczych, którego do dzisiaj jestem prezesem. Na przykładzie tej instytucji doświadczyłem, na ile pozorne jest to całe otwarcie na instytucje pozarządowe. W zasadzie jest to kwestia koncesjonowania działalności publicznej i jeśli ktoś wchodzi w życie publiczne bez koncesji, to droga jest ciernista, nieprzyjemna, i doświadczyłem tego w całej pełni. I to jest doświadczenie bardzo bolesne, ale weszliśmy na pole minowe, bo takim było pole stosunków polsko-niemieckich. Historia tego stowarzyszenie jest patetyczna i niezwykle przykra. Oczywiście to się nie powiodło, zostało zdeptane, działa się masa rzeczy, które uważam za skandaliczne. Ale tak się działo. Stosunki polsko-niemieckie – do ich nawiązania muszą być ludzie do tego upoważnieni, to nie może być tak, żeby jacyś Polacy chcieli coś…, okazało się, że ta możliwość jest w cudzysłowie. To było bardzo przykre doświadczenie. Jak te wielkie siły chcą, żeby to się działo, to wtedy są pieniądze, jest wsparcie. Jeśli to jest bez koncesji, to nie ma nic. Wtedy wyrasta mur.

Znajdujemy się w lokalu mieszczącym Stowarzyszenie na rzecz Systemu Wyborczego. Domagam się takiego systemu wyborczego, jaki jest w tej chwili w Wielkiej Brytanii. Małe jednomandatowe okręgi wyborcze, zwycięstwo tego, kto dostaje najwięcej głosów. Przy czym jest rzeczą istotną wymóg, żeby kandydat zapłacił kaucję. To jest taka przestroga, żeby ludzie nie decydowali się kandydować zbyt pochopnie. Jeżeli kandydujesz – musisz być odpowiedzialny, jeśli nie – to płać frycowe. Po pierwsze, to wprowadza odpowiedzialność indywidualną w życiu publicznym. To jest kardynalna sprawa, że nie ma jej na kogo zrzucić – tylko na imię i nazwisko odpowiedniego kandydata. Konkretna osoba jest odpowiedzialna publicznie. Obywatele mogą go z tego miejsca usunąć, bo to jest ich wola. To zupełnie zmieniłoby nasze życie publiczne, gdyby taka ustawa została wprowadzona.

My mamy w tej chwili 17. premiera. W każdym resorcie zmienia się ministra. To jest niedorzeczne państwo, ono nie rozwiązuje problemów, ono nie jest w stanie ich rozwiązać. Ktoś podejmuje jakąś decyzję, nim ją napisze

na papierze, już go nie ma. Urzędy ministerialne stały się jakąś synekurą. On sprawuje urząd przez rok i dostaje półroczną odprawę, bierze pieniądze, i przychodzi następny, a odpowiedzialności nie ma. Nie liczymy się w polityce międzynarodowej. To, że pan Buzek siedzi w Brukseli, to nic nie znaczy, bo on jest też taką osobą do popychania. To państwo nie ma głosu, wykonuje to, czego wielkie siły sobie życzą. Oczywiście, jest także cały szereg innych rzeczy. Kwestia korupcji – jesteśmy państwem, które jest silnie skorumpowane. Przy czym tutaj jest taka niesłychanie groźna korupcja polityczna. W II kadencji pojawiła się nowa ustawa samorządowa, zmieniono przepisy prawne, wprowadzono te kluby partyjne i to w sposób rażący zdecydowanie pogorszyło funkcjonowanie samorządu. Jeszcze w I kadencji ludzie, mimo że byli z jednego klubu, działali niezależnie.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich działalność?

No cóż, byłem zmuszony być w jakiejś komisji. Mówiłem przy tym, że radnych jest 67 z jednego klucza, ja byłem jeden i spoza tego kręgu jeszcze pan Lenkiewicz i pan Skrutacki [Bobrowski]. Moje przyjście na obrady komisji byłoby bez sensu, bo tam znowu panowała większość, a nie byli dopuszczani ludzie z zewnątrz. Ostatecznie znalazłem się chyba w Komisji Współpracy z Zagranicą, z racji stowarzyszenia, o którym wspominałem.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Stosunki z Biurem Rady Miejskiej – bardzo dobrze. Panie wykonywały swoje obowiązki bardzo solidnie. Wszystkie protokoły sporządzano zawsze bardzo rzeczowo, robiono w porządku. Pracownicy Biura byli wobec nas uprzejmi, grzeczni, nie było żadnych problemów.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Nie miałem żadnego wyposażenia. Jak potem powstały te kluby partyjne, to dostały pomieszczenie, komputery.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W I kadencji Rady występowałem o odwołanie Władysława Frasyniuka, delegata Rady do Sejmiku Samorządowego. Swój wniosek uzasadniłem tym, że nie uczestniczył on w sesjach Rady, naliczyłem bowiem, że dziesięciokrotnie opuścił zabrania. Wobec tego, jak może reprezentować ciało, w którego sesjach nie uczestniczy. Pan profesor Miękisz usiłował przekonać mnie, żebym ten straszny wniosek wycofał. Spytałem wówczas: dlaczego?

Pamiętam to wydarzenie, ponieważ to była dla mnie lekcja na całe życie. Wtedy odbyła się godzinna sesja Rady, taka godzina nienawiści. Po kolei wszyscy wstawali i mieszali mnie z błotem. Pamiętam takiego radnego, profesora, który mówił: „postawa pana profesora Przystawy budzi we mnie wstręt i obrzydzenie moralne, jak można takiego człowieka, jak Frasyniuk…, co pan zrobił dla miasta?" To były niesłychane rzeczy. Tak, pamiętam każde wystąpienie. I to rzeczywiście każdy, po kolei, uważał za swój obowiązek wypowiedzieć się po słusznej stronie, a przeciwko stronie niesłusznej, i były tego różne humorystyczne aspekty. Musiałem się bronić przed tym wdeptywaniem w ziemię. Jeszcze widzę i słyszę tę sesję.

Zostałem uznany za wroga publicznego i w związku z tym nie dopuszczano mnie do głosu. Kiedy trzymałem rękę w górze, bo chciałem zabrać głos, to przewodniczący nie widział, że podniosłem rękę i chcę wystąpić. Wtedy musiałem się awanturować, że chcę coś powiedzieć. Zdarzało się trzaskanie drzwiami i było to na porządku dziennym.

Fakt, że był ktoś, kto sprzeciwia się jednomyślności, tym bardziej, że miała ona taką aureolę „Solidarności", jeszcze pogłębiał tę konfliktową sytuację. Jak widzę rzeczy, które się kłócą ze zdrowym rozsądkiem, to zabieram głos. Uważam, że miałem taki obowiązek będąc w Radzie. To było konieczne, takich różnych rzeczy było dużo.`

Myślę, że była zła ordynacja wyborcza, która spowodowała, że całe nasze życie publiczne uległo dewiacji i zdegenerowaniu. Powstało jakieś takie pojęcie drużyny, że wszyscy jesteśmy drużyną i robimy… Tymczasem Rada nie jest drużyną, to są reprezentanci mieszkańców, którzy mają artykułować ich potrzeby i o te potrzeby zabiegać. Klucz był taki, żeby do Rady weszli ludzie, których nikt nie popierał. Dostali po kilkadziesiąt głosów, a potem brylowali nie ciesząc się uznaniem wśród swoich mieszkańców i obywateli, to miało różne konsekwencje.

Ta Rada odcinała się od swojego obywatelskiego otoczenia. I to tak jest 20 lat, że mamy władzę, która coraz bardziej wisi w powietrzu i jest coraz bardziej odległa od tego, co myślą ludzie, a to się zaczęło od fałszywego klucza wyborczego, to był fałszywy klucz. Potem jeszcze doszedł do tego fałszywy sztandar „Solidarności" – mamy efekty. Sztandar „Solidarności" został przejęty nieprawnie i niesłusznie wbrew poglądom większości ludzi z „Solidarności".

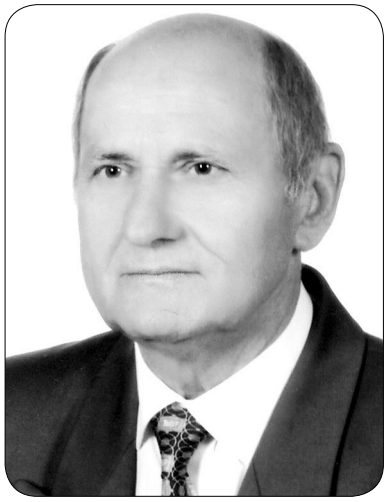
To dawało taki efekt negatywny, wiele czynników powodowało, że ten samorząd nie rozwinął się tak, jakbym ja sobie tego życzył. I, co ciekawsze, zawiódł Uniwersytet, zawiodły szkoły wyższe. Jak ma wyglądać ten samorząd, nikt tego nie wiedział. Nikt tego nie znał, to wymagało analizy, debaty, porozumienia, dyskusji i otóż tej dyskusji zabrakło. Ja w końcu byłem profesorem Uniwersytetu. Nikt przez te wszystkie lata się nie zainteresował, jak ten samorząd ma wyglądać, nie było żadnego gremium. To nie interesowało nikogo. Uznano, że Uniwersytet Wrocławski wydelegował swoich przedstawicieli. Oni tam są i poradzą sobie. I tak się dzieje, jak Polska długa i szeroka. Nie było debaty obywatelskiej, nie było włączania ludzi i to było niedobre.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie byłem w radzie osiedlowej, ale z tymi radami współdziałałem. Ludzie przychodzili do mnie i ja przychodziłem do rad osiedlowych. Oceniam je kiepsko, ze względu na to, że Statut Wrocławia jest zły. Przeciwko temu Statutowi Wrocławia protestowałem. Właśnie to było niedobre, że następowała koncentracja władzy, a ubezwłasnowolnienie tych, co na dole. Byłem odmiennego zdania. Uważałem, że jest grono ludzi, którzy sądzą, że wszystko wiedzą najlepiej. Tymczasem ci ludzie „z dołu" prawdopodobnie wiedzą lepiej, tylko, że nie mają żadnych kompetencji. Byłem za tym, żeby dowartościować rady osiedlowe, ale sądziłem wręcz odwrotnie do tego, co uważali moi koledzy w Zarządzie Miejskim i nic z tego nie wyszło.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Na początku, w latach 1989-1990, było jeszcze trochę wolności medialnej. Media miały stosunkowo dużą swobodę. A z roku na rok, moim zdaniem, było coraz gorzej, coraz bardziej następowało zawłaszczenie tych mediów. One stają się tubami propagandowymi jakichś grup i nie przekazują, co myślą ludzie. To postępowało i przejęcie mediów było coraz bardziej widoczne.



Michał PUTOWSKI

Radny I, II i III kadencji, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia w latach 1994-2002.
Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1994-1998.
Absolwent Wydziału Inżynierii Sanitarnej i Wodnej Politechniki Warszawskiej.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Właściwie przygotowania nie było. To nie było istotne. W ramach pierwszych wyborów do Rady Miejskiej NSZZ „Solidarność" przeprowadzał szkolenia dla kandydatów na radnych. Pamiętam, przy hali targowej, w budynku Uniwersytetu odbywały się takie szkolenia, aby nas trochę przygotować do tych spraw. Natomiast ja miałem inne doświadczenia. W okresie wcześniejszym, nawet w okresie komuny, byłem takim urodzonym działaczem społecznym. Działałem w związkach zawodowych, nie byłem członkiem partii, ale w biurze, w którym pracowałem, byłem przewodniczącym rady zakładowej, tak to się nazywało. Jako bezpartyjny byłem radnym w latach 1973 może 1974 do 1981 r. w Radzie Narodowej Województwa Wrocławskiego i Miasta Wrocławia. Tam byłem radnym, członkiem komisji gospodarki komunalnej, bo to jest branża zbliżona do mojego zawodu. To były zupełnie inne czasy, ale doświadczenie w pracy w tego rodzaju radach miałem. W 1980 r., kiedy powstawał NSZZ „Solidarność", byłem przewodniczącym komitetu założycielskiego Związku w moim zakładzie, później byłem przewodniczącym komisji zakładowej przez dwie kadencje, cały czas próbowałem coś w moim życiu robić, oprócz spraw czysto zawodowych.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Oczywiście. Będąc wówczas radnym, w okresie komuny, zajmowałem się tym, co wiązało się z moim zawodem, czyli zaopatrzeniem miasta w wodę, problemem budowy zbiorników retencyjnych, przeciwpowodziowych. Te zagadnienia występowały zarówno w skali miasta, jak i województwa. Tymi sprawami zajmowałem się w dawnej Radzie. Mogłem wtedy w komisjach wykorzystać swoje doświadczenie zawodowe. Pamiętam, jak po którejś sesji, dyrektor wodociągów dziękował mi, że poruszyłem tak ważne dla miasta zagadnienia. Starałem się coś wymóc na ówczesnych władzach, co by było w interesie mieszkańców.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Przede wszystkim dotyczącymi mojego zawodu. Na początku lat 90. byłem przewodniczącym komisji na Psim Polu, która przydzielała mieszkania. Było to wówczas bardzo uspołecznione i radni w tym uczestniczyli. Byłem wiceprzewodniczącym Komisji Gospodarki Komunalnej, która miała bardzo szeroki zakres działania. Wiele spraw było wówczas zaniedbanych. Na przykład, w latach 70. rozpoczęto budowę oczyszczalni ścieków, lecz niedokończono tego i w I kadencji zajęliśmy się tą sprawą. Problemem jakości wody i związanej z tym modernizacji stacji uzdatniania, także kwestią odpadów i ich sortowania. W czasie tych kadencji wprowadziliśmy w niektórych rejo-

nach Wrocławia sortowanie odpadów do odpowiednich pojemników, które były wystawiane, aby ludzi jakoś do tego przyzwyczaić. Kwestia nowego cmentarza na Kiełczowie, który powstał w tym czasie, łącznie z wybudowaną kaplicą do kremacji zwłok, oraz wiele innych projektów, które były wówczas przeprowadzane i pilotowane przez tę komisję. Uczestniczyłem również w pracach Komisji Ochrony Środowiska. Wątki spraw, którymi się tam zajmowałem łączyły się z tymi z poprzedniej komisji, ale tutaj były to sprawy związane ze środowiskiem człowieka, światem roślinnym, itd. Jakoś staraliśmy się to połączyć. Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że praca w tych komisjach była bardzo ciekawa i dawała mnóstwo satysfakcji, szczególnie, że dotyczyła rzeczy najbardziej ludzi interesujących, które były w tym czasie w mieście przeprowadzane. Uważam, że sprawy komunalne była to dziedzina, w której można było sporo zrobić, zwłaszcza, gdy się miało wykształcenie inżynierskie i znało się problematykę.

W I kadencji, kiedy odbywały się przesłuchania kandydatów na radnych przez specjalne zespoły brano pod uwagę ich kwalifikacje zawodowe, zainteresowania, aby później mieć fachowców do pracy w różnych komisjach. Dzisiaj, o ile się orientuję, poszczególne partie obsadzają miejsca na listach według swego uznania i problem fachowości nie ma już takiego znaczenia, ale wtedy były początki i bardzo dobrze, że byli ludzie różnych specjalności wewnątrz Rady. Można było powołać komisje i prowadzić w nich dobrą pracę.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Największą satysfakcję sprawiało mi, że moja praca w Radzie Miejskiej była doceniana przez radnych, przez Radę. Dwukrotnie pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej, wprawdzie nie przez cały okres, z powodu różnych przyczyn, w każdym razie w dwóch kadencjach byłem wiceprzewodniczącym, co świadczy o tym, że moja praca była doceniana. Pamiętam, jak jeden z kolegów powiedział do mnie, słuchaj, jak to się dzieje, że ty się nie pchasz do władzy, a tobie ciągle coś proponują? Miałem też dwie propozycje objęcia funkcji wiceprezydenta, nie skorzystałem z nich, bo nie chciałem zostawiać mojego zawodu.

Muszę się również pochwalić, że był prowadzony sondaż wśród mieszkańców, żeby wytypować najlepszych radnych i pamiętam, że przez dłuższy czas byłem wtedy w czołówce. W samej Radzie wśród przewodniczących klubów było swego rodzaju głosowanie, żeby przewodniczący mogli oddawać głos na członków nie swoich klubów, lecz przeciwników politycznych, bo swoich łatwo popierać, bo to koledzy, ale kogoś z innego ugrupowania bardziej obiektywnie się ocenia. Wtedy przez inne kluby zostałem wytypowany jako najlepszy radny.

W tych pierwszych trzech kadencjach Rada i władze Wrocławia miały szereg bardzo poważnych problemów do rozwiązania. Została wybudowana oczyszczalnia ścieków, która kiedyś była zaledwie zaczęta. Kontynuowano i w dużej mierze wybudowano obwodnicę śródmiejską, łącznie z mostem Milenijnym, estakadami nad liniami kolejowymi, bardzo poważne inżynierskie zadanie. Poza tym cmentarz Kiełczowski, o którym mówiłem. Szereg różnych innych zagadnień inżynierskich było realizowanych i były to bardzo poważne zadania, które Miasto wykonało w tym czasie i które nie były wcale takie łatwe. Na przykład, w pewnym momencie musiała być przerwana budowa obwodnicy, bo były ogródki działkowe, których nie można było w tym czasie stamtąd wyprowadzić, trwały protesty, były problemy, które jakoś były pokonywane.

Myślę, że sukcesem były te najważniejsze osiągnięcia z zakresu gospodarki komunalnej, które ludzie mogli bezpośrednio widzieć, prócz wielu innych zagadnień, jak np. budownictwo mieszkaniowe. Miasto prowadziło w początkowym okresie budownictwo takich mieszkań. Później to się skończyło, ponieważ powstały systemy deweloperskie, ale w początkowym okresie mieszkania te były budowane. Miasto miało poważne osiągnięcia w dziedzinie planowania przestrzennego, bo Wrocław miał tylko ogólny plan zagospodarowania przestrzennego, nie miał planów miejscowych. Panował duży chaos i musiano wykonać dużą planistyczną robotę. Były to, z mojego punktu widzenia, bardzo poważne prace.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Dla mnie niepowodzeniem (nie tyle niepowodzeniem, ile zbędną rzeczą) było upolitycznienie Rady. Wejście polityki na szczebel samorządowy. Uważam, że było to niepotrzebne, ale jeśli było ileś partii działających w kraju, to dostosowano do tego również system samorządowy. Bardzo miło wspominam kadencję pierwszą, kiedy nie było tego upolitycznienia. Wtedy były spory merytoryczne na temat takiego lub innego punktu widzenia, takiego czy innego sposobu rozwiązania, a nieważne było, jakie radny miał poglądy. Teraz tak zdarza się często, że tylko dlatego jakiś klub jest przeciwko, że tego nie robi ten klub. To upolitycznienie jest dla mnie bardzo niesympatyczne, a jest ono coraz większe. W ostatniej kadencji widzę, że co chwilę zmieniają się przewodniczący Rady, bo wcześniej była jakaś koalicja, która rządziła. Potem wystarczy, że z jakiegoś powodu rozpada się ona, i jest niesympatycznie w Mieście. Oceniam to negatywnie.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Uważam to za rzecz pozytywną, bo poszczególne komisje mogą współpracować z fachowcami w danej branży. Radni niekoniecznie są takimi fachowcami, zwłaszcza ostatnio. My w Komisji Ochrony Środowiska współpracowaliśmy z Klubem Ekologicznym i innymi organizacjami zajmującymi się ochroną przyrody. To była silna i głęboka współpraca do tego stopnia, że wspólnie, przez kilka kolejnych lat, wydawaliśmy informator dotyczący

ochrony środowiska na terenie Wrocławia. W I kadencji, w II, jeszcze może i później, już nie pamiętam dobrze, ale w każdym razie z tymi właśnie instytucjami takie rzeczy wydawaliśmy wspólnym wysiłkiem. Oni pomagali merytorycznie, my ewentualne podrzucaliśmy do wykonania pewne zadania, do przygotowania takiego informatora. W zakresie ochrony środowiska współpraca była na pewno bardzo dobra, głęboka i owocna. W innych branżach nie wiem, ale właśnie w dziedzinie ochrony środowiska, jak najbardziej ją oceniam pozytywnie.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

To oczywiście zależy od tego, jak radni utrzymują kontakt ze swoimi wyborcami, czy mają dyżury. Dyżury się pełniło w Radzie Miejskiej. Jako wiceprzewodniczący również te dyżury pełniłem. Były to specjalne dyżury, na które ludzie przychodzili, bo liczyli, że wiceprzewodniczący może więcej i potrafi załatwić więcej. Miałem również kontakty z radami osiedlowymi, które były tworzone w czasie pierwszej kadencji. Później były one wzmacniane organizacyjnie, kompetencyjnie. W początkowym okresie nawet pomagałem opracowywać statuty rad, które działały na moim terenie, w Śródmieściu. Kontakty te były dosyć istotne, aczkolwiek muszę przy okazji powiedzieć, że rola rad osiedlowych jest trochę za mała. Były takie okresy funkcjonowania Rady Miejskiej, kiedy były różne punkty widzenia, w tym taki, żeby rady wzmocnić i dać im większe kompetencje, ale trzeba by było trochę swoje zmniejszyć, może byłby większy pożytek z tych rad. Wówczas klub, w którym byłem, optował, aby jak najwięcej kompetencji oddać w ręce rad osiedlowych, ale do tego nie doszło.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Uważam, że stosunki między Radą a Urzędem Miejskim były najlepsze wówczas, kiedy Zarząd Miasta, prezydent, nie pochodzili z wyboru bezpośredniego, tak jak teraz, tylko byli wybierani spośród radnych przez radnych, cały Zarząd Miasta był wybierany przez radnych. Wtedy była większa więź i zrozumienie pomiędzy Radą a Zarządem Miasta. Od momentu, kiedy prezydenci są wybierani bezpośrednio, oczywiście mają oni większą władzę, ale tym samym Rada Miejska ma mniej władzy. Kiedyś radnych było około siedemdziesięciu, było więcej komisji, które mogły się zająć większą liczbą różnych spraw. Teraz radnych jest około czterdziestu, w związku z tym komisje są małe i ich praca na tym cierpi. W IV kadencji nie byłem już radnym, tylko ekspertem w Komisji Ochrony Środowiska Rady Miejskiej, w związku z tym mogłem przyjrzeć się pracy komisji w tym zmniejszonym składzie. Praca ta nie była już taka dogłębna, merytoryczna, jak wcześniej. Początki były najlepsze. Najwięcej było zapału. Pierwsi radni naprawdę chcieli dać z siebie dużo, jak najwięcej.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Osobiście uważam, że bardzo dobrze. Byli tam ludzie dobrze przygotowani, bardzo mili i kompetentni, szereg przemiłych pań, mężczyzn może dwóch, trzech się tam przewijało. Bardzo wysoko oceniam wszystkie osoby, które pracowały w Biurze Rady, łącznie z panią Śledzińską, która cały czas jest szefową. Szereg osób się zmieniło. Nastąpiła fluktuacja kadr, w każdym razie bardzo wysoko oceniam pracę tych ludzi.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Mogę mówić przede wszystkim o czasach, w których nie było komputeryzacji. Wiadomo, że dzisiaj jest inaczej. W tamtych czasach, w których my byliśmy, na ówczesne czasy, było to dobrze zorganizowane. Radni mieli w Radzie Miejskiej pokoje do dyspozycji swojego klubu, jakoś wyposażone, itd. To było zupełnie wystarczające, jak na tamte czasy. Najważniejsze, żeby radni byli chętni do pracy. Warunki do pracy były zapewnione.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Mówiłem już o Komisji Gospodarki Komunalnej – praca tej komisji była bardzo szeroka. Uważam, że była to Komisja bardzo dobrze prowadzona i miała duże znaczenie dla gospodarki komunalnej miasta. Szczególnie w I kadencji, kiedy miały miejsce procesy przekształceń własnościowych. Były to bardzo poważne zagadnienia. Odziedziczyliśmy po poprzednim systemie państwowe przedsiębiorstwa. Instytucji samorządowych nie było właściwie żadnych. Trzeba było to przekształcić, sprywatyzować. Odbywało się to często przy bardzo dużych protestach. Trzeba było pertraktować ze związkami zawodowymi, jednymi, drugimi. Było masę problemów do rozwiązania.

Przekształcaliśmy wtedy wodociągi i Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej i wszystkie DZBM-y. Wówczas trzeba było utworzyć firmy samorządowe. Było także dużo konkursów na obsadzanie stanowisk kierowniczych tych firm. Rola Rady wówczas była taka, że uczestniczyliśmy w komisjach konkursowych. Radni się angażowali w bardzo wiele spraw w tym okresie przekształceniowym. Myślę, że Komisja Gospodarki Komunalnej bardzo dobrze pracowała.

O Komisji Ochrony Środowiska też już mówiłem. W minionym okresie tzw. komuny sprawy ochrony środowiska nie były na pierwszym planie. Dopiero na przełomie lat 90. zaczęto o tym coraz więcej mówić i starać się pewne rzeczy zmieniać. Jako Komisja Ochrony Środowiska musieliśmy się spotykać z różnymi zakładami pracy we Wrocławiu, żeby naciskać w kwestiach wydzielania do środowiska różnych zanieczyszczeń. O ściekach już mówiłem, że były osiągnięcia.

Uczestniczyłem także w Sejmiku Samorządowym w II kadencji, bo Sejmik początkowo powstawał przez wydelegowanie delegatów proporcjonalnie do liczby radnych. Poszczególne rady miejskie, gminne delegowały swoich

przedstawicieli i tworzył się w ten sposób Sejmik, który był organem samorządowym na szczeblu województwa. Byłem tam także w Komisji Ochrony Środowiska, która również bardzo dobrze pracowała. Oczywiście na szerszym obszarze, bo wiadomo, że chodziło o województwo. Szereg osób było tam tych samych, co w Mieście. Byłem w Komisji Ochrony Środowiska w Radzie Miejskiej i w Sejmiku Samorządowym. Przewodniczącą była tam radna Ewa Rzewuska. Bardzo dobrze nam się współpracowało. Poza tym, w Sejmiku byłem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej i jednocześnie brałem udział w pracach prezydium.

Uważam, że w tamtym okresie, szczególnie pierwszych kadencji, zaangażowanie radnych było duże i dlatego oceniam ich pracę bardzo pozytywnie. Oceniam bardzo wysoko pracę poszczególnych komisji.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

No właśnie, trochę już mówiłem na ten temat, bo dotyczy on upolitycznienia. Skoro tak jest i kluby muszą być, to pozytywne jest to, że upraszczają one pracę Rady. We wcześniejszym okresie przed sesjami musieliśmy rozpatrzyć wszystkie dokumenty, które wchodzą na sesje, przedyskutować je. Teraz kluby wzywają na swoje posiedzenia kogoś z Zarządu Miasta i tam dyskutuje się wcześniej całe zagadnienie, a potem praca Rady. Przebieg sesji Rady Miejskiej, dzięki posiedzeniom klubów i ich opiniom, może być sprawniejszy i nie trwa tak długo. Kiedyś było normalną sprawą, że sesje trwały dwa dni, dzisiaj trwają kilka godzin i w jednym dniu się zawsze kończą. Kiedyś siedzieliśmy do dwunastej w nocy. Przekładaliśmy sesję na następny dzień, bo już nie mieliśmy siły. Więc jest również pozytywna strona klubów, bo można pracę wcześniej przygotować i przebieg sesji uprościć, skrócić. Nie ma potrzeby tak częstego zabierania głosu przez różnych radnych, skoro są stanowiska klubów i obowiązuje jakaś dyscyplina w klubie. W związku z tym można raczej przewidzieć wynik całej sesji i nie szarpać sobie nerwów niepotrzebną dyskusją.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

O tych zagadnieniach czysto technicznych już mówiłem przy omawianiu spraw gospodarki komunalnej. Natomiast w okresie, w którym ja uczestniczyłem, to była II kadencja, we Wrocławiu odbywał się Kongres Eucharystyczny i była wizyta Ojca Świętego. Został on Honorowym Obywatelem Wrocławia. Było spotkanie papieża z radnymi, było dużo przeżyć natury duchowej w tym czasie. Podczas spotkania każdy radny był przedstawiany Ojcu Świętemu i miał robione zdjęcie. W chwili, kiedy zmarł, wszyscy uznali, że bardzo szybko będzie beatyfikowany, kanonizowany. Wszyscy krzyczeli *santo subito*, że ma natychmiast świętym zostać. Mogę powiedzieć, że mam ten zaszczyt, mam zdjęcie zrobione z Ojcem Świętym. Powiesiłem je sobie na ścianie i powiedziałem, że będę miał osobiste zdjęcie z prawdziwym świętym, a będzie to niedługo, bo prawdopodobnie już w tym roku.

Druga rzecz, która mi bardzo utkwiła w pamięci, to była, też niestety w tym samym roku, wielka powódź, która tutaj się zdarzyła. Ze względu na swój zawód byłem członkiem sztabu przeciwpowodziowego przy wojewodzie wrocławskim. Miałem wtedy trzy tygodnie przerwy w życiu. Zostałem oddelegowany z biura, w którym pracowałem, i cały czas brałem w tym wszystkim udział. Służyłem swoją wiedzą i pomocą w podejmowaniu decyzji. Później starałem się zmniejszyć uciążliwości dla mieszkańców, którzy ucierpieli w trakcie powodzi. Między innymi zajmowałem się odprowadzeniem wody z miasta. Jak woda wlała się do miasta i zeszła w dół, znalazła się w rejonie Szczepina, bo tam są najniższe partie. Nie miała którędy odpłynąć i trzeba ją było odprowadzić. Musieliśmy zrobić specjalną przerwę w wale, aby ta woda miała którędy spłynąć, aby ją spuścić z miasta, żeby można było te tereny osuszyć i odbudować wszystkie urządzenia, które zostały zniszczone.

Od tego czasu, przez trzynaście lat, zajmuję się wyłącznie ochroną przed powodzią. Jest jakaś waga tego zagadnienia, którą władze uznały. Wrocław w ponad jednej czwartej został zalany. W wiele miejsc jeździłem amfibią, latałem helikopterami, znam to wszystko z lotu ptaka, wiem, co było zalane, uszkodzone. To były dla mnie najważniejsze przeżycia, które będę długo pamiętał.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Nie byłem członkiem żadnej rady osiedlowej, ale miałem częste z nimi kontakty. Rada osiedla, na którym mieszkałem, często mnie zapraszała. Bywałem u nich na różnych spotkaniach, mieliśmy wówczas cały czas kontakt. Natomiast uważam, że trochę za małe kompetencje te rady otrzymały i w związku z tym ich działalność jest coraz mniej widoczna, a zainteresowanie mieszkańców wyborami do nich coraz mniejsze. Jest to logiczne, bo jeśli te rady nie mają kompetencji, to ich działalności nie widać. Więc chyba jest trochę niewykorzystana ta możliwość, która była przed radami osiedlowymi.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Formalnie to zainteresowanie było duże, ale praktycznie wtedy, kiedy na sesjach działy się jakieś kontrowersyjne rzeczy, jakieś afery, to przyciągało dziennikarzy najbardziej i o tym przede wszystkim lubili pisać w swoich sprawozdaniach. Jeśli były trudne pod względem merytorycznym zagadnienia, dotyczące planowania przestrzennego, gospodarki komunalnej itd., to problemy merytoryczne ich nie interesowały, ale niestety takie są media. Tak samo dzisiaj, media po prostu szukają sensacji, a nie chcą wnikać w sprawy merytoryczne. Media mają dużą rolę do odegrania, lecz swoje możliwości wykorzystują często w sposób niewłaściwy.



Artur RADASZEWSKI

Radny III kadencji.
Absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu,
dyrektor ds. ekonomii i finansów.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Trafiłem do Rady Miejskiej Wrocławia dzięki zaproszeniu pana Bogdana Zdrojewskiego, jakie wystosował on do Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej i Małej Przedsiębiorczości. Dotyczyło ono udziału w wyborach samorządowych przedstawicieli Izby, którzy w ramach klubu Wrocław 2000 mieli kandydować na miejskich radnych. Prezes Izby pan Jan Zioberski wydelegował do tych wyborów trzy osoby, wśród których byłem i ja. Zgodziłem się kandydować. Pragnąłem sprawdzić się w nowej dla mnie roli próbując pomóc poprawiać warunki funkcjonowania rzemiosła we Wrocławiu, które borykało się z wieloma problemami.

Startowałem z okręgu obejmującego Kozanów, Leśnicę, Maślice i Popowice. Zajmowałem na liście ostatnie, ósme miejsce.

Razem z żoną, bratem, rodziną i z wieloma przyjaciółmi prowadziłem dość intensywną kampanię wyborczą, często rozmawiałem z mieszkańcami mojej dzielnicy, najczęściej pod sklepami. Część z nich nie interesowała się tymi wyborami, ale bardzo wielu przystawało i rozmawiało ze mną, dzieląc się ze mną swoimi bolączkami. Zbierałem dane o tym, co i gdzie boli mieszkańców i w ten sposób stworzyłem mapkę problemów mojego okręgu – jakie i gdzie występowały, które należało rozwiązać.

Zostałem najmłodszym radnym i znalazłem się w nowej rzeczywistości dla mnie, ale szybko się zaaklimatyzowałem, m.in. dzięki temu, że nikt mnie protekcjonalnie nie traktował.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Bacznie obserwowałem życie miasta, jego kierunki rozwoju. Działając w Klubie klasy średniej przy Izbie Rzemieślniczej często współpracowaliśmy z Urzędem Miasta.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się sprawami gospodarczymi i związanymi z infrastrukturą komunalną. Szybko uznano mnie za osobę, która w związku z działalnością w rzemiośle ma swoje zdanie na tematy gospodarcze.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Podczas tej kadencji duży nacisk położyliśmy na układ komunikacyjny. Przyśpieszono prace przy rozbudowie obwodnicy śródmiejskiej, co było dużą zasługą prezydenta Bogdana Zdrojewskiego – udało się rozwiązać wiele problemów komunikacyjnych gnębiących mieszkańców mego okręgu (most Milenijny, estakada „Gądowianka").

Razem z innymi młodymi radnymi brałem udział w stworzeniu – nieistniejącej do tej pory – Komisji ds. Młodzieży. Inicjatywę tę podjęliśmy w dużym stopniu pod wpływem członków Parlamentu Młodzieży, który skupiał młodzież wrocławskich szkół średnich. Komisja ta utrzymywała kontakt m.in. z młodzieżą z różnych środowisk. Próbowaliśmy pomagać im w organizacji różnych imprez kulturalnych. Zainicjowaliśmy też powołanie Nagrody Wrocławia dla najzdolniejszych uczniów.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Uważam, że w istniejących wówczas warunkach, przy bardzo wielu problemach i ograniczonych środkach, jakimi Miasto dysponowało, Rada nie popełniła większych błędów. Przypuszczam, że gdyby kadencja była chociaż o rok dłuższa udałoby się zrealizować wiele projektów, nad którymi pracowaliśmy podczas tej kadencji. To zadanie jednak zostało przekazane w postaci uchwał dla kolejnej kadencji Rady Miejskiej.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Myślę, że udało mi się rozwiązać wiele z problemów, które zgłaszali mi mieszkańcy. Było to możliwe przede wszystkim dzięki temu, że znalazłem się w koalicji, która sprawowała władzę w mieście. Jedną z takich spraw było uporządkowanie parku na Kozanowie, gdzie nikt już nie boi się chodzić. Oczywiście konfliktów sąsiedzkich, których sporo mi zgłaszano, nie byłem w stanie rozwikłać. Na tym polu bardziej sprawdziliby się psycholodzy, którzy mieliby tu pracę na długie lata. Wiele też było drobnych spraw, które zgłaszali mi mieszkańcy na dyżurach. Wtedy dość często dzwoniłem do urzędników, którym podlegała zgłoszona mi sprawa i pytałem, czy nie można jej pozytywnie rozstrzygnąć dla wszystkich stron. Miło później było się dowiadywać od mieszkańców, że taka interwencja przyniosła skutek. Nie były to rzadkie wypadki. Ja oraz inni radni próbowaliśmy zmienić stosunek przeciętnego urzędnika do petentów, których często traktowano jak zło konieczne.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Dobrze. Moim zdaniem, w pracach Rady Miejskiej III kadencji przeważały argumenty merytoryczne nad politycznymi. Zaczęło się to zmieniać, kiedy zbliżały się kolejne wybory samorządowe. Polityka zaczynała odgrywać większą rolę, coraz częściej dochodziło do różnych sporów.

Kandydowałem do następnej Rady, ale nie angażowałem się już w prowadzenie kampanii wyborczej, tak jak w poprzednich wyborach. Zmieniłem swoje podejście do tej sprawy pod wpływem politycznych swarów, jakich byłem świadkiem pod koniec kadencji Rady. Chciałem też w tym czasie pomóc rodzicom w prowadzeniu firmy rodzinnej.

Praca w Radzie dużo mi dała. Inaczej już patrzyłem na funkcjonowanie organizmu miejskiego, poznałem go od kuchni. Wiedziałem już, że wiele spraw, które wydawały mi się proste do rozwiązania z punktu widzenia rzemieślnika, całkiem inaczej wygląda, gdy rozpatruje się je z pozycji urzędnika miejskiego. Stałem się przez to bardziej pokorny, krótko mówiąc szkoła życia.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Wzorowo. Osoby pracujące w Biurze Rady cechują się wysoką kulturą pracy i współpracy z radnymi. Były to osoby bardzo pomocne i życzliwe w codziennej pracy radnego.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Były one wystarczające, nie mam większych uwag. Pamiętam jak po wakacjach weszliśmy do sali sesyjnej po remoncie. To już była europejska klasa. Uważam, że nasza sala sesyjna jest dzisiaj jedną z najładniejszych w Polsce (a widziałem ich sporo).

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Swoje doświadczenia związane z prowadzeniem działalności gospodarczej wykorzystywałem w Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Pracując w niej wykorzystywałem wyniki konsultacji, jakie prowadziłem w Izbie Rzemieślniczej.

Pracowałem też w Komisji Gospodarki Komunalnej, jednej z ważniejszych w Radzie, mającej znaczący wpływ na to, w jaki sposób jest wydawana większa część budżetu Miasta. Praca w niej była ciężka, posiedzenia ciągnęły się do późnego wieczora. Dyskusje – zazwyczaj bardzo merytoryczne – były nieraz niezwykle zażarte, zdania były podzielone, ale finał zawsze optymalny dla wszystkich stron, a zwłaszcza dla miasta. W komisji tej pracowało wielu fachowców, były też i osoby spoza Rady służące swoim doświadczeniem.

Pracowałem także w Komisji ds. Młodzieży, którą stworzyliśmy podczas tej kadencji.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Pozytywnie. Praca w klubach zbierała informacje i stanowiska ze wszystkich komisji. Na obradach ustalano w ramach danego klubu sposób głosowania na sesji Rady Miejskiej. Czasami wchodziła tutaj do gry polityka.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Prace związane z powołaniem Komisji ds. Młodzieży. To była taka mała próba, czy paru młodych radnych będzie w stanie utworzyć taką komisję. Z pomocą wielu życzliwych nam osób – udało się.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

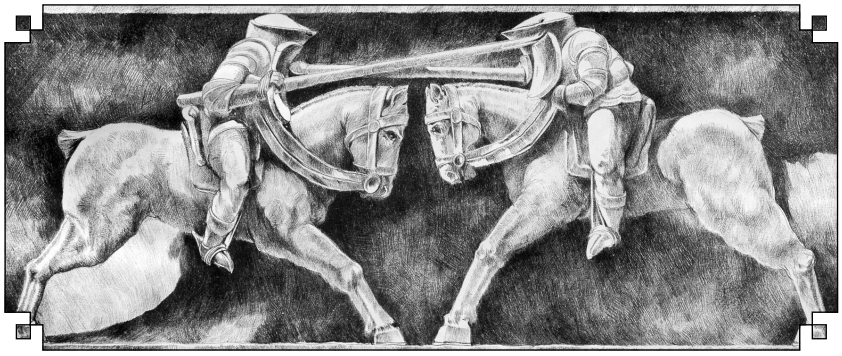
Przedstawiciele tych rad często byli gośćmi różnych komisji. Przedstawiali nam ich punkt widzenia. To w wielu sprawach było pomocne.

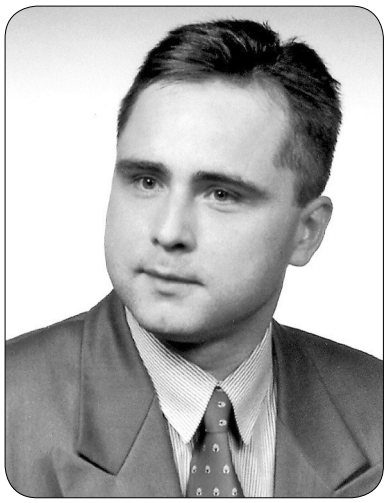
Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Demokracja się rozwijała, samorządy też, media również. Media patrzyły nam na ręce i zawsze nas kontrolowały.

Myślę, że dzisiejszy Wrocław to już miasto w pełni europejskie. Do jego pozycji przyczyniło się wiele osób (wśród nich byli też miejscy radni). Cieszę się, że mogłem się przyczynić do rozwoju mojego miasta będąc radnym i pracując w jego strukturach.

Jestem dumny, że mieszkam we Wrocławiu, że jestem wrocławianinem.





Jacek RUGIEŁ

Radny III kadencji, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w latach 1998-2002.
Absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego
oraz Studiów Podyplomowych Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
na Papieskim Wydziale Teologicznym.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Jednym z istotnych elementów demokracji jest ścieranie się sprzecznych interesów różnych grup społecznych, gospodarczych czy politycznych. Oczywiście zjawisko to występuje również na poziomie samorządu terytorialnego. Często, aby osiągnąć własne cele, trzeba zrezygnować z części swoich oczekiwań czy postulatów. A to nie jest możliwe bez umiejętności rozwiązywania sytuacji konfliktowych i poszukiwania konsensusu. Tego wszystkiego uczyłem się przez wiele lat działalności i pracy w Niezależnym Samorządnym Związku Zawodowym „Solidarność", wspaniałej szkole samo-rządzenia, rozwiązywania problemów i spraw przez samych zainteresowanych, na własną odpowiedzialność. Byłem więc przygotowany do pełnienia funkcji radnego. Oczywiście wielu spraw trzeba było się uczyć – gospodarki przestrzennej, strategii rozwoju lokalnego, finansów publicznych, *etc*. – ale te najważniejsze dla funkcjonowania w sferze spraw publicznych umiejętności nabyłem już w „Solidarności".

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie zajmowałem się. Pamiętajmy, że przed 1990 r. monopol polityczny na zajmowanie się sprawami miasta dzierżyła PZPR. W tamtym okresie – poza bardzo nielicznymi wyjątkami – nie było miejsca na żadne oficjalne przejawy samorządności poza partią komunistyczną i nomenklaturą. Kto o tym zapominał, trafiał do więzienia, przed kolegium czy też poddawany był innym formom represji.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Dwa obszary były mi szczególnie bliskie: rady osiedli, czyli ten najniższy szczebel samorządności, oraz sprawy społeczne. To drugie w dużej mierze wynikało z doświadczeń nabytych w „Solidarności", gdzie na co dzień mamy do czynienia z ludźmi, którzy z różnych powodów nie radzą sobie w życiu i potrzebują wsparcia i sensownej pomocy. W tamtym okresie był bardzo dobry klimat dla rozwijania skutecznej i mądrej polityki społecznej we Wrocławiu. Z jednej strony byli radni Akcji Wyborczej Solidarność, dla których kwestie społeczne było bardzo istotne, a z drugiej, odpowiedzialny za te sprawy w Zarządzie Miasta, wrażliwy społecznie liberał Sławomir Piechota. Współpraca przynosiła naprawdę pozytywne efekty. Jeśli Wrocław ma dziś najlepszy chyba w Polsce system wsparcia dla rodzin wielodzietnych, to część rozwiązań i zmiana myślenia rozpoczęła się przed ponad dziesięciu laty.

Co Pan uważa za największy sukces w swej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Lata 1998-2002, na które przypadła III kadencja samorządu terytorialnego, to czas czterech dużych reform ustrojowych w naszym kraju. Reforma administracyjna, która przyniosła nowy podział na województwa plus powiaty, reforma szkolnictwa i wprowadzenie gimnazjów, reforma służby zdrowia oraz reforma systemu emerytalnego. Tylko ta ostatnia nie dotykała wprost samorządu terytorialnego. Pozostałe w różnym stopniu realizowane były w społecznościach lokalnych. Wprowadzenie gimnazjum spowodowało konieczność wdrożenia nowej sieci szkół, likwidacji jednych placówek, organizowania nowych. Ileż tutaj sprzecznych interesów, i to bardzo różnych grup! Najpierw rodzice, którzy chcą, aby szkoła podstawowa czy gimnazjum były jak najbliżej miejsca zamieszkania, aby dziecko mogło szybko i bezpiecznie dotrzeć do szkoły. Następnie, pracownicy placówek oświatowych zatroskani o swoje miejsca pracy. Dalej, radni i politycy, którzy myśląc o kolejnych wyborach starają się o rozwiązania zgodne z oczekiwaniami wyborców w okręgu wyborczym, które nie zawsze muszą być w zgodzie z interesem całego miasta. Fakt, że udało się to wszystko przeprowadzić bez wielkich protestów społecznych uważam za jeden z sukcesów wrocławskiego samorządu. Natomiast do sukcesu osobistego zaliczam to, że przez całą kadencję zajmowałem się pomocą w rozwiązywaniu problemów konkretnych ludzi. Bowiem praca radnego to nie tylko udział w głosowaniach i pracach komisji, ale może przede wszystkim kontakt z mieszkańcami, tak, aby każdy zainteresowany mógł do niego dotrzeć ze swoimi sprawami.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

U podstaw idei samorządności leży przekonanie, że istnieją wspólnoty pewnych obszarów, które powinny decydować o swoich sprawach, a mieszkańcy tych obszarów czuć się współodpowiedzialni za ich rozwój. Tak w praktyce realizowana jest, wywodząca się z nauki społecznej Kościoła zasada pomocniczości, zgodnie z którą

każdy szczebel władzy powinien realizować tylko te zadania, które nie mogą być skutecznie realizowane przez szczebel niższy. Zatem gmina powinna się zajmować tylko tym, czego pojedynczy człowiek, wraz z rodziną bądź społecznością lokalną jakiegoś osiedla nie mogą wykonać. To przekonanie leżało u podstaw podjętej przez kilku radnych próby zreformowania rad osiedli. Chcieliśmy, aby rady osiedli poprzez przekazanie większych kompetencji oraz zwiększenie ich finansowania stały się silniejszym partnerem dla władz Wrocławia. Niestety, nie udało nam się tego przeprowadzić.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jak najbardziej pozytywnie. We Wrocławiu zawsze przywiązywaliśmy dużą wagę do współpracy z organizacjami pozarządowymi, które są naturalnym partnerem samorządu w rozwiązywaniu problemów lokalnych i zaspokajaniu potrzeb konkretnych grup mieszkańców. Bogactwo organizacji społecznych jest duże tak samo, jak obszar ich zaangażowania: edukacja, oświata, ochrona zdrowia, sport, pamięć historyczna, ekologia, pomoc charytatywna, *etc*. To nie tylko fundacje czy stowarzyszenia, ale również związki zawodowe czy organizacje działające przy kościołach. Warto też podkreślić, że to gminie opłaca się istnienie i sprawne działanie organizacji pozarządowych, które często realizują zadania i rozwiązują problemy lepiej, trafniej i szybciej, zanim one dotrą do urzędników.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Zawsze starałem się wysłuchiwać argumentów ludzi, którzy przychodzili ze swoimi problemami. To jest podstawowy obowiązek radnego. Jednak ostateczną decyzję, na przykład jak głosować, zawsze podejmuje się w oparciu o racje wielu stron, różnego rodzaju ekspertyzy czy opinie fachowe. Oznacza to, że wpływ wyborców nie zawsze jest rozstrzygający.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Po tylu latach nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Najważniejsze, aby każdy w sposób kompetentny robił to, co do niego należy.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bez zarzutu.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wszystko na najwyższym poziomie. Jestem przekonany, że we Wrocławiu mamy jedną z najpiękniejszych sal w Polsce, w których odbywają się sesje Rady Miejskiej. Reszta należy do radnych – muszą dobrze wypełniać swoje obowiązki.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W Komisji Głównej, która zajmowała się przede wszystkim przygotowaniem sprawnego przebiegu sesji Rady Miejskiej, oraz Komisji Sportu. A jak oceniam? Staraliśmy się robić to, co do nas należało, najlepiej jak potrafiliśmy.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, że szczególnie w dużych miastach są konieczne, bowiem to partie polityczne wystawiają kandydatów i starają się zdobyć władzę w celu realizacji swojego programu samorządowego. A programy mogą się bardzo różnić. Co prawda przysłowiowa „dziura w ulicy" nie ma poglądów politycznych, ale już kwestie wspominanej polityki społecznej różnią zasadniczo socjalistę, chadeka czy liberała. I nie ma w tym nic złego. Natomiast częstym problemem samorządu w Polsce jest jego chore upartyjnienie, kiedy na sprawy gminy patrzy się przez pryzmat ogólnopolskich sondaży wyborczych i polityki centralnej. Niestety, w ostatnich latach wirus tej choroby dotarł również do Wrocławia.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Wspomnę o jednym, osobistym. Rada Miejska uhonorowała żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", nadając nowe nazwy dwóm ulicom. Był to prawdopodobnie najprostszy sposób, w jaki społeczność Wrocławia mogła oddać hołd ludziom, którzy poświęcali często życie w walce o niepodległość Polski. Po sesji spotkałem się z kilkoma żołnierzami NSZ-u i WiN-u, którzy nie kryli łez, wzruszenia i szczęścia, że po wielu latach starań wreszcie doczekali się „kawałka" ulicy. Niestety, z powodu błędu formalnego uchwała Rady Miejskiej została uchylona. Kiedy chcieliśmy go poprawić pojawiły się protesty społeczne. Pamiętam żal tych starszych ludzi. Jeden z nich, kpt. Czesław Czaplicki, powiedział mi, że tak, jak w latach PRL-u byli „żołnierzami wyklętymi", tak po odzyskaniu niepodległości nie mogą doczekać się uznania. I tak, niestety, pozostało do dziś.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Pewną podstawę do oceny funkcjonowania rad osiedlowych daje mi doświadczenie współpracy z radami w okresie pracy w samorządzie. W radach osiedli można spotkać bezinteresownych ludzi, którzy z zaangażowaniem pracują na rzecz sowich społeczności lokalnych. Niestety, kompetencje rad są niewielkie, co sprawia, że nie ma zbyt wielu chętnych do angażowania się w ich pracę. Dodatkowo brak tradycji i zrozumienia wśród mieszkańców tego, że istnieją wspólne interesy, które można rozwiązywać wspólnymi siłami powoduje, że dużo częściej ludzie organizują się „przeciw" niż „za". Trudno jednak sobie dziś wyobrazić Wrocław bez rad osiedli.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Na pewno pozytywnie. Specyfiką mediów lokalnych jest ich bliskość naszych spraw, konkretnego człowieka, podwórka czy osiedla. Ta specyfika sprawia, że mogą one być doskonałym nośnikiem obustronnej komunikacji i przekazywania informacji, ale również budowania wspólnoty, odpowiedzialności za nasze lokalne sprawy. Sądzę, że wielu dziennikarzy właśnie tak widzi swoją rolę i w ten sposób wypełnia swoje zadania. Nie kreują rzeczywistości, ale starają się ją opisać i przedstawić mieszkańcom. Dziennikarze są wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ważnego dla mieszkańców, często dzięki ich interwencji udaje się rozwiązać problemy, które wcześniej wydawały się nie do rozwiązania.



Ewa RZEWUSKA

Radna I, II i III kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego w latach 1990-1998.
Absolwentka Wyższej Szkoły Rolniczej, doktor nauk rolniczych.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

W latach popaździernikowych, w 1958 r. jako jeszcze studentka, a następnie absolwentka, włączyłam się w pracę akademickich i instruktorskich drużyn harcerskich we Wrocławiu. Działalność harcerska w dużym stopniu zdeterminowała moje zainteresowania społeczne. Istotną rzeczy jest również to, że od 1964 r. należałam do Klubu Inteligencji Katolickiej. W latach 1988-1989 Klub Inteligencji Katolickiej wystąpił z inicjatywą, że pomoże w przygotowaniu wyborów 4 czerwca 1989 r. Uczestniczyłam wtedy w pracach komisji wyborczej.

W stanie wojennym w 1982 r. przy parafii Matki Boskiej Częstochowskiej utworzyliśmy zespół ludzi współpracujących z arcybiskupim komitetem charytatywnym, którego zadaniem było rozdzielenie darów z zagranicy. Komitet działał od pierwszych dni stanu wojennego aż do 1987 r., później doszliśmy do wniosku, że trzeba tworzyć lokalne komitety obywatelskie, których zadaniem było wspieranie tej jeszcze słabej reprezentacji w Sejmie.

Jeżeli natomiast chodzi o gospodarkę miejską, to pracowałam w Instytucie Gospodarki Wodnej. Było to więc gospodarowanie wodą i przygotowało mnie do myślenia kategoriami infrastruktury sieci zaopatrzenia w wodę, gospodarki ściekami, itd. W tym kierunku wiedzę zdobyłam na studiach podyplomowych na Politechnice.

W 1990 r. początkowo odmówiłam kandydowania do Rady Miejskiej Wrocławia, z powodów rodzinnych, ale następnie, w drugim terminie, zmieniłam zdanie i stwierdziłam, że mogę kandydować. W dniu 20 kwietnia dowiedziałam się, że jestem na liście kandydatów do samorządu. I tak to się zaczęło.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Przed 1990 r. nie zajmowałam się sprawami miasta, natomiast bliskie mi były sprawy społeczne, zwłaszcza problemy młodzieży, a także problemy ubóstwa. Poniekąd zajmowałam się również kwestią zaopatrzenia miasta w wodę. W Instytucie budowaliśmy kolejne programy gospodarki wodnej dla kraju, dla regionu, gdzie bilansowanie ilości wody czy oczyszczalni ścieków w skali Polski było mi bardzo dobrze znane z racji przygotowania zawodowego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Przez wszystkie te lata była to głównie Komisja Ochrony Środowiska. W ramach tej komisji zajmowaliśmy się zaopatrzeniem w wodę, systemami kanalizacyjnymi, oczyszczaniem ścieków, gospodarką odpadami, zielenią miejską oraz problemami ochrony atmosfery, np. koncepcją budowy 40. ekologicznych lokalnych kotłowni w celu ograniczenia emisji niskiej.

Sukcesem Komisji Ochrony Środowiska w I kadencji było doprowadzenie w ciągu roku do wybudowania wodociągu dla osiedla Świniary, w którym woda była zanieczyszczona przez ścieki oczyszczane na polach osobowickich, i oczyszczalni Szewce.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Zadania zrealizowane w latach mojej pracy w Komisji Ochrony Środowiska były sukcesem Komisji, Zarządu Miasta i moim. Były to:

- poprawa zasięgu sieci wodociągowej,
- poprawa jakości wody wodociągowej,
- weryfikacja projektu budowy oczyszczalni w Janówku i wybudowanie przez Miasto I etapu tej oczyszczalni dla 90 tys. m^3 ścieków na dobę,
- ograniczenie emisji niskich przez budowę 40. ekologicznych kotłowni ze zmienionym sposobem ogrzewania,
- poprawa stanu zlewni rzeki Oławy,
- wydanie dwóch kolejnych informatorów o stanie środowiska miasta Wrocławia,
- zorganizowanie przy Sejmiku pierwszego Centrum Edukacji Ekologicznej.

Ważnym osiągnięciem było niedopuszczenie przez Sejmik do prywatyzacji stawów w dolinie Baryczy.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Za porażkę uważam dopuszczenie do likwidacji średniego szkolnictwa zawodowego, co spowodowało brak wielu fachowców, np. w budownictwie, oraz dopuszczenie do znacznego ograniczenia we Wrocławiu sieci żłobków i przedszkoli, pomimo protestu Komisji Zdrowia Spraw Społecznych i Rodziny.

Były też inne zaskakujące sytuacje. W I kadencji Rady Miejskiej duża liczba skarg na sposób załatwiania spraw przez Wydział Architektury stała się powodem zorganizowania przez radnych nadzwyczajnej sesji w tej sprawie. Prowadziłam tę sesję, co stało się powodem wytoczenia mi przez architekta sprawy sądowej. Rzekomo został on obrażony słowami „li tylko" w moim wywiadzie prasowym. Sprawa toczyła się przed trzema składami w sądzie powiatowym i w drugiej instancji w Sądzie Wojewódzkim. Ostatecznie zostałam uniewinniona, ale myślę, że miała ona oduczyć radnych zbytniego przejmowania się sprawami petentów.

W 1999 r. miałam inne kłopoty, gdy w wyniku mojej interpelacji okazało się, że jeden z inwestorów prowadził budowę bez pozwolenia budowlanego. Ten człowiek odwiedził mnie w godzinach wieczornych (ok. 22.00) strasząc kolegami z Wołomina, wypadkiem samochodowym, itp. Mimo zgłoszenia do prokuratury i na policji nie poniósł żadnych konsekwencji.

Problemem jest to, że radny nie ma żadnej ochrony prawnej, a dieta radnego w razie procesu nie starcza na adwokatów i koszta sądowe. Nie ma żadnych regulacji, które zapewniają bezpieczeństwo radnego w związku ze sprawowaniem jego mandatu.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca była dobra. Do komisji wolno nam było powoływać fachowców spoza Rady. To była zasada, z której, według mnie, niesłusznie zrezygnowano.

W okresie 1990-2002 można było zatrudnić specjalistów w każdej dziedzinie, z których część rekrutowano z organizacji pozarządowych lub z grona pracowników wyższych uczelni. Radni nie są wybierani według zawodów i często zdarza się, że w komisjach nie ma ani jednego człowieka przygotowanego profesjonalnie do określonego zawodu. Ta możliwość dawała taką szansę. Ustawowo zrezygnowano z tej formy powoływania specjalistów do komisji, ponieważ rzekomo zbyt drogo to kosztowało. Specjalista, który brał udział w posiedzeniu dostawał około 100 zł, ale uważam, że nie były to stracone pieniądze. Sądzę, że w ekologii, w tych pierwszych latach, największe sukcesy wynikały właśnie z takiej współpracy poszczególnych komisji ze specjalistami.

Liczba radnych przez pierwsze kadencje wynosiła 70 osób, obecnie zmalała o połowę. Uważam, że tym bardziej do każdej komisji powinien być dokooptowany jakiś specjalista. Popełniane błędy kosztują czasem o wiele więcej niż zatrudniony fachowiec.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoja działalność w Radzie?

Myślę, że miałam zaplecze w ludziach ze Śródmieścia. W Radzie Miejskiej utrzymywałam kontakt z wieloma radami osiedla np.: Zalesie-Zacisze-Szczytniki, Sępolno-Biskupin-Bartoszowice-Dąbie, pl. Grunwaldzki i Ołbin. Ten dobry kontakt wywodził się jeszcze z tej pierwszej współpracy z komitetami osiedlowymi i towarzyszył mi w czasie kolejnych lat pełnienia funkcji radnej. Uważam, że należy dać trochę więcej uprawnień radom osiedla, żeby miały one prawo się gospodarować. Często rady osiedla nie mając uprawnień zniechęcają się i ten podział na „my" i „oni" do niczego dobrego nie prowadzi.

W 1990 r. startowałam do Rady Miejskiej z listy Komitetu Obywatelskiego, dlatego ten temat był mi bardzo bliski. Byłam też jedną kadencję w radzie osiedla i myślę, że dało mi to spore doświadczenie**.**

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim układały się dobrze. Byłam w Radzie w tym okresie, kiedy nie było jeszcze bezpośredniego wyboru prezydenta, kiedy Zarząd był wybierany spośród nas. Najpierw trzeba było być radnym, a następnie wybieraliśmy członków Zarządu. To nie był autonomicznie budowany Zarząd.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro Rady Miejskiej było dla mnie zawsze wzorowe i moja współpraca układała się bardzo dobrze. Rzeczywiście to Biuro jest wspaniale zorganizowane. Od 2002 r. nie jestem już w Radzie, ale zawsze mogę tu przyjść i o coś poprosić. Biuro Rady Miejskiej oceniam bardzo dobrze.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

W czasie trzech kadencji w Radzie Miejskiej pracowałam w:

- Komisji Ochrony Środowiska – przez trzy kadencje, a przewodniczyłam jej w okresie 1990-1994 i 1998-2002.
- Komisji Zdrowia, Spraw Społecznych i Rodziny – przez trzy kadencje.
- Komisji ds. Osiedli – dwie kadencje, a przewodniczyłam jej w okresie 1994-1998.
- Komisji ds. Architektury – jedną kadencję.
- Komisji ds. Sportu i Rekreacji – jedną kadencję.

Byłam też przez dwie kadencje, w latach 1990-1998, Delegatem Rady Miejskiej do Sejmiku Samorządowego Województwa Wrocławskiego, w którym pracowałam w:

- Komisji Ochrony Środowiska – przewodniczyłam jej przez dwie kadencje.
- Komisji ds. Zdrowia i Spraw Społecznych – przez dwie kadencje.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Istnienie klubów radnych w samorządach ma na celu sprawny przebieg procedowania uchwał. W obecnym kształcie dokonywania wyborów według ordynacji proporcjonalnej radni w sposób niejako automatyczny łączą się w kluby związane z przynależnością do określonych komitetów wyborczych. Komitety te tworzone są na czas wyborów zarówno przez partie, jak i inne ugrupowania. Przewodniczący klubu powinien pełnić rolę organizatora pracy swojej grupy, w toku której wypracowywane są stanowiska wobec proponowanych uchwał. Często jednakże bez należytej dyskusji narzucane jest radnym określone stanowisko, przy czym głosowanie nad tym stanowiskiem obwarowane jest dyscypliną partyjną. Ogranicza to bardzo samodzielność radnych, a czasem stanowi zupełne zaprzeczenie demokracji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

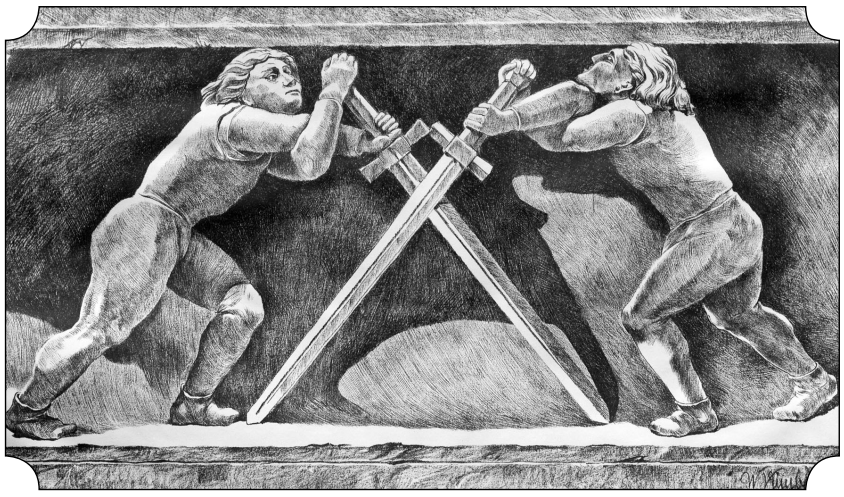
Było kilka takich wydarzeń. Pierwsza sprawa to było to, że udało się czegoś dokonać w gospodarce wodnej oraz w zakresie oczyszczania ścieków. Bardzo ważnym wydarzeniem była też wizyta Ojca Świętego w 1997 r., wtedy odbyło się również spotkanie z radnymi, ponieważ tak zażyczył sobie papież.

Myślę też, że szczególna była ta I kadencja, która cechowała się naszą wiarą w demokrację. Wtedy 97% Rady stanowili radni z komitetów obywatelskich, 3% stanowili przedstawiciele innych ugrupowań. Te cztery lata, to była duża otwartość radnych, entuzjazm i chęć działania. Cała I kadencja była najbardziej autentyczna. Każdy wtedy odpowiadał za siebie i swoje słowa. Cały ten okres 1990-1994 był dla mnie największym przeżyciem i najbardziej zapadł mi w pamięć.

Rok 1997 i 1998 charakteryzowały się wielką mobilizacją związaną z ochroną miasta i ludności przed powodzią, a w kolejnych etapach pracą nad usuwaniem jej skutków. Był to ogromny wysiłek i wielkie doświadczenie.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Myślę, że media znaczną uwagę poświęcają pracy samorządu, jakkolwiek niemal zupełnie nie interesują się pracą komisji, co powoduje brak wiedzy mieszkańców o tym, co naprawdę robią radni.





Tadeusz SAWA-BORYSŁAWSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Moje przygotowanie z punktu widzenia zasad funkcjonowania ustroju państwa było żadne, urodziłem się w ustroju niedemokratycznym.

Sporą wiedzę na temat samorządności uzyskałem pracując społecznie w SARP od 1977 r. (Stowarzyszenie Architektów Polskich); działaliśmy tam w sposób naturalny, spontaniczny i wolny, bywało – nawet w lekkiej niezgodności z zatwierdzonym przez MSW statutem (np. w wyborach – prezesa SARP wybieraliśmy w wyborach bezpośrednich, a nie wyłanialiśmy go poprzez wybrany wcześniej zarząd, jak dyktowały ówczesne zasady). W SARP od zawsze budowano struktury demokratycznie, były spory, dyskusje, i wybory według reguł demokratycznych – to było odczuwalne, kształtowało odpowiedzialność i samodzielność.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Tylko zawodowo. Jako pracujący w mieście architekt oraz działacz lokalnego oddziału SARP – tak.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Nie bardzo wiem, jak rozumieć tu: „życie komunalne" – sprawy komunalne – takie, jak na sesjach Rady i w związku z pracą w Komisji Architektury, związane z kształtowaniem przestrzeni miasta.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Mój sukces: sporo się nauczyłem – współpracy z ludźmi, rozumienia innych, przeciwnych stanowisk i docierania do konsensusu, było też lekkie wyleczenie się z naiwności; sukces kadencji – że przetrwała bez upolitycznienia i większych podziałów, działając w intencji pracy pozytywnej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Trudno powiedzieć, nie oceniałem nigdy pracy Rady w kategoriach sukcesu i niepowodzenia, wydawało się naturalne, oczywiste, że i takie, i takie są. Po prostu robiło się, co było można zrobić zgodnie z własnym przekonaniem i wiedzą, i możliwościami wpływu na bieg spraw.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Nie wiem, „instytucja pozasamorządowe" to szerokie określenie, ale w pracy nie obserwowałem szczególnych utrudnień, budowaliśmy te instytucje od podstaw.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W okresie działania Rady, w kadencji – raczej żaden. Dyżury radnych, to była raczej abstrakcja. Nikt – w sensie medycznym – normalny tam się nie pojawiał. Przynajmniej na moich dyżurach.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Różnie, widziało się, że wejście ludzi w struktury wykonawcze bardzo szybko ich zmienia, ponad miarę usamodzielnia, oddala od Rady; natomiast z perspektywy szeregowego radnego przestawało się widzieć mechanizmy rządzące ludźmi i decyzjami, gdyż zanikała otwartość i – wydawałoby się – niezależne myślenie na rzecz układania się, małej lokalnej polityki

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Biuro było bardzo dobrze przygotowane do pracy, organizacja Biura Rady była perfekcyjna, czuło się przejmowanie się sprawami organizacyjnymi, czuło się opiekę i dobrą informację. Bardzo dobrze te kontakty wspominam.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

20 lat temu nie miałem laptopa, bo ich nie było. Nie oczekiwałem, że będę siedział w wannie na sesji. Stół, krzesło, odbitka ksero... Normalnie było.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Komisja Architektury była, jak nadal mi się wydaje, bardzo aktywna i przejmująca się swą pracą. Błądziliśmy w obszarach, w których trzeba było uchwałami Rady wyprzedzać prawo stanowione przez Sejm. Zastępowaliśmy uchwałami tryb wykonawczy ustaw, szybko, nieomal akcyjne reagując na problemy. Trudna, ale ważna i potrzebna działalność.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Wówczas nie było klubów. Była mała grupa radnych tzw. opozycji – tak jakoś po dwóch latach pracy Rady się to objawiło – grupa moim zdaniem nieistotna z punktu widzenia pracy od podstaw, pracy pozytywnej, ustawiona raczej na populizm. Trudno mi powiedzieć, czy to dobra struktura – kluby (polityczne) w radach miast? Nie wiem, czy można inaczej. Moim zdaniem, im mniej polityki powiązanej z partiami politycznymi, tym lepiej się dzieje na poziomie samorządności, ale to raczej podejście romantyczne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Przywrócenie historycznego herbu Wrocławia – znaku tożsamości miasta i wrocławian, pogodzenia się z historią miasta. Dla mnie osobiście – wielkie święto. I sprawy z tym związane – pierwszy nieudany wzór przedstawiony do głosowania i po cichu wprowadzony ten graficznie znacznie ulepszony, opublikowany po jakimś czasie w zbiorach uchwał Rady. Dziś funkcjonuje w obiegu wzór trzeci – bardzo dobry.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Wówczas rady osiedlowe dopiero powstawały w wyniku naszej działalności. Mam kontakt z przedstawicielami mojej rady osiedla. Dyskutujemy czasem.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie mediów – niewielkie myślę; media lokalne, tak jak ja je rozumiem, w zasadzie nie istniały, dodatek miejski do „Gazety Wyborczej" był wówczas nieco lepszy niż obecnie. Pozostałe ówczesne gazety („Słowo Polskie", „Gazeta Robotnicza", „Wieczór Wrocławia"), to niby gazety regionalne i miejskie zarazem, ale miastem zajmowały się raczej powierzchownie, a w odniesieniu do Rady – standardowo, odnotowując sesje i poruszane tam sprawy, bez wnikania w ich istotę, szukając sporów, bez chęci dokładnego informowania, standard. Oceniając z punktu widzenia czasu – niewiele się w tej materii zmieniło, a jakąś pozytywną odmianą w kategorii mediów lokalnych jest obecna „Gazeta Wrocławska". Mam nadzieję, że stanie się gazetą lokalną na serio. Nadal brak dobrego, społeczno-kulturalnego tygodnika (odpowiednika dawnych „Wiadomości").

Próbowałem być przez krótki okres rzecznikiem prasowym Rady działając w intencji zmiany tej sytuacji, ale to mi raczej nie wyszło. Kontakt z prasą na zasadzie normalnej współpracy informacyjnej nie istniał. Chciałem stworzyć coś w rodzaju forum informacyjnego w „Informatorze", przygotowywałem też felietony w prywatnym radiu (na ul. Grabiszyńskiej, radio „Plus"? Nie pamiętam nazwy) – obydwa media, i „Informator" (miesięcznik), i radio, miały słaby zasięg, niewielkie możliwości dotarcia do odbiorcy.

◇◇◇

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Przede wszystkim oczywiście sprawami kultury. W Komisji Kultury działałem zawsze. Jako nauczyciel akademicki przez pewien czas pracowałem także w Komisji Oświaty, te sprawy ogromnie mnie interesowały.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Muszę przyznać, że trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Zawsze zabierałem głos w sprawach budżetowych, bo tak mi się wydawało, że kultura jest niedoszacowana. Pamiętam, że na moją prośbę zdobyliśmy dane o tym, jak procentowo wygląda wkład, jak wyglądają wydatki na kulturę w innych miastach podobnych do Wrocławia. Okazało się, że nie jest tak źle. Wrocławiowi inne miasta jednak ustępowały. Któreś z małych miast miało procentowo lepsze wydatki na kulturę, ale okazało się, że Wrocław był w dobrej sytuacji pod tym względem, choć nie tak dobrej, jak byśmy sobie tego życzyli, szczególnie działacze Komisji Kultury.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Od początku, nawet jak byłem radnym w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, i później w Radzie Miejskiej, ciągle walczyłem o salę koncertową z prawdziwego zdarzenia i zawsze moje postulaty cieszyły się uznaniem i poparciem. Moją kadencję radnego skończyłem w 2002 r., a dopiero teraz, po ośmiu latach, sprawa rusza. Są już pierwsze kroki i projekt też już jest. Niepowodzeniem więc było to, że ta sprawa nie mogła się rozpocząć w czasie mojej kadencji. Może to, że ubiegałem się o tę salę koncertową, wówczas jako radny, jednak nie było takim całkiem niepowodzeniem, skoro poskutkowało.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Komisja Kultury miała często spotkania, zapraszała różnych działaczy z instytucji pozasamorządowych i wydaje mi się, że dobrze układała się ta współpraca. Wprawdzie zawsze działacze każdej takiej instytucji pozasamorządowej chcieliby większego poparcia, większego uznania z naszej strony, a my musieliśmy traktować wszystkich jednakowo. W sumie jednak wydaje mi się, że dobrze układała się ta współpraca.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Miałem od czasu do czasu dyżury radnego i pamiętam, że sporo osób przychodziło, nie tylko w sprawach kultury, ale też np. mieszkaniowych. Pamiętam bardzo częste interwencje. Czy były skuteczne? Oczywiście interweniowałem w imieniu mieszkańców. Wiem, że niektóre interwencje były skuteczne, ale niestety, nie wszystkie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Wydaje mi się, że jestem człowiekiem, który umie współpracować z ludźmi. Pełniłem na uczelni różne funkcje: dziekana i rektora, więc wydaje mi się, że umiem współpracować z ludźmi. Dlatego wspominam bardzo dobrze moje kontakty z władzami miasta. Nie miałem problemów.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Tu nie miałem nigdy żadnych konfliktów.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Trudno mi jest powiedzieć, jaka jest teraz sytuacja. Wówczas nie miałem takich problemów. Pamiętam, jak na mój wniosek pracownicy Biura Rady Miejskiej postarali się o tony papieru: zawierały one informacje o tym, jak wygląda sprawa kultury w różnych ośrodkach. Mieliśmy te dane bardzo szybko. Bardzo mi zaimponowało, że tak szybko zdobyliśmy do wglądu informacje z Gdańska, Szczecina, Łodzi, Krakowa, Poznania, Katowic, Warszawy o usytuowaniu kultury w budżecie tych miast.

Nie wiem, jak teraz wygląda sprawa wyposażenia sali, bo już tam dość dawno nie byłem, dla mnie warunki w tej sali były dobre.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Przez obie moje kadencje pracowałem w Komisji Kultury i tam byłem najbardziej aktywny. Czy skuteczna była nasza praca? Wydaje mi się, że w miarę możliwości była ona skuteczna, choć marzenia zawsze są inne, zawsze chcielibyśmy mieć większy wpływ oraz lepszą skuteczność. W sumie oceniam pracę komisji pozytywnie. Przez pewien czas pracowałem w Komisji Oświaty. Był też czas, że istniała taka doraźna komisja, która zajmowała się sporami w Radzie – Komisja Regulaminowa. Spory między radnymi bywały. To była komisja powoływana do konkretnego przypadku i pamiętam, że trudna była w niej praca, ale udawało się pogodzić w niej zwaśnionych radnych.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Myślę, że jednak są potrzebne. Niektórzy radni są niezorientowani w jakimś problemie i jeśli się ten problem przedyskutuje, przeanalizuje na klubie, to ma się przygotowanie do sesji plenarnej. Jestem obyty ze sprawami kultury czy oświaty, jednak miałbym niedosyt na posiedzeniu plenarnym, gdybym wcześniej na klubie nie wymienił poglądów z kolegami z klubu. Osobiście uważam, że są one potrzebne i pozytywnie oceniam pracę tych klubów.

Dla mnie były one owocne, gdyż w niektórych sprawach, choćby np. budowlanych czy mieszkaniowych, byłem mało zorientowany. Okazało się, że w klubie zawsze było kilka osób świetnie przygotowanych i już miałem

pogląd, i nie szedłem bezradny na posiedzenie plenarne. Dla mnie to było bardzo korzystne. Uważam, że podobna jest ocena wielu innych radnych, że w klubie mogło nastąpić dobre przygotowanie do niekiedy ważnych tematów na sesjach plenarnych.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Może takie drobiazgi, ale dla mnie pamiętne, jak koncert Plácido Domingo na Rynku. To było duże wydarzenie dla muzyka. Była też taka inicjatywa przewodniczącego Komisji Kultury kadencji 1994-1998, pana Ireneusza Guszpita – tablica pamiątkowa na budynku, w którym kiedyś pracował wielki kompozytor niemiecki Karol Maria Weber – kierownik teatru operowego. Miałem w tym swój wkład i przygotowałem koncert. Przygotowałem nawet referat na temat Webera. Ta tablica, niedawno stwierdziłem, na tym budynku nadal jest. To jest obecnie liceum przy ulicy Piotra Skargi.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie mam dużego rozeznania. Byłem kilkakrotnie poproszony przez kogoś, nie pamiętam, kogo z Rady Miejskiej, o takie spotkanie na Krzykach. Zauważyłem tam ludzi oddanych tej sprawie, choć mających nie najlepsze warunki, nie tylko lokalowe. Tu akurat im współczułem, że nie mają dobrych warunków do pracy. Było to sporadyczne, ale miałem kilka razy spotkania radnego, szczególnie z Radą Osiedla „Borek". Działacze tej rady osiedlowej bardzo nalegali, żebym wspomógł ich działania, ale miałem tak dużo pracy w Akademii Muzycznej, nie tylko wrocławskiej, również katowickiej, że jednak nie zgodziłem się wejść do ich grona działaczy. Może mieli o to żal, ale trudno podejmować taką decyzję, skoro miałem już tak dużo pracy i zawodowej, i społecznej, ponieważ wówczas byłem prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków i prezesem Oddziału. Na dodatek pełniłem funkcję prezesa Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów, co więcej, byłem też prezesem Fundacji *Wratislavia Cantans*. Tych funkcji miałem mnóstwo i mimo nalegań rady osiedlowej nie zdecydowałem się wejść w jej skład.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Myślę, że media jakby kontrolują, czasem inspirują, a nawet zmuszają do działania. Uważam to za słuszne. A to, co mi się podoba? Jeśli w poważnej sprawie media robią jakiś szum, to bardzo dobrze. Jeżeli z drobiazgu robi się coś istotnego, to wtedy uważam, że może szkoda, że media przejaskrawiają pewne problemy. Tak musi być po to, żeby wzbudzić zainteresowanie władz jakąś sprawą. Może i warto przesadzić w krytycznym ocenianiu jakiegoś zjawiska. Generalnie uważam, że to jest zadanie mediów. Wydaje mi się, że to zainteresowanie jest spore i chyba potrzebne Miastu. Czasem dziennikarze potrafią zauważyć coś istotnego, czego akurat władze nie zauważyły.

◇◇◇

Z perspektywy lat, które minęły od mojej kadencji widzę, że to, co projektowaliśmy teraz jest realizowane. Jest to oznaką ciągłości władz miejskich. Do wielu kwestii, które wówczas poruszaliśmy, dziś się wraca. Ich rozwiązanie wymaga pieniędzy, a tych brak. Ogrom zadań we Wrocławiu jest niewyobrażalny, przez pięćdziesiąt lat komunistycznych rządów we Wrocławiu nie zbudowano żadnego mostu. Most Tysiąclecia jest pierwszym takim obiektem zbudowanym po 1945 r. i powstał też m.in. dlatego, że nie zbudowano mostu łączącego ul. Krakowską z Biskupinem. Ulicę Krakowską remontowano przez dwa lata, bo nie była remontowana od czasu wojny. Ulica Curie-Skłodowskiej była remontowana dwa lub trzy razy i za każdym razem remont był źle przeprowadzony. Podobnie było z wieloma innymi obiektami.

W III kadencji Rady mówiło się o wejściu do Unii Europejskiej i środkach, które można z niej uzyskać, ale to nie były łatwe pieniądze. Wiceprezydent Andrzej Łoś mówił wtedy, że do każdej złotówki z Unii my musimy dołożyć jedną własną.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces III kadencji Rady?

Jednym z większych sukcesów naszej Rady było opracowanie strategii rozwoju przestrzennego miasta oraz uchwalenie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego. Powstało kilka takich dokumentów opracowanych przez Biuro Rozwoju Wrocławia i dotyczących m.in. Starego Miasta. Plany te są bardzo istotnymi dla miasta dokumentami, ale wiele z nich do dziś jeszcze nie powstało. Przyczyn tego jest wiele. To są prace pochłaniające duże środki i bardzo czasochłonne. Nakładały się na to błędy radnych, kłopoty z pogodzeniem interesów Miasta i poszczególnych grup mieszkańców – ktoś ma ogródek, działkę, itp. Jak to wyważyć? Pamiętam, że ówczesny dyrektor Biura Rozwoju Wrocławia, gdy mieszkańcy grozili sądem, dlatego, że nie uwzględniał ich żądań, odpowiadał, że Miasto wygra sprawę. Miał rację, ale takie protesty blokowały opracowanie takich planów co najmniej na rok. Mieszkańcy nie mają świadomości, czym jest miejscowy plan zagospodarowania. Określa on, co w danym miejscu ma powstać, bez podawania konkretnej daty realizacji. Jeśli ktoś chce na danym terenie inwestować, to musi to czynić w zgodzie z tym planem.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Moim zdaniem, Rada czy też Miasto powinno częściej rozmawiać z mieszkańcami, nawet ich przekupywać. Nie może być tak, że grupa mieszkańców blokuje strategiczne inwestycje, np. obwodnicę śródmiejską. Miało to miejsce m.in. na ul. Klecińskiej, podobnie na obwodnicy autostradowej, gdzie wywłaszczono państwa Krzywdów. Miasto zaproponowało im za małą kwotę za wykup ich działki. Z wyceną ziemi są zawsze duże problemy.

Na Biskupinie nie zrealizowano projektu przedłużenia obwodnicy śródmiejskiej do Stadionu Olimpijskiego. Mieszkańcy Biskupina obawiali się, że wobec braku obwodnicy autostradowej ruch tranzytowy pojedzie przez ich dzielnicę. Gdyby przekonano mieszkańców, że chodzi tylko o przeniesienie ruchu z Sępolna, Zalesia i Biskupina do centrum, to może mieszkańcy by się zgodzili. A tak mamy na moście Szczytnickim i Zwierzynieckim dwa wąskie gardła.

Wrocław jest miastem, przez którego centrum odbywa się tranzyt na osi północ-południe, wschód-zachód. Miasto przez to jest zakorkowane. Ten układ drogowy został wytyczony jeszcze przez Niemców.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jako całkiem dobrą.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ ten był raczej niewielki, ograniczał się np. do uczestniczenia w spotkaniach dotyczących konfliktów lokalnych, np. przebiegu obwodnicy śródmiejskiej wzdłuż ul. Klecińskiej lub spotkania w sprawie likwidacji Domu Dziecka na Żernikach.

Działalność w Radzie Miejskiej była pewnym doświadczeniem, nauką. Zauważyłem, że często stosunki między władzami a mieszkańcami można sprowadzić do relacji my – oni. Takie są, niestety, realia. Rada Miejska reprezentuje interesy miasta, mieszkańcy reprezentują po prostu siebie. Poza tym jest problem reprezentatywności. W przypadku małych miejscowości jeden radny jest przedstawicielem kilkuset osób lub tysiąca mieszkańców. We Wrocławiu ten stosunek wynosi 1:10 000, jak jeden radny ma ich reprezentować? Jak wyważyć racje wszystkich? Interesy mieszkańców i miasta? Problem nie do rozwiązania.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Znaczących konfliktów z Zarządem Miasta raczej nie było.

Pamiętam, że były dyskusje między Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej a rodzinnymi domami dziecka, jak rozliczać ich wydatki. Czy rodziny mają rozliczyć każdą wydaną złotówkę i w związku z tym mają prowadzić całą skomplikowaną buchalterię? Jak małżeństwo opiekujące się dziesięciorgiem dzieci ma dodatkowo prowadzić dokładną księgowość? Spotykaliśmy się z tymi ludźmi i oni na to narzekali. Ale i tak Wrocław był wtedy w czołówce, jeśli chodzi o liczbę funkcjonujących rodzinnych domów dziecka.

Pamiętam, że był też problem z zasiłkami ustawowymi, m.in. z dodatkami mieszkaniowymi. Miasto musiało je wypłacać, ale budżet państwa, który je refinansował nie wpłacał pieniędzy gminie. Wtedy Miasto musiało brać

kredyty. Podobne sytuacje miały miejsce, gdy rząd podnosił pensje nauczycielom, ale nie podwyższał subwencji oświatowej. Zarząd Miasta za zgodą radnych brał kredyt.

Był też problem sprzedaży mienia, prywatyzacji. Był to duży dochód Miasta. Kiedyś na posiedzeniu Rady członek Zarządu Miasta Grzegorz Oszast zapytał: a co będzie, jak sprzedamy wszystko? Pamiętam, że był on zwolennikiem tego, by Miasto optowało za pozyskiwaniem nowych terenów. Podobno inne miasta prowadziły politykę pozyskiwania, budowania nowych obiektów i ich późniejszego wynajmowania lub sprzedaży. Tereny uzbrojone w mieście zaczynają się kurczyć. Już wtedy mówiło się, że z lotu ptaka można poznać granice Wrocławia, bo na jego obrzeżach znajdują się puste pola. Graniczyły one z osiedlami budowanymi w sąsiednich gminach. Tak jest między innymi na Psim Polu w kierunku na Długołękę. Za Mirkowem zaczynają się pawilony handlowe. Podobnie na moim osiedlu – Brochów i Bieńkowice. Za „płotem" Wrocławia powstają nowe osiedla, np. małe Zacharzyce, mieszkańcy Wrocławia budują się w Iwinach lub w Żernikach.

Dyskutowaliśmy wtedy też nad tym, by część podatków płaconych przez podatników na danym terenie zostawała w gminie, a nie była odprowadzana do Warszawy. Tam urzędnik decydował, która gmina, ile i kiedy dostanie.

Andrzej Jaroch, który był wtedy w Zarządzie Miasta, mówił nam, że Miasto jest zainteresowane, by było, jak najmniej bezrobotnych, bo to pracujący płacą podatki.

Później wypłynął problem spadku liczby mieszkańców Wrocławia poniżej 600 tysięcy i wtedy – zgodnie z ustawą – zmniejszyła się liczba radnych o dwóch.

Mieszkańcy wyprowadzają się z Wrocławia, ale nadal w nim pracują i korzystają z jego infrastruktury. Wtedy też wypłynął problem ulicy Czekoladowej i centrum handlowego na Bielanach. Na terenie gminy Kobierzyce powstało duże centrum handlowe, do którego można było dojechać z Wrocławia ul. Czekoladową, cichą, spokojną ulicą. Nagle gwałtownie wzrósł na niej ruch pojazdów jadących do centrum handlowego. Zyski z tego ciągnęły Kobierzyce, zaś Wrocław musiał ponosić koszty rozwiązywania problemów komunikacyjnych związanych z tym centrum. W końcu sprawę załatwiono podpisaniem umowy aglomeracyjnej regulującej te kwestie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Uważam, że warunki, jakie stworzono radnym były wystarczające.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Przez jakiś czas byłem w Komisji ds. Osiedli, z której później przeszedłem do Komisji ds. Rodziny. W Komisji ds. Osiedli zajmowaliśmy się reformą rad osiedli, ich upodmiotowieniem. Nie zrealizowano tego projektu. Rady osiedli miały być buforem między mieszkańcami a prezydentem i Radą Miejską. Chcieliśmy, by ludzie nie zwracali się ze wszystkimi sprawami do organów Miasta, lecz do rad osiedli, które większość spraw mogłyby spokojnie załatwić. Do dziś ten problem nie został rozwiązany.

W Komisji ds. Rodziny udało się opracować raport na temat sytuacji rodziny we Wrocławiu. Gdy przyjmowano ten raport, jeden z radnych stwierdził, że przedstawia on całkiem niezłą sytuację ok. 75% wrocławskich rodzin, nie mówi za to o 25% rodzin żyjących poniżej minimum socjalnego, rodzin wielodzietnych czy też patologicznych.

W tym czasie zaczęto reorganizować szkolnictwo, część szkół wygaszano lub likwidowano, co powodowało protesty społeczności lokalnych. Z perspektywy czasu widzę, że ta reforma miała swoje uzasadnienie.

Byłem także członkiem Komisji Komunikacji i Komisji Architektury.

Komisja Architektury skutecznie pracowała nad kolejnymi planami zagospodarowania przestrzennego – mieliśmy świadomość, że jest ich zdecydowanie za mało, a to one wyznaczają kierunki rozwoju miasta.

Myślę, że każda Rada Miejska chce przede wszystkim rozwiązywać bieżące sprawy, między innymi związane z komunikacją. Dyskutuje się nad tym, co ma być priorytetem: komunikacja zbiorowa czy też indywidualna? U nas nie ma priorytetu komunikacji zbiorowej. Dlaczego np. podczas remontu ulicy Kazimierza Wielkiego nie wydzielono osobnego pasa dla autobusów? Jako członkowie Komisji Komunikacji odwiedziliśmy Bonn, gdzie oglądaliśmy, jak jest zorganizowana komunikacja. Jest tam jeden pas ruchu tylko dla autobusów, którym nie mogą poruszać się inne samochody. Niemcy pokazywali nam, jak optymalizowali komunikację, zaczynając od analizy ruchu. We Wrocławiu były przymiarki do przeprowadzenia analizy ruchu, ale nic chyba z tego nie wyszło. Niemcy pokazali nam też centrum zarządzania ruchem, gdzie na dużej ścianie umieszczony był plan miasta z zaznaczonymi szlakami komunikacyjnymi, każdą zwrotnicą tramwajową i sygnalizacją świetlną. Z tego centrum można było regulować całym ruchem. We Wrocławiu do dzisiaj nie ma takiego centrum. Poza tym udało im się włączyć kolej do komunikacji miejskiej. Pociąg, który wjeżdża do miasta na jego terenie jeździ jak tramwaj. Wyjeżdża z miasta i dalej jedzie jak pociąg. Podobne próby włączenia sieci kolejowej w komunikację miejską były przeprowadzane za moich czasów w Krakowie. Wydaje mi się, że mimo dużych nakładów, komunikacja we Wrocławiu jeszcze przez wiele lat będzie spędzać sen z powiek gospodarzom miasta.

Pamiętam, że dyskutowaliśmy nad koncepcją szybkiego tramwaju, który dziś funkcjonuje. Nie dyskutowaliśmy, jaki tramwaj ma być kupiony, tylko nad tym, jaką trasą ma jeździć. Rozpatrywana była trasa: Krzyki – Żmigrodzka.

Tramwaj miał jechać na tym odcinku 20 minut i ktoś z Komisji Komunikacji przypomniał, że na początku lat 50. tramwaj na tej trasie właśnie tyle czasu jeździł. Wiedzieliśmy, że tramwaj, jeśli ma być szybki, musi mieć wydzielone torowisko. Rozpatrywaliśmy również trasę Leśnica – Biskupin, ponieważ na tej trasie torowisko w dużej części jest wydzielone. Drugim warunkiem niezbędnym do efektywnego funkcjonowania takiego tramwaju jest to, by na danej trasie jeździł tylko jeden typ tramwaju. Starsze tramwaje, wolniej jeżdżące, blokowałyby szybszy tabor, który nie ma możliwości wyprzedzania.

Zaległości są ogromne. Prezydent Huskowski mówił nam, że choć inwestowalibyśmy nie wiem jak dużo, to przez najbliższe 10-15 lat nie uda się rozwiązać wszystkich problemów komunikacyjnych we Wrocławiu. Komisja Komunikacji próbowała opracować całościowy model funkcjonowania komunikacji miejskiej we Wrocławiu. Zajmowaliśmy się planami perspektywicznymi, m.in. włączeniem linii kolejowych w system komunikacji miejskiej. Opracowano koncepcję takiej komunikacji na trasie Psie Pole – Leśnica. Wrocław ma bardzo bogatą infrastrukturę kolejową. Projekty te, niestety, nie zostały zrealizowane. Dyskutowaliśmy nad systemem parkingów na obrzeżach miasta. Mieszkaniec dojeżdżałby do węzła komunikacyjnego, gdzie na parkingu zostawiałby samochód i wsiadał do jednego ze środków masowej komunikacji. Następnie autobusem lub tramwajem dojeżdżałby do centrum. Bilet parkingowy miał upoważniać do bezpłatnego przejazdu komunikacją miejską. Do dziś tego nie ma, ale jest już bilet aglomeracyjny. Przez miesiąc jeździłem z Brochowa do Wrocławia pociągiem. Do biletu kolejowego dokupywałem znaczek, który uprawniał mnie do jazdy komunikacją miejską.

Planowaliśmy realizację obwodnicy śródmiejskiej. Miała ona przebiegać od Tesco przy ul. Długiej przez ul. Poznańską, plac Strzegomski, ul. Szpitalną do ul. Powstańców Śląskich i dalej do Swobodnej lub Ślężnej. Za Dworcem Głównym do ul. Pułaskiego, przez plac Społeczny i most Pokoju. Elementem obwodnicy miała być ul. Pułaskiego, przy której wyburzono budynki i do dziś nic się tam nie dzieje. Przebudowa Pułaskiego, to również remont pl. Wróblewskiego i likwidacja estakad na pl. Społecznym. Złośliwi twierdzą, że potrzebne jest trzęsienie ziemi, żeby estakady się zawaliły, dzięki czemu może rozwiązano by ten problem. Omawialiśmy też kwestię budowy przejścia przez tory kolejowe między pl. Strzegomskim a ulicą Szpitalną. Był wtedy uchwalony miejscowy plan zagospodarowania tego terenu. Teren był podzielony na dwie części, tak, by można było w łączniku umieścić przejście przez tory. Pytaniem było, czy Dworzec Świebodzki będzie czynny i czy w związku z tym przejście będzie w poziomie – w poprzek torów – czy też górą, estakadą. Do dziś tego nie zrealizowano, a to poważnie odciążyłoby rejon placu Jana Pawła II i plac Legionów. Dziś od ul. Grabiszyńskiej do Legnickiej trzeba jechać dookoła – Tęczową i Braniborską.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Istnienie klubów wynika z upolitycznienia Rady Miejskiej – aby się do niej dostać trzeba startować w ramach jakiegoś ugrupowania politycznego. Konsekwencją tego była konieczność podporządkowania indywidualnej opinii radnego opinii klubu jako całości, co prowadziło czasami do konfliktu „sumienia". Do dzisiaj stanowiska klubów, niestety, czasem wynikają nie z interesów ogólnych miasta, lecz z układów politycznych (my poprzemy wasz pomysł, jeśli wy poprzecie nasz).

Rada Miejska za mojej kadencji była bardzo upolityczniona. Należałem do klubu Akcji Wyborczej Solidarność. W komisjach pracowało się merytorycznie, bez względu na przynależność polityczną. Jednak, gdy dany problem omawiano na sesji Rady Miejskiej, to stawał się zagadnieniem politycznym. Śmialiśmy się, że problem lokalizacji wychodka też byłby problemem politycznym. Często dochodziło do zderzenia opinii poszczególnych radnych z opinią ich klubu. Z tego powodu kilkanaście osób wystąpiło ze swoich klubów, m.in. z AWS, Platformy i chyba dwie osoby z SLD i stworzyło swój własny klub. Tłumaczyli, że nie chcą głosować zgodnie z dyscypliną partyjną, ale w zgodzie z własnym zdaniem. To jest problem, jak pogodzić własne zdanie z dyscypliną partyjną. Dochodziło do konfliktów na tym tle, chociaż nie było to częste. Sytuacje takie rodziły gorące dyskusje, ale nie blokowały prac Rady.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Dla mnie ważna była wizyta delegacji Rady Miejskiej we Lwowie na zaproszenie tamtejszej Rady Miejskiej, ale to może wynika z moich korzeni rodzinnych.

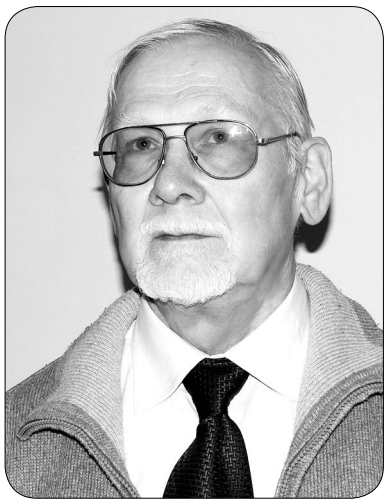
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Jestem przewodniczącym zarządu osiedla Bieńkowice. Uważam, że rady osiedla mają dużo do zrobienia jako przedstawiciel społeczności lokalnej. Niestety, ich działalność jest lekceważona przez urzędników – bardzo często nie odpowiada się na pisma rad osiedla lub odpowiada się bardzo ogólnikowo. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich urzędów. Niektóre rady osiedla są mało aktywne.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest to choroba współczesnych czasów – media interesuje głównie to, co jest sensacją. Brakuje zainteresowania długofalowym rozwiązywaniem problemów miasta lub społeczności lokalnej. Praca Rady Miejskiej jest postrzegana głównie w perspektywie konfliktów politycznych (Dutkiewicz/PO/PiS). Przekłada się to, niestety, również na postrzeganie przez media problemów społeczności lokalnych. Ostatnio kilka razy dzwonił do mnie dziennikarz

z pytaniem, jakie problemy mamy na osiedlu, bo oni chcą o tym pisać. Gdy mu o tych problemach opowiedziałem (sprawa kanalizacji na osiedlu, składowisko śmieci na ul. Pięćdziesięciu Bohaterów) więcej się nie odezwał.



Mieczysław SIERADZKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Ta sprawa była właściwe dość dobrze rozwiązana przez organizatorów Rady Miejskiej, bo przeszkolono wszystkich kandydatów na radnych. Pamiętam, że to szkolenie, naprawdę dobrze, prowadzili fachowcy z Uniwersytetu i Politechniki, m.in. pan dr Lose z Instytutu Architektury Politechniki Wrocławskiej. Jego wykłady były tak interesujące, że potem namówiłem swoje córki na studia w tym Instytucie. Obie skończyły architekturę. Można powiedzieć, że takie wstępne przygotowanie od strony fachowej otrzymaliśmy od dobrych specjalistów. W Polsce, po 45 latach kolonizacji sowieckiej, mieliśmy albo konformistów, albo ludzi całkowicie pozbawionych inwencji społecznej. Tych, których nie zdołano przekabacić torturowano albo zabijano w sposób bezwzględny. Te szkolenia nas przygotowały samorządowo, bo ta sprawa była w Polsce powojennej czymś zupełnie nowym – naród mógł stanowić o sobie.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Przed 1990 r. sprawami miasta interesowałem się w sposób amatorski. W mojej sytuacji nie było proste zajmowanie się sprawami miasta. Zacząłem wówczas budować dom, żeby umieścić tam swoją rodzinę. A w socjalizmie budowało się bardzo trudno, trzeba było wiele inwencji, zaangażowania, sprytu i różnych koneksji, ażeby ten dom powstał. W tej chwili mieszkamy w tym domu wszyscy, do niedawna jeszcze 4 pokolenia.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Muszę przyznać, że byłem dosyć aktywny, pracowałem w 6 komisjach i jakimś specjalnie utworzonym zespole. Najbardziej mi utkwiła w pamięci praca w Komisji Urbanistyki i Architektury oraz w Komisji Komunikacji i Przemysłu.

Powołany został zespół zajmujący się tworzeniem życia społecznego na osiedlach. Naszym zadaniem było zorganizowanie wyborów do rad osiedlowych. Ten zespół pracował pod kierownictwem urzędującego do dzisiaj Adama Grehla. Zorganizowaliśmy te wybory, powołaliśmy do życia rady i nadaliśmy im statuty prawne. Poza tym podzieliliśmy Wrocław na osiedla.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Widzę kilka takich spraw. Opracowałem wraz z zespołem Statut Rady Miejskiej. Przygotowaliśmy i – jak już wspominałem – wybraliśmy rady osiedli. W tym wszystkim bardzo aktywnie uczestniczyłem. Ważne też było dla mnie uczestnictwo w Komisji Architektury, gdzie oceniałem szereg koncepcji urbanistycznych, potem zatwierdzaliśmy je jako Rada, uchwalaliśmy plany zagospodarowania przestrzennego. Wtedy przewodniczącym Komisji był Rafał Eysymontt, bardzo porządny człowiek, dobrze się z nim współpracowało.

Największe kontrowersje budziły oczywiście przetargi. Myśmy je oceniali wstępnie na komisji, a decyzje podejmowała Rada Miejska, i tu rodził się problem. Często wybieraliśmy inwestora nie najbardziej taniego, co budziło podejrzenie, że komisja została przekupiona. A Rafał to był człowiek rzeczywiście ideowy i chorobliwie nieraz podchodził do rzeczy. Pamiętam, że kiedyś podjęliśmy na komisji decyzję o przyznaniu jakiegoś placu pod budowę zakładu rzemieślniczego. Ten rzemieślnik przyniósł do domu Rafała, kiedy go nie było, jakąś torbę i ją zostawił. Rafał wrócił o 12 w nocy do domu i zaraz poleciał, żeby tę paczuszkę oddać. To oczywiście budziło wśród nas uśmieszek, ale też pokazywało, z kim mamy do czynienia.

To była dziwna Rada. Na 70 osób 67 należało do Komitetu Obywatelskiego. Wśród nich wielu wywodziło się z Niezależnego Związku Studentów (NZS), jak Zdrojewski czy Turkowski. Dla mnie osobiście byli to ludzie ideowo czyści. Natomiast, jeśli chodzi o sprawy miasta, wydawało mi się, że – przynajmniej w pierwszej fazie – na te stanowiska powinni być angażowani inżynierowie, jako że oni bardziej logicznie rozumują i szybciej poj-

mują problemy techniczne, z którymi Wrocław borykał się w tym czasie. A to byli raczej humaniści. Zdrojewski skończył chyba socjologię, z Bogdanem dobrze mi się pracowało, mimo różnego rodzaju opinii, że on bierze łapówki. Wydaje mi się, że on nigdy by czegoś takiego nie zrobił, przynajmniej w tym pierwszym okresie, kiedy był prezydentem Wrocławia. Ja go trochę lepiej znałem, jako że obaj kandydowaliśmy z zachodniego Wrocławia.

Kłótnie oczywiście w Radzie się zdarzały. Była taka grupa pod przewodnictwem Tenerowicza, która starała się znaleźć dziurę w całym i z tego powodu było wiele szumu, ale jakichś wybryków i perturbacji nie było. Z perspektywy lat tylko tyle zapamiętałem, bo to już upłynęło trochę czasu.

Trochę się dziwię obecnym politykom. Rada jest mniejsza i skupia ludzi zajmujących się polityką. To, że Dutkiewiczowi udało się zorganizować grupę Dolny Śląsk XXI, to jest ewenement w kraju. Trochę się dziwię politykom, którzy wchodzą do Rady, bo tutaj chodzi rzeczywiście o miasto, żeby ożyło, co patrząc na Wrocław już trochę widać. Mam kolegę w tej Radzie, więc mam informacje „od kuchni". Mój kolega zdegustowany jest takim obrotem spraw.

Podczas I kadencji wytyczyliśmy kierunki rozwoju miasta, co jest obecnie kontynuowane.

Przyjęliśmy zasadę, że odbudowa i rekonstrukcja starych zabytkowych budowli miasta zaczyna się od centrum: Rynek, Stare Miasto, i na zewnątrz, jakby koliście, co można zresztą już teraz zaobserwować. W owym czasie nie mieliśmy pieniędzy na odrestaurowywanie zespołów architektoniczno-urbanistycznych niektórych połaci miasta. Przyjęto zasadę sprzedaży za nieduże pieniądze budowli o dużej wartości architektonicznej. Głównie banki to kupowały, za grosze, i po odrestaurowaniu są to już perełki Wrocławia.

Cały czas budził zastrzeżenia system komunikacyjny. Zostałem wciągnięty do Komisji Komunikacji, tam też mieliśmy takiego ideowego przewodniczącego, pana Karola Żyromskiego. On się rekrutował z MPK i znał te sprawy dobrze. Mieliśmy też problem z MPK – na obrady przyprowadzana była komisja strajkowa MPK. Oni wymuszali podwyżki cen biletów, co było związane z jakimś uszczupleniem funduszy Miasta. MPK, zresztą, ciągle było dofinansowywane. Chcieliśmy przeprowadzić bardzo dużo zmian w układzie komunikacyjnym. Postulowałem, że kierunek zachodni powinien być szczególnie hołubiony, ze względu na dobry dojazd do niemieckiej granicy i na północ do Szczecina. Ale tutaj niewiele wskórałem. W jakiś, moim zdaniem, niemrawy sposób, w ramach posiadanych środków, uruchomiono dwupasmówkę na tym kierunku. Dwupasmówka doszła do bunkra na Legnickiej. Potem do rzeźni, której już nie ma, następnie uruchomiono odcinek do Astry i dopiero w zeszłym roku do Pilczyc. Dzięki Euro 2012 ta droga ma być poprowadzona do Leśnicy. Leśnicę jednak trudno ominąć, chociaż, czytałem w prasie, że to będzie zrobione.

Zajmowałem się także problemem kanalizacji osiedli zachodnich. W tym rejonie był i jest problem wody podskórnej, która występuje nawet na poziomie 80 cm. To powoduje, że w lecie szamba są zabierane przez wodę podskórną i te osiedla cuchną. Już w 1992 r. uruchomiliśmy z kolegą Mielniczykiem, też stamtąd, wykonanie dokumentacji na skanalizowanie zachodu Wrocławia. Zrobiono 8 wersji tej dokumentacji. Niestety, wszystkie kosztorysy opiewały na astronomiczne kwoty, Rada rozłożyła ręce i tę sprawę odłożono *ad acta*.

Trzeci kierunek, jaki przyjęliśmy, to żeby nie tylko te arterie na zachód uruchomić w sposób drożny, ale żeby wybudować obwodnicę wokół Wrocławia. I wtedy, bodajże w 1993 r., wyszedł naszym staraniom naprzeciw wojewoda Jamrożek. Wydaje mi się, że to głównie dzięki jego staraniom wykonano koncepcję obwodnicy omijającej Wrocław. Pamiętam, że uruchomiliśmy nawet loty śmigłowcem wzdłuż tej projektowanej trasy, była ona o tyle możliwa do realizacji, że przebiegała po powierzchni kolektora Ślęża, który szedł do kolektora Odra, ale w tym czasie wpinał się jeszcze w rzekę. Nasze starania o obwodnicę dopiero teraz ujrzały światło dzienne. Jest to realizowane, o ile się nie mylę, według tego samego projektu. On nie był realizowany, ponieważ komuniści, którzy wtedy doszli do władzy odwołali Jamrożka. Powstał komunistyczny rząd, a komuniści, wiadomo, tylko kieszenie potrafią napełniać, a o resztę troszczą się jedynie językiem.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Moim zdaniem, przy różnego rodzaju kłótniach i ambitnym zaangażowaniu wielu ówczesnych radnych, czegoś takiego, jak porażka nie było. W ramach skromnych środków, którymi dysponowaliśmy, uzyskaliśmy stosunkowo niezłe efekty dla mieszkańców miasta, to jest moje zdanie. Potem przestałem być radnym, ale spotykam się z kolegami z Rady. Wydaje mi się, że nadaliśmy kierunek, który jest realizowany i którego efekty podziwiają nie tylko wrocławianie, ale także mieszkańcy innych regionów i przybysze z zagranicy.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Takiej współpracy nie było.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wywodziliśmy się z komitetów obywatelskich. Organizowałem taki komitet w Leśnicy. Powstała wówczas rada osiedlowa skupiająca Leśnicę, Złotniki, Stabłowice, Marszowice i pomniejsze sioła, leżące w granicach Wrocławia. Dawało to terenowo największy obszar, zwany złośliwie „księstwem sieradzkim". Jeden z radnych tak uszczypliwie określił ten obszar, ponieważ ja byłem przewodniczącym tego osiedla. Kiedy wybraliśmy rady osiedlowe, zaczęły działać w ramach swoich skromnych kompetencji. Te rady osiedlowe zapraszały przewodniczącego Rady

Miejskiej, a także prezydenta oraz radnych, żeby się wytłumaczyli z polityki prowadzonej wobec „księstwa leśnickiego". W związku z tym, życie było ciekawe na tych osiedlach, co, niestety, w chwili obecnej zaczęło zanikać.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Te stosunki były na ogół poprawne. Jeśli chodzi o współpracę z urzędnikami, to w tym czasie oni odnosili się przychylnie do członków Rady Miejskiej. Być może było to spowodowane jakimś strachem, ponieważ większość z nich wywodziła się z dawnych kręgów komunistycznych. Początkowo została zmieniona tylko kadra kierownicza, a reszta siedziała na tych samych miejscach, jak za dawnych dobrych czasów. Moje kontakty z urzędnikami nigdy nie budziły zastrzeżeń. Czasem wybierałem się do jakiegoś wydziału, siedziałem i patrzyłem, jak pracują. To też był może jakiś ewenement. Myślę, że tego się teraz nie stosuje i mało kto się tym zajmuje. Jak patrzę na skład Rady Miejskiej, na ludzi, którzy się zajmują biznesem, to myślę, że oni nie mają czasu na życie miasta i podglądanie urzędników.

Bulwersowały mnie także rozwiązania urbanistyczne. Za czasów mojej działalności w Radzie dyrektorem Wydziału Architektury był Stefan Müller. Wprawdzie nie jestem architektem, ale mam jakieś poczucie piękna, jego rozwiązania bulwersowały nie tylko mnie, ale i innych członków komisji. Przykładem może być rozwiązanie problemu parkowania samochodów na osiedlu Nowy Dwór. Jest to duże osiedle, o ile się nie mylę liczące około 30 tys. mieszkańców skupionych głównie w blokach. Już w latach 90. XX w., kiedy byliśmy w Radzie, uwidocznił się problem lawinowego wzrostu liczby samochodów we Wrocławiu i zrodził się problem związany z ich parkowaniem. W takim osiedlu, gdzie nie ma w zasadzie szerokich alei, tylko uliczki pomiędzy blokami, zatkano samochodami całe osiedle. Postulowaliśmy, żeby w tym rejonie budować wielopoziomowe parkingi. Nawet uczestniczyłem w przetargu na coś takiego, ale okazało się, że wszystko było już załatwione i wzdłuż osiedla zbudowano dwupoziomowy parking. To mnie okropnie zdenerwowało, ponieważ sobie szybko policzyłem, że tam mieściło się zaledwie około stu samochodów. Reszta natomiast stała i stoi do dnia dzisiejszego na uliczkach. Można to przecież, tak mi się wydaje, jakoś rozwiązać.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Jeśli chodzi o współpracę z Biurem Rady Miejskiej, nie było żadnych scysji, przynajmniej ja nie miałem. Ale w czasie mojej kadencji jedna sprawa miała tam taki dziwny przebieg. Rada zatrudniała 21 radców prawnych. Opracowywane przez nich projekty uchwał ciągle były poprawiane podczas posiedzeń, były po prostu źle przygotowywane. Wreszcie, po trzech latach, udało nam się znaleźć jednego radcę, który bodajże do dzisiaj jest wykorzystywany, który nie tylko był kompetentny, który nie tylko świetnie przygotowywał projekty uchwał, ale był przy tym przystępnym człowiekiem. Prawnicy mają takie skrzywienie – nie umieją czegoś przystępnie wytłumaczyć, zaczynają używać języka prawniczego, który dla nich samych nie jest zrozumiały, nie mówiąc już o odbiorcach. Efekt był taki, że obie strony się rozchodziły z poczuciem niespełnienia swoich zadań. Jedni, że nieprzekonali rozmówców, a drudzy, że oszukali urzędujących pracowników. To jest charakterystyczne nie tylko dla prawników. Byłem na spotkaniu z ministrem finansów na Akademii Ekonomicznej. Salę zapełnili profesorowie z Akademii, ja poszedłem tam jako przedstawiciel Rady Miejskiej. Po godzinie różnych wystąpień, minister wreszcie powiedział, że panowie zebrani na tej sali za bardzo się nie orientują w dziedzinie prawdziwej ekonomii, gdyż zostali wykształceni i wykrzywieni przez ekonomię polityczną. Nikt z profesorów obecnych na sali nie zaprotestował. Wydaje mi się, że to skrzywienie jest charakterystyczne na wielu uczelniach, może poza Politechniką, która trzyma się swoich dziedzin technicznych. Na Politechnice nie uczono mnie w sposób rygorystyczny, że mam coś rozwiązać tak czy inaczej. Uczono mnie myślenia i powiedziano: „będziemy mieli w Polsce za 10 lat zupełnie inny poziom techniczny, tutaj, na uczelni przygotowujemy was do tego, żebyście też umieli wtedy zmieniać rzeczywistość". To było oficjalnie powiedziane na jednym z wykładów. Utkwiło mi w pamięci, bo to było mądre powiedzenie.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Tę naszą pierwszą salę posiedzeń przystosowano nieźle dla 70 członków Rady, tylko siedzenia były niezbyt wygodne, chociaż niektórzy radni i tak w nich spali. Słyszalność oceniano jako całkiem dobrą. W tym budynku odbywały się także posiedzenia komisji. Materiały solidnie przygotowywało Biuro Rady pod kierownictwem pani Śledzińskiej, kompetentnej, oddanej pracy i miłej kobiety. To był początek, życie samorządowe się dopiero organizowało, potem wiele się zmieniło, ale to wszystko na początku było na zupełnie dobrym poziomie. Potem sala stała się o wiele wygodniejsza.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

To był obszar mojej dość aktywnej działalności. Pracowałem w komisjach: Architektury, Komunikacji i Przemysłu, przewodniczącym tej ostatniej został Wysłouch. Jeszcze wtedy ten przemysł we Wrocławiu w jakiś sposób istniał, bo dzięki różnego rodzaju zabiegom naszych polityków, głównie ukrytych komunistów, w zasadzie polskiego przemysłu tutaj już nie ma.

Działałem także w Komisji Wyborczej. Razem z Adamem Grehlem przeprowadziliśmy podział całego Wrocławia na osiedla i zorganizowaliśmy wybory do rad osiedlowych.

Co sadzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Ja osobiście czegoś takiego nie widzę. Jak czytam czasami wypowiedzi Dutkiewicza i jego grupy samorządowej Dolny Śląsk XXI, to wydaje mi się, że ten kierunek jest najlepszy. Zabieganie o dobro miasta czy jakiegoś powiatu raczej pozostawiłbym ludziom bezpartyjnym. W Polsce nie ma ludzi partyjnie wykształconych. Ludzi, dla których podstawą działalności byłaby ideowa walka o dobro społeczeństwa. Czemu się w zasadzie nie dziwię. Komuniści przez 45 lat zabiegali o to, ażeby naród ubezwłasnowolnić. Przejęli pałeczkę od naszych zaborców – Związku Radzieckiego i Niemców – że naszą inteligencję należy wytłuc. A ludzi wiernych i spolegliwych przesunąć na stanowiska, gdzie byliby łatwi do manipulowania. W ten sposób wyszkolono w Polsce kadrę ludzi biernych, choć wykształconych. Oni konsekwentnie realizowali to, co nasi zaborcy zaplanowali w stosunku do Polski. Tak, że ten okres od 1990 r., w którym Polacy są samorządni, uważam za cud, właśnie cud, bo inaczej tego nazwać nie można. Da się zauważyć, że Rosja podbija nas swoją 5 kolumną, mającą znaczący wpływ na nasze życie gospodarcze. Równocześnie Niemcy, które zdawałoby się są demokratyczne, próbują kupować tereny, szczególnie zachodnie, głównie obszary rolne, pałace, budynki. To się wszystko odbywa pod płaszczykiem jakichś tam Polaków. W pewnej chwili okaże się, że to będzie własność niemiecka.

Jeśli chodzi o radziecką stronę, to odgradza nas Białoruś. Oni zaanektowali już dawno tę część Polski i próbują zniszczyć ten teren. Na przykład, koło Kobrynia była posiadłość pani Rodziewiczówny. Znam ją bliżej z opowiadań mamy, bo często przed wojną pisarkę odwiedzała. Tam też nieopodal znajdował się pałac Traugutta. Niedawno jeden z kolegów pojechał z oficjalną polską delegacją właśnie do posiadłości przywódcy powstania styczniowego, żeby złożyć kwiaty na jego grobie – okazało się, że tam niczego już nie ma, nic się nie zachowało. To samo z pałacem pani Rodziewiczówny, też ani śladu, nawet fundamentów, nie mówiąc już o świątyniach.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Tak, jak już wspominałem, budowa obwodnicy autostradowej. Ciągle mnie to nachodzi. Wtedy był już przygotowany przez wojewodę Jamrożka projekt do realizacji. Myśmy to zaakceptowali jako Komisja Architektury. Były już ustalenia finansowe, które m.in. przewidywały, że w budowie będą partycypowały podmioty prywatne w zamian za opłaty, co jest zresztą zrealizowane w Poznańskiem. Odwołano Jamrożka i sprawa upadła. To dla mnie jest jakimś szczególnym akcentem, który utkwił w pamięci, a odżył dopiero w 2008 r. To jest przykład działalności polityków. Zbudowalibyśmy ją może w ciągu 3 lat, może w ciągu 5, ale byśmy zbudowali. A tak zaczynamy od nowa…

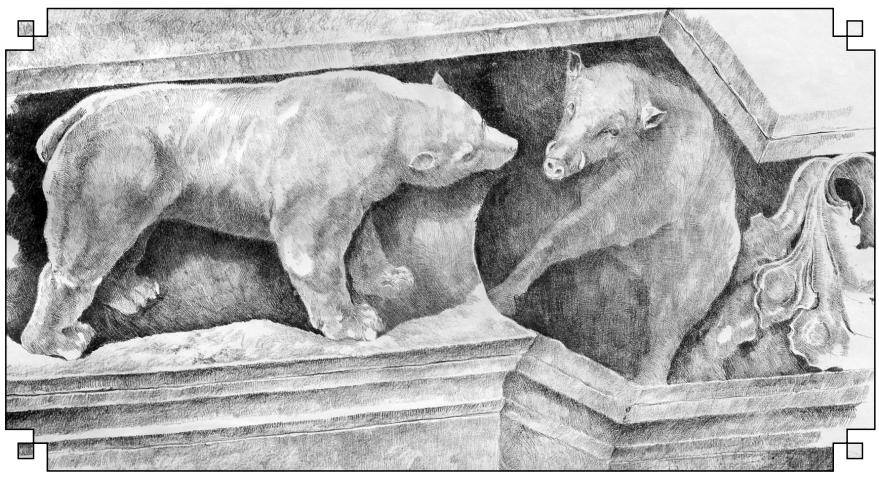
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

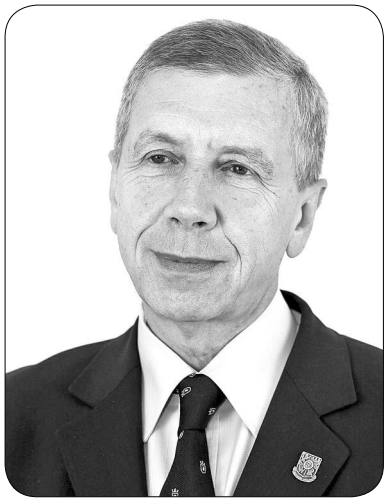
Ciągle im patrzyłem na ręce. Zauważyłem, że do rad osiedlowych zaczęto wybierać rzemieślników i sklepikarzy z danego terenu, którzy byli bardzo zainteresowani tym, żeby mieć coś do powiedzenia na temat układu komunikacyjnego oraz ustalania opłat. Jeśli chodzi o kompetencje tych organów pomocniczych, to dano im zbyt mały zakres uprawnień i środków finansowych. One powinny być zaopatrzone w większe kompetencje i w większe pieniądze, co by ich mobilizowało do pracy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Tak się składa, że mamy jakieś media, działa lokalna telewizja i dzienniki. To w Polsce nie jest takie powszechne, bo tylko duże miasta dysponują takimi mediami. Można mieć pewien niedosyt tych prac. Media są od tego, ażeby pokazać konkretne rozwiązania urbanistyczne, kierunki rozwoju miasta, wytłumaczyć mieszkańcom, co można zrealizować.

Wydaje mi się, że media zagubiły się w ogólnopolskim marazmie. Ciągle się pokazuje to samo. Przydałaby się im gruntowna reforma.





Jerzy SKOCZYLAS

Radny III, IV i V kadencji.
Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Wrocławskiej, inżynier elektryk.
Członek kabaretu „Elita", aktor kabaretowy, satyryk.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Zupełnie nie byłem przygotowany, podobnie jak nie byłem przygotowany na ustrój demokratyczny. Nikt nie przypuszczał, że tak szybko to się stanie.

Przyznam, że w poprzednim systemie władza samorządowa interesowała mnie niespecjalnie i chyba większość społeczeństwa tak to postrzegała. Istniały fasadowe miejskie rady i inne rady narodowe, nikt na to nie zwracał uwagi, bo wiadomo było, że nie mają nic do gadania. Jak zaczęła działać demokratyczna władza samorządowa, to oczywiście wiedziałem z prasy, z telewizji, że te samorządy trochę inaczej działają. Ale nie miałem żadnych aspiracji w tym kierunku. Zaskoczył mnie telefon od prezydenta Zdrojewskiego. Po kilku minutach kurtuazyjnej rozmowy, zaproponował mi kandydowanie w następnych wyborach do Rady Miejskiej Wrocławia. Pan prezydent wyczuł, że jestem co najmniej zdziwiony i powiedział: „niech się pan z tym pomysłem trochę prześpi", jak to się mówi, „powrócimy do rozmowy za kilka dni". Skontaktowałem się z najwyższym czynnikiem, czyli z moją żoną, która była też zdziwiona tą propozycją. Powiedziała, żebym się zastanowił, może jednak nie. W końcu zdecydowałem, że prezydentowi się nie odmawia. Przy kolejnej rozmowie zgodziłem się. Należałem do ugrupowania Bogdana Zdrojewskiego, które się chyba wówczas nazywało Wrocław 2000 Plus. Pamiętam, że zostałem umieszczony na 5 miejscu, na liście z dzielnicy Fabryczna. Pomyślałem sobie, że zachowałem się grzecznie, nie odmówiłem panu prezydentowi, i będę miał problem z głowy. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, w kilka godzin po wyborach, zadzwonił do mnie chyba jako pierwszy Adam Grehl z gratulacjami. Byłem zaskoczony i przerażony, że zostałem wybrany. Potem też dzwonili do mnie prezydent Zdrojewski i inni. Naprawdę byłem tym faktem szczerze wystraszony. Mój zawód aktora kabaretowego i satyryka kojarzy się z pozycją lekkoducha. Ja do takich ludzi nie należę, bo jeżeli już się czegoś podejmuję, to staram się to traktować poważnie. Zdawałem sobie sprawę, że to nie jest zabawa, lecz poważna funkcja. Z duszą na ramieniu poszedłem na złożenie ślubowania radnego, siedział koło mnie Jarek Obremski. Wówczas nie znaliśmy się, wymieniliśmy parę zdań i w tym momencie Jarek został wybrany na przewodniczącego Rady Miejskiej Wrocławia. Pomyślałem, że to jakieś fatum, gdzie ja usiadłem, w ogóle może pomyliłem rzędy. Byłem pierwszą osobą, która pogratulowała Jarkowi wyboru na to stanowisko.

Potem zacząłem się uczyć. Pierwsze dni chodziłem jak błędna owca, trudno się dziwić. Dostałem trochę literatury, Statut. Jak zacząłem to czytać, to mi resztki włosów wypadły z głowy. Jakoś to jednak opanowałem. Skrzętnie słuchałem, oczywiście początkowo nie zabierałem głosu. Przysłuchiwałem się, co się robi, „jak to się je". Powoli, powoli wciągnąłem się w tę funkcję. Zostałem radnym, zaczęły się interwencje, pojawili się ludzie, którzy zaczęli o coś pytać, o coś prosić, zacząłem działać.

To były inne czasy, w Radzie zasiadało 70 radnych, to były pierwsze sesje, dochodziło do scysji i kłótni. Teraz to jest dla mnie naturalny składnik krajobrazu. Wtedy klub SLD był takim głównym, wiodącym klubem z przewagą w Radzie. Pamiętam, że doszło do jakiejś scysji pomiędzy radnym z SLD i opozycji. Prawie doszło do jakichś inwektyw, jeszcze nie do rękoczynów. Byłem pewien, że panowie się zaczną dusić, skoczą sobie do krtani. Ku mojemu zdumieniu, siedziałem w czasie przerwy w barku Rady Miejskiej, patrzę, a oni dwaj przy stole piją herbatę, żartują, coś tam się poklepują „Józiu", „Mieciu". Pomyślałam sobie, że to fajna sprawa, i to mnie bardzo podbudowało. Zobaczyłem, że to są normalni ludzie, którzy potrafią się spierać o jakieś sprawy, problemy merytoryczne, a potem zachowują się normalnie, nie kłócą się, nie biją pięściami po twarzach.

To był taki pierwszy sygnał, że da się wyżyć w tej Radzie i można się tutaj odnaleźć.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie zajmowałem się sprawami miasta. W 1966 r. przyjechałem na studia do Wrocławia i zostałem, to już 44 lata. Z mojego rodzinnego Olkusza było bliżej do Krakowa, najbliższego ośrodka akademickiego, ale wylądowałem we Wrocławiu. Studiowałem na Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej. Jestem inżynierem elektrykiem, specjalistą automatykiem. To inżynierstwo przydało mi się niewiele w życiu. Przypadek zadecydował, że będąc na II roku studiów, idąc korytarzem w akademiku T-3 na pl. Grunwaldzkim spotkałem Tadeusza Drozdę, który miał pomysł na kabaret. Miałem inklinacje w tym kierunku, coś tam z gitarą podśpiewywałem, on mnie wypatrzył w klubie studenckim. Powiedział „stary, robimy kabaret. Znasz Jasia Kaczmarka", Jasia znałem ze słyszenia, był już wtedy znaną postacią, starszy od nas o trzy lata student V roku. Znało go zwłaszcza środowisko turystyczne.

Wtedy chodziło się na rajdy w góry, w Karkonosze, to było wręcz obowiązkowe, Janek tam zasłynął ze swoich ballad i kupletów śpiewanych przy ognisku. Jak Tadek zaproponował, to zaczęliśmy robić kabaret, no i potem już poleciało. Jak już kończyłem studia, to kabaret działał zawodowo i miałem świadomość, że to będzie moim podstawowym zajęciem, a nie inżynierstwo. Ale szkopuł tkwił w tym, że studia wówczas należało odrobić. To nie było tak, że się skończyło studia i można było sobie pójść do domu, tylko obowiązywał nakaz pracy. Należało odpracować studia, a to co najmniej dwa lata. Wówczas złożyłem podanie do Wydziału Oświaty, że chcę być nauczycielem zawodu. Dostałem pracę w Technikum Samochodowym przy ul. Borowskiej, w Zespole Szkół Zawodowych nr 2, jako profesor od elektrotechniki. Śmiałem się z kolegów, że oni są zaledwie magistrami po studiach, a ja w 1972 r. zostałem od razu profesorem. Jednym z moich uczniów był Władek Frasyniuk, chyba w 5a, uczyłem go automatyki. Wszyscy moi uczniowie do tej pory, kiedy mnie spotykają w różnych, najdziwniejszych zakątkach świata od republiki Południowej Afryki po Australię darzą mnie szacunkiem i uśmiechem. A to mi się przydało właśnie w mojej pracy w Radzie Miejskiej.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Właśnie z racji moich wcześniejszych zajęć zapisałem się do Komisji Edukacji i Młodzieży. Przez dwa lata otarłem się o środowisko nauczycielskie i naprawdę zdobyłem ogromny szacunek do tego zawodu, bo wiem, jaki to jest ciężki kawałek czarnego chleba. Trzeba mieć końskie zdrowie i końskie nerwy. Wiedziałem, że raczej w tej szkole nie zostanę. Pamiętam, był jakiś znaczący mecz i ja, pan profesor, wraz z uczniami, których miałem uczyć, uciekłem oglądać ten mecz, gdzieś w telewizji. Pamiętam, że na drugi dzień, wezwał mnie dyrektor Kochman, posadził przy biurku i zapytał: „panie inżynierze, pan chce być dobrym pedagogiem?" Odpowiedziałem, że nie. „Jak to nie?" – no nie. I tu skończyła się rozmowa, zrozumiał, że nie zabawię długo w tym zawodzie i dlatego zawarliśmy pakt o nieagresji. Ja nie uciekałem z lekcji wraz z uczniami, a pan dyrektor miał też świadomość, że pójdę w siną dal.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

W edukacji dużo się zmienia. Uporządkowanie tego odbyło się jeszcze za kierownictwa Lilii Jaroń, która, moim zdaniem, bardzo dobrze to prowadziła. W tej działce edukacyjnej jest świetna atmosfera. Wszyscy się ze sobą bardzo rozumieją – Bogdan Aniszczyk, wcześniej Ewa Wolak. Miałem możliwość bycia w innych gremiach, widzę i mogę porównać, że w edukacji wszystko jest poukładane i idzie w bardzo fajnym kierunku. Ci ludzie się wyczuwają nawzajem, może łączy ich wspólny cel. Dużym sukcesem jest reforma edukacji, która się permanentnie odbywa, od przedszkoli poczynając. Przeżyliśmy reformę szkolnictwa, wprowadzenie gimnazjów, wprowadzenie naboru elektronicznego – to daje wielką transparentność, informacja o szkołach jest o wiele lepsza. Na pewno poprawiło się bezpieczeństwo w szkołach, zwłaszcza przez monitoring. Boiska szkolne, te trawiaste – dużo ich ostatnio otwarto. Sale gimnastyczne, niedawno otwieraliśmy salę gimnastyczną w XII Liceum, to jest obiekt, który spełnia warunki wręcz olimpijskie, ma nawet osobne boisko dla piłki ręcznej. To jest jedna z piękniejszych sal we Wrocławiu. W XIV Liceum przy ul. Brücknera jest wspaniała sala, która jest nowoczesną, profesjonalną salą teatralną.

Oczywiście najbliższą mi dziedziną jest działka kulturalna. Naturalnym losem trafiłem do Komisji Kultury i Nauki Rady Miejskiej. Byłem członkiem tej komisji, a od 4 lat jestem jej przewodniczącym. Gdy zaczynałem pracę, w tej komisji przewodniczącym był Paweł Kocięba-Żabski, potem Basia Zdrojewska. Kiedy Basia awansowała na przewodniczącą Rady, ja objąłem kierownictwo i jakoś tę działkę staram się uprawiać.

Jakie sukcesy i jakie klęski? Myślę, że sukcesów sporo. Wiele się zmieniło. Przede wszystkim pojawiły się na mapie Wrocławia nowe, znaczące zdarzenia, w tym Era Nowe Horyzonty. Dokończono wreszcie remont Pałacu Spätgena, jak zaczynałem właśnie się rozpoczęły się prace, pamiętam jeszcze za wiceprezydenta Łosia. To jest sukces, który rodził się w bólach. Rozpoczęto wreszcie budowę Forum Muzyki. Najważniejsze, że się zaczęło. To taka stara zasada, jak się zacznie, to się wreszcie skończy i Forum też powstanie. Opera wspaniała, Teatr Lalek, który ostatnio generuje nowe zjawiska, dużo festiwali. Także polityka grantowa, może to nie jest zbyt wielka suma w skali Miasta, ale to powoduje, że bardzo wiele nowych, młodych rzeczy powstaje. Mamy teatry niszowe, już znane na świecie, takie jak Ad Spectatores i Pieśń Kozła. Niektóre upadają, ale pojawiają się nowe. Nie mówię już o sztandarowych imprezach, takich jak *Wratislavia Cantans* czy Przegląd Piosenki Aktorskiej.

Wrocław jest rozpoznawalny. W dziedzinie literatury przyznawane są nagrody Angelusa Silesiusa, to wszystko są rzeczy bardzo znaczące, o których się mówi, o których jest głośno. Wrocław jest taki nietuzinkowy. Wielu ludzi zarzucało, że polityka kulturalna idzie w kierunku kultury wysokiej, że nie jest taka festynowo-ludowa, a bardziej skierowana do widza wyrobionego. Oczywiście, nie można zapomnieć o tej rozrywce prostej, masowej, ale takie ciągniecie w górę zawsze daje dobre rezultaty.

Co Pan uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Klęski, czy były? Trudno jest mówić o takich totalnych klęskach czy tym, co mi się osobiście nie powiodło. Nie przypominam sobie jakichś wielkich klęsk.

O kabaretach trudno mi mówić, ponieważ ja postrzegam kabaret zupełnie inaczej, niż on wygląda na zewnątrz. Wyrosłem z kabaretu literackiego, gdzie podstawą działania był tekst, wychodziło się od tekstu, a potem była kreacja i to kreacja niewielka. Jako człowiek radia, wychowany w radiu, jestem miłośnikiem słowa. Zawsze tekst napisany jest podstawą. A w tej chwili ten kabaret młody poszedł w kierunku kreacji – ogromna liczba rekwizytów, ogromna liczba małpiarskich wręcz przedstawień – a tekst jest sprawą drugorzędną. Ale widzę, że ci młodzi ludzie się na tym śmieją, ja może trochę mniej, ale trudno im tego zabronić, widać, że im to odpowiada. To jest wina telewizji, wszystko wykrzywiła telewizja, bowiem lansuje tylko ten nurt. Natomiast, przestał istnieć w telewizji cały nurt liryczny, cały nurt poetycki. Jest bardzo wiele takich grup, ludzie piszą piosenki liryczne i nastrojowe i one zawsze przeplatały się z rzeczami śmiesznymi, nawet nieraz z wygłupami.

Jeśli się zapyta młodego człowieka, co to jest kabaret, odpowie, że to ktoś przebrany w żółte spodnie, w czerwonej czapce z przyczepionym nosem, który skacze i wykonuje różne gesty.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Owszem, ocierałem się o takie instytucje, lecz przyznam, że ta współpraca jest niewielka.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W pewnym sensie pomaga mi, bez fałszywej skromności, że jestem osobą rozpoznawalną, do mnie łatwo trafić. Większość urzędników należy do tzw. „młodzieży starszej", łatwiej mi w związku z tym dotrzeć i interweniować w jakichś sprawach. Dyżur radnego to jest rzeczywiście duża szkoła obywatelska. Tam się człowiek spotyka z różnymi sprawami. Zazwyczaj są to problemy mieszkaniowe. Większość interesantów ma z tym kłopoty, od remontów poczynając, czy takie sprawy, że na kilku metrach mieszkają z dwojgiem dzieci, z teściową i chorym dziadkiem. W tych wypadkach, oczywiście, są prośby o interwencje. Jeśli chodzi o liczbę spotkań, jakie odbywam z wyborcami, to, nie chwaląc się, jestem jednym z najbardziej aktywnych radnych. Może nie piszę takich oficjalnych interpelacji – raczej posługuję się telefonem.

Miałem kiedyś bardzo ciekawe spotkanie na Rynku wrocławskim. Nasza sala sesyjna była właśnie po remoncie, a ja szedłem na pierwszą sesję w tej odnowionej sali. Podeszła do mnie starsza pani, „o pan Skoczylas. Ja pana poznałam, bo w kabarecie i w radiu robicie te audycje satyryczne. To tam powiedzcie, że ci radni «skurwysyny» pokupowali i powstawiali sobie fotele za 2 tys. zł. Powiedzcie, powiedzcie". Ja powiedziałem oczywiście, i przyznaję z ręką na sercu, że się nie przyznałem, że jestem radnym, i pobiegłem sobie usiąść na te fotele za dwa tysiące.

Przypominam sobie też takie wydarzenie, kiedy miałem dyżur z kolegą z SLD, który już nie jest radnym. Pojawiła się wówczas wyraźnie egzaltowana pani, która opowiadała totalne bzdury. Sugerowała, żeby jej sąsiadce odebrać mieszkanie – oczywiście to wszystko na pograniczu plotki – bo jej sąsiadka różne rzeczy wyprawia, i tu opowiadała ze szczegółami, kto do niej przychodzi lub od niej wychodzi i jakie odgłosy z tego mieszkania dochodzą. To nie było żadnym powodem, żeby radni interweniowali w tej kwestii. Wreszcie udało się ją wyciszyć. Ona jeszcze nie zamknęła za sobą drzwi, a kolega rzucił: „to durna baba". I „durna baba", jak to usłyszała, jak wróciła – to chciała go bić. Ja go broniłem, opowiadałem jakieś bzdury, że kolega powiedział „trudna baba", to „trudna sprawa", o mało nie doszło do rękoczynów. Bardzo trzeba uważać – jeśli już komentuje się sprawy, należy się upewnić, że drzwi są dobrze zamknięte.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Bardzo mi się to podobało i podoba, że nie ma takiego rutynowego stosunku służbowego. Od pana prezydenta, przez wiceprezydentów i rozmaitych dyrektorów, ze wszystkimi jesteśmy na ty, co też jakoś ułatwia. Osobiście nie mam problemu z dodzwonieniem się, bo nawet, jeśli któryś z wiceprezydentów jest zajęty, co zrozumiałe, to zawsze później oddzwoni. Pod tym względem układa się bardzo dobrze, nie ma najmniejszych problemów z kontaktem, z dotarciem.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Z Biurem bardzo dobrze, ja jestem bardzo mało konfliktowym człowiekiem. Bardzo lubię wszystkie panie od pani dyrektor Śledzińskiej poczynając, przez panią Alę, teraz jest jeszcze pani Agnieszka, i innych. Nie chciałbym kogoś pominąć, bo byłoby mi przykro. Z Biurem bardzo dobrze, z panią dyrektor Śledzińską świetnie mi się współpracuje. Ja zresztą jestem w miarę dyspozycyjny – mam nienormowany czas pracy, jestem etatowo zatrudniony w radio. Jeśli jakieś kwiaty trzeba złożyć, przede wszystkim przed Wszystkimi Świętymi – to jest moja działka. Jesteśmy wtedy umówieni z panią dyrektor Śledzińską, gdzie i jakie kwiaty złożyć, przy których nagrobkach.

Przez jakiś czas miałem przyjemność prowadzić konferansjerkę w czasie posiedzeń Rady, co się łączy z moją profesją. Starałem się prowadzić obrady w sposób taki mniej sztywny, bardziej luźny – to też jest dowód współpracy z Biurem, dobrej współpracy. Pamiętam pewne posiedzenie za przewodniczenia Radą Barbary Zdrojewskiej. Siedziałem sobie przy stoliku i zapowiadałem bardzo poważnie poszczególne osoby. Gościem sesji, jak w wielu wypadkach, był Jego Eminencja ks. kardynał Gulbinowicz i była wręczana jakaś nagroda, któremuś z duchownych, chyba księdzu Głodowi, już dobrze nie pamiętam. Zapowiedziałem, że Barbara wręczy dyplom i insygnia. Wszyscy wstali z miejsc. Następnie podszedł kardynał, który pogratulował osobie nagrodzonej, podał rękę Basi i następnie ją ucałował. W tym momencie, ja mówię: a teraz kardynał Gulbinowicz całuje się z Barbarą Zdrojew-

ską. Oczywiście „poleciał ryk po sali", bo ja to tak relacjonowałem głosem sprawozdawcy sportowego. Pamiętam, że zrobiło mi się trochę głupio, że zostałem źle odczytany, że użyłem nie najlepszych słów. Oczywiście znałem poczucie humoru kardynała i to się wszystko na żartach skończyło.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Sala jest wygodna, bo amfiteatralna. Ułatwiono dostęp do środków audiowizualnych, koniecznych zwłaszcza przy omawianiu tych wszystkich planów architektonicznych, gdzie trzeba wyświetlać plany zagospodarowania przestrzennego, także inne rzeczy. Także elektroniczny system liczenia głosów, który na początku trochę szwankował, a teraz już się trochę dotarł, to jest dobra sprawa. Miejsca są wygodne – te historyczne fotele, o których była już mowa, bufet dobry, to czego więcej trzeba… A, ostatnio otrzymaliśmy laptopy wyposażone w LookNet, co ułatwia komunikację. Mamy dostęp do całej bazy danych, większość dokumentów wysyłana jest drogą elektroniczną.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Sądzę, że są konieczne. Dzięki ich istnieniu można uzgodnić wspólne stanowisko w ramach jednej partii, co ułatwia pracę w Radzie.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Pamiętam, jak została oddana do użytku ta sala w Nowym Ratuszu i wszyscy się cieszyli, że odbywamy tam posiedzenia. Wtedy wiceprzewodniczącym Rady był Ryszard Maj. Odbywały się wówczas dwu- lub trzydniowe obrady, sesja kończyła się o 1 w nocy (była przerywana) i rozpoczynała się w piątek z rana. Kiedyś była taka bardzo długa i nudna debata, której przewodniczył Rysio Maj, patrzyłem na niego *a face*, trochę spod oka i zobaczyłem, jak się usadowił się w fotelu, wyprostował nogi i w tym momencie wypchnął dechę z prezydialnego stołu i ukazały się buty oraz nogi rzeczonego, ku ogólnej radości zebranych.

Przypominam sobie też takie wystąpienie jednego z radnych, to wystąpienie sugerowało pewne spożycie i zmęczenie, ponieważ dykcja była nie ta i tok myśli nie bardzo klarowny. Ktoś z sali krzyknął: „Słuchaj stary, przestań się wygłupiać, siadaj" te obrady prowadził też Rysio Maj, który wówczas skonstatował: „Ja tego słucham z zainteresowaniem, z bardzo wielkim zainteresowaniem".

Utkwiło mi w pamięci moje wystąpienie, kiedy umarł Janek Kaczmarek. I nie jest to sprawa anegdotyczna, tylko wręcz przeciwnie bardzo smutna. Barbara Zdrojewska jako przewodnicząca poprosiła mnie, żebym powiedział parę słów. Mój kolega był laureatem nagrody Miasta Wrocławia, nagrody Prezydenta. W momencie, kiedy mówiłem, załamał mi się głos i już tego wystąpienia nie dokończyłem. To była smutna sprawa, w kilka dni po śmierci kolegi, pękłem. Nawet miałem pretensje do siebie, że mężczyzna nie powinien, jak to się mówi, ale emocje były silne i to mi zostało. Takie rzeczy pamięta się do końca życia.

Tych wydarzeń z działalności Rady było bardzo wiele. Z sentymentem wspominam dwa takie szkolenia, które odbyliśmy w Szklarskiej Porębie, w ośrodku Poczty Polskiej, to było bardzo integrujące. Szkolenie dotyczyło spraw samorządowych, podstaw budżetu. Po szkoleniu, jak to po szkoleniu, był wieczór towarzyski i pamiętam, że Stanisław Huskowski śpiewał bluesy, byłem zaszokowany, że w tak szczupłym ciele, taki silny głos, on chyba był wtedy prezydentem.

Trochę zabawnym wydarzeniem była dosyć niespodziewana wizyta ambasadora Tajlandii. Wtedy Barbara była przewodniczącą i poprosiła mnie: „chodź, przyjedź, będzie większa reprezentacja, ty jako przewodniczący Komisji Kultury". Siedzieliśmy razem w gabinecie przewodniczącej Rady, przyjechał Ekscelencja niewielkiego wzrostu i w czasie tego spotkania zwracał się tylko do mnie. Zwracałem uwagę, że jestem tu tylko gościem, a Barbara przewodniczącą, ale do niego to ogólnie nie docierało, nie docierało, że kobieta może sprawować funkcję.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

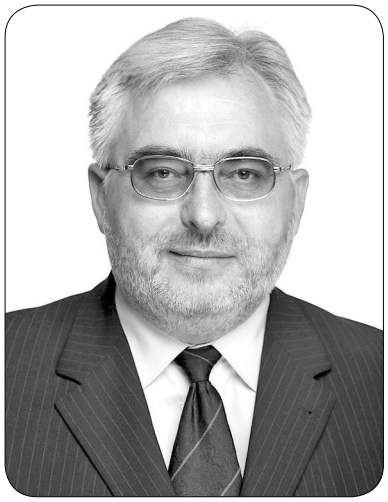
Nie działałem w radach osiedlowych, oczywiście miałem z nimi kontakt. Są takie rady, które w ogóle nie działają, są martwe, i oczywiście takie, które działają bardzo prężnie, np. Rada Osiedla Swojczyce-Strachocin-Wojnów, to rada, w której dużo się dzieje. Podobnie Rada Osiedla „Borek". Tam jest ulica Andrzeja Waligórskiego, oni pamiętają o różnych rocznicach i są dosyć prężni.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest chyba spore. Mamy tych mediów nawiasem mówiąc, a mamy – raptem dwie gazety lokalne, lokalną telewizję i publiczne radio. Komercyjne stacje tym raczej się nie zajmują.

Jak się przegląda prasówkę, ogląda wiadomości lokalne czy słucha radia, to widać, że zainteresowanie jest spore. Z tym, że na sesjach dziennikarze są tylko na początku i to jest taka dziennikarska choroba, że gonią tylko za sensacją. Jak się okazuje, że sprawy są naprawdę ważne dla rozwoju miasta, np. plan zagospodarowania przestrzennego, że to będzie spokojna debata bez sensacji, to ich nie ma. Wtedy wychodzą.

Ale sporo się pisze, wiele artykułów na temat miasta, na temat radnych. Chętnie nas też podsumowują – kto, ile ma obecności, a kto, ile nieobecności. Trzeba uważać na takich z długim obiektywem, bo ukazują się zdjęcia, jak radny szuka sobie w Internecie jakiegoś miejsca na wakacje. Dziennikarze łowią takie rzeczy. Bardzo są nastawieni na to, że radni leniuchują za pieniądze podatników.



Aleksander Marek SKORUPA

Radny II kadencji.
Delegat do Sejmiku Samorządowego.
Poseł na Sejm RP VI kadencji.
Matematyk.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W 1990 r. byłem nieprzygotowany. Byłem pracownikiem naukowym. W 1990 r., po wygranym konkursie zostałem burmistrzem Brzegu Dolnego, mojego rodzinnego miasta, i przeszedłem czteroletnią szybką edukację, m.in. pod kierunkiem profesora Leona Kieresa, z którym już wtedy współpracowałem w Sejmiku. Będąc burmistrzem przeszedłem rzeczywiście bardzo przyspieszoną edukację samorządową. Kiedy więc zostałem radnym Rady Miejskiej Wrocławia w 1994 r., byłem już dobrze przygotowany do tej roli. Myślę, że dlatego zostałem wybrany wiceprzewodniczącym klubu Wrocław 2000, profesor Kieres był jego przewodniczącym. Od tego czasu ściśle ze sobą współpracujemy. Dzisiaj mamy wspólne biuro poselsko-senatoskie, prof. Kieres to mój mistrz i przyjaciel. Tak więc, jak już wspominałem, w 1994 r. byłem dobrze przygotowany do pracy w Radzie Miejskiej Wrocławia, można powiedzieć, że byłem już żołnierzem liniowym, który przeszedł kilka kampanii wojennych. Mogłem wiec kierować klubem i pomagać radnym, którzy dopiero zaczynali pracę w samorządzie.

Czy przed 1994 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, nie zajmowałem się. Wprawdzie już byłem od wielu lat mieszkańcem Wrocławia, gdyż w 1974 r. rozpocząłem studia na Politechnice Wrocławskiej i na stałe przeprowadziłem się do Wrocławia. Cztery lata później poślubiłem moją małżonkę, która jest rodowitą wrocławianką. Ja pochodzę z Brzegu Dolnego i wówczas czułem się jeszcze bardzo człowiekiem prowincji. Na temat Wrocławia miałem wtedy małą wiedzę. Jako ciekawostkę mogę opowiedzieć, że już będąc burmistrzem Brzegu Dolnego przeszedłem do Rady Miejskiej z opinią dobrego samorządowca i niektórzy sobie wyobrażali, że być może będę miał jakieś wysokie aspiracje, że może będę chciał wejść do Zarządu Miasta, itp. Natomiast powiem od razu, że byłem burmistrzem w moim rodzinnym mieście Brzeg Dolny i rzeczywiście jest coś takiego, że człowiek ma inny stosunek do swojej małej ojczyzny. Ja chyba do dzisiaj jestem tak naprawdę z Brzegu Dolnego. Natomiast moje dzieci i żona są niewątpliwie rodowitymi wrocławianami. W miasto więc wciągnąłem się w II kadencji Rady Miejskiej. Tym bardziej, że jest ono małą ojczyzną trójki naszych dzieci.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem przede wszystkim członkiem Komisji Budżetu i Finansów, zresztą do dzisiaj to mi zostało, jestem w Sejmie przewodniczącym stałej Podkomisji Kontroli Realizacji Budżetu. Drugą komisją była Komisja Sportu i Rekreacji, którą traktowałem już raczej hobbystycznie, ponieważ interesowałem się zawsze sportem, notabene, obecnie pełnię funkcję prezesa Wojewódzkiej Federacji Sportu. Zawsze uprawiałem czynnie sport, ale również go organizowałem i promowałem.

Ponieważ, jak już wspomniałem, pełniłem rolę wiceprzewodniczącego klubu Wrocław 2000, to właściwie byłem takim człowiekiem od wszystkiego. Mam nadzieję, że pan Zdrojewski potwierdzi, że z punktu widzenia prezydenta i Zarządu Miasta, byłem im bardzo potrzebny i użyteczny. Równolegle zostałem z ramienia Rady Miejskiej delegatem do Sejmiku Województwa Wrocławskiego. Zasiadałem w jego prezydium, a mój mistrz profesor Kieres był jego przewodniczącym. Tam zajmowaliśmy się całym województwem, m.in. byłem przewodniczącym Komisji Zdrowia, która to komisja z natury jest trudna. W tym czasie prowadziłem szpital w Brzegu Dolnym, a dzisiaj jestem przewodniczącym rad społecznych szpitala przy ul. Kamieńskiego i szpitala MSWiA, a wcześniej Dolnośląskiego Centrum Onkologii. Uważam, że byłem pragmatycznym i użytecznym radnym.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

W kategoriach takich osobistych, indywidualnych to, myślę, że byłem dobrym delegatem do Sejmiku. Pełniłem w nim znaczącą rolę dla całości byłego województwa wrocławskiego, ale ze szczególnym wyróżnieniem dla Wrocławia. Natomiast, jeśli chodzi o moją pozycję jako wiceprzewodniczącego klubu Wrocław 2000, to uważam, że udało mi się nim dobrze zarządzać. Tworzyliśmy z prof. Leonem Kieresem i przewodniczącym Rady Miejskiej prof. Andrzejem Łosiem dobry zespół. Sytuacja w Radzie była trudna, bo nie mieliśmy bezwzględnej większości, ale udało nam się przegłosować wszystkie ważne dla Wrocławia sprawy. Udało nam się w klubie być zdyscyplinowanym i merytorycznym zespołem. Pod koniec kadencji, czyli w 1998 r. trochę się to zachwiało, bo

Unia Wolności zaczęła się rozpadać, więc praca klubu już była trudniejsza. Zresztą pokłosiem tego były problemy I kadencji Sejmiku Dolnośląskiego, w latach 1999-2002, którego radnym miałem zaszczyt być. Później Unię Wolności opuściło tzw. środowisko liberałów. Powstała Platforma Obywatelska, której byłem współzałożycielem.

W latach 1994-1998 zaczęliśmy remont wrocławskiego Rynku i to niewątpliwie był istotny sukces i istotny impuls dalszego dynamicznego rozwoju Wrocławia. Przeprowadzonych zmian w Rynku nie traktuję jak pojedynczego elementu, tylko jako źródło dalszych przemian Wrocławia, które tak pozytywnie zmieniły nasze miasto. Pamiętam, jak remontowano kolejne pierzeje Rynku. Kiedyś prowadziłem jakąś delegację niemiecką i mówię, jak tu pięknie będzie, a jeden z członków delegacji popatrzył ze zdziwieniem i powiedział, że jest tu brzydko. Nagle weszliśmy w część już wyremontowanego Rynku i cała delegacja wpadła w zachwyt. Do dzisiaj wrocławski Rynek jest takim pięknym sercem miasta. Pod koniec kadencji 1994-1998 wrocławski Rynek zaczął być naszą największą dumą. A później pięknie przeobraziło się całe jego otoczenie na Starówce.

Kolejnym epokowym wydarzeniem dla Wrocławia była według mnie wizyta papieża Jan Pawła II w 1997 r. w czasie Kongresu Eucharystycznego.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Myślę, że największym niepowodzeniem była kwestia związana z niepłaceniem VAT-u przez gminę Wrocław. Po kontroli NIK-u sprawę VAT-u badaliśmy z prof. Kieresem i przewodniczącym Rady Miejskiej Andrzejem Łosiem. To była wewnętrzna kontrola Rady. Poprosiliśmy pana prezydenta i panią skarbnik Gemzę, żeby jednak zapłacili ten VAT. Miałem świadomość jako samorządowiec i burmistrz, że wprowadzenie VAT-u w 1994 r., nie było wprost legalne z punktu widzenia państwa i zasady, że dodatkowe wydatki samorządu, a tak było z wprowadzonym VAT-em, powinny być w pełni rekompensowane. Jednak wszystkie podmioty samorządowe płaciły i trudno było liczyć na to, żeby system, tj. nadrzędny interes budżetu państwa – Polski, uznał, że gmina Wrocław może nie płacić. Było to na przełomie 1997 r. Pani skarbnik przekonała Bogdana Zdrojewskiego, mimo że profesor Kieres dodatkowo załatwił istotne ulgi we wcześniejszych należnościach i była szansa polubownego rozwiązania sprawy, do dalszego oporu Wrocławia, tj. dalszego niepłacenia VAT-u. Nie była to dobra decyzja. Prezydent Bogdan Zdrojewski zapłacił później dużą osobistą cenę za ten opór, bo sprawy sądowe, które odbyły się już po naszej kadencji, wiele go i jego najbliższych kosztowały. Oczywiście uważam, że moralnie mieli rację, ale wraz Andrzejem Łosiem mieliśmy świadomość, że system nie może przegrać, w rozumieniu niepłacenia tych zobowiązań. To była nieprzyjemna sytuacja dla prezydenta Zdrojewskiego, ciąganie po sądach, itp. Zakończyło się to polubownym rozliczeniem ze Skarbem Państwa poprzez zapłatę nieruchomościami. To trzeba było zrobić wcześniej. Na szczęście cała sytuacja skończyła się happy endem. Uważam, że to, co Bogdan Zdrojewski i Miasto przeżyło w międzyczasie było niepotrzebne, chociaż mam świadomość tego grzechu pierworodnego, czyli tego, że państwo wprowadzając w 1994 r. opodatkowanie gmin VAT-em, wprowadziło to jednostronne i nie było to zgodne z Europejską Kartą Samorządu Terytorialnego. W tamtych czasach było tak, że my na inwestycje dostawaliśmy dziesięć, piętnaście procent dotacji, a tu dwadzieścia dwa procent VAT-u trzeba zapłacić fiskusowi, tj. budżetowi państwa, czyli tak naprawdę było odwrotnie, zamiast być wspieranym, zaczęliśmy wspierać państwo. No, ale rozumiem sytuację budżetową Polski w tamtym okresie. Pieniądze były również niezbędne naszemu państwu i reforma Balcerowicza była koniecznością, bo Polska była w tym okresie praktycznie bankrutem. Taka była racja stanu.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

To był początek, tzw. organizacje pozarządowe dopiero powoli powstawały. No może poza sportem, ale te miały jeszcze wcześniejsze korzenie. Moja aktywność skupiła się w samej Radzie Miejskiej i Sejmiku. Natomiast inicjatywy lokalne – osiedlowe, kluby osiedlowe, małe inicjatywy, inwestycje, to zaczęło się już pojawiać w naszej Radzie. Pierwsze regulaminy, pierwsze komisje, które działały w systemie współfinansowania i wspierały aktywność lokalną, to się dopiero rodziło. Jako burmistrz małej gminy byłem niejako prekursorem takiego systemu, że obiekty gminne służą nieodpłatnie aktywności mieszkańców, a nawet często jest to realizowane ze wsparciem finansowym ze strony gminy. Wtedy we Wrocławiu, co mi się nie podobało, jeszcze obowiązywała zasada odpłatnego udostępniania obiektów gminy. To się na szczęście zmieniło i teraz wszystkie organizacje realizujące zbiorowe potrzeby grupy mieszkańców są bardzo wspierane, w tym finansowo przez władze gminy. One realizują lepiej i taniej nasze wspólne potrzeby. Spierałem się z Bogdanem Zdrojewskim, a przede wszystkim wiceprezydentem Adamem Grehlem o to, że gmina powinna komunalizować mieszkania zakładowe i infrastrukturę towarzyszącą, np. przedszkola, żłobki itp. Doktryna w naszym Zarządzie była trochę inna, w tym się różniliśmy. No, ale każdy ma swój pogląd. Gmina Wrocław nie przejmowała mieszkań zakładowych, a ja uważałem to za duży błąd, gdyż tylko gmina miała możliwości transformacji mienia o charakterze komunalnym i powinna przekształcać zasoby mieszkaniowe w tzw. wspólnoty.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Jak już wspomniałem, nie byłem działaczem lokalnym, który działał na poziomie osiedlowym, a sprawy indywidualne traktowałem jako przyczynki do rozwiązań systemowych. Miasto Wrocław było w specyficznej sytuacji jako gmina, bo mieszkało w nim więcej niż połowa mieszkańców województwa wrocławskiego. Mnie interesowały

strukturalne i strategiczne problemy nas jako całości, Wrocławia i jego otoczenia, czyli problemy aglomeracji wrocławskiej. Podobnie teraz, jako poseł za swój największy sukces uważam to, że postawiłem „kropkę nad i" przy podpisaniu umowy realizacyjnej obowdnicy autostradowej Wrocławia (wartość robót ~ 4 mld zł). Oczywiście, nie stałoby się to bez naszego premiera Grzegorza Schetyny i przychylności oraz ciężkiej pracy ministra Cezarego Grabarczyka. Ale udało się, budowa tej obwodnicy przebiega szybko i niedługo zmieni układ komunikacyjny Wrocławia.

Zawsze takimi kategoriami patrzyłem na Wrocław, tj. poprzez rzeczy strategiczne, a nie pojedynczej ulicy, osiedla, klubu osiedlowego.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Uważam, że nasza współpraca była dobra. Radę to my reprezentowaliśmy, byliśmy władzą uchwałodawczą, od wytyczania kierunków. Jednak to Zarząd i prezydent wpływali bezpośrednio na rozwój i zmiany zachodzące we Wrocławiu. Myślę, że mogli liczyć na wsparcie Rady, a wiadomo, że zgoda buduje.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze. Panie były zawsze miłe i sympatyczne. Jako burmistrz nigdy nie oczekiwałem od pracowników takiej pełnej dyspozycyjności, jak było to w Biurze Rady Miejskiej. Tu pracownicy prawie odgadywali nasze życzenia, a nawet często wyprzedzali „pana radnego". Ja się w tej roli trochę źle czułem. Jestem matematykiem i nie przywiązywałem do tej celebry takiego znaczenia. Wiem, że innym radnym to imponowało. Rzeczywiście, obsługa była sympatyczna, w pełni dyspozycyjna, ale i jednocześnie profesjonalna. Dyrektorka Biura Rady pani Śledzińska dobrze zarządzała biurem i pilnowała wszystkich spraw.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Teraz mam okazję nieraz bywać w Radzie, w tym nowym wystroju – jakby z innej epoki, jest imponujący. Jeśli chodzi o salę obrad, warunki, dostęp do materiałów, jak na tamte czasy były to warunki normalne. Teraz są dużo lepsze.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Już wspomniałem o Komisji Budżetu. To bardzo techniczna komisja, działająca systemowo, więc osoby, które miały wyobrażenie, że przyjdą do komisji i będą decydować, na co wydać konkretne pieniądze, były rozczarowane, a nawet popadały w konflikt z Zarządem i służbami finansowymi. W komisji podejmowaliśmy generalne decyzje systemowe dotyczące finansowania miasta. Uważam, że była to spokojna komisja, poważna, odpowiedzialna z niekonfliktowym przewodniczącym Lechem Adamczykiem. Często koledzy z komisji branżowych Rady mieli pretensje, że Komisja Budżetu bardziej wspiera politycznie Zarząd Miasta niż pomysły radnych.

Bardzo przyjemnie wspominam członkostwo w Komisji Sportu i jej przewodniczącego Włodka Mękarskiego. Podstawową moją komisją była Komisja Finansów, a taką hobbystyczną, ale bardzo aktywną i skuteczną w załatwianiu spraw bliskiego mi środowiska, była właśnie Komisja Sportu. Z tą komisją związane jest pewne wydarzenie, które bardzo miło wspominam. W Goerlitz odbyły się zawody piłkarskie, turniej radnych z Wiesbaden, Berlina, Goerlitz, Zgorzelca i Wrocławia. Zajęliśmy drugie miejsce. Gdy radni z Wiesbaden, którzy nas pokonali, zobaczyli, w jakich graliśmy butach („od Sasa do lasa"), to na koniec turnieju, już przy wspólnej biesiadzie kazali spisać numery butów każdego z nas. Nawiasem mówiąc, koszulki i flagę z nowym logo Wrocławia mieliśmy piękne i obdarowaliśmy ich tym gadżetami, co im się bardzo podobało. Po kilku miesiącach, chyba przed Bożym Narodzeniem trwa sesja Rady, a tu panie przynoszą wielkie pudło z Wiesbaden, w którym były buty piłkarskie opatrzone nazwiskami. Do dzisiaj w tych „korkach" grywam, jak wychodzę na boisko piłkarskie. To był taki bardzo sympatyczny moment.

Komisja Sportu wizytowała obiekty i imprezy sportowe. W tej komisji byliśmy tacy lokalni, wszędzie zaglądaliśmy, fizycznie byliśmy, w tym na meczach i zawodach, spotykaliśmy się z działaczami. Była to komisja zewnętrzna, taka sportowo-miejska-osiedlowa, tak bym to nazwał.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Myślę, że to były, nazwijmy, początki polityczne w Polsce, a już było to konieczne. Kluby radnych organizują pracę w Radzie. Wiadomo, że to jest gra zespołowa i jeśli nie głosowalibyśmy razem, to nie moglibyśmy wdrażać naszej wizji miasta. To na posiedzeniach klubu, notabene często je prowadziłem, gdzie były różne zdania i różne głosowania, decydowaliśmy o wspólnym stanowisku we wszystkich sprawach.

Uważam, że kluby bezwzględnie są potrzebne. Miałem swoje zasługi w budowaniu naszego klubu Wrocław 2000. Przewodniczącym był profesor Kieres, ale on jest dość specyficzną osobą, z głową w chmurach. Ja mocno stoję na ziemi i załatwiałem tę „codzienność", natomiast profesor reprezentował nasz klub na zewnątrz. Jego wystąpienia były najbardziej godne uwagi. Tutaj ta rola między nami była podzielona. Tak więc uważam, że kluby to jest właściwa rzecz.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Oczywiście wizyta papieża Jan Pawła II w 1997 r. w trakcie trwania Kongresu Eucharystycznego. Mieliśmy okazję spotkać się z papieżem w Radzie Miejskiej i tutaj miała miejsce taka bardzo osobista sytuacja. Na początku nie mieliśmy się witać z papieżem, ale stało się inaczej. Ja chyba drugi, trzeci witałem się z papieżem. Bogdan Zdrojewski przedstawił mnie i powiedział, że burmistrz z Brzegu Dolnego, a papież myślał, że z Brzegu i powiedział: „znam, byłem", ja mówię, „że chyba nie", bo papieżowi chodziło o Brzeg Opolski. W trakcie tego spotkania zaszła kolejna sytuacja, która także miała aspekt osobisty. Kiedy papież schodząc po schodach na jednym z ostatnich stopni potknął się i prezydent Kwaśniewski, który szedł obok niego chwycił go za łokieć. Również i ja byłem w pobliżu, i widząc potykającego się papieża podbiegłem, ale jak się okazało, że już jest w porządku, to zaraz ochrona też kazała mi się wycofać. Taka to historia, osobisty element, prezydent, papież i ja przypadkiem. Kolejne wydarzenie, które zapisało się w mojej pamięci także ma ścisły związek z wizytą papieża we Wrocławiu w 1997 r. Zakazano nam kogokolwiek przyprowadzać, ale jeden kolega, radny Lech Adamczyk złamał tę zasadę i przyprowadził swoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. One akurat były w podobnym wieku jak moje młodsze dzieci, no i oczywiście niesamowite wzruszenie papieża. Muszę powiedzieć, że z jednej strony to było złamanie reguły, na którą się umówiono ze względów bezpieczeństwa, a z drugiej zaś, było to bardzo sympatyczne, kiedy Lech podszedł z dziećmi do papieża. Ten moment został uwieczniony na zdjęciu, jak papież je przygarnia. Notabene to zdjęcie mam i żartuję sobie, że to jest mój syn Olek, który był w tym samym wieku, co chłopiec z fotografii, a że twarz chłopca była niewidoczna – nikt by ich nie rozróżnił.

Kolejne wydarzenie, to oczywiście powódź w 1997 roku. Nie brałem bezpośredniego udziału w powodzi we Wrocławiu, bo byłem zaangażowany bezpośrednio w mojej gminie, która została zalana. Praktycznie cały lipiec spędziłem w Brzegu Dolnym. Uważam, że to było znaczące wydarzenie dla miasta. W drugim etapie, czyli już odbudowy miasta, udział jako Komisja Budżetu, ściągnięcie pieniędzy, przynajmniej taki aprobujący udział mam.

Powiem tak, powódź była zdarzeniem tragicznym i dramatycznym, ale Wrocław i jego mieszkańcy wyszli z tego obronną ręką. Uważam, że lipcowe dni były znaczące dla powstania wrocławskości, tj. wspólnoty Wrocławia. Później była odbudowa miasta. My byliśmy w ostatnim roku kadencji i odbudowa miasta rozpoczęta za nas była kontynuowana w kolejnej kadencji. Nikt nie ma wątpliwości, że to był taki silny impuls zmieniający Wrocław.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

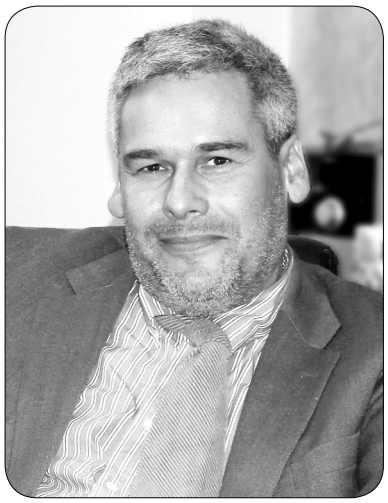
Tak jak już powiedziałem, nie działałem w tych radach, ale się z nimi zetknąłem. Uważam, że jest przepaść miedzy radą osiedlową a Radą Miejską. Myślę, że jakiś szczebel pośredni jest potrzebny. Zresztą jako burmistrz dwudziestotysięcznej gminy byłem jakby w innym umocowaniu. Ja mogłem każdemu podać rękę, każdej rzeczy doglądnąć. Natomiast zarządzanie takim miastem jak Wrocław jest jak pociąganie za nitki, gdzie nie widać, a jeszcze niżej te nitki ktoś pociąga. Oczywiście pomijam ewenement, który był w telewizji Echo, jak Bogdan Zdrojewski opowiadał o Wrocławiu i szczegółach. Nie będę wchodził w szczegóły, czy znał, czy nie znał. To było bardzo sympatyczne, że potrafił to tak zrobić. Do dzisiaj wrocławianie go w tym sensie dobrze wspominają. Teraz mają takie odczucie, że radni, a głównie prezydenci za mało są im dostępni. Wtedy była większa dostępność. Zresztą ja to rozumiem, w moim dwudziestotysięcznym mieście było to możliwe nawet kosztem rodziny, ale było możliwe. Natomiast tutaj to już było niemożliwe.

Natomiast, jak oceniam działalność rad osiedlowych? Bardzo szanuję ludzi pracujących w tych radach. Zawsze szanowałem ludzi, którym coś się chce i robią to nawet, jak, przykładowo, wśród pięciu domów jest jego dom. Jeżeli on ma w sobie ten motorek, to inni skorzystają na tym, bo np. zorganizuje wycieczkę szkolną czy klub sportowy. Radni osiedlowi często nie mogli spełnić swojej roli albo pojawiał się konflikt, że ich wyżej nie słuchają. Role są podzielone, łącznie z rolami urzędników, wykonawców. Nie jest możliwe zrealizowanie wszystkich rzeczy w krótkim czasie, natychmiast. One w perspektywie się realizują szybciej lub wolniej, ale oczywiście w zależności od temperamentu i ocen. Niektórzy uważają, że zdecydowanie za wolno.

Zawsze miałem taki optymistyczny obraz, że gdyby tak patrzeć na miasto co trzy lata, wyjeżdżać, i po trzech latach wrócić, to dopiero widać zmiany. Oczywiście rozumiem, że to oczekiwanie na dole było takie, żeby jak najszybciej tu u nas, pod naszym domem.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Gazety zrobiły się mniej ideologiczne. Ta pierwsza faza, której doświadczaliśmy po 1990 r. była bardzo pozytywna. Wszyscy się cieszyli, że coś się zmienia, że we Wrocławiu to idzie w dobrze wyznaczonym kierunku, że prezydent ma dobrą opinię. Natomiast nie ukrywam, gdzieś około 2000 r. zaczęło się w tym sensie zmieniać, sam tego doświadczałem jako lokalny samorządowiec burmistrz. Zaczęło się wchodzenie w takie rzeczy, które niekoniecznie powinny być przedmiotem zainteresowania mediów, i co więcej przedstawianie ich w pewien sposób taki tabloidalny. Nie mam zastrzeżeń do samych mediów, tylko czasy się zmieniły. Rozumiem te reguły i rozumiem, że one są takie, natomiast ich nie aprobuję.



Paweł SKRZYWANEK

Radny I kadencji, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w latach 1990-1994. Historyk.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W sposób bezpośredni nie byłem, bo kto wywodzący się z ruchów opozycyjnych, czy to „Solidarności", czy NZS-u, był przygotowany do zadań samorządowych? Wywodzę się z dwóch środowisk – po pierwsze z Niezależnego Zrzeszenia Studentów, po drugie z „Dwunastki", czyli opozycyjnego samorządu studenckiego, który powstał w 1987 r. W połowie lat osiemdziesiątych w środowiskach opozycyjnych rozpoczęła się dyskusja o zmianie formy walki z systemem komunistycznym. Część działaczy opozycji uznała, że sama walka polityczna to za mało i trzeba zacząć działać na rzecz konkretnych środowisk, np. pracowniczych czy studenckich. Wtedy postanowiliśmy, że takie środowisko powstanie. Rektor, nieżyjący już prof. Mieczysław Klimowicz, pozwolił, by studenci związani z opozycją brali udział w pracach ciał kolegialnych Uniwersytetu, choć może nie w sposób formalny. Musieliśmy sprostać konieczności rozwiązywania problemów socjalnych, dydaktycznych, prawnych itd. To w pewnym sensie przygotowało nas do pracy w samorządzie, a jednocześnie skrystalizowało środowisko, które dla ruchu samorządowego stało się bardzo ważne. Właściwie większość ludzi związanych z „Dwunastką" rozpoczęła działalność na rzecz samorządu gminnego Wrocławia i innych miast Dolnego Śląska.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W jakimś zakresie problemy miasta interesowały nas już jako studentów. Jedną z ostatnich naszych akcji, kiedy już trwały rozmowy Okrągłego Stołu, był protest przeciw przejęciu przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych akademików Uniwersytetu Wrocławskiego na pl. Grunwaldzkim. Miały być przekazane na mieszkania służbowe dla resortu spraw wewnętrznych, czyli dla funkcjonariuszy SB i milicji. Zaprotestowaliśmy w sposób zdecydowany. Zdarzały się więc przedsięwzięcia wykraczające poza działalność studencką. Oczywiście dotyczyło to studentów, ale i przestrzeni miejskiej, ponieważ chodziło o pewne uzgodnienia na poziomie ministerstwa i władz, wtedy komunistycznych, Wrocławia. W jakiś sposób w tym uczestniczyliśmy, choć możliwości mieliśmy zdecydowanie ograniczone.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Kandydaci na radnych byli wybierani w sposób bardzo demokratyczny. Powstał zespół specjalistów, który wyznaczał potencjalnych kandydatów na radnych. Przypomnę, że Władysław Frasyniuk i Rafał Dutkiewicz stali na jego czele. Nasza grupa studencka zgłosiła akces do startu w wyborach samorządowych. Przeszliśmy z roli recenzentów do roli ocenianych. W siedemdziesięcioosobowej Radzie Komitet Obywatelski wziął sześćdziesiąt siedem mandatów. Z dawnymi działaczami opozycji studenckiej utożsamiano sześć, siedem mandatów. Komitet Obywatelski miał wtedy bardzo ciekawy program, z którego wynikało, że rzeczywiście chciałby się zajmować bardzo konkretnymi sprawami. Odziedziczyliśmy miasto w dość trudnej sytuacji, nie tylko jeżeli chodzi o infrastrukturę, ale także bardzo poważnie zadłużone. Dzisiejsze problemy dwadzieścia lat temu występowały z kilkukrotnie większą siłą. Paraliż komunikacyjny, źle zarządzane przedsiębiorstwa, przerost administracji itd. Wszystkie te problemy przejął tworzący się wówczas samorząd.

Mimo że Klub Obywatelski Solidarność był jednolitą formułą polityczną, panował tam daleko posunięty pluralizm. Dowodem były wybory prezydenta Wrocławia. Bogdan Zdrojewski nie został wybrany jednogłośnie i miał bardzo poważnego kontrkandydata − Zenona Wysłoucha. „Młodzi" opowiedzieli się po stronie Bogdana Zdrojewskiego, który był niewiele od nas starszy. Właściwie cała władza w mieście przeszła w ręce „pampersów", czyli ludzi bardzo młodych. Z naszego środowiska wyszła inicjatywa, aby przewodniczącym Rady Miejskiej, dla podkreślenia wagi akademickości Wrocławia, został prof. Stanisław Miękisz, który był jednym z najstarszych radnych. Znaliśmy go z działań w Ruchu „Bez Przemocy", w którym uczestniczyli nasi koledzy. Zostało to zaakceptowane. Nasze środowisko wywalczyło sobie też, chociaż to może nie najlepsze określenie, funkcję wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej − objąłem to stanowisko.

Wracając do pytania: czym się zajmowałem? Najpierw były to uchwały związane z zadłużeniem Wrocławia. Funkcjonowała już reforma gospodarcza, tworzył się wolny rynek i nagle okazało się, że zarządzanie miastem też podlega prawom rynkowym. Trzeba było podejmować działania związane ze stabilizacją i gospodarowaniem mieniem publicznym, ale nie tylko. Wrocław był jednym z pierwszych miast w Polsce, które zarejestrowało

swój Statut. Jedna z pierwszych decyzji dotyczyła powrotu do tradycyjnego herbu z XVI w. Pojawiły się kwestie związane z porządkowaniem tożsamości miasta, pozbawianiem obywatelstwa działaczy nazistowskich i komunistycznych, później doszła uchwała dekomunizacyjna dotycząca zmiany nazw ulic oraz porządkująca sprawę pomników. Powstała specjalna komisja, która współpracowała z Towarzystwem Miłośników Wrocławia i szybko się z tym uporała. W pewien sposób uczestniczyłem w tym, bo jako wiceprzewodniczący odpowiadałem za te sprawy, a także za kulturę, edukację. Do zadań Rady należało również uporządkowanie kwestii „władztwa" nad majątkiem miejskim. Rozpoczęliśmy rewolucyjne, jak na ówczesne czasy, przedsięwzięcie, czyli komercjalizację przedsiębiorstw. Większość zakładów budżetowych została zamieniona na jednoosobowe spółki prawa handlowego, których właścicielem był Skarb Gminy. To był pomysł wiceprezydenta Sławomira Najnigiera. Część z nich pozostała takimi do dzisiaj, a część sprzedano. Wiązały się z tym różne napięcia wynikające z restrukturyzacji i bardzo często redukcji zatrudnienia. Podobnie było z uchwałą przygotowywaną przez Krzysztofa Turkowskiego, „uwalniającą" handel we Wrocławiu. Pamiętam moment spotkania z Krzysztofem i handlowcami wywodzącymi się ze Spółdzielni „Społem", którzy nie chcieli wolnego handlu, raczej szykując nam „defenestrację".

W miarę postępu i nowelizacji ustawy o samorządzie dochodziły jeszcze sprawy związane z przejmowaniem kompetencji. Samorządy uzyskiwały coraz większe fundusze, często i tak niewystarczające do zaspokojenia wszystkich oczekiwań – spór z władzami państwowymi o wysokość dotacji i udział w podatkach trwał nieustannie. Jednocześnie Wrocław uzyskał prawo do kształtowania własnych podatków. Miasto musiało je wyegzekwować, a jednocześnie wyjaśnić ludziom, na co są wykorzystywane i dlaczego powinni je płacić. Występowałem na wielu spotkaniach, by przedstawić zamierzenia Rady. Pojawiały się np. problemy z cmentarzami, które trzeba było przekształcać, czy oświatą, która na szczeblu podstawowym była podporządkowana Miastu, a na ponadpodstawowym już nie. Powodowało to różne napięcia na styku z administracją państwową. W tym czasie Wrocław jeszcze nie dysponował instytucjami kultury, poza bibliotekami i osiedlowymi domami kultury. Z inicjatywy Zbigniewa Karneckiego oraz kilku moich kolegów została przeforsowana uchwała o mecenacie kulturalnym. Była ona niezwykle ważna, bo Miasto, nie posiadając instytucji, miało w swoim budżecie spore środki, którymi wspierało, a niekiedy wręcz ratowało ważne wydarzenia kulturalne.

Z racji moich zainteresowań w 1991 r. zostałem poproszony przez wojewodę wrocławskiego o objęcie funkcji dyrektora Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego. Wtedy zrezygnowałem z funkcji wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej Wrocławia, pozostając radnym.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Za mój największy sukces uważam to, że Wrocław powziął uchwałę o mecenacie kulturalnym miasta. Nie ja byłem jej autorem, ale uczestniczyłem w uchwaleniu i mocno wspierałem, także kiedy byłem dyrektorem Wydziału Kultury. Jestem dumny z tzw. uchwał dekomunizacji. Oczywiście dotyczy to pewnej ideologii, ale pod tymi uchwałami jest mój podpis. Zdaję sobie sprawę, że nie miały kluczowego znaczenia dla funkcjonowania miasta, ale nie ukrywam satysfakcji z wprowadzenia ich. Kolejna rzecz, to udział w przekazaniu ratusza, by mógł funkcjonować jako siedziba władz lokalnych. Niewielu pamięta, że władze samorządowe nie miały ratusza. Jeszcze daleko było do tzw. ustawy kompetencyjnej, ale przekonałem ówczesnego wojewodę, żeby przekazał ratusz samorządowi. Doszło do pierwszego tak poważnego porozumienia między administracją państwową i samorządową dotyczącego majątku. Na mocy porozumienia prezydent Wrocławia stał się właścicielem ratusza oraz Muzeum Miejskiego, które miało tam siedzibę.

Dużą satysfakcję osobistą wiążę z kolejną uchwałą: w czasie pierwszej kadencji doszło do pamiętnych wydarzeń na Litwie, Łotwie i w Estonii. Rada Miejska Wrocławia, z inicjatywy naszej grupy i Krzysztofa Turkowskiego, przyjęła uchwałę dotyczącą niepodległości Litwy. W uchwale tej poruszono także kwestię jak najszybszego wyjścia Armii Czerwonej z Polski i Wrocławia. Za zgodą władz miejskich pojechałem do Wilna i wręczyłem ją władzom Seimasu i deputowanym. Zostałem przyjęty przez wiceprzewodniczącego Rady Najwyższej Litwy, zaopiekowała się mną grupa posłów polskiego pochodzenia. Dobrze to pamiętam i będzie to dla mnie wspomnieniem uczestnictwa w czymś większym niż tylko kwestie lokalne.

Z ciekawszych rzeczy warto wspomnieć przygodę, która zaowocowała partnerstwem z miastem Charlotte w USA. Byłem wtedy wiceprzewodniczącym Rady i pewnego dnia zadzwoniła do mnie Anna Żylińska, szefowa Biura Współpracy z Zagranicą. Powiedziała, że na dworcu kolejowym we Wrocławiu okradziono małżeństwo Amerykanów, którzy są bezradni, bo nie mają pieniędzy, paszportów, nie znają języka. Szybko została zorganizowana pomoc. Umieściliśmy ich w hotelu, kupiliśmy bilety i umożliwiliśmy kontakt z ambasadą USA. Było to bardzo miłe małżeństwo uśmiechniętych starszych ludzi. Nie robili dramatu z niezbyt przecież przyjemnej sytuacji. Pamiętam, że poszliśmy razem na obiad, spacer, pokazaliśmy im Wrocław. Ostatecznie z miasta, z którego mogliby wyjechać zdruzgotani, mając jak najgorsze wspomnienia, wyjechali zachwyceni. Po kilku tygodniach przyszło pismo z Charlotte. Okazało się, że nasi Amerykanie przyjechali do Wrocławia na rekonesans. Zaowocowało to bardzo szybko podpisaniem umowy współpracy między miastami. Amerykanie stworzyli system pomocy szkoleniowej. Wielu urzędników pojechało do USA i skorzystało z niej. Było to bardzo ważne, ponieważ większość

ludzi wchodzących do administracji była wówczas kompletnie do tego nieprzygotowana. Chcę podkreślić, że na te szkolenia jeździli wyłącznie urzędnicy, a nie radni.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Po pierwsze to, że obóz solidarnościowy się rozpadł. Już na początku kadencji tej pierwszej Rady, mimo że był to jeden klub, doszło do wyraźnych pęknięć i krystalizowania się wewnętrznej opozycji, nie tylko związanej z osobami, które weszły do Rady niezależnie. Skutkowało to jakimiś niesnaskami, nawet wzajemnymi oskarżeniami. Były również pierwsze pozwy do sądu o obrazę, itd. Sam taki pozew otrzymałem od prof. Jerzego Przystawy, którego znałem − był mi bardzo bliski w czasach opozycji i uważałem go za swojego mentora. Było to dla mnie bardzo bolesne, ale chciałem być konsekwentny jako wiceprzewodniczący. Wielką rolę odegrał wtedy prof. Stanisław Miękisz, który poprosił nas obu, aby konflikt załagodzić. Tak się stało i pozew został wycofany.

Kolejną rzeczą, którą uważam za niedobrą, były antagonizmy narastające pomiędzy administracją państwową a samorządową. W pewnym momencie zaczęły się one personalizować. Było to niepotrzebne, bo ograniczało i spowalniało rozwój. Bardzo poważnym błędem, który miał wpływ na przyszłość miasta, było to, że z punktu widzenia prawnego gmina Wrocław niczym się nie różniła od gminy wiejskiej. Samorządy mało ze sobą współpracowały. Powstanie parku handlowego na terenie gminy Kobierzyce, zwanego dzisiaj Bielanami, nie było konsultowane z władzami miasta, a pewne obciążenia związane np. z dojazdem, które z tego faktu wynikały, spoczęły na Wrocławiu. Inną ważną rzeczą, której niedostrzeżono, było przygotowanie, uzbrojenie i udostępnienie terenów pod budownictwo jednorodzinne, w związku z czym mieszkańcy, którzy w początkowym okresie odnieśli sukces gospodarczy, wyemigrowali poza Wrocław, do gmin ościennych. Niezauważono też innych możliwości rozwojowych. Wprawdzie dość szybko opracowano pewne priorytety dotyczące planów, które były później uchwalane, ale myślę, że jeżeli po dwudziestu latach np. plac Społeczny wciąż nie jest zabudowany, nie najlepiej to świadczy o ówczesnym planowaniu. Na usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że dzisiaj to dostrzegam, a wtedy nie, ponieważ podobnych problemów wówczas było bardzo dużo. Władzom miejskim oraz Radzie trudno było brać się za wszystko, bo nic nie funkcjonowało prawidłowo, a niejednokrotnie nowa jakość polityczna i prawna sprawiała, że trzeba było szukać nowych sposobów działania.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W tym czasie takich instytucji w rozumieniu dzisiejszym nie było. Kiedy zaczynaliśmy, jedynymi organizacjami, które w sposób zdecydowany funkcjonowały, był Związek „Solidarność" i Komitet Obywatelski, kreujące życie polityczne na szczeblu państwowym i samorządowym. W pierwszych miesiącach jakoś to się jeszcze układało, później zaczęło się psuć. W tym czasie Związek Zawodowy „Solidarność" przestał pełnić rolę ruchu społecznego. Zaczęły powstawać pierwsze partie polityczne. Podobnie było z Komitetem Obywatelskim, który w pewnym momencie praktycznie przestał działać. Co się pojawiło? Przeformułowana koncepcja Towarzystwa Miłośników Wrocławia, które czynnie brało udział w pracach związanych np. z nazewnictwem. Harcerstwo, trochę ruch studencki, jakieś podwaliny samorządu studenckiego, ale wszystko to wtedy raczkowało. Istniał jeszcze ZBoWiD. Organizacje postkomunistyczne przestawały funkcjonować, ale np. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej chciało się uwłaszczyć na majątku Teatru Lalek. Trochę inaczej funkcjonowała przestrzeń związana z Kościołem. Zaczynaliśmy wtedy dyskusję o radach osiedlowych. Miały to być organizacje pomocnicze dla Rady Miejskiej. Nie ulega wątpliwości, że nowo kształtujące się organizacje kombatanckie odgrywały pewną rolę. Były one najprężniejsze i wiązały się z takimi inicjatywami, w które Miasto zdecydowanie weszło, np. koncepcja upamiętnienia i wybudowania pomnika na Osobowicach, na mogiłach pomordowanych żołnierzy organizacji niepodległościowych WiN i AK.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Były to pierwsze w pełni demokratyczne wybory, chociaż frekwencja już wtedy była zaskakująco niska. Już nie pamiętam, czy przekroczyła 50%, czy też nie, ale pamiętam, że uzyskałem wtedy trzeci wynik wśród siedemdziesięciu radnych. Pierwszy był Władysław Frasyniuk, a drugi Bogdan Zdrojewski. Pamiętam, jak ta kampania przebiegała. Mieliśmy bardzo dużo spotkań z ludźmi w różnych miejscach. Na te spotkania przychodziło wiele osób mających swoje przemyślenia na temat funkcjonowania „małej ojczyzny", sprowadzanej często do podwórek czy przestrzeni lokalnych społeczności. Natomiast później obywatele raczej formułowali roszczenia bardziej indywidualne, co niczym się nie różni od dzisiejszej sytuacji. Jako radni mieliśmy dyżury, kiedy przyjmowaliśmy obywateli lub jeździliśmy na interwencje. Pamiętam swoje wizyty w budynkach, którym groziło zawalenie, ludzi żądających mieszkań zastępczych, tysięczne kolejki po mieszkania komunalne. Było to niesamowite doświadczenie, pokazujące drugie oblicze Wrocławia. Oblicze wstydliwe, które istnieje do dziś, obraz biedy, brudu, nierozwiązywalnych problemów patologii, alkoholizmu.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

To nie była sielanka, czasem wręcz obfitowały w uszczypliwości, gdy chciało się dogryźć jednej czy drugiej stronie.

Jeżeli chodzi o stosunki pomiędzy Radą a Urzędem Miejskim, to nie było jakichś specjalnych konfliktów. Być może dlatego, że działacze samorządowi w sposób naturalny się podzielili. Część weszła do Rady, a część do Urzędu. Oni się znali, lubili i tu raczej konfliktów nie było, a przynajmniej nie przypominam sobie. Były też przykłady dobrej współpracy: budowa portu lotniczego czy wspieranie instytucji kultury.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Pamiętam bardzo ciepłe matkowanie ze strony pani dyrektor Janiny Śledzińskiej. Pozostawienie pani dyrektor było bardzo dobrą i przemyślaną decyzją. Należała ona do tej grupy, która nie została zwolniona po wyborach 1989 r., kiedy skład Biura został zmieniony.

Bardzo szybko zaczęliśmy wydawać biuletyn wewnętrzny, początkowo w bardzo prostej, można powiedzieć powielaczowej formie. Powstał Dziennik Urzędowy Rady Miejskiej. Dzisiaj wydaje się to oczywiste, ale wtedy tak nie było. Wtedy wydawanie biuletynu publicznego opisującego, czym się Rada zajmuje, jakie podejmuje uchwały, i rozsyłanie go do różnych instytucji i organizacji, gdzie każdy mógł się z nim zapoznać, było czymś zupełnie nowym. Wymagało olbrzymiej pracy. Należy pamiętać, że wtedy jeszcze nie było komputerów. Wielkim sukcesem było zakupienie maszyny, która miała pamięć. Inicjatorem wydawania Dziennika Urzędowego był Bogdan Cybulski.

Jakie ma Pan uwagi uwagami odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Pierwsza sala posiedzeń to były pomieszczenia na Nowym Targu. Mieliśmy tam mikrofony i było to jedyne udogodnienie. Obok siedziała pani z magnetofonem, która nagrywała wypowiedzi. Nie pamiętam, czy przypadkiem nie było to nagrywane z głośników. Wszystkie głosowania odbywały się na zasadzie liczenia uniesionych rąk. Później, w trakcie przejmowania przez Miasto kolejnych pomieszczeń, posiedzenia Rady zostały przeniesione na drugie piętro Nowych Sukiennic, ale tam też niczego nie było − oprócz tabliczek z nazwiskami na krzesłach. Pod koniec pierwszej kadencji pojawiły się pierwsze komputery, ale tylko do dyspozycji Biura. Wszystkie zawiadomienia otrzymywało się tradycyjną drogą pocztową.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Początkowo, jako wiceprzewodniczący, byłem członkiem prezydium, więc nie pracowałem w komisjach, tylko je nadzorowałem. Kiedy przestałem pełnić tę funkcję, pracowałem w kilku komisjach, m.in. w Komisji Nazewnictwa, która miała szeroki zakres działania. Nie chodziło tylko o zmianę nazw ulic, ale również o pewne sprawy związane z urbanistyką, planowaniem nazw nowych ulic itd. Pracowałem również w Komisji Kultury i Komisji Edukacji. W pierwszej z nich, z racji pełnionej funkcji dyrektora Wydziału Kultury, moje uczestnictwo było dość specyficzne. Nie wchodziłem w skład prezydium, żeby nie było podejrzeń o sprzeczność interesów. Wtedy jeszcze można było łączyć zadania funkcjonariusza publicznego z byciem radnym. Później przepisy prawne zawęziły te możliwości.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Nie ma ucieczki przed tym, że istnieją kluby polityczne czy też kluby radnych. Jak to oceniam? Uważam, że dopóki nie eliminuje się obywatela z kluczowej roli w akcie wyborczym, nie jest to złe. Ordynacje wyborcze są jednak skonstruowane w taki sposób, że to siły polityczne kreują kandydatów, a nie obywatele, np. poprzez układanie list wyborczych.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Po pierwsze, że jako bardzo młody człowiek musiałem panować nad dość dużą grupą ludzi, która sama w sobie miała spory potencjał. Bycie radnym było, i mam nadzieję nadal jest, pewnym docenieniem, osiągnięciem jakiegoś stopnia kariery. Zapanowanie nad radnymi i ich osobowościami było z pewnością wyzwaniem. Po drugie, otwarcie się na świat. Przyjmowanie „koronowanych głów", udział i organizowanie tych zdarzeń było z pewnością niesamowitą przygodą dla człowieka, który jeszcze rok wcześniej nie miał paszportu i był uznawany przez Służbę Bezpieczeństwa za element antykomunistyczny. Wszystko wydarzyło się nagle i całkowicie zmieniło moje życie. Z obywatela drugiej kategorii stawałem się pełnowartościowym obywatelem i jeszcze na eksponowanym stanowisku. Był to zaszczyt, zwłaszcza że nastąpiło to poprzez akt wyborczy, z czego byłem dumny. Miałem świadomość, że uczestniczę w czymś ważnym. Wydaje mi się, że radni pierwszej kadencji mieli poczucie spełnienia. Poczucie, że się nie zmarnowało tych czterech lat, chociaż pewnie wiele rzeczy można było zrobić lepiej.

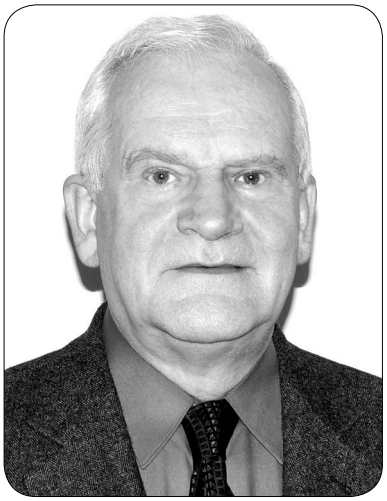
Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedlowych, one się wtedy dopiero tworzyły. Nie startowałem do następnej Rady i świadomie odsuwałem się od tego typu działalności, ponieważ w sposób naturalny łączyła się ze światem polityki. Uważałem, że decydując się na przejście do biznesu i prowadzenie działalności gospodarczej, nie powinienem pracować w instytucjach publicznych, bo istnieje ryzyko wystąpienia sprzeczności interesów. W pewnym momencie ostatecznie rozstałem się z działalnością samorządową.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Jest to dość skomplikowane. Nie chcę powiedzieć, że nie ma wolnych mediów, ale one się w pewien sposób zglobalizowały. Zajmują się albo czymś wielkim, albo czymś sensacyjnym, a oba te obszary dla samorządności

niespecjalnie się liczą. Kiedy Miasto poddawane jest krytyce, to jest to ocena polityczna, a nie merytoryczna. Mogę podać kilkadziesiąt przykładów, które są istotnymi problemami Miasta, ale nie są rozważane merytorycznie, bo się na tym nikt w mediach nie zna. Z kolei ludzie, którzy się na tym znają, nie mogą tego wypowiedzieć publicznie. Czy można to zmienić? Kiedy patrzę na Europę Zachodnią czy Stany Zjednoczone, gdzie samorządy mają tradycję idącą w dziesiątki lat, a nie dwudziestoletnią, to jestem raczej optymistą.



Leonard SMOŁKA

Radny I i II kadencji, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w latach 1991-1998, przewodniczący Komisji Inwentaryzacyjnej Mienia Komunalnego w latach 1990-1998.
Historyk, archiwista, doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie historii Polski i powszechnej XIX i XX w., nauczyciel akademicki.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Decyzję o kandydowaniu w wyborach do Rady Miejskiej Wrocławia podjąłem w dawnym szpitalu akademickim przy pl. Katedralnym, gdzie znalazłem się nagle w lutym 1990 r. Pracowałem intensywnie naukowo i społecznie w Instytucie Historycznym naszego Uniwersytetu i poza nim, kończyłem też budowę domu. Doprowadziło to do podejrzenia 46-latka o zawał. Po trzytygodniowej terapii powróciłem do życia aktywnego i wziąłem udział w pierwszych od 1929 r. demokratycznych wyborach samorządowych we Wrocławiu. Miałem świadomość, że państwo i gród nad Odrą były ich pozbawione zarówno w Trzeciej Rzeszy (1933-1945), jak i po zmianie geopolitycznej roku 1945, odkąd Polska znalazła się w orbicie wpływów ZSRR.

Propozycja kandydowania z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" była dla mnie nie tyle zaskoczeniem, ile nowym wyzwaniem. Miałem doświadczenie uczestnictwa w organach przedstawicielskich Uniwersytetu, stowarzyszenia naukowego i związku zawodowego, ale z reprezentacją/władzą miejską miało ono związek tylko pośredni. Wyzwanie to pojawiło się szybciej, niż można było tego oczekiwać w okresie stanu wojennego i w następnych latach ostatniej dekady PRL. Mojej decyzji o czynnym udziale w wyborach i pełnieniu funkcji radnego sprzyjały, oprócz czasu przełomu i propozycji umieszczenia mnie na solidarnościowej liście kandydatów, także dwie inne okoliczności, obydwie o charakterze historycznym. Pierwszą była znajomość zagadnień samorządowych przez historyka zajmującego się wiekiem XIX i XX, a więc okresem, w którym ideę nowocześnie rozumianej samorządności realizowano zarówno na części ziem polskich przed 1918 r., jak i w II Rzeczypospolitej; drugą natomiast, obeznanie z problematyką samorządową obecną w tradycji rodzinnej, w tym w papierach mojego ojca, powstańca śląskiego. W latach II Rzeczypospolitej, zarówno mój dziadek, Józef Musiolik, jak i mój ojciec, Józef Smołka, pracowali w samorządzie gminnym na terenie ówczesnego województwa śląskiego. Jako ciekawostkę powiem, że ślubu cywilnego udzielił moim rodzicom mój dziadek, inkasując wcześniej od przyszłego zięcia, wówczas sekretarza gminnego, złotą monetę tytułem wykupu swojej córki, co było oznaką zgody na jej zamążpójście. Z tradycji rodzinnej znałem też ewolucję statusu polskich władz lokalnych po 1945 r. od samorządu formalnego do rad narodowych (w latach 1945-1967 ojciec był szefem lokalnego Urzędu Stanu Cywilnego).

Moja wiedza o samorządzie sprzed 1939 r. skonfrontowana z ideą rad narodowych po 1945 r. odegrała znaczącą rolę w podjęciu decyzji o czynnym udziale w demokratycznych wyborach samorządu miejskiego Wrocławia na początku ostatniej dekady XX w.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, ale wspomniana już wiedza o samorządzie z prawdziwego zdarzenia i świadomość charakteru przemian w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. sprzyjały podjęciu wyzwania czasu, w którym dane było żyć mojemu pokoleniu, urodzonemu podczas II wojny światowej i mającemu – zwłaszcza przez rodziców i nauczycieli lub im podobnych – pośredni kontakt z tradycją innej rzeczywistości niż ta, która od 1945 r. stała się efektem Jałty. W takich okolicznościach brak wcześniejszego zajmowania się sprawami miasta nie był najważniejszy przy podjęciu decyzji o udziale w demokratycznych wyborach

samorządowych 1990 r.; wystarczyć musiała prawie trzydziestoletnia obserwacja życia w mieście i doświadczenia zdobyte w pracy na Uniwersytecie po ukończeniu studiów. W takich też okolicznościach ani uczucie zbytniej pewności siebie, ani tym bardziej rozterki czy zwątpienia w sens podjętej decyzji nie odgrywały żadnej roli. Myślę także, że mój czynny udział w pierwszych po II wojnie światowej demokratycznych wyborach samorządowych nie był zaskoczeniem dla środowiska akademickiego. Liczył się cel, który z ogólnoludzkiego punktu widzenia był wysoce pozytywny, w dodatku wcale nieobojętny dla tego środowiska. Stał się on czynnikiem rozstrzygającym na rzecz czynnego udziału w kampanii wyborczej Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" i to bez względu na indywidualny/osobowy wynik wyborów. Startowałem w końcu z ostatniej pozycji na liście. Kierowałem się jednak wiarą i przekonaniem, że dobra wola i chęć realizacji idei samorządowej przez nasze ugrupowanie – połączone ze wsparciem wyborców – zaowocują takimi efektami, które w stosunkowo bliskiej perspektywie czasowej odmienią oblicze Wrocławia i życie jego mieszkańców, uczynią to miasto znośniejszym i przyjemniejszym w porównaniu ze stanem sprzed 1990 r. Miałem też świadomość, że w tworzonej wtedy nowej rzeczywistości zarówno modernizacja miasta, jak i zmiana mentalności społecznej mieszkańców nie dokonają się z dnia na dzień, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, i że ta nowa rzeczywistość nie będzie wolna od nowych trosk i problemów, zarówno włodarzy miasta jak i jego mieszkańców.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Po ukonstytuowaniu prezydium nowej Rady Miejskiej i Zarządu Miasta, na trzecim posiedzeniu Rady (19 czerwca 1990) zostałem wybrany przewodniczącym 7-osobowej Komisji Inwentaryzacyjnej Mienia Komunalnego. W przeciwieństwie do powołanych cztery dni później komisji stałych Rady, Komisja Inwentaryzacyjna miała ustawowo charakter doraźny. Po wstępnym rozpoznaniu sprawy, przed pierwszym posiedzeniem komisji (22 czerwca) i w trakcie jej obrad okazało się jednak, że ustawodawca zbyt optymistycznie planował ukończenie prac w ciągu trzech miesięcy, że problem rozgraniczenia tego, co jest, co ma być własnością komunalną, co zaś ma pozostać własnością Skarbu Państwa we Wrocławiu był zagmatwany historycznie.

Własność poniemiecką na Ziemiach Zachodnich i Północnych przejął w 1945 r. Skarb Państwa socjalistycznego, a więc państwa, które nie przywiązywało zbytniej wagi do prawa własności i ksiąg wieczystych. Prawomocne stawały się decyzje powojennych decydentów i zarządców miasta. Cechowała je daleko idąca dowolność, uznaniowość i potrzeba chwili. Decyzje te były często rozbieżne i zagmatwane. Część nieruchomości nie miała w ich świetle w ogóle właściciela prawnego, zaś większość miała ich kilku. Kuriozalny był status ratusza, któremu daleko było do dzisiejszej świetności. Ratusz nie należał wówczas do Miasta, a Rada Miejska obradowała w budynku Zarządu Miasta przy Nowym Targu w sali nr 215, co przypominało położenie gospodarza wiejskiego na tzw. wycugu. Niemniej, tam obradowała właśnie nowa Rada do czasu wyremontowania i odzyskania ratusza przez Miasto, jego komunalizacji. Do uporządkowania i przygotowania materiałów pod decyzje komunalizacyjne obejmujące cały Wrocław powołano właśnie Komisję Inwentaryzacyjną. Przewodniczyłem jej przez dwie kadencje, w latach 1990-1998. Inwentaryzacja nieruchomości komunalnych i oddzielenie ich od nieruchomości Skarbu Państwa było sprawą o podstawowym znaczeniu ustrojowym zarówno dla przyszłości samorządu, jak i dla samej gminy Wrocław. Uregulowanie stanu prawnego tych nieruchomości i nadanie im statusu własności komunalnej oznaczało bowiem, iż ich właścicielem jest gmina Wrocław, władna odtąd obracać nimi zgodnie z interesami swojej polityki we wszystkich dziedzinach życia. Zaowocowało to w następnych kadencjach Rady prężnym rozwojem Wrocławia.

Komisja musiała uporać się z brakiem rządowego rozporządzenia określającego sposób dokonania inwentaryzacji, wykorzystując materiały warszawskiego Instytutu Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej, kontaktując się i współpracując z wiceprezydentem Andrzejem Olszewskim i wydziałami Urzędu Miejskiego: Geodezji i Gospodarki Gruntami (Tadeusz Łaba i Ewa Gabryszewska), Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej (Stanisław Dymek), Architektury i Urbanistyki (Barbara Jaworska), a także z Wydziałem Geodezji Urzędu Wojewódzkiego (Barbara Wysocka), ponadto zaś z pełnomocnikiem rządu ds. samorządu terytorialnego Romualdem Siepsiakiem, a w razie potrzeby z przedstawicielami innych struktur gminnych i instytucji. Wobec ogromu zadań, uchwałą Rady Miejskiej z 7 lipca zwiększono liczbę członków komisji o nowych radnych i dopuszczono w niej uczestnictwo członków spoza Rady, tak, by skład nie przekroczył jednak 15 osób. Ponadto, na wniosek przewodniczącego, na drugim posiedzeniu komisji (10 lipca) utworzono wstępnie cztery podkomisje branżowe, jesienią zaś zasygnalizowano potrzebę powołania Komisarza Spisowego, urzędowej struktury ds. inwentaryzacji podległej prezydentowi. Została nim Halina Pawłowska, dyplomowany geodeta, zajmująca się już wcześniej inwentaryzacją. W samej komisji utworzono wtedy zespoły dzielnicowe. W inwentaryzacji mienia komunalnego uczestniczyło kilkadziesiąt osób. Pierwszym efektem ich pracy – pożądanym i widocznym dla zniecierpliwionych środowisk zainteresowanych szybką i pełną prywatyzacją – było pojawienie się w prasie wrocławskiej, na przełomie wiosny i lata 1991 r., komunikatu Komisji Inwentaryzacyjnej informującego o tym, że od 17 czerwca w Biurze Komisarza Spisowego w budynku Zarządu Miasta przy pl. Solnym 16, w pok. 244, w godz. 10-14, wyłożone są do wglądu publicznego karty inwentaryzacyjne mienia podlegającego komunalizacji na obszarze dwóch dawnych dzielnic Wrocławia (Śródmieścia i Krzyków), a także karty inwentaryzacyjne mienia przedsiębiorstw, zakładów pracy i innych

jednostek organizacyjnych, dla których organem założycielskim jest Prezydent Wrocławia. Zgodnie z komunikatem, wszystkie osoby prawne i fizyczne, posiadające podstawy prawne do wniesienia roszczeń własnościowych, mogły w terminie jednego miesiąca zgłaszać swoje uwagi. Podlegały one rozpatrzeniu przed podjęciem decyzji o komunalizacji konkretnych nieruchomości. Do jesieni 1993 r. podjęto ponad 3 tys. takich decyzji. Dotyczyły one komunalizacji blisko 50 tys. nieruchomości. Nie oznaczało to jednak zakończenia prac komisji, którą kierowałem także w drugiej kadencji Rady Miejskiej, w latach 1994-1998.

W obydwu kadencjach pełniłem też funkcję wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej; w pierwszej od 10 lipca 1991 r. w miejsce Pawła Skrzywanka, powołanego na stanowisko dyrektora Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, w drugiej zaś przez całą kadencję. Skutkowało to znacznym zwiększeniem moich obowiązków. Odtąd nie ograniczały się one do kierowania Komisją Inwentaryzacyjną Mienia Komunalnego i prac w dwóch innych komisjach (Oświaty i Młodzieży, Kultury i Nauki) oraz pełnienia dyżurów radnego. Objęły także sprawowanie pieczy nad tymi i innymi komisjami Rady (Ochrony Środowiska, Zdrowia, Sportu i Rekreacji, Rad Osiedli), podejmowanie mediacji w sprawach kontrowersyjnych i przyjmowanie petentów Rady w ramach dyżurów członków jej prezydium, ponadto zaś reprezentowanie Miasta na zewnątrz w sprawach o charakterze lokalnym, krajowym i międzynarodowym oraz zastępowanie przewodniczącego Rady, kolejno: Stanisława Miękisza i Andrzeja Łosia.

Spośród wielu spraw, którymi zajmowałem się jako wiceprzewodniczący Rady, wymienię niektóre, zaczynając od tej, która tak, jak efekty prac Komisji Inwentaryzacyjnej, miała dla gminy znaczenie ustrojowe. Chodzi o funkcjonowanie rad osiedli, powołanych zgodnie z delegacją ustawową na podstawie uchwalonego przez radnych Statutu Wrocławia, jako tzw. jednostki pomocnicze Miasta o charakterze społecznym i doradczym, mogące zatem opiniować różnorakie przedsięwzięcia lokalne władz miejskich i inicjować je, bez podejmowania jednak decyzji wiążących gminę. Inicjatywy osiedlowe trzeba było wkomponować w rozwój przestrzenny miasta i jego politykę społeczno-gospodarczą tak, by nie kolidowały z uzasadnionym merytorycznie rozwojem całej gminy i uwzględniały interesy oraz priorytety całości; jednym słowem tak, by władze miasta – bacząc na możliwości budżetu – mogły podjąć decyzję korzystną zarówno dla osiedla, jak i dla całej gminy. Sprawa stawała się przedmiotem kontrowersji zarówno w niektórych radach osiedlowych, jak i w samej Radzie Miejskiej, więcej: znalazła wyraz nie tylko w zbyt emocjonalnych utarczkach, ale i w powstawaniu struktur nieformalnych, nie wyłączając Rady ds. Współpracy z Radami Osiedli i jej Zgromadzenia Ogólnego, istniejących jakiś czas w trakcie II kadencji Rady Miejskiej, za aprobatą prezydium. Zasygnalizowana kwestia była, i pozostaje może nadal skomplikowana z kilku powodów, zwłaszcza niezwykle niskiego odsetka udziału mieszkańców w wyborach do rad osiedli i niezwykle wysokiego zróżnicowania osiedli z punktu widzenia obszaru i liczby ludności (wtedy od kilkuset osób do kilkudziesięciu tysięcy), ponadto zaś ze względu na możliwości budżetu miasta, którego infrastruktura w 1990 r. była mocno zdewastowana. Nowe władze Wrocławia musiały postawić więc pytanie, czy efektywność zarządzania takim właśnie miastem na przełomie XX i XXI w. wymaga w ogóle pośredniego szczebla administracji (rady osiedla nim nie są), czy bez niego – wysoce kosztownego (stąd likwidacja urzędów dzielnicowych) – można się obejść, wykorzystując jednak inne możliwości uprawnionych interesów i oczekiwań mieszkańców, w tym także inicjatyw lokalnych wykraczających poza strukturę rad osiedli. Przyjęte wówczas rozwiązanie odpowiadało, jak sądzę, potrzebom miasta w dobie szybko zmieniających się technologii i służy mu również w trzecim tysiącleciu, choć permanentna troska o kształt zarządzania gminą i stosunków międzyludzkich jest aktualna zawsze.

W połowie 1993 r. przystąpiłem też do prac w zespole Rady Miejskiej przygotowującym opinie w sprawie przejęcia od 1994 r. przez gminę od państwa – w ramach tzw. programu pilotażowego – własności i kompetencji w takich dziedzinach, jak oświata, ochrona zdrowia, kultura, gospodarka komunalna, architektura, budżet i komunikacja. To także miało znaczenie ustrojowe. Stwarzało też perspektywę większych i lepszych możliwości rozwoju tych dziedzin życia miejskiego, wszakże pod warunkiem przejrzystości całej operacji, zwłaszcza zaś adekwatności przekazywanych gminie kwot i zadań.

Po ustanowieniu uchwałą Rady Miejskiej z połowy czerwca 1991 r. Święta Wrocławia w dniu św. Jana Chrzciciela (24 czerwca), patrona katedry wrocławskiej i miasta, a także po połączeniu z tym świętem Dni Wrocławia (1993), obchodzonych dotąd w maju, niby jako przedłużenie, popularnych skądinąd, Dni Oświaty, Książki i Prasy, zostałem przewodniczącym dorocznego Komitetu Organizacyjnego Dni Wrocławia, a trzy lata później także członkiem Komitetu Honorowego Święta Wrocławia z innego jednak tytułu: sprawowania od 1995 r. także funkcji prezesa Towarzystwa Miłośników Wrocławia. W 1993 r. Urząd Miejski po raz pierwszy nie dotował Dni Wrocławia; na ich organizację ogłoszono przetarg, dając podmiotom gospodarczym możliwość pokazania się szerszej publiczności. Ponadto, z inicjatywy radnego Mirosława Okińczyca Dni Wrocławia i miasto promowano w wileńskiej rozgłośni radiowej „Znad Wilii" (24-26 czerwca). Uroczystym sesjom Rady Miejskiej z okazji Święta Wrocławia towarzyszyło od 1993 r. nadawanie ludziom wybitnym i zasłużonym dla miasta tytułu *Civitate Wratislaviensi donatus* i przyznawanie nagród na podstawie uchwały Rady Miejskiej z 16 stycznia. Z tego powodu przygotowywałem każdorazowo teksty laudacji i wygłaszałem je podczas uroczystych sesji aż do końca II kadencji Rady Miejskiej. W latach 1993-1997 wspomnianym tytułem uhonorowano kolejno: Alfreda Jahna, Tadeusza Różewicza, Henryka

Tomaszewskiego, ks. kardynała Henryka Gulbinowicza i Jana Pawła II, wydając potem (1997) stosowną publikację Rady Miejskiej obejmującą także laureatów Nagrody Wrocławia. W ostatnim roku II kadencji Rady Miejskiej honorowym tytułem obdarowano Jerzego Grotowskiego (1998).

Do moich obowiązków w charakterze wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej należał też udział w rozmaitych spotkaniach, rozmowach i negocjacjach, jubileuszach, rocznicach, uroczystościach odsłaniania tablic i pomników, posiedzeniach Kolegium Rektorów Wyższych Uczelni Wrocławia i Opola oraz efemerycznej, niestety, Wrocławskiej Rady Nauki, złożonej z przedstawicieli środowiska naukowego oraz gospodarczego, administracji samorządowej i rządowej, powołanej zaś pod przewodnictwem Wojciecha Wrzesińskiego przez Radę Miejską w celu tworzenia warunków harmonijnego rozwoju miasta i regionu z jednej strony, oraz szkolnictwa wyższego, z drugiej. Z woli Rady Miejskiej, Sejmiku Samorządowego i wojewody wrocławskiego przewodniczyłem trzem społecznym radom nadzorczym wrocławskich jednostek służby zdrowia – Ośrodka Neuropsychiatrii Dziecięcej „Oddział Dzienny", Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem oraz Wojewódzkiego Specjalistycznego Szpitala Chorób Dziecięcych im. J. Korczaka. Nawiązałem też m.in. kontakty z Zarządem Wojewódzkim Oddziału Krajowego Rady Oświaty Specjalnej (KROS) we Wrocławiu, itp.

Pozawrocławski wymiar miały moje wystąpienia podczas konferencji przedstawicieli samorządu terytorialnego największych miast Polski (początkowo tzw. dziewiątki), Związku Miast Polskich i Zgromadzenia Ogólnego Zrzeszenia Przewodniczących Rad Gmin Rzeczypospolitej Polskiej oraz we wrocławskim ratuszu w trakcie V Krajowego Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury w Polsce.

Spośród spraw wrocławskich, które wywołały olbrzymie zainteresowanie opinii nie tylko lokalnej i krajowej, ale i zagranicznej, wspomnę dwie z 1997 r. W chronologicznie pierwszej, Kongresie Eucharystycznym, byłem raczej uczestnikiem i świadkiem, drugiej, zapobieganiu groźbie i skutkom powodzi, która w lipcu dotknęła Wrocław boleśnie i groziła dewastacją centrum miasta – tak pięknie już odrestaurowanego – oddałem się bez reszty. Z ramienia Rady Miejskiej utrzymywałem kontakt koordynacyjny z radami osiedli i komitetami przeciwpowodziowymi oraz niezwykle pomocnymi mediami, zwłaszcza w sytuacji zniszczenia linii telefonicznych i wobec braku telefonów komórkowych. Firmowałem kilka uchwał dotyczących pomocy finansowej poszkodowanym i przezwyciężenia widocznej zrazu opieszałości rządu Rzeczypospolitej. Byłem upoważniony do uzgadniania z szefami Miejskiego i Rejonowych Ośrodków Pomocy Społecznej zasadności wniosków o powodziowe zapomogi pieniężne. Jednocześnie, jako członek uniwersyteckiego komitetu przeciwpowodziowego, niejedną noc w okresie największego zagrożenia spędziłem tuż nad Odrą, choć akta Archiwum Uniwersyteckiego, którym wtedy kierowałem, zabezpieczyłem skutecznie trzy dni przed nawałnicą z pomocą pracowników, studentów i wolontariuszy z miasta, a nawet spoza Wrocławia. Późniejsze podtopienie wodą podskórną nie zdewastowało zbiorów archiwalnych w ogóle, a gest przyjaźni w postaci ofiary pieniężnej Francuzów – odwiedzających Radę Miejską – zapoczątkował skuteczną akcję remontu nowej siedziby dla Archiwum Uniwersyteckiego. Miałem też jednak świadomość bycia tylko jednym z wielu mieszkańców miasta zmagających się z powodzią, w dodatku takim, którego domostwa na Krzykach nie dotknęły najgorsze skutki tej okropności. Doświadczenie powodzi skutkowało jednak moim udziałem jako historyka w Instytucie Historycznym w pierwszej publikacji o tym kataklizmie, wydanej we wrześniu 1997 r. przez Biuro Rozwoju Wrocławia, później zaś (2005) pracą magisterską jednego z moich studentów, Pawła Pacholika.

W kręgu moich zainteresowań i obowiązków jako wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej znalazło się też partycypowanie w nawiązywaniu i rozwijaniu kontaktów międzynarodowych Wrocławia, w czym każdorazowo niezwykle pomocne było miejskie Biuro Współpracy z Zagranicą. Wspomnienie zaczynam od spotkań i rozmów m.in. z uczestnikami Szkoły Języka Polskiego i Kultury dla Cudzoziemców Uniwersytetu Wrocławskiego, delegacją parlamentarzystów Dolnej Saksonii, przedstawicielami skautów niemieckich i francuskich, Deutsch-polnische Jugendwerk i wolontariuszami Inicjatywy Chrześcijan dla Europy, uczącymi się języka polskiego i poznającymi historię Polski, a także od kontaktów z pracownikami Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Efektem tych ostatnich był cykl kilkunastu odczytów i spotkań publicznych we wrocławskim ratuszu w 1998 r. poświęconych „Historii lokalnej na przykładzie wybranych miast i gmin".

Z okazji 10. rocznicy pierwszego transportu z pomocą rodzinom poszkodowanych członków „Solidarności" w dobie stanu wojennego, na przełomie stycznia/lutego 1992 r. wraz z ks. Andrzejem Dziełakiem reprezentowałem Wrocław w Brive-la-Gaillarde (Francja), gdzie istniało Towarzystwo Solidarności z Polską, a merem był pan Jean Charbonnel, m.in. współpracownik w rządach gen. de Gaulle i Pompidou. Z inicjatywy tamtejszego stowarzyszenia ks. Jerzego Popiełuszki i z udziałem I sekretarza Ambasady Polskiej w Paryżu Tomasza Orłowskiego oraz Chóru Politechniki Wrocławskiej jedną z ulic Brive nazwano rok później imieniem Jerzego Popiełuszki. Tamtejsza szkoła im. Joanny d'Arc współpracowała z wrocławską Szkołą Podstawową nr 21 i parafią na Osobowicach. Niejako w rewanżu, uchwałą naszej Rady Miejskiej ul. Krótką na Osobowicach nazwano ul. Edmonda Michelet, uczestnika francuskiego ruchu oporu (1939-1945), m.in. współpracownika w rządach gen. de Gaulle (1958-1961), Pompidou (1967-1968) i Chaban-Delmas (1969-1970), zm. 9 października 1970 r. w domu rodzinnym w Marcillac na terenie gminy Brive. Przedstawicieli tego miasta gościliśmy potem we Wrocławiu niejeden raz, poczynając bodaj od kwietnia 1993 r., a planowaną na jesień uroczystość nadania nowej nazwy ulicy na Osobowicach

przesunęliśmy na wiosnę 1994 r. z powodu niedogodności pierwszego terminu dla Francuzów. Pod nieobecność pana Charbonnel, biografa Michelet, i ks. Jean François Sierra – kuriera wspomnianej ciężarówki z pomocą w dobie stanu wojennego, władze Brive reprezentowała wtedy pani Christianne Rogie i panowie: François David i Étienne Patier − wnuk nowego patrona ulicy na Osobowicach. Planowany w Auli Leopoldina odczyt mera na temat „De Gaulle et Michelet", stwarzający możliwość kontaktów instytutów uniwersyteckich z Centre Edmond Michelet. Étude de la Résistance et de la Déportation w Brive, nie odbył się. Musiała wystarczyć więc moja charakterystyka nowego patrona ulicy podczas uroczystości na Osobowicach, opublikowana potem w „Le Lien francophone en Basse Silésie" (Été 1994). W związku z nią przypomnę też refleksję Anity Tyszkowskiej-Gosk z „Gazety Robotniczej", która po miesiącu, 14 czerwca, zamieściła informację o *Francuskiej ulicy na wrocławskich Osobowicach* w kontekście zmian nazewnictwa, pisząc m.in.: „Od paru już lat zmiany nazw ulic budzą – mówiąc łagodnie – uczucia tzw. ambiwalentne. Na szczęście – nie zawsze. Kiedy 12 maja 1994 roku zmieniano nazwę ul. Krótkiej na ulicę Edmonda Micheleta, zmiana ta na pewno wyszła na dobre Wrocławiowi. Dlaczego? Dlatego, że w historii naszego miasta zapisane zostało nazwisko człowieka, który swoim życiorysem mógłby obdarzyć sporo osób".

Wrocław reprezentowałem też na spotkaniach towarzyszących podpisaniu 6 lutego 1996 r. w Pałacu Luksemburskim w Paryżu przez Wojewodę Dolnośląskiego Janusza Zaleskiego i Przewodniczącego Rady Generalnej Departamentu la Vienne René Monory umowy o współpracy między naszymi regionami w zakresie wymiany grup młodzieży i nauczycieli, wystaw, działalności reklamowej, popierania małej przedsiębiorczości i agroturystyki, technologii produkcji, przetwórstwa mlecznego i hodowli kóz. W 9-osobowej delegacji znaleźli się też m.in. przewodniczący Sejmiku Samorządowego Leon Kieres, konsul honorowy Francji we Wrocławiu Jacek Libicki, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego Ewa Mańkowska i przewodniczący Stowarzyszenia Wójtów i Burmistrzów Województwa Wrocławskiego Ryszard Chomicz, ponadto zaś Ewa Baranowska z Biura Radcy Handlowego Ambasady Polskiej w Paryżu. Podczas wymiany poglądów z przedstawicielami Departamentu la Vienne (R. Monory, Olivier Cazenave – dyrektor generalny, Florence Forsans – pełnomocnik ds. europejskich) na temat współpracy Francuzom przekazano projekt stosownej umowy, przyjęty życzliwie i z zainteresowaniem, tak jak sugestia złożenia wizyty we Wrocławiu. Skutkowało to później podpisaniem odrębnego porozumienia o współpracy między Wrocławiem a Poitiers, stolicą Departamentu la Vienne. Z kolei na spotkaniu z przewodniczącym Fondation France-Pologne Jacques de Chalender i sekretarzem generalnym Jean-Claude Roussier omówiono sprawę obustronnego uaktywnienia współpracy władz miejskich i uczelnianych, gospodarczych i oświatowych. W Biurze Radcy Ekonomiczno-Handlowego Ambasady Polskiej w Paryżu rozmawiałem wtedy o możliwościach współpracy z francuskimi podmiotami gospodarczymi, co zaowocowało wkrótce przekazaniem do Wrocławia oczekiwań Regionalnej Izby Handlowo-Przemysłowej w Nantes. Natomiast w dniach 6-9 marca 1997 r. wizytowałem Poitiers w związku z przygotowywaniem wymiany kulturalnej między naszymi miastami, m. in. planowanym na lato „Miesiącu Francji" we Wrocławiu, przyjazdem orkiestry tamtejszego Uniwersytetu i teatrów szkolnych. Uczestniczyłem ponadto w spotkaniach z delegacją Departamentu la Vienne na czele z wiceprzewodniczącym Rady Generalnej Ghislain Delaroche z okazji Międzynarodowych Targów Turystycznych „Rekreacja'98" (6-9 maja 1998).

Kontakty nowych władz Wrocławia z samorządami i organizacjami pozasamorządowymi demokracji zachodnich wyprzedziły w czasie nasze relacje z krajami postkomunistycznymi, w tym z Czechami, choć czeski lew widniał w herbie Wrocławia od kilkuset lat. W reakcji na sugestię Pana Juliana Golaka z Nowej Rudy, aby wrocławski samorząd zainteresował się Polsko-Czeskimi Dniami Kultury Chrześcijańskiej, 27 września 1994 r. doprowadziłem w klubie radnego do spotkania z przedstawicielami polsko-czeskiego Komitetu Organizacyjnego tych Dni. Zaowocowało to intensyfikacją współpracy z Czechami, zwłaszcza po wizytach – poczynając od jesieni 1994 r. – m.in. w Ambasadzie Polskiej w Pradze (amb. Jacek Baluch i amb. Marek Pernal, konsul generalny Witold Rybczyński), spotkaniach z czeskim ambasadorem w Polsce (Karel Štindl), konsulem generalnym w Katowicach (Josef Byrtus) i prymasem Czech (ks. kard. Miloslav Vlk), a także w niektórych miastach pogranicznych, które uczestniczyły w P-CzDKCh (np. Červeny Kostelec, Police nad Metują, Nachod, Hradec Králové). Starostkę Polic, Marię Vaňkovą, gościliśmy we Wrocławiu dwukrotnie, uczestnicząc potem w wydarzeniach kulturalno-oświatowych i religijnych w tym małym, pogranicznym mieście, m.in. w pięknym i przestrzennym budynku teatru Kolara, przypominającym gmach naszego Teatru Lalek. Wątek czeski w II kadencji Rady Miejskiej wiązał się z wysiłkami utworzenia pogranicznego Euroregionu Glacensis i konsulatu czeskiego we Wrocławiu, a także podjęcia szerszej współpracy polsko-czeskiej. Sprzyjało temu, m.in., uczestnictwo w Czesko-Polskich Targach Turystycznych, zorganizowanych w Czeskim Cieszynie i Ostrawie, a także w promocji Wrocławia i w rozmowach z przedstawicielami konsularnymi na temat współpracy polsko-czeskiej w dziedzinie gospodarki, handlu, turystyki i kultury (18-20 marca 1997). Przy okazji zakończenia VIII P-CzDKCh w Hradec Králové i promocji spektaklu Opery Wrocławskiej *Straszny Dwór* (4 października 1997), skontaktowałem się z przedstawicielami Hradec Králové (zastępca burmistrza Jan Doskočil, bp Karel Otčenášek), planującymi współpracę z Wrocławiem i spotkanie prezydentów/burmistrzów obydwu miast. W Hradec Králové rozmawiałem też o kontynuacji P-CzDKCh i powstaniu Centrum Informacji Czeskiej we Wrocławiu, omawiałem ten projekt także z ambasadorem czeskim w

Warszawie, a nieco później z ambasadorem polskim w Pradze, gdzie byłem w dniach 18-19 października 1997 r. Następnie w Policach nad Metują uczestniczyłem w inauguracji 50. edycji festiwalu sztuk teatralnych ze szczególnym uwzględnieniem teatrów amatorskich (25 października), a trzy dni później we wrocławskim klubie radnego w otwarciu konferencji polsko-czeskiej uniwersyteckiego Centrum Badań Bohemistycznych. Wreszcie, podczas III Dni Czeskich (także Węgierskich i Bułgarskich) gościliśmy we Wrocławiu delegację Hradec Králové (6-8 maja 1998) w związku z rozmowami w różnych grupach problemowych, spotkaniami okolicznościowymi i podpisaniem listu intencyjnego przez prezydenta Bogdana Zdrojewskiego i burmistrza Martina Dvořáka.

Ciepło wspominam też pobyt w naszej Radzie Miejskiej delegacji litewskiej z Kowna (30 września 1996) i późniejszą rewizytę w tym mieście (2-5 listopada) w związku z podpisaniem Deklaracji o współpracy przez prezydentów (Bogdan Zdrojewski i Vladas Katkevicius).

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

W odpowiedzi na podobne pytanie „Wieczoru Wrocławia" na zakończenie I kadencji Rady Miejskiej (1994) zauważyłem, że „o własnych sukcesach lepiej usłyszeć od innych". Lepiej jest zatem mówić o efektach własnej działalności w sensie informacyjnym i o pożytku społecznym dokonań własnych, ponieważ to, co robimy, zawdzięczamy nie tylko sobie, ale i wielu współpracownikom, w tym także takim, których nasze oczy może nawet nie widziały. Bez nich oddzielenie, na przykład, mienia komunalnego od Skarbu Państwa i jego inwentaryzacja – czym zajmowała się komisja kierowana przeze mnie w dwóch kadencjach Rady Miejskiej i co dało Miastu możliwość obrotu nieruchomościami, przezwyciężenia dotychczasowej stagnacji i wejścia na drogę rozwoju – nie byłoby możliwe. Do owych sukcesów własnych i jednocześnie I i II kadencji Rady zaliczam też skuteczne mediacje w sprawach bibliotek, żłobków i przedszkoli, remontu szkoły podstawowej przy ul. Przystankowej, telefonizacji Wrocławia, a także sprzyjanie i rozwijanie korzystnych relacji między radami osiedla a Radą Miejską oraz organami wykonawczymi gminy, dalej: doprowadzenie we Wrocławiu do ogólnopolskiego spotkania przedstawicieli największych miast Polski na temat oświaty.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Do niepowodzeń zaliczam przede wszystkim niemożność uniknięcia niekiedy dyskusji niemerytorycznych i zanadto emocjonalnych, co jest jednak skomplikowane ze względów socjotechnicznych i socjopsychicznych wszystkich uczestników dyskursu publicznego.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Generalnie wysoce pozytywnie, choć odpowiedź na to pytanie warunkują różnorodne okoliczności tej współpracy, zwłaszcza wola i interesy zainteresowanych stron. W grę wchodzą też priorytety polityki gminnej i możliwości budżetu. Przy otwartości samorządu na podejmowanie współpracy z instytucjami i organizacjami pozasamorządowymi, wielu przykładom współpracy pozytywnej można przeciwstawić rozmaite zjawiska negatywne, wywołujące obawy władz samorządowych przed jej podejmowaniem.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wysoce pozytywnie, nawet wtedy, kiedy postulatów wyborców w danym momencie nie można było zrealizować. Tajemnica pomyślności zarządzania i rządzenia, a także związanego z tym poczucia sprawiedliwości społecznej, tkwi bowiem w permanentnej trosce nie tylko zarządzających i rządzących, ale również ogółu obywateli o dobro publiczne. Zależność między aktywnością i wpływem wyborców na działalność wybranych przedstawicieli jest niewątpliwie zróżnicowana. Może być znacząco wielka wtedy, kiedy obydwie strony mówią jednym językiem i kiedy w wyborach uczestniczy jak największa liczba mieszkańców wyposażonych w demokratycznie sprawne instrumenty kontroli. Uczą tego dzieje społeczeństw i państw od dawna bardziej zmodernizowanych i lepiej zarządzanych niż kraje postkomunistyczne, a także lata mojego uczestnictwa w samorządzie Wrocławia, wcześniej zaś udziału w organach zarządzających i przedstawicielskich Uniwersytetu, towarzystw naukowych i ruchu związkowego. Pewnego rodzaju paradoksem wyborów samorządowych 1990 r. we Wrocławiu i ich skutków był udział w nich zaledwie nieco ponad 44% mieszkańców i przeprowadzenie mimo to podstawowych zmian w sposobie zarządzania miastem. Stało się tak dzięki temu, że Solidarnościowe Porozumienie Wyborcze miało wtedy takie poparcie społeczne, które pozwoliło zagospodarować 67 miejsc w 70-osobowej Radzie Miejskiej. Świadomość tego związku i wzajemnych zależności towarzyszyła mi przez obydwie kadencje Rady Miejskiej Wrocławia, więcej: poparcie społeczne było swego rodzaju akumulatorem wzmagającym energię osobistą, a także chęć kontynuowania zmian i dokonywania w wyniku dialogu społecznego poprawek różnych projektów.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Z poszanowaniem wzajemnych uprawnień władzy stanowiącej (Rada) i wykonawczej (Zarząd) oraz zachowaniem funkcji kontrolnych Rady nad sposobem realizacji jej uchwał i skutecznością zarządzania gminą przez Zarząd, jednakże bez drobiazgowego wchodzenia w szczegóły. Ostatnią sprawę część radnych niekiedy kwestionowała, choć we Wrocławiu nie doprowadzało to do wymiany władz wykonawczych tak, jak miało to miejsce w większości wielkich miast Polski. Wrocławska stabilność w tym względzie była niewątpliwie zaletą obydwu kadencji

Rady. Miała znaczenie szczególne, zwłaszcza w dwóch pierwszych latach istnienia samorządu, kiedy uwidoczniły się napięcia w relacjach z niektórymi agendami Urzędu Miejskiego poddanego w całości procesowi radykalnych przekształceń. Reorganizacja i zmiany kadrowe każdorazowo nie są wolne od szczególnego rodzaju emocji.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze.

Co sądzi Pan o powoływaniu klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

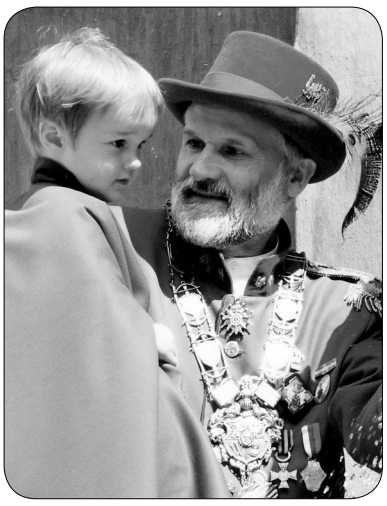
Po spektakularnym zwycięstwie Solidarnościowego Porozumienia Wyborczego wiosną 1990 r., przy udziale zaledwie 44 % mieszkańców Wrocławia, zabrakło w następnych latach działań zmierzających do stworzenia szerszego zaplecza społecznego i politycznego władz miejskich, niż sprawdzony w pierwszych wyborach ruch komitetów obywatelskich. Dotychczasowi zwycięzcy różnili się bowiem w rozmaitych kwestiach bardziej szczegółowych niż zmiana systemu politycznego, a spośród nieaktywnej wyborczo w 1990 r. większości mieszkańców wyłoniła się w następnych wyborach samorządowych (1994) wcale liczna grupa dobrze zorganizowanych zwolenników SLD. Wszystko to prowadziło, skądinąd w naturalny sposób, do powstania w II kadencji Rady Miejskiej klubów radnych. Odzwierciedlały one postępującą polaryzację stanowisk wrocławian nie tylko w sprawach miejskich, ale i krajowych, współgrały z ewolucją opinii publicznej w całej Polsce.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

O wydarzeniach związanych z działalnością Rady Miejskiej, które zapisały się w mojej pamięci najbardziej, mówiłem wcześniej. Nie sposób jednak nie pamiętać wielu innych, poczynając choćby od przebiegu kampanii wyborczych i ukonstytuowania Rady, uchwalenia Statutu Wrocławia i rozmaitych wątków obrad, a także naszych postaw i zachowań oraz klimatu obywatelskiego zaangażowania w trakcie dwóch pierwszych kadencji. Na przełomie epok wszystkie sprawy były zasadniczo ważne, *toutes proportions gardées*, zwłaszcza jednak te, które dla gminy i samorządu terytorialnego w Polsce miały podstawowe znaczenie ustrojowe.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Zainteresowanie wszystkich rodzajów ówczesnych mediów – nie wyłączając prywatnych – działalnością władz samorządowych, zarówno wykonawczych, jak i stanowiących prawo gminne, było znaczące. Z ich uprzejmości, gościnności i zainteresowania korzystałem osobiście, a część spotkań z przewodniczącymi poszczególnych komisji Rady i radnymi, zwłaszcza w prywatnej telewizji Echo i TeDe, koordynowałem przez jakiś czas jako wiceprzewodniczący Rady.



Kazimierz SOKOŁOWSKI

Radny I kadencji.
Inżynier elektronik.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Uważam, że byłem, ponieważ pochodzę z rodziny aktywnej społecznie. W czasie studiów udzielałem się społecznie w sekcji grotołazów Akademickiego Klubu Turystycznego, w Klubie Wysokogórskim, byłem członkiem Zrzeszenia Studentów Polskich, jeszcze nie socjalistycznego, była to organizacja zawodowa, a nie polityczna. W czasie pracy zawodowej w Dolamie pełniłem funkcje społeczne, byłem prezesem Klubu Techniki i Racjonalizacji, przewodniczącym Koła Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, pełniłem funkcję ławnika w Sądzie Rejonowym. W Dolamie byłem także członkiem Zakładowej Komisji „Solidarności", gdzie zajmowałem się sprawami społecznymi. W stanie wojennym pracowałem w komitecie charytatywnym przy parafii Matki Bożej Częstochowskiej przy ul. Kochanowskiego, miałem około osiemdziesięciu podopiecznych, którym roznosiłem paczki. Uważam, że praca zawodowa, aktywność społeczna i praca ławnika sądowego przygotowały mnie do pracy w Radzie Miejskiej.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Sprawami miejskimi bezpośrednio nie zajmowałem się, ale byłem aktywny w mieście, bo byłem członkiem Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji, gdzie udzielałem się społecznie, uczestniczyłem w różnego rodzaju spotkaniach wynalazczych. W tym sensie zajmowałem się sprawami miejskimi.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zanim zostałem radnym prowadziłem działalność gospodarczą, zostałem więc członkiem Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Powiedziałbym, może nieskromnie, że byłem pionierem w tworzeniu niezależnej działalności gospodarczej. Zakład Usług Wysokościowych „Taternik", którego byłem współzałożycielem i dyrektorem, był jednym z pierwszych we Wrocławiu zakładów niezależnych od partii. Przez krótki czas byłem członkiem Komisji Komunalnej, z której zrezygnowałem i przeszedłem do nowo tworzonej Komisji Sportu. W tych dwóch komisjach byłem do końca mojej kadencji. Byłem również przewodniczącym Komisji Wyborczej do Rad Osiedlowych, nadzorowałem wybory do rad osiedlowych.

W Komisji Inicjatyw Gospodarczych często omawialiśmy problem sprzedaży mienia gminnego na cele gospodarcze. Moim zdaniem było to bardzo ważne, ponieważ było wiele ofert kupna różnych terenów, które nie powinny być sprzedane. Podam taki przykład, przy ul. Tęczowej chciano sprzedać działkę, która wchodziła w ulicę. Zablokowałem tę sprzedaż, ponieważ uważałem, że nie można tej działki sprzedać, że trzeba ją pozostawić w tym miejscu na docelowe poszerzenie drogi. Drugą taką znamienną sprawą była sprzedaż pasa ziemi wzdłuż ulicy Brücknera. Tę ziemię chciały kupić „Meble Polonia", a to była rezerwa drogowa. Gdybyśmy się na to zgodzili, Miasto miałoby później problem z odkupieniem tych terenów. Podobny problem zaistniał m.in. ze sprzedanym stadionem Ślęży, który jest w pobliżu Ogrodu Zoologicznego; teraz nie ma rezerwy na powiększenie Ogrodu Zoologicznego. Moim zdaniem, to był błąd. Największym błędem było sprzedanie terenów na Oporowie w rozwidleniu dróg, koło stadionu na Oporowie, boiska sportowego. Był to teren przeznaczony na parking. Ten teren sprzedano, a następnie rozparcelowano na działki budowlane. Była to rezerwa drogowa na parking, zaprojektowana jeszcze przez Niemców. Zdarzało się, że popełniano błędy. Starałem się unikać takich błędów, sprawy te kontrolowałem. Uważam, że swoją pracę wykonywałem sumiennie, bo przed głosowaniami w takich sprawach jechałem i oglądałem działkę, żeby wyrobić sobie zdanie. Dawało mi to satysfakcję, ponieważ mogłem głosować zgodnie z przyrzeczeniem złożonym w ślubowaniu radnego, że będę reprezentował mieszkańców. Mogłem ich reprezentować i głosować zgodnie ze swoim sumieniem, ponieważ nie obowiązywała wówczas dyscyplina partyjna, co mamy w tej chwili. Bolączką obecnej Rady Miejskiej jest zły zwyczaj dyscypliny partyjnej. Tego nie powinno być, ponieważ naszymi wyborcami są nie tylko członkowie partii lub ugrupowania, lecz wszyscy mieszkańcy Wrocławia.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Największym sukcesem naszej Rady było to, że „wymietliśmy śmieci", przygotowaliśmy pole do działania. Na naszym plakacie wyborczym była miotła, która wymiata śmieci, i to nam się udało. Przygotowaliśmy grunt do dalszych przeobrażeń, do dalszej pracy. Efekty są widoczne − miasto kwitnie. Co prawda są różne problemy, ale żyjemy w normalnym świecie.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Na to trudno odpowiedzieć. Powiedziałbym, że nie było niepowodzeń. Wszyscy uczyliśmy się, wszyscy przygotowaliśmy podstawy do dalszej działalności samorządu. Nam się to udało. Wystarczy popatrzeć, jak wygląda Rynek. Już pod koniec pierwszej kadencji był zupełnie inny. Mamy nadal szereg problemów, nie mamy dróg, nie mamy obwodnic, ale to jest skutek wielu lat zaniedbań. Pamiętam, że wszystkie remonty w mieście były wykonywane w sposób odpowiedzialny, inżynierski. Podczas remontów ulic nie zmieniano jedynie nawierzchni, lecz zmieniano wszystkie urządzenia podziemne. Na przykład, rozkopano cały Rynek, stare kable i różne instalacje wymieniono, i dopiero wtedy położono nawierzchnię.

Błędów w naszej kadencji raczej nie widzę. Oceniam ją pozytywnie. Byliśmy Radą zgraną, wszyscy się wzajemnie szanowaliśmy. Były drobne konflikty między radnymi, ale to nie były istotne sprawy, były marginalne. Ponadto mieliśmy bardzo prężny Zarząd Miasta.

Bolączką były niewłaściwe przepisy. Byłem wówczas członkiem rady nadzorczej jednoosobowej spółki Skarbu Państwa. Przepis ówczesny mówił, że nie mogę pełnić równocześnie tych dwóch funkcji − radnego i członka rady nadzorczej, bo zachodzi niebezpieczeństwo korupcji, stanowi to kolizję. Żadnej kolizji nie było, bo to była spółka państwowa, zupełnie niezależna od Miasta. Wzajemne interesy w żaden sposób nie były sprzeczne. Ale ja w proteście złożyłem mandat radnego. Drugim takim był radny Bogdan Cybulski, złożył mandat w trakcie kadencji, następnym był radny Andrzej Poniewierka. Andrzej Poniewierka został w trakcie kadencji wybrany do Rady Nadzorczej Ilwro − spółki austriacko-wrocławskiej zamierzającej wybudować obiekty na placu Dominikańskim.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Było wiele organizacji pozasamorządowych. Było Bractwo Kurkowe, był Klub Wysokogórski. Współpraca dobrze się układała. W Komisji Sportu i Rekreacji co pewien czas były rozpatrywane wnioski o pomoc finanso-

wą dla organizacji społecznych, pozasamorządowych, czyli dla klubów sportowych wszelkiego rodzaju. Kluby te otrzymywały skromną, ale jednak pomoc. Między innymi taką niewielką pomoc dostał Klub Wysokogórski. Pomoc materialną na prowadzenie działalności otrzymywały przede wszystkim kluby młodzieżowe. Wtedy było bardzo dużo klubów sportowych. Nie były to kluby wyczynowe, były to kluby sportowe rozwijające masową kulturę fizyczną, a nie sport wyczynowy, który jest tylko dla nielicznych. Poza tym, z pomocy korzystały różne stowarzyszenia artystyczne, twórców ludowych, artystów ludowych.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Przed powołaniem do Rady działałem w Komitecie Obywatelskim na Zaciszu, Zalesiu i Szczytnikach. Jako radny bardzo często uczestniczyłem w różnych spotkaniach organizowanych przez ten komitet. Pewne sprawy konsultowałem z wyborcami i faktycznie reprezentowałem wyborców. W drobnych sprawach sam decydowałem, zgodnie z własnym rozumem i sumieniem. I nikt na mnie nie wpływał, żadna organizacja polityczna nie wpływała na mnie. Zresztą wtedy ich nie było, dopiero powstawały. Ja także nakłaniałem ludzi do tworzenia organizacji politycznych, ale aktywność obywateli, jak dotychczas, jest bardzo mała. Obywatele, wyborcy wówczas narzekali: mogliby to zrobić, należałoby to zrobić, a nie mówili: my to zrobimy, my to zainicjujemy, my powołamy, my jesteśmy za to odpowiedzialni; odpowiedzialny „za to" był „ktoś". Przez długi czas jeszcze było „my" i „oni". Już tego nie ma, ale w dalszym ciągu aktywność społeczna jest niezadowalająca i to jest nasza największa wada narodowa, brak aktywności społecznej.

Z inicjatywą czy zapytaniem częściej do wyborców ja wychodziłem, ale przychodzili też wyborcy do nas. Pełniłem dyżur radnego zarówno w osiedlu, jak i w Radzie Miejskiej. Postulaty zgłaszane w osiedlu były bardziej poważne – mam zaszczyt mieszkać na osiedlu, gdzie wówczas wskaźnik wykształcenia był najwyższy w całym Wrocławiu. Ludzie ci są właścicielami domów jednorodzinnych. Właściciele inaczej patrzą na różne sprawy społeczne niż najemcy. Dzielę społeczeństwo na właścicieli i na konsumentów. Gdy konsument wchodzi do domu, to nie zamyka za sobą bramy, nie wyciera butów, rzuca peta przed domem. Natomiast właściciel zamyka za sobą drzwi, nie rzuca papierków na jezdnię, dba o otoczenie. Ten podział się zaciera, ale jeszcze istnieje.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Dobrze się układały. Było wzajemne zrozumienie, dogadywaliśmy się. Nie było problemów, mieliśmy stały, ułatwiony kontakt z władzą wykonawczą, czyli Zarządem Miasta.

Można było podejść w każdej chwili do pana prezydenta lub wiceprezydenta i przedstawić mu swój problem. Nie było potrzeby przedstawiać tego w formie interpelacji. Byli tacy radni, którzy występowali z interpelacjami dla poklasku, po to, żeby się pokazać, a niekoniecznie załatwić sprawę. Wiele spraw można było załatwiać o wiele prościej i szybciej.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Z panią dyrektor i wszystkimi pracownikami Biura do tej pory utrzymuję kontakt, nie towarzyski, ale życzliwy. Panie i panowie byli bardzo zaangażowani w pracę, byliśmy bardzo z tego zadowoleni. Nie było najmniejszych zgrzytów, chodziłem nawet do pań z kwiatami, a jak były większe okazje, na przykład Sylwester, to z butelką szampana.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Nie było żadnych problemów. Byliśmy wtedy przyzwyczajeni do różnych niewygód. W poprzednim okresie wszystko było skarbem – zdobycie papieru było problemem, zdobycie długopisów, telefonów. A tutaj nie było tego. Nie odczuwaliśmy tego typu problemów.

Niektóre posiedzenia kończyły się o pierwszej w nocy, ale taka jest rola radnego. Dla mnie dużym obciążeniem były niektóre spotkania i dyżury, bo jeśli chciało się pracować sumiennie, to jednak trzeba było się angażować i przygotowywać zarówno na posiedzenia Rady Miejskiej, jak i posiedzenia komisji. To było absorbujące, było kosztem pracy zawodowej, kosztem swoich interesów. Tak, jak przestałem być radnym, to odżyłem.

Jak Pan ocenia pracę komisji, w których Pan był?

Bardzo wysoko. Wszyscy ludzie byli zaangażowani, kompetentni, znali się na tym, pracowali sumiennie i dobrze. W komisji były stosunki koleżeńskie, jeśli były jakieś różnice zdań, to wyjaśnialiśmy je sobie bez ogródek, prostowaliśmy nasze ścieżki. Głównym celem naszej pracy było dobro miasta, dobro Wrocławia.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Uważam, że raczej nie powinno być klubów radnych. Jestem przeciwnikiem wyborów partyjnych. Powinny być wybory niepartyjne, a ewentualnie radni, którzy wejdą do Rady mogą tworzyć kluby. W klubach nie powinno być, jako zasady, dyscypliny partyjnej. Radny ślubuje, że będzie reprezentował wyborców i musi to wykonywać uczciwie, a żeby to wykonywać uczciwie, to powinien konsultować pewne decyzje z wyborcami, jak ja to czyniłem, i głosować zgodnie z własnym rozumem i sumieniem. Dyscyplina partyjna powoduje, że się jest maszynką do głosowania – przypomina mi to w czasy komunistyczne. Nasza obecna demokracja idzie w złym kierunku, zakreśla koło i jak gdyby przejmujemy metody komunistyczne, totalitarne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Oj, to trudno powiedzieć, jakie. Pierwsze powołanie Rady, wybór władz, to był początek. Był cały ciąg różnych zdarzeń: piękniał Wrocław, mieszkańcy uaktywniali się społecznie, większość mieszkańców. Powstawały rady osiedlowe, istniały komitety obywatelskie, które działały. Była dobra współpraca z Kościołem, z kurią arcybiskupią, szczególnie z Jego Eminencją ks. kardynałem Gulbinowiczem, człowiekiem pełnym dowcipu, energii. To człowiek życzliwy ludziom. W czasie kadencji gościliśmy radnych miejskich z Wiesbaden. Mieliśmy dobre stosunki z Niemcami. Zaskoczyło mnie, że premier Dolnej Saksonii Horst Milde, gdy był gościem Bractwa Kurkowego wygłosił krótką mowę, w której powiedział m.in., że życzy nam wspólnej Europy, Europy bez granic. Dla nas to było czymś niemożliwym, niewyobrażalnym. Po iluś latach stało się to rzeczywistością. Drugim takim niewyobrażalnym zdarzeniem było wyprowadzenie wojsk radzieckich z Polski. Wydawało nam się, że to jest niemożliwe, a jednak stało się.

Osiągnęliśmy więcej, niż się spodziewaliśmy, ale jeszcze długo mieliśmy dusze niewolników. Tak, komunistyczna mentalność była jeszcze u nas. Był jeszcze podział „my" i „oni", to jest moje, a to, co jest społeczne, to jest nie wiadomo czyje, to można niszczyć. U wielu ludzi nadal to jeszcze występuje.

Na dyżury radnych przychodzili ludzie ze słusznymi pretensjami, że coś się złego dzieje w spółdzielni mieszkaniowej, że prezes jest niedobry, że są różne nieprawidłowości. Pytałem: a był Pan na zebraniu? „Nie byłem, po co ja tam pójdę?" Nie czuł się właścicielem, nie wiedział, że on może tego prezesa zmienić. Czyli nadal istniał prezes, który był narzucony przez partię – PZPR. Nie wybrany przez ludzi, tylko narzucony przez ówczesną władzę. I do tej pory ci ludzie tkwią jeszcze na stanowiskach, bo brak jest wśród społeczeństwa aktywności społecznej.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

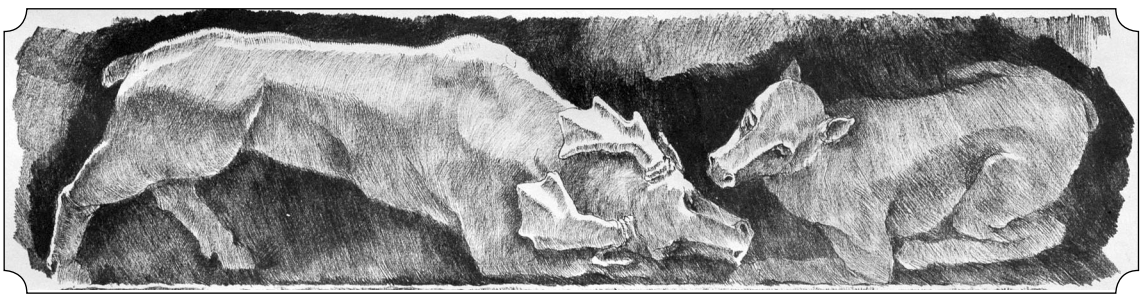
Oceniam działalność rad osiedlowych bardzo wysoko. To są organizacje niezmiernie potrzebne. Co prawda są niedoceniane przez Zarząd i Radę Miejską Wrocławia. Rady osiedlowe tworzą społecznicy, którzy za niewielką dietę wykonują bardzo ważną pracę. Radni osiedlowi są związani z osiedlem, z terenem, na którym działają. Rady osiedlowe powinny mieć większe kompetencje. Rozumiem, że mogą powstawać sprzeczne interesy, żadna rada nie będzie chciała mieć drogi na swym terenie, ale będzie chciała mieć dobry dojazd. Od tego jest Rada Miejska, żeby te sprawy rozwiązywać w całym mieście. Ale rady osiedlowe powinno się doceniać, finansować i absolutnie ich nie powinno się likwidować.

Rada osiedlowa w osiedlach peryferyjnych, willowych jest bardzo potrzebna. Ludzie się tam znają. Znają się ze sklepu, z kościoła, znają się z ulicy, z wszelakiej działalności. Radni osiedlowi wiedzą, co się dzieje w osiedlu. Radni miejscy nie utrzymują praktycznie w ogóle kontaktu z wyborcami. Na moim osiedlu ani podczas obecnej kadencji, ani poprzedniej nie było żadnego spotkania z radnymi miejskimi. Oni startują w określonym okręgu wyborczym, ale nie utrzymują żadnego kontaktu z wyborcami. Podczas pierwszej kadencji były co pewien czas, co dwa, trzy miesiące, spotkania z radnymi, były zebrania. Na te zebrania przychodziło liczne grono wyborców, mieszkańców danego osiedla. A teraz to zatraciliśmy. Nasza demokracja idzie w złym kierunku. Partyjniactwo mamy w Polsce. Radni utożsamiają się z partią, z klubem, a nie z wyborcami. I to Polskę niszczy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media są zainteresowane sprawami Miasta w inny sposób niż kiedyś. Kiedyś, w tym wybuchu patriotyzmu, demokracji, reprezentowały całe społeczeństwo. W tej chwili media są partyjniackie, reprezentują daną partię. To widać. Różne afery są wykrywane, jeżeli politycznie jest to potrzebne, to się nagłaśnia. Jeżeli jest potrzebne politycznie upublicznienie jakiejś sprawy, to się to robi, jeżeli natomiast to jest potrzebne tylko społecznie, to się tego nie nagłaśnia. Poza tym, w tej chwili nie mamy niezależnej prasy. Mamy prasę partyjną albo typowo komercyjną, dla pieniędzy. Poziom niektórych gazet jest żenująco niski, plotkarski.

Ważna jest tania sensacja. Prawdziwe czy nie prawdziwe, aby sprzedać nakład. W Polskim Radiu mamy prawie samą muzykę, bo muzykę jest najprościej puszczać. Żeby nadać jakąś audycję, trzeba pewnych pieniędzy, nakładu pracy i ludzi.





Tomasz STANKO

Radny V kadencji.
Absolwent Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu,
specjalizacja Integracja Europejska.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Tak, byłem dość dobrze przygotowany do roli radnego, ponieważ przed objęciem tej funkcji byłem przez kilka lat pracownikiem samorządowym Urzędu Miejskiego Wrocławia, w tym m.in. na stanowisku asystenta wiceprezydenta miasta, a jeszcze wcześniej asystowałem społecznie ówczesnej Komisji ds. Młodzieży. Ponadto wiedzę i doświadczenie dotyczące funkcjonowania samorządu i demokracji lokalnej zdobywałem również jako radny osiedla Krzyki-Partynice w kadencji 2005-2008.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, ponieważ byłem wtedy jeszcze osobą bardzo młodą. Moja przygoda z działalnością społeczno-polityczną zaczęła się w roku 1998. Miałem wtedy 21 lat.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

W trakcie pełnienia funkcji radnego zajmowałem się przede wszystkim sprawami związanymi merytorycznie z komisjami Rady, w których byłem aktywnym członkiem, choć nie tylko. Pracowałem także nad zgłoszeniami, które wpływały do mnie zarówno ze strony rad osiedlowych, jak i pojedynczych mieszkańców. Były to, m.in., problemy z obszaru bezpieczeństwa miasta i jego mieszkańców (tu współpraca z Policją, Strażą Miejską, Strażą Pożarną), czystości na osiedlach, poprawy organizacji ruchu pojazdów i pieszych, naprawy i remontów ulic i chodników, budowy nowych dróg, rewitalizacji parków miejskich, przeniesienia schroniska dla zwierząt z terenów ścisłej zabudowy mieszkaniowej.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Przeniesienie schroniska dla zwierząt z terenu osiedla Krzyki-Partynice na ul. Ślazową – planowane zakończenie trwającej obecnie inwestycji, to październik 2010 r.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Moim zdaniem, nie było takich niepowodzeń.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpracę z tymi instytucjami oceniam dobrze, aczkolwiek w mojej działalności w roli radnego nie miałem częstej styczności czy wielu płaszczyzn do kooperacji z III sektorem.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Wpływ wyborców oceniam bardzo pozytywnie, ponieważ wielu z nich wykazywało dużą aktywność i zainteresowanie sprawami miasta, w tym szczególnie osiedla, na którym żyją. Dzięki temu miałem możliwość zapoznawania się i rozwiązywania problemów konkretnych, małych (lokalnych) społeczności, których sprawy można było grupować czy dzielić według specyfiki i lokalizacji danego osiedla. To bardzo pomagało w mojej aktywności, znacznie ułatwiając i przyspieszając identyfikację danych spraw i trudności na tle całego miasta.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Stosunkowo poprawnie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Moja współpraca z Biurem Rady Miejskiej układała się dobrze. Nie mam żadnych uwag.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Wygodę i ergonomię pracy oceniam w skali 1-5 na 4. Sale dla posiedzeń komisji Rady Miejskiej czy sesji całej Rady byłe dobrze wyposażone, wygodne, klimatyzowane. Od czasu do czasu na sali sesyjnej zawodził poszczególnym radnym elektroniczny system do głosowana, co było pewnym mankamentem.

Co do ułatwień technicznych, to na pewno pracę usprawniło elektroniczne przesyłanie sobie dokumentów, w tym przede wszystkim dotyczących sesji Rady. Jedynie zdalne modemy do Internetu nie we wszystkich rejonach miasta działały równie szybko i poprawnie, co od czasu do czasu uniemożliwiało odebranie/wysłanie poczty mailowej. Dostępny limit bajtów do pozyskania w ramach sieci (Internet oraz poczta) także okazywał się za mały. Laptopy urzędowe dla radnych nie były ubezpieczone, co na wypadek kradzieży czy nieumyślnego uszkodzenia narażałoby ich na koszty odtworzenia użyczonego sprzętu.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jestem przewodniczącym Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa oraz członkiem Komisji ds. Osiedli i Komisji Rewizyjnej. Pracę tych komisji oceniam pozytywnie. Spotykały się one regularnie, co miesiąc przed sesją, a także, w razie konieczności, doraźnie w celu rozwiązywania konkretnych problemów mieszkańców. Opiniowaliśmy po kilkanaście uchwał na każdym posiedzeniu komisji, omawialiśmy problemy i wpływające pisma; organizowaliśmy spotkania i posiedzenia nadzwyczajne, np. ds. walki z wandalizmem, ds. wydawania i cofania zezwoleń na sprzedaż i podawanie alkoholu. Ponadto, w ramach Komisji Rewizyjnej przeprowadzaliśmy kontrolę wybranych zadań prezydenta i podległych mu służb czy jednostek, co pozytywnie wpływało na poprawne funkcjonowanie Urzędu i jego pracowników.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Moim zdaniem, kluby radnych są potrzebne, ponieważ zrzeszają radnych z tych samych kręgów politycznych i ideowych, co umożliwia sprawną pracę, współpracę i wymianę informacji, a także wspólne pochylanie się nad problemami miasta.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Nie przypominam sobie jakichś szczególnych wydarzeń.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem cztery lata radnym osiedla Krzyki-Partynice, w okresie 2005 - 2008. Działalność rad osiedlowych oceniam pozytywnie, aczkolwiek w związku z silnym rozwojem osiedli, w tym budownictwa wielorodzinnego, zdecydowanie brakuje im środków pieniężnych oraz kompetencji w celu nie tylko możliwości opiniowania wielu ruchów Miasta, ale także samodzielnego rozwiązywania lokalnych problemów, których te rady są najbliżej.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Media są zainteresowane sprawami Miasta i pracą samorządu w stopniu zadowalającym.

◇◇◇

W jakimś też sensie wpływamy na sprawy bezpieczeństwa. Zakres zagadnień, którymi zajmuje się komisja jest bardzo duży.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Myślę, że dużym sukcesem całej Rady jest to, że udało nam się wprowadzić do budżetu wiele programów i wiele działań, które dotyczą ratowania substancji mieszkaniowej w mieście. Bardzo dobrze funkcjonuje program 100 kamienic. Nakłady na remonty kamienic nie są jeszcze takie, jak byśmy chcieli, ale wzrastają. Jedną z moich deklaracji wyborczych było zagospodarowanie miejsc międzyblokowych. Pamiętam, że jak przyszedłem do Rady Miejskiej na ten cel przeznaczone było 500 tys. zł. W tej chwili te kwoty są 5 czy 6-milionowe. Tak więc jest to ogromny wzrost nakładów na ten właśnie cel. Mam kilka takich własnych satysfakcji, które osiągnąłem. Dotyczy to pojedynczych przypadków, czasami bardzo wzruszających i mocno ludzkich. Nie chciałbym tych spraw personalizować. One są dla mnie i myślę, że są też ważne dla ludzi, którym pomogłem. I to jest prawdziwa satysfakcja pracy w Radzie Miejskiej Wrocławia. Oczywiście najbardziej cieszę się z tego, że uczestniczę w życiu tego miasta w sposób aktywny i mogę śmiało powiedzieć, że gdybym miał wybierać między posłowaniem na Sejm a byciem radnym, to wybrałbym pracę radnego, ponieważ wiem, że wpływam na konkretne sprawy w mieście i uczestniczę w rozwiązywaniu problemów dotyczących mojego miasta.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Trudne pytanie, na pewno nie jesteśmy Radą doskonałą. Bardziej widoczne są konflikty wewnętrzne Rady niż niepowodzenia Rady jako całości. Musiałbym się może bardziej skupić nad tym, czy Rada jako całość ma niepowodzenia. Jedna rzecz jest bardzo istotna, z której wszyscy zdają sobie sprawę, kompetencje i możliwości Rady Miejskiej w tak skonstruowanym prawodawstwie polskim są dosyć ograniczone. Na pewno inaczej wyglądała działalność Rady, kiedy Zarząd Miasta i prezydent byli wyłaniani z grupy radnych i to Rada decydowała o tym, kto będzie prezydentem. W tej chwili prezydent jest wyłaniany w wyborach powszechnych. Prezydent miasta powołuje swoich zastępców, tworzy wizerunek i strukturę Urzędu. On ponosi jednoosobową odpowiedzialność za decyzje. Rada Miejska ma dwie strategiczne decyzje: może wpływać na uchwalenie budżetu i przyjęcie czy też nie przyjęcie sprawozdania z wykonania tego budżetu. I to są właśnie te dwie kompetencje Rady. My jako radni nie mamy wpływu na wydawanie poleceń czy też podejmowanie decyzji, które będą wykonywane przez poszczególne wydziały czy też poszczególnych urzędników w Mieście. Możemy ewentualnie interweniować czy też domagać się lub prosić o jakieś reakcje. Nie mamy natomiast narzędzi, żeby w sposób bezpośredni je egzekwować. Jest oczywiście Komisja Rewizyjna, ale ona dotyczy prawidłowości uchwalanych uchwał czy też prawidłowości działania Urzędu Miejskiego.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W tej chwili mam kontakt z organizacjami pozasamorządowymi, chociażby z fundacją, której duszą jest siostra Teresa Romaszewska. Ona prowadzi dom opieki dziennej dla osób niepełnosprawnych w starszym wieku, prowadzi też zajęcia dla seniorów. Siostra na pewno potwierdzi, iż pomagałem jej wiele razy w ułatwianiu działalności. Po raz pierwszy pomogłem jej wtedy, gdy zabrakło pieniędzy na opał, ponieważ jakiś tryb administracyjny nie pozwalał przekazać środków, które przysługiwały z pomocy miejskiej. Udało się ten problem rozwiązać, jak też rozwiązać problem nowej siedziby dla seniorów. Te kontakty mam i pracuję z dużą satysfakcją. Działam wspólnie z panem posłem Sławkiem Piechotą, który zwraca się do mnie o pomoc w sprawach, które docierają do jego biura poselskiego.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Teoretycznie jesteśmy przypisani do okręgów wyborczych, z których jesteśmy powoływani na radnych. Praktycznie biorąc nie wyobrażam sobie, żebym mógł działać ze specjalnym ukierunkowaniem się na jakiś jeden obszar miasta. Po pierwsze, dlatego, że wiele decyzji należy globalnie do Miasta, po drugie, zgłaszają się do mnie ludzie, którzy są spoza mojego okręgu wyborczego. Startowałem z okręgu Ołbin i Wielkiej Wyspy, a np. w tej chwili dużo mam do czynienia z radą osiedlową w Leśnicy. Też próbuję im pomagać w sprawach, które ich dotyczą. Pracuję również z radą osiedlową na Ołtaszynie. To wynika z tego, że istnieje np. problem kanalizacji osiedli, a to są tak obszerne inwestycje obejmujące duże obszary miasta i dotyczące działalności mojej Komisji, że siłą rzeczy muszę mieć kontakt z radami osiedli w tych miejscach. Mieszkańcy zwracają się do mnie i do mojej komisji, więc trudno jest mi selekcjonować.

Tak się składa niestandardowo, że ani Ołbin, ani Wielka Wyspa nie były objęte programami kanalizacyjnymi, ponieważ obszary te są skanalizowane. Jednym z głównych moich postulatów było stworzenie możliwości komunikowania się Wielkiej Wyspy z południową częścią Wrocławia, czyli budowa tzw. mostu Wschodniego, który jest dosyć drażliwym tematem z tego powodu, że jest wielu zwolenników tej koncepcji, do których ja się zaliczam, ale i wielu przeciwników. Uważam, że bez tego mostu Wielka Wyspa będzie miała wiele problemów komunikacyjnych. Są natomiast tacy, którzy obawiają się, że zakłócony zostanie spokój i cisza tego miejsca. Ja jednak obiecałem, że będę się zajmował tą sprawą. Uważam, że zrobiłem bardzo dużo w tym kierunku, żeby na miarę możliwości Miasta doprowadzić tę sprawę do końca, tym bardziej, że w planach strategicznych Urzędu i pana prezydenta jest, żeby rejon Hali Ludowej i ZOO − cały ten obszar − był jednym z trzech rejonów aktywności

wrocławian. Jeden, to Rynek i jego okolice, drugi, to okolice Hali Ludowej, a trzeci to teren wokół budowanego stadionu na Maślicach. By rejon Hali Ludowej pełnił taką funkcję musi być rozwiązany problem komunikacyjny. Nie muszę przypominać, jak wyglądała sytuacja, kiedy uruchamiana była fontanna multimedialna i co się działo, jak przyjechało 30 tys. ludzi, a następnie przez cztery godziny nie można było stamtąd wyjechać, żeby powrócić do domu. Uważam, że jest to niedopuszczalne.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miasta?

W momencie, kiedy rozpoczynaliśmy działalność V kadencji Rady Miejskiej koalicja popierająca prezydenta była koalicją 35 na 37 radnych. Było więc prawie 100% poparcia jego ekipy. W trakcie kadencji sprawy potoczyły się różnie. Najpierw była zmiana układu przynależności klubowej, ponieważ PiS się podzielił i część radnych wstąpiło do klubu prezydenckiego. Następnie przyszedł moment uchwalenia budżetu na 2009 r. W grudniu 2008 r. jako klub PO mieliśmy wiele wątpliwości na temat przygotowywanego budżetu. Te wątpliwości zgłaszaliśmy oficjalnie i prosiliśmy o czas na dyskusję i przeanalizowanie oraz korektę tego budżetu. Niestety, nasza propozycja nie została przyjęta. Myśmy tego budżetu nie poparli, w tym sensie, że wstrzymaliśmy się od głosu. Konsekwencją było pozbawienie stanowiska przewodniczącej Rady pani Barbary Zdrojewskiej – naszej przewodniczącej klubu PO. I stało się tak, że zostaliśmy klubem opozycyjnym. Przez cały 2009 r. byliśmy w opozycji. Na każdej sesji zwracaliśmy uwagę na problemy budżetowe. Mogę tylko tyle powiedzieć, nie mówię tego z satysfakcją, ale z troską, że wszystkie sprawy, o których mówiliśmy pod koniec 2008 r. i które stały się zaczątkiem rozejścia naszych dróg z panem prezydentem i jego zapleczem, okazały się w 100% trafione.

Jak układa się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Ja jestem ze współpracy z Biurem Rady Miejskiej bardzo zadowolony. Mam też wielką nadzieję, że również pracownicy oceniają współpracę ze mną jako radnym konstruktywnie. Jest tutaj świetny zespół fachowców, nigdy nie spotkałem się z sytuacją, która przeszkadzałaby mi w wykonywaniu funkcji radnego. Zawsze znajduję odpowiedzi na prośby o pomoc. Mam naprawdę znakomitego asystenta, który prowadzi moją komisję. Jest to pan Ryszard Parkitny, wspaniały człowiek. Mogę powiedzieć, że Biuro Rady Miejskiej jest profesjonalnie zarządzaną instytucją i jednocześnie ludzie, którzy tutaj pracują są bardzo w tę pracę zaangażowani. Posiadają bardzo duże kompetencje.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Jestem przyzwyczajony do bardzo zaangażowanego trybu działania i życia, wykonuję wiele obowiązków, muszę bardzo ściśle planować swój czas. Jeżeli chodzi o zaplecze w samej Radzie Miejskiej, to jest ono dla mnie wystarczające. W połowie kadencji otrzymaliśmy laptopy. Korzystam z niego, gdyż obecnie większość materiałów otrzymujemy drogą elektroniczną.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jestem przewodniczącym Komisji Infrastruktury Komunalnej, jestem też członkiem Komisji Kultury i członkiem Komisji Inicjatyw Gospodarczych oraz wiceszefem klubu PO. Jest to zakres mojego działania. O Komisji Infrastruktury już mówiłem, natomiast, jeśli chodzi o Komisję Kultury pracuję w niej z dużą przyjemnością, ponieważ emocjonalnie związany jestem z wszystkimi dziedzinami sztuki, uczestniczę bezpośrednio w tym wszystkim, co ma miejsce w kulturze. Jeśli chodzi o pracę w Komisji Inicjatyw Gospodarczych dla mnie istotna jest współpraca z drobnym i średnim biznesem Wrocławia. Sam przez 20 lat prowadziłem średniej wielkości firmę. Te tematy są mi bardzo bliskie. Uważam, że szczególną opiekę należy roztoczyć nad rodzimymi wrocławskimi przedsiębiorcami, ponieważ oni zapewniają miejsca pracy oraz całkiem niezłe wpływy podatkowe, z których budżet miasta korzysta. Są oni solą tego miasta, tu mieszkają i tu inwestują.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W tej strukturze, która istnieje w samorządzie oraz w strukturze kraju, uważam, że układ wielopartyjny powinien działać. To jest dosyć sprawny mechanizm. Oczywiście nie chciałbym podejmować dyskusji na temat, czy najlepszym sposobem na wyłonienie radnych jest tworzenie list partyjnych i w ten sposób modelowanie samorządów w miastach. Przypominam, że moja partia dąży do modelu jednomandatowego, czyli wyboru i głosowania na poszczególnych ludzi. Równocześnie tak naprawdę dopiero teraz mogę ocenić, jak mało jest osób, które interesują się życiem miasta i są aktywni i jak mało ludzie wiedzą na temat obowiązków i zadań radnego, i predyspozycji, jakie trzeba mieć, żeby pełnić funkcję radnego. Jest to dosyć specyficzna działalność i chyba trzeba mieć dosyć specyficzne umiejętności, żeby to robić. Znam wiele osób, które są doskonałymi fachowcami, a naprawdę nie wiem, czy poradziłyby sobie z działalnością radnego. Uważam, że układ partyjny jest jakimś selektywnym elementem, który wyłania radnych. Nie będę bezkrytycznie oceniał systemów partyjnych, ponieważ zdajemy sobie sprawę, że nie zawsze kompetencje są tam pierwszoplanowe przy podejmowaniu decyzji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Było takich wydarzeń wiele. Wszystkie wydarzenia związane z nadawaniem wybitnym postaciom światowym tytułu zasłużonego dla Wrocławia czy specjalnego obywatelstwa miejskiego. Takie spotkania, jak np. z Dalajlamą czy Kurtem Mazurem bardzo głęboko zapadają w świadomość i tego nikt nie jest w stanie człowiekowi odebrać.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Nie działałem w radach osiedla, ale mam z nimi kontakt. Ostatnio dużo kontaktuję się z Radą Osiedla Leśnica, z Radą Osiedla Ołtaszyn oraz moją „rodzimą" Radą Osiedla Biskupin. Te kontakty odbywają się na bieżąco. Uważam, że kompetencje rad osiedlowych powinny być większe. Urzędnicy miejscy powinni częściej zasięgać opinii rad osiedli, np. w sprawach remontu dróg, bezpieczeństwa itp. Ludzie z rad osiedli lepiej znają i diagnozują problemy ich otaczające.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Mnie osobiście dosyć dobrze współpracuje się z mediami. Mam nadzieję, że w drugą stronę pojawia się podobna ocena. Właśnie dlatego, że media oceniają tę współpracę dobrze mam z nimi dosyć częsty kontakt. Mam tylko żal, że czasami zainteresowanie mediów jest bardzo duże wtedy, gdy jest sesja, na której nie porusza się spraw związanych z istotnymi problemami miasta. Rozumiem, że w takich czasach żyjemy. Uważam jednak, że media starają się bardzo dogłębnie wnikać w problemy miasta i chyba dobrze to robią.

◇◇◇

Źle wspominam proces likwidacji przedszkoli oraz zasadniczych szkół zawodowych i techników. Rodziło to wiele konfliktów, mieszkańcy bardzo protestowali. Jako lewica byliśmy temu przeciwni, wspierali nas wtedy nauczyciele. Zarząd Miasta tłumaczył się brakiem środków na utrzymanie tak dużej liczby placówek i spadkiem urodzeń. Dziś widać, że był to błąd – miejsc w przedszkolach brakuje, dobrych fachowców też trudno znaleźć.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?
Dobrze.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?
Oceniam pozytywnie, dzięki uwagom części z nich poznawałem problemy małych osiedli. Ułatwiało mi to określanie grupy problemów, które należało rozwiązywać w skali mikro.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?
Poprawnie.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?
Dobrze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?
Były one dobre.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?
Należałem do dwóch komisji. Pierwsza z nich, to Komisja Rozwoju Przestrzennego i Architektury, której szefowała pani Barbara Wawrzyniak. Była rasowym architektem, pracowała w Wydziale Architektury Urzędu Wojewódzkiego i znała się na rzeczy. Ta komisja wniosła bardzo dużo podczas prac przygotowujących plan zagospodarowania przestrzennego Wrocławia.

Komisja Inicjatyw Gospodarczych była drugą, w jakiej pracowałem, byłem jej członkiem.

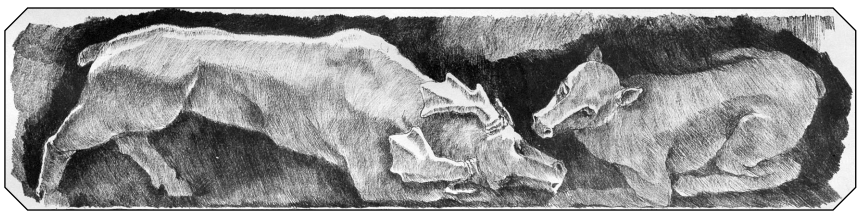
W komisjach pracowało się merytorycznie, podziały polityczne nie odgrywały w nich większej roli. Zależało nam na dobru mieszkańców i szybko dochodziliśmy do porozumienia. Problemy zaczynały się dopiero na sesjach Rady Miejskiej i tu dawały o sobie znać podziały polityczne, stosowano też dyscyplinę partyjną i głosowano blokami. Najwięcej emocji budził budżet, w którym każdy chciał coś ugrać.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?
Nie mam wyrobionego zdania. Byłem w klubie lewicy, który był w opozycji. Mieliśmy duże kłopoty z przyjmowaniem przez Radę naszych inicjatyw, które były po prostu ucinane. Żadna uchwała proponowana przez nas nie przeszła w całości, zawsze coś w nich zmieniano.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?
Między innymi wybór przez Radę delegatów do Sejmiku Samorządowego Województwa Wrocławskiego. Znalazłem się wśród nich jako jedna z dwóch osób z klubu lewicy. W Sejmiku byłem przewodniczącym Komisji Gospodarki i Infrastruktury oraz członkiem Komisji Rolnictwa. Przybyło mi wówczas obowiązków i nie ukrywam, że ucierpiała wtedy moja praca zawodowa. Po reformie administracyjnej kraju zmniejszona została liczba województw i wówczas Sejmik wrocławski został rozwiązany. Powstał Sejmik Województwa Dolnośląskiego obejmujący cały nasz region. Rozpisano wybory, w których wyniku zostałem radnym Sejmiku. Z tego też względu nie kandydowałem do Rady Miejskiej Wrocławia III kadencji.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?
Rady osiedla były tematem, który dość często przewijał się w naszych dyskusjach w Radzie. Powstały one po likwidacji dzielnic. Miały bardzo małe kompetencje i niewielkie środki do dyspozycji. To do dziś się nie zmieniło, nie ma mowy o tym, żeby inicjatywa z rady osiedla przebiła się wyżej. Staraliśmy się promować ich przedsięwzięcia, takie chociażby, jak wybudowanie drogi osiedlowej czy też oświetlenie ulicy. Rada osiedla zgłasza swoje projekty do Zarządu Miasta i to urzędnik decyduje, czy będą one wdrażane i w jakim kształcie. Od jego decyzji nie było praktycznie odwołania. Dlatego każdy radny „holował" różne projekty ze swego osiedla, starając się je „przepchnąć" przez Zarząd Miasta. Jeśli ktoś miał dużą siłę przebicia, to mu się to udawało. Na realizację inicjatyw lokalnych Miasto przeznaczało niewielkie środki, dlatego nie były to proste sprawy.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?
Było ono dostateczne.



Zofia ŚWITALSKA

Radna II i III kadencji.
Absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Myślę, że nie byłam przygotowana. Byłam wiceszefową dużej firmy i nie bardzo orientowałam się, „z czym ten samorząd się je". Gdy zaproponowano mi udział w wyborach do Rady Miejskiej, pomyślałam, że należy wziąć byka za rogi i zobaczyć, jak te struktury wyglądają, zorientować się, jakie tutaj prawa obowiązują, a przede wszystkim, jakie są kompetencje. Z bardzo praktycznego punktu widzenia postąpiłam słusznie. Pomogło mi to ogromnie w pracy, bo rozeznanie, to podstawa wszystkich decyzji i zachowań. Mogę zatem powiedzieć, że nie byłam przygotowana, ale z ogromnym zainteresowaniem to wszystko śledziłam i trochę buszowałam po komisjach. Najpierw trafiłam do Komisji Architektury, ale zorientowałam się, że nie będą mogła być wartościowym radnym, bo nie miałam przygotowania zawodowego, jednak z największą satysfakcją obserwowałam, jak powstaje „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia" − do dzisiaj mam trochę zdekompletowane, ale prawie wszystkie zeszyty „Studium..." i chętnie do nich zaglądam.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Ależ skądże, zupełnie nie. Miałam na głowie rodzinę i studia oraz niezwykle odpowiedzialną pracę.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

Bardzo lubiłam Komisję Rewizyjną. Jako szef dużej firmy byłam przygotowana do pracy w tej komisji, orientowałam się trochę w finansach i w księgowości. Poczta Polska, gdzie pracowałam, jest taką hierarchiczną i uporządkowaną instytucją, przedsiębiorstwem, w związku z tym, miałam pojęcie, jak powinien wyglądać pewien ład. Pamiętam, że badałam kulturę odpowiedzi na skargi, czyli jak to wygląda w praktyce. Uważam, że moje opracowanie na ten temat było dość wartościowe, ale ugrzęzło w jakimś biurku. Trzeba było zobaczyć, jak to wgląda w różnych wydziałach, czy skargi się dublują – nikt tego nie pilnował, nie rejestrował i nie było wiadomo, jak to jest. Jeszcze wtedy nie było komputerów. Bardzo miło wspominam okres, kiedy, przewodniczącym komisji był pan dr Ryszard Maj. To był człowiek kompetentny i precyzyjny, jak to chirurg. Spotkania komisji były krótkie, ale treściwie.

Dobrze się czułam także w Komisji Budżetowej. Myślę, że do Komisji Budżetowej trzeba radnych absolutnie przygotować, bo zdawanie się tylko na opracowania, które powstają w klubach, to trochę zbyt mało. W moim klubie nie było ekspertów, którzy mogliby przygotować radnym argumenty do dyskusji.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces II i III kadencji Rady?

Nie było tak, żeby moja skromna osoba dodawała splendoru ludziom, którzy w tej kadencji rządzili Wrocławiem. Myślę, że pomysł, który podsunęłam panu Kawalcowi, a chodziło o sfinansowanie remontu jakiejś zabytkowej kamienicy, był dobry. Pewnego dnia Krzysztof Kawalec mówi do mnie – „podpiszesz!". Ja mówię: „Krzysiu tak nie możesz się tym zajmować, nikt Ci nie przegłosuje czegoś takiego, bo ludzie pomyślą, że to pachnie prywatą. Trzeba przygotować uchwałę, która generalnie podejdzie do możliwości wspomagania przez Miasto remontu zabytkowych kamienic". Krzysio przygotował ten projekt i w tej chwili ja korzystam z tych przepisów. W ramach działania w Dolnośląskiej Rodzinie Katyńskiej podjęłam się urządzenia kaplicy Katyńskiej w kościele Garnizonowym. Wystąpiliśmy w grudniu jako organizacja pozarządowa i dostaliśmy pieniądze. W tej chwili u pana prezydenta Grehla są jeszcze umowy do podpisania. To potrwa jeszcze parę lat, mamy ambitne plany.

Co Pani uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Gdzieś tak pod koniec mojej pierwszej kadencji brałam silne środki na obniżenie ciśnienia. Miałam także jakieś kłopoty z kręgosłupem, toteż przywlokłam sobie jakiś wygodny fotel na salę obrad... i nagle budzi mnie straszna cisza, otworzyłam oczy, a naprzeciwko mnie kamera telewizyjna. To była największa moja porażka, ale zakończyła się dobrze. Uprosiłam realizatorów programu, żeby tego nie puszczano. Właściwie innych porażek nie było.

Pamiętam wojny w III kadencji Rady, które się odbywały za moimi plecami − dosłownie, za mną siedzieli członkowie Naszego Wrocławia i nie przebierali za bardzo w słowach. Mieliśmy radnych, którzy potrafili do białości rozgrzać atmosferę na sali. Jednak bardzo miło to wszystko wspominam. Co, jak co, ale za bardzo nie można było się nudzić. Bardzo miałam, i mam do dzisiaj, za złe jednemu z ugrupowań, którego ze zrozumiałych względów nie wymienię, postawienie w stan oskarżenia prezydenta Zdrojewskiego z racji niepłacenia podatku VAT od sprzedaży nieruchomości. Doktryna w tym wypadku była bardzo zróżnicowana. Orzecznictwo Najwyższego Sądu Administracyjnego zapadało raz takie, raz takie. Moim zadaniem, prezydent absolutnie miał rację w takiej sytuacji prawnej

broniąc funduszy miejskich, budżetu miejskiego. Drugim przykrym momentem, nie do zapomnienia, był moment pożegnania prezydenta Zdrojewskiego, który sam zrezygnował z pełnionej funkcji. Zamiast słów podziękowań była jedynie krytyka, zupełnie nie na miejscu. I bardzo żałuję, bo ja wtedy dziękowałam w imieniu mojej bardzo małej grupy samorządowej (10 osób), że to moje wystąpienie było takie krótkie. To było nie na miejscu, bo ten człowiek wiele zrobił dla Wrocławia.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpracowałam z panią Renatą Berent-Mieszczanowicz, którą bardzo szanowałam za to, jak się opiekuje samotnymi matkami, i starałam się pomóc, jak mogłam. Czasami mi się to udawało. W Komisji Budżetowej miałam troszeczkę do czynienia z dotacjami, jakie Miasto daje Caritasowi. Ludzie nie mają pojęcia, że pieniądze wypływają właśnie z Miasta, bo inne firmy niespecjalnie się do tego rwały.

Z racji na pamięć o ojcu związałam się z Rodzinią Katyńską. Gdzieś pod koniec lat 80. XX w. gen. Jaruzelski wrócił z Moskwy i przywiózł stamtąd część akt, w których odnalazłam nazwisko swojego ojca. Bardzo mną wstrząsnęło to, że on był pod pozycją 64 i to, że to było napisane cyrylicą. Wtedy zrozumiałam, że on naprawdę był, że tam zginął. Nie da się właściwie racjonalnie uzasadnić tego strasznego poruszenia. Rodzina Katyńska zachowała się pięknie. Moja matka miała bardzo niską rentę. Natychmiast załatwiono sprawy i wtedy inne zasady zaczęły obowiązywać. Poprawiła się jej sytuacja finansowa i miała satysfakcję, że dostała rentę po ojcu.

Miałam takie możliwości i Rodzina Katyńska otrzymała pomieszczenie, które było nominalnie zajmowane, sporadycznie zresztą, przez jakieś kontrole. Pomagałam także przy budowie pomnika, wspomagali nas także ludzie z Rady, przede wszystkim pani Ela Góralczyk. No i pomnik katyński, nie bez przeszkód, stanął w parku Juliusza Słowackiego.

Chciałabym jeszcze wspomnieć o przemianach w zakresie organizacji Poczty. Na początku lat 90. XX w. wszyscy zaczynaliśmy i nabywaliśmy doświadczenia, jak ma wyglądać to nasze miasto. Dzisiaj już może inaczej wprowadzałabym zmiany, nie jestem do końca zadowolona. Myślę, że trzeba było założyć jakiś schemat, żeby firma się wyróżniała. Myśmy przyjęli inną formułę, staraliśmy się dostosować wnętrza do formy budynku, to może było droższe, ale dawało ciekawsze efekty. Urzędy pocztowe zyskały estetyczne i wygodne dla mieszkańców wyposażenie. Ważne było dla mnie ocalenie idei budowy terminalu pocztowego na ul. Avicenny i walczyłam o to z Warszawą lat 10. Mój ostatni pobyt na ul. Avicenny, to wmurowanie kamienia węgielnego, potem już nie miałam szczęścia tam być. Raz, że nie miałam czasu, a dwa – nikt się nie zatroszczył o to, żeby mi pokazać ten terminal. Powstał on dzięki pomocy Miasta. Przewodniczącym komisji konkursowej przy wyborze projektu terminala był pan Piotr Fokczyński, a uczestniczył w niej pan Jacek Miller z Komisji Architektury. Chodziło mi przede wszystkim o miejsca pracy – Warszawa, Poznań i Katowice chciały rozparcelować wrocławski rynek pocztowy. Nie wyobrażam sobie tego, żeby miasto znajdujące się w trójkącie granicznym nie miało własnego terminalu pocztowego.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mam wielkie wyrzuty sumienia, ponieważ z wyborcami nie za bardzo się spotykałam. Miałam kontakt, bo ludzie mnie znali, w dużym stopniu to było moje środowisko, a więc Telekomunikacja, Poczta, jak coś się działo, to prosili o interwencję czy o wyjaśnienie, o pchnięcie procedury, która się gdzieś zacięła. Natomiast ja miałam problem, bo nie miałam gdzie się spotykać z wyborcami. Nie wolno było robić tego na Poczcie. Czasem pytałam koleżanki i kolegów, gdzie się spotykają. Odpowiedzi były niejasne. Radni zawsze dzielili się na tych, którzy mieli duży kontakt z wyborcami, jak pan Jan Chmielewski − on z tym kontaktem przyszedł na świat, oraz na tych, którzy chętnie mieliby ten kontakt.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nie było tego typu podziału. Ugrupowania z lekka polityczne miały jednak coś do powiedzenia w Radzie, przecież były mocne: Unia Wolności czy SLD, Nasz Wrocław i AWS. Te partie były znaczące, a przecież ludzie z tych ugrupowań byli i w Radzie i we władzach wykonawczych. Czy można było mówić o jakichś konfliktach biegnących wzdłuż tej sugerowanej pytaniem linii? W tym czasie nie za bardzo, na pewno mniej niż obecnie. Nie mogłabym takiego dychotomicznego podziału zaryzykować. To nie było tak, że po jednej stronie była cała Rada, a po przeciwnej cała władza wykonawcza. To były linie wypracowane w grupach partyjnych, co jest normalną rzeczą. Były dyskusje, istniała współpraca. Mnie najlepiej współpracowało się z panem prezydentem Grehlem. Jest kompetentny i kocha miasto.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Może powiem tak, ja nie miałam zbyt wielu konfliktów z radnymi z różnych opcji. Może dlatego, że dał mi Bóg tak naturę, że jestem, generalnie, życzliwa. Tak było naprawdę i ludzie tym samym mi odpłacają. Przede wszystkim bardzo demonstracyjnie nie uznawałam tych politycznych podziałów, ujawnianych w czasie dyskusji w klubie radnego, znajdującym się przy sali sesyjnej. Nie uznawałam tego, że jeżeli ktoś ma inne poglądy, to ja mam być w stosunku do niego krytycznie nastawiona. To owocowało w tamtych czasach, bo to były czasy ostrych podziałów, czasami ostrzejszych niż dzisiaj. Zjednywałam sobie przyjaciół i do dzisiaj mam ich wielu. Czasem jest mi aż miło, że ktoś na mój widok krzyknie: „Dzisiaj będę miał dobry dzień, bo Cię spotkałem".

Wracając do relacji z Biurem Rady Miejskiej – miłość bez granic. Pełna kultura i pomoc, i do dzisiaj te miłe kontakty zostały. Janina Śledzińska jest niepowtarzalna.

W jakich komisjach Pani pracowała i jak ocenia Pani ich pracę?

Kwestie budżetowe były stereotypowe, powtarzające się. Może dlatego niewiele pamiętam, bo w budżetówce ciągle trwały targi o pieniądze. Byłam też jakiś czas w Komisji Ochrony Środowiska − bez specjalnego zainteresowania. Bardziej mnie interesowały struktury i finanse.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Uważam, że radny powinien być absolutnie samodzielny. W tej chwili prezydent nie jest zależny od Rady, chwała Bogu. Radny także powinien cieszyć się autonomią i w związku z tym mógłby być oceniany za własne poglądy, czyny i zachowania. To sprawa niezmiernie dyskusyjna. Zobowiązania do jednomyślności stają się kuriozalne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Na pewno zupełnie czymś wyjątkowym była wizyta Jana Pawła II, i to wszyscy pamiętają. To było przeżycie dla nas wszystkich i dla miasta jako miasta.

Jak już mówiłam, utkwiło mi w pamięci pożegnanie pana prezydenta Zdrojewskiego, a także czas powodzi w 1997 r.

Ciekawym wydarzeniem dla mnie była wizyta w Izraelu. Nasz pobyt organizowała gmina żydowska miasta Ramath Gan i jej mer. To jest drugie obok Amsterdamu centrum szlifowania brylantów. Pokazywano nam miejsca święte dla chrześcijan, z naciskiem na historię narodu żydowskiego. Widzieliśmy również te piękne, młode dziewczyny z automatami. Zobaczyliśmy też małe dzieci w przedszkolu, które już się uczyły obsługi komputera, a to było dobrych 10 lat temu.

Byłam na prezentacji Centrum Expo w Paryżu. Uważaliśmy naszą prezentację za bardzo piękną, a prasa to określiła jako coś niewydarzonego. Dziennikarze ocenili wydarzenie niesprawiedliwie, pokazaliśmy się od całkiem interesującej strony.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nigdy nie działałam. W dużym stopniu działanie tych rad zależy od tego, jakie mają budżety i co mogą zrobić, bo jak wiadomo bez pieniędzy niewiele się da.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Nie mogę powiedzieć, że media były tak całkiem obiektywne. Myślę, że te oceny były formułowane *ad hoc*, nie zawsze sprawiedliwie.

◇◇◇

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Problemy miasta były mi częściowo znane, albowiem przez 19 lat pracowałem w TV Wrocław, zajmowałem się również sprawami kultury.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Zajmowałem się przede wszystkim sprawami kultury, inwentaryzacją majątku miejskiego i nadzorem nad działalnością władz Wrocławia, uczestniczyłem w opracowywaniu Statutu Wrocławia.

Po prezydencie Skąpskim zastaliśmy w Mieście określoną sytuację prawną i polityczną, którą należało zmienić. W związku ze zmianami politycznymi i prawnymi należało przebudować wszystkie instytucje miejskie. Zaczynała się prywatyzacja, rodziły się zręby dzisiejszych władz miasta.

Powołano komisje tematyczne. Pracowałem w Komisji Inwentaryzacyjnej, która zajmowała się inwentaryzacją majątku miejskiego przekazanego nam przez Skarb Państwa. Ustawodawca mówił, że w ciągu trzech miesięcy należy zrobić dokładny remanent majątku przekazywanego samorządowi przez Skarb Państwa. Przejmowanie majątku musieliśmy dokonywać poszczególnymi partiami, wymagało to porównywania danych z różnych dokumentów, piekielna robota. Proces ten został ukończony dopiero po około 10 latach. Były problemy z nieruchomościami, które należały do obcokrajowców, np. Austriaków. Nie było problemów z własnością niemiecką, bo ta jedną ustawą została przejęta przez Skarb Państwa. Tą komisją kierował Leonard Smołka.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

W 1993 r. Rada Miejska wybrała mnie jako przedstawiciela naszego miasta do Komisji Kultury Związku Miast Polskich, która zrzeszała reprezentantów ponad 250. największych miast polskich. W Komisji Kultury Związku Miast Polskich pracowałem bez przerwy ponad 5 lat pełniąc w niej funkcję przewodniczącego. W ramach tej komisji zajmowaliśmy się sprawami kultury w poszczególnych miastach i przygotowywaliśmy zręby dalszych reform samorządowych w kulturze, które zostały zrealizowane w II etapie reformy samorządowej, w 1998 r. Jako przewodniczący tej komisji byłem również ekspertem w Sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Do spraw, których nie udało się rozwiązać w pierwszej i drugiej kadencji należy budowa obwodnicy śródmiejskiej – jej części wschodniej, która do dziś nie powstała. Według planów Miasta, miała ona przebiegać m.in. przez park Szczytnicki, co powodowało protesty okolicznych mieszkańców i nas radnych. Proponowaliśmy inny przebieg tej obwodnicy. Był to problem, który wywoływał ostre kontrowersje między Zarządem Miasta a mieszkańcami i radnymi.

Brakowało nowych linii tramwajowych, a miasto się rozwijało. Nie udało się włączyć infrastruktury kolejowej znajdującej się na terenie Wrocławia w sieć komunikacji miejskiej, tak, jak to uczyniono, np. w Berlinie lub Wiedniu.

Sukcesem w drugiej kadencji była przebudowa wrocławskiego Rynku, której autorem i pomysłodawcą był prezydent Bogdan Zdrojewski.

Praca radnego, to okres dla mnie niezwykle trudny, bo z jednej strony jako radny miałem świadomość, że reprezentuję mieszkańców swojego miasta, swojej dzielnicy, z drugiej zaś, należało się starać, aby nasze miasto się rozwijało i pomnażało swoje bogactwo. Tu rodzi się pytanie, na ile ważne w pracy radnego są sprawy indywidualne mieszkańców, które czasami są w sprzeczności z interesami miasta. Praca radnego polega na tym, aby te sprawy starać się pogodzić.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W trakcie I kadencji powstawały liczne stowarzyszenia, fundacje, i tak np. współpracowaliśmy ze stowarzyszeniem kupców, którzy próbowali znaleźć się w nowej rzeczywistości.

Ważną sprawą było rozwiązanie problemów handlu hurtowego, czyli spółki Miasta „Targpiast". Miasto wydelegowało mnie jako swego przedstawiciela do rady wspólników, w której zastąpiłem Krzysztofa Turkowskiego. Ta spółka działała początkowo przy pl. Kromera jako zwykłe targowisko, w którym Miasto miało 51% udziałów, a pozostałe udziały miał Andrzej Kobel. Później spółka przeniosła się na ul. Krzywoustego. Radzie nadzorczej udało się uporządkować wiele spraw i usprawnić funkcjonowanie targowiska z korzyścią dla handlowców i mieszkańców. Później „Targpiast" przeniósł się na Obornicką i istnieje tam do dziś.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Nie wyobrażam sobie pracy radnego bez stałego kontaktu z wyborcami. Dlatego też zarówno podczas I, jak i II kadencji odbywałem cykliczne spotkania z wyborcami. Najpierw spotkania te odbywały się podczas dyżurów w Radzie Miejskiej, a w II kadencji już w klubie radnych. Uczestniczyłem też w cyklicznych spotkaniach z mieszkańcami, które były organizowane w osiedlach. Spotkania te pozwalały poznać bolączki i kłopoty mieszkańców naszego miasta i były bardzo pomocne przy podejmowaniu kolejnych uchwał.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W I i II kadencji to radni wybierali prezydenta Wrocławia i Zarząd Miasta i dlatego też ta współpraca układała się nie najgorzej.

Władze miasta były jednak bardzo pewne siebie, co brało się przede wszystkim stąd, że miały za sobą większość Rady. W Komisji Rewizyjnej otrzymywaliśmy od urzędników różne dokumenty mówiące o wątpliwych sprawach w pracy zarówno innych urzędników, jak i członków Zarządu Miasta. Wspomnę tu o raporcie Komisji Rewizyjnej I kadencji dotyczącym nieprawidłowości w prywatyzacji lokali użytkowych w mieście.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Przemiłe panie z Biura Rady z panią Janiną Śledzińską na czele były niezastąpione w codziennej pracy radnych. Stwarzały miłą atmosferę i łagodziły nieraz ostre kontrowersje między radnymi, poza tym dbały, aby w naszych dokumentach był porządek. Chwała im za to i wielkie dzięki.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W I kadencji pracowaliśmy w trudnych warunkach. Sesje odbywały się początkowo w sali konferencyjnej w budynku przy Nowym Targu. Później siedziba Rady została przeniesiona do Sukiennic i tu już warunki były dużo lepsze.

Przez ponad rok wdrażaliśmy się w obowiązki radnego. Pierwsze projekty uchwał były nie najlepiej napisane, bardzo nam pomagały opinie prawne, które otrzymywaliśmy od prawników.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

W I kadencji pracowałem w Komisji Inwentaryzacyjnej, o której już wspominałem. Pracowałem też w Komisji Kultury, w której opiniowaliśmy wnioski o dofinansowanie różnych imprez kulturalnych, np. Festiwalu Piosenki Aktorskiej, Jazzu nad Odrą. Zajmowaliśmy się też działalnością i reorganizacją domów kultury i bibliotek − wiele z tych instytucji musiało zostać zlikwidowanych, a likwidacje polegały na łączeniu kilku placówek w jedną. Podczas tego procesu udało się jednak uniknąć większych zwolnień pracowników. Rozwiązaliśmy też problem domu kultury na Sępolnie, który zajmował budynek zboru ewangelickiego. Dom kultury stamtąd wyprowadziliśmy, a ewangelicy odzyskali świątynię. Nie podlegały nam wtedy teatry, które były zarządzane przez ministerstwo.

W I kadencji pracowałem też w Komisji Statutowej, gdzie wspólnie z prawnikami przygotowywaliśmy m.in. Statut Miasta Wrocławia. Dużym ułatwieniem w pracy w tej komisji były moje studia prawnicze.

Byłem także członkiem Komisji Rewizyjnej, której przewodniczył Antoni Lenkiewicz. Komisja Rewizyjna miała kontrolować Zarząd Miasta i realizację uchwał Rady Miejskiej. Miała plan kontroli poszczególnych dziedzin. Na omówienie wyników kontroli poszczególnych dziedzin zapraszaliśmy członków Zarządu Miasta. Prowadziliśmy też kontrole wyrywkowe, które wdrażaliśmy po różnych sygnałach o nieprawidłowościach. Komisja rewizyjna wyniki swoich prac przedstawiała na sesji Rady Miejskiej, która mogła je przyjąć lub odrzucić.

W Radzie Miejskiej II kadencji pracowałem w Komisji Kultury i Komisji Architektury oraz komisjach: Statutowej i Przestrzegania Prawa.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W I kadencji nie było klubów radnych, gdyż Komitet Obywatelski „Solidarność" wprowadził do Rady Miejskiej 67 radnych na 70 miejsc. Pomimo braku klubów radnych, w pierwszej kadencji udało się nam jednak sporo zrobić. Nauczyliśmy się przede wszystkim – po przeszło sześćdziesięcioletniej przerwie – samorządności.

Druga kadencja była już całkiem inna, bardziej profesjonalna, ale przede wszystkim upolityczniona. Bardzo rzadko radni występowali w swoim imieniu, co bardzo często miało miejsce w pierwszej kadencji, zazwyczaj reprezentowali stanowisko swego klubu. Posługiwano się też dyscypliną partyjną.

Udało się nam stworzyć blok Nasz Wrocław oraz Konwent Wyborczy, który skupił przedstawicieli całej wrocławskiej prawicy, NSZZ „Solidarność" oraz pięciu rektorów wyższych uczelni. Pracami konwentu kierował rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Andrzej Wiszniewski. Konwent przesłuchiwał osoby, które chciały kandydować do Rady Miejskiej z ramienia naszego bloku i tworzył listy wyborcze. Przez całą drugą kadencję konwent sprawował nieformalny nadzór nad tym, co robili radni bloku Nasz Wrocław, których było dziewięciu. Najczęściej raz w miesiącu spotykaliśmy się z konwentem, gdzie informowaliśmy o pracach Rady i dyskutowaliśmy – nieraz bardzo ostro – jak postępować. Konwent traktowaliśmy jak zaplecze intelektualno-merytoryczne. Przez połowę kadencji pełniłem funkcję przewodniczącego klubu Nasz Wrocław.

W Radzie II kadencji, obok naszego klubu, istniał największy blok prezydenta Zdrojewskiego Wrocław 2000 Plus, którego liderem i przewodniczącym był prof. Leon Kieres. Do Rady weszło także kilku przedstawicieli rad osiedli oraz osoby związane z Sojuszem Lewicy Demokratycznej.

Klub Nasz Wrocław był klubem opozycyjnym wobec rządzących w mieście przedstawicieli klubu Wrocław 2000 Plus.

Powstanie klubów spowodowało upolitycznienie prac Rady, mam jednak świadomość, że w takim mieście jak Wrocław Rada Miejska, nawet w tej pomniejszonej, obecnej wersji, bez klubów radnych nie może funkcjonować.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Było to m.in. odrzucenie przez Radę I kadencji raportu Komisji Rewizyjnej o nieprawidłowościach podczas prywatyzacji lokali handlowych. Podczas prezentacji tych materiałów zgłoszono wniosek formalny, by ogłosić przerwę w obradach. Gdy ta się skończyła, zgłoszono wniosek o zakończenie obrad, który został przegłosowany. Sesja się skończyła, kadencja również. Materiały Komisji Rewizyjnej powędrowały do archiwum.

Bardzo ważnym wydarzeniem w II kadencji była powódź, która dotknęła Wrocław w 1997 r.

Tuż przed powodzią (miasto zostało zalane w nocy z soboty na niedzielę), w czwartek było posiedzenie Rady, na którym prosiliśmy, żeby dokładnie sprawdzić zabezpieczenia przeciwpowodziowe. Prezydent Zdrojewski uspokajał nas twierdząc, że Wrocław nie jest zagrożony, że nie grozi nam zalanie miasta. To samo potwierdzał prof. Leon Kieres. Prawda okazała się jednak zupełnie inna.

Mieszkam na Wielkiej Wyspie, która pomimo naszej obrony została w części zalana. Zostałem wybrany do społecznego komitetu obrony Wielkiej Wyspy i tam przez ponad 2 tygodnie walczyliśmy, aby odbudować nasze przerwane wały. Na szczęście, nie było tzw. drugiej fali i udało się obronić osiedle przed ponownym zalaniem.

Okres 8-letniej pracy w Radzie Miejskiej nauczył mnie innego patrzenia na miasto, nauczył mnie tworzenia prawa i odpowiedzialności za jego realizację, nauczył mnie reprezentowania interesów mieszkańców, ale i globalnego spojrzenia na problemy miejskie.

Był to okres wytężonej, ale i twórczej pracy. Okres ogromnego dynamizmu w działalności. Chcieliśmy wszystko, już, natychmiast załatwiać. A przecież nie było to możliwe.

Okres bycia radnym uważam za bardzo ważny etap w swoim życiu.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem jednym ze współinicjatorów wspólnie z radnym Henrykiem Mikorskim powołania rad osiedlowych. Warto przypomnieć, że ideą powołania rad osiedlowych było przekazanie części uprawnień samorządowych organom znajdującym się bliżej mieszkańców. W 1993 r. wybrano pierwsze rady osiedla, których na początku miało być 49, tj. tyle, ile było parafii katolickich we Wrocławiu. Opracowywaliśmy też projekt Statutu rady osiedla. Według naszych założeń, w następnych latach rad osiedli miało być najwyżej ok. 20 i miały mieć o wiele większe uprawnienia, łącznie z posiadaniem określonego majątku osiedlowego. Niestety, do dzisiaj ta koncepcja nie doczekała się realizacji.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

W pierwszym okresie zainteresowanie mediów było małe, ale, podobnie jak radni, również media nauczyły się, co to jest samorządność i zaczęły przejawiać większe zainteresowanie. Trzeba jednak stwierdzić, że media wrocławskie, tak jak wszystkie media, interesują się tylko sensacją, więc ta zwykła praca, żmudna i trudna, nie za często była pokazywana.

◇◇◇

ci wstań! W parafii jest zebranie Komitetu Obywatelskiego, tam opowiadaj o swoich pomysłach zamiast kłócić się z telewizorem!

Od 1973 r. jeździłem na Zachód. Widziałem normalne miasta. Paryż, Kopenhagę, inne miasta Zachodu i zadawałem sobie proste pytanie, dlaczego u nas ludzie nie mogą siedzieć w knajpeczkach w centrum, pić kawkę i przyjemnie się uśmiechać do przechodzących dziewcząt. Oczywiście dzisiaj to brzmi banalnie. Jeżeli patrzymy na Rynek, na miasto, to wydaje się nam to oczywiste. Wtedy oczywistym nie było.

Kto zaproponował Panu kandydowanie do Rady Miejskiej?

Mieszkańcy Biskupina, Dąbia, czyli ci, którzy przychodzili do kościoła na ul. Wittiga. Wtedy, ten mój patriotyzm lokalny, „patriotyzm piętnastu metrów" jak go nazywam, przemawiał do współmieszkańców. Dziś łatwiej jest planować pomniki niż zbierać kupki po swoim psie. Startowałem z listy Komitetu Obywatelskiego. Pamiętam pierwsze ustalenia, pierwsze wybory, które dokonywały się w radzie parafii, kiedy zupełnie spontanicznie, bez żadnego nacisku, bez żadnego układu, mieszkańcy wybierali tych, co do których mieli nadzieję, że będą ich godnie i mądrze reprezentować. Była to wielka, autentyczna i niepowtarzalna chwila i satysfakcja, że wyboru dokonuje się nie dlatego, że to jest kumpel kumpla, lecz dlatego, że jest to ktoś, kto sensownie o czymś mówi i jest pełen pozytywnej chęci działania na rzecz...

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie. Byłem jak najdalszy od wszelkiej przynależności. Wynikało to z tego, że całe lata 80. byłem człowiekiem poza etatem. Malowałem obrazy, robiłem jakąś tam ceramikę. Byłem zupełnie niezrzeszony. Tak jakby mnie zupełnie nie było. Nie miałem nawet okazji zapisać się nigdzie, bo trudno być członkiem związku zawodowego, kiedy było się wyłącznie wolnym, indywidualnie działającym człowiekiem.

Pierwsze wybory, dostaje się Pan do Rady Miejskiej. Jak Pan pamięta tamten czas?

Byłem przejęty, bo rozumiałem że „skończyły się schody". Spotkania przedwyborcze z ludźmi były istotne i konkretne. Rozmawiało się, dyskutowało i spierało o ważne sprawy. Pamiętam spotkanie w Muzeum Architektury, właśnie z architektami, kiedy ja, będąc z wykształcenia historykiem sztuki, ale też konsumentem tej architektury, w sposób bardziej świadomy niż wielu mieszkańców Wrocławia miałem do powiedzenia sporo słów krytycznych. Mówiłem bardzo szczerze o tym, co na „minionym etapie" doprowadzało mnie do szewskiej pasji. A wielu ze zgromadzonych na tej sali brało to do siebie i to często w sposób dotkliwy. Myślę, że wielu z nich czuło, że to, co robili do tej pory, to było coś takiego, co było oczywiście wymuszone w tamtych czasach, ale co powodu do chwały im na pewno nie przyniesie. Nie powiem, że nastrój tego czasu był rewolucyjny. Czuło się wtedy wielką szansę na NORMALONŚĆ. Największym zaskoczeniem dla mnie było to, że mamy za to dostawać jakieś pieniądze, diety. Na to byłem zupełnie nieprzygotowany. Dla mnie pierwsze głosowanie o dietach było czymś dziwnym. Wydawało mi się, że mamy pracować dla miasta, dla siebie, dla naszych dzieci, a nie żeby się ustawiać w społecznej kolejce do społecznej kasy.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Należałem do Komisji Kultury. Byłem także członkiem Komisji Architektury – miasto, rozwój i rozbudowa, wszystko to, co się łączyło z moją wizją tego miejsca znajdowało swój wyraz w tej komisji. Tam mogłem uczestniczyć nie tyle w podejmowaniu decyzji, a raczej w dociekaniu, dlaczego takie, a nie inne projekty mają być w mieście realizowane. Często się spieraliśmy i to były spory o architekturę, a nie o to, kto będzie budował i dlaczego ten, a nie ktoś inny. Jednak w jakiś przewrotny sposób cieszę się, że w ciągu tej I kadencji Rady Miejskiej tak niewiele rzeczy zostało zbudowanych. Miasto i nasze myślenie o architekturze musiało dojrzeć, dorosnąć do pewnych standardów, których wtedy jeszcze nie było. Mimo wszystko zbyt głęboko tkwiliśmy w przeszłości. Mody architektoniczne zbyt szybko przemijają, by ulegać bezwiednie bieżącym presjom. Dotyczy to zarówno decydentów, jak architektów i urbanistów.

Byłem także w Komisji Inicjatyw Gospodarczych. Z tej komisji jednak wycofałem się dość wcześnie. Przede wszystkim z powodów czasowych. Nie dało się rzetelnie pracować w trzech komisjach.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

O moim sukcesie trudno jest mówić. To są takie drobne sprawy, np. postawienie znaków stop przy wyjeździe z wszystkich uliczek na Biskupinie, które krzyżują się z torami tramwajowymi. Wymusiłem na Mieście, żeby przynajmniej te znaki tam postawić. Sam tam wjechałem pod tramwaj, nie swoim samochodem i z nie swoim dzieckiem. Bardzo mocno to przeżyłem. Nikt już dzisiaj nie pamięta, że stare wozy tramwajowe miały z przodu wystający dyszel, który demolował samochody w przypadku kolizji. Dyskutując w komisjach o sprawach kluczowych starałem się wpływać na sprawy w zasięgu nosa. Wymuszałem na personelu sprzątanie przed osiedlowym sklepem. Szczerze mówiąc robię to do dzisiaj. Tyle tylko, że nie mam legitymacji radnego, przez co wychodzę na zwyczajnego, a nie urzędowego „szajbusa". Dlatego rozbawiało mnie setnie dyskutowanie na temat uchwały Rady Miejskiej, czy powinniśmy (jako Rada) poprzeć niepodległość Litwy (a może Łotwy?). Niektórzy mieli tego typu pomysły. My, młodsi radni patrzyliśmy po sobie i zastanawialiśmy się, czy to naprawdę musi być aż tak głupio.

Była w gronie radnych grupa Polityków. To nieprawdopodobne, jak łatwo ludzie zaczynają wchodzić w buty o wiele dla siebie za duże i niepasujące na ten bal. To było śmieszne. Zamiast myśleć o tych drobnych sprawach, snuto rozważania i składano deklaracje polityczne. Były to jednak sytuacje incydentalne. Raczej staraliśmy się być konkretni. Wielka w tym zasługa Zarządu, a szczególnie Bogdana Zdrojewskiego. Szybko zrozumiałem, że jest to znakomity człowiek w tym właśnie miejscu. Tak na zimno oceniam jego socjotechniczną umiejętność manipulowania „na rzecz". Ma on nieprawdopodobną umiejętność tonizowania nastrojów. Nie antagonizuje. Mówi w taki sposób, że, po pierwsze, wszyscy mu wierzą, a po drugie, zgadzają się myśląc – On ma rację. I nawet, jeżeli tej racji nie ma, to stwarzając atmosferę kompetencji potrafi do tej swojej racji przekonać. To ogromnie ważna umiejętność u człowieka, który musi decydować,

Zmienianie długoletnich, socjalistycznych przyzwyczajeń w dziedzinie tzw. *handlu i usług* wymagało prawdziwej, żeby nie powiedzieć – rewolucyjnej − determinacji. Niewątpliwym sukcesem Rady I kadencji jest to, że Rynek wygląda jak Rynek. Myślenie o tym, a gdzie ludzie będą kupowali mięso? było nam absolutnie obce. Mówiliśmy: pójdą dwie ulice dalej. Nie muszą na Rynku kupować ani mięsa, ani radzieckich książek. Może być tutaj knajpa koło knajpy. Żeby było śmieszniej, właściciele kawiarni i restauracji, które wtedy już były w Rynku, przychodzili do nas pukając się w czoło, mówiąc: co wy robicie? Przecież do nas nikt nie przyjdzie, jak obok będzie knajpa. Takie było wyobrażenie starych gastronomików, którzy mieli jeszcze za tzw. „komuny" lokale w Rynku. Pamiętam, jak radny Krzysztof Tenerowicz zadawał na sesji pytanie: jak ludzie mają dojść do sklepu, skoro potykają się o krzesła w jakichś ogródkach wystawionych na chodnik? Mówiliśmy, panie Krzysztofie kochany nie będzie żadnych sklepów. Będą tylko lokale i ogródki. Dzisiaj Rynek jest symbolem Wrocławia. Symbolem bardzo wcześnie ukształtowanym. Pamiętam, że gdzieś po dwóch latach od naszej „chwalebnej rewolucji" byłem w Szczecinie i okazało się, że tam dalej nie ma żadnych ogródków, że knajpy zamyka się o 22^{00}. W Lublinie, a nawet w Poznaniu też nie było żadnej restauracji otwartej po 22^{00}.

Były za to Dancingi, o których my wrocławianie zdążyliśmy zapomnieć. Wtedy Wrocław o lata świetlne wyprzedził resztę miast polskich, właśnie w tym ucentrowieniu centrum.

Trzeba było tak „sterować" przetargami, aby wygrywali je ludzie, którzy mieli zbieżną z naszą wizję miasta. Niełatwe było funkcjonowanie w komisji przetargowej, która zawsze skupia na sobie uwagę po czekistowsku czujnej komisji rewizyjnej. Bardzo zła jest ustawa o przetargach. Pozbawia urzędników możliwości, konieczności i umiejętności podejmowania decyzji. Dobra decyzja to taka, do której nikt nie będzie się mógł przyczepić. Nie szuka się rozwiązań najlepszych, tylko szuka się rozwiązań tanich w wypadku usług dla Miasta, i najdroższych w przypadku czynszów. Owocuje to naprawianiem świeżo zbudowanego i wycięciem prawie całego handlu z ulic centrum. Brak możliwości myślenia ofertowego, które zastąpione zostało licytacją wysokości czynszu powoduje utratę panowania nad „jakością" miasta, czego najlepszym przykładem są np. wrocławskie arkady przy ul. Świdnickiej, w których „pysznią" się lumpeksy, plakaty i bród (o żebrakach nie wspomnę).

Wielką zasługę w rynkowej transformacji ma Krzysztof Turkowski. To jego upór i konsekwencja i przebijanie się przez niechęć „klasowo czujnych" tropicieli afer i układów (skąd my to znamy?) dały nam wrocławianom jedyny obok Ostrowa Tumskiego i nabrzeża Odry przy Uniwersytecie, elegancki kawałek miasta.

Jako członek tej komisji mam swój udział w tym, że Rynek wygląda tak, jak wygląda. Przyczyniłem się również do tego, że nowy herb Wrocławia jest starym herbem Wrocławia. Jestem autorem pierwszego graficznego szkicu. W czasie dyskusji o herbie Wrocławia było bardzo widoczne, jak się dzieli Rada. Na świat starych i świat młodych. Pomysł geografa prof. Jagielskiego stworzenia kolejnego herbu Wrocławia był tego najlepszym dowodem. Skoro nie ten niemiecki, nie ten socjalistyczny, to może jeszcze jakiś? Germanofobia była wtedy bardzo silna. Rafał Eysymontt, historyk sztuki, szef Komisji Architektury, Tadeusz Sawa-Borysławski i inni, którzy byli duchem i pomysłami młodsi od starszego pokolenia radnych uważali, że miasto ma swoją historię i tej historii nie można się wstydzić. Pamiętam swoje wystąpienie, w którym powiedziałem: zachowujmy się w końcu jak spadkobiercy. To jest nasze miasto, nikt nam go już nie zabierze. Jeżeli my nie będziemy szanowali jego historii, to naszej też nikt nie będzie szanował. Wtedy wyraźnie opowiedzieliśmy się za tym, że Wrocław powinien wrócić do swojej wrocławskości nie tylko w wymiarze architektonicznym, jak to było w tajemniczym pomyśle prof. Małachowicza, lecz do tej wrocławskości historycznej. U mnie będącego jedną nogą we Lwowie, bo moi dziadkowie pochodzą ze Lwowa, ale urodzonego we Wrocławiu, lwowskość się kurczyła, a rosła wrocławskość, świadomość tego, w jakim miejscu mieszkam.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Niepowodzenie to chyba rozczarowanie do ludzi, do ich małostkowości i braku „obywatelskiego ducha". Podam przykład. Jest zima. Jest czasami bardzo zimno. Jeżdżę tramwajem. Wsiadam i pierwsze, co robię to przechodzę przez tramwaj i zamykam pootwierane okna. Ludzie potrafią siedzieć przy otwartych oknach, kulić się, a okien nie zamykają. Dla mnie ten „test na zamykanie okien" jest testem na bycie obywatelem, mieszkańcem, uczestnikiem czegoś większego. Ludzie chcą być rządzeni. Chcą być dobrze rządzeni, mądrze. Ja też. Ale w sprawach, w których mogę sam coś zrobić – robię, np. zamykam okna w tramwaju. Ten brak chęci „zamykania okien", to

moje największe rozczarowanie. Cały czas nie czujemy się uczestnikami życia społecznego. Jesteśmy nimi wtedy, gdy nam się to opłaca. Prosty przykład, gdy powiedziałem, że już nie będę kandydował, że jedna kadencja wystarczy, moi znajomi na ogół mówili tak: Jurek, ty frajer jesteś, przecież to taka fucha. Widzenie bycia radnym w kategoriach „fuchy" dominuje. Sam się zastanawiałem, czy nie jestem idiotą? Będąc w komisji przetargowej nie dorobiłem się knajpy w Rynku ani lepszego mieszkania, ani samochodu, ani żadnej rzeczy, która nie moja jest. Wniosek – idiota. Czy idiota powinien być radnym? Mówię to przewrotnie, ale tak to wygląda z punktu widzenia mieszkańca Wrocławia i to jest moje największe rozczarowanie. Wydawało mi się, że w ciągu tych 4 lat ludzie powinni się obudzić i zrozumieć, że coś, nawet drobne sprawy od nich zależą. Nie obudzili się do dziś.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Organizacji pozasamorządowych wtedy prawie nie było. To jeszcze nie był ten czas. Działy się naturalnie pewne sprawy, np. w świecie kultury, gdzie do dzisiaj wielu nie może zrozumieć, że tworzenie kultury nie polega na braniu dotacji. Szalenie ważną rzeczą jest edukacja, i dawanie pieniędzy na szeroko rozumianą edukację jest konieczne. Dawanie pieniędzy konkretnym artystom za ich konkretne dzieła jest już nieporozumieniem, moim zdaniem wręcz nadużyciem. Dyskusje były i będą na temat mecenatu miasta, ale to już zupełnie co innego.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Jeżeli chodzi o moje emocje czy relacje z Zarządem, to nie miałem powodu do prowadzenia jakiejś walki. Ten segment opozycyjny, który się dosyć szybko zaczął wytwarzać wśród radnych, wytwarzał się nie z powodów merytorycznych, lecz z powodów ambicjonalnych. Jest to wielki problem wszelkich ciał kolegialnych. Jeżeli ktoś kogoś nie lubi lub sam się widzi na tym stanowisku, to bez przerwy będzie szukał „haka". To wyraźnie można było wtedy odczuć. Widać było, jak niektórzy radni mają „parcie na stołek". Jak bardzo chcą zdyskredytować kogoś. Stąd wzięły się pomysły jednoczenia się, stwarzania takich kółek wzajemnej adoracji.

Naturalnie spieraliśmy się, i to nie było tak, że cokolwiek Zarząd powiedział Rada natychmiast akceptowała. Nie mieliśmy wtedy żadnego umocowania partyjnego. Byliśmy naprawdę samorządni. Wielokrotnie nie zgadzaliśmy się z pewnymi zapisami czy propozycjami Zarządu, bo wydawały nam się złe. Te emocje nie działy się jednak tylko pomiędzy nami a Zarządem. Jeżeli np. radny Przystawa mówił: po jaką cholerę nam lotnisko? Mamy walczyć o to, by we Wrocławiu była czysta woda. Odpowiadaliśmy: panie radny Przystawa, a co ma jedno z drugim wspólnego? Powinna być i czysta woda, i lotnisko. Tak to wyglądało. Czyli te nasze spory i emocje dotyczyły wszystkich, a nie tylko Zarządu. Owszem, byli tacy radni (w przedziwny sposób są oni dzisiaj zdeklarowanymi zwolennikami tej histerycznej wizji historii Polski skupionej wokół braci Kaczyńskich), którzy już wtedy ujawniali ten sposób widzenia: wszystkim rządzi układ, za wszystkim coś się kryje. Jeżeli nie wiadomo co, to pieniądze. Ci z tymi pejsami też tutaj mieszają. Itd. To już wtedy zaczęło bardzo wyraźnie kiełkować. Początkowo były to drobiazgi, które trudno sobie dzisiaj przypomnieć. Jednak to narastało i im bliżej było podziału politycznego w Radzie, tym bardziej było widoczne. Czasami były to wręcz seanse politycznej nienawiści. Pamiętam, jak mówiłem z mównicy: panowie słyszę, o czym szepczecie w ławce, mogę to powtórzyć, a są to brzydkie rzeczy, ale skoro tacy jesteście pewni swojej racji, to możemy sobie pewne rzeczy udowodnić, tylko nie wiem, czy na pięści pan Lenkiewicz by ze mną wytrzymał chociaż 3 minuty? Jad, agresja, mówienie o złodziejach, skurwysynach, stawało się pod koniec kadencji wręcz normą w nieoficjalnych bądź półoficjalnych wystąpieniach.

Jak układała się współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Fantastycznie. Panie pracujące w Biurze to doświadczone urzędniczki. Pracowały już wcześniej. Na szczęście nikt ich nie lustrował, nie wymieniał. Znakomicie funkcjonowały w wymiarze administracyjnym. Stwarzały radnym atmosferę bezpieczeństwa legislacyjno-papierkowo-administracyjnego. Pani Ewa Radomska na Komisji Kultury siedziała, notowała, robiła z tego protokół. Ona wiedziała, o czym się mówi, wiedziała, jak to zapisać, a potem gdzie i jakie pisma skierować. Było to trochę takie matkowanie i czuliśmy się z tym bezpiecznie. Panie nigdy nie próbowały udowadniać, że to one są najważniejsze.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Początkowo był Nowy Targ, remonty, przeprowadzki, ale to nie miało żadnego znaczenia. Było, jak było. „Ukomfortowienie" nastąpiło po remoncie Sukiennic, ale czy to w jakiś istotny sposób wpłynęło na nasze funkcjonowanie? Nie, to była naturalna kolej rzeczy.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak Pan ocenia ich pracę?

Z uporem maniaka będę podkreślał, że miasto to zbyt ważna rzecz, żeby się tym bawić. To nie jest miejsce do zaspokajania własnych ambicji, szukania popleczników politycznych czy ideowych. To jest praca nad poszczególnymi sprawami. Jeżeli np. mamy poprawić bezpieczeństwo w mieście czy dyskutować na temat kosztów i funkcjonowania monitoringu, to musimy to zrobić razem. Kluby to zgromadzenia **przeciwko**, a nie **na rzecz**... Takimi klubami „na rzecz" były komisje. W komisjach potrafiliśmy się dogadywać, uzgadniać pewne sprawy. A przecież nie wszyscy mieli takie samo zdanie. Inaczej myślał np. architekt czynny, inaczej teoretyk architektury, a jeszcze inaczej historyk sztuki.

Co najbardziej utkwiło Panu w pamięci z okresu, gdy był Pan radnym?

Dla mnie ważnym wydarzeniem było otwarcie Spiża. Była to spektakularna, wielka impreza na cały Rynek. Była to pierwsza tak urządzona i zrobiona restauracja. Był to pierwszy efekt naszych decyzji i naszej polityki względem tego punktu w mieście. To się tak zaczęło. Spiż stał się symbolem zmian. Ludzie podziwiali mini browar, witraże, mówili: O, jak w Europie. Spiż był potwierdzeniem słuszności naszych działań.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem bardzo przeciwny lansowanemu przez radnego Mikorskiego pomysłowi rad osiedlowych, które miałyby możliwości decyzyjne, pieniądze, czyli tzw. realną władzę. Mówiłem, że rada osiedlowa powinna wnioskować i zmuszać Radę Miejską do działania w sprawach ważnych dla społeczności lokalnej. To „miejscowi" wiedzą najlepiej, czego potrzebują, a co im przeszkadza. Rada osiedlowa nie może być Mini Radą Miejską z Mini Zarządem, bo to rozbija Miasto jako jeden organizm. Najlepszym dowodem jest anarchiczna działalność Stowarzyszenia Przyjazna Wyspa, które w sposób oczywisty ma w pogardzie interes całości na rzecz ochrony interesów (ekonomicznych) nielicznej, choć demagogicznie hałaśliwej grupy posiadaczy nieruchomości na jednej czy dwóch ulicach.

Odnosiłem wrażenie, że rady osiedlowe wydają się dla ich orędowników sposobem na tworzenie „zaplecza politycznego".

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Bardzo źle. Byli to wtedy ludzie młodzi, czasami bardzo młodzi. Studia dziennikarskie są bez sensu. Dziennikarstwo jest sposobem patrzenia i reagowania na świat, a nie zawodem. Ci młodzi ludzie już wtedy opanowali media i próbowali być po dziennikarsku nowocześni, czyli nie wnikać w istotę spraw, lecz szukać efektownych ozdobników. Powiem tak, ja dziennikarzem zostałem **przeciwko**... Patrzyłem na to, co oni robią i co piszą i pomyślałem sobie, że będę lepszym dziennikarzem niż oni radnymi. Ale mniejsza z tym. Właściwie żaden z ówczesnych „młodych wilczków prasy i anteny" nie ostał się do dziś. I bardzo dobrze.

Czy Wrocław jest dobrze rządzony? I tak i nie.

Nie wpadliśmy jeszcze w taką tandetę, jak np. w Szczecinie czy Łodzi. Mimo wszystko wiele rzeczy dzieje się sensownie. W społeczeństwie post-agrarnym stawanie się rozumnym, odpowiedzialnym mieszczaninem nie jest łatwe. Wolimy fontanny od czystych ulic. Nie trzeba jednak zamykać fontann. Wody ci u nas dostatek ... tylko urzędnicy jeżdżąc służbowymi samochodami, nie widzą potrzeby. Czasami trzeba za nią wysiąść.



Ryszard TOMCZYK

Radny II kadencji.
Doktor nauk technicznych, nauczyciel akademicki.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W jakimś sensie byłem przygotowany, ponieważ działałem aktywnie w różnego rodzaju formacjach, typu „Solidarność", a od 1989 r. w komitetach obywatelskich, gdzie problemy miasta stanowiły istotną cześć tej działalności. W latach 1991-1994 byłem radnym Rady Osiedla Nowy Dwór. Tak więc, te sprawy interesowały mnie i dlatego też postanowiłem startować w wyborach do Rady Miejskiej. W 1994 r. uzyskałem mandat radnego.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Nie, raczej nie.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Pracowałem w Komisji Gospodarki Komunalnej, gdzie zajmowałem się żywotnymi problemami, takimi jak: sprawy zarządzania zasobami mieszkaniowymi i lokalami usługowymi, sprawy zaopatrzenia w wodę i rozbudowa kanalizacji, poprawa wizerunku miasta, opiniowanie Strategii Rozwoju Miasta na następne lata. Stanowiło to ogromne wyzwanie. Został stworzony dokument pod nazwą „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Wrocławia", z którego jeszcze do dnia dzisiejszego korzysta się przy projektowaniu urbanistycznym. Kolejną komisją, w której działałem, była Komisja Kultury i Nauki. Sprawy związane z instytucjami

kultury są mi bliskie, pracuję przecież od prawie 30 lat w Akademii Muzycznej, a Akademia jest jedną z instytucji z tego obszaru.

Jak by Pan ocenił pracę tych komisji, w których Pan brał udział?

Najbardziej konstruktywne działania dotyczyły Komisji Gospodarki Komunalnej. Spotkania tej komisji odbywały się dość często, opiniowaliśmy wszelkiego rodzaju projekty, plany, wnosiliśmy swoje uwagi i opinie. Miało to namacalny wymiar i wpływ na kształtowanie i rozwój miasta. W Komisji Kultury i Nauki, obok tworzenia wizerunku działania instytucji kultury, prace dotyczyły głównie bieżących spraw związanych z przyznawaniem dotacji na określone przedsięwzięcia kulturalne. Natomiast w trzeciej komisji, w której pracowałem, to jest Komisji Budżetu i Finansów, zajmowałem się materią związaną z budżetem miasta. Bez właściwego finansowania żadna dziedzina życia komunalnego czy kulturalnego nie mogłaby funkcjonować i w tej mierze praca w Komisji Budżetu i Finansów wiązała z tymi dziedzinami. Wiadomo, że zrealizowanie wszystkich potrzeb nigdy nie jest możliwe, stąd dokonywanie wyborów nie było łatwe i oczywiste.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces II kadencji Rady?

Takim największym sukcesem Rady i komisji, w których działałem, było przede wszystkim poprawienie wizerunku miasta Wrocławia. W tych latach został zakończony remont Rynku, poprawiło się też jego otoczenie. Można powiedzieć, że za czasów tamtej kadencji miasto nabrało nowego blasku i weszło w rok 2000 z nowoczesnym wizerunkiem, nieporównywalnym do tego sprzed lat 90.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Wiązało się to nie tylko z samymi możliwościami Rady, ale i z otoczeniem. Takim niepowodzeniem na pewno było, mimo entuzjazmu i wszelkich działań podjętych przez Radę i Urząd Miejski, to, że nie stworzono warunków do rozpoczęcia budowy obwodnicy autostradowej. Wtedy, w 1998 r., w bardzo szybkim tempie uzgadnialiśmy, uruchamialiśmy wszelkie procedury w tym zakresie, ale jak widać, minęło ponad 12 lat i dopiero ruszyła budowa obwodnicy. Podobnie, jak pokazuje rzeczywistość, zabrakło determinacji i finansów na naprawę i budowę nowych dróg. W związku z tym mamy to, co mamy, czyli ustawiczne korki, trudności komunikacyjne, tiry przejeżdżające przez miasto. I to jest takim namacalnym wyzwaniem na dziś, potrzebą, którą Miasto musi nadrobić, aby wejść w trochę inną rzeczywistość.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpraca z tego typu instytucjami była, ale nie tak intensywna czy namacalna. Gdzieś na marginesie działalności Rady przewijały się różne fundacje czy stowarzyszenia, które najczęściej zwracały się z potrzebami dotyczącymi dofinansowania czy uczestniczenia w różnego rodzaju działaniach. Ale ta współpraca nie była „oczkiem w głowie" Rady Miejskiej i tym samym nie była tak wyraźnie odczuwalna.

Jak ocenia Pan wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Można powiedzieć, że zainteresowanie wyborców czy mieszkańców miasta działalnością Rady Miejskiej było nie tak wyraźne, jak zainteresowanie władzą wyższego szczebla, czyli tym, co działo się czy to w rządzie, czy w Sejmie. Rada Miejska miała swoje wejścia czy okienka w regionalnych środkach przekazu, pojawiały się też nieliczne notki w prasie lokalnej. I tak do tej pory zostało. Zainteresowanie mieszkańców czy wyborców działaniami Rady Miejskiej czy radnych było i chyba do dziś jest znikome. Funkcjonowały dyżury radnych, na które przychodziły nieliczne osoby, głównie ze swoimi problemami.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Z Urzędem Miejskim stosunki układały się z mojego punktu widzenia dobrze. Wynikało to poniekąd również z tego, że byłem członkiem klubu Wrocław 2000, a ówczesny prezydent pan Bogdan Zdrojewski i większość członków Zarządu należała również do tego samego klubu. Natomiast stosunki pomiędzy Radą Miejską czy Urzędem Miejskim a wojewodą układały się różnie. Były różnego rodzaju kontrowersje, różne punkty widzenia. Relacji tych, jak widać, do dziś nie można uznać za optymalne. Kolejna reforma samorządowa przeprowadzona w 1998 r. stworzyła trzy ośrodki władzy mające wpływ na miasto: marszałek, wojewoda, prezydent, z nie do końca przejrzystymi kompetencjami. Kompetencje te, często nachodzące na siebie, nie do końca czytelne, powodują, że współpraca ta zależy w dużej mierze od układu koalicji, która rządzi w jednym czy drugim ośrodku. Do dzisiejszego dnia namacalnie odczuwają to mieszkańcy, którzy oczekiwaliby współpracy wolnej od rozgrywek politycznych. Ale mamy taką rzeczywistość, jaką sobie stworzyliśmy.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Mogę powiedzieć, że układała się bardzo dobrze. Wszelkie materiały zawsze były na czas, nawet rzec można w nadmiarze. Ilość powielanych materiałów była czasami tak znaczna, że nie do przerobienia. Ale zarówno w sferze organizacyjnej, jak i informacyjnej wszystko odbywało się bez zarzutu.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

W tym czasie nie była jeszcze zmodernizowana sala posiedzeń Rady Miejskiej. Warunki były mniej komfortowe niż dzisiaj. Ale jakoś sobie radziliśmy. Mogło być lepiej, ale nie było to powodem do narzekań czy utyskiwań.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych były i są poniekąd formą organizacji ludzi związanych z daną formacją wyborczą, pozwalającą ustalać jakieś plany, jak również wpływać na dyscyplinę głosowań. Wtedy to miało dla mnie mniejsze znaczenie, bo startowałem w wyborach w ramach forum komitetów obywatelskich, a nie z ramienia partii politycznej. Z jednej strony, funkcjonowanie klubów wydaje się koniecznością, z drugiej, przeszkodą, bo nie zawsze radny może się w pełni wypowiedzieć czy realizować potrzeby tak, jak czuje, tylko siłą rzeczy musi podporządkowywać się często decyzjom podejmowanym w gremiach *quasi*-partyjnych. Nie zawsze jest to dobre, ale mamy taki system wyborczy, który wyraźnie preferuje partie polityczne. Według mnie, to nie partie polityczne czy ugrupowania *quasi*-polityczne powinny tutaj odgrywać główną rolę, tylko kompetencje i osobowości, co pozwoliłoby na realizację tych zadań, które mieszkańcy rzeczywiście uważają za najistotniejsze. Ale taka jest rzeczywistość polityczna, jaką mamy. I we Wrocławiu również to widać.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Tamten okres to początek działalności rad osiedlowych. Oczekiwania były trochę większe, niż rzeczywistość na to pozwalała. Wydawało się, że ranga rad osiedli z czasem będzie się wzmacniała i będą mogły bardziej decydować o swoim otoczeniu czy o swojej dzielnicy. Natomiast tak się nie stało i można powiedzieć, że działalność ta jest z punktu widzenia spostrzegania przez obywateli marginalna. Zresztą same wybory o tym świadczą, gdzie frekwencja wyborcza jest rzędu paru procent. Równocześnie rady osiedli mają małe kompetencje i jedno z drugim jakoś się uzupełnia. Istotą tych rad jest na pewno to, że pozwalają określonym osobom funkcjonować i walczyć o problemy swojego otoczenia. Natomiast rzeczywiste sukcesy tych rad nie są na miarę oczekiwań mieszkańców. Rady osiedli powinny mieć większe kompetencje i, co się z tym wiąże, większe finansowanie. Często bywa tak, że latami pewne rzeczy są odkładane albo pozostają tylko w sferze obietnic. Tak, jak w przypadku osiedla Złotniki, kiedy obiecywano, że kanalizacja tego osiedla będzie wykonana w 1998 r., a jest rok 2010 i jeszcze jest niedokończona, nadal osiedle jest rozgrzebane. Rzeczywistość pokazuje, że te wszystkie obietnice i oczekiwania, które gdzieś tam są artykułowane, a szczególnie w okresie kampanii wyborczych, faktycznie przeciągają się latami albo znikają. Może, gdyby rady osiedla miały większe kompetencje mogłyby bardziej wymuszać realizację określonych zadań. Natomiast dzisiaj, poza opiniowaniem, ich możliwości są minimalne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Takim wydarzeniem był na pewno Kongres Eucharystyczny, wizyta papieża w Radzie Miejskiej, uhonorowanie papieża przez Radę Miejską tytułem *Civitate Wratislaviensi Donatus*. To był na pewno taki moment, który utkwił każdemu w pamięci.

Innym wydarzeniem, które przyniosła nam rzeczywistość, była powódź w 1997 r., która wywarła swoje piętno na mieście. W pamięci pozostały działania związane z obroną miasta przed żywiołem, jak również usuwanie skutków po powodzi, co w wielu przypadkach przyniosło bardzo pozytywne efekty. Początkowe działania były dosyć dramatyczne, ponieważ miasto nie było przygotowane na taką powódź, a napływające komunikaty o podwyższaniu stanu wód podnosiły niepokój i niepewność. Były uruchomione dyżury radnych. Z dzisiejszego punktu widzenia, zabrakło trochę przygotowania logistycznego, takiego w pełni profesjonalnego. Były też sytuacje trochę groteskowe, jak np. ustawianie worków z piaskiem pod wiaduktami, prawie do szczytu, gdzie poziom wysokości terenu zabezpieczał w pełni ten teren i woda nigdy by się tam nie dostała, czy też układanie worków w poprzek ulic, gdzie wody nie dało się zatrzymać, bo i tak przeszła piwnicami, kanalizacją itp. Ale na kanwie tego żywiołu ludzie działali często trochę nieracjonalnie, pomimo ogromnej determinacji i chęci ratowania. Z pragmatycznego punktu widzenia nie było to racjonalne podejście, bo woda, która wpłynęła do miasta i tak musiała z niego wypłynąć. Ale działał lęk, a sytuacja była ekstremalna, ludzie próbowali ratować to, co się dało. I tak można powiedzieć, że uratowano bardzo dużo, ocalał Biskupin, Sępolno, uratowany został też Rynek i jego otoczenie. Pomimo pewnych niedoskonałości, można powiedzieć, że miasto się obroniło, i po czasie, dzięki dotacjom, część ulic czy kamienic została zastąpiona nowymi, co wpłynęło w efekcie na poprawę wizerunku miasta. Wydarzenie to było na pewno ekstremalne, bo jak wiadomo była to powódź tysiąclecia. Nikt się nie spodziewał, że Wrocław może być dotknięty przez tak wielki kataklizm.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta oraz pracą samorządu?

Można powiedzieć, że zainteresowanie to było nawet większe niż jest dzisiaj. W telewizji lokalnej i prasie pojawiały się systematycznie relacje z posiedzeń Rady Miejskiej. Ale w tamtym okresie nie było też takiego nawału informacji, z jakim mamy do czynienia obecnie. Teraz jest też na przykład wszechobecny Internet. W tej masie informacji, która dociera do człowieka dzisiaj, wątek związany z Radą Miejską czy z Miastem jest, można powiedzieć, marginalny. Pojawia się wtedy, jak są kłopoty typu: opóźnienia w realizacji planowanych budów czy remontów, zakorkowane ulice, coś źle funkcjonuje i to bardziej w ramach uwag czy pretensji do Zarządu Miasta, do organów wykonawczych. Działalność Rady Miejskiej jako forum ustawodawczego, opiniującego, mniej spektakularna, jest tym samym mniej widoczna. Prasa, jak widać, woli interesować się incydentalnymi sprawami, zwłaszcza tymi, które bulwersują czy wywołują sensacje. Natomiast mrówcza praca przy tworzeniu zrębów uchwał

nie jest w polu takich zainteresowań. Można powiedzieć, że przeciętny wyborca czy mieszkaniec, jak sądzę, nie potrafi wymienić nazwisk nawet kilku radnych, którzy w Radzie pracują i nic bliżej o nich nie wie. Dopiero przy kolejnych wyborach, aktywność mediów będzie bardziej wyraźna. Poza okresami wyborczymi działalność Rady Miejskiej jest na bardzo dalekim planie.

Uważam, że w mojej kadencji zainteresowanie mediów było trochę większe, prezydent miał swoje „okienko" w telewizji, odpowiadał na pytania mieszkańców, prasa lokalna też więcej pisała na ten temat. Było to bliżej ludzi.

◇◇◇

program gospodarki odpadami wynika, że we Wrocławiu było bardzo dużo pytań, duże zainteresowanie radnych w porównani do innych miast. Była to ciężka praca, ale opłaciło się, Wrocław ma dobry program. Drugim moim sukcesem jest unormowanie procedur przeróbki gruzu we Wrocławiu, bo to było tak trochę na głowie postawione. Teraz to już jest inaczej rozwiązane.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Myślę, że jednak likwidację szkół zawodowych, techników. Teraz widać brak dobrze przygotowanych fachowców w budownictwie, łączności itd.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Muszę się przyznać, że mało współpracowałam z instytucjami pozarządowymi. W niewielkim stopniu zetknęłam się z nimi w Komisji Ochrony Środowiska. Prosiliśmy np. o przedstawienie czasopism, bo to było najczęściej dofinansowane. Pamiętam, taki tytuł „Kropla", było takie czasopismo, które trafiało do szkół. Myśmy przede wszystkim dofinansowali różne organizacje szkolne i działania szkolne, które promują ochronę środowiska i czasopisma, które trafiały do młodzieży szkolnej, które były czytane i na które było zapotrzebowanie. Uważam, że to były działania u podstaw. Wolałam, żeby dofinansowywać szkoły aniżeli organizacje, które nawet nie docierały do młodzieży, tylko funkcjonowały same sobie. Wtedy nie czuł człowiek, że jest marnowany nasz publiczny pieniądz.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Na dyżurach radnego, powiem szczerze, nie było przekroju wyborców. To były stałe osoby, które miały jakieś problemy w kółko ze sobą. To nie było to. Natomiast było dużo różnych spotkań przy radach osiedli, w związku z problemami, które tam powstawały. Było ich dużo więcej w mojej pierwszej kadencji. Tematy, które są opracowywane w wydziałach Urzędu Miejskiego musiały być zatwierdzone przez Radę Miejską, wtedy jej wpływ był dużo większy. Kontakt z wyborcą był niejako wymuszony, bo powstawały konflikty. Do rozwiązania konfliktów zapraszano też radnych, żeby tłumaczyli, dlaczego widzieliby takie, a nie inne rozwiązanie. Myślę, że tych konsultacji w mojej drugiej kadencji było dużo mniej. Radny nie ma biura w terenie. Uważam, że samorząd świetnie się rozwinął, udogodnienia są dobre, ale jakby stanął pod ścianą. Teraz widać, że wyborcy się nie interesują samorządem. Pójdą zagłosować, bo mobilizacja jakaś jest i część ludzi zawsze chodziła i chodzić będzie na głosowanie. We Wrocławiu dużo się dzieje i nawet są ciekawe inicjatywy przez Miasto inicjowane, dużo rzeczy dobrych się buduje i robi, ale ludzie się zbierają tylko tam, gdzie są konflikty. Bieżącymi sprawami, działaniami, ich akceptacją, niestety nie są zainteresowani.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Nie działałam w radzie osiedla, ale w mojej pierwszej kadencji pracowałam w Komisji ds. Osiedli. Mieliśmy wiele spotkań konsultacyjnych na temat kompetencji rad osiedlowych. Było dużo wniosków, ale nic się z tym nie zrobiło. To stanęło w miejscu. Sądzę, że samorząd stanął w miejscu i dalej się nie rozwija. Jednak ci, którzy rozpoczęli pracę nad funkcjonowaniem samorządu powinni kontynuować reformy.

Nie można negować ludzi, którzy zostali wybrani do rady osiedla. Ci, którzy są aktywni, zawsze będą aktywni. Najczęściej radom osiedli chodzi o sprawy takie, jak rozwijanie inicjatyw lokalnych, że drogę trzeba zbudować, żeby strażnik był na osiedlu – kiedyś tego nie było. Jest chyba 47 rad osiedli, przy czym jednak te mniejsze, malutkie mają większy kontakt ze swoimi mieszkańcami, więcej się tam dzieje, ludzie się znają.

Myślę, że duże miasto musi mieć pomysł na to, czy będzie miało dzielnice, czy pozostaniemy przy osiedlach, ale damy im więcej kompetencji. Bo czasami w Mieście nie widać, że jest dziura na jakieś peryferyjnej ulicy, chociaż mówimy, że monitorujemy. Powinna być możliwa szybsza decyzyjność w tych działaniach, bo tę przysłowiową „dziurę w jezdni" my z osiedla prędzej załatamy, niż wtedy, gdy o wszystkim decyduje centrum. Ale ja tego problemu nie rozwiążę, zwracam jedynie uwagę, że uważam, iż samorząd stanął w miejscu.

Zobaczymy, jaka frekwencja będzie na wyborach, to będzie oceną, jakie jest zainteresowanie, czy samorząd ma rację bytu, czy nie. Ocenią to wyborcy.

Jak się układały stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i z Urzędem Miejskim?

Nigdy nie narzekałam. Czy potrzebne były jakieś materiały, czy informacja, czy zaproszenie na komisję, to ta współpraca była naprawdę dobra. Taki wzajemny szacunek był okazywany. W komisjach, w których pracowałam mieliśmy bardzo dużą pomoc z wydziałów. Współpraca była na wysokim poziomie.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Przemiłe, bardzo uczynne panie. Po remoncie sali sesyjnej i pomieszczeń, gdzie odbywały się komisje, było przesympatycznie, przyjemnie, czysto, kolorowo. Można było pracować. Sala sesyjna bardzo ładna i wygodna, a obrady cały dzień trwały, do późnych godzin wieczornych. Człowiek może pójść do Biura Rady i z uśmiechem go przywitają, pomimo że już nie jest się radnym.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Przed remontem były strasznie niewygodne krzesła, ale tak naprawdę nie spotkałam się z tym, żeby ktokolwiek narzekał, że nie miał jakichkolwiek materiałów na sesję.

Co Pani sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Po prostu polityka jest tak skonstruowana, że partie polityczne zajmują całą przestrzeń i to się przenosi również na samorząd. Trochę byłam w mojej pierwszej kadencji tym rozczarowana, ponieważ uważałam, że Rada będzie miała wspólny cel, to jest interes miasta. Trochę inaczej to widziałam. Okazało się, że kluby bardzo dzieliły ludzi. Muszę powiedzieć, że to było bardzo niesympatyczne. W mojej drugiej kadencji już było tak bardziej normalnie, bo polityka jest polityką, natomiast cel jest wspólny. Jest jednak taki podział, są kluby, będą kluby polityczne. Chyba że będzie tak, jak jest niepolityczny klub prezydenta Dutkiewicza, tzn. też jest polityczny, ale nie reprezentuje partii politycznej, w sumie więc jest niepolityczny, to fakt. Ten podział ogólnie jest. Jest zawsze ten, kto rządzi i jest opozycja. Jak tak wszyscy będą mówić, że jest ładnie i pięknie, i „cacy", to dużo więcej błędów się popełni. Jest ten, co rządzi i jest ten, który mu patrzy na ręce. Generalnie uważam, że jedni i drudzy są potrzebni. Uważam, że dzielić się mogą w takich sprawach, nad którymi pracują, ale nawzajem powinni się szanować wszyscy, jako ludzie. To nie są sytuacje, w których mówimy o przyjaźniach, ale chodzi o dyskusje bez zacietrzewienia politycznego. Wtedy wszystkim się otwierają oczy, i temu z opozycji, który przesadza, nie jest przygotowany, a mówi po prostu „nie, bo nie", i temu rządzącemu, który mówi, że musi być tak, bo on tak wymyślił, koniec, kropka. Stawianie sprawy na ostrzu noża do niczego nie prowadzi. Ale przekonywanie się nawzajem też dużo daje.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Dużo było chwil miłych i sympatycznych. Jako Komisja Nominacyjna nadająca tytuł Honorowego Obywatela Miasta Wrocławia mieliśmy kontakt z wieloma ciekawymi osobami, np. prezydentem Lechem Wałęsą. Niektórym osobom wręczaliśmy te tytuły zaocznie. To były też takie bardzo uroczyste sesje, bardzo sympatyczne. Składaliśmy sobie życzenia z okazji Nowego Roku, Wigilie też były bardzo sympatyczne, każdy z uśmiechem do siebie się odzywał i dzielił opłatkiem.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Czasami to zależy od dziennikarzy. Takie zainteresowanie mediów było. Później zaczęło się to zmieniać w newsy, że budżet przyjęty, itd. Zmieniona ordynacja wyborcza pozostawiła Radzie jedynie kompetencje uchwałodawcze, ograniczono rolę Rady, większe pole do popisu ma władza wykonawcza. Teraz prezentuje się to, co robi prezydent i to, co robią poszczególne wydziały Urzędu. To też nie do końca jest dobre. Poprzednio zainteresowanie było spore, to było widać na sesjach. Nie wiem, jak to wygląda teraz, ale wtedy dosyć dużo się pisało, a teraz znacznie mniej się pisze o samorządzie, naprawdę mało. Ewentualnie o takich osiedlowych sprawach, co na ulicach, co z kamienicami, jedynie o takich rzeczach, które chcieliby zmienić mieszkańcy. Natomiast o samym funkcjonowaniu Rady, że taka komisja gdzieś była, że jednak osiągnięto kompromis, że zrobiono coś, czego mieszkańcy chcieli – tutaj tego zaangażowania nie widzę. Mniej się teraz mogę dowiedzieć z prasy o działaniach samorządu i radnych. Mieszkańcom trudno ocenić jakiegokolwiek kandydata na radnego, bo nic o nich nikt nie słyszał. O kandydatach na radnych słychać jedynie w kampanii wyborczej. Podczas trwania kadencji Rady radny się napracuje, a jego osiągnięć nie widać nigdzie. Ludzie nie wiedzą, co się dzieje, nad czym pracują radni. Pracowałam w tylu komisjach i nie ukrywam, że miałam prawie cały tydzień po południu zajęty, ale robiłam to z przyjemnością.



Urszula WANAT

Radna III, IV i V kadencji.
Bibliotekarz.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Nie, nie byłam przygotowana do pełnienia funkcji radnej. Do 1990 r. interesowałam się wyłącznie problemami związanymi z pracą zawodową, życiem rodzinnym, czyli opieką nad dziećmi, rodzicami, budową domu. Dopiero po wprowadzeniu się do nowego domu zaczęło mi przeszkadzać błoto na ulicy, walające się śmieci, zaniedbane tereny zielone na osiedlu. Toteż, gdy zorganizowano zebranie w sprawach osiedla w 1991 r., wzięłam w nim udział. Tam

zbierano chętnych na kandydatów do rady osiedla, zgłosił mnie sąsiad i zostałam wybrana. I tak zaczęła się moja przygoda z samorządem. Wiedzę na temat samorządu czerpałam przede wszystkim z telewizji Echo, słuchając dwa razy w tygodniu wystąpień prezydenta Zdrojewskiego. Do tego programu dzwonili mieszkańcy pytając o różne sprawy, które szczegółowo omawiał Bogdan Zdrojewski. W ten sposób dowiedziałam się, na jakich zasadach funkcjonuje władza samorządowa i jakie zadania do niej należą.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Nie, przed rokiem 1990 nie zajmowałam się sprawami miasta. Dopiero w 1991 r., gdy zostałam wybrana radną osiedla Kuźniki zaangażowałam się w działalność samorządową. Z osiemnastu członków rady, którzy tworzyli zgodny zespół, zostałam wybrana na przewodniczącą.

Rady osiedli jako jednostki pomocnicze Miasta były nowością, wobec tego nie można było czerpać wiedzy od poprzedników, dlatego działalność w nich zależała od osobowości, które tam zasiadały. Dopiero po dwóch latach istnienia samorządów osiedli Rada Miejska Wrocławia uchwaliła ramowy statut dla rad osiedli. Radną osiedla byłam przez jedną kadencję do 1996 r., a od 1998 r. jestem radną miasta.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W trakcie pełnienia funkcji radnej osiedla zajmowałam się przede wszystkim uporządkowaniem terenów zielonych należących do gminy, utwardzeniem przejść dla pieszych, uprzątnięciem dzikich wysypisk oraz organizacją festynów dla mieszkańców. Jako radna w Radzie Miejskiej swoją największą uwagę koncentrowałam na rozbudowie infrastruktury, przebudowie ulic osiedlowych, remontach komunalnych kamienic, sprawach związanych z ochroną środowiska i komunikacją zbiorową.

Co uważa Pani za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Moim dużym sukcesem była pierwsza kadencja w Radzie Osiedla Kuźniki, która trwała pięć lat. Przez ten czas osiedle bardzo się zmieniło. Starania w poszczególnych wydziałach w Urzędzie Miejskim Wrocławia o uporządkowanie lasu nad Ślęzą, małych parków i skwerów oraz utwardzenie i oświetlenie ulic w zabudowie jednorodzinnej zakończyły się powodzeniem. Pozytywnie również układała się moja współpraca z administracjami spółdzielni mieszkaniowych „Piast" i „Hydral". Wydaje mi się, że sukcesem jest także dobry kontakt z mieszkańcami. Teraz jako radna w Radzie Miejskiej zajmuję się problemami dotyczącymi mieszkańców całego Wrocławia. Jednak moją uwagę koncentruję szczególnie na osiedlach, z których zostałam wybrana do Rady Miejskiej. Moi wyborcy często się ze mną kontaktują. Zgłaszają się z różnymi sprawami. Jeśli problem jest istotny dla lokalnej społeczności, to zabiegam o niego skutecznie aż do osiągnięcia celu. Przykładem może być wybudowanie łącznika ul. Kołobrzeskiej na Kuźnikach, który oprócz jednokierunkowej jezdni jest także pętlą dla autobusów 129 i 139. Dla Żernik, współpracując z radą osiedla, udało się po długich staraniach przekonać ZDiUM do realizacji ciągu pieszo-rowerowego wzdłuż ul. Żernickiej wraz z przeprawą przez rzekę Ślęzę oraz przekonać Zarząd Zieleni Miejskiej do stałego pielęgnowania skweru w centrum osiedla. Udało mi się również przekonać do zrealizowania w tymczasowym przebiegu ul. Konińską, która została zlikwidowana przez PKP w trakcie modernizacji linii kolejowej do Legnicy. W tej chwili mieszkańcy mogą spokojnie dowozić dzieci do szkoły i korzystać z innych usług na Żernikach. W Jerzmanowie powodzeniem zakończyły się starania o środki na remont budynku starej szkoły przejętej przez parafię, który obecnie służy mieszkańcom jako dom spotkań oraz o fundusze na remont siedziby rady osiedla. Zabiegałam także skutecznie o wyremontowanie dróg wokół kościołów w Jerzmanowie i utwardzenie przystanków. Z kolei w Strachowicach dzięki moim staraniom wymienione zostały oprawy i żarówki w oświetleniu ulicznym. Wszystko to oczywiście musiało trwać, ale w końcu udało się to zrobić. Na osiedlu Muchobór Mały było sporo różnych konfliktów spowodowanych przejazdem przez ul. Szwedzką. Ten problem nie jest jeszcze do końca rozwiązany, ale mam nadzieję, że jeszcze się to uda. Na Muchoborze Wielkim wspieram radę osiedla, która zmieniła swoją siedzibę i tu angażowałam się w zapewnienie środków na remont tych pomieszczeń. Trzecią kadencję jestem przewodniczącą zespołu do podziału środków na inicjatywy lokalne, wspieram wszelkie działania związane z modernizacją ulic. Często rady osiedli korzystają z moich podpowiedzi, jak postępować, aby osiągnąć cel. Przykładem może być ul. Trawowa, na której zostanie wykonana docelowa nawierzchnia. Staram się również popierać różne działania mieszkańców Maślic, ponieważ to osiedle obecnie dotykają duże uciążliwości związane z budową autostrady i stadionu, a także z przebudową ulic wokół niego. Powstaje tam także galeria handlowa. Muszę powiedzieć, że w zasadzie mam kontakt ze wszystkimi osiedlami, a zwłaszcza z tymi, które znajdują się w moim okręgu wyborczym. Zabiegam o niezbędne środki na remonty w szkołach i przedszkolach. Takim przykładem m.in. jest kompleksowy remont bloku sportowego w budynku szkoły przy ul. Sarbinowskiej na Kuźnikach.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

To trudne pytanie, gdyż rolą Rady Miejskiej Wrocławia jest tworzenie lokalnego prawa. Uchwały, które podejmujemy mogą być proponowane zarówno przez prezydenta, jak i przez radnych czy komisje Rady oraz kluby. Jednak zdecydowaną większość uchwał przedkłada prezydent. Takich, których nie udało się uchwalić było bardzo mało. Powodem tego był brak politycznej zgody. Ale czy to można nazwać największym niepowodzeniem?

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Prawdę powiedziawszy, nie mam za wiele kontaktów z tymi instytucjami. Skupiam się raczej na działalności typowo samorządowej.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Myślę, że mają duży wpływ na moją działalność. Często spotykam się z mieszkańcami czy to na dyżurach, czy w radach osiedli, w pokoju klubowym, a nawet w domu. Przychodzą po radę, ale też po to, żeby się wyżalić, a nawet wykrzyczeć. Starałam się, by w każdej sytuacji znaleźć jakieś rozwiązanie.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Jeśli chodzi o całą Radę, to trudno jest mi powiedzieć. Natomiast moje kontakty są dobre, ponieważ jeżeli o coś zabiegam, to w krótszym lub dłuższym czasie osiągam sukces. Jestem osobą niekonfliktową. W mojej ocenie, jako jednej z 37 radnych, są sprawy możliwe do załatwienia i takie, do których trudno organ wykonawczy przekonać z różnych powodów.

Jak układała się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Moja współpraca z Biurem Rady Miejskiej układa się dobrze. Organizacja pracy w Biurze Rady Miejskiej jest pod każdym względem wzorowa, co jest dużą zasługą pani dyrektor Janiny Śledzińskiej. Pełniąc funkcję radnej przez trzy kadencje nigdy nie miałam problemów z czymkolwiek. Zresztą przychodząc do Biura jako przedstawiciel rady osiedla zawsze byłam życzliwie i dobrze obsłużona. Wszyscy pracownicy są tu bardzo sympatyczni i uczynni.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Radni zrzeszeni w klubie mają do dyspozycji pokój. W Biurze Rady jest obsługa prawna. W każdej chwili w razie potrzeby można także zlecić ekspertyzę. Każdy radny ma do dyspozycji laptop, którego największym plusem jest to, że nie trzeba już gromadzić materiałów w wersji papierowej, a jest tych dokumentów sporo. Laptop jest dużym ułatwieniem. Często wysyłam maile do Urzędu z rożnymi pytaniami czy wnioskami i zawsze bardzo szybko uzyskuję odpowiedź tą samą drogą. Jest to o wiele wygodniejsze niż pisanie interpelacji w tradycyjny sposób.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

W mojej pierwszej kadencji byłam w Komisji Komunikacji, Komisji ds. Osiedli i Komisji ds. Młodzieży; w drugiej kadencji w Komisji Budżetu i Finansów, Komisji Infrastruktury, Komunikacji i Ochrony Środowiska oraz w Komisji Architektury. W obecnej kadencji jestem przewodniczącą Komisji Budżetu i Finansów i członkiem Komisji Infrastruktury Komunalnej i Komisji Komunikacji i Ochrony Środowiska. Muszę powiedzieć, że z pracy w komisjach jestem zadowolona, gdyż debatujemy w nich nad sprawami, z którymi najczęściej zwracają się mieszkańcy do radnych. Tak naprawdę na sesjach się nie dyskutuje, dlatego, że debaty odbywają się w trakcie posiedzeń komisji. Uczestniczy w nich przedstawiciel prezydenta i można o wszystko dokładnie wypytać.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Na pewno kluby radnych są potrzebne. W klubach podejmuje się decyzje polityczne. Merytoryczne dyskusje odbywają się w komisjach, a na klubach polityczne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Do takich wydarzeń zaliczyłabym uroczyste sesje z okazji Święta Wrocławia. Bardzo brakuje mi tego, że lokalna telewizja nie pokazuje tych uroczystości. Relacja powinna trwać przynajmniej kilka minut, a nie kilka sekund. Wówczas mieszkańcy identyfikowaliby się z tym świętem. Radni ubrani są w oficjalne stroje, co też podnosi rangę Święta Wrocławia. Pochód radnych z kościoła św. Elżbiety, gdzie znajduje się kaplica rajców miejskich, maszeruje do ratusza. Te sesje odbywają się 24 czerwca, w dniu św. Jana – patrona Wrocławia. W mojej pamięci pozostają także uroczystości związane z otwieraniem nowych placówek oświatowych czy istotnych dla komunikacji budowli drogowych i mostowych.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Jak już wspomniałam, byłam radną osiedla przez jedną kadencję. Działalność rad osiedli jest taka, jacy są w niej radni. Rady osiedli jako jednostki pomocnicze Miasta, mają inspirować mieszkańców do działania, kontrolować prace, jakie jednostki miejskie na danym osiedlu wykonują, a przede wszystkim integrować społeczność lokalną. Każde osiedle ma swój statut, a w nim bogatą ofertę zadań, które może realizować. Są osiedla, które potrafią wykorzystać swoje statutowe uprawnienia, ale są i takie, które radzą sobie słabo. Wszystko zależy od osobowości radnych, ich umiejętności i charakterów.

Jak ocenia Pani zainteresowania mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Muszę powiedzieć, że niebyt pozytywnie, gdyż media szukają tylko sensacji. Pozytywne rzeczy ich nie interesują. O sprawach Wrocławia szerszą informację przekazuje telewizja TeDe. W mojej ocenie, jest bardziej obiektywna niż Telewizja Wrocław. Jeśli chodzi o prasę codzienną, to można znaleźć w niej krótkie informacje, ale najczęściej takie, które dotyczą porażek, a nie sukcesów.



Edward WICZKOWSKI

Radny I kadencji.
Nauczyciel akademicki, pracownik naukowy.

Czy był Pan przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

Źródłami mojej wiedzy na temat samorządu był samorząd spółdzielczy spółdzielni mieszkaniowej. Byłem przewodniczącym rady osiedla w spółdzielni mieszkaniowej, potem wielokrotnie członkiem rady nadzorczej, aż do czasu, kiedy wszedłem do Rady Miejskiej. Mając doświadczenie w działalności w spółdzielni nie byłem już „surowy" przychodząc do Rady Miejskiej. Oczywiście, spółdzielczość podlegała pewnym wytycznym wtedy jedynie słusznej partii PZPR, która decydowała, kto będzie prezesem, dyrektorem spółdzielni. Nawet spółdzielcom zabierano mieszkania, jeżeli wyjechali za granicę i tam pozostali. Władze polityczne nakazywały prezesom przyjęcie tego lub innego protegowanego do przydzielenia mieszkania poza kolejnością. Takie były wtedy „wilcze prawa". Dzisiaj decyzję o przydzieleniu mieszkania podejmuje wyłącznie władza spółdzielni, ale struktury przesiąknięte i przyzwyczajone do służalczości wobec poleceń partii funkcjonują nadal, jakby nic nie uległo zmianie. Nie tak dawno były dwa spotkania w telewizji ze spółdzielcami i władzami spółdzielni na poziomie krajowym, to była audycja „Warto rozmawiać" prowadzona przez redaktora Pospieszalskiego. Jak można było zauważyć, władze centralne Rewizyjnego Związku Spółdzielni trzymają się mocno, a wiekowo pamiętają jeszcze rewolucję październikową. Obsadzonego stanowiska nie zamierzają opuścić, chyba, że zadecyduje los. Tam zasiadają super-emeryci, i to bardzo wiekowi.

Czy przed 1990r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W tym sensie, że działałem w spółdzielni, która stanowiła jakiś kawałek terenu miasta. W szerszym aspekcie, jako przewodniczący Rady Osiedla Starego Miasta byłem zapraszany na posiedzenia Dzielnicowej Rady Narodowej, które odbywały się w ratuszu. Słuchałem i oczywiście protestowałem, kiedy inne rady osiedli komunalnych były bardziej doceniane niż praca rady spółdzielczej, i nagradzane dyplomami, listami, uznaniem za dobre działanie. Myśmy działali w spółdzielczości i była ona widoczna na zewnątrz, obiekty były bardziej zadbane niż administracji komunalnej. Tu jest ten styk na płaszczyznie współpracy. Nie była to współpraca nakazana, ale dla dobra wspólnego.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Byłem w Komisji Nazewnictwa, Komisji Architektury, Komisji Rewizyjnej i Komisji Inwentaryzacyjnej. Tam przewijało się wiele problemów. W I kadencji organizowałem, często sam lub z kolegami, spotkania z mieszkańcami. Odbywały się one w sali sesyjnej obecnej Rady oraz w dawnej sali sesyjnej przy Nowym Targu. Te spotkania nie przebiegały spokojnie. Dyrektor gabinetu prezydenta, wówczas Bogdana Zdrojewskiego, nakazał portierom zamykanie drzwi wtedy, kiedy miało się odbyć spotkanie. Jeżeli mieszkańcy przyszli przed godziną 18^{00}, to jeszcze mogli wejść, a o 18^{00} zastawali zamknięte drzwi. Przy którymś z takich spotkań, które nie było wygodne dla pana prezydenta i jego zastępców, akurat przy drzwiach sali sesyjnej głośno zbijano i montowano meble, tak ażeby przeszkodzić. Takie były wtedy działania sympatyków, członków Unii Demokratycznej. Było to niezbyt przyjemne. Podnosiliśmy na tych spotkaniach wiele problemów, które się pojawiły po przejściu z jednego systemu w drugi. Potem już takich spotkań nie było. W 1991 r. zostało utworzone przedsiębiorstwo telewizji Echo, w którym mieliśmy jako radni, z kolegami: Krzysztofem Tenerowiczem, Antonim Lenkiewiczem i innymi, program „Czas dla radnych". Nie było wtedy „Czasu dla prezydenta". Pan prezydent Bogdan Zdrojewski wymusił na właścicielach telewizji Echo, żeby zaprzestali udzielania nam czasu antenowego. Już wtedy sam siebie kreował, był jeden jedyny sprawiedliwy, prawdomówny i wszechwiedzący. I w tym momencie skończyła się bezpośrednia relacja radnych z mieszkańcami. Było to niewygodne dla władzy i trzeba było to ukrócić. I tak to się stało.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Leży tutaj herb z XVI wieku. Między innymi na mój wniosek został on przywrócony. Mogę powiedzieć, że dzisiaj pan Dutkiewicz wstydzi się tego herbu, bo wszędzie, nawet na biletach komunikacji miejskiej, wydrukowane jest logo niedoszłej wystawy Expo z podpisem Wrocław. Nasze miasto ma piękny herb, tymczasem zastępuje się go logo. Jak z tego widać Wrocław ma logo, a nie herb. Drugim moim sukcesem był wniosek o utworzenie Straży Miejskiej, która w mojej ocenie nie sprawdza się. Jej praca przypomina mi pracę ormowców w minionym okresie. Praca ich to były „akcje", teraz jest podobnie. Straż Miejska działa na okoliczność pilnowania słupka na

Kurzym Targu, żeby nie wjechał jakiś przypadkowy samochód na Rynek, i zakładania blokad na źle zaparowane samochody. Odbywa obowiązkowy spacer w dzień, a wieczorami, kiedy hordy pijanej, często znarkotyzowanej młodzieży szwendają się po Starym Mieście, to nie ma Straży Miejskiej. W sobotę ich nie widać. Jeżdżą samochodami, a próba skontaktowania się z nimi za pomocą telefonu, graniczy z cudem. Do rzadkich widoków należą ich interwencje. Słyszałem któregoś razu, że oni za mało zarabiają. Gdyby było ich widać na ulicach, gdyby to były patrole częste, to respekt wobec strażnika byłby większy. Żałuję, że wnioskowałem o powołanie Straży Miejskiej, myślałem, że będą sprzymierzeńcami mieszkańców, niestety zawiodłem się. Czasy się zmieniły, z sentymentem można przeczytać o strażnikach miejskich w średniowieczu, którzy chodzili, krzycząc „dziesiąta na zegarze, spać już pora gospodarze", i pilnowali, by mieszkańcy nie tylko bezpiecznie doczekali ranka.

Moim zdaniem, dzisiaj pieniądze, które wydaje się na Straż, powinno się skierować na utrzymanie Policji. Policja została zwolniona z pewnego zakresu obowiązków na rzecz Straży Miejskiej, która nie jest w stanie sprostać wyzwaniom, nie ma autorytetu. Co z tego, że po mieście chodzi jeden strażnik i jeden policjant. W soboty wieczorem ich nie ma, bo mają wolne. Pytam, czy to są urzędnicy, czy funkcjonariusze?

Po drugie, taka moja uwaga. Tamten rok był rokiem Słowackiego. Odsłonięto na ul. Oławskiej tablicę poświęconą Słowackiemu i przyozdobiono ją logo nieistniejącej, niedoszłej wystawy Expo. Czy Juliusz Słowacki nie zasługuje, by poświęcona jemu tablica była przyozdobiona herbem Wrocławia? Czy istnieje instytucja Expo, która tę tablicę ufundowała? W mieście jest pełno tablic osób zasłużonych dla miasta, z logo. Jeżeli przewodniczący Rady Miejskiej, człowiek o umyśle ścisłym, odsłania tablicę Juliusza Słowackiego z logo, to jest człowiekiem z umysłem „ściśniętym". Jakże można Juliuszowi Słowackiemu odmówić herbu Wrocławia, a upstrzyć jemu poświęconą tablicę takim znakiem. Łódź, Kraków, Warszawa, Gdańsk mają na biletach tramwajowych herb swojego miasta, a Wrocław nie. Wrocław w oczach przyjezdnego kojarzony jest przez to logo. Pytam, czy jest to właściwa promocja miasta? W Urzędzie Miejskim każda tabliczka na drzwiach ma właśnie logo. Przecież herb Wrocławia jest najpiękniejszym herbem w Polsce. Na wielu jeszcze przedwojennych budynkach jest ten herb. Jest heraldycznie bogaty, zawiera wiele elementów związanych z historią tego miasta, są na nim uwidocznione wpływy czeskie, śląskie z wydarzeniami religijnymi minionych lat. Wstydzi się tego herbu pan R. Dutkiewicz – prezydent miasta. Herb ten pięknie prezentuje się turystom na dziedzińcu przed wejściem do Muzeum Historycznego w ratuszu. To są moje spostrzeżenia. Być może dlatego to logo eksploatują władze Wrocławia, że pan Bogdan Zdrojewski wydał na nie krocie z kasy miejskiej.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Opowiem o takim epizodzie. Otóż na którejś sesji Rady Miejskiej przedstawiono propozycję obwodnicy Wrocławia. Geodeci przynieśli mapy katastralne terenów, którymi miały przebiegać obie drogi – śródmiejska i autostradowa. Z zażenowaniem patrzyłem, jak radni spisywali numery działek, terenów popegeerowskich. Był to dla mnie żenujący obraz. Komentarz do tego jest już zbędny.

Jako wrocławianin mam do władz miasta pretensję i wielki żal, to kolejna kwestia. Niedawno przechodziłem koło Opery, tuż przy fosie miejskiej. Liczna grupa osób zbierała podpisy pod wnioskiem do Rady Miejskiej Wrocławia, by bulwarowi nad fosą miejską nadać imię rotmistrza Pileckiego. Nie rozumiem i nie wiem, dlaczego pani Barbara Zdrojewska jako przewodnicząca Komisji Kultury Rady Miejskiej zgłosiła sprzeciw tej inicjatywie.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Współpracowaliśmy z Towarzystwem Miłośników Wrocławia przy zmianie nazw ulic. Z MPK, jednostką budżetową Miasta, omawiane było parę kwestii dotyczących złego umieszczenia reklam w pasie drogowym, były to działania na prośbę i interwencję mieszkańców. Kiedyś miałem sposobność z kilkoma radnymi wizytować OSiR-y, centra sportowe. Był taki ośrodek „Glinianki", przy drodze w kierunku na Leśnicę, do którego komisja nie dojechała, dlatego, że przy tych „Gliniankach" był komis samochodowy jednego z radnych. Wizytowaliśmy ośrodek przy ul. Wejherowskiej, przy Ślężnej, Ogólnie rzecz ujmując, współpraca z instytucjami pozasamorządowymi była okolicznościowa. Kiedyś mieliśmy wycieczkę wszystkich radnych do Straży Pożarnej na Borowską, ale trudno nazwać to współpracą. Raczej byliśmy obserwatorami i miejsca, i sprzętu.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Były dyżury radnych. Wielu mieszkańców przychodziło, najczęściej panie, które miały różnego rodzaju problemy, na przykład z lokalem, który chciały wynająć dla swojej działalności, a kiedyś w nim pracowały pod firmą PSS, MHD lub Społem. Wiceprezydent miasta miał inne plany i politykę wyboru najemców lokali. Arbitralne decyzje były sprzeczne z oczekiwaniami społecznymi. To było niesprawiedliwe, bo przecież pracownicy sklepów nie byli ludźmi władzy komunistycznej, byli to pracownicy na zasadzie umowy o pracę. Też jakoś próbowali zaistnieć w nowej rzeczywistości w takich czy innych lokalach. Były też kwestie skarg. Do Komisji Rewizyjnej przychodzili ludzie, którzy skarżyli się na decyzje wiceprezydenta dotyczące lokali handlowych i sposobu ich zagospodarowania. Kiedyś na sesji powiedziałem, że pan prezydent lokalami rządzi tak, jak szef kołchozu, który mając jedną parę przydziałowych majtek „każdej pracownicy kołchozu pozwoli ponosić przez tydzień". Były to decyzje, które wiele osób uważało za krzywdzące. Ale wtedy władza miała siłę.

Jak się układały stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej?

Chcieliśmy z grupą radnych przeprowadzić lustrację w Radzie. Przewodniczący Rady nakazał wykreślenie mojego wystąpienia z protokołu Rady. Poza tym, zaangażowaliśmy się, razem z kolegą Antonim Lenkiewiczem, w kwestię przekazania nieodpłatnie Wzgórza Partyzantów spółce Retropol. Znaleźliśmy tam mnóstwo uchybień. Mieliśmy proces sądowy, oceniono, że naruszyliśmy dobro tej spółki, bo napisaliśmy książeczkę pt. „Bitwa o wzgórze". Nazwaliśmy ich partyzantami i zaskarżyli nas do sądu. Wcześniej była ich audycja w telewizji Echo, po czym wymusiłem na właścicielu stacji telewizji Echo, żeby nam udzielił czasu antenowego w celu wyjaśnienia. Jednak skończyło się w sądzie. Wysoki Sąd zwrócił się do każdego z nas z pytaniem, o co zwracamy się i czego oczekujemy od Wysokiego Sądu, a my zażądaliśmy dla siebie kary śmierci. Nieuwzględniono naszej prośby. Sąd nakazał nam zwrócenie kosztów sądowych powodom. Oczywiście sąd i strona powodowa powołali wielu różnych rzeczoznawców, którzy wyceniali majątek na diametralnie różne kwoty, w zależności od tego, kto zlecał wycenę. A chodziło o kilka błędów. Między innymi przekazano Wzgórze Partyzantów nieodpłatnie spółce, która finansowała wybory do Rady Miejskiej kandydatów z Komitetu Obywatelskiego. Miasto przekazało Wzgórze Partyzantów tej spółce wraz z podziemiami należącymi do Obrony Cywilnej. Przekazanie obiektu aktem notarialnym obarczone było wadą prawną, bo przekazano obiekt, który nie należał do władz miasta, tylko do Obrony Cywilnej. Potem, po pewnym czasie na Wzgórzu Partyzantów otworzono kasyno.

Urząd Miejski miał obsadzone ważne stanowiska przez „samych swoich" − kolegów. Również dyrektorzy niektórych wydziałów byli z takiego nadania. Ten obyczaj do dzisiaj ma miejsce. Prawdę mówiąc, nepotyzm, zjawisko, które było poprzednio powszechne, tylko tak się nie nazywało, dzisiaj też jest. Kiedy patrzę na dyrektora Departamentu Sportu, to mam dziwne skojarzenia z podanym zjawiskiem. Sytuacja taka jest dla mnie zastanawiająca. Poza tym, aby się utrzymać u władzy, niektórzy wiceprezydenci w trakcie kadencji zmieniali przynależność partyjną.

Jak się układała Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Dobrze ze wszystkimi pracującymi wówczas paniami.

Jednym z szefów Biura Rady był pan Cybulski, który bardzo szybko awansował i został szefem Regionalnej Izby Obrachunkowej. To z jego inicjatywy odbył się proces sądowy nade mną, w związku z firmą Turbo. Na sesji Rady Miejskiej poruszyłem sprawę tej firmy, nie wymieniając właścicieli z imienia i nazwiska. Firma ta była szczególnie uhonorowana. W centrum miasta otrzymała teren pod parking. Urząd Miejski zaliczył ten teren jako leżący w strefie „C", czyli o niskich opłatach za użytkowanie, a znajdował się on w strefie „A",. Przewodniczący Rady Miejskiej pan Miękisz mógł ten problem załatwić na płaszczyźnie Rady. Zostałem zaskarżony przez dwóch panów spółkowiczów o naruszenie dóbr osobistych, a pan Miękisz zwrócił się do mnie pismem, żebym się wycofał z oskarżenia. Przecież to nie ja ich skarżyłem, tylko oni mnie. W następnej kadencji, na plakacie wyborczym zmieniono mi nazwisko. Listy z kandydatami składały komitety wyborcze w ratuszu w Biurze Rady. Następnie na podstawie zgłoszeń były drukowane duże, zbiorcze ogłoszenia wyborcze, z nazwiskami kandydatów do Rady Miejskiej. Poprzez dopisanie po Wi literki „l" moje nazwisko zmieniło brzmienie. Pomimo zaskarżenia tego faktu w trybie wyborczym, sąd uznał, że to nie zmienia postaci rzeczy i że nazwisko brzmiało podobnie. Moim zdaniem to wiele zmieniało, ale wtedy rządziła Unia Demokratyczna. Sekretarz Miasta jako świadek zeznał, że jestem doskonale znany. Owszem, z twarzy − tak, ale przecież na liście było inne nazwisko, wyborcy nie wiedzieli, że to o mnie chodzi. Przy moim nazwisku nie było zdjęcia. Mogę powiedzieć, że nie był to błąd. Panie w Biurze Rady Miejskiej przez cztery lata osłuchały się z moim nazwiskiem, pisały poprawnie moje nazwisko na zawiadomieniach o posiedzeniach Rady, w sprawozdaniach z jej przebiegu. Więc nie był to przypadek ani błąd drukarza. Poszedłem do drukarni i pokazano mi zlecenie druku plakatów wyborczych i tam nazwisko moje zostało podane z błędem. Z biegiem czasu mój żal stopniał, pozostał tylko epizod. Nie mam zatem do nikogo pretensji. Niestety, o tych, którzy decydowali o pracy Biura Rady, mam mierne zdanie.

Jakie ma Pana uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Było siermiężnie. Dzisiaj są ponoć mikrofony i monitory. Wtedy to się odbywało w sposób prymitywny. Były krótkie stoły, gdzie siedziało czterech lub dwóch radnych, głosowania odbywały się urnowo (wszyscy z kartkami biegli do urny), tworzył się bałagan, chaos. Materiały dostawaliśmy oczywiście, z tym nie było tak źle. Czy były one w formie zadowalającej? Na ówczesne czasy może tak. Natomiast na sesji Rady nie było możliwe wpływanie na zmianę decyzji Zarządu. Takie jest usytuowanie Rady. U góry jest prezydent, a jemu podlega przewodniczący Rady i cała reszta. To jak może przewodniczący decydować inaczej, niż chce jego chlebodawca? To jest prosta zależność. Gdyby Rada była niezależna od prezydenta, nie umieszczona w jego schemacie organizacyjnym, to by tak nie było.

Jak Pan ocenia pracę komisji, w których Pan pracował?

Były rzeczowe. Podchodzono do przedmiotu obrad z zainteresowaniem i pewnym zaangażowaniem. Nie zawsze natomiast przynosiło to skutki takie, jak stanowiska wypracowane w komisji.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Praca klubów wpływa na radnych negatywnie dlatego, że klub stosuje dyscyplinę. W klubie nie wszyscy muszą się zgadzać z wytyczoną linią partii, jedynie słuszną. Uważam, że partie powinny wystawiać kandydatów i na tym powinna się kończyć ich rola. Radny z jakiegoś ugrupowania może realizować jakąś linię, ale nie może tego robić grono, które nigdy nie jest jednoznaczne. On się przyporządkowuje, bo akurat z tej partii czy z tego ugrupowania politycznego pochodzi, a tymczasem radny powinien być absolutnie niezależny. Mądrość Rady kształtuje się na mądrości radnych, a nie mądrości partii czy ugrupowania. Nie może być mądrości jedynie słusznego ugrupowania. W historii mamy przykłady wielu takich ugrupowań lub przywódców, którzy się na tym „przejechali". Jestem przeciwny tworzeniu takich klubów. Mogą się zbierać i tworzyć kluby, lecz nieformalnie. Nie może być czegoś takiego, że klub radnych stwierdza, bo to nie jest ciało, to nie jest człowiek. To jest sztuczny twór. Każdy powinien mieć własne zdanie i możliwość wypowiedzenia się, bo bogactwo wypowiedzi dopiero tworzy podstawy do określenia, czy jest to słuszne, czy nie. Nie ma mądrości partii. Mogą być słuszne cele. To człowiek jest istotny, to, co on ma do powiedzenia i to, jak on coś widzi. Można wypracować jakieś stanowisko. Ale wypowiadać się w imieniu klubu, to tak, jakby się ktoś wypowiadał w imieniu pustych domów.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Otóż tak, był taki moment. Świętej pamięci Wawrzyniec Kopczyński, Konserwator Miejski, który napisał pozytywną opinię o przekazaniu Wzgórza Partyzantów spółce Retropol, po dwóch latach, będąc na sesji, w kuluarach, przy paru innych kolegach, objął mnie ręką i powiedział „mieliście panowie rację". Odpowiedziałem, że szkoda, że tak późno, ale cieszę się.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Nie mam wyrobionego zdania. Dwa razy byłem na zebraniu radnych osiedlowych i doszedłem do wniosku, że one nie są sprawne. Jednocześnie uważam, że mają zbyt małe kompetencje. Rady osiedlowe zostały utworzone, ale Rada Miejska i Zarząd Miasta nie korzystają z uwag i propozycji tych ciał. Są one mało sprawne, a wynika to z tego, że nie mają większych kompetencji, zajmują się błahostkami oraz nie mają wystarczających środków finansowych. Jeżeli są środki, to są ograniczone kwotowo. Ostatnie wybory do rad osiedlowych pokazały, że brakowało kandydatów do wyboru i obsadzenia miejsc, to znaczy, że coś jest na rzeczy.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Było różnie. Media sprzyjały jednej formacji politycznej, a dyskredytowały każdą inną. Często było tak, że nie mogliśmy sprostować złego zapisu, złego przekazu, który poszedł do prasy z innych nieprzychylnych nam źródeł. To bardzo nas krzywdziło. Prasa stwarzała idealistyczny obraz nowego samorządu. To, co robił nie podlegało krytyce, było ideałem. Natomiast każdy, kto odważył się skrytykować tę władzę był traktowany jako intruz czy oszołom. Dzisiaj nie jest lepiej. Jako przykład mogę podać, że Miasto wtedy stosowało różnego rodzaju ulgi wobec dzierżawców lokali. Między innymi, wydano uchwałę mówiącą, że jeżeli sklep będzie prowadził sprzedaż prasy bieżącej, codziennej i będzie miał wydłużone godziny pracy, to może ubiegać się o ulgę 30% w czynszu. Były sklepy, które ustawiały parę gazet na kontuarze dając dowód, że je sprzedają, korzystając z ulgi, a te gazety za 3 zł szły do kubła. Ta uchwała była błędna, niedopracowana, sprzyjała korupcji. Wreszcie, w którymś momencie wycofano się z tego, co nie znaczy, że użytkownicy lokali nie korzystali dalej z wcześniejszych przywilejów. Była też kwestia VAT-u, którego Miasto nie pobierało. A miało go pobierać i przekazywać do Urzędu Skarbowego. Toteż czynsze były niższe o 22%. Przez lata był prowadzony proces, czy św. pamięci pani Gemza i pan Bogdan Zdrojewski postępowali słusznie nie naliczając VAT-u. Wystąpiłem z pismem do ówczesnego Ministra Finansów z zapytaniem, czy to jest prawidłowość i otrzymałem odpowiedź, że nie, że Miasto powinno pobierać VAT i odprowadzać do Urzędu Skarbowego, w żadnym wypadku nie może go wykorzystywać do swoich celów. Sprawa toczyła się przez długie lata i wreszcie uznano, że Miasto miało rację. Tak uznano po latach, ale trzeba było oceniać sytuację w tamtym okresie, a nie po wielu latach, kiedy prawo dotyczące VAT-u uległo zmianie. Krytykowaliśmy sprawy dysponowania lokalami. W którymś momencie, już po naszej kadencji, pan W. Frasyniuk powiedział, że w Mieście jest korupcja. Nie wiem, co miał na myśli, ale podejrzewam, że chodziło właśnie o sprawę rozdzielania lokali użytkowych. Któregoś razu, gdy organizowaliśmy z panią Ewą Sudnik, Krzysztofem Tenerowiczem, Antonim Lenkiewiczem spotkanie z mieszkańcami, napisałem na plakacie, „czy korupcja, łapownictwo i kumoterstwo to relikty przeszłości?" Dzisiaj mógłbym powiedzieć, że nie należały do reliktów przeszłości. To było i jest aktualne.





Marek WINKOWSKI

Radny I kadencji.
Od 2004 r. wiceprezes Zarządu Wrocławskiego Parku Technologicznego S. A., dyrektor ds. inwestycji.
Absolwent Politechniki Wrocławskiej i Politechniki Gdańskiej, magister inżynier budownictwa lądowego.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

To pytanie jest dość trudne. Pamiętajmy o tym, że przed 1990 r., kiedy były wybory do Rady Miejskiej, w Polsce nie było ustroju demokratycznego, czyli od momentu mojego urodzenia, do momentu, kiedy zostałem radnym, jak więc można było być przygotowanym? Uważam jednak, że z trzech powodów trochę byłem przygotowany: po pierwsze, przed samymi wyborami mieliśmy szkolenia, gdzie ludzie, którzy mieli jakieś pojęcie na temat funkcjonowania samorządu na świecie uczyli nas tego, nawet, w pewnym sensie jako kandydaci, zdawaliśmy z tego egzaminy. Wtedy było jeszcze tak, że należało coś wiedzieć na temat miasta i funkcjonowania Rady, żeby można było zostać kandydatem. Te szkolenia stanowiły bezpośrednie źródło wiedzy na ten temat. Poza tym miałem, można powiedzieć, genetyczne uwarunkowania. Mój dziadek cały okres międzywojenny był radnym, w związku z tym w domu była tradycja funkcjonowania w demokratycznym samorządzie. Ojciec mój w sierpniu 1945 r. przyjechał do Wrocławia. Współtworzył to miasto w nowej, polskiej rzeczywistości, więc pewne emocje z tym związane zostały na mnie również przelane. Trudno tak naprawdę powiedzieć, że wszyscy jako radni byliśmy przygotowani do tej funkcji. Już będąc radnym, miałem możliwość skorzystania ze szkolenia w Stanach Zjednoczonych, w naszym mieście siostrzanym Charlotte, gdzie na trzytygodniowych warsztatach poznawaliśmy techniki zarządzania Miastem w warunkach już rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego. Bardzo dużo te warsztaty dały. Pozwoliły na korzystanie z doświadczeń innych i przenoszenie ich, w miarę możliwości, na nasz grunt.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

W pewnym sensie tak. Zwróciłbym tu uwagę na takie dwa momenty. Jeden, to moja pierwsza praca, polegająca na tym, że brałem udział w budowie Zakładu Produkcji Wody dla Wrocławia. To pozwoliło na zapoznanie się ze strukturą miasta. Jak wiadomo, sieć wodociągowa, uzdatnianie i dystrybucja wody, są to istotne techniczne warunki funkcjonowania miasta. Można więc powiedzieć, że tę techniczną wiedzę o mieście miałem większą niż przeciętny mieszkaniec. Drugi element dotyczy mojej wczesnej młodości, gdy startowałem w konkursie na temat zabytków Wrocławia. Zająłem jakieś wysoko notowane miejsce i to był ten moment, kiedy powstał też silny związek emocjonalny z miastem i jego historią.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Najbardziej angażowała mnie praca związana z planowaniem przestrzennym miasta. Z jednej strony, wiązało się to trochę z moimi doświadczeniami zawodowymi, ponieważ brałem udział w planowaniu inwestycji, o czym już mówiłem. Czułem zawodowo te problemy, które uważałem, i do dzisiaj uważam, za najważniejszy aspekt pracy samorządu lokalnego. Mogą być źródłem dużej satysfakcji. Dodajmy do tego jeszcze fakt, że był to moment przemian ustrojowych, gdzie kompletnie zmieniała się funkcja planowania. Zastaliśmy plan miasta Wrocławia z roku 1988, na którym figurowały takie zapisy, co dziś się może wydawać niewiarygodne, jak np. „teren przeznaczony dla rozwoju przedsiębiorstwa Pafawag", „teren przeznaczony dla rozwoju spółdzielni produkcyjnej" takiej czy innej, itp. Tak naprawdę w poprzednim systemie plan zagospodarowania był nie tylko dokumentem urbanistycznym, ale również narzędziem rozdysponowania terenów. Zmiana tej sytuacji była związana z olbrzymimi napięciami. Stare nie chciało łatwo odejść.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Trudno mówić o indywidualnym sukcesie. Za największy sukces Rady, w której pracowałem, uważam udaną przemianę wrocławskiego Rynku. Zarówno pod względem jego funkcji i rangi w miejskiej przestrzeni, jak i waloryzacji technicznej. Zaproponowane przemiany, szczególnie te o charakterze gospodarczym, natrafiły na opór. Protestowały środowiska związane z pracownikami handlu, spora grupa radnych opowiadała się przeciwko zmianom, były silne naciski, aby zachować *status quo*. Pamiętam, jak jedna z radnych mówiła: „Po co kolejny sklep zamieniamy na restaurację, skoro już w Rynku mamy trzy restauracje". Ja byłem po tej stronie, która się opowiedziała za przekształceniami. Zarówno pod względem modelu gospodarczego, jak i rozwiązań technicznych. Pamiętam moment, kiedy podczas spotkania z prezydentem Zdrojewskim zapadła decyzja, że już zakupione latarnie nie będą

montowane w Rynku, bo podejmujemy decyzję o kapitalnym remoncie. To był rok, chyba 1993. Wtedy padły głosy, że w tej kadencji z braku pieniędzy nie osiągniemy oczekiwanego, docenionego przez wyborców efektu. Zapadła decyzja, poczekamy, uzbieramy środki, zrobimy porządny remont Rynku − od głębokiej kanalizacji po szczyty elewacji. To się udało, to zostało zrealizowane. Ta decyzja była bardzo trudna, wystarczyło może pół głosu, żeby projekt został odrzucony. Komunistyczne, stare latarnie szpeciły Rynek, a nowe, już zakupione, leżały w magazynie. W zasadzie można było tylko upiększyć ten Rynek i mówić, że coś ładnego zrobiliśmy. Natomiast podjęto bardzo trudną decyzję, bardzo mądrą decyzję, która w zasadzie kompletnie zmieniła ten obszar miasta. Była jeszcze jedna decyzja, i też mam tę satysfakcję, że opowiedziałem się po dobrej stronie. Pojawił się spór, czy na ówczesnym etapie rozwoju miasta koncentrować wydatki w centrum licząc na to, że będzie ono pozytywnie promieniować na całe miasto, czy środki na inwestycje rozpraszać „sprawiedliwie" po wszystkich osiedlach. Odpowiedź, gdzie leży racja, nie była oczywista (do dzisiaj budzi ten problem dyskusje). Uważam, że przyjęta wówczas decyzja o koncentracji środków na tyle zmieniła wizerunek Wrocławia, że istotnie wzrosła ranga miasta na mapie gospodarczej. Miało to wpływ na inwestycje, więcej pieniędzy zaczęło przepływać przez miasto, więcej ludzi znalazło zatrudnienie.

Te decyzje były trudne, do dzisiaj mam satysfakcję, że opowiedziałem się za dobrymi rozwiązaniami.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Największym niepowodzeniem Rady jest to, że zabrakło chyba pewnej perspektywy, sobie też mogę przypisać za małe zaangażowanie, żeby realizować program długofalowego budowania potencjału gospodarczego zdolnego do realizacji inwestycji miejskiej we Wrocławiu. Tego typu inwestycje wymagają nakładów na sprzęt, który może się zamortyzować w procesie wieloletniej realizacji. Tu za bardzo przeważył liberalizm. Jednorazowe rozstrzygnięcia przetargowe spowodowały, że żadna z firm wrocławskich, może nie żadna, bo niektóre to robiły z dużym ryzykiem, z jakimś poczuciem bezpieczeństwa nie mogła długofalowo inwestować w proces rozwoju technologicznego na bazie zamówień miejskich. W tych dyskusjach opowiedziałem się po nie najlepszej stronie. W tym przypadku zabrakło wyobraźni, uważam to za błąd Rady, który i mnie obciąża.

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Muszę powiedzieć, że w zasadzie od początku powstania Rady był strukturalny konflikt pomiędzy samorządem lokalnym a władzą państwową reprezentowaną przez wojewodę. Rada była czymś bardzo nowym. Początkowo obdarzona była małymi kompetencjami, bardziej przypisanymi do stowarzyszenia mieszkańców niż władzy lokalnej. Taki też był pomysł na Radę Miejską czy na rady gminne przy Okrągłym Stole. W ogóle rady gminne były krojone raczej na rozmiar małych gmin, a nie dużych miast. W związku z tym, strukturalnie administracja państwowa czuła, że powinna mieć przewagę. Potencjał Rady Miejskiej Wrocławia i samorządu wrocławskiego był jednak zdecydowanie większy niż pozostałych gmin i to wyzwalało, nazwałbym, strukturalny konflikt, który z różnymi skutkami dość długo wygasał.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Muszę przyznać, że tu widzę pewien problem. W zasadzie kontakty z wyborcami w większości przypadków sprowadzały się do prób interwencji w sprawach indywidualnych. Rzadko kiedy pojawiały się problemy bardziej ogólne. Nie przypominam sobie kontaktu z wyborcami, przesadziłem, były, ale to były sporadyczne kontakty poruszające problemy ogólnomiejskie, głównie problemy komunikacji, czasami sprawy osiedli. Duża część planowanych inwestycji wyzwalała mniej lub bardziej zorganizowane protesty. Czasami, ale rzadko, podnoszone argumenty skłaniały do rewizji podjętych decyzji.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Uważam, że dobrze się układały z punktu widzenia Rady. W I kadencji Rady Miejskiej odległość pomiędzy prezydentem, członkiem Zarządu Miasta a radnym była stosunkowo niewielka, bo Zarząd mógł być wybierany tylko przez radnych i w zasadzie na każdej sesji Rady Miejskiej mogły paść propozycje zmian personalnych. W związku z tym, pozycja władzy wykonawczej w samorządzie ustawowo nie była zbyt mocna. Faktycznie we Wrocławiu była znacznie mocniejsza, ale nie ustawowo. Między innymi, pewnie dlatego radni mieli prosty dostęp do władzy wykonawczej, do członków Zarządu i to nie tylko w sensie spotkania się, ale również w merytorycznej dyskusji i omawiania problemów. Istotne jest też to, że nie było znaczących podziałów politycznych w Radzie i w zasadzie spory dotykały na ogół meritum, a nie pewnych zobowiązań wynikających z pozamerytorycznych (np. partyjnych) rozstrzygnięć.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bez zastrzeżeń. Bardzo dobrze i miło obsługiwało nas Biuro Rady Miejskiej. Nawet powiedziałbym, że odbieraliśmy to z pewnym miłym zaskoczeniem, biorąc pod uwagę doświadczenia z minionego okresu, kiedy zawsze odbierało się urzędy jako ludzi, nazwijmy to, asertywnych. Dzisiaj miła obsługa w Urzędzie to już standard.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Zaczynaliśmy od dość siermiężnych warunków. Na Nowym Targu, sala bodajże 215, jak pamiętam, nie dawała komfortu pracy. Nie widzieliśmy się nawzajem, a na dodatek była tam zła akustyka. Nie było to zbyt wygodne.

Natomiast dzisiaj, to jest komfort siedzieć w sali obrad Rady Miejskiej. Jest się po prostu, jak w dobrym parlamencie. Zresztą nasza sala wygląda lepiej niż nasz Sejm. W tej chwili jest dość duży komfort pracy. My pracowaliśmy jeszcze bez Internetu, bez maili, w związku z tym papierowy obieg dokumentów pochłaniał dużo czasu i papieru. Było ich naprawdę dużo, w związku z tym pisane były małym drukiem. Tego problemu już dzisiaj nie ma. To się zmieniło zdecydowanie na korzyść.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Już wspominałem o Komisji Planowania Przestrzennego. Była to komisja, która w największym stopniu mnie pochłaniała. Pracowałem też w Komisji Inwentaryzacyjnej. Praca w tej komisji miała polegać na tym, że samorząd przejmie majątek od organizacji, wtedy jeszcze państwowych, który mu na mocy ustawy przypada. Ustawodawca dał nam trzy miesiące na to rozwiązanie. To dokładnie pokazuje, że ustawa o samorządzie była skrojona na gminy o wielkości kilku tysięcy mieszkańców, a nie na metropolię mającą ponad pół miliona mieszkańców i osiemdziesiąt tysięcy nieruchomości. W związku z tym, oczywiście, ta komisja miała, powiedziałbym, dziwny charakter. Było wiadomo, że wykonanie tej pracy i to pracy dość specjalistycznej nie jest możliwe w przewidzianym okresie. Te okresy przez ustawodawcę były oczywiście przedłużane. To tworzyło duży dyskomfort pracy. Specyficzne było to, że w dużej mierze wykonywali ją specjaliści, profesjonaliści. Naszą rolą było jedynie zajmowanie stanowiska w sytuacjach konfliktowych, które i tak w ostateczności były rozstrzygane przez Komisję Uwłaszczeniową na szczeblu centralnym. Z racji dużych i poważnych mankamentów rozwiązań ustawowych, praca ta nie dawała mi satysfakcji. Kolejna komisja, to Komisja Infrastruktury i Gospodarki Komunalnej. W tej komisji czułem się dość dobrze, bo, jak wspomniałem, już wcześniej poznałem infrastrukturę miejską, więc w miarę swobodnie w tej problematyce się poruszałem. Komisja była kierowana przez całkowicie oddaną tej aktywności panią radną Elżbietę Góralczyk, więc było tam mniej pola do popisu.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

W czasie, kiedy byłem radnym nie było klubów lub prawie nie było klubów, bo jeden zaczął się rodzić w I kadencji, lecz nie miał on wielkiego wpływu na pracę Rady. Tworzył pewien klimat często niepotrzebnego napięcia. Uważam, że pojawienie się klubów opartych na partiach politycznych w Radzie Miejskiej jest olbrzymią szkodą. Nawet trudno powiedzieć, dlaczego tak się stało. Wystarczy być na sesji Rady Miejskiej. Tam się nie toczą merytoryczne spory. U nas się toczyły. W I kadencji sesje trwały czasami dwa dni, ale to było rozstrzyganie realnych sporów i przekonywanie oponentów do forsowanych rozwiązań. Różnice zdań wynikały z odmiennych poglądów, związanych z przyjmowanymi rozwiązaniami, a nie politycznych rozgrywek pomiędzy klubami czy partiami. Fakt funkcjonowania klubów na poziomie samorządu uważam za dużą szkodę, jaką się samorządowi wyrządziło, bo nastąpiło niepotrzebne upartyjnienie tej sfery działalności publicznej. W I kadencji w Radzie Miejskiej żadne partie nie funkcjonowały. Oczywiście byli radni, którzy należeli do partii, ale tego się nie czuło. Wyniki głosowań nie były znane przed podliczeniem głosów. Na ogół „racja" miała większość. Wydaje mi się, że my trochę różniliśmy się od innych miast. Dość długo ta bezpartyjność się u nas utrzymywała i ten pozytywny rozwój naszego miasta też z tego wynikał.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Już o tym mówiłem w telewizji i w prasie. Bardzo mocno utkwiło mi w pamięci zdarzenie, jak radny Przystawa, człowiek o niezwykłej zdolności wypowiedzi porywającej słuchaczy, był ogromnym przeciwnikiem decyzji o tworzeniu międzynarodowego portu lotniczego we Wrocławiu. Ta decyzja dość szybko się zaczęła rodzić w naszej Radzie. Pamiętam, jak na jedno z posiedzeń sesji Rady przyniósł wyciętą rurę wodociągową, całą zardzewiałą w środku, zarośniętą kamieniami i powiedział: „Panie prezydencie, pan tu chce lotnisko międzynarodowe robić, jak my mamy tak zarośnięte rury w mieście. Niech się pan najpierw zajmie tymi rurami, a nie budową portu".

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedlowych nie działałem. Od razu zacząłem działać w Radzie Miejskiej. Rad osiedlowych jeszcze nie było, więc nie było również tej naturalnej ścieżki od rad osiedlowych do Rady Miejskiej. Rady osiedlowe nie mają zbyt dużych kompetencji, jeżeli natomiast mają dobrych ludzi, to potrafią zdziałać bardzo dużo – w znacznej mierze, dzięki autorytetowi, jaki ich członkowie potrafią wzbudzić u władz miasta. Dla aktywnych ludzi jest to szansa wykazania, jak zajmują się sprawami swojego otoczenia. Występuje także brak pewnych kompetencji. Jednak, jak weźmie się pod uwagę, że w wyborach do bardzo wielu rad osiedlowych uczestniczy znikomy procent mieszkańców, to przyznanie znacznych uprawnień byłoby też wątpliwe.

Obecna sytuacja wydaje mi się właściwa. Przypomina rozwiązania amerykańskie. Tam mieszkańcy mogą zorganizować sobie władze, ale nie muszą tego robić, bo Country (tamtejszy powiat) zaspokajają wszystkie podstawowe potrzeby, wynikające z możliwości czy potrzeb funkcjonowania ośrodka miejskiego. Podobnie jest w radach osiedla. Jeżeli nie ma dużego zainteresowania i nie ma istotnych problemów, które skupiają ludzi, żeby działać w tej radzie osiedla, mogą one funkcjonować bardzo biernie. Muszą istnieć, bo mają pewne (niewielkie) obowiązki. Natomiast, jeśli są istotne problemy, są dobrzy działacze w tych radach czy zarządzie, to wtedy te rady są

widoczne, a ludzie są aktywni i skuteczni. Zresztą dużo z nich przechodzi później do Rady Miejskiej i w tym zjawisku upatrywałbym ważną rolę rad osiedlowych.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

To już jest fragment większego problemu mediów, bo media, niestety, żyją sensacją. Praca samorządu, to nie jest zbiór sensacji, tylko wybór mozolnych działań, które są widoczne po kilku latach. Mało jest działań, których efekty widać już w danym roku czy nawet w danym miesiącu. To mało interesuje media, więc wolą sytuacje instrumentalne, przyczynkowe, ale atrakcyjne, dające się sfotografować. Szkoda, bo jak się mają ludzie komunikować, jeżeli nie za pomocą mediów? Wobec tego, jak budować tę wspólnotę, jeśli opieramy się wyłącznie na sensacji, na efekcie wizualnym, na emocjach? To jest trudne. Wydaje mi się, że to nie jest problem samorządu i mediów lokalnych, to jest generalny problem roli mediów w kształtowaniu relacji społecznych i postaw obywatelskich.

◇◇◇

wrocławskie także jest wizytówką naszego miasta. Dla biznesu jest to okno na świat. Mieszkam na Wojszycach. Jest to na trasie podchodzenia samolotów do lądowania na lotnisku. Widzę, ile i jakie duże samoloty przylatują do Wrocławia. Tych pasażerów jest coraz więcej.

Mieliśmy nosa i dobrze wybraliśmy prezydenta. Jestem pełen uznania dla pana prezydenta Bogdana Zdrojewskiego. Mądrze kierował Urzędem Miejskim. Dzisiaj są widoczne efekty tej działalności. Wrocław jest coraz ładniejszy. Radni z następnych kadencji też się do tego przyczynili, ale my zaczęliśmy działać we Wrocławiu właśnie w ten sposób. Daliśmy początek, wytyczyliśmy kierunek przemianom.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I i II kadencji Rady?

Przejęcie majątku, który był własnością Skarbu Państwa. Przed 1990 r. wszystkim sterował Komitet Wojewódzki PZPR. We Wrocławiu nie było nawet komitetu miejskiego. Były dzielnicowe i wojewódzki. Przejęliśmy sporo majątku na własność. To przygotowywała Komisja Inwentaryzacyjna pod kierunkiem Leonarda Smołki. Bardzo ważne było uregulowanie spraw własnościowych. Ważne było otwarcie w Rynku i w okolicy wielu lokali. Turyści mają się gdzie zatrzymać, wydać pieniądze i podziwiać Wrocław. Wystarczy popatrzeć, w dzisiejszej gazecie, cztery czy pięć zagranicznych firm szuka 2000 pracowników, których chcą zatrudnić we Wrocławiu. No bo jeżeli miasto jest ładne, a gospodarz z prawdziwego zdarzenia, to jest to atrakcyjne, przyciąga inwestycje.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Przykro mi, ale ja nie widzę niepowodzeń w tych pierwszych dwóch kadencjach. Myśmy szli jak burza do przodu. Wszystko było załatwiane tak, jak trzeba. Nie było żadnych afer ani gospodarczych, ani jakichś innych, np. obyczajowych. Zawsze można powiedzieć, że zrobiliście tyle, a można było zrobić więcej. Tylko niech ten ktoś spróbuje pokazać, jak to się robi. Spotykam się z pytaniem: czemu nie zrobiliście obwodnicy? Projekt obwodnicy śródmiejskiej występował już w pierwszej kadencji. Koło Glinianek na Pilczycach mieszkało dwóch panów profesorów, którzy wszystko robili, żeby tamtędy droga nie poszła. Pisali pisma do wszystkich władz. Pisma przychodziły do nas i bez przerwy była szamotanina i nie można było rozpocząć budowy. Podobny przykład dotyczy protestów mieszkańców Biskupina i Sępolna. Na którejś Sesji Rady Miejskiej proponowałem, żeby zamknąć most Zwierzyniecki, niech mieszkańcy Wielkiej Wyspy jeżdżą okrężną drogą, może wtedy zrozumieją potrzebę obwodnicy. Przecież już w planach niemieckich było przewidziane, że za zajezdnią tramwajową na Biskupinie ma być poprowadzona obwodnica. Inna sprawa. We Wrocławiu popełniono kardynalny błąd. Wytykałem to wszystkim swoim kolegom architektom i urbanistom. Wrocław był rozbity. Można było zrobić plan zagospodarowania terenu, ustalić arterie komunikacyjne i nie budować, bo wtedy nie było pieniędzy, ale przewidzieć, że jak będą pieniądze, to będzie można realizować etap po etapie. Nic w tym kierunku nie zrobiono. To przed 1990 rokiem. Nie zrobiono tego. Potem zaczęto budować i skutki są wiadome.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Komisja Inicjatyw Gospodarczych składała się nie tylko z samych radnych. Byli w niej przedstawiciele rzemiosła wrocławskiego. Byli także przedstawiciele innych środowisk, stowarzyszeń. Przedstawiali swoje problemy. Nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, ale dochodziliśmy do porozumienia, że to trzeba zrobić tak albo inaczej. Nasze wnioski szły na sesję i Rada Miejska podejmowała decyzję. Przeważnie nie wnoszono sprzeciwu do naszych wniosków. Oni wnosili ze swego środowiska jakieś nowe punkty widzenia, czasami się z nimi nie zgadzaliśmy, ale to dawało pole do dyskusji. Przykładowo: w I kadencji pięciu radnych było przedstawicielami wrocławskiego rzemiosła. Ja też. Reprezentowaliśmy to środowisko w Radzie Miejskiej. Staraliśmy się naświetlać nasze problemy. Udało się wtedy załatwić, że wielu rzemieślników mogło nabyć swoje lokale celem dalszej rozbudowy i prowadzenia. Mogli je nabyć na własność lub dłuższą dzierżawę. Na obrady często byli zapraszani przedstawiciele czy to rzemiosła, czy innych dziedzin życia. Przychodzili na komisję i naświetlali nam pewne sprawy.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Spotykałem się z ludźmi, np. w komitetach osiedlowych. Początkowo było ciężko, bo te komitety były opanowane przez ludzi lewicy przyzwyczajonych do tamtego sposobu myślenia. Z czasem zostało to wyprostowane. Z naszej inicjatywy zlikwidowano rady dzielnicowe.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nie było żadnych zgrzytów. Pracowało się dobrze, nie było żadnych nieporozumień. O wszystkim decydowała Rada, a Zarząd realizował. Prezydent był na wszystkich posiedzeniach, też był radnym. Wiedział, jaki kierunek należy przyjąć i to realizował. Od 20 lat Wrocławiem rządzą ludzie spoza dawnego klucza partyjnego.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bardzo dobrze. Nie byłem biernym, lecz czynnym radnym, a nic mi nie wiadomo, żeby coś nie było w porządku. Naturalnie komfort pracy poprawił się istotnie po przeniesieniu się do Sukiennic, acz posiedzenia Komisji Inicjatyw Gospodarczych odbywały się na Zapolskiej. Czasami w prasie jakiś dziennikarz napisał to czy owo, ale nie zawsze to się potwierdzało. Czasami interweniowałem jako radny. Przychodził do mnie mieszkaniec Wrocła-

wia i mówił, że dzieją się jakieś nieprawidłowości. No to ja szedłem bezpośrednio do dyrektora danego wydziału i próbowałem tę sprawę załatwić.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby radnych zaczęły się wyłaniać później. Radni związani z PC uważali, że powinni się zrzeszyć. My stanowiliśmy większość. Czasami mieliśmy z nimi kłopoty, bo głosowali przeciw, a czasami w koalicji z jednym radnym kojarzonym z lewicą.

Wolałbym, żeby tych klubów nie było, żeby radni stanowili jedność, ale to jest niemożliwe. W I i II kadencji w Radzie Miejskiej praktycznie nie było przedstawicieli PSL-u. W II weszło parę osób z lewicy, ale tak naprawdę nie miał kto nam przeszkadzać w pracy. Czasami sesje się przedłużały ze względu na przewlekłe, często jałowe dyskusje.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Jestem katolikiem. Dla mnie największym wydarzeniem było spotkanie radnych Wrocławia w 1997 r. z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w ratuszu. Do dzisiaj na ścianie w moim domu wiszą zdjęcia z tego spotkania. Czekaliśmy na Ojca Świętego w Sali Rycerskiej. Prezydent Zdrojewski przedstawił Ojcu Świętemu nas jako radnych, np. inżynier Ryszard Wojtkiewicz radny miasta Wrocławia z ugrupowania prawicowego. Przywitałem się z Ojcem Świętym, dostałem od niego różaniec, który mam do dzisiaj. Fotoreporter, który towarzyszył papieżowi zrobił sporo zdjęć, które później dostałem. Drugie spotkanie było przy hotelu „Wrocław". Tam była msza święta.

Brałem udział w sesji tuż przed powodzią. Podjęliśmy uchwałę, żeby uratować Wrocław, że należy wysadzić wały przeciwpowodziowe, żeby puścić wodę starym korytem Widawy. Dlaczego tego nie zrobiono, nie wiem. Na wysokości Siechnicy woda sama przerwała wały i Wrocław został zalany. Swoim samochodem „Lublinkiem" woziłem worki z piaskiem, pomagałem ludziom jak mogłem. Wielu radnych wtedy się zaangażowało, na czele z prezydentem Zdrojewskim. Ludzie pomagali sobie nawzajem.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem zwolennikiem tego, żeby nie rozdrabniać rad osiedlowych. Niektóre rady się sprawdzały, niektóre nie zdały egzaminu, ale to wszystko zależy od tego, kto wchodził w ich skład.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Telewizja była na wszystkich sesjach Rady. Relacje pokazywano w TeDe czy w telewizji wrocławskiej. W prasie nie zawsze były pochlebne opinie o nas, jak mówiłem np. o Rynku, o lotnisku wrocławskim, że wychodzimy za daleko, że to nie ta pora, że są inne potrzeby. Ale większych zgrzytów nie było między prasą a Radą Miejską.

◇◇◇

Czerwony, do „Solidarności", z intencją załatwienia swoich spraw i podzielenia się swoimi problemami. Od przeciekającej rynny, braku mieszkania, opieki socjalnej czy niewyremontowanej ulicy. Były sprawy, w których Związek nie mógł nic zrobić, ale były też sprawy, w których mógł interweniować. W okresie Okrągłego Stołu i po nim, „władza" starała się być „dobra" i „czuła" na problemy ludzi, i niektóre sprawy można było załatwić dla mieszkańców Wrocławia.

Jakimi sprawami związanymi z życiem komunalnym Pan się zajmował?

W okresie mojej pierwszej kadencji byłem pracownikiem Dolnośląskiej Izby Gospodarczej, czyli pracowałem w samorządzie gospodarczym. Zdecydowałem się wówczas reprezentować, oprócz swoich wyborców, także środowisko gospodarcze, biznesowe. Będąc przewodniczącym Komisji Inicjatyw Gospodarczych Rady Miejskiej zajmowałem się wspieraniem grup gospodarczych, kupieckich, wrocławskich przedsiębiorców. A z racji swojej aktywności sportowej brałem również udział w pracach Komisji Sportu, byłem jej wiceprzewodniczącym. Przez wszystkie swoje lata w Radzie Miejskiej pracowałem w tych dwóch komisjach. To nie znaczy, że nie zajmowałem się innymi sprawami.

Środowiska kupieckie, biznesowe borykały się z wieloma problemami w Mieście, a transformacji ustrojowej i gospodarczej towarzyszyło wiele nieporozumień na linii Zarząd Miasta – przedsiębiorca. Środowiska gospodarcze bardzo mocno naciskały na radnych, żeby zmieniać lokalne prawo, żeby sprzyjać swobodzie gospodarczej. Pierwsze lata zmian ustrojowych spowodowały, że można było wszędzie sprzedawać, handlować. Na wolnym skrawku chodnika rozstawiano stoliki i handlowano wszystkim. Od pieczywa i mięsa do skarpet i proszków do prania. Zadaniem Rady Miejskiej i Zarządu Miasta było ten handel ucywilizować, usystematyzować. Miasto zaczęło wyznaczać miejsca na targowiska. A to, oczywiście, kupcom się nie podobało. Mam swoją małą cegiełkę w rozwiązaniu kilku istotnych problemów na linii „Miasto – handlowcy." Na przykład:

- „Goliat", na pl. Grunwaldzkim − namiot cyrkowy, w którym prowadzone było „na dziko" targowisko. Wynegocjowano porozumienie, kupcy dostali od Miasta teren, na którym wybudowali (z własnych środków) halę targową „Arena", która do dzisiaj funkcjonuje.
- Handlowcy z terenu „Na Ostatnim Groszu" (za halą „Astra") − rozwiązanie bardzo podobne jak z „Goliatem". Po długo trwającej inwestycji, powstała hala „Tęcza".
- Przeniesiono handel z pl. Wolności na ul. Zielińskiego.

Wydaje mi się, że pracowałem z niezłym skutkiem.

Co uważa Pan za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces swoich kadencji Rady?

Spośród spraw gospodarczych za sukces radnych i Rady Miejskiej uznaję wsparcie inicjatywy powołania Wrocławskiego Parku Technologicznego. Obecnie jest to już spółka akcyjna, w której Gmina Wrocław ma ponad 90% akcji. Stworzono warunki (w jednym miejscu) do prowadzenia działalności firmom o najwyższych technologiach.

Za sukces uważam także przyśpieszenie prac nad uchwałami w sprawie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, które są nieodzowną podstawą o uporządkowanego rozwoju miasta. Z inicjatywy Komisji Sportu uwzględniono w tych planach 30 % terenu na miejsca zielone, na parki, na place zabaw, na boiska, na rekreację.

Do sukcesu można zaliczyć wypracowanie procedury wynagradzania wybitnych sportowców wrocławskich i ich trenerów. W budżecie gminy jest tzw. fundusz stypendialny, z którego wypłacane są dla nich nagrody.

Kolejna rzecz, to program „trenera osiedlowego" (inicjatywa Komisji Sportu), projekt realizowany jest od kilku lat ze środków gminnych przez Szkolny Związek Sportowy. Trenerami osiedlowymi są najczęściej studenci AWF-u, którzy na wrocławskich osiedlach prowadzą popołudniami z młodzieżą zajęcia sportowe.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Oczywiście problemy związane z infrastrukturą i z komunikacją. Wrocław jest położony na terenie, przez który przepływa pięć rzek. Planując jakąkolwiek nową inwestycję drogową czy komunikacyjną od razu narzuca się potrzeba planowania budowy nowych kładek, mostów. Bardzo mocno wspieraliśmy projekt budowy mostu Wschodniego, na Biskupin. Jednakże liczne i głośne protesty mieszkańców Wielkiej Wyspy, którzy byli przeciwni tej budowie − czyli demokracja lokalna wzięła górę − sprawiły, że do dzisiaj nie został rozwiązany problem komunikacyjny wschodniej części Wrocławia. Powstał most Milenijny, który obecnie jest mi bardzo bliski, bo mieszkam koło niego, ale w chwilach dyskusji nad nim wcale nie byłem jego zwolennikiem, gdyż uważałem (w tamtym okresie), że będzie to most „do nikąd".

Jak Pan ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Jako przewodniczący Komisji Inicjatyw Gospodarczych uczestniczyłem w spotkaniach ze środowiskiem biznesowym, kupieckim, z przedstawicielami różnych stowarzyszeń gospodarczych, handlowych, łącznie z taksówkarzami, bo to również działalność gospodarcza. Jako członek Komisji Sportu miałem także możliwość spotykania się z przedstawicielami środowisk sportowych, z przedstawicielami klubów sportowych. Kontakty takie dawały przede wszystkim możliwość wymiany informacji. Zauważyłem, że strona reprezentująca czy to przedsiębiorców, czy to sportowców zawsze stała na stanowisku roszczeniowym wobec Miasta. Miasto powinno „im" dać. Trzeba było

długo przekonywać i tłumaczyć, dlaczego Miasto nie może „im" dać, bo po prostu przepisy na to nie pozwalają. Ustawa o finansach publicznych nakazuje organizowanie przetargów i tylko w takiej formie istnieje możliwość zbycia czy to terenu, czy lokalu, czy budynku. Pamiętam jak tłumaczyliśmy: możecie stać się właścicielami lub dzierżawcami, ale musicie stanąć do przetargu. Miasto jest instytucją, która musi przede wszystkim zadbać o środki na swoje cele ustawowe: drogi, szkolnictwo, opiekę socjalną, kulturę, infrastrukturę miejską.

Członkowie komisji pracowali również na posiedzeniach wyjazdowych. Dość często odbywały się one w klubach sportowych, federacjach, stowarzyszeniach kupieckich czy w innych instytucjach pozarządowych. Głównym celem tych wyjazdowych komisji było poznawanie problemów danych grup społecznych i wymiana informacji, doświadczeń.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność?

Muszę przyznać, że aktywność wyborców w stosunku do radnego była i jest mizerna. Tak naprawdę wyborca po wrzuceniu kartki do urny zapomina, na kogo głosował. Uważam, że wyborca jest mało zainteresowany, czym się zajmuje się radny, a także, czym się zajmuje cała Rada Miejska. Podczas mojej pierwszej kadencji, czyli w latach 1994-1998, dużo aktywniej pracowałem w terenie. Rady osiedlowe zapraszały mnie na spotkania, a wyborcy przychodzili na te spotkania. Często rada osiedla zgłaszała radnemu swoje problemy, wskazywała tematy, którymi radny powinien się zająć. W III i IV kadencji już czegoś takiego nie zauważyłem. A taka sytuacja usypia radnego. Kiedy radny czuje naciski, napór ze strony wyborcy, to wymusza na nim działanie, aktywizuje do pracy.

Zauważyłem również, że każda kolejna kadencja, w której uczestniczyłem, stawała się coraz bardziej polityczna. Rada Miejska w okresie 2002-2006 upolitycznia się bardzo. Partie chcą mieć coraz większy wpływ na to, co się dzieje w samorządzie. Myślę, że to także miało przełożenie na wyborców. Radny odbierany jest już jako polityk, a nie jako przedstawiciel i reprezentant samorządności lokalnej, osiedlowej. Jestem zwolennikiem okręgów jednomandatowych. Wówczas zdecydowanie mniej będzie polityki. Uważam, że partie polityczne przeszkadzają w działalności samorządu. W Radzie Miejskiej powinni zasiadać przedstawiciele społeczności lokalnych, którzy koncentrować się będą głównie i szczególnie na problemach miasta, osiedla, a nie na realizacji programów partii politycznych.

Jak się układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Zdecydowanie lepiej układały się relacje, gdy prezydent miasta i członkowie Zarządu wybierani byli przez radnych. Czuło się, że władza wykonawcza jest w jakiś sposób uzależniona od Rady Miejskiej i współpraca ta była korzystniejsza. Nie chcę powiedzieć, że po zmianie ustawy samorządowej, kiedy prezydent miasta wybierany jest w wyborach bezpośrednich, ta współpraca układała się źle. Jednakże zauważyłem, że władza wykonawcza po tej zmianie poczuła się zdecydowanie bardziej niezależna i w stosunku do radnych nie była już tak spolegliwa. Wcześniej zalecenia, dezyderaty, opinie Rady Miejskiej, radnych, były realizowane bardziej obowiązkowo i w szybszych terminach.

Pamiętam również, że sesje Rady Miejskiej II kadencji ciągnęły się nieraz trzy, cztery dni. Sesje III kadencji były już krótsze, nie były to trzydniówki, a jednodniówki. Czas trwania sesji w IV kadencji można było liczyć na godzinny.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Bez zarzutu. Z wielkim sentymentem wspominam wszystkie panie z obsługi komisji, zawsze świetnie przygotowane. To był − i myślę, że nadal jest − bardzo dobry zespół, zawsze gotowy i oddany radnym. Przez moje trzy kadencje nie miałem żadnej scysji ani pretensji, że coś nie zostało właściwie i na czas przygotowane lub załatwione. Myślę, że to bardzo duża zasługa pani Janiny Śledzińskiej – dyrektor Biura Rady Miejskiej, która przez swoje długoletnie doświadczenie i „ciepły" charakter pozytywnie wpływa na swoich pracowników.

Co Pan sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Doświadczenia z I kadencji Rady Miejskiej nakazywały tworzenie klubów i w II kadencji okazało się to słuszne. Dużo lepiej były przygotowane posiedzenia plenarne Rady. Ponadto, jestem zwolennikiem tworzenia w Radzie Miejskiej grup światopoglądowych, a przeciwnikiem „partyjniactwa", czyli wpływu partii politycznych na te grupy. Teraz kluby radnych to gremia polityczne, a nie samorządowcy o wspólnych poglądach i celach. Ja takim klubom jestem przeciwny.

Ja przez swoje dwie pierwsze kadencje czułem się samorządowcem, a podczas trzeciej już politykiem, i tak też byłem postrzegany przez wyborców. Wielokrotnie musiałem się tłumaczyć się z tego, że nie jestem członkiem PO czy PiS, że nie należę do żadnej partii. Jednak w związku z przynależnością do klubu, gdzie PO miała większość, byłem postrzegany jako członek partii, który realizuje w Mieście (w Radzie) jej cele, a nie jako samorządowiec. I to mi bardzo przeszkadzało.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

Oczywiście data 30 maja 1997 r. i wizyta papieża Jana Pawła II. Przygotowania Miasta do tej wizyty i do Kongresu Eucharystycznego, a potem bezpośrednie spotkanie w Radzie Miejskiej z Ojcem Świętym. Cieszę się również z tego, że wrocławscy prezydenci, głównie Bogdan Zdrojewski i Rafał Dutkiewicz, mieli bogatą wizję

rozwoju miasta i stawiali sobie wysokie cele, typu organizacja Expo, Euro czy utworzenie siedziby Europejskiego Instytutu Technologii. Rada Miejska wspierała ich w tych zamierzeniach.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

Byłem również radnym osiedlowym. Uważam, że ta struktura samorządu lokalnego jest także potrzebna, jednakże z mocniejszym umocowaniem. Dzisiaj samorząd osiedlowy ma mały wpływ na to, co dzieje się na jego terenie. Rada osiedla powinna mieć głos decydujący w wielu sprawach dotyczących osiedla, np. w sprawach miejscowego planu zagospodarowania, komunikacji, infrastruktury. Uważam, że społeczność lokalna jest mało zainteresowana radą osiedla, bo wie, że ta ma małe kompetencje. Często brakuje chętnych do pracy w radzie osiedla. Ludzie nie angażują się i to jest przykre. Bezwzględnie należy podzielić się władzą z radami osiedlowymi.

Jak Pan ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Uważam, że zainteresowanie mediów pracą radnego, który przecież reprezentuje część społeczności lokalnej, jest nikłe. Media są bardzo ważnym elementem życia społecznego. Pamiętam, jak podczas II i III kadencji byliśmy jako radni śledzeni i obfotografowywani. Na każdym kroku czuło się, że dziennikarz za chwilę coś napisze o pracy lub wyczynach radnego. Cały czas czuło się presję mediów, co narzucało dyscyplinę. Uważam, że dzisiaj media zupełnie nie interesują się radnym czy Radą Miejską. Bardzo mało miejsca poświęca się w prasie lokalnej tematom związanym z pracą radnego i temu, co się dzieje w Radzie. Za moich czasów kontakty z mediami były częstsze. Wielokrotnie byłem proszony o wypowiedzi dotyczące prac komisji, o to, co udało się załatwić, a czego nie, dlaczego głosowałem tak, a nie inaczej. Zauważam, że obecna rola radnego znacznie podupadła i jego ranga jest niższa. Dyrektor wydziału Urzędu Miejskiego jest bardziej istotnym ogniwem dla dziennikarzy niż radny. Teraz dziennikarz woli rozmawiać z tym, kto decyduje, a nie z tym, kto tworzy lokalne prawo.

◇◇◇

komunalnego nie składa się tylko aktywność jednej osoby, ale zaangażowanie wielu radnych osiedlowych czy radnych miejskich. Niemniej są sprawy, które prowadziłam od początku do pomyślnego zakończenia, pomimo skali napotykanych po drodze trudności. Najistotniejsza była dla mnie współpraca ze środowiskami oświatowymi w zakresie przedsięwzięć w edukacji i w sprawach społecznych. Uczestnicząc w pracach Komisji Sportu zabiegałam o budowę ścieżek rowerowych we Wrocławiu. Dzięki tym doświadczeniom mogłam w Sejmie założyć Parlamentarną Grupę ds. Rozwoju Komunikacji i Turystyki Rowerowej. Dzisiaj współpracuję ze wszystkimi organizacjami rowerowymi z całej Polski. Złożyłam w Sejmie projekt ustawy zmieniający ustawę Prawo o ruchu drogowym. Projekt ten ma na celu poprawę bezpieczeństwa rowerzystów w ruchu drogowym i popularyzację roweru jako przyjaznego dla środowiska środka transportu.

Co Pani uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnej i jednocześnie sukces III i IV kadencji Rady?

Dobra współpraca ze wszystkimi radnymi i prezydentem miasta to droga do sukcesu. W samorządzie miałam okazję współpracować z wieloma wspaniałymi ludźmi, którzy wspierali mnie w moich działaniach, do nich należą m.in. Jarosław Krauze, Bogdan Aniszczyk, Stanisław Huskowski, Sławomir Piechota czy Barbara Zdrojewska. Nie sposób wszystkich wymienić, ale muszę jeszcze wspomnieć o Jurku Skoczylasie. Jako radna uczyłam się obywatelskości, skuteczności oraz bezinteresownej pracy dla dobra innych ludzi. Szczególnie wspominam Rafała Dutkiewicza i Bogdana Zdrojewskiego, dzięki którym moje działania często kończyły się pomyślnie.

Wrócę jeszcze do edukacji, w którą byłam bardzo zaangażowana będąc w Radzie Miejskiej, i do spraw związanych z młodzieżą. Wspierałam organizacje pozarządowe pracujące na rzecz młodzieży. Wspominam niezwykle ciepło Parlament Młodzieży Wrocławia. Wspólnie ze św. pamięci Arturem Partyką (był przewodniczącym Parlamentu Młodzieży Wrocławia) organizowaliśmy spotkania z przedstawicielami samorządów uczniowskich, wyjazdowe szkolenia. Z radnym Piotrem Boberem przygotowywałam uchwałę dotyczącą organizacji „Konkursu na najlepszy samorząd uczniowski". Uczestniczyłam także w pracach nad przygotowaniem konkursu „Ośmiu wspaniałych". Z przyjemnością wspominam prace nad projektem ustawy o oświacie samorządowej, która po konsultacjach ze środowiskiem nauczycieli i dyrektorów szkół została uchwalona przez Radę Miejską Wrocławia. Jeżeli chodzi o sport, to mocno wspierałam rozbudowę obiektu przejętego po Polarze, budowę boisk oraz placów zabaw. To nie tylko mój sukces, ale całej Rady. Pamiętam też, jak na ostatniej sesji Rady Miejskiej, w mojej pierwszej kadencji, postanowiłam zabrać głos, gdyż miałam niedokończoną sprawę budowy szkoły dla dzieci autystycznych. Chyba nie wszyscy byli z tego powodu zadowoleni, ale jak startowałam w kolejnych wyborach do Rady Miejskiej, to miałam ciągle na uwadze potrzebę znalezienia nowego lokalu dla tych dzieci.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Dzisiaj istnieje duża liczba organizacji pozarządowych, które odgrywają coraz większą rolę w budowaniu społeczeństwa obywatelskiego. Ważne, aby miały możliwość pozyskiwania środków finansowych na swoją działalność. Znam wiele z nich, są bardzo zaangażowane w pracę z wrocławską młodzieżą. Mile wspominam współpracę z fundacją „Hobbit", zajmującą się organizacją zajęć pozalekcyjnych oraz aktywnego wypoczynku dla dzieci i młodzieży oraz ze Stowarzyszeniem Pro Publico Bono działającym na rzecz dzieci, młodzieży oraz osób bezrobotnych.

Co Pani uważa za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

W III kadencji najwięcej kontrowersji wzbudzała likwidacja Szkoły Żeglugi Śródlądowej, do dziś wzbudza wiele emocji. Nie było spektakularnych potknięć. Może z punktu widzenia społeczeństwa porażką była likwidacja techników, ale było to działanie zgodne z ustawą i właściwie w tamtym czasie nie mieliśmy większego wyboru.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na Pani działalność w Radzie?

Na dyżury przychodzili ludzie z całego Wrocławia. Umawiałam się z mieszkańcami na spotkania, aby mogli bezpośrednio przedstawić swoje sprawy. Bez względu na to, czy mieszkali w moim okręgu wyborczym, czy w innej części miasta, zawsze starałam się być dla nich osobą otwartą i dostępną. Ale też nie zawsze spotykałam się osobiście. Ważniejsze było rozwiązanie problemu niż spotkanie się, często wystarczyła rozmowa przez telefon. Czasami to nawet bardziej mi odpowiadało, gdy zależało nam na czasie. Zawsze się starałam, żeby moja pomoc była bezinteresowna, zgodna z przysięgą służenia społeczeństwu i dbałością o jakość miasta. Mój numer telefonu komórkowego zawsze był i jest dostępny dla każdego. Jeżeli chodzi o osoby przychodzące na dyżury radnych, to najczęściej były zgłaszane problemy mieszkaniowe i emerytalne. Jestem przekonana, że wyborcy ocenili pozytywnie moją pracę oddając na mnie swój głos w kolejnych wyborach.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

W III kadencji my radni mieliśmy duży wpływ na to, co się działo w Mieście. Nie bez znaczenia był fakt, że wybieraliśmy prezydenta i Zarząd Miasta na sesji Rady Miejskiej. Natomiast w IV kadencji prezydent był już wybierany bezpośrednio przez mieszkańców Wrocławia, co wzmocniło jego pozycję i mógł sobie pozwolić na słabszy kontakt z radnymi, ale ja nie narzekałam. Jeżeli chodzi o współpracę z urzędnikami, gdybym oceniała w skali szkolnej, to w wielu obszarach postawiłabym szóstkę. Nie pamiętam sytuacji przykrych ani trudnych,

a wręcz przeciwnie, chwalę sobie ówczesne kontakty. Pamiętam naprawdę bardzo sympatyczną, merytoryczną współpracę. Urząd zawsze był dostępny i pomocny dla radnych.

Jak się układała Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Wspaniale. Przesympatyczne panie i panowie zawsze służący radą. Zawsze, gdy zwracałam się z jakąś sprawą, to mogłam liczyć na skuteczną pomoc oraz wsparcie.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Dla mnie zawsze najważniejszy jest klimat, jaki tworzą ludzie, czego nie zastąpi najwyższy komfort pracy. W trakcie kadencji trwał remont sali sesyjnej. Rzeczywiście ona wypiękniała i jest się czym pochwalić. Ale ciągle mówiliśmy o tym, że brakuje laptopów, że za dużo jest papierów. Byliśmy przekonani, że każdy radny powinien mieć własnego laptopa, bo tak jest taniej. Wtedy głosowania odbywały się jeszcze przez podnoszenie ręki. Pamiętam, że na początku kadencji spotykaliśmy się przy Nowym Targu. Mimo tego udawało się sprawnie, bez względu na warunki przeprowadzić wiele ważnych dla mieszkańców Wrocławia głosowań.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

W III i IV kadencji Rady Miejskiej byłam przewodniczącą Komisji Oświaty i Młodzieży − w IV kadencji zmieniła ona nazwę na Komisję Edukacji i Młodzieży. Ponadto, w III kadencji byłam członkinią Komisji Gospodarki Komunalnej, Komisji Ochrony Środowiska i Komisji Sportu i Rekreacji, a w IV kadencji uczestniczyłam w Komisji Infrastruktury Komunalnej i Ochrony Środowiska oraz Komisji Współpracy z Zagranicą i Promocji Wrocławia. Byłam także członkinią Zespołu ds. Rynku Pracy i Zespołu ds. Inicjatyw Gospodarczych.

O Komisji Edukacji zawsze mówiłam, że to moja komisja, bo byłam najbardziej zaangażowana w jej pracę. W przypadku innych komisji, dużo zależało od tego, kto przychodził na posiedzenia komisji, czy prezydent, czy ktoś z członków Zarządu. W niektórych komisjach było sympatycznie, bo wiedzieliśmy, że przyjdzie kompetentna osoba, która sprawnie przedstawi rozwiązanie problemu. Oceniało się udział w komisji również pod kątem tego, kto prowadził tę komisję. Zdarzali się przewodniczący, którzy rozwlekali komisje w nieskończoność i nic z tego nie wynikało. Zapraszali bardzo dużo przedstawicieli różnych organizacji, a to niczego nie wnosiło, nie finalizowało sprawy. Miło wspominam Komisję Sportu. Spotykaliśmy się często w ciekawych miejscach, obiektach sportowych i rekreacyjnych. Nie siedzieliśmy ciągle w papierach, jeździliśmy w teren. Pamiętam naszą wspólną wyprawę rowerową po ścieżkach rowerowych w mieście. Wtedy tych ścieżek nie było zbyt dużo, więc musieliśmy jechać ulicami, z czego kierowcy nie byli zadowoleni. Myślę, że jest bardzo ważne, żeby nie siedzieć ciągle za biurkiem, tylko mieć kontakt z rzeczywistością. Wszystkie komisje mile wspominam i jeśli w ogóle mogę oceniać, to oceniam dobrze.

Co Pani sądzi o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Kluby są potrzebne, aby ustalać stanowiska do projektów uchwał przedstawianych na sesjach Rady Miejskiej, żeby wypracować wspólną wizję rozwoju Wrocławia. Na pewno lepiej uzgodnić stanowisko w mniejszej grupie radnych, a potem przedstawić je na sesji Rady, aby uniknąć w ten sposób niepotrzebnych dyskusji.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Dużo było chwil wzruszających. Bardziej sentymentalnie i emocjonalnie wspominam III kadencję, z tego względu, że po raz pierwszy zasiadałam w Radzie Miejskiej. Szczególnie pamiętam obchody Święta Wrocławia. Z tej okazji nadawano tytuły Honorowego Obywatela Miasta Wrocławia takim osobistościom, jak Jan Nowak-Jeziorański czy Lech Wałęsa. Zawsze po uroczystej mszy św. w katedrze gościł nas w przepięknych ogrodach na Ostrowie Tumskim ks. kardynał Henryk Gulbinowicz.

Jak Pani ocenia działalność rad osiedlowych?

W mojej ocenie, wcześniej rady osiedla miały możliwość większego zaangażowania w tworzenie miejscowych aktów prawnych, tym samym miały większy wpływ na to, co działo się w mieście. Obecnie mamy inny system zarządzania Wrocławiem, co powoduje, że rady osiedlowe mają mniej kompetencji. Działalność społeczna radnych osiedlowych powinna być bardziej doceniana. To oni znają najlepiej potrzeby społeczności lokalnych. Organizują niejednokrotnie ciekawe przedsięwzięcia kulturalne, które integrują mieszkańców, współpracują ze szkołami, przedszkolami, klubami sportowymi, itp. Właśnie na poziomie najniższego szczebla samorządu kształtuje się społeczeństwo obywatelskie. Ich głos doradczy powinien być poważnie uwzględniany przy planowaniu rozwoju poszczególnych osiedli.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Może media zbyt mało uwagi przywiązują do tego, co składa się na sukces Wrocławia. Konstruktywna krytyka jest zawsze potrzebna. Dobrze, że przedstawiane są trudne sytuacje, ale jednak powinna być zachowana większa równowaga. Trudno znaleźć informacje o ciekawych inicjatywach społecznych organizowanych przez stowarzyszenia, fundacje czy Miasto. Ciągle za mało słychać o społecznościach lokalnych. Oczywiście, dzięki mediom często można rozwiązać jakiś problem, który nagłaśniają. Przekonałam się o tym niejednokrotnie osobiście. I za

to należy im podziękować. Więcej też powinno się mówić na temat dokonań młodych ludzi. Takie informacje pobudzają ich do działania, do nowych inicjatyw.

◇◇◇

ze swoimi problemami. Są one różne. Czasem urzędnik czegoś nie dopatrzył. Ktoś inny uważa, że został pokrzywdzony lub źle załatwiony. Staramy się poznać problem i próbujemy go rozwiązać. Istnieje pewien procent ludzi, którym nie da się pomóc z racji ich mentalności, ustawienia ich psychiki, ale większość spraw udaje się rozwiązać.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Układały się dobrze. Nie było problemów ze współpracą. Była duża przychylność w szukaniu rozwiązań, co przynosiło dobre efekty. W skali od jeden do pięciu oceniłbym tę współpracę na piątkę.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Z Biurem Rady w ogóle nie było problemów.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Specjalnych obciążeń nie było. Przygotowywane uchwały każdy radny otrzymywał dużo wcześniej przed posiedzeniem Rady. Wymagały one omówienia w poszczególnych komisjach, szczególnie związanych merytorycznie z danym problemem ujętym w uchwale. W zasadzie cała praca merytoryczna Rady Miejskiej, to praca w komisjach.

W jakich pracował Pan komisjach i jak ocenia Pan ich pracę?

Jak już mówiłem, cała praca Rady Miejskiej odbywa się przede wszystkim w komisjach. Są to spotkania ze wszystkimi zainteresowanymi stronami, których dotyczy uchwała. Jest np. problem zamknięcia jakiejś przychodni. Rozmawia się z ludźmi, którzy chcą ją uratować i z ludźmi, którzy uważają, że trzeba ją zamknąć. Wypracowuje się wtedy jakiś kompromis przy współpracy i udziale tych ludzi. W komisji dużo łatwiej dochodzi do wypracowania porozumień, kompromisów, rozwiązań. Faktyczna praca tam się odbywa. Na sesję Rady uchwały idą z opiniami komisji, z których najbardziej miarodajna jest opinia komisji merytorycznej. W komisjach praca układała się dobrze, właśnie z racji dyskusji merytorycznej. Pracowałem w Komisji Zdrowia, Budżetu i Statutowej. Najwięcej pracy było w tej ostatniej, oceniającej prawną stronę uchwał.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Kluby to układ polityczny i decyzje najczęściej polityczne. W ocenie pracy klubu zawsze pojawia się pytanie, co powinno decydować o głosowaniu, co ma mieć większe znaczenie? Rozsądek, miasto czy polityka? Na przykład, w klubie PO czy PiS zapada jakaś decyzja, która staje się wiodąca dla radnych z klubu. Rodzi się pytanie, czy ta decyzja jest merytorycznie uzasadniona? Z reguły tak, ale nie zawsze.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

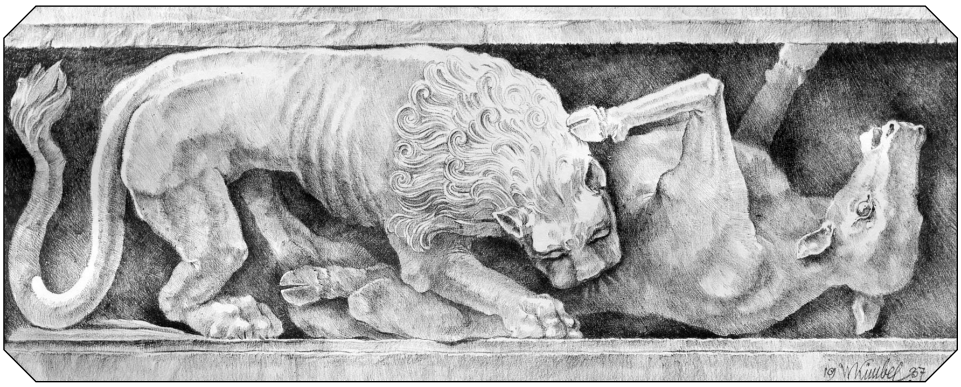
Najbardziej zapamiętałem powołanie na radnego i rezygnację z funkcji radnego. Jednakże bardziej przeżyłem rezygnację. Byłem tam w jakimś środowisku. Razem coś się budowało, z mniejszymi lub większymi oporami. Robiło się coś dla miasta.W momencie powołania mnie na dyrektora Narodowego Funduszu Zdrowia musiałem zrezygnować z pracy w Radzie, ponieważ taki jest obowiązek ustawowy. Wówczas miałem dość duży dylemat i ta decyzja była dla mnie dość trudna.

Jak ocenia Pan działalność rad osiedlowych?

W radach osiedla nigdy nie działałem, natomiast współpracowaliśmy. Dobrze działająca rada osiedla najlepiej potrafi ocenić potrzeby na swoim terenie i zawsze warto posłuchać ich opinii i zapoznać się z oczekiwaniami.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Większa część pracy Rady Miejskiej nie wzbudza zainteresowania medialnego. Pojawiają się one w sytuacjach kontrowersyjnych lub mogących sugerować jakąś nieprawidłowość prawną. Jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę „sprzedawalność" materiału medialnego. Są one czasem przychylne, czasem mniej przychylne. Bywa, że ich interpretacja zdarzeń jest realna, ale zdarzały się interpretacje kompletnie oderwane od rzeczywistości. Z całym bagażem różnych potknięć, czasem brakiem rzetelności, naginaniem rzeczywistości – dobrze, że media są, powodują jednak pewną kontrolę poczynań ludzi, którzy dostają mandat realizacji marzeń mieszkańców.





Maria ZAWARTKO

Radna V kadencji.
Absolwentka Wydziału Wokalno-Aktorskiego
Akademii Muzycznej we Wrocławiu.

Czy była Pani przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Szczerze mówiąc, nie byłam przygotowana. Byłam bardzo wystraszona, przejęta, czy podołam, czy poradzę sobie w tej odpowiedzialnej, bądź, co bądź, pracy dla Wrocławia. Zawsze starałam się pomagać ludziom i wydawało mi się, że będę miała lepsze narzędzie, żeby wielu osobom pomóc.

Startowałam do Rady za namową mojego kolegi Andrzeja Kosendiaka. Stratowałam z 4 miejsca. Wydawało mi się, że nie mam żadnych szans, szczerze mówiąc, sama na siebie nie głosowałam. W czasie wyborów wyjechałam na koncerty do Holandii i w drodze powrotnej dowiedziałam się, że zostałam wybrana do Rady Miejskiej, ku mojemu szczeremu zaskoczeniu. Myślałam, że tylko jedna czy dwie osoby z listy się dostaną, że nie przeskoczę aż o dwa oczka w górę.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Jeżeli pomagamy mieszkańcom, to pomagamy miastu. Przed 1990 r. byłam już szczęśliwą żoną i matką. Ta sfera życia była mi wówczas najbliższa. Nie zapominałam jednak o kilku starszych osobach, którym pomagałam od szkoły średniej. Moi rodzice zawsze uczyli mnie szacunku do osób w podeszłym wieku, a ja przekazuję go następnemu pokoleniu, czyli moim córkom.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmuje się Pani w Radzie w trakcie pełnienia funkcji radnej?

W Radzie Miejskiej uczestniczę w trzech komisjach: Kultury i Nauki (wiceprzewodnicząca), Promocji i Współpracy z Zagranicą oraz Statutowej. Obowiązkowe dyżury to dla mnie najtrudniejsze zadanie, ponieważ przychodzą mieszkańcy z wieloma problemami dotyczącymi m.in. lokali mieszkalnych i użytkowych, transportu i komunikacji, pomocy najuboższym rodzinom oraz bezpieczeństwa na ulicach miasta.

Starałam się pomagać i walczyć o wszystkie sprawy. Rolą radnego jest pokazanie mieszkańcom drogi rozwiązania problemu, wskazanie odpowiedniego wydziału Urzędu Miejskiego.

Co Pani uważa za największy sukces w swej działalności jako radnej i jednocześnie sukces V kadencji Rady?

Sukcesów było bardzo dużo. Myślę, że należą do nich sprawy komunikacji (sygnalizacja świetlna), bezpieczeństwa dróg, m.in. remonty dróg na moim osiedlu Popowice: ul. Rysia, Bobrza, Popowicka; ponadto pomoc najuboższym mieszkańcom.

Założyłam też Chór Rady Miejskiej, w którym śpiewają radni z wszystkich klubów (PO, PiS i klub radnych Rafała Dutkiewicza). Wspólnie z chórami dziecięcymi projektu *Śpiewający Wrocław* nagraliśmy kolędy. Wzięliśmy udział w koncercie inaugurującym Europejski Rok Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. Za naszym przykładem powstał chór przy Urzędzie Marszałkowskim kierowany przez dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego Jacka Gawrońskiego.

Pracując w Komisji Promocji i Współpracy z Zagranicą pomagamy repatriantom. Zapraszamy rokrocznie dwie rodziny polskie mieszkające w Kazachstanie. To bardzo trudne zadanie, ponieważ możemy wybrać tylko dwie rodziny, a podań jest bardzo dużo ze strony polskich rodzin, które zostały przed wojną wysiedlone i nie miały możliwości powrotu. To właśnie dzieci i wnuki tych, którzy mieszkają w Kazachstanie piszą podania i proszą o możliwość ściągnięcia rodziców i osiedlenia ich w Polsce. Tych podań jest bardzo dużo. W naszym mieście osiedliło się już 40 polskich rodzin przybyłych ze Wschodu. W tym roku chcemy zrobić dla wszystkich zaproszonych specjalne spotkanie. Chcemy, żeby nam opowiedzieli, czy stworzyliśmy im dobre warunki lokalowe, czy zadowoleni są z miejsc pracy i jak im się tutaj żyje?

W Komisji Kultury i Nauki zajmowałam się projektem uchwały pomnikowej. Uregulowaliśmy zasady budowy pomników we Wrocławiu. W tej kadencji uporządkowaliśmy również zasady nazewnictwa ulic.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Smutne było to, że rozwiązała się koalicja, ja to odczułam szczególnie boleśnie. Wiadomo, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Wyjście z koalicji kolegów z Platformy Obywatelskiej zburzyło porządek i spokój, który

panował przez pierwsze dwa lata mojej pracy w Radzie, ale myślę, że wrócimy do czasów, w których wspólnie, choć nie bez merytorycznej dyskusji, będziemy dbać o nasze piękne miasto.

Za porażkę w obecnej kadencji uważam niezałatwienie basenu na Gądowie Małym przy Szkole Podstawowej nr 118. Teren wokół szkoły należał niegdyś do spółdzielni Piast, teraz jest już własnością gminy i będzie zagospodarowany. Czekamy na partnera, bo środki na budowę basenu można pozyskać jedynie z tzw. partnerstwa publiczno-prywatnego. Szkoła Podstawowa nr 118 zalicza się do placówek o wysokim poziomie nauczania, ma świetne zaplecze sportowe, brak tylko basenu, który byłby nie tylko dla uczniów, ale popołudniami prowadziłby działalność komercyjną dla mieszkańców. Pani dyrektor Barbara Rotte jest wspaniałym gospodarzem i świetnym organizatorem życia szkoły i wierzę, że znakomicie wykorzysta możliwości szkoły z basenem.

Jak ocenia Pani współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Organizacje pozarządowe wyręczają Miasto we wszystkich sferach życia. We Wrocławiu jest ich bardzo dużo. Nasze miasto organizuje wiele konkursów, które pozwalają stowarzyszeniom i fundacjom pozyskać środki na zadania wyznaczone przez gminę Wrocław. Ja sama od 10 lat działam w Dolnośląskim Towarzystwie Muzycznym. Utrzymuję kontakt głównie z organizacjami pozarządowymi związanymi z kulturą. Ta sfera jest mi bowiem najbliższa.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mam stały kontakt z moimi wyborcami. Bardzo uważnie wysłuchuję ich problemów i, jak już wspominałam, staram się pomóc. Są też tacy, którzy służą mi swoją pomocą i radą. Chętnie z tego korzystam.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Nasze wzajemne kontakty (z pracownikami wszystkich wydziałów) są bardzo dobre.

Jak układa się Pani współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Wszyscy pracownicy Biura są bardzo kompetentni, a przy tym bardzo sympatyczni. Współpraca układa się bardzo dobrze.

W jakich pracuje Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Jestem wiceprzewodniczącą Komisji Kultury i Nauki, członkiem Komisji Statutowej i Komisji Promocji i Współpracy z Zagranicą. Wcześniej byłam w Komisji ds. Osiedli.

Wszystkie posiedzenia komisji są burzliwe, ponieważ stale walczymy o wysoki poziom życia w mieście.

Co sądzi Pani o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pani ich pracę?

Wydaje mi się, że skoro o miejsce w Radzie ubiegają się partie polityczne z określonymi programami, to te kluby są nieodzowne.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Dla mnie zawsze wielkim wydarzeniem są uroczyste sesje Rady Miejskiej, gdzie przyznawane są tytuły Honorowego Obywatela Wrocławia oraz nagrody Rady Miejskiej i prezydenta Wrocławia. To są wydarzenia medialne, które jednocześnie przypominają, że mamy wspaniałych ludzi we Wrocławiu na niwie nauki i sztuki.

Największym wydarzeniem w tej kadencji było spotkanie z Dalajlamą, bo nie w każdej kadencji Dalajlama przyjeżdża do Wrocławia. Wielkim wydarzeniem było również spotkanie z kardynałem Bertone, prawą ręką Ojca Świętego. Byłam bardzo blisko duchowego przywódcy Tybetu i wyczuwałam bardzo pozytywną energię. Dalajlama tworzy wokół siebie niesamowitą aurę. Ma bardzo dobrą twarz, ciepły głos. Jest normalnym człowiekiem, który pięknie opowiada o sprawach Tybetu, o miłości, o przyjaźni, tych wartościach, którymi człowiek powinien kierować się w życiu. Nie polityką, lecz dobrem drugiego człowieka, i to mnie bardzo ujęło.

Zawsze cieszą mnie spotkania z dziećmi. W Radzie organizowane są konkursy edukacyjne, przychodzą więc przedstawiciele wrocławskich szkół. Dzieci są tak przejęte, że potykają się o własne nogi.

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Nie jestem w radzie osiedla. Miałam propozycję, ale z racji wielu obowiązków nie wyraziłam zgody. Mam kontakt z członkami rady osiedla i na bieżąco znam sprawy, którymi się zajmują. Współpracuję także z prezesem spółdzielni Popowice, której jestem członkiem.

Jak ocenia Pani zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Czasami jest aż nadmierne. Jeżeli dzieje się coś, co wywołuje dyskusje, wiadomo, że będzie się „coś działo", to zainteresowanie mediów jest duże. Prasa nie przychodzi, kiedy rozważane są pozornie błahe, ale bardzo ważne i bardzo potrzebne mieszkańcom uchwały. To nie wzbudza żadnych emocji. Media są zainteresowane wówczas, kiedy dzieje się coś złego, kiedy odbywają się jakieś niepotrzebne dyskusje. To tak, jak w życiu. Nie dostajemy kamery, jeśli organizujemy coś dobrego dla Wrocławia, spotkania dla dzieci, dla seniorów. Natomiast, jeśli jest wypadek, to dziennikarze natychmiast biegną z kamerą. Jest sensacja. To się sprzeda. Mam żal za taką postawę.



Wanda ZIEMBICKA-HAS

Radna V kadencji.
Absolwentka PWST oraz Szkoły Filmowej
na Wydziale Realizacji Telewizyjnej w Łodzi, dziennikarka,
wiceprzewodnicząca Syndykatu Dziennikarzy we Wrocławiu.

Czy Pani była przygotowana do pełnienia funkcji radnej w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pani wiedzy na temat samorządu?

Żeby być dziennikarzem, nie trzeba mieć wykształcenia dziennikarskiego, żeby zostać radnym nie trzeba kończyć studiów podyplomowych. Psychologowie udowadniają teraz, że człowiek rodzi się z tzw. genem społecznika − predyspozycje są ważne. Część ludzi, moim zdaniem, w Radzie jest pozbawiona tego genu. Wzruszają ramionami, jak się mówi o jakichś akcjach. Nie interesują się, uśmiechają się ironicznie, kiedy inni coś robią.

Czy przed 1990 r. zajmowała się Pani sprawami miasta?

Jako dziennikarka radiowa, robiąca takie audycje, jak: „Cztery Pory Roku" i „Lato z Radiem", przygotowywałam bardzo ważną akcję w Teatrze Lalek. Było to 25 lat temu. Do Teatru Lalek, który wówczas nie miał podjazdu dla dzieci niepełnosprawnych, wprowadzałam przez cały miesiąc dzieci niepełnosprawne na wózkach, żeby obejrzały spektakl. Zakłady Piekarnicze − żył jeszcze wtedy dyrektor Zakładów Piekarniczych „Mamut" pan Jerzy Sagan – wypiekły mi takie serce z makiem, i to był bilet wstępu do teatru.

Jako dziennikarka „Lata z Radiem" prowadziłam różne wielkie akcje, np. w Jeleniej Górze i Kudowie, a także Polanicy. Jestem też honorowym krwiodawcą i wolontariuszką.

Pamiętam, jak siedzieliśmy w Klubie Kolejarza na Dworcu Głównym po odsłonięciu tablicy poświęconej Zbyszkowi Cybulskiemu. Był tam m.in. Andrzej Wajda i ówczesny prezydent Wrocławia Bogdan Zdrojewski. Zapytałam wtedy, dlaczego ten znany artysta nie ma w mieście swojej ulicy? Jeden z polityków odpowiedział żartem: „No jak to, już jest". Wtedy powiedziałam, że chodzi mi o Zbigniewa, a nie o Wojciecha Cybulskiego. I w ten sposób ceniony aktor został patronem skweru znajdującego się pomiędzy mostem Zwierzynieckim i Wytwórnią Filmów Fabularnych. Na ścianie Wytwórni Filmów Fabularnych są także tablice pamiątkowe mojego męża Wojciecha Jerzego Hasa i Zbigniewa Cybulskiego. Walczę od kilku lat o umieszczenie tam tablicy Marka Hłaski.

Wszyscy się musieli dowiedzieć, że Johannes Brahms był we Wrocławiu i tutaj skomponował dla studentów „Uwerturę Akademicką", stąd mój pomysł postawienia obelisku na terenie Ogrodu Botanicznego.

Od 20 lat organizuję Wigilie dla Ubogich, w znanych wrocławskich restauracjach. Robię to dzięki właścicielom restauracji. Zwracam się do znanych wrocławian o przygotowanie paczek. Teraz mam satysfakcją, bo sami do mnie dzwonią: „czy pani w tym roku także robi, bo chcielibyśmy się przygotować", to są politycy, biznesmeni, ludzie ze świata kultury i sportu, rektorzy uczelni. Interesuję się ubogimi także jako radna osiedla „Plac Grunwaldzki". Staram się pomagać biednym rodzinom, w których żywiciele utracili pracę lub otrzymują niskie wynagrodzenie. To są rodziny żyjące w biedzie i chorobie, na ogół nie patologiczne.

Marzy mi się wspólne śniadanie wielkanocne na wrocławskim Rynku, gdzie wrocławianie mogliby przynieść po 12 surowych jaj w twardych opakowaniach oraz małego kurczaka i podzielić się nimi z ubogimi i tymi, którzy potracili pracę, aby ci mogli z jaj zrobić makarony czy omlety.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmowała się Pani w trakcie pełnienia funkcji radnej i co Pani uważa za sukces V kadencji Rady?

Jestem bardzo krótko radną, weszłam w skład Rady 15 miesięcy przed zakończeniem kadencji, i ciągle uważam, że mam mało czasu. Patrząc na pracę komisji, uważam, że one wymagają restrukturyzacji. Teraz robi się takie krótkie zebrania i odczytuje porządek obrad. Mam ideę, żeby wszyscy, którzy chcieliby zrealizować swoje projekty artystyczne bądź rozwiązać swoje obywatelskie problemy, stawiali się osobiście na posiedzeniach poszczególnych komisji. Robi się wtedy fantastyczna atmosfera, coś z czegoś wynika, ludzie sobie nawzajem podpowiadają rozwiązania. Nawet, jeśli trafiają błędnie do tej czy innej komisji, to się ich skieruje właściwie. Artyści zaczęli w to wierzyć i zaczęli przychodzić.

Każdy może przyjść na komisję, tylko nie ma prawa głosu, zainteresowani nie powinni czekać na korytarzach w kolejkach, bo tu się coś omawia… Dlaczego wrocławianin z Krzyków nie może się dowiedzieć, co ma na myśli obywatel z Ołtaszyna albo z Biskupina? Denerwuje mnie, że wszyscy się spieszą z jednej komisji na drugą, nie powinno tak być. Nie powinna się jedna komisja zaczynać o 16^{30}, a druga o 17^{00} tego samego dnia z udziałem

tych samych radnych. W takim czasie nie da się dokładnie przeanalizować wszystkich problemów, wyczerpać tematów, omówić ich i rozwiązać.

Taki sukces ostatnich miesięcy, to sprawa rotmistrza Pileckiego. Dzięki mojej inicjatywie wszyscy się dowiedzieli o Teatrze TV zrealizowanym przez Ryszarda Bugajskiego. Pan prezydent to zaakceptował. Kasety z tym świetnie zrobionym teatrem TV, notabene nagrodzonym pięcioma nagrodami, zostały wręczone wszystkim radnym, a także szkołom.

Niestety, nie udało mi się powołać podkomisji ds. etyki w Radzie, a jestem przerażona zachowaniem radnych. Dwie godziny po zaprzysiężeniu zgłosiłam taką propozycję, nie dlatego, że działam w Komisji Etyki TVP, że wykładam etykę mediów na wyższej uczelni, ale po dwóch godzinach byłam przerażona zachowaniem, nieeleganckim i niestosownym zwracaniem się z mównicy, publicznym strofowaniem i dwulicowością niektórych radnych.

Zaproponowałam powołanie podkomisji ds. etyki. Statut Miasta na to pozwala, ale Platforma Obywatelska się nie zgodziła. A przecież kodeksy etyki mają radni innych miast, o czym nie wiedziałam wcześniej. Nawet rozmowa z przedstawicielami takiej podkomisji i zaprotokołowanie niestosownego odezwania czy zachowania się jest zawsze wstydem dla dorosłego człowieka, to wstyd i rumieńce.

Co uważa Pani za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Panią funkcji radnej?

Wszystko, co sobie do tej pory sobie założyłam, jednak zrealizowałam. Przypomnę akcję ze świecami w listopadzie 2009 r. Namówiłam wszystkich radnych, żeby przynosili świece przeznaczone na groby na wschodzie, na Kresach. Tam zostały zaniedbane groby polskie, kościółek polski został, Stara Polonia powoli wymiera. Chciałam w ten sposób pomóc redaktor Grażynie Orłowskiej, mojej redakcyjnej koleżance, która jest strażniczką tych grobów na Kresach i prowadzi akcję „Ocal groby pradziadów od zapomnienia".

Dopomogłam także, z innymi radnymi mojego klubu, w spełnieniu marzenia ciężko choremu dziecku, kupiliśmy laptopa i 17 filmów przyrodniczych. Namówiłam też kolegów, najpierw zrobiłam to sama jako Wanda Ziembicka, abyśmy jako radni klubu Rafała Dutkiewicza kupili dziecku indeks. To jest akcja Stowarzyszenia „Wiosna" pomagająca ubogim, bardzo uzdolnionym artystycznie dzieciom. Kupiliśmy indeks jedenastoletniej Natalce.

O Chopinie pomyślałam już w momencie zaprzysiężenia i zaraz po wakacjach w 2009 r. złożyłam propozycję obchodów Roku Chopinowskiego 2010. I tu mnie spotkał afront, którego nie zapomnę do końca życia. Jeden z bardzo ważnych radnych z Komisji Kultury, stukając się w głowę, powiedział: „Czy się pani Słowacki nie myli z Chopinem"? Dodam tylko, że jestem absolwentką średniej szkoły muzycznej. Przy tej okazji może warto wspomnieć, że dzięki mojej inicjatywie i członkostwu w Komitecie Społecznym Słowackiego doprowadziłam do światowej premiery „Balladyny", polsko-amerykańskiego filmu w reżyserii Dariusza Zawiślaka. Koło pomnika wieszcza posadziliśmy drzewo „Julek", też z mojej inicjatywy, i ukazał się numizmatyczny banknot ze Słowackim i znaczek pocztowy.

W tym roku zaczęłam walczyć o ławeczkę Chopina, oczywiście przy poparciu środowiska. Pismo w tej sprawie do pana prezydenta podpisała Ewa Michnik, kompozytorzy i wielu innych ludzi sztuki. Podobnie, jak w sprawie tablicy Hasa, pismo podpisali m.in Andrzej Wajda i Jerzy Skolimowski. Mam, niestety, przeciwników swoich działań, ale będę walczyć do skutku! Uważam, że Chopinowska ławeczka powinna tak funkcjonować, jak ławeczka Ignacego Paderewskiego w Stanach Zjednoczonych. Wrzuca się dolara, można posłuchać gry wirtuoza, a pieniądze idą dla uzdolnionych muzycznie dzieci. Tak samo powinno być we Wrocławiu. Oczywiście muzyka Chopina powinna płynąć tylko w określonych godzinach, nie zakłócając spokoju mieszkańców. Chcemy uniknąć takiego skandalu, jaki był z ławeczką Artura Rubinsteina w Łodzi. Pijani goście wychodzili z restauracji „Grand" przy ul. Piotrkowskiej, wrzucali pieniądze i budzili nocą całą okolicę. Z ławeczką Chopina mi się nie udało.

Jako jedno z najważniejszych wydarzeń oceniam mszę literacką z udziałem aktorów i śpiewaków, poświęconą w roku 2009 Juliuszowi Słowackiemu, zorganizowaną przeze mnie w katedrze. Tę mszę z okazji urodzin wieszcza celebrował ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Drugą mszę, z okazji śmierci poety, powtórzyłam w Bazylice św. Elżbiety.

W rocznicę śmierci Chopina, 17 października, odbyła się taka msza w katedrze. Chopin bowiem w tej świątyni bywał u kompozytora i organisty Josepha Schnabla. Odsłonięto też piękną tablicę z piaskowca. Zaproponowałam także posadzenie dwóch drzewek. Jedno drzewko „Fryderyk", a drugie w dniu 23 czerwca 2010 z okazji 20-lecia samorządu pod D. S. „Dwudziestolatka". Marzy mi się także ustawienie fortepianu i kamery internetowej na środku Rynku, żeby cały świat mógł podziwiać, jak ludzie grają muzykę nie tylko Chopina. Kto chciałby, mógłby grać, a potem zostałoby to przekazane do polskiego archiwum muzycznego. Walczę o pamięć Chopina, bo u nas był 4 razy, a w Krakowie tylko raz i tam nawet nie zagrał. Złożył tam wizytę, bo chciał mieć nowy fortepian. Zostaną przygotowane − precel Frycek oraz ciastko Fryderyk, które się składać będzie z czarno-białej czekolady w kształcie fortepianu. Smakowitości przygotowuje pan Wincenty Wolak, znany cukiernik.

Namówiłam pana dyrektora Macieja Łagiewskiego z Muzeum Miejskiego, żeby wybił monetę, specjalny pieniążek, na którym byłyby cztery daty pobytu Chopina we Wrocławiu. Chopin u nas koncertował i w jednym z listów napisał „żal opuszczać Wrocław". I na tej ławeczce można byłoby ten cytat umieścić. Przysiadaliby na

niej wrocławianie i turyści, uczestnicy wielu festiwali muzycznych z największym *Wratislavia Cantans* na czele, żeby zrobić sobie zdjęcie. Tę fotografię wysyłaliby potem na drugi kraniec Europy albo świata, prawda? A przecież będziemy mieli we Wrocławiu w roku 2011 Europejski Kongres Kultury.

Jak Pani ocenia współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

Działam w wielu instytucjach pozarządowych. Zostałam teraz wiceszefową Dolnośląskiego Stowarzyszenia Forum Filmowców. Jestem wiceprzewodniczącą Syndykatu Dziennikarzy we Wrocławiu. Przede wszystkim jednak II kadencję jestem radną osiedla „Plac Grunwaldzki" i tam dużo robię. Doprowadziłam, z pomocą urzędników miejskich, do założenia świetlicy. Mieszkańcy osiedla bardzo dobrze znają tę świetlicę znajdującą się na pl. Grunwaldzkim 3 w klasztorze ojców Salezjanów, nazwano ją na moją cześć „Ziemba". Dzieci zamiast wyładowywać agresję w bramach, pluć i pić, odrabiają tam lekcje, spędzają ciekawie czas, chodzą grupowo do teatru czy do kina, załatwiam im darmowe bilety.

Jestem członkiem Komisji Etyki TVP. Działam także w Fundacji Dzieci Urodzonych w Breslau, bo bardzo mnie historia tego miasta interesuje. Mieszkałam w domu przy ul. św. Mikołaja 15. Pani, która prowadziła tam cerownię artystyczną była autochtonką i tutaj została po wojnie. Dzisiaj tę cerownię prowadzi jej córka Ewa. Bardzo wiele dzieci urodziło się w czasie oblężenia. Na czele Fundacji stoi pan Henryk Pawlak, fizykoterapeuta, który urodził się w Festung Breslau. To on namówił mnie do współpracy. Niezwykle ciekawa historia. Niektóre z urodzonych tutaj dzieci są dzisiaj znanymi politykami, bankierami, artystami w Europie. Powstanie o tym film dokumentalny.

Poza tym jestem wolontariuszką. Bardzo pomagałam przy budowie pierwszego stacjonarnego hospicjum w latach 90. XX w., byłam w to bardzo zaangażowana, stąd moja przyjaźń z ojcem Grande, który wyjechał z Wrocławia, a ja się nadal z nim przyjaźnię. Godzę te wszystkie zajęcia, jestem pełna energii.

Jak Pani ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

W wyborach stratowałam z dzielnicy Pilczyce-Kozanów, ale mam kontakt ze wszystkimi mieszkańcami Wrocławia. Mam dyżury, mój telefon jest na stronie internetowej. Poza tym można do mnie zawsze napisać do Telewizji Wrocław, na ogół ludzie albo piszą, albo telefonują. Myślę, że to, co robię, służy nie tylko Pilczycom, lecz całemu miastu. Denerwuje mnie, że każdy gdzieś mieszka i walczy tylko o tę swoją dziurę na swojej ulicy. A mnie na przykład dziury przeszkadzają wszędzie. Ze światowej premiery „Balladyny" wszyscy we Wrocławiu mogli się cieszyć i na nią przyjść. Tablice na Wytwórni Filmów Fabularnych widzą wszyscy, którzy przechodzą do Ogrodu Japońskiego czy na Pergolę. Każdy wrocławianin mógł sobie kupić numizmatyczny znaczek i kopertę ze Słowackim. To jest dla wszystkich wrocławian. Ja tak pojmuję misję radnego Wrocławia. Jako radna z osiedla „Plac Grunwaldzki" skupiam się na sprawach miejscowych. Wywalczyłam oznakowanie parkingu z miejscami dla niepełnosprawnych. Myślę, że tak należy postępować. Skupienie się jedynie na sprawach osiedla, walka o chodnik czy o dziurę, to zbyt duże ograniczenie działalności. Większość kolegów hołduje tym niezrozumiałym dla mnie zasadom.

Jak układają się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Mnie świetnie. Ja jestem wyjątkowo zadowolona, ponieważ jestem zauroczona panem prezydentem, jego osobistą kulturą i wiedzą. Uwielbiam intelektualistów. Poza tym, jest to człowiek zachowujący stoicki spokój. Ja jestem emocjonalna, pełna inwencji, on jest spokojny, potrafi wysłuchać. Jeśli nawet powie nie, to przytacza argumenty i przekonuje do swoich racji. Nie ma nic gorszego niż władza, która mówi nie, bo nie. Platforma Obywatelska we Wrocławiu nie mogła odpowiedzieć, dlaczego nie chce podkomisji etyki. Polecam „Traktat o tolerancji" Denisa Diderota, to wszystkich nas może uczynić lepszymi i wrażliwszymi. Myślę, że ludzie powinni być dla siebie bardziej życzliwi, a szczególnie radni wobec siebie. Obojętnie, z jakiej opcji pochodzimy, działamy dla tego miasta. Obojętnie, w jakiego Boga wierzymy, tak czy inaczej się ubieramy, czy bliższy nam jest ten, czy tamten system wartości, działamy dla tego miasta, w którym przyszło nam żyć i w którym zapewne umrzemy.

Jak się układają się stosunki Pani z Biurem Rady Miejskiej?

Myślę, że układają się bardzo dobrze. Lubimy się wzajemnie, nie mam większych problemów w porozumiewaniu się z pracownikami Biura, którzy są kompetentni i sympatyczni – od niektórych czuję swoiste wsparcie w moich działaniach.

Jakie ma Pani uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Nie mam porównania z wcześniejszymi okresami, uważam, że jesteśmy dobrze wyposażeni w rozmaite udogodnienia.

W jakich pracowała Pani komisjach i jak ocenia Pani ich pracę?

Właściwie już wiele na ten temat powiedziałam, o swojej pracy w Komisji Kultury i Nauki. Ponadto pracuję w Komisji Praworządności i Bezpieczeństwa oraz w Komisji Promocji i Współpracy z Zagranicą. Uważam, że system obrad tych organów należy zreformować i umożliwić członkom komisji głębszą refleksję nad omawianymi problemami pod kątem problemów człowieka, a nie tylko prawa.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pani pamięci?

Dla mnie takim ważnym dniem było moje zaprzysiężenie i tak sobie pomyślałam, jaka szkoda, że moi rodzice i moi dziadkowie tego nie dożyli. Na uroczystości byli wszyscy moi radni z rady osiedla i przyszedł ksiądz Paweł Bujak z przedstawicielami świetlicy przy kościele Salezjanów na pl. Grunwaldzkim 3. Podeszła do mnie też pani z bukietem, powiedziała, że cieszę się jej sympatią i ma nadzieję, że teraz jeszcze więcej zrobię. Byłam bardzo wzruszona, odjęło mi mowę, mnie dziennikarce telewizyjnej, która na żywo prowadzi różne programy, nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Takim wydarzeniem niesympatycznym, które na mnie zrobiło wrażenie i rozczarowało mnie, było porównanie pana prezydenta, człowieka pięćdziesięcioletniego, wykształconego, o wielkiej kulturze osobistej do towarzysza Edwarda Gierka. Przeżyłam to strasznie, tym bardziej, że padło to z ust kobiety, żony Bogdana Zdrojewskiego. Ja panią Basię Zdrojewską bardzo lubię. To mógł każdy inny powiedzieć, ale nie ona. Rozumiem, jakiś mężczyzna, przedstawiciel SLD, z innej opcji. Nie mogę się z tym pogodzić.

Jeśli chodzi o kulturę osobistą, to nie mogę nie wspomnieć arbitra elegancji, doktora Jacka Ossowskiego, przewodniczącego Rady Miejskiej. Zaprosiłam go na zajęcia z moimi studentami, byli tego samego zdania. On, nawet jeśli się z kimś nie zgadza to potrafi to pięknie wyrazić. Nie ma już ludzi o takim sposobie bycia. To jest prawdziwy gentleman. Szkoda, że już w Polskim Radio nie robi się „Ligi Gentlemanów". Kiedyś zwyciężyli Lena Kaletowa i profesor Leon Kieres. Jeśli taki ranking byłby robiony, to dr Ossowski wygrałby bezapelacyjnie.

Przypominam sobie też dwie anegdotyczne historie. Zapytałam kiedyś kolegę z Komisji Kultury, a rozmawialiśmy wówczas o zbliżającym się Dniu Teatru, czy wybiera się do „Pracowni Krawieckiej". A on mi na to, że ma dobrze skrojone garnitury, wobec tego nie musi. A to przecież nazwa teatru. Druga historia, to ta z Chopinem, kiedy zarzucono mi, że pomyliłam pobyty sławnych Polaków, Słowackiego z Chopinem.

To są anegdoty chyba nie tylko Roku, ale Wieku!

Jak ocenia Pani działalność rad osiedlowych?

Jestem już drugą kadencję w Radzie Osiedla „Plac Grunwaldzki". Udało mi się wywalczyć nową siedzibę. Przez 14 lat nie udało się tamtym radom osiedla zmienić siedziby, która mieściła się w małym pokoju o powierzchni 15 m^2, bez toalety przy ul. Ładnej 25. Wywalczyłam teraz 80 m^2 z toaletą i ciepłą wodą, z pomieszczeniami, gdzie ludzie mogą przyjść na dyżury i zwierzać się ze swoich kłopotów. Ludzie nie chcą publicznie o wszystkim opowiadać.

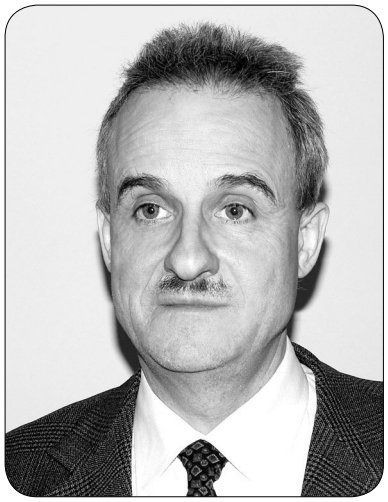
W poprzedniej siedzibie się nie mieściliśmy, znajdowała się na parterze, przez okna wchodziły szczury. Uważam, że lepiej powinien pracować Zarząd Obsługi Jednostek Miejskich. To urzędnicy tego wydziału powinni do nas dzwonić, dowiadywać się, jakie mamy problemy. Tragedią jest to, że część dotacji zamiast na pomoc musi iść na opłaty. To musi zostać przereformowane. Mówiłam o tym na posiedzeniu Rady. Moi koledzy byli zszokowani, że płacimy za ogrzewanie, za wodę, za ścieki. Abonament za Internet i te wszystkie świadczenia powinna pokrywać gmina, której jesteśmy jednostką pomocniczą.

Jak Pani ocenia zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Patrząc na dziennikarzy, uważam, że szukają tylko sensacji. Są krótko na sesjach, a dyskusje toczą się czasami do późnych godzin popołudniowych i są ważne dla miasta. Już wtedy ich nie ma. Ciągle ci sami dziennikarze pytają przywódców klubów i tylko oni się wypowiadają. Ci sami radni zapraszani są do telewizji i radia, udzielają wywiadów w prasie.

Myślę, że błędem był program zatytułowany „Posłowie" w TVP Wrocław. Co nas to obchodzi, co jedna pani drugiej pani mówi w komisjach sejmowych w Warszawie... Czy nie lepiej skupić się z miejscowymi radnymi na sprawach lokalnych? Uważam, że miastu jest to bardziej potrzebne. Nowy program powinien nosić tytuł „Radni" i być bardzo skuteczny w odbiorze społecznym poprzez swoją interaktywność i rozwiązywanie problemów miasta przy pomocy TVP. To przecież jeden z największych reportażystów świata Egon Kisch powiedział, że „dziennikarstwo to czwarty wymiar sprawiedliwości".





Karol ŻYROMSKI

Radny I kadencji.
Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego.

Czy Pan był przygotowany do pełnienia funkcji radnego w ustroju demokratycznym? Jakie były źródła Pana wiedzy na temat samorządu?

W pierwszych miesiącach po upadku komunizmu tworzyły się dopiero nowe kadry lokalnej administracji i być może nie wszystko było tak, jak być powinno. Już wcześniej, pracując w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym, bardzo interesowałem się problemami związanymi z komunikacją miejską. Widziałem wiele niedociągnięć w działaniu tego systemu – nasuwały mi się wówczas różne pomysły jego modyfikacji, w związku z tym wydawało mi się zasadne wypróbowanie swoich sił w samorządzie.

Późniejszy prezydent Wrocławia Bogdan Zdrojewski z ramienia Komitetu Obywatelskiego zajmował się pozyskiwaniem kandydatów na radnego. Zebrano spore gremium. Każda z osób musiała wtedy wykonać jakieś niewielkie opracowanie i odpowiedzieć na pytania, i tak, drogą eliminacji wyłoniono czynnych uczestników wyborów. Wtedy odbywały się także szkolenia dotyczące zasad funkcjonowania samorządu w ustroju demokratycznym. Zapoznano nas z przepisami Ustawy o samorządzie, ze strukturą i uprawnieniami władz miejskich. Wtedy też pojawiła się osoba obecnego prezydenta Wrocławia pana Rafała Dutkiewicza.

Jak się zaczęły przemiany, to z jednej strony była to przygoda, a z drugiej, przede wszystkim perspektywa ciężkiej pracy. I w ciągu tych pierwszych czterech lat raczej łatwo nie było.

Czy przed 1990 r. zajmował się Pan sprawami miasta?

Interesowały mnie przede wszystkim sprawy związane z komunikacją miejską. Pracując w MPK chciało się pewne rzeczy zreformować, ustawić, poprawić. Gruntowne zmiany na poziomie decyzyjnym nie były jednak łatwe. Dostrzegłem szansę w mającym powstać organizmie, który miałby więcej do powiedzenia w mieście, niż firma zajmująca się przewozami. Uważałem, że funkcja radnego otwierała większe możliwości działania, oczywiście, jeśli ewentualnie zostanę wybrany.

Jakimi problemami życia komunalnego zajmował się Pan w trakcie pełnienia funkcji radnego?

Postanowiłem zająć się problemami komunikacji i zgłosiłem akces do Komisji Komunikacji, z tym, że wówczas ona była dwuczłonowa, zajmowała się jeszcze gospodarką komunalną, wtedy przewodniczącą była, jak pamiętam, pani Elżbieta Góralczyk. Potem nastąpił podział tej komisji, ponieważ problematyka, którą się zajmowała była zbyt szeroka. Wyodrębniono Komisję Komunikacji, której zostałem przewodniczącym i do końca tej kadencji kierowałem pracami tej komisji.

Co Pan uważa za największy sukces w swojej działalności jako radnego i jednocześnie sukces I kadencji Rady?

Za sukces Rady uważam przestawienie miasta na nowe tory w sprawach fundamentalnych. Choćby zmiana nazw niektórych ulic w mieście, była krytykowana w prasie, a to był jednak priorytet w tym okresie. Skończył się czas epoki komunistycznej, wchodziliśmy w nowy etap, a tu krytyka ze strony prasy, że radni zajmują się zmianą nazw ulic. Z pozoru mogło wydawać się, że redaktorzy mają rację. Trzeba było jednak przerwać pewną epokę i zlikwidować jej symbole. To były sukcesy może także pozorne, ale to były sukcesy.

Oczywiście zdarzały się na ten temat dyskusje, ale w ciągu czterech pierwszych lat takie sprawy nie budziły większych kontrowersji. Wprawdzie w Radzie działało dwóch przedstawicieli spoza Komitetu Obywatelskiego, związanych z dawną PZPR, ale nawet, jeśli któryś protestował, to i tak nie mieli zbyt wiele do powiedzenia. Mieli mało do powiedzenia zarówno w sprawie zmiany nazw ulic, jak również w zmianach systemowych.

Jestem przekonany, że sukces był, choć początkowo niezauważalny. Zanalizowałem, co się dzieje dopiero, kiedy już nie byłem radnym. W II kadencji nastąpiły poważne ograniczenia w komunikacji miejskiej. Uważam, że w I kadencji utrzymaliśmy właściwy poziom świadczonych usług, że naszym celem było stworzenie takiej komunikacji, żeby mieszkańców miasta zachęcić do tej formy transportu miejskiego, żeby oni od tej formy nie uciekali. To był taki czas, kiedy do Polski trafiała moda z Zachodu, więc każdy chciał mieć samochód, a może dwa. Miasto nie jest z gumy, nie da się go rozciągnąć, nie da się przekształcić takich ulic, jak Krupnicza czy Kazimierza Wielkiego w szerokie arterie, ponieważ należałoby wyburzyć istniejącą zabudowę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jak mieszkańcy raz odejdą od komunikacji miejskiej, to już nie wrócą do niej, zależało nam zatem na utrzymaniu i powiększeniu dotychczasowej sieci połączeń. Ten sukces osiągnęliśmy. Jednocześnie chodziło nam o to, ażeby nie podwyższać zbytnio cen biletów tramwajowych. Nie chcieliśmy takiej sytuacji dla mieszkańców Wrocławia, że będą płacić więcej za bilety komunikacji miejskiej. Obawialiśmy się zniechęcenia i rezygnacji przez

mieszkańców z korzystania z miejskich środków transportu. Należało wszystko zrobić, aby nie doprowadzić do zakorkowania miasta.

Co uważa Pan za największe niepowodzenie Rady w trakcie pełnienia przez Pana funkcji radnego?

Widzieliśmy szansę rozwoju komunikacji na terenie miasta poprzez stworzenie takiego tworu, jak Dolnośląska Kolej Regionalna. Chodziło o to, żeby włączyć przewozy kolejowe w system komunikacji miejskiej. Dzięki temu mieszkańcy najdalej położonych osiedli uzyskaliby szybkie skomunikowanie z centrum. Powiem tak: próba działań zmierzających do włączenia kolei w system komunikacji miejskiej była zaawansowana, został nawet powołany pełnomocnik prezydenta ds. Kolei Miejskiej pan prof. Józef Wysocki, można rzec wysoko postawiona osoba. Okazało się, że jednak ten fachowiec nie pasuje prezydentowi Zdrojewskiemu. To był początek porażki. Na początku 1994 r. nie przedłużono mu umowy na nowy rok.

Straciliśmy 20 lat. Teraz się do tego wraca, powstają różne rozwiązania, nowe propozycje. Mówi się o połączeniach z lotniskiem szybką koleją miejską. A przecież w latach 90. XX w. opracowano projekt pierwszej linii jaka miała powstać, to była linia Trzebnica-Sobótka z przejazdem przez całe miasto: przez Zakrzów, Psie Pole, Wrocław Główny, Wrocław Wojszyce, Wrocław Klecinę. Powstała koncepcja bardzo szybkiego bezkolizyjnego przejazdu przez miasto – niestety niezrealizowana. Teraz się do tego wraca, 20 lat uciekło.

Jak ocenia Pan współpracę z instytucjami pozasamorządowymi?

W tamtym okresie nie było większych problemów, żeby ktoś próbował coś utrącać. Jeśli chodzi o moją dziedzinę, to wiem, że zwracaliśmy się z różnymi pytaniami, np. do PKP, prosiliśmy o opinię, również o jakieś krótkie opracowania dotyczące podjętych przez nas przedsięwzięć. Mieliśmy pozytywne spojrzenie na różne instytucje, a co PKP miało wspólnego z samorządem? Nic, a współpraca dobrze się układała, na tym etapie studyjnych prac byli zainteresowani i życzliwi.

Jak układały się stosunki Rady z przedstawicielami władzy wykonawczej i Urzędem Miejskim?

Myślę, że w ciągu dwóch pierwszych lat Rady Miejskiej ta współpraca układała się bardzo dobrze. Wszyscy jakby dmuchali w jedną trąbę. Już w trzecim czy czwartym roku zaczęły tworzyć się pewne układy polityczne. Zaczęto realizować interes partyjny zamiast rozwiązania potrzebne miastu. Już ponownie zaczęto się ustawiać do nowych wyborów, następowały próby montowania różnych bloków, ugrupowań i odsuwania ludzi, którzy nie pasowali do tych układów. Skoro wcześniej nie było problemów z powołaniem pełnomocnika Dolnośląskiej Kolei Regionalnej, on funkcjonował, i właśnie nie została z nim przedłużona umowa na początku 1994 r., to o czymś świadczy. To zależało tylko od prezydenta. Prezydent Zdrojewski poprzez Urząd podjął taką decyzję, zresztą nie tylko w tej sprawie.

Mieliśmy ciekawe rozwiązania, choćby wykorzystanie nieistniejących już torów tramwajowych, przeprowadziliśmy analizę ich włączenia w układ komunikacyjny. Po zakończeniu II wojny światowej zostały pewne niewykorzystane odcinki torów. To tkwi w ulicach w lepszym czy gorszym stanie. Wiadomo, że kiedyś będą remonty i że się te szyny wyrzuci i koniec. Można było to uratować, wstawić słupy, podłączyć sieć i udrożnić odcinki o dużym znaczeniu, jak ul Gajowicka czy ul. Zielińskiego. Na początku to wszystko szło w dobrym kierunku. Obok koncepcji był już projekt techniczny wykonania pętli awaryjnej na ul. Szpitalnej, Zdrowej i Tęczowej. Zachowany tor biegnie do ul Tęczowej, Tęczową w lewo i dalej ul. Zdrową. To miała być pętla z torem odstawczym. Mówiło się o remoncie ul. Grabiszyńskiej i o pl. Legionów, należało zadbać o komunikację awaryjną, żeby potem nie trzeba byłoby uruchamiać komunikacji autobusowej na całej długości ul. Grabiszyńskiej. Można by było dojechać tramwajem z Oporowa do ul. Szpitalnej, a potem ewentualnie ten przystanek przejść pieszo lub przejechać autobusem. Tramwaj się w mieście przyjmuje lepiej niż autobus. Projekt po zmianie Rady został odłożony na półkę.

Jak Pan ocenia wpływ wyborców na swoją działalność w Radzie?

Mieliśmy dyżury, na których radni spotykali się z mieszkańcami miasta. Z tytułu pełnienia funkcji przewodniczącego Komisji Komunikacji Rady Miejskiej spotykałem się z gronem ludzi, którzy byli zainteresowani tymi zagadnieniami.

Poza tym problemy były różnorodne, o bardzo szerokiej gamie. Zdarzało się wiele interwencji, które nie leżały w gestii radnego. Prośby o załatwienie mieszkania czy innych tego typu spraw. Czasami jednak nasza pomoc okazywała się bardzo potrzebna.

Wracając jeszcze do posiedzeń Komisji Komunikacji. Mogły brać w nich udział osoby spoza Rady. Mieliśmy tam pana Marka Żabińskiego, który reprezentował Biuro Studiów i Projektów Komunikacji i Inżynierii Miejskiej. On mógł dużo powiedzieć na temat prac projektowych i różnych rozwiązań. W tych spotkaniach uczestniczyli też inni specjaliści. Ceniliśmy sobie udział tych ludzi.

Jak układała się Pana współpraca z Biurem Rady Miejskiej?

Kontakty z Biurem Rady Miejskiej nie budziły moich żadnych zastrzeżeń. Od początku pracowała tam pani dyrektor Janina Śledzińska, bardzo miła. Byłem bardzo zadowolony także z osób, które obsługiwały bardzo

profesjonalnie pracę Komisji Komunikacji. Szczególnie cenię sobie współpracę z panią Barbarą Rogalą i panem Ryszardem Parkitnym.

Jakie ma Pan uwagi odnośnie do wygody i ergonomii pracy radnego?

Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Ja nie miałem żadnych problemów z wyposażeniem, nie zwracałem na to jakieś większej uwagi. Dla mnie nie było istotne, czy jako przewodniczący Komisji Komunikacji mam jakieś salony, czy też ich nie mam. Uważałem, że najważniejsze jest działanie na rzecz miasta.

W jakich komisjach Pan pracował i jak ocenia Pan ich działalność?

Pracowałem w Komisji Komunikacji i chyba tylko tej, ale na brak zajęć nie narzekałem. W komisji było około 8 osób, łącznie z członkami spoza naszego grona. W jej składzie była pani Ela Góralczyk, pan Edmund Galek, pan Marek Czapelski i jeszcze kilka osób, ale nazwiska uciekły mi już z pamięci. Spotykaliśmy się co tydzień lub co dwa tygodnie, w zależności od potrzeb. Po pierwsze, naszym zadaniem było opiniowanie uchwał Rady Miejskiej, ale zarazem przygotowywanie projektów związanych z komunikacją miejską z udziałem fachowców.

Nie udało się stworzyć w ciągu tych 4 lat uchwały dotyczącej polityki transportowej miasta. Trudno mi powiedzieć, dlaczego do tego nie doszło.

Pamiętam, że były bardzo burzliwe dyskusje. Takie bardzo ostre związane były z podwyżką cen biletów, przychodziły wtedy osoby reprezentujące urzędników miejskich i usiłowały nas nakłonić do zmiany cen. Pojawiły się autobusy Volvo, natomiast w trakcji tramwajowej dostaw nowego taboru nie było. W 1995 r. nastąpiło wiele ograniczeń w komunikacji miejskiej. Mnóstwo taboru stało w krzakach, ograniczono liczbę połączeń. Z mapy Wrocławia zniknął tramwaj nr 13 oraz nr 16. Tabor był i należało go wykorzystywać. Niestety, wiele wagonów tramwajowych wtedy skasowano, pomimo, że były w dobrym stanie. Pasażera w tych warunkach trudno było utrzymać przy transporcie miejskim, a kiedy on się przesiadł na samochód, trudno było mu zaproponować powrót. Następne lata, to zjawisko zwiększającej się kongestii ruchu. Na nieszczęście stało się to, co się stało. To błędne koło trudno było przerwać, mówię to jako pracownik MPK, kierowcy i motorniczowie zaczęli grzęznąć w olbrzymich korkach. Odpowiedź na pytanie jest prosta, jeśli ktoś ma stać w korku w zatłoczonym tramwaju, to woli stać w korku siedząc we własnym samochodzie.

W latach 1998-2002 byłem w Komisji Komunikacji jako członek spoza Rady Miejskiej – wtedy też się o tym mówiło. Gdyby stworzyło się takie warunki, że tramwaj miałby priorytet i przez miasto przejeżdżał bardzo szybko, to pasażerowie woleliby się przesiąść do szybko przemieszczającego się środka komunikacji, widząc samochody stojące w korkach. W tym kierunku należało pójść, ale się nie poszło.

Nie ukrywam, że do początku bieżącego roku nie było zielonego światła dla komunikacji, o czym także przekonałem się, uczestnicząc z racji zawodowych w pracach Komisji Bezpieczeństwa Ruchu. Wszystkie wnioski zgłaszane przez MPK dotyczące usprawnienia komunikacji, zmian sygnalizacji świetlnej, wprowadzenia priorytetu komunikacji tramwajowej – to było walenie głową o mur. Ale ostatnio pojawiła się iskierka nadziei, że coś się jednak zmienia! Oby to tylko nie zostało zahamowane.

Co sądzi Pan o celowości powoływania klubów radnych i jak ocenia Pan ich pracę?

Samorząd ma za zadanie usprawnianie życia mieszkańców. Jeżeli kluby radnych są tworzone według podziału politycznego, to moim zdaniem nie ma to sensu, to jest polityka. Obowiązuje wówczas dyscyplina głosowania. Mimo że czasami rozwiązanie jest oczywiste, pozytywne, trzeba głosować wbrew własnej woli, wbrew zasadom logiki. Trudno mi było się z tym zgodzić. Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że samorząd to służba mieszkańcom miasta.

Jest, jak jest – to mi się nie podoba, ale to jest moje zdanie. Ta służba jest związana ze stawianiem sobie bieżących celów związanych z poprawą funkcjonowania miasta.

Jakie wydarzenia związane z działalnością Rady zapisały się najbardziej w Pana pamięci?

W I kadencji takich wydarzeń było dużo. Nie jestem w stanie wskazać, ponieważ sesje były bardzo długie i obfitowały w różne sytuacje. Wszystkie posiedzenia Rady były burzliwe, można to określić jako maraton. Radnemu przysługiwały zwolnienia z pracy na sesje Rady. Więcej czasu spędzałem w Radzie niż w pracy. Jak nie komisje, to posiedzenia Rady, to znowu sygnał, że trzeba się spotkać, bo jakieś tam projekty uchwał, bo jakaś tam znowu dyskusja się szykuje…

Pamiętam próby odwołania członków Zarządu, m.in. wiceprezydenta Andrzeja Olszewskiego. Komisja Komunikacji była za podjęciem takiej decyzji. Łatwo sobie wyobrazić taką sesję, to było jedno wielkie burzliwe posiedzenie, czasami do tych samych tematów wracaliśmy w następnych dniach.

To były trudne początki. Gdyby porównać liczbę posiedzeń Rady Miejskiej w I i II kadencji, to w drugiej ta Rada jakby przestała istnieć. Spotykali się raz w miesiącu i to im wystarczyło W I kadencji było inaczej, myśmy siedzieli na sesjach zwyczajnych i nadzwyczajnych, czasami do 1 albo do 2 w nocy, było i tak, że kończyliśmy o 3 nad ranem. Bardzo dużo czasu poświęcaliśmy na sesje Rady Miejskiej, a przecież odbywały się także posiedzenia komisji.

Tak to było. Człowiek wychodził wykończony po tych sesjach, w stanie kompletnego wyczerpania psychicznego.

Pamiętam też, że istotnym problemem w tym czasie była sprawa portu lotniczego we Wrocławiu. Ważna była jego rozbudowa. To była wielka zasługa prezydenta Zdrojewskiego, który był zdecydowany, żeby tę inwestycję realizować. Myśmy jednak chcieli jednocześnie utworzenia połączenia kolejowego pomiędzy Dworcem Świebodzkim a rozbudowywanym lotniskiem – te działania komisji nie znalazły, niestety, uznania w Zarządzie Miasta. I tak do chwili obecnej nieraz trzeba poświęcić więcej czasu na dojazd do lotniska niż trwa sam przelot samolotem.

Kiedy padło pytanie na koniec I kadencji, czy będę brał udział w następnych wyborach postanowiłem ze względów rodzinnych dać sobie spokój. Już tego nie wytrzymywałem. Było wyjątkowo ciężko i żona też nie była zachwycona istniejącą sytuacją, ponadto mój młodszy syn nie miał jeszcze nawet dwóch lat. Nic dobrego by z tego dalej nie wynikło.

Jak Pan ocenia działalność rad osiedlowych?

Chyba dobrze działały. Nie uczestniczyłem w pracach tych organów pomocniczych, ale pamiętam, że występowały z cennymi lokalnymi inicjatywami.

Jak ocenia Pan zainteresowanie mediów sprawami Miasta i pracą samorządu?

Na pewno zainteresowanie było duże. Jeśli na komisji miały być omawiane zmiany cen biletów, to dziennikarze przychodzili tłumnie. Jak im się nie udało wejść na posiedzenie komisji, czekali na korytarzu, żeby zdobyć jakieś informacje, dopytywali się. W związku z podejmowanymi działaniami na rzecz usprawnienia funkcjonowania komunikacji zbiorowej pojawiały się, niestety, niezbyt pochlebne artykuły w prasie na temat pracy komisji, a także w stosunku do mojej osoby.

Janina Śledzińska
Moje 26 lat w Biurze Rady Miejskiej

W lipcu 1984 r. powstał Urząd Miejski Wrocławia. Pracę w Urzędzie rozpoczęłam 1 listopada w Biurze Rady na stanowisku starszego inspektora miejskiego, a od listopada 1987 r. zostałam powołana na stanowisko kierownika Biura.

W 1990 r. w wyniku pierwszych demokratycznych wyborów powołano Radę Miejską Wrocławia w składzie 70 radnych. Przeprowadzono weryfikację pracowników i mnie mianowano na stanowisko dyrektora. Funkcje kierownicze sprawowałam przez 23 lata do dnia 15 listopada 2010 r.



Pierwsza kadencja nowej Rady zapoczątkowała zupełnie inną formę pracy. Zlikwidowano dzielnicowe biura, a ich pracowników dokooptowano do Biura Rady z uwagi na rozszerzony zakres działania.

Pierwszym demokratycznym przewodniczącym Rady, a równocześnie moim szefem został prof. Stanisław Miękisz. Wśród powstałego prezydium Rady byli Bogdan Cybulski, którego z chwilą powołania na prezesa Regionalnej Izby Obrachunkowej zastąpił Wojciech Adamski, Edward Czapiewski i najmłodszy radny Paweł Skrzywanek, który przeszedł w trakcie kadencji do Wydziału Kultury w Urzędzie Wojewódzkim, a zastąpił go Leonard Smołka.

Ta kadencja Rady najbardziej utkwiła mi w pamięci ze względu na jej apolityczność, pracowitość, zaangażowanie w tworzenie prawa miejscowego od podstaw.

Warunki pracy były bardzo skromne, zarówno jeśli chodzi o wyposażenie, jak i o pomieszczenia. Biuro Rady miało swoje siedziby w kilku miejscach, m.in. na ul. G. Zapolskiej, pl. Kromera, Sukiennicach 10. Przewodniczący Rady wraz z prezydium i niewielką liczbą pracowników zajmowali pomieszczenia przy pl. Nowy Targ, tam też odbywały się sesje Rady Miejskiej w sali 215. W takiej rozproszonej formie praca radnych i Biura była bardzo utrudniona, stąd zrodził się pomysł skomasowania pracowników w jednym miejscu. Wiceprzewodniczący Rady B. Cybulski zaproponował, abyśmy poszli do Sukiennic 9 i zobaczyli, jakie są możliwości przeniesienia ludzi i Biura oraz obejrzeli salę, która miałaby pełnić funkcję sali sesyjnej. Utkwił mi w pamięci moment, pomysł na obecną salę sesyjną, która w owym czasie pełniła funkcję pomieszczenia dla kwalifikacji poborowych do wojska. Jak dziś pamiętam bardzo siermiężną salę z kotarą, za którą ustawiona była waga do ważenia kandydatów na żołnierzy.

Pomieszczenia, które odziedziczyliśmy po Wydziale Rolnictwa wymagały remontu, a wyposażenie Biura Rady ograniczało się głównie do jednej maszyny elektrycznej do pisania przede wszystkim pism dla prezydium i powstających uchwał.

Decyzję o rozmieszczeniu w pokojach prezydium Rady i pracowników Biura podjęli prof. Stanisław Miękisz i Bogdan Cybulski, pełniący funkcję wiceprzewodniczącego Rady, który był odpowiedzialny za kadrę pracowniczą Biura. Pamiętam jak dziś, wskazał pokój, w którym miałam mieć swój gabinet, usytuowany tuż obok pokoi pracowników, co przez wszystkie lata pracy bardzo się sprawdziło. Nie miałam sekretarki, w przeciwieństwie do moich kolegów dyrektorów w Urzędzie. Sekretariat był tylko do obsługi przewodniczącego, prezydium Rady i interesantów.

Praca radnych zaowocowała natychmiast tworzeniem prawa miejscowego. Powstał Statut Wrocławia, który po niewielkich poprawkach prezesa Rady Ministrów stał się wzorcowy także dla innych miast, które prosiły o jego udostępnienie. Był to pierwszy statut w Polsce i tu należy podkreślić zasługi prawników zasiadających w Radzie w osobach prof. Leona Kieresa, dra Bogdana Cybulskiego i dra Jerzego Barańskiego.

Sesje w początkowych latach trwały bardzo długo i obfitowały w emocjonalne wystąpienia radnych. Dla nas był to też ciężki okres, bo warunki na sali sesyjnej utrudniały liczenie głosów przez pracowników Biura, a trzeba nadmienić, że sesje trwały dwa, trzy dni, nieraz do późnych godzin nocnych, np. do 3 nad ranem.

Pamiętam pierwszą sesję Rady Miejskiej w czerwcu 1990 r., na której wybierany był przewodniczący Rady i prezydent miasta. Sesja odbywała się w Sali Wielkiej Ratusza i był to pierwszy sprawdzian naszych umiejętności tworzenia dokumentów w postaci kart do głosowania i protokołów z głosowania w wyjątkowo trudnych warunkach.

W wyniku głosowania miażdżącą liczbą głosów pierwszym prezydentem Wrocławia został Bogdan Zdrojewski, który dla nas pracowników Biura Rady przez wszystkie następne lata był wzorem spokoju, profesjonalizmu w zarządzaniu miastem, a jednocześnie osobą, która w burzliwych momentach wystąpień radnych potrafiła wspólnie z prof. Miękiszem studzić nadmierne emocje w czasie dyskusji nad uchwałami.

Dumna jestem, że miałam możliwość pracy w Urzędzie za prezydentury Bogdana Zdrojewskiego.

Potem następowały kolejne kadencje, a wraz z nimi nowi przewodniczący Rady w liczbie dziewięciu, wśród których były dwie kobiety. W latach 1990-1994 prof. Stanisław Miękisz, 1994-1998 Andrzej Łoś oraz

Sławomir Piechota, 1999-2001 Jarosław Obremski, 2001-2002 Grażyna Tomaszwska, 2002-2004 Stanisław Huskowski, 2004-2006 Grzegorz Stopiński, 2006-2009 Barbara Zdrojewska, 2009-2010 Jacek Ossowski.

W czasie tych lat pracy miałam też możliwość uczestniczyć także przy pomocy w organizacji paru ważnych dla Wrocławia wydarzeń, jak w maju 1997 r. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego, którego wielkim wydarzeniem była wizyta papieża Jana Pawła II w Sali Wielkiej Ratusza, gdzie miałam możliwość spotkania się bezpośredniego z papieżem, od którego otrzymałam różaniec stanowiący dla mnie wyjątkowo cenną pamiątkę.

W pracy mojej przyszedł też i smutny moment – mam na myśli lipiec 1997 r. – powódź, która nawiedziła Wrocław. Część pracowników Biura ze względu na swoje miejsce zamieszkania – głównie Kozanów – nie mogła stawić się do pracy. Ci, którzy mogli uczestniczyli w akcji napełniania worków piaskiem. Ja osobiście natomiast byłam na lotnisku pomagając przy przygotowywaniu paczek żywnościowych i ze środkami czystości, które dostarczane były później czy to drogą lądową, czy powietrzną mieszkańcom zalanych terenów.

W 2000 r. były obchody Milenium i zorganizowana została msza milenijna z udziałem episkopatu Polski, władz państwowych, wojewódzkich i samorządowych. Obecni byli m.in. prezydent RP Aleksander Kwaśniewski z małżonką, Jerzy Buzek, Maciej Płażyński, Marian Krzaklewski. W Sali Wielkiej Ratusza odbyło się spotkanie episkopatu Polski oraz wszystkich zaproszonych gości, podczas którego Bogdan Zdrojewski otrzymał od ks. kardynała Henryka Gulbinowicza insygnia władzy – łańcuch, który do dnia dzisiejszego zakładany jest przez prezydentów na szczególne okazje.

Pamiętam, że w związku z tym wydarzeniem u ks. kardynała Gulbinowicza odbywały się systematyczne spotkania, podczas których ustalano odpowiedzialność osób za poszczególne odcinki wizyty.

Dla nas pracowników Biura dużym wyzwaniem zawsze było przygotowywanie uroczystych sesji Rady z okazji Dni Wrocławia, tj. 24 czerwca, które wiązały się z nadaniem tytułu *Civitate Wratislaviensi Donatus*, Nagród Wrocławia i Nagród Prezydenta. Te uroczystości pozwoliły nam poznać znakomitości świata polityki, kultury i nauki, m.in. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Władysława Bartoszewskiego, Lecha Wałęsę, Andrzeja Wajdę, Sylwestra Chęcińskiego, Tadeusza Różewicza. Szczególnie dla nas miłym akcentem było przyznanie tego tytułu ks. kardynałowi Henrykowi Gulbinowiczowi. To Eminencja swoim ciepłym, pełnym humoru zachowaniem podkreślał pracę Biura na rzecz przygotowania tak doniosłej uroczystości. Wyrazem wdzięczności było przekazanie otrzymanych przez Niego kwiatów na moje ręce.

Zawsze wydarzeniem tego dnia jest również msza w intencji mieszkańców Wrocławia w katedrze koncelebrowana przez wiele lat przez ks. kardynała Henryka Gulbinowicza, a obecnie ks. arcybiskupa Mariana Gołębiewskiego. Po mszy radni udają się na spotkanie z duchowieństwem, które odbywa się w ogrodach kurii.

Miło wspominam pracę ze wszystkimi przewodniczącymi Rady, z których każdy jako szef był inną osobowością i zawsze miałam wrażenie, że wraz z nowym szefem zaczynam nową pracę. Szefów mężczyzn miałam siedmiu, natomiast w dwóch przypadkach były to kobiety i wbrew potocznej opinii, że praca kobiety z kobietą nie zawsze się układa to w tych przypadkach było to kompletnym tego zaprzeczeniem. Zarówno panią przewodniczącą Grażynę Tomaszewską, jak i panią przewodniczącą Barbarę Zdrojewską zachowuję w pamięci z wielkim szacunkiem.

Przypominając sobie trudne warunki pracy Biura przy Nowym Targu, a potem w Sukiennicach 9 dostrzega się diametralną różnicę w wyglądzie sali sesyjnej jak też wyposażenia. Uciążliwe liczenie głosów przez pracowników Biura i przeze mnie, kiedy uchwalić trzeba było jednorazowo setki uchwał zostało zastąpione komputerowym liczeniem.

W czasie ostatniej kadencji Rady Miejskiej radni wyposażeni zostali w laptopy, które ułatwiły pracę tak radnym, jak i pracownikom Biura. Pracochłonne powielanie na ksero porządków obrad sesji, projektów uchwał wraz z uzasadnieniami i załącznikami, niekiedy kilkusetstronicowymi, co łączyło się ze zużyciem ogromnej ilości papieru i tonerów, zostało zastąpione elektroniką.

Mocno dawał nam się we znaki brak klimatyzacji sali. Można powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że sala sesyjna we Wrocławiu jest jedną z najpiękniejszych sal w Polsce. Miałam okazję poprzez udział w konwentach przewodniczących miast w Polsce poznać inne sale. Cieszy również klub radnego, w którym jakby odtworzono historię Rady sprzed lat.

W Biurze Rady miałam okazję współpracować z artystami w osobach Eugeniusza Geta-Stankiewicza i Barbary Idzikowskiej. Duży wkład pracy w odtworzeniu historii Rady ma pan Aleksander Białostocki.

Wśród realizacji bieżących zadań Biura byliśmy zaangażowani także w prace Miejskiej Komisji Wyborczej do wyborów radnych miejskich i osiedlowych. Biuro uczestniczyło w obsłudze MKW pięciu kadencji. Bardzo miło wspominam współpracę z przewodniczącą MKW sędzią Marią Mandecką, której służyliśmy pomocą organizacyjną, co wiązało się każdorazowo z wielogodzinnymi pracami od popołudnia do wczesnych godzin rannych – od 17^{00} do 7^{00} rano, a bywało, że dłużej.

Nie sposób abym nie wspomniała o zespole pracowników Biura Rady, wśród których były osoby pracujące przez wiele lat. Należy do nich pani Ewa Radomska, która rozpoczęła pracę w Biurze w październiku 1987 r. i odeszła na emeryturę w grudniu 2008 r., z którą do tej pory łączy mnie serdeczna nić przyjaźni. Długoletnimi i oddanymi pracy są pracownicy: pani Barbara Rogala, Krystyna Lubczyńska, Elżbieta Jeżak, Alicja Wichlińska, Elżbieta Bocheńska-Zarzycka, Ryszard Parkitny, Bartłomiej Świerczewski. Trudno wymienić wszystkich współpracowników, ale ich praca też złożyła się na całokształt oceny pracy Biura. Chciałabym wspomnieć panią Joannę Kopczyńską-Macałę, która będąc pracownikiem Biura ukończyła studia prawnicze i aplikację sędziowską. Obecnie jest sędzią.

Zawsze starałam się wpoić pracownikom regułę, że należy być w tej pracy apolitycznym, sumiennym i nastawionym na formę służebną wobec radnych, bo moją zasadą było, że „gdyby nie Oni, to nas by nie było".

Satysfakcją było to, że praca Biura była zawsze wysoko oceniana przez radnych.

Praca w Biurze Rady Miejskiej Wrocławia była dla mnie wielkim wyzwaniem, a jednocześnie zaszczytem. Zdaję sobie sprawę, że każde nowe pokolenie wnosi swój styl pracy i swoją osobowość, ale mam nadzieję, że jedna wartość, jaką jest zaangażowanie w to, co się robi zostanie jako wartość stała i że wypracowane w tym względzie dobre wzorce staną się ponadczasowe.

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne 3

Przewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia 1990-2010

Stanisław Miękisz 7
Sławomir Piechota 9
Jarosław Obremski 14
Grażyna Tomaszewska 15
Stanisław Huskowski 19
Grzegorz Stopiński 24
Barbara Zdrojewska 27
Jacek Ossowski 29

Bogdan Zdrojewski. Prezydent Wrocławia 1990-2001 35
Leon Kieres. Przewodniczący prezydium Sejmiku Samorządowego we Wrocławiu 41

Radni Rady Miejskiej Wrocławia 1990-2010

Lech Adamczyk 49
Bohdan Aniszczyk 53
Stanisław Apoznański 58
Piotr Babiarz 61
Jerzy Barański 63
Alina Barczewska 67
Renata Berent-Mieszczanowicz 70
Tadeusz Bereżański 74
Ewa Biegańska-Sudnik 77
Tadeusz Bielawski 80
Stanisław Błoński 81
Ryszard Bobrowski 85
Ryszard Bubień 90
Urszula Bukała 93
Jan Chmielewski 95
Bogdan Cybulski 97
Tomasz Czajkowski 102
Edward Czapiewski 106
Rafał Czepil 111
Ryszard Daczkowski 114
Anna Dąbrowska 116
Beata Dobrucka 119
Jerzy Dul 122
Rafał Eysymontt 123
Marek Foriasz 128
Władysław Frasyniuk 132
Michał Gabryel 135
Aleksander Garczarek 137
Mieczysław Gaweł 141
Elżbieta Góralczyk 145
Renata Granowska 148
Adam Grehl 150
Grażyna Grzelińska 154
Tomasz Hanczarek 157
Robert Holanowski 161
Szymon Hotała 164
Marek Ignor 166
Mirosław Iwanicki 167
Leszek Jankiewicz 170
Teresa Jasztal 173
Ireneusz Jóźwiak 175
Andrzej Kalisz 178
Marek Karpf 181
Krzysztof Kawalec 184
Szczepan Kawski 188
Krzysztof Kilarski 191
Wiesław Kilian 194
Zbigniew Korzeniowski 196
Maciej Kowalski 200
Andrzej Kubica 202
Piotr Kuczyński 204
Witold Kuźnik 208
Antoni Lenkiewicz 211
Alicja Lewandowska 215
Bogusław Litwiniec 217
Henryk Macała 222

Zbigniew Magdziarz 224
Ryszard Maj 229
Ryszard Majewicz 232
Janusz Marak 236
Bogumił Maszewski 238
Włodzimierz Mękarski 239
Mieczysław Mielniczyk 242
Władysław Mielnik 245
Henryk Mikorski 250
Jacek Miller 252
Aldona Młyńczak 254
Urszula Mrozowska 256
Bolesław Musiał 260
Izabela Musiał 263
Marek Mutor 265
Sławomir Najnigier 267
Krzysztof Nawotka 273
Wojciech Niemiec 278
Beniamin Noga 280
Adam Nowak 283
Mirosław Okińczyc 285
Andrzej Olszewski 287
Janusz Ornatowski 290
Grzegorz Oszast 293
Dionizy Pacamaj 296
Czesław Palczak 298
Edwin Petrykat 301
Maria Piaczyńska 304
Radosław Pietrzyk 307
Andrzej Poniewierka 309
Jerzy Przystawa 312
Michał Putowski 316
Artur Radaszewski 320
Jacek Rugieł 322
Ewa Rzewuska 324
Tadeusz Sawa-Borysławski 327
Eugeniusz Sąsiadek 328
Andrzej Siciński 330
Mieczysław Sieradzki 334
Jerzy Skoczylas 338
Aleksander Marek Skorupa 342
Paweł Skrzywanek 346
Leonard Smołka 350
Kazimierz Sokołowski 356
Tomasz Stanko 360
Leon Susmanek 361
Marek Szymański 364
Zofia Świtalska 366
Krzysztof Tenerowicz 368
Jerzy Tomaszewski 371
Ryszard Tomczyk 375
Wanda Ufnalska 378
Urszula Wanat 380
Edward Wiczkowski 383
Marek Winkowski 387
Ryszard Wojtkiewicz 390
Krzysztof Wojtyłło 392
Ewa Wolak 395
Janusz Wróbel 398
Maria Zawartko 400
Wanda Ziembicka-Has 402
Karol Żyromski 406

Janina Śledzińska – Moje 26 lat w Biurze Rady Miejskiej 411